

NELSON DeMILLE



**LIST
Z WIETNAMU**

Powieści Nelsona DeMille 'a Wydawnictwie Albatros A. Kuryłowicz

NELSON

DeMILLE

LIST Z

WIETNAMU

Z angielskiego przełożył GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

Wydawnictwo A. Kuryłowicz

WARSZAWA 2002

Dla tych, którzy odpowiedzieli na wezwanie



Od autora

Obraz współczesnego Wietnamu, przedstawiony w tej książce, powstał częściowo na podstawie moich doświadczeń ze stycznia i lutego 1997 roku, kiedy wróciłem do Wietnamu po dwudziestoletniej nieobecności. Restauracje, hotele, dawna ambasada Stanów Zjednoczonych i inne tego rodzaju miejsca zostały opisane tak, jak wyglądały w 1997 roku, w którym toczy się akcja tej opowieści.

Prawda istnieje; tylko fałsz trzeba wymyślać.

Georges Brague

KSIĘGA I

Dystrykt stołeczny Waszyngton

Rozdział 1

Nieszczęścia chodzą trójkami.

Pierwszym była wiadomość głosowa od Cynthii Sunhill mojej byłej partnerki z wojskowego Wydziału Dochodzeń Kryminalnych. Cynthia w dalszym ciągu pracuje w CIDi jest też moją lepszą połową, chociaż mieliśmy pewne problemy ze zdefiniowaniem tej działki.

Wiadomość brzmiała: „Paul, muszę z tobą porozmawiać. Zadzwoń do mnie wieczorem, bez względu na porę. Właśnie dostałam wezwanie do pewnej sprawy i wyjeżdżam jutro rano. Musimy pogadać”.

- Dobrze. - Zerknąłem na zegarek kominkowy w mojej małej jaskini. Była dopiero dziesiąta wieczór, to znaczy dwudziesto druga, jak mówiłem, będąc jeszcze nie tak dawno w wojsku.

Mieszkam w kamiennym domku farmerskim pod Falls Church w Wirginii, niespełna godzinę jazdy samochodem od kwatery głównej CID. Czas dojazdu jest w gruncie rzeczy nieistotny, bo nie pracuję już w CID. Właściwie nigdzie już nie pracuję. Odszedłem na emeryturę, a może mnie wyrzucili.

Tak czy owak, upłynęło sześć miesięcy od mojej separacji z armią i zaczynałem się nudzić, a miałem przed sobą jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści lat.

Co do panny Sunhill, stacjonowała w Fort Benning w Georgii, jakieś czternaście godzin jazdy od Falls Church, albo dwanaście, jeśli jestem bardzo napalony. Ostatnie pół roku nie było łatwe dla naszego stosunkowo świeżego związku, a wzięwszy pod uwagę jej ciekawą bardzo o czym pogadać. karierę zawodową i moje rosnące uzależnienie od popołudniowych talk-show, nie mamy za

Wróćmy jednak do rzeczy: nieszczęście numer dwa. Sprawdziłem e-mail i znalazłem wiadomość, która brzmiała po prostu: *Godzina szesnasta, jutro, Mur.* Podpisano *K.*

K to pułkownik Karl Hellmann, mój były szef w kwaterze głównej i obecny przełożony Cynthii. Tyle wiedziałem na pewno. Nie było natomiast jasne, po co Hellmann chce się ze mną jutro spotkać pod pomnikiem Ofiar Wojny Wietnamskiej. Odruchowo umieściłem sprawę w szufladzie z plaketką „nieszczęścia”.

Rozwazałem kilka równie lapidarnych odpowiedzi, z których żadna nie była szczególnie pozytywna. Naturalnie, wcale nie musiałem odpowiadać - byłem na emeryturze. Tyle że w odróżnieniu od cywilnych zawodów praca w armii nigdy się naprawdę nie kończy. Istnieje nawet takie powiedzenie: Jeśli się jest oficerem, to jest się nim na zawsze. Miałem stopień chorążego, a moją specjalnością były śledztwa kryminalne.

W każdym razie wciąż mają na człowieka jakiegoś prawnego haka, chociaż nie jestem do końca pewien, na czym on polega. W ostateczności mogą skasować na rok pobory.

Spojrzałem jeszcze raz na wiadomość od Karla i zauważyłem, że jest zaadresowana do pana Brennera. Do chorążych należy się zwracać per pan, więc taki nagłówek był przypomnieniem mojego byłego - albo obecnego - stopnia wojskowego, a nie hołdem dla mojego statusu społecznego. Karl nie jest subtelny. Wstrzymałem się z odpowiedzią

I wreszcie trzecie nieszczęście, ostatnie, lecz nie najmniejsze. Widocznie zapomniałem wysłać odpowiedź do klubu książki i w mojej poczcie znalazła się powieść Danielle Steel. Powinienem ją zwrócić? A może dać mamie na Gwiazdkę? Może zbliżają się jej urodziny.

No dobra, nie mogłem dłużej odwlekać rozmowy z Cynthia, więc usiadłem przy biurku i wybrałem numer. Dzwonek rozdzwonił się po drugiej stronie linii, a ja wyrząłem przez okno. Był zimny styczniowy wieczór w północnej Wirginii i padał lekki śnieg.

- Halo - odezwała się Cynthia.

- Cześć.

Pół sekundy ciszy.

- Cześć, Paul. Jak się masz?

Zacząłem się źle, więc powiedziałem:

- Cynthia, przejdźmy do rzeczy.

Zawahała się.

- No, cóż... A mogę wpięrw spytać, jak minął ci dzień?

- Miałem świetny dzień. Jeden stary sierżant z mesy dał mi przepis na chili... nie wiedziałem, że potrawa jest dla dwustu osób, i zrobiłem ją zgodnie z recepturą. Zamroziłem chili w foliowych torebkach. Wyślę ci trochę. Później poszedłem na halę, zagrałem w kosza z drużyną w fotelach na kółkach... rozgromiliśmy ich... a potem wybrałem się z chłopakami do baru na piwo i hamburgery. A twój dzień?

- Cóż... Właśnie zamknęłam sprawę gwałtu, o której ci mówiłam. Ale zamiast na urlop muszę pojechać do Fort Rucker i poprowadzić dochodzenie w sprawie molestowania seksualnego; wygląda na trudną. Zostanę tam aż do jej zakończenia. Może kilka tygodni. Będę w kwaterze kawalerskiej, jeśli chciałbyś zadzwonić. - Nie odpowiedziałem. - Hej, wciąż jeszcze wspominam Gwiazdkę.

- Ja też. - To było miesiąc temu, a ja jej od tej pory nie widziałem. - Co z Wielkanocą?

- Paul, przecież wiesz... Możesz się tu przeprowadzić.

- Ciebie jednak mogą w każdej chwili przenieść. I skończy się na tym, że będę jeździł za tobą tam, gdzie cię zaprowadzi kariera. Nie rozmawialiśmy już o tym?

- Tak, ale...

- Podoba mi się tutaj. Ty mogłabyś tu stacjonować.

- Czy to jest propozycja?

No i masz.

- To byłoby dobre dla twojej kariery. Kwatera CID.

- Pozwól, że sama się zatroszczę o swoją karierę. Nie chcę pracować w biurze. Jestem oficerem śledczym. Tak jak ty. Chcę być tam, gdzie będę pożyteczna.

- Nie mogę za tobą dreptać jak piesek albo obijać się beczynnym po twoim mieszkaniu, kiedy ty wyjedziesz prowadzić sprawę - odparłem. - To nie służy mojemu ego.

- Mógłbyś znaleźć sobie tutaj pracę w wymiarze sprawiedliwości.

- Pracuję nad tym. Tu, w Wirginii.

I tak dalej. Jest ciężko, gdy facet nie pracuje, a kobieta ma robotę, która wiąże się z podróżami. Co gorsza, armia lubi zmieniać twoje stałe miejsce pobytu, jak tylko zdołasz się gdzieś wygodnie umościć, co stawia pod znakiem zapytania wojskową definicję stałości. Jakby tego było mało, jest teraz wiele tymczasowych przydziałów - w miejscach takich jak Bośnia, Somalia, Ameryka Południowa - które mogą się przeciągnąć i trwać nawet rok, co z

kolei podważa definicję tymczasowości. Reasumując, Cynthia i ja byliśmy - jak to się teraz mówi - geograficznie niedopasowani.

Wojsko, zawsze to powtarzałem, stawia przed związkami trudne wyzwania; to nie jest praca, to jest powołanie - zobowiązanie, które sprawia, że inne zobowiązania stają się naprawdę trudne do spełnienia. A czasem niemożliwe.

- Jesteś tam? - spytała Cynthia.

- Jestem.

- Nie możemy tak dalej, Paul. To boli.

- Wiem.

- Więc co powinniśmy zrobić?

Myślę, że była gotowa zrezygnować i oddać dużą część pensji za jedno moje słowo. Potem postanowilibyśmy, gdzie będziemy mieszkać, znaleźlibyśmy pracę i żyli razem długo i szczęśliwie. Kochaliśmy się.

- Paul.

- Tak... Zastanawiam się.

- Już wcześniej powinieneś być o tym pomyśleć.

- Racja. Słuchaj, wydaje mi się, że powinniśmy o tym porozmawiać osobiście. Twarzą w twarz.

- Jedyne, co robimy twarzą w twarz, to pieprzenie się.

- To nie jest... Dobrze, porozmawiamy przy kolacji. W jakimś lokalu.

- Zgoda. Zadzwoń, jak wrócę z Rucker. Ja przyjadę do ciebie albo ty do mnie.

- W porządku. Jak tam twój rozwód?

- Już prawie koniec.

Świra? - To dobrze. - Mając na myśli jej kochającego męża, spytałem: - Często widzisz majora

- Niezbyt. Tylko w klubie oficerskim od czasu do czasu. Nie da się uniknąć takich sytuacji.

- Wciąż chce cię odzyskać?
- Nie próbuj komplikować prostej sytuacji.
- Nie komplikuję. Boję się tylko, że znów może próbować mnie zabić.
- On wcale nie próbował cię zabić, Paul.
- Pewnie źle odczytałem powód, dla którego mierzył do mnie z nabitego pistoletu.
- Możemy zmienić temat?
- Jasne. Czytujesz Danielle Steel?
- Nie, dlaczego?
- Kupiłem jej ostatnią książkę. Wyślę ci ją.
- Może twojej mamie się spodoba. Dziesiątego lutego są jej urodziny. Nie zapomnij.
- Wykułem się na pamięć. A propos, dostałem e-mail od Karla. Chce się ze mną jutro spotkać.
- Po co?
- Myślałem, że może ty będziesz wiedziała.
- Nie, nie wiem - odparła. - Może chce się po prostu napić, pogadać o starych czasach.
- Chce, żebyśmy się z spotkali pod Pomnikiem Ofiar Wojny Wietnamskiej.
- Naprawdę? To dziwne.
- Taak. Nic ci nie wspominał?
- Nie. Czemu miałby mi mówić?
- Nie wiem. Nie mogę rozgryźć, co on kombinuje.
- Dlaczego uważasz, że coś kombinuje? Pracowaliście razem przez długie lata. Lubi cię.
- Nieprawda - odparłem. - Nienawidzi mnie.
- To nie jest tak, że on cię nienawidzi. Ale trudno się z tobą pracuje. Prawdę mówiąc, kochać też cię trudno.
- Mama mnie kocha.
- Albo potrzebuje rady, albo informacji o jakiejś starej sprawie. - Powinieneś to zweryfikować. A co do Karla, on cię szanuje i wie, jaki jesteś bystry.
- Dlaczego akurat koło Muru?
- Hmm... Nie wiem. Dowiesz się, jak się z nim spotkasz.
- Tu jest zimno. A tam?
- Jakieś piętnaście stopni.
- Tutaj pada śnieg.
- Jedź ostrożnie.
- Taak. - Przez chwilę oboje milczeliśmy, a ja przypominałem sobie dzieje naszego związku.

Poznaliśmy się w kwaterze NATO w Brukseli. Ona była zaręczona z majorem Jak- Mu-Tam, facetem z sił specjalnych; zainteresowaliśmy się sobą, on się wściekł i wyjął z mojego powodu wyżej wymieniony pistolet; ja się wycofałem, oni się pobrali, a rok później znów wpadliśmy na siebie z Cynthia.

To było w klubie oficerskim w Fort Hadley w Georgii; oboje pojechaliśmy tam z przydzielonymi zadaniami. Ja, występując pod innym nazwiskiem, badałem sprawę kradzieży i sprzedaży wojskowej broni, ona zamykała właśnie sprawę gwałtu. To jej specjalność. Przystępstwa na tle seksualnym. Wolałbym znów wojaczkę niż taką robotę. Ale ktoś musi ją wykonywać, a ona jest w tym dobra. Co ważniejsze, Cynthia potrafi szufladkować i wydaje się, że to, co robi, nie ma na nią wpływu, choć czasem się zastanawiam.

Wróćmy jednak do Fort Hadley, latem zeszłego roku. Podczas naszego pobytu znaleziono na strzelnicy córkę dowódcy jednostki, kapitan Anne Campbell, przebitą kołkiem, naga, uduszoną i najwyraźniej zgwałconą. Zaproponowali, żebym zostawił tę drobną sprawę z bronią i zajął się tą, a Cynthia ma mi asystować. Rozwiązaliśmy sprawę morderstwa, potem pozbyła się majora Świra. próbowaliśmy rozwiązać naszą, która okazała się trudniejsza. Przynajmniej Cynthia wreszcie

- Paul, może byśmy to odłożyli do czasu, gdy będziemy mogli się spotkać? Może tak być?
- Czemu nie. - W gruncie rzeczy ja zaproponowałem takie rozwiązanie. Ale po co jej to wytykać?
- Dobry pomysł.
- Oboje powinniśmy rozważyć, z czego będziemy musieli zrezygnować i ile możemy zyskać. - Ćwiczyłaś tę kwestię?

- Tak. Ale to prawda. Wiesz, ja cię kocham...

- Ja też cię kocham.

- Wiem. I właśnie dlatego to jest takie trudne.

Przez chwilę nic nie mówiliśmy, potem odezwała się Cynthia:

- Jestem od ciebie młodsza...

- Ale ja jestem dojrzały.

- Zamknij się, proszę. Lubię to, co robię, lubię swoje życie, swoją pracę, swoją niezależność. Lecz... zrezygnowałabym z tego, gdybym uważała, że...

- Słyszę cię. To dla mnie wielka odpowiedzialność.

- Nie naciskam na ciebie, Paul. Nawet nie jestem pewna, że chcę tego, co mi się wydaje.

Jestem bystry, ale gubię się, gdy rozmawiam z kobietami. Zamiast prosić o sprecyzowanie myśli, powiedziałem:

- Rozumiem.

- Naprawdę?

- Absolutnie. - Ani w ząb.

- Tęsknisz za mną?

- Codziennie - odparłem.

- Bo ja tęsknię. Naprawdę. Nie mogę się doczekać, kiedy się znów zobaczymy. Wezmę trochę wolnego. Obiecuję. - Ja też wezmę trochę wolnego.

- Ty nie pracujesz.

- Słusznie. Ale gdybym pracował, wziąłbym urlop, żeby być z tobą. Tym razem ja do ciebie przyjadę. Tam jest cieplej.

- Zgoda. Byłoby miło.

- Lubisz chili?

- Nie.

- Myślałem, że lubisz chili. No dobra, powodzenia w śledztwie. Uprzedź dzień wcześniej, a ja przyjadę.

- To potrwa mniej więcej dwa tygodnie. Może trzy. Powiadomię cię, kiedy zacznę śledztwo.

- Dobrze.

- Pozdrów ode mnie Karla. I daj znać, czego chciał.

- Może chce mi opowiedzieć o tym, jak porwali go kosmici.

Cynthia parsknęła śmiechem.

Właśnie w chwili gdy mieliśmy skończyć rozmowę pogodnym akcentem, powiedziała:

- Paul, wiesz, że nie musiałeś rezygnować.

- Czy to pewne? - Sprawa córki generała była mordęgą od pierwszego dnia... politycznym, emocjonalnym i zawodowym polem minowym, a ja wlałem w sam jego

środek. Lepiej bym wyszedł, nie rozwiązując jej, bo rozwiązanie wyciągnęło na jaw sprawy, o których nikt nie chciał wiedzieć. - Przysyłając mi list z naganą, armia chciała w gruncie rzeczy powiedzieć: „Czas na emeryturę, panie chorąży”. Może w subtelny sposób, ale...

- Myślę, że mylnie zinterpretowałeś sytuację. Sparzyłeś się, nadąłeś i zareagowałeś impulsywnie, bo twoje ego zostało poturbowane.

- Czyżby? Dzięki za informację, że odrzuciłem trzydzieści lat kariery, bo dostałem ataku wściekłości.

- Powinieneś się z tym pogodzić. Powiem ci coś jeszcze: jeśli nie znajdziesz sobie do roboty czegoś równie ważnego i stawiającego podobne wyzwania, wpadniesz w depresję...

- Już wpadłem. Ty mnie w nią wpędziłaś. Dzięki.

- Przepraszam, ale znam cię. Nie byłeś aż tak poparzony, jak ci się zdawało. Dała ci w kość sprawa tej dziewczyny, córki generała. W porządku. Wszystkim dała w kość. Nawet mnie. To była najsmutniejsza, najbardziej przygnębiająca sprawa...

- Nie chcę o tym mówić.

- Dobrze, lecz potrzebny ci był trzydziestodniowy urlop, a me permanentne wakacje. Jesteś jeszcze młody...

- Ty jesteś młodsza. . .
- Masz w sobie mnóstwo energii, możesz dużo z siebie dać, ale musisz napisać drugi akt, Paul.
- Dziękuję. Rozważam opcje. - W pokoju i na linii wyczuwalnie się ochłodziło.
- Jesteś zły?
- Nie. Gdybyś tu była, ujrzałabyś uśmiech na mojej twarzy.

Uśmiecham się.

- Gdybym cię nie kochała, nie mówiłabym tego wszystkiego.
- Wciąż się uśmiecham.
- Do zobaczenia za kilka tygodni. Uważaj na siebie.
- Ty też.

Cisza, a potem:

- Dobranoc.
- Pa.

Szkocka, kropla wody sodowej i lód. Oboje odłożyliśmy słuchawki. Wstałem, podszedłem do barku i zrobiłem sobie drinka.

Usiadłem w mojej jaskini z nogami na stole, patrząc na śnieg za oknami. Szkocka pachniała przyjemnie.

Tak więc na moim biurku leżała powieść Danielle Steel, niemiły telefon ciągle dźwięczał mi w uszach, a na ekranie komputera widniała złowróżbna wiadomość od Karla Hellmanna.

Czasem rzeczy, które wydają się nie mieć ze sobą związku, są w istocie częścią większego planu. Nie twojego, żeby wszystko było jasne, ale kogoś innego. Miałem uwierzyć, że Karl i Cynthia o mnie nie rozmawiali, pani Brenner jednak nie wychowała mnie na idiotę.

Powinienem się wściekać, kiedy ktoś nie docenia mojej inteligencji, chociaż w gruncie rzeczy specjalnie odgrywam rolę tępego macho, co sprawia, że ludzie nie doceniają mojej bystrości. Niejednego wsadziłem w ten sposób do więzienia.

Zerknąłem jeszcze raz na wiadomość. *Godzina szesnasta, jutro, Mur*. Nawet nie było słowa „proszę”. Pułkownik Karl Gustav Hellmann bywa odrobinę arogancki. Urodził się jako Niemiec, podczas gdy Paul Xavier Brenner to typowy irlandzki młodzian z podaniowego Bostonu, czarująco nieodpowiedzialny i rozkosznie bystry. Herr Hellmann wręcz przeciwnie. A mimo to, na jakimś dziwnym poziomie, rozumieliśmy się. Był dobrym dowódcą, surowym, ale sprawiedliwym, z silną motywacją. Tylko że ja nigdy me miałem zaufania do jego motywów.

Tak czy siak, wyprostowałem się i wystukałem e-mail do Karla: *Do zobaczenia tam, o tej godzinie*. Podpisałem: *Paul Brenner CPO*, co w tym wypadku znaczyło Cholerny Prywatny Obywatel, nic więcej, i obaj o tym wiedzieliśmy.

Rozdział 2

Była trzecia po południu, a ja byłem w National Mall, waszyngtońskim parku, prostokątnym

skrawku trawy i drzew, rozciągającym się od Kapitolu na wschodzie do pomnika Lincolna na zachodzie, na przestrzeni około trzech kilometrów.

Mall to dobre miejsce do biegania, z ładnymi widokami, więc zamiast marnować czas na podróż do miasta tylko po to, żeby się spotkać z Karlem Hellmannem, włożyłem dres i tenisówki i naciągnąłem na uszy dzierganą na drutach czapkę.

Zacząłem bieg wokół lustrzanego basenu przy Kapitolu i dostosowałem szybkość tak, aby znaleźć się koło Muru o wyznaczonej godzinie, czwartej po południu według mojego czasu, czyli o szesnastej czasu Karla.

Było zimno, ale słońce wisiało jeszcze nad horyzontem i nie wiał wiatr. Wszystkie drzewa były nagie, a trawa przyprószone śniegiem, który napadał w nocy.

Ruszyłem w dobrym tempie, trzymając się południowej strony Mall, gdzie znajduje się Narodowe Muzeum Lotnictwa i Astronautyki, Smithsonian i inne muzea między nimi.

Oficjalnie jest to park, jak wspomniałem, ale poza tym miejsce, gdzie wszyscy chcą wznieść coś ważnego: monumenty, muzea, pomniki i rzeźby, a jeśli ta marmuromania się utrzyma, Mall będzie wkrótce przypominać rzymskie Forum, pełne świątyń poświęconych temu czy owemu. Nie ferują sądów - ważni ludzie i wydarzenia wymagają pomnika czy monumentu. Ja już mam swój pomnik: jest nim Mur. To bardzo dobry pomnik, bo nie ma na nim mojego nazwiska.

Słońce się zniżyło, cienie wydłużyły, było bardzo spokojnie i cicho, pomijając chrzęst śniegu pod moimi stopami.

Zerknąłem na zegarek i zobaczyłem, że jest dziesięć minut do wyznaczonej godziny.

Nie chcę generalizować na temat ras, religii i tak dalej, ale Irlandczycy i Niemcy nie Herr Hellmann, jak wielu członków swojej grupy etnicznej, jest fanatykiem punktualności. Podzielają tej samej koncepcji czasu.

Przyspieszyłem i ruszyłem na północ wokół lustrzanego basenu. Tyłek zaczął mi ciążyć, a płuca piekły od zimnego powietrza.

Kiedy biegłem na wskroś Ogrodu Konstytucji, w polu mojego widzenia znalazły się posągi pomnika Kobiet Wietnamu: trzy pielęgniarki w kombinezonach polowych przy rannym żołnierzu, którego nie mogłem dojrzeć.

Jakieś sto metrów dalej w stronę Muru stał pomnik trzech żołnierzy: trzej faceci z brązu w mundurach moro, przy drzewcu flagi.

Za dwiema grupami brązowych postaci wznosiła się czarna ściana, silnie kontrastująca z białym śniegiem.

Mur jest prawdopodobnie najczęściej odwiedzanym pomnikiem w Waszyngtonie, lecz w ten zimny powszedni dzień nie było tam wielu ludzi. Zbliżając się, doznałem wrażenia, że ci, którzy stoją wpatrzni w Mur, są właśnie tymi, którzy powinni tam być.

Wśród niewielkiego tłumu wyróżniał się jeden człowiek: był to pułkownik Karl Hellmann, ubrany w cywilny płaszcz, w kapeluszu z podwiniętym rondem; oczywiście zerkał na zegarek, pewnie mamrocząc pod nosem po angielsku z nieco twardym, obcym akcentem: „Gdzie się ten facet podziewa?”.

Zwolniłem, żeby nie przestraszyć mojego byłego szefa widokiem pędzącej w jego stronę postaci, a kiedy znalazłem się na ścieżce biegnącej równolegle do Muru, jakieś osiemnaście metrów od Herr Hellmanna, gdzieś rozdzwonił się kościelny dzwon, potem drugi i trzeci. Zwolniłem jeszcze bardziej i podszedłem z tyłu do Karla Hellmanna, dokładnie w chwili gdy czwarty dzwon zaczął wybijać godzinę.

Wyczuł moją obecność albo zobaczył odbicie w czarnym Murze,

- Cześć, Paul - rzekł, nie odwracając się.

Zdawało się, że uradował się na mój widok - lub wyczuwając mnie - chociaż nie dało się powiedzieć, jak bardzo jest podekscytowany. Choćby z tego powodu, że przyszedłem dokładnie na czas, a to wprowadza go w dobry nastrój.

Nie odpowiedziałem na powitanie i staliśmy ramię przy ramieniu, patrząc na Mur. Naprawdę chciałem rozchodzić nogi po biegu, ale stałem dalej, starając się złapać oddech; obłoki pary wylatywały z moich nozdrzy jak z końskiego pyska, pot zaczął marznąć na mojej twarzy.

Więc staliśmy tam, poznając się w milczeniu od nowa po sześciu miesiącach separacji, trochę jak psy obwąchujące się, żeby ustalić, który jest dominujący.

Zauważyłem, że część Muru, przed którą się znajdujemy, jest oznaczona liczbą tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt osiem. To największa połączona część Muru, bo rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt ósmy to nieszczęśliwy rok, w którym Amerykanie ponieśli najwyższe straty: ofensywa Tet, oblężenie Khe Sanh, bitwa w dolinie A Shau... i inne, mniej znane, lecz wcale nie mniej straszliwe starcia. Karl Hellmann był tam w sześćdziesiątym ósmym roku, podobnie jak ja, i znał niektóre z tych miejsc i wydarzeń z pierwszej ręki.

Na froncie domowym też się nie układało w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku za dobrze: zabójstwa Martina Luthera Kinga i Bobby'ego Kennedy'ego, zamieszki w kampusach, w miastach i tak dalej. Zły rok od początku do końca. Zrozumiałem, dlaczego Hellmann ustawił się na wprost liczby tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt osiem, chociaż nie rozumiałem, po co tu w ogóle przyszliśmy. Ale jako stary żołnierz, którym jestem, nigdy się nie odzywam do starszego oficera, dopóki ten się do mnie nie odezwie. Czasem nawet po

tym, jak się odezwie, tak jak teraz. Jeśli chodzi o mnie, mogliśmy tam stać w kompletnej ciszy aż do północy.

- Dzięki, że przyszedłeś - powiedział wreszcie Karl.

- To zabrzmiało jak rozkaz - odparłem. - Ale ty jesteś na emeryturze.

- Właściwie to sam zrezygnowałem.

- Nie obchodzi mnie, co ty zrobiłeś. To ja się postarałem, żeby to była emerytura. To o wiele przyjemniejsze dla wszystkich.

- Naprawdę chciałem zrezygnować.

- W takim razie nie moglibyśmy się spotkać na tym miłym przyjęciu... tym, na którym przeczytałeś wszystkim list z upomnieniem.

- Poprosiłeś mnie, żebym powiedział kilka słów.

Zamiast odpowiedzieć, Hellmann rzucił:

- Jesteś w bardzo dobrej formie.

- Jakżeby inaczej. Truchtam sobie po Waszyngtonie i spotykam się z ludźmi pod pomnikami. Ty jesteś dzisiaj trzeci.

Hellmann zapalił papierosa.

- Twój sarkazm i złe poczucie humoru nic się nie zmieniły.

- To dobrze. Więc co się stało, jeśli wolno spytać?

- Najpierw powinniśmy wymienić zwroty grzecznościowe i zapytać, co nowego. Jak się miewasz?

- Doskonale. Nadrabiam zaległości w czytaniu. Hej, czytasz Danielle Steel?

- Kogo?

- Wyślę ci książkę. Lubisz chili?

Hellmann zaciągnął się papierosem, pewnie się zastanawiając, co go opętało, żeby się ze mną skontaktować.

- Pozwól, że cię o coś spytam, Paul. Czy uważasz, że armia potraktowała cię niesprawiedliwie?

- Nie bardziej niż parę milionów innych facetów, pułkownika.

- Myślę, że na tym zakończymy wymianę uprzejmości.

- To dobrze.

- Dwie kwestie administracyjne. Po pierwsze, listowna nagana. Można ją usunąć z twojej teczki. Po drugie, emerytura. Można ją inaczej policzyć, co dałoby znaczną sumę pieniędzy na cały przewidywalny czas twojego życia.

- Właściwie przewidywalny czas mojego życia zwiększył się, kiedy odszedłem z wojska, więc wystarczy mi mniej pieniędzy.

- Chcesz się dowiedzieć więcej o tych dwóch sprawach?

- Nie. Wietrzę kłopoty.

Staliśmy więc na zimnie, wężąc w powietrzu i obmyślając pięć czy sześć ruchów naprzód. Jestem w tym dobry, ale Karl jest lepszy. Nie jest tak bystry jak ja - z pewnością nie tak wygadany - ale myśli głęboko i długo.

W gruncie rzeczy lubię tego faceta. Naprawdę. Szczerze mówiąc, poczułem się trochę dotknięty, kiedy nie dawał znaku życia. Może był wkurzony na mój głupawy występ w czasie przyjęcia z okazji odejścia na emeryturę. Wypiłem parę drinków, lecz jak przez mgłę pamiętam, że parodiowałem pruskiego feldmarszałka nazwiskiem von Hellmann, zdaje się.

Wreszcie Karl zdecydował się odezwać.

- Na tym murze jest nazwisko człowieka, który nie zginął w akcji. Człowieka, który w rzeczywistości został zamordowany. - Nie skomentowałem tego szokującego stwierdzenia. - Ilu ludzi na tej ścianie znasz? - spytał.

Milczałem przez chwilę.

- Zbyt wielu - odparłem. - Potem sam zadałem mu pytanie: - A ty ilu znasz?

- Tak samo jak ty. Odsłużyłeś w Wietnamie dwie tury. Zgadza się?

- Zgadza. W sześćdziesiątym ósmym, a potem w siedemdziesiątym drugim, ale wtedy byłem już w żandarmerii, więc jeśli walczyłem, to z wstawionymi żołnierzami przed bazą lotniczą Bien Hoa.

- Lecz za pierwszym razem... Byłeś na froncie w piechocie... Walczyłeś, i to sporo. Podobało ci się?

Takie pytanie mogą zrozumieć tylko weterani, którzy byli na polu bitwy. Przyszło mi do głowy, że przez te wszystkie lata, kiedy znamy się z Karlem, nigdy nie rozmawialiśmy wiele

o doświadczeniach z walki. To nic szczególnego. Spojrzałem na niego.

- To był absolutny odjazd. Pierwsze kilka razy. Potem... przywykłem, uznałem to za normę... Jeszcze później, w ciągu kilku ostatnich miesięcy przed wyjazdem do domu, wpadłem w paranoję, jak gdyby tamci chcieli zabić mnie osobiście, jakby nie chcieli mnie puścić do domu. Myślę, że przez dwa ostatnie miesiące nie spałem. - Popatrzyliśmy sobie w oczy.

Karl skinął głową.

- Ja też tego doświadczyłem. - Zrobił krok w stronę Muru, skupiając wzrok na poszczególnych nazwiskach. - Byliśmy wtedy młodzi, Paul. Ci tutaj są młodzi na zawsze. - Dotknął jednego nazwiska. - Znałem tego człowieka.

Hellmann wydawał się wyjątkowo refleksyjny, prawie posepny. Zdaje mi się, że to miało związek z miejscem, w którym byliśmy, z porą roku, zmierzchem i tak dalej. Sam też nie byłem szczególnie radosny.

Wyjął złotą cygarniczkę i taką samą zapalniczkę.

- Chcesz?

- Nie, dzięki. Przed chwilą jednego wypaliłeś.

Zignorował mnie w typowy dla palaczy sposób i zapalił drugiego.

Karl Gustav Hellmann. Nie wiedziałem za dużo o jego życiu osobistym, lecz wiedziałem, że dorastał w ruinach powojennych Niemiec. Poznałem przez te lata kilku innych niemiecko- amerykańskich żołnierzy; w większości byli oficerami, teraz już na emeryturze. Biografia tych galwanizowanych Jankesów zaczynała się zwykle od tego, że nie mieli ojców albo byli całkiem osieroceni i aby przeżyć, wykonywali proste prace dla amerykańskiej armii okupacyjnej. W wieku osiemnastu lat wstępowali do wojska w którejś z jednostek w Niemczech, żeby wyrwać się z upodlenia pobitego narodu. Kiedyś było w armii sporo takich ludzi, a Karl był prawdopodobnie jednym z ostatnich.

Nie miałem pewności, ile z tej biografii pasuje do Karla Hellmanna, ale musiał być bardzo blisko ustawowej emerytury, chyba że w jego najbliższej przyszłości błyszczała gwiazdka generalska, która sprawiłaby, że mógłby zostać dłużej. Przyszło mi namyśl, że to spotkanie ma z tym coś wspólnego.

- To było dawno - powiedział do mnie, a może do siebie. - A mimo to czasem się wydaje, jakby zdarzyło się wczoraj. - Spojrzał na Mur, a potem na mnie. - Zgadzasz się?

- Tak, rok sześćdziesiąty ósmy jest wyraźny jak projekcja slajdów, jak przesuwane się jasne nieme obrazy, zamrożone w czasie... - Popatrzyliśmy na siebie; Karl skinął głową.

Więc dokąd to zmierzało?

Będzie prościej, jeśli zacznę od tego, gdzie się zaczęło. Jak wspomniałem, jestem irlandzkim bostończykiem z południowej części miasta, co oznacza klasę robotniczą. Mój ojciec był weteranem drugiej wojny światowej, tak jak wszyscy tamtejsi ojcowie w owych czasach. Odsłużył trzy lata w piechocie, wrócił do domu, ożenił się, miał trzech synów i pracował przez trzydzieści lat dla miasta Boston, trudniąc się konserwacją miejskich autobusów. Przyznał mi się kiedyś, że ta robota nie była tak ekscytująca jak inwazja w Normandii, ale godziny były lepsze.

Niedługo po osiemnastych urodzinach dostałem wezwanie do poboru. Zadzwoiłem do Harvardu z myślą o miejscu na pierwszym roku i odroczeniu studenckim, ale zauważyli, słusznie zresztą, że w ogóle nie ubiegałem się o przyjęcie. Tak samo na Uniwersytecie Bostońskim i w Kolegium Bostońskim, gdzie wielu wyznawców tej samej religii co ja znalazło schronienie przed poborem.

Spakowałem więc torbę, ojciec uścisnął mi dłoń, młodszy bracia orzekli, że jestem kławy gość, mama się rozplakała, a ja wsiadłem do pociągu wojskowego i pojechałem do Fort Hadley w Georgii na szkolenie podstawowe i zaawansowane. Z jakiegoś idiotycznego powodu zgłosiłem się do szkoły desantowej - czyli na ćwiczenia spadochronowe - w Fort Benning, też w Georgii. Żeby zakończyć moją wyższą edukację w dziedzinie zabijania, zgłosiłem się na ćwiczenia sił specjalnych, myśląc, że może wojna się skończy, zanim pokończę te wszystkie zwariowane szkoły, ale armia powiedziała: „Dość. Jesteś gotów, chłopcze, możesz ruszać”. I tak wkrótce po szkole desantowej wylądowałem we frontowej kompanii piechoty w miejscu, które nazywało się Bong Son i które nie leży w Kalifornii,

Zerknąłem na Karla, wiedząc, że był tam mniej więcej w tym samym okresie, dotarłszy na wojnę zupełnie inną drogą. A może jednak nie tak bardzo inną.

- Pomyślałem, że będzie dobrze, jeśli się tutaj spotkamy - oznajmił Karl.

Nie odpowiedziałem.

Po Wietnamie obaj zostaliśmy w wojsku, pewnie dlatego, że armia nas chciała, inni zaś raczej nie. Ja wstąpiłem do żandarmerii wojskowej i częściowo odsłużyłem drugą turę w Wietnamie. Z biegiem lat skorzystałem z wojskowego programu edukacyjnego i zdobyłem dyplom z prawa karnego, a potem przeszedłem do Wydziału Dochodzeń Kryminalnych, głównie dlatego, że nosili tam cywilne łachy.

Zostałem chorążym - quasi-oficerem bez żadnych obowiązków dowódczych, lecz z ważną pracą, w moim wypadku detektywa do spraw zabójstw.

Karl wybrał trochę inną i elegantszą drogę: poszedł do prawdziwego college'u z wojskowym żołdem, gdzie zdobył jakiś niby-tytuł naukowy z filozofii, uczestnicząc jednocześnie w czteroletnim kursie dla oficerów rezerwy, a potem wstąpił z powrotem do czynnej służby jako porucznik.

W pewnym momencie nasze drogi życiowe prawie się przecięły w Wietnamie, a potem rozdzieliły w Falls Church. I tak znaleźliśmy się tutaj, dosłownie i w przenośni o zmierzchu, już nie wojownicy, lecz mężczyźni w średnim wieku, patrzący na poległych z naszego pokolenia; pięćdziesiąt osiem tysięcy nazwisk wygrawerowanych w czarnym kamieniu; nagle ujrzałem tych ludzi jako dzieci

pieczołowicie wycinające swoje nazwiska na pniach drzew, szkolnych ławkach, drewnianych parkanach. Uprzytomniłem sobie, że każde z nazwisk wyróżnionych w granicie ma gdzieś w Ameryce swój odpowiednik wycięty w czymś innym. I wszystkie te nazwiska wciąż pozostają wyryte w sercach rodzin i w sercu narodu.

Zaczęliśmy iść wzdłuż Muru, Karl i ja; nasze oddechy parowały w zimnym powietrzu. U podnóża ściany leżały kwiaty przyniesione przez przyjaciół i rodziny; przypomniałem sobie, że gdy tu byłem ostatnim razem, wiele lat temu, ktoś zostawił rękawicę baseballową, a kiedy ją zobaczyłem, łzy popłynęły mi po policzkach, zanim się zorientowałem.

W pierwszych latach po wzniesieniu Muru zostawiano pod nim mnóstwo takich rzeczy: zdjęć, kapeluszy, zabawek, nawet ulubionych przysmaków, jak paczka krakersów Nabisco, którą wtedy zobaczyłem. Dzisiaj zauważyłem, że nie ma wiele przedmiotów osobistych, jedynie kwiaty i kilka zwiniętych karteczek, wetkniętych w szczeliny Muru.

Upłynęły lata, rodzice poumierali, żony żyją swoim życiem, bracia i siostry nie zapomnieli, ale już tu byli i nie potrzebują wracać. Polegli, w większości młodzi, nie zostawili wiele dzieci, lecz kiedyś spotkałem tu córkę żołnierza, dwudziestokilkuletnią kobietę, która nigdy nie poznała swojego ojca. Ja nie znałem córki, bo jej nie miałem, więc przez jakieś

dziesięć minut wypełnialiśmy wzajemnie swoją pustkę, a potem poszliśmy każde w swoją stronę.

Z jakiegoś powodu nasunęło mi to myśl o Cynthia, o małżeństwie, dzieciach, domu i ognisku domowym, o wszystkich tych ciepłych i przytulnych rzeczach. Gdyby Cynthia stała obok mnie, mógłbym jej zaproponować ślub, lecz jej nie było, a ja wiedziałem, że rano znów będę sobą.

Karl, który zapewne snuł podobne refleksje o wojnie i pokoju, o śmierci i nieśmiertelności, powiedział:

- Staram się tu przyjeżdżać raz w roku, siedemnastego sierpnia, w rocznicę bitwy, w której brałem udział. - Zamilkł na chwilę, a potem mówił dalej: - Bitwa o autostradę numer trzystaście... Jedenasta Brygada Kawalerii Pancерnej, plantacja drzew kauczukowych Michelina. Może słyszałeś. Mnóstwo ludzi zginęło na moich oczach. Przyjeżdżam tu więc siedemnastego sierpnia i odmawiam za nich modlitwę, i modlitwę dziękczynną za siebie. To jedyne chwile, kiedy się modlę.

- Sądziłem, że co niedziela chodzisz do kościoła.

- Do kościoła chodzi się z żoną i dziećmi.

Nie rozwinął tematu, a ja nie pytałem. Odwróciliśmy się i ruszyliśmy z powrotem tą samą drogą, którą przyszliśmy.

- Więc jesteś ciekaw, kim był ten zamordowany człowiek? - spytał innym tonem Karl.

- Może i jestem ciekaw. Ale tak naprawdę to nie chcę wiedzieć.

- Gdyby tak było, tobyś odszedł.

- Staram się być uprzejmy, pułkowniku.

- Twoja uprzejmość sprawiłaby mi przyjemność, kiedy dla mnie pracowałeś. Skoro jednak jesteś uprzejmy, to mnie wysłuchaj.

- Jeśli cię wysłucham, mogę zostać wezwany w związku z jakimś przyszłym dochodzeniem sądowym. Tak napisano w podręczniku.

- Wierz mi, tego spotkania i tej rozmowy nigdy nie było. Dlatego jesteśmy tutaj, a nie w Falls Church.

- Zdażyłem się domyślić.

- Mogę zacząć?

Teraz stałem na twardym gruncie; krok dalej zaczynało się śliskie zbocze. Nie istniał na całym bożym świecie ani jeden dobry powód, dla którego miałbym słuchać tego człowieka. Ale nie myślałem dość intensywnie. Cynthia. Znaleźć pracę, znaleźć sobie życie... czy jak tam powiedziała.

- Mogę zacząć? - powtórzył Karl.

- A mogę cię w każdej chwili powstrzymać, jeśli zechcę?

- Nie. Jeżeli zacznę, wysłuchasz do końca.

- Czy to sprawa kryminalna?

- Zabójstwo to sprawa kryminalna, jak mi się zdaje. Masz jeszcze jakieś głupie pytania?

Uśmiechnąłem się, nie z powodu obelgi Karla, tylko dlatego że zaczynałem mu działać na nerwy. - Wiesz co? Żeby dowieść, jaki jestem naprawdę głupi, wysłucham cię.

- Dziękuję.

Karl odszedł od Muru i skierował się w stronę pomnika Kobiet, a ja ruszyłem za nim.

- Do CID dotarła wiadomość - zaczął Karl - że pewien młody porucznik, zaliczony do poległych w akcji lub zaginionych, został naprawdę zamordowany w mieście Quang Tri, siódmego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, w czasie ofensywy Tet, która miała doprowadzić do zdobycia tego miasta. - Po chwili dodał: - Zdaje mi się, że byłeś wtedy w prowincji Quang Tri.

- Tak, ale mam alibi na ten dzień.

- Wspominam o tym jako o zbiegu okoliczności. Twoja jednostka znajdowała się tego dnia parę kilometrów od stolicy prowincji, miasta Quang Tri. Ale możesz docenić tło, wyobrazić sobie miejsce i czas.

- O, tak. Doceniam też, że zajrzałeś do dziennika mojej służby. Hellmann zignorował uwagę.

- Ja, tak jak mówiłem, byłem w Jedenastej Brygadzie Kawalerii Pancerniej, stacjonującej w Xuan Loc, ale operującej wtedy w okolicach Cu Chi. Nie pamiętam akurat tego dnia, lecz cały miesiąc ofensywy Tet był nieprzyjemny.

- Wredny,

- Tak, wredny. - Hellmann zatrzymał się i spojrzał na mnie. - Co do tego amerykańskiego porucznika, mamy dowody świadczące o tym, że został zamordowany przez kapitana armii amerykańskiej.

Karl odczekał, aż przetrawię wiadomość. A więc usłyszałem to, czego nie chciałem usłyszeć, i stałem się posiadaczem Tajemnicy. Szczegóły za chwilę.

Gapiliśmy się na pomnik Kobiet Wietnamu, na trzy pielęgniarki, z których jedna opatrywała rannego faceta leżącego na workach z piaskiem, druga klęczała obok, a trzecia spoglądała w niebo, wypatrując helikoptera medyczno-ewakuacyjnego. Wszystkie cztery postacie miały lekkie ubrania i robiło mi się zimno od samego patrzenia.

- Te posągi powinny być bliżej Muru - zauważyłem. - Ostatnią osobą, którą wielu z tych facetów widziało i z którą rozmawiało przed śmiercią, była pielęgniarka wojskowa.

- Słusznie, ale może takie zestawienie byłoby zbyt ponure. Ten gość wygląda mi na takiego, który przeżyje.

- Tak... Wyliże się.

Staliśmy więc przez chwilę, zagubieni w swoich, myślach. To niby tylko posągi, lecz wystarczy na nie spojrzeć i wszystko powraca. Karl przerwał ciszę.

- Nie znamy nazwiska domniemanego zabójcy ani nazwiska domniemanej ofiary. Wiemy tylko, że ten kapitan zamordował porucznika z zimną krwią. Nie mamy zwłok... a może powinienem powiedzieć, że za sprawą wroga mamy ich dużo... ale tych akurat nie mamy. Wiemy natomiast, że ofiara zginęła od jednego strzału w czoło, co może zawęzić krąg poszukiwań ofiary na podstawie świadectw zgonów na polu bitwy, wydanych w tym czasie. Chyba że, naturalnie, ciało nie zostało odnalezione, a ofiara znalazła się na liście zaginionych w akcji. Nadążasz?

- Nadążam. Kapitan Armii Stanów Zjednoczonych wyciąga pistolet i strzela w głowę porucznikowi Armii Stanów Zjednoczonych. Postrzał okazał się przypuszczalnie śmiertelny. Stało się to w gorączce bitewnej prawie trzydzieści lat temu. Lecz pozwól, że wystąpię w roli adwokata... może to nie było morderstwo. Może to jeden z tych niefortunnych przypadków, gdy wyższy rangą oficer zabija podwładnego za tchórzostwo w obliczu wroga. To się

zdarza... i niekoniecznie jest morderstwem czy nawet złamaniem prawa. Może to była obrona konieczna albo po prostu wypadek. Nie powinienem wyciągać pochopnych wniosków. - Po chwili dodałem: - Ale ty oczywiście masz świadka. Więc nie powinienem spekulować. Odwróciliśmy się i ruszyliśmy w stronę Muru. Światło bladło, ludzie przychodzili i odchodzili, jakiś mężczyzna w średnim wieku położył wianek z kwiatów u podnóża czarnego granitu i otarł oczy chustką.

Hellmann patrzył na niego przez chwilę. - Tak, jest świadek. Świadek, który opisał morderstwo z zimną krwią - powiedział.

- Czy to wiarygodny świadek?

- Nie wiem.
- Kim jest ten świadek i gdzie jest?
- Nie wiemy, gdzie jest, ale znamy jego nazwisko.
- I chcecie, żebym go odnalazł.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Zgadza się.

- W jaki sposób nawiązaliście kontakt z tym świadkiem?

- Napisał list.

nie macie podejrzanego, zwłok, motywu ani żadnych dowodów z miejsca zbrodni, do której - Rozumiem... Więc macie zaginionego świadka morderstwa sprzed trzydziestu lat, lecz doszło w zapomnianym przez Boga kraju bardzo daleko stąd. I chcecie, żebym rozwiązał tę sprawę.

- Zgadza się.

- Bułka z masłem. Mogę zapytać po co? Kogo to obchodzi po trzydziestu latach?

- Mnie obchodzi. Armię obchodzi. Popełniono morderstwo. Na morderstwo nie ma przedawnienia.

- Słusznie. Zdajecie sobie sprawę, że rodzina tego porucznika, zabitego lub zaginionego, jest przekonana, że poległ z honorem na polu bitwy. Więc co można zyskać, udowadniając, że go zamordowano? Nie uważasz, że jego rodzina dość już wycierpiała? - Skinąłem głową w stronę Muru.

- Ta okoliczność nie jest brana pod uwagę - odparł w swoim stylu Karl Hellmann.

- Przeze mnie jest - poinformowałem go.

- Nie chodzi o to, że za dużo myślisz, Paul, tylko że myślisz o niewłaściwych rzeczach.

- Wątpię. Myślę, że na tej ścianie jest nazwisko, które najlepiej zostawić w spokoju.

- Morderca pozostaje na wolności.

- Może pozostaje, a może nie. Z tego, co wiemy, domniemany morderca mógł później zginąć w akcji. To były podłe czasy i istnieje duże prawdopodobieństwo, że ten kapitan poległ w bitwie.

- W takim razie jego nazwiska nie powinno być na tej ścianie obok nazwisk ludzi, którzy polegli z honorem.

- Wiedziałem, że to powiesz.

- Wiedziałem, że zrozumiesz.

- Myślę, że za długo razem pracowaliśmy.

- Dobrze się nam razem pracowało.

To była dla mnie nowość. Może chciał powiedzieć, że doprowadzaliśmy robotę do końca - co jest prawdą - wbrew poważnym różnicom charakterów i temu, że jeden z nas trzymał się przepisów, a drugi bynajmniej.

Odeszliśmy od pomnika Kobiet Wietnamu i zatrzymaliśmy się przed trzema brązowymi posągami mężczyzn: dwóch białych i czarnego, którzy mieli przedstawiać komandosa z marines, piechura i marynarza, lecz wszyscy byli w mundurach moro, więc trudno ich rozróżnić. Przyglądali się Murowi, jak gdyby zadumani nad nazwiskami poległych, ale patrząc na nich, miało się nieprzyjemne wrażenie, że oni też są martwi.

Karl odwrócił się do ściany.

- Z początku nie lubiłem Muru. Wolałem te heroiczne brązowe posągi, bo Mur, przy całej swojej abstrakcyjności i metaforycznych niuansach, jest w gruncie rzeczy ogromną płytą nagrobkową, zbiorowym grobem z wypisanymi nazwiskami wszystkich, którzy w nim leżą. Nie mogłem się z tym pogodzić. A potem... się pogodziłem. A ty jak myślisz?

- Myślę, że powinniśmy zaakceptować fakt, że Mur jest tym, czym jest. Płytą nagrobkową.

- Masz czasem wyrzuty sumienia, że znalazłeś się wśród tych, którzy przeżyli?

- Miałbym, gdybym tam nie był. Możemy zmienić temat?

- Nie. Powiedziałaś mi kiedyś, że nie czujesz gniewu na tych, którzy nie służyli. Czy to prawda?

- Tak, prawda. Czemu pytasz?

- Powiedziałaś, że jesteś bardziej zły na tych, którzy pojechali do Wietnamu, ale nie zrobili tego, co do nich należało... tych, którzy zawiedli innych, dopuścili się haniebnych czynów, takich jak gwałt czy rabunek. Tych, którzy lekkomyślnie zabijali cywilów. Czy to wciąż prawda?

- Skończmy tę odprawę.

- Taak. A więc, pewien kapitan najprawdopodobniej zabił młodszego stopniem oficera. Chcę znać nazwisko tego kapitana i nazwisko zamordowanego porucznika.

Zauważyłem, że oczywiste pytanie - pytanie o motyw - nie padło. Być może, tak jak w wypadku większości zabójstw w czasie wojny, motyw był banalny, nielogiczny i nieistotny. Ale może to właśnie on był głównym powodem odgrzebywania zbrodni sprzed trzydziestu

lat. Lecz jeśli tak było, a Karl nie wspominał o motywie, to ja też nie zamierzałem pytać. Trzymając się znanych mi już faktów, powiedziałem:

- No dobrze, jeśli chcesz sprawdzić, jak jest w rzeczywistości, weź pod uwagę, że ten kapitan... domniemany morderca... jeśli nie zginął w walce, mógł do tej pory umrzeć z przyczyn naturalnych. To już trzydzieści lat.

- Ja żyję. Ty żyjesz. Musimy się dowiedzieć, czy on żyje.

- Dobrze. A świadek? Wiemy, czy on żyje?

- Nie, nie wiemy. Ale jeśli nie żyje, też chcemy to wiedzieć.

- Kiedy ten świadek ostatnio dał znak życia? - Ósmego lutego sześćdziesiątego ósmego roku. Taka data jest na liście.

- Wiedziałem, że wojskowa poczta jest wolna, lecz to rekord.

- Istotne jest też to, że ten świadek nie był amerykańskim żołnierzem. Był żołnierzem armii Wietnamu Północnego, nazywał się Tran Van Vinh. Został ranny w czasie bitwy o Quang Tri i ukrył się wśród ruin. Stał się świadkiem sprzeczki między tymi dwoma Amerykanami, a potem widział, jak kapitan wyciąga pistolet i strzela do porucznika. W liście, napisanym do brata, określił mordercę słowem *dai-uy*... kapitan, a ofiarę *trung-uy* - porucznik.

- Pod Quang Tri było wtedy trochę marines. Może to nie jest sprawa dla sił lądowych.

- Tran Van Vinh wspominał w swoim Uście, że ci dwaj byli z *ky-binh*... kawalerii - odparł Karl. - Więc najwyraźniej widział ich pagony z odznaką kawalerii Stanów Zjednoczonych, odznaką, którą

znał.

- Pierwsza Dywizja Kawalerii, której byłem członkiem, liczyła ponad dwadzieścia tysięcy ludzi - zauważyłem.

- Zgadza się. Ale ta wskazówka zawęży krąg podejrzanych.

Zastanowiłem się przez chwilę, a potem spytałem:

- A ty masz ten list?

- Oczywiście. Właśnie dlatego tu jesteśmy.

- Słusznie. List był adresowany do brata tego faceta. Jak go zdobyłeś?

- W bardzo ciekawy sposób. Brat też był żołnierzem armii Wietnamu Północnego, nazywał się Tran Quan Lee. Zginął w dolinie A Shau, w połowie maja tego samego roku, a list znalazł przy jego zwłokach amerykański żołnierz Victor Ort, który zabrał go jako pamiątkę. List został wysłany do domu, gdzie prawie trzydzieści lat przeleżał w kufrze pełnym pamiątek wojennych Orta. Bardzo niedawno temu Ort wysłał go do siedziby Amerykańskiego Związku Weteranów Wojny Wietnamskiej, która mieści się tu, w Waszyngtonie. Organizacja ta prosi swoich członków, żeby oddawali znalezione i przejęte dokumenty oraz przedmioty należące do wroga, i prosi o podawanie wszelkich informacji dotyczących poległych. Informacje te są później przekazywane wietnamskiemu rządowi w Hanoi, pomagają ustalić losy zaginionych żołnierzy.

- Dlaczego?

- Oni już nie są wrogami. W Sajgonie mają bary McDonalda i Kentucky Fried Chicken. W każdym razie chcemy, żeby pomagali nam w poszukiwaniu naszych żołnierzy, którzy

zaginęli w akcji. Do tej pory nie są znane losy około dwóch tysięcy zaginionych. U nich ta liczba jest porażająca, sięga trzystu tysięcy.

- Myślę, że wszyscy mieszkają w San Diego.

prawdopodobnie przez pana Orta, choć on sam wyrażał się na ten temat dość niejasno - - Nie, wszyscy nie żyją. Włącznie z Tranem Quan Lee, zabitym w dolinie A Shau, ciągnął Hellmann. - Więc ten amerykański weteran Victor Ort przysłał list znaleziony przy zwłokach Trana Quan Lee do Amerykańskiego Związku Weteranów Wojny Wietnamskiej, z notą wyjaśniającą jak, gdzie i kiedy znalazł list i ciało. W AZWWW kazali list przetłumaczyć... to taki gest wobec ludzi przysyłających tego rodzaju dokumenty... i już mieli przeczytał tekst i uświadomił sobie, że to, co czyta, to relacja świadka morderstwa. Ów odesłać tłumaczenie panu Ortowi, gdy ktoś z AZWWW... jakiś emerytowany oficer... człowiek skontaktował się z nami. Cywil zwróciłby się do FBI.

- I to był nasz szczęśliwy dzień. Czy ktoś wysłał tłumaczenie panu Ortowi?

- Panu Ortowi wysłano tłumaczenie listu miłostnego i notę z podziękowaniem.

- Słusznie. A ty masz oryginał?

- Tak. Kazaliśmy sprawdzić jego autentyczność, badając papier i atrament i zatrudniliśmy do pracy nad nim trzech tłumaczy. Wszyscy napisali to samo, prawie słowo w słowo. Nie ma wątpliwości, że to, co opisuje Tran Van Vinh swojemu bratu Tran Quan Lee, to morderstwo. To bardzo intrygujący i niepokojący list. - Po chwili dodał: - Pokażę ci tłumaczenie, naturalnie.

- Czy mnie to jest potrzebne?

- Poza tym, co opisałem, w liście nie ma zbyt wiele wskazówek - odparł Hellmann - ale może ta lektura cię zmotywuje.

- Do czego? - Żeby znaleźć autora listu. Trana Van Vinha.

- A jakie są szanse na to, że Tran Van Vinh żyje? Karl, przecież niemal całe pokolenie Wietnamczyków zostało starte z powierzchni ziemi.

- Trzymajmy się tego „niemal”.

- Nie mówiąc o tym, że średnia długość naturalnego życia jest tam krótka.

- Musimy odnaleźć tego świadka, sierżanta Trana Van Vinha - upierał się Hellmann. - Tak się niefortunnie składa, że w Wietnamie jest tylko około trzystu takich nazwisk, a liczba ludności kraju wynosi około osiemdziesięciu milionów.

- Więc książka telefoniczna nie na wiele się przyda.

- Nie ma książek telefonicznych. Ale mamy szczęście, że ten facet nie nosi nazwiska Nguyen. Połowa wietnamskich rodzin tak się nazywa. Na szczęście nazwisko Tran nie jest aż tak pospolite, a pierwsze i drugie imiona Van Vinh i Quan Lee zawężają pole poszukiwań.

- Macie miasto i datę urodzenia?

- Nie mamy daty urodzenia, ale oczywiście znamy w przybliżeniu wiek, czyli grupę wiekową. Koperta była zaadresowana do brata via jednostka wojskowa, a na kopercie był adres zwrotny jednostki Trana Van Vinha. Z tych adresów wiemy, że obaj mężczyźni byli w armii Wietnamu Północnego, a nie w południowowietnamskim Wietkongu, więc pochodzili z północy. W liście jest wzmianka o ich wsi czy przysiółku o nazwie Tam Ki, ale na naszych mapach Wietnamu nie znaleźliśmy takiej wioski ani na północy, ani na południu. To nic nadzwyczajnego, jak pewnie pamiętasz, wieśniacy często nazywają swoje wsie czy osady po swojemu, a na oficjalnych mapach widniała całkiem inna nazwa. Ale pracujemy nad tym. Wioska Tam Ki będzie ważną wskazówką w poszukiwaniu Trana Van Vinha.

- A jeśli go znajdziecie? Co wam powie poza tym, co napisał już w liście?

- Być może mógłby zidentyfikować mordercę na podstawie starych zdjęć wojskowych.

- Po trzydziestu latach?

- To możliwe.

- Więc macie podejrzanych?

- Nie w tej chwili. Ale przeglądamy archiwa wojskowe, żeby ustalić nazwiska

wszystkich kapitanów Pierwszej Dywizji Kawalerii Stanów Zjednoczonych, którzy przebywali w mieście Quang Tri albo w jego okolicy około siódmego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Naturalnie szukamy też nazwisk poruczników Pierwszej Dywizji Kawalerii, którzy zginęli lub zaginęli w akcji w tym samym miejscu i czasie. To wszystko, co mamy: stopnie dwóch oficerów... kapitan i porucznik... ich jednostkę... Pierwsza Dywizja Kawalerii... miejsce... miasto Quang Tri... i datę... siódmy lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, datę popełnienia morderstwa opisanego w liście z następnego dnia.

Odeszliśmy z Karlem od posągów, a ja zamyśliłem się nad tym, co mi powiedział. Wiedziałem, do czego to wszystko zmierza, lecz nie było mi tam po drodze.

- Możemy zawęzić krąg poszukiwań i na podstawie archiwów wojskowych przedstawić listę potencjalnych podejrzanych - ciągnął Karl. - Potem zwrócimy się do FBI, żeby przesłuchali tych byłych kapitanów, jeśli są w cywilu, a sami zajmiemy się przesłuchaniem tych, którzy wciąż są w armii. Jednocześnie będziemy szukać jedyne go świadka zabójstwa. Wydaje się, że szansa jest nikła, Paul, ale rozwiązywano już sprawy, chociaż było jeszcze mniej tropów, o czym dobrze wiesz.

- Czego chcesz ode mnie?

- Chcę, żebyś pojechał do Wietnamu, Paul.

- Nie sądzę, Karl. Już tam byłem, swoje zrobiłem. Na dowód tego mam medale.

- Wietnam w styczniu jest całkiem przyjemny, jeśli idzie o pogodę.

- Podobnie jak Aruba. Właśnie tam się wybieram w przyszłym tygodniu - skłamałem.

- Powrót do Wietnamu mógłby ci dobrze zrobić.

- Nie wydaje mi się. Ten kraj dał mi w kość wtedy i daje do dzisiaj.

- Weterani, którzy tam pojechali, mówią, że to było oczyszczające doświadczenie.

- Wietnam to komunistyczne państwo totalitarne z dwustu tysiącami ton min i min- zabawek, które nie wybuchły, i pocisków artyleryjskich w ziemi, które tylko czekają, żeby mnie rozpieprzyć na kawałki.

- Cóż, będziesz musiał uważać.

- Pojedziesz ze mną?

- Jasne, że nie. Ten kraj daje w kość.

Parsknąłem śmiechem.

- Pułkowniku, z całym szacunkiem, ale możesz wziąć tę sprawę i wsadzić ją w tyłek komuś innemu.

- Paul, posłuchaj mnie... nie możemy wysłać do Wietnamu kogoś, kto jest w czynnej służbie. To jest... nieoficjalne śledztwo. Pojedziesz jako turysta, weteran wracający na miejsca dawnych bitew, podobnie jak tysiące innych...

- Chcesz powiedzieć, że nie miałbym oficjalnego statusu ani immunitetu dyplomatycznego?

- Przyszlibyśmy ci z pomocą, gdybyś wpadł w tarapaty.

- Z jaką pomocą? - spytałem. - Przeszmuglowalibyście truciznę do mojej celi?

- Nie... przysłałibyśmy człowieka z ambasady, gdybyś został zatrzymany, plus, naturalnie, złożylibyśmy oficjalny protest.

- To bardzo krzepiące, Karl, ale wątpię, czy mam chęć oglądać od środka komunistyczne więzienie. Dwóch moich przyjaciół spędziło wiele lat w Hanoi Hilton. Nie podobało im się.

- Jeśli zaleziesz władzom za skórę, po prostu cię wykopią.

- Mogę im napomknąć, że tak powiedziałeś?

Hellmann nic nie odpowiedział.

Zastanowiłem się przez chwilę, a potem oświadczyłem:

- Zakładam, że Amerykański Związek Weteranów Wojny Wietnamskiej wysłał oryginał listu do Hanoi w ramach programu humanitarnego, żeby pomóc Wietnamczykom ustalić losy poległych i zaginionych. Zatem ci z Hanoi odnajdą rodzinę zmarłego Trana Quan Lee i będą wiedzieli, czy jego brat Tran Van Vinh żyje i gdzie jest. Mam rację? Więc dlaczego nie chcecie wykorzystać zwykłych kanałów dyplomatycznych i dać rządowi w Hanoi szansy wykazania się tym, w czym jest najlepszy, czyli w śledzeniu miejsca pobytu swoich biednych obywateli?

- Właściwie to poprosiliśmy AZWWW, żeby nie wysyłali tego listu do Hanoi - poinformował mnie Hellmann.

- Dlaczego? - spytałem, choć znałem odpowiedź.

- Cóż... Jest kilka powodów... Pomyśleliśmy, że najlepiej będzie, jeśli w Hanoi nie zobaczą teraz tego listu.

- Podaj mi jeden z tych powodów.

- Im mniej wiedzą, tym lepiej. Do ciebie też się to odnosi.

Nasze spojrzenia się spotkały i uświadomiłem sobie, że chodzi o coś więcej niż morderstwo sprzed trzydziestu lat. Musiało tak być, bo inaczej to wszystko nie miałoby sensu. Ale nie dociekałem.

- Dobra, i tak już za dużo wiem. Dzięki za zaufanie, ale nie, dziękuję - stwierdziłem.

- Czego się boisz?

- Nie próbuj ze mną tej sztuczki, Karl. Wiele razy stawiałem swoje życie na szali dla tego kraju. Ale to nie jest warte mojego życia ani niczyjego. To historia. I niech nią pozostanie.

- To kwestia sprawiedliwości.

- To nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością. To coś innego, a ponieważ nie wiem, co to jest, nie będę woził swojego tyłka do Wietnamu z powodu, którego nikt mi nie podał. Kiedy ostatnio tam byłem, i to dwa razy, wiedziałem dlaczego.

- Myśleliśmy, że wiemy. Okłamali nas. Tym razem nikt cię nie okłamuje. Po prostu nie mówimy ci dlaczego. Ale zaufaj mi i uwierz, że to bardzo ważne.

- Oni też tak wtedy mówili.

- Nie będę tego kwestionował.

Słońce prawie zaszło, zaczął wiać zimny wiatr. Byliśmy prawie sami i staliśmy w milczeniu, obaj pogrążeni we własnych myślach. Wreszcie Karl Hellmann odezwał się cichym głosem:

- Zmierzcha. Cienie są długie. - Spojrzał na mnie. - Te cienie sięgają stamtąd tutaj, Paul. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

Milczałem.

Pojawił się mężczyzna ubrany w starą kurtkę moro i kapelusz. Był mniej więcej w naszym wieku, lecz wyglądał znacznie starzej z powodu szarej brody. Przyłożył sygnalówkę do ust i odegrał

capstrzyk. Gdy ostatnia żalonna nuta rozplynęła się na wietrze, mężczyzna stanął twarzą do Muru, zaszalutował i odszedł.

Pozostaliśmy przez chwilę w ciszy, po czym Hellmann rzekł:

- W porządku, rozumiem. To może być trochę ryzykowne, a mężczyźni w średnim wieku nie ryzykują życia dla czegoś, co może okazać się głupie lub bezużyteczne. Prawdę powiedziawszy, ten Tran Van Vinh najprawdopodobniej nie żyje, a jeśli nawet żyje, pewnie i tak niewiele by pomógł. Chodź, postawię ci drinka. W tej knajpie przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy, którą lubisz. - Szliśmy w milczeniu przez park. - Czy mogę ci przynajmniej pokazać ten list? - spytał Hellmann.

- A który mi pokażesz? Miłosny czy prawdziwy?

- Tłumaczenie listu Trana Van Vinha.

- Wierne i kompletne?

Karl nie odpowiedział.

- Daj mi oryginalny list Wietnamczyka, a ja dam go do przetłumaczenia.

- To nie jest konieczne.

Uśmiechnąłem się.

dużo ukrywasz. - A więc jest w tym liście coś nie dla moich oczu. Chcesz mojej pomocy, lecz bardzo

- Dla twojego dobra. To, czego ci nie mówię, jest nieistotne dla misji odnalezienia Trana Van Vinha.

- Dla czegoś tam jest istotne, bo nie byłbyś taki cichociemny. - Odpowiedzią było milczenie. - Jak dawno dostaliście ten list z AZWWW? - spytałem.

- Dwa dni temu.

- Więc zakładam, że zaczęliście już przeszukiwać archiwa wojskowe?

- Tak, ale to potrwa tydzień lub dwa. Poza tym przez ten pożar w archiwum...

- Karl, ten pożar w siedemdziesiątym trzecim posłużył jako przykrywka dla takiej masy szamba, jakiej jeszcze nie było w historii.

- Możliwe, ale jakieś akta zaginęły. Tak, myślę, że za parę tygodni sporządzimy przynajmniej listę kapitanów Pierwszej Dywizji Kawalerii, którzy byli wówczas w tamtej okolicy. Lista poruczników poległych w akcji w mieście Quang Tri około siódmego lutego będzie krótsza i bardziej szczegółowa. Nie wyobrażam sobie, żeby były na niej więcej niż dwa czy trzy nazwiska. Istnieje przypuszczenie, że kapitan i porucznik byli w tej samej jednostce, więc to zawęży liczbę kapitanów, którzy mogliby być podejrzanymi. Dlatego uważam, że szansa nie jest aż tak nikła.

- Możecie wskazać głównego podejrzanego, ale nigdy nie doprowadzicie do skazania - zauważyłem.

- Znajdźmy świadka i podejrzanego, a o konsekwencje będziemy się martwić później - odparł Karl.

Zastanawiałem się przez minutę.

- Jak wspomniałeś, byłem tam w tym czasie. Dla twojej informacji, w mieście stacjonował garnizon armii Wietnamu Południowego, a nie amerykański. Nasi znajdowali się w bazach ogniowych wokół miasta. Jesteś pewien, że ci dwaj oficerowie kawalerii byli w mieście?

- Z listu bardzo wyraźnie to wynika. Czemu pytasz?

- Cóż, może ci dwaj Amerykanie współpracowali z Wietnamem Południowym jako doradcy wojskowi... Sztab Pomocy Wojskowej dla Wietnamu, MACV. Zgadza się?

- Jest taka możliwość.

- Więc to jeszcze bardziej zawęźa krąg poszukiwań. Odwal trochę roboty przy biurku, zanim wyślesz kogoś do Wietnamu.

- Chcemy, żeby śledztwa były prowadzone jednocześnie i równolegle.

- To twój show. - W istocie podejrzewałem, że CID pracuje nad tą sprawą dłużej, niżby to wynikało ze słów Karla. Podejrzewałem też, że w CID zmniejszyli już listę możliwych podejrzanych, że znaleźli nazwisko potencjalnej ofiary, a być może też mieli już głównego podejrzanego. Ale woleli nie mówić o tym Paulowi Brennerowi. Chcieli, żebym odszukał jedyne go naoczego świadka tej zbrodni. - Przyznaję, sprawa jest ciekawa i nawet obudziła mój instynkt łowiecki - dodałem. - Ale nie mam potrzeby zdobywania w limach lotniczych punktów za częste przeloty do Azji Wschodniej. Przychodzi mi na myśli kilku innych facetów, którzy z chęcią by polecieci. - Żaden problem - odrzekł Hellmann, po czym zmienił temat: - Widujesz się z panną Sunhill?

Uwielbiam, kiedy ludzie pytają o rzeczy, o których wiedzą.

- Czemu jej nie spytasz? - odpowiedziałem pytaniem.

- Szczerze mówiąc, już to zrobiłem. Dała do zrozumienia, że jest pewien problem z waszym związkiem, dlatego pomyślałem, że będziesz otwarty na propozycję zagranicznej misji.

- Jestem otwarty. Araba. I proszę cię, trzymaj się z dala od mojego życia osobistego. - Panna Sunhill jest w CID, a jako jej dowódca mam prawo zadawać pewne osobiste pytania.

- Właśnie dlatego tęsknię za armią.

Karl zignorował to.

- A przy okazji, szukasz może pracy w cywilnym wymiarze sprawiedliwości?

- Możliwe.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żebyś nic nie robił na emeryturze.

- Mam masę zajęć.

- Być może mógłbym ci pomóc w znalezieniu pracy w administracji rządowej. FBI zatrudnia mnóstwo byłych pracowników CID. Ta zagraniczna misja świetnie by wyglądała w twoim życiorysie.

- Nie wspominając o nekrologu.

- Tam też by dobrze wyglądała. - Kari nie żartuje zbyt często, więc grzecznie się roześmiałem. To chyba zachęciło go, żeby naciskać dalej. - Czy wspominałem, że Departament Sił Zbrojnych da ci

awans... wsteczny... na chorążego piątego stopnia i od nowa obliczy twoją emeryturę? - spytał.

- Powiedz im, że dziękuję.
- W zamian za dwa lub trzy tygodnie twojego czasu.
- Zawsze jest jakiś haczyk.

Hellmann zatrzymał się i zapalił kolejnego papierosa. Staliśmy naprzeciw siebie pod latarnią. Wypuścił chmurę dymu i rzekł:

- Możemy znaleźć kogoś innego, ale twoje nazwisko pojawiło się jako pierwsze, drugie i trzecie. Nigdy nie prosiłem cię o przysługę...

- Oczywiście, że prosiłeś...
- I wyciągnąłem cię z różnych parszywych sytuacji, Paul.
- W które mnie wcześniej wpakowałeś, Karl.
- W większość z nich sam się wpakowałeś. Bądź ze sobą szczery.
- Zimno tu. Potrzebuję drinka. Za dużo palisz. - Odwróciłem się i odszedłem.

Koniec spotkania. Koniec Karla. Szedłem dalej, wyobrażając go sobie stojącego pod latarnią, palącego papierosa i obserwującego mnie. No cóż, jedno nieszczęście odfajkowane.

Zauważyłem, że z jakiegoś powodu idę coraz wolniej. Przeróżne myśli nagle wypełniły mój zamarznęty mózg. Jedna z nich dotyczyła Cynthii, rzecz jasna. Dopisz drugi akt, Paul. Zostałem osaczony, czy co?

Wiedziałem na pewno, że muszę coś zrobić, aby moje soki znów popłynęły. Lecz nie mogłem uwierzyć, że Cynthia chciałaby, żebym ryzykował życie po to, by odświeżyć nasz związek. Prawdopodobnie nie wiedziała dokładnie, co Karl zamierzał.

Idąc, roztrząsałem mój ulubiony temat - czyli myślałem o sobie. Co jest najlepsze dla Paula Brennera? Nagle ujrzałem siebie jadącego do Wietnamu i wracającego w glorii bohatera; nie zdarzyło się to ani za pierwszym, ani za drugim razem, ale może teraz się zdarzyć. A potem zobaczyłem siebie wracającego w pudle.

Znalazłem się w kręgu światła pod słupem latarni. Zatrzymałem się i odwróciłem do Karla Hellmanna. Spojrzeliśmy na siebie poprzez ciemność, widoczni w plamach światła.

- Czy miałbym jakieś kontakty w Wietnamie? - zawołałem.
- Oczywiście! - odkrzyknął. - Będiesz miał jednego łącznika w Sajgonie i jednego w Hanoi. No i może będzie też ktoś w Hue, kto ci pomoże. Misja jest przygotowana. Brakuje tylko osoby, która ją wypełni.
- Jak długo ta osoba będzie ją wypełniać?
- Masz dwudziestojednodniową wizę turystyczną. Każde jej przedłużenie wzbudziłoby podejrzenia. Jeśli ci szczęście dopisze, wrócisz do domu wcześniej.
- Jeśli mi nie dopisze, mogę wrócić jeszcze wcześniej. - Myśl pozytywnie. Najważniejsze to wizualizować sobie sukces.

Prawdę mówiąc, wizualizowałem sobie tłum ludzi zebranych na moją cześć i popijających whisky. Przyjęcie z okazji powrotu do domu albo irlandzka stypa.

Nie mam nic przeciwko niebezpiecznym misjom. Kiedyś czułem się w nich jak ryba w wodzie. Ale to skojarzenie z Wietnamem... myśl, że wymknąłem się przeznaczeniu, a teraz ono się do mnie skrada. Ciarki przechodzą po plecach.

- Jeśli tym razem nie wrócę żywy, czy moje nazwisko znajdzie się na Murze? - spytałem.

- Sprawdzę to. Trzeba jednak myśleć pozytywnie.

- Jesteś pewien, że nie chcesz ze mną jechać?

- Myślę pozytywnie.

Roześmieliśmy się.

- Kiedy wyruszam?

- Jutro rano. Bądź na lotnisku Dullesa o godzinie ósmej zero zero. Prześlę ci e-mailem instrukcje w sprawie spotkania na lotnisku.

- Mój własny paszport?

- Tak. Chcemy, żeby to był lekki kamuflaż. Przyjaciel na lotnisku będzie miał twoją wizę, bilety, rezerwacje hotelowe, pieniądze i kilka informacji do zapamiętania. Musisz tam przylecieć czysty.

- To wszystko?

- To wszystko. Mogę ci postawić drinka?

- Kiedy wrócę. Do zobaczenia.

- Jeszcze jedno - powiedział Karl. - Zakładam, że dasz znać Cynthii, że wyjeżdżasz. Nie wdawaj się w szczegóły. Chcesz, żebym z nią porozmawiał po twoim zniknięciu?

- To znaczy po odlocie do Azji czy po śmierci?

- Porozmawiam z nią, kiedy twój samolot wystartuje.

Nie odpowiedziałem.

- A więc powodzenia i dziękuję - rzucił Karl. Gdybyśmy byli bliżej, uścisnęlibyśmy sobie dłonie, a tak tylko zaszalutowaliśmy byle jak, dotykając nakryć głowy. Potem odwróciliśmy się i poszliśmy w przeciwne strony.

Rozdział 3

Po spotkaniu z Karlem wypiliśmy sam kilka drinków w domu, a potem wysłałem e-mail do Cynthii. Nigdy nie powinno się pić, kiedy się ma dostęp do jakiegokolwiek środka komunikacji - e-mailu, komórki, telefonu czy faksu. Wydrukowałem wiadomość do niej i włożyłem do neseseru, zamierzając ją rano przeczytać, żeby zobaczyć, jak bardzo byłem pijany. Wymazałem wiadomość z dysku, na wypadek gdyby ludzie z wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego CID mieli być następnymi, którzy wejdą do mojego komputera.

Karl przysłał mi pocztą elektroniczną wiadomość z instrukcjami spotkania na lotnisku, tak jak obiecał. Krótka informacja kończyła się słowami: „Dzięki jeszcze raz. Powodzenia. Zobaczymy się

później”.

Zauważyłem, że nie prosił ani o telefon, ani o odpowiedź. Właściwie nie było nic do powiedzenia. Usunąłem wiadomość.

Napisałem list do gosposi, informując ją, że nie będzie mnie przez mniej więcej trzy tygodnie, i prosząc, żeby się wszystkim zajęła. Prawdę mówiąc, trochę posprzątałem, na wypadek gdyby agenci CID przyszli szukać poufnych materiałów, zostawionych być może przez nieboszczyka. Zawsze sprzątam; chcę być zapamiętany jako człowiek, który nie zostawiał na podłodze brudnej bielizny.

Nazajutrz o siódmej rano sprawdziłem pocztę, lecz nie było odpowiedzi od Cynthii na wczorajszy e-mail. Może nie miała jeszcze dostępu do swojej poczty elektronicznej.

Na zewnątrz zabrzmiał klakson; podniosłem małą walizkę i neseser i wyszedłem w zimny ciemny poranek, bez płaszcza, zgodnie z instrukcją Karla. Według nieocenionego Herr Hellmanna w Sajgonie temperatura sięgała dwudziestu dwu stopni Celsjusza i było słonecznie.

Wsiadłem do taksówki, wymieniliśmy z kierowcą powitania i odjechaliśmy na lotnisko Dullesa - mniej więcej pół godziny jazdy o tej porze rano. W normalnych okolicznościach sam bym się odwiózł na lotnisko Dullesa, ale długoterminowe parkowanie mogłoby się okazać nie dość długie na ten wyjazd.

Ranek był ponury, co być może tłumaczy moje czarne myśli.

Przypomniała mi się podobna ranna jazda na lotnisko, wiele lat temu. Było to bostońskie lotnisko Logana, a kierowcą był mój ojciec w swoim chevrolecie rocznik 56, który od tego czasu stał się klasycznym samochodem, ale wtedy był gruchotem.

Mój trzydziestodniowy urlop przed wyjazdem do Wietnamu dobiegł końca i czas było lecieć do San Francisco, a stamtąd na zachód.

Zostawiliśmy mamę w domu, zapłakaną, za bardzo roztrzęsioną, żeby zrobić choćby jajecznicę. Bracia spali.

Tata był raczej milczący w czasie jazdy; dopiero po latach dotarło do mnie, co zaprzętało jego głowę. Pomyślałem o tym, jak jego ojciec odprowadzał go na wojnę.

Dotarliśmy na lotnisko, zaparkowaliśmy i weszliśmy razem do terminalu. Było tam wielu facetów w mundurach, z podłużnymi workami i neseserami, mnóstwo matek i ojców, żon czy może narzeczonych, nawet dzieci, prawdopodobnie także rodzeństwo odlatujących. Żołnierze z żandarmerii, wystrojeni w swoje groźnie wyglądające mundury, przechadzali się parami po terminalu; jeszcze rok wcześniej widok tutaj nieznan. Front domowy w czasie wojny to studium kontrastów: smutku i radości, rozstań i powrotów, patriotyzmu i cynizmu, parad i pogrzebów.

Leciałem do San Francisco maszyną Eastern Air Lines i ustawiłem się w kolejce składającej się głównie z żołnierzy, marynarzy, marines i lotników, a także paru cywilów, którzy czuli się nieswojo w tym samym ogonku.

Ojciec chciał poczekać, ale wyglądało na to, że większość rodzin odeszła, więc mu to wyperswadowałem. Uścisnął mi rękę i powie-

Przez chwilę zdawało mi się, że każe mi odjechać stąd razem z nim i zapomnieć o tym idiotyzmie. Potem dotarło do mnie, że chodziło mu o to, abym wrócił żywy do domu. Spojrzałem mu w oczy i

odrzekłem: „Wróć. Opiekuj się mamą”.

- Jasne. Powodzenia, Paul. - I już go nie było. Kilka minut później mignął mi za szklanymi drzwiami; patrzył w moją stronę. Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy, odwrócił się i ponownie zniknął.

Zameldowałem się przy okienku biletowym i poszedłem do bramki, gdzie, jak się okazało, znikła większość rodzin. W tamtych czasach można było odprowadzać wyjeżdżających aż do wyjścia. Pomyślałem, że ojciec pojawi się jeszcze raz, a może nawet moja dziewczyna Peggy, która nie przyjechała na lotnisko, bo ją od tego odwiodłem. Uprzytomniłem sobie, że naprawdę chcę ją jeszcze raz zobaczyć.

Mimo że w okolicy Bostonu było sporo chłopaków w moim wieku, nie widziałem nikogo znajomego. To miał być dla mnie początek roku szukania znajomych twarzy i wyobrażania sobie, że je widzę.

Nigdy nie widziałem, żeby tak wiele osób robiło tak mało hałasu. Byłem tam więc sam, a ludzie wokół mnie stali spokojnie, rozmawiali albo cicho płakali.

Kilku żandarmów stało na skraju tłumu, pilnując, żeby ci, którzy mieli odlecieć do portów, a stamtąd popłynąć statkami na wojnę, nie sprawiali problemów.

Z perspektywy czasu ta scena wywoływała we mnie nieprzyjemne odczucia: żandarmi, przeważnie niechętni żołnierze, ciche rodziny; kompletny obraz tej bardzo nieamerykańskiej kontroli, ze strony władzy, i przymusu. Ale to był czas wojny - choć nie wojny mojego ojca, która miała największe poparcie, jakie wojna mieć może - a w czasie wojny nawet najbardziej łagodne rządy stają się odrobinę brutalne.

Było to w listopadzie sześćdziesiątego siódmego roku, gdy ruch antywojenny jeszcze nie urósł w siłę, więc na Loganie nie było demonstrantów ani protestujących; było ich paru, kiedy wylądowałem w San Francisco, a kilka lat później w bazie wojskowej w Oakland - cała chmara. Zachęcali żołnierzy, żeby nie jechali albo, jeszcze lepiej, żeby propagowali miłość, a nie wojnę.

Skoro o tym mowa, moja dziewczyna z gimnazjum, Peggy Walsh, była ładną, choć przyjmowała komunię. Na zabawie integracyjnej w sali Liceum Świętej Brygidy wszyscy psychicznie stłamszoną młodą panną, która w sobotę chodziła do spowiedzi, a w niedzielę musieliśmy podnieść prawe ręce, a ojciec Bennett kazał nam wyrzec się szatana, pokusy i grzechów ciała.

Szansa na to, że Peggy i ja zbliżymy się seksualnie w czasie pokoju, była mniej więcej taka sama jak szansa wygranej mojego ojca na irlandzkiej loterii.

Uśmiechnąłem się na tę myśl i wróciłem do teraźniejszości. Taksówka jechała w niezłym tempie, podobnie jak samochód ojca przed wielu laty. Pamiętam, że myślałem wtedy: Po co ten pośpiech, skoro się jedzie na wojnę?

Zamknąłem oczy i pozwoliłem myślom dryfować wstecz do miesięcy poprzedzających chwilę oczekiwania na wejście na pokład samolotu na Loganie.

Poszedłem do woja jako prawiczek, ale podczas zaawansowanego szkolenia piechoty w

Fort Hadley razem z paroma chłopakami z koszar odkryłem młode panny z przędzalni bawełny - pierzaste głowy, tak je nazywaliśmy, bo miały włókna bawełny we włosach... od pracy w tych

piekielnych zakładach, cokolwiek tam robiły. Stawka za godzinę była nędzna, lecz godzin było pod dostatkiem ze względu na wojnę. Był jednak sposób na zarobienie większej sumy pieniędzy za mniej pracy. Te dziewczęta nie były prostytutkami, dawały to jasno do zrozumienia; były pracownicami zakładu, młodymi patriotkami, i brały po dwadzieścia dolarów. Ja zarabiałem osiemdziesiąt pięć dolarów na miesiąc, więc nie była to aż taka gratka, jak się wydaje.

W każdym razie wszystkie wolne od służby niedzielne popołudnia spędzałem w tanim motelu, popijając tanie wino i wyciągając bawełnę z włosów dziewczyny imieniem Jenny, która mówiła rodzicom, że pracuje w zakładzie na dwie zmiany. Miała też chłopaka, miejscowego, który, sądząc z jej opisu, był kompletnym przegrańcem.

Jak łatwo przewidzieć, zakochałem się w Jenny, ale było kilka rzeczy, które nie sprzyjały naszemu związkowi: mój osiemdziesięcioczerogodzinny tydzień ćwiczeń, jej sześćdziesięciogodzinny tydzień pracy, nasze nędznie opłacane prace, to, że zawsze byłem splukany (bo płaciłem jej dwadzieścia dolców za numer), jej randki z innymi, które budziły moją zazdrość, wiszący nade mną rozkaz wyjazdu do Wietnamu i, na koniec - choć to nie najmniej ważne - jej silna niechęć do Jankesów i miłość do przegranego chłopaka.

Gdyby nie te wszystkie rzeczy, myślę, że mogliśmy mieć jakąś szansę.

Była też Peggy, która upierała się, żeby nasza miłość pozostała czysta. Innymi słowy, nie chodziliśmy do łóżka. Kiedy jednak odkryłem zakazane przyjemności ciała, opętała mnie obsesja, żeby pokazać Peggy, czego nauczyła mnie Jenny. miesięczny urlop przed wyjazdem do Wietnamu, pracowałem nad biedną Peggy dzień i noc. Więc po zakończeniu ćwiczeń piechoty i desantowych, gdy przyjechałem do Bostonu na

Inaczej rzecz ujmując, na ćwiczeniach nauczyłem się, jak zdobywać szturmem ufortyfikowane wzgórza, lecz szturmowanie linii obrony dziewictwa Peggy Walsh okazało się o wiele trudniejsze.

W przyływie durnej uczciwości opowiedziałem jej o Jenny. Peggy się naprawdę wściekła, lecz obudziły się też jej hormony, więc zamiast mnie wykopać, zdzieliła pięścią w twarz, a potem dała mi rozgrzeszenie.

Poinformowała mnie, że rozumie, iż mężczyźni nie umieją zapanować nad swoimi zwierzęcymi instynktami, i że przyjmuje do wiadomości fakt, iż wyjeżdżam do Wietnamu i że istnieje możliwość, że nigdy stamtąd nie wrócę albo że mi odstrzelą fiuta czy coś w tym rodzaju.

I tak ostatnie siedem dni mojego urlopu upłynęło na intymnych godzinach z Peggy w jej sypialni, podczas gdy rodzice siedzieli w pracy. Byłem zdziwiony - wręcz zaszokowany - gdy odkryłem, że Peggy Walsh jest dziesięć razy gorętsza niż Jenny, której nazwiska nigdy nie poznałem. A najlepsze było to, że nie musiałem wyciągać bawełny z jej włosów.

Wracając do terażniejszości, zauważyłem, że taksówkarz spogląda na mnie w lusterku.

- Jaka linia? - spytał.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że jesteśmy na lotnisku.

- Asiana - odparłem.

- Dokąd wyruszamy?

- Do Wietnamu.

- Tak? Myślałem, że pan jedzie w jakieś przyjemne miejsce. Widziałem, że się pan uśmiecha.

- Właśnie wróciłem z przyjemnego miejsca.

Zgodnie z instrukcją w e-mailu od Karla Hellmanna, skierowałem kroki prosto do poczekalni Asiana Airlines, zwanej Morning Calm Club.

Drzwi otwarły się przy wtórze brzęczyka i, znowu wedle instrukcji, okazałem paszport ładnej wschodnioazjatyckiej pani za biurkiem; na plakietce widniało nazwisko Rita Chang. Normalnie trzeba być członkiem klubu albo pokazać bilet pierwszej klasy lub klasy biznes, żeby móc skorzystać z poczekalni linii lotniczej, ale pani Chang spojrzała na mój paszport i powiedziała?

- A, tak, pan Brenner. Sala konferencyjna B.

Wszedłem do szatni i zostawiłem tam walizkę, potem obejrzałem się w pełnowymiarowym lustrze i uczesałem włosy. Miałem na sobie spodnie khaki, niebieską koszulę zapinaną na guziki, bez krawata, granatowy blezer i mokasyny; zdaniem Karla, był to odpowiedni strój do podróży w klasie biznes i do hotelu Rex w Sajgonie.

Zabrałem neseser, wkroczyłem do poczekalni i wzięłem sobie kawę. Mieli też danie śniadaniowe, w skład którego wchodził ryż, ośmiornica, algi morskie i solona ryba; nie było natomiast chili. Wzięłem trzy torebki solonych orzeszków i włożyłem do kieszeni.

Wszedłem do sali konferencyjnej B - małego, wyłożonego boazerią pomieszczenia z okrągłym stołem i krzesłami. Sala była pusta.

Postawiłem neseser, usiadłem i zacząłem sączyć czarną kawę. Otworzyłem torebkę fistaszków i wrzuciłem kilka do ust, czekając na tego kogoś, kto miał przyjść.

Naturalnie moje życie bardzo się zmieniło od mojej ostatniej podróży do Wietnamu, ale to, co czułem w trzewiach, różniło się niewiele.

Wróciłem myślą do Peggy Walsh.

Nalegała, żebyśmy poszli do spowiedzi przed moim wyjazdem do Wietnamu. Cóż, wolałbym dostać pięścią w szczękę od Peggy Walsh, niż stanąć twarzą w twarz z gniewnym ojcem Bennettem, słuchającym mojej opowieści o tym, jak posuwałem jego ulubioną dziewczycę numer dwa. spowiedzi u Świętej Brygidy. Dzięki Bogu ojciec Bennett nie słuchał tego dnia spowiedzi. Ale, palicho, potrzebowałem rozgrzeszenia, więc poszedłem z Peggy do sobotniej Peggy uklękała przy jednym konfesjonale, a ja przy drugim. Nie pamiętam nazwiska księdza - nie znałem go - lecz, sądząc z głosu dochodzącego zza czarnej kratki, był młody. W każdym razie zacząłem łatwo od takich rzeczy jak kłamstwa i przeklinanie, a potem doszedłem do sedna. Księdzu nie odbiło, ale nie był ze mnie szczególnie zadowolony. Zapytał, kim jest ta młoda panna, a ja powiedziałem, że to Sheila O'Connor, którą zawsze chciałem przelecieć, ale nigdy mi się nie udało. Sheila i tak miała porąbaną reputację, więc nie przeszkadzało mi zbytnio, że podstawiłem ją zamiast Peggy. Prawdziwy ze mnie dżentelmen.

Ten ksiądz pewnie planował mi zadać z milion zdrowasiek i Ojczy nasz, lecz powiedziałem:

- Ojczy, za dwa dni wyjeżdżam do Wietnamu.

Zapadła długa cisza, po której rzekł: - Na znak pokuty odmów Zdrowaś Mario i Ojcie nasz. Życzę ci szczęścia, mój synu, i niech cię Bóg błogosławi. Będę się za ciebie modlił.

Poszedłem do komunii, zadowolony, że mi się tak łatwo upiekło, ale gdzieś w połowie Zdrowaś Mario uprzytomniłem sobie, że powiedzenie, że się jedzie do Wietnamu, to było coś takiego, jakbym powiedział: „Ojcie, miej dla mnie litość”, i zimny dreszcz przeszedł mi po kręgosłupie. grałem sobie w piłkę z jakimiś chłopakami na boisku Liceum Świętej Brygidy. Biedna Peggy chyba z pół godziny odmawiała na klęczkach różaniec, podczas gdy ja

Potem oboje przysięgliśmy sobie wierność seksualną przez rok, kiedy mnie nie będzie. Tego roku padło pewnie z pół miliona takich ślubów między rozstającymi się parami; być może niektóre z nich zostały dotrzymane.

Rozmawialiśmy z Peggy o wzięciu ślubu przed moim wyjazdem, ale tak długo broniła swojej cnoty, zanim odkryłem, że jest gorąca, że było za późno na załatwienie zezwolenia na ślub.

Tak czy inaczej, byliśmy nieoficjalnie zaręczeni, a ja miałem nadzieję, że nie jesteśmy oficjalnie w ciąży.

Ta historia mogła się zakończyć happy endem, tak myślę, bo pisaliśmy do siebie regularnie, a Peggy mieszkała w domu i pracowała w sklepiku żelaznym ojca, gdzie pracowała też jej matka. Co ważniejsze, nie odbiło jej, jak większości ludzi w kraju w sześćdziesiątym ósmym roku, i pisała listy wypełnione patriotycznymi i pozytywnymi odczuciami w związku z wojną, odczuciami, których ja akurat nie podzielałem.

Wróciłem do domu w jednym kawałku, gotów podjąć na nowo to, co przerwałem. Miałem miesiąc urlopu i liczyła się każda minuta.

Pod moją nieobecność jednak coś się zmieniło. Kraj się zmienił, moi koledzy byli albo w wojsku, albo w college'u, albo nie interesowały ich rozmowy z powracającymi żołnierzami. Nawet południowy Boston, bastion patriotyzmu klasy robotniczej, był podzielony tak jak reszta kraju.

Prawdę mówiąc, największa zmiana zaszła we mnie i nie mogłem pozbierać myśli w czasie tego długiego urlopu.

Peggy jakimś sposobem odzyskała swoje dziewictwo i nie chciała słyszeć o seksie aż do ślubu. I to w czasach gdy ludzie pieprzyli się bez opamiętania z nieznajomymi.

Peggy Walsh była ładna i słodka jak zawsze, ale Paul Brenner stał się zimny, nieobecny i roztargniony. Ja o tym wiedziałem i ona wiedziała. Powiedziała mi coś, czego nigdy nie zapomnę: „Stałeś się taki jak inni, którzy wrócili”. Co miało oznaczać: „Jesteś martwy. Czemu jeszcze chodzisz?”.

Odparłem, że potrzebuję trochę czasu, i postanowiliśmy dać sobie jeszcze pół roku, do chwili gdy wyjdę z wojska. Napisała do mnie do Fort Hadley, ale nie odpisałem, więc jej listy przestały nadchodzić.

Kiedy mój czas w armii dobiegł końca, podjąłem brzemienne w skutkach decyzję pozostania jeszcze na trzy lata, które w końcu zamieniły się w prawie trzydzieści. Niczego nie żałuję, ale często się zastanawiam, jakie byłoby moje życie, gdyby nie było wojny i gdybym się ożenił z Peggy Walsh.

Nigdy więcej nie zobaczyliśmy się z Peggy, a od znajomych się dowiedziałem, że wyszła za miejscowego chłopaka, który dostał stypendium piłkarskie na Uniwersytecie Stanu Iowa. Z jakiegoś powodu tam zamieszkali, dwoje bostońskich dzieciaków na najgorszym zadupiu, i mam nadzieję, że dobrze im się żyło. Rzecz jasna, wciąż o niej myślę od czasu do czasu. Zwłaszcza teraz, gdy miałem wrócić do kraju, który nas rozdzielił i który zmienił nasze życie.

Mój łącznik się nie zjawiał, a ja skończyłem kawę i opróżniłem dwie torebki fistaszków. Zegar na ścianie wskazywał dziesięć po ósmej. Zastanawiałem się, czy nie zrobić tym razem tego, co powinienem był zrobić poprzednio: zwać z lotniska i wrócić do domu.

A jednak siedziałem dalej i rozmyślałem o tym i owym: o Wietnamie i Peggy Walsh, Wietnamie i Cynthii Sunhill. Wyjąłem z neseseru treść e-mailu do Cynthii i przeczytałem:

Droga Cynthio!

Jak powiedział Ci Karl, przyjąłem zadanie w południowo-wschodniej Azji. Powinienem wrócić za mniej więcej dwa lub trzy tygodnie. Oczywiście istnieje możliwość, że napotkam jakieś problemy. Jeśli tak się stanie, chcę, żebyś wiedziała, że przyjęcie zlecenia było moją decyzją, która nie miała nic wspólnego z Tobą. Tylko ze mną.

Jeśli chodzi o nas, to od pierwszego dnia w Brukseli jest to tak zwany burzliwy związek. W gruncie rzeczy przeznaczenie, nasze zawody i życie zmówiły się, żeby trzymać nas od siebie z dala i nie pozwolić się naprawdę poznać.

Oto plan, żebyśmy mogli się spotkać w pół drogi, dosłownie i w przenośni: Podczas wojny samotni mężczyźni dostawali tydzień urlopu w egzotycznych miejscach, gdzie się mogli trochę zrelaksować. Żonaci i ci, którzy utrzymywali poważne związki, spotykali się ze swoimi paniami w Honolulu. Spotkajmy się więc w Honolulu za dwadzieścia jeden dni od dzisiaj, w Royal Hawaiian Hotel; rezerwacje będą na nasze nazwiska. Zaplanuj sobie dwa tygodnie urlopu na jednej z odległych wysepek.

Jeśli postanowisz nie przyjeżdżać, zrozumieć i będę wiedział, że podjęłaś decyzję. Nie odpowiadaj na ten list, proszę, tylko przyjedź lub nie.

Całuję,

Paul

No cóż, list nie był aż tak łzawy i sentymentalny, żebym musiał się wstydić, i nie żałowałem, że go wysłałem. Wszystko było poprawnie napisane, co się rzadko zdarza w e-mailach.

Jak powiedziałem, rano nie było odpowiedzi, co mogło oznaczać, że nie otworzyła jeszcze poczty albo uwierzyła w to, co napisałem: „Nie odpowiadaj na ten list, proszę”, tak jak kiedyś Peggy Walsh uwierzyła mi na słowo, gdy powiedziałem, żeby nie przyjeżdżała na lotnisko.

Otworzyły się drzwi i wszedł dobrze ubrany mężczyzna mniej więcej w moim wieku, z dwoma kubkami kawy i foliową torbą na prezenty. Położył torbę na stole, a obok niej postawił kubki, potem wyciągnął dłoń i powiedział:

- Hej, jestem Doug Conway. Przepraszam, że się spóźniłem. - A mnie jest przykro, że pan w ogóle przyszedł.

Doug Conway uśmiechnął się i usiadł naprzeciwko.

- Proszę, ta kawa jest dla pana. Czarna, zgadza się?

- Dzięki. Chce pan fistaszków?

- Jadłem śniadanie. Przede wszystkim polecono mi podziękować panu, że zgodził się pan przyjąć to zadanie.

- Kto mi dziękuje?

- Wszyscy. Proszę się tym nie przejmować.

Sączyłem kawę i przyglądałem się panu Conwayowi. Wyglądał na całkiem bystrego i, sądząc po dotychczasowej rozmowie, był dość ostry. Miał na sobie granatowy garnitur, stonowany niebieski krawat, a że wyglądał tak jakoś uczciwie, więc nie był z CIA. CID wyczuwam na kilometr, i od nich też nie był, dlatego spytałem:

- FBI?

- Tak. Ta sprawa, jeśli w ogóle znajdzie jakieś rozwiązanie, będzie sprawą wewnętrzną. CIA nie będzie się mieszać... ani wywiad wojskowy, ani wywiad Departamentu Stanu. Tylko FBI i CID. Ponieważ wiemy, że chodzi o morderstwo, więc zgodnie z tym podejmiemy do śledztwa.

No cóż, może i wyglądał na uczciwego, ale taki nie był.

- Czy ktoś z ambasady w Hanoi będzie wiedział o mojej obecności? - spytałem.

- Postanowiliśmy ograniczyć zasięg tej informacji.

- Do kogo?

- Do tych, którzy winni ją znać, czyli praktycznie do nikogo. Ambasada i konsulaty są równie przydatne jak cycki na byku. Ja tego nie powiedziałem. Ale na szczęście mamy agenta FBI w ambasadzie w Hanoi, który dla wietnamskiej policji prowadzi zajęcia o handlu narkotykami. Nazywa się John Eagan i został poinformowany o pańskiej podróży. Jeśli wpadnie pan w tarapaty i będzie musiał się skontaktować z ambasadą amerykańską, on jest pańskim człowiekiem.

- Dlaczego John Eagan sam nie pojedzie szukać faceta, którego ja mam znaleźć?

- Ma ograniczony czas z powodu wykładów. I oczywiście ma mniej możliwości podróżowania niż turysta.

- A poza tym nie chcecie bezpośredniego zaangażowania amerykańskiego rządu w tę sprawę. Zgadza się?

Pan Conway nie odpowiedział, rzecz jasna.

- Czy ma pan jakieś wstępne pytania, zanim zacznę odprawę? - spytał.

- Zdaje mi się, że właśnie jedno zadałem.

- Dobrze, wobec tego zaczynam. Pańska misja jest jasna, ale nie prosta. Musi pan zlokalizować wietnamskiego obywatela nazwiskiem Tran Van Vinh... wie pan o tym. Jest on naocznym świadkiem domniemanego morderstwa.

Pan Conway nawijał tak jeszcze przez jakiś czas, jak to FBI, tak jakby to było jeszcze jedno zwykłe morderstwo, które ma być rozpracowane i wysłane w paczce prokuratorowi generalnemu. Ja sączyłem kawę i otworzyłem ostatnią torebkę fistaszków.

Przerwałem jego prawniczą gadkę.

- No dobra. Więc jeśli znajdę Trana Van Vinha, mam mu powiedzieć, że wygrał wycieczkę do Waszyngtonu, opłaconą od początku do końca. Zgadza się?

- No... tego nie wiem.

- Cóż, ja też nie wiem. Wobec tego, co mam zrobić z tym gościem, jeśli znajdę go żywego?

- Nie mamy jeszcze pewności. Tymczasem próbujemy ustalić nazwiska potencjalnych podejrzanych i ofiar. Jeśli je znajdziemy, prześlemy panu zdjęcia tych ludzi, z okresu gdy byli w wojsku. Jeżeli tak się stanie i jeśli znajdzie pan Trana, pokaże mu pan serię zdjęć... tak jak w każdym śledztwie kryminalnym, i zobaczy pan, czy potrafi zidentyfikować zarówno domniemanego mordercę, jak i ofiarę.

- Tak. Zdaje się, że robiłem to parę tysięcy razy. Ale mój wietnamski wymaga odświeżenia.

- Wszędzie może pan wynająć tłumacza.

- W porządku. A dlaczego nie zabieram ze sobą kamery wideo lub magnetofonu?

- Myśleliśmy o tym. Lecz to czasem powoduje kłopoty z celnikami. Może każemy pańskiemu łącznikowi w Sajgonie dać panu kamerę albo magnetofon. Zabrał pan zwykły aparat?

- Tak, zgodnie z instrukcją. Jestem turystą. A telefon komórkowy?

- Ten sam problem. Na lotnisku mają paranoję, a jeśli przeszukają pański bagaż i znajdą coś takiego, zaczną węszyć. Z wizą czy bez, mogą pana zawrócić i wykopać prawie bez powodu. Potrzebujemy pana tam, w Wietnamie.

- Jasne.

- Ale może załatwimy panu komórkę w Sajgonie. Musi pan jednak wiedzieć, że ich sieć telefonii komórkowej jest bardzo prymitywna; mają więcej martwych stref niż na cmentarzu.

- Dobra, więc jeśli uznacie, że chcecie mieć tego gościa w Waszyngtonie, to co wtedy?

- Wtedy możemy uderzyć do wietnamskiego rządu i wyjaśnić sytuację. Będą z nami współpracować.

- Jeśli nie chcecie ich współpracy teraz, przy poszukiwaniu tego człowieka, to dlaczego uważacie, że zgodzą się współpracować po tym, jak im powiecie, że węszyliście w ich zapyziałym, policyjnym państewku i znaleźliście ich obywatela, którego potrzebujecie do procesu o morderstwo?

Doug Conway popatrzył na mnie przez chwilę.

- Karl nie mylił się co do pana - oświadczył.

- Karl w niczym się nie myli. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Conway przez kilka sekund mieszał kawę.

- Dobrze, panie Brenner - odezwał się w końcu - oto odpowiedź na pańskie pytania... przeszłe, obecne i przyszłe: Wstawiamy panu kit. Pan o tym wie i my wiemy. Ilekroć wstawiamy panu kit, dostrzega pan drobne nieścisłości, więc zadaje pan następne pytanie. Wtedy my wstawiamy panu kolejny kit, a pan zadaje kolejne pytania o ten nowy kit. To naprawdę denerwujące i czasochłonne. Powiem więc panu teraz kilka rzeczy, które nie są kitem. Gotów?

Skinąłem głową.

- Po pierwsze, chodzi o coś więcej niż o morderstwo popełnione trzydzieści lat temu, ale to pan wie. Po drugie, w pańskim najlepszym interesie jest, żeby pan nie wiedział, o co chodzi. Po trzecie, to jest naprawdę bardzo ważne dla naszego kraju. Po czwarte, chcemy właśnie pana, bo jest pan dobry, a poza tym, w razie gdy wpadnie pan w tarapaty, nie pracuje pan dla rządu. A jeśli pana tam przyskrzynią, nic pan nie wie i to właśnie im pan powie, bo to prawda. Niech się pan po prostu trzyma swojej bajeczki... wybrał się pan na nostalgiczną wycieczkę do Wietnamu. Dobra? W dalszym ciągu chce pan jechać?

- Nigdy nie chciałem jechać.

- Ależ ja pana nie obwiniam. Wie pan jednak o tym, że pojedzie, i ja wiem, że pan pojedzie. Jest pan znudzony swoją emeryturą, ma pan głęboko zakorzenione poczucie obowiązku i lubi pan żyć na krawędzi. Kiedyś był pan w piechocie, dostał pan order za

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

męstwo, potem został pan żandarmem, a potem śledczym kryminalnym. Nigdy nie był pan księgowym ani damskim fryzjerem. No i jest pan tutaj i rozmawia ze mną. Zatem obaj

wiemy, że nie wróci pan dziś do domu.

- Skończyliśmy z psychobelkotem? - Jasne. Tu mam pańskie bilety... Asiana Airlines do Seulu w Korei, potem Vietnam Airlines do miasta Hoszimin, które my starcy znamy jako Sajgon. Ma pan rezerwację w hotelu Rex... dobrej klasy, ale Sajgon jest tani, więc stać na taki hotel pana Paula Brennera, emerytowanego chorążego. - Conway wyjął z foliowej torby kawałek papieru i kontynuował:- To jest pańska wiza z wietnamskiej ambasady, którą uzyskaliśmy dzięki autoryzowanej kopii pańskiego paszportu, dostarczonej przez Departament Stanu. - Podał mi kartkę taniego papieru, zadrukowaną czerwonym atramentem; zerknąłem na nią,

- A oto nowy paszport, dokładna kopia pańskiego starego paszportu, który teraz mi pan odda. Na tym paszporcie jest stempel wietnamskiej ambasady na wjazd do tego kraju, a pozostałe kartki są czyste, gdyż Wietnamczycy traktują podejrzliwie ludzi, którzy mają w paszporcie za dużo stempli wjazdu i wyjazdu, tak jak pan.

Conway wręczył mi mój nowy paszport, a ja oddałem mu stary. Zerknąłem na ten, który mi dał. Zauważyłem, że nawet zdjęcie jest takie samo jak w starym, a do tego spec FBI od fałszerstw był tak miły, że złożył za mnie podpis.

- To niesamowite, że zdążyliście zrobić kopię mojego paszportu, wykorzystać ją do uzyskania wizy w ambasadzie wietnamskiej i przygotować to wszystko dla mnie w niespełna dwanaście godzin po tym, jak się dowiedziałem o zadaniu - zauważyłem.

- To rzeczywiście niesamowite - zgodził się pan Conway. Podał mi ołówek. - Proszę wypełnić dane osoby, z którą można się skontaktować w razie nagłej potrzeby... To pański adwokat, jak sądzę.

- Słusznie. - Właściwie prawnik z CID, ale po co się wdawać w takie szczegóły?

Wypełniłem rubryczkę, oddałem mu ołówek i włożyłem paszport do kieszonki na piersi.

- Niech pan zrobi kilka fotokopii paszportu i wizy, kiedy dotrze pan do Seulu - powiedział pan Conway. - W Wietnamie każdy chce wziąć do ręki paszport i wizę... pracownicy hotelu, wypożyczalni skuterów, a czasem policjanci. Zwykle zadowolają się fotokopią.

- Dlaczego nie pošlecie do Wietnamu mojej fotokopii?

Zignorował to pytanie.

- Sam pan sobie zorganizuje transport lądowy w Wietnamie. W Sajgonie zostanie pan trzy dni, na tyle ma pan rezerwację w Reksie... piątek wieczór, bo wtedy pan przyjedzie, w sobotę i w niedzielę. Opuści pan Sajgon w poniedziałek. Może pan robić w Sajgonie, na co panu przyjdzie ochota, tylko niech pana nie wykopią za palenie skrętów, sprowadzanie prostytutek do pokoju czy coś w tym guście.

- Nie potrzebuję wykładów z moralności od FBI.

- Rozumiem, ale muszę pana przygotować zgodnie z instrukcjami moich przełożonych. Miałem już odprawę z Karlem i wiem, że jest pan profesjonalistą. Jasne? Skontaktuje się z panem w Sajgonie amerykański mieszkaniec tego miasta. Ta osoba nie będzie miała żadnego związku z amerykańskim

rządem... to biznesmen oddający drobną przysługę Wujowi Samowi. Spotkanie odbędzie się w restauracji na dachu hotelu Rex, o siódmej lub około siódmej po południu w sobotę, w pański drugi wieczór w Wietnamie. To wszystko, co musi pan wiedzieć. Im bardziej to będzie niezaplanowane, tym bardziej będzie na takie wyglądać. Jasne?

- Na razie tak.

- Ta osoba poda panu numer. Ten numer będzie odpowiadać legendzie mapy w pańskim przewodniku. - Pan Conway sięgnął do foliowej torby i położył książeczkę na stole. -

Przewodnik po Wietnamie. *Samotna planeta*, trzecie wydanie. To najczęściej używany tam przewodnik, więc jeśli z jakiegoś powodu zabiorą go panu ci durnie celnicy na lotnisku Tan Son Nhat albo go pan zgubi, albo ktoś go ukradnie, zwykle można go kupić od ulicznego potrzebny kilka razy. Jasne? handlarza lub załatwi go panu pański sajgoński łącznik. Ten przewodnik będzie panu

- Jasne.

- Za chwilę powiem dokładniej, o co chodzi z numerem. Po wyjeździe z Sajgonu, w poniedziałek, do soboty będzie się pan musiał zachowywać jak turysta. Może pan robić, co chce, ale powinien pan odwiedzić jedno z dawnych pól bitwy. - Po chwili dodał: - O ile mi wiadomo, część służby odbył pan w rejonie Bong Son.

- Jeśli to nie należy do misji, wolałbym darować sobie tę wycieczkę.

Conway popatrzył na mnie długo.

- Cóż - powiedział w końcu - to nie jest rozkaz, ale bardzo mocna sugestia.

Nie odpowiedziałem.

Pan Conway nachylił się do mnie, mówiąc:

- Do pana wiadomości... Byłem w Wietnamie w siedemdziesiątym roku. Czwarta Dywizja Piechoty, Wyżyna Centralna i inwazja Kambodży... Pojechałem w zeszłym roku, żeby dojść z tym jakoś do ładu. Dlatego przysłali mnie na odprawę z panem. Coś nas łączy. Prawda?

- Niezupełnie, ale proszę mówić dalej.

- W ciągu tych pięciu dni podróży - ciągnął Conway - ustali pan, czy ktoś pana śledzi lub obserwuje. Jeśli nawet tak będzie, proszę niczego z góry nie zakładać. Oni często śledzą lub obserwują obcokrajowców, ot tak sobie.

- Zwłaszcza Amerykanów.

- Zgadza się. A więc po pięciu dniach, w sobotę, czyli w wigilię Nowego Roku Księżycowego... Tet... przyjeżdża pan do Hue, gdzie ma pan zarezerwowany pokój w hotelu Century Riverside. Wtedy spojrzysz pan na plan Hue w przewodniku i znajdzie numer podany przez łącznika w Sajgonie; w przewodniku jest liczbowa legenda do różnych miejsc w mieście. Pójdzie pan tam nazajutrz w południe, w niedzielę, czyli w Nowy Rok; to będzie święto, będą tłumy ludzi i niewielu policjantów. Jasne?

- Jak najbardziej.

- Są alternatywne punkty spotkania i właśnie teraz to wyjaśnię. - Conway podał mi szczegóły mojego spotkania w Hue i zakończył: - Ten człowiek, z którym się pan spotka w Hue, będzie

Wietnamczykiem. On pana znajdzie. Jest hasło i odzew. On powie: „Jestem bardzo dobrym przewodnikiem”, pan spyta: „Ile pan bierze?”, a on odpowie: „Ile pan zechce zapłacić”.

- Czy aby nie widziałem już tego w jakimś filmie? - spytałem.

Pan Conway uśmiechnął się.

- Wiem, że nie jest pan przyzwyczajony do takich rzeczy. Prawdę mówiąc, ja też nie. Obaj jesteśmy gliniarzami, panie Brenner, a to coś innego. Ale jest pan bystry, dorastał pan w czasie zimnej wojny, wszyscy czytaliśmy Jamesa Bonda, oglądaliśmy filmy szpiegowskie i tak dalej. Więc to nie jest zupełnie obce ludziom z naszego pokolenia. Zgadza się?

- Zgadza. Proszę mi powiedzieć, po co mi łącznik w Sajgonie, skoro potrzebuję tylko liczby? Możecie mi ją wysłać faksem.

- Uznaliśmy, że może pan potrzebować przyjaciela w Sajgonie, a my potrzebujemy kogoś, z kim możemy nawiązać kontakt na wypadek, gdyby znikł nam pan z radaru.

- Jasne. Czy mamy konsulat w Sajgonie?

- Właśnie miałem do tego dojść. Jak pan wie, wznowiliśmy stosunki dyplomatyczne z Wietnamem, mamy nowy budynek ambasady i nowego ambasadora w Hanoi. Ambasada nie będzie się z panem kontaktować bezpośrednio ani w Hanoi, ani w czasie podróży. Ale jako

obywatel amerykański może się pan zwrócić do nich w razie potrzeby i spytać o Johna Eagana, nikogo innego. Jeśli idzie o Sajgon, obecnie miasto Hozsimin, wysłaliśmy tam niedawno misję konsularną, która mieści się w tymczasowym, niezabezpieczonym wynajętym lokalu. Nie będzie pan miał kontaktu z konsulem w Sajgonie, jedynie przez tamtejszego łącznika.

- Więc nie mogę wbiec do amerykańskiego konsulatu w Sajgonie i poprosić o azyl?

Conway zmusił się do uśmiechu.

- Oni nie mają tam dużo powierzchni biurowej i zajmowałyby im pan miejsce. - Po chwili dodał, jakby do czegoś nawiązując: - Wietnam znów staje się dla nas ważny.

Nie spytałem dlaczego, lecz jeśli coś jest ważne dla amerykańskiego rządu, to zawsze jest to ropa, czasem narkotyki, a czasem strategiczne plany wojskowe. Sami wybiercie.

Pan Conway spoglądał na mnie, spodziewając się pytania na temat tego, co jest „ważne”, ale powiedziałem:

- W porządku. Co jeszcze?

- Następna sprawa, o której trzeba pamiętać, jak mówiłem, to święta Tet, Księżycowy Nowy Rok, pamięta pan Tet w sześćdziesiątym ósmym roku, prawda? Wszyscy w całym kraju odwiedzają groby w swoich rodzinnych wioskach i tak dalej. Transport, komunikacja i zakwaterowanie zamieniają się w koszmar, połowa ludności nie idzie do roboty, a normalna u nich niska wydajność pracy jeszcze się pogarsza. Będzie pan musiał być zaradny i cierpliwy. Ale proszę się nie spóźnić.

- Zrozumiałem. Niech mi pan powie coś jeszcze o tym facecie w Hue.

- Łącznik w Hue powie panu, dokąd ruszyć dalej, jeśli będzie wiedział - wyjaśnił Doug Conway. - Tran Van Vinh, jeśli żyje, najprawdopodobniej mieszka na północy, więc może się pan spodziewać,

że z Hue wyruszy pan na północ. Obcokrajowcy, a zwłaszcza Amerykanie, nie są szczególnie mile widziani na wiejskich terenach byłego Wietnamu Północnego. Będzie mnóstwo ograniczeń w podróży, nie wspominając o systemie komunikacyjnym, który nie istnieje. Musi pan jednak sobie z tym poradzić, jeśli celem pańskiej podróży okaże się jakaś miejscowość na wiejskiej prowincji. Dobra? - Żaden problem.

- To jest problem. Przede wszystkim prawo zabrania cudzoziemcom wynajmowania samochodów, ale może pan sobie załatwić oficjalny, licencjonowany przez władze wóz z szoferem z rządowej agencji turystycznej Vidotour... raczej nie chciałby pan tego podczas nieoficjalnej części podróży. Zgadza się?

- To brzmi przekonująco.

- Są również prywatne biura podróży, prywatne samochody i prywatni kierowcy, lecz władze oficjalnie ich nie uznają i czasem w niektórych rejonach nie ma ich w ogóle albo nie można z nich skorzystać. Rozumie pan?

- Czy mogę wynająć rower?

- Pewnie. Krajem rządzą lokalni partyjni bonzowie, jak feudalni możnowładcy, i oni ustalają reguły, a na dodatek rząd w Hanoi zmienia je dla obcokrajowców. To chaos, zwykle można obejść niektóre z tych restrykcji za pomocą datków dla ważnych osób. Kiedy ja tam byłem, pięć dolców zwykle załatwiało sprawę. Jasne?

- Jasne.

- Są też autobusy międzymiastowe... nazywają je katowniami na kółkach... jeśli pan do któregoś wsiądzie, to zobaczy pan dlaczego. Jest jeszcze stara francuska linia kolejowa wzdłuż wybrzeża; obecnie czynna. W czasie świąt Tet nie będzie biletów na żaden środek publicznej komunikacji, ale piątek udostępni panu wszystko, co się porusza, z wyjątkiem samolotu. Tak czy inaczej, powinien pan unikać lotnisk. Jest tam za dużo ochrony.

- Czy wspominałem o tym, że miałem zaplanowany wyjazd na wyspę Aruba?

- Ta podróż ma o wiele większe znaczenie, a pogoda będzie równie ładna.

- Słusznie. Proszę kontynuować.

- Zanim dotrze pan do Hue, jeśli szczęście dopisze, będziemy w stanie podać panu położenie rodzinnej wioski Trana Van Vinha, Tam Ki. Ponieważ będą to święta Tet, są duże szanse na to, że znajdzie pan w wiosce wiele osób z rodzin Tranów. - Spojrzał na mnie. - Czy to jest jasne?

- Przyszło mi na myśl, panie Conway, że informacja o tym morderstwie nie wyszła na jaw kilka dni temu, ale może kilka tygodni albo miesięcy, a wy czekaliście na święta Tet, żeby mnie wysłać do Wietnamu, bo właśnie wtedy, jak pan powiedział, ludzie wracają do rodzinnych wiosek, a siły bezpieczeństwa i policja są najmniej skuteczne.

Pan Conway uśmiechnął się.

- Nie wiem, kiedy dostaliśmy tę informację i co pańscy szefowie wiedzą, a czego pan... i być może ja... nie wiemy. Tak szczęśliwie się składa, że będzie pan w Wietnamie w czasie tych świąt. - Po chwili dodał: - W święta Tet sześćdziesiątego ósmego roku komuniści złapali was z opuszczonymi portkami. Może uda się panu odpłacić im za tę przysługę.

- Interesująca myśl. Coś w rodzaju symetrii, jak na szali sprawiedliwości. Niestety zemsta mi zwisa. Ta pieprzona wojna się skończyła. Jeśli mam to zrobić, nie potrzebuję i nie chcę osobistego motywu. Wykonuję tylko robotę, bo zobowiązałem się ją wykonać. Rozumiemy się?

- Proszę nie wykluczać jakiejś osobistej motywacji, kiedy już się pan tam znajdzie.

Nie odpowiedziałem.

- Dobra, więc ma pan spotkanie w Hue w niedzielę, ale jeśli z jakiegoś powodu pan tam nie dotrze, poniedziałek jest rezerwowym dniem; ktoś się z panem skontaktuje w taki czy inny sposób w hotelu. Jeśli to nie nastąpi, trzeba będzie pryskać z Wietnamu, i to szybko. Zrozumiał pan? - Skinąłem głową. - A więc, zakładając, że wszystko pójdzie dobrze,

wyjedzie pan z Hue we wtorek - ciągnął Conway. - I to jest właśnie najtrudniejsza część podróży. Musi pan dotrzeć do Tam Ki wszelkimi możliwymi środkami w ciągu dwóch, najwyżej trzech dni. Dlaczego? Dlatego że święta Tet trwają cztery dni po Nowym Roku,

więc ci, co zjechali do domu przodków, powinni w nim jeszcze być, zanim powrócą tam, skąd przybyli. Ten facet, Tran Văn Vinh, może mieszkać na stałe w Tam Ki, ale tego nie wiemy. Najlepiej znaleźć się tam wtedy, kiedy on tam będzie. Rozumiemy się? - Znow skinąłem głową. Pan Conway kontynuował: - Tak czy siak, wygrana, porażka czy remis, musi pan być w Hanoi nie później niż w następną sobotę, czyli w piętnasty dzień pańskiej podróży. Ma pan rezerwację w Sofitel Metropole i mam dla pana voucher na jedną noc. - Klepnął dłonią w foliową torebkę i dodał: - Ktoś się z panem skontaktuje w Hanoi albo nie. Co ważniejsze, wyjedzie pan następnego dnia, w niedzielę, szesnastego dnia podróży, dobrze przed upływem czasu, na jaki została udzielona wiza. Jasne?

- Chciałbym pozwiedzać Hanoi.

- Nie, chciałby się pan stamtąd wynieść najprędzej jak to możliwe.

- Brzmi jeszcze lepiej.

- Ma pan rezerwację na Cathay Pacific z Hanoi do Bangkoku w niedzielę - powiedział Conway. - Ktoś się z panem spotka w Bangkoku i poda instrukcje.

- A jeśli trafię do więzienia? Czy będę potrzebował przedłużenia wizy?

Uśmiechnął się i zignorował pytanie.

- Dobra, teraz pieniądze. W tej torbie jest koperta z tysiącem dolarów amerykańskich, w banknotach jednodolarowych, piątkach i dziesiątkach, wszystkie czyste. Może pan legalnie używać zielonych w Socjalistycznej Republice Wietnamu. Oni nawet tak wołają. W torbie jest też milion dongów, czyli około półtora dolara... no, zażartowałem sobie. Około setki, tak na początek. Przeciętny Wietnamczyk zarabia jakieś trzysta, czterysta dolarów rocznie, więc jest pan bogaty. Jest jeszcze tysiąc w czekach podróży American Express, które są przyjmowane w lepszych hotelach i restauracjach, a niektóre banki w pewne dni wymieniają

je na dongi, w zależności od nastroju. W Sajgonie, Hue i Hanoi są placówki American Express. Wszystko to jest w pańskim przewodniku. Proszę używać własnej karty kredytowej, ilekroć będzie pan mógł. Zwrócimy panu koszty. Armia zgodziła się na tymczasową dzienną dietę dla pana w wysokości pięciuset dolarów, więc po powrocie powinien pan zobaczyć ładny czek. - Po chwili

dodał: - Za pobyt w więzieniu podwójna stawka.

Spojrzałem na Conwaya i zrozumiałem, że nie żartuje.

- Na ile dni?

- Nie wiem. Nie pytałem. Chce pan, żebym się dowiedział?

- Nie. Co jeszcze?

- Kilka rzeczy... na przykład wydostanie pana z Wietnamu. Jak powiedziałem, Cathay Pacific z Hanoi, ale mówiłem też, że być może będzie pan musiał wyjechać wcześniej i w większym pośpiechu z innego miejsca. Mamy kilka planów na taką okoliczność. Chce pan usłyszeć?

- Jeśli o tym mowa, ma pan moją niepodzielną uwagę.

Kambodża, Chiny, statkiem, a nawet samolotem transportowym z Da Nang. Żaden nie Pan Conway opisał kilka sposobów opuszczenia przeze mnie Wietnamu, via Laos, przypadł mi szczególnie do gustu, w żaden nie uwierzyłem, ale nic nie powiedziałem.

- A więc, Tam Ki - ciągnął Conway. - To cel pańskiej podróży przed Hanoi. W taki czy inny sposób zlokalizujemy tę miejscowość i przekazemy panu informację najpóźniej w Hue. Kiedy już pan dotrze do Tam Ki, prawdopodobnie znajdzie pan wiele rodzin o nazwisku Tran. Być może będzie pan potrzebował tłumacza, zanim pan pojedzie do Tam Ki, bo nie mówią tam za dobrze po angielsku. Jasne?

- Jasne.

- Zna pan trochę francuski, zgadza się?

- Naprawdę trochę.

- Czasem starsi ludzie i katolicycy duchowni mówią po francusku. Ale niech pan się postara o mówiącego po angielsku przewodnika lub tłumacza. Nie muszę panu mówić, że Amerykanin rozpytujący w małej wiosce Tranów o Trana Van Vinha może zwrócić uwagę. Proszę więc pomyśleć, jak pan to chce rozegrać. Jest pan glina. Robił pan to już. Trzeba się wczuć w sytuację, wybadać ludzi...

- Rozumiem. Proszę mówić dalej.

- No dobrze, ja osobiście uważam, że Tran Van Vinh nie żyje. Musi nie żyć. Zgadza się? Wojna, wiek i tak dalej. Jeśli zginął na wojnie, jego ciało leży gdzie indziej, tak jak ciało jego brata, które było w dolinie A Shau. Ale będzie rodzinny ołtarzyk jego pamięci. Chcemy, żeby pan zweryfikował i niezbicie potwierdził fakt jego śmierci. Sierżant Tran Van Vinh, między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, służył w Armii Ludowej, brał udział w walkach pod Quang Tri, zmarły brat nazywał się Tran Quan Lee...

- Jasne.

- Dobra. Z drugiej strony, on może żyć... w Tam Ki albo gdzie indziej.

- Słusznie. I to jest dla mnie trochę niejasne w celu mojej misji. Co mam zrobić z panem Tranem Van Vinnem, jeśli go znajdę żywego?

Conway spojrzał mi prosto w oczy i odparł:

- A gdybym panu powiedział, że ma pan go zabić?

Nie przerywając kontaktu wzrokowego, odrzekłem:

- Wie pan co, ja go znajdę, a pan go zabije. Ale lepiej, żeby miał pan dobry powód.

- Myślę, że kiedy pan z nim porozmawia, odkryje pan powód.

- Więc ktoś sobie ze mną pogrywa.

- Niech pan nie popada w melodramatyzm.

- Przepraszam, myślałem, że obaj popadamy w melodramatyzm.

- Nie, jesteśmy realistami. Oto misja... po angielsku, prostymi słowami: najpierw ustala pan, czy ten gość żyje, czy nie. Jeśli nie żyje, chcielibyśmy zobaczyć jakiś dowód, jeśli żyje, musi pan ustalić, czy mieszka w Tam Ki, czy gdzie indziej, a następnie z nim porozmawiać o pamięta, i zobaczyć, czy może zidentyfikować mordercę na serii zdjęć, którą postaramy się tym incydencie, do którego doszło w lutym sześćdziesiątego ósmego roku, sprawdzić, co panu dostarczyć. Poza tym, jak się pan dowie z listu, Tran Van Vinh wziął kilka rzeczy należących do ofiary morderstwa. My bierzemy pamiątki po zabitych, oni też to robią. Prawdopodobnie wciąż ma te rzeczy, a jeśli nie żyje, jego rodzina będzie je miała... znaczek identyfikacyjny, portfel, cokolwiek. W ten sposób zidentyfikujemy zamordowanego porucznika, a jednocześnie zweryfikujemy powiązanie Trana Van Vinha z miejscem zbrodni i, jeśli żyje, uwiarygodnimy go jako świadka.

- A my nie chcemy żywego i wiarygodnego świadka. - Pan Conway milczał. Dopilem kawę i powiedziałem: - A więc, jeśli znajdę Trana Van Vinha żywego, sprawdzę, czy jest w stanie zidentyfikować parę zdjęć, które być może dostanę w drodze, postaram się rzucić okiem na jego pamiątki, może je od niego odkupię... lub od jego rodziny, jeśli on sam nie

żyje, i być może wydostanę tego faceta z kraju, może nagram go na kasetę i albo zostawię go tam gdzie jest, albo podam panu Eaganowi w ambasadzie w Hanoi adres tego człowieka, i wtedy co ma się stać z Tranem Van Vinhem, to się stanie. A jeśli nie żyje, chcecie dowodu.

- To mniej więcej wszystko. Gramy na wycucie. Skontaktujemy się z panem w Sajgonie albo najpóźniej w Hue. Tutaj jeszcze toczy się debata nad tym, które rozwiązanie jest najlepsze.

- Niech się pan postara mnie zawiadomić, co postanowicie.

- Tak zrobimy. Jeszcze jakieś pytania?

- Nie.

- Panie Brenner, czy rozumie pan wszystko, co panu do tej pory powiedziałem? - spytał Conway oficjalnym tonem.

- Więcej. Rozumiem nawet pewne rzeczy, których mi pan nie powiedział.

Zignorował to.

- I pamięta pan wszystkie instrukcje słowne, które panu podałem?

- Pamiętam.

- Czy ma pan teraz jeszcze jakieś pytania do mnie?

- Czy mogę zapytać, dlaczego chcecie rozwalić tego faceta?

- Nie rozumiem pytania. Coś jeszcze?

- Nie.

Doug Conway wstał, ja też wstałem.

- Pański samolot startuje za godzinę - oznajmił. - Podróżuje pan klasą biznes, co nie jest zbytnią ekstrawagancją jak na pański status życiowy. W rubryce „zajęcie” na wizie ma pan wpisane „emeryt”, „cel wizyty - turystyczny”. Naturalnie istnieje możliwość, że mężczyzna w pańskim wieku, podróżujący samotnie, zostanie zatrzymany na Tan Son Nhat i przesłuchany. Ja spędziłem pół godziny z paranoicznym, niewymiarowym dżentelmenem w sali przesłuchań, kiedy wróciłem do Wietnamu. Musi pan podejść do tego na chłodno, nie okazywać wrogości, trzymać się swojej bajeczki, a jeśli wyniknie temat wojny, wcisnąć mu trochę kim o tym, jaka straszna musiała być wojna dla jego kraju. Niech pan okaże wyrzuty sumienia czy coś w tym guście. Oni to uwielbiają. Jasne?

- Więc nie powinienem wspominać, że zabijałem wietnamskich żołnierzy.

- Ja bym tego nie robił. To mógłby być zły początek. Ale niech pan powie uczciwie, że jest weteranem z Wietnamu, i chce pan odwiedzić pewne miejsca, które widział pan jako młody żołnierz. Niech pan powie przesłuchującemu, że był pan kucharzem, pisarzem czy kimś takim. Nie żołnierzem znającym pole walki. Oni tego nie lubią, o czym się boleśnie przekonałem. Jasne?

- Tak.

- Kiedy znajdzie się pan w hotelu - ciągnął Conway - proszę się z nami nie kontaktować. Hotele przechowują czasem kopie wysyłanych faksów, a miejscowa policja czasem je ogląda. To samo z telefonami. Wszystkie wybierane numery są rejestrowane dla celów billingu, jak wszędzie na świecie, ale są też udostępniane policji. Poza tym telefony mogą być na podsłuchu.

Już o tym wiedziałem, ale Conway miał w głowie listę i musiał odhaczyć na niej każdy punkt.

- Jeśli chodzi o pański przyjazd - powiedział - łącznik w Sajgonie sprawdzi, czy zameldował się pan w Reksie. Nie wzbudzi to żadnych podejrzeń, jeżeli odbierze pan miejscową rozmowę. Łącznik zawiadomi nas wtedy bezpiecznym faksem lub e-mailem z amerykańskiej firmy. Więc jeśli z jakiegóż przyczyny nie stawi się pan w Reksie, dowiemy się

o tym.

- I co zrobicie?

- Zbadamy sprawę.

- Dzięki.

- W tej torbie jest trzytygodniowy zapas tabletek przeciwko malarii. Powinien pan zacząć je brać cztery dni temu, lecz nie ma się czym martwić... trzy dni spędzi pan w Sajgonie, gdzie nie ma komarów przenoszących malarię. Proszę wziąć teraz tabletkę. Jest też antybiotyk, którego, mam nadzieję, nie będzie pan potrzebował. W zasadzie nie powinien pan pić wody, radzę też uważać na niegotowane potrawy. Może pan złapać żółtaczkę typu A, ale zanim pokażą się objawy, będzie pan z powrotem w domu. Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, że pan wyjeżdża, daliśmyby panu szczepionkę przeciwko żółtaczce...

- Wiedzieliście od pewnego czasu, że wyjeżdżam... to ja nie wiedziałem.

- Mniejsza z tym. W czasie lotu niech pan poczyta przewodnik. W torbie jest też egzemplarz przetłumaczonego listu. Proszę go przeczytać, ale musi się go pan pozbyć w czasie przesiadki w Seulu.

- O... A ja chciałem go mieć przy sobie na Tan Son Nhat.

- Przykro mi, jeśli podczas tej odprawy obraziłem pańską inteligencję lub umiejętności zawodowe, panie Brenner - oświadczył Conway. - Ja tylko spełniam rozkazy. - Spojrzał na mnie i dodał: - Karl powiedział, że być może nie przypadnie mi pan do gustu, ale lubię pana. Dam więc panu przyjacielską radę: istnieje możliwość, że dowie się pan więcej, niż potrzebuje wiedzieć. To, jak pan potraktuje te odkrycia, zadecyduje o tym, jak pan zostanie potraktowany.

Patrzyliśmy sobie z panem Dongiem Conwayem bardzo długo w oczy. Zdrowy na umyśle człowiek zabrałby się stamtąd i poszedł w cholerę, Ale pan Conway wykalkulował, skądinąd słusznie, że Paul Brenner nie przestraszy się groźby; pan Paul Brenner był bardziej zaciekawiony niż kiedykolwiek, i wysoce motywowany do odkrycia, o co w tym wszystkim chodzi. Paul Brenner jest idiotą. Pan Conway odchrząknął.

- Cóż, ma pan długi przystanek w Seulu. Proszę go spędzić w poczekalni linii Asiana. Być może będzie tam czekać na pana osoba lub wiadomość z dalszymi instrukcjami. A jeśli się okaże, że misja jest niewykonalna, tam zostanie pan zawrócony. Rozumiemy się?

- Tak.

- Czy mogę jeszcze teraz coś dla pana zrobić? - spytał pan Conway. - Jakies ostatnie pytania, instrukcje, sprawy osobiste, w których mogę pomóc?

- Właściwie tak. - Wyjąłem z kieszeni kopertę i powiedziałem: - Potrzebny mi jest bilet lotniczy z Bangkoku do Honolulu i rezerwacja w hotelu w Honolulu, a potem na Maui. Oto harmonogram podróży i numer mojej karty American Express.

Pan Conway wziął kopertę.

- Myślę, że będą chcieli pana z powrotem w Waszyngtonie - oznajmił.

- Nie obchodzi mnie, czego oni chcą. Chcę spędzić dwa tygodnie w raju. Omówimy wszystkie sprawy w Bangkoku.

- Dobrze. - Schował kopertę do kieszeni. - Coś jeszcze?

- Nie.

- A więc życzę panu szczęścia. I niech pan na siebie uważa.

Nie odpowiedziałem.

- Wie pan... proszę mi wierzyć, niezależnie od pańskiej misji ta podróż przyniesie panu więcej dobrego niż złego.

- Moje dwie pierwsze wycieczki w tamte strony byłyby świetne, gdyby nie wojna.

Pan Conway nie uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że dobrze pana przygotowałem. Zawsze się o to martwię.

- Wykonał pan świetną robotę, panie Conway. Może pan spać spokojnie.

- Dziękuję.

Wyciągnął rękę.

- Chwileczkę - powiedziałem w tym samym momencie. - O mało bym zapomniał. - Otworzyłem neseser i wręczyłem panu Conwayowi powieść Danielle Steel.

Popatrzył na nią dziwnie, jak gdyby ta książka miała jakieś szczególne znaczenie.

- Nie chce, żeby znaleziono to w domu, jeśli nie wrócę - wyjaśniłem. - Rozumie pan? Proszę ją komuś dać. Nie musi jej pan sam czytać.

Pan Conway spojrział na mnie z widocznym zatroskaniem, a potem znów wyciągnął rękę. Tym razem uścisnęliśmy sobie dłonie. Odszedł, nawet nie podziękowawszy mi za książkę.

Otworzyłem foliową torebkę na stole i przełożyłem pieniądze, bilety vouchery hotelowe, list i wizę do kieszeni na piersi. Tabletki przeciw malarii, antybiotyk i przewodnik *Samotna planeta* schowałem do neseseru.

Na dnie foliowej torby leżało coś owinięte w bibułę. Odwinałem papier i zobaczyłem, że to jedna z tych durnych szklanych kul ze śniegiem. Wewnątrz był model Muru, czarny na tle padającego śniegu.

Rozdział 4

Boeing 747 linii lotniczych Asiana Air zaczął schodzić na międzynarodowe lotnisko Kimpo w Seulu w Korei. Po piętnastu godzinach w powietrzu nie byłem pewien, jaki jest lokalny czas ani nawet jaki dzień. Słońce wisiało mniej więcej czterdzieści pięć stopni nad horyzontem, więc był albo środek rana, albo środek popołudnia, w zależności od tego, gdzie był wschód, a gdzie zachód. Kiedy się okrąży kulę ziemską, wszystko to i tak nie ma znaczenia, chyba że jesteś pilotem.

Zauważyłem, że krajobraz w dole pokryty jest śniegiem. Wsłuchałem się w hydrauliczne odgłosy samolotu podchodzącego do lądowania.

Miejsce obok mnie było puste i miałem nadzieję, że na ostatnim etapie podróży też mi się tak poszczęści.

A przecież może nie być ostatniego etapu, jeśli zawrócą mnie w Seulu. Rzecz jasna, szanse na to, że tak się stanie, były bliskie zera, ale oni zawsze wciskają ci to do głowy jako szczęśliwą ewentualność. Miałem podobne doświadczenie z pierwszych dwóch podróży do Wietnamu. Mój rozkaz brzmiał: „Południowo-wschodnia Azja”, a nie nazwa pewnego kraju na W, jak gdybym mógł wylądować w Bangkoku czy na Bali. Słusznie.

Nadeszła pora, by przeczytać list, od którego wszystko się zaczęło. Wyjąłem z kieszeni zwykłą kopertę, otworzyłem ją i wyciągnąłem kilka złożonych arkuszy papieru. Pierwszy był fotokopią oryginalnej koperty zaadresowanej do Trana Quan Lee; potem następował skrót,

który przypuszczalnie oznaczał jego stopień wojskowy, a następnie szereg liczb i liter, pod którymi kryła się nazwa jednostki Wietnamskiej Armii Ludowej.

Adres zwrotny składał się z nazwiska Trana Van Vinha, jego stopnia i jednostki. W żadnym z adresów nie było położenia geograficznego, bo armie się przemieszczają, naturalnie, a poczta wędruje za żołnierzami.

Odłożyłem kopertę i spojrzałem na sam list. Było to napisane na komputerze, trzystronicowe tłumaczenie, bez odbitki oryginalnego wietnamskiego listu; znów nasunęła mi się myśl, że czegoś brakuje albo że coś zostało zmienione.

Spróbowałem sobie wyobrazić system pocztowy północnowietnamskiej armii w czasie wojny, który musiał być tak prymitywny jak system pocztowy w dziewiętnastym wieku - listy podawane od osoby do osoby, do kurierów, wędrujące powoli od cywilów do żołnierzy lub od żołnierzy do rodzin, lub od żołnierzy do żołnierzy, jak w tym wypadku, i bardzo często adresat lub nadawca, albo obaj, nie żyli, zanim list został doręczony.

W każdym razie upływały miesiące, nim listy docierały do adresatów, jeśli w ogóle docierały. Pomyślałem o trzystu tysiącach zaginionych północnowietnamskich żołnierzy i o milionie tych, którzy na pewno zginęli; wielu z nich wyparowało od tysiącfuntowych bomb zrzuconych przez B-52 w czasie nalotów na trasy infiltracyjne.

Uświadomiłem sobie, że to cud, że list w ogóle wydostał się z oblężonego miasta Quang Tri, a następny cud, że dotarł do adresata, Trana Quan Lee w dolinie A Shau, prawie tysiąc kilometrów dalej, i jeszcze jeden cud, że został znaleziony przy jego zwłokach przez amerykańskiego żołnierza. Być może ostatnim cudem było to, że ów amerykański żołnierz Victor Ort przeżył wojnę, zachował list przez ponad trzydzieści lat, a potem podjął próbę wysłania go do Hanoi za pośrednictwem Amerykańskiego Związku Weteranów Wojny Wietnamskiej.

List został jednak zaadresowany do kwatery głównej CID w Falls Church w Wirginii, bo jakiemuś sokolookiemu gościowi w AZWWW, weteranowi wojennemu, instynkt kazał zwrócić się do wojskowego Wydziału Dochodzeń Kryminalnych, a nie do FBI. Wiedziałem, że gdyby list najpierw wpadł w ręce FBI, CID nigdy by o nim nie usłyszał, i ja też. Ale okazało się, że jest to sprawa CID, prowadzona z pomocą FBI, który to układ nikogo nie zadowalał, łącznie ze mną.

Spojrzałem jeszcze raz na drukowane tłumaczenie, nie całkiem gotów je przeczytać, dopóki nie zrozumiem w pełni, jak trafiło na moje kolana.

Nasuwało się też pytanie, po co ja to robię? Oprócz Cynthii był jeszcze obowiązek, honor, ojczyzna, nie wspominając o nudzie, ciekawości i odrobinie pozy mocnego faceta. W istocie, moje rozstanie z aktywną służbą nie skończyło się właściwym akcentem, a to zadanie z pewnością miało być ostatnim akcentem, dobrym czy złym.

Popatrzyłem na list i zobaczyłem datę: ósmy lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Przczytałem słowa Trana Van Vinha do brata, który już wkrótce miał być martwy:

Mój ukochany bracie Lee! Gdy pisz

ę ten list, który, mam nadzieję, znajdzie cię w dobrym zdrowiu i nastroju, leżę ranny razem z kilkunastoma towarzyszami wmieście Ouang Tri. Nie martw się, nie jestem ciężko ranny, otrzymałem kilka ran od odłamków w plecy i nogi i wiem, że się zagoją. Opiekuje się nami wzięty do niewoli lekarz ze szpitala katolickiego i sanitariusze z naszej Armii Ludowej .

Bitwa o miasto szaleje wokół nas, amerykańskie bombowce latają dzień i noc, a pociski artyleryjskie padają bez końca. Ale jesteśmy bezpieczni w głębokiej piwnicy buddyjskiej szkoły za murami cytadeli . Mamy żywność i wodę i mam nadzieję wrócić niebawem do służby.

Podniosłem wzrok znad listu i przypomniałem sobie te chwile w okolicach Quang Tri.

Mój batalion był na zachód od miasta i nie widzieliśmy walk w samym mieście, lecz widzieliśmy północnowietnamskich żołnierzy uciekających z Quang Tri, które utrzymali tylko przez tydzień albo jakoś tak, zanim wyparli ich Wietnamczycy z południa. Nieprzyjaciel zaczął się wymykać małymi grupkami, starając się dotrzeć do względnie bezpiecznych wzgórz bądź dżungli na zachodzie, a zadanie mojego batalionu polegało na przecięciu im drogi. Zdołaliśmy znaleźć, zabić lub schwytać część z nich, ale nie wszystkich. Statystycznie rzecz biorąc, szanse na to, że Tran Van Vinh wymknął się z miasta, były małe, a na to, że przeżył siedem ostatnich lat wojny - jeszcze mniejsze. A jeśli przeżył, czy będzie wśród

żywych prawie trzydzieści lat później?

Mało prawdopodobne, lecz w tej sprawie doliczyłem się już paru cudów.

Czytałem dalej:

Muszę ci opowiedzieć o dziwnym i ciekawym przypadku, którego wczoraj byłem świadkiem. Leżałem na drugim piętrze budynku administracyjnego wewnątrz cytadeli, raniony odłamkiem wybuchającego pocisku artyleryjskiego, który zabił dwóch moich towarzyszy. W posadzce była dziura, a ja spoglądałem przez nią, mając nadzieję zobaczyć któregoś z towarzyszy. Właśnie w tej chwili do budynku weszło dwóch amerykańskich żołnierzy. Moją pierwszą myślą było, żeby ich zabić z karabinu, ale nie wiedziałem, ilu innych jest w pobliżu, więc nie rozpocząłem ognia.

Ci dwaj Amerykanie nie przeszukali zburzonego w połowie budynku. Zaczęli rozmawiać. Zorientowałem się po insygniach na hełmach, że jeden jest kapitanem, a drugi porucznikiem - dwaj oficerowie! Ale miałbym żniwo, gdybym ich zabił! Lecz nie otworzyłem ognia. Dostrzegłem też, że obaj mają na ramionach oznaczenia kawalerii powietrznej, która jest liczna w tej okolicy, chociaż w mieście ich dotąd nie widziałem.

Kiedy ich obserwowałem, gotów zastrzelić obu, gdyby mnie zauważyli, zaczęli się kłócić. Porucznik był niesubordynowany wobec wyższego rangą oficera, i kapitan bardzo się na niego rozgniewał. Trwało to dwie lub trzy minuty, potem porucznik się odwrócił i ruszył w stronę wyrwy w murze, przez którą weszli.

Zobaczyłem, że kapitan wyciąga pistolet i krzyczy coś do porucznika, który się odwrócił. Nic więcej nie powiedzieli, a kapitan strzelił porucznikowi prosto w czoło. Hełm porucznika poleciał w górę, on sam zaś padł martwy na plecy wśród gruzu.

Tak mnie to zaskoczyło, że nie zareagowałem, kiedy kapitan wybiegał z budynku. Poczekałem, żeby zobaczyć, czy wystrzał z pistoletu ściągnie żołnierzy wroga, ale w mieście było tyle strzałów i wybuchów, że pojedynczego strzału w ogóle nie było słychać.

Leżałem tam i patrzyłem przez dziurę aż do zmroku. Potem zszedłem po schodach i podszedłem do ciała Amerykanina. Zabrałem jego manierkę z wodą, parę konserw, karabin i pistolet, portfel i inne rzeczy, które przy nim znalazłem. Miał ładny zegarek, który wziąłem, ale, jak wiesz, gdyby Amerykanie złapali mnie z tym zegarkiem albo z innymi amerykańskimi rzeczami, zastrzeliliby mnie. Więc będę musiał postanowić, co zrobić z tymi przedmiotami, które wziąłem.

Pomyślałem, że zaciekaw cię to wydarzenie, chociaż ja nie umiem nadać mu żadnego znaczenia.

Miałeś wiadomości od naszych rodziców i siostry? Ja od dwóch miesięcy nie miałem żadnych wieści z Tam Ki. Nasz kuzyn Liem napisał do mnie i poinformował, że każdego tygodnia widuje

ciężarówki pełne naszych rannych towarzyszy i długie kolumny zdrowych towarzyszy maszerujących na południe, żeby wyzwolić nasz kraj od amerykańskich najeźdźców i ich marionetek, żołnierzy Sajgonu. Liem pisze, że amerykańskie bombowce nasiliły swoją aktywność w tej okolicy, więc oczywiście martwię się o naszą rodzinę. Pisze też, że żywności w Tam Ki jest dość, ale nie bardzo dużo. Żniwa w kwietniu powinny dać obfitość ryżu wiosce.

Nie miałem wiadomości od Mai, ale wiem, że pojechała do Hanoi, żeby opiekować się chorymi i rannymi. Mam nadzieję, że będzie tam bezpieczna od amerykańskich bomb. Chciałbym, żeby pozostała w Tam Ki, lecz wiem, że jest wielką patriotką i idzie tam, gdzie jest potrzebna.

Mój bracie, obyś był bezpieczny i zdrowy i oby ten list dotarł do ciebie, a potem do naszej rodziny. Jeśli mama, tata i siostra go przeczytają, ślę im moje pozdrowienia i wyrazy miłości. Głęboko wierzę, że za dzień lub dwa wydam się z Quang Tri, znajdę się w bezpiecznym miejscu, gdzie będę mógł w pełni wyzdrowieć i dalej pełnić

służbę dla wyzwolenia naszego kraju. Napisz do mnie i powiedz, jak idzie tobie i twoim towarzyszom.

(Podpis) Twój kochający brat Vinh

Złożyłem list i zamyśliłem się nad tym, co przeczytałem. Pomyślałem, że ten list, napisany do brata, który wkrótce miał umrzeć, pozwolił mi spojrzeć na wojnę z innej perspektywy. Mimo koturnowego tłumaczenia i patriotycznych wstawek taki list mógł napisać amerykański żołnierz; w podtekście była samotność, tęsknota za domem, strach, troska o rodzinę i, naturalnie, ledwie skrywany lęk o Mai, która była pewnie dziewczyną autora. Narzeczone pracujące w szpitalach polowych w wielkich miastach były z pewnością wystawione na różne pokusy, na całym świecie. Uśmiechnąłem się. Poczulem, że mogłbym się porozumieć z Tranem Van Vinhem, i uświadomiłem sobie, że kiedyś doświadczyliśmy wspólnie tej samej wojny, w tym samym miejscu i czasie. Mogłbym nawet polubić tego faceta, gdybyśmy się poznali. Rzecz jasna, gdybym go spotkał w sześćdziesiątym ósmym roku, zabiłbym go.

Jeśli idzie o Lee, to co ciekawe, nasze drogi też mogły się skrzyżować. Mój batalion Pierwszej Dywizji Kawalerii po akcji pod Quang Tri w lutym został w kwietniu przetrzucony drogą powietrzną do Khe Sanh na odsiecz oblężonym oddziałom, a potem w taki sam sposób przetransportowany do doliny A Shau. Byliśmy mobilną jednostką powietrzną, co oznaczało, że jeśli gówno spadało gdzieś gęsto z nieba, lecieliśmy tam śmigłowcami. Jak bardzo facetowi może się poszczęścić?

Ale dość słodkich mrzonek. Przeczytałem ponownie list, skupiając się na szczegółach i okolicznościach domniemanego morderstwa. Po pierwsze, z pewnością wyglądało to na morderstwo, choć ocena mogłaby zależeć od przedmiotu sprzeczki. Po drugie, było to dziwne i ciekawe wydarzenie, jak zauważył sierżant Vinh.

Zacząłem od początku listu - budynek administracyjny wewnątrz cytadeli. Wiele wietnamskich miast miało cytadele, przeważnie zbudowane przez Francuzów. Cytadela to otoczone murem i ufortyfikowane centrum miasta, mieszczące budynki administracyjne, szkoły, szpitale, kwatery wojskowe, a nawet dzielnice mieszkaniowe. Znałem cytadelę w Quang Tri, bo byłem tam oddelegowany na ceremonię na placu defilad w lipcu sześćdziesiątego ósmego roku, podczas której wietnamski rząd rozdawał medale amerykańskim żołnierzom za rozmaite bitwy. Cytadela była do połowy w ruinie; teraz zdałem sobie sprawę, że musiałem być w pobliżu miejsca, gdzie sześć

miesiący wcześniej doszło do opisanego incydentu. Dostałem wietnamski Krzyż Kawalerski, a wietnamski pułkownik, który mi go przypinał, był na moje nieszczęście szkolony przez Francuzów i dał mi całusa w oba policzki. Powinienem być mu powiedzieć, żeby mnie pocałował w tyłek, ale to nie jego wina, że ja się tam znalazłem.

W każdym razie miałem pewne wyobrażenie o miejscu, gdzie doszło do incydentu. Próbowałem też wyobrazić sobie tych dwóch amerykańskich oficerów wchodzących do na wpół zrujnowanej cytadeli, pośród szalejącej bitwy, na oczach Trana Van Vinha leżącego ze świerżbiącym palcem na cynglu kałasznikowa, krwawiącego po wybuchu amerykańskiego pocisku artyleryjskiego.

Ci amerykańscy oficerowie z pewnością nie byli żołnierzami bojowych jednostek piechoty, bo byłiby w otoczeniu swojego oddziału; byli to niewątpliwie ludzie z zaplecza, najprawdopodobniej doradcy wojskowi, którzy - jak sobie przypominałem - mieli kwaterę gdzieś w cytadeli. Jakoś zostali oddzieleni od południowowietnamskiej jednostki, z którą byli związani, albo Wietnamczycy dali nogę, co im się czasem zdarzało. Częściowo spekulowałem, ale było to najbardziej logiczne wyjaśnienie, jak ci dwaj amerykańscy

oficerowie znaleźli się sami, bez swojego oddziału, w mieście, którego garnizon składał się w całości z żołnierzy armii Wietnamu Południowego.

Więc ci dwaj Amerykanie wpadają w sam środek wymiany ciosów między Wietnamczykami z północy i południa, miasto jest strefą śmierci, a oni znajdują czas, żeby znaleźć się sam na sam i wszcząć awanturę, która doprowadza do tego, że jeden wyciąga pistolet i rozważa drugiego. Dziwne. Mógłbym się podpisać pod zdaniem z listu Trana Van Vinha - „Nie umiem nadać temu zdarzeniu żadnego znaczenia”. Lecz miałem przeczucie, że sednem całej tej sprawy jest przedmiot sprzeczki dwóch oficerów.

Zerknąłem ponownie na list: „kapitan wybiegł z budynku”. Tran Van Vinh, łebski żołnierz, który wyszedł cało z ostrzału, nie rusza się przed zapadnięciem zmroku, potem podchodzi do ciała porucznika, zabiera wodę, bo to dla mego najważniejsze, a następnie rację żywnościową Amerykanina, jego karabin oraz pistolet - prawdopodobnie kolt .45 - portfel i „inne rzeczy”. Jakie? Niewątpliwie blaszany znaczek identyfikacyjny na szyi. To była dla wroga ważna zdobycz i dowód, że się zabiło Amerykanina, a za to dostawało się kawałek ryby czy coś takiego. Lecz, jak zauważył sierżant Vinh, gdyby został schwytany z tymi przedmiotami, rozstrzelano by go mimo konwencji genewskiej. Zatem sierżant Vinh musiał postanowić, co zrobić ze swoimi trofeami wojennymi.

Może je zatrzymał, a może, bez względu na to, czy jeszcze żyje, czy nie, wciąż leżą wystawione dumnie na pokaz w jego rodzinnej chacie. Może.

Czego więc brakowało w przekładzie listu? Wyrażenie „i inne rzeczy, które przy nim znalazłem” mogło zostać podstawione zamiast prawdziwych słów Vinha.

Możliwe jednak, że doszukiwałem się w tym zbyt wiele i byłem przesadnie podejrzliwy. Odrobina podejrzliwości i spekulacji nie zawadzi - za dużo myślenia, a zaczynasz przechytrzać samego siebie.

Uprzytomniłem sobie, że jesteśmy prawie na ziemi. Kilka sekund później boeing dotknął pasa, potoczył się i pokołował do terminalu.

W terminalu numer dwa lotniska Kimpo w Seulu szybko przeszedłem przez kontrolę paszportową i celną.

Ponad dwadzieścia lat temu stacjonowałem w Korei: sześć miesięcy w Seulu i sześć miesięcy w strefie zdemilitaryzowanej. To była przyjemna służba, Koreańczycy zdawali się lubić amerykańskich sojuszników, a w zamian za to amerykańscy żołnierze zachowywali się w miarę poprawnie. Miałem tylko jedną sprawę zabójstwa obywatela koreańskiego, trzy gwałty tudzież parę przypadków pijaństwa i burd. Naprawdę nie najgorzej jak na pięćdziesiąt tysięcy ludzi zgromadzonych w miejscu, w którym nie chcieli być.

Przeszedłem do głównego terminalu, który przypominał ogromną grootę z antresolą biegnącą wzdłuż wszystkich czterech ścian.

Miałem czterogodzinny postój, a mój bagaż został skontrolowany i wysłany do Hoshimino, tak w każdym razie powiedzieli na lotnisku Dullesa.

Zdawało się, że wszędzie jest pełno sklepików z makaronem i barów; zapach ryb i kapusty przywoływał wspomnienia sprzed dwudziestu lat.

Zauważyłem duży cyfrowy zegar na ścianie; wskazywał piętnastą dwadzieścia sześć; był piątek - dzień podano po angielsku. Właściwie pod wszystkim widniały angielskie podpisy, więc ruszyłem za znakiem Airline Clubs.

Klub Morning Calm znajdował się na poziomie antresoli; wszedłem do środka i podałem bilet młodej pani za kontuarem. Uśmiechnęła się.

- Witamy w klubie. Proszę się podpisać w książce.

Złożyłem podpis i zauważyłem, że przygląda się mojemu biletowi.

- O, pan Brenner - powiedziała zgodnie z moimi oczekiwaniami. - Jest dla pana wiadomość. - Poszperała za ladą i podała mi zapieczętowaną kopertę z moim nazwiskiem.

- Dziękuję.

Podniosłem neseser i wszedłem do dużej, dobrze urządzonej poczekalni. Wziąłem sobie kawę, usiadłem w klubowym fotelu i spojrzałem na wiadomość. Był to teleks od Karla: *Misja aktualna - Wszystkie instrukcje od pana C. pozostają ważne - Zawężamy listę nazwisk w aktach osobowych - Może się spotkamy w Bangkoku - Honolulu niewykluczone - Bezpiecznej i owocnej podróży - K.*

Wsunąłem teleks do kieszeni i pociągnąłem łyk kawy. Misja aktualna - świetna wiadomość. Honolulu niewykluczone. Co to miało, do cholery, znaczyć?

Poszedłem do klubowego centrum biurowego i włożyłem do niszcarki teleks od Karla, mój e-mail do Cynthii i list Trana Van Vinha. Potem zrobiłem dwie odbitki wizy i paszportu, schowałem je do neseseru i wróciłem do poczekalni. Znalazłem wczorajszy numer „Washington Post” i przekartkowałem go.

Chyba byłem trochę zły na Karla za jego Honolulu niewykluczone i niejasność tego zwrotu. Czy rozmawiał z Cynthią? Czy chciał powiedzieć, że on się zgadza na Honolulu, ale Cynthia jest niezdecydowana? Czy może miał na myśli, że Honolulu będzie możliwe w zależności od tego, co się stanie w Bangkoku? I co, do cholery, działo się z Cynthią? Karl jest tak kurewsko niewrażliwy, że nawet nie wspomniał, czy z nią rozmawiał.

Zaczynałem sam sobie działać na nerwy, a to nie jest dobry sposób na rozpoczęcie misji.

Zauważyłem, że to pogrążam się w półśnie, to z niego wychodzę; w mojej głowie pojawiały się niespodziewane obrazy: Peggy, Jenny, ojciec Bennett, rodzice, cień księdza za kratką konfesjonału, Liceum Świętej Brygidy, moja stara dzielnica i koledzy z dzieciństwa, kuchnia mamy i zapach kapusty gotującej się w garnku. Wszystko to było z jakiegoś powodu bardzo smutne.

Rozdział 5

Lot samolotem Vietnam Airlines z Seulu przez dwie strefy czasowe do Sajgonu upłynął bez żadnych wydarzeń, jeśli nie liczyć tych w mojej głowie.

W każdym razie jedzenie, obsługa i napitki były dobre; miałem dziwne wrażenie, siedząc w klasie biznes nowoczesnego boeinga 767, należącego do wietnamskich linii lotniczych. Koledzy, którzy wyjeżdżali do Wietnamu w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, opowiadali, że w Vietnam Airlines latają wyłącznie rosyjskie ily i tupolewy, do których strach wsiadać, piloci są przeważnie rosyjscy, a jedzenie i obsługa - podłe. Wydawało się, że nastąpiła poprawa, ale nie byliśmy jeszcze na ziemi. Był natomiast problem z pogodą, a konkretnie z typowym dla południowo-wschodniej Azji tropikalnym szkwałem.

Dochodziła mniej więcej jedenasta w nocy, a my już mieliśmy godzinę opóźnienia; był to akurat w tej chwili najmniejszy z naszych problemów.

Siedziałem przy oknie i chwilami, gdy deszcz słabł, widziałem światła Sajgonu, więc wydawało mi się, że jeśli widać ziemię, to trzeba posadzić na niej ten cholerny samolot.

Jeszcze raz przyszła mi na myśl moja pierwsza płatna podróż do Wietnamu w sześćdziesiątym siódmym roku. Leciałem wtedy liniami Braniff - wycarterowanym przez armię, psychodelicznie żółtym boeingiem 707 z bazy wojskowej w Oakland, z ładniutką stewardesą w odjazdowym kostiumie. Same stewardesy też były trochę zwariowane, szczególnie jedna imieniem Elizabeth, patriotycznie nastawiona młoda dama, którą poznałem na balu United Service Organizations w San Francisco, kilka dni przed moim odlotem do Wietnamu.

Co do ślubów czystości przez rok, które złożyliśmy z Peggy, to dzięki Elizabeth nie zrobiłem chyba dobrego początku. Przyszłość rysowała mi się wówczas dość niepewnie i

prawie wszystko byłem w stanie usprawiedliwić. Ale może nie powinienem usprawiedliwiać tego trzydzieści lat później. Cóż, trzeba było tam być.

Jeśli zaś idzie o lot liniami Braniff, to kto oprócz Amerykanów mógł wysłać swoje siły zbrojne na wojnę luksusowym samolotem? To było pokręcone i, w ostatecznym rozrachunku, okrutne. Myślę, że wolałbym statek transportowy, który pozwoliłby nam wolniej przejść od pokoju do wojny i który przynajmniej dawał szansę oswojenia się z podłym nastrojem.

Nie wiem, co się stało z Elizabeth, ani z liniami Braniff, skoro już o tym mowa, lecz uświadomiłem sobie, że zaczyna do mnie wracać dużo dawno zapomnianych spraw, a miało ich być jeszcze więcej, i to o wiele mniej przyjemnych niż wspomnienie Elizabeth.

Facet obok, Francuz, ignorował mnie od chwili, gdy weszliśmy na pokład, co mi odpowiadało, lecz teraz postanowił się do mnie odezwać i całkiem przyzwoicie po angielsku

spytał:

- Myśli pan, że jest jakiś problem?

Odczekałem chwilę.

- Myślę, że piloci albo lotnisko stwarzają problem - odparłem.

Skinął głową.

- Tak, chyba właśnie tak jest. - A potem dodał: - Może musimy polecieć na inne lotnisko.

Nie sądziłem, żeby w pobliżu znajdowało się inne lotnisko zdolne przyjąć boeinga 767.

Trzydzieści lat temu było pod dostatkiem wojskowych lotnisk z pasami ciągnącymi się w nieskończoność i wojskowych pilotów, którzy mieli jaja jak melony - tak wtedy mówiliśmy.

Patrząc na to z gorszej strony, trzeba było ostro nurkować, żeby uniknąć małych ludzików z karabinami maszynowymi, którzy mieli wielką ochotę zarobić na dodatkową miskę ryżu za rozsmarowanie cię po pejzażu.

Wbrew turbulencjom, bliskości lotniska i przepisom FAA, które i tak nie miały tutaj zastosowania, zjawiły się dwie stewardesy, jedna z butelką szampana, a druga z kieliszkami do szampana między palcami.

- Szampan? - spytała ta trzymająca butelkę, z ładnym francuskim akcentem. *Cham-pan-ya.*

- *Oui* - odparłem.

- *S'il vous plait* - powiedział mój francuski przyjaciel, Obie stewardesy były niemożliwie młode i ładne, miały proste, atramentowoczarne włosy sięgające do ramion. Obie były ubrane w tradycyjne *ao dai* - jedwabne suknie do podłogi z wysokimi kołnierzami *mandarin*. Żółte suknie miały z boku wycięcia aż do talii, lecz niestety młode damy nosiły skromne pantalone, które odróżniały je od dziewcząt z barów na ziemi.

Francuz i ja wzięliśmy po kieliszku z palców drugiej stewardesy, a pierwsza napełniła je do połowy bąbelkami; samolot nie przestawał podskakiwać.

- *Merci* - powiedzieliśmy obaj.

Niespodziewanie Francuz dotknął kieliszkiem mojego kieliszka.

- *Sante* - rzucił.

- *Cheers.*

- Jest pan tutaj służbowo? - spytał.

- Nie, jako turysta.

- Tak? Mam biznes w Sajgonie. Kupuję drewno tekowe i inne rzadkie gatunki drewna. Michelin też wrócił po kauczuk. Jest także poszukiwanie ropy w morzu niedaleko wybrzeża. Zachód znów gwałci ten kraj.

- Cóż, ktoś musi to robić.

Francuz parsknął śmiechem.

- Właściwie Japończycy i Koreańczycy też gwałcą ten kraj. W Wietnamie jest mnóstwo bogactw naturalnych, które nigdy nie były eksploatowane, a siła robocza jest bardzo tania.

- To dobrze. Mam napięty budżet.

- Komuniści jednakże stanowią problem - ciągnął mój rozmówca. - Nie rozumieją kapitalizmu.

- Może rozumieją go za dobrze.

Znów się roześmiał.

- Tak, myślę, że ma pan rację. W każdym razie proszę uważać. Policja i partyjni dygnitarze mogą sprawić kłopoty.

- Jestem tylko na wakacjach.

- *Bon.* Woli pan dziewczęta czy chłopców?

- *Pardon?*

Francuz wyciągnął z kieszeni na piersi notes i zaczął coś pisać.

- Tutaj są nazwiska, adresy i numery telefonów - oznajmił. - Jeden bar, jeden burdel, jedna wspaniała dama i nazwa dobrej indochińskiej restauracji. - Podał mi kartkę z notesu.

- *Merci* - powiedziałem. - Od czego mam zacząć?

- Zawsze powinno się zaczynać od dobrego posiłku, ale jest bardzo późno, więc niech pan idzie do baru. Niech pan nie bierze żadnej prostytutki... proszę wybrać którąś z kelnerek lub dziewcząt z obsługi. To będzie dowód, że zna pan *savoir-faire*.

- *Savoir-faire* to moje drugie imię.

- Proszę nie płacić więcej niż pięć dolarów amerykańskich w barze, pięć w burdelu i dwadzieścia *mademoiselle Dieu-Kiem*. Jest pół-Francuzką i mówi kilkoma językami. Jest wyśmienitą towarzyszką do kolacji i może panu pomóc w zakupach i zwiedzaniu.

- Całkiem nieźle za dwadzieścia dolców. - Tyle brała Jenny trzydzieści lat temu w Georgii, a mówiła tylko po angielsku.

- Ale proszę zapamiętać moją radę... prostytutka jest oficjalnie nielegalna w Socjalistycznej Republice Wietnamu.

- Tak samo jak w Wirginii.

- Wietnam to szereg sprzeczności... rząd jest komunistyczny, totalitarny, ateistyczny i ksenofobiczny. Ludzie są wolnymi duchem kapitalistami, wyznają buddyzm, katolicyzm i są przyjaźnie nastawieni do cudzoziemców. Mówię o południu, na północy jest całkiem inaczej. Na północy naród i rząd to jedno. Musi pan bardziej uważać, jeśli wybiera się pan na północ.

- Będę się kręcił w okolicach Sajgonu. Zobaczę kilka muzeów, załapię się na parę widowisk, kupię trochę błyskotek dla rodziny.

Francuz popatrzył na mnie przez chwilę, a potem jakby mnie zdmuchnął, podnosząc gazetę.

Włączyły się głośniki, pilot powiedział coś po wietnamsku i po francusku. Potem drugi pilot, okrągłooki, dodał po angielsku:

- Proszę wrócić na miejsca i zapiąć pasy. Wkrótce będziemy lądować. - Stewardesy zebrały kieliszki do szampana

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem łuki zielonych i czerwonych pocisków smugowych, przecinające nocne niebo wokół Sajgonu. Ujrzałem świetliste rozbłyski pocisków artyleryjskich i raketowych oraz pomarańczowoczerwone wybuchy w miejscach, gdzie pociski spadały na poletki ryżowe. Widziałem to wszystko z zamkniętymi oczyma - obrazy sprzed trzydziestu lat, wypalone w mojej pamięci.

Otworzyłem oczy i ujrzałem miasto Hozimin, dwa razy większe od starego Sajgonu i jaśniej oświetlone niż oblężona stolica w czasie wojny. Wyczułem, że Francuz mi się przygląda.

- Był pan już tutaj - rzekł. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Tak, byłem.

- W czasie wojny, tak?

- Tak. - Może to widać.

- Zobacz pan, że jest całkiem inaczej.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Taką mam nadzieję. Roześmiał się.

- *Plus ça change, plus c'est la même chose* - dodał.

Wsluchałem się w hydrauliczne odgłosy samolotu zbliżającego się do lotniska Tan Son Nhat. To miała być - wiedziałem o tym - dziwna podróż wstecz w czasie i przestrzeni.

KSIĘGA II

Sajgon

Rozdział 6

Przebiliśmy się przez chmury i spojrzałem w dół na lotnisko Tan Son Nhat po raz trzeci w życiu. To dziwne, lecz lotnisko wyglądało tak samo jak bez mała trzydzieści lat temu; umocnień z worków z piaskiem nie usunięto po wojnie, i pozostała część wojskowa, gdzie koło starych amerykańskich hangarów widziałem rosyjskie myśliwce typu MiG. Zauważyłem też amerykański transportowiec C-130 i zaciekało mnie, czy jest sprawny, czy stanowi tylko trofeum wojenne.

Przypomniałem sobie, że Komenda Doradztwa Wojskowego w Wietnamie miała sztab główny na Tan Son Nhat, co okazało się wygodne w kwietniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku gdy zwycięskie oddziały komunistyczne zbliżały się do lotniska; faceci z MACV, którzy byli jednymi z ostatnich amerykańskich żołnierzy w Wietnamie, wysadzili swój sztab i odlecieli samolotami linii Air America. Oglądałem to w telewizji a teraz zauważyłem sterty gruzu, które być może pochodziły z kwatery głównej MACV, zwanej Pentagon-Wschod.

Gdy zbliżaliśmy się do pasa, spostrzegłem, że cywilny terminal też jest tą samą rudera, którą zapamiętałem. Doznałem dziwnego uczucia, że przeszedłem przez strefę zmierzchu i wracam żeby odbyć trzecią turę służby. W gruncie rzeczy tak właśnie było.

Dotknęliśmy mokrego pasa z ledwie wyczuwalnym podskokiem, czyli sterował okrągłooki. Asfalt jednak wciąż musiał mieć dziury po wybuchach, bo później toczyliśmy się ponad kilometr po fatalnej nawierzchni.

Samolot skręcił na boczny pas i z jakiegoś powodu się zatrzymał. Podczas podchodzenia miejsca przy bramce terminalu tego lotniska, które z powodzeniem mogłoby się nazywać nie widziałem na płycie ani jednego samolotu, więc na pewno nie czekaliśmy na zwolnienie Zadupie. Kiedy w czasie wojny rządzi tu Amerykanie, Tan Son Nhat było trzecim najbardziej ruchliwym portem lotniczym świata i działało jak należy. Ale to inna historia. Wiedziałem, że muszę wrócić myślami do rzeczywistości tu i teraz, co też spróbowałem uczynić. Lecz gdy czekaliśmy na bocznym pasie, moje myśli ciągle wracały do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku i wydarzeń, które doprowadziły do mojej drugiej wizyty w tym kraju.

Stacjonowałem w Fort Hadley, gdzie się zaciągnąłem po pierwszej turze, po tym jak przestaliśmy do siebie pisać z Peggy Walsh albo, gwoli uczciwości, po tym jak ja przestałem do niej pisać.

Po około sześciu miesiącach pobytu w Hadley, z jakiejś przyczyny znanej tylko Panu

Bogu i Zygmuntowi Freudowi, ożeniłem się z miejscową dziewczyną z Midland, imieniem

Patty.

Patty była bardzo ładna, miała uroczy akcent z Georgii, nie pałała nienawiścią do Jankesów, uwielbiała seks i bourbona, była biedniejsza ode mnie i zawsze chciała wyjść za żołnierza, chociaż nigdy nie dowiedziałem się dlaczego. Nie mieliśmy ze sobą absolutnie nic wspólnego, i nie było na to szansy, ale ożenki za młodu i bez przyczyny wydawały się niejako częścią lokalnej kultury. Naprawdę nie wiem, jak ja wtedy myślałem.

Z mieszkaniem dla małżeństw było krucho w czasie wojny, a w forcie nie było nic wolnego, więc mieszkaliśmy na zapuszczonym parkingu dla przyczep kempingowych, zwanym Szepczące Sosny razem z setkami innych żołnierzy, ich żon i dzieci.

Widzieliśmy, jak faceci odchodzą na wojnę i niektórzy wracają, a inni nie, a co najgorsze, niektórzy wracali do szpitala w bazie wojskowej z brakującymi częściami ciała. Za dużo piliśmy, było za dużo kręcenia z nie swoimi połowami, a wojna się ciągnęła i nie było widać jej końca.

Więc ja, chłopak z Bostonu, mieszkalem w przyczepie z żoną, której akcent i sposób myślenia sprawiały, że połowę czasu jej nie rozumiałem. Miałem przed sobą jeszcze parę lat w armii, a faceci, wśród których się obracałem, dostawali drugie i trzecie przydziały do Wietnamu. Nie myślcie sobie, że nie tęskniłem za Peggy i Bostonem, przyjaciółmi i rodziną. Zwłaszcza kiedy Patty włączała stację nadającą muzykę country i musiałem słuchać piosenek zatytułowanych *Get Your Tongue Outta My Mouth Cause Um Kissing You Goodbye*, *Wyjmij język z mojej buzi, bo całuję cię na do widzenia* albo *How Can I Miss You Won't Go Away?* Jak mam za tobą tęsknić, jeśli nie chcesz odejść?

Mama i tata nie mieli jeszcze przyjemności poznać nowej pani Brenner; robiłem wszystko, żeby tylko nie jechać na północ i żeby oni nie wybrali się na południe.

Nigdy nie myślałem, że zobaczę jeszcze kiedyś parking Szepczące Sosny, lecz zobaczyłem go zeszłego lata, gdy pojechałem w cywilu do Fort Hadley, żeby zająć się sprawą handlu bronią, która zamieniła się w sprawę córki generała. W cywilnych ciuchach mogłem zamieszkać wszędzie, ale wybrałem parking Szepczące Sosny, który był już wtedy prawie opustoszały i pełen duchów.

Im jestem starszy, tym częściej dokonuję dziwnych wyborów i podejmuję dziwaczne decyzje, i wydaje się, jakbym świadomie lub nieświadomie odwiedzał miejsca znane w odległej przeszłości. Tak jak teraz, gdy siedzę w samolocie stojącym na pasie lotniska Tan Son Nhat. Muszę porozmawiać z jakimś psychiatrą.

Ale wracając do Fort Hadley w Georgii w siedemdziesiątym pierwszym roku. Miałem już wówczas cztery paski i byłem sierżantem - w tamtych czasach szybko się awansowało - i jako weteran wojenny zostałem przydzielony do szkoły piechoty, gdzie uczyłem młodych rekrutów, jak przeżyć i zabijać innych młodych chłopaków. Piechota to syf, nawiasem mówiąc, ale szkolenie nowych piechurów było lepsze niż wycieczka do Wietnamu.

W kraju szalała już wówczas otwarta rebelia, jakoś rekrutów była kiepska, a morale i dyscyplina zeszły na psy.

Wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć i wiedziałem, że lada chwila dostanę rozkazy do Wietnamu, część druga.

Naprawdę chciałem uniknąć tej ekscytującej okazji, ale musiałem też wyrwać się z grajdołka, w którym się znalazłem, a którego częścią - przyznaję to z przykrością - było moje małżeństwo. Nie byłem pierwszym żołnierzem, który wybrał wojnę zamiast garnizonu i małżeństwa, i nie byłem też

pierwszym, który miał tego żałować.

Istniały także inne względy: mój brat Benny był już w wieku poborowym. Benny był i ciągle jest równym gościem, bystrym i na luzie. Niestety większość czasu ma głowę w tyłku, więc szanse na to, że przetrwa turę na wojnie, nie były duże.

Armia prowadziła półoficjalną politykę niewysyłania braci, ojców i synów do Wietnamu w tym samym czasie, więc wiedziałem, że jeśli pojedę po raz drugi, Benny prawdopodobnie

nie wyjedzie, dopóki nie wrócę, albo nie wyjedzie w ogóle, jeśli ja nie wrócę. Wojna zaczynała wędznąć i trzeba było grać na czas.

załatwiłem sobie przyjęcie do Szkoły Żandarmerii w Fort Gordon w Georgii. To była Miałem plan, a że jestem cwany facetem, który lubi brać sprawy w swoje ręce, więc tymczasowa służba, więc Patty została w Szepczących Sosnach w Midland, a ja pojechałem do szkoły w Gordon.

W panujących wówczas warunkach, jeśli żołnierz zostawiał żonę samą na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny w pobliżu bazy wojskowej, jakiś gość, na przykład imieniem Jodie, pomagał jej znosić samotność. Nie jestem pewien, czy to właśnie przytrafiło się Patty, ale coś się stało. Albo, jak w tej piosence country zatytułowanej *She's Out Doin' What I'm Here Doin' Without*, Ona robi to, czego ja tutaj robić nie mogę.

Wróciłem więc z Fort Gordon po trzech miesiącach z nową SW - specjalnością wojskową. Moja stara SW nazywała się Brawo Jedenaście, co oznaczało piechotę, co z kolei oznaczało drugą turę w Wietnamie, z której - biorąc na zdrowy rozum - nie powinienem wrócić żywy. Moją nową specjalnością wojskową stała się służba w żandarmerii, Wietnam zaś był możliwy, ale nie pewny. A nawet gdybym wyjechał do Wietnamu jako policjant wojskowy, to możliwość zabicia lub okaleczenia przez wroga była mniej prawdopodobna niż to, że stanie się tak podczas rozróby w żołnierskiej kantynie. W czasie mojego pobytu w Szkole Żandarmerii Benny poszedł do wojska, skończył szkolenie podstawowe i był właśnie na szkoleniu zaawansowanym, z dużymi widokami na wyjazd do Wietnamu mimo redukcji wojsk. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że mniej więcej za rok ktoś jako ostatni zgasi światło w Wietnamie i ktoś będzie ostatnim żołnierzem, który tam zginie. Nikt dokładnie nie wiedział, kiedy to się stanie, ale każdy wiedział, że nie chce być ani tym pierwszym, ani drugim.

Tak czy inaczej, moje małżeństwo dryfowało na południe, więc ja postanowiłem zrobić to samo i zgłosiłem się na ochotnika do Wietnamu.

Prędzej, niż zdążysz powiedzieć pa-pa, i bez urlopu, znalazłem się na lotnisku Tan Son Nhat w styczniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, gdzie dostałem rozkaz do Bien Hoa, dużego ośrodka rezerw w tamtej okolicy. Bien Hoa to miejsce, do którego trafiało świeże mięso ze Stanów, by oczekiwać na rozkaz dołączenia do jednostek w głębi kraju. Tam również wielu chłopaków, którzy odwalili już służbę, czekało na lot ku wolności. To było szalone miejsce, tym bardziej że przekłeci zostali tam zgrupowani obok zbawionych. Nie mieszkali w tych samych koszarach, ale mieszały się. Mieli niewiele wspólnego oprócz dwóch spraw: ci, którzy wyjeżdżali do domu, chcieli się urządzić i przespać z kobietą, i ci, którzy mieli iść na front, chcieli się urządzić i przespać z kobietą. Ja, sierżant żandarmerii, trafiłem między jednych i drugich jak w pułapkę.

Jak wspominałem, morale i dyscyplina poszły w diabły i ledwie rozpoznawałem armię, do której wstąpiłem zaledwie przed czterema laty. W gruncie rzeczy ledwie rozpoznawałem mój własny kraj.

Tak więc Wietnam nie był aż tak strasznym miejscem.

Wojna dogasała, przynajmniej dla Amerykanów, którzy się wycofywali, ale miała jeszcze trwać przez trzy okropne lata dla tych biednych skurczybyków, którzy mieli pecha urodzić się Wiemamczykami.

Właściwie moja druga tura w Wietnamie potrwała tylko pół roku, zanim kompania dostała rozkaz powrotu do domu.

Nie miałem zbyt wielu wiadomości od Patty przez te sześć miesięcy, a to, co wyczytałem w jej krótkich, lecz schludnie napisanych listach, nie brzmiało zbyt krzepiąco. W jednym z listów napisała: „Siedzę tu, słuchając Tak mi smutno bez ciebie, czuję się tak, jakbyś tu był, i tak właśnie się czuję”.

Niektórzy faceci wracający niespodziewanie z zagranicy dzwonią wcześniej, żeby kochająca żona mogła zrobić przygotowania, a niewierna żona mogła wyrzucić cygara z

popielniczki. Zadzwoiłem z San Francisco w czerwcu siedemdziesiątego drugiego roku i zapowiedziałem, że będę w domu za trzy dni. Wiadomość spotkała się z niejednoznacznym przyjęciem.

Szepeczących Sosen, sam miałem niejednoznaczny stosunek do tego, co chciałem zastać. Kiedy w końcu wysiadłem z taksówki, która przywiozła mnie z lotniska w Midland do

Rzuciłem worek na ziemię i podszedłem do drzwi przyczepy. Powrót do domu po długim pobycie w strefie działań wojennych to osobliwe doświadczenie, jak wchodzenie w ziemską atmosferę z kosmosu, gdy wiesz, że na ziemi wiele się zmieniło.

Nacisnąłem klamkę, drzwi były otwarte. Wszedłem do przyczepy i stanąłem w małym pokoju stołowym. Wiedziałem, że jej tam nie ma, więc nawet nie zawołałem.

Poszedłem do lodówki po piwo i zobaczyłem kartkę: *Paul, przykro mi, ale to koniec. Złożyłam wniosek rozwodowy. Nie ma nikogo innego, ale nie chcę już być więcej mężatką. Chyba powinnam powiedzieć: witaj w domu. Życzę ci szczęścia w życiu. Patty. PS Zabrałam Pala. Pal to był nasz pies.*

Błąd gramatyczny zirytował mnie; zdawało mi się, że słyszę jej charakterystyczne zaciąganie w zapisanych słowach. Przyszedł mi do głowy tytuł piosenki country: *Thank God and Greyhound She's Gone*, Dzięki Bogu i greyhoundowi odeszła.

Wrzuciłem kartkę do kosza i znalazłem jedno piwo w lodówce, które nie było mojej ulubionej marki, lecz było zimne.

Obszedłem przyczepę, która przez parę lat była mi domem, i zobaczyłem, że Patty wzięła wszystkie swoje rzeczy, ale nie wzięła mebli, bo w większości należały do wyposażenia przyczepy i były przyśrubowane do podłogi. Zabrała jednak bieliznę pościelową, co

oznaczało dla mnie wieczorną wyprawę do magazynu wojskowego. Nie miałem nawet samochodu, bo Patty nie odjechała greyhoundem - wzięła naszego mustanga rocznik 68, za którym wciąż tęsknię. Tęsknię też do Pala. Spodziewałem się, że rzuci się na mnie i polize zamaszyście po twarzy, czego chyba nauczył się od Patty w pierwszych dniach naszego małżeństwa. Nie takie miały być powroty do domu. Spędziłem kilka dni w Szepeczących Sosnach i Fort Hadley, porządkując papiery i tak

dalej, a potem pojechałem na urlop do Bostonu, gdzie przywitano mnie cieplej. Mój brat Benny służył, więc nie było go w domu - był w Niemczech, strzegąc granicy przed czerwonymi hordami na froncie wschodnim. Chciałbym wierzyć, że moja druga tura w Wietnamie uratowała go przed wycieczką do południowo-wschodniej Azji.

Mój drugi brat Davey miał dopiero osiemnaście lat i wyciągnął niski numer w nowym loteryjnym systemie poborowym; cieszył się, że zostanie powołany. Podobał mu się mój mundur. Wojna naprawdę dobiegała końca, więc nie próbowałem go odwieść od wojska czy namówić na college; on też odsłużył swoje dla ojczyzny, głównie w Fort Hadley. Kiedy tam przyjechał, udzieliłem mu wskazówek na temat bawełnianych głów i powiedziałem, żeby poszukał truskawkowej blondynki imieniem Jenny, ale nie natknął się na nią.

Co do mojego powrotu do południowego Bostonu... dzielnica wydawała się jakaś inna, jeszcze bardziej inna niż poprzednim razem, kiedy tam byłem. Uświadomiłem sobie, że mój wiek chłopiący się skończył i... cóż, nie da się wrócić do domu.

Po urlopie wróciłem do Fort Hadley i Szepczących Sosen, gdzie odkryłem, że Patty kłamała, mówiąc, że nie ma nikogo innego - co za niespodzianka! Okazało się, że tamten też był żołnierzem, a ona jest już z czwartym czy piątym. Mężczyźni w mundurach coś w sobie mają.

Sprawy jednak toczą się swoim torem i po kilku miesiącach byłem znów w pracy na posterunku i kupiłem ładnego żółtego volkswagena garbusa od faceta, który miał lecieć do Wietnamu. Armia nie daje ci wiele czasu na roztkliwianie się nad sobą czy dumanie nad sensem życia i nie zachęca do opowiadania o swoich problemach. W wojsku mówią tak: „Osobisty problem? Idź do kapelana, to ci podbije kwit, że miałeś ciężkie sranie”.

Taka była stara armia. Nowa armia ma wykwalifikowanych terapeutów, którzy najpierw z tobą porozmawiają, a dopiero potem wystawią kwit, że miałeś ciężkie sranie.

Za to armia robi z ciebie mężczyznę, a ty uczysz się trzymać swoje gówno dla siebie. I tak powinno być, jeśli wybrałeś to życie.

Przywrócił mnie do terażniejszości widok otwartej ciężarówki zbliżającej się do samolotu. To był nasz pojazd pilotujący, odmiana półciężarówki z obrotowym światłem, którą widuje się na większości lotnisk.

Pojechaliśmy za nią do terminalu, ale nie dotarliśmy do samej bramki. Zatrzymaliśmy się przed kurtyną i silniki stanęły. Byliśmy na miejscu.

Wciąż padało i w dole zobaczyłem szpaler młodych kobiet trzymających parasole; to chyba tańsze niż ruchomy rękaw. Zobaczyłem też kilku żołnierzy stojących pod wiatą z falistej blachy, z kałasznikowami w rękach. Dwóch facetów pchało w stronę samolotu schody na kółkach.

Gdy tak patrzyłem przez okno, wróciły do mnie obrazy z lotniska Tan Son Nhat w listopadzie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku, gdy byłem tu po raz pierwszy.

Wylądowaliśmy tuż przed świtem; kiedy wychodziłem z braniffa 707, uderzył mnie podmuch gorącego, wilgotnego powietrza, co było zaskakujące o tej wczesnej godzinie w listopadzie, i pamiętam, pomyślałem wtedy, że to będzie długi rok dla faceta, który lubi jesień i zimy w Bostonie.

Kilkuset amerykańskich żołnierzy stało na asfalcie w koszulkach khaki z krótkimi rękawami,

trzymając w rękach nesesery i gapiąc się w górę na samolot. Braniff 707, który przywiózł mnie do Wietnamu, miał szybko uzupełnić paliwo i, nawet nie zmieniając załogi, zabrać tych ludzi do domu.

Kiedy schodziłem po schodach w blasku porannego słońca, musiałem mijać tych facetów za liną. Wyraźnie pamiętam ich twarze; większość wyrażała zaniepokojenie, jak gdyby spodziewali się, że coś pójdzie nie tak, ale było też paru optymistów, którzy wyglądali na uszczęśliwionych lub podekscytowanych.

Kilku z nich wykrzykiwało w stronę świeżego mięsa słowa zachęty, ale inni krzyczeli na przykład: „będziecie goorzko żałoować!” albo: „To długi rok, frajerzy!”.

Przyjrzawszy im się bliżej, zauważyłem, że część z nich - weterani, którzy, jak się później przekonałem, zobaczyli za dużo - ma w oczach to nieobecne spojrzenie, którego nigdy wcześniej nie widziałem, ale które później poznałem; to była dla mnie pierwsza wskazówka, że tam jest gorzej, niż sobie wyobrażałem na podstawie usłyszanych opowieści i tego, co oglądałem w telewizji.

Mój francuski towarzysz przywołał mnie z powrotem do teraźniejszości.

- Co tam jest takiego ciekawego? - spytał.

- Nic - odparłem odwracając się od okna, a potem dodałem: - Przypominałem sobie moje pierwsze lądowanie tutaj.

- Tak? Tym razem powinno być przyjemniej. Nikt nie próbuje pana zabić.

Nie byłem tego całkowicie pewien, ale uśmiechnąłem się. Zadzwieczał dzwonek i wszyscy wstali, przygotowując się do wyjścia z samolotu. Zdjąłem neseser z półki nad głową i po kilku minutach schodziłem po aluminiowych stopniach, a panienki trzymały każdemu parasol nad głową. Na dole wręczono mi otwarty parasol i podążyłem za innymi pasażerami do terminalu, pod czujnym okiem żołnierzy stojących pod falistą wiatą.

Pierwsze, co poczułem, to dawno zapomniany zapach deszczu, inny niż zapach deszczu w Wirgini. Lekka bryza niosła woń płonącego węgla drzewnego, razem z gęstą, ostrą wonią

otaczających lotnisko poletek ryżu, na których mieszały się gnój, błoto i gnijąca roślinność - tysiące ułożonych warstwami lat upraw.

Wróciłem do południowo-wschodniej Azji, nie we śnie czy w koszmarze, lecz w rzeczywistości. Wewnątrz terminalu jakaś pani odebrała mi parasol i skierowała mnie gestem za innymi, jak gdybym mógł mieć inne plany.

Przekroczyłem wejście do terminalu międzynarodowego, hali przypominającej wielką jaskinię, w której panowała atmosfera zaniedbania i opuszczenia. Było tam kompletnie pusto, nie licząc pasażerów, którzy przylecieli razem ze mną. Połowę światel zgaszono i próżno by szukać choćby jednego elektronicznego ekranu informacyjnego albo jakichkolwiek znaków, jeśli o to chodzi. Uderzyła mnie też cisza - nikt nic nie mówił, nie było systemu informowania pasażerów. W porównaniu z wnętrzem samolotu, w terminalu było bardzo wilgotno, co nie stanowiło problemu w styczniu, ale w sierpniu musiało tam być ciekawie.

Jak się jednak okazało, ten prymitywny przybytek miał być najmniejszym z moich problemów.

Dokładnie na wprost mnie znajdował się ciąg budek kontroli paszportowej, a za nimi zauważyłem pojedynczy pas bagażowy, nieruchomy i pusty. Nie było widać żadnych tragarzy, wózków na

walizki, i, co dziwne, stanowisk kontroli celnej. Co jeszcze dziwniejsze, nikt nie czekał na przybywających pasażerów, z których wielu było Wietnamczykami i ktoś powinien oczekiwać z wytęsknieniem na ich przybycie. Potem spostrzegłem, że przy szklanych drzwiach stoją żołnierze, a tłum zgromadzonych za szybami ludzi zagląda do środka. Najwyraźniej do terminalu przylotów nie wpuszczano gości, co też było dziwne. W zasadzie wszystko tam było dziwne.

Podszedłem do jednej z budek paszportowych i podałem facetowi w mundurze mój paszport i wizę. Patrzyłem na niego, ale on nie nawiązał ze mną kontaktu wzrokowego. Wydawało się, że interesują go moje dokumenty.

Spojrzałem ponownie w głąb ogromnego terminalu za budkami i ujrzałem zwisającą z sufitu na samym końcu hali ogromną czerwoną flagę z żółtą gwiazdą w środku - flagę zwycięskich północnowietnamskich komunistów. Realność komunistycznego triumfu uderzyła mnie z ćwierćwiekowym opóźnieniem, lecz z absolutną jasnością.

Kiedy lądowałem na Tan Son Nhat w roku sześćdziesiątym siódmym i siedemdziesiątym drugim, żołnierze nie przechodzili przez cywilny terminal, ale pamiętam, że przed budynkiem wisiał gwiazdzisto-pasiasty sztandar Stanów Zjednoczonych obok starej, czerwono-zielono-żółtej flagi Wietnamu Południowego. Od ponad dwudziestu lat nikt nie widział tutaj żadnej z tych flag.

Miałem nieprzyjemne przecucie, które wzmocnił facet z kontroli paszportowej, gapiący się na mój paszport i wizę. Uświadomiłem sobie, że robi to za długo, a ludzie przy innych budkach przechodzą szybciej. Z początku przypisałem to mojemu zwykłemu niefortowi, który sprawia, że staję w kolejce do kasy obsługiwanej przez wioskowego idiotę.

Potem jednak facet od paszportów podniósł słuchawkę i zaczął z kimś rozmawiać. Pamiętałem tylko kilka słów po wietnamsku, ale wyraźnie słyszałem, że mówi słowo *My* - Amerykanin. Samo w sobie nie jest to negatywne słowo, ale trzeba brać pod uwagę kontekst. Przyjąłem pozę znudzonej niecierpliwości, lecz na facecie w budce nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Wreszcie zjawił się drugi Wietnamczyk w mundurze, niski, krępy typ, który wziął mój paszport i wizę od tego w budce i kazał mi iść. Zabrałem neseser i ruszyłem za nim.

Po drugiej stronie budek paszportowych stał mój francuski przyjaciel, który przeszedł co najmniej pięć minut wcześniej bez żadnych problemów. Zdawało się, że na mnie czeka, lecz potem zauważył, że mam eskortę. Podniósł brwi i powiedział coś po wietnamsku do eskortującego mnie żołnierza. Facet w mundurze odpowiedział ostro. Francuz też podniósł

głos i trochę się posprzeczali, ale odniosłem wrażenie, że Francuz nie przestraszył się komunisty w mundurze.

Myślę, że to jest tylko wrywkowe przesłuchanie - powiedział do mnie po angielsku. - Niech pan będzie grzeczny, ale stanowczy. Jeśli nie ma pan nic do ukrycia, pójdzie dobrze. W istocie miałem coś do ukrycia.

- Do zobaczenia u mademoiselle Dieu-Kiem - powiedziałem do mojego nowego przyjaciela.

Niski, krępy Wietnamczyk popchnął mnie, co tak mnie wkurzyło, że omal mu nie przyłożyłem. Powściągnąłem się jednak. Misja na pierwszym miejscu. Walenie komuchów w pysk nie było tym razem częścią mojego zadania.

Gdy odwracałem się, żeby pójść za Wietnamczykiem, usłyszałem Francuza;

- Teraz jest całkiem inaczej, gdy ani pański kraj, ani mój nie jest tu potęgą. Teraz oni mają siłę.

Poszedłem więc za karłem w mundurze, który miał na głowie czapkę z dużą czerwoną gwiazdą. Kiedy tu ostatnio byłem, trzymałem w garści M-16; to ja miałem siłę i gdybym zobaczył wtedy tego palanta, pomalowałbym go tak, że byłby czerwiejszy od tej gwiazdy.

Uprzytomniłem sobie, że sam siebie nakręcam, więc idąc za Wietnamczykiem przez prawie opustoszały terminal, uspokoilem się, wyobrażając sobie, że trzymam za gardło Karła.

Przyszło mi do głowy, że są trzy możliwości na końcu tej przechadzki. Pierwsza taka, że ten, z kim będę rozmawiał, wykopie mnie z kraju. Druga, że dostanę zgodę na zwiedzanie Republiki Socjalistycznej. Trzecia, że wyląduję w pierdłu.

Dotarło do mnie, że mogę mieć pewien wpływ na te trzy możliwości, zależnie od tego, co powiem. Jestem całkiem niezły we wstawianiu kitu.

Doszliśmy do końca terminalu i do zamkniętych drzwi, które mój towarzysz komuch otworzył i które prowadziły do długiego korytarza z drzwiami po obu stronach. Korytarz był wąski, więc mój opiekun stanął i znów mnie popchnął. W mgnieniu oka mogłem mu złamać tłusty kark, ale wtedy nie dowiedziałbym się, przez które drzwi mam przejść,

W połowie korytarza złapał mnie za rękę, a potem zapukał do drzwi.

- *Di Vao* - rozległo się warknięcie w środku.

Mój popychalski koleżka otworzył drzwi i walnął mnie ręką w ramię; wszedłem do środka. Drzwi zamknęły się za mną.

Rozdział 7

Znalazłem się w gorącym, źle oświetlonym pomieszczeniu, którego tynkowane ściany miały kolor nikotyny. I rzeczywiście powietrze cuchnęło dymem papierosowym. Sala była mała i pozbawiona okien, a z sufitu zwisał nieruchomy wiatrak.

Gdy moje oczy przywykły do słabego oświetlenia, zobaczyłem na przeciwległej ścianie portret Ho Szi Mina i małą czerwoną flagę z żółtą gwiazdą pośrodku. Widziałem też zdjęcie faceta w mundurze, który mógł być generałem Giapem, i kilka zdjęć cywilów o twarzach pozbawionych uśmiechu, niewątpliwie dygnitarzy rządowych lub partyjnych. Wywnioskowałem, że nie jest to punkt obsługi turystów.

Po mojej prawej stronie stało biurko, a za nim siedział mężczyzna w średnim wieku, ubrany w mundur.

- Siadać - powiedział.

Usiadłem na szarooliwkowym krzeselku, w którym rozpoznałem krzesło z amerykańskiej bazy wojskowej. Biurko też było amerykańskie, ze standardowej szarej stali; nie zmieniło się od drugiej wojny światowej. W murze nad biurkiem było duże okienko wentylacyjne, spoza którego dobiegał szum padającego deszczu.

Facet, który mnie przyprowadził, a któremu nadałem przydomek Popychalski, położył mój paszport i wizę na biurku, a potem bez słowa wziął mój neseser i wyszedł.

Mężczyzna w średnim wieku przyglądał się mojemu paszportowi i wizie w świetle lampy na

wysokiej nóżce. Ja tymczasem przyjrzałem się jemu. Miał na sobie oliwkową koszulę z krótkimi rękawami, z pagonami na ramionach, na których były insygnia majora albo pułkownika - nigdy się nie mogłem połapać w tych zagranicznych szarżach. Na lewej kieszonce na piersi miał też trzy rzędy kolorowych wstążek; uznałem, że niektóre z nich pochodzą z czasów wojny amerykańskiej, jak nazywają tutaj wojnę wietnamską.

Jego twarz była jedną z tych, do których czuje się instynktowną niechęć - ściągnięta, wiecznie zmarszczona, z wysokimi, odstającymi kośćmi policzkowymi. Miał wąskie oczy, których gałki wydawały się tkwić nieruchomo w oczodołach.

Wyglądał na starszego ode mnie, ale wiedziałem, że nie jest starszy. Tak czy inaczej, jego wiek wskazywał, że mężczyzna jest weteranem wojny amerykańskiej, a jeśli nawet nim był, nie żywił do Amerykanów żadnych pozytywnych uczuć. Zakładałem też, że pochodzi z Wietnamu Północnego, bo wyglądał na trochę większego i cięższego niż ci z południa, którzy mają drobniejszą budowę. Poza tym to przeważnie Wietnamczycy z północy obsadzali większość ważnych stanowisk na pokonanym południu. Instynkt podpowiadał mi, że to nie będzie przyjemny wywiad.

Mężczyzna spojrzął na mnie.

- Jestem pułkownik Mang - przedstawił się.

Nie odpowiedziałem. Ale fakt, że miał stopień pułkownika, a nie niższy, kazał mi podejrzewać, że to nie jest zwykła kontrola paszportowo-wizowa.

- Jaki jest cel pańskiej wizyty w Socjalistycznej Republice Wietnamu? - spytał poprawnie po angielsku pułkownik Mang. Miał wysoki głos przypominający staccato, bardzo irytujący.

- Turystyczny - odpowiedziałem kłamstwem, które miało się stać źródłem wszystkich przyszłych kłamstw. A jeśli ten facet wiedział, że to kłamstwo, mógł mi pozwolić kłamać dalej, aż będzie ich dość, żeby upleść z nich pętlę.

- Turystyczny - powtórzył pułkownik Mang, wpatrując się we mnie. - Dlaczego?

- Byłem tu żołnierzem - odparłem.

Nagle zachowanie pułkownika Manga zmieniło się z nieprzyjemnego w pełne nadmierne zaciekawienie. Może powinienem był zignorować instrukcje i skłamać w odpowiedzi na to pytanie, ale to naprawdę ważne, żeby trzymać się jak najbliżej prawdy.

- Kiedy pan tu był? - spytał pułkownik Mang.

- W roku sześćdziesiątym ósmym, a potem znowu w siedemdziesiątym drugim.

- Dwa razy. A więc był pan zawodowym wojskowym.

- Zostałem wojskowym.

Stuknął palcem w wizę i powiedział:

- A teraz jest pan na emeryturze.

- To prawda.

Pułkownik Mang zastanowił się.

- Jakie były pańskie obowiązki w Wietnamie?

Zawahałem się o pół sekundy za długo.

- Byłem kucharzem. Kucharzem wojskowym.

Zdawało się, że pułkownik Mang przetrawia tę informację.

- Gdzie pan stacjonował? - spytał po chwili.

- W sześćdziesiątym ósmym roku stacjonowałem w An Ehe. W siedemdziesiątym drugim w Bien Hoa.

- Tak? An Khe. Pierwsza Dywizja Kawalerii.

- Zgadza się.

- I w Bien Hoa. Która dywizja?

- Byłem kucharzem w głównej stołówce bazy uzupełnień.

- Tak? - Pułkownik Mang zapalił papierosa i zaciągnął się nim z namysłem. Wreszcie poinformował mnie: - Ja byłem porucznikiem w Trzysta Dwudziestym Piątym Dywizjonie Wietnamskiej Armii Ludowej. - Milczałem. - Byłem dowódcą plutonu piechoty - ciągnął pułkownik Mang. - W sześćdziesiątym ósmym mój pułk działał w rejonie Hue i Quang Tri. Były tam też jednostki z pańskiej dywizji. Czy stacjonował pan tam kiedykolwiek?

- Byłem kilka razy pod Hue i Quang Tri - odparłem, znów trzymając się prawdy, lecz wbrew rozsądkowi.

- Tak? Gotował pan?

- Zgadza się. - Pomyślałem, że mogłaby to być przyjemna pogawędka dwóch weteranów, gdyby nie fakt, że kiedyś próbowaliśmy się nawzajem zabić.

Pułkownik Mang uśmiechnął się pierwszy raz.

- Byliśmy tam w tym samym czasie, więc może się spotkaliśmy - powiedział.

- Gdybyśmy się spotkali, pułkowniku, byłby tu teraz tylko jeden z nas - odpowiedziałem trochę za ostro.

Pułkownik Mang uśmiechnął się znowu, ale nie był to miły uśmiech.

- Tak, to prawda. - Patrzył na mnie przez chwilę, po czym dodał: - Nie wygląda mi pan na kucharza.

Zastanawiałem się, czy nie podać mu mojego przepisu na dwieście porcji chili, ale odparłem:

- Nie jestem pewien, co pan ma na myśli, pułkowniku.

Pułkownik Mang wydmuchnął dym z papierosa i jakby zapatrzył się w przeszłość. Musiałem zakładać, że jest przyzwyczajony do przesłuchiwania amerykańskich weteranów. Zakładałem też, że lubi swoją pracę. Do czego zmierzał i co wiedział, to była inna sprawa

- Wielu amerykańskich żołnierzy tu wróciło - oznajmił.

- Wiem.

Siedzieliśmy w milczeniu, a pułkownik Mang palił z przyjemnością papierosa. Nie czułem się

szczególnie nieswojo i, jak dotąd, zdawało się, że są to tylko przypadkowo rzucane pytania, coś w rodzaju badania profilu przesłuchiwanego, ale nie podobało mi się, że siedzę po tej stronie stolika. Niestety, jak poinformował mnie Francuz, to Wietnamczycy byli przy władzy, więc telefon do adwokata czy zabicie pułkownika Manga nie wchodziły w grę.

- Skąd się bierze ta chęć, żeby wracać do Wietnamu? - spytał pułkownik Mang.

- Jestem pewien, że każdy ma swój własny powód - odparłem.

- Tak? A jaki jest pański?

Cóż, pracowałem jako tajny przedstawiciel rządu Stanów Zjednoczonych i miałem przeprowadzić śledztwo w sprawie morderstwa. Lecz pułkownik Mang nie potrzebował tego wiedzieć. Właściwie w tym pytaniu pobrzmiewały tony filozofii zen, więc powiedziałem:

- Myślę, że po mojej wizycie tutaj poznam odpowiedź na to pytanie.

Pułkownik Mang skinął ze zrozumieniem głową, jak gdyby była to jedyna możliwa odpowiedź. Następnie przeszedł do szczegółowych pytań, które wymagały odpowiedzi nie mających nic wspólnego z duchem zen.

- Czy będzie pan mieszkał w Hosziminie?

- Będę mieszkał w Sajgonie - odparłem. Ta odpowiedź zniecierpliwiła go.

- Nie ma Sajgonu - poinformował mnie.

- Widziałem Sajgon z samolotu. - Czemu ja wkurzam ludzi? Co jest ze mną nie tak?

Pułkownik Mang wbił we mnie nieruchome spojrzenie.

- Miasto Hoszimin - powiedział.

Przypomniały mi się rady pana Conwaya i Francuza, żeby być stanowczym, lecz uprzejmym. Jak można być i takim, i takim? Ale wycofałem się.

- Słusznie. Miasto Hoszimin.

- Zgadza się. Jak długo pan tu zostanie?

- Trzy dni.

- Gdzie się pan zatrzyma? - W hotelu Rex.

- Tak? To hotel amerykańskich generałów.

- Zawsze chciałem zobaczyć, gdzie mieszkają generałowie.

Mang posłał mi szyderczy uśmiezek.

- Oni mieszkali w luksusach, podczas gdy ich żołnierze żyli i umierali w dżungli i na polach ryżowych. - Nie odpowiedziałem. Kontynuując polityczną lekcję, dodał: - Nasi generałowie mieszkali razem z nami i dzielili nasze trudy. Mój generał dostawał nie więcej ryżu niż ja. Mieszkał w prostej chłopskiej chacie. Wasi generałowie w bazie An Khe mieli klimatyzowane przyczepy mieszkalne z Ameryki. Widziałem je na własne oczy, kiedy wyzwalaliśmy południe. Nie widział ich pan w An Khe?

- Widziałem.

- I było tam jeszcze pole golfowe dla oficerów.

- Tylko z dziewięcioma dołkami - zauważyłem. - A wasi snajperzy i obsługa mózdzierzy starali się, żeby pole było trudne do przejścia.

Naprawdę się roześmiał, po czym opanował się i rzekł:

- Jestem pewien, że gotował pan lepsze dania dla oficerów.

- Nie, wszyscy dostawali to samo.

- Nie wierzę.

- Ale to prawda. Proszę spytać następnego weterana, z którym będzie pan rozmawiał.

Pułkownik Mang nie chciał rujnować swoich uprzedzeń, więc zmienił temat.

- W jakim stopniu oszedł pan z wojska? - zapytał.

- Jako chorąży.

- Tak? Więc ile panu płacili?

Przypominając sobie słowa pana Conwaya, który powiedział, że przeciętny Wietnamczyk zarabia trzysta do czterystu dolarów rocznie, z pewnym zakłopotaniem odpowiedziałem:

- Prawie cztery tysiące pięćset dolarów.

- Na miesiąc. Prawda?

- Tak. Zna pan już odpowiedź, więc po co pan pyta? Jaki jest cel tych pytań?

Pułkownikowi nie spodobała się moja reakcja, lecz w typowy dla większości Wietnamczyków sposób zachował spokój.

Nacisnął dzwonek interkomu i rzucił coś po wietnamsku. Kilka sekund później drzwi się otwały i wszedł Popychalski.

Pułkownik Mang i Popychalski zamienili kilka słów, po czym ten drugi podał pułkownikowi tę kretyńską szklaną kulę - najwidoczniej okazała się ona jedyną rzeczą w moim neseserze, która wzbudziła jego zdziwienie.

Mang przyjrzał się kuli; Popychalski coś powiedział i pułkownik potrząsnął kulą i patrzył, jak płatki śniegu spadają na Pomnik Ofiar Wojny Wietnamskiej. Spojrzał na mnie.

- Co to jest? - spytał.

- Pomnik Ofiar Wojny Wietnamskiej. Pamiątka.

- Dlaczego ma pan to z sobą?

- Dostałem w prezencie na lotnisku.

- Tak? - Popatrzył znów na kulę i jeszcze raz nią potrząsnął. Zbierało mi się na śmiech, ale Mang mógłby pomyśleć, że śmieję się z niego.

- Tak, poznaję to - oznajmił. - Nazwiska waszych zabitych są wyrzeźbione na tej ścianie. Pięćdziesiąt osiem tysięcy. Prawda?

- Prawda.

- My mamy milion zabitych - poinformował mnie.

- Północ ma milion zabitych i południe milion. To dwa miliony. - Nie liczę wrogów - odparł.

- Dlaczego nie? Oni też byli Wiemamczykami.

- Oni byli amerykańskimi marionetkami. - Pułkownik Mang postawił kulę na biurku. - Proszę opróżnić kieszenie i zawartość położyć na biurko. Wszystko.

Nie miałem innego wyjścia, tylko się podporządkować, więc położyłem na biurku portfel razem z kopertami, a także długopis, grzebień, chusteczkę i tic taki. Zatrzymałem adresy, które podał mi Francuz.

Pułkownik Mang przejrzał portfel, w którym było trochę amerykańskiej waluty, karty kredytowe, legitymacja emerytowanego wojskowego ze stopniem, lecz bez specjalności, karta zdrowia i prawo jazdy stanu Wirginia.

Następnie obejrzał rzeczy z marynarki, pobieżnie zerkając na długopis, grzebień, chusteczkę i tic taki. Potem otworzył koperty z amerykańskimi i wietnamskimi pieniędzmi i czekami podróznymi, kopertę z biletami lotniczymi, a na koniec kopertę z voucherami hotelowymi. Wszystko oglądał i robił notatki na kartce papieru. Pisząc, rzucił coś po wietnamsku, a Popychalski odpowiedział. Obaj zdradzali zainteresowanie ilością pieniędzy, które miałem, a która odpowiadała ich kilkuletnim zarobkom. Widać nie ma sprawiedliwości na świecie, skoro pokonany nieprzyjaciół może wrócić na miejsce swej klęski obładowany gotówką.

Tak czy siak, Popychalski odezwał się do mnie ostro po wietnamsku, a po chwili powtórzył swoje słowa i bardzo go to rozśmieszyło. Wietnamczycy są gorsi od Amerykanów pod względem zniecierpliwienia wobec ludzi, którzy nie mówią ich językiem. Próbowałem sobie przypomnieć słowo czy dwa po wietnamsku, w rodzaju „odpieprz się”, ale byłem zmęczony i nic nie przychodziło mi do głowy.

Wreszcie Popychalski wyszedł, zapominając wziąć ze sobą szklaną kulę. Mang dalej robił notatki, w końcu spojrzął na mnie i rzeki:

- Ma pan rezerwacje w hotelu Riverside w Hue i Metropole w Hanoi.

Nie odpowiedziałem, co chyba go wkurzyło. Zapalił papierosa.

- Proszę zabrać swoje rzeczy z mojego biurka - rzucił, jak gdybym go zdenerwował, kładąc je tam.

Wziąłem portfel, koperty i inne drobiazgi i włożyłem do kieszeni. Zauważyłem, że Mang zatrzymał mój paszport i wizę.

- Jeśli to wszystko, pułkowniku, to chciałbym iść do mojego hotelu - powiedziałem.

- Powiem panu, kiedy skończymy, panie Brenner.

Wtedy po raz pierwszy zwrócił się do mnie po nazwisku, ale nie chciał w ten sposób okazać uprzejmości; mówił mi, że wie, jak się nazywam, zna adresy, pod którymi mam się zatrzymać w Wietnamie, datę wyjazdu, zawartość portfela i tak dalej.

- Jest parę dni przerwy między rezerwacjami w hotelach w Hosziminie i w Hue - zauważył.

- To prawda.

- Dokąd pan jedzie?

- Nie jestem pewien.

- Na pewno pojedzie pan do An Khe. Być może, ale nie teraz.

- Jeśli to będzie możliwe - odpowiedziałem.

- To nie jest problem. Ale część waszej starej bazy wojskowej to teren zamknięty, używany teraz przez Armię Ludową.

- Łącznie z klimatyzowanymi przyczepami?

Zignorował moje pytanie.

- Miasto An Khe nie jest zamknięte. Wszystkie burdele jednak i salony masażu są zamknięte, podobnie jak bary i palarnie opium.

- To dobra wiadomość.

- Tak? Cieszy się pan, że Dodge City jest zamknięte? Tak nazywaliście tę dzielnicę... prawda? Zbudowali ją wasi inżynierowie.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

Pułkownik Mang nagle stał się nieprzyjemny.

- Moralny brud. Degeneracja. Przez to przegraliście wojnę.

Nie chciałem dać się złapać na przynętę, więc milczałem.

Pułkownik Mang dłuższą chwilę rozwodził się nad amerykańskim imperializmem, środkiem orange, masakrą w My Lai, bombardowaniem Hanoi i jeszcze kilkoma innymi sprawami, o których nawet ja nie wiedziałem.

Ten człowiek był pełen gniewu i nie mogłem czerpać osobistej satysfakcji z rozgniewania go, bo znienawidził mnie, zanim przekroczyłem próg tego pomieszczenia.

Przypominałem sobie, że pan Conway radził mi wyrazić żal z powodu wojny, i teraz sobie uświadomiłem, że nie była to sugestia, lecz konieczność.

Wietnamczyków, którzy tak dużo wycierpieli. Żałuję, że mój kraj brał udział w tej wojnie, a - Wojna to był straszny okres dla obu naszych narodów, ale szczególnie dla zwłaszcza że ja brałem w niej udział. Przybyłem tutaj, żeby zobaczyć, jak naród wietnamski żyje w pokoju. Myślę, że to dobrze, że tak wielu amerykańskich weteranów tutaj wraca, i wiem, że wielu z nich poświęciło swój czas i pieniądze, żeby pomóc zaleczyć wojenne rany. Mam nadzieję, że i ja będę mógł uczynić to samo.

Zdawało się, że pułkownik Mang jest zadowolony z mojej małej przemowy, bo skinął głową z aprobatą. To mógł być początek pięknej przyjaźni, lecz w to wątpiłem.

- Gdzie pan pojedzie między pobyt w Hue i Hanoi? - spytał.

Cóż, miałem do wykonania tajną misję.

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Ma pan jakieś sugestie?

- Z pewnością odwiedzi pan niektóre pola bitwy?

- Byłem kucharzem.

Posłał mi konspiracyjny uśmiech, jakbyśmy obaj wiedzieli, że to kit.

- Wydaje mi się, że nie jest pan człowiekiem, który zadowoliliby się mieszaniem w garnku - powiedział tonem pochlebstwa

- Byłem bardzo wrażliwym dzieckiem. Wymiotowałem na widok krwi na kotlecie schabowym.

Pułkownik Mang pochylił się nad biurkiem.

- Ja zabiłem wielu Amerykanów - oświadczył. - Ilu Wietnamczyków pan zabił?

W tym momencie chyba straciłem cierpliwość, bo wstałem i powiedziałem:

- To już nie jest rozmowa, lecz znęcanie się nade mną. Zamierzam zgłosić ten incydent w konsulacie w Sajgonie i ambasadzie w Hanoi. - Spojrzałem na zegarek i dodałem: - Jestem tu od pół godziny i jeśli zatrzyma mnie pan choćby minutę dłużej, będę żądał, żeby pozwolił mi pan zadzwonić do konsulatu.

Pułkownik Mang też stracił opanowanie, wstał, rąbnął dłonią w biurko i po raz pierwszy krzyknął: - Nie będzie pan ode mnie niczego żądał! To ja będę żądał! Żądam planu pańskiej podróży po Republice Socjalistycznej!

- Mówiłem już panu, że nie mam konkretnych planów. Powiedziano mi, że mogę podróżować bez ograniczeń.

- A ja panu powiadam, że musi mi pan podać plan podróży!

- No cóż, w takim razie zastanowię się nad tym. Proszę mi oddać mój paszport i wizę.

Pułkownik Mang opanował się i usiadł.

- Niech pan siada, panie Brenner - powiedział spokojnym, rzeczowym tonem.

Postałem dość długo, żeby go wkurzyć, po czym usiadłem. oznajmił. - Wówczas poda mi pan szczegółowy harmonogram swoich zajęć między pobytom - Zatrzymam pański paszport i zwrócę go panu, zanim pan wyjedzie z Hosziminu - w Hosziminie i Hue, i między pobytom w Hue i Hanoi.

- Chciałbym dostać mój paszport teraz.

- Nie obchodzi mnie, co pan chce. - Zerknął na zegarek i dodał: - Był pan tutaj dziesięć minut, to była rutynowa kontrola paszportu i wizy i wolno panu teraz odejść. - Popchnął wizę po blacie biurka i dodał: - Może pan wziąć to.

Wstałem i sięgnąłem po wizę, zostawiając szklaną kulę na biurku Manga. Ruszyłem do drzwi.

Pułkownik Mang musiał wypuścić jeszcze jedną strzałę, zanim wyszedłem.

- To jest mój kraj, panie Brenner, i pan już nie jest tym, który ma armaty.

Nie miałem zamiaru odpowiadać, ale pomyślałem o tym, co mogło być powodem złości tego faceta, o traumatycznych przeżyciach lat wojny, kiedy był dowódcą plutonu. Nie mam szczególnego daru empatii, ale ponieważ obaj byliśmy weteranami wojennymi, spróbowałem postawić się na jego miejscu.

Jeśli nawet gniew Manga był częściowo uzasadniony, nie wychodził mu na dobre.

- Nie sądzi pan, że czas zawrzeć pokój z przeszłością? - spytałem.

Pułkownik Mang popatrzył na mnie, a potem wstał.

- Panie Brenner, straciłem większość rodziny i przyjaciół od amerykańskich bomb i pocisków - powiedział cicho, tak że ledwie go usłyszałem. - Prawie cała moja klasa szkolna nie żyje. Nie mam już żadnego żywego kuzyna, tylko jeden z moich czterech braci przeżył wojnę, ale jest po amputacji. Gdyby panu się to zdarzyło, czy byłby pan w stanie przebaczyć i zapomnieć?

- Prawdopodobnie nie. Lecz historia i pamięć powinny służyć temu, żeby następne pokolenie nie utrzymywało nienawiści.

Zastanawiał się nad tym przez kilka chwil.

- Może pan robić, co chce w swoim kraju - rzekł. - Mam nadzieję, że się pan tutaj czegoś nauczy. Proponuję, żeby dodał pan do harmonogramu swojej podróży wizytę w Muzeum Amerykańskich Zbrodni Wojennych.

Otworzyłem drzwi i wyszedłem.

Na zewnątrz stał Popychalski, który gestem dał mi znak, że mam iść przed nim. Wróciłem tą samą drogą do głównego terminalu. Popychalski pchnął mnie lekko w stronę pasa bagażowego. Poszedłem przez opuszczoną halę i zobaczyłem moją walizkę i neseser, leżące u stóp uzbrojonego żołnierza.

Sięgnąłem po walizkę, ale Popychalski złapał mnie za rękę. Wyciągnął w moją stronę kartę papieru. Wziąłem ją i zobaczyłem napisane ręcznie angielskie słowa: „\$20 - podatek wjazdowy”.

W moim przewodniku była wzmianka o podatku wyjazdowym, ale miałem wrażenie, że Popychalski wynalazł podatek wjazdowy na własny użytek. Nie lubię zdzierstwa i nadszedł czas, żeby się odgryźć. Podarłem świstek z kwotą haraczu i rzuciłem na ziemię. - Nie machać rękami. Żołnierz stał beznamyślnie obok. To wprowadziło Popychalskiego w obłęd; zaczął coś wrzeszczeć po wietnamsku i

Podniosłem bagaże, a Popychalski nie próbował mnie powstrzymać. Krzyczał nawet: *Di di! Di di mau!*, co oznacza ruszać się i nie jest zbyt grzecznym wyrażeniem.

Zacząłem się odwracać, ale wtedy przyszedł mi do głowy dobry pomysł, który wszystkich uszczęśliwi. Postawiłem bagaże, sięgnąłem do kieszeni na piersi i wyjąłem z koperty banknot dwudziestodolarowy. Pokazałem go Popychalskiemu i wskazałem ręką moje

bagaze. Zmagał się przez chwilę z pokusą, wając na szali swoje trzytygodniowe zarobki i godność. Rozejrzał się, potem krzyknął na mnie, żebym szedł do drzwi, a sam podniósł moje bagaże. Gdyby był grzeczniejszy, pokazałbym mu wyciągany uchwyt i kółka przy walizce. Deszcz zamienił się w mżawkę, a do postoju taksówek prowadziło zadaszane przejście. Kilka W każdym razie wyszedłem na gorące, wilgotne powietrze, ciężkie od woni spalin.

osób obejrzało się na widok faceta w mundurze, niosącego moje bagaże, i pewnie pomyślało, że jestem jakąś amerykańską grubą rybą.

Dotarliśmy do pierwszej taksówki; kierowca chciał schować walizki do bagażnika, ale Popychalski opanował już robotę i wrzucił obie torby do środka.

Wyciągnąłem dwudziestkę, a Popychalski wyrwał mi ją niegrzecznie. Miałem wielką ochotę kopnąć go w jaja, lecz to mogło mnie kosztować następnego dwudziestaka. Popychalski powiedział coś do mnie nieprzyjemnym tonem, a potem wrzasnął na taksówkarza i odmaszerował.

Kierowca zamknął bagażnik i otworzył drzwi po stronie pasażera; wsiadłem do małej hondy, niewiele większej niż model civic. Cuchnęło dymem papierosowym i pleśnią.

Taksówkarz wskoczył do samochodu, zapalił silnik i ruszył z piskiem opon.

W ciągu kilku minut zostawiliśmy za sobą lotnisko.

- Amerykanin, tak? - spytał kierowca. Jego angielski był nawet znośny.

- Tak.

- Przyleciał pan z Seulu?

- Zgadza się.

- Dlaczego tak długo trzymali?

- Ruchome schody się zacięły.

- Zadawali pytania?

- Tak.

- Komuchy to gównojady.

Zaskoczyło mnie to i parsknąłem śmiechem.

Taksówkarz wyjął z kieszeni koszuli paczkę papierosów i wyciągnął w moją stronę ponad ramieniem.

- Palimy?

Nie, dziękuję.

Zapalił papierosa zapałką, kierując kolanami.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że miasto podpełzło ku lotnisku. W miejscu, gdzie kiedyś cisnęły się sklecone byle jak bambusowe chatynki i stragany, stały teraz murowane budynki. Wszędzie były rozpięte linie elektryczne, widziałem też anteny telewizyjne, a nawet kilka anten satelitarnych. Było też dużo małych ciężarówek i skuterów, zamiast ciągniętych przez woły zaprzęgów, które zapamiętałem. Tak wtedy, jak i teraz roiło się od rowerów. Nowością były też sterty papierowych i foliowych śmieci wzdłuż drogi.

Nie spodziewałem się ujrzeć dawnego Wietnamu, który pod wieloma względami był malowniczy i nieskazitelnie czysty, ale ryk klaksonów i anteny telewizyjne stanowiły pewien zgrzyt.

Pomyślałem przez chwilę o pułkowniku Mangu i uznałem, że całe zdarzenie istotnie miało przypadkowy charakter. Niestety, jak to ze zbiegami okoliczności bywa, moje spotkanie z władzami wystawiło misję na niebezpieczeństwo. Musiałem podjąć decyzję, czy ją kontynuować, czy zrezygnować.

- Hotel? - spytał taksówkarz.

- Rex.

- Hotel amerykańskich generałów.

- Naprawdę?

- Pan żołnierz w Wietnamie. Tak?

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Tak.
- Wiem. Wożę dużo żołnierzy.
- Czy wszystkich zatrzymują i przesłuchują?
- Nie. Niewielu. Wychodzą z budynku... wie pan? Wychodzą... Jak wy mówicie? - Sami? Późno?
- Tak. Późno. Komuchy to gównojady. - Wybuchnął śmiechem, radując się na samą myśl. - Komuchy żrą psie gówno.
- Dziękuję. Mogę sobie wyobrazić.
- Panie, dlaczego ten żołnierz niósł twoją walizkę?
- Nie wiem. Co mówił?
- Mówił, że jest pan amerykańską ważną osobą, ale jest pan imperialistycznym psem.
- To nieładnie.
- Pan jesteś ważną osobą?
- Jestem przewodniczącym Amerykańskiej Partii Komunistycznej.
- Żart. Tak? Żart? Taksówkarz nagle zamilkł i rzucił parę spojrzeń w lusterko wsteczne.
- Tak, to żart
- Nie ma komuchów w Ameryce.

Rozmowa miała pewną wartość rozrywkową, lecz ja odczuwałem skutki różnicy czasu, byłem zmęczony i rozkojarzony. Wyjrzałem przez okno. Znajdowaliśmy się w starym Sajgonie, na szerokim, dobrze oświetlonym bulwarze, a na tablicy informacyjnej widniała nazwa Phan Dinh Phung. Przypomniało mi się, że bulwar przechodził koło katolickiej katedry, i rzeczywiście ponad niskimi zabudowaniami we francuskim stylu zauważyłem wieżyczki.

- Mój ojciec żołnierz. Był amerykańskim *ami*. Rozumie pan? - spytał mój nowy przyjaciel.
- *Biet* - odparłem jednym z niewielu wietnamskich słów, które zapamiętałem

Odwrócił się i zerknął na mnie; spojrzeliśmy sobie w oczy. Skinął głową i zajął się znów prowadzeniem samochodu.

- On więzień. Nigdy go już nie zobaczyć.
- Przykro mi.
- Tak. Pieprzone komuchy. Tak?

Nie odpowiedziałem. Byłem, co właśnie do mnie dotarło, więcej niż zmęczony. Byłem tu znowu. Dzięki ci, Karl.

Skęciliśmy w Le Loi, główną ulicę Sajgonu, i podjechaliśmy do hotelu Rex.

Nigdy nie zobaczyłem Sajgonu podczas służby w piechocie. Był poza zasięgiem, chyba że załatwiała się jakąś oficjalną sprawę, a przeciętny żołnierz nie miał oficjalnych spraw w Sajgonie. Ale w czasie mojej krótkiej tury w roli żandarma poznałem trochę miasto. Tętniło wtedy życiem, lecz było też obleżoną stolicą, światła były zawsze przyciemnione, po ulicach zaś jeździły głównie

pojazdy wojskowe. W strategicznych punktach piętrzyły się stosy worków z piaskiem, a policja i wietnamscy żołnierze mieli wszystko na oku. Każda restauracja i kafejka miała w oknach stalowe kraty, żeby zniechęcić miejscowych

partyzantów Wietkongu na skuterach do wrzucania toreb z ładunkami wybuchowymi i granatów do lokali wypełnionych klientami. Lecz mimo wojny miasto pulsowało frenetyczną energią, swoistą *joie de vivre*, którą, jak na ironię, widzi się lepiej, kiedy śmierć czai się tuż za ścianami, a koniec jest bliski.

Obecny Sajgon, miasto Hoszimin, też wyglądał na ożywiony, ale nie było tej psychozy czasu wojny, która brała w posiadanie miasto każdej nocy. I, co zaskakujące, wszędzie widać było reklamy świetlne - Sony, Mitsubishi, Coca-Cola, Peugeot, Hyundai - przeważnie

japońskich, koreańskich, amerykańskich i francuskich produktów. Może i komuchy żrą gówno, ale popijają coca-colę.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem Rex; mój przyjaciel otworzył bagażnik i wysiadł. Portier otworzył mi drzwi, a chłopiec hotelowy wyciągnął torby z bagażnika.

- Witamy w Reksie - odezwał się portier poprawnie po angielsku.

- Tu moja wizytówka - powiedział kierowca. - Pan Yen. Pan dzwoni. Pokażę panu całe miasto. Dobry przewodnik. Pan Yen. - Kurs kosztował cztery dolary i dorzuciłem panu Yenowi dolara napiwku. Yen rozejrzał się, czy nikt nie słucha, i dodał: - Ten człowiek na lotnisku to bezpieczeństwa. Mówi, że jeszcze pana zobaczy. - Wskoczył z powrotem do taksówki.

Wszedłem do hotelu.

Hol był duży i cały w białym, polerowanym marmurze; architektura niejasno przypominała francuską, z sufitu zwisały kryształowe kandelabry. Wszędzie stały rośliny w donicach, a klimatyzacja działała. Było tu o wiele przyjemniej niż w biurze pułkownika Manga.

Zauważyłem też, że hol jest udekorowany na święto Tet, na które trafiłem w roku sześćdziesiątym ósmym i siedemdziesiątym drugim. W wielkich wazach stało mnóstwo kwitnących gałęzi drzew owocowych, a na środku podłogi zieleniło się duże drzewko *kumquat*.

W holu znajdowało się parę osób, ale o tej godzinie - po północy - było całkiem cicho.

Podszedłem do recepcji, gdzie przywitała mnie miła, młoda wietnamska pani, na której znaczkowym identyfikacyjnym widniało imię Lan, i poprosiła o paszport. Podałem jej wizę, ona się uśmiechnęła i jeszcze raz poprosiła o paszport.

- Policja go zatrzymała - poinformowałem ją. Jej uśmiech zbladł.

- Przykro mi - powiedziała - potrzebujemy paszportu, żeby pana zameldować.

- Jeśli mnie nie zameldujecie, skąd policja będzie wiedziała, gdzie jestem?

Podaliśmy im ten adres.

Logika tego argumentu zrobiła na niej wrażenie, bo podniosła słuchawkę, trajkotała przez chwilę, a potem spojrzała na mnie i powiedziała:

- Świetnie. Tylko jej nie zgubcie. - Będziemy musieli zatrzymać pańską wizę, dopóki się pan nie wymelduje.

- To szczyt sezonu. Święta Tet, a pogoda jest dobra dla turystów. Pani Lan zaczęła się bawić japońskim terminalem komputerowym.

- Jest gorąco i parno.

- Musi pan pochodzić z zimnego klimatu. Przyzwyczai się pan. Mieszkał pan już u nas?

- Przechodziłem tędy parę razy w siedemdziesiątym drugim roku.

Zerknęła na mnie, ale nie odpowiedziała. Pani Lan znalazła mi luksusowy apartament - sto pięćdziesiąt dolarów za noc - i wręczyła klucz chłopcu hotelowemu. - Życzę miłego pobytu, panie Brenner. Proszę dać znać recepcjoniście, jeśli będzie pan czegoś potrzebował.

Potrzebowałem paszportu i ktoś powinien zbadać mi głowę, ale powiedziałem tylko: „Dziękuję”. Miałem do nikogo nie telefonować ani nie zawiadamiać faksem o szczęśliwym dotarciu do celu. Ktoś miał zadzwonić tutaj, pewnie już to zrobił i pewnie się zdziwił, dlaczego się jeszcze nie zameldowałem.

- *Chuc Mung Nam Moi* - powiedziała pani Lan. - Szczęśliwego Nowego Roku.

Mój wietnamski poszedł w zapomnienie, ale miałem kiedyś dobrą wymowę, więc udało mi się po niej spaugować.

- *Chuc Mung Nam Moi*. Uśmiechnęła się.

- Bardzo dobrze.

Ruszyłem z chłopcem w stronę wind. Wietnamczycy to w zasadzie mili ludzie, grzeczni, dobredusznicy i uczynni. Ale pod łagodną, uśmiechniętą buddyjską powierzchownością mogą kryć się bardzo niebezpieczne uczucia. do dużych drzwi. Boy wprowadził mnie do ładnego apartamentu z częścią salonową, W każdym razie dojechaliśmy windą na szóste piętro i szerokim korytarzem dotarliśmy widokiem na ulicę Le Ldi i, dzięki Bogu, barkiem. Dałem mu dolara i wyszedł.

Najpierw uderzyłem do barku i zrobiłem sobie *chivas* z sodą i lodem. Pobyt tutaj mógłby być niczym wakacje, gdyby nie te pierdoły na lotnisku i fakt, że w każdej chwili mogłem zostać aresztowany bez żadnej podstawy albo na bardzo mocnej podstawie.

Pokój - urządzony w stylu, który nazywam „francuski burdel” - był duży, a łazienka miała kabinę prysznicową. Przejrzałem walizkę i okazało się, że wszystko jest przewrócone do góry nogami. To samo z neseserem.

Ci dranie zabrali też fotokopie mojego paszportu i wizy. Pewnie nie mieli swojej własnej kserokopiarki. Ale poza tym wszystko było i muszę przyznać pułkownikowi Mangowi i jego giermkowi punkty za profesjonalizm - abstrahując od tego, że Popychalski próbował ze mnie zedrzeć dwadzieścia dolców. W gruncie rzeczy bardziej by mi pasowało, gdyby pułkownik Mang był policjantem, który bierze w łapę, niestety był kimś innym i trochę mnie to martwiło.

Powiesiłem ubranie, wygładziłem rzeczy, rozebrałem się i wszedłem pod prysznic. W moim otumanionym różnicą czasu mózgu snuła się idiotyczna pioseneczka pod tytułem *Secret Agent Man*, Tajny agent, i kilka melodii z filmów z Jamesem Bondem

Wyszedłem spod prysznica i wysuszyłem się. Planowałem rozejrzeć się po mieście, ale byłem prawie nieprzytomny. Rzuciłem się na łóżko i wszystko znikło w ciemności, zanim zdążyłem zgasić lampę.

Po raz pierwszy od wielu lat miałem sen o wojnie, o bitwie, łącznie z odgłosami wystrzałów z M-16, kałasznikowów i ze straszliwym terkotaniem karabinu maszynowego.

Przebudziłem się w środku nocy, zlany zimnym potem. Zrobiłem sobie podwójną szkocką, usiadłem na fotelu, nagi i zziębnięty, i patrzyłem na wschód słońca nad rzeką Sajgon.

Rozdział 8

Poszedłem na późne śniadanie w hotelowym barze kawowym; hostessa dała mi egzemplarz „Viet Nam News”, miejscowej angielskojęzycznej gazety. Usiadłem, zamówiłem kawę i spojrzałem na nagłówek, który brzmiał „Kiedy pewność siebie Amerykanów otrzymała poważny cios”. Coś mi mówiło, że ta gazeta prezentuje pewien określony punkt widzenia.

Artykuł wiodący został napisany przez pułkownika Nguyena Van Mina, historyka wojskowego. Czytałem: „Tego dnia w 1968 nasza armia i naród przypuściły atak na nieprzyjacielskie umocnienia w Khe Sanh. Natarcie wstrząsnęło Stanami Zjednoczonymi i zmusiło prezydenta Lyndona Johnsona i Pentagon do skupienia się na walce z nami pod Khe Sanh”.

Zdaje się, że pamiętałem te wydarzenia, bo byłem tam wówczas. Czytałem dalej i dowiedziałem się, że siły amerykańskie „poniosły dotkliwą i upokarzającą porażkę”. Tego akurat nie pamiętam, ale ten, kto kontroluje teraźniejszość, kontroluje też przeszłość, i niech mu będzie na zdrowie.

Miałem trudności ze zrozumieniem kiepskiego tłumaczenia i logiki artykułu, lecz z ciekawością odnotowałem wzmiankę o mojej Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej, której nazwa została przetłumaczona jako „Latająca Dywizja Kawalerii Numer Jeden”.

Najciekawsze, że wojna była tu w dalszym ciągu wiadomością na pierwszej stronie, o czym się już przekonałem u pułkownika Manga.

Rozejrzałem się. Pozostali goście byli głównie Japończykami i Koreańczykami, ale dostrzegłem też pewną liczbę cudzoziemców z Zachodu; usłyszałem francuski i angielski. Wyglądało na to, że Sajgon wraca na scenę.

Sprawdziłem kartę dań, napisaną w rozmaitych językach i zaopatrzoną w zdjęcia, tak na wszelki wypadek. Na żadnym zdjęciu nie było psów ani kotów, ani nie do końca ukształtowanych kurzych embrionów, które zapamiętałem z poprzedniego pobytu. Zamówiłem amerykańskie śniadanie, z nadzieją, że nie przytrafi mi się nic strasznego.

Po śniadaniu podszedłem do recepcji, żeby zapytać o paszport. Recepcjonista spojrzał na mnie i odparł: „Nie, proszę pana”. Nie było też żadnych wiadomości. Chyba po cichu liczyłem na faks od Cynthii. Wyszedłem na ulicę Le Loi.

Wyjście z chłodnego, blado oświetlonego holu Reksa na prażące słońce okazało się pewnym szokiem: nagły ryk skuterów, nieustające wycie klaksonów, spaliny, masa ludzi, rowerów i samochodów. Sajgon z czasów wojny był jakoś spokojniejszy, nie licząc zdarzających się od czasu do czasu wybuchów.

Zacząłem spacerować ulicami Sajgonu i w ciągu dziesięciu minut spociłem się jak mysz. Miałem ze sobą mapę, którą wzięłem z recepcji, i aparat przewieszony przez ramię. Byłem ubrany w bawełniane spodnie khaki, zieloną koszulkę z golfem i tenisówki. Właściwie wyglądałem jak przygłupawy amerykański turysta, tyle że większość amerykańskich turystów wszędzie chodzi w

szortach.

Sajgon na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia brudnego, lecz nie był też czysty. Budynki miały przeważnie od jednego do czterech pięter, tak jak dawniej, ale zauważyłem, że wyrosło też parę wieżowców. Część architektury w centrum pochodziła z francuskiej epoki kolonialnej, zgodnie z tym, co zapamiętałem, większość jednak stanowiły brzydkie jak noc kamienice z wiecznie łuszczącą się farbą. Za dnia miasto miało pewien urok, ale ja pamiętałem je głównie ze złowieszczych i niebezpiecznych nocy.

Ruch na jezdni był gęsty, jednak przesuwiał się dobrze, jak chaos podporządkowany swoistej choreografii. Jedynymi pojazdami, które nie grały zgodnie z zasadami, były samochody wojskowe i żółte, przypominające dżipy, otwarte wozy policyjne, przepychające się ulicami, rozpędzające wszystko przed sobą. Nie zmieniły się zbyt od mojego ostatniego pobytu, miały tylko inne oznaczenia. Zawsze można rozpoznać państwo policyjne, albo państwo będące w stanie wojny, po sposobie poruszania się państwowych samochodów po ulicach.

Najbardziej dominującym środkiem transportu, zarówno obecnie, jak i wówczas, były skutery, na których kobiety i mężczyźni, prawie wyłącznie młodzi, jeździli w sposób szalony, ale zarazem przewidywalny. Największa różnica polegała na tym, że niemal wszyscy rozmawiali teraz przez telefony komórkowe.

Pamiętam, że kiedyś prawie każdy z tych ludzi, kobieta czy mężczyzna, mógł wyciągnąć nagle granat lub tobolek ze środkami wybuchowymi i cisnąć na kawiarnię bez krat, wojskową ciężarówkę, budkę policyjną czy grupę pijanych żołnierzy, amerykańskich bądź wietnamskich. Ci nowi komórkowi cykliści stanowili zagrożenie chyba tylko dla samych siebie.

Miasto tętniło, bo nadchodziły święta Tet, które dla Wietnamczyków są jak Boże Narodzenie, sylwester i Czwarty Lipca w jednym, a poza tym w Nowy Rok wszyscy obchodzą swoje urodziny i każdy jest o rok starszy, tak jak rasowy koń pełnej krwi, bez względu na to, kiedy się urodził.

Ulice były zapchane sprzedawcami kwiatów, gałęzi brzoskwiń i pączków moreli, tudzież miniaturowych drzewek *kumquat*. Wielu z nich uważało, że z jakiejś przyczyny potrzebuję tych wspaniałości, więc próbowali mnie nakłonić do kupna gałęzi, żebym mógł je sobie nosić.

Niektóre ulice były też pełne straganów, na których sprzedawano kartki ze świątecznymi pozdrowieniami z formułką *Chuc Mung Nam Moi*; pomyślałem, że może warto by kupić jedną dla Karla i dopisać: *Phuc Yu*. transportu, który jest rodzajem roweru z miejscem dla jednego pasażera z przodu. Rowerzysta Na ulicach było także mnóstwo riks, niepowtarzalnego, wietnamskiego środka pedałuje i kieruje z tyłu, co jest ekscytujące. Rikszarze bardzo liczyli na zachodnią taryfę i bez przerwy namawiali mnie, żebym wskoczył i zażył relaksu, podczas gdy oni będą siedzieć za mną i przeciskać się wśród tłumu pojazdów i ludzi.

Mrowie dzieci otaczało mnie niczym piranie, ciągnąc za ręce i ubranie, błagając o tysiąc dongów, co nie wydawało się wygórowaną kwotą. Powtarzałem raz po raz: *Di di! Di di mau! Mau len!* i tak dalej. Ale chyba miałem złą wymowę, bo zachowywały się tak, jakbym mówił: „Chodźcie bliżej, dzieciaczki. Wyciągajcie dongi od wielkiego *My*”. Ludzie tu potrafią naprawdę szybko człowieka zameczyć.

Odszukałem ulicę, którą pamiętałem z siedemdziesiątego drugiego roku, wąską alejkę w pobliżu Cholan, tutejszej chińskiej dzielnicy. Kiedyś roiała się od barów, burdeli i salonów masażu, ale teraz

była cicha; pewnie wszystkie te uroczne panienki spędziły trochę czasu w obozach resocjalizacyjnych, odpokutowując za grzechy, i teraz zajmują się handlem nieruchomościami. Odwiedzałem tę ulicę jako żandarm, nie jako klient, oczywiście.

Zrobiłem po drodze kilka zdjęć, lecz upewniłem się, że nikt mnie nie śledzi, więc cały ten turystyczny sztafaż był jakby niepotrzebny; chyba że skłonię Karla, żeby przez pięć godzin siedział w Wirginii i oglądał slajdy.

Zorientowałem się w położeniu i ruszyłem w stronę Muzeum Amerykańskich Zbrodni Wojennych, do odwiedzenia którego tak mnie zachęcał pułkownik Mang.

W ciągu kwadransa znalazłem budynek znajdujący się na miejscu dawnej willi, w której w czasie wojny mieściło się, o ironio, Amerykańskie Centrum Informacyjne. Zapłaciłem dolara i wszedłem na teren muzeum, gdzie na trawie rozsiadł się wielki, zardzewiały amerykański czołg M-48. Panowała tam cisza, nie było żebraków ani krzykliwych handlarzy i, prawdę mówiąc, poczułem się dobrze w Muzeum Amerykańskich Zbrodni Wojennych.

Rozejrzałem się po eksponatach, którymi były przeważnie zdjęcia wystawione w kilku murowanych budynkach, wszystkie dość przygnębiające i budzące mdłości: fotografie z masakry w My Lai, potwornie okaleczone kobiety i dzieci, zdeformowane niemowlęta, ofiary środka orange, słynne zdjęcie nagiej dziewczynki biegnącej drogą spaloną amerykańskim napalmem, zdjęcie południowowietnamskiego oficera wystrzeliwującego mózg partyzanta Wietkongu w Sajgonie podczas ofensywy w sześćdziesiątym ósmym roku, zdjęcie dziecka ssącego pierś zabitej matki i tak dalej.

Była też galeria łotrów: Lyndon Johnson, Richard Nixon, amerykańscy generałowie, łącznie z dowódcą mojej dywizji, Johnem Tolsonem, prowojenni politycy, a obok fotografie protestów antywojennych na całym świecie, policjantów i żołnierzy rozpędzających studentów, strzelaniny na uniwersytecie Kent State i tak dalej, i tak dalej. Podpisy po angielsku nie mówiły wiele, ale i nie musiały.

Było dużo zdjęć głównych amerykańskich działaczy antywojennych owego okresu: senatora Johna Kerry'ego z mojego stanu, który służył w Wietnamie w tym samym czasie co ja, w sześćdziesiątym ósmym roku, Eugene'a McCarty'ego, Jane Fondy, fotografia północnowietnamskiej załogi armaty przeciwlotniczej i tym podobne.

Znalazło się też miejsce na wystawę amerykańskich orderów wojennych, przysłanych do Hanoi przez samych odznaczonych w proteście przeciwko wojnie. W głowie słyszałem jazgot lat sześćdziesiątych. Znalazłem szczególnie niepokojący zbiór zdjęć, opatrzony komentarzem. Zdjęcia pokazywały setki mężczyzn ustawionych w szeregu, rozstrzeliwanych przez pluton egzekucyjny, a potem dobijanych strzałami z pistoletu. Ale to nie była jeszcze jedna zbrodnia wojenna Amerykanów czy Wietnamczyków z południa. Tekst wyjaśniał, że ofiarami są

żołnierze Wietnamu Południowego i członkowie proamerykańskich górskich plemion, tak zwani Montagnardzi, którzy nie zaprzestali walki przeciwko zwycięskim komunistom po kapitulacji Sajgonu.

Tekst przedstawiał Montagnardów jako uczestników FULRO, *Front Unitie de Lutte des Races Opprimees*, Zjednoczonego Frontu Walki Ras Uciśnionych, według podpisu sponsorowanej przez CIA grupy bandytów i kryminalistów. Te zdjęcia dokonywanych z zimną krwią masowych

morderstw miały posłużyć jako lekcja dla osobników, którym przyszłoby do głowy stawić opór rządowi. W gruncie rzeczy fotografie nie różniły się zbyt od tych, które pokazywały amerykańskie okrucieństwa. Rząd w Hanoi najwyraźniej nawet nie podejrzewał, jak zostaną odebrane przez obserwatora z Zachodu. Stojąca obok mnie Amerykanka pobladła i patrzyła, zaszokowana, nie mogąc wymówić słowa.

A ja oglądałem to wszystko i nie miałem pewności, co czuję. Była to bez wątpienia tendencyjna prezentacja, pomijająca, na przykład, komunistyczne masakry w Hue i w Quang Tri, masakry, które widziałem na własne oczy. Zobaczyłem dość i wyszedłem na światło słoneczne. W muzeum byli przeważnie Amerykanie, podzieleni pokoleniowo: starsi mężczyźni, najwyraźniej weterani, zzymali się, a niektórzy klęli na „stronniczą, propagandową bujdzę”, by użyć zwrotu, który usłyszałem. Niektórzy weterani byli z żonami i dziećmi i ci zachowywali się spokojniej.

Cóż, chyba dość na jedno popołudnie. Idąc do wyjścia, zobaczyłem stoiska z pamiątkami, na których sprzedawano wojskową amunicję, wazony zrobione z łusek pocisków, stare amerykańskie znaczki identyfikacyjne i modele śmigłowców Huey,

wykonane z kawałków aluminium, przypominające origami. Zauważyłem stare zapalniczki Zippo z wygrawerowanymi imionami i mottami żołnierzy, do których należały, symbole jednostek i tym podobne. Spostrzegłem zapalniczkę, na której był ten sam napis, który ja miałem na swojej: Śmierć to mój biznes, a biznes idzie dobrze. Wciąż jeszcze mam tę zapalniczkę, ale zostawiłem ją w domu.

Wyszedłem bramą na ulicę Vo Van Tan i skierowałem się w stronę centrum miasta.

Od czasu do czasu kątem oka dostrzegałem ofiary wojny, niedobitki dumnej niegdyś ARVN, Armii Republiki Wietnamu; mężczyzn w średnim wieku, którzy wyglądali na starców, bez rąk i nóg, ślepych, kulawych, przygarbionych i połamanych. Niektórzy żebrali, ukryci w cieniu. Inni tylko siedzieli i nie facygowali się, aby wyciągać rękę.

Co jakiś czas któryś mnie zauważał i wołał: „Hej, jesteś GI? Ja z ARVN!” .

Ci ludzie należeli do mojego pokolenia, byli moimi dawnymi sojusznikami, i czułem się winny, ignorując ich.

Do Reksa było niedaleko i kiedy wszedłem do holu, klimatyzacja uderzyła mnie jak kanadyjski zimny front atmosferyczny.

Spytałem w recepcji o paszport, ale bez powodzenia; wiadomości też nie było. Zabrałem klucz, wszedłem do klubu zdrowotnego na szóstym piętrze i zamówiłem masaż. W męskiej szatni rozebrałem się, wziąłem ręcznik i szlafrok i wsunąłem na nogi sandały; wykapałem się pod prysznicem; Sajgon wychodził ze mnie porami, ale nie chciał wyjść z głowy.

Leżałem na macie *tatami* w wyciszonej sali, słuchając muzyki sączącej się z głośnika. Facet z obsługi przyniósł mi kubek sake.

Przy trzecim kubku poczułem, że trochę szumi mi w głowie, z głośników płynęła melodia *Nights in White Satin*, Noce w białej satynie, i znów był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi; zaciągałem się dużym, tłustym jointem w mieszkaniu przy ulicy Tu Do, niedaleko stąd, a właścicielka mieszkania leżała obok mnie, za całe odzienie mając haszyszowy uśmiech; przekazywaliśmy sobie jointa z ręki do ręki, a jej długie, czarne, jedwabiste włosy leżały na moim ramieniu.

Potem dziewczyna rozplęnęła się i zaczęło do mnie docierać, że będąc tutaj, odczuwam między innymi nostalgię za czasem, który minął; nie byłem już młody, ale kiedyś byłem,

właśnie tu, w Wietnamie, który dla mnie zastygł w czasie. I dopóty, dopóki to miejsce pozostanie zastygłe w czasie, tak samo będzie z moją młodością.

Musiałem odpłynąć, bo facet z obsługi potrząsał mnie delikatnie za ramię, mówiąc, że mam wiadomość; okazało się, że chodziło mu o umówiony masaż. Recepcjonista w klubie rekreacyjnym skierował mnie do sali C. Pośrodku stał stół do masażu, przykryty czystym białym prześcieradłem. Powiesiłem szlafrok, zrzuciłem sandały i położyłem się na stole, owinięty ręcznikiem, przeciągając się i ziewając.

Drzwi się otwarły i weszła atrakcyjna młoda kobieta w krótkiej białej spódniczce i bluzce bez rękawów. Uśmiechnęła się i powiedziała: „Hej”.

Zakończywszy na tym konwersację, skinęła ręką, żebym się przewrócił na brzuch, rozluźniła ręcznik na moich biodrach i wskoczyła na stół.

Jak na swoją drobną posturę, była naprawdę silna i rozłupała wszystkie kości i stawy w moim ciele. Złapała się poręczy nad głową i przespacerowała się po moich plecach i pośladkach gołymi stopami, wbijając palce w moje mięśnie. Mógłbym się do tego przyzwyczaić.

Na wszystkich ścianach były lustra, co nie wydawało się niczym nadzwyczajnym, choć zauważyłem, że młoda dama i ja możemy się widzieć w lustrach, a ona nie szczędziła uśmiechów.

Wreszcie przewróciła mnie na plecy i jakoś tak się stało, że zsunął mi się ręcznik. Klęczała między moimi nogami i wskazała miejsce, którego jeszcze nie masowała. Miałem przeczucie, że masaż w stylu *shiatsu* dobiegł końca.

- Dziesięć dolarów... Zgoda? - spytała.

- Aa...

Uśmiechnęła się i skinęła zachęcająco głową.

- Tak?

Dajcie temu hotelowi jeszcze jedną gwiazdkę.

Względy moralne na bok, ale przyszło mi na myśl określenie „erotyczna pułapka”. Tylko tego mi brakowało - pułkownik Mang wchodzi z kamerą wideo, ja leżę na stole w sali masażu hotelu Rex, a dziewczyna robi mi loda.

Usiadłem i znalazłem się twarzą w twarz z moją nową przyjaciółką.

- Przepraszam, nic z tego - oznajmiłem. Wydęła wargi.

- Tak, tak.

- Nie, nie. Muszę iść. - Ześliznąłem się ze stołu i szybko włożyłem sandały.

Panna Masaż siedziała na stole i patrzyła na mnie, nie przestając wydymać ust. Zdjąłem szlafrok z haka.

- Świetny masaż. Dam ci duży napiwek. *Biet?* - powiedziałem.

Dziewczyna w dalszym ciągu wydymała usta.

Włożyłem szlafrok, wyszedłem z sali i skierowałem się do recepcji, gdzie podpisałem hotelowy kwitek na dziesięć dolarów za masaż i dołożyłem dziesięć dolarów napiwku. Recepcjonistka uśmiechnęła się do mnie i spytała:

- Dobrze się pan teraz czuje?

- Bardzo dobrze. - Czułbym się jeszcze lepiej, gdybym nakłonił CID, żeby uregulowało rachunek za łoda.

Tak czy owak, po tym południowo-wschodnioazjatyckun interludium wróciłem do szatni, ubrałem się i wyszedłem z klubu rekreacyjnego, dochodząc do wniosku, że pułkownik Mang nie maczał palców w tej robocie. Przypomniałem sobie, że M nigdy nie dawał Jamesowi Bondowi wskazówek, aby ten trzymał się z dala od erotycznych pułapek. Z drugiej strony, Amerykanie, a zwłaszcza FBI, mieli bardzo purytańskie podejście do seksu w pracy. Może powinienem rozejrzeć się za inną posadą w jakiejś zagranicznej służbie wywiadowczej. Chcę powiedzieć, że już zaczynałem się świetnie bawić.

Wszedłem do pokoju, wziąłem zimną colę i osunąłem się na fotel. Gdy tak sączyłem napój z zamkniętymi oczami, zmaterializował mi się obraz Cynthii. Miałem wrażenie, że przygląda mi się, jakbym coś przeskrobał. W zasadzie jestem monogamistą, ale bywają chwile, które wystawiają duszę mężczyzny na ciężką próbę. Siedziałem więc, zastanawiając się, co powinienem włożyć na moje rendez-vous o siódmej w restauracji na dachu.

I wtedy coś zauważyłem. W wezłowie łóżka leżała szklana kula.

Rozdział 9

Pojechałem windą do restauracji na dachu hotelu i znalazłem się na dużej ogrodzonej przestrzeni, gdzie mieścił się bar i koktajlbar. Pan Conway nie podał szczegółów mojego spotkania z łącznikiem - im mniej będzie to zaplanowane, tym bardziej będzie wyglądało na niezaplanowane. Słusznie. Ale to był duży lokal i przez szklaną ścianę widziałem tylko mnóstwo stolików.

Jeszcze raz zlustrowałem wzrokiem oba bary, a potem wyszedłem na dach; maitre d'hotel spytał po angielsku, czy jestem sam. Powiedziałem, że tak; zaprowadził mnie do małego stolika. Kelnerzy i obsługa na całym świecie zwracają się do mnie po angielsku, zanim zdążę otworzyć usta. Może to ubranie. Miałem na sobie granatowy blezer, żółty golf, spodnie khaki i sandały bez skarpet.

Rozejrzałem się po ogródku na dachu. Stało tam tyle roślin w doniczkach, że można się było poczuć jak w dżungli; zastanawiałem się, jakim cudem ktoś mnie znajdzie. Dach miał posadzkę wyłożoną marmurowymi płytkami i otoczony był z trzech stron żelazną balustradą, a czwartą ścianę stanowiła konstrukcja, przez którą wszedłem. Blisko połowa stolików była zajęta; podział klienteli na Wschód i Zachód był mniej więcej równy. Mężczyźni byli dobrze ubrani, choć żaden nie nosił krawata, a panie nieco przesadziły z kreacjami - miały na sobie lekkie wieczorowe suknie, przeważnie sięgające do samej ziemi. Nie widziałem za dużo nóg, od kiedy przyjechałem, nie licząc Panny Masaż. Była jednak para Amerykanów w średnim wieku - w szortach, koszulkach i tenisówkach. Departament Stanu powinien opublikować kodeks ubierania się.

Na każdym stoliku stał lampion z zapaloną świecą, a w ogródku były rozwieszane papierowe latarnie.

W przeciwnym końcu restauracji stała ogromna metalowa rzeźba królewskiej korony ze słowem Rex, ułożonym z żarówek. Niezbyt socjalistyczny symbol. Po obu stronach korony stały duże posągi słoni wspiętych na tylnych nogach, a pod koroną zaczynał rozkładać instrumenty czteroosobowy zespół.

Przyszedł kelner z kartą, ale powiedziałem mu, że chcę tylko piwo.

- Macie trzysta trzydzieści trzy? - spytałem.

- Tak, proszę pana - odparł i poszedł sobie. Ucieszyłem się, że wciąż produkują Potrójną Trójkę w Republice Socjalistycznej - po wietnamsku nazwa brzmi *Ba Ba Ba* i jest to szczęśliwy numer, taki jak 777 na Zachodzie. Ja zaś potrzebowałem trochę szczęścia.

Piwo podano w butelce, którą pamiętałem, i nalałem je do szklanki, czego nigdy przedtem nie robiłem. Po raz pierwszy zauważyłem, że ma żółtawy odcień. Może właśnie dlatego niektórzy nazywali je tygrysimi szczynami. Napiłem się, ale nie mogłem sobie przypomnieć smaku.

Zerknąłem na miasto. Na południowym zachodzie chowało się za horyzontem słońce i zaczęła stamtąd wiać przyjemna bryza. Zapalały się światła Sajgonu i zobaczyłem, że sięgają niemal po horyzont. Kiedyś za tymi światłami była wojna, czasem blisko, czasem trochę dalej, ale zawsze była.

Czteroosobowy zespół zaczął grać i usłyszałem słodkie tony *Stardust*, Gwiezdnego pyłu. Koło stanowiska kapeli był niewielki plac taneczny; kilka par wstało i próbowało tańczyć w takt sennej melodii. może nie na Gwiezdny pył w ogródku na dachu hotelu Rex. Próbowałem sobie wyobrazić Nie wiem, co spodziewałem się tutaj zastać, chyba byłem przygotowany na wszystko, ale amerykańskich generałów i pułkowników, siedzących tu każdego wieczora razem z innymi osobami z personelu; ciekawe, czy jedząc kolację, spoglądali w stronę horyzontu. Z tej wysokości, bez względu na to, jak daleko toczyła się wojna, nocą widać było w oddali pociski artyleryjskie i rakiety, a może nawet pociski smugowe i race świetlne. Z pewnością słychać było eksplozje tysięcfuntowych bomb, jeśli zespół nie grał zbyt głośno, i na pewno nie można było nie zauważyć wybuchów napalmu, którego świetliste płomienie rozpalały wszechświat.

Popijałem piwo, czułem wietrzyk na twarzy, słuchałem kapeli grającej teraz *Moonlight Serenadę*, Księżycową serenadę, i nagle poczułem się nie na miejscu, jakbym nie powinien tu być, jakby to była obraza dla tych ludzi, którzy zginęli tam w czerni nocy. Co gorsza, na dachu nie było nikogo, kto wiedział, co czuję, i zapragnąłem, żeby Conway, albo nawet Karl, był ze mną właśnie w tej chwili. Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy jestem sam, i zobaczyłem faceta w moim wieku z kobietą; ze sposobu, w jaki mówili i patrzyli, odgadłem, że on już tu kiedyś był.

Wypiłem połowę drugiego piwa, a zespół grał właśnie *Old Cape Cod*, Przylądek Cod - skąd oni znają te piosenki? Było dwadzieścia minut po wyznaczonej godzinie, łącznik jednak wciąż się nie zjawiał. Wyobraziłem sobie nagle, że kelner podaje mi kartkę z faksu z wiadomością: „Morderca się przyznał - bilety do Honolulu w recepcji”. Ale co z moim paszportem?

Gdy tak siedziałem pogrążony w mrzonkach, do mojego stolika zbliżyła się młoda biała kobieta. Była ubrana w beżową jedwabną bluzkę, ciemną spódnicę i sandały i niosła aktówkę, ale nie miała torebki. Wyglądała tak, jakby kogoś szukała; podeszła do mojego stolika i spytała:

- Pan Ellis?

- Nie.

- Och, przepraszam Miałam się tutaj spotkać z panem Earlem E. Ellisem.

- Może się pani do mnie przysiąść i na niego poczekać.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Ależ skąd. - Wstałem i podsunąłem jej krzesło. Usiadła. Miała około trzydziestki, z dokładnością do kilku lat w jedną lub drugą stronę, brązowe włosy, długie i proste, z przedziałką pośrodku, jak Wietnamki. Jej oczy były brązowe i bardzo duże, a twarz lekko opalona, czego należało się spodziewać w tym klimacie. Nie nosiła biżuterii, tylko sensowny prosty zegarek i prawie wcale nie miała makijażu oprócz jasnej różowej szminki; jej paznokcie nie były umalowane. Mimo wietnamskiej fryzury sprawiała wrażenie biznesmenki, którą można by zobaczyć w Waszyngtonie, prawniczki, bankierki albo maklerki giełdowej. Aktówka wzmocniała to wrażenie. Czy wspominałem, że była zgrabna i ładna? Nieistotne, rzecz jasna, ale trudno było nie zauważyć.

Położyła aktówkę na pustym krześle, wyciągnęła rękę nad stolikiem i powiedziała:

- Hej, jestem Susan Weber.

Ująłem jej dłoń i, sądząc, że jest to bondowski moment, spojrzałem w oczy i odparłem:

- Brenner. Paul Brenner. - Zdawało mi się, że zespół gra motyw z Goldfingera.

- Dziękuję, że pozwolił mi pan się przysiąść.

- Czeka pani na kogoś. Ale proszę sobie pozwolić postawić drinka, póki nie przyjdą osoby, na które czekamy.

- Dobrze... Poproszę dzin z tonikiem. Zawołałem kelnera i zamówiłem dzin z tonikiem i jeszcze jedno piwo.

Panna Weber powiedziała coś do kelnera po wietnamsku, a on uśmiechnął się, uklonił i odszedł.

- Mówi pani po wietnamsku? - spytałem.

- Trochę. - Uśmiechnęła się. - A pan?

- Trochę. Umiem powiedzieć na przykład „Pokaż swój identyfikator” albo „Ręce do góry”.

Znow się uśmiechnęła, lecz nie skomentowała moich słów. Zjawiły się drinki.

- Myślę, że oni używają prawdziwej chininy. To ma coś wspólnego z malarią. Nie cierpię tabletek przeciw malarii. Zawsze po nich... biegam. Nie biorę ich - powiedziała panna Weber.

- Mieszka pani tutaj?

- Tak. Prawie od trzech lat. Pracuję w amerykańskiej firmie inwestycyjnej. Przyjechał pan służbowo?

- W celach turystycznych.

- Jest pan od niedawna?

- Przyleciałem wczoraj wieczorem Mieszkam tutaj.

Podniosła szklankę.

- Witamy w Sajgonie, panie...?

- Brenner. - Stuknęliśmy się szklankami. Zauważyłem, że jej akcent ma w sobie coś z akcentu Nowej Anglii.

- Skąd pani pochodzi? - spytałem.

- Urodziłam się w Lenox... to zachodnie Massachusetts.

- Wiem, gdzie to jest. - Lenox to jedno z tych miasteczek w górach Berkshire, które idealnie nadają się na pocztówki. - Przejeżdżałem kiedyś przez Lenox. Jest tam mnóstwo dużych rezydencji.

Nie zareagowała na to.

- Letnia siedziba Filharmonii Bostońskiej... Tanglewood - powiedziała. - Był pan kiedyś w Tanglewood?

- Zwykle spędzam urlopy w Monte Carlo.

Spojrzała na mnie, jakbym ją puszczał w maliny; chyba nie wiedziała, co o tym sądzić, bo spytała:

- A pan? Zdaje mi się, że słyszę cień bostońskiego akcentu.

- To świetnie. Już myślałem, że go zagubiłem.

- Tego się nigdy nie gubi. Więc jesteśmy ziomkami ze stanu Bay. Jaki ten świat mały i tak dalej. - Rozejrzała się. - Tu jest ładnie, z wyjątkiem lata, kiedy jest za gorąco. Podoba się panu hotel?

- Jak dotąd, nie narzekam. Po południu miałem świetny masaż.

Od razu załapała, o co chodzi.

- Naprawdę? Jaki masaż? - zapytała z uśmiechem.

- *Shiatsu*.

- Lubię dobry masaż - poinformowała mnie. - Ale dziewczęta dostają w hotelu tylko dolara... zarabiają więcej za usługi dodatkowe, więc nie lubią masować kobiet.

- Może pani dać napiwek.

- Daję. Dolara. One lubią mężczyzn.

- Cóż, do pani wiadomości, ja miałem tylko masaż. Lecz to luzackie miejsce.

- Musi pan uważać.

- Robię nawet coś więcej. Jestem grzeczny.

- To godne pochwały. Jak zaczęliśmy o tym mówić?

- Chyba przeze mnie.

Uśmiechnęła się, po czym powiedziała:

- Jeśli chodzi o hotel, jego właścicielami była kiedyś bogata wietnamska para, która kupiła go od francuskiej firmy. W czasie amerykańskiej kampanii mieszkali w nim głównie amerykańscy wojskowi. - Tak, słyszałem.

- No właśnie. Kiedy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku do władzy doszli komuniści, budynek przejął rząd. Pozostał hotelem, ale mieszkali w nim przeważnie północnowietnamscy dygnitarze partyjni, Rosjanie i komuniści z innych krajów.

- Dla zwycięzców tylko to, co najlepsze.

- Oczywiście, hotel zamienił się w chlew. Ale w połowie lat osiemdziesiątych rząd sprzedał udziały międzynarodowej firmie, która zdołała się pozbyć komunistycznych gości.

Budynek został całkowicie odnowiony i stał się hotelem międzynarodowym. Zawsze rezerwuję tu pokoje dla amerykańskich i europejskich biznesmenów. - Spojrzała na mnie. -

Cieszę się, że się panu podoba.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy; skinąłem głową. Panna Weber zerknęła na zegarek.

- Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa pan Ellis.

- Proszę spytać w sali masażu.

Parsknęła śmiechem.

- Niech pani wypije jeszcze jednego drinka - zaproponowałem.

- Hm... Czemu nie? - Powiedziała coś do przechodzącego kelnera, a potem sięgnęła do aktówki i wyjęła paczkę marlboro. Wyciągnęła papierosy w moją stronę.

- Nie, dziękuję. Ale proszę się nie krępować.

Zapalając papierosa, powiedziała cicho:

- Mam coś dla pana. - Wydmuchnęła chmurę dymu.

Nie odpowiedziałem. Nie spodziewałem się kobiety, ale uświadomiłem sobie, że w ten sposób mniej się wyróżniamy.

- Odebrałam faks z pańskiej firmy - oznajmiła. - Zaznaczyłam to, czego pan potrzebuje, w gazecie, którą mam w aktówce. Krzyżówka. Powiedzieli, że pan zrozumie.

- Proszę mi ją podać, kiedy będzie pani wychodzić.

Skinęła głową.

- Wysłałam faks do pańskiej firmy wczoraj wieczorem, z wiadomością, że się pan zameldował. Powiedziałam, że lot się opóźnił z powodu pogody, ale zameldował się pan półtorej godziny po wylądowaniu. - Po chwili spytała: - Jakież problemy?

- Mój bagaż się zawieruszył.

- Naprawdę? Nie ma aż tak wielu lotów i jest tylko jeden pas bagażowy. Jak pański bagaż mógł się zawieruszyć?

- Nie mam pojęcia.

Zjawił się jej dzin z tonikiem i moje piwo. Zespół grał *Stella by Starlight*, Stella w blasku gwiazd. Miałem wrażenie, że we wszystkich utworach powtarza się motyw nieba.

- Naprawdę pracuje pani dla amerykańskiej firmy? - spytałem.

- Tak. Czemu?

- Robiła już pani kiedyś coś takiego?

- Nie wiem... a co ja robię?

Inteligentna reakcja, ale ja potrzebowałem odpowiedzi, więc powtórzyłem pytanie.

- Nie. Poproszono mnie o przysługę. Pierwszy raz.

- Kto panią poprosił?

- Człowiek, którego tu znam. Amerykanin.

- Gdzie on pracuje?

- W Bank of America.

- Jak dobrze go pani zna?

- Dość dobrze. Jest w tej chwili moim chłopakiem. Od prawie pół roku. Dlaczego pan zadaje te pytania?

- Chcę być pewny, że nie ma pani na liście inwigilowanych przez tutejsze KGB. Skinęła głową.

- Wszyscy są tutaj pod obserwacją bezpieczeństwa. Zwłaszcza Amerykanie. Ale Wietnamczycy nie są w tym zbyt skuteczni.

Nie odpowiedziałem.

- Trzy czwarte wietnamskiej policji chodzi w cywilnych ubraniach - ciągnęła panna Weber. - Ci przy sąsiednim stoliku mogliby wszyscy należeć do policji, ale jeśli nie zapalę jointa i nie dmuchnę im dymem prosto w twarz, będą bardziej zainteresowani swoim piwem niż mną. To wszystko jest bardzo chaotyczne. Mniej więcej raz na miesiąc zatrzymują mnie i każą płacić mandat za złamanie jakichś głupich przepisów drogowych. - Milczałem. - Wszystko kręci się wokół pieniędzy - mówiła dalej. - To miasto jest pełne drogich, importowanych dóbr konsumpcyjnych, przeciętny Nguyen zarabia około trzysta dolarów rocznie, ale chce kupować wszystko, co widzi, więc jeśli jest cywilem, pracuje blisko zachodnich turystów, żeby dostawać napiwki, jego młodszy brat żebrze na ulicach, jego siostra robi numerki, a starszy brat, który jest gliną, wymusza pieniądze od turystów i obcokrajowców.

- Chyba spotkałem ich wszystkich.

Susan Weber uśmiechnęła się.

- To skorumpowany kraj, ale łapówki są niewygórowane, ludzie są w zasadzie mili, przestępczość na ulicach niewielka, a elektryczność w Sajgonie działa, chociaż na wodociągach nie zawsze można polegać. Nie martwiłabym się zbyt skutecznością tutejszego państwa policyjnego. To jest indolencja, rządowa paranoja i ksenofobia dotycząca przybyszów z Zachodu; trzeba ich tylko przekonać, że przyjechało się tutaj, żeby zarobić parę dolarów, fotografować pagody, załapać się na tani seks, a nie po to, by obalić rząd. Nie jestem bohaterką, panie Brenner, ani patriotką, i gdybym uważała, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo z powodu tej drobnej przysługi, odmówiłabym.

Zastanowiłem się nad tym wszystkim i doszedłem do wniosku, że panna Weber jest trochę cyniczna, chociaż początkowo nie sprawiła na mnie takiego wrażenia. Ale może Wietnam ją dopadł.

- Więc dlaczego zgodziła się pani na tę drobną przysługę? - spytałem.

- Powiedziała panu... przez mojego głupiego chłopaka. Ma na imię Bill. Teraz mamy tu konsulat, a on myśli, że ludzie z rządu mogą mu pomóc w biznesie. Rząd wie tyle o biznesie, co ja o rządzie.

- Więc ktoś z rządu zwrócił się do Billa, żeby... co zrobił?

- Poprosił mnie, żebym się z panem spotkała. W konsulacie chcieli, by to była kobieta. Policja nie zwraca zbytnio uwagi na kobiety, i tak jest chyba bardziej niepozornie.

- Czy mogę sprawdzić tego Billa?

Wzruszyła ramionami.

- Dam panu jego wizytówkę. Mam ich cały stos.

- Jest pani bardzo lojalna jako jego dziewczyna.

Roześmiała się.

- Jest pan bardzo podejrzliwy - powiedziała.

- A do tego mam paranoję. Istnieje też możliwość, że jestem śledzony, więc niech pani nie będzie zaskoczona, jeśli będą panią później przesłuchiwać.

- Nic nie wiem - odparła, wzruszając ramionami.

- Jestem weteranem - poinformowałem ją - i przyjechałem, żeby wspominać i zobaczyć parę miejsc, w których służyłem.

- Tak mi właśnie powiedziano.

- I tylko tyle pani wie. Mężczyzna, z którym się pani umówiła na służbowe spotkanie, nie zjawił się i zaraz pani stąd odejdzie.

Skinęła głową. - Czy oprócz gazety jest jeszcze coś, co ma mi pani przekazać? - spytałem.

- Nie. Co na przykład?

- Na przykład telefon komórkowy.

- Nie. Ale może pan wziąć mój. Między miastami nie działa za dobrze. Lecz na Sajgon wystarczy. Chce pan?

- Nie, jeśli ktoś może sprawdzić, że należał do pani.

- Pan decyduje. Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

- A jakie dostała pani polecenia?

- Przyjąć i przekazać wiadomość.

- Co się stanie, jeśli będę stąd wysyłał faks?

- To znaczy z hotelu? Po prostu pan wysyła.

- Oglądają fakсы? Robią kopie?

Pomyślała przez chwilę.

- Tak - odparła. - Nie oddadzą panu papieru, póki nie zrobią odbitki. Ale mogę wysłać bezpieczny faks lub pocztę elektroniczną z mojego biura. - Po chwili dodała: - Tak właśnie zrobiłam wczoraj wieczorem.

- Czy ma pani przesłać komuś wiadomość w sprawie tego spotkania?

Skinęła głową.

- Kod siedemset trzy. Wirginia.

- Zgadza się. Przy okazji składania raportu niech pani powie, że zostałem zatrzymany na lotnisku i zabrali mi paszport, ale uważam, że była to przypadkowa kontrola i wyjadę z Sajgonu na czas, jeśli dostanę z powrotem paszport. Okej?

Spojrzała na mnie, powtórzyła wiadomość i powiedziała:

- Nie powinnam zadawać panu żadnych pytań, ale...

- Proszę nie zadawać pytań. A jeśli otrzyma pani odpowiedź, niech ją pani zapamięta. Proszę jej nie brać ze sobą do hotelu, Niech się pani ze mną skontaktuje i wtedy się gdzieś spotkamy. Okej?

- Jak pan sobie życzy.

- Dzięki.

- Nie ma za co. Więc zatrzymali pana na lotnisku? Dlatego się pan spóźnił.

- Zgadza się.

- Nie jestem zaskoczona. Wygląda pan na szemranego typu. - Roześmiała się. - Chcieli od pana podatek wjazdowy?

- Dwadzieścia dolców.

- Dał im pan?

- Dałem.

- Niepotrzebnie. Oni rozumieją odmowę, jeśli się jest stanowczym.

- Kazałem temu strażnikowi zanieść sobie bagaż do taksówki.

Roześmiała się.

- Pięknie. To mi się podoba. - Po chwili dodała: - Wie pan, facet od paszportów i wszyscy inni dzielą się łupami. Tak to działa.

- Więc myśli pani, że to była przypadkowa kontrola?

- Jasne... Tylko że oni rzadko kiedy zabierają paszporty. - Zastanowiła się. - Jeszcze się do pana odezwą - stwierdziła.

- Mam nadzieję. Mają mój paszport.

Zapaliła drugiego papierosa i odniosłem wrażenie, że nie spieszy się jej do odejścia.

- Niech mi pani zaproponuje gazetę, a potem może pani iść na swoje następne spotkanie. Potrzebne mi są wizytówki pani i Billa.

Popatrzyła na mnie i przez chwilę spoglądaliśmy sobie w oczy. Zgasła papierosa. wiedzieć o Billu. Proszę do mnie zadzwonić, wtedy panu odpowiem. - Moja wizytówka jest w gazecie - odparła. - Nie jestem pewna, czy powinien pan coś

- Dobrze.

Wstała i podniosła z krzesła aktówkę.

- Dzięki za drinki - powiedziała.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Mam tu gazetę po angielsku. Już ją przeczytałam. Chce pan?
- Pewnie. Przyda mi się coś do czytania.

Wyjęła z aktówki „International Herald Tribune” i położyła na stole.

- Wczorajsza, ale to numer weekendowy. Następny zobaczy pan dopiero w poniedziałek wieczorem.

- Dzięki. Podała mi rękę.

- Powodzenia.

- *Chuc Mung Nam Moi* - rzuciłem.

- *Chuc Mung Nam Moi* - odpowiedziała z uśmiechem. Odwróciła się i odeszła.

Usiadłem, zostawiając gazetę na miejscu, sącząc piwo i czekając, aż stanie się coś nieprzyjemnego.

Odczekałem pełną minutę, nic się nie stało, więc podniosłem gazetę i rozłożyłem ją. Poszukałem ręką wizytówki, a potem wsunąłem ją do kieszeni, wyciągając jednocześnie chusteczkę i ocierając czoło. Usiadłem skośnie do stolika i zacząłem czytać pierwszą stronę przy świetle świecy.

No cóż, jak dotąd wszystko szło dobrze. Nigdy nie rozpracowywałem sprawy we wrogim kraju, choć, szczerze powiedziawszy, rozpracowywałem je w zaprzyjaźnionych krajach, które dzięki mnie stały się wrogimi. W każdym razie mój warsztat szpiegowski był całkiem niezły, wzięwszy pod uwagę, że byłem tylko gliną. Pan Conway miał rację - to jest we krwi mojego pokolenia. Za dużo powieści i filmów szpiegowskich. Co by teraz zrobił James Bond?

Przede wszystkim nie pozwoliliby odejść pannie Weber. Ale kiedy się pracuje dla CID albo FBI, jak mi się parę razy zdarzyło, trzeba trzymać korek w spodniach. A poza tym, oczywiście, była jeszcze Cynthia. I Bill, kimkolwiek on jest. No i panna Weber nie potrzebowała więcej kłopotów oprócz tych, które już być może miała.

Podniosłem głowę i zobaczyłem, że Susan Weber wróciła do stolika. Usiadła.

- Pan Ellis odwołał spotkanie - oznajmiła. - Poza tym miałam panu powiedzieć, żeby dzwonił pan do mnie bez wahania, jeśli będzie pan czegoś potrzebował, i żeby mi pan dał znać, kiedy będzie wyjeżdżał z Sajgonu w poniedziałek rano. Ale Wietnamczycy podsłuchują telefony w większości zagranicznych biur... niekoniecznie ze względów bezpieczeństwa, lecz w nadziei, że usłyszą coś, co przyniesie im korzyść w interesach. Tak czy owak, musi pan uważać, co pan mówi, korzystając z telefonu stacjonarnego. Numer mojej komórki jest na wizytówce, ale będzie panu potrzebna komórka, żeby do mnie zadzwonić, jeśli nie chce pan, żeby monitorowano rozmowę. Jeżeli połączy się pan ze mną przez telefon naziemny i będzie chciał mi powiedzieć coś ważnego, mogę się z panem spotkać. Poproszono mnie, żebym została na cały weekend w Sajgonie. Okej?

- Pani o tym wszystkim zapomniała?

- Powiedziałam, że może pan zadzwonić, jeśli będzie pan czegoś potrzebował, a teraz tylko rozwijam myśl.

- Dobrze. Dziękuję,
- Jest sobota wieczór, a ja nie jestem z nikim umówiona.
- Gdzie Bill?

- Powiedziałałam mu, że mogę być zajęta, w zależności od tego, co się stanie dziś wieczorem.

- Czyżby mi coś umknęło?

- Chciałam zobaczyć, czy jest pan zainteresowany, czy nie. - W takim razie to chyba jest pożegnanie.

Uśmiechnęła się.

- Niech mnie pan nie wystawia na próbę.

- Susan... proszę posłuchać, otrzymałem instrukcje...

- Mam nowe instrukcje. Zależy im, żebym opowiedziała panu o kraju. Nie chcą, żeby się pan całkiem zgubił po wyjeździe z Sajgonu.

- To jest prawda?

- Czy kłamałabym komuś, kto pochodzi z mojego rodzinnego stanu?

- Nie wiem...

- Nie przywykłam do odmów.

- Tak sobie wyobrażam. Zje pani ze mną kolację?

- Z przyjemnością, Jak to miło, że mnie pan zaprasza.

Skinąłem na kelnera i poprosiłem o karty.

- Jak tutejsze jedzenie? - spytałem moją nową przyjaciółkę.

- Właściwie nie najgorsze. Mają potrawy japońskie, francuskie, chińskie i naturalnie wietnamskie. Są święta Tet, więc będzie do wyboru mnóstwo świątecznych dań.

Podano nam karty.

- Jak się nazywa psie mięso? - spytałem.

- *Thit cho*. - Uśmiechnęła się i wzięła kartę. - Co pan chce? Chińskie, wietnamskie czy francuskie?

- Chcę cheeseburgera z frytkami.

- Zamówię dla nas coś ze świątecznego menu. Zjawił się maitre; ich rozmowa przetykana była wybuchami śmiechu i spojrzeniami w moją stronę.

- Tylko bez *thit cho*, Maitre znowu parsknął śmiechem i odezwał się do Susan. Żeby mu pokazać, że rozumiem język, powiedziałem po wietnamsku, żeby podniósł ręce do góry.

- Zamówiłam dużo małych dań - odezwała się Susan, gdy mężczyzna odszedł - żeby mógł pan wszystkiego spróbować i zjeść, co pan chce. - Po chwili spytała: - Czemu kazał mu pan podnieść ręce do góry? - Żeby nie wyjść z wprawy.

- Czy w Waszyngtonie nie ma wietnamskich restauracji?
- Dlaczego pani uważa, że mieszkam w Waszyngtonie?
- Zakładam, że pracuje pan dla Waszyngtonu.
- Mieszkam w Wirginii. Jestem na emeryturze.
- Jadł pan wietnamskie jedzenie, kiedy był pan tutaj w wojsku?
- Miałem racje żywnościowe. Nie wolno było jeść miejscowych potraw. Regulamin wojskowy. Niektórzy bardzo się od nich pochorowali.
- Teraz też trzeba uważać. Niech pan pije dużo dzinu z tonikiem, wody butelkowanej, piwa i coca-coli. Po przyjeździe tutaj bardzo chorowałam. Nazywamy to zemstą Ho Szi Mina. Ale od tej pory czuję się dobrze. Człowiek się uodparnia.
- Ja nie zostanę tutaj tak długo.

Zjawilo się jedzenie, danie po daniu. Panna Weber jadła jak Wietnamka, z miską przy twarzy, zagarniając wszystko do ust pałeczkami. Ja używałem noża i widelca.

Pogawędziliśmy trochę, głównie o Sajgonie i pracy Susan. Wyjaśniła, czym się zajmuje, ale ponieważ byłem pracownikiem rządowym bez żadnego doświadczenia w biznesie, niewiele z tego zrozumiałem. Chodziło o konsultacje i organizowanie kredytów dla

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-ePub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

przeważnie amerykańskich inwestorów, którzy chcieli robić interesy w Wietnamie. Ja nie rozumiałem, ale Susan tak, i wyciągnąłem wniosek, że naprawdę jest doradcą inwestycyjnym. Zwykle wiem, jeśli ktoś udaje, bo w czasie wykonywania wielu moich zadań musiałem udawać urzędnika, zbrojmistrza czy jeszcze kogoś innego, żeby zbliżyć się do podejrzanego. Po pewnym czasie poczuliśmy się ze sobą swobodnie.

- Wiem, że mam ci nie zadawać pytań - powiedziała Susan - więc nie mam pojęcia, co zrobić, żebyśmy mogli rozmawiać.

- Możesz pytać, o co chcesz.

- W porządku. Gdzie chodziłeś do szkoły?

- Nie mogę na to odpowiedzieć.

Uśmiechnęła się.

- Uważasz, że jesteś zabawny.

- Jestem zabawny. A ty gdzie chodziłaś do szkoły?

- W Amherst. Potem na Harvardzie zdobyłam dyplom MBA.

- A potem?

- Pracowałam w banku inwestycyjnym w Nowym Jorku.

- Jak długo?

- Jeśli próbujesz obliczyć mój wiek, mam trzydzieści jeden lat.

- I mieszkasz tu od trzech lat.

- Trzy lata upłyną w przyszłym miesiącu.

- Dlaczego?

- Dlaczego nie? To dobrze wygląda w życiorysie, poza tym nikt mi tu nie zawraca głowy.

- Podoba ci się tutaj?

- W zasadzie tak.

- Czemu? Wzruszyła ramionami.

- Chyba dlatego, że... mam naturę cudzoziemki. Rozumiesz?

- Nie.

- No, cóż... To cześć mojej tożsamości. W Nowym Jorku byłam nikim. Jeszcze jedna ładna buzia z dyplomem MBA z uczelni Ivy League. Tutaj się wyróżniam. Jestem egzotyczna dla Wietnamczyków i interesująca dla ludzi z Zachodu.

Skinąłem głową.

- Myślę, że rozumiem. Kiedy wracasz do domu?

- Nie wiem. Nie myślę o tym.

Gwiazdki? Dnia Świstaka? - Dlaczego? Nie tęsknisz? Do rodziny? Do przyjaciół? Nie brakuje ci

Czwartego Lipca?

Pobawiła się chwilę pałeczkami, po czym odrzekła:

dobrze się między nami teraz układa, bo ja jestem tu, a oni tam. Świetnie im się wiedzie i - Rodzice, siostra i brat przyjeżdżają mnie odwiedzić przynajmniej raz w roku. Bardzo wszyscy bardzo lubią współzawodnictwo. Tutaj mogę być sama dla siebie. Paru dobrych przyjaciół też mnie odwiedziło. Poza tym tutejsza amerykańska społeczność rezygnuje ze swoich zajęć, żeby obchodzić święta, i są one bardziej niezwykle i mają większe znaczenie. Rozumiesz?

- To nie jest tylko jeszcze jeden kraj Trzeciego Świata. To jest państwo półtotalitarne, - Myślę, że tak.

więc przybysze z Zachodu czują się tutaj tak, jakby żyli na krawędzi, dlatego każdy dzień jest ciekawy, zwłaszcza kiedy pokonuje się tych idiotów w ich własnej grze. - Spojrzała na mnie.

- Mówię z sensem, czy za dużo wypiałam?

- Jedno i drugie. Ale rozumiem.

- Powinieneś. Jesteś szpiegiem.

- Jestem emerytowanym wojskowym, odsłużyłem tutaj dwie tury w sześćdziesiątym ósmym i siedemdziesiątym drugim i wróciłem jako turysta - poinformowałem Susan.

- Niech będzie. Czy ten kraj cię wkurza?

- Nie.

- Miałeś tutaj złe przeżycia?

- Miewałem lepsze.

- Byłeś ranny?

- Nie.

- Czy traumatyczne wspomnienia wpędzały cię w stres?

- Mam dość codziennego stresu, żeby być szczęśliwy,

- Gdzie przebywałeś podczas pobytu tutaj?

- Głównie na północy.

- To znaczy w Hanoi? - spytała.

- Nie. Hanoi jest w Wietnamie Północnym. Nigdy tam nie walczyliśmy.

- Powiedziałeś na północy.

- W północnej części dawnego Wietnamu Południowego. W strefie zdemilitaryzowanej.

Uczyłaś się o tym w szkole?

- W liceum. W college'u nie miałam historii. Więc gdzie stacjonowałaś?

- Byłem w Bien Hoa w siedemdziesiątym drugim roku. W sześćdziesiątym ósmym głównie w prowincji Quang Tri.

- Nie byłam dalej na północy niż w Hue. Piękne miasto. Powinieneś tam kiedyś pojechać. Nigdy nie byłam na Wyżynie Centralnej. Poleciałam kiedyś do Hanoi. Nienawidzą nas tam.

- Nie mam pojęcia dlaczego.

Przepraszam. Źle to wyszło. - Obojętnie, co tam zrobiliście, oni wciąż nas nienawidzą, - Spojrzała na mnie. -

- Nie przejmuj się.

- Więc masz zamiar odwiedzić te miejsca?

- Być może.

- Powinieneś. Z jakiego innego powodu byś tu przyjeżdżał? Och... Zapomniałam że jesteś... - Położyła palec na ustach. - Cicho, sza. - Roześmiała się.

Zmieniłem temat.

- Mieszkasz w centrum Sajgonu?

- Tak. Większość ludzi z Zachodu tam mieszka. Inne dzielnice bywają trochę za bardzo rodzime. - Wróciła do poprzedniego tematu. - Co robiłeś w Wietnamie?

- Wolałbym raczej nie mówić o wojnie - odparłem.

- Myślisz o niej?

- Czasami.

- Więc powinieneś o niej mówić.

- Dlaczego? Bo o niej myślę?

- Tak. Tylko że mężczyźni trzymają wszystko w sobie.

- Kobiety o wszystkim gadają,

- To zdrowe. Trzeba wypowiedzieć to, co jest w środku.

- Mówię do siebie, a kiedy to robię, wiem, że rozmawiam z inteligentną osobą.

- Twardziel z ciebie. Stara szkoła.

Zerknąłem znacząco na zegarek. Jakoś tak wyszło, że ja i panna Weber się poznaliśmy; to mogło być spowodowane zbyt dużą ilością piwa.

- To był długi dzień - powiedziałem.

- Zjem deser i wypiję kawę. Nie uciekaj.

- Jeszcze się nie przyzwyczailem do różnicy czasu.

Zapaliła papierosa, ignorując to.

- Nigdy nie paliłam, zanim tu przyjechałam. Ci ludzie kopcą jak kominy, zaraziłam się. Ale nie palę trawki czy opium. Jeszcze nie stałam się do końca taka jak oni.

Obserwowałem ją w migotliwym blasku świecy. To była skomplikowana kobieta, wydawało się

jednak, że wali prosto z mostu. Nigdy me porównuję kobiety A do kobiety B, lecz Susan przypominała mi trochę Cynthię... chyba swoją bezpośredniością. Ale Cynthię, podobnie jak mnie, ukształtowała armia, a Susan pochodziła z innego świata - z Lenox, Amherst, Harvardu. Rozpoznawałem akcent i zachowanie wyższej klasy średniej, cechy tych innych mieszkańców Massachusetts, z których południowcy się śmieją i którym jednocześnie zazdroszczą. Skinęła na kelnera.

- Kawa czy herbata? - zwróciła się do mnie.

- Kawa.

Powiedziała coś do kelnera, który przyjął zamówienie i odszedł.

- Tutejsza kawa jest dobra - oznajmiła. - Pochodzi z wyżyn. Chcesz deser?

- Jestem zapchany.

- Zamówiłam owoce. Są niezemskie.

Odnosiłem wrażenie, że dobrze się bawi w moim towarzystwie albo sama dobrze się bawi, co u kobiet nie zawsze znaczy to samo. Tak czy owak, była zabawna, tylko że wypła o jedno piwo za dużo i zaczynała się wygłupiać.

Zrobiło się chłodniej, wieczór był piękny, gwiazdzisty, i dostrzegłem ostatni skrawek znikającego księżycy.

- Wigilia Nowego Roku jest w przyszłą sobotę, prawda?

- Tak. Powinieneś postarać się być wtedy w jakimś dużym mieście. To może być dobra zabawa.

- Taka jak sylwester w domu?

- Bardziej jak chiński Nowy Rok w Nowym Jorku. Fajerwerki, kanonada, taniec smoka, teatr lalek i tak dalej. Ale jest jednocześnie bardzo poważnie i wielu ludzi chodzi do pagód modlić się o dobry rok i w intencji swoich przodków. Zabawa kończy się przed północą, bo każdy idzie do domu, żeby być o północy z rodziną. Z wyjątkiem katolików, którzy idą na mszę. Jesteś katolikiem?

- Czasami.

Uśmiechnęła się.

- Więc idź na mszę o północy, jeśli będziesz w pobliżu kościoła. Ktoś cię zaprosi do domu na wspólny posiłek. Ale pierwszy gość, który przekracza próg wietnamskiego domu po północy, musi mieć dobry charakter, bo inaczej rodzina będzie miała nieszczęśliwy rok. Masz dobry charakter?

- Nie.

- Umiesz łąć - roześmiała się.

- Jak rozumiem, święta trwają jeszcze przez tydzień po Nowym Roku.

- Oficjalnie cztery dni, ale w rzeczywistości około tygodnia. Trudno wtedy cokolwiek załatwić, bo prawie wszystko jest pozamykane. Dobre z kolei jest to, że uliczne korki przedświąteczne i tłok na ulicach się kończą i większość miejsc wygląda jak z miasta duchów. Restauracje i bary są zwykle otwarte tylko wieczorem; wszyscy ostro się wtedy bawią, Ale każde miasto i region świętuje trochę inaczej. Jak przypuszczasz, gdzie spędzisz Tet?

Być może w więzieniu, pomyślałem.

- Nie jestem pewien co do mojego rozkładu podróży - odparłem,

- Naturalnie. - Zastanowiła się przez chwilę, po czym powiedziała: - Musiałeś tutaj spędzić święta Tet, jeśli byłeś dwa razy.

- Byłem tu w czasie Tet w siedemdziesiątym drugim i sześćdziesiątym ósmym roku.

Susan skinęła głową.

- Wiem o Tet w sześćdziesiątym ósmym roku. Nie jestem dobra z historii, ale o tym wiem. Gdzie byłeś?

- Pod Ouang Tri.

w czasie Tet. Tam są wielkie obchody.- Rozumiem, że w Ouang Tri i Hue było bardzo źle - stwierdziła. - Może będziesz w Hue

- Nie jestem pewien, gdzie będę,

- A wiesz przynajmniej, co będziesz robił jutro?

- Będę zwiedzał

- To dobrze. Potrzebujesz przewodnika, a ja jestem wolna,

- Bill może się wkurzyć.

- Przejdzie mu. - Znów się roześmiała i zapaliła kolejnego papierosa. - Jeśli jedziesz w głąb kraju, przydadzą ci się wskazówki. Mogę kilku udzielić.

- Już mi dość pomogłaś. Uzywacie tego określenia? W głębi kraju?

- Tak, słyszałam je tutaj. Czemu pytasz?

- Myślałem, że to wojskowe określenie.

- Ludzie z Zachodu go używają. W głębi kraju. To znaczy poza Sajgonem czy jakimkolwiek innym dużym miastem... zwykle w jakimś miejscu, gdzie nie chciałoby się być... coś w rodzaju dzikiej głuszy. Zgadza się?

- Tak.

- Więc jeśli chcesz, pokażę ci jutro prawdziwy Sajgon.

- To wykracza daleko poza twoje obowiązki.

Popatrzyła na mnie przez dym z papierosa.

- Paul, ja... nie chcę ci się narzucać.

- Nawet mi to nie przeszło na myśl.

- Słusznie. Jesteś żonaty? Wolno mi o to spytać?

- Nie jestem żonaty, ale jestem,,, jak to się teraz nazywa?

- W trwałym związku.

- No właśnie, W czymś takim jestem.

- Dobrze, Ja też. Ten facet to idiota, ale to inna historia. Princeton. Czy muszę mówić więcej?

- To chyba mówi samo za siebie.

- Mam nadzieję, że nie jesteś z Princeton.

- Boże broń. Zrobiłem rozszerzony wojskowy program edukacyjny, z wyróżnieniem.

- Więc tyle jeśli, chodzi o mnie. Nie jestem...

Zjawiała się kawa i owoce,

Zespół grał utwory z lat sześćdziesiątych i właśnie zaczął *Four Once in My Love*, Tylko jeden raz w życiu, Steviego Wondera i tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku

Susan zjadła trochę owoców, potem otarła usta chusteczką, Myślałem, że zbiera się do wyjścia, ale spytała:

- Masz ochotę zatańczyć?

To mnie zaskoczyło.

- Pewnie - odpowiedziałem.

Wstaliśmy i podeszliśmy do parkietu tanecznego, który był bardzo zatłoczony. Wziąłem Susan w ramiona i poczułem że obejmuję prawdziwą kobietę. Tańczyliśmy. Nie byłem całkiem pewny, do czego to zmierza, lecz może źle odczytywałem sytuację. Była trochę znudzona Billem i potrzebowała nieco odjazdu, w czym mogła jej pomóc kolacja z superszpiem.

Zespół grał *Can't Take My Eyes Off You*, Nie mogę oderwać od ciebie oczu. Ciało Susan było ciepłe, dobrze tańczyła i czułem wyraźne jej piersi na mojej klatce. Trzymała brodę na moim ramieniu, ale nasze policzki się nie dotykały,

- Jest miło - powiedziała.

- Tak.

Tańczyliśmy na dachu hotelu Rex, nad nami wirowała świetlna korona, w górze skrzyły się gwiazdy; wiała tropikalna bryza, a zespół grał wolną taneczną muzyczkę. Pomyślałem o Cynthii, choć trzymałem w ramionach Susan. Myślałem o tych rzadkich momentach, kiedy byliśmy razem i o tym, że nigdy nie spędziliśmy ze sobą takich chwil jak ta. Zatęskniłem do Hawajów.

Po paru minutach tańca w milczeniu Susan spytała:

- Więc chcesz jutro towarzystwa?

- Chcę, ale...

- Taka właśnie jestem. Nie mam nic wspólnego z polityką, mój żywioł to biznes. Ale nie przepadam za tymi idiotami, którzy tu rządzą. To dranie utrudniający biznes i zabawę. Ludzie są mili. Lubię ich. Chyba chcę powiedzieć, że nigdy w życiu nie zrobiłam niczego dla kraju, więc jeśli to jest dla kraju...

- Nie jest.

- No dobra, lecz chcę coś zrobić dla ciebie, bo czuję, że możesz potrzebować więcej wskazówek, niż ktokolwiek mógł ci dać. Chcę, żeby ci się udało to, co masz tutaj zrobić. I nie chcę, żebyś wpadł

w tarapaty, kiedy wyjedziesz z Sajgonu. Reszta kraju nie jest taka jak Sajgon, Tam może być trochę ostro. Wiem, że jesteś twardym facetem i poradzisz sobie

tutaj... zrobiłeś to już dwa razy. Ale chciałabym się lepiej, gdybym poświęciła ci jeden dzień i pozwoliła skorzystać z mojej rozległej znajomości Wietnamu. Co ty na to?

- Może być. Robisz to dla mnie, czy dlatego, że lubisz niebezpieczne życie? A może lubisz robić rzeczy, które nie podobają się tutejszemu rządowi?

- Wszystko razem. I dla mojego kraju, bez względu na to, co mówisz.

Tańczyliśmy, a ja obracałem w myślach to, co mi powiedziała. Nie było powodu, dla którego nie miałbym spędzić dnia z tą kobietą, lecz coś mi mówiło, że to będzie oznaczać kłopoty.

- Spodziewam się, że zostanę wezwany do jakiegoś urzędu, żeby odpowiedzieć na parę pytań. Nie chciałabyś przy tym asystować.

- Nie boję się tych ludzi. Mogę się przerzucać wyzwiskami z najlepszymi z nich. Wydaje się, że jeśli będziemy razem, nie będzie to wyglądało tak podejrzanie.

- Ja nie wyglądam podejrzanie.

- Wyglądasz. Potrzebujesz towarzystwa na ten dzień. Pozwól mi to zrobić.

- Zgoda. Jeżeli tylko rozumiesz, dlaczego to robisz, i przyjmujesz, że jestem jedynie turystą, ale takim turystą, który z jakiejś przyczyny zwrócił uwagę władz.

- Rozumiem. - Zespół przestał grać; Susan wzięła mnie za rękę i poprowadziła do stolika.

Znalazła ołówek w aktówce i napisała coś na serwetce.

- Tu jest mój domowy numer... jeżeli będziesz go potrzebował. Spotkamy się jutro w holu o ósmej rano.

- To trochę wcześniej.

- Nie na mszę o ósmej trzydzieści w katedrze.

- Nie chodzę do kościoła.

- Ja chodzę co niedziela, a nawet nie jestem katoliczką. Tak robią wszyscy

obcokrajowcy. - Wstając, dodała: - Jeśli cię nie będzie w holu, zajrzę do jadalni. Jeśli cię tam nie będzie, zadzwonię do pokoju. A jeśli i tam cię nie zastanę, wiem, z kim się skontaktować.

Wstałem.

- Dzięki. To był naprawdę przyjemny wieczór.

- Dla mnie też. - Podniosła aktówkę. - Dzięki za kolację. Jutro pozwolisz mi sobie coś postawić.

- Pewnie.

Susan zawahała się, po czym spojrzała mi w oczy.

- Znam paru facetów w twoim wieku, którzy tu pracują, i paru, którzy wrócili, żeby coś odnaleźć albo może zgubić. Wiec wiem, że to trudne, i potrafię zrozumieć. Ale dla ludzi w moim wieku Wietnam to kraj, a nie wojna. - Milczałem. - Dobranoc, Paul. - Dobranoc, Susan.

Patrzyłem, jak znika w ogrodzonej restauracji

Spojrzałem na serwetkę, zapamiętałem numer telefonu, zgmiotłem serwetkę i wrzuciłem do filiżanki.

Jak już wspomniałem, był piękny wieczór, z wiaterką szeleszczącą w liściach drzewek i roślin. Teraz rozlegały się dźwięki McArthur Park. Zamknąłem oczy.

Dawno temu, gdy Wietnam był wojną, a nie krajem, były takie noce pod gwiazdami, a tropikalna bryza szemrała w gałęziach; pamiętałem to. Były też noce bez bryzy, a mimo to sobie sygnały. Żaby drzewne przestawały kumkać i nawet owady milkły, a nocne ptaki rośliny się poruszały i słychać było, jak tamci postukują bambusowymi kijami, wysyłając odlatywały. Czekając wtedy w śmiertelnej ciszy i przestawałeś oddychać, a serce waliło ci tak głośno, że byłeś pewien, że każdy je słyszy. Stukanie bambusów się zbliżało, a rośliny kołysały się w bezwietrznej noc.

Otworzyłem oczy i siedziałem przez chwilę, Susan zostawiła pół butelki piwa; wypłem je, żeby zwilżyć suche usta.

Wziąłem głęboki oddech i wojna odeszła. Zauważyłem, że z niecierpliwością oczekuję jutra.

Wróciłem do pokoju, niosąc gazetę. Światelko sygnalizujące wiadomość nie paliło się, nie było żadnych kopert, a szklana kuk została przesunięta przez sprzątaczkę, która zmieniła pościel. Spoczywała teraz na biurku.

Usiadłem przy biurku i rozłożyłem „International Herald Tribune”. Odszukałem krzyżówkę, która była krzyżówką z „New York Timesa”, do połowy rozwiązana. Przyglądałem się jej przez chwilę i spostrzegłem znaczek obok liczby trzydzieści dwa pionowo.

Otworzyłem przewodnik Samotna planeta na części poświęconej Hue. Był tam plan miasta z liczbową legendą, pokazujący ciekawe miejsca. Numer trzydzieści dwa oznaczał Pałac Mandarynów, mieszczący się, jak zauważyłem, wewnątrz Cesarskiej Dzielnicy, która stanowiła ogrodzoną murem część cytadeli w obrębie Starego Miasta.

Tam właśnie miałem się spotkać z moim łącznikiem w południe wyznaczonego dnia. On - albo ona - miał być Wietnamczykiem bądź Wietnamką; tylko tyle wiedziałem.

Gdybym z jakiegoś powodu nie dotarł tam na czas albo gdyby nikt na mnie nie czekał, miałem się stawić w rezerwowym miejscu o drugiej po południu. Oznaczone ono było odwrotnością cyfr liczby trzydzieści dwa, jak mi powiedział pan Conway. Spojrzałem na mapę Hue i zobaczyłem, że 23 to Biblioteka Królewska mieszcząca się w wewnętrznym sanktuarium Cesarskiej Dzielnicy, zwanym Purpurowym Zakazanym Miastem.

Była jeszcze trzecia możliwość: schadzka o czwartej po południu w miejscu oznaczonym sumą cyfr 3 i 2; miejsce to wedle mapy okazało się historyczną świątynią zwaną Chue Ba, poza murami cytadeli.

Gdyby mój łącznik nie stawił się w żadnym z tych miejsc, miałem wracać do hotelu i czekać na wiadomość. Powinienem być wtedy gotów do natychmiastowego wyjazdu.

Pomyślałem, że wszystko to wygląda trochę melodramatycznie, ale pewnie jest niezbędne. Nie podobało mi się też, że mam zaufać Wietnamczykowi, lecz musiałem zakładać, że ci w Waszyngtonie wiedzą, co robią. Wszak zanotowali tutaj same sukcesy.

Zrobiłem jeszcze kilka znaczków koło liczb w krzyżówce i wpisałem kilka haseł, zauważając, że panna Weber odgadła kilka naprawdę trudnych. Najwyraźniej była to bystra babka i najwyraźniej miała własne cele do osiągnięcia... albo czyjeś.

Jutrzejszy dzień powinien być interesujący.

Rozdział 10

Wysiadłem z windy i wszedłem do holu hotelowego dziesięć po ósmej.

Na fotelu pod drzewkiem palmowym siedziała Susan Weber i czytała jakieś czasopismo. Miała na sobie czarne spodnie i czarne buty i siedziała ze skrzyżowanymi nogami.

Zbliżywszy się, zobaczyłem, że czyta angielskojęzyczny magazyn „Vietnam Economic Times”.

Odłożyła czasopismo i wstała. Zauważyłem, że ma też na sobie obcisłą koszulę z czerwonego jedwabiu z rękawami do łokcia i wysokim kołnierzem typu *mandarin*. Na jej szyi wisiały na sznureczku okulary przeciwsłoneczne, a na biodrach miała nylonową saszetkę na pasku.

- Dzień dobry - powiedziała. - Już miałam do ciebie dzwonić. - Żyję i mam się dobrze.

- Być może wczoraj trochę za dużo wypiałam. Jeśli tak, to przepraszam.

- Ja na pewno nie byłem tego w stanie ocenić. Mam nadzieję, że dobrze się sprawiłem jako towarzystwo podczas kolacji.

- Lubię rozmawiać z gośćmi z kraju.

Panna Weber wydawała się trochę chłodniejsza niż wczoraj wieczorem, co było zrozumiałe. Wystarczy usunąć alkohol, muzykę, światło świec i gwiazdzistą noc, a ludzie z nieco większą rezerwą podchodzą do wczorajszej randki, jeśli nawet zakończyli ją w tym samym łóżku.

Ja miałem na sobie moje standardowe spodnie khaki, a zamiast koszulki z golfem włożyłem koszulkę z krótkimi rękawami.

- Dobrze się ubrałem do kościoła? - spytałem.

- Bardzo dobrze. Gotów?

- Tylko pozbędę się klucza do pokoju. - Podeszedłem do kontuaru i podałem recepcjoniście klucz. - Jakież wiadomości?

Sprawdził moją przegródkę.

- Nie, proszę pana.

Skierowałem się do drzwi wejściowych, gdzie stała Susan. Sprawa mojego paszportu była bardzo denerwująca. Mang wiedział, że jutro wyjeżdżam i potrzebuję dokumentu, żeby podróżować.

- Widzę, że nie oddali ci paszportu - zauważyła Susan. - Ale jestem pewna, że dostaniesz go dzisiaj, jeśli wiesz, że jutro wyjeżdżasz.

- Myślę, że odbiorę go w kwaterze głównej gestapo.

- Zwykle po prostu odsyłają je do hotelu. Albo każą odebrać na lotnisku. Ale to zazwyczaj oznacza, że trzeba wracać do domu prędzej, niż się przypuszczało.

To świetnie, pomyślałem, choć nie powiedziałem tego na głos.

- Masz wizę? - spytała Susan.

- Hotel ją ma.

Pomyślała przez chwilę.

- Zawsze powinieneś mieć przy sobie fotokopie paszportu i wizy - poinformowała mnie.

- Miałem. Policja ukradła mi je z neseseru na lotnisku.

- O - zdziwiła się. - Zrobię ci odbitkę wizy. - Podeszła do recepcji i zamieniła kilka słów z recepcjonistą, który zajrzał do regału. Wyciągnął skrawek papieru, przeczytał i powiedział coś do Susan, która wróciła i oznajmiła: - Policja zabrała twoją wizę.

Nie odpowiedziałem.

- Nie martw się tym - pocieszyła mnie.

- Czemu?

- Nikt nas nie zatrzyma. Gotów?

Wyszliśmy; było goręcej niż wczoraj. Ruch pojazdów motorowych na Le Loi był trochę mniejszy, jak to w niedzielę, ale było tyle samo rowerów i rikszy, co w sobotę.

Susan wręczyła odźwiernemu dolara i podeszliśmy do czerwonego skutera zaparkowanego na chodniku. Zatrzymała się przed skuterem, wyjęła z saszetki na biodrach papierosy i zapaliła.

- Muszę zapalić, zanim pojedziemy - wyjaśniła z uśmiechem. - Tobie też może się przydać papieros, kiedy znajdziemy się na drodze.

- Możemy wziąć taksówkę?

- Nuda. - Poklepała skuter. - To jest mińsk, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów pojemności. Rosyjski. Dobra maszyna do jazdy po mieście. Mam również własny motocykl marki Ural siedemset pięćdziesiąt, prawdziwa bestia. Świetny na drodze i do jazdy terenowej po błocie. - Zaciągnęła się papierosem i dodała: - Rosjanie robią przyzwoite motocykle i jakoś tak się dzieje, że części zamienne są zawsze dostępne.

- Kaski też?

- W Wietnamie nie potrzeba kasków. Jeździsz?

- Jeździłem, jak byłem w twoim wieku.

- Prawo nie wymagało kasków w Stanach, kiedy byłeś w moim wieku. Nosiłeś kask?

- Chyba nie.

Zaciągnęła się.

- Znalazłeś swój numer?

- Nie udało się.

- Nie udało się? Zazaczyłam liczbę 32 w krzyżówce. Nie zauważyłeś?

- Nie jestem aż tak bystry. Miałem parę wywrotek na motorze.

Roześmiała się.

- Trzydzieści dwa. Zapamiętam za ciebie. - Po chwili spytała: - Co to znaczy?

- Trzydzieści dwa? Wydaje mi się, że słowo brzmiało rożen.

Susan nie uznała tego za zabawne, ale nie skomentowała. Patrzyłem na nią, gdy gasiła papierosa. Przeszła test dziennego światła - właściwie wyglądała nawet lepiej niż wczoraj wieczorem: miała ładną opaleniznę i większe i jaśniejsze oczy niż w świetle świec. Poza tym koszula i spodnie doskonale na niej leżały.

- No dobra. Muszę przestać palić. - Rzuciła niedopałek do rynsztoka i dodała: - Poszłam rano do biura i wysłałam ten faks,

- Dzięki.

- Była mniej więcej siódma wieczorem w sobotę, ale ktoś odpowiedział. Długo tam pracują, gdziekolwiek są i kimkolwiek są.

- Jak brzmiała odpowiedź?

- Potwierdzili przyjęcie i kazali się informować. Chcieli, żebym podała im czas, kiedy ty i ja będziemy w pobliżu faksu, żeby mogli przekazać poufną odpowiedź. Powiedziałam, że wrócę do biura około ósmej po południu tutejszego czasu. Może być?

- Cóż... Biorąc pod uwagę, że nie płacą ci za pracę w niedzielę, świetnie.

- To, co chcą powiedzieć, cokolwiek to jest, może poczekać dwanaście godzin -

oznajmiła Susan, - Może do tego czasu odzyskasz paszport albo dostaniesz wizę wyjazdową.

Gotów do drogi?

Nałożyła okulary, wskoczyła na skuter, zapaliła silnik i pozwoliła mu chwilę pracować. - Wskakuj,

Wyjęła z kieszeni opaskę i ściągnęła nią swoje długie, powiewające włosy, żeby nie wpadały mi na twarz.

Usiadłem za nią na siodelku, które było trochę za małe, i złapałem się uchwytu. Susan zepchnęła skuter ze stopki, jechała chwilę chodnikiem, a potem skręciła w ulicę Le Loi.

Oparłem nogi na stopkach w momencie, gdy zawracaliśmy.

W ciągu pięciu mrozących krew w żyłach minut dotarliśmy do katedry Notre Dame, gotyckiej budowli z innej bajki, z dwiema wieżycami, zbudowanej z cegły zamiast z kamienia. Zsiadliśmy ze skutera na niewielkim trawiastym skwerku przed katedrą. Susan przypięła go do stanowiska dla rowerów. Pamiętałem ten plac z siedemdziesiątego drugiego roku; niewiele się tu zmieniło. Nawet wielki posąg Marii Dziewicy przetrwał wojnę i przejście władzy przez komunistów.

- Jak komuniści traktują religię? - spytałem.

- Zależnie od chwilowego programu. Są w porządku wobec buddystów, ale nie kochają katolików, bo uważają ich za wywrotowców.

- Dlatego chodzisz do kościoła - stwierdziłem, gdy podeszliśmy do katedry.

Nie odpowiedziała na moją uwagę, rozwijała swoją myśl.

- Naprawdę dają się we znaki protestantom. Uprzykrzają życie misjonarzom, wyrzucają ich, zamykają misje i kościoły. W Sajgonie nie ma ani jednego kościoła protestanckiego, odbywają się tylko nabożeństwa w prywatnych domach. - Doszliśmy do schodów katedry. Przychodziłeś tutaj w czasie wojny? - spytała.

- Prawdę mówiąc, tak, dwa razy, kiedy przyjechaliśmy do Sajgonu w niedzielę.

- Więc byłeś dobrym katolikiem.

W lisiej norze, pod ogniem nieprzyjaciela, nie ma złych katolików.

Wspinaliśmy się po stopniach katedry; Susan pozdrowiła kilkoro Amerykanów i grupę innych osób mówiących jak Australijczycy. Zauważyłem głośno, że nie ma wielu Wietnamczyków.

- Ojciec Tuan odprawia tę mszę po angielsku, następna jest po francusku, a pozostałe po wietnamsku - wyjaśniła Susan.

- Zostaniemy na wszystkich?

Tę uwagę również pozostawiła bez komentarza; weszliśmy do kruchty i tutaj też Susan zamieniła parę zdań z kilkoma osobami i przedstawiła mnie. Jedna z kobiet przypatrzyła mi się i spytała, jak się miewa Bill. Zawsze się taka znajdzie.

Wkroczyliśmy do tego wielkiego gotyckiego monstrum, które mogłoby być we Francji, gdyby nie to, że zauważyłem dekoracje z kwitnących kwiatów i drzewek *kumquat* na święta Tet; jak przez mgłę pamiętałem, że nawet katolicy je tutaj obchodzili.

Spojrzałem na łukowato sklepiony strop katedry.

- Boisz się, że spadnie ci na głowę?

- Mówiłem, że potrzebuję kasku.

Szliśmy główną nawą. Kościół był chłodny i ciemny, do połowy wypełniony. Usiedliśmy w ławce na przedzie.

- Możliwe, że Bill się zjawi - oznajmiła Susan. - Rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem.

- Ucieszył się, że wróciłaś do domu po północy?

- On nie jest zazdrosny i nie miał powodu. - Po chwili dodała: - Jeśli sprawi trochę nieprzyjemne wrażenie, to tak właśnie się zachowuje.

- Jasne. Może wrócę po mszy do hotelu?

- Ciii. Zaczyna się.

procesji byli Wietnamczykami, z wyjątkiem mężczyzny niosącego krzyż; ten był Żydem. Zagrzmiały organy i nawą ruszyła procesja. Ksiądz, ministranci i wszyscy inni idący w Wszystko to jest niesamowite, jeśli się zastanowić.

W każdym razie zaczęła się msza, a angielski ojca Tuana to było naprawdę coś. Zdaje mi się, że francuski lepiej bym rozumiał. Podobnie jak msza, psalmy też były po angielsku i zauważyłem, że Susan ma piękny głos. Udawałem, że śpiewam, chociaż umiem tylko zawyć po pijaku *The Rose of Tralee*.

Kazanie dotyczyło grzechów cielesnych i licznych pokus miasta. Było też o duszach ubogich dziewcząt, które sprzedają swoje ciała, i tak dalej. Ksiądz wysnuł wniosek, że bez grzeszników nie byłoby grzechu - opium, prostytucji, hazardu, pornografii i salonów masażu.

Miałem wrażenie, że na mnie patrzy. Poczułem się jak bohater powieści Grahama Greene'a, pocący się w jakimś zapomnianym przez Boga zakątku w tropikach, dręczony katolickim poczuciem winy w związku z występkiem seksualnym, który - jak się okazało w końcowej analizie - nie był niczym wielkim.

Tak czy owak, msza trwała godzinę i pięć minut, lecz ja nie mierzyłem czasu.

Znów zagrzmiały organy i wierni zaczęli wychodzić. Poszedłem środkową nawą i zgubiłem gdzieś Susan.

Stałem koło jej skutera, na zalanym słońcem placu. Naprawdę czułem się dobrze, że poszedłem do kościoła.

Zauważyłem ją u podnóża schodów, gdzie stał ojciec Tuan, rozmawiając z liczną grupą parafian.

Może rzeczywiście coś jest w byciu cudzoziemcem na obczyźnie. Bo jeśli jesteś w Londynie, Paryżu czy Rzymie, to nic wielkiego. Trzeba sobie wybrać zadupie takie jak to, gdzie jesteś dziesięć centymetrów wyższy i dziesięć odcieni jaśniejszy od innych i gdzie wyróżniasz się jak napuchnięty kciuk; a jeśli ten kciuk tkwi w oku miejscowych władz, to

tym bardziej. Wszyscy inni bladzi okrągłoccy są twoimi kumplami, zbieracie się na koktajle i psioczycie na ten kraj. W domu wszyscy myślą, że jesteś super, i po cichu ci zazdroszczą, a ty obchodzisz amerykańskie święta, które tam oznaczały tylko trzy dni wolnego od pracy i wyprzedaż w centrum handlowym. Dla odmiany bierzesz nawet udział w wyborach.

Oczywiście istnieje też inny typ cudzoziemca na obczyźnie; stanowią go ci, którzy nienawidzą swoich rodzinnych krajów, ci, którzy uciekają przed czymś lub przed kimś, i ci, którzy uciekają przed sobą.

Susan, jak sama przyznała, należała do tej kategorii, która uważa, że klawo jest być Amerykanką w kraju, gdzie się wyróżnia; rodzina zaś i znajomi w domu muszą stosować inne standardy oceny powodzenia w życiu.

Cóż, nie chciałem być zbyt cyniczny ani wnikać w szczegóły, zwłaszcza że lubiłem Susan, a ona miała dość samoświadomości, żeby rozgryźć samą siebie.

Podeszła do mnie w towarzystwie mężczyzny w swoim wieku. Miał na sobie lekką marynarkę sportową z tropiku, prezentował się nieźle, był wysoki i bardzo chudy i miał piaskowe włosy.

Wyglądał na faceta z Princeton, więc to musiał być Bill.

Susan zatrzymała się.

- Paul, to jest mój przyjaciel Bill Stanley. Bill, to jest Paul Brenner.

Podaliśmy sobie dłonie, ale nic nie powiedzieliśmy na powitanie.

Susan podniosła piłeczkę i zwróciła się do Billa, mówiąc:

- Paul był tutaj w sześćdziesiątym ósmym roku i... kiedy jeszcze?

- W siedemdziesiątym drugim.

- Tak. Wtedy musiało być całkiem inaczej - odpowiedziała.

- I było.

- Właśnie opowiadałam Billowi, że miałeś pewne problemy na lotnisku.

Milczałem.

- Myślę, że Jim Chapman będzie w ten weekend. Zadzwoń do niego do domu - powiedziała do Billa. - On jest w nowej obsadzie konsulatu. To znajomy Billa - dodała, kierując te słowa do mnie.

Bill nie miał za dużo do powiedzenia na ten temat, ja też nie. Tej rozmowy nic nie mogło uratować, więc oświadczyłem:

- Chyba pójdę do hotelu i stamtąd spróbuję się czegoś dowiedzieć. Susan, dziękuję, że towarzyszyłaś mi do kościoła. Nie lubię opuszczać mszy, kiedy jestem w podróży. Bill, miło było cię poznać. - Odwróciłem się i odszedłem.

Mam dobrą orientację i po kwadransie znalazłem się z powrotem na Le Loi, a hotel był naprzeciwko mnie. Zauważyłem, że nie pocę się już tak bardzo jak wczoraj, więc pewnie zacząłem się aklimatyzować.

Usłyszałem za sobą warkot skutera na chodniku i usunąłem się w prawo. Susan zatrzymała się koło mnie.

- Wsiadaj - rzuciła.

- Susan...

- Wsiadaj.

Wykonałem polecenie.

Ruszyła ostro i zjechaliśmy z krawężnika na jezdnię. Nie rozmawialiśmy, a Susan pędziła ulicami, wykonując zaskakujące zwroty.

- Fajnie jest wyjechać w niedzielę, kiedy ulice są puste. Mnie wydawały się dosyć zatłoczone.

Wyjęła z saszetki komórkę i podała mi.

- Oddasz ją, kiedy usłyszysz, że dzwoni. Albo zacznie wibrować. Ma wibrator.

Właśnie wyszedłem z kościoła, więc powstrzymałem się przed sprośnym komentarzem i schowałem telefon do kieszeni.

Komórka dzwoniła i wibrowała, więc podałem ją Susan. Przystawiła telefon do ucha lewą ręką, a

prawą kierowała i trzymała gaz. Gdybyśmy musieli się nagle zatrzymać, nie mogłaby nacisnąć przedniego hamulca, ale to chyba jej nie martwiło, podobnie jak innych motocyklistów z komórkami.

Najwyraźniej rozmawiała z Billem albo go słuchała - nie mówiła dużo. Wreszcie powiedziała:

- Nie słyszę cię. Zadzwoń wieczorem. - Posłuchała jeszcze chwilę i oznajmiła: - Nie wiem o której godzinie. - Nacisnęła guzik i podała mi telefon. - Ty odbierz, jeśli jeszcze raz zadzwoni.

Wsadziłem aparat do kieszonki koszuli.

Jechała dalej, rzucając wyzwanie śmierci; w ten sposób wyładowywała trochę złość na Billa, naturalnie. Ale ja nie byłem na niego zły, nie było też powodu, dla którego miałbym się rozprysnąć jak plama na chodniku.

- Susan, zwolnij.

- Pasażer nie kieruje.

Funkcjonariusz stojący na okrągłej wysepce podniósł dłoń, kiedy się zbliżaliśmy. Susan ominęła go ostrym wirażem, a kiedy się obejrzałem, gliniarz wymachiwał rękami i coś krzychał.

- O mało nie przejechałaś policjanta - zauważyłem.

- Jak się zatrzymasz, dostajesz mandat za coś i kosztuje cię to z miejsca dwa dolary. - Po chwili dodała: - Poza tym mogłyby być kłopoty, bo nie masz żadnego dokumentu.

- A gdyby spisał twoje numery?

- Jechałam za szybko. Ale następnym razem zakryj dłonią tablicę.

- Jakim następnym razem?

- Mam tablicę NN. To skrót, który oznacza, że jestem cudzoziemką... *ngui nuoc ngoia*. Cudzoziemiec i nie turysta. Turyści dostają mandat w wysokości dziesięciu dolarów, bo uważają, że to tanio, a i tak są wystraszeni. Nie chodzi o pieniądze, lecz o zasady. - Myślę, że za długo już tu jesteś.

- Może.

Dotarliśmy do ogrodzonych ogrodów, w których znajdował się Pałac Zjednoczenia - dawna siedziba południowowietnamskich prezydentów - nazywany wtedy Pałacem Niepodległości. Pamiętałem go z siedemdziesiątego drugiego roku, a potem widziałem znowu w kwietniu siedemdziesiątego piątego w telewizji, kiedy odtworzono sławne teraz nagranie wideo, pokazujące komunistyczny czołg, który rozjeżdża gąsienicami masywną żelazną bramę.

Skęciliśmy w boczną uliczkę i wjechaliśmy wąską furtką na teren pałacu prezydenckiego, potem stanęliśmy na niewielkim parkingu i zsiadliśmy ze skutera. Susan przypięła go do stojaka na rowery i zdjęła okulary.

- Pomyślałam, że będziesz chciał zobaczyć dawny pałac prezydencki.

- Oczekują nas tutaj?

- Jest otwarty dla publiczności.

Otworzyła jedną z toreb przy siodełku, wyjęła aparat i przewiesiła przez ramię.

- Mogę ci zagwarantować, że nas nie śledzili, ale jeśli dali komuś znać, czy coś w tym rodzaju, i wiedzą, że tutaj jesteś, zwiedzasz miasto z miejscową dziewczyną, którą gdzieś poderwałeś. Dobra?

- Pozwól, że sam zatroszczę się o swoją bajeczkę.

- Jestem tu po to, żeby ci pomóc. Poza tym lubię oprowadzać gości po mieście. Chodź za mną.

Okrążyliśmy pałac ścieżką ogrodową i dotarliśmy do frontu wielkiego gmachu, który nie był tradycyjnym ozdobnym pałacem, lecz budowlą z gotowych płyt betonowych; jego architekturę można by opisać jako nowoczesny, tropikalny bunkier. W odległości około stu metrów, za szerokim trawnikiem stała żelazna brama, która była w lepszym stanie niż wtedy, gdy przejeżdżał przez nią północnowietnamski czołg. W rzeczy samej, na lewo od bramy na betonowym podejściu stał wielki rosyjski T-59; pomyślałem, że to ten czołg.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - spytała Susan.

- Wiem. Czy to jest ten czołg?

- Tak. Byłam bardzo młoda, gdy to wszystko się działo, ale widziałam nagranie. Można je obejrzeć w środku za dolara.

- Oglądałem to wówczas w telewizji.

Zauważyłem wielu cudzoziemców robiących zdjęcia koło czołgu. W odróżnieniu od amerykańskich czołgów w muzeum zbrodni wojennych ten rosyjski tank był ogrodzony łańcuchami i ozdobiony flagami. To był bardzo ważny czołg.

- Przyprawiałam tu wielu Amerykanów, łącznie z moimi rodzicami, i nauczyłam się na pamięć roli przewodnika. Chcesz posłuchać?

- Jasne.

- Chodź ze mną. - Weszliśmy po schodach i stanęliśmy na szczycie. - Jest trzydziesty kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, komuniści wkroczyli do Sajgonu. Tamten czołg toczy się ulicą Le Duan i rozwała bramę. Jedzie dalej po trawniku i zatrzymuje się dokładnie tutaj, przed pałacem. Widziałeś to w telewizji dzięki temu, że fotoreporter znalazł się we właściwym miejscu we właściwym czasie. Mniej więcej po minucie - ciągnęła Susan - przez bramę wjeżdża ciężarówka, przejeżdża przez trawnik i staje obok czołgu. Wyskakuje z niej północnowietnamski oficer i wchodzi po schodach. W tym miejscu stoi generał Min, który został prezydentem Wietnamu Południowego czterdzieści osiem godzin

wcześniej, po tym jak prezydent Thieu prysnął w siną dal. Min stoi w otoczeniu swoich ministrów, którzy są prawdopodobnie bardzo nerwowi, bo nie wiedzą, czy nie zostaną na miejscu rozstrzelani. Komuniści wspina się po schodach, a Min mówi: „Czekam od samego przekazać tego, czego nie macie”. Koniec opowieści, koniec wojny, koniec Wietnamu rana, żeby przekazać wam władzę”. Komunistyczny oficer odpowiada: „Nie możecie Południowego.

I koniec koszmaru, dopowiedziałem sobie w myślach. Kiedy zobaczyłem w telewizji ten czołg wdzierający się przez bramę, pomyślałem - pamiętam to - że wszyscy Amerykanie próbujący bronić Wietnamu Południowego, ci, którzy polegli, oddali życie na próżno.

Spróbowałem sobie przypomnieć, co się stało z generałem Minem, ale, podobnie jak wszyscy w

Ameryce po kwietniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, wyłączyłem Wietnam Show.

- Chcesz zdjęcie z czołgiem w tle? - spytała Susan.

- Nie.

Koło drzwi wejściowych pałacu stała budka z biletami z napisem po angielsku: obcokrajowcy: cztery dolary - Wietnamczycy: wstęp wolny.

Susan klóciła się z facetem w budce; domyśliłem się, że chodzi o zasadę, nie o pieniądze.

- Powiedz mu, że chcę zniżkę dla emeryta.

- Dzisiaj ja płacę - odparła Susan.

Wreszcie zgodzili się na sześć dolarów, dostaliśmy po papierowym bilecie i weszliśmy.

- Wyłącz telefon - ostrzegła Susan. - Dostają bzika, kiedy komórka włącza się w jednym z ich sanktuariów.

Pałac nie miał klimatyzacji, ale było tu chłodniej niż w słońcu. Weszliśmy do dużego, bogato zdobionego holu i przeszliśmy przez potężny, czterokondygnacyjny pałac. Budynek wyglądał lepiej w środku niż z zewnątrz; nowoczesna architektura tworzyła wrażenie otwartości, przestrzeni. Większość sprzętów pochodziła z Zachodu, z lat sześćdziesiątych, ale było też dużo tradycyjnych wietnamskich akcentów, na przykład kolekcja odciętych stóp słoni.

W pałacu znajdowało się mnóstwo zwiedzających, w większości Amerykanów, jeśli oceniać na podstawie liczby szortów. W każdej części pałacu był wietnamski przewodnik i wszyscy powtarzali Susan, żeby trzymała się grupy. Odpowiadała po wietnamsku i następowało krótkie spięcie, z którego Susan nieodmiennie wychodziła zwycięsko.

Naprawdę się panoszyła; zdaje mi się, że taką po prostu miała osobowość; chciała, żeby uważano ją za Amerykankę, lecz nie za turystkę. Poza tym było w niej coś z jędzy, szczerze mówiąc. Myślę, że Bill by to potwierdził.

Wspięliśmy się na dach pałacu, gdzie dziesiątki turystów robiło zdjęcia miasta. Widok był ładny, jeśli pominąć chmurę smogu. Wietnamska przewodniczka stała na lądowisku helikopterów koło starego amerykańskiego hueya, opowiadając po angielsku: „Właśnie stąd amerykańska marionetka i kryminalista numer jeden prezydent Thieu z rodziną i przyjaciółmi wsiadł do helikoptera i odleciał na amerykański pancernik, gdy zwycięska Armia Ludowa zbliżała się do Sajgonu”.

Lądowisko było dobrym miejscem na zapalenie papierosa, więc Susan zapaliła.

- Nauczyłam się dużo z historii, od kiedy tu jestem - oświadczyła. - To interesujące być z kimś, kto sam brał w tym udział.

- Sugerujesz, że jestem zabytkiem?

Dla odmiany poczuła się trochę zakłopotana.

- Nie, chciałam tylko powiedzieć... Pewnie byłeś bardzo młody, kiedy tu trafiłeś. - Uśmiechnęła się. - Wciąż jesteś młody.

W istocie, Cynthia i Susan były w tym samym wieku, więc jeszcze się liczyłem w tej grze. To pewnie moja niedojrzała osobowość myliła kobiety.

Skończyła papierosa i wróciliśmy do pałacu. Na drugim piętrze weszliśmy do prezydenckiej sali audiencyjnej. Susan wręczyła strażnikowi dolara.

- Możesz usiąść na fotelu prezydenckim. Zrobię ci zdjęcie - zaproponowała.

Naprawdę nie lubię, kiedy robi mi się zdjęcia podczas misji - Nie trzeba...

- Już zapłaciłam dolara. Siadaj.

Usiadłem więc na tym idiotycznym fotelu byłego prezydenta Wietnamu Południowego i Susan zrobiła zdjęcie. Było już za wiele tej zabawy.

- Zobaczyliśmy wszystko? - spytałem.

- Nie. Najlepsze zostawiłam na koniec. Chodź.

Zeszliśmy kilkoma klatkami schodowymi do źle oświetlonego korytarza z licznymi drzwiami.

- To był schron przeciwlotniczy - wyjaśniła Susan. - Obok są kwatery wojenne.

Zdaje się, że nikogo oprócz nas tam nie było. Ściany były pokryte tanią sklejką z mahoniu. Wprowadziła mnie do dużego pomieszczenia oświetlonego fluorescencyjnymi lampami. I tu, którą Amerykanie wykańczali kiedyś sale rekreacyjne w piwnicach.

Na ścianach wisiało kilkanaście map Wietnamu Południowego w różnej skali, map prowincji oraz dokładniejszych planów miast i miasteczek. Na wszystkich widniały kolorowe symbole oznaczające amerykańskie, południowo wietnamskie i nieprzyjacielskie jednostki wojskowe rozmieszczone w całym kraju.

Mapy były oznaczone datami, niektóre pochodziły z czasów ofensywy Tet w styczniu i lutym sześćdziesiątego ósmego roku; zauważyłem pinezkę z flagą; informowała o dyslokacji mojego batalionu piechoty koło miasta Quang Tri. To było dziwne. Niektóre mapy pochodziły z kwietnia siedemdziesiątego drugiego roku, okresu ofensywy wielkanocnej, kiedy też tam byłem.

- Ciekawi cię to? - spytała Susan.

- Tak.

- Pokaż mi, gdzie stacjonowałeś.

Pokazałem małą flagę obok miasta Quang Tri.

- To była moja baza w sześćdziesiątym ósmym, nazywała się LZ Sharon .

- LZ to strefa lądowania, wiem to od pewnego weterana - powiedziała Susan. - Wszystkie bazy nosiły imiona kobiet.

- Większość, ale nie wszystkie. - Wskazałem inną pinezkę. - Ta nazywała się LZ Berty i mieściła się w starej francuskiej fortecy, też pod Quang Tri. To był sztab brygady, gdzie mieszkał pułkownik.

- Zamierzasz odwiedzić te miejsca?

- Może.

- Myślę, że powinieneś. A gdzie byłeś w siedemdziesiątym drugim roku?

- Bien Hoa. Tuż koło Sajgonu. Na pewno znasz to miasto.

- Pewnie. Alen nie wiedziałam, że to była amerykańska baza. Na jednej z map widniał napis:

„Kwiecień 1975”. Wciąż umiem czytać oznaczenia wojskowe, więc rozpoznałem pozycje sił południowowietnamskich i postępy Wietnamskiej Armii Ludowej, zaznaczone czerwonymi strzałkami zalewającymi kraj. Wydawało się, że w pewnym momencie wszyscy przestali się fatygować przestawianiem znaczków i wbijaniem nowych pinezek w mapę. Ktokolwiek zajmował się jej uaktualnianiem, musiał zdać sobie sprawę, że to koniec.

Wystarczyło się wsłuchać, żeby usłyszeć duchy, a jeśli ktoś miał wyobraźnię, mógł sobie wyobrazić wojskowych i polityków spędzających tu dzień i noc w kwietniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, gdy stało się jasne, że czerwone strzałki na mapie to nie abstrakcje, lecz setki tysięcy nieprzyjacielskich żołnierzy i czołgów podchodzących do Sajgonu... podchodzących do nich.

Rozejrzeliśmy się po podziemnych pomieszczeniach z czasów wojny: salach konferencyjnych, pokojach łącznościowych z radiami i telefonami z epoki, ładnie urządzonej sypialni i pokoju stołowym prezydenta i tym podobnych rzeczach; wszystko zastygło w czasie. Wyszliśmy ze schronu na słońce, na tyły pałacu, gdzie wciąż stał stary mercedes-benz prezydenta Thieu - jeszcze jedna ilustracja zastygłego czasu, która czyniła to miejsce dziwnym.

Przespacerowaliśmy się po ogrodach byłego pałacu prezydenckiego, nawet dość ładnych.

- Podobało ci się? - spytała Susan.

- Wcale interesujące. Dziękuję.

- Nigdy nie mam pewności, co ktoś chce zobaczyć, ale ponieważ jesteś weteranem, pomyślałam, że sprawi ci przyjemność kawałek historii.

- I sprawił.

- Mam jeszcze kilka standardowych miejsc do odwiedzenia, a potem ty będziesz wybierał.

- Naprawdę nie musisz mnie oprowadzać po Sajgome.

- Lubię to. Kiedy mieszkałam w Nowym Jorku, nigdy nie chodziłam zobaczyć Statuy Wolności i Empire State Building. jeśli nie było gości spoza miasta.

- Tak samo było ze mną w Waszyngtonie.

- Nigdy nie byłam w Waszyngtonie, wiesz?

- Czasem też chciałbym móc powiedzieć to samo.

Susan zerknęła na mnie.

- Jeśli kiedykolwiek pojedę do Waszyngtonu, jesteś mi winien wycieczkę.

- Umowa stoi.

Spacerowaliśmy po ogrodach. W powietrzu unosiła się woń kwitnących kwiatów, co było bardzo przyjemne w styczniu. Zatrzymaliśmy się przy budce z przekąskami i kupiliśmy po półlitrowej butelce wody.

- Kiedy rodzice odwiedzili cię po raz pierwszy, jak zareagowali? - spytałem.

- Byli przerażeni. Chcieli, żebym się spakowała i natychmiast wyjechała. - Susan roześmiała się, po czym dodała: - Nie mogli sobie wyobrazić, że ich wychuchana córeczka mieszka w mieście

Trzeciego Świata. Wkurzały ich prostytutki, komuchy, żebracy, jedzenie, upał, choroby, to, że palę, chodzę do katolickiego kościoła... wszystko. - Znów się roześmiała.

- Zabrałaś ich na wycieczkę skuterem? - spytałem.

- Rany boskie, nie. Nie wsiedliby nawet do rikszy. Brat i siostra przyjechali kiedyś sami i bardzo im się spodobało. Brat zniknął na jedną noc i wrócił roześmiany od ucha do ucha.

- Jestem pewien, że poszedł na spektakl lalkowy. Ile ma lat?

- Wtedy był w college'u.

- Czym się zajmują twoi rodzice?

- Ojciec jest chirurgiem, a matka nauczycielką w gimnazjum. To się chyba nazywa układ doskonały, prawda?

- Mój ojciec był mechanikiem, a mama zajmowała się domem. Wychowałem się w południowym Bostonie.

Susan nie odpowiedziała, ale zakonotowała to w pamięci.

Miałem wrażenie, że zmierza do jakiegoś konkretnego miejsca; szliśmy ścieżką prowadzącą między kwitnącymi krzewami. Przed nami wznosił się niewielki trawiasty pagórek; Susan doszła do połowy i usiadła. Zdjęła buty i skarpetki, poruszała palcami, a potem odpięła kilka górnych guzików jedwabnej koszuli.

Usiadłem może z metr od niej.

Zdjęła pasek z saszetką, wyłowiła zeń papierosa i zapaliła. Wyciągnąłem z kieszeni komórkę.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Może powinienem zadzwonić do hotelu.

Susan wzięła ode mnie aparat i schowała do torebki.

- Nie ma pośpiechu. Zadzwonię później w twoim imieniu. Oni lepiej reagują, kiedy rozmawia się z nimi po wietnamsku.

Skończyła papierosa, podwinęła rękawy, rozciągnęła się na wznak na trawie i przymknęła oczy.

- Ale przyjemnie. Powinieneś zdjąć koszulę i złapać trochę słońca. Ściągnąłem koszulę i położyłem się obok, ale nie za blisko. Podłożyłem sobie pod głowę koszulę i pustą butelkę po wodzie. Słońce przyjemnie ogrzewało skórę, dmuchał lekki wiaterek.

- Wyglądałeś zbyt blado.

- Przyjechałem prosto z zimy.

- Brakuje mi zimy. Brakuje mi jesieni w Berkshires. Pogadaliśmy trochę o niczym, po czym powiedziałem:

- Może to nie mój interes, ale czuję się trochę winny, jeśli pokłóciliście się z Billem o to, że spędzasz ze mną niedzielę. - Wcale nie czułem się winny, ale chciałem usłyszeć, co odpowie.

Nie odpowiedziała od razu, najwyraźniej zastanawiając się nad właściwą reakcją.

- Wyjaśniłam mu - odparła wreszcie - że w poniedziałek rano jedziesz w głąb kraju i trzeba cię przygotować... to cześć tej przysługi, o którą poproszono mnie przez niego. - Po chwili dodała: - On też chciał się zabrać. Powiedziałam nie.

- Dlaczego?

- W Wietnamie trójka to nieszczęśliwa liczba... troje ludzi razem przynosi nieszczęście.

- Myślałem, że trójka to szczęśliwa liczba w Wietnamie. Wiesz... Ba Ba Ba... szczęśliwe piwo.

Milczała przez chwilę.

- Może źle zrozumiałam - roześmiała się, ale w granice rzeczy nie odpowiedziała na moje pytanie.

W słońcu robiło się gorąco i zaczynałem się pocić, ale na Susan upał nie robił najmniejszego wrażenia.

- Więc przygotuj mnie.

- Dokąd się teraz wybierasz?

- Nie jestem pewien.

- No to jak mam cię przygotować? I dlaczego nie wiesz, dokąd chcesz się wybrać?

- Mam trochę pojeździć, może odwiedzić kilka pól bitewnych, a potem, mniej więcej za tydzień, wyznaczono rai schadzkę.

- Gdzie?

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie pomagasz mi.

- Opowiedz mi tylko o transporcie, komunikacji, hotelach, zwyczajach, walucie i tak dalej.

- Dobrze. Są święta Tet, jak wiesz, i przez następny tydzień trudno będzie załatwić transport. Potem, od Nowego Roku, wszystko jest zamknięte albo działa w bardzo ograniczonym zakresie... pociągi przez cztery dni nie kursują. Drogi, samoloty i autobusy są puste, bo wszyscy trzymają się w pobliżu domu, jedzą i śpią. Za dziewięć miesięcy nastąpi wysyp urodzeń, lecz to nie twój problem.

- I większość ludzi jest w swoich rodzinnych miasteczkach i wioskach?

- Zgadza się. Wydaje mi się, że dziewięćdziesiąt procent ludności dociera do domów. Miasta i miasteczka, które są pełne byłych wieśniaków, po prostu się wyludniają, a wieśniacy czerpią radość z przyjmowania przez tydzień gości w swoich chatach.

Przypomniałem sobie tygodnie poprzedzające Tet w sześćdziesiątym ósmym roku, widok ludzi na wiejskich drogach, idących pieszo, jadących rowerami i na wozach ciągniętych przez woły. Armia wydała komunikat wyjaśniający żołnierzom, co się dzieje, i powiedziano nam, żeby nie zakłócać tej masowej migracji, ale uważać na ludzi Wietkongu, którzy mogą wmieszać się w te pielgrzymki. Wietkong oznaczał każdego osobnika płci męskiej z dwiema rękami i nogami, nienoszącego munduru południowo-wietnamskiej armii i identyfikatora.

Nie pamiętam, żebyśmy znaleźli jakiegoś partyzanta Wietkongu, lecz patrząc z perspektywy czasu, nabieram pewności, że te rzesze cywilów musiały się od nich roić - Wietkong zajmował pozycje i przygotowywał się na to, co miało nadejść. Co gorsza, znaczna część południowowietnamskiej armii była albo na urlopie, albo na lewiznie w domach. Generał Giap w Hanoi, który zaplanował ten zaskakujący atak w wigilię Tet, najświętszy i najbardziej bezbronny dzień w roku, był cwany gościem. Miałem nadzieję, że pułkownik Hellmann w Waszyngtonie, który zaplanował moją operację Tet, jest co najmniej tak samo cwany.

Susan opowiedziała o ogólnych warunkach na prowincji i potwierdziła to, co mówił mi Conway.

- Ludzie są na ogół przyjaźnie nastawieni i nie donoszą na ciebie policji. Nie lubią swojego rządu, ale kochają kraj. Okaż szacunek ich zwyczajom i tradycjom i zainteresowanie ich stylem życia.

- Nie znam ich zwyczajów.

- Ani ja. Znam Sajgon, ale tam jest całkiem inaczej. Nie klep nikogo po głowie. Głowa jest święta. Stopy są najpodlejszą częścią ciała. Nie podnoś stóp nad ich głowy. To oznacza brak szacunku.

- W jaki sposób moje stopy mogłyby się znaleźć nad czyjąś głową?

- Przychodzi mi na myśl kilka sposobów.

Leżeliśmy tak, a Susan opowiadała o zwyczajach, pułapkach, policji, sprawach zdrowotnych, jedzeniu, pensjonatach, które nie zgłaszają gości na policję, i tak dalej.

- Czy miny w dalszym ciągu stanowią niebezpieczeństwo? - spytałem.

- Na to wygląda. Co jakiś czas czyta się o tym, że jakieś dziecko wyleciało w powietrze. Jeśli naprawdę znajdziesz się w dziczy, trzymaj się wydeptanych ścieżek. - Po chwili dodała: - Nie chciałbyś znaleźć tego, czego udało ci się uniknąć ostatnim razem.

- Nie, nie chciałbym.

- Pojedziesz do byłego Wietnamu Północnego? - spytała.

- Może.

- Bo jeśli pojedziesz, to sytuacja się zmienia. Komuniści są u władzy od lat pięćdziesiątych i są dość dobrze zorganizowani. Według firmowej ulotki, którą musiałam przeczytać, tajna policja na północy ma rozbudowaną siatkę informatorów. Mieszkańcy północy nie są szczególnie przyjaźnie nastawieni do Amerykanów, o czym się przekonałam podczas podróży służbowej do Hanoi. Zabiliśmy około miliona z nich. Prawda? Tam doniosą na ciebie. - Zerknęła na mnie. - Jeśli wybierasz się na północ, przygotuj się, że znajdziesz się w sprawniejszym państwie policyjnym.

- Tak słyszałem.

- Udawaj Australijczyka. Potraktują cię lepiej. Ale to nie wypali z gliniarzami, którzy mogą ci zajrzeć w paszport.

- Jak się zachowuje Australijczyk?

- Trzyma zawsze puszkę piwa w garści.

- Racja.

- Możesz usłyszeć, że wołają na ciebie Lien Xo. Wiejskie dzieci, które nie widują zbyt wielu białych, będą krzyczeć: Lien Xo! To po prostu znaczy cudzoziemiec albo człowiek z Zachodu, ale dosłowne tłumaczenie brzmi Związek Radziecki.

- Wyłóż mi to jeszcze raz. - Dobra. Kiedy Rosjanie byli tu od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku do lat osiemdziesiątych, nie było innych ludzi z Zachodu i określenie Lien Xo zaczęło oznaczać właśnie kogoś takiego. Na północy Lien Xo nie ma obelżywego podtekstu... Sowieci byli ich sojusznikami. Na południu miało kiedyś negatywne konotacje, bo południowcy nienawidzili rosyjskich doradców wojskowych i cywilnych. Teraz te słowa oznaczają po prostu przybysza z Zachodu. Jasne?

- Powiedzmy. Na południu jestem Amerykaninem, na północy Australijczykiem. Ale ludzie i tak będą mnie nazywać Ruskiem. - To oznacza tylko przybysza z Zachodu. Żeby ci się nie pomieszało.

- Dlaczego nie mogę być Nowozelandczykiem, Brytyjczykiem albo Kanadyjczykiem?

- Nie wiem. Spróbuj. Ludzie na północy nie są tak materialistyczni jak ci na południu.

- To dobrze.

- Nie, to niedobrze. To są prawdziwi czerwoni i nie tak łatwo ich przekupić, jak tych na południu. Może chodzi o filozofię lub politykę, ale też o to, że na północy nie ma tylu dóbr konsumpcyjnych, więc amerykański pieniądz nie jest Bogiem. Dlatego nie możesz dać gliniarzowi dziesiątaka i liczyć na to, że przymknie oko. Rozumiesz?

- A dwudziestaka?

Susan usiadła nagle.

- Wiesz... Moje biuro będzie zamknięte tydzień po świętach. A w tym tygodniu niewiele się dzieje. Chcesz mieć kompana? - Ja też usiadłem. - Bardzo chętnie pojeździłabym po kraju. Od roku nie byłam poza Sajgonem. To byłoby ciekawe... zobaczyć pola bitwy z weteranem.

- Dzięki, ale...

- Będziesz potrzebował tłumacza. Wietnamczycy na prowincji nie mówią za dobrze po angielsku. Przydałby mi się urlop.

- Jestem pewien, że są inne miejsca, gdzie mogłabyś pojechać. Zima w Berkshires.

- Zawsze wyjeżdżam z kraju na urlop, ale chętnie spędziłabym jeden tutaj.

- Jestem pewien, że Bill z przyjemnością by się do nas przyłączył.

- On nie lubi Wietnamu. Nie można go wyciągnąć poza Sajgon.

- Jestem pewien, że zrobiłby wyjątek, gdyby mógł mieć nas na oku.

Susan parsknęła śmiechem.

- Możemy podróżować razem jako przyjaciele. Ludzie cały czas tak robią. Ufam ci. Pracujesz dla rządu.

- Nie sędzę, żeby ci, którzy mnie tu przysłali, pochwalili mnie za to, że znalazłem sobie towarzyszkę podróży.

- Zmieniliby zdanie, gdyby wiedzieli, jak tu jest. Po pierwsze problemy językowe, a po drugie samotnie podróżujący mężczyźni są nękani niemiłosiernie przez alfonsów i prostytutki. Jeśli jesteś z kobietą, nie grozi ci to. Poza tym jest mniejsze prawdopodobieństwo, że policja będzie cię dręczyć. Oni zakładają, że samotny mężczyzna coś knuje. Nie wiem, dlaczego przysłali cię tu samego.

Ja też tego nie wiedziałem, jeśli się nad tym zastanowić. Pewnie usilnie pragnęli ograniczyć wiedzę o śledztwie w sprawie morderstwa, które nie było śledztwem w sprawie morderstwa. Uśmiechnąłem się do Susan.

- Skąd mogę wiedzieć, że nie jesteś podwójną agentką? - powiedziałem.

Susan też się uśmiechnęła.

- Jestem nudną konsultantką inwestycyjną. Potrzebuję trochę dreszczyku.

- Pojeźdź sobie skuterem.

- Już to zrobiłam. Zastanów się nad moją propozycją. Wieczorem mogę zostawić w biurze wiadomość, spakować się i być w Reksie najpóźniej o dziesiątej rano.

- A Bill?

- Skąd u ciebie ta obsesja na punkcie Billa? - Tak to już jest z mężczyznami. Czy on ma broń?

Susan parsknęła śmiechem.

- Oczywiście, że nie. - Po chwili wyjaśniła: - Posiadanie broni jest tutaj poważnym przestępstwem.

- To dobrze.

- Wyślę mu telegram z naszego pierwszego postoju. Gdziekolwiek to będzie.

- Muszę się zastanowić.

- Dobrze, ale jeśli postanowisz mnie zabrać, chcę, żebyś wiedział, że to jest czysto platoniczne. Naprawdę. Płacę za swój pokój, a ty możesz do woli kosztować miejscowych

kobiet. Chcę tylko mieć towarzystwo przy kolacji.

- Kto płaci za kolację?

- Ty, oczywiście. Ja zamawiam, ty płacisz. A kiedy będziesz chciał iść na tajne spotkanie, zniknę.

Zastanawiałem się nad tym wszystkim, siedząc na trawiastym zboczu nieopodal pałacu prezydenckiego, w parku otoczonym zabudowaniami Sajgonu; woń kwiatów wypełniała mi nozdrza, słońce ogrzewało twarz. Zerknąłem na Susan i nasze spojrzenia się spotkały.

Zapaliła kolejnego papierosa, lecz nic nie powiedziała.

Jestem przyzwyczajony pracować w pojedynkę i w gruncie rzeczy tak wolę. Gdybym spartolił robotę sam, moi przyjaciele w Waszyngtonie byłiby rozczarowani, może współczuliby mi, zależnie od okoliczności. Gdybym spartolił, jeżdżąc sobie po kraju z kobietą, powiesiliby mnie za jaja. James Bond nigdy nie miał takiego problemu.

Poza tym wcale nie byłem pewien, o co jej chodzi. Całkiem dobrze uzasadniła, że chce wziąć urlop i pojeździć po kraju; pojawił się też motyw dreszczyku i przygody, który mógł być jej najważniejszym motywem. No i byłem jeszcze *moi*. Naprawdę jestem czarujący. Ale nie aż tak czarujący.

W każdym razie jej motywy nie miały najmniejszego znaczenia dla mojej misji. Kiedy prowadzę śledztwo, jestem absolutnie skupiony, nawet nie myślę o kobietach. No, prawie wcale. Sporadycznie, lecz tylko w czasie wolnym.

Oczywiście była też Cynthia. Cynthia to profesjonalistka, która pracuje z wieloma mężczyznami, i byłem pewien, że zrozumie. A może nie.

- Zastanawiasz się?

- Obserwowałem ważkę.

- Daj mi znać do jutra do szóstej rano. Potem oferta będzie nieaktualna, jak to mówimy w zawodowym żargonie. - Włożyła skarpetki i buty, zapięła koszulę, wstała i nałożyła okulary.

Podniosłem się i włożyłem koszulę; Susan zapinała pasek z saszetką.

- Gotów do drogi?

Zeszliśmy po stoku wprost na parking. Susan odczepiła skuter, wyjęła komórkę i wybrała numer.

- Dzwonię do Reksa - wyjaśniła. Powiedziała coś po wietnamsku, usłyszałem swoje nazwisko. Zdawało się, że odpowiedź jej się nie spodobała, bo rzuciła coś ostrym tonem.

Jęzga. Wypowiedziawszy cały szereg monosylab i spółgłosek, wyłączyła się. - Nic dla ciebie

nie mają. Ale dałam im numer swojej komórki i powiedziałam, żeby dzwoniли, jak tylko dostaną twój paszport albo coś innego.

Podala mi aparat, zapaliła silnik, a ja usiadłem z tyłu.

- Przepraszam, powinnam była spytać, czy chcesz kierować.

- Później.

Jechaliśmy ulicami Sajgonu i tym razem Susan nie szalała.

- Pamiętasz nazwisko tego faceta na lotnisku? - spytała.

- Po co ci ono? Znasz tych oprychów z nazwiska?

- Niektórych. Te nazwiska krążą. - Nazywał się Mang. Pułkownik w mundurze.

- Mang to jego imię - wyjaśniła. - Znasz całe nazwisko?

- Przedstawiał się jako pułkownik Mang - odparłem. - Jak to może być jego imię?

- Myślałam, że spędziłeś tu trochę czasu. Wietnamczycy łączą swoje imiona... które są na końcu, po nazwisku... z tytułami. Ty byłbyś panem Paulem, a ja panną Susan.

- Czemu tak robią?

- Nie wiem. To ich kraj. Mogą robić, co chcą. Nie pamiętasz tego z czasu, gdy tu byłeś?

- Jeśli mam być szczery, amerykańscy żołnierze wiedzieli bardzo mało o Wietnamczykach. Może to był jeden z naszych błędów.

Susan nie zareagowała na to, ale mówiła dalej:

- Oni przywiązują wielką wagę do form i sposobów zwracania się. Zawsze używaj tytułu... pan, panna, pani, pułkownik, profesor czy cokolwiek innego... a potem imienia. Uwielbiają, kiedy się zna wietnamskie słowo. *Dai-Ta* Mang. Pułkownik Mang. *Ong* Paul. Dziadziuś Paul. - Roześmiała się. A ja się zastanawiałem, jak jest po wietnamsku jędza. - Popytam o pułkownika Manga, ale jeśli go znów zobaczysz, dowiedz się, jak brzmi jego nazwisko - powiedziała.

- Jestem pewien, że go jeszcze zobaczę.

- Powiedziałaś mi, dokąd się wybierasz?

- Zna częściowo mój plan podróży z hotelowych voucherów. Chce poznać resztę, zanim odda mi paszport.

- Chcesz, żeby wiedział, dokąd jedziesz?

- Nie za bardzo.

- Więc coś zmyśl. To nie jest sprawne państwo policyjne. Chcesz zobaczyć jeszcze jedno sławne miejsce?

- Pewnie.

- Dobrze się bawisz?

- Przy tej prędkości, tak.

Sięgnęła ręką do tyłu i poklepała mnie po kolanie.

- Później wezmę bestię i pojedziemy w okolice plantacji kauczuku Michelina. Chcę się wyrwać z miasta. Okej?

- Może powinienem zostać blisko hotelu, na wypadek gdyby ten komuch pułkownik chciał się ze mną zobaczyć.

- Jest niedziela. Siedzi w domu i czyta biografie Ho-Szi Mina, a jego żona gotuje psa na obiad. - Susan parsknęła śmiechem.

Ja też się roześmiałem. Bo czy miałem inne wyjście?

Dla niektórych facetów Susan Weber byłaby spełnieniem męskich fantazji. Lecz mnie przyszło do głowy, że Susan Weber jest taka sama jak kraj, w którym mieszka: piękna i egzotyczna, uwodzicielska jak tropikalny wiatr w gwiazdzistą noc. Ale gdzieś w mojej głowie słyszałem zbliżające się stukanie kawałków bambusu.

Rozdział 11

Jechaliśmy ulicą Le Duan, szerokim, zielonym bulwarem. Susan zjechała na chodnik i wskazała coś po drugiej stronie ulicy. - Poznajesz?

Za wysokim murem z wieżyczkami strażniczymi stał masywny, jaskrawobiały budynek, wysoki na pięć pięter; jeszcze jedna budowla w stylu lat sześćdziesiątych, z odpornych na uderzenia bomb żelazobetonowych prefabrykatów. Dopiero po kilku sekundach rozpoznałem dawną ambasadę amerykańską.

- Widziałam zdjęcia żołnierzy Wietkongu włamujących się do ambasady w czasie ofensywy Tet - powiedziała Susan,

Skinąłem głową. To był luty sześćdziesiątego ósmego roku, początek końca; koniec nadszedł siedem lat później, w siedemdziesiątym piątym, kiedy ambasada stała się grubą damą odśpiewującą ostatnią arię w przydługiej, tragicznej operze.

Spojrzałem na dach i zobaczyłem mniejszą budowlę, z której ostatni Amerykanie opuszczali miasto śmigłowcem trzydziestego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, gdy zbliżały się komunistyczne wojska. To było jeszcze jedno sławne czy może niesławne nagranie wideo, symboliczne dla tego żalostnego bajzlu: strażnicy marines, przepychający się z krzyczącymi i płaczącymi wietnamskimi cywilami i żołnierzami, którzy sforsowali ogrodzenie i chcieli uciec; personel ambasady starał się wyglądać luzacko w drodze do helikopterów, dokumenty płonęły na podwórku, miasto utonęło w chaosie, a ambasador niósł w rękach zwiniętą amerykańską flagę.

Pamiętam, że oglądałem to w telewizji razem z paroma żołnierzami w klubie oficerskim w Fort Hadley, gdzie wówczas stacjonowałem. Pamiętam też, że nikt nie mówił wiele, tylko czasem ktoś rzucił cicho: „Cholera” albo „O mój Boże”. Jeden facet naprawdę się rozplakał. Wyszedłbym stamtąd, ale zahipnotyzował mnie ten dramat z życia wzięty, tym bardziej że kilka razy byłem w ambasadzie, co sprawiało, że obraz na ekranie wydawał mi się bardziej surrealistyczny niż większości ludzi.

Susan przerwała moją podróż w czasie.

- Budynek jest wykorzystywany przez wietnamską państwową firmę naftową, ale amerykański rząd negocjuje przejęcie go z powrotem.

- Dlaczego?

- Chcą go zburzyć. Stanowi nieprzyjemny obraz.

Nie odpowiedziałem.

- To amerykańska własność. Może zbudują tu nowy konsulat. Ale wydaje mi się, że komuchy mogą chcieć z niego zrobić jeszcze jedną atrakcję turystyczną. Wstęp... co najmniej sześć dolarów. Dla Wietnamczyków za darmo. - Milczałem. - Amerykanie wrócili - ciągnęła Susan. - Ludzie chcą, żeby wrócili, a wietnamski rząd próbuje wykombinować, jak wyciągnąć od Amerykanów pieniądze, nie ściągając ich samych. Czuję to codziennie w pracy.

Zastanowiłem się nad powodem, dla którego ja znalazłem się w tym kraju, ale w moim rozumieniu zadania były duże luki; zwykle nie posyła się nikogo w taki sposób na niebezpieczną misję. To wszystko miałoby sens tylko wówczas, gdybym uwzględnił w równaniu Susan Weber.

- Chcesz zdjęcie z ambasadą w tle? - spytała Susan.

- Nie. Jedźmy.

Przejechaliśmy przez centrum Sajgonu, a potem przez niewielki mostek nad mulistym strumieniem.

- Jesteśmy na wyspie Khanh Hoi, gdzie znajdują się głównie osiedla mieszkalne - wyjaśniła Susan.

Był to nisko położony skrawek terenu, miejscami bagnisty, ze skupiskami drewnianych chat w pobliżu trzęsawisk i solidniejszymi blokami na wyższym gruncie.

- Dokąd jedziemy? - spytałem.

- Muszę wziąć motocykl. Przejechaliśmy przez gęszcz drewnianych domów z ogródkami, a potem grupę wielopiętrowych budynków z cegły. Susan skręciła w alejkę i wjechała na parking, który był w rzeczywistości pustą przestrzenią pod murowanym budynkiem wzniesionym na betonowych słupach. Parking był zavalony rowerami, motocyklami i całą masą metalowych części i odpadów.

Zsiedliśmy, a Susan przypięła skuter łańcuchem do metalowej ramy.

Podeszła do dużego czarnego motocykla.

- Oto moja bestia. Ural siedemset pięćdziesiąt. Według prawa cudzoziemcom nie wolno mieć niczego, co ma pojemność większą niż sto siedemdziesiąt pięć centymetrów sześciennych, więc trzymam go tutaj. - Żeby sobie popatrzeć?

- Nie, żeby jeździć. Policja sprawdza, co cudzoziemcy mają w domach. Moi znajomi,

Nguyenowie, mieszkają w tym bloku.

- A co się dzieje, kiedy wyjeżdżasz nim na drogę?

- Trzeba się szybko poruszać. - Po chwili dodała: - To nie stanowi wielkiego problemu, kiedy już się znajdziesz na wsi. Stąd, z wyspy Khanh Hoi, mogę przejechać po takim małym mostku na południe i po kwadransie jestem za miastem. Motocykl ma wietnamskie tablice rejestracyjne i jest zarejestrowany na rodowitego Wietnamczyka - innego znajomego - a policja, kiedy cię zatrzyma, nie ma sposobu na sprawdzenie, kto naprawdę jest właścicielem pojazdu. A jeśli dasz im pięć dolców,

przestaje ich to obchodzić.

- Jesteś tu za długo.

Susan odpięła motocykl z łańcucha wyjętym z kieszeni kluczem.

- Gotów na przygodę? - spytała.

- Staram się nie rzucać w oczy. Czy musimy brać ten motor?

- Na wzgórzach potrzebna jest moc. Za dużo ważysz. - Poklepała mnie po brzuchu, co trochę mnie zaskoczyło.

- Powinnaś nosić kask do jazdy po drodze - zauważyłem. Zapaliła papierosa.

- Jakbym słyszała ojca.

Spojrzałem na nią.

- Przebyłaś długą drogę z Lenox, prawda?

Susan pomyślała chwilę.

- Bądź wyrozumiały dla moich drobnych aktów buntu. - Zaciągnęła się papierosem. - Nie rozpoznałbyś mnie, gdybyś mnie zobaczył trzy lata temu.

- Tylko się tutaj nie zabij.

- Ty też.

- Hej, to już moja

trzecia tura. Jestem zawodowcem.

- Jesteś jak dziecko w lesie... i tyle.

Wyjęła telefon i, nie gasząc papierosa wybrała numer; porozmawiała chwilę po wietnamsku, posłuchała, odpowiedziała coś ostro i rozłączyła się.

- Jest dla ciebie wiadomość, a oni do mnie nie zadzwonili.

- Podzielisz się nią ze mną, czy dalej będziesz się skarżyć na recepcjonistę?

- Wiadomość od pułkownika Manga. Powiedział, że masz się stawić w kwaterze policji imigracyjnej jutro o ósmej rano i spytać o niego. - Po chwili dodała: - Pomogę ci wymyślić plan podróży.

- Mogę postudiować mapę. Być może pojedę do domu, a tę drogę znam.

- Powiedziałeś albo zrobiłeś coś, co wkurzyło tego faceta? - spytała Susan.

- Byłem stanowczy, ale grzeczny. Mogłem jednak powiedzieć coś, co go ubodło.

Susan skinęła głową.

- Myślisz, że on coś wie? - spytała. - Niby co? Dzięki za troskę, ale to nie jest twój kłopot.

- Oczywiście, że to mój kłopot. Jesteś z Massachusetts. Poza tym lubię cię.

- Ja też cię lubię. Dlatego chcę, żebyś trzymała się od tego z dala.

- To twoje przedstawienie. - Wskoczyła na wielkiego urala, a ja usiadłem z tyłu; siodełko było

znacznie większe i wygodniejsze niż na skuterze. Motocykl miał z tyłu oparcie z uchwytem, którego mogłem się trzymać. Susan zapaliła silnik... ryk odbił się od niskiego sklepienia.

Wyjechała z parkingu i skierowaliśmy się na południe; przejechaliśmy przez niewielki mostek nad rzeczką i zostawiliśmy za sobą wyspę. Z lewej strony widziałem szeroko rozlany nurt rzeki Sajgon, w niedzielne popołudnie pełnej łódek rekreacyjnych.

Susan zjechała na pobocze i odwróciła się do mnie, mówiąc:

- Jeśli myślą, że coś kombinujesz, nie wykopią cię. Będą cię śledzić. - Nie skomentowałem tego. - Jeśli cię aresztują, to w jakiejś małej miejscinie, gdzie będą mogli zrobić z tobą, co zechcą. Właśnie dlatego lepiej, żeby ktoś z tobą był.

- Czemu ciebie nie aresztują?

- Bo jestem ważną członkinią amerykańskiej społeczności handlowej i zrobiłby się prawdziwy smród, gdyby mnie aresztowali bez powodu.

- Jeśli będę potrzebował niańki, dam ci znać. - Oznajmiłem.

- Twardy z pana klient, panie Brenner.

- Bywałem w gorszych opałach.

- Tego jeszcze nie wiesz.

Susan dodała gazu i wtoczyliśmy się z powrotem na drogę.

Rozdział 12

Kierowaliśmy się na zachód przez mieszany wiejsko-miejski krajobraz: poletka ryżowe, nowe strefy przemysłowe, prymitywne wioski i wysokie apartamentowce.

W ciągu dwudziestu minut zostawiliśmy za sobą rozwlekłe miasto i wyjechaliśmy na otwarty teren. Ruch motorowy był niewielki w niedzielne popołudnie, lecz było mnóstwo zaprzęgów z wołami, rowerów i pieszych; Susan przemykała pośród nich bez zwalniania, niemal bez przerwy trąbiąc klaksonem.

Krajobraz zmienił się z nisko położonych poletek ryżowych w pagórkowaty; jechaliśmy wśród działek warzywnych, pastwisk i kęp niskich drzew.

Co jakiś czas dostrzegałem staw, w którym rozpoznawałem lej po bombie. Patrząc z powietrza, widziało się takie stawy w trzech kolorach: z czystą niebieską wodą, z mulistą brązową i czerwoną. Czerwona woda oznaczała, że bomba trafiła bezpośrednio w bunkier z ludźmi. Nazywaliśmy je ludzką zupą.

- Czy to nie piękny kraj?! - zawołała Susan, przekrzykując ryk silnika.

Nie odpowiedziałem.

Minęliśmy cztery wraki amerykańskich czołgów M-48 z wyblakłymi znakami południowowietnamskiej armii; uznałem, że wszystkie zostały zniszczone w kwietniu siedemdziesiątego piątego roku przez żołnierzy Wietnamskiej Armii Ludowej, prących do ostatecznej bitwy o Sajgon. do której na szczęście nigdy nie doszło.

Za zakrętem ukazał się olbrzymi cmentarz.

- Stań tutaj - powiedziałem do Susan.

Zjechała na pobocze i zsiadliśmy z motocykla. Przeszedłem przez wyrwę w niskim murze i stanąłem wśród tysięcy porośniętych mchem kamiennych płyt leżących płasko na ziemi. Obok niektórych sterczały wetknięte w ziemię czerwone flagi z żółtymi gwiazdami. Na każdej płycie stała gliniana miska z kadzidełkami; niektóre z nich się paliły. Podszedł do nas jakiś staruszek i porozmawiał chwilę z Susan.

- Ten cmentarz jest głównie dla miejscowych partyzantów Wietkongu i ich rodzin - wyjaśniła. - W tej części leżą Wietnamczycy z północy, którzy polegli, wyzwalając południe... on w każdym razie użył słowa „wyzwalali”. Ty byś pewnie powiedział, że byli najeźdźcami.

- Spytaj go, czy jest tu gdzieś południowowietnamski cmentarz wojskowy.

Zamienili kilka zdań.

- Takie cmentarze są zakazane - powiedziała Susan. - On mówi, że Wietnamczycy z północy zniszczyli wszystkie południowowietnamskie cmentarze buldożerami. To napawa go smutkiem, bo przez to nie może złożyć hołdu grobowi syna, który zginął, służąc w armii Wietnamu Południowego. Jego drugi syn walczył po stronie Wietkongu i leży pogrzebany tutaj.

Zamyśliłem się nad tym i przypomniały mi się nasze cmentarze z wojny secesyjnej, gdzie oddano hołd żołnierzom północy i południa. Tutaj, jak się zdawało, cała pamięć pokonanego narodu została zmieciona z powierzchni ziemi albo utrwalana w haniebny sposób... na przykład poprzez wraki czołgów pozostawionych na pamiątkę zwycięstwa komunistów.

Zauważyłem staruszkę siedzącą przy murze i sprzedającą kadzidełka. Dałem jej dolara i wziąłem od niej laseczkę. Podszedłem do najbliższego grobu i przeczytałem napis: *Hoang Van Ngoc*, trung-uy, 1949—1975. Urodził się w tym samym roku, co ja, ale na szczęście to wszystko, co mieliśmy wspólnego. Susan podeszła i zapaliła zapalniczką kadzidełko. Dym i zapach róży rozniosły się w powietrzu.

Nie modłę się, chyba że do mnie strzelają, ale włożyłem laseczkę kadzidła do miski, myśląc o trzystu tysiącach Wietnamczyków z północy, tych, którzy nie mieli grobów, o naszych dwóch tysiącach zaginionych i setkach tysięcy południowowietnamskich żołnierzy, którzy leżeli - jak się właśnie dowiedziałem - w ziemi stratowanej przez buldożery. Pomyślałem o Murze, o Karlu i o sobie, stojącym w tym miejscu, a potem o Tranie Van Vinhu.

Część mojego umysłu mówiła, że Tran Van Vinh nie może żyć, a druga była przekonana, że żyje. Podstawą przekonania było częściowo moje ego: Paul Brenner nie mógł przyjechać tak daleko tylko po to, żeby znaleźć nieboszczyka. Drugą część stanowiły niemal cudowne okoliczności, które mnie tutaj doprowadziły, a które, jako człowiek myślący racjonalnie, pragnąłem odrzucić, lecz nie mogłem. I wreszcie istniało podejrzenie, że Karl i jego koledzy wiedzą coś, czego ja nie wiem. Odwróciłem się od grobu i poszliśmy w stronę motocykla. Pamiętałem tę okolicę na zachód od Sajgonu, bo jechałem parę razy w konwojach do Tay Ninh w pobliżu granicy z Kambodżą. W tamtych czasach ludność wiejska mieszkała głównie w strategicznych wioskach, czyli strzeżonych zagrodach, a ci, którzy nie mieszkali w czymś takim, byli partyzantami Wietkongu, przebywającymi w tunelach Cu Chi. Byli też żołnierze Wietkongu na pół etatu - zwolennicy rządu w Sajgonie za dnia, potem kolacja z rodziną, a później nocna zmiana z kałasznikowem w garści.

O ten obszar między kambodżańską granicą i przedmieściami Sajgonu toczyły się ciężkie boje

przez całą wojnę - gdzieś przeczytałem, że był to najmocniej bombardowany i zryty pociskami kawałek ziemi w historii działań wojennych. Z tego, co pamiętam, mogła to być prawda.

Pozostała mi też w pamięci defoliacja z użyciem środka orange; kiedy wszelka roślinność była brązowa i martwa, amerykańskie bombowce zrzucały napalm i podpalały całe

połacie ziemi. Tumany czarnego dymu zasnuwały niebo całymi dniami, aż przyszedł deszcz i przykrył wszystko mokrą sadzą.

Właśnie to widzieli generałowie z dachu hotelu Rex, jeśli podczas kolacji spoglądali na zachód.

Zauważyłem, że roślinność odrosła, ale nie wyglądała dobrze; drzewa i krzaki były rzadkie i sękaty, bez wątplenia za sprawą defoliantów, których resztki pozostały w gruncie.

Ural 750 hałasował o wiele głośniejszym niż amerykańskie czy japońskie motocykle, więc nie rozmawialiśmy dużo.

Byliśmy w drodze mniej więcej od godziny i zmierzaliśmy teraz na północny zachód, w stronę Cu Chi i Tay Ninh, bo tam właśnie prowadziła droga numer dwadzieścia dwa.

Zabawne - wciąż jeszcze się gubię w północnej Wirginii, ale znałem tę trasę. Widocznie była kiedyś dla ranie ważna.

Wjechaliśmy do miejscowości Cu Chi, którą zapamiętałem jako małą, prowincjonalną, silnie ufortyfikowaną miejscinę, a która teraz tętniła życiem i pełna była nowych budynków, brukowanych ulic i salonów karaoke. Trudno sobie wyobrazić zaciekle walki, które toczyły się w tym mieście i w jego okolicy przez trzydzieści lat, poczynając od francuskiej wojny o Indochiny w czterdziestym szóstym roku, przez amerykańską, a potem wietnamską.

Wszędzie łopotały czerwone flagi, a na samym środku ulicznej wysepki stał na betonowym podwyższeniu jeszcze jeden północnowietnamski czołg, otoczony flagami i kwiatami.

Susan skręciła w ulicę wyglądającą na główną, potem zjechała na pobocze i zatrzymała się. Zsiadliśmy; przymocowałem motocykl do stojaka, a Susan wyjęła z sakwy przy siodełku aparat fotograficzny.

Rozprostowaliśmy kości i strzepnęliśmy z ubrań czerwony pył.

- Byłeś tu kiedyś? - spytała Susan.

- Parę razy. W drodze do Tay Ninh.

- Naprawdę? Co robiłeś w Tay Ninh?

- Nic. Byłem w eskorcie konwoju, jeśli dobrze pamiętam. Z Bien Hoa do Cu Chi i Tay Ninh, a potem z powrotem przed zapadnięciem zmroku.

- Niesamowite.

Nie byłem całkiem pewien, co jest takie niesamowite, ale nie dociekałem. Bolał mnie tyłek, bolały nogi i miałem kurz we wszystkich otworach ciała.

Przespacerowaliśmy się główną ulicą i ze zdziwieniem ujrzałem grupki obcokrajowców.

- Czy ci ludzie zgubili drogę? - spytałem.

- Masz na myśli tych Amerykanów? Przyjechali tu, żeby obejrzeć słynne tunele Cu Chi. To wielka

atrakcja turystyczna. - Żartujesz?

- Nie. Chcesz je zobaczyć?

- Chcę zobaczyć zimne piwo.

Podbiegł chłopak i Susan zamówiła piwo, które zmaterializowało się po kilku sekundach, bez szklanek. Usiedliśmy więc, cali w kurzu, pociągając piwo z butelek bez nalepek; Susan paliła papierosa, nie zdejmując okularów przeciwsłonecznych.

Zachodzące słońce wisiało pod markizą kafejki; było gorąco.

- Zapomniałem, jak tu praży w lutym - powiedziałem.

- Na północy jest chłodniej. Za Przełęczą Chmur pogoda się zmienia. Tam wyżej jest pora deszczowa.

- Pamiętam z sześćdziesiątego ósmego.

Susan zapatrzyła się w przestrzeń, a potem powiedziała, jakby do siebie:

- Minęły lata od ostatniego wystrzału, a wojna wciąż tu jest... Jak ten facet po drugiej stronie ulicy.

Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem starca kołyszącego się na kulach, bez nogi i bez części jednej ręki.

- Te czołgi przy drodze, tunele Cu Chi, wszędzie cmentarze wojskowe, pomniki na polach bitwy, muzea wojenne w każdym miasteczku, młodzi mężczyźni i kobiety bez rodziców... Ignorowałam to, kiedy tu pierwszy raz przyjechałam, ale nie da się tego nie zauważyć. To jest wszędzie, a ja nie widzę nawet połowy. - Milczałem. - To jest też ważny czynnik gospodarczy, powód, dla którego przybywa tu wielu turystów. Młodzi cudzoziemcy śmieją się z tej wojennej nostalgii... z weteranów przyjeżdżających zobaczyć to czy tamto. Oni... my to nazywamy wycieczką do Kong Świata. To okropne. Bardzo gruboskórne. Na pewno cię to wkurza. - W dalszym ciągu milczałem. - To ładnie z twojej strony, że zapaliłeś kadzidełko.

Znów nie odpowiedziałem, więc siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie przerwałem tę ciszę.

- To bardzo osobliwe być tu znowu... Widzę rzeczy, których ty nie widzisz... przypominam sobie sytuacje, których nigdy nie doświadczyłaś... Nie chcę być dziwny... ale od czasu do czasu...

- W porządku. Naprawdę. Chcę, żebyś o tym mówił.

- Myślę, że nie mam słów na opisanie tego, co czuję. Może za parę dni.

- Chcesz wracać do Sajgonu?

- Nie. To mi się bardziej podoba, niż mi się nie podoba. Pewnie to kwestia towarzystwa.

- Pewnie tak. Z pewnością nie z powodu upału i kurzu.

- Albo twojej jazdy.

Susan zawołała chłopaka, dała mu dolara, coś powiedziała i dzieciak wybiegł na ulicę. Po kilku minutach wrócił z okularami i zwitkiem dongów w dłoni, które Susan kazała mu zatrzymać. Nałożyła mi okulary.

- O, teraz wyglądasz jak Dennis Hopper w Swobodnym jeźdźcu.

Uśmiechnąłem się. Susan podniosła aparat.

- Staraj się wyglądać na twardziela - rzuciła.

- Jestem twardzielem.

Cyknęła mi zdjęcie.

Podala aparat chłopakowi, przysunęła swoje krzesło do mojego i objęła mnie ramieniem. Wietnamski chłopak zrobił nam zdjęcie, z przybliżonymi głowami i dotykającymi się butelkami.

- Zrób parę odbitek dla Billa - powiedziałem. Susan wzięła od chłopca aparat.

- Mogę ci je wysłać do domu, czy to będzie kłopot?

Domyśliłem się, o co pyta.

- Mieszkam sam - odparłem.

- Ja też.

Skorzystalismy z pojedynczej toalety na tyłach i zmylismy z siebie kurz z drogi. Susan wręczyła właścicielowi kafejki dolara za piwa i wymieniła z nim życzenia noworoczne. Wyszliśmy na ulicę i wróciliśmy do motocykla.

- Chcesz kierować? - spytała Susan.

- Pewnie.

Zarzuciła aparat na ramię, dała mi kluczyki i wsiedliśmy. Zapaliłem silnik i Susan urządziła mi krótki kurs jazdy rosyjskim uralem.

- Biegi się trochę zacinają, przednie hamulce są miękkie, tylne biorą dobrze. Przyspieszenie może być trochę większe niż to, do którego jesteś przyzwyczajony, i przód trochę się podnosi. Poza tym jazda jak marzenie.

- Dobra. Trzymaj się. - Zauważyłem, że jadę za szybko główną ulicą. Minąłem dwóch policjantów siedzących na rowerach, którzy coś do mnie krzyczeli. - Czy oni chcą mnie zatrzymać? - Nie. Życzyli ci miłego dnia. Jedź.

W ciągu dziesięciu minut zostawiliśmy miasto Cu Chi z tyłu; zaczynałem opanowywać maszynę, lecz tłok na drodze sprawiał mi trochę problemów.

- Używaj klaksonu. Musisz ostrzegać ludzi. Tak się tutaj robi. Znalazłem przycisk i trąbiłem, lawirując wśród rowerów, pieszych, skuterów, lambrett, świń i wozów z wołami.

Susan pochyliła się, objęła mnie w pasie prawą ręką, a lewą położyła na moim ramieniu. - Świetnie ci idzie - pochwaliła mnie.

- Oni są innego zdania.

Podala mi wskazówki i po kilku minutach znaleźliśmy się na wąskiej, prawie pozbawionej twardej nawierzchni drodze.

- Dokąd jedziemy? - spytałem.

- Przed nami na wprost tunele Cu Chi.

Po przejechaniu jeszcze kilku kilometrów zobaczyłem otwarty, płaski teren z zaparkowanymi w polu kilkoma autokarami.

- Zatrzymaj się na tym parkingu - powiedziała Susan. Wjechałem na pole częściowo ocienione sękatymi drzewami.

- Czy to część Kong Świata? - To jedno z wejść do tuneli - wyjaśniła Susan. - To Kong Świat w najczystszej postaci. Ponad dwieście kilometrów podziemnych tuneli, z których jeden prowadzi do samego Sajgonu.

- Byłaś tu już?

- Byłam w tych stronach, ale nie wchodziłam do tuneli. Nikt nie chce ze mną wejść, a teraz pomyślałam, że dla ciebie nie będzie to problemem.

To zabrzmiało jak wyzwanie.

- Uwielbiam kanały - oznajmiłem.

Zsiedliśmy, przywiązaliśmy motocykl łańcuchem do drzewa i podeszliśmy do wejścia.

Wstęp kosztował dolara pięćdziesiąt; Susan zapłaciła bez wyklócania się.

Dołączyliśmy do grupy ludzi pod dachem ze strzechy, na którym widniał napis:

angielski. Byli tam w większości Amerykanie, ale usłyszałem też australijski akcent. Obok stały kryte strzechą pawilony dla przedstawicieli innych języków. Najwidoczniej ktoś z Ludowego Ministerstwa Turystyki był w Disneylandzie.

Przewodniczka rozdała broszurki grupie około trzydziestu angielskojęzycznych turystów.

- Proszę być cicho - poleciała.

Wszyscy się zamknęli, a przewodniczka rozpoczęła monolog. Nie wiedziałem zbyt dużo o tunelach Cu Chi i miałem przeczucie, że nie dowiem się wiele od naszej przewodniczki, której angielski był dość nietypowy.

Przeczytałem broszurkę napisaną po angielsku, ale też nieco dziwnie.

Tak czy owak, trochę od przewodniczki, a trochę z broszurki dowiedziałem się, że budowa tuneli rozpoczęła się w czterdziestym ósmym roku, w czasie walk komunistów z Francuzami. Zaczynały się na Szlaku Ho Szi Mina w Kambodży i prowadziły zygzakiem przez całe terytorium kraju, między innymi pod byłymi amerykańskimi bazami wojskowymi. Pierwotne tunele były tak wąskie, że mógł się nimi przeczłgać tylko drobny partyzant Wietkongu, i powinniśmy uważać na owady, nietoperze, szczury i węże.

Przewodniczka poinformowała nas, że tunele mogły pomieścić do szesnastu tysięcy bojowników o wolność i że ludzie brali w nich śluby, a kobiety rodziły dzieci. Kompleks mieścił kuchnie i szpitale chirurgiczne, sypialnie, magazyny wypełnione niegdyś bronią i

materiałami wybuchowymi, studnie, szyby wentylacyjne, fałszywe tunele i zaminowane przejścia.

- Ale dla was nie ma już min - zażartowała z uśmiechem.

- Mam nadzieję. W końcu zapłaciliśmy półtora dolara - powiedziałem do Susan. Przewodniczka poinformowała nas także, że Amerykanie zrzucili na tunele setki tysięcy ton bomb, wchodzili do

nich z miotaczami ognia, zalewali je wodą, wpuszczali gaz, wysyłali grupy żołnierzy, zwanych ziemnymi szczurami, w kaskach górniczych i z psami, którzy mieli walczyć wręcz z mieszkańcami tuneli. W ciągu dwudziestu siedmiu lat, gdy tunele były w użyciu, zginęło w nich dziesięć tysięcy z szesnastu tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy tam mieszkali, i wielu zostało w nich pogrzebanych.

- Więc - powiedziała przewodniczka - jesteśmy gotowi do zejścia. Tak?

Nikt nie przejawiał szczególnego zapału, a chyba z dziesięć osób przypomniało sobie, że ma umówione spotkania gdzie indziej. Zwrotów pieniędzy za bilety nie przewidziano.

Gdy szliśmy do wejścia, facet obok odwrócił się do mnie i spytał:

- Weteran?

Spojrzałem na niego.

- Tak - odparłem.

- Nie wyglądasz na ziemnego szczura - zauważył. - Za duży jesteś.

- I mam nadzieję, że za mądry.

Roześmiał się.

- Robiłem to przez trzy miesiące. Tylko tyle dało się wytrzymać. - Po chwili dodał: - Trzeba to oddać tym skurczybykom. Mieli jaja. - Dostrzegł Susan i rzucił: - Przepraszam.

- W porządku. Ja też przeklinam.

- Odwaliliście kawał pioruńsko dobrej roboty - powiedziałem do faceta... który był niski, ale już nie szczupły... żeby mu sprawić przyjemność.

- Taak... Nie wiem, co ja myślałem, kiedy się zgłaszałem na ochotnika do tej służby. No bo spotkać się twarzą w twarz z panem Charliem, czołgając się w tej ciasnocie, to nic zabawnego.

Dotarliśmy do wejścia.

- Mam popieprzone koszmary z tymi tunelami, najgorszego sortu... Wiesz, czołgam się w ciemności, słyszę, jak ktoś dyszy, czuję jakieś robale pod mundurem, które żrą mnie jak wszyscy diabli, nietoperze we włosach, węże na rękach, kurewski sufit jest dziesięć centymetrów nad moją głową i kapie z niego woda, a ja nawet nie mogę się odwrócić i wiem, że Chuck jest dokładnie na wprost, ale nie chcę zapalać lampki górniczej...

- Może nie powinieneś tam wchodzić - przerwałem mu.

- Muszę. Wiesz? Jeśli tam wejdem, moje koszmary znikną.

- Co za geniusz ci to powiedział?

- Jeden koleś, który wszedł.

- I pomogło mu?

- Chyba tak. Bo po co by mi mówił, żebym to zrobił?

- On nie ma przypadkiem na imię Karl, co?

- Nie... Jerry.

Przewodniczka zatrzymała się przed wejściem do tunelu, ukrytym w drewnianej szopie.

- Czy jest tu jakaś osoba, co być w tunelach w czasie wojny? - spytała.

Mój kolega podniósł szybko rękę do góry i wszyscy spojrzeli na niego.

- Aa... - powiedziała przewodniczka. - Więc pan walczyć w tunelach. Niech tu przyjdzie porozmawiać.

Były ziemny szczur wyszedł na czoło grupy i stanął koło przewodniczki. Myślałem, że usłyszymy wykład na temat amerykańskiego imperializmu, ale ona zwróciła się do niego:

- Proszę, niech powie wszystkim, żeby zostać blisko i się nie bać. Jest bardzo bezpiecznie.

Ziemny szczur powtórzył radę i polecenie przewodniczki, po czym dodał kilka swoich wskazówek, stając się nieopłaconym asystentem przewodniczki. Naprawdę dziwne, jeśli się nad tym zastanowić.

Weszliśmy gęsiego do tunelu i przewodniczka poprosiła ziemnego szczura, żeby zamykał tyły.

Wejście było szerokie, ale bardzo niskie i wszyscy musieli się schylić. Spadek zaczął się łagodnie, a potem stał się bardziej stromy i przejście się zwężyło. Ciąg ciemnych żarówek ledwo oświetlał tunel.

Było nas około dwudziestu osób: kilka par młodych Australijczyków, sześć par Amerykanów w średnim wieku, w tym niektóre z dziećmi; resztę stanowili młodzi ludzie, przeważnie wędrowcy podróżujący z plecakami na własną rękę. Łączyło nas tylko to, że wszyscy mówiliśmy po angielsku, nie mieliśmy klaustrofobii i byliśmy głupi.

Przewodniczka co jakiś czas wygłaszała krótki komentarz, czekała, aż japońska grupa przesunie się do przodu, a potem szła dalej w głąb labiryntu.

W tunelach było o wiele chłodniej, lecz bardzo wilgotno. Usłyszałem gdzieś pisk nietoperza.

- To dobre miejsce na awaryjną randkę - powiedziałem do Susan.

Zygzakowaliśmy to w tę, to w drugą stronę, a tunele robiły się coraz niższe i węższe; po chwili czołgaliśmy się w mroku po matach z trzciny i mokrej, śliskiej folii. Potrzebne mi to było?

Wreszcie dotarliśmy do komory wielkości małego pokoju, oświetlonej pojedynczą żarówką, i wszyscy stanęli. Przewodniczka zapaliła latarkę i przesunęła snopem światła po podziemnym pomieszczeniu.

- Oto kuchnia. Widzicie tam miejsce gotowania, a w górze, tam na suficie, wychodzić dym. Dym iść do domu rolnika, a on gotuje, więc Amerykanie myśleć, że to rolnik gotować. Tak?

Błysnęły flesze; Susan powiedziała: „Uśmiech”, i oślepiła mnie. Przewodniczka przesunęła strumieniem światła po grupie.

- Gdzie jest Amerykanin, co walczyć w tunelu? Gdzie? Rozejrzeliśmy się wszyscy, ale faceta nie było. Prysnał na lewiznę. Przewodniczka wyglądała na zatroskaną, lecz pamiętając, że Korporacja Tuneli Cu Chi jest spółką z bardzo ograniczoną odpowiedzialnością, nieszczególnie się zmartwiła.

Szliśmy jeszcze przez jakieś pół godziny, a ja robiłem się coraz bardziej mokry, zziębnięty, znużony i brudny i męczyła mnie klaustrofobia. Coś mnie ugryzło w nogę. Ta wycieczka przestała być zabawna jakiś czas temu, więc nadałem jej nazwę „Zemsta Charliego”.

W końcu dotarliśmy do tego samego tunelu, przez który weszliśmy, i po pięciu minutach staliśmy w blasku słońca. Wszyscy wyglądali jak wypluci, ale po kilku sekundach zaczęli się uśmiechać. Opiszą to na kartce i wyślą do domu?

Przewodniczka podziękowała nam za odwagę i uwagę i wszyscy dali jej po dolcu, co wyjaśniało, dlaczego tak kocha tę popierdoloną robotę, jak nic najgorszą na świecie.

Gdy odchodziliśmy, zobaczyłem, że myje się przy miednicy z wodą.

- Dzięki, że zaproponowałaś tę wycieczkę - powiedziałem do Susan.

- Miło mi, że ci się spodobała. - Rozejrzała się. - A co się stało z tym ziemnym szczurem?

- Nie wiem. Ale jeśli ta grupka Wietnamczyków za nami nie wyjdzie na powierzchnię, będziesz miała odpowiedź.

- Bądź poważny. Facet mógł się zgubić albo mu odbiło tam na dole. Może powinniśmy coś zrobić?

- Przewodniczka wie, że kogoś zgubiła. Zajmie się tym. On jej wisi dolara.

takie jak w Muzeum Amerykańskich Zbrodni Wojennych; jakiś facet chciał nam wcisnąć parę Podeszliśmy do straganów. W kramikach z pamiątkami sprzedawano wojenne rupiecie, sandałów Ho Szi Mina, zrobionych ze starych opon, które, jak przysięgał, nosili partyzanci Wietkongu na Szlaku Ho Szi Mina. Wszyscy sprzedawcy, zauważyłem, byli ubrani w czarne pizamy i sandały i nosili stożkowate kapelusze ze słomy, tak jak bojownicy Wietkongu. W pierwszej chwili wydało mi się to totalnie surrealistycznie, a potem uznałem, że to idiotyzm.

- Nie przeszkadza ci to? - spytała Susan. - Ależ skąd. Kong Świat.

Kupiliśmy po litrowej butelce wody; połowę zużyliśmy na umycie się, a połowę wypiliśmy.

- Nie umiem sobie wyobrazić, jak ludzie tam żyli w czasie wojny - powiedziała Susan. - I nie mogę sobie wyobrazić, jak wy musieliście żyć w dżungli dzień i noc.

- Ani ja.

Zauważyliśmy naszego kolegę ziemnego szczura na plastikowym krześle, z butelką piwa w dłoni. Podeszliśmy do niego.

- Już myśleliśmy, że się zgubiłeś.

Spojrzał na mnie, nie poznając.

- Jesteś z kimś? - spytałem.

- Autokarem.

- Dobrze. Może powinieneś wsiąść do tego autokaru.

Nie odpowiadał przez kilka sekund.

- Wchodzę z powrotem - oświadczył po chwili.

- Może to nie jest najlepszy pomysł - zasugerowała Susan. Spojrzał na nią, a właściwie przez nią. Wstał i powtórzył:

- Wchodzę z powrotem. - Ruszył w stronę tunelu wejściowego pod pawilonem.

- Może powinieneś go przekonać - zaproponowała Susan.

- Nie. Niech idzie. Musi spróbować jeszcze raz. Przebył długą drogę.

Wróciliśmy do motocykla.

- Ja poprowadzę - zdecydowała Susan. - Musimy być w Sajgonie przed zmrokiem, a ja znam tutejsze drogi.

Wsiedliśmy i wyjechaliśmy z parkingu. Susan skierowała się na północ boczną, prawie polną drogą.

- Ten motor przeważnie radzi sobie z piachem - zawołała - ale musisz się trzymać!

Podskakiwaliśmy wściekle i kilka razy zarzuciło maszyną, lecz Susan bardzo dobrze jeździła, więc nabrałem przekonania, że nie skończymy jako jeszcze jeden eksponat przy drodze.

- Ten trakt prowadzi do drogi numer trzynaście, która przechodzi przez plantację kauczuku Michelina. Trzynastka zaprowadzi nas z powrotem do Sajgonu; nie jest to uczęszczana trasa, więc dojedziemy tam w dobrym czasie.

Jechaliśmy na północ najgorszą drogą na tej półkuli. Miałem wrażenie, że nerki wyskoczą mi uszami. Wreszcie dotarliśmy do dwupasmowej szosy i Susan ścięła w prawo.

- Plantacja kauczuku - oznajmiła. - To są drzewa kauczukowe.

Droga wydawała się prawie opuszczona i Susan dodała gazu. Zasuwaliliśmy ze sto kilometrów na godzinę, ale to była dobra droga. Słońce jednak zachodziło szybko i cienie drzew kauczukowych robiły się długie i ciemne.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-ePub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Karl powiedział mi, że walczył tutaj jako żołnierz Jedenastej Dywizji Kawalerii Pancernej, a od innych weteranów z tej jednostki wiedziałem, że na plantacji Michelina i koło drogi numer trzystaście doszło do wielu potyczek. papierosem w zębach, lustrującego przez lornetkę złowieszczy las i udającego, że jest Wyobrażeniem sobie Karla przy karabinie maszynowym na wozie pancernym, z marszałkiem polnym Guderianem prowadzącym dywizję pancerną w głąb Rosji. Będę musiał mu powiedzieć, że tu byłem - jeśli jeszcze kiedykolwiek się spotkamy.

W ciągu dwudziestu minut wyjechaliśmy ze złowrogiego lasu i znaleźliśmy się w terenie pełnym krzaczastych zarośli. Zjeżdżaliśmy coraz niżej i widziałem już poletka ryżowe. Po kolejnych dziesięciu minutach zauważyłem pierwsze przedmieścia Sajgonu.

Było już ciemno i drogą jechały tylko skutery i małe samochody. W miarę jak zbliżaliśmy się do Sajgonu, ruch gęstniał i Susan musiała zwolnić.

Sajgon w czasach wojny był jak morze światła w olbrzymim oceanie ciemności. W mieście toczyło się życie; na jego skraju wyrastały zasieki i blokady, a żołnierze mieli się na baczności. Poza miastem po zapadnięciu zmroku nic się nie poruszało, a jeśli się poruszyło, zabijałeś to. A dalej, za zasiekami, były bazy wojskowe, samoistne mniejsze wysepki, takie jak Bien Hoa i Tan Son Nhat, w których żołnierze popijali piwo i bawili się w hazard, oglądali filmy z kraju, pisali listy, czyścili sprzęt, psioczyli na wojnę, stali na warcie i spali niespokojnie. A jeśli miałeś niefart i przydzielono cię do nocnego patrolu, czasami spotykałeś mężczyzn i kobiety z tuneli Cu Chi.

Zbliżaliśmy się do miasta od północy, widziałem już światła lotniska Tan Son Nhat.

Dalej na wschód leżała moja dawna baza Bien Hoa, która też miała pasy startowe, ale tylko dla samolotów wojskowych.

- Wiesz, co się stało z amerykańską bazą wojskową w Bien Hoa? - spytałem Susan.

- Wydaje mi się, że jest tam wietnamskie lotnisko wojskowe. Myśliwce. Nie wiedziałam, że to była amerykańska baza, dopóki mi nie powiedziałaś.

- To pewnie nie będę mógł odwiedzić moich starych koszar.

- Jeśli nie chcesz, żeby cię zastrzelili.

- Nie tym razem.

Przejechaliśmy nad mulistym kanałem po tym samym mostku, przez który wyjechaliśmy, i znaleźliśmy się na wyspie Khanh Hoi. Ulice Khanh Hoi były ciemne, lecz Susan знаła drogę. Minęliśmy żółtego policyjnego dzipa i facet na fotelu pasażera spojrzał na nas i na motocykl. Pojechali za nami.

- Mamy towarzystwo - powiedziałem do Susan.

- Wiem. - Zgasiła światło i skręciła w wąską uliczkę, gdzie policyjny samochód nie mógł wjechać. Wyglądało na to, że zna tu wszystkie alejki i przejścia, i po kilku minutach zatrzymaliśmy się na parkingu pod blokiem Nguyenów.

Przełożyliśmy wszystko z urala do sakw mińska i zmieniliśmy wierzchowce niczym ekspresowy konny kurier. Po kilku minutach jechaliśmy już małym mińskim, który wydawał się jeszcze bardziej niewygodny, niż zapamiętałem.

Susan zerknęła na zegarek, kierując się w stronę centrum.

- W samą porę - powiedziała. - Jest za dwadzieścia ósma, a powinniśmy być w moim biurze o ósmej.

- Gdzie jest twoje biuro?

- Przy ulicy Dien Bien Phu. Niedaleko pagody cesarza Jade.

- Czy to restauracja?

- Nie, to pagoda cesarza Jade.

- Nazwa kojarzy się z restauracją przy ulicy M w Georgetown.

- Nie mogę uwierzyć, że spędziłam z tobą cały dzień.

- Ani ja.

- Tylko żartowałam. Jesteś zabawny. Dobrze się dzisiaj bawiłeś?

- Tak - odparłem. - Nie wiem, co mi się najbardziej spodobało... spotkanie z Billem, upał, twoja jazda, wojenne wspomnienia z Sajgonu, droga z piekła do tuneli Cu Chi... czy ten skok w bok przed gliniarzami.

- Czy nie kupiłam ci piwa i okularów i nie zapłaciłam za wszystkie bilety?

- Tak. Dziękuję.

Przejechaliśmy nad mętym strumieniem, kierując się do centrum miasta, i pojechaliśmy wzdłuż nabrzeża rzeki Sajgon. Zauważyłem głośno, że miasto jest niewiarygodnie zatłoczone jak na niedzielny wieczór.

- To się nazywa Gorączka Niedzielnej Nocy w Sajgonie - wyjaśniła Susan. - Z jakiegoś powodu w niedzielną noc ludzie więcej się bawią niż w sobotę. Totalny obłęd. Wyjdziemy po kolacji na parę drinków, może potańczymy i wstąpimy do klubu karaoke, jeśli masz ochotę.

- Jestem naprawdę wyczerpany.

- Złapiesz drugi oddech.

Jechaliśmy wąską uliczką przecinającą kilka uczęszczanych bulwarów. Stanęliśmy na światłach.

- Czy kiedykolwiek jeździsz sama? - spytałem. - To znaczy poza miasto.

- Czasem. Bill nie jest fanem motocykla. Czasami jeżdżę z przyjaciółką. Wietnamką lub Amerykanką. Czemu pytasz?

- Czy to bezpieczne dla samotnej kobiety?

- Jasne. W większości buddyjskich krajów kobiety nie są zaczepiane. To bardziej kwestia kultury niż religii, tak mi się wydaje. Oczywiście jeśli się jest młodą i ładną, tak jak ja, i

siedzi się w barze, jakiś Wietnamczyk może próbować cię poderwać, ale oni nie mają ciekawych tekstów.

- Podaj przykład.

Roześmiała się.

- Najpierw mówią ci, jaka jesteś piękna, i że zauważyli cię wiele razy na ulicy.

- Co w tym złego? Ja też często wstawiam tę gadkę.

- I działa?

- Nie.

Susan parsknęła śmiechem i przyspieszyła na skrzyżowaniu. Po kilku minutach skręciliśmy na ulicę Dien Bien Phu.

Nieco później przemknęliśmy obok imponującej pagody, z której będzie kiedyś świetna restauracja; potem Susan zjechała na chodnik przed nowoczesnym budynkiem ze stali i szkła, z daszkiem na wspornikach, wiszącym nad ulicą. Zsiadliśmy z mińska i Susan podeszła do drzwi. Strażnik otworzył, uśmiechnął się i powiedział coś po wietnamsku.

Susan otworzyła sakwę przy siodełku i wyjęła aparat. Zostawiła skuter w marmurowym holu biurowca, a ja ruszyłem za nią do wind.

Drzwi się rozsunęły i wsiedliśmy. Susan wybrała guzikiem siódme piętro.

- Nie daj się namówić Waszyngtonowi na coś niebezpiecznego - powiedziała. Było trochę za późno na tę radę.

Rozdział 13

Drzwi windy otwarły się na dużą recepcję z czarnymi lakierowanymi meblami, drukowanymi obrazkami na papierze ryżowym i podłogą z różowego marmuru. Napis z mosiężnych liter nad pulpitem recepcji głosił:

*American-Asian Investment Corporation,
Limited.*

- Witamy w AAIC, panie Brenner - powiedziała Susan. - Czy chciałby pan zakupić połowę zakładu puszkowania ryb?

- Zadowolę się szklaneczką szkockiej z wodą sodową. Ale całą, nie połową.

Pod nazwą spółki wisiał transparent z wykonanym ze złotometalicznych liter napisem: *Chuc Mung Nam Moi*; pod spodem widniały te same życzenia, napisane po angielsku: *Happy New Year*.

Na podłodze stało małe drzewko *kumquat*, a obok podstawa dużego parasola, w której otwór wetknięto kilka kwitnących gałązek. Większość płatków opadła na podłogę.

Z prawej strony recepcji znajdował się szereg lakierowanych na czerwono drzwi; Susan położyła dłoń na czytniku. Rozległ się dzwonek i jedne drzwi się otwarły.

Zauważyłem kamerę systemu bezpieczeństwa, omiatającą recepcję.

Wszedłem za Susan do dużego pomieszczenia, pełnego biurek i sześcianów; typowe współczesne biuro, które mogło być w dowolnym miejscu na świecie.

Sala była pusta, ale świetlówki się paliły; tutaj też spostrzegłem obracające się kamery. Powietrze cuchnęło zastałym dymem papierosowym, którego nie wyczułem w żadnym amerykańskim biurze od dwudziestu lat.

- Należy do nas całe najwyższe piętro z tarasem - oznajmiła Susan, wchodząc. - Klimatyzacja jest

wyłączona, więc trochę tu duszno.

Doszliśmy do tylnej części pomieszczenia, gdzie troje szeroko rozstawionych drzwi wskazywało, że za nimi mieszczą się duże zamknięte biura. Susan podeszła do drzwi po lewej stronie, z mosiężną tabliczką z nazwiskiem Susan Weber, bez tytułu. Na drzwiach tkwił cyfrowy zamek; Susan wstukowała serię liczb i otworzyła drzwi swojego biura.

Było ciemno, więc zapaliła górne światła, które wydobyły z mroku duże narożne pomieszczenie z oknami na dwóch ścianach. Rozejrzałem się za kamerą wideo, ale jej nie było.

- Ładne biuro.

- Dziękuję. - Położyła aparat na biurku razem z naświetloną rolką filmu. Otworzyła górną szufladę i wyjęła z kartonu paczkę marlboro. Zapaliła papierosa chromowaną biurkową zapalniczką i zaciągnęła się długo.

- Mm - mruknęła. - Robię się trochę roztrzęsiona i jędzowata, kiedy nie mogę się sztachnąć.

- A poza tym jaką masz wymówkę?

Roześmiała się i znów się zaciągnęła.

- Pół roku temu pojechałam na spotkanie do Nowego Jorku - powiedziała. - Cztery godziny w budynku, w którym się nie pali, a do tego miałam syndrom napięcia przedmiesiączkowego. O mało mi nie odbiło. Jak mogę wrócić do Stanów, żyć tam i pracować?

Było to pytanie retoryczne, ale odpowiedziałem:

- Może nie możesz. Może to jest to.

Popatrzyła na mnie i nasze spojrzenia się spotkały. Zgasiła papierosa i powiedziała:

- Wyślę ci odbitki zdjęć, które zrobiliśmy, jeśli podasz mi adres.

- Czy twoja poczta jest bezpieczna? - spytałem.

- Mamy firmowy worek, który wysyłamy codziennie przez FedEx, poczta jest sortowana w Nowym Jorku i przekazywana dalej - odparła Susan. - Jeśli kiedykolwiek będziesz chciał

mi coś wysłać, wyślij to do Nowego Jorku. - Podała mi wizytówkę z nowojorskim adresem *American-Asian Investment Corporation, Limited*. Zapamiętałem adres i oddałem jej wizytówkę.

- Lepiej, żebym tego nie nosił przy sobie - wyjaśniłem. - Gdybyś zapomniał, można znaleźć nasz adres w książce telefonicznej Manhattanu - poinformowała.

Usiadła przy biurku, nałożyła słuchawki i wywołała swoją pocztę głosową.

- Lód i napoje są w tamtej szafce - oznajmiła. - Dla mnie dzin z tonikiem.

Otworzyłem szafkę, w której ukazała się mała lodówka, i wyjąłem tackę z lodem i napojami. Szklanki i karafki z alkoholami stały na blacie; zrobiłem drinki, podczas gdy Susan odsłuchiwała swoją pocztę.

Na ścianie nad szafką wisiały jej dwa oprawione dyplomy: z Amherst i Harvardu.

Wisiała tam też pochwała od Amerykańskiej Izby Handlowej - filii w Hosziminie. Od tego wszystkiego mieszało się w głowie, ale w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin pomieszało

mi się w niej tak, że gdybym zobaczył Order Lenina dla Susan za zwiększenie dochodów firmy, też bym się nie zdziwił. Jakimś sposobem trafiłem do alternatywnego wszechświata, w którym to my wygraliśmy wojnę.

Na szafce stały cztery fotografie w ramach. Najbliżej było zdjęcie dyplomowe Susan w todze i czapce - karmazynowych - więc to musiał być Harvard, jeśli mnie pamięć nie myli. Na zdjęciu wyglądała młodziej, oczywiście, ale poza tym... Chyba nie była tak wypalona pracą w firmie w Nowym Jorku i nie tak zahartowana jak po latach spędzonych w Sajgonie. Też mam takie zdjęcie dyplomowe z czasów przed wyruszeniem do Wietnamu.

Zerknąłem na nią i zauważyłem, że - mimo swej urody - wygląda na nieco zmęczoną światem, jak na swój wiek. Ujmując to z większą wyrozumiałością, jej twarz zdradzała pewien charakter.

Drugie zdjęcie zrobione zostało w atelier i przedstawiało przystojną, dobrze ubraną parę tuż po pięćdziesiątce; to byli oczywiście rodzice Susan. Papa sprawiał wrażenie równego gościa, a mama wyglądała olśniewająco.

Trzecie zdjęcie było zdjęciem rodzinnym, z choinką i kominkiem w tle. Byli tam mama i tata, Susan, jej młodszy brat oraz siostra, która wyglądała nieco młodziej niż Susan. Wszyscy byli urodziwi, mieli na sobie swetry bez kołnierza i tweedowe spodnie i wyglądali na prawdziwych protestantów ze starej linii Jankesów z West Waspshire.

Czwarta fotografia została zrobiona na dworze, i mogło to być zdjęcie ze ślubu w lecie - zebrał się cały klan, z babciami i dziadkami, parami, dziećmi i niemowlętami. Odszukałem Susan z krótkimi włosami, ubraną w długą białą suknię. Obok niej, z ręką na jej odkrytych ramionach, stał Harry Czarus w białym fraku, z opaloną na brąz twarzą. Mógł być krewnym, ale nie wyglądał na spokrewnionego, więc musiał być jej chłopakiem albo nawet narzeczonym, skoro znalazł się na rodzinnym zdjęciu.

Zauważyłem, że nie ma zdjęcia kawalera Billa.

Odwróciłem się. Susan w dalszym ciągu przeglądała pocztę elektroniczną. Zerknęła na mnie.

- To moja rodzina, naturalnie - powiedziała. - Są doskonali pod każdym względem, nie licząc paru ciekawych ekscentryzmów i niezdiagnozowanych zaburzeń psychicznych. - Roześmiała się. - Ale kocham ich wszystkich. Naprawdę. Ty też byś ich polubił.

Spojrzelśmy sobie w oczy.

- I oni by cię pewnie polubili - ciągnęła Susan. - Z wyjątkiem dziadka Burta, który uważa, że wszystkich Irlandczyków powinno się deportować.

Uśmiechnąłem się.

Susan wróciła do przeglądania poczty.

- Siadaj - rzuciła. - Za minutę do ciebie przyjdę. Usiadłem na obrotowym krześle koło okna przy owalnym stole z blatem z czarnego granitu. Patrzyłem na Susan siedzącą przy biurku i stukającą w klawisze. Zmieniła osobowość niemal momentalnie, jak tylko weszliśmy do budynku. Rozejrzałem się po biurze, sącząc szkocką z wodą sodową. Na podłodze leżał puszysty, szmaragdowozielony dywan, meble były zrobione z przyciemnionego drewna, a ściany pokryte żółtym jedwabiem z subtelnym wzorem bambusów.

Przez okno wychodzące na wschód widziałem niksący księżyc. Za niecały tydzień nie będzie go wcale, co - jeśli będę na otwartej przestrzeni - pomoże mi tak, jak pomogło nieprzyjacielowi podczas Tet w sześćdziesiątym ósmym roku.

W dużej wnęce zauważyłem faks, fotokopiarkę, niszczarkę i podłogowy sejf. Takie urządzenia w biurze, przeznaczone do osobistego użytku, były nie tylko symbolem wysokiej pozycji w firmie, lecz także oczywistym znakiem dbałości o bezpieczeństwo. Nic ważnego nie musiało wychodzić z tego biura do fabryki z sześcianami ani z niej przychodzić. Znałem ten układ.

Susan wyszła zza biurka i usiadła na krześle naprzeciwko mnie. Wzięła szklanekę z dżinem.

- Cheers - powiedziała.

Stuknęliśmy się szklankami i wypiliśmy. Susan zapaliła drugiego papierosa i położyła go dymiącego w chromowanej popielniczce, do połowy wypełnionej niedopałkami. Kosz też był w połowie pełny, a na dywanie w recepcji leżały płatki kwiatów. Po godzinach pracy i przed nimi niczego tu nie sprzątno ani nie serwisowano. Najwyraźniej zatrudnili doradcę do spraw bezpieczeństwa. A może wcale nie potrzebowali doradcy z zewnątrz.

- Masz jakieś zdjęcia w portfelu? - spytała Susan.

- Czyje?

- Swojej rodziny.

- Jeśli nie zabieram na terytorium nieprzyjaciela wizytówek, to dlaczego miałbym zabierać rodzinne zdjęcia?

- Słusznie. Jesteś na terytorium nieprzyjaciela. Ja nie. - Uśmiechnęła się i dodała: - Myślałam, że jesteś turystą.

- Nie jestem.

- Wreszcie do czegoś dochodzimy.

Zmieniłem temat.

- Rodzicom musiało się spodobać twoje biuro.

- Jakżeby inaczej? W Stanach musiałabym czekać na narożne biuro jeszcze długie lata.

Pod tym względem Susan i ja mieliśmy podobne doświadczenia z Wietnamu. Kiedy się było w piechocie w sześćdziesiątym ósmym roku, szybko się awansowało, przede wszystkim z powodu raptownego topnienia obsady jednostek. Wietnam był dobrym szczeblem w karierze, ale trzeba było wrócić do domu, żeby znaleźć się w głównym nurcie życia armii - w realnym świecie. Susan Weber jeszcze nie przeszła przez to.

Spółka *American-Asian Investment Corporation* zaciekała mnie, więc spytałem:

- Kto zasiada w dwóch pozostałych biurach?

- Mój szef Jack Swanson i Wietnamczyk. Mamy jeszcze trzech Amerykanów... dwóch facetów i kobietę, Lisę Klose, ze świeżym dyplomem MBA.

- Z Ivy League, mam nadzieję.

- Oczywiście. Z Columbii. Jest też jedna Kanadyjka, Janice Stanton, która odpowiada za finanse.

Mamy również dwóch *Viet-Kieus*. Wiesz, kto to jest *Viet-Kieu*?

- Nie.

- Były uciekinier z Wietnamu, który wrócił. Niektórzy z nich strasznie tęsknią za domem, wolą mieszkać w biednym, totalitarnym kraju niż gdziekolwiek indziej. Nasi *Viet-*

Kieus to mężczyzna i kobieta, oboje mówią doskonale po angielsku i wietnamsku. Są tutaj bardzo ważnym ogniwem wielu międzynarodowych interesów, pomostem kulturowym między Wschodem i Zachodem.

- Jak są traktowani? - spytałem. - Kiedyś komuniści ich nękali, nazywali zdrajcami, amerykańskimi lokajami i tak dalej. Ale od pięciu czy sześciu lat *Viet-Kieus* są oficjalnie zapraszani do powrotu.

- A jak będzie za rok?

- Kto to może, do cholery, wiedzieć? Za każdym razem, gdy zbiera się politbiuro czy Zgromadzenie Narodowe, wstrzymuję oddech. Oni są absolutnie nieprzewidywalni. Biznes nie znosi nieprzewidywalności.

- Może powinnaś zwrócić się do członków politbiura i poinformować ich, że Wietnam to biznes. Do diabła z tym marksistowskim głędzeniem.

- Wyczuwam w panu szczyptę antykapitalizmu, panie Brenner.

- Skądże znowu. Ale są w życiu ważniejsze rzeczy niż zarabianie pieniędzy.

- Wiem o tym. Nie jestem aż tak płytki. A powód, dla którego tu jestem, nie ma wiele wspólnego z pieniędzmi.

Nie spytałem, z czym ten powód ma coś wspólnego; trochę go już znałem, a co do reszty, to Susan pewnie sama nie była do końca pewna. Chociaż mógł mieć coś wspólnego z Harrym Czarusiem ze zdjęcia.

Panna Weber wróciła do tematu kadr.

- Pracuje też dla nas piętnaścioro Wietnamczyków, przeważnie kobiet, sekretarek. Płacimy im dwukrotność średniej pensji.

- I żadnemu z nich nie ufacie.

Susan zaciągnęła się papierosem i po chwili odpowiedziała:

- Są pod ogromną presją, żeby wynosić stąd różne rzeczy, które nie powinny być wynoszone. Pomagamy im, usuwając pokusy.

- Telefony są monitorowane, drzwi mogą otwierać wyłącznie okrągłooocy, sprzątanie wykonywane jest tylko w godzinach pracy pod nadzorem okrągłookich, a kamery wszystko rejestrują.

Susan popatrzyła na mnie przez chwilę.

- To prawda - przyznała. - Ale w tym biurze nie ma kamer ani pluskiew. Należę do kręgu wtajemniczonych. - Uśmiechnęła się. - Możesz mówić swobodnie.

- To miejsce może być przykrywką CIA - zauważyłem. Po czym dodałem żartobliwie: - AAIC czytane od tyłu to CIA.

- A co z drugim A?

- To właśnie przykrywka.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś pokręcony. - Pomieszała drinka. - W każdym razie Amerykanie, Europejczycy i Azjaci są tu tylko po to, żeby uczciwie zarabiać, a nie po to, żeby korumpować czy podżegać do przewrotu w tym kraju. Jeśli tak się dzieje, to z powodu ich pazerności, nie naszej.

- Tak napisano w waszym firmowym podręczniku?

- Jasne. Sama go napisałam.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem olbrzymie neony reklamowe nad całym Sajgonem. Gdyby ktoś mi powiedział trzydzieści lat temu, że będę siedział tak jak teraz w pluszowym biurze Amerykanki z dyplomem MBA z Harvardu, poradziłbym mu, żeby poszedł do psychiatry i poprosił o zwolnienie ze służby.

Z trudem mi to przyszło, ale musiałem przyznać, że dawny Sajgon bardziej mi się podobał; a na pewno bardziej mi się podobał młody Paul Brenner patrolujący ulice Sajgonu w mundurze żandarma, niż stary Paul Brenner zerkający przez ramię, czy nie skrada się za nim policja.

Susan przerwała mi te refleksje.

- Widzisz więc, dlaczego tu jestem. Patrzę na to z perspektywy kariery. Odpowiadam za czarowanie zagranicznych inwestorów, prywatnych i korporacyjnych. Masz jakieś pieniądze? Mogłabym je podwoić. - Mogłabyś je potroić, a i tak nic by się nie uzbierało. Macie placówkę w Hanoi?

- Mamy tam niewielkie biuro. Trzeba być tam, gdzie jest władza polityczna. Mamy też biuro w Da Nang. Amerykanie zostawili tam doskonały port, lotnisko i mnóstwo innej infrastruktury.

- W sześćdziesiątym ósmym opuszczałem Wietnam właśnie przez Da Nang.

- Naprawdę? Pojedziesz tam?

- Może.

- Byłeś na China Beach?

- Nie. Spieszno mi było do Bostonu.

- Jasne. Jeśli pojedziesz do Da Nang, tym razem nie omijaj China Beach.

- Nie ominę. Więc co z tym Wietnamczykiem w narożnym biurze?

- Zgadnij.

- Jest synem ważnego dygnitarza rządowego i przychodzi tylko w środy w porze lunchu.

- Blisko. Ale on naprawdę ma kontakty. Wszystko w tym kraju musi się odbywać na zasadzie joint venture, co oznacza wykupywanie części firmy, którą władze skonfiskowały w siedemdziesiątym piątym roku prawowitym właścicielom, albo rozpoczynanie nowego przedsięwzięcia i oddawanie rządowi części tortu. To jest bardziej skomplikowane, lecz nic się nie może tu stać bez jakiegoś udziału władz.

- I to się opłaca?

- Może się opłacać. Mnóstwo naturalnych bogactw, pracowita, nisko opłacana ludność, w większości umiejąca pisać i czytać dzięki czerwonym. Porty są znakomite... Hajfong, Da Nang, Cam Ranh Bay i Sajgon... ale reszta infrastruktury to katastrofa. Amerykańscy wojskowi zbudowali trochę dobrych rzeczy w czasie wojny, ale tam, gdzie toczyły się walki, mosty, drogi, linie kolejowe i wszystko inne wyleciało w powietrze.

- To tak jak gra w monopol, z tym że każdy ma młot.

Susan nie odpowiedziała, ale widać było, że jest bardzo zniecierpliwiona moim sarkazmem.

Zastanowiłem się nad tym wszystkim, nad firmą Wietnam Incorporated. Z mojej wiedzy wynikało, że jest to jedyny kraj w Azji, w którym Amerykanie mają przewagę w biznesie nad wszystkimi innymi, łącznie z Japończykami, za którymi Wietnamczycy nie przepadają. Sowieci, którzy byli tutaj po siedemdziesiątym piątym roku, spartaczyli robotę, czerwoni Chińczycy nie byli mile widziani, Europejczycy, z wyjątkiem Francuzów, wykazywali obojętność, a inne wschodnioazjatyckie kraje były darzone nieufnością bądź nie lubiane.

Wiec dzięki jakiemuś ironicznemu obrotowi sprawy, z powodów częściowo historycznych i nostalgicznych, a w dużej mierze finansowych i technicznych, Amerykanie wrócili. Panna Weber i jej ziomkowie, uzbrojeni w dyplomy MBA, tytuły inżynierów i listy polecające, z wielkim animuszem uwijali się po Sajgonie na skuterach, zamiast toreb z wybuchowym plastikiem wożąc worki pieniędzy. Miecze przekute na udziały. I co to miało wspólnego ze mną? Może nic. A może wszystko.

- Coś cię trapi? - spytała Susan.

- Nie, tylko przetwarzam informacje. Dużo tego jest.

- Gdybyś tu nigdy nie był, to wszystko nie wydawałoby ci się takie dziwne - zauważyła.

- Słusznie.

Spojrzała na mnie.

- Wygraliśmy wojnę.

Nie zamierzałem na to odpowiadać, ale po chwili odrzekłem.

- Pięćdziesiąt osiem tysięcy poległych usłyszałoby o tym z przyjemnością.

Siedzieliśmy w milczeniu, a ja myślałem o AAIC. Wszystko wyglądało tu na legalne, to, co mówiła Susan, nie brzmiało podejrzenie, ale... Nie przysypiaj pan, panie Brenner. Bambusowe kije stukają w moim mózgu, a łodygi roślin kołysały się, mimo że nie było wiatru. Zerknąłem na zegarek. Było dziesięć po ósmej.

- Czas wysłać faks - powiedziałem.

- Skończymy drinki i zrelaksujemy się. Tamci nigdzie się nie wybierają.

Można by pomyśleć, że pannie Weber mój los jest obojętny, lecz miała rację; oni nigdzie się nie wybierali.

- Gdzie jest twoje mieszkanie? - spytałem.

- Przy ulicy Dong Khoi. Na południe od Notre Dame, niedaleko Reksa.

- Nie sądzę, żebym znał tę ulicę.

- Na pewno ją znasz. Nazywała się kiedyś Tu Do i była sercem czerwonej dzielnicy. - Uśmiechnęła się. - Pewnie widziałeś ją raz czy dwa.

A jakże, widziałem tę ulicę. Moja przyjaciółka Wietnamka mieszkała w niewielkim ślepym zaułku tuż przy Tu Do. Nie przypomniałbym sobie jej imienia, nawet pod groźbą śmierci, choć, podobnie jak wiele wietnamskim dam, przyjęła anglosaskie imię. Wiedziałem, że nie brzmiało ono Peggy, Patty czy Jenny, bo bym je zapamiętał. W każdym razie pamiętałem, jak wyglądała, i pamiętałem spędzone razem chwile, więc nie byłem jeszcze starcem.

- Przypominasz sobie ulicę Tu Do?

- Rzeczywiście, byłem tam parę razy. Z powodów zawodowych. W siedemdziesiątym drugim roku służyłem w żandarmerii.

- Naprawdę? A za pierwszym razem? W sześćdziesiątym ósmym, tak?

- Tak. Byłem kucharzem.

- O... A ja myślałam, że robiłeś coś niebezpiecznego.

- Tak. Gotowałem. - Po chwili spytałem: - Więc mieszkasz w czerwonej dzielnicy?

- Nie, teraz jest tam całkiem przyjemnie. Ten facet, od którego wynajmuję mieszkanie, mówił, że kiedyś, za Francuzów, ulica nazywała się Rue Catinet. Była wtedy szalenie modna, ale bardzo złowroga, roiło się tam od szpiegów, podwójnych agentów, podejrzanych bistr, drogich kurtyzan i prywatnych palarni opium. W czasach Amerykanów ulica zeszła na psy, a potem komuniści ją oczyścili i nazwali Dong Khoi... ulicą Powszechnego Powstania. Uwielbiam te ich kretyńskie nazwy.

- Ja głosuję za Rue Catinet.

- Ja też. W dalszym ciągu można ją tak nazywać... albo Tu Do... i większość ludzi będzie wiedziała, o czym mówisz. Moje mieszkanie zostało zbudowane przez Francuzów... wysokie sufity, okna z okiennicami, duże wiatraki pod sufitami i piękne gipsowe stiuki, które się kruszą, bez klimatyzacji. Jest naprawdę urocze. Pokażę ci, jeśli będziesz miał czas.

- Skoro mówimy o czasie...

- No dobra. - Wstała. - Do dzieła.

Susan podeszła do faksu we wnęce, a ja za nią. Napisała coś na firmowym papierze i podała mi arkusz. Napis brzmiał: „Weber - 64301”. Po czym poinformowała mnie:

- Że nie jesteś pod niczyją kontrolą. - To mój kod, więc będą wiedzieć, że to ja i że nie jestem...

- Właśnie. Jeśli liczba zawiera dziewiątkę, znaczy to, że jestem w trudnej sytuacji. Czy jestem w trudnej sytuacji?

- Bez komentarza. Teraz mam się podpisać, tak?

- Tak. Myślę, że ktoś tam zna twój podpis.

- Chyba tak. - Podała mi ołówek i podpisałem się na kartce.

- To ekscytujące - powiedziała Susan.

- Ty jesteś bardzo podekscytowana.

Susan włożyła papier do faksu; widziałem, że wybiera numer kodowy północnej Wirginii, 703, a potem inny, którego nie rozpoznałem. Faks zadzwonił, po chwili zaczął szumieć. Nieźle. Za pierwszym razem Faks przeszedł.

- To wymaga drinka - rzuciła.

Podeszła do szafki i przygotowała dwa świeże drinki. Gdy wracała, zadzwonił faks. Susan podała mi drinka, potem wzięła wydruk wysłanej wiadomości i włożyła do niszczarki.

Zdjąłem z tacki zwrotny faks. Rozpoznałem charakter pisma.

Tekst brzmiał: *Cześć, Paul - martwiliśmy się z twojego powodu od kwadransa. Miło, że się odezwałeś. Mamy nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Możemy kontynuować rozmowę pocztą e-mailową. Panna W. ma instrukcje. Pozdrawiam, K.*

Patrzyłem na wiadomość, słowa z innej galaktyki, jak gdyby kosmici nawiązali ze mną kontakt... albo Pan Bóg. Ale to był tylko Karl; wszędzie bym rozpoznał jego charakter pisma, zwarty jak zaciśnięta odbytnica.

Susan już siedziała przy biurku i wchodziła do sieci. Wsunąłem wiadomość od Karla do niszczarki.

Wyszedłem z wnęki i przysunąłem krzesło na kółkach do Susan.

- Dobra, nawiązaliśmy kontakt - oznajmiła. - On prosi, żebyś odezwał się pierwszy. Co chcesz powiedzieć?

- Powiedz mu, że mam wyznaczone spotkanie w kwaterze policji imigracyjnej - cel nieznany.

Wystukała wiadomość na klawiaturze i wysłała, a potem odebrała odpowiedź, która brzmiała: *Czy wciąż mają twój paszport?*

- Tak, i wzię też. - Susan napisała i wysłała. - Wpuść mnie tam - powiedziałem. - Będziesz musiała odsunąć się od ekranu.

Zerknęła na mnie, wstała, wzięła drinka i usiadła na krześle naprzeciwko biurka.

Karl odpowiedział: *Powiedz, co się stało na lotnisku.*

Pociągnąłem łyk szkockiej i zacząłem pisać, relacjonując zwięźle przebieg spotkania. Napisanie wszystkiego zabrało mi dziesięć minut; zakończyłem tak: *Sądzę, że było to przypadkowe zatrzymanie i przesłuchanie. Ale być może zdemaskowało misję. Twój ruch.*

Na odpowiedź przyszło mi poczekać jakiś czas i mogłem sobie wyobrazić Karla w biurze z kilkoma ludźmi: może z Conwayem, jakimiś typami z FBI i CID, i jeszcze innymi, co do których mogłem tylko snuć domysły.

Odpowiedź była krótsza niż rozmowa w Wirginii, która do niej doprowadziła. Brzmiała: *Twój ruch, Paul.*

Zastukałem palcami w biurko i pociągnąłem kolejny łyk szkockiej. Nie chciałem, żeby upłynęło za dużo czasu, bo sugerowałoby to, że się waham. Tak czy nie? Proste. *Ruch być może natęży do*

pułkownika Manga, napisałem. Uzmysłowiłem sobie, że brzmi to trochę jak unik, więc dodałem: *Jeśli dostanę paszport z powrotem, będę kontynuował misję*. Wysłałem.

Wiadomość nadeszła szybko: *Dobrze. Jeśli cię wydalą, będziemy wiedzieli, że zrobiłeś, co w twojej mocy*.

Jest jeszcze trzecia możliwość, odparłem.

Zastanowili się nad tym w Wirginii, a potem Karl odpowiedział: *Postaraj się, żeby panna Weber mogła wiedzieć, czy cię zatrzymali. Ustal z nią czas spotkania lub rozmowy telefonicznej i powiedz jej, żeby nawiązała z nami łączność, jeśli nie skontaktujesz się z nią w wyznaczonym miejscu i czasie*.

Wiem, jak zasygnalizować, że nie stawiałem się na umówione spotkanie. Dzięki, powiadomiłem.

Karl, jak to on, nie dał się złapać na przynętę i zapytał: *Czy panna Weber jest pod obserwacją? Czy widziano ją z tobą gdzieś jeszcze oprócz restauracji na dachu Reksa?*

Zerknąłem na Susan.

- Chcą wiedzieć, czy myślisz, że jesteś pod obserwacją. - Skąd mam wiedzieć? Nie sądzę. W tym miesiącu chyba nie przypada moja kolej.

Napisałem: *Sądzi, że nie jest*. Ponieważ jestem profesjonalistą i nie lekceważę niewygodnych części wielocząłowych pytań, dodałem: *Spędziliśmy dzień na zwiedzaniu. Sajgon, Cu Chi*.

Jakbym słyszał głos Karla: *Co? Co zrobiliście? Czyś ty oszalał?*

W rzeczywistości napisał: *Mam nadzieję, że miałeś przyjemny dzień*. Ale ja znam Karla. Był wkurzony.

Nie lubię się tłumaczyć, lecz wyjaśniłem mu: *To była dobra przykrywka i okazja dla mnie, żeby skorzystać z jej wiedzy o interiorze*. I dodałem: *Tym razem nie mam ze sobą mojego plutonu*.

Odpowiedź Karla była lakoniczna: *Przyjąłem*.

Nie było nic więcej do powiedzenia na ten temat, więc napisałem: *Chłopak panny Weber skontaktował się bądź skontaktuje z konsulatem w moim imieniu*.

Karl odpisał: *Już to zrobiliśmy, naturalnie. Czy ty tam tworzysz siatkę szpiegowską?*

O rety. Zaczynaliśmy sobie trochę docinać. W rozmowie nawet bym na to nie odpowiedział, ale w e-mailu trzeba było, więc wystukałem: :).

Karl, który najwyraźniej był w towarzystwie i w nastroju do żartów, odpowiedział: :(.

- Czy na tej klawiaturze można wystukać palec, wiesz który? - spytałem.

Susan się roześmiała.

- Zależli ci za skórę?

- Robią, co mogą. Przecież chodzi o mój tyłek, a oni się ze mnie nabijają. - Wystukałem: *Czy macie dla mnie dalsze informacje dotyczące misji?*

Karl odpisał: *Nie tym razem*.

Spytałem dokładniej: *Czy zlokalizowaliście już tę cholerną wiochę?*

Hen Hellmann odpowiedział: *To nieistotne, jeśli nie będziesz mógł swobodnie podróżować, a nie powinieneś znać tej Informacji przed spotkaniem z pułkownikiem Mangiem. Damy ci znać, kiedy - albo jeśli - dotrzesz do Hue.*

Zastanowiłem się nad tym i doszedłem do wniosku, że zlokalizowali wioskę albo przez cały czas znali jej położenie. Poza tym wioska wcale nie nazywała się Tam Ki. Zmienili nazwę w liście, rzecz jasna, tak że gdyby ktoś ścisnął mnie tu za jaja i gdybym się wygadał, nie podałem prawdziwego celu mojej podróży. W istocie wioska Tam Ki mogła nie istnieć. Prawie przekonany o słuszności mojego wniosku, spytałem Susan:

- Czy Tam Ki znaczy coś po wietnamsku?

- Przeliteruj. Przeliterowałem.

- Cały język oparty jest na znakach akcentowych, dwugłoskach i tym podobnych cudach - powiedziała Susan. - Chwała Francuzom, którzy dali im łaciński alfabet. Jeśli nie wypowiesz poprawnie albo nie będziesz znał znaków akcentowych, nie dam rady tego przetłumaczyć.

- Czy to może być wioska? Nazwa jakiejś miejscowości?

- Może być, ale na przykład T-A-M może znaczyć kąpać się albo serce, w zależności od wymowy, która jest oparta na znakach akcentowych. *Tam cai* to wykałaczką, *tam loi* to bąbel powietrzny. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak... A K-I?

- K-I to zwykle przedrostek... *ki-cop* znaczy skąpy, *ki-cang* znaczy ostrożnie, *ki-keo* to tanio kupić lub narzekać.

- Czy to może być zmyślona nazwa?

- Możliwe. Nie brzmi jak nazwa miejscowości.

Zerknąłem na ekran i zobaczyłem: *Przyjmuję*. Odpowiedziałem w wojskowym stylu: *Potwierdzam*, które to słowo ma różne odcienie znaczeniowe w zależności od tego, kto z kim rozmawia i jak przebiega rozmowa. W tym wypadku znaczyło *Mhm*. I dodałem, żeby się dowiedzieć, co Kari chciał powiedzieć: *Czy chcecie, żebym ustalił położenie wioski?*

Odpowiedź była natychmiastowa: *Wykluczone. Nie pytaj i nie patrz na mapy. Są niedokładne. I wiele wiosek nosi te same nazwy. Nawiążemy z tobą kontakt, kiedy dotrzesz do Hue.*

Odparłem: *Zrozumiałem. Jak wam idzie z nazwiskami podejrzanych i nazwiskiem ofiary?*

Karl odpisał: *Zawężamy listę*. I dodał: *Jeśli będzie ci wolno, dokąd jutro pojedziesz?*

Zawężam listę, odpowiedziałem.

Pułkownik Mang chce znać plan twojej podróży i my też, poinformował mnie Karl. Spojrzałem na Susan.

- Gdzie można stąd jutro pojechać, żeby przeczekać parę dni? - spytałem.

- Paryż?

- Może gdzieś bliżej Sajgonu? Jakies miejsce, do którego jeżdżą cudzoziemcy.

- Hm, Dalat, francuski kurort górski. Linia kolejowa wysadzona, ale można tam dojechać samochodem lub autobusem.

- Jakież inne możliwości?

- Jest jeszcze stary francuski kurort nadmorski Vung Tau.

- Więc mogę wybierać między górami a morzem. Gdzie leży Vung Tau?

- Nieco na południe stąd. Mogę cię zabrać motorem. Jeżdżę tam w weekendy.

- Muszę jechać na północ.

- Może zadzwonisz do swojego biura podróży?

- Daj spokój. Pomóż mi.

- Nie chciałeś mojej pomocy.

- Przepraszam.

- Poproś.

- Proszę. - Nie mogłem uwierzyć, że wpakowałem się w tę sytuację: ściga mnie wietnamski odpowiednik porucznika Colombo, ja muszę przeproszać nadaną smarkulę z wyższej klasy średniej, a Karl wciska mi szajs przez Internet. Gdzie mój M-16, kiedy go potrzebuję?

Uspokoilem się.

- A może Nha Trang?

Skinęła głową.

- Nieźle. Nie za daleko, ładna plaża i dużo miejsc, gdzie można się zatrzymać. Znasz tę miejscowość?

- Taak. Spędziłem tam nawet trzydniowy urlop rekreacyjno-regeneracyjny w sześćdziesiątym ósmym roku. - Po chwili spytałem: - Są tam jacyś zachodni turyści?

- Przeważnie. Wciąż jest dość ciepło, żeby pływać. Nie będziesz się wyróżniał, jeśli o to ci chodzi.

- O to mi właśnie chodzi.

Chodziło mi też o to, żebym nie wylądował w jakiejś zapomnianej przez Boga dziurze, gdzie gliny mogłyby mnie zgarnąć bez świadków mojej narodowości. Ale to było negatywne myślenie. Wizualizacja sukcesu, to jest najważniejsze.

- Mogę się tam łatwo dostać? - spytałem.

- Ja mogę cię tam zawieźć i mogę ci znaleźć kwaterę. Pieniądze przemawiają, a ja znam dobre biuro podróży, które robi interesy z moją firmą.

- Dobra. Nha Trang. Dzięki. Zacząłem pisać.

- Przekaż im, że jadę z tobą - powiedziała Susan.

- Mhm. Dobra.

Napisałem: *Cel podróży: Nha Trang - jeśli transport i kwatera będą dostępne. Jeżeli to się*

zmieni, panna Weber da wam znać ASAP .

spotkania w Hue. Im mniej ruchu, tym lepiej. Podaj pannie W. swój adres w Nha Trang albo Zrozumiałem. Sugeruję, żebyś został w Nha Trang albo innej miejscowości do czasu gdzie indziej, kiedy dojedziesz. Poinstruuuj ją, żeby przekazała go konsulatowi, odpowiedział Karl.

- Poinformowałeś ich? - spytała Susan.

- Tak. Kategoriecznie się nie zgodzili.

- Nie poprosiłeś. Powiedz, że potrzebujesz przewodnika i tłumacza.

Napisałem: Będę się starał trzymać planu podróży, który dam Mangowi, do chwili gdy wyruszę z Hue do Tam Ki. Mogą wyłonić się pewne problemy, kiedy się zjawię w Hanoi.

Jeśli wciąż będziesz miał problemy z policją, gdy dotrzesz do Hanoi, skontaktuj się z panem Eaganem w ambasadzie. Ale nie chodź do ambasady, jeśli nie wydamy ci polecenia. Potwierdź, głosiła instrukcja Karla.

Potwierdzam. Wyobraziłem sobie życie przez pięć lat w ambasadzie, dopóki Departament Stanu nie wynegocjuje mojego bezpiecznego wyjazdu z Republiki Socjalistycznej. Przechlapane.

Spytałem: Czy mam się skontaktować z wami z Hue - bezpośrednio czy przez pannę W.?

Odpowiedź: Wykluczone. Jeśli nie zameldujesz się w wyznaczonym hotelu w Hue, będziemy wiedzieli i założymy, że powstał problem. Jeśli się zameldujesz, dostaniesz instrukcje dotyczące dalszych kontaktów.

Od kogo dostanę instrukcje?

Karl odparł: Nawijemy z tobą kontakt.

Napisałem: Coś jeszcze na temat mojego łącznika w Hue?

Odpowiedź: Nie. Rozumiesz wszystko w sprawie czasu i miejsc schadzek?

Potwierdzam. 32 pionowo. Hasło brzmiało rožen.

Karl odpisał: Hasło nie miało nic do rzeczy. Rozumiesz instrukcje?

Odparłem: Rozumiem. :). I dodałem: Hej, widziałem tunele w Cu Chi, drogę 13, plantację Michelina. Świetny teren dla czołgów. Dobrze się bawiłeś?

Karl odpowiedział: :(.

Napisałem: Powinniśmy przyjechać tu razem.

Odpowiedź: Pomyślę o tym. Pamiętaj, musimy wiedzieć, co się jutro stanie u Manga. Jesteś przekonany, że panna Weber rozumie, co ma zrobić?

Jest bardzo pojętna, zaradna i silnie umotywowana. Daj jej podwyżkę.

Nie mam nic więcej do powiedzenia. A ty?

Taak. O co tu, do cholery, chodzi? Ale napisałem: Cynthia? Honolulu?

Czekałem na odpowiedź, która długo nie nadchodziła. Wreszcie pojawiła się na ekranie: Nie mieliśmy z nią kontaktu. Lecz trasa twojej podróży jest ustalona - z Bangkoku do Honolulu, a potem na Maui.

Skontaktujcie się z nią.

Ona pracuje. Ale jeśli zechce się z tobą spotkać w Honolulu, armia szybko przyzna jej urlop i dostarczy ją na Hawaje, napisał Karl. Potem dodał jeszcze: Skup się na misji.

Daj mi znać przed wyjazdem do Hanoi, odparłem.

Najpóźniej przed Bangkokiem, poinformował mnie Karl.

Odpowiedziałem: *Potwierdzam.*

Karl napisał mi przedwczesną kartkę walentynkową: *Powodzenia, Paul. Z Bogiem, wracaj bezpiecznie do domu.*

Siedziałem dłuższą chwilę przed klawiaturą, wiedząc, że długo mogę nie dostać następnej wiadomości z domu. Znałem to uczucie z ostatnich dwóch pobytów w Wietnamie,

kiedy rozmawiałem z rodzicami przez specjalny radiotelefon, którego żołnierze mogli używać mniej więcej dwa razy w roku. Napisałem: *Cieszę się, że przyjechałem. Jestem przekonany, że mi się uda i wrócę do domu na czas. Pozdrowienia dla Cynthii.*

Przyjąłem. Coś jeszcze?, brzmiała odpowiedź.

Nie.

Kończę.

Wylogowałem się, skasowałem wszystko i chwilę siedziałem; potem wstałem i podszedłem do szafki. Nalałem sobie szkocką bez wody sodowej.

- Wszystko w porządku? - spytała Susan.

- Tak.

Susan wstała, stanęła koło mnie i wlała sobie do szklanki wody sodowej z chininą.

- Domyślam się, że nie chcą, żebyś wracał od razu do domu.

- Właściwie zostawili decyzję mnie.

- A ty postanowiłeś ciągnąć to?

- Czemu nie? Chyba że Mang ma inne plany.

Pomyślała przez chwilę.

- Jeśli nie będziesz mógł jutro jechać... Jeśli cię zatrzymają na parę dni, mogę odbyć za ciebie podróż służbową. Spotkać się z kimś... czy coś w tym rodzaju.

Spojrzałem na nią i uśmiechnąłem się.

- Dziękuję. To bardzo miła propozycja, ale sytuacja jest o wiele bardziej złożona. Dobra, więc jak dojadę do Nha Trang?

- Wyślę wiadomość do biura podróży i zobaczę, co da się zrobić. - Usiadła przy biurku. - Chcesz, żebym zarezerwowała ci pokój, czy wolisz improwizować?

- Muszę podać Mangowi adres.

- Niekoniecznie. Każde większe miasto ma posterunek policji imigracyjnej. W zasadzie zajmują się

obserwacją obcokrajowców. Więc jeśli powiesz Mangowi, że nie masz adresu w Nha Trang, każe ci się stawić na posterunku policji imigracyjnej albo po przybyciu, albo po znalezieniu sobie kwatery.

Zastanowiłem się.

- Znajdę sobie miejsce, kiedy tam dojadę - stwierdziłem. Po sekundzie dodałem: - Spróbuję odnaleźć hotel wypoczynkowy, który armia przejęła w czasie wojny. To powinna być podróż nostalgiczna.

- Tak, powinna. Jak się nazywał ten hotel?

- Nie pamiętam. Stary francuski budynek. Ale rozpoznam go. W każdym razie wyślę do ciebie faks, jak się tylko gdzieś zamelduję. Jeśli nie skontaktuję się z tobą w ciągu dwudziestu czterech godzin po wyjeździe z Sajgonu, połącz się z moją firmą.

- Jestem tu, żeby pomóc. - Susan skierowała wzrok na ekran komputera i zaczęła pisać. - Pytam agentkę biura podróży o pociąg lub rezerwację miejsca w minibusie na jutro do Nha Trang. Samoloty są zarezerwowane od miesięcy. Proponuję dwukrotną opłatę za bilet, który i tak jest cztery razy droższy dla obcokrajowców. Zgoda?

- To nie moje pieniądze.

- Dobrze. - Napisała coś, po czym powiedziała: - Pytam ją też o prywatny samochód. Do Nha Trang można również dostać się wodolotem, lecz jestem pewna, że wszystkie miejsca są zarezerwowane. Ale dowieziemy cię do Nha Trang, nawet gdybym miała cię wsadzić do autobusu, który jest katownią na kółkach. Zobaczysz, dlaczego tak się je nazywa, jeśli wsiądziesz.

- Prywatny samochód... to brzmi nieźle. Pieniądze nie grają roli. Czy ta agentka skontaktuje się z tobą ASAP?

- Jest w biurze od ósmej - w Sajgonie wcześniej zaczyna się pracę. Mniej więcej o tej porze będziesz się widział z pułkownikiem Mangiem. Spotkam się z tobą w holu Reksa.

Będziemy wiedzieli, czy jedziesz do Nha Trang, czy na lotnisko i do domu. - Po chwili dodała: - A jeśli nie zjawisz się w Reksie... powiedzmy o dziewiątej, będę wiedziała, z kim się skontaktować.

- Czy masz coś przeciwko temu, żebym to ja wydawał instrukcje? Susan podniosła głowę nad klawiatury.

- Panie Brenner, to nie jest wyższa matematyka, a ja szybko się uczę. Wzięłam na siebie odpowiedzialność za wydostanie cię z Sajgonu albo zawiadomienie o twoim zatrzymaniu lub wydaleniu z kraju. Zróbmy to po mojemu.

O rety, panna Weber naprawdę była inną kobietą w swoim biurze. A może trochę się na mnie najeżyła, bo nie chciałem, żeby ze mną pojechała.

Wystukała coś jeszcze.

- Wysyłam teraz wiadomość do mojego szefa Jacka Swansona. Powiadamiam go, że nie będzie mnie jutro aż do popołudnia.

Miałem wrażenie, że coś dużo pisze, jak na takie krótkie informacje.

Panna Weber wyłączyła komputer, wstała i dokończyła drinka.

- Pozwól mi zaprosić cię na kolację - oznajmiła.

- To bardzo miło z twojej strony. Ale ja naprawdę mam to wliczone w koszt wydatków, z których się rozliczam.

- Ja też. I zamierzam ci powiedzieć, dlaczego powinieneś zainwestować w Wietnamie. Jest to kraj z największym potencjałem wzrostu gospodarczego na całym wybrzeżu Pacyfiku.

- Dość już zainwestowałem w Wietnam - odparłem. Susan nie skomentowała tego, podeszła do drzwi i położyła dłoń na wyłączniku światła.

- Gotów?

- Wydrukuj rejestr faksu i zniszcz go.

- O... Prawdziwy z ciebie profesjonalista. - Podeszła do wnęki, wydrukowała rejestr wysyłanych faksów i przepuściła przez niszczarkę.

Podniosłem aparat i naświetloną rolkę filmu.

- Schowaj to do sejf.

Wystukała jakąś liczbę na klawiaturze sejfu; podałem jej film i aparat, a Susan schowała je i zamknęła drzwi.

Wyszliśmy z biura. Susan pokazała mi kilka pomieszczeń należących do firmy.

Zaprowadziła mnie do biblioteki, sali konferencyjnej i jadalni, która wyglądała jak francuska kafejka.

- Przyzwoicie się tu traktujemy - powiedziała. - Jest tanio i dobrze dla zdrowia psychicznego. A tutaj mamy salę gimnastyczną. - Weszliśmy do pomieszczenia z kilkoma przyrządami. Przez otwarte drzwi zauważyłem salę masażu.

Myślałem, że każde z nas umyje się u siebie, lecz Susan wskazała drzwi z napisem „Mężczyźni”.

- Tam znajdziesz wszystko, czego będziesz potrzebował - oznajmiła. - Ja będę pod prysznicem dla kobiet.

- Jeśli będę czegoś potrzebował.

- Zachowuj się. Do zobaczenia w sali gimnastycznej.

Rozebrałem się w męskiej szatni i wszedłem do dużej kabiny prysznicowej. Włączyłem wodę, nabrałem garść mydła z dozownika i zmyłem z siebie brud ostatnich dwunastu godzin.

Niektórzy mężczyźni śpiewają pod prysznicem; ja myślę. A myślałem o tym, że nikt i nic w Sajgonie i w Waszyngtonie nie jest tym, kim lub czym się wydaje.

Rozdział 14

Wszedłem do sali ćwiczeń, znalazłem piątkowy numer azjatyckiej edycji „Wall Street Journal”,

usiadłem na krześle i zacząłem czytać. W pustym biurówcu było cicho i spoza drzwi damskiej szatni słyszałem stłumiony głos; byłem prawie pewien, że to Susan dzwoni do Billa, tak jak obiecała.

Mniej więcej dziesięć minut później wyszła z szatni ubrana w długą żółtą suknię bez rękawów, z małą skórzaną torebką zarzuconą na ramię. Zmyła z twarzy kurz i widać było jej opaleniznę. Włosy, starannie przedzielone pośrodku, opadały na ramiona. Makijażu dopełniała delikatna, lśniąca pomadka do ust. - Ślicznie wyglądasz - powiedziałem, wstając.

Nie odpowiedziała na rzadki w moich ustach komplement; odniosłem wrażenie, że miała drobną sprzeczkę z Billem.

- Może powinienem wrócić do hotelu i się przebrać - zauważyłem.

- Nic ci nie brakuje.

Weszliśmy do recepcji. Przyjechała winda i zjechaliśmy do holu.

- Dość się już dzisiaj najeździłam - oznajmiła Susan. - Weźmiemy riksze.

Wyszła z budynku na chodnik, a ja za nią. Nie minęło dziesięć sekund, gdy opadła nas chmara rikszy.

Obserwowałem rikszarzy, z którymi targowała się Susan. Byli biednie ubrani, chudzi i niemłodzi. Jeden facet, który tu był wcześniej, powiedział mi, że większość z nich to byli żołnierze armii Wietnamu Południowego i że praca rikszarza to jedno z niewielu zajęć dostępnych dla nich, jako byłych wrogów państwa.

Susan dobiła targu z dwoma rikszarzami, wskoczyliśmy, każde do swojej rikszy, i ruszyliśmy ulicą Dien Bien Phu.

- Musiałam zapłacić za ciebie podwójną stawkę z powodu twojej wagi - zawołała Susan.

Zerknąłem na nią i zobaczyłem, że nie żartuje.

- Masz szczęście, że nie liczą od ilorazu inteligencji.

- Jechałbyś za darmo.

Dien Bien Phu to szeroka aleja, z mnóstwem samochodów, skuterów, rowerów i rikszy, więc można się czuć trochę niepewnie, jadąc otwartym pojazdem z kierującym z tyłu, kiedy samochody i skutery śmigają w jedną i drugą stronę.

Miasto tętniło życiem w niedzielną noc; trąbiły klaksony, ryczały wielkie radiomagnetofony, a piosi przechodzili przez jezdnię pośrodku przecznic, nie zważając na czerwone światła.

Susan wskazała po drodze kilka obiektów.

- Nazwa tej ulicy pochodzi od ostatniej bitwy między Francuzami i Viet Minhem... protoplastą Wietkongu - wyjaśniła. - Viet Minh zwyciężył.

- Ten, kto wygrywa, nadaje nazwy ulicom.

- Słusznie. Za dziesięć lat ta aleja będzie się nazywać Bulwarem Międzynarodowych Koncernów.

Susan wyjęła paczkę papierosów i poczęstowała kierowcę, a potem obie riksze się zbliżyły, żeby mogła podać paczkę mojemu kierowcy.

- Ten facet chce wiedzieć, czy jesteś weteranem - powiedziała.

Zawahałem się.

- Powiedz mi, Pierwsza Dywizja Kawalerii, Quang Tri, sześćdziesiąty ósmy rok.

Przekazała moje słowa i obaj kierowcy coś jej odpowiedzieli.

- Oni też są weteranami - powtórzyła Susan. - Mój kierowca był pilotem myśliwca, a twój kapitanem piechoty. Mówią, że miło cię znów widzieć.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Zerknąłem na jej kierowcę i pokazałem palcami V. Odpowiedział tym samym znakiem, uśmiechnął się nieznacznie i zapatrzył znów przed siebie.

Jechaliśmy przez centrum Sajgonu, a Susan wskazywała co ciekawsze obiekty, lecz przeważnie obserwowaliśmy uliczny show. - Widzisz te bloki? - spytała. - Zostały zbudowane przez Amerykanów w latach sześćdziesiątych dla CIA i personelu ambasady. Teraz mieszkają w nich dygnitarze partii komunistycznej.

Budynki były z ponurego, szarego betonu, bez balkonów, i wyglądały jak zakład karny.

- Dobrze im tak - stwierdziłem.

Minęliśmy Notre Dame i zauważyłem, że niewielki plac zappełnił się ludźmi. Policjanci w mundurach gdzieś się ulotnili, więc uznałem, że po zmroku tajniacy przejmują ich obowiązki. A mimo to Sajgon z pozoru nie wyglądał jak miasto w państwie policyjnym. Właściwie można było odnieść wrażenie, że każdy robi coś, żeby złamać takie czy inne prawo - picie w miejscach publicznych, prostytucja, spanie na chodnikach, przebieganie przez ulicę na czerwonym świetle i poza przejściami i pewnie jeszcze wiele innych rzeczy, których nie mogłem zobaczyć.

Z jednej strony Wietnamczycy z południa byli obywatelami drugiej kategorii we własnym kraju, traktowanymi jak okupowany naród przez kadry komunistycznych patałachów z północy i wykorzystywanymi przez azjatyckich i amerykańskich kapitalistów. Ale z drugiej strony wydawali się szczęśliwsi i wolniejsi niż komuniści, tacy jak pułkownik Mang, czy kapitaliści, tacy jak Susan Weber.

Dotarliśmy do północnego krańca ulicy Dong Khoi. Było tak, jakbyśmy znaleźli się na Times Square czy Piccadilly Circus. Jasno oświetlona ulica zatłoczona była pieszymi, riksami, rowerami i skuterami kierującymi się na południe w stronę rzeki.

Fasady starych budynków w stylu francuskim niemalże zniknęły pod neonami i szyldami lokali, takich jak: Good Morning Vietnam, Ice Blue czy Cyclo Bar. Było też sporo ekskluzywnych francuskich i wschodnioazjatyckich restauracji tudzież kilka wspaniałych hoteli z innej epoki. Rozpoznałem hotel Continental, w którym mieszkali niegdyś korespondenci wojenni i wymyślali w barze sensacyjne doniesienia.

Metamorfoza z Rue Catinet w Tu Do i Dong Khoi nie była kompletna i wydawało się, że wszystkie trzy wersje tej samej ulicy współistnieją jako jedna. Pamiętałem Tu Do, widziałem budynki, które przypominałem sobie, lecz upłynęło za dużo czasu i wszystkie nazwy zostały zmienione.

- Czy istnieje jeszcze lokal o nazwie Bluebird? - zawołałem, przekrzykując zgiełk. - Albo Papillion?

Potrząsnęła głową.

- Nigdy o takich nie słyszałam - odparła. - Rozumiem, że komuniści wszystko pozamykali w siedemdziesiątym piątym roku - dodała po chwili.

- Ci goście nie są rozrywkowi.

- O nie. Dużo lokali zostało ponownie otwartych pod koniec lat osiemdziesiątych. Potem, w dziewięćdziesiątym trzecim roku, komuniści wkurzyli się na knajpy i bary karaoke, zrobili najazd na miasto i wszystko znowu pozamykali. Niektóre pozwolono z powrotem otworzyć, ale tylko pod

warunkiem, że będą nosiły wietnamskie nazwy i oczyszczą akta. Po trochu wszystko wróciło... większe, jaśniejsze i bardziej zwariowane niż kiedykolwiek, i z

Oni są nieprzewidywalni. Żadnego szacunku dla prywatnej własności i biznesu. zachodnimi nazwami. - Zastanowiła się. - Myślę, że tak już zostanie. Ale nigdy nie wiadomo.

- Ciebie też mogą wykopać - zauważyłem.

- Mogą.

- Gdzie byś pojechała?

- Mam taką książeczkę zatytułowaną Najgorsze miejsca na świecie. Coś bym wybrała - odparła ze śmiechem.

Chciałem zlokalizować zaułek prowadzący do mieszkania mojej dawnej przyjaciółki. Jechaliśmy do rzeki, więc był po lewej stronie, ale go nie widziałem. - Naprawdę mieszkasz przy tej ulicy? - spytałem.

- Naprawdę. Przez pięć wieczorów w tygodniu nie jest aż tak źle. A ja mieszkam na piątym piętrze, bliżej rzeki. Pokażę ci.

Tłum na ulicy stanowiła głównie młodzież - chłopcy i dziewczęta w koszulkach i džinsach; chłopcy zagadywali dziewczyny, dziewczyny przeważnie chodziły grupkami.

Widziałem koniec ulicy Dong Khoi i księżyc nad rzeką Sajgon w oddali.

- To dom, w którym mieszkam - zawołała Susan. Wskazywała dostojną kamienicę we francuskim stylu po lewej stronie, na ostatnim rogu przed rzeką. Na parterze mieściła się tajska restauracja, a pierwsze piętro zajmował stary hotel o nazwie Lotus, który kiedyś, jak poinformowała mnie Susan, nazywał się Miramar i który pamiętałem.

- Najwyższe piętro - poinformowała. - Narożne mieszkanie, z widokiem na rzekę.

Zabrzmiało to jak ogłoszenie w dziale nieruchomości w „Washington Post”. Spojrzałem tam i zauważyłem światło w oknie.

- Ktoś jest w domu - powiedziałem.

- Gospoia - odparła.

- Oczywiście. Masz słabość do narożnych lokali, co?

Riksze skręciły w ulicę wzdłuż rzeki; nad zalaną księżycowym światłem wodą wiała przyjemna bryza. Ta przyjemna bryza zalatywała Bóg wie czym, ale jeśli zatkało się nos, było pięknie. Zauważyłem, że brzeg po drugiej stronie jest kompletnie czarny, taki go zapamiętałem z ostatniego pobytu, i wydawało się, że nad rzeką nie ma ani jednego mostu.

- Tamten teren wciąż niezagospodarowany - stwierdziłem.

- Wiem. Są tam tysiące akrów farm kwiatowych... orchidei i innych egzotycznych roślin. Kiedy zasypiam, marzą mi się ekskluzywne działki i centra handlowe, potem się budzę, wyglądam przez okno i widzę same kwiaty... marnotrawstwo pierwszorzędných terenów budowlanych.

Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że mnie nabiera. Uśmiechnąłem się, żeby pokazać, że znam się na żartach.

Riksze przejechały krótką przecnicę, a potem skręciły na północ w ulicę Nguyen Hue, biegnącą aż do Reksa, równoległą do Dong Khoi. Była to szersza aleja i ona też roiła się od ludzi i pojazdów.

- To obieg zgodny z ruchem wskazówek zegara - wyjaśniła Susan. - Ulicą Dong Khoi, potem wzdłuż rzeki, aleją Nguyen Hue, później w prawo koło Reksa w Le Loi i znowu w prawo w Dong Khoi. Całonocna parada.

- Chcesz powiedzieć, że będę musiał tego słuchać w hotelu?

- Tylko do świtu. Potem cichnie aż do godzin szczytu, które zaczynają się dziesięć minut później.

- Czy to ty wybrałaś dla mnie hotel Rex?

- Tak. To niedaleko ode mnie, jak widzisz.

- Widzę.

- Lubię tę restaurację na dachu. Lubię wolne tańce. Skręciliśmy w prawo w Le Loi i jechaliśmy dalej na wschód.

- Młodzież nazywa tę okrężną procesję *chay long rong* - to znaczy szybkie życie.

- Do tej pory jechaliśmy tempem spacerowym.

- Ja nie tworzę języka... tylko tłumaczę. To tak jak ostra jazda, życie w biegu; to metafora, nie chodzi o fizyczną prędkość.

- Mam problemy z metaforami. Czas na kolację.

Susan powiedziała coś do rikszarza i pojechaliśmy dalej.

W ciągu pięciu minut riksze zajechały przed okazały budynek, który wyglądał jak stara francuska opera; Susan wyjaśniła, że teraz jest to teatr ludowy, cokolwiek miałyby to znaczyć. Do jednej ze ścian przykleiła się uliczna kafejka; przy stolikach siedzieli cudzoziemcy i kilkoro dobrze ubranych Wietnamczyków, kobiet i mężczyzn.

Zsiedliśmy z rikszy. Susan uparła się, żeby zapłacić rikszarzom - dolara dla tego, który wiozł ją, i dwa dla tego, który wiozł mnie. Okazała nietypową dla siebie hojność, ale jakoś mi to nie pasowało, dlatego dałem każdemu jeszcze po dolarze.

Chcieli mi uścisnąć dłoń, więc wszyscy to zrobiliśmy, a potem ten wiozący Susan - który w innych czasach latał myśliwcami - powiedział coś, a Susan przetłumaczyła.

- Mówi, że jego żona i dzieci otrzymały prawo wyjazdu do Ameryki cztery lata temu.

Ale jemu nie pozwolono, bo był oficerem w lotnictwie Wietnamu Południowego. Lecz w ramach tak zwanego Programu Planowych Wyjazdów, który Amerykanie wynegocjowali z Hanoi, ma nadzieję otrzymać pozwolenie w przyszłym roku.

- Powiedz, że życzę mu powodzenia.

Susan przetłumaczyła, mężczyzna coś odpowiedział.

- Dziękuję Ameryce za to - wyjaśniła Susan - że przyjęła jego rodzinę. Dobrze sobie radzą i przysyłają mu pieniądze. Mieszkają w Los Angeles.

- Hm... Mam nadzieję, że znaleźli sobie jakieś ładne miejsce do życia.

Mój kierowca, kapitan piechoty, nie miał nic do powiedzenia; odniosłem wrażenie, że już dawno stracił wszelką nadzieję.

Weszliśmy do ulicznej kafejki, która, jak głosił mały szyld, nazywała się Q-Bar. Lokal zdawał się zajmować kawałek budynku teatru i był bardzo minimalistyczny, podobny do jednej z tych modnych knajpek w Waszyngtonie, w których przesiadują yuppie.

W części wewnętrznej był bar i stały stoliki; graffiti na ścianach przypominały obrazy Caravaggia, lecz w dymie papierosowym trudno było cokolwiek rozróżnić.

Młoda wietnamska kelnerka w czarno-białym kostiumie przywitała Susan po angielsku:

- Dobry wieczór, panno Susan, a gdzie jest dzisiaj pan Bill?

Ucieszyłem się, że mam okazję zagadać po angielsku, więc odpowiedziałem:

- Pierze swój sweter z Princeton, ale wkrótce do nas dołączy.

- Aha... dobrze. Stolik dla trzech osób?

- Dla dwóch.

Susan nie odkręciła tego, co namotałem.

Kelnerka zaprowadziła nas do stolika przy barierce, oświetlonego lampką naftową. Susan zamówiła kalifornijskie chardonnay, a ja poprosiłem o dewar z wodą sodową; wyglądało na to, że nie stanowi to problemu. Dziewczyna odeszła, Susan zapaliła papierosa,

- Pierze swój sweter z Princeton - rzekła jakby do siebie.

- Słucham?

- Na nic lepszego cię nie stać?

- Nie miałem wiele czasu na przygotowanie. Jest późno.

Daliśmy temu spokój, a ja rozejrzałem się po gościach. Ich ubrania wskazywały, że ci ludzie zarabiają więcej niż dolca dziennie, a na ulicy zauważyłem parę luksusowych japońskich wozów - lexusów i infiniti, których za dnia nie widziałem.

Zjawiły się drinki. Podniosłbym szklankę w stronę gospodyni i powiedział coś miłego, ale miałem wrażenie, że jak na jeden dzień usłyszała już dość ode mnie.

- Chyba powinnam cię zabrać gdzie indziej - stwierdziła.

- W Sajgonie jest tyle knajp z dżinem, a ona zabiera mnie właśnie tutaj.

Uśmiechnęła się.

- A jak przyjdzie Bill? - spytałem.

- Nie przyjdzie. - Podniosła szklankę. Stuknęliśmy się i wypiliśmy. - Możesz tu zjeść świetnego burgera z frytkami. Pomyślałam, że może będziesz w nastroju na coś takiego.

- I jestem. Dobry wybór.

urodzona w Wietnamie - powiedziała Susan. - Q w nazwie to takie nawiązanie do - Właścicielami tego lokalu jest małżeństwo... Amerykanin z Kalifornii i jego żona wietnamskiego słowa *kieu*...

kogoś, kto wyjechał z kraju i wrócił. *Viet-Kieu*. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Lokal cieszy się popularnością wśród amerykańskiej diaspory i śmietanki *Viet-Kieus*. Tu jest drogo.

- Dzięki temu motłoch trzyma się z dala.

- Otóż to. Ale ty jesteś ze mną. Żeby jej pokazać, że nie jestem kompletnie na jej łasce, i żeby błysnąć swoim

savoir-faire, powiedziałem:

- Jeden Francuz w samolocie dał mi nazwy wielu dobrych restauracji i barów.

- Jakich na przykład?

- Monkey Bar.

Susan parsknęła śmiechem.

- Tam są same dziwki. I to bardzo nachalne. Wkładają ci ręce w spodnie przy barze. Możesz iść do Monkey Bar, jak stąd wyjdziemy.

- Tylko weryfikuję informacje od tego faceta.

- Cóż, nie oddał ci wielkiej przysługi.

- Polecił mi restaurację pod nazwą Maxim... jak ta w Paryżu.

- Czyste zdzierstwo. Podłe zarcie, zła obsługa, za wysokie ceny, tak samo jak w Paryżu.

Mój francuski przyjaciel przegrywał dwa do zera.

- Znasz mademoiselle Dieu-Kiem? - spytałem.

- Nie. Kim ona jest?

- Kurtyzana.

Susan przewróciła oczami i nie skomentowała.

- Ale wolę twoje towarzystwo - oświadczyłem.

- Podobnie jak dziewięćdziesiąt procent mężczyzn w Sajgonie. Nie przeciągaj pan struny, panie Brenner.

- Tak jest, psze pani. - Moją próbę błysnięcia niezależnością i otrząskaniem w świecie spotkał los pluskwy pod butem, zresztą zasłużenie. - Dziękuję, że przyprowadziłaś mnie do jednego ze swoich ulubionych lokali.

- Bardzo proszę.

Kelnerka przyniosła małe karty. Susan zamówiła owoce i ser dla siebie i jeszcze jedną lampkę wina. Ja wziąłem burgera z frytkami i zamówiłem coronę, którą też mieli.

Było chłodniej niż poprzedniego wieczoru, ale moja twarz pokryła się warstewką

wilgoci. Wyjeżdżając z Sajgonu w czerwcu siedemdziesiątego drugiego roku, zabrałem stąd wspomnienie gorącego i niezdrowego miasta.

- Masz jakiś letni domek czy miejsce, do którego jeździsz na weekendy? - spytałem.

- Ta koncepcja jeszcze się tu nie rozwinęła - odparła Susan. - Na wsi nie ma bieżącej wody. Wyjeżdżając poza miasto, wkraczasz w dziewiętnasty wiek.

- Więc co robisz latem w weekendy?

- Czasem jeżdżę do Dalat, gdzie jest chłodniej, albo do Vung Tau, które kiedyś nazywało się Cap Saint Jacques.

- Nie do Nha Trang?

- Nie. Nigdy tam nie byłam. To dłuższa wycieczka, - Po chwili dodała: - Ale chętnie bym zobaczyła to miejsce. Przykro rai, że nie mogę z tobą jechać.

Nie skomentowałem tego.

- Czy trudno jest wjechać w głąb terytorium dawnego Wietnamu Północnego?

Susan pomyślała przez chwilę.

- Wzdłuż wybrzeża na ogół stosunkowo łatwo. Autostrada numer jeden, na przykład, biegnie od delty aż do Hanoi, i jest co rok ulepszana. Ekspres Zjednoczenia - to taki pociąg - również łączy północ z południem. Ale jeśli zamierzasz ruszyć na zachód w stronę Laosu, jest trudno. Wietnamczycy to robią, lecz oni mają o wiele więcej tolerancji dla zmytych przez wodę dróg i mostów, osuwisk po rabunkowej ścinie drzew, stromych górskich przełęczy

i awarii pojazdów. Do tego jest tam zimowa pora deszczowa... uporczywe opady zwane *crachin*... deszczowy piasek. Wybierasz się w tamte strony?

- Czekam na dalsze instrukcje. Byłaś już kiedyś w interiorze?

- Nie, powtarzam ci tylko to, co słyszałam. Jeździ tam wielu zachodnich naukowców... głównie biologów. W północnej części interioru odkryli nieznane dotąd gatunki ssaków. Znaleźli wołu, o którego istnieniu nikt przedtem nie wiedział. No i wciąż są tam tygrysy. Przyjemnej podróży.

Uśmiechnąłem się.

- Ja też widziałem tu kiedyś tygrysa. I słonia. I wcale nie było to w sajgońskim zoo, gdzie jest ich miejsce.

- Uważaj na siebie. Tam naprawdę możesz wpaść w jakieś tarapaty albo na coś zachorować, a warunki są bardzo prymitywne.

Skinąłem głową. W armii była przynajmniej porządna służba medyczna, helikoptery zaś zabierały każdego z dowolnego miejsca w ciągu pół godziny i przewoziły na statek szpitalny. Tym razem byłem zdany tylko na siebie.

- Jeśli pojedziesz do interioru, możesz się podawać za biologa albo przyrodnika.

Spojrzałem na Susan. To samo przyszło mi do głowy, kiedy opowiadała o nieznanach gatunkach zwierząt. Przemknęła mi przez głowę jeszcze jedna myśl: że to właśnie jest ta odprawa, której nie miałem w Waszyngtonie. W zasadzie wiele rzeczy, których się dowiedziałem dziś o Wietnamie, a które wcześniej uznałem za nieistotne drobiazgi, mogło mieć swój cel. Ale może popadałem znowu w paranoję, co czasem mi się zdarza.

Zjawilo się jedzenie; burger z frytkami był pyszny, a corona zimna jak lód, z limoną.

- Gdzie mieszkasz? - spytała Susan.

- Pod Falls Church w Wirginii.

- I to jest twoje ostatnie zadanie?

- Tak. Oszczedłem na emeryturę w zeszłym roku, lecz oni uznali, że powinienem jeszcze spróbować szczęścia i zaliczyć Wietnam, Część Trzecią.

- Kim są ci oni?

- Nie mogę powiedziec.

- A co zamierzasz robic potem?

- Jeszcze o tym nie myslalem.

- Jesteś za mlody na emeryturę.

- Tak mi własn timer powiedziano.

- A twoja druga polowa?

- Wspiera mnie we wszystkim, co robie.

- Pracuje?

- Tak.

- Co robi?

- To samo, co ja robilem.

- Więc poznaliście się w pracy?

- Zgadza się.

- Ona też wybiera się na emeryturę?

Odchrząknalem.

- Jest mlodsza ode mnie.

- Czy poparla pomysl wyjazdu do Wietnamu na tę misję?

- Bardzo. Mogę ci postawic jeszcze jedno piwo?

- Piję wino. Widzisz kieliszek? - Racja. Wino. - Zawolalem kelnerkę i zamowilem jeszcze jedną kolejkę.

- Mam nadzieję, że nie myslisz, że wtykam nos w twoje sprawy - powiedziala Susan.

- Czemu mialbym tak myslac?

- Próbuję tylko stworzyc sobie obraz twojego zycia, miejsca, gdzie mieszkasz, tego, co robisz.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Zwykle mój ulubiony temat wiąze się ze mną. - Zastanowila się chwile, a potem dodala: - Moze zaciekawiles mnie, bo nie przyjechales sluzbowo.

- Jestem tu służbowo.

- Chodzi mi o interesy. Nie będziesz miał z tego żadnych pieniędzy. To, co robisz, robisz z jakiegoś innego powodu. Nawet nie z powodu kariery. Jaką masz motywację?

Rozważyłem to.

- Jeśli mam odpowiedzieć szczerze - powiedziałem - to chyba dlatego, że jestem głupi.

- Może to osobisty powód, coś, co, robisz dla kraju, ale tak naprawdę dla siebie.

- Zastanawiałaś się nad prowadzeniem audycji radiowej? Dzień dobry, wygnańcy.

- Bądź poważny. Próbuję ci pomóc. Musisz wiedzieć, dlaczego tu jesteś, bo inaczej ci się nie uda.

- Wiesz, chyba masz rację. Pomyślę o tym.

- Powinieneś.

Żeby zmienić ponownie temat, a także dlatego, że potrzebowałem pewnych informacji, spytałem:

- Czy twoja znajoma agentka z biura podróży jest dobra?

- Bardzo dobra. *Viet-Kieu*, rozumie i Amerykanów, i Wietnamczyków. Ma takie nastawienie, że wszystko da się załatwić. - Po chwili dodała: - Co należy rozumieć jako „pieniądze mówią”.

- To dobrze.

- Ale pułkownik Mang może cię wykopać - przypomniała Susan.

Może wypilem o jedno piwo za dużo, lecz powiedziałem:

- A gdybym nie poszedł do pułkownika Manga, żeby się tego dowiedzieć? Gdybym po prostu pojechał w głąb kraju? Mógłbym to zrobić?

Susan popatrzyła mi prosto w oczy.

- Nawet gdybyś mógł jeździć po kraju i nikt nie zapytałby cię o paszport czy wizę, nigdy stąd nie wyjedziesz bez tych dokumentów. Wiesz o tym.

- Miałem na myśli to, żeby pójść jutro z samego rana do konsulatu i poprosić o wydanie duplikatu paszportu.

Susan potrząsnęła głową.

- Oni nie są jeszcze oficjalnym przedstawicielstwem i nie mają prawa wydawać paszportów. I będzie tak jeszcze przez co najmniej sześć miesięcy. Więc jeśli nie masz paszportu ani wizy, ani nawet odbitek, daleko nie zajedziesz.

- Jeżeli pojedę do ambasady amerykańskiej w Hanoi, to będzie już ich problem.

- Paul nie komplikuj sprawy. Spotkaj się jutro z pułkownikiem Mangiem.

- Dobra. Opowiedz mi o policji imigracyjnej. Co to za pajace?

- Ich działka to obcokrajowcy. Policja w tym kraju została zorganizowana przez KGB, kiedy Rosjanie tu byli, na wzór ich urzędu. Jest sześć sekcji, od A do F. Sekcja A to służba bezpieczeństwa, tak jak nasza CIA. Sekcja B to policja narodowa, jak nasze FBI, a sekcja C

to policja imigracyjna. Sekcje D, E i F to odpowiednio policja miejska, służba bezpieczeństwa

provincji i służba graniczna i portowa. Policja imigracyjna zwykle zajmuje się naruszeniami przepisów wizowych i paszportowych, więc tym bym się zbytnio nie przejmowała.

- Racja. - Mnie jednak się zdawało, że pułkownik Mang może być z sekcji A lub B, chociaż nosi mundur sekcji C. To dość pospolity wybieg. Przyszło mi też na myśl, że panna Weber sporo wie o wietnamskich glinach, ale może wszyscy tutejsi obcokrajowcy są w tym oblatani.

Dochodziła jedenasta.

- Chyba na tym zakończę wieczór. Mam jutro wczesną randkę - powiedziałem.

Poprosiłem kelnerkę o rachunek, ale Susan upierała się, żeby zapłacić firmową kartą kredytową, więc nie zamierzałem się kłócić.

Napisała coś na paragonie.

- Paul Brenner, firma nieznana, rozmawialiśmy o inwestycjach w puszkowanie ryb, niebezpiecznych misjach i życiu. - Uśmiechnęła się i schowała paragon do torebki.

Wstaliśmy i wyszliśmy na ulicę.

- Odprowadzę cię do domu - zaproponowałem.

- Dziękuję. Prawie po drodze jest jeszcze jedno miejsce, które chcę ci pokazać. Dwie przecznice stąd. Wypijemy szklaneczkę przed snem i będziesz z powrotem w hotelu przed północą.

Słynne ostatnie kwestie. - Świetnie - odparłem.

- Chyba że wolisz iść do Monkey Bar.

- Raczej wolałbym wypić szklaneczkę przed snem z tobą

- Trafny wybór.

Przeszliśmy kilka skrzyżowań do spokojnej, niezbyt dobrze oświetlonej ulicy. Na jej końcu stał duży, oświetlony budynek z szyldem, na którym widniał napis: Czas Apokalipsy. Pomyślałem, że mam zwidy, ale Susan powiedziała:

- Tam właśnie idziemy. Słyszałeś o tym lokalu?

- Widziałem film. A właściwie go przeżyłem.

- Poważnie? A mnie się zdawało, że byłeś kucharzem.

- Chyba jednak nie.

- Nie uwierzyłam, że byłeś kucharzem.

- Pułkownik Mang też nie uwierzył - odparłem.

- Tak mu powiedziałaś?

- Lepiej było tak powiedzieć, niż przyznać się, że walczyłem w piechocie. Mogłoby mu przyjść do głowy, że zabiłem któregoś z jego krewniaków.

- A zabiłeś kogoś?

Nie odpowiedziałem na pytanie.

- Naprawdę? Widziałam ten film. Śmigłowce, rakiety, karabiny maszynowe... Cwał - Jednostka

pokazana w tym filmie to Pierwsza Dywizja Kawalerii. Moja dywizja. Walkirii. Nierealne. Właśnie to robiłeś?

- Aha. Nie pamiętam Cwału Walkirii, ale czasem puszczały z głośników w helikopterze sygnał do szarży kawaleryjskiej.

- Niesamowite.

- Trzeba było tam być, żeby to zrozumieć.

Dotarliśmy do frontowych drzwi długiego niskiego budynku, gdzie czekało około dwudziestu riksów, których właściciele stali lub chodzili, paląc papierosy.

- Często tu przychodzisz? - spytał Susan. Roześmiała się.

- Właściwie nie. Tylko kiedy przyjmuję gości z zagranicy. Przyproceedziłam tu moich rodziców. Rozbawiłam ich, chociaż czuli się trochę nieswojo.

Biały mężczyzna otworzył drzwi i wkroczyliśmy do Czasu Apokalipsy.

Pierwsze, co zobaczyłem, to chmura dymu, jakby ktoś wyrzucił z helikoptera tuzin kanistrów dymnych, żeby oznaczyć w dżungli strefę lądowania. Ale to był tylko dym z papierosów.

Hendrixa. Po lewej stronie piętrzył się mur z worków z piaskiem i drutu kolczastego, jak Lokal podskakiwał, a czteroosobowa wietnamska kapela grała kawałek Jimmy'ego wokół stanowiska ogniowego. Na ścianie wisiał wielki plakat z filmu; Susan powiedziała, że jeśli spojrzę z bliska, to zobaczę autograf Martina Sheena. Nie spojrzałem.

Wentylatory zrobiono z łopat śmigieł helikoptera, a lustrzane kule zbryzgane były czerwoną farbą, która miała chyba wyglądać jak krew.

Podeszliśmy do długiego baru przy tylnej ścianie, gdzie roiło się od facetów przeważnie w średnim wieku, czarnych i białych, zdecydowanie wyglądających na byłych żołnierzy. Doznałem deja vu: Amerykanie znów na wojnie w Sajgonie.

Wziąłem od amerykańskiego barmana dwie butelki piwa San Miguel.

- Skąd jesteś, kolego? - spytał.

- Z Australii.

- A gadasz jak Jankes.

- Próbuję się dopasować.

Przesunęliśmy się z Susan trochę w bok. W powietrzu wisiało tyle dymu z papierosów i cygar, że można by siekierę zawiesić; Susan też zapaliła.

- Ty dzisiaj samotny, wojaku? - spytała

- Jestem z kimś.

- Tak? Gdzie ona pójdzie? Odejść z generał. Odlecieć jak motyl. Ja z tobą zostać. Pokazać ci dobra zabawa. Ja dziewczyna numer jeden. Ty być szczęśliwy.

Nie wiedziałem, czy się śmiać, czy zemdleć.

- Co taka dziewczyna jak ty robi w takim uroczym miejscu?

Uśmiechnęła się i odparła:

- Potrzebować pieniędzy, żeby pójść do Harvard.

Zmieniłem temat.

- To przeciwieństwo Kong Świata - powiedziałem.

- To świat urlopów wypoczynkowych. Czy to jest dla ciebie obraźliwe?

- Myślę, że wszystko, co trywializuje wojnę, jest obraźliwe.

- Chcesz wyjść?

- Skończmy piwa. Kiedy zaczną strzelać? - spytałem Nie dało się jednak tak łatwo wyjść. Obok były cztery pary, wszystkie w średnim wieku, i ktoś zaczął rozmowę. Faceci byli byłymi oficerami amerykańskiego lotnictwa, którzy zabrali żony, żeby pokazać paniom, gdzie służyli, i tak dalej. Byli w porządku i trochę pogawędziliśmy dla zabicia czasu. Wszyscy stacjonowali na północy, w bazach lotniczych Da Nang, Chu Lai i Hue-Phu Bai, i bombardowali cele wokół strefy zdemilitaryzowanej; tam właśnie się wybierali. Zainteresowali się moją służbą w czasie wojny, nie pytając nawet, czy jestem weteranem.

- Pierwsza kawaleryjska, Quang Tri, sześćdziesiąty ósmy rok.

- Nie chrzanisz? - spytał jeden. - Wybiliśmy dla was od cholery tałałajstwa w niejednym celu.

- Pamiętam.

- Jedziesz w głąb kraju?

- Zdaje mi się, że już tam jestem - odparłem. Wszyscy parsknęli śmiechem, a któryś powiedział:

- To miejsce jest nierealne, no nie?

- Jest nierealne - przyznałem. Żony z jakiegoś powodu nie przejawiały szczególnego zainteresowania gadkami o wojnie, ale kiedy się dowiedziały, że Susan mieszka w Sajgonie, opadły ją i po chwili cztery

panie rozprawiły o zakupach i restauracjach, a pięciu facetów, włącznie ze mną, snuło wojenne opowieści, aż zrobiło się po kolana kitu i łusek. Lotnicy wykazali wielkie zainteresowanie życiem piechura i chcieli słyszeć wszystkie krwawe szczegóły.

dla nich podróż nostalgiczna, podobnie jak dla mnie. W domu nigdy nie wracam do tych A ja opowiadałem, trochę dlatego, że postawili mi drugie piwo, ale też dlatego, że to była sprawa, ale tu, w tym miejscu, troszeczkę na gacie, wydawało się w porządku, że o tym rozmawiamy.

Opowiadali mi o unikaniu pocisków ziemia-powietrze i ostrzału przeciwlotniczego, i o zmiataniu z powierzchni ziemi wszystkiego co żywe, co się ruszało w strefie zdemilitaryzowanej. Pokazywali to na pustych butelkach po piwie, a ja uświadomiłem sobie, że ci faceci usunęli ze swoich opowieści wszelkie względy moralne czy etyczne; wojnę powietrzną postrzegali jako szereg problemów technicznych i logistycznych, które trzeba rozwiązać. Poczulem się schwytny w te historie o bombardowaniach i ostrzałach lotniczych, co było dość zatrważające. Niewiele trzeba, żeby poruszyć serca starych wojowników, do których i ja należałem. Był znowu rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy.

Północ przyszła i minęła. Zespół grał teraz Doorsów, a rzeczywistość i chronologia wymykały mi

się spod kontroli.

Od czasu do czasu, gdy kapela przestała na chwilę grać, z głośników płynął sygnał kawaleryjskiej szarży, po którym następował Cwał Walkirii Wagnera.

Jeśli chodzi o lokale tematyczne, to ten był na samym szczycie tabeli obok Planet Hollywood. W pewnym momencie rozmowy doszliśmy do wymiany uwag o miejscach, które chcieliśmy zobaczyć, a które już widzieliśmy.

- Musicie pojechać do tuneli Cu Chi - powiedziałem.

- Hm? Gdzie to jest?

- To te tunele, wielkie jak kolejowe, w których Wietkong miał szpitale, sypialnie, magazyny i kuchnie. Wjeżdża się do środka wózkami golfowymi. Fantastyczna wycieczka, można zjeść lunch i wypić koktajl w jednej ze starych jadłodajni Wietkongu. Zdaje mi się, że mają tam też sklepy z jedwabiem dla kobiet. Waszym żonom na pewno się spodoba. - Czemu ja robię takie rzeczy? Lotnicy zakonotowali to sobie.

Z opóźnieniem dotarło do nich, że Pierwsza Dywizja Kawalerii i Pierwsza Dywizja Kawalerii z filmu i baru to jedna i ta sama, a to wymagało kolejnej porcji piwa i wojennych opowieści.

Skończyła nam się amunicja i jeden z lotników zapytał:

- Co to za dama?

- Która dama?

- Ta, z którą jesteś.

- A... Poznałem ją wczoraj wieczorem Mieszka tutaj.

- Aha. Tak właśnie powiedziała. Fajna babka.

Nigdy nie jestem pewien, jak się na coś takiego odpowiada, ale zdecydowałem się powiedzieć:

- Wasze żony są bardzo atrakcyjne.

Wszyscy się zgodzili, że ich żony są cudowne i święte w porównaniu z nimi. Ja też się z tym zgodziłem, lecz oni woleli mówić o Susan.

- Opanowałeś sytuację?

- Na razie negocjujemy.

Ryknęli śmiechem, a to z kolei doprowadziło ich do wątku dziwek. Przysunęliśmy się trochę do siebie.

- Próbuje je namówić, żeby same poszły na zakupy - oświadczył jeden.

- Dziwki?

- Nie. Żony. Potrzebujemy tylko paru godzin, ale one nie chcą iść same. Boją się miasta.

- Załatwcie im angielskojęzyczną przewodniczkę z hotelu.

- No, przecież mówiłem. Widzisz, Bill? On też tak myśli. Znajdziemy im przewodniczkę i jesteśmy sami.

Poleciłem im Monkey Bar. - Dziwki od ściany do ściany... tylko nie płąćcie prostytutkom więcej niż pięć dolców, a kelnerki i barmanki można mieć za parę dolców więcej. Potem zabierzcie żonki do Maxima na kolację

Z miejsca zawiązali spisek i przybili piątki. Zdawało mi się, że piechurzy to dranie, ale lotnicy są gorsi. Przypomniałem sobie stary żołnierski dowcip i opowiedziałem go.

- Jaka jest różnica między pilotem wojskowym a świnią?

- Jaka?

- Świnia nie zarwie nocy, żeby zerznąć pilota.

Ryknęli śmiechem. Czyżbyśmy się dobrze bawili?

Pierwsza godzina nadeszła i minęła. Potrzebowałem się odpryskać, więc przeprosiłem.

Znalazłem męską toaletę w przejściu prowadzącym do drugiego zatłoczonego pomieszczenia na tyłach. Kiedy wyszedłem, czekała na mnie Susan.

- Tutaj jest ogródek. Jest w nim cicho, a ja potrzebuję świeżego powietrza.

- Czemu stąd nie pójdziemy?

- Pójdziemy. Chcę tylko usiąść na minutę.

Zaprowadziła mnie do ogrodzonego ogródka z małymi kawiarnianymi stolikami, na których stały świeczki. Wszędzie wisiały papierowe latarnie, było tam ciszej, a powietrze miało przyjemniejszy zapach.

Usiedliśmy przy pustym stoliku; rozejrzałem się i zobaczyłem pary trzymające się za ręce. Pomyślałem, że to coś w rodzaju postapokalipsy, miejsca, gdzie idzie się po śmierci, coś w tym stylu.

Wyczułem też w powietrzu zapach kadzidła i palonej trawki. Zobaczyłem świetliki tańczące wokół stołów - to skrzydła przechodziły z rąk do rąk, zaciągano się nimi i podawano dalej. Ogarnęło mnie nagłe pragnienie, żeby się sztachnąć, nie czułem tego od dwudziestu lat.

- Mam wrażenie, że dobrze się bawisz - zauważyła Susan.

- Równi goście.

- Ich żony też są miłe. Chciały wiedzieć, czy jesteśmy parą.

- Czy kobiety tylko o tym mówią? Seks, seks, seks.

- Nie rozmawiałyśmy o seksie. Rozmawiałyśmy o mężczyznach.

- To jedno i to samo.

- Chcesz herbaty?

- Jakiej herbaty?

- Prawdziwej. Tę inną samemu się przynosi.

Zawołała kelnerkę i zamówiła herbatę.

Siedzieliśmy w ciemnym ogródku i żadne z nas się nie odzywało. Zjawił się czajnik z herbatą i

dwie filiżanki; napełniłem je. Nie lubię herbaty.

Przez chwilę sączyliśmy gorący, pozbawiony aromatu napar. Wdychałem parę i moje płuca znów zaczęły pracować.

Byłem wyczerpany i nawet Susan ziewała, ale minęła już godzina, w której można mówić o dobrym śnie i wypoczynku, więc siedzieliśmy i piliśmy tę okropną herbatę. Po jakichś dziesięciu minutach dotarło do mnie, że to całkiem przyjemne.

- Wiesz, co by mnie uszczęśliwiło? - spytała wreszcie Susan.

- Co?

- Gdybyś jutro wyjechał do domu.

- A mnie by uszczęśliwiło, gdybyś ty wyjechała do domu - odparłem, sam nie wiem czemu.

To była intymna wymiana zdań między ludźmi, których dotąd nie łączyło uczucie bliskości.

- Powinnaś stąd wyjechać, zanim coś ci się stanie... To znaczy... w sensie psychicznym - powiedziałem. Potem usłyszałem, jak mówię: - Ty martwisz się o mnie, ja jednak martwię się o ciebie. - Susan długo wpatrywała się w skaczący płomień świecy; zobaczyłem łzy płynące po jej twarzy. Zaskoczyło mnie to. Oboje byliśmy trochę podpici, a ta chwila nie była realna ani nawet racjonalna. Pamiętając o tym, dodałem: - Kiedy tu byłem... krążyła wśród żołnierzy opowieść o... królestwie Gordona. Gordon był podobno pułkownikiem sił specjalnych, lecz ukrył się w dżungli, żeby zorganizować plemię Montagnardów, którzy mieli walczyć z Wietkongiem. Niestety odbiło mu i przysłał do plemienia., naprawdę pokręciło mu się w głowie... znasz tę historię. To była wersja Jądra ciemności Conrada, jakimś sposobem przeniesiona do Wietnamu... apokaliptyczna baśń, z której powstał film. Apokaliptyczna lub nie, była ostrzeżeniem... odzwierciedleniem dręczącego nas lęku, że przestanie nam się chcieć wracać do domu, że pokiełbasi nam się w głowach i nie będziemy już mogli wrócić... Susan?

Skinęła głową, a łzy dalej płynęły jej po pohezkach.

Podaliśmy jej chusteczkę... i siedzieliśmy tam, słuchając nocnych owadów i przytłumionego, zmysłowego wokalu Janis Joplin. dobiegającego z baru, od czasu do czasu przerywanego Cwałem Walkirii. Mogłem tylko zgadywać, co sprawiło, że Susan płakała.

Ująłem ją za rękę i siedzieliśmy jeszcze chwilę.

Wreszcie wzięła głęboki oddech.

- Przepraszam - odezwała się. Potem wstała. - Musimy iść - rzuciła.

Wyszliśmy z Czasu Apokalipsy i znaleźliśmy się na ulicy. W taksówce powiedziałem do kierowcy:

- Dong Khoi.

Susan potrząsnęła głową.

- Musimy jechać do hotelu Rex. - Wytłumaczyła coś kierowcy i odjechaliśmy.

Taksówka przemykała ulicami.

- Zaczynam się mazać, kiedy za dużo wypiję. Już mi nic nie jest - odezwała się Susan.

- Musisz mieć irlandzką krew - odparłem. - Cała moja rodzina i wszyscy znajomi z Bostonu upijają się, śpiewają Danny Boy i szlochają.

Roześmiała się i wytarła nos w moją chusteczkę. W ciągu pięciu minut byliśmy przed hotelem.

- Sprawdźmy wiadomości, zobaczmy, czy jest coś jeszcze - powiedziała.

- Nie trzeba. Zadzwoń do ciebie do domu i powiem, czy mam wiadomość.

- Sprawdźmy.

Weszliśmy więc do środka i podeszliśmy do recepcji. Wziąłem mój klucz i kopertę. Na kartce, ledwie czytelnie, ktoś napisał po angielsku:

Wy spotkać się z pułkownik Mang w kwaterze policja imigracyjna, 8.00, poniedziałek. Wy przynieść dokumenty podrózne i plan.

Wyglądało na to, że oddadzą mi moją wizę i paszport w zamian za harmonogram podróży. Tak właśnie bym postąpił, gdybym był pułkownikiem Mangiem. Wzbudziłem jego zaciekawienie, a jednocześnie go wkurzyłem. Nie chciał się mnie pozbywać.

Susan spojrzała na wiadomość i znowu stała się rzeczowa.

- Zobaczymy się tutaj rano, kiedy wrócisz ze spotkania - stwierdziła. - Proponuję, żebyś się spakował i wymeldował przed wyjściem do Manga i kazał zostawić swoje bagaże w holu. Być może nie będziesz miał dużo czasu. Będę miała bilety, zanim przyjadę, albo każę je doręczyć. Pojadę z tobą na dworzec kolejowy lub autobusowy, lub gdzie będzie trzeba. W każdym razie będę tu na ciebie czekała o dziewiątej.

- Jeśli się nie zjawię do południa, nie czekaj. Zostaw tu bilety i skontaktuj się z moją firmą.

Wyjęła z torebki telefon komórkowy i wręczyła mi go.

- Zadzwoń do ciebie rano i podam wskazówki dotyczące spotkania; nie ufam hotelowym telefonom.

- Twój telefon domowy jest bezpieczny? - To też komórka. Mam stacjonarny, ale tylko do rozmów na duże odległości. - Po chwili dodała: - Zadzwoń, jeśli coś się jeśli wydarzy. - Spojrzała na mnie, mówiąc: - Przepraszam przez mnie się zasiedziałeś.

- To był przyjemny dzień. Dziękuję.

Uśmiechnęła się, uścisnęliśmy się po przyjacielsku i pocałowaliśmy w policzek.

Odwróciła się i wyszła z hotelu.

Stałem w holu jeszcze przez kilka minut; czekałem chyba po to żeby zobaczyć, czy wróci, tak jak wtedy w restauracji na dachu. Drzwi się otworzyły, lecz stanął w nich portier.

- Pani w taksówce - zakomunikował.

- Okej.

Ruszyłem do windy.

Rozdział 15

Obudziłem się przed świtem, wziąłem dwie aspiryny i tabletkę przeciwko malarii.

Postanowiłem włożyć to samo, co miałem na sobie podczas pierwszego spotkania z pułkownikiem Mangiem: spodnie khaki, granatową bluzę i niebieską koszulę zapinaną na guziki. Gliny lubią widzieć podejrzanego za każdym razem w tym samym ubraniu; to kwestia psychologii - odruchowa, instynktowna reakcja gliniarza na ludzi zmieniających wygląd. To ubranie utrwaliło się w małym mózdzku pułkownika Manga; przy odrobinie szczęścia może nigdy więcej się nie zobaczymy.

Schowałem szklaną kulę do neseseru, z myślą, że dam ją Susan w prezencie. Gdy po raz ostatni sprawdzałem pokój, w kieszeni zadzwonił telefon Susan.

- Rezydencja panny Weber - odezwałem się.

- Dzień dobry - roześmiała się. - Dobrze spałeś?

- Tak, nie licząc parady *chay long* pod oknem i Cwału Walkirii, który dudnił mi w głowie.

- U mnie to samo. Mam lekkiego kaca. - Po chwili dodała: - Przepraszam, że się trochę mazałam.

- Nie przepraszaj. Przeszła do rzeczy.

- W porządku. A więc po pierwsze, każdy taksówkarz wie, gdzie jest kwatera policji imigracyjnej. Mieści się w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, bo gdzieżby indziej. Zarezerwuj sobie piętnaście minut ze względu na godziny szczytu. Nie zatrzymuj taksówki... oni nie lubią się kręcić wokół tego gmachu.

- Może pułkownik Mang podrzuci mnie z powrotem do Reksa.

- Niewykluczone, jeśli będzie chciał zobaczyć twój bilet do Nha Trang. Ale jest bardziej prawdopodobne, że każe ci się zameldować w siedzibie policji imigracyjnej w Nha Trang.

- Jeśli rzeczywiście tu przyjedzie, rozplyń się w powietrzu.

- Zobaczymy, jak to się potoczy.

- Cieszysz się, że się włączyłaś w tę aferę? - spytałem.

- To lepsze niż chodzenie do roboty. Dobra, mam wiadomość od agentki biura podróży, ona pracuje nad transportem do Nha Trang. Zostaw moją komórkę w recepcji, odbiorę ją, jak tam dotrę.

- Dobrze.

- Jeśli chodzi o pułkownika Manga... postaraj się go nie wpieniać. Powiedz mu, że widziałeś tunele Cu Chi i z jeszcze większym szacunkiem patrzysz na walkę jego narodu z imperializmem.

- Pieprzyć go. - Kiedy dotrzesz do budynku Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, musisz poszukać sekcji C, czyli policji imigracyjnej. Trzymaj się z dala od sekcji A i B, bo już nigdy się nie zobaczymy - roześmiała się, ale nie żartowała. - Skierują cię do poczekalni - ciągnęła Susan - a potem zawołają, lecz nie po nazwisku. Robią to na chybił trafił, ale starzy ludzie mają w Wietnamie pierwszeństwo, więc wywołają cię pierwszego. Wtedy wejdiesz do następnego pomieszczenia, gdzie jeden facet zapyta cię, czego chcesz. To wredny drań. Większość osób trafia tam z powodu nieaktualnej wizy albo dlatego, że chce ją przedłużyć, albo stara się o pozwolenie na pracę. Takie głupstwa.

To nie wyjaśniało, dlaczego mnie kazano tam przyjść, lecz nic nie powiedziałem.

- Jesteś umówiony, więc spytaj tego drania o pułkownika Manga - mówiła dalej Susan. - Pułkownik to po wietnamsku *dai-ta*. Spytaj o *dai-ta* Manga i pokaż temu facetowi coś, na czym będzie twoje nazwisko.

- Oni już mają wszystko z moim nazwiskiem.

- Daj mu prawo jazdy, rachunek z hotelu lub coś w tym stylu. Ci ludzie powinni umieć posłużyć się w pracy obcymi językami, a nie potrafią i nie chcą wychodzić na głupków. Więc spróbuj ułatwić mu sprawę.

- Byłaś tam?

- Trzy razy, odkąd tu przyjechałam. Potem ktoś w biurze podpowiedział mi, żebym przestała odpowiadać na ich wezwania. Więc przestałam, ale oni co kilka miesięcy przychodzą do mojego biura lub mieszkania,

- Czemu?

- Papierkowe sprawy, pytania i napiwki. Nazywają to napiwkami, jakby wyświadczali mi przysługę. Zwykle pozbycie się ich zabiera mi dziesięć minut i kosztuje pięć dolców. Lecz nie proponuj pułkownikowi Mangowi pieniędzy. Jest pułkownikiem, a być może też czystym i prawdziwym członkiem partii. Mogliby cię aresztować za łapówkarstwo, co jest największym żartem w tym kraju, bo zazwyczaj aresztują tu ludzi za nieprzekupność.

- To fakt.

- Jeśli jednak poprosi o pieniądze, daj mu. Obowiązująca taryfa za wykupienie paszportu i wizy to pięćdziesiąt dolców. Nie pros o pokwitowanie.

Zastanowiłem się nad tym i nad moją rozmową z pułkownikiem Mangiem na lotnisku i byłem prawie pewien, że pieniądze nie są tym, o co mu chodziło.

- Niektórzy z tych ludzi to po prostu skorumpowani byli południowowietnamscy policjanci, którzy zdołali zachować pracę u czerwonych - kontynuowała Susan. - Ale niektórzy pochodzą z północy, są wyszkoleni przez KGB i wciąż mają głowy kagebistów. Poza tym im wyższa ranga, tym mniej korupcji. Bądź ostrożny z pułkownikiem Mangiem.

- Słusznie. - To z kolei nasuwało pytanie, jak w ogóle doszło do tego, że miałem szczęście poznać pułkownika Manga.

- Czy wyglądał na dość starego, żeby walczyć na wojnie? - spytała Susan.

- Pamięta wojnę całkiem dobrze.

Zamilkła na parę sekund, po czym powiedziała:

- Może mógłbyś zamienić wasze wspólne doświadczenia w coś pozytywnego.

- Mhm. Słuchaj, nie idę tam po to, żeby bratać się z tym gościem... chcę tylko odzyskać swoje papiery i wyjść.

- Ale nie chcesz, żeby cię wykopał z kraju.

- Nie, a on nie ma zamiaru tego robić. Nie wybieram się dzisiaj do domu, jadę do Nha Trang... albo idę do więzienia... więc bądź przygotowana na to, że tak czy owak będziesz wysyłać fakсы do

mojej firmy,

- Rozumiem.
- Coś jeszcze?
- Nie, to mniej więcej wszystko. Do zobaczenia później.
- Dobrze... Susan, jeśli się nie zobaczymy... dziękuję...
- Do zobaczenia. Pa, pa.

Rozłączyłem się, wyłączyłem komórkę i schowałem do kieszeni marynarki.

Zabrałem bagaż i zniosłem go do holu. Podszedłem do recepcji i zobaczyłem, że jest tam panna Lan, ta sama, która mnie meldowała. Podałem jej klucz i oznajmiłem:

- Wymeldowuję się.

Pobawiła się trochę z komputerem i powiedziała:

- A tak, pan Brenner, Ja pana meldowałam.
- Tak, pani.
- Przyjemnie się panu mieszkało?
- Owszem, Zobaczyłem tunele Cu Chi.

Panna Lan zrobiła minę. Rachunek zaczął się drukować.

- Czy możemy panu jakoś pomóc w pańskich planach podróży? - spytała.

- Tak, możecie. Muszę teraz pojechać do policji imigracyjnej, żeby odzyskać paszport. Pamiętaj pani o tym.

Skinęła głową, ale nic nie odpowiedziała.

- Zostawię więc tutaj swoje bagaże i, jeśli mi szczęście dopisze... tralala... niedługo po nie wrócę.
- Znów skinęła i wręczyła mi rachunek.

- Za pokój zapłacono z góry - stwierdziła. - Jak chce pan uregulować dodatkowe rachunki?

Zerknąłem na rachunek i poczułem potrzebę wyjaśnienia, że chociaż opiewa na potężną sumę, nikt mi nie robił loda w sali masażu.

- Ureguluję, kiedy wrócę z paszportem i wizą, żeby zabrać bagaże - powiedziałem tylko.

Panna Lan pomyślała o tym chwilę, po czym odparła:

- Jak pan sobie życzy.

To musi być ciężki kawałek chleba, prowadzić czterogwiazdkowy hotel w państwie totalitarnym. No bo tak: goście znikają bez śladu, policja włazi przeszukiwać pokoje i straszyć pokojówki, a podsłuchów telefonicznych jest tyle, że nie można zarezerwować stolika na kolację, żeby jakiś gliniarz nie wlaź na linię.

Poddałem pannie Lan komórkę Susan i wyjaśniłem:

- Młoda dama, Amerykanka, przyjdzie niebawem odebrać ten telefon. Proszę dopilnować, żeby do

niej trafił.

- Oczywiście.

Wyjąłem szklaną kulę z neseseru i węszyłem pannie Lan.

- Proszę też przekazać to i powiedzieć, że jej dziękuję.

Panna Lan obejrzała kulę, ale nic nie powiedziała. Jako Wietnamka mogła pomyśleć, że w środku przedstawiona jest kupa gruzu, zalegająca wokół częściowo zrujnowanego budynku.

Zawołała boya hotelowego, który dał mi dwa kwity na moje bagaże i dostał w zamian dolara.

- Dziękujemy, że zechciał się pan u nas zatrzymać. Portier sprowadzi panu taksówkę - oświadczyła panna Lan.

Wyszedłem na chodnik; podjechała taksówka.

- Proszę wyjaśnić taksówkarzowi, że chcę jechać do kwatery policji imigracyjnej - zwróciłem się do portiera. - Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. *Biet?*

Mężczyzna zawahał się na ułamek sekundy i powiedział coś do kierowcy, kiedy wsiałem.

Ruszyliśmy i skierowaliśmy się na zachód ulicą Le Loi.

Przejechaliśmy przez część miasta, która wyglądała, jakby skupiły się tam wszystkie tanie hotele i prywatne kwatery w Sajgonie, a obok nich tanie jadalnie. Okolica roiła się od wędrowców wszystkich ras i kolorów, z plecakami, dziewcząt i chłopców, którzy wyruszyli na spotkanie wielkiej przygody; jakże inne doświadczenie z Wietnamu od tego, które ja przeżyłem w ich wieku, gdy też dźwigałem plecak.

Taksówka skręciła w ulicę o nazwie Nguyen Trai i jechała dalej. Spojrzałem na zegarek: była za pięć ósma.

Zjechaliśmy na bok i zatrzymaliśmy się nieopodal trzypiętrowego gmachu z brudnożółtego kamienia, ukrytego za murem i nieco oddalonego od ulicy. Kierowca wskazał budynek ruchem głowy; zapłaciłem mu i wysiadłem. Ruszył ostro i odjechał.

Gmach był duży i wyglądał jak część większego kompleksu. Przed fasadą stał maszt, na którym wisała czerwona flaga z żółtą gwiazdą.

Przy otwartej bramie stało dwóch uzbrojonych policjantów, lecz nie zatrzymali mnie, gdy ich mijałem. Podejrzewam, że do tego budynku nikt nie próbuje się włamywać.

Przemierzyłem mały dziedziniec i wszedłem do ciasnego holu.

Przede mną stało wysokie, ozdobne drewniane biurko, przypominające sędziowskie, które miało bardzo zachodni wygląd, jak gdyby pozostawili je tu Francuzi. Siedział tam facet w mundurze.

- Policja imigracyjna - zakomunikowałem.

Gapił się na mnie przez chwilę, a potem podał mi kwadratowy skrawek zielonego papieru z literą C. Wskazał w lewo.

- Iść - rzucił.

Ruszyłem więc, myśląc: „Iść prosto do więzienia. Nie przechodzić przez Iść”.

Szedłem szerokim korytarzem z pomieszczeniami po obu stronach; do któregoś z nich drzwi były otwarte i przez okno zobaczyłem rozległe wewnętrzne podwórko. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego było bez wątpienia ważnym urzędem i ludzie tutaj mieli dużo pracy. Nie ulegało wątpliwości, że wewnętrzny dziedziniec za Francuzów był wykorzystywany do egzekucji; niewykluczone, że również za czasów Wietnamu Południowego i za komunistów.

Minąłem kilku mundurowych policjantów i całą chmarę źle ubranych, biurokratycznych typów z aktówkami. Wszyscy mierzyli mnie wzrokiem, ale mały zielony glejt doprowadził mnie aż do końca korytarza, do drzwi oznaczonych literą C. Nad drzwiami wisiała tabliczka z napisem *Phong Quan Ly Nguoi Nuoc Ngoai. Nuoc*, o ile mi wiadomo, znaczy woda, a *ngoai* to zagraniczny - zgodnie z napisem na tablicy rejestracyjnej Susan - więc było to albo ministerstwo importu zagranicznej wody albo miejsce, gdzie musieli się zgłaszać cudzoziemcy przybywający z zagranicy. Stawiając na to drugie, wszedłem przez otwarte drzwi i znalazłem się w średniej wielkości poczekalni. Było tam ze dwadzieścia plastikowych krzesełek i nic więcej. Nie było okien, tylko otwory z żaluzjami przy suficie, i żadnych wentylatorów. Nie było też popielniczek, sądząc po zasłanej petami parkietowej podłodze.

Cztery krzesła były zajęte przez młodych ludzi z plecakami, ustawionymi teraz na podłodze. Rozmawiali ze sobą - trzech chłopaków i dziewczyna. Spojrzeli na mnie i wrócili do rozmowy.

Usiadłem. Na jednej ścianie wisiał duży plakat przedstawiający prezerwatywę. Kondom miał twarz, dwie nogi i dwie ręce, w których umieszczono miecz i tarczę. Z ostrza zwisało

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

słowo AIDS, a na kondomie wypisano słowo OK. Jakiś dowcipniś napisał po angielsku na plakacie Wietnamczycy Walczą z Mięsnym Teatrem Kukielkowym - Teatr Ludowy.

Na innym plakacie Wietnamka i cudzoziemiec stali objęci, a podpis głosił: AIDS Może Cię Zabić.

Na przeciwnej ścianie wisiał plakat z Ho Szi Minem otoczonym chłopami i robotnikami, a obok widniał napis po angielsku; Nie Wywoływać Dużych Perturbacji i Nie z Radiem. Ten enigmatyczny napis został powtórzony w kilku językach; można było mieć nadzieję, że przynajmniej w jednym z nich ma sens.

Do sali weszło kilka osób, przeważnie młodych, a potem zjawiała się para Wietnamczyków w średnim wieku; domyśliłem się, że to *Viet-Kieus*, którzy mają problem z wizą.

Młodzi ludzie gawędzili po angielsku z różnym akcentem, od amerykańskiego, przez australijski i parę europejskich. Usłyszałem słowo *fuck* wypowiedziane na sześć różnych sposobów.

Z tego, co podśluchałem, większość tych dzieciaków ubiegała się o przedłużenie wizy, ale niektórzy chcieli odzyskać wizy i paszporty, oficjalnie ukradzione przez policję. Nikt nie wyglądał na szczególnie przejętego. Para Wietnamczyków zaś wyglądała na przerażoną, a jednocześnie zdumioną beztroskim zachowaniem młodzieży z plecakami. Ciekawe.

Było dziesięć po ósmej. Postanowiłem poczekać dziesięć minut, zanim spowoduję „duże perturbacje nie z radiem”.

Kilka minut później do poczekalni wkroczył facet w mundurze khaki i rozejrzał się. Zauważył mnie i skinął ręką, żebym za nim poszedł. To wielkie halo być starym w buddyjskim kraju.

Podążyłem za nim na korytarz, a potem wszedłem do jakiegoś pomieszczenia czy też biura, które znajdowało się naprzeciwko poczekalni.

Oficer w mundurze z epoletami siedział za biurkiem i palił papierosa.

- Kto wy? - spytał. - Po co tu?

To musiał być ten wredny drań. Spojrzałem mu prosto w oczy i powiedziałem powoli, prostymi słowami:

- Ja - klepnałem się w pierś - tu, żeby zobaczyć *dai-ta* Manga. - Stuknąłem palcem w zegarek. - Umówione spotkanie - dodałem wręczając mu rachunek z hotelu. Nie chciałem mu dawać prawa jazdy, bo ci pajace mieli już dość moich dokumentów i wyobraziłem sobie siebie na ulicy bez żadnego dowodu tożsamości oprócz chusteczki z monogramem.

W każdym razie zdawało się, że facet zadowolony się rachunkiem, który oglądał przez kilka sekund. Potem spojrzął na arkusz papieru, jakby dopasowywał nazwiska. Popiół złamał się i odpadł od papierosa na mój rachunek hotelowy. Rozejrzałem się za gaśnicą albo wyjściem ewakuacyjnym.

W końcu Wredniak podniósł łeb, zamachał rachunkiem jak niezadowolony gość hotelowy i powiedział coś do tego, który mnie przyprowadził; ten wziął rachunek i skinął na mnie ręką. A my narzekamy na naszych niegrzecznych urzędników państwowych.

Tak czy owak, ruszyłem za nim długim prostym korytarzem, zastanawiając się, czy zrozumieli, czego chcę, czy też wzięli mnie za egzekutora rachunków z hotelu Rex, poszukującego faceta nazwiskiem Mang, który zmył się bez śladu. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo użyteczna jest Susan.

Jakkolwiek było, facet zatrzymał się i zastukał do drzwi z numerem sześć. Otworzył je, ale gestem kazał mi się cofnąć. Wszedł, padły jakieś słowa, a potem wyszedł i wskazał otwarte drzwi.

Wszedłem do małego pomieszczenia bez okien. Przy drewnianym stole siedział pułkownik Mang, a na blacie leżał rachunek z hotelu, gazeta, aktówka, czajnik do herbaty,

kubek i popielniczka, z której wysypywały się pety. Było jasne, że to nie jest jego gabinet, który, jak podejrzewałem, mieścił się w sekcji A. To była sala przesłuchań.

- Siadać - powiedział pułkownik Mang.

cienkie, szyderczo wykrzywione wargi i napięta skóra sprawiały, że wyglądał jak po przejściu. Wyglądał tak samo nieprzyjemnie jak na lotnisku. Wąskie oczy, wysokie policzki, sześciu operacji plastycznych. Jego głos też działał mi na nerwy, tak jak za pierwszym razem.

Pułkownik Mang udawał przez chwilę, że przegląda papiery na biurku, a potem podniósł głowę i powiedział:

- Więc przyniósł mi pan plan swojej podróży.

- Mhm, przyniosłem. A pan przyniósł mi mój paszport i wizę, którą zabrał pan z hotelu.

Pułkownik Mang popatrzył na mnie długo.

- Plan pańskiej podróży - rzucił.

- Dzisiaj wyjeżdżam do Nha Trang - odparłem. - Zostanę tam cztery lub pięć dni, a potem jadę do Hue.

- Tak? A jak pan dojedzie do Nha Trang?

- Zwróciłem się do agentki biura podróży o załatwienie środka transportu. Bilet będzie na mnie czekał w hotelu Rex.

- I nie ma pan biletu, żeby mi pokazać?

- Nie.

- Więc może pojedzie pan samochodem.

- Może.

- Jeśli tak, to musi pan podróżować przez Vidotour, oficjalną agencję turystyczną. To jest zalegalizowany sposób podróżowania samochodem z kierowcą w Wietnamie. Nie może pan wynająć prywatnego samochodu i kierowcy.

- Jestem pewien, że w biurze podróży o tym wiedzą.

- Wiedzą. Ale nie zawsze przestrzegają tej procedury. Jeśli będzie pan podróżować samochodem, musi pan załatwić to przez Vidotour, i musi pan powiedzieć w biurze Vidotouru, żeby skontaktowano się z moim urzędem i podano nazwisko kierowcy i numer rejestracyjny samochodu.

- To brzmi rozsądnie. - Dobra wiadomość była taka, że najwyraźniej wolno mi było pojechać do Nha Trang. Zła wiadomość była taka, że wolno mi było pojechać do Nha Trang.

- Kim jest ta agentka biura podróży? - spytał pułkownik Mang.

- Nie wiem.

- Czemu pan nie wie?

- Poprosiłem znajomego Amerykanina z Hosziminu o pomoc.

- Tak? A kim jest ten znajomy Amerykanin?

- Bill Stanley. Bank of America.

Pułkownik Mang zawahał się przez chwilę, a potem zanotował to sobie w pamięci. Teraz Bill Stanley miał coś wspólnego z Sheilą O'Connor, na którą nakablowałem pewnemu księdzu w innym życiu. Czasem trzeba na kogoś nakablować, ale nigdy na przyjaciela. Jeśli się tylko da, trzeba wybierać absolwenta uniwersytetu z Ivy League.

- Skąd pan zna tego człowieka? - spytał pułkownik Mang.

- Chodziliśmy razem do Princeton. To taki college.

- Aha... I mówi pan, że on jest w Bank of America?

Coś sprawiło, że opadły mnie złe przeczucia.

- Zdaje mi się, że tak powiedział.

Pułkownik Mang skinął głową, a potem rzekł:

- Niech pan poinformuje tę agentkę biura podróży, że musi dzisiaj rano zadzwonić do tego urzędu i poprosić mnie do telefonu.

- Dlaczego?

- Zadaje pan za dużo pytań, panie Brenner.

- To pan zadaje za dużo pytań, pułkowniku Mang.

Wkurzyło go to, ale opanował się. Spojrzał na mnie.

- To przez pana w mojej głowie rodzą się pytania - powiedział. - Zawsze mówiłem panu całą prawdę i starałem się współpracować.

- To się jeszcze okaże.

Nie odezwałem się.

- Niech pan powie agentce biura podróży, żeby do mnie zadzwoniła. Gdzie będzie pan mieszkał w Nha Trang?

- W tej chwili nie mam jeszcze rezerwacji.

- Musi pan mieć jakiś adres.

- Będę miał adres, kiedy tam dojadę.

- Dlaczego pan chce jechać do Nha Trang?

- Słyszałem, że jest tam najlepsza plaża w południowo-wschodniej Azji.

To chyba sprawiło przyjemność tej małej gnidzie.

- Faktycznie - odparł. - Ale nie przyjechał pan tak daleko, żeby iść na plażę.

- Byłem tam w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku. - A, tak. Żołnierze z jednostek

bojowych jeździli tam wypoczywać.

Milczałem.

Przez cały czas palił jednego papierosa za drugim, powietrze było gęste od dymu, nie wspominając o wilgotności i zapachu potu, niewykluczone, że mojego.

Pułkownik Mang po raz kolejny zanotował coś na kartce papieru.

- Kiedy pan dotrze do Nha Trang - oświadczył - zgłosi się pan do policji imigracyjnej i poda im swój adres. Jeśli nie znajdzie pan kwatery, proszę ich o tym poinformować. - Spojrzał na mnie i dodał: - Oni postarają się, żeby miał pan miejsce do spania. - Zdawało mi się, że ma na myśli więzienie. - Mają pewne wpływy w hotelach - wyjaśnił Mang i

uśmiechnął się.

- Nie wątpię. Dziękuję panu za pomoc, pułkowniku Mang, i nie będę pana dłużej zatrzymywał.

Rzucił mi wredne spojrzenie.

- To ja pana zatrzymuję dłużej, panie Brenner - oznajmił. Pociągnął łyk herbaty i spytał: - Jak pan zamierza podróżować z Nha Trang do Hue?

- Jak się da.

- Musi pan poinformować policję imigracyjną w Nha Trang o wybranym środku transportu.

- Czy mogą mi pomóc w załatwieniu środka transportu?

Jakby nie dostrzegając mojego sarkazmu, odparł:

- Nie. - Popatrzył na mnie i wypowiedział kwestię zakończoną wielkim pytaniem: - Między wyjazdem z hotelu w Hue i zameldowaniem się w Metropole w Hanoi ma pan pięć dni. Co pan zamierza z nimi zrobić?

Cóż, musiałem pojechać z tajną misją do Tam Ki, ale tak naprawdę chciałem jechać do Waszyngtonu i skrócić Karlowi kark.

- Panie Brenner?

- Zamierzam podróżować wzdłuż wybrzeża do Hanoi... pociągiem bądź autobusem

- Pociągi nie kursują przez cztery dni po sobocie. Autobus nie jest odpowiedni dla obcokrajowców.

- Doprawdy? Cóż, wynajmę samochód z kierowcą. Przez Vidotour, naturalnie.

- Dlaczego woli pan podróżować samochodem, a nie samolotem?

- Pomyślałem, że to będzie pouczające zobaczyć Wietnam Północny w drodze do Hanoi.

- Czego pragnie się pan nauczyć?

- Jak żyją ludzie. Ich zwyczajów i stylu życia.

Zastanowił się nad tym przez chwilę i poinformował mnie:

- Przez dziesięć lat ludność na północy cierpiała i ginęła od amerykańskich bomb i pocisków z okrętów liniowych. Polecam panu tunele Vinh Moc, gdzie mieszkańcy tego nadmorskiego miasta

spędzili siedem lat pod ziemią w czasie amerykańskiego bombardowania. Być może przekona się pan, że ci ludzie nie będą do pana tak przyjaźnie nastawieni jak tutaj, w byłym amerykańskim marionetkowym państwie. Pułkownik Mang mógłby być dobrym przewodnikiem po Kong Świecie.

- A więc chcę czerpać naukę z tego doświadczenia - powiedziałem.

Zdawało się, że obraca tę myśl w głowie. Na miejscu pułkownika Manga nie naciskałbym tak bardzo Paula Brennera pytaniami o jego luźny harmonogram podróży z Hue do Hanoi. Bo jeśli Paul Brenner coś knuje, to najpewniej wyjdzie to na jaw w ciągu tych właśnie dni.

- Wolno panu podróżować na północ z Hue do Hanoi wszelkimi legalnymi środkami, jakie ma pan do dyspozycji - poinformował, przyglądając mi się.

Nasze oczy się spotkały. Obaj wiedzieliśmy, że wciskamy sobie kit, aż uszami wychodzi.

Pułkownik Mang zrobił kilka kolejnych notatek na kartce papieru; chociaż jestem wyćwiczony w czytaniu do góry nogami, to po wietnamsku nie umiem czytać nawet normalnie. Po chwili powiedział:

- Kiedy będzie pan w Hue, odwiedzi pan miejsca w okolicy, gdzie pan kiedyś stacjonował. Zgadza się?

- Zamierzam zrobić całodzienną wycieczkę do miasta Quang Tri i zobaczyć swoją dawną bazę.

- Hm - mruknął pułkownik Mang. - Będzie pan zawiedziony. Nie ma już miasta Quang Tri. Tylko wioska, i żadnych śladów dawnej amerykańskiej bazy. Wszystko zostało kompletnie zniszczone przez amerykańskie bomby w siedemdziesiątym drugim roku. - Nie odpowiedziałem. - Zgłosi się pan na policji imigracyjnej w Hue - ciągnął Mang. Oparł się na krzesło, zapalił kolejnego papierosa i popatrzył na mnie przez chmurę dymu. - Więc jak pan spędził czas w Hosziminie?

Nie chcąc go znów wpieniać nazwą miasta, odparłem:

- W Hosziminie zobaczyłem wiele wspaniałych miejsc. Idąc za pańską radą, odwiedziłem Muzeum Amerykańskich Zbrodni Wojennych. - Nie wydawał się szczególnie zaskoczony, co kazało mi się zastanowić, czy byłem śledzony. - Zobaczyłem na zdjęciach, co się stało z południowowietnamskimi żołnierzami i Montagnardami z gór, którzy nie złożyli broni po kapitulacji - mówiłem dalej. - Zapłacili wysoką cenę, a powinni byli pójść do obozów reedukacyjnych, tak jak miliony innych ludzi, i wyszliby stamtąd jako szczęśliwsi i lepsi obywatele Republiki Socjalistycznej. - Pułkownik Mang nie był przekonany do mojego entuzjazmu i nawrócenia. Może smarowałem za grubo, ale nie było powodu, żeby przestawać. - Tego samego wieczoru zjadłem kolację w restauracji na dachu hotelu Rex,

gdzie amerykańscy generałowie ucztowali, podczas gdy ich żołnierze walczyli i ginęli na polach ryżowych i w dżungli.

Znów nawiązałem kontakt wzrokowy z pułkownikiem Mangiem. Gdyby był bystry, już by wiedział z rachunku hotelowego, gdzie jadłem kolację i że nie jadłem jej sam, chyba że lubię się obżerać. Ale on tylko się na mnie gapił.

- W niedzielę poszedłem zobaczyć były pałac prezydencki, gdzie Diem i Thieu żyli jak cesarze, podczas gdy ich żołnierze i lud cierpieli i ginęli. - Ponownie nie mogłem odczytać z jego twarzy, czy już o tym wie. Uznałem, że przeceniłem sprawność państwa policyjnego. - Jestem pod wielkim

wrażeniem wszystkiego, po tym co zobaczyłem i czego się dowiedziałem. - Trochę rzeźbiłem... jak pensjonariusz obozu reedukacyjnego, który robi wszystko, żeby wyjść.

Pułkownik Mang słuchał mojej relacji z licznych chwil objawienia, kiwając głową. Zdawało się, że wszystko łyka. Gdybym był kupił wtedy te sandały Ho Szi Mina, położyłbym nogi na biurku Manga, ale wyglądało na to, że dobrze mi idzie bez rekwizytów. w moją stronę. - W niedzielę pojechałem do tuneli Cu Chi - oznajmiłem. Pułkownik Mang pochylił się

- Tak? Wybrał się pan do tuneli Cu Chi? - Nagle uprzytomnił sobie, że zamiast być nieprzeniknionym, okazał autentyczne zaciekawienie. - Jak pan się tam dostał?

- Autokarem wycieczkowym. To było naprawdę niesamowite. Dwieście kilometrów tuneli, pod samym nosem południowowietnamskiej i amerykańskiej armii. Jakim cudem udało im się ukryć taką masę ziemi?

Pułkownik Mang odpowiedział na moje retoryczne pytanie,

- Ziemia była wrzucana do strumieni i kraterów po bombach przez tysiące miejscowych wieśniaków, po kilogramie na raz. Kiedy cały naród pracuje jak jeden mąż, wszystko jest możliwe.

- Teraz rozumiem. Cóż, to było szalenie pouczające i z całą pewnością zmieniło moje myślenie o wojnie. - No dobra, zrywajmy się stąd.

Pułkownik Mang milczał przez chwilę.

- Dlaczego podróżuje pan samotnie? - spytał.

- Dlaczego? Dlatego że nie mogłem znaleźć nikogo, kto by ze mną pojechał.

- Czemu nie przyłączył się pan do wycieczki weteranów? Są mężczyźni, którzy mają wspólne doświadczenia i przyjeżdżają tutaj w zorganizowanych grupach.

- Słyszałem o tym, ale chciałem przyjechać w czasie świąt Tet, a poza tym podjąłem decyzję w ostatniej chwili.

Mang zerknął na moją wizę.

- Data sprzed dziesięciu dni - zauważył.

- Właśnie. Decyzja podjęta w ostatniej chwili.

- Amerykanie zwykle planują wiele miesięcy naprzód. Stało się oczywiste, że właśnie to zwróciło uwagę faceta w budce kontroli paszportowej. Karłowi należał się kopniak w jaja.

- Jestem na emeryturze, po prostu jeżdżę, gdzie chcę i kiedy chcę.

- Tak? Przecież pański paszport został wydany kilka lat temu, a na kartkach nie ma żadnych stempli wizowych ani wyjazdowych.

- Podróżuję po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

- Rozumiem. Więc to jest pańska pierwsza zagraniczna podróż?

- Od chwili wydania paszportu.

- Aha.

Pułkownik Mang rzucił mi spojrzenie, które miało sugerować, że jest trochę dezorientowany

niespójnością moich odpowiedzi.

Nagle zmienił temat.

- Jest pan żonaty?

- To osobiste pytanie, pułkownik Mang - odparłem.

- Nie ma osobistych pytań.

- Tam, skąd pochodzę, są.

- Tak? I może pan odmówić policjantowi odpowiedzi na pytanie?

- Zgadza się.

- I co się dzieje, kiedy pan odmawia?

- Nic.

- Słyszałem o tym, ale nie wierzę - powiedział.

- Więc niech pan pojedzie do Stanów i pozwoli się aresztować.

Nie uznał tego za zabawne. Pogmerał wśród papierów na biurka, a ja wciąż nie widziałem mojego paszportu.

- Widział pan wiele prostytutek w Hosziminie. Mam rację?

- Być może.

- Obsługują obcokrajowców. Wietnamczycy nie chodzą do prostytutek. Prostyucja nie jest legalna w Wietnamie. Widział pan bary karaoke i salony masażu. Widział pan narkotyki na sprzedaż i wiele innych przykładów dekadencji w Hosziminie, dekadencji, która jest skutkiem zachodnich wpływów. Myśli pan, że sytuacja wymknęła się policji spod kontroli, że rewolucja uległa zepsuciu. Mam rację?

- Tak.

- Są dwa miasta, które istnieją w tym samym miejscu i czasie - poinformował mnie Mang. - Sajgon i Hoszirnin. Pozwalamy Sajgonowi istnieć, bo w tej chwili jest użyteczny. Ale pewnego dnia Sajgonu nie będzie.

- Wydaje mi się, pułkownik Mang, że zagraniczni kapitaliści mogliby się z panem nie zgodzić.

- Możliwe. Ale oni też będą tu tak długo, jak długo będziemy chcieli. Kiedy nadejdzie czas, strząśniemy ich z siebie, tak jak pies strząsa pchły.

- Nie byłbym tego taki pewny.

Wcale mu się to nie spodobało; wlepił we mnie gały i długo się gapił. Wreszcie postanowił zmienić temat.

- W trakcie swoich podróży, panie Brenner, widzi pan spustoszenia, których nie naprawiono, a które są dziełem waszych wojsk.

- Zdaje mi się, że obie strony niszczyły. To była wojna.

- Proszę mnie nie pouczać, panie Brenner.

- Proszę nie obrażać mojej inteligencji, pułkownik Mang. Wiem, jak wygląda wojna.

Zignorował to i kontynuował wykład:

- Teraz zobaczy pan kraj żyjący w pokoju, po raz pierwszy od stu lat rządzony przez naród wietnamski.

Biedny pułkownik Mang. Był prawdziwym patriotą i próbował stawić czoło facetom w Hanoi, którzy sprzedawali kraj rekinom, takim jak: Coca-Cola, Sony i Credit Lyonnaise. To musiała być naprawdę gorzka pigułka do przełknięcia dla tego starego wiarusa, który poświęcił młodość i rodzinę dla sprawy. Tak jak większość żołnierzy, ze mną włącznie, nie rozumiał, jak politycy mogą oddać coś, co zostało okupione krwią. Prawie czułem to, co on, i miałem ochotę mu powiedzieć: „Słuchaj, stary, wszystkich nas wydmuchali - ciebie, mnie i naszych zabitych kolegów, wszystkich nas puścili w maliny. Ale zapomnij o tym. Na świecie nastał nowy porządek”.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę nowy Wietnam - stwierdziłem jedynie.

- Tak? A kiedy odwiedzi pan dawne pola bitwy, co pan będzie czuł?

- Byłem kucharzem - odparłem. - Ale gdybym był żołnierzem z jednostki bojowej, nie mam pojęcia, co bym czuł, dopóki nie stanąłbym na polu bitwy.

Mang skinął głową. Po kilku sekundach powiedział:

- Gdy przyjedzie pan do Hanoi, jeszcze raz zgłosi się pan do urzędu policji imigracyjnej.

- Dlaczego? Następnego dnia wyjeżdżam.

- Może. A może nie.

Nachyliłem się do pułkownika Manga.

- Pierwsze kroki w Hanoi skieruję do amerykańskiej ambasady - oświadczyłem.

- Tak? A w jakim celu?

- Zostawiam to panu do przemyślenia.

Pułkownik Mang zastanowił się nad tym chwilę.

- Czy kontaktował się pan z miejscowym konsulatem? - zapytał.

- Przez mojego tutejszego znajomego zgłosiłem swoją obecność w Hosziminie, zawiadomiłem o kłopotach na lotnisku, odebraniu paszportu i dacie przyjazdu do Hanoi. - I

dodałem: - Mój znajomy skontaktuje się, bądź już się skontaktował, z amerykańską ambasadą w Hanoi.

Pułkownik Mang nie odpowiedział. Spodobał mi się temat ambasady amerykańskiej, więc kontynuowałem: - Myślę, że to bardzo dobrze, że Waszyngton i Hanoi nawiązały stosunki dyplomatyczne.

- Tak pan uważa? Ja nie.

- A ja tak. Czas pogrzebać przeszłość.

- Jeszcze nawet nie pogrzebaliśmy wszystkich poległych, panie Brenner.

Chciałem mu powiedzieć, że wiem o równaniu z ziemią przez komunistów cmentarzy południowowietnamskich żołnierzy, ale i tak załatwiłem mu już za skórę.

- Gdyby Ameryka nie miała tu swoich dyplomatów, komu mógłbym się poskarżyć na pańskie zachowanie? - spytałem.

Mang uśmiechnął się.

- O wiele bardziej mi się podobało po siedemdziesiątym piątym roku - poinformował mnie.

- Nie wątpię. Ale teraz jest nowy świat i nowy rok.

Zignorował to.

- Czy podał pan swojemu znajomemu, panu Stanleyowi, plan podróży?

- Podąłem.

Mang znów się uśmiechnął.

- To dobrze. Więc jeśli po drodze spotka pana jakaś nieszczęśliwa przygoda i nikt nie zobaczy pana w Nha Trang lub w Metropole w Hanoi, pańska ambasada i policja będą mogły włączyć się do śledztwa.

- Nie przewiduję żadnych nieszczęśliwych przygód, jeśli jednak coś mi się stanie, moja ambasada będzie wiedziała, gdzie zacząć śledztwo.

Zdawało się, że wymiana subtelnych gróźb sprawia Mangowi przyjemność. Myślę, że na jednym poziomie mnie docenił. Poza tym do tego czasu zaczął już podejrzewać, że on i ja robimy w podobnym biznesie. A ja byłem raczej pewien, że pułkownik Mang siedzi kilka szczebli wyżej niż policja imigracyjna; wypożyczył tę zapchlona norę, pełną wycieczkowiczów i plakatów z kondomami. Prawdziwy dom pułkownika Manga znajdował się w sekcji A albo może B. Sekcja C miała sprawić, żeby podejrzany czuł się swobodniej i mniej się pilnował. A w razie zawiadomienia przeze mnie ambasady lub Karla nikt nie przejąłby się tak bardzo policją imigracyjną jak służbą bezpieczeństwa czy policją narodową.

Przyszło mi też do głowy, że zadziałało tu jakieś przewrotne prawo symetrii - ja nie byłem wojskowym kucharzem ani turystą, a pułkownik Mang nie był w policji imigracyjnej. I żaden z nas nie mógł liczyć na nominację do Oscara za najlepszą rolę męską.

- Pułkowniku, muszę wrócić do hotelu, bo się spóźnię - oznajmiłem. - Dziękuję za poświęcony czas i wskazówki.

Udał, że nie słyszy, i spojrzał na rachunek z hotelu.

- Bardzo droga kolacja - zauważył. - Jadł pan sam?

- Nie.

Nie zadawał więcej pytań i nie prosił o pieniądze. Wziął skrawek taniego papieru i coś napisał, a potem podniósł z blatu gumową pieczętkę i przyłożył ją na kartkę.

- Pokaże pan to policji imigracyjnej wszędzie tam, gdzie się pan zgłosi - rzekł. Podał mi podstemplowany papierek, rachunek hotelowy, paszport, wizę i jeszcze jeden kawałek papieru z literą C, tym razem żółtego koloru. - Zabierze pan tę przepustkę i pójdzie prosto do biurka w holu, i da ją człowiekowi, który tam urzęduje. - Uśmiechnął się i dodał: - Niech pan nie zgubi przepustki,

panie Brenner, bo inaczej nigdy pan nie wyjdzie z tego budynku.

Pułkownik Mang miał mizerne poczucie humoru, wypaczone, ale przynajmniej się starał. Wstałem.

- To była ciekawa wizyta, lecz nie chcę zabierać więcej czasu - stwierdziłem.

Zignorował to i rzekł:

- Jeśli zrobi pan odstępstwo od planu podróży, proszę zawiadomić najbliższą komendę policji imigracyjnej. Miłego dnia. - Dziękuję za zwrócenie mojej pamiętki do pokoju.

- To wszystko, panie Brenner.

Nie mogłem się oprzeć, musiałem to powiedzieć:

- Chuc Mung Nam Moi.

- Proszę wyjść, zanim zmienię zdanie.

Cóż, tego byśmy nie chcieli, więc wyszedłem.

Na zewnątrz nie było nikogo, kto mógłby mnie eskortować, więc po prostu ruszyłem korytarzem

Doszedłem do głównego holu i podałem facetowi moją żółtą przepustkę. Wskazał frontowe drzwi i rzucił:

- Iść.

Skierowałem się do drzwi. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego było kiepską imitacją Orwellovskiego Ministerstwa Miłości, ale wyczuwało się namacalną obecność aparatu przemocy - nagromadzone przez dziesięciolecia: strach, zastraszenie, przesłuchania, krew, pot i łzy.

Wyszedłem z budynku w blask słońca. Tak jak powiedziała Susan, nie było żadnych taksówek; pokonałem całą przecnicę, zanim jakaś podjechała do krawężnika i zatrzymała się. Wsiadłem

- Do hotelu Rex - powiedziałem.

Pojechaliśmy. Zerknąłem na kartkę, którą dał mi pułkownik Mang. Było to długie zdanie po wietnamsku, z wyjątkiem moich personaliów. Rozpoznałem też słowo *My* - Amerykanin.

Pułkownik Mang podpisał wiadomość pełnym nazwiskiem, które brzmiało Nguyen Qui Mang; po nazwisku następował stopień, *dai-ta*. Wszędzie pełno tych Nguyenów. Stempel na kartce składał się z czerwonej gwiazdy i szeregu słów, między innymi *phong quan ly nguoi nuoc ngoai*. Włożyłem kartkę do kieszeni, dość mocno wkurzony, że muszę nosić ze sobą świstek od gliniarza.

Było parę minut po dziewiątej, nie więcej niż dziesięć, gdy wróciłem do hotelu.

Wszedłem do holu, gdzie już czekała Susan Weber; siedziała w fotelu naprzeciwko drzwi, ubrana w granatowe spodnie, buty z cholewami i jasnobrązową bawełnianą koszulę z podwiniętymi rękawami. Zobaczyła mnie, wstała i podeszła spieszenie, jakbyśmy byli kochankami na sekretnej schadzce. Żadne z nas nie chciało zbytnio dramatyzować, więc tylko podaliśmy sobie ręce, bez obejmowania się i obcałowywania.

- Jak poszło? - spytała Susan. - Świetnie. Wolno mi się włączyć. A co z biletem?

- Załatwiłam ci bilet na pociąg do Nha Trang.

- Super. Jesteś wspaniała.

- Ale nie mam go tutaj, a pociąg odjeżdża o dziesiątej piętnaście.

- Jak daleko stąd do dworca?

- O tej porze około dwudziestu minut jazdy. Więc co mówił pułkownik Mang?

- Jestem zresocjalizowany.

Uśmiechnęła się.

- Czy trzymałeś swoją mądrą buzię na kłódkę?

- Robiłem, co w mojej mocy. Powiedział, że prostytutki, narkotyki, bary karaoke i ty wkrótce przejdziecie do historii. - Potem dodałem: - Nie wymienił cię z nazwiska, oczywiście.

- Nie musi się skończyć aż tak źle.

- Zdaniem pułkownika Manga, musi. On ma poważny problem z podwójnym myśleniem i obawiam się, że może się to skończyć załamaniem nerwowym. Ale wracając do biletu. Kiedy będzie? - Lada chwila. I dziękuję za szklaną kulę. Czy to dla mnie?

- Tak, to niewiele, lecz tobie wiele nie potrzeba.

- Liczą się chęci.

- Właśnie. Muszę uregulować rachunek... - zacząłem.

- Już załatwione.

- To nie było konieczne.

- Mogło być, a ty będziesz miał czas, żeby mi opowiedzieć o dwudziestodolarowym rachunku za masaż. - Uśmiechnęła się.

- Już ci mówiłem, przesadziłem z napiwkami. - Nie rozwijaliśmy tego tematu. - Pułkownik Mang chce, żeby twoja znajoma agentka z biura podróży zadzwoniła do jego miejsca pracy i się przedstawiła. Przepraszam, jeśli to będzie problem. On nalegał.

- W porządku. Vidotour zgłasza wszystko, ale prywatne biura nie, chyba że otrzymują wyraźne polecenie. Zadzwoń do niej.

- Czy Bill korzysta z usług tej samej agentki?

- Czasami. Czemu pytasz?

- Bo to właśnie on zadzwonił do niej w moim imieniu. Nie chciałem podawać twojego nazwiska.

- O... no cóż, nie szkodzi. Zatelefonuję do niego i wszystko sprostuję.

- Powiedz, że dziękuję za to, że umożliwił mi wyjazd z Sajgonu. To powinno go uszczęśliwić.

Susan nie skomentowała moich słów.

- Czy pułkownik Mang dał ci jakąś kartkę albo pismo?

Pokazałem jej świstek od Manga.

- Co napisał?

Spojrzała na kartkę i oddała mi.

- „Zanotować adres Paula Brennera, Amerykanina, czas przybycia i wyjazdu i środki transportu do i od miejsca waszej placówki”.

Skinąłem głową. Nie było tam polecenia: „Zgłosić służbie bezpieczeństwa”, ale to rozumiało się samo przez się.

- Kiedyś tak po prostu było, że cudzoziemcy rejestrowali się na policji imigracyjnej. Trzeba było mieć pozwolenie na podróż oprócz paszportu i wizy. W ciągu kilku ostatnich lat podróżowanie nie jest już obłożone takimi restrykcjami.

- Nie dla mnie.

- Jak widać, nie. Zadzwoń do paru osób. - Po chwili wyjaśniła: - Może ktoś coś wie o pułkowniku Nguyenie Oni Mangu.

Podeszła do drzwi, gdzie był lepszy zasięg, i zaczęła dzwonić. Nie cierpię, gdy inni ludzie załatwiają za mnie moje sprawy, i prywatnie nigdy na to nie pozwalałam, ale kiedy wykonuję zadanie, zasada numer jeden brzmi: najpierw misja, potem Paul Brenner, a wszyscy inni na końcu. To nie dotyczy Susan, rzecz jasna, i prawdopodobnie nie powinno dotyczyć Billa Stanleya. Nie było to nic wielkiego, chociaż zauważyłem, że Susan jest trochę strapiona albo poirytowana.

Po chwili skończyła rozmowy.

- Wszystko wyjaśnione - powiedziała.

- Bill się ucieszył, że podałem jego nazwisko pułkownikowi Mangowi?

- Mogłeś posłużyć się moim nazwiskiem - odparła.

- Nie, nie mogłem. Nie chciałem żeby pułkownik Mang cię przesłuchiwał i dopatrywał się sprzeczności w mojej rozmowie z nim.

- Myślę, że zachowałeś się po rycersku.

- Przeliteruj to. Zauważyłem mniej więcej dwunastoletniego chłopca, który wszedł do holu. Susan podeszła do niego i coś powiedziała. Dał jej kopertę, ona wręczyła mu napiwek, potem powiedziała coś do mojej znajomej, panny Lan, a następnie wskazała gestem drzwi.

Sprawy nabrały tempa i po chwili staliśmy z Susan na chodniku.

- To moja taksówka, twoje rzeczy są w bagażniku. Jedźmy.

Wsiedliśmy, Susan powiedziała coś do kierowcy i mszyliśmy.

- Nie musisz jechać ze mną na dworzec... - odezwałem się.

- Załatwimy wszystko o wiele szybciej, jeśli z tobą będę, chyba że w ciągu kilku ostatnich godzin nauczyłeś się czytać i mówić po wietnamsku.

- Dobra. Dzięki. Wezmę bilet.

- Ja go zatrzymam. Muszę go pokazać na dworcu. Nie masz miejscówki, ale załatwiłam ci wagon. To wagon drugiej klasy; będzie w nim pełno Wietnamczyków i każdy ustąpi ci miejsca za pięć dolców. Nie można tego zrobić w pierwszej klasie, bo tam większość

pasażerów to cudzoziemcy i każą ci się odpieprzyć. Jasne?

- Kiedy wrócisz do biura, chcę żebyś dała znać mojej firmie faksem albo e-mailem, że wyjechałem do Nha Trang. Powiedz im, że pułkownik Mang kazał mi się zgłosić na policji imigracyjnej, ale nie sędzę, żeby misja została zdemaskowana, chociaż możliwe, że jestem pod obserwacją. Dobrze?

Susan milczała chwilę.

- Pomyślałam, że będą siedzieć jak na szpilkach, czekając na to, co wyniknie z twojego spotkania, więc z holu Reksa zadzwoniłam do konsulatu. Mówiłam krótko, na wypadek gdyby rozmowa była monitorowana. Skontaktowałam się z facetem, który zna te sprawy. Wydaje mi się, że jest rezydentem CIA. Przekazałam tylko: „Może podróżować. Proszę przekazać to jego firmie”. Dobra?

Zastanowiłem się.

- Dobra. Ale wyślij im e-mail albo faks z pełnym raportem, kiedy wrócisz do biura.

- Wyślę.

Dworzec znajdował się na północ od centrum i w ciągu kwadransa stanęliśmy koło wejścia wśród dziesiątek taksówek, autobusów i roju ludzi.

Susan dała kierowcy piąta i wysiedliśmy, a on otworzył bagażnik. Wyjąłem moje torby i zauważyłem duży żółty plecak. Susan wyciągnęła go, zatrzasnęła klapę i założyła na plecy.

- No dobrze, chodźmy.

- Zaraz, chwileczkę...

- Paul, bo spóźnimy się na pociąg.

My? Wszedłem za nią do budynku dworca, ciągnąc za sobą walizkę przez duży główny terminal. Susan zerknęła na tablicę informacyjną.

- Tor piąty. Tędy. Chodźmy - rzuciła. Ruszyliśmy żwawo; hala była zatłoczona podróżnymi.

- Tutaj możemy się pożegnać.

- Nienawidzę pożegnań.

- Susan...

- Czuję się odpowiedzialna za to, żebyś dotarł do Nha Trang. Potem zostaniesz sam.

Zgoda?

Nie odpowiedziałem.

Dotarliśmy na peron; pokazała kobiecie przy bramce dwa bilety. Zamieniły kilka zdań.

Susan dała jej dolara i kobieta przepuściła nas machnięciem ręki.

- Wagon dziewiąty - oznajmiła Susan. - To na samym końcu, oczywiście.

Mój zegarek wskazywał dziesiątą dwanaście; konduktor wzywał wszystkich po wietnamsku do wsiadania, co mogłoby być zabawne, gdybym był w lepszym nastroju.

a Susan za mną. Staliśmy w końcu korytarza; sapałem, dyszałem i pociłem się. Doszliśmy do wagonu dziewiątego, dźwignąłem swoją walizkę, wskoczyłem do środka,

Konduktor krzyknął po raz ostatni, drzwi się zamknęły i pociąg zaczął ruszać. Staliśmy, patrząc na siebie, a pociąg powoli nabierał prędkości, oddalając się od stacji.

- Ile ci jestem winien za bilet? - spytałem.

- Później się rozliczymy - odparła z uśmiechem.

- Naprawdę się tego nie spodziewałem.

- Oczywiście, że się spodziewałeś. Jesteś szpiegiem. Zauważyłeś, że nie jestem ubrana do pracy. Miałam bilety. Zadzwoiłam wcześniej do konsulatu. Przestałam mówić o tym, że chcę z tobą jechać. Trzymałam taksówkę, w której był twój bagaż... i mój. Więc jaka była twoja pierwsza wskazówka?

- Chyba wszystkie.

- To przestań udawać zaskoczonego.

- Słusznie.

- Chcesz, żebym z tobą jechała?

- Tak.

- Dobrze. Zostanę w Nha Trang tylko kilka dni, a potem wracam do Sajgonu.

- Załatwiłaś hotel?

- Nie, znajdziemy ten hotel, w którym mieszkałeś w czasie urlopu... jeśli jeszcze tam stoi.

Zauważyłem, że wagon jest wypełniony ludźmi, bagażami, pudłami i bodaj wszystkim prócz zwierząt gospodarskich.

- Może lepiej nam będzie tu stać.

- Do Nha Trang jedzie się pięć lub sześć godzin - odparła Susan. - Kupimy dwie miejscówki..

Pociąg jechał przez północne przedmieścia Sajgonu; zobaczyłem podchodzący do lądowania myśliwiec, rosyjski MiG, na lotnisku, które musiało być częścią bazy lotniczej Bien Hoa, mojego dawnego domu daleko od domu.

Do korytarza wszedł konduktor, Susan zagadnęła go, po czym odliczyła dwanaście

jednodolarowych banknotów, wręczyła mu i mężczyzna wyszedł.

- On to załatwi - powiedziała. - Reszta dla niego.

Tory skręciły na wschód, w stronę wybrzeża; za oknami przesuwały się peryferie Sajgonu. Widziałem domy przypominające szopy; pamiętałem je z siedemdziesiątego drugiego roku, kiedy prawie milion uciekinierów schroniło się w stosunkowo bezpiecznym Sajgonie.

- Naprawdę uwielbiam plażę - odezwała się Susan. - Masz kostium?

- Tak. Dzięki kostiumom kąpielowym w bagażu urzędowi szperacze łatwiej biorą cię za turystę.

- Wy, szpiegzy, jesteście naprawdę sprytni.

- Nie jestem szpiegiem.

- Racja - Uśmiechnęła się. - Ja niewiele spakowałam, jak widzisz. To tylko parę dni.

Zabrałam kostium kąpielowy. Plaża jest podobno fantastyczna.

- Czy to plaża toplessowa?

Znów się uśmiechnęła.

- Głównie nie przestaje pracować, co? Nie, tutaj me wolno tego robić. Oni mają bzika na tym punkcie. Ale w Vung Tau są odosobnione miejsca, gdzie Francuzi chodzą się kąpać i opalać nago. Jeśli jednak nakryje cię miejscowy gliniarz, masz kłopoty.

- Złapali cię kiedyś?

- Nigdy nie chodziłam bez stanika ani nago. Chciałabym, ale mieszkam tutaj i nie mogę udawać, że nie znam przepisów. - Po chwili spytała: - Więc spędzałeś urlop rekreacyjny w Nha Trang?

- Tak. W maju sześćdziesiątego ósmego roku. Pogoda była dobra. - Myślałam, że wyjechałeś na urlop gdzieś za granicę.

- Były trzydniowe urlopy w kraju dla tych, którzy czymś się zasłużyli.

- Rozumiem. A ty co zrobiłaś, żeby zasłużyć na taki urlop?

- Wynalazłem nowy przepis na chili.

Susan milczała parę sekund.

- Mam nadzieję, że w ciągu kilku następnych dni poczujesz się dość swobodnie, żeby mi opowiedzieć o swoich doświadczeniach z Wietnamu.

- A ty może mi powiesz, dlaczego tu jesteś i dlaczego zostajesz.

Milczała.

Pociąg przejechał na wschód mostem na rzece Sajgon, przez krajobraz poletek ryżowych i wiosek. Spojrzałem na Susan i zauważyłem, że mi się przygląda. Oboje się uśmiechnęliśmy.

- Co ty byś beze mnie zrobił? - powiedziała.
- Nie wiem, ale dowiem się, kiedy wrócisz do Sajgonu - odparłem.
- Po trzech dniach ze mną będziesz gotów, żeby jechać dalej.
- Po trzech dniach z tobą będę potrzebował urlopu rekreacyjno-regeneracyjnego.
- Trzymasz się całkiem nieźle jak na staruszka. Pływasz?
- Jak ryba.
- Chodzisz po górach?
- Jak kozica.
- Tańczysz?
- Jak John Travolta.
- Chrapiesz?

Uśmiechnąłem się.

- Przepraszam - powiedziała. - Tak się tylko wygłupiam.

Pociąg jechał coraz dalej od starego Sajgonu, od nowego Hosziminu, na północ ku Nha Trang, z powrotem do maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku.

KSIĘGA III

Nha Trang

Rozdział 16

Konduktor poprowadził nas przez zatłoczony wagon do miejsc zwolnionych przez dwóch młodych Wietnamczyków. Wrzuciłem walizkę na półkę nad głową, a neseser wsunąłem pod siedzenie. Susan usiadła koło przejścia i wcisnęła plecak pod nogi.

Siedzenie było drewniane i zapewniało dość miejsca na nogi dla kogoś, komu je amputowano. Szerokość była dla nas dobra, ale na prawie wszystkich innych miejscach siedziały po trzy osoby z niemowlętami i większymi dziećmi na kolanach.

Siedzieliśmy po prawej stronie, więc w którymś momencie podróży na północ mieliśmy zobaczyć Morze Chińskie. Nie byto klimatyzacji, ale kilka okien było otwartych, a małe wiatraczki w rogach zapewniały cyrkulację dymu papierosowego.

- Może powinniśmy byli wziąć samochód z kierowcą - powiedziałem.
- Na autostradzie numer jeden moglibyśmy mieć kłopoty. Poza tym to będzie dla ciebie dobre doświadczenie.
- Dziękuję za troskę o rozwój mojego charakteru.
- Bardzo proszę.
- Co przyciąga tutaj wszystkich młodziaków z plecakami?
- No cóż. Wietnam to taniocha. Oprócz tego jest seks i narkotyki. To niezły magnes.

- Słusznie.

- Dziś rozmawiają ze sobą, dzięki poczcie elektronicznej i zapanowała gorączka Wietnamu.

- Kiedy ja tu byłem, też było gorąco. - Po chwili dodałem: - To po prostu wydaje się trochę absurdalne, że państwo totalitarne jest taką atrakcją dla młodych turystów.

- Oni nie myślą tak jak ty. Połowa z nich nie wie, że rządzą tu komuniści, a drugiej połowy to nie obchodzi. Ciebie obchodzi. To twoje pokolenie. Dla was to był wielki upiór. Te dzieciaki wkraczają do świata pokoju za pomocą trawki. Międzynarodowe porozumienie przez kontakt.

- A twoje pokolenie? Jak ty odbierasz Wietnam?

- Pieniądze.

- Czy kiedykolwiek czujesz, że w twoim życiu czegoś brakuje? Czegoś, w co się wierzy i oddaje się wszystko, bo to jest ważniejsze od ciebie? odparła Susan. - Żyjemy w niewiarygodnie nudnych czasach. Wydaje mi się, że chciałabym - To pytanie zabrzmiało ciut zaczepnie, choć może powinnam o tym więcej myśleć - być studentką w latach sześćdziesiątych. Ale nie byłam. Więc duża część tej pustki i pływaczki nie jest moją winą ani winą mojego pokolenia,

- Czy to czasy tworzą pokolenie, czy pokolenie tworzy czasy?

- Mam kaca. Czy możemy trochę pogadać o niczym?

Pogadaliśmy o krajobrazie. W gorącym wilgotnym powietrzu wisiała chmura dymu, a tory były takie, jakby rozwalił je Wietkong i nigdy nie naprawił. Ciekawe, jak może wyglądać autostrada numer jeden?

Jakieś sześćdziesiąt kilometrów za Sajgonem pociąg zatrzymał się po raz pierwszy w miejscowości Xuan Loc, gdzie, jak pamiętałem, znajdowała się baza Black Horse; mieściła się tam kwatera główna Jedenastej Dywizji Kawalerii Pancerniej. sześćdziesiątym ósmym roku. - Pan K., z którym kontaktowaliśmy się w twoim biurze, stacjonował tu w

- Naprawdę? Dlaczego z tobą nie przyjechał?

- Dobrze pytanie. Pułkownik Mang na pewno przypadłby mu do gustu. Są ulepieni z tej samej gliny.

Część pasażerów wysiadła w Xuan Loc, wsiedli nowi. Przywrócono równowagę i harmonię, pociąg ruszył dalej.

Xuan Loc było ostatnim miejscem postoju południowowietnamskiej armii przed upadkiem Sajgonu.

- Jestem zbyt miła i egoistyczna, żeby mnie to obchodziło - odparła Susan, ziewając.

Chyba ją wkurzyłem wcześniejszą rozmową. A może to różnica pokoleniowa. Nagle poczułem, że jestem w średnim wieku.

To była długa noc, po której wcześnie wstaliśmy; Susan usnęła z głową na moim ramieniu. Po kilku minutach i ja spałem.

Obudziliśmy się oboje, kiedy pociąg zbliżył się do Cam Ranh, jakieś cztery godziny jazdy od Sajgonu. Widziałem ogromną zatokę, a także fragmenty dawnych amerykańskich instalacji morskich i jakieś szare okręty wojenne na kotwicy. Dalej na północ, na półwyspie tworzącym zatokę, znajdowała się wielka amerykańska baza lotnicza. Susan już nie spała.

- Byłaś tu kiedyś? - spytałem.

- Nie, nikt tu nie przyjeżdża - odparła. - To w większości teren zamknięty. A ty byłeś?

- Raz. Krótko, w siedemdziesiątym drugim roku. Jako oficer żandarmerii brałem udział w wojskowym śledztwie w sprawie kilku żołnierzy, którzy wpakowali się w kłopoty. Musieliśmy ich zabrać do więzienia LBJ... Long Binh Jail... pod Bien Hoa. W sześćdziesiątym ósmym, kiedy Johnson był jeszcze prezydentem, mawialiśmy do tych, którzy idą do więzienia: „LBJ dopadł cię raz, a teraz dopadnie cię znowu”. Rozumiesz?

- Czy to jest w podręcznikach historii?

- Wątpię.

Spojrzałem przez okno. Amerykańskie instalacje morskie i lotnicze w Cam Ranh były w owym czasie uważane za jedne z najlepszych na Pacyfiku. Po siedemdziesiątym piątym roku Sowieci dostali cały kompleks w prezencie od nowego reżimu.

- Są tu jeszcze Rosjanie?

- Słyszałam, że jacyś zostali - odparła Susan. - Ale z bazy korzysta głównie wietnamska flota. - Potem dodała: - To głęboki port, świetnie nadawałby się dla handlowych kontenerowców i tankowców, ale Hanoi w zasadzie uniemożliwiło budowanie czegokolwiek na tym terenie. Nie sądzę, żeby pozwolono ci odwiedzić bazę, chyba że chcesz zostać zastrzelony.

- W porządku. - A więc były już dwa miejsca... Bien Hoa i Cam Rani... gdzie nie mogłem wrócić do domu.

Pociąg przystanął na stacji Gam Ranh. Wsiadło tylko parę osób, a ci, którzy wsiedli, byli przeważnie wietnamskimi marynarzami i lotnikami; większość stłoczyła się w korytarzu.

Susan wyjęła z plecaka półlitrową butelkę wody, otworzyła ją, napiła się i podała mi. Ruszyliśmy dalej na północ.

Od czasu do czasu widziałem lej po bombie, porzucony czołg, zrujnowane umocnienia z worków z piaskiem albo francuską wieżyczkę strażniczą. Generalnie wydawało się jednak, że wojna została wymazana z krajobrazu, lecz pewnie nie z umysłów ludzi, którzy ją przeżyli, takich choćby jak ja.

Tym razem Susan wyjęła z plecaka jogurt i plastikową łyżeczkę.

- Chcesz trochę?

Ostatni mój posiłek to hamburger w Q-Barze, ale wolałbym skonać z głodu, niż zjeść jogurt.

- Nie, dziękuję. Susan pochłonęła jogurt łyżeczką.

- Czy w tym pociągu jest wagon bufetowy? - spytałem.

- Oczywiście. Przechodzisz przez wagon barowy, potem panoramiczny i już jesteś w wagonie bufetowym.

Z głodu kręciło mi się w głowie, więc byłem gotów w to uwierzyć. Zauważyłem, że wszyscy pasażerowie mają coś do jedzenia i picia.

- Zjem trochę jogurtu - powiedziałem.

Susan wsunęła mi do ust łyżeczkę białej mazi. Nie była taka zła.

Skończyliśmy wodę i jogurt; Susan chciała się zamienić siedzeniami, ale w przejściu nie było miejsca, więc wsunęła mi się na kolana, a potem ja przesunąłem się na jej siedzenie.

- Zróbmy to jeszcze raz - zaproponowałem. Uśmiechnęła się.

Zapaliła poobiedniego papierosa i wydmuchiwała dym przez szparę w pękniętej szybie. Wyjęła z plecaka londyński „Economist” i zaczęła czytać.

Pół godziny po wyjeździe z Cam Ranh i około sześciu godzin po wyjeździe z Sajgonu pociąg zaczął zwalniać, bo zbliżaliśmy się do Nha Trang.

Dojeżdżaliśmy do miasta od zachodu, przez zapierający dech w piersi krajobraz gór schodzących aż do morza. Podnóża gór najeżone były malowniczymi wieżami z cegły; Susan powiedziała, że to wieże Cham, cokolwiek to znaczy. Z lewej strony wśród wzgórz stał ogromny posąg Buddy, a na niewielkim pagórku przed nami, nieco powyżej dworca, wznosiła się katolicka katedra w gotyckim stylu; pamiętałem ją.

Pociąg zwolnił i zatrzymał się na dworcu.

To był ostatni przystanek; pasażerowie łapali dzieci, bagaże i paczki i rzucali się do drzwi; tymczasem tłum na peronie kłębił się, walcząc, żeby wsiąść.

- Po prostu się rozpychaj - poradziła mi Susan, gdy przebijaliśmy się do wyjścia. - Jesteś najwyższym facetem w pociągu i wszyscy z tyłu na ciebie liczą.

W końcu wyskoczyliśmy na peron.

Było tu chłodniej niż w Sajgonie, a powietrze wydawało się tysiąc razy czystsze. Po błękitnym niebie sunęły pierzaste obłoczki.

Dotarliśmy z Susan do niewielkiego budynku dworca, a potem wyszliśmy na zewnątrz, gdzie kilkudziesięciu taksówkarzy czekało na zarobek.

Wsiedliśmy do samochodu i Susan powiedziała coś do kierowcy; taksówkarz nie zrozumiał jej wietnamskiego, poprosił, żeby powtórzyła jeszcze raz, a potem ruszył.

- Co możesz powiedzieć o tym hotelu, w którym spędzałeś urlop? - spytała.

- Był przy południowym krańcu plaży. Kolonialny francuski budynek, może trzypiętrowy. Mógł być biały albo bladoniebieski.

- Nieźle jak na staruszka - skwitowała Susan, po czym wyjaśniła coś kierowcy. Mężczyzna słuchał i kiwał głową.

Przejeżdżaliśmy przez miasto Nha Trang, które nie różniło się od wielu innych nadmorskich kurortów - kamieniczki z dachami pokrytymi czerwoną dachówką, palmy i pnącza bugenwilli. Miasteczko było w lepszym stanie, niż je zapamiętałem z okresu, kiedy roiło się od pojazdów wojskowych i żołnierzy. Na ogół było to bezpieczne schronienie przed wojną i nie pamiętam żadnych większych zniszczeń, chociaż od czasu do czasu Charles spuścił z otaczających wzgórz parę pocisków z moździerza. CIA miała w Nha Trang sporą podstację, co niezawodnie świadczyło, że jest tu bezpiecznie, a w okolicy nie brak dobrych restauracji i barów.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Po kilku minutach taksówka skręciła na południe wzdłuż plaży. Nadbrzeżne budynki były rozmaite: od starych ruder po jasne, nowe hotele i pensjonaty. Po lewej stronie biegła plaża: kilometry białego piasku z palmami, restauracjami i turkusową wodą pod słonecznym niebem. Miała kształt rogala z dwoma przyławkami wysuniętymi w Morze Południowochińskie od północy i od południa. W oddali rysowały się kształty kilku intrygujących wysepek pokrytych ciemnozieloną roślinnością.

- Ależ tu pięknie - powiedziała Susan.

- Tak.

- Właśnie coś takiego pamiętasz?

- Spędziłem tu tylko trzy dni i wydaje mi się, że przez cały czas byłem urąbany.

Taksówka zatrzymała się, kierowca odezwał się do Susan i coś wskazał. Jakieś sto metrów za betonową balustradą biegnącą wzdłuż drogi stał duży, biały, trzypiętrowy budynek ze sztukaterią i dwoma skrzydłami odchodzącymi od głównego korpusu. Na niebiesko-białym szyldzie widniał napis Grand Hotel.

- Kierowca mówi, że to jest jeden z hoteli wykorzystywanych w czasie wojny przez Amerykanów - wyjaśniła Susan. - Nazywał się wtedy Grand, komuniści przemianowali go na Nha Khach Czterdzieści Cztery, co oznacza po prostu hotel numer czterdzieści cztery, a teraz znów nazywa się Grand. Wygląda znajomo?

- Możliwe. Spytaj go, czy w barze jest kelnerka imieniem Lucy.

Susan uśmiechnęła się, powiedziała coś do taksówkarza, a ten skierował wóz między dwie wysokie kolumny i wjechał na okrężny podjazd z ozdobnym basenem pośrodku.

Miejsce rzeczywiście wyglądało znajomo - była także weranda, na której ludzie siedzieli i coś popijali. Jakbym widział Lucy uwijającą się między stolikami.

- To musi być ten hotel - stwierdziłem.

Taksówkarz zatrzymał się przed frontowymi schodami, wzięliśmy nasze bagaże i zapłaciłem mu.

- Mogą nie mieć pokoi - powiedziałem do Susan.

- Pieniądze do nich przemówią.

Wnieśliśmy bagaże po szerokich schodach i przez dwoje szklanych drzwi weszliśmy do holu.

Hol był zniszczony i skąpo umeblowany, ale miał za to cztery i pół metra wysokości i sufit z pękającą gipsową sztukaterią; panowała tu atmosfera niedzisiejszej elegancji. Wzdłuż ściany po prawej stronie biegł długi kontuar, a nad nim wisiała szafka na klucze. Za blatem siedział młody recepcjonista i spał.

- Więc to jest to? - spytała Susan.

Spojrzałem przez łukowate przejście po lewej stronie holu; zobaczyłem jadalnię, w której również panował klimat wyblakłej elegancji, i otwarte szklane drzwi prowadzące na werandę.

- To jest to - potwierdziłem, kiwając głową.

- Doskonale.

Susan uderzyła w guzik dzwonka na blacie i recepcjonista podskoczył, jakby usłyszał świst

nadlatującej kuli.

Opanował skołatane nerwy i rozpoczęli negocjacje. Susan odwróciła się do mnie, mówiąc:

- Twierdzi, że zostały mu tylko drogie pokoje. Są dwa na trzecim piętrze. Każdy pokój ma własną łazienkę i gorącą wodę rano. Pokoje są duże, ale to słowo bywa tu względne. Chce siedemdziesiąt pięć dolców za noc za pokój, co brzmi jak żart; zaproponowałam mu dwieście za pokój na tydzień. Może być?

Kiedy ostatnio ta byłem, płaciła armia; tym razem było tak samo. - Świetnie. Zostajesz na tydzień?

- Nie, ale zrobiłam lepszy interes z opłatami za tydzień. On chce gotówkę.

Wyjąłem portfel i zacząłem odliczać czterysta dolarów.

- Płacę za swój pokój - oświadczyła Susan.

- Powiedz temu facetowi, że byłem tu w czasie wojny; mieli gorącą wodę dwadzieścia prowadziło go amerykańskie wojsko. cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, a w hotelu było o wiele czysciej, kiedy

- Wątpię, czy go to obchodzi - orzekła Susan. Wypełniliśmy formularze meldunkowe i pokazaliśmy paszporty i wizy; recepcjonista uparcie twierdził, że prawo nakazuje mu je zatrzymać. Susan wręczyła mu w zamian dziesięć dolców.

Daliśmy mu po sto dolarów, a on wręczył nam pokwitowania na sto; zagadkowa matematyka. Wydał nam klucze, potem uderzył w dzwonek i zjawił się boy hotelowy. Chłopak wyglądał na dziesięć lat, ale zdołał zarzucić plecak Susan na ramiona i wtaszczyć moją walizkę na trzeci segment schodów.

- Winda jest zepsuta? - spytała Susan, gdy się wspinaliśmy.

- Winda działa jak należy, ale nie ma jej w tym budynku. Jest w tym nowym ładnym, po sąsiedzku - odparłem, po czym dodałem: - Możesz tam zamieszkać, jeśli chcesz. Ja muszę mieszkać tutaj.

- Wiem. Nie chciałam narzekać. Ten hotel ma nawet pewien urok. Jest taki dziwnie staroświecki.

Weszliśmy na trzecie piętro. Korytarze były szerokie, a sufit wysoki. Nad drzwiami znajdowały się prześwity dla poprawienia wentylacji.

Dotarliśmy do mojego pokoju numer trzysta osiem; chłopak wniósł walizkę.

Susan i ja weszliśmy za nim. Pokój był rzeczywiście duży i stały w nim trzy łóżka, jakby w dalszym ciągu był miejscem wypoczynku żołnierzy. Każde łóżko zaopatrzone było w drewnianą ramę, z której zwieszała się moskitiera. Pamiętałem to z pierwszego pobytu. Nostalgia w gruncie rzeczy sprowadza się do umiejętności zapominania tego, co cię wpienia.

Tynkowane ściany pomalowane były na dziwny błękitny kolor nieba; w obszernym pokoju znalazła miejsce osobliwa kolekcja zebranych przypadkowo podłogowych wentylatorów, lamp i tanich nowoczesnych mebli. Z wysokiego sufitu, również pomalowanego na niebiesko, zwisał duży wiatrak.

O tym, że kiedyś bywali tu Amerykanie, świadczyło mnóstwo przewodów elektrycznych, umieszczonych w metalowych rurkach biegnących wzdłuż ścian do standardowych amerykańskich

gniazd, zaopatrzonych teraz w łączniki pozwalające na wykorzystywanie azjatyckich urządzeń. Tak, to było zdecydowanie to miejsce.

- Cóż... nie jest źle.

- Fajna moskitiera - powiedziała Susan, chcąc pokazać, że nie pęka.

Otworzyłem drzwi balkonowe, żeby wpuścić przyjemną bryzę od morza.

Stanęliśmy na balkonie, spoglądając na trawnik, okrężny podjazd, ozdobny basen i plażę z palmami po drugiej stronie drogi. Stało tam mnóstwo rozłożonych leżaków, ale ludzi było niewiele.

- Spójrz na tę wodę, plażę, góry i wyspy. To był dobry pomysł, żeby przyjechać do Nha Trang - stwierdziła Susan. - No dobra, pójdę do swojego pokoju, rozpakuję się i trochę ogarnę. - Zerknęła na zegarek. - Powiedzmy, że spotkamy się na werandzie o szóstej... na drinka. Może być?

- O wpół do siódmej - odparłem. - Muszę wpaść na posterunek policji imigracyjnej i powiedzieć, gdzie mieszkam.

- Aha... Chcesz, żebym z tobą poszła?

- Nie. Spotkamy się na werandzie o wpół do siódmej. Jeśli się spóźnię, nie przejmuj się zbytnio, ale jeśli bardzo się spóźnię, sprawdź, co się dzieje.

- Daj im do zrozumienia, że podróżujesz z kimś. Jeśli będą wiedzieli, że nie jesteś sam, zmniejszy im się ochota na próbowanie.

- Zobaczą, jak się rozwinie sytuacja. Może zauważyłaś, że w pokoju nie ma telefonu. Gdyby tak się stało, że będziesz mi potrzebna, skontaktuję się z recepcją, żeby ktoś cię poszukał. Daj im znać, gdzie będziesz.

- Dobrze. - Spojrzała na klucz. - Mieszkam w trzysta cztery. - Muszę zrobić parę fotokopii.

- Na poczcie. *Buu dien*.

- Do zobaczenia później.

Wyszła z chłopcem hotelowym, a ja zostałem na balkonie, wpatrując się w morze.

Aż trudno uwierzyć, że jeszcze parę dni temu byłem po przeciwnej stronie tej wody, na drugiej stronie wielkiego kontynentu.

Wydaje mi się, że gdzieś w mojej głowie zawsze tkwiła myśl, że wrócę do Wietnamu. I wróciłem.

Zaspany recepcjonista wezwał mi taksówkę. Wyszedłem i w ciągu minuty samochód zatrzymał się na okrężnym podejździe. Wsiadłem.

- *Buu dien. Le Bureau de post. Poczta. Biet?* Taksówkarz skinął głową i ruszyliśmy do *buu dien* w centrum miasta, jakieś dziesięć minut jazdy od hotelu. Kazałem mu poczekać i wszedłem do środka. Za tysiąc dongów, czyli około dziesięciu centów, zrobiłem po trzy odbitki paszportu, wizy i notatki pułkownika Manga. Wsiadłem z powrotem.

- *Phong Quan Ly Nguoi Nuoc Ngoai*. - Chyba niczego nie przekręciłem, bo kilka minut później zajechaliśmy przed placówkę policji imigracyjnej, a nie do sprzedawcy wody butelkowanej. Taksówkarz pokazał na migi, że zaczeka trochę dalej.

Posterunek policji mieścił się w skromnym, otynkowanym budynku z łukowatym wejściem zamiast

drzwi. Poczekalnia była jasna i przestronna, pełna dyżurnych podejrzanych: młodych turystów z plecakami i *Viet-Kieus*, próbujących radzić sobie z biurokratyczną głupotą, obojętnością i lenistwem.

Niewielka policyjna placówka sprawiała wrażenie o wiele mniej oficjalnej niż przytłaczające Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w Sajgonie; w poczekalni stały rowery, a na podłodze widać było piasek z plaży.

Okazałem fotokopie wizy i paszportu znudzonemu policjantowi siedzącemu w niewielkiej wnęce, a także kopię notatki od pułkownika Manga. Przeczytał, podniósł słuchawkę i kogoś zawołał.

- Siadać - powiedział. Stałem.

Po minucie do pomieszczenia wszedł drugi facet w mundurze, zignorował mnie, wziął kartkę od tego przy biurku i przeczytał. Potem spojrzał na mnie i spytał znośnie po angielsku:

- Gdzie mieszka?

- Grand Hotel.

Skinął głową, jak gdyby zadzwonili już z Grand Hotelu, żeby zawiadomić o mojej obecności... i pewnie obecności mojej towarzyszki. Byłem też pewien, że Mang uprzedził policję imigracyjną o mojej spodziewanej wizycie.

- Tutaj z panią? - spytał.

- Panią poznałem w pociągu. Nie moja pani.

- Tak? - Wyglądało, że to kupił, pewnie ze względu na osobne pokoje.

- Wy zostać tydzień - powiedział do mnie policjant.

- Może.

- Gdzie wyjechać z Nha Trang?

- Hue.

Wszystko to działo się w poczekalni, na oczach ciekawej publiczności złożonej z Australijczyków, Amerykanów i innych.

- Pani jechać z wami?

- Może.

- Okej, wy zostawić paszport i wiza. Oddać później.

Byłem na to przygotowany, a wiedząc z pierwszej ręki, że gliny nie lubią negatywnych odpowiedzi, odparłem:

- Okej. - Zabrałem fotokopię paszportu i wizy z biurka gliniarza i podałem mu oryginały razem z banknotem pięciodolarowym, który prędko schował do kieszeni.

- Miłego dnia - powiedziałem i ruszyłem w stronę drzwi.

- Stać.

Odwróciłem się.

- Jak jechać do Hue?

- Autobusem albo pociągiem.

- Tak? Przyjść tu i pokazać bilet. Wy potrzebować stempel podróży.

- Okej.

Wyszedłem. Taksówka czekała na mnie nieco dalej na ulicy.

- Grand Hotel - rzuciłem, wsiadając.

Pojechaliśmy drogą wzdłuż plaży. Pamiętam, że będąc tutaj, spędzałem na plaży dużo czasu, razem z dwoma innymi facetami z pokoju, również weteranami, ale nie z mojej jednostki. Każdy z nas zrobił coś naprawdę odważnego i głupiego, żeby dostać ten trzydniowy urlop, i każdy miał w różnym stopniu rozwiniętą leśną grzybicę, na którą bardzo dobrze działało słońce i słona woda.

W Grand Hotelu było ze stu chłopów i za dnia wyglądał jak przytułek dla wypaleńców. Za dużo spaliśmy i piliśmy za dużo piwa na plaży.

Wieczorem ranni, którzy mogli chodzić, ożywali i aż do świtu włączyliśmy się po barach, burdelach i salonach masażu w mieście. Potem spaliśmy na plaży albo w hotelu i zaczynaliśmy wszystko od nowa; następnego wieczoru tak samo. Ludzie przychodzili i odchodzili i nie zawsze urlopy zbiegały się w czasie, ale można było odróżnić nowicjuszy od starych urlopowiczów: pierwszy dzień to był swego rodzaju szok kulturowy - nie mogłeś uwierzyć, że tam jesteś. Drugiego dnia piłeś i posuwałeś, aż ci się mózg lasował. Trzeciego dnia, kiedy z mózgu niewiele zostało, piłeś i posuwałeś jeszcze więcej, bo wiedziałeś, że zaraz wracasz do piekła.

Nie licząc zaleczenia ran z dżungli, obrzęku krocza i wody w stopie, wróciłem do jednostki w o wiele gorszym stanie, niż z niej wyjechałem. Tak samo zresztą jak wszyscy, ale po to właśnie był urlop.

Taksówkarz wjechał na podjazd Grandu, aż do schodów.

W pokoju rozpakowałem się i wykąpałem w zimnej wodzie. Nie było mydła ani szamponu, ale był ręcznik; wyszedłem z łazienki i wysuszyłem się w sypialni, gdzie wiatrak i otwarty balkon dawały trochę przewiewu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Podeszedłem do nich, lecz nie było judasza.

- Kto tam? - spytałem.

- Ja.

- Już, już... - Owinąłem się ręcznikiem i otworzyłem.

- O... - powiedziała Susan. - Czyżbym zaskoczyła cię w niewłaściwym momencie?

- Wejdz.

Weszła i zamknęła za sobą drzwi.

- Jak poszło? - spytała. - Świetnie. - Miała na sobie białe sednie, szarą koszulkę z napisem Q-Bar, Sajgon i sandały. - Nie podglądaj, to się przebiorę.

Wyszła na balkon, a ja włożyłem czarne bawełniane spodnie i białą koszulkę z kołnierzykiem. Ubierając się, relacjonowałem moje krótkie spotkanie z policją imigracyjną; wspomniałem, że

wiedzieli, że się razem zameldowaliśmy.

- W porządku. Można już na mnie patrzeć,

Susan wróciła do pokoju, a ja wsunąłem na nogi sandały.

- Chodźmy na drinka - zaproponowałem.

znaleźliśmy się na werandzie. Zeszliśmy do holu, potem przeszliśmy przez pustą jadalnię z kredensem w kącie i

Tylko połowa stolików była zajęta; usiedliśmy koło balustrady.

Słońce było teraz za hotelem; weranda znalazła się w cieniu. Nad trawnikiem wiała lekka bryza od morza i poruszała liśćmi palm.

Pozostali goście byli Europejczykami, w większości w średnim wieku. Grand Hotel stanowił nieco za wysokie progi dla młodzieży z plecakami, nie wabił staroświeckością nadzianych Japończyków i Koreańczyków i był absolutnie nie do przyjęcia dla Amerykanów z klasy średniej, może poza nauczycielami. Uznałem, że wszyscy obecni, z wyjątkiem nas, są Europejczykami.

Było bardzo przyjemnie na stiukowej werandzie, z dużymi wiatrakami nad głową i słonym zapachem morza, z widokiem na rozległy trawnik i turkusową wodę sięgającą aż do zielonych wysepek. Byłoby doskonale, gdybym mógł zamówić drinka, ale nigdzie nie widziałem obsługi.

- Zdaje mi się, że sami musimy sobie przynieść drinki - stwierdziłem.

- Ja pójdę. Go chcesz?

- Ja pójdę - rzuciłem, nie odrywając tyłka od krzesła. Kobiety rozumieją, że to kit, więc Susan wstała.

- Co chcesz?

- Zimne piwo. I zobacz, czy mają jakieś przekąski. Umieram z głodu. Dzięki.

Weszła przez balkonowe drzwi do jadalni. Pamiętam, jak siedziałem tu prawie trzydzieści lat temu, i pamiętam damski personel, liczny i bardzo atrakcyjny; dziewczyny były rozanielone, że pracują dla Amerykanów, podczas gdy ich kraj się rozpadał, ich ojcowie, bracia i mężowie wykrwawiali się i umierali razem z Amerykanami, którzy byli tak strasznie daleko od domu; ale tu, w Nha Trang, za drutem kolczastym stał znak z napisem: Śmierci wstęp wzbroniony. Nie było to prawdą, ale zakładało się milcząco, że w tym miejscu nie spotka cię nagły i gwałtowny koniec.

Dla piechociarzy, pilotów helikopterów i strzelców pokładowych, żołnierzy patroli długodystansowych, podziemnych szczurów, sanitariuszy walczących oddziałów i wszystkich innych, którzy widzieli, jak wyglądają ludzie od środka, Nha Trang było więcej niż przystanią... było potwierdzeniem, że gdzieś pośród tego strzelania i umierania istnieje miejsce, w którym ludzie nie noszą broni, gdzie dzień kończy się zachodem słońca, a ty wiesz, że go zobaczysz, gdzie noc nie niesie ze sobą trwogi, a słońce wschodzi nad Morzem Południowochińskim i oświetla plażę z ciałami ludzi śpiących, a nie martwych. Susan wróciła bez drinków.

- Świetnie. - Kelnerka przyniesie drinki - oznajmiła, siadając. - Masz szczęście. Ta kelnerka to Lucy.

Przez drzwi balkonowe weszła starsza kobieta z tacą. Wyglądała na jakieś osiemdziesiąt lat, miała

pomarszczoną twarz, a zęby oraz usta brązowe od liści betelu, ale prawdopodobnie była bliżej mojego wieku.

- Paul, to twoja stara znajoma, Lucy - przedstawiła ją Susan. Staruszka zachichotała i postawiła tacę.

Susan zagadnęła ją i zamieniły parę zdań.

- Mówi, że to miasto było kiedyś kurortem francuskich plantatorów, a ona jako młoda dziewczyna była pokojówką w hotelu - wyjaśniła Susan. - Została, kiedy Amerykanie przejęli hotel i urządzili w nim bazę rekreacyjną dla żołnierzy, została w siedemdziesiątym piątym, kiedy stał się hotelem partii komunistycznej, i jest teraz, kiedy znów został hotelem

publicznym. W sześćdziesiątym ósmym roznosiła koktajle; mówi, że pamięta Amerykanina podobnego do ciebie, który uganiał się za nią między stolikami, próbując podszczypywać w tyłek.

Starsza kobieta znów zachichotała.

Podejrzywałem, że ostami fragment relacji Susan rozmijał się nieco z prawdą. Ale by pokazać, że można ze mną żartować. odparłem:

- Powiedz jej, że wciąż jest piękną *co-dep*. I że teraz też chętnie bym ją uszczyptał w tyłek.

Kobieta roześmiała się, słysząc słowo *co-dep*, zanim Susan zdążyła przetłumaczyć, a kiedy doszła do szczypania w tyłek, staruszka zachichotała jak podłotek, coś powiedziała, klepnęła mnie żartobliwie w ramię i podreptała z powrotem.

- Stwierdzała, że jesteś starym kozłem - przetłumaczyła z uśmiechem Susan. - Powiedziała jeszcze: „Miło, że wróciłeś”.

Skinąłem głową. Miło, a jakże.

Nha Trang, Grand Hotel i ta stara kobieta w dużej mierze oparły się wojnie, ale w końcowym rozrachunku nic się jej nie oparła

Susan wzięła dzin z tonikiem i nalała do plastikowego kubka trochę piwa Tiger. Na stole stało coś, co wyglądało na gulasz turystyczny, lecz nie udało mi się ustalić, z jakiego szlaku.

Podniosłem szklankę.

- Dzięki za pomoc i towarzystwo.

Stuknęliśmy się.

- Dzięki za zaproszenie - odparła Susan. Oboje się roześmieliśmy.

Popijaliśmy drinki i patrzyliśmy na morze. Zdarza się czasem, że słońce, morze i wiatr są akurat, długa podróż dobiegła końca, piwo jest zimne, a kobieta piękna.

- Co robiłeś, będąc tutaj, poza upijaniem się? - spytała Susan.

- Przeważnie leżałem w słońcu i zajadałem coś dobrego. - I dodałem: - Wielu chłopaków było zestresowanych, więc graliśmy w karty, poza tym większość z nas miała rany z dżungli, a słońce i morze dobrze wpływały na skórę.

Susan zapaliła papierosa.

- A kobiety? - spytała.

- Kobiet nie wpuszczano do hotelu, z wyjątkiem pracownic - odparłem.

- A was wypuszczano z hotelu?

- Tak.

- Aha. Byłeś związany z kimś w kraju, kiedy tu byłeś?

- Tak. Miała na imię Peggy i była dobrą irlandzką katoliczką z południa.

Susan zaciągnęła się papierosem i spojrzała na morze.

- A w siedemdziesiątym drugim roku? Czy wtedy byłeś z kimś związany?

- Byłem żonaty. To było krótkie małżeństwo i skończyło się, kiedy wróciłem. A właściwie, zanim wróciłem.

Susan zastanowiła się nad tym chwilę.

- A później?

- Później przyrzekłem sobie dwie rzeczy: że nigdy nie wrócę do Wietnamu i że nigdy więcej się nie ożenię.

Uśmiechnęła się.

- Co było gorsze? Wojna czy małżeństwo?

- I to, i to było na swój sposób zabawne. A jak było z tobą? Porozmawiajmy o tobie.

Susan pociągnęła łyk drinka i zapaliła papierosa.

- Nigdy nie byłam mężatką - oznajmiła.

- I na tym koniec?

- Koniec. Chcesz usłyszeć historię moich doświadczeń seksualnych?

Chciałem zjeść kolację przed ósmą, więc powiedziałem:

- Nie.

Zjawiła się staruszka; patrzyłem na nią, kiedy gawędziła z Susan zamawiającą drugą kolejkę. To mogła być Lucy, lecz Lucy istniała w mej pamięci jako wesola, rezolutna dziewczyna przekomarzająca się z żołnierzami, którzy, wszyscy bez wyjątku, się w niej durzyli, ona jednak nie była na sprzedaż. Faceci zawsze chcą tego, czego nie mogą mieć, a Lucy była wielką nagrodą w Grand Hotelu, Zakładając, że ta stara kobieta nie była Lucy, miałem nadzieję, że Lucy przeżyła wojnę, wyszła za swojego chłopaka, wietnamskiego żołnierza, i żyli gdzieś sobie szczęśliwie.

- O czym myślisz? - spytała Susan.

- Pomyślałem, że kiedy tu poprzednio byłem, ciebie jeszcze nie było na świecie.

- Byłam, ale jeszcze nie siusiałam do nocnika.

Zjawiła się druga kolejka drinków; siedzieliśmy, patrząc, jak ciemnieje niebo. Widziałem światła w krytych strzechach kafejek i kramach z pamiątkami na plaży. Bryza przybrała na sile i ochłodziła się, lecz wciąż była przyjemna.

Mniej więcej w połowie trzeciej kolejki Susan spytała:

- Nie musisz się z kimś skontaktować w Stanach?

- Miałem zadzwonić do ciebie do Sajgonu i powiedzieć, że dotarłem. Ale ty jesteś tutaj.

- W hotelu jest faks - odparła Susan. - Wysłałam faks do Billa, do biura i do domu, przekazałam, że przyjechalśmy, i powiedziałam, gdzie mieszkamy. On wie, że ma się skontaktować z konsulatem, a oni nawiążą kontakt z twoimi ludźmi. - Potem dodała: - Stałam nad głową urzędnika, kiedy przesyłał faks, odebrałam oryginał i zjadłam go. W porządku?

- Zgodnie z zasadami sztuki. Bill był zaskoczony, że dostał wiadomość z Nha Trang? A może uprzedziłaś go, że wybierasz się w podróż, kiedy dzwoniłaś do niego z Reksa?

- Wtedy nie byłam jeszcze pewna, czy chcę z tobą jechać - odparła. - Wciąż nie mam od niego odpowiedzi.

- Gdybym ja dostał wiadomość, że moja dziewczyna pojechała do nadmorskiego kurortu z innym facetem, chyba nie fatygowałbym się, żeby odpowiadać.

Susan zastanowiła się.

- Poprosiłam go, żeby potwierdził odbiór. Mieszkający tutaj obcokrajowcy zawsze komuś mówią, gdzie jadą... w razie gdyby coś się stało. Poza tym to oficjalna sprawa.

Prawda? Więc powinien odpowiedzieć.

- Albo przynajmniej potwierdzić odbiór.

- Właściwie... Miałam... poczucie winy. Więc zaprosiłam go, żeby do nas dołączył.

Trochę mnie zaskoczyła, a moja twarz zdradzała to zaskoczenie i może coś jeszcze.

- To miło - powiedziałem dość niezręcznie. Susan przyglądała mi się w słabym świetle.

- A naprawdę powiedziałam mu, że między nami koniec. - Nie wiedziałem, jak zareagować, więc po prostu siedziałem. - On i tak o tym wie - ciągnęła Susan. - Nie chciałam tego robić w taki sposób, ale musiałam. To nie ma nic wspólnego z tobą, więc niech twoje ego się nie nadyma.

Zacząłem coś mówić, ale Susan mi przerwała.

- Posłuchaj. Uświadomiłam sobie, że lepiej się bawię... że wolę siedzieć w Q-Barze z tobą niż z nim.

- To mi dopiero komplement. - Zauważyłem, że swoją niewyparzoną gębą zepsułem chwilę szczerego wyznania, więc powiedziałem: - Przepraszam. Czasem bywam trochę... niezgrabny...

- W porządku. Daj mi skończyć. Jesteś interesującym mężczyzną, ale twoje życie i sprawy miłosne to pęk konfliktów. Część twoich problemów wynika stąd, że nie rozumiesz samego siebie. - Przyjrzała mi się dokładnie. - Spójrz na mnie, Paul.

Spojrzałem.

- Jak się poczułeś, kiedy ci powiedziałam, że zaprosiłam Billa?

- Podle - odparłem, po czym dodałem: - Szczęka mi opadła. Zauważyłaś?

- O mało nie wpadła do piwa. Zalazłeś mi za skórę, a ja tego nie lubię. Mogłeś mnie zdmuchnąć w

każdej chwili, gdybyś naprawdę chciał, żebym zniknęła. Ale ty... - Dobra. Wszystko jasne. Przepraszam i obiecuję być miły. I jeszcze coś... Wiedz, że twoje towarzystwo nie tylko sprawia mi przyjemność. Tęsknię do niego.

- Mów dalej.

- Dobrze. Bardzo cię lubię, przepadam za tobą, tęsknię, kiedy cię nie ma, wiem, że jeśli puszcę to na żywioł...

- W porządku, wystarczy. Paul, to sztuczna sytuacja, ty masz kogoś w kraju, załatwiasz tutaj ważną sprawę, a Wietnam po cichu doprowadza cię do szaleństwa. Ja to wszystko rozumiem. Więc przez te kilka dni będziemy wszystko szufladkować i wylegiwać się w słońcu; co się stanie, to się stanie. Ty pojedziesz do Hue, ja wrócę do Sajgonu. A jak Bóg da, oboje znajdziemy drogę do domu.

Skinałem głowę.

Trzymaliśmy się za ręce i patrzyliśmy, jak wieczór z purpurowego zmienia się w czarny. Gwiazdy błyszczały jasno nad wodą, a topniejący księżyc kładł smugę światła na Morze Południowochińskie. Jakiś chłopiec poustawiał na stolikach oliwne lampki i weranda rozmigotała się światłami.

Zapłaciłem rachunek i poszliśmy po trawniku, przez drogę na plażę, gdzie dawno temu spacerował szeregowiec pierwszej klasy Paul Brenner.

Wybraliśmy restaurację pod gołym niebem o nazwie Kokosowy Zagajnik, usadowioną w altankach między palmami. Usiedliśmy przy małym drewnianym stoliku oświetlonym czerwoną lampką oliwną i zamówiliśmy piwo Tiger. Bryza była tu silniejsza i słyszałem fale czterdzieści metrów dalej.

Większość menu stanowiły owoce morza, jak należało oczekiwać w rybackim miasteczku, ale za dziesięć dolarów można było poznać smak zupy z ptasich gniazd, która była chyba dodatkiem w karcie, bo gniazda zbiera się tylko dwa razy do roku, a na szczęście dla mnie to był właśnie miesiąc zbiorów. Gniazda są zrobione z czerwonej trawy i ptasiej śliny, lecz ich prawdziwa atrakcja polega na tym, że są również afrodyzjakiem.

- Zjem zupę z ptasich gniazd - powiedziałem do Susan. Uśmiechnęła się.

- Potrzebujesz jej? - spytała.

Zamówiliśmy ogromny talerz rozmaitych owoców morza i warzyw, które kelner opiekał na grillu przy bocznym stoliku.

Klienci w większości wyglądali na Europejczyków z północy, uciekających przed zimą. Nha Trang, osada założona przez Francuzów, była niegdyś nazywana Lazurowym Wybrzeżem Azji Południowo-Wschodniej i wydawało się, że jej sława powraca, chociaż miała jeszcze przed sobą długą drogę.

Poprosiliśmy o drugą porcję owoców morza, a kelner zażartował, że Susan przytyje. Miejsce było bardzo przyjemne, w nocnym powietrzu unosił się czar.

Gawędziliśmy swobodnie, jak ludzie, którzy właśnie przeprowadzili ożywioną rozmowę, która przesunęła granice.

Darowaliśmy sobie deser i poszliśmy pieszo po plaży z butami w dłoniach. Przyplływ się cofał i plaża była usiana muszlami i wyrzuconymi na brzeg morskimi stworzeniami. Parę osób puszczało

kaczki po wodzie, młodzi turyści z plecakami palili ogniska na plaży, a zakochani chodzili, trzymając się za ręce, tak jak Susan i ja.

Na krystalicznie czystym niebie widać było wyraźnie Drogę Mleczną i kilka gwiazdozbiorów. Szliśmy na południe, oddalając się od centrum miasta rozszerzającą się plażą, wzdłuż której rozsiadły się nowe hotele i ośrodki wypoczynkowe.

Jakieś pół kilometra dalej natknęliśmy się na Nha Trang Sailing Club, zamówiliśmy dwa piwa i tańczyliśmy wśród tłumku turystów z Europy, przy okropnej, hałaśliwej muzyce z lat siedemdziesiątych, granej przez najgorszy zespół na całym wybrzeżu Pacyfiku, a może i na świecie. Ale było wesoło, gawędziliśmy z jakimiś Europejczykami, a nawet od czasu do czasu wymienialiśmy się partnerami. Kilku gości wyczuło, że jestem weteranem, lecz to było wszystko; nikt nie chciał o tym mówić, ja też.

Nie wiem, czy byłem pijany, rozmiękczony, czy po prostu czymś rozbawiony, bo po raz pierwszy od dawna doznałem uczucia wewnętrznego spokoju; byłem z sobą i z otoczeniem w harmonii.

Wyszliśmy z klubu żeglarskiego po pierwszej i kiedy zmierzaliśmy z powrotem w stronę kolorowych świateł w kafejkach na plaży, Susan spytała:

- Czy to, co tutaj robisz, jest niebezpieczne?

- Muszę tylko kogoś znaleźć i zadać mu kilka pytań, a potem wrócić do Hanoi i samolotem do domu.

- Odzie jest ta osoba? W Tam Ki?

- Tego jeszcze nie wiem. - Zmieniłem temat. - Susan, dlaczego tu jesteś?

Wyjęła dłoń z mojej ręki i zapaliła papierosa.

- Cóż... Powód nie jest tak ważny i dramatyczny jak przyczyna twojego pobytu.

- Jest ważny dla ciebie, boby cię tu nie było. Jak on miał na imię?

Susan zaciągnęła się głęboko papierosem.

- Sam. Kochaliśmy się jako dzieci, chodziliśmy ze sobą w college'u... on poszedł do Dartmouth. Studiowaliśmy razem... może widziałeś go na zbiorowym zdjęciu w moim biurze. - To musiał być Harry Czaruś, ale nie powiedziałem tego głośno. - Mieszkaliśmy razem w Nowym Jorku... Szalałam na jego punkcie, nie wyobrażałam sobie świata bez niego. Zareczyliśmy się, mieliśmy się pobrać, kupić dom w Connecticut, mieć dzieci i żyć długo i szczęśliwie. - Zamilkła na chwilę. - Kochałam go od dzieciństwa aż do chwili, gdy pewnego dnia wrócił do domu i powiedział, że jest związany z inną kobietą. Z pracy. Potem spakował się i odszedł.

- Przykro mi.

- Cóż... takie rzeczy się zdarzają. Ale nie mogłam uwierzyć, że mnie się coś takiego przytrafiło. Nie przeczuwałam niczego, co kazałoby mi się nad sobą zastanowić. W każdym razie nie mogłam tego przeboleć, rzuciłam pracę w Nowym Jorku i na jakiś czas wróciłam do domu, do Lenox. Wszyscy osłupieli. Sam Thorpe był naszym sąsiadem i wszystko było już zaplanowane do ślubu. Mój ojciec chciał mu zrobić autopsję na żywca. - Roześmiała się. Szliśmy dalej. - Próbowałam się pogodzić z tym, co się stało, ale w Lenox było zbyt dużo wspomnień - ciągnęła Susan. - Za dużo płakałam i wszyscy zaczęli tracić cierpliwość, ale ja za nim tęskniłam i nie mogłam się pozbierać. Skracając

tę całą historię, powiem, że zaczęłam się rozglądać za zagraniczną pracą której nikt nie chce, i pół roku po odejściu Sama wylądowałam w Sajgonie.

- Miałaś od niego później jakieś wiadomości?

- Oczywiście. Parę miesięcy po tym, jak przyleciałam do Sajgonu, napisał mi długi list, w którym tłumaczył, że popełnił największy błąd w swoim życiu, i pytał, czy chcę wrócić i za niego wyjść. Przypominał mi dobre chwile z dzieciństwa... potańcówki w szkole, nasz pierwszy pocałunek, rodzinne przyjęcia i tak dalej. Napisał, że jesteśmy sobie przeznaczeni, że powinniśmy się pobrać, mieć dzieci i razem się zestarzeć.

- Zdaje się, że tamten drugi związek mu nie wyszedł.

- Chyba nie.

- I co mu odpisałaś?

- Nie odpisałam. - Wzięła głęboki oddech. - Złamał mi serce i wiedziałam, że już nigdy nie będzie tak samo. Więc żeby nam obojgu zaoszczędzić mnóstwa cierpień, po prostu nie

odpowiedziałam na list. Napisał jeszcze kilka razy, a potem przestał pisać. - Susan rzuciła papierosa na ziemię. - Dowiedziałam się od naszych wspólnych znajomych, że ożenił się z jakąś dziewczyną w Nowym Jorku.

i Samie, a przy okazji o Cynthii i Paulu. W świecie doskonałym ludzie byłiby jak pingwiny, Szliśmy skrajem wody, mokry piasek przyjemnie chłodził mi stopy. Pomyślałem o Susan dobieżeli się w pary raz na całe życie i trzymali blisko lodowca, gdzie się urodzili. Ale w kobietach i w mężczyznach budzi się nagle jakiś niepokój - błądzą, łamią sobie serca. Kiedy byłem młodszy, za dużo myślałem dyszłem. Wciąż tak robię, lecz nie aż tak często,.

- Czy byłoby inaczej, gdyby zamiast zapraszać cię do domu, przyjechał do Sajgonu?

- Dobrze pytanie. Kiedyś pojechałam do kraju na urlop, i myślę że on wiedział, że jestem, ale wtedy już chyba oboje rozumieliśmy, że nigdy więcej się nie zobaczymy. Nie wiem jednak, co bym zrobiła, gdyby stanął na progu mojego mieszkania przy Dong Khoi.

- A jak myślisz?

- Myślę, że mężczyzna, który zrobił to, co on, mężczyzna, który naprawdę żałuje, nie napisałby listu. Przyjechałby do Sajgonu i zabrał mnie do domu.

- I pojechałabyś z nim?

- Pojechałabym z mężczyzną, który ma dość odwagi i przekonania, żeby przyjechać i mnie zabrać. Ale nie Sam. On badał opcje za pomocą poczty. - Spojrzała na mnie. - Ktoś taki jak ty przyjechałby po prostu do Sajgonu, nie pisząc żadnych kretyńskich listów.

Nie odpowiedziałem na to wprost.

- Mieszkamy z Cynthia kilkaset kilometrów od siebie, a jednak nie przeprowadzam się, chociaż myślę, że ona by chciała.

- Kobieta zawsze pójdzie za mężczyzną. Powinieneś się zastanowić, dlaczego nie jedziesz tam, gdzie ona jest.

Skierowałem znów rozmowę na Susan:

- Odsunęłaś od siebie to, przed czym uciekałaś. Czas ruszyć do przodu.

Nie odpowiedziała. Szliśmy w milczeniu po mokrym piasku. Susan rzuciła sandały na plażę i weszła po kolana w wodę. Zrobiłem to samo i brodziłem obok mej.

- Taka jest moja smutna historia - powiedziała. - Ale wiesz co? Przyjazd do Sajgonu to była jedna z najlepszych decyzji w moim życiu.

- Trochę to straszne.

Roześmiała się.

- Nie, naprawdę. Szybko tu wydorostałam. Byłam rozpieszczona, wychuchana i sama nie wiedziałam, czego chcę. Byłam córeczką tatusia, ukochaną Sama i idealną córą mamusi. Na miłość boską, należałam do Junior League. Ale było fajnie, czułam się szczęśliwa. - Po chwili dodała: - Myślę, że byłam nudna i nijaka.

- Z całą pewnością masz to już za sobą.

- Racja. Uprzytomniłam sobie, że Sam się mną znudził. Nigdy nawet nie flirtowałam z innymi facetami. Więc kiedy powiedział, że pieprzy się z tą babką z pracy, poczułam się taka zdradzona... Powinnam była przespać się z jego najlepszym kumplem. - Uśmiechnęła się. - Żałujesz, że spytałeś?

- Nie. Teraz rozumiem.

- Taak. A jednak, kiedy się tu znalazłam, byłam przerażona i mało brakowało, a spakowałabym się i wróciła do domu.

- Znam to uczucie.

Parsknęła śmiechem.

- Moja eskapada do Wietnamu w żaden sposób nie może się równać z twoją, ale dla mnie to był wielki krok w stronę dorosłości. Wiem, że gdybym pojechała do domu, to... Cóż, kto wie?... Mówiłam ci, że trzy lata temu byłam zupełnie inna. Gdybyś mnie poznał w Nowym Jorku, nie rozmawiałbyś ze mną nawet przez pięć minut.

- Nie jestem tego pewien. Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć. No dobrze, czy ewolucja twojego charakteru zbliża się już do końca?

- Ty mi to powiedz.

w którym możliwość powrotu coraz bardziej się oddala. - Już ci powiedziałem. Czas wracać do domu. Po pewnym czasie dochodzi się do punktu,

- Skąd wiadomo, że to właśnie ta chwila?

- Sama musisz wiedzieć. W czasie wojny armia ograniczała długość służby do dwunastu lub trzynastu miesięcy. Pierwszy rok, jeśli się go przeżyło, robił z chłopaka mężczyznę. Jeśli ktoś zgłosił się na ochotnika do dalszej służby, drugi rok zmieniał go w kogoś albo raczej w coś innego. - Po chwili dodałem: - W pewnym momencie, jak wspomniałem w Czasie Apokalipsy, nie można było wrócić do domu, jeśli się nie dostało rozkazu, albo wracało się w worku. - Susan milczała. - Teraz nie jest tutaj tak ile, rozumiem, na czym polega atrakcyjność tego kraju, ale masz przecież doktorat, więc jedź do domu i wykorzystaj go do czegoś.

- Pomyślę o tym. - Zmieniając temat, Susan powiedziała: - To naprawdę niesamowite miejsce. Powinniśmy wynająć łódkę i popłynąć do tych wysepek.

Staliśmy w wodzie; ująłem ją za rękę i patrzyliśmy na morze i nocne niebo.

Dochodziła druga, kiedy dotarliśmy do hotelu; wpuścił nas strażnik. W recepcji nikogo nie było, więc nie mogliśmy sprawdzić, czy są wiadomości; weszliśmy po schodach na trzecie piętro.

Najpierw udaliśmy się do mojego pokoju; otworzyłem drzwi i zerknąłem, czy nie ma do mnie faksu. Nie było, więc poszliśmy do pokoju Susan.

Zobaczyliśmy leżącą na podłodze kartkę papieru. Susan weszła do sypialni, zapaliła lampę i przeczytała faks a potem mi go podała. Jego treść była następująca: „Twoja wiadomość odebrana i przesłana odpowiednim władzom. Jestem bardzo zraniony i zły, ale to twoja decyzja. Nie moja. Sądzę, że popełniasz wielki błąd; gdybyś nie pojechała z kimś do Nha Trang, moglibyśmy o tym porozmawiać. Wydaje mi się, że teraz jest za późno”. Podpisano:

„Bill”.

Oddałem kartkę Susan.

- Nie musiałaś mi tego pokazywać - powiedziałem.

- On jest takim romantykiem - odparła. - Zauważ, że nie pofatygował się, żeby przyjechać do Nha Trang.

- Jesteś twarda dla mężczyzn. Bóg jeden wie, co powiesz o mnie przy drinku w Q-Barze.

Spojrzała na mnie.

Wszystko, co mam o tobie do powiedzenia, powiem właśnie tobie.

Nastąpiła ta niezręczna chwila; rozejrzałem się po pokoju, który był bardzo podobny do mojego. Zauważyłem szklaną kulę na nocnym stoliku i kilka rzeczy powieszonych w otwartej wnękowej szafie.

- Dali ci jakieś mydło albo szampon? - spytałem.

- Nie. Ale przywiozłam swoje. Powinnam była ci powiedzieć.

- Jutro coś kupię.

- Na razie możesz wziąć połowę mojego mydła.

Co innego miałem na myśli, podnosząc kwestię mydła, i oboje o tym wiedzieliśmy.

- W porządku. Cóż...

Uścisnęła mnie mocno i przytuliła głowę do mojej piersi. Może zanim wyjadę - powiedziała, - Muszę to przemyśleć. Może tak być?

- Jasne.

Pocałowaliśmy się i przez chwilę miałem wrażenie, że już przemyślała, ale odsunęła się, mówiąc:

- No, to... dobranoc. Na śniadaniu? O dziesiątej?

- Dobrze. - Nie lubię przewlekłych pożegnań, więc odwróciłem się i wyszedłem.

W pokoju ściągnąłem z siebie koszulę i mokre spodnie i rzuciłem na drugie łóżko.

Wyniosłem fotel na balkon i usiadłem ze stopami na żelaznej barierce. Spojrzałem na gwiazdzone niebo i ziewnąłem. Słyszałem muzykę z plaży, głosy niesione nocną bryzą i łagodnie rozmywające się na piasku. Czekałem na pukanie do drzwi, ale się nie doczekałem.

Moje myśli podryfowały do maja w sześćdziesiątym ósmym roku kiedy byłem tu w Nha Trang i miałem tylko jedno zmartwienie: jak zostać wśród żywych. Podobnie jak wielu mężczyzn w średnim wieku, którzy byli na wojnie, miewałem chwile, gdy wydawało mi się, że jest w wojnie pewna naga i uczciwa prostota, niemal transcendentna jakość, tak zmuszająca do koncentracji dała i umysłu, jak nic, co zdarzyło się wcześniej czy potem.

A jednak mimo szumu adrenaliny pod czaszką, poczucia wyzwolenia się z oków ciała oraz świetlistych błysków prawdy i oświecenia wojna niczym narkotyk odciska swe piętno na ciele, umyśle i duszy. Naprawdę istniał punkt, w którym możliwość powrotu się oddalała, i istniała cena, którą trzeba było zapłacić za bezkarne plucie śmierci w twarz.

Patrzyłem w gwiazdy i myślałem o Cynthn, Susan, Paulu Brennerze i o Wietnamie... Części Trzeciej.

Ułożyłem się na łóżku i zaciągnąłem moskitierę, ale nie mogłem usnąć więc wyśpiewywałem sobie w głowie wojskową pieśń pożegnalną: *Odszedł dzień, zaszło słońce, od jezior, nieba i wzgórz, wszystko w spokoju legło, a Bóg jest tuż-tuż.*

Rozdział 17

Zszedłem na werandę o dziesiątej; Susan czekała już przy stoliku z czajnikiem kawy, czytając „Economist”. Jeszcze kilka osób jadło śniadanie, sami cudzoziemcy, więc uznałem, że Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego nie trzyma mnie na oku. Nawet trochę żałowałem, bo akurat na ten dzień nie miałem zaplanowanych żadnych wywrotowych działań.

Tęgie głowy w Waszyngtonie ustaliły, że cały tydzień będzie spokojny, że Paul Brenner, weteran z Wietnamu, pokaże, że jest niewinnym turystą. To była standardowa procedura. Bardzo krótkie wycieczki do odległych miejsc zawsze budzą podejrzenia służb imigracyjnych i celnych. Tak samo wizy otrzymywane krótko przed wyjazdem, jak zauważył pułkownik Mang. Ale było za późno, żeby się tym przejmować. Usiadłem i powiedziałem:

- Dzień dobry.

Susan odłożyła magazyn.

- Dzień dobry. Jak spałeś?

- Sam.

Uśmiechnęła się i naląła mi filiżankę kawy.

Susan miała na sobie spodnie khaki, tak samo jak ja, i granatowy pulower bez rękawów.

Był piękny poranek, temperatura dwadzieścia kilka stopni, a na niebie ani jednej chmurki.

Podszedł kelner.

- Mają tylko dwa śniadania: wietnamskie i zachodnie - wyjaśniła mi Susan. - Zupa *pho* albo jajka sadzone. Jajecznicy nie znają, więc nie pytaj.

- Jajka.

Susan zamówiła po wietnamsku.

- Miałaś gorącą wodę? - spytałem.

- Och, zapomniałam ci powiedzieć. Nad toaletą jest bojler elektryczny. Nie zauważyłeś?

- Myślałem, że to część toalety.

- Nie. Trzeba przekreślić włącznik i bojler podgrzewa jakieś siedemdziesiąt litrów wody. Trochę to trwa. Odcinają dopływ prądu do bojlerów o dziesiątej rano.

- I tak nie miałem mydła.

- Później pójdziemy na rynek i kupimy parę rzeczy. - Myślisz, że kiedy Bill skontaktował się z konsulem, powiedział im, że przyjechałaś ze mną do Nha Trang?

Susan zapaliła papierosa.

- Zastanawiałam się nad tym. Z jednej strony, powinien im powiedzieć, jeśli poważnie chce być dla nich użyteczny. Ale z drugiej strony, oni wiedzą, że się spotykamy... spotykaliśmy... więc może krępował się powiedzieć im, że z tobą pojechałam.

Skinąłem głową.

- Sądzisz, że będziesz miał kłopoty w firmie, jeśli dowiedzą się, że podróżowaliśmy razem?

- Nie uszczęśliwiłoby ich to, lecz co mogą zrobić? - odparłem. - Ześlą mnie do Wietnamu?

Uśmiechnęła się.

- To zabrzmiało jak żołnierskie powiedzonko z dawnych czasów. Pewnie często je powtarzaliście.

- Codziennie.

- Hm... Przykro mi, jeśli wynikną z tego jakieś kłopoty. - Żadnych kłopotów. - Jeśli tylko Karl nie wyda mnie przed Cynthia. Ale nie zrobiłby tego... chyba że miałby w tym jakiś interes.

Podano jajka.

- Myślałam o tym, co ci mówiłam o Samie, dlaczego tu jestem i w ogóle - powiedziała Susan. - Nie chciałam, żebyś pomyślał, że znalazłam się tutaj przez mężczyznę.

- Właśnie tak pomyślałem.

- Chcę powiedzieć, że on nie był powodem, dla którego tu jestem. To ja podjęłam decyzję. On był tylko katalizatorem.

- Jasne.

- Potrzebowałam udowodnić coś sobie, nie Samowi. Teraz myślę, że jestem taką osobą, jaką chcę być, i jestem gotowa znaleźć człowieka, z którym chcę być.

- To dobrze.

- Powiedz mi, co myślisz. Szczerze.

- No dobra. Myślę, że trafiłaś w sedno wczoraj w nocy, kiedy byłaś pijana. Myślę też, że

przyjechałaś do Wietnamu z zamiarem pozostania tutaj dopóty, dopóki Sam się tobą znów nie zainteresuje. Gdyby tu przyjechał, żeby cię zabrać, pojechałabyś z nim, zanim zdążyłabyś sobie cokolwiek udowodnić. Ale było dla ciebie ważne, żeby przyjechał i zobaczył, że umiesz sobie sama poradzić. A więc w gruncie rzeczy wszystko to było dla mężczyzny. Myślę jednak, że masz to już za sobą.

Susan milczała, a ja się zastanawiałem, czy jest zła, zakłopotana czy oszołomiona moją przenikliwością.

Wreszcie powiedziała:

- Mniej więcej tak było. Bystry z ciebie facet.

- W ten sposób zarabiam na życie. Nie radami dla porzuconych kochanków... codziennie się zajmuję analizą rozmaitych kitów, które mi się wstawia. Nie mam wiele cierpliwości dla kręactwa czy samousprawiedliwiania się. Każdy wie, co zrobił i dlaczego. Albo trzymasz to dla siebie, albo mówisz, jak jest.

Susan skinęła głową.

- Wiedziałam, że powiesz mi, co myślisz.

- Pozostaje pytanie, co zamierzasz zrobić w przyszłości? Jeśli tu zostaniesz, zostań z dobrego powodu. Jeśli pojedziesz do domu, tak samo. Budzisz moje zatroskanie, panno Weber, tak samo jak budzili moje zatroskanie faceci, których znałem, a którzy nie mogli stąd wyjechać. - A ci, którzy zostają w wojsku na całe życie?

- Masz na myśli mnie?

- Tak, ciebie.

- Trafna uwaga. Więc może wiem, o czym mówię.

- Czemu wróciłeś?

- Powiedzieli, że to ważne. Powiedzieli, że mnie potrzebują. A ja się nudziłem.

- Co jest takie ważne?

- Nie wiem. Ale kiedy się stąd wyrwę, pójdziemy pewnego dnia na drinka w Nowym Jorku, Waszyngtonie czy Massachusetts i powiem ci, co odkryłem.

- Może być Waszyngton - odparła. - Jesteś mi winien wycieczkę po mieście. Ale najpierw postaraj się stąd wyrwać.

-- Już to zrobiłem dwa razy.

- Dobrze. Możemy iść?

- Najpierw mi powiedz, skąd wiedziałaś, że pracuję dla armii.

- Och... Chyba mi ktoś powiedział Może Bill.

- Nie było potrzeby, żeby o tym wiedział.

- Więc chyba ktoś z konsulatu. Co za różnica? Nie odpowiedziałem.

Spojrzała na mnie.

- Właściwie to nie Bill poprosił mnie o przysługę dla konsulatu. Zwrócili się do mnie bezpośrednio. Tutejszy człowiek CIA. Zrobił mi bardzo pobieżną odprawę. Głównie opowiadał twoją biografię. Nic na temat misji. O tym nic nie wiem Tylko parę szczegółów o tobie. - Po chwili dodała: - Ten agent powiedział, że jesteś w Wydziale Dochodzeń Kryminalnych i że chodzi o sprawę kryminalną, a nie o szpiegostwo.

- Co to za agent?

- Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć. - Uśmiechnęła się. - Dał mi twoje zdjęcie i z miejsca przyjąłem tę robotę.

- Kiedy to się stało? - spytałem.

- Mm... Jakies cztery dni przed twoim przylotem.

- Gdy pierwszy raz tu przybyłem, przynajmniej powiedzieli mi o tym z sześćdziesięciodniowym uprzedzeniem, dali miesiąc urlopu i zasugerowali, bym spisał testament.

Wstałem.

- Czy śniadanie jest wliczone?

- Jeśli mydło nie jest wliczone, to dlaczego śniadanie miałoby być?

- Słusznie. - Zawołałem kelnera i zapłaciłem: wyszło dwa dolary.

Poszliśmy do drogi przy plaży, gdzie stało zaparkowanych kilkanaście rikszy. Otoczyli nas rikszarze; Susan wybrała dwóch, z których jeden nie miał ramienia. Wsiadliśmy.

- Cho Dam - rzuciła. Jej rikszarz nie miał ręki.

- Spytaj go, czy jest weteranem - powiedziałem. Zapytała; facet najpierw się zdziwił, że Susan mówi po wietnamsku, a potem, że kogoś obchodzi, czy jest weteranem.

- Mówi, że tak - zwróciła się do mnie.

Po drodze rozmawiała z rikszarzem; wiedziałem, że mówi mu, że ja też jestem weteranem. Nasze riksze jechały jedna obok drugiej.

- Był żołnierzem tu, w Nha Trang - oznajmiła Susan. - Dostał się do niewoli, kiedy komuniści wzięli miasto. Cały jego pułk został uwięziony na tutejszym stadionie piłkarskim, bez jedzenia i wody przez wiele dni. Miał ranę na ramieniu i wywiązała się gangrena. -

Przerwała na chwilę. - Jego towarzysze usunęli mu rękę bez znieczulenia. - Popatrzyłem na kierowcę. Nasze spojrzenia się spotkały. - Był tak chory, że nie wysłano go do obozu reedukacyjnego - ciągnęła Susan - więc mógł zostać z rodziną w Nha Trang, i wyzdrowiał. riksżami albo przestać pytać tych nieszczęśników o ich wojenne losy. Zdaje mi się, że to wietnamska wersja happy endu. Może powinienem przestać jeździć

- Powiedz mu, że czułem się dumny, walcząc razem z żołnierzami Wietnamu

Południowego.

Susan przekazała riksżarzowi moje słowa, a ten zdjął z kierownicy swoją jedyną rękę i szybko zasalutował. Mój riksżarz słuchał tego wszystkiego i powiedział coś do Susan, Susan przetłumaczyła jego słowa.

- Mówi, że był marynarzem w Zatoce Cam Ranh i miał okazję uciec, kiedy komuniści zbliżali się do miasta, ale zszedł z okrętu i wrócił do swojej wioski pod Nha Trang. Został schwytany przez północnowietnamski oddział i spędził cztery lata w obozie reedukacyjnym.

- Przekaż mu, że... Ameryka pamięta o swoich południowo-wietnamskich sojusznikach. -

Była to kompletna bzdura, ale dobrze brzmiała.

Jechaliśmy więc sobie wzdłuż pięknej plaży, woń morza wypełniała nam nozdrza, a ludzkie wraki przegranej sprawy zapewniały nam napęd.

Ulica kończyła się bramą targowiska. Zsiadliśmy z riksza, a ja dałem obu kierowcom po piątku, co ich szalenie ucieszyło. W tym tempie zbankrutowałbym w ciągu tygodnia, ale zmieniam się we frajera, słysząc smutną historię. Poza tym miałem chyba trochę poczucia winy jako ten, który wyszedł z wojny bez szwanku. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

Pokręciliśmy się po rynku, a ja kupiłem kawałek tajemniczego mydła, owiniętego w bibułę, i butelkę amerykańskiego szamponu marki, którą, jak mi się zdaje, przestano produkować w sześćdziesiątym ósmym roku. Susan kupiła mi parę sandałów Ho Szi Mina, zrobionych z bieżnika opony, a ja sprezentowałem jej koszulkę z napisem *Nha Trang to piękna plaża - Powiedz bliskim w domu*.

Kto wypisuje takie rzeczy?

Susan wybrała sonie dwie jedwabne bluzki.

- Tu jest taniej niż w Sajgonie - wyjaśniła. - Farmy jedwabników i przędzalnie są w tej okolicy. Powinnam to przyjechać na zakupy.

- Chcesz kupić przędzalnię?

Roześmiała się.

Przechadzaliśmy się między kramami mniej więcej przez godzinę; Susan kupiła jeszcze świecę zapachową, butelkę ryżowego wina i dużą tanią torbę na sprawunki. Kobiety uwielbiają zakupy.

Przeszliśmy do sekcji kwaciarskiej; to nabyła plecionkę z kwitnących gałęzi Tet.

- Do twojego pokoju - powiedziała. - Chuc Mung Nam Moi.

Wzięliśmy riksze i pojechaliśmy z powrotem do hotelu; spytaliśmy o wiadomości, ale nic nie było, więc poszliśmy do mojego pokoju.

Susan przywiązała gałązki Tet do moskitiery przy moim łóżku.

- Będą ci przynosić szczęście i odpędzać złe duchy.

- Lubię złe duchy.

Uśmiechnęła się; staliśmy tam przez chwilę, przyglądając się sobie.

- Chcesz iść na plażę? - spytała.

- Jasne.

Wyjęła z torby mydło i szampon i podała mi.

- Zapukam do drzwi, jak będę gotowa. - Zawahała się, a potem wyszła.

Włożyłem kąpielówkę, koszulkę gimnastyczną i nowiutkie hosziminki.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Portfel, paszport, wizę, vouchery i bilety lotnicze schowałem do foliowej torebki, zastanawiając się, czy recepcjonista przechowałby te rzeczy, czy raczej wsiadłby do samolotu i poleciał z nimi do Ameryki. biznesmenką na obczyźnie. Ale pewne sygnały świadczyły o tym, że ma także drugą pracę. W Susan Weber. Prawdopodobnie była osobą, za którą się podawała: amerykańską kraju, gdzie nasze kadry wywiadowcze są nieliczne, a potrzeby duże, i ciągle rosną, praktykuje się rekrutowanie przyjaciół wśród amerykańskich biznesmenów lub pracujących tu obcokrajowców, żeby zrobili coś na boku dla Wujka Sama.

Istniały przynajmniej trzy agencje, które werbowwały w ten sposób ludzi do pracy - wywiad Departamentu Stanu, wywiad wojskowy i Centralna Agencja Wywiadowcza.

No i była jeszcze firma Susan, AAIC. Sprawiała wrażenie legalnej, lecz nosiła też wszelkie znamiona przykrywki CIA.

Inną kwestią była sympatia Susan dla Paula Brennera.. W życiu można udawać wiele rzeczy - kobiety udają orgazm, a mężczyźni udają związki uczuciowe, lecz jeśli nie straciłem kompletnie umiejętności odczytywania ludzkich zachowań, Susan naprawdę coś do mnie czuła. Coś takiego nie zdarzyło się po raz pierwszy i właśnie dlatego agencje wywiadowcze darzą instynktowną nieufnością pracujących dla nich ludzi, za to uwielbiają satelity szpiegowskie.

W każdym razie Susan Weber i Paul Brenner byli o krok od związku erotycznego. którego nie było w pierwotnym scenariuszu i który mógł doprowadzić do katastrofy.

Rozległo się pukanie do drzwi,

- Otwarte - zawołałem. Weszła Susan; wstałem.

Miała na sobie koszulkę Nha Trang. którą jej kupiłem - *powiedz bliskim w twoim domu*. Sięgała jej prawie do kolan. Była w sandałach i trzymała w dłoniach nową torbę na zakupy. Uśmiechnęła się.

- Masz śliczne sandały. - Wyjęła z torby plastikowy kubek pełen białego proszku. - To jest kwas bonowy. Rozsypuje się go wokół łóżka i bagaży.

- A potem co? Modlitwo o deszcz?

- Odstrasza owady. Zwłaszcza karaluchy. - Podała mi kubek.

Postawiłem go na nocnym stoliku.

- To będzie dla mnie drogocenna pamiątka po tobie. - Wyszliśmy. Na schodach powiedziałem; - Wszystkie Wartościowe rzeczy mam w tej torebce. Mogę je zostawić w recepcji?

- Pewnie, Ja się tym zajmę.

Zeszliśmy do holu; Susan porozmawiała z recepcjonistą, Chodziło o to, te musieliśmy spisać listę wszystkich przedmiotów, łącznie i pieniędzmi i paszportem Susan i moimi również.

- Mogę zerknąć w twój paszport? - spytałem.

Zawahała się przez chwilę,

- Tak. Zdjęcie jest okropne.

Spojrzałem na jej zdjęcie, które oczywiście nie było aż takie straszne, i zauważyłem, że dokument

został wydany przez Główne Biuro Paszportowe nieco ponad trzy lata temu. Zgadzało się a datą przyjazdu Susan do Wietnamu. Przyglądając się zdjęciu, spostrzegłem, że miała wtedy o wiele krótsze włosy, a w wyrazie jej twarzy było coś bardzo smutnego i niewinnego - ale może to tylko moja projekcja wywołana tym, co Susan mi powiedziała. W każdym razie stojąca obok mnie kobieta wyglądała na o wiele pewniejszą siebie niż ta na zdjęciu w paszporcie.

Przewróciłem kartki i zauważyłem, że Susan miała trzy stemple wjazdu do Stanów, dwa do Nowego Jorku i jeden do Waszyngtonu. Nie było to stuprocentowo zgodne z informacją,

że nigdy nie była w Waszyngtonie, lecz mogła tam po prostu wylądować i przesiąść się na samolot do innego miasta, na przykład Bostonu.

Jej wietnamski stempel wizowy różnił się od mojego; było to pewnie pozwolenie na pracę, a nie wiza turystyczna. Zauważyłem, że odnawiała wizę rok temu, i mogłem sobie wyobrazić Susan w sekcji C Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, dwa lata po przyjeździe do Wietnamu, jak daje wszystkim w kość.

Była też w Hongkongu, Sydney, Bangkoku i Tokio... albo w czasie urlopów, albo służbowo. Nic podejrzanego. Ale Waszyngton raził w oczy.

Położyłem paszport z powrotem na blacie; recepcjonista dał nam ręcznie wypisane pokwitowanie, które musieliśmy podpisać, i Susan zapłaciła mu dolara.

Przeszliśmy przez drogę; plaża była pustawa. Wzięliśmy dwa leżaki i otoczyła nas setka dzieci, przynosząc nam wszystko, czego tylko dusza może zapragnąć. Zdecydowaliśmy się wziąć dwa materace i ręczniki, dwa obrane ananasy na patykach i dwie cole. Susan rozdała dongi i odpędziła dzieciaki. Ściągnąłem koszulkę a Susan swoją. Hmm. Była w skąnym, dwuczęściowym kostiumie w cielistym kolorze i miała rozkosznie powabne ciało, smukłe i całe opalone. Nagle pomyślałem, że nie przeszkadzałoby mi, gdyby okazała się szefową sajgońskiej rezydentury CIA.

Zauważyła, że na nią patrzę - a ściśle rzecz biorąc, wlepiam w nią gały. Opanowałem się i spojrzałem na wodę.

- Ładna plaża,

Usiedliśmy na krawędzi leżaków i jedliśmy ananasy na patyku. W tym czasie przeszło obok nas mniej więcej trzystu sprzedawców z jedzeniem, napojami, mapami, obrazkami na jedwabiu, flagami Wietkongu, kapeluszami plażowymi i innymi rzeczami, których nie umiałem rozpoznać. Kupiłem turystyczny plan Nha Trang.

Zeszliśmy do wody. Susan zostawiła torbę na leżaku; powiedziała, że będzie bezpieczna.

Brodziliśmy, aż stanęliśmy po szyje w wodzie; widziałem w czystym morzu bajeczne tropikalne ryby.

- Pamiętam, że wzdłuż całej plaży pływały w wodzie ogromne meduzy. Portugalskie okręty wojenne.

- Tak samo jak w Vung Tau. Trzeba uważać, bo mogą sparaliżować.

- Wrzucaliśmy do wody granaty ogłuszające. Obezwładniały meduzy, a wraz z nimi setki ryb wypływało na powierzchnię. Dzieciaki je zbierały. W życiu nie miały łatwiejszych połowów. Kałamarnice zjadały od razu, na surowo. Uważaliśmy, że to obrzydliwe. Teraz płacę za surową

kałamarz dwadzieścia dolarów w restauracji.

Susan zastanowiła się.

- Granaty ogłuszające?

- Aha. To nie są granaty rozpryskowe. Wrzuca się je do bunkrów lub zamkniętych wnętrz, takich jak tunele. Wywołują wstrząs. Ktoś wpadł na pomysł, żeby wykorzystać je do łowienia ryb. Kosztują Wuj Sama jakieś dwadzieścia dolarów za sztukę. Ale to była jedna z dodatkowych korzyści z tej roboty. - Po chwili dodałem: - Dożywanie ludzi za pomocą środków wybuchowych.

- A jeśli potrzebowaliście granatów później?

- Zamawiało się więcej. Amunicja to jedyna rzecz, której i nigdy nam nie brakowało. Zabrakło nam woli.

Zaczęliśmy pływać. Susan była dobrą, mocną pływaczką, tak jak ja, więc zostaliśmy w wodzie mniej więcej godzinę, i było wspaniale.

Kiedy wróciliśmy na leżaki i wytarliśmy się, pojawili się sprzedawcy. Nie dawali chwili spokoju, ale niczego nie kradli, bo w mgnieniu oka i tak mieli wszystkie twoje pieniądze.

Zjawili się kilka młodych dam z butelkami z oliwą i ręcznikami.

- Nie brałaś masażu od pobytu w Reksie - powiedziała Susan. - Zafunduję ci.

- Dzięki.

Oboje wzięliśmy masaż na plaży i znów poczułem się jak James Bond.

Ja byłem biznesowy, a ja kontemlowałem morze i niebo. Potem leżeliśmy na leżakach; Susan w okularach przeciwsłonecznych czytała magazyn

Przyszło mi do głowy, że powinienem tu kiedyś wrócić bez służbowych obowiązków.

Może Cynthia zechciałaby ze mną przyjechać i przez miesiąc moglibyśmy poznawać kraj.

Ale to przy założeniu, że kiedy stąd wyjadę, nie będę persona non grata albo persona w podłużnym pudle.

Zerknąłem na czytającą Susan. Wyczuła, że na nią patrzę, i odwróciła się do mnie.

- Czyż nie jest miło? - spytała.

- Oczywiście, że jest.

- Cieszysz się, że przyjechałam?

- Cieszę się.

- Mogę zostać jeszcze parę dni.

- Jeśli wrócisz jutro do Sajgonu, myślę, że uda ci się wszystko wygładzić z Billem - powiedziałem.

- Z kim?

- Pozwól, że zadam ci osobiste pytanie. Dlaczego się z nim związałaś, skoro tak nisko go

cenisz?

Odłożyła magazyn.

zonaty, inni rzną się jak szaleni z Wietnamkami. Bill przynajmniej był wierny. Żadnych - Dobre pytanie. Oczywiście w Sajgonie nie ma dużego wyboru. Wielu facetów jest

kochanek, prostytutek, narkotyków, żadnych złych nałogów... oprócz mnie.

Pamiętałem moje przelotne spotkanie z Billem, który nie sprawił na mnie wrażenia

takiego harcerzyka. Bill Stanley wciąż stanowił zagadkę, nie powinienem o tym zapominać.

O szóstej spakowaliśmy się.

W hotelu odebraliśmy rzeczy z recepcji i umówiliśmy się o siódmej na werandzie.

Wszedłem do pokoju, wykąpałem się w zimnej wodzie i mydło pomarańczowym i

zrobiłem sobie małą sjęstę na golasa. Obudziłem się za kwadrans siódma, ubrałem się i

zszedłem na werandę. Susan nie było, ale była Lucy, która przyniosła mi zimne piwo.

Susan zjawiła się kilka minut później, ubrana w nową jedwabną bluzkę, różową, i małą czarną spódniczkę.

- Ta bluzka dobrze na tobie wygląda - powiedziałem, wstając.

- Dziękuję panu, sir - odparła. - Opalił się pan i wygląda na wypoczętego.

- Jestem na urlopie.

- Cieszę się, że tę część swojej wizyty uznałeś za urlop. - Po chwili dodała: - Będę się o ciebie martwiła.

Nie odpowiedziałem.

- Tak się zastanawiałam... Muszę pojechać służbowo do Hanoi,

Mogłabym się tam z tobą spotkać. Metropole. Nie w najbliższą sobotę, lecz w następną.

Może być?

- Skąd wiedziałaś?

- Zerknęłam w twoje papiery, kiedy ty zerkałeś w mój paszport.

- Powinnaś zapomnieć, co zobaczyłaś.

- Zapomnę wszystko, z wyjątkiem hotelu Metropole w następną sobotę.

- Spędzę tam tylko jedną noc.

- W porządku. Chcę tam jedynie być, kiedy przyjedziesz.

Ta kobieta znała wszystkie właściwe słowa i zaczynała do mnie docierać.

- Metropole, Hanoi, w następną sobotę - powiedziałem.

- Będę tam.

Wypiliśmy parę piw, zanim się ściemniło, a potem wzięliśmy riksze i pojechaliśmy do centrum.

do stolika. Znaleźliśmy restaurację z ogródkiem na tyłach; ładna hostessa w *ao dai* zaprowadziła nas

Powietrze pachniało kwiatami, a przyjemna bryza unosiła dym z papierosów.

Zamówiliśmy rybę, bo było to jedyne danie w karcie, i gawędziliśmy o tym i owym. Susan poruszyła temat pułkownika Manga, a ja powiedziałem, że przypomniałem mu o nowej erze w stosunkach wietnamsko-amerykańskich i zasugerowałem, że powinien iść razem z programem.

Zamyśliła się,

- Kiedy ostatnio mieliśmy w tym kraju ambasadę w Sajgonie, był trzydziesty kwietnia siedemdziesiątego piątego roku. Ambasador stał na dachu budynku z amerykańską flagą, a generał Min stał w pałacu, czekając, by oddać Wietnam Południowy w ręce komunistów. Teraz mamy nowego ambasadora, tym razem w Hanoi, i nowy personel konsularny w Sajgonie, wśród którego są deweloperzy szukający ładnego budynku na rozwinięcie interesu, kiedy Hanoi otworzy szlaban. To znów będzie dla nas ważny kraj; nikt nie chce spieprzyć tych nowych stosunków. Mówię o wielomiliardowych inwestycjach, ropie i surowcach. Nie wiem, dlaczego tu jesteś ani kto cię przysłał, ale proszę, stąpaj ostrożnie.

Spojrzałem na Susan Weber. Miała lepsze pojęcie o geopolityce, niż to wcześniej pokazała.

- Cóż, ja wiem, kto mnie przysłał, chociaż nie jestem pewien dlaczego - powiedziałem. - Ale uwierz mi, kiedy mówię, że to nie jest dość ważna sprawa ani ja nie jestem dość ważny, żeby wpłynąć na to, co już zostało osiągnięte.

- Nie bądź tego taki pewny - odparła. - Jest wielu ludzi w Hanoi i Waszyngtonie, którzy nie chcą, żeby te dwa kraje łączyły normalne stosunki. Niektórzy z nich są z twojego pokolenia, weterani i politycy po obu stronach, ci, którzy nigdy nie zapominają i nie wybaczą. A wielu z tych ludzi jest teraz u władzy.

- Czy wiesz coś, czego ja nie wiem?

- Nie, ale coś wyczuwam... Mamy za sobą trudną lekcję w tym kraju, niczego jednak się z niej nie nauczyliśmy.

- Myślę, że czegoś się nauczyliśmy. Ale to nie znaczy, że nie popełnimy nowych błędów.

Nie podjęła tematu, a ja też nie chciałem tego ciągnąć. Wydało mi się, że jej troski są troskami biznesmenki. Lecz było w tym coś więcej niż biznes; gdyby chodziło tylko o interesy i sprawę nierozwiązanego morderstwa, nasz ambasador w Hanoi rozmawiałby teraz z wietnamskim rządem, prosząc o pomoc w znalezieniu świadka w prowadzonym przez Amerykanów śledztwie. Więc chodziło o coś innego, o czym decydenci w Waszyngtonie nie chcieli powiedzieć nikomu w Hanoi, a nawet mnie.

Po kolacji zrobiliśmy sobie przechadzkę plażą w stronę hotelu. Temat Wietnamu więcej się nie pojawił.

Odprowadziłem Susan do pokoju i wszedłem razem z nią. Na podłodze nie było żadnych

wiadomości, a panna Weber nie dawała mi czytelnych znaków.

- Spędziłem przyjemny dzień - powiedziałem.

- Ja też. Już się cieszę na myśl o jutrze.

Umówiliśmy się na śniadanie o ósmej.

- Nie zapomnij o kwasie borowym i bojlerze - przypomniała Susan.

W pokoju rozsypałem kwas borowy wokół łóżka i bagażu. W naprawdę pierwszorzędnym hotelu zrobiłaby to obsługa.

Słońce i morze wykończyły mnie; ledwie się położyłem do łóżka, już prawie spałem.

Moją ostatnią myślą było to, że na stoliku nocnym Susan nie widziałem szklanej kuli.

Rozdział 18

W Nha Trang zaczął się następny piękny dzień. Susan zjawiała się ubrana w kolejną parę Zszedłem na werandę wcześniej niż Susan, znalazłem stolik i zamówiłem czajnik kawy. bawełnianych spodni, tym razem zielonych, i biały pulower. Ten plecak musiał być większy, niż wyglądał. Wstałem, wysunąłem jej krzesło.

- Dzień dobry - powiedziałem.

- Dzień dobry. - Nalała sobie kawy. - Dobrze spałeś?

- Tak.

Zastanowiła się przez chwilę, po czym oznajmiła: - Śniłeś mi się. - Milczałem. - Byliśmy w hotelu Metropole w Hanoi. Byłam tam, więc wiem, jak wygląda. To było bardzo realne. - W dalszym ciągu milczałem. - Piliśmy koktajle, zjedliśmy kolację i tańczyliśmy w holu.

- Musimy to urzeczywistnić - odezwałem się. Przyszedł kelner i zamówiliśmy śniadanie numer jeden, czyli *pho*.

- Mogłabym zamienić ten przybytek w co najmniej dwugwiazdkowy hotel dla amerykańskich żołnierzy, którzy tu kiedyś mieszkali - oświadczyła Susan. - Urlopowy Hotel Grand. Noc z prostytutką w przeciwpancernej kabinie. Zrobiłabym Lucy hostessą. Co ty na to?

Nie skomentowałem.

- Nie popisałam się wrażliwością. To, co zrobiłeś, żeby dostać ten urlop i tu przyjechać, nie było zabawne. Przepraszam.

- Mniejsza z tym. - Rzeczywiście nie było zabawne i nie mogłem tego zapomnieć. - Bitwa o dolinę A Shau, maj sześćdziesiątego ósmego roku. Powinnaś zajrzeć kiedyś do kronik.

- Zajrzę. Lecz wolałabym, żebyś ty mi opowiedział.

Nie zareagowałem.

Podano zupę *pho*; popijałem ją łyżeczką do kawy.

- Co właściwie jest w tej zupie? - spytałem. Susan piła prosto z miseczki.

- Cóż, to narodowe danie - odparła. - W zasadzie składa się z makaronu, warzyw i rosółu

przyprawionego imbirem i pieprzem. Można dodać trochę kurczaka czy wieprzowiny, jeśli się jest bogatym. Mięso i warzywa gotują się w gorącym rosolu. Jeśli masz wątpliwości co do warunków sanitarnych w lokalu, zamawiaj *pho*; żeby ugotować mięso, potrzebny jest wrzątek, więc wiadomo, że woda jest wysterylizowana.

- Cenna wskazówka.
- Ja robię świetną zupę *pho*. Chętnie ci kiedyś ugotuję.
- Byłoby miło. Ja robię *chili*.
- Uwielbiam *chili*. Tęsknię za nim.

Wypiliśmy jeszcze po jednej filiżance kawy.

- Nie widziałem szklanej kuli na twoim stoliku nocnym - powiedziałem.

Pomyślała przez chwilę.

- Nie zauważyłam... Sprawdzę po powrocie do pokoju,
- Nie ruszałaś jej?
- Nie... Pokojówkom zwykle można ufać, jeśli położy się im na łóżku kilka dongów.
- Racja. A jakie są plany na dzisiaj?

- Kazałam recepcjoniście zarezerwować nam łódkę, więc popłyniemy zobaczyć te wyspy.

Pomyślałam, że to dobry pomysł na nasz ostatni dzień spędzany razem. Zabierz kąpielówki.

Zapłaciłem za śniadanie. Dwa dolary, tak samo jak wczoraj. Weszliśmy na górę.

- Sprawdź, co z tą kulą - przypomniałem Susan, otwierając drzwi do mojego pokoju.

Wszedłem do siebie i włożyłem kąpielówki pod ostatnią parę czystych spodni. Postanowiłem wybrać się w hosziminkach, a nie w mokasynach. Już byłem gotów do wyjścia, kiedy zauważyłem na moim nocnym stoliku szklaną kulę. Ten przedmiot ma upodobanie do wędrówek.

Zszedłem na dół; po kilku minutach zjawiała się Susan z torbą na zakupy.

- Nie mogę znaleźć tej kuli - powiedziała.
- W porządku. Jest w moim pokoju.
- Jak się tam dostała?
- Może pokojówka się pomyliła? Chodźmy.

Wyszliśmy przed hotel, gdzie czekała na nas taksówka.

- Cang Nha Trang - odezwała się Susan do kierowcy. Taksówkarz wyjechał na drogę wzdłuż plaży i skręcił na południe.

- To niemożliwe - stwierdziła Susan.
- Co?
- Żeby kula znalazła się w twoim pokoju.
- No cóż, ona wędruje.

W czasie jazdy opowiedziałem jej historię podróży szklanej kuli, od lotniska Dullesa, przez biuro pułkownika Manga na Tan Son Nhat, aż do mojego pokoju w Reksie.

Susan długo milczała.

- To po prostu... nie mogę w to uwierzyć. Ktoś był w moim pokoju - odezwała się w końcu.

- Co w tym takiego dziwnego? Myślisz, że jesteś w Lenox? To państwo policyjne. Może zdążyłaś to zauważyć. Gdybyśmy mieli telefony, byłyby na podsłuchu. W pokojach mogą być pluskwy... i to takie, na które kwas borowy nie pomoże.

Skinęła głową.

- Ale o co chodzi z tą szklaną kulą? - spytała.

- Zdaje mi się, że to pułkownik Mang uprawia z nami gierki. Nie powinien się zdradzać, żebyśmy nie myśleli o takich rzeczach jak pluskwy w pokojach. Ale on lubi się bawić.

- To trochę chore.

Droga biegła wzdłuż długiej, wygiętej jak rogal plaży; minęliśmy Klub Żeglarski Nha - Może w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego mają akurat nudny tydzień.

Trang, a parę kilometrów dalej stał wielki, nowy ośrodek z willami krytymi czerwoną dachówką; napis na tablicy brzmiał Ana Mandara. Kompleks wyglądał tak, jakby fale przyniosły go tu z Hawajów.

Do tego kraju napływało mnóstwo pieniędzy - sądząc z tego, co usłyszałem w pociągu, nie tylko do Sajgonu, ale też na prowincję, między innymi tutaj, do Nha Trang.

Gdy zbliżaliśmy się do doków, zauważyłem grupę ładnych starych willi, usadowionych na trzech pokrytych bujną roślinnością wzgórzach na samej plaży.

- Spójrz na to.

Susan zapytała kierowcę o wille, a potem przetłumaczyła odpowiedź:

- To wille Bao Dai, zbudowane przez ostatniego cesarza Wietnamu i nazwane od imienia jego skromnej osoby. To był jego letni dom. Potem korzystali z niego prezydenci Wietnamu Południowego... Diem i Thieu. Taksówkarz mówi, że można tam wynająć pokój, ale w willach mieszka wielu partyjnych dygnitarzy, więc obcokrajowcy nie zawsze są mile widziani.

- A co mi tam, mogę się podzielić mieszkaniem z partią.

- Ta rana głowy znowu się odzywa?

Jechaliśmy wzdłuż plaży w stronę południowego cypla, kończącego się dużym płaskim wzgórzem. U jego podstawy leżała malownicza wioska, a po drugiej stronie drogi widziałem

łódzie wokół długiego mola wrzynającego się w Morze Południowochińskie. imponująco wyposażone, a większość łódek wyglądała na rekreacyjne, jeśli przyjąć nie do Zatrzymaliśmy się przy molu; zapłaciłem kierowcy i wysiedliśmy. Molo nie było końca zdefiniowane pojęcie rekreacji. Było też parę łodzi rybackich, pomalowanych na granatowo, z czerwonym paskiem, tak jak wszystkie łodzie rybackie, które widziałem w Nha

Trang. To musiał być miejscowy zwyczaj, a może nie mieli innej farby.

Weszliśmy na pomost i zaraz ze dwudziestu facetów zaczęło nam proponować, że zabiorą nas wszędzie, gdzie chcemy. A nad Potomac?

Susan szukała konkretnego człowieka.

- Kapitan Vu? - zawołała. - Kapitan Vu?

Ku naszemu zdumieniu okazało się, że wszyscy nazywają się Vu. Wreszcie znaleźliśmy prawdziwego kapitana Vu, który zaprowadził nas do swojej łódki; nie była to łódka rekreacyjna, lecz jedna z granatowo-czerwonych łodzi rybackich. Wyglądała na solidną, miała około ośmiu metrów długości, niską rufę, wysoki dziób i szeroki pokładnik.

Przypominała nieco holownik z filmów rysunkowych. Weszliśmy na pokład.

Pośrodku była mała budka sterownicza, składająca się głównie ze szklanych okien; od strony portu na burcie wisiała sieć rybacka.

Kapitan Vu mówił trochę po angielsku.

- Witam na pokładzie pana i panią.

Łódka zalatywała rybą, bo była rybacka, a najbardziej śmierdziało mi to, że recepcjonista nie zamówił nam łodzi wycieczkowej. Najwyraźniej był krewniakiem kapitana Vu albo współnikiem w interesach.

- To rybacka łódź - powiedziałem do Susan.

- Czy to nie wspaniałe? Prawdziwa łódź rybacka z Nha Trang.

- Faktycznie. - Niektórzy ludzie muszą wszystkiego doświadczyć. W moim wieku próbuje się doświadczać jak najmniej. Byłem tam sześć razy. Zrobiłem to dwanaście razy.

Kapitan Vu pokazał nam skrzynkę z lodem, piwem, wodą i drinkami bezalkoholowymi.

- Dla was - oznajmił.

Kapitan Vu palił i ucieszył się, że Susan też pali; zakurzyli marlboro. Kapitan rozpostarł na skrzyni silnika mapę morską; popatrzyli na nią z Susan i zamienili kilka zdań.

- Prawdopodobnie możemy odwiedzić cztery lub pięć wysp - poinformowała mnie Susan.

- Niech będą cztery.

- Dobra. Ostatnia wyspa, którą chciałam zobaczyć, nazywa się Pyramide... wciąż nosi francuską nazwę. Jest tam plaża nudystów.

- Niech będzie pięć.

- Tak myślałam. - Powiedziała coś do kapitana Vu, który zachichotał.

- Zaczniemy od Pyramide - zasugerowałam. Kapitan zrozumiał i roześmiał się jeszcze głośniejsze. Na pomoście był chłopak mniej więcej czternastoletni, który pomógł nam odbić, a potem wskoczył na pokład. Powiedział, że ma na imię Min, na cześć wielkiego przywódcy

Ho Szi Mina. Pokazałam mu swoje sandały; spodobało mu się.

Kapitan Vu wszedł do nadbudówki i po minucie silnik mruknął, zakaszłał i zaskoczył.

Odepchnęliśmy z Minem łódkę od pomostu i ruszyliśmy.

Na burcie stały dwa plastikowe krzeselka; usiedliśmy na nich z Susan. Zajrzałem do chłodziarki obok i wyjąłem litrową butelkę wody, z której się napiliśmy.

Morze było spokojne i kapitan Vu otworzył trochę przepustnicę. Wzięliśmy kurs południowo-wschodni, w stronę małej wysepki.

Susan trzymała na kolanach mapę.

- Ta wyspa to Hon Mieu - Wyspa Południowa. Jest tam farma rybacka. Chcesz zobaczyć?

- Nie, Gdzie jest Pyramide?

Wyspę Małp, potem na dużą wyspę-górę Hon Tre, co oznacza Wyspa Bambusowa. - Podała - Następna wyspa to Hon Tam, potem Hon Mot, potem popłyniemy na Hon Cu Loa...

mi mapę. - Spójrz.

- Gdzie wyspa Pyramide?

- Jest na mapie, Paul.

- To mapa morska. Gdzie jest ta wyspa?

- Na północy.

- Tak, widzę ją. - Oczywiście leżała najdalej. Złożyłem mapę. No cóż, będzie przynajmniej na co czekać.

Naszym pierwszym portem postojowym była wyspa Hon Tam z niewielkim ośrodkiem wypoczynkowym. Wynajęliśmy dwa kajaki i trochę popływaliśmy. Wypiliśmy też po piwie i zatankowaliśmy paliwo.

Potem, na Hon Mot, wynajęliśmy sprzęt do nurkowania i spędziliśmy godzinę na obserwowaniu jaskrawo ubarwionych ryb w krystalicznie czystej wodzie. Ja obserwowałem też pod wodą Susan Weber, która znów miała na sobie skąpy kostium kąpielowy, tym razem biały.

Później popłynęliśmy na Wyspę Małp, gdzie obrzydliwe małpiszony napastowały chmarę głupkowatych turystów. Jedna z nich próbowała zwędzić mi portfel - miałem wrażenie, że znów jestem w Sajgonie. Inny małpiszon, najwyraźniej dominujący samiec, zwiślał na palcach z gałęzi i złapał Susan za cycek. A nawet nie postawił jej kolacji.

Te wstrętne małpy nie czuły absolutnie żadnego strachu przed ludźmi, a to dlatego, że nikt jeszcze nie skrzył żadnej karku. Wystarczyło to zrobić jednej, a inne zapamiętałyby lekcję.

W końcu powiedzieliśmy *adieu* Wyspie Małp, a ja nalegałem, żebyśmy darowali sobie Wyspę Bambusową, bo nie chciałem stracić Pyramide, chociaż nie wyraziłem głośno moich obaw.

- Na Wyspie Bambusowej panuje zaraza morowa. Przeczytałem o tym dzisiaj rano w gazecie.

Zdaje się, że panna Weber mi nie uwierzyła. Powiedziała coś do kapitana Vu, który zaraz zmienił kurs.

- Dokąd płyniemy? - spytałem.

- Pomyślałam, że na dzisiaj wystarczy. Dochodzi trzecia.

- Co z wyspą Pyramide?

- A, tak... Wciąż chcesz tam płynąć?

- Tak. I to zaraz.

Uśmiechnęła się.

- Właśnie tam się kierujemy. Zawsze pamiętasz o tym, co najważniejsze.

Usiadła i zapaliła papierosa. Wiatr rozwiewał jej długie włosy i wyglądała fantastycznie.

- Przy pierwszym spotkaniu z tobą odniosłam wrażenie, że jesteś trochę zamknięty w sobie.

- Bo byłem.

- Potem sobie uświadomiłam, że po prostu grasz zimnego drania.

- Zachowywałem się jak profesjonalista.

- Ja też.

To zależy od profesji, pomyślałem.

W ciągu pół godziny zauważyłem przed dziobem ląd. Kapitan Vu odwrócił się do nas w budce. Podniósł rękę.

- Hon Pyramide - poinformował.

Dopływaliśmy do maciupkiej wysepki od zachodu i kapitan Vu zamknął nieco przepustnicę, kiedy chłopak wyszedł na dziób, żeby wypatrywać raf koralowych i mielizn. Widziałem długi pomost biegnący z brzegu w morze; stało tam kilkanaście łodzi różnych rodzajów i wielkości.

Wyspa Pyramide istotnie wyglądała jak piramida ze stromymi, skalistymi krawędziami, które zbiegały się w tępym wierzchołku. Nie wiedzieć czemu, parę osób spuszczało się ze skał na linach.

Kapitan Vu podprowadził łódź do mola i zgasił silnik, a Min i ja wyskoczyliśmy na pomost, żeby ją przycumować.

Kapitan wyszedł z nadbudówki.

- Spytaj go, co ci ludzie robią na skałach - zwróciłem się do Susan.

Spełniła moja prośbę.

- To jedna z wysp, na których zbierają gniazda wróbli na zupę - wyjaśniła mi. Potem dodała; - Im wyżej jest gniazdo, tym większej erekcji dostajesz po zjedzeniu zupy.

- Zmyśliłaś to. - Coś chodziło mi po głowie, niezwiązanego z tematem rozmowy. - Spytaj kapitana, czy podczas połowów widział tu jakieś rosyjskie okręty wojenne.

Zawahała się przez chwilę, po czym zadała mu pytanie. Kapitan odpowiedział, a Susan przetłumaczyła:

- Nie tyle co kiedyś. Ale wciąż wpływają od czasu do czasu do zatoki Cam Ranh. Może raz w miesiącu.

- Czy widział jakieś amerykańskie okręty?

- Ostatnio widział parę - wyjaśniła jego słowa. - Czemu o to pytasz?

- Tylko z ciekawości - odparłem.

Kapitan Vu podał nam wskazówki, jak dotrzeć na plażę nudystów.

- Spodoba się - powiedział do mnie po angielsku. Wzięliśmy kilka butelek coli, włożyliśmy je do torby na zakupy i umówiliśmy się z kapitanem, że wrócimy o zachodzie słońca. Chłopak chciał wybrać się z nami, ale kapitan Vu zamierzał łowić ryby i potrzebował go do pomocy przy sieci. Min nie wyglądał na zadowolonego.

Zeszliśmy mołem na ląd i skręciliśmy na ścieżkę biegnącą przez nadbrzeżne zarośla.

Nie rozmawialiśmy za dużo; myślę, że oboje byliśmy trochę spięci. Pływanie na golasa to nic wielkiego, ale z kimś, kogo nigdy wcześniej nie widziało się nago, to może być trochę niezręczne.

Po mniej więcej kwadransie doszliśmy do miejsca, gdzie ścieżka skręcała przy formacji skalnej, a po drugiej stronie, jakieś dwadzieścia metrów dalej, zaczynała się piękna, zaciszna plaża schowana między klifami piramidy. Na plaży i w wodzie było około piętnastu kobiet, wszystkie rozebrane do naga.

Byli też mężczyźni, ale kogo to obchodzi? Zatrzymaliśmy się na chwilę.

- Zdaje się, że moje informacje były prawdziwe.

- Kto ci powiedział o tym miejscu?

- Obcokrajowiec mieszkający w Sajgonie. Pomyślałam że żartuje, ale upewniłam się u recepcjonisty. Potwierdził tę wiadomość; pływanie nago jest jednak zabronione. - Spojrzała na skały, niebo, piaszczystą plażę, turkusową wodę i drzewa w pobliżu brzegu. - Ale tu pięknie - zachwyciła się.

Poszliśmy piaszczystą ścieżką do plaży, gdzie ludzie opalali się i pływali. Było ich około trzydziestu, wszyscy biali cudzoziemcy, z wyjątkiem pary młodych Wietnamczyków.

Plaża miała tylko około pięćdziesięciu metrów długości i tyle samo szerokości. Skały utworzyły wokół niej coś w rodzaju amfiteatru, czyniąc ją bardzo intymną. I byłoby całkiem intymnie, gdyby nie faceci na linach na szczycie, szukający ptasich gniazd.

Znaleźliśmy płaski kamień na piasku; Susan położyła na nim swoją torbę.

Najbliższa para leżała na plecach jakieś siedem metrów dalej.

- Czas popływać - powiedziałem, zdejmując koszulę i strząsając z nóg sandały.

Susan też ściągnęła spodnie i sandały i położyła na kamieniu.

Zdjąłem kąpielówki, a Susan górę kostiumu. Potem zdjęła slipy i rzuciła je na torbę. Staliśmy przez chwilę nago w słońcu... i było przyjemnie.

Kostium Susan nie pozostawiał zbyt wiele dla wyobraźni, ale moja wyobraźnia nie dorównywała rzeczywistości. Miała starannie ostrzyżony trójkąt, pasujący do bikini.

Ruszyliśmy plażą do brzegu. Wiek kobiet wahał się od około dwudziestu do pięćdziesięciu lat, i

nie było tam ani jednej złej figury. Zastanawiałem się, czy powinienem opisać to wszystko w raporcie podsumowującym misję.

Staliśmy na skraju plaży, a łagodne fale obmywały nam stopy. Słońce było przed nami, nad wzgórzami Nha Trang, którego brzeg widzieliśmy jakieś dwadzieścia kilometrów dalej. Promienie skrzyły się nad wodzie, a w powietrzu latało mnóstwo mew.

Staliśmy tam, wchłaniając wszystko, co nas otacza - przyrodę w jej najpiękniejszej postaci, widok zupełnie obcych ludzi, nagich tak samo jak my, bez otoczki ziemskich dóbr; ich pozycja życiowa była zupełnie nieważna i nieznaną w to słoneczne popołudnie.

Bardzo ładna kobieta w wieku około czterdziestu lat wychodziła z morza w naszą stronę, ocierając z wody oczy i nos.

- Dobra temperatura - powiedziała po angielsku z obcym akcentem. - Nie ma meduz. Bardzo bezpiecznie.

- Dziękujemy - odparła Susan.

- Amerykanie?

- Tak.

- Niewielu tutaj. W większości Europejczycy i Australijczycy. Ja jestem ze Szwecji.

Nawet na golasa wyglądaliśmy na Amerykanów. To na pewno przez moje obrzezanie.

Gawędziliśmy z tą miłą panią i przyłączył się do nas jej mąż; rozmawialiśmy o tym, gdzie mieszkamy, o restauracjach, Nha Trang i w ogóle o Wietnamie. To zabawne, że po paru minutach zapomina się, iż wszyscy są goli. No, może niezupełnie, ale utrzymuje się dobry kontakt wzrokowy.

- Mogę spytać, czy był pan tu w czasie wojny? - odezwał się mężczyzna.

- Tak - odparłem.

- I co pan sądzi?

- Przyjemnie. Spokojnie.

- Wojna jest straszna.

- Wiem o tym.

Machnął ręką, ogarniając gestem plażę i niebo.

- Cały świat powinien być taki - rzekł.

- I był - przypomniałem mu. - W ogrodach Edenu. Ale my go spieprzyliśmy.

Oboje się roześmieli.

- Miłego pobytu - powiedziała kobieta. Odeszli.

- To było ładne - zauważyła Susan.

- Twoje ładniejsze.

Roześmiała się.

Zanurzyliśmy się i popłynęliśmy wzdłuż plaży, badając skaliste brzegi. Pływanie nago to

niesamowite doświadczenie. Pływaliśmy mniej więcej pół godziny, a potem wróciliśmy na brzeg.

Szliśmy w wodzie, aż sięgnęła nam do piersi. Zatrzymaliśmy się. Odwróciłem do siebie Susan, położyliśmy sobie ręce na ramionach i staliśmy tak, patrząc na siebie. A potem objęliśmy się i pocałowaliśmy. Nasze ręce ześliznęły się na pośladki, przyciągnąłem ją do siebie i poczułem jej włosy łonowe na moim członku.

Susan odsunęła się i wzięła głęboki oddech.

- Chodźmy poleżeć na plaży.

- Ty idź - odparłem. - Ja muszę poczekać, aż mi opadnie peryskop.

Uśmiechnęła się i poszła do brzegu. Patrzyłem, jak idzie po piasku; miała piękny chód.

Zatrzymała się po drodze, żeby porozmawiać z wietnamską parą, która siedziała na kamieniu pod drzewem. Wietnamczycy uśmiechali się i kiwali głowami.

Jak tylko uporałem się z peryskopem, ruszyłem plażą do Susan, która leżała na piasku z głową opartą na torbie.

Uklęknąłem, a ona spojrzała na mnie, uśmiechając się.

Przewróciła się na bok i podała mi tubkę kremu do opalania.

- Posmarujesz mnie z tyłu?

- Jasne. - Rozprowadziłem krem po jej plecach, pośladkach i nogach.

- Ale przyjemnie - mruknęła. Pomasowałem jej szyję, ramiona, plecy i pupę.

- Posmaruję ci plecy - powiedziała.

Ułożyłem się na brzuchu, a Susan usiadła mi okrakiem na pośladkach i rozsmarowała krem po plecach.

- Chcesz zrobić parę zdjęć? - spytała.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Chcę zapamiętać ten dzień. Wiem. Poprosimy kogoś, żeby zrobił nam zdjęcia razem, i schowamy twarze.

Wstała, podeszła do wietnamskiej pary i coś powiedziała. Facet zgodził się przyjść, ale dziewczyna wyglądała na zawstydzoną i została na skale pod drzewem. Susan przedstawiła mnie panu Hanhowi; wstałem i ucisnąłem mu rękę. Susan podała mu aparat; stanęliśmy blisko siebie, kładąc sobie ręce na ramionach i zakrywając nawzajem twarze. Pan Hanh uznał, że to zabawne, i, chichocząc, pstryknął nam zdjęcie. Do następnego zdjęcia zakryliśmy sobie wzajemnie okolice łonowe. Wszystko to było trochę głupie i może trochę sztubackie. Jestem jednak z południowego Bostonu.

Podziękowaliśmy panu Hanhowi, który uklonił się i wrócił do towarzyszek.

- Wywołają te zdjęcia w Sajgonie?

- Nie, tam nie wywołują takich fotek, a gdyby to zrobili, w ciągu dwóch dni byłyby w całym mieście. Wyślę je siostrze w Bostonie. Może być?

- Pewnie. Jeśli ją kiedyś poznam, będziemy mieli o czym porozmawiać.

Parsknęła śmiechem.

Usiedliśmy ze skrzyżowanymi nogami i otworzyliśmy puszki coca-coli.

- A co powiesz siostrze o tych zdjęciach?

- Powiem, że poznałam wspaniałego faceta, który przyjechał służbowo, spędziliśmy kilka cudownych dni w Sajgonie i Nha Trang, a potem on wrócił do domu w Wirginii i tęskni za nim - odparła.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Szkoda, że te rzeczy są takie skomplikowane. - Jedyne na tyle się zdobyłem.

Susan skinęła głową.

Słońce wisiało teraz za górami Nha Trang i gasnące światło podkreślało kontury lądu na tle ciemnoniebieskiego nieba. Flota granatowo-czerwonych łodzi rybackich płynęła przez zmrok powrotnym kursem do Nha Trang. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że ludzie ubierają się i schodzą z plaży.

Na stałym lądzie, niedaleko stąd, było parę miejsc, gdzie kiedyś znalazłem się o krok od śmierci. Gdybym tam zginął, nie byłoby mnie na plaży z tą kobietą i nie mógłbym ujrzeć tego kraju w pokoju. Gdyby istniało niebo dla tych, którzy tu polegli, właśnie tak powinno wyglądać. Ubraliśmy się i poszliśmy do łodzi.

Dotarliśmy do Nha Trang po zmroku. Zapłaciłem kapitanowi Vu i dałem mu ładny napiwek, plus pięć dolców dla Mina jako rekompensatę za to, że ominęła go plaża nudystów.

Przy molu stało parę taksówek; wsiedliśmy i pojechaliśmy do hotelu. morską bryzę. Na górze weszliśmy do pokoju Susan i otworzyliśmy okna balkonowe, żeby wpuścić

Susan zgasila lampę i zapaliła świecę, którą kupiła na rynku, a ja otworzyłem butelkę wina ryżowego i naląłem do plastikowych kubków. Stuknęliśmy się ich brzegami i wypiliśmy. Z kafejki na plaży dochodziła muzyka, *Blueberry Hill* Fatsa Domina; nie wybrałbym tego utworu akurat na tę chwilę, ale mój odtwarzacz był w Wirginii. - Zatańczmy - zaproponowała Susan. Odstawiliśmy kubki z winem, zrzuciliśmy sandały i zatańczyliśmy przy *Blueberry Hill*. To było zabawne; lubię grę wstępną, ale byłem trochę spięty. Muzyka się zmieniła; grali teraz *The Twelfth of Never* Johnny'ego Mathisa, a jest to moja ulubiona piosenka w wolnym tempie.

Tańczyliśmy blisko siebie, czułem oddech Susan na szyi. Wsunęła dłonie pod moją koszulę i pieściła mi plecy. Ja zrobiłem to samo, a potem rozpiąłem stanik jej bikini. Ściągnęliśmy koszule i tańczyliśmy; piersi Susan oparły się na mojej klatce piersiowej. Wsunęła ręce pod moje spodnie, a ja wzięłem w dłonie jej pośladki.

Nie skończyliśmy tańca, bo nagle się okazało się, że Susan jest w moim ubraniu, a ja w jej. Po kilku sekundach nasze rzeczy leżały na całej podłodze. Niemal wskoczyliśmy do

łóżka, a Susan zaciągnęła moskitierę. Całowaliśmy się mocno, niecierpliwie dotykając się rękami, a nasze ciała rzucały się w małym łóżku.

Wreszcie zdołaliśmy zapanować nad namiętnością; leżeliśmy przez chwilę obok siebie, spleceni.

Nasze ręce znów zaczęły wędrować. Susan była bardzo wilgotna, a ja bardzo twardy. Wsunąłem się na nią i łatwo wszedłem do środka. Kochaliśmy się, a potem usnęliśmy w swoich ramionach, wyczerpani.

Obudziłem się w środku nocy, z Cynthią w głowie i Susan w łóżku. Myślałem też o Karlu, o tym, co mam do zrobienia, i o tym, co czeka mnie w domu.

Moja misja źle się zaczęła na lotnisku Tan Son Nhat, a kiedy coś takiego się zdarza, trzeba rezygnować, zanim się roztrzaskasz i spłoniesz. Lecz ta misja stała się dla mnie osobistą podróżą, a jeśli jej koniec miał być nieszczęśliwy, byłem na to gotów.

Rozdział 19

Rankiem, przy blasku słońca wschodzącego nad Morzem Południowochińskim i bryzie wpadającej przez otwarte drzwi balkonowe, znów się kochaliśmy.

Wzięliśmy razem kąpiel i leżeliśmy nago w łóżku do około dziesiątej, a potem ubraliśmy się, zeszliśmy na werandę i zamówiliśmy kawę.

Wszystko wokół wyglądało tak samo jak wczoraj i przedwczoraj, lecz świat zmienił się dla mnie... i dla Susan chyba też.

Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że nie wróci do Sajgonu, póki ja będę w Nha Trang, ale bardzo stanowczo obstawałem przy tym, żeby nie towarzyszyła mi do Hue. Powiedziałem jej to przy kawie.

- W Hue zaczynają się moje służbowe sprawy. Do tej pory nam się upiekło, ale gdybyś tam ze mną pojechała, w Waszyngtonie walono by do mnie z armat.

- Rozumiem to - odparła Susan. - Ale zobaczę się z tobą w Hanoi.

Chciała trochę pozwiedzać, więc wynajęliśmy samochód z kierowcą i pojechaliśmy do Instytutu Oceanograficznego. Zobaczyliśmy nieco ryb w akwarium i tysiące martwych

stworzeń morskich, zakonserwowanych w szklanych słojach. To właśnie takie miejsca jak to zasługują na bezpośrednie trafienie pociskiem artyleryjskim.

Po południu oglądaliśmy okoliczne wieże Chamów, trochę ciekawsze niż peklowane ryby w słoikach. - Chamowie byli Hindusami - poinformowała mnie Susan uzbrojona w broszurkę - którzy zajmowali te tereny od siódmego do dwunastego wieku, zanim podbili ich rdzenni Wietnamczycy nadciągający z północy.

- Fascynujące. - Czy byłbym tutaj, gdybyśmy nie poszli do łóżka?

W kompleksie świątyni Chamów o nazwie Po Nagar znajdowały się rzeźby hinduskich bogów i bogiń, bardzo zmysłowe, i to mnie nawet zaciekało. Były tam posągi olbrzymich penisów, zwane lingas, i pochew - yonis. Z jednej z tych ostatnich tryskała fontanna. W katolickim kościele czegoś takiego nie uświadczysz.

Spędziliśmy popołudnie na zwiedzaniu okolicy; zobaczyliśmy między innymi zaczarowane miejsce o nazwie Ba Ho, gdzie w zaciszu lasu trzy wodospady wpadają do trzech stawów. Gdy siedzieliśmy przy wodospadach ze stopami w wodzie, Susan zajrzała do mojego przewodnika.

- Wiem że lubisz plaże nudystów, więc znalazłam następną - oświadczyła.

- Mam nadzieję, że nie uważasz, iż tylko to mnie ciekawi - odparłem. - W Instytucie Oceanograficznym bardzo mi się podobało.

- Wiem. Ale na plaży nudystów też można się czegoś nauczyć. Chodźmy.

Wsiadliśmy do samochodu, a Susan wytłumaczyła kierowcy, jak dojechać do miejsca o nazwie Hon Chong, które jest wielkim skalistym przylądkiem wrzynającym się w Morze Południowochińskie.

Ze szczytu w kierunku północnym rozpościerał się malowniczy widok przylądka, a od strony południowej ciągnęło się Nha Trang. Słońce wisiało nad górami na zachodzie, morze było błękitno złote.

- Bardzo tu ładnie - powiedziałem.

Susan zaprowadziła mnie do czegoś, co wyglądało jak wielki odcisk dłoni w ogromnym głazie.

- Ten odcisk zrobił pijany czarodziej-olbrzym, który spadł na te skały.

- Trzeba sporo ryżowego wina, żeby upić czarodzieja-olbrzyma - zauważyłem.

- Podglądał czarodziejkę kąpiącą się nago tam, na Plaży Czarodziejek - dodała Susan.

Spojrzałem ze skały i zobaczyłem plażę, ale żadnych wrózek... nagich czy ubranych.

- Olbrzym wstał, zbiegł na plażę i pochwycił wrózkę. Coś podobnego mnie się wczoraj zdarzyło.

Miałem wrażenie, że było trochę inaczej, ale wiem, kiedy trzymać gębę na kłódkę.

- To ładne. Żyli długo i szczęśliwie? - Mimo jego agresywnego zachowania zakochali się i rozpoczęli wspólne życie.

- Nie. Bogowie rozgniewali się na nich za to, co zrobili.

- Czy ci bogowie mieszkali w Waszyngtonie?

- W jakimś podobnym miejscu. Wysłali czarodzieja do obozu reedukacyjnego.

- Ale wpadka.

- Właśnie. Lecz wróзка czekała na niego długie stulecia.

- Zaczyna z niej dama.

- Tak, lecz miała złamane serce i myślała, że on nigdy nie wróci. Więc położyła się i zamieniła w skałę. Widzisz tę górę? - Susan wskazała na północny zachód. - Nazywa się Nui Co Tien... Góra Wrózki. Wierzchołek z prawej to jej twarz spoglądająca w niebo. Środkowe wierzchołki to jej piersi, a te z lewej strony to jej skrzyżowane nogi.

Spojrzałem. Rzeczywiście można było sobie wyobrazić spoczywającą kobietę ze skrzyżowanymi nogami.

- Pewnego dnia - ciągnęła Susan - czarodziej wrócił w to miejsce. Widząc, co się stało z jego kochanką, trzasnął pięścią tam, gdzie kiedyś odbiła się jego dłoń i gdzie pierwszy raz ujrzał kąpiącą się wrózkę. Był tak zrozpaczony, że umarł i też zamienił się w skałę.

Milczałem przez chwilę.

- Smutna legenda - powiedziałem.

- Prawie wszystkie miłosne legendy smutnie się kończą - zauważyła Susan i spytała: -
Czemu tak jest?

- Myślę, że kiedy romans zaczyna się potajemnie, kiedy wszyscy w otoczeniu kochanków są dotknięci i rozgniewani - wtedy romans musi mieć nieszczęśliwy i tragiczny finał.

Susan spojrzała na Górę Wróżki.

- Ale ważniejsze jest to, że kochankowie dochowali sobie wierności - stwierdziła.

- Jesteś romantyczką.

- A ty jesteś praktyczny?

- Nikt nigdy nie zarzucił mi tego, że jestem praktyczny.

- Oddałbyś życie za miłość?

- Czemu nie? Ryzykowałem życie dla mniej ważnych spraw.

Susan pocałowała mnie w policzek, wzięła za rękę i zaczęliśmy schodzić w dół.

Wieczorem pojechaliśmy do nowego ośrodka Ana Mandara, który widzieliśmy po drodze do przystani w Nha Trang, i zjedliśmy pierwszorzędną kolację złożoną z wietnamskich potraw przyrządzonych z uwzględnieniem zachodnich gustów. Ośrodek należał do holenderskiego koncernu, a klientela składała się głównie z Europejczyków, lecz było też paru Amerykanów.

Koło basenu grała niezgorsza kapela; wypiliśmy kilka drinków, tańczyliśmy, rozmawialiśmy i trzymaliśmy się za ręce.

- Wtedy... po kolacji w Reksie, wróciłam do domu jak na skrzydłach - powiedziała Susan.

- Myślę, że czułem się tak samo - odparłem.

- Odesłałeś mnie. A gdybym nie wróciła?

- Nie kazali ci trzymać się blisko mnie?

- Tylko gdybyś sobie życzył mojego towarzystwa... albo czegoś potrzebował. W innym razie miałam zniknąć. Ale ja nawet o tym nie pomyślałam. Zamierzałam do ciebie zadzwonić. Potem jednak postanowiłam po prostu wrócić i zjeść z tobą kolację.

- Cieszę się, że wróciłaś - powiedziałem, lecz pamiętam, że nie odbyło się to tak spontanicznie, jak mówiła Susan. Oprócz tego były niezgodności w relacji na temat Billa Stanleya, a także kilka innych rzeczy, które do siebie nie pasowały. Wysoka trawa się poruszała, choć nie było wiatru, bambusy stukały coraz bliżej,

Wyszliśmy z Ana Mandara i wróciliśmy spacerem do Grand Hotelu. W dalszym ciągu

mieliśmy dwa pokoje, ale spałem w pokoju Susan.

Kochaliśmy się i leżeliśmy blisko siebie na wznak, spowici kokonem moskitiery, przy blasku świecy o zapachu pomarańczy, wśród girland z kwitnących gałęzi Tet i kwasu borowego rozsypanego na podłodze.

Patrzyliśmy, jak nad naszymi głowami obracają się leniwie skrzydła wiatraka. Przez otwarty balkon wpadała bryza i czułem zapach morza. Następny dzień, piątek, miał być naszym ostatnim dniem w Nha Trang.

- Załatwiłaś sobie przejazd do Sajgonu? - spytałem. Susan gładziła stopą moją nogę.

- Co?

- Sajgon, sobota.

- A, tak... W sobotę przestają kursować pociągi. To wigilia Księżycowego Nowego Roku.

- A samochód z kierowcą?

- Jutro spróbuję załatwić. Nie zabrzmiało to jak konkretny plan.

- Czy będzie z tym kłopot?

- Może. A może nie. Nigdy nie próbowałam podróżować w okolicy świąt Tet.

- Więc może powinnaś wyjechać jutro.

- Nie wyjadę wcześniej. Chcę z tobą spędzić tyle czasu, ile to możliwe.

- Ja też, ale...

- Jak się dostaniesz do Hue?

- Nie wiem. Lecz muszę tam być.

- Wszystkie pociągi i samoloty są zarezerwowane od miesiący - oświadczyła.

- Hm... Może ja też powinienem jutro wyjechać.

- Powinieneś, jeśli chcesz sobie kupić miejsce w pociągu.

- A znalazłbym jutro samochód z kierowcą?

- Spróbujemy. Jeśli wszystko zawiedzie, zawsze zostaje katownia na kółkach, czyli autobus. Tam nie potrzeba rezerwacji. Kupujesz bilet na dworcu i próbujesz się wcisnąć. Wystarczy łokcie i dongi.

- Jakie znowu dongi?

- Dongi. Pieniądze, kretynie - odparła Susan. - Pojechałam kiedyś autobusem z Sajgonu do Hue tylko po to, żeby zobaczyć, jak to jest. I zobaczyłam, a jakże. Drogi są niebezpieczne, a jeśli zdarzy ci się wypadek, nie ma systemu pogotowia ratunkowego ani nawet karettek poza miastem. Mogą upłynąć godziny, zanim otrzymasz pierwszą pomoc, nie mówiąc o dowiezieniu do szpitala.

- Ale ty jeździsz motorem poza miasto.

- Wiem, co robię. Czasem kierowcy kładą też bagaże na dachu, więc jeśli pada, wszystko przemaka do nitki. Na domiar złego wiele autobusów się psuje, a siedzenia są tak zatłoczone, że obcokrajowcy muszą czasem wykupywać potrójne miejsca; jeśli jednak w autobusie jest ścisk, i tak możesz skończyć na stojąco. - Po chwili dodała: - Jeżeli nawet Wietnamczycy nazywają autobusy katowniami na kółkach, możesz sobie wyobrazić, jak tobie by się spodobały. Poza tym wszyscy palą.

- No dobra... A czy wszyscy wsiadają?

- Tak. Wsiądziesz, jeśli w środku jest choćby pół metra kwadratowego wolnej przestrzeni. Albo po prostu czekasz na następny autobus.

Może powinniśmy jutro poszukać dwóch samochodów z kierowcami.

- Tak, powinniśmy się do tego zabrać jutro z samego rana.

Część druga - pomyślałem.

- Miałam jutro iść z Billem na prywatkę z okazji Tet - poinformowała mnie Susan. Nie zareagowałam. - Będą tam wszyscy nasi znajomi. Amerykanie, Brytyjczycy, Australijczycy i paru wietnamskich katolików.

- Zapowiada się niezły ubaw.

- Teraz na pewno nie pojedę. Po prostu zostanę w domu i będę patrzeć z okna na tańczące smoki.

- Rano sobie podziękujesz.

- Moja gospoia zostanie z rodziną, naturalnie, a bary i restauracje są w większości zamknięte; jeśli będą otwarte, to tylko dla zaproszonych gości. Więc może po prostu podgrzeję trochę zupy *pho*, otworzę butelkę ryżowego wina, puszczę sobie płytę Barbry Streisand i położę się wcześniej spać.

- Brzmi to strasznie. A może puściłabyś sobie Beach Boysów?

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Pewnie mogłabym pójść na tę prywatkę, ale byłoby niezręcznie.

- Chciałabyś pojechać ze mną do Hue?

- Hm... To jest myśl. - Wsunęła się na mnie, mówiąc: - Jesteś taki kochany.

- A ty nieznośna. - Co ci zrobią? Ześlą do Wietnamu?

Pocałowała mnie, moja laska się wydłużyła i znów się kochaliśmy. Od poprzedniego

razu nie minęła nawet godzina, a ja nie zjadłem jeszcze dzisiaj zupy z ptasich gniazd. Coraz bardziej przypominało to mój urlop rekreacyjno-regeneracyjny w Nha Trang, tyle że wtedy byłem o wiele młodszy. Wyobraziłem sobie, że, spotykam się z Karlem w Bangkoku, chodząc o kulach. Przynajmniej byłem opalony.

Susan zasnęła w moich ramionach. Wiatr przybrał na sile i słyszałem bijące o brzeg fale. Nie mogłem zasnąć, gdyż uświadomiłem sobie, że, patrząc na to ze służbowego punktu widzenia, siedzę po uszy w kłopotach i pakuję się w nie coraz głębiej.

Pomyślałem o przestrodze zawartej w legendzie, którą usłyszałem na górze Hon Chong. Nikt nie może powiedzieć, że mnie me ostrzegano. Świat nie zawsze jest wyrozumiały dla kochanków, a Paul Brenner i Susan Weber naprawdę wnerwili bogów.

Susan miała rację, że powinniśmy wyjechać nazajutrz, a nie w sobotę, czyli wigilię Księżycowego Nowego Roku. A przecież wiedziała o tym od tygodnia

Byłem pewien, że Susan Weber jest gotowa wrócić do kraju gdybym ją zabrał ze sobą. Ale ani razu nie powiedziała: „Wynośmy się stąd”. Powiedziała jednak: „Pozwól mi ze sobą jechać, gdziekolwiek się wybierasz”.

To prowadziło do trzech możliwych wniosków: pierwszy był taki że Susan jest znudzona, skończyła z Billem, szuka przygody i nowych wyzwań; drugi, że jest we mnie zakochana do szaleństwa i nie chce odejść od mojego boku; trzeci, że ona i ja wykonujemy to samo zadanie.

Każda z tych możliwości była realna - nawet wszystkie naraz albo ich dowolna kombinacja.

Poza tym myślę, że oboje rozumieliśmy, że jeśli rozstaniemy się tu, w Nha Trang, możemy się nie spotkać w Hanoi ani nigdzie, a nawet jeśli spotkamy się w Hanoi, to już nie będzie tak samo. Moja podróż stała się jej podróżą, a jej droga do domu - moją drogą.

Rozdział 20

W piątek wczesnym rankiem poszliśmy do oficjalnej, państwowej agencji turystycznej

Vidotour, ale okazało się, że tak jak większość instytucji jest w czasie świąt zamknięta. Z wyjątkiem sklepów spożywczych i kwiaciarni, właściwie całe miasto zaczynało się zamykać.

Poszliśmy na dworzec kolejowy. Ponieważ był to ostatni dzień kursowania pociągów - normalny ruch miał się zacząć dopiero w następny piątek - więc nie mogliśmy nawet kupić biletu na miejsca stojące. Co gorsza, nawet gdybyśmy dostali się do pociągu za pomocą

łapówki, bilet albo łapówka wystarczyłyby nam tylko do Da Nang, a tam musielibyśmy powtórzyć wszystko od początku... lub utknąć.

- Dlaczego przysłali cię tu w czasie świąt Tet? - spytała Susan, kiedy wychodziliśmy z dworca,

- To nie jest takie głupie, jak się wydaje - odparłem. - Mam znaleźć kogoś w jego rodzinnej wiosce lub miasteczku.

- Aha. Rzeczywiście powinien tam być.

- Mam nadzieję. To jedyny adres, jakim dysponuję.

- Tam Ki? Czy to ta wioska?

- Nie sądzę, żeby taka miejscowość istniała. To inna miejscowość, której nazwę dostanę w Hue. Właśnie mam się tam udać z Hue. Ale powtarzam, że ty tam ze mną nie pojedziesz.

- Wiem. Zostanę w Hue. Potem przyjadę do Hanoi i spotkam z tobą. - Świetnie. Tymczasem musimy się dostać do Hue.

- Gdzie jest wola, tam znajdzie się i sposób.

- To nie jest zabawne.

- Nie panikuj. Przemówią pieniądze. Dojedziemy do Hue, moja w tym głowa.

Chodziliśmy po mieście z planem turystycznym, który kupiłem na plaży, ale dwa prywatne biura podróży były zamknięte.

Rozglądałem się, czy nie mamy ogona, lecz byłem raczej pewny, że jesteśmy sami. Kierując się wskazówkami uzyskanymi od przechodniów, niedaleko głównego rynku znaleźliśmy czynne biuro turystyczne z autobusami. Szpaner za kontuarem nosił ciemne okulary i miał instynkt sępa. Wyczuł szmal i desperację, tak jak ptak ścierwojad wyczuwa śmierć na odległość. Układali się z Susan przez dziesięć minut.

- Ma grupę wycieczkową, która wyjeżdża o siódmej rano - powiedziała wreszcie Susan. - Dojadą do Hue na szóstą po południu, w samą porę na wigilię Tet. Kiedy masz się spotkać z tym człowiekiem?

- Dopiero w południe następnego dnia... w Nowy Rok. W niedzielę.

- Dobra. On mówi, że w autobusie nie ma już ani jednego wolnego miejsca, lecz możemy usiąść przy drzwiach czy gdzieś. Jest dużo przestrzeni bagażowej. Pięćdziesiąt dolarów od osoby.

- Co to za grupa?

Susan przetłumaczyła pytanie Szpanerowi.

- Francuzi - poinformowała mnie.

- Idziemy pieszo. - Roześmiała się. - Powiedz mu, że to on musi nam zapłacić.

Przetłumaczyła moje słowa Szpanerowi, a ten parsknął śmiechem i klepnął mnie po ramieniu.

- Spytaj go, czy ma wolny samochód z kierowcą.

Susan przetłumaczyła, a Szpaner zrobił powątpiewającą minę, co miało oznaczać:

„Jasne, będzie was to kosztować fortunę”.

- Ma człowieka, który może nas zawieźć do Hue, ale z powodu święta będzie nas to kosztować pięćset dolarów - stwierdziła Susan.

- To nie jest moje święto - odparłem. - Dwieście.

Susan powiedziała coś do Szpanera i stanęło na trzystu.

- Mówi, że kierowca i samochód będą wolni dopiero o szóstej po południu. Samochodem możemy tam dotrzeć w siedem lub osiem godzin, jeśli wyjedziemy około szóstej, kiedy ruch jest mały. W ten sposób będziemy na miejscu o pierwszej lub drugiej w nocy. Może być?

- Jasne. I możemy spać w holu, jeśli w hotelu nie będzie wolnego pokoju.

- Dobra... Rozumiesz, że nocna jazda jest mniej bezpieczna?

- Dzienna też nie jest tu zbyt bezpieczna.

- Słusznie. Powiem mu, żeby odebrał nas z hotelu około szóstej.

Wziąłem Susan na stronę.

- Nie. Powiedz mu, że tu przyjdziemy. I powiedz, że jedziemy na lotnisko Hue-Phu Bai.

Skinęła głową i przetłumaczyła wszystko Szpanerowi.

Ten stwierdził, że o szóstej będzie w domu i że nie chce powierzać takiej sumy nikomu ze Szpanerskiego Biura Podróży Minibusami. Chciał pieniądze od razu.

Susan uznała to za całkiem zabawne i powiedziała, że zobaczymy się później.

Szpaner spierał się z nią, ale zrozumiał, że ma do czynienia z pozbawioną skrupułów, zatwardziałą kapitalistką, więc pogodził się z porażką.

Susan okazała wielkoduszność w swoim zwyczajem i poczęstowała go papierosem.

Zostawiliśmy Szpanerskie Biuro Podróży i znaleźliśmy kafejkę z ogródkiem, gdzie wypiliśmy kawę. - Świetnie się spisałaś - pochwaliłem ją. - Już zaczynałem wątpić, czy stąd wyjedziemy.

Zapaliła papierosa.

- Za takie pieniądze... mniej więcej roczny zarobek przeciętnego Wietnamczyka... można tu dostać to, co się chce. Jak mawiał mój ojciec: „Biedni cierpią, a bogaci cierpią drobne niedogodności”. - Spojrzała na mnie i dodała: - Jeśli mamy trzysta dolarów, to musimy mieć więcej. A to nocna jazda. Więc nie zasypiaj.

- Już się domyśliłem. Właśnie dlatego jeszcze żyję. - Po chwili dodałem: - Jeśli nie spodoba nam się jazda wieczorem, rano mamy jeszcze kurs minibusu.

Napiła się kawy.

- Dlaczego nie chciałeś, żeby kierowca zabrał nas spod hotelu?

- Bo pułkownik Mang nie życzy sobie, żebym korzystał z prywatnych środków transportu.

- Dlaczego?

- Bo pułkownik Mang to paranoiczny dupek. Otóż dlatego. Mam pójść na policję imigracyjną i pokazać im bilet do Hue. Mówiłaś, że mogę sobie załatwić bilet autobusowy.

- Tak. Raz kupiony bilet jest zawsze ważny na każdy autobus na tej trasie, więc policja nie będzie pytać, jakim autobusem zamierzasz jechać. Stąd do Hue jest jakieś pięćset pięćdziesiąt kilometrów,

podróż trwa dziesięć do dwunastu godzin, dlatego podejrzewam, że ostatni autobus do Hue wyrusza stąd około pierwszej po południu i dojeżdża do Hue mniej więcej o północy.

- To znaczy, że gdybym rzeczywiście jechał autobusem, musiałbym niedługo wyjść.

- Tak. I musiałbyś się niebawem wymeldować z hotelu.

- Dobrze. - Wstałem. - Idziemy.

Zapłaciliśmy rachunek i udaliśmy się pieszo na główny dworzec autobusowy.

Dworzec wyglądał tak, jakby zorganizowano na nim wielki zlot ubogiej ludności; nie zauważyłem ani jednego cudzoziemca, żadnego młodego turysty z plecakiem czy nauczyciela.

Ogonki były długie, ale Susan podeszła do czoła kolejki i dała jakiemuś facetowi parę dolarów, żeby mi kupił bilet.

- W jedną stronę czy powrotny? - spytała.

- W jedną stronę, pokład widokowy, miejsce przy oknie.

- Jeden bilet na dach.

Wietnamczyk kupił bilet i wyszliśmy z dworca. Doprawdy, biedni cierpią... nawet w państwie robotniczym.

- Sprzedawca biletów powiedział, że jest jeden autobus w południe i jeden po południu - poinformowała mnie Susan.

Ruszyliśmy w stronę komendy policji.

- Zostań tutaj - zwróciłem się do Susan. - Oni już wiedzą, że mówisz po wietnamsku. Poradzę sobie w *pidgin*.

- A co ważniejsze, gdybyś stamtąd nie wyszedł, skontaktuję się z ambasadą.

Nie odpowiedziałem i wszedłem do budynku komendy.

Za kontuarem siedział jakiś inny facet; pokazałem mu list pułkownika Manga, a policjant go przeczytał.

Poczekalnia była tym razem pusta, nie licząc dwóch chłopaków z plecakami, którzy spali na ławkach.

- Gdzie jedziecie teraz? - spytał policjant przyzwoicie po angielsku.

- Hue.

- Jak jedziecie do Hue?

Pokazałem mu bilet.

Wyglądał na nieco zaskoczonego, ale miałem bilet za pięć dolarów, więc musiałem mówić prawdę.

- Kiedy jedziecie? - spytał.

- Teraz.

- Tak? Opuszczacie hotel?

Wiedział, że mam rezerwację do jutra.

- Tak, dzisiaj opuszczam hotel - potwierdziłem.

- Dlaczego dzisiaj wyjeżdżacie?

- Jutro nie ma pociągów do Hue. Ani samolotów. Jadę autobusem. Dzisiaj.

- Tak. Okej. Idziecie na policję w Hue.

- Wiem o tym - odparłem ostro. - Szczęśliwego Nowego Roku i wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Do zobaczenia później.

- Pani jedzie z wami?

Nigdy nie kłam, jeśli mogą cię przyłapać na kłamstwie. Lecz nie mów całej prawdy.

- Może - odparłem. - Może nie. Rozmawiamy o tym.

- Gdzie pani teraz? - spytał.

- Pani na zakupach. - Spojrzałem na zegarek i powiedziałem: - Idę.

- Nie. Potrzebujecie stempla. - Wyciągnął fotokopie, które zostawiłem im po przyjeździe, i powiedział: - Ja stempluję. Dziesięć dolarów.

Dałem dziesiątaka. Podstemplował odbitki i napisał coś na postawionych pieczętkach. Wydaje mi się, że oni to wymyślają na poczekaniu.

Wyszedłem, zanim zdążył coś jeszcze wykombinować. Spojrzałem na znaczki i zobaczyłem, że na tle czerwonego atramentu napisał "Hue - Century", więc wiedział już, gdzie się zatrzymam. Wpisał też czas - 11.15 - i datę. Susan czekała nieco dalej na ulicy.

- Jakież problemy? - spytała.

- Nie. Tylko jeszcze jeden podatek od okrągłych oczu. - Pokazałem jej odbitki z czerwonymi stemplami i spytałem: - Co to takiego?

- Stare stemple niezbędne do podróży wewnętrznych. Trzeba było je mieć przed wielu laty - wyjaśniła.

- Kosztowały mieć dziesięć dolców.

- Ja kupuję własne gumowe stemple za pięć dolarów.

- Następnym razem je zabierz.

- Więc będziesz mieszkał w Century Riverside - powiedziała. - Ja też tam mieszkałam, kiedy byłam w Hue.

- Tym razem też tam będziesz mieszkać. Ale spróbujemy załatwić sobie osobne pokoje.

Wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy do Grand Hotelu.

- Gdyby mnie tu nie było, znalazłbyś sobie Wietnamkę na cały tydzień, brał na każdą noc inną, czy poderwałbyś jakąś cudzoziemkę w klubie żeglarskim? - spytała Susan. Żadna z tych opcji mi nie pasowała.

- Spędzałbym więcej czasu w Instytucie Oceanograficznym i częściej brałbym zimny prysznic.

- Pytam poważnie.

- Jestem z kimś związany w kraju.

Cisza.

Jestem dobry w tych sprawach, więc powiedziałem:

- Nawet gdybym nie był z nikim związany, kiedy wykonuję zadanie, nigdy nie robię niczego, co mogłoby je utrudnić czy wystawić na szwank. Ale ty jakby należysz do zespołu... o czym się niedawno dowiedziałem... i dlatego mogę zrobić wyjątek.

- Nie należę do zespołu - odparła Susan - i nic o tym nie wiedziałeś w Sajgonie, kiedy postanowiliśmy razem przyjechać do Nha Trang.

Nie przypominam sobie, żebym podejmował taką decyzję, lecz jak już wcześniej wspomniałem, wiem, kiedy trzymać buzię na kłódkę. - Więc gdy wykonujesz zadanie wspólnie z kobietą - ciągnęła Susan - wtedy możesz wziąć pod uwagę romans lub związek erotyczny. Właśnie w ten sposób poznałeś tę jak jej tam.

- Czy możemy się zatrzymać na rynku i kupić smycz?

- Przepraszam.

Do Grandu nie padło między nami ani jedno słowa

Na blacie leżał faks do Susan z nagłówkiem Bank of America.

- Może zatwierdzili ci kredyt - rzuciłem.

Przeczytała faks i podała mi. Był oczywiście od Billa. „Firma z Waszyngtonu absolutnie nalega, żebyś wracała do Sajgonu, najprędzej jak to możliwe. Muszą się z tobą skontaktować za pomocą poczty elektronicznej. Jeśli chodzi o sprawy osobiste, nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyś chciała przyjść na prywatkę do Vincenta w wigilię Tet. Jesteśmy cywilizowani i możemy porozmawiać o naszym związku, jeśli jest o czym. Czekał na odpowiedź”. Oddałem jej kartkę.

- Teraz to twoja decyzja - oświadczyła Susan. - To twoi szefowie.

- To jest skierowane do ciebie, nie do mnie.

- Cóż, ja nie mam szefów w Waszyngtonie. Oddałam przysługę amerykańskiemu konsulatowi w Sajgonie. Koniec pieśni.

Nie byłem tego całkiem pewny.

- Odpisz Billowi, że jedziesz ze mną do Hue - powiedziałem. Wzięła od recepcjonisty kartkę papieru, napisała coś na niej, a potem mi ją podała. „Pan Brenner i ja jedziemy do Hue. Poinformuj o tym jego firmę. Wracam do Sajgonu w tygodniu po następnej niedzieli. Pozdrowienia ode mnie dla Vincenta i wyrazy ubolewania”.

Susan weszła z recepcjonistą do niewielkiego pomieszczenia i wróciła po kilku minutach. Podała mi oryginał faksu, mówiąc:

- Zjedz.

Wziąłem arkusz i schowałem do kieszeni.

- Powiedziałam recepcjoniście, że wymeldowujemy się dzisiaj i że za pół godziny potrzebujemy taksówki, która ma zabrać ciebie na dworzec autobusowy, a mnie na kolejowy oznajmiła.

Weszliśmy na górę.

- Ubierz się na wielką przygodę - rzuciłem.

W południe oboje byliśmy w holu, ubrani w dżinsy koszulki polo i sportowe buty.

Wymeldowaliśmy się i Susan zaprowadziła mnie do jadalni. Zastaliśmy Lucy obsługującą stoliki na werandzie. Susan wcisnęła jej do ręki trochę pieniędzy. Staruszka podziękowała wylewnie. Powiedziała coś do Susan, która przetłumaczyła mi jej słowa: pobudzeni i... narwani, ale zawsze dla niej mili. Życzy nam bezpiecznej podróży. - Mówi, że nie pamięta ciebie ale pamięta amerykańskich żołnierzy, którzy byli bardzo...

- Powiedz jej, że zawsze będę pamiętał dobroć i cierpliwość tutejszych młodych kobiet, które sprawiły, że nasz odpoczynek od wojny był taki przyjemny.

Susan przetłumaczyła a staruszka ukloniła się; objęliśmy się i pocałowaliśmy w oba policzki.

Wróciliśmy z Susan do holu po bagaże i wyszliśmy przed hotel, gdzie czekała na nas taksówka.

- To było bardzo miłe - zauważyła Susan. - To, co sobie powiedzieliście.

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Przeżyliśmy razem wojnę, bez względu na to, czy się znaliśmy, czy nie.

Kierowca schował nasze bagaże i odjechaliśmy.

KSIĘGA IV

Autostrada numer jeden

Rozdział 21

Susan wysiadła z taksówki na dworcu kolejowym, a ja pojechałem na dworzec autobusowy. Wkroczyłem do budynku, potem wyszedłem tylnym wyjściem i wziąłem taksówkę do hotelu Thong Nhat na plaży. Zostawiłem bagaż pod okiem szefa obsługi i zająłem stolik na tarasie. Susan dołączyła do mnie po pięciu minutach.

Mieliśmy do zabicia parę godzin przed udaniem się do Szpanerskiego Biura Podróży, a to miejsce było równie dobre jak każde inne i nie zwracało na siebie uwagi. Klientela składała się z obcokrajowców... nikt z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego tu się nie stołował. Zjedliśmy lunch.

- Dlaczego chcesz ze mną jechać? - spytałem.

- Nie chcę wracać do Sajgonu.

- Dlaczego?

- Wolę być z tobą.

- Cóż... Możesz myśleć, że to dlatego, że mam cię trzymać na oku albo że jestem - Dlaczego? znudzona i potrzebuję trochę rozrywki, albo że za tobą szaleję.

- Wzięłem pod uwagę wszystkie trzy możliwości.

Uśmiechnęła się.

- Wybierz tę, która ci najbardziej pasuje. No, może dwie, ale nie więcej.

Zastanowiłem się nad tym i powiedziałem:

- Najbardziej pasują mi dwie pierwsze, bo jeśli coś by ci się stało z powodu trzeciej, nigdy bym sobie nie wybaczył.

Zapaliła papierosa i zapatrzyła się na łódzie rybackie wypływające z rzeki w morze. - Nie chcę, żebyś czuł się odpowiedzialny za moje bezpieczeństwo - oznajmiła. - Sama umiem o siebie zadbać.

- Dobra. Ale nawet w piechocie mieliśmy system koleżeński. Dwóch facetów opiekowało się sobą nawzajem.

- Straciłeś kiedyś kolegę?

- Dwóch.

Susan długo nie odpowiadała.

- A czy ocalałeś kiedyś koledze życie? - spytała.

- Parę razy.

- Czy ktoś tobie ocalił życie?

- Parę razy.

- Więc będziemy się sobą wzajemnie opiekować i zrobimy wszystko, co w naszej mocy. mężczyzna będziesz zwracał uwagę. - Nie odpowiedziałem. - Ale jeśli chcesz jechać sam do interioru - ciągnęła Susan - jako biały

- Zdaję sobie z tego sprawę. I pojedę sam.

- Tak jak powiedziałam w Q-Barze, powinieneś podawać się za biologa lub za przyrodnika amatora. Jeśli obserwowali cię tu w Nha Trang, okazałeś już trochę zainteresowania biologią w Instytucie Oceanograficznym. - Spojrzałem na nią. - I naprawdę będzie ci potrzebny tłumacz. Jest bardzo trudno bez tłumacza... po oddaleniu się od wybrzeża. - Byłem tu już dwa razy bez tłumacza - odparłem. - Potrafię przekazać, o co mi chodzi.

- Na pewno ci się udawało, kiedy miałeś pistolet.

- Racja. Znajdę sobie tłumacza. Może mają dla mnie kogoś w Hue.

Susan nie odpowiadała przez chwilę.

- Jak dotąd, nie dali ci zbyt dobrego wsparcia - zauważyła.

- To dlatego, że mają do mnie całkowite i absolutne zaufanie. Jestem bardzo zaradny.

- Widzę. Ale nie możesz sypiać z poliglotkami przez cały czas podróży w głąb kraju.

- Nie jedziesz ze mną - zakomunikowałem z uśmiechem.

O piątej trzydziści wyszedłem z tarasu hotelu i ruszyłem do Szpanerskiego Biura Podróży na ulicy

Van Hoa, parę przecnic dalej. Susan została, żeby zapłacić rachunek; miała do mnie dołączyć w ciągu dziesięciu minut.

Szpaner wciąż nosił szerokie ciemne okulary i fałszywy uśmiezek. Na przednich zębach miał złote korony i diamentowy ćwiek w uchu. Brakowało tylko koszulki z napisem: artysta-hochsztapler.

Susan powiedziała mi, że nazywa się Thuc, i przy powitaniu zwróciłem się do niego po nazwisku. Mówił trochę po angielsku.

- Gdzie pani twoja? - spytał.

- To nie moja pani - odparłem. - Może przyjdzie. Może nie.

- Ta sama cena.

- Gdzie samochód?

- Chodź. Pokażę ci.

Wyszliśmy na zewnątrz. Na parkingu dla minibusów stał ciemnoniebieski nissan na alkohol wyrabiany z ryżu, czterodrzwiowy, z napędem na cztery koła. Nie rozpoznałem modelu, ale pan Thuc zapewnił: „Dobry samochód”.

Obejrzałem dobry samochód i okazało się, że nie ma pasów bezpieczeństwa, ale opony wyglądały nieźle; było też koło zapasowe.

Zdaniem Susan do Hue było prawie sześćset kilometrów. Jazda po przyzwoitej drodze powinna zająć mniej niż sześć godzin, ale jeśli autostradą numer jeden mieliśmy dojechać w siedem lub osiem godzin, to autostrada numer jeden musiała być w znacznie gorszym stanie niż w sześćdziesiątym ósmym roku, kiedy robotami drogowymi zajmował się nasz wojskowy korpus inżynieryjny.

W stacyjce nie było kluczyków; poprosiłem o nie Szpanera, a ten wręczył mi je niechętnie. Usiadłem za kierownicą i zapaliłem silnik; sądząc po odgłosie, pracował dobrze, lecz w baku była tylko jedna czwarta paliwa. To mogło nic nie znaczyć, ale mogło też znaczyć, że Szpaner zaplanował dla nas znacznie krótszą wycieczkę.

Zwolniłem klapę, wysiadłem i obejrzałem silnik, który okazał się mały, czterocylindrowy, wyglądał jednak dobrze.

- Gdzie kierowca? - spytałem Szpanera.

- On przyjąć.

Zgasiłem silnik i schowałem kluczyki. Spojrzałem na zegarek i zauważyłem, że upłynął już kwadrans od chwili kiedy rozstałem się z Susan. Dokładnie wtedy, kiedy zaczynałem się o nią martwić, nadjechała riksza. Zsiadła i założyła plecak; w rękach niosła nową torbę na zakupy.

Przywitała się ze Szpanerem i podała mi rękę, jakbyśmy niedawno się poznali i postanowili razem podróżować. To był mój pomysł i nawet mnie zaimponował mój profesjonalizm. James Bond byłby ze mnie dumny.

- To nasz samochód? - spytała Susan. - Tak. - Wziąłem ją na stronę i powiedziałem: - Czwierć baku paliwa. I spójrz na antenę.

Susan zerknęła na antenę, do której przywiązany był pasek pomarańczowej folii.

- Dzięki temu wóz odróżnia się od wszystkich innych granatowych nissanów z napędem na cztery koła. - Spojrzała na tylne siedzenia. - Nie ma baków na paliwo, które są standardem przy długich podróżach, ani pojemnika z lodem. W Wietnamie taki pojemnik to przejaw zwykłej uprzejmości.

Szpaner patrzył w naszą stronę, ale z powodu okularów nie mogłem odgadnąć, czy nabiera wobec nas takich samych podejrzeń, jak my wobec niego. To nie była sieć wynajmu samochodów Hertz.

Przyszedł kierowca, facet koło czterdziestki. Miał czarne bawełniane spodnie i białą koszulkę z krótkimi rękawami, jak co drugi mężczyzna w Wietnamie. Nosił też sandały i potrzebował pedikiuru. Był trochę zbyt masywny jak na Wietnamczyka i sprawiał wrażenie podenerwowanego.

Pan Thuc przedstawił nas panu Camowi; podaliśmy sobie ręce. Pan Thuc powiedział:

- Pan Cam nie mówić nic po angielski, a ja mu mówić, że pani mówić dobrze wietnamski. - Pan Thuc spojrzał na zegarek i spytał: - Okej? Płacić teraz?

Odliczyłem sto pięćdziesiąt dolarów i powiedziałem do Szpanera:

- Połowa teraz, połowa dla pana Cama, kiedy dojedziemy do Hue. - Włożyłem pieniądze do kieszeni jego koszuli.

- Nie, nie. Wszystko teraz.

Otworzyłem tylną klapę nissana i wrzuciłem do środka moje bagaże. Susan włożyła plecak i zatrzasnęła klapę.

- Ty płacić teraz - upierał się Szpaner.

- Jestem w Hue? Czy to jest Hue? Szpaner był wkurzony, ale się uspokoił.

- Okej, ty zapłacić panu Camowi w Hue. Sto pięćdziesiąt dolarów.

- Umiem dodawać, koleżko.

- Gdzie pan Cam was zabrać w Hue? - spytał mimochodem Thuc.

- Chyba ci już mówiliśmy - odparłem. - Lotnisko Hue-Phu Bai.

- Tak? Gdzie ty lecieć?

- Hanoi.

- Aha. - Rozejrzał się, tak jak rozglądają się ludzie w państwie policyjnym, i poinformował mnie: - W Hanoi za dużo komunistów.

- Tu za dużo kapitalistów.

- Tak? Ja potrzebować wasz paszport i wiza. Ja zrobić kopie.

Nie chcieliśmy, żeby Szpaner znał nasze nazwiska.

- Nie.

Szpaner zaczął biadolić, że nie pokazujemy mu dokumentów, że nie zapłaciliśmy mu całej sumy i że mu nie ufamy.

- Chcesz zarobić trzysta dolców czy wyjść na frajera? - spytałem.

- Proszę?

Susan przetłumaczyła; zaciekało mnie, jak jest po wietnamsku frajer.

- Uspokój się - powiedziała.

- Chodźmy - odparłem. - Znajdziemy inny samochód z kierowcą. - Wyciągnąłem gotówkę z kieszeni Szpanera i otworzyłem tylną klapę.

To go zaszokowało, aż mu opadła szczeka.

- Okej, okej - zawołał. - Paszport nie, wiza nie.

Wsadziłem pieniądze z powrotem do jego kieszeni. Szpaner powiedział coś do kierowcy i obaj weszli do biura. Spojrzałem na Susan.

- Pan Cam nie jest ubrany do nocnej podróży na północ - stwierdziła.

- Samochód ma ogrzewanie. - Oni rzadko włączają ogrzewanie, bo uważają, że przez to marnuje się dużo paliwa. To samo z reflektorami, jeśli możesz w to uwierzyć. A jeżeli samochód się zepsuje, gotowi są zamarznąć na śmierć.

- Jak zimno jest na północy? - spytałem.

- W nocy temperatura spada do kilkunastu stopni. To bardzo zimno dla kogoś, kto mieszka w Nha Trang.

Skinąłem głową.

- Musimy wyglądać na strasznych przygłupów - zauważyłem.

- Mów za siebie. Poza tym pan Cam może znać trochę angielski. Więc uważaj, co będziesz mówił.

- Wiem.

Spojrzała na mnie.

- Jesteś pewien, że nie chcesz jechać jutro minibusem?

- Poradzę sobie z panem Camem.

- A poradzisz sobie z napadem rabunkowym na drodze?

- Usiądę za kierownicą.

- Paul, nie wolno ci prowadzić.

- Nie łam się.

- Oni czasem działają w zмовie z policją - powiedziała Susan. - Odholowują samochód z drogi, a cudzoziemcom każą płacić grube grzywny. Jeśli prowadzisz, zostajesz aresztowany.

- Najpierw muszą mnie złapać.

Susan ponownie mi się przyjrzała.

- Coś mi się zdaje, że urlop rekreacyjno-regeneracyjny dobiegł końca.

- Zgadłś.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Więc zostawiamy z tyłu policję albo przebijamy się przez zasadzkę.

- Znowu zgadłaś. Pan Cam nie byłby taki uczynny - stwierdziłem. - Czy jest jakaś inna trasa?

- Nie. W nocy albo jedziesz autostradą numer jeden, albo siedzisz w domu. Inne drogi nie nadają się do nocnej jazdy, chyba że chcesz się wlec dwadzieścia kilometrów na godzinę.

- No dobra. To jest wyzwanie. Lubię wyzwania.

Susan nie odpowiedziała.

Uprzytomniłem sobie, że być może nie podziela mojego entuzjazmu dla nieracjonalnych działań.

- Słuchaj, to ja mam wyznaczoną schadzke - powiedziałem. - Pojadę samochodem, a ty pojedziesz jutro z Francuzami.

- Aha, więc mam jechać autobusem pełnym Francuzów, a ty masz nie zamknąć oczu przez osiem godzin i jeszcze uważać na bandytów. Wiedziałaś, że jesteś dżentelmenem.

- Bądź poważna.

- Paul, możliwe, że nic się nie stanie. A jeśli się stanie, to miłe w tym kraju jest to, że cię nie zabijają. I nie gwałcą kobiet. Chodzi tylko o pieniądze. Oddajesz im wszystko, co masz, i znikają. - Po chwili dodała: - Resztę drogi możemy przejechać rano autostopem.

- Nie bardzo wyobrażam sobie nas stojących w bieliźnie na autostradzie numer jeden i machających na zaprzęg z wołami.

Podła mi torbę na zakupy, dość ciężką.

- Co tam masz? - spytałem.

- Niektóre amerykańskie firmy trzymają w sejfie pewne zabezpieczenia - odparła Susan.

Nie skomentowałem.

- Na rynku w Binh Tay w Cholan można kupić spod lady amerykański sprzęt wojskowy - ciągnęła. - Składasz kawałki i voila, coś masz. W tym wypadku jest to automatyczny kolt, czterdziestkapiątka z magazynów wojskowych. Znasz tę broń.

Spojrzałem na nią.

- Powiedziałaś, że to poważne przestępstwo.

- Tylko jeśli cię złapią.

- Susan... Gdzie ty to trzymałaś?

- W bojlerze - odparła. - One mają wieka.

Kręciło mi się w głowie; zacząłem coś mówić, ale w tej samej chwili panowie Thuc i Cam wyszli z biura.

Spojrzałem na nich i odniosłem wrażenie, że uzgadniali ostateczne szczegóły planu, podczas gdy my z Susan uzgadnialiśmy, jak im go pokrzyżować.

Pan Thuc znów miał uśmiech na twarzy.

- Pan Cam gotowy, wy gotowi. Dobrej podróży do Hue. - Potem dodał: - *Chuc Mung Nam Moi*. Wy zapłacić panu Camowi, jak dojechać do Hue - przypomniał na koniec.

Nie chcąc wyglądać na roztrzęsionych jak pan Cam, uścisnęliśmy Szpanerowi rękę i życzyliśmy mu Szczęśliwego Nowego Roku. Pan Thuc otworzył nam jedne tylne drzwi, a pan Cam drugie; wsiedliśmy.

Wyjechaliśmy z parkingu; mniej więcej w połowie ulicy Van Hoa Susan odezwała się do Cama. Odpowiedział coś, na co Susan ostro zareagowała. Położyłem rękę na jego ramieniu.

- Zrób to, co ci mówi - rzuciłem.

Zrozumiał, że nie pójdzie z nami tak łatwo. Po kilku minutach wjechał na stację benzynową; wysiadłem.

Napełniał bak, a ja stałem koło niego. Susan poszła do biura stacji benzynowej i po kilku minutach zjawiała się z facetem niosącym dwa dziesięciolitrowe kanistry paliwa. Miała też reklamówkę z dwiema litrowymi butelkami wody, dużo torebek z chrupkami i mapę

drogową.

Ruszyliśmy na północ; z mapy zorientowałem się, że jedziemy w prawo, w stronę mostu Xam Bong.

Długi most przechodził nad kilkoma małymi wysepkami w miejscu, gdzie rzeka Nha Trang rozszerzała się i wpadała do Morza Południowochińskiego. Morze zmieniło się z niebieskiego w złociste, gdy słońce zaczęło znikać za wzgórzami od zachodu. Za pół godziny miało się ściemnić.

Jechaliśmy dalej na północ trasą przecinającą wysokie wzgórza koło Nha Trang.

Rozpoznałem drogę i spojrzałem w prawo.

- To właśnie tutaj czarodziej-olbrzym upił się i zostawił w skale odcisk dłoni - powiedziałem do Susan.

- Miło, że uważałeś. A tam dalej, na następnej górze, jego kochanka zamieniła się w kamień - odparła. - Smutno jest wyjeżdżać z Nha Trang. To był mój najlepszy tydzień, odkąd tu jestem.

Odwróciłem głowę i spojrzałem jej w oczy. - Dzięki za wspaniały urlop rekreacyjno- regeneracyjny.

Po piętnastu minutach droga przecięła się z autostradą numer jeden, która biegła prosto do Hue leżące jakieś sześćset kilometrów dalej na północ.

Tak zwana autostrada miała dwa pasy, lecz tu i ówdzie rozszerzała się do trzech, żeby można było wyprzedzać. Ruch motorowy był umiarkowany, ale jechało mnóstwo zaprzęgów z wołami i rowerów. Pan Cam nie wygrałby głównej nagrody w konkursie bezpiecznej jazdy, ale nie wyróżniał się też z niekorzystnej strony.

Autostrada numer jeden biegła wzdłuż wybrzeża; przed nami widziałem jeszcze jeden cypel wrzynający się w morze. Po lewej rozciągały się poletka ryżowe i wioski, a za nimi piętrzyły się góry, które przesłaniały słońce. Zaczynała się pora dnia, którą w wojsku nazywaliśmy końcem nadmorskiego wieczorozmierzchu, kiedy było jeszcze dość światła, żeby się okopać na noc.

Po raz pierwszy od siedemdziesiątego drugiego roku byłem na wietnamskiej prowincji po zmroku i nie cieszyłem się z tego. Noc należała do Charliego, a teraz do potomka Charliego, pana Cama.

Jednakowoż pan Cam nie podejrzewał, że Susan Weber ma starego, ale - miałem nadzieję - dobrze

naoliwionego kolta .45, którego można mu przystawić do głowy.

Kiedy słońce zaszło, przeszła mi trochę złość na nią o to, że zabrała z sobą broń, i chciałem wierzyć, że jest złożona i nabita. Umiałem złożyć i rozłożyć kolta dosłownie z zamkniętymi oczami, i to w mniej niż piętnaście sekund, łącznie z włożeniem magazynka, wprowadzeniem naboju do komory i odbezpieczeniem. Ale wolałem nie bić swojego rekordu.

Zrobiło się ciemno; ruch na drodze prawie zamarł, nie licząc paru ciężarówek, które marnowały paliwo, jadąc z włączonymi reflektorami. Przejechaliśmy przez jakieś małe miasteczko, które według mapy nazywało się Ninh Hoa. Górzysty cypel zasłaniał morze z prawej strony, a przed nami rozciągał się szmat opustoszałej drogi. Widziałem jakieś chaty z zapalonymi światłami w oknach i wodne bawoły prowadzone z pól. Był czas kolacji i, być może, zasadzki.

- Muszę się wysikać - powiedziałem do Cama po angielsku. - *Biet?* Odlać się. Zrób *nuoc*.

- *Nuoc?* - spytał, zerkając na mnie.

Susan przetłumaczyła i pan Cam zjechał na pobocze.

Sięgnąłem ręką do stacyjki, zgasilem silnik i wyjąłem kluczyki. Wysiadłem z wozu i zamknąłem drzwi.

Podszedłem do samochodu od strony kierowcy i ściągnąłem z anteny pomarańczowy pasek. Otworzyłem drzwi i pchnąłem lekko pana Cama.

- Posuń się - poleciłem.

Nie był zachwycony, ale przesunął się na fotel pasażera. Jestem pewien, że kombinował, jak by tu prysnąć, ale zanim zdążył rozważyć tę możliwość, znalazłem się za kierownicą i ruszyłem. Wjechałem z powrotem na drogę, zmieniłem biegi i przyspieszyłem do około stu kilometrów na godzinę. Nissan ciągnął dobrze, ale z dwójgiem białych, Wietnamczykiem i pełnym bakiem paliwa trochę brakowało mu mocy.

Naprawdę nie chciałem zabierać ze sobą pana Cama, ale nie chciałem też, żeby poszedł na policję. Więc musiałem go porwać.

- Powiedz mu, że wyglądał na strudzonego, dlatego ja poprowadzę - powiedziałem do Susan. - Może się przekimnąć.

Susan przetłumaczyła.

Pan Cam wcale nie wyglądał na zmęczonego, a wprost przeciwnie - na pobudzonego. Coś odpowiedział.

- Mówi, że będziesz miał poważne kłopoty, jeśli zobaczy cię policja.

- On też. Powiedz mu.

Spełniła moje życzenie.

Przyspieszyłem do stu dwudziestu na godzinę - na pustej drodze nie było źle. Od czasu do czasu wpadaliśmy jednak w dziurę i o mało nie straciłem panowania nad kierownicą. Resory i amortyzatory nie były najlepsze, ale liczyłem na to, że jeśli złapię gumę, mam zapasowe koło. Na pewno nie mogłem liczyć na pomoc z tytułu członkostwa w Stowarzyszeniu Kierowców Amerykańskich.

Mniej więcej po dziesięciu minutach zauważyłem w lusterku reflektory samochodu; gdy się zbliżył, zobaczyłem, że to mały otwarty dżip.

- Mamy towarzystwo - stwierdziłem. Susan wyjrzała przez okno.

- To może być policyjny dżip. Wydaje mi się, że w środku siedzi dwóch ludzi - powiedziała.

Przycisnąłem gaz do dechy. Prowadząca wśród pól ryżowych droga była prosta i płaska; zjechałem na środek, licząc na lepszą nawierzchnię. Samochód trzymał się za nami, lecz nie przyspieszał.

Pan Cam spoglądał w boczne lusterko, ale milczał.

- Czy samochody policyjne mają radia? - spytałem.

- Czasami - odparła Susan. Wietnamczyk odezwał się do Susan.

- Pan Cam uważa - wyjaśniła mi - że jedzie za nami wóz policyjny, i sugeruje, żebyśmy się zatrzymali.

- Gdyby to był wóz policyjny, miałby włączonego koguta i syrenę - odparłem.

- Oni nie mają kogutów ani syren.

- Wiem. Tylko żartowałem.

- To nie jest zabawne. Możemy ich zostawić?

- Staram się.

Przejechałem z maksymalną prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, chociaż zdawałem sobie sprawę, że jeśli wpadnę w większą dziurę, to pęknie opona albo stracę panowanie nad kierownicą, albo jedno i drugie. Policja wiedziała, że im grozi to samo, lecz wydawali się wyjątkowo przejęci pościgiem, więc się domyśliłem, że chodzi im o coś więcej niż dwudolarowy mandat. Bez dwóch zdań, jeżeli pan Thuc zorganizował tę akcję, policjanci zdążyli już wykombinować, że to nie pan Cam siedzi za kierownicą.

Nissan utrzymywał prędkość, ale to była absolutna loteria, w której wszystko zależało od tego, kto pierwszy trafi na dużą dziurę w nawierzchni.

Przede mną jechała spora ciężarówka. Zbliżyłem się do niej, jakby stała w miejscu. Skręciłem ostro na drugi pas i zobaczyłem przed sobą drugą, jadącą prosto na mnie. Wyminąłem pierwszą, a potem, jakieś dwie sekundy przed zderzeniem z tą, która nadjeżdżała z przeciwnej strony, uciekłem na prawy pas. Po minucie zauważyłem reflektory dżipa, który stracił do mnie trochę z powodu nadjeżdżającej ciężarówki.

Pan Cam był coraz bardziej podekscytowany i próbował przekonywać Susan, która powtarzała: *Im lang*, co, jeśli dobrze pamiętam, oznacza siedź cicho albo zamknij się.

Pojazd z tyłu był jakieś sto metrów za nami; może nieco się zbliżył od ostatniego razu, kiedy się obejrzałem.

- Policjanci noszą tu karabiny czy tylko pistolety? - spytałem Susan.

- Jedno i drugie.

- Czy strzelają do samochodów, które przekraczają dozwoloną prędkość?

- Może założymy, że tak?

- Założymy, że mają ochotę obrobić dyliżans i nie chcą, żeby wszystko spaliło się na popiół w ognistej kuli.

- To brzmi przekonująco.

- Przygotuj się do wyrzucenia tej zabawki w torbie - powiedziałem. - Nie chcemy skończyć przed plutonem egzekucyjnym.

- Trzymam ją w ręku. Powiedz tylko kiedy.

- Może teraz? Zanim skasuję ten samochód, a oni znajdą przy nas broń. - Nie odpowiedziała. - Susan?

- Zaczekajmy.

- Zgoda, czekamy.

Przypomniałem sobie mapę; jeśli pamiętałem dobrze, za kilka minut mieliśmy przejeżdżać przez następne małe miasteczko. Jeżeli w okolicy byli jacyś inni gliniarze, to właśnie tam.

Pan Cam siedział spokojnie, tak jak siedzą ludzie, którzy pogodzili się ze swym losem. Zdawało mi się nawet, że widzę, jak jego wargi poruszają się w modlitwie. Nie spodziewałem się, że przy tej prędkości zrobi coś głupiego, na przykład złapie za kierownicę czy spróbuje wyskoczyć, ale poprosiłem Susan: - Powiedz mu, że zatrzymam się w następnym miasteczku i go wypuszczę.

Przekazała mu tę wiadomość i wydawało się, że ją kupił. Nie wiem czemu, ale kupił.

Ja tymczasem co rusz wjeżdżałem w jakąś dziurę i podskakiwaliśmy wściekle.

Przed nami, na samym środku drogi stał mały samochód. W świetle reflektorów dostrzegłem kobietę machającą rękami, żeby jej pomóc. Domyśliłem się, że właśnie tam mają nas uwolnić od tego, czego nie zdążyli nam zabrać policjanci w postaci mandatów. Ale władza mnie jeszcze nie dopadła, a pan Cam nie siedział za kierownicą. Wypowiedział jednak po angielsku formułkę, którą wykuł na pamięć:

- Ja zatrzymać. Samochód potrzebować pomoc. Ja zatrzymać.

- Ty nie prowadzisz. Ja nie zatrzymać.

Zjechałem na drugi pas, gdzie mogłem lepiej ocenić odległość od rowu po lewej stronie, i przeniknąłem obok kobiety w nagłej potrzebie i jej pojazdu.

Starłem się dzielić uwagę, obserwując drogę za szybą i reflektory z tyłu. Widziałem, że światła omijają ostrym łukiem stojący samochód. Dżip o mało nie wpadł do rowu, ale po chwili znów był na drodze.

Susan spoglądała przez tylną szybę.

- Przepraszam - rzuciłem.

- Nie przejmuj się. Jedź.

- Słusznie. Ten facet jest niezłym kierowcą.

- Wiesz, jak oślepić wietnamskiego kierowcę? - spytała.

- Nie. Jak?

- Postawić mu szybę przed twarzą. Uśmiechnąłem się.

To, co się stało potem, nie było śmieszne. Usłyszałem jakby stłumiony wystrzał i wystarczyło mi pół sekundy, żeby rozpoznać głuchy stukot kałasznikowa. Na chwilę zmroziło mi krew. Wziąłem głęboki oddech.

- Słyszałaś to?

- Widziałam ogień z lufy - odparła Susan.

Wcisnąłem pedał gazu w podłogę, ale nissan nie mógł już jechać z większą prędkością.

- Dobra, wyrzucaj broń. Zatrzymujemy się.

- Nie! Jedź dalej. Za późno, żeby się zatrzymać.

Jechałem więc i znów usłyszałem wystrzały. Ale czy oni strzelali do nas? Może chcieli tylko zwrócić naszą uwagę? Tak czy owak, jeśli tamten samochód podskakiwał tak okropnie jak mój, strzelec nie mógł dobrze mierzyć z tej odległości, która wynosiła teraz jakieś dwieście metrów. Zjechałem na przeciwny pas, tak aby strzelec musiał wstać i celować ponad szybą, lecz policyjny wóz też zjechał na lewy pas. Wróciłem więc na prawy.

Usłyszałem kolejny wystrzał. Tym razem był to pocisk smugowy; zobaczyłem zielone pasmo wysoko z prawej strony. Mój Boże. Nie widziałem zielonych pocisków smugowych od siedemdziesiątego drugiego roku i moje serce na chwilę zamarło. My używaliśmy czerwonych, oni zielonych. Przez chwilę fruwały mi przed oczami zielone i czerwone smugi.

Wróciłem myślami od tamtego koszmaru do obecnego.

Pan Cam zaczął łkać, co by mi nie przeszkadzało, gdyby nie walił pięściami w deskę. Zaraz zacznie walić w moją głowę. Rozpoznałem symptomy hysterii. Zdjąłem prawą rękę z kierownicy i rąbnąłem go na odlew otwartą dłonią w twarz. Chyba poskutkowało, bo ukrył ją w dłoniach i zaczął szlochać.

Przyszła mi do głowy obłąkańcza myśl, że to wszystko jest nieporozumieniem - że policja chce tylko sprawdzić naszą rejestrację, że samochód na środku drogi naprawdę był

zepsuty i że pan Cam ma czyste serce. Rany, ale miałyby co opowiadać przy świątecznej kolacji.

Przemknęliśmy przez kilka małych wiosek, które rozsiadły się po obu stronach

bardzo niebezpieczne, ale równie niebezpieczne były dziury w asfalcie, nie mówiąc o autostrady numer jeden; widziałem ludzi na rowerach i dzieci na drodze. To było naprawdę facetach, którzy do nas strzelali. Wszystko sprowadzało się do tego, komu dopisze szczęście; jeden z nas popełni fatalny błąd.

Rzuciłem mapę i przewodnik na siedzenie obok Susan.

- Zobacz, gdzie jest następne miasteczko - powiedziałem. Oświetliła mapę zapalniczką.

- Widzę miejscowość o nazwie Van Gia. O nią ci chodziło?

- Tak. Jak daleko?

- Nie wiem. Gdzie teraz jesteśmy?

- Jakieś trzydzieści kilometrów od Ninh Hoa.

- Więc Van Gia jest tuż przed nami.

I rzeczywiście zobaczyłem światła na wprost.

- Paul, nie możesz przejechać przez miasto z taką prędkością - ostrzegła mnie Susan. - Tam będą ciężarówki, samochody i ludzie na drodze.

- Wiem. - Musiałem coś szybko wymyślić.

Przed nami jechała ciężarówka: światła stopu to zapalały się, to gasły, gdy kierowca zwalniał przed miastem. Zjechałem na drugi pas, wyprzedziłem ją i momentalnie wróciłem na swój. Wdepnąłem z całej siły hamulec i zrozumiałem, że wóz nie ma ABS-u. Tyłem nissana zarzuciło tak, że ledwie zapanowałem nad kierownicą. Ciężarówka siedziała mi teraz prawie na tylnym zderzaku, a ja błyskawicznie zgasilem światła. Jechałem jakieś pięć metrów przed ciężarówką, schowany przed policyjnym wozem.

Nie miałem pojęcia, jak daleko jest policja, ale wiedziałem, że powinna mnie dogonić w ciągu kilku sekund. Po chwili pojawiły się reflektory na drodze z lewej strony, a potem żółty džip zrównał się z nissanem. Mężczyzna z kałasznikowem na fotelu pasażera ujrzał mnie i nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy; w jego oczach dostrzegłem zaskoczenie. patrzył przed siebie, niczego się nie spodziewał. Żółty džip wpadł na pobocze i sunął, Przyspieszyłem i stuknąłem w bok dzipa. Nie musiałem uderzać mocno, bo kierowca, który ślizgając się po miękkiej nawierzchni. W bocznym lusterku zobaczyłem, że wpada w rów i koziołkuje. Usłyszałem głuchy łoskot i zauważyłem płomień, a potem wybuch.

Wciąż wciskałem gaz do dechy i trzymałem się lewego pasa. Zjechałem na swój i zobaczyłem w lusterku, że ciężarówka się zatrzymała. Zapaliłem światła.

Nacisnąłem hamulec i zwolniłem do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wjeżdżaliśmy do Van Gia.

W samochodzie było bardzo cicho; słyszałem swój oddech. Pan Cam zwinął się na podłodze w pozycji embrionalnej. Zerknąłem w lusterku na Susan, która patrzyła prosto przed siebie.

Jechałem jakieś czterdzieści kilometrów na godzinę główną ulicą, którą była autostrada numer jeden.

Nie było tam lamp ulicznych, ale w większości otynkowanych budynków paliły się światła i dzięki temu ulica była oświetlona. Z lewej strony zauważyłem salon karaoke, a przed nim kilkunastu młodych chłopaków. Wszędzie stały zaparkowane rowery i skutery, ludzie przechodzili przez ulice.

- Powinnaś się schować - powiedziałem do Susan.

Zsunęła się z siedzenia.

Przede mną z prawej strony, przed posterunkiem policji, stał zaparkowany żółty džip. Obok kręciło się kilku umundurowanych mężczyzn. Jeśli tamci policjanci na drodze

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

uprzedzili kolegów, to był dla nas koniec podróży i moglibyśmy mówić o szczęściu, gdyby skończyło się plutonem egzekucyjnym.

Dosłownie wstrzymałem oddech, zbliżając się do posterunku. Na drodze nie było ani jednego samochodu, bo wieczorem nie było tu gdzie pójść, a miasteczko wydawało się tak małe, że wszędzie można było dojść pieszo lub dojechać rowerem. Więc niebieski nissan naprawdę rzucał się w oczy. Zsunąłem się na fotelu, żeby wyglądać na mniej więcej metr sześćdziesiąt wzrostu, i uniosłem prawą rękę do twarzy, jak gdybym się drapał. Pan Cam się poruszył, a ja zdjąłem dłoń z twarzy, złapałem go za włosy i zepchnąłem niżej.

- *Im lang!* - rzuciłem, mimo że się nie odzywał. Nie pamiętałem, jak powiedzieć „Nie ruszaj się!”.

Znaleźliśmy się na wysokości posterunku, a ja starałem się odwrócić głowę, nie spuszczać jednocześnie z oka policjantów i cały czas trzymając pana Cama za włosy. Wiem, że nie należy dotykać głowy Wietnamczyka, ale on był w pozycji embrionalnej i nie mogłem go złapać za jaja.

Policjanci zerknęli na ciemnoniebieskiego nissana, a ja poczułem, że za chwilę wyrwę panu Camowi włosy. Przesunąłem dłoń na jego szyję i przytrzymałem.

Minęliśmy posterunek policji; zerknąłem w prawe lusterko boczne. Policjanci patrzyli na samochód, ale wiedziałem już, że mnie nie szukają. Mimo to wóz przyciągał ich uwagę. Jechałem główną ulicą na jedyne.

Jakiś szczeniak na rowerze przejechał mi tuż przed maską; spojrzeliśmy sobie prosto w oczy. *Lien Xo! Lien Xo!*, wrzasnął, co - jak się ostatnio dowiedziałem - oznacza Ruskiego

albo obcego, czyli w tym wypadku mnie.

Należało stamtąd pryskać. Przyspieszyłem i po chwili zostawiliśmy za sobą miasteczko Van Gia i byliśmy z powrotem na ciemnej autostradzie.

Zmieniłem biegi; po kilku minutach zasuwaliliśmy sto na godzinę. Zerkąłem raz po raz w lusterko, żeby się zorientować, czy dzieciak dał policji cynk o *Lien Xo* za kierownicą, ale nie widziałem żadnych świateł.

Odetchnąłem po raz pierwszy od jakichś dziesięciu minut.

- Może jakiś *nuoc*? - zaproponowałem Susan.

Podawała mi otwartą już wcześniej butelkę. Pociągnąłem długi łyk i puknąłem w głowę pana Cama. Pomyślałem, że do tego czasu zdążył się już odwodnić, ale nie chciał wody, więc oddałem butelkę Susan, która wzięła ją i długo piła. Odetchnęła głęboko.

- Jeszcze się trzęsę i muszę się wysuszać..

Zjechałem na pobocze i wszyscy troje zrobiliśmy sobie zasłużony przystanek na sikanie. Pan Cam próbował dać drapak, ale bez przekonania, więc wepchnąłem go z powrotem do samochodu.

Sprawdziłem opony, a potem poszukałem dziur od pocisków, ale żadnej nie znalazłem. Albo nie strzelali do nas, albo nie mogli trafić z powodu wybojów. I tak nie miało to żadnego znaczenia

Od strony kierowcy nissan był zadrapany i miał wgnieciony lewy błotnik, ale w gruncie rzeczy tylko musnąłem dżipa i to wystarczyło.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, przyspieszyłem do setki i utrzymywałem prędkość.

- Nie ma za co przepraszać. Uciekaliśmy przed bandytami. Świetnie się spisałeś - - Naprawdę mi przykro, że tak się stało - powiedziałem do Susan.

odparła, a potem spytała: - W kraju też tak jeździsz?

- Zrobiłem kurs łamania przepisów drogowych, zorganizowany przez FBI. Zdałem.

Susan nie odpowiedziała, lecz zapaliła papierosa. Poczęstowała pana Cama, który siedział już na fotelu. Trzęsącą się ręką podała mu ogień, a on wziął papierosa w drżące

wargi. Aż dziw, że ta operacja im się powiodła.

Po prawej stronie znów mieliśmy morze; ostami skrawek księżycy rzucał na wodę dość światła, żeby nie było całkowicie ciemno. Wyprzedziłem ciężarówkę zmierzającą na północ; na południe nic nie jechało. W nocy droga całkiem opustoszała, co ułatwiało szybką jazdę, ale poza tym nie było korzystne. Od czasu do czasu zauważałem dziurę w asfalcie i omijałem ją wirażem. A czasem nie zauważałem i nissan podskakiwał z łoskotem.

- Czuję się nieswojo z powodu tych dwóch policjantów - odezwała się Susan.

Milczałem.

- Myślisz, że ktoś nas poszukuje? - spytała.

- Ci, którzy nas szukali, nie żyją. - Teraz ona milczała. - Lecz pan Thuc może w tej chwili szukać pana Cama - dodałem.

Susan zastanowiła się.

- Do tej pory pan Thuc zdążył już porozmawiać z tamtą panią przy samochodzie i dowiedzieć się, że uciekaliśmy przed policją, więc myśli, że albo nie żyjemy, albo jedziemy do Hue.

- Dlaczego nie zawiadomi policji?

- Bo policjanci zażądaliby od niego około tysiąca dolarów za samo szukanie samochodu i drugie tyle, gdyby go znaleźli - odparła Susan. - Pan Thuc może teraz tylko mieć nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Jutro będzie się martwił, jeśli nie dostanie wiadomości od pana Cama. Myśląc o tutejszej policji, nie wyobrażaj sobie chłopców w niebieskich mundurach, zwracających się do ciebie per pan, kiedy prosisz o pomoc. To najwięksi złodzieje w tym kraju.

- Rozumiem.

Susan zwróciła się do pana Cama, który wyglądał trochę lepiej po zapaleniu papierosa.

- Zaprzecza, że próbowali nas obrabować - poinformowała mnie. - Mówi, że jesteśmy bardzo nieufni. Chce wsiąść.

- Powiedz mu, że musi doprowadzić samochód z powrotem z lotniska Hue-Phu Bai, bo inaczej pan Thuc go zabije.

Susan przetłumaczyła mu to; rozpoznałem słowo *giet*, które oznacza mordować lub zabijać. To dziwne, że zapamiętałem niektóre złowrogo brzmiące słowa.

- Powiedz mu także, że jeżeli będzie się tak zachowywał, jutro wróci do domu i do rodziny.

Kiedy skończyła mu wyjaśniać, pan Cam coś odpowiedział.

- Bardzo wątpię, czy pójdzie na policję - oznajmiła. - Może sobie tylko napytać biedy.

- To dobrze. Bo naprawdę wolałbym go nie zabijać.

Susan długo nie odpowiadała.

- Mówisz poważnie? - spytała w końcu.

- To nie jest zabawa, Susan.

Usiadła głębiej w fotelu i zapaliła drugiego papierosa.

- Teraz rozumiem, dlaczego cię przysłali.

- Nie przysyłali mnie. Zgłosiłem się na ochotnika.

Pan Cam starał się śledzić przebieg rozmowy, przypuszczalnie zastanawiając się, czy mówimy o zabiciu go. Dla uspokojenia poklepałem go po ramieniu i powiedziałem *Xin loi*, co oznacza mniej więcej: „Przykro mi z tego powodu”.

- Przypomniałeś sobie wietnamski? - zapytała Susan.

- Tak jakby. *Xin loi*. Kiedy załatwiliśmy jakiegoś Wietnamczyka, mówiliśmy: *Xin loi*, Charlie. Przykro mi, Charlie. Rozumiesz?

Milczała, z pewnością zachodząc w głowę, czy zadała się z psychopatą. Ja też się nad tym zastanawiałem.

- To przyływ adrenaliny. Zaraz mi przejdzie - uspokoiłem ją.

Susan znów nie odpowiedziała. Chyba trochę się mnie przestraszyła... i ja, prawdę mówiąc, też.

- Chciałaś ze mną jechać - przypomniałem jej.

- Wiem. Nic nie mówię.

Wyciągnąłem do mej rękę nad ramieniem; uścisnęła ją. Zająłem się prowadzeniem samochodu. Jechaliśmy po wąskim pasie płaskiego terenu między górami z lewej strony i morzem z prawej. Ruch zanikł całkowicie, więc jechałem ze stałą prędkością stu kilometrów na godzinę.

- Chcesz, żebym poprowadziła? - spytała Susan.

- Nie.

Zaczęła mi masować szyję i ramiona.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. Kilkaset kilometrów stąd jest miejscowość Bong Son, gdzie służyłem przez parę miesięcy. Rozglądaj się za znakiem Izby Handlowej.

- Będę uważać na mapę. Może byś mi opowiedział, jak zasłużyłeś na swój urlop w Nha Trang.

- Wiesz co, pojedziemy do doliny A Shau pod Hue i opowiem ci wszystko tam, gdzie to się stało.

- W porządku - odparła, masując mi skronie. - Mówiłam ci już w Reksie, że dobrze jest rozmawiać

o tych sprawach.

- Powiesz mi to, jak usłyszysz tę historię.

Susan milczała przez chwilę.

- Może kiedy tym razem stąd wyjedziesz, zostawisz za sobą również wojnę - odrzekła.

- Myślę, że właśnie dlatego tu jestem - odparłem.

Rozdział 22

Jadąc dalej na północ, minęliśmy Vung Ro, nadmorski kurort z kilkoma pensjonatami, małym hotelem i kafejką pod gołym niebem. Gdyby nie było z nami pana Cama, zatrzymalibyśmy się na kawę albo drinka, bo bardzo tego potrzebowałem.

Później droga odbiła od wybrzeża i znowu opustoszała wśród rozległej połaci pól ryżowych i rowów melioracyjnych; od czasu do czasu z ciemności wyłamał się kształt chłopskiej chaty.

Pan Cam siedział cicho. Chyba do niego dotarło, że gdybyśmy chcieli go zabić, już byśmy to zrobili. To uspokaja niektórych więźniów, a innym podsuwa myśl, że można bezpiecznie spróbować ucieczki. Zerkałem we wsteczne lusterko, czy nie widać reflektorów. Światła oznaczały dla nas kłopoty.

- Na głównej krajowej trasie nie ma ani jednego pojazdu - powiedziałem do Susan.

- Ludzie nie podróżują po prowincji nocą, z wyjątkiem nielicznych autobusów. Za dnia autostrada numer jeden jest tak zapchana, że ledwo udaje się jechać pięćdziesiątką. - Po chwili dodała: - Mówiono mi, że policja przestaje patrolować drogi godzinę po zapadnięciu zmroku.

- To super.

- Niezupełnie. Wojsko patroluje aż do świtu. Policjanci zostają w miastach.

- Więc kiedy wjedziemy do miasta, możemy wzbudzić podejrzenia policji.

- Być może. Ale mogą nas uznać za miejscowych. Wojskowe patrole zatrzymują każdego na drodze.

- Jakie jest następne duże miasto?

Spojrzała na mapę.

- Miejscowość o nazwie Qui Nhon. Ale droga omija ją od zachodu, więc nie musimy przejeżdżać przez miasto.

- Tam był duży amerykański szpital - powiedziałem. - Pamiętasz go?

- Tak. Do Qui Nhon trafiały przypadki, z którymi nie mogli sobie poradzić lekarze na statkach-szpitalach. Leczone tam też wielu wietnamskich żołnierzy i cywilów. Poza tym za miastem znajdował się szpital dla trędowatych.

- O... Słyszałam o nim. W dalszym ciągu tam jest.

- Jeden sanitariusz został tak poparzony na polu walki, że zgłosił się na ochotnika do pracy w tym szpitalu. Zrobiliśmy sobie z tego żart, wiesz? Ilekroć sytuacja robiła się bardzo zła, zgłaszaliśmy się na ochotnika do szpitala Qui Nhon. - Susan się nie roześmiała. Chyba trzeba było tam być, żeby to

zrozumieć. - Potem spytałem: - Daleko jeszcze?

- Myślę, że parę kilometrów.
- Umiesz czytać mapę, czy tylko udajesz?
- To seksistowska uwaga.
- *Xin loi.*

Dała mi kuksańca w ramię, co zdziwiło pana Cama. - Żona pana Cama nigdy go nie szturcha - powiedziałem. - Ożenię się z Wietnamką.

- Są tak potulne, że oszalałbyś z nudów.
- To by mi nawet pasowało.
- Cieszę się, że już ci lepiej.
- Trochę się martwię kierowcą ciężarówki - odparłem. Susan zastanowiła się.
- On nie wiedział, że jesteśmy cudzoziemcami. Uznał nas za Wietnamczyków ściganych przez policję. Nic nie widział.

- Racja.

Minęliśmy drogę do Qui Nhon, przecinającą autostradę numer jeden; koło skrzyżowania stała grupa budynków, między innymi stacja benzynowa, ale była zamknięta.

- Myślisz, że jakaś stacja benzynowa jest czynna? - spytałem.

- Po co?

- Słusznie. Nie sędzę, żebyśmy dojechali do Hue na jednym baku paliwa, nawet z zapasowymi kanistrami.

- Zgaś światła. Oszczędzisz benzynę. Spytaj pana Cama.

Spojrzałem na wskaźnik poziomu paliwa i zrobiłem w głowie krótką kalkulację. Obliczyłem, że przejedziemy jeszcze jakieś dwieście, może dwieście pięćdziesiąt kilometrów, zależnie od pojemności baku, naturalnie, i zużycia na sto kilometrów. Dodatkowe dziesięć litrów paliwa w kanistrach pozwoliłoby nam pokonać kolejne pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt kilometrów.

- Spytaj pana Cama, gdzie zdobyłby w nocy paliwo - poprosiłem.

Kiedy to zrobiła, Wietnamczyk odpowiedział jej.

- Mówi, że nie wie. Nigdy nie jechał tak daleko na północ i rzadko jeździ w nocy - przetłumaczyła jego słowa Susan.

Roześmiałem się.

- Więc gdzie planował zatankować?

- Widać nie miał zamiaru zawieźć nas do Hue - odparła Susan.

- Wiem o tym. Powiedz mu.

Po słowach Susan pan Cam jakby skulił się w sobie.

- Pamiętam, że było parę nocnych stacji benzynowych w Da Nang.

- Jak daleko do Da Nang? - spytałem.

- Około trzystu kilometrów - orzekła, zerkając na mapę. Spojrzałem jeszcze raz na wskaźnik paliwa.

- Mam nadzieję, że będzie z górki, bo nie dojedziemy. Może powinniśmy wysadzić z samochodu tego puciołowatego kołosa. - Potrzebujemy go do zatankowania benzyny. Paul? Jak myślimy myśleli?

- Sądziłem, że mamy większy bak albo że samochód będzie mniej palił. Jeśli dojdzie do najgorszego, zjedziemy na pobocze, zaczekamy do świtu i znajdziemy jakąś czynną stację benzynową.

Popatrzyłem na płaski horyzont i dostrzegłem lunę światła.

- Czy to jest Bong Son?

- Tak mi się wydaje.

Zacząłem zwalniać i spojrzałem na ubogi krajobraz, który wyglądał znajomo.

- Właśnie tutaj zobaczyłem słonia - powiedziałem bardziej do siebie niż do Susan.

- Jakiego słonia? Wyjaśniłem po kilku sekundach.

- To takie wyrażenie. Ci, którzy po raz pierwszy wzięli udział w boju, mówili: „Zobaczyłem słonia”.

Spojrzałem na drogę i na teren po obu jej stronach, gdzie pierwszy raz uczestniczyłem w wymianie ognia, wczesnym rankiem w listopadzie sześćdziesiątego siódmego roku, dzień po Święcie Dziękczynienia.

- Co to znaczy? - spytała Susan.

- Nie mam pojęcia. Wiem jednak, że to stare powiedzenie, niezwiązane z Wietnamem. Może pochodzi z czasów rzymskich, kiedy Hannibal przekroczył ze słoniami Alpy. - Powtórzyłem jeszcze raz: - Zobaczyłem słonia.

- To brzmi nieomal mistycznie - zauważyła Susan. Skinąłem głową.

- Nie ma na ziemi człowieka, który jest bardziej skłonny do mistycyzmu, bardziej przesądny i religijny niż żołnierz na polu bitwy. Widziałem, jak mężczyźni całują krucyfiks i żegnają się przed bitwą... Potem wsadzali za opaskę na hełmie nabój do kałasznikowa... nieprzyjacielski pocisk przeznaczony dla nich. Wkładali jeszcze do hełmu asa pik, bo Wietnamczycy uważali go za symbol śmierci. Była też masa innych talizmanów i rytuałów, które odprawiali przed bitwą... Czyli modlili się.

Susan milczała chwilę.

- A ty właśnie tutaj zobaczyłeś słonia?

- Właśnie tutaj zobaczyłem słonia.

- Wydaje mi się - powiedziała Susan po chwili namysłu - że kiedy strzelali do nas z tyłu, też go przez chwilę widziałam...

- Czy poczułaś się zimna ze strachu jak sople lodu, zaschło ci w ustach, a serce waliło ci tak, jakby chciało wskoczyć z piersi?

- Tak.

- Więc zobaczyłaś słonia.

W oddali widziałem most, który pamiętałem, przechodzący nad rzeką An Lao; po drugiej stronie leżało miasto Bong Son. Susan nałożyła ciemne okulary.

- Czy wyglądam jak skośnooka hostessa?

Spojrzałem w lusterko. Z długimi, prostymi włosami z przedziałkiem pośrodku i w okularach można ją było wziąć za Wietnamkę jadącą w ciemnym samochodzie. Zerknąłem na pana Cama. On też wyglądał na Wietnamczyka, bo nim był. Pozostawał jeden kłopot, czyli ja.

Przyjrzałem się panu Camowi raz jeszcze i odniosłem wrażenie, że zamierza dać nogę, kiedy wjedziemy do miasta. Zjechałem na pobocze.

- Wyjmij sznurowadła ze schowka w mojej walizce - poprosiłem Susan.

Wysiadła, otworzyła tylną klapę i wyjęła kilka rzeczy z bagażnika.

- Robi się zimno - zawołała.

Odsunąłem trochę szybę. Wydawało mi się, że wciąż jest ciepło, ale ja nie mieszkałem w tym kraju od trzech lat. Przypomniałem sobie zapach mokrej ziemi w nocy i rzeki.

Susan zamknęła bagażnik i wsiadła do samochodu. Podała mi skórzane sznurowadła. Miała też ze sobą jedwabną bluzkę z wysokim kołnierzykiem, którą włożyła na koszulkę. Wziąłem skórzany pasek i skinąłem na pana Cama, żeby się pochylił i złożył ręce z tyłu. Chyba się ucieszył, że zostanie związany, a nie uduszony, i nie stawiał oporu.

Skrepowałem mu kciuki, a końce sznurowadła przywiązałem do paska. Susan podała mi okulary.

- Tutejsi szpanerzy noszą je dzień i noc. Nie będziesz wyglądał jak odmieniec.

Nałożyłem okulary, ale wyglądałem jak wysoki na ponad metr osiemdziesiąt biały z kręconymi włosami i wydatnym nosem. Podjeżdżając do mostu, zmieniłem bieg.

- Widzisz te betonowe bunkry przy moście? - spytałem Susan. - Zbudowali je Francuzi. Amerykanie obsadzali je plutonami, które się zmieniały. To była dobra służba, lepsza niż w tych cholernych krzaczyskach. Zewsząd otaczały nas zasieki z drutu kolczastego i pola minowe. Co parę tygodni Charlie przychodził sprawdzić, czy nie przysypiamy. Naprawdę chcieli wysadzić ten most, ale się nigdy nie przedostali przez zasieki i pola minowe. Francuzi je zakładali, a my nie mieliśmy map, więc kiedy Charlie wylatywał w powietrze, nie mogliśmy zabierać ciała. Leżeli tam tygodniami jako pokarm dla jastrzębi i larw. Strasznie cuchnęło. Teraz pachnie o wiele ładniej. - Podniosłem szybę w oknie.

Susan się nie odezwała.

Wjechaliśmy na most nad rzeką An Lao, która wpadała do Morza Południowochińskiego. Wrzuciłem dwójkę i zsunąłem się niżej na fotelu.

Zjechaliśmy z mostu na główną ulicę miasta Bong Son. Miasto wyglądało tak samo, jak je zapamiętałem. Murowane budynki były całkiem ładne, tu i ówdzie rosły palmy. Najwyraźniej wojna łagodnie obeszła się z Bong Son.

Przy ulicy było parę restauracji; pamiętałem, że mieszkało tu kiedyś wielu Hindusów i Chińczyków, do których należała większość sklepów i restauracji, ale teraz nie było po nich śladu. Bary dla amerykańskich żołnierzy, salony masażu i burdele mieściły się przy bocznej uliczce, z dala od porządnych obywateli.

Wracając do terażniejszości, zauważyłem na ulicy mnóstwo skuterów i rowerów, a co ważniejsze, parę samochodów, więc nie rzucaliśmy się tak bardzo w oczy.

- Ładne miasteczko - stwierdziła Susan. - A ty świetnie sobie radzisz. Staraj się jechać jak najgorzej, to nie będziesz się wyróżniał.

- Chcesz się zatrzymać w barze karaoke! Nie byliśmy w takim lokalu ani w Sajgonie, ani w Nha Trang.

- Zaniknij się i jedź.

- Karaoke? Śpiewasz? Zerknąłem na pana Cama, który zrozumiał słowo karaoke.

- Zajmij się prowadzeniem - powiedziała Susan.

- Chciałem trochę rozluźnić atmosferę - odparłem. - Tam dalej, na końcu miasta, była komenda główna policji narodowej. Pracowali w niej głównie goście z dobrze ustosunkowanych rodzin; dzięki służbie w policji nie musieli iść do woja. Przy okazji byli też sadystami. Widzisz ten wysoki mur po prawej? I tę wysoką bramę z kutego żelaza?

- Tak.

- Za murem jest francuski budynek kolonialny. Wydaje mi się, że był w nim kiedyś ratusz czy coś takiego. Pewnej nocy grupa żołnierzy Wietkongu wtargnęła do miasta i zaatakowała gmach. Policja narodowa zabiła kilkunastu, a resztę wyłapała. Parę dni później przyjechaliśmy tu dziupem z kilkoma chłopakami, żeby zobaczyć, czy coś się uda kupić lub zamienić na czarnym rynku. I co widzimy? Policja narodowa powiesiła na tej bramie kilkanaście ciał. Większość była podziurawiona kulami, ale niektórzy ludzie zostali

powieszni żywcem, i to nie za szyję, tylko za kciuki. Zwłoki rozkładały się w słońcu. - Potem dodałem: - Żołnierze armii Wietnamu Południowego strzelali wziętym do niewoli partyzantom Wietkongu w głowę. Policja narodowa nie była tak wielkoduszna. - Spojrzałem w lusterko na Susan. Nie patrzyła na bramę; ja popatrzyłem i zobaczyłem wiszące ciała. - Wciąż pamiętam ten odór. - Susan nie skomentowała. - Złożyliśmy raport dowódcy kompanii, a on przekazał wyżej. Policja narodowa była na nas wściekła, że wtrącamy się w ich lekcję pogładową. Nie zrozum mnie źle... my też nie byliśmy aniołkami, ale musi gdzieś być

granica. Wojna to wojna, ale to nie była wojna. Z drugiej strony Wietnamczycy ćwiczyli to tak długo, potracili rodziny i przyjaciół, że pokręciło ich dużo wcześniej, zanim tu przybyliśmy. Pierwsza Dywizja Kawalerii wyszła z Bong Son po Nowym Roku - ciągnąłem. - Przenieśliśmy się do Quang Tri i okazało się, że tam jest o wiele gorzej niż tutaj. - Zerknąłem znów w lusterko i zobaczyłem, że Susan siedzi bardzo spokojnie. - Miałem osiemnaście lat.

Z lewej strony ukazała się siedziba policji narodowej; zauważyłem wiszącą na gmachu czerwoną flagę z żółtą gwiazdą. Przed wejściem stały zaparkowane cztery żółte dziupy. Było też około sześciu policjantów palących papierosy i rozmawiających. Odwróciłem głowę, gdy przejeżdżaliśmy tuż koło nich, i jechałem dalej.

- Po zwycięstwie komunistów wszyscy spodziewali się krwawej łaźni, ale nie było aż tak źle. Egzekucje były selektywne, a większość wrogów państwa trafiła do obozów reedukacyjnych. Ale policja narodowa, której nienawidzili prawie wszyscy, była systematycznie tropiona i wybijana przez nową policję narodową. - Po chwili milczenia dodałem: - Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

Widziałem, że Susan trzyma w jednej ręce paczkę papierosów, a w drugiej zapalniczkę, lecz siedziała bez ruchu.

- W Sajgonie nic z tego nie rozumiałam - odezwała się.

- Na prowincji toczyła się bardzo brudna wojna. Ale to już historia. Wspomnienia blakną, życie toczy się dalej. Niestety dzieci pokolenia wojny z tym żyją. Następne pokolenie może już być zdrowe. - Spojrzałem na pana Cama i zadałem sobie w myślach pytanie o jego historię. Może później go spytam.

Miasteczko Bong Son ciągnęło się jeszcze przez sto metrów wzdłuż autostrady numer jeden, a potem znów znaleźliśmy się na wsi.

- Wielka amerykańska baza, jedna ze stref lądowania, znajdowała się parę kilometrów stąd po lewej stronie - mówiłem dalej. - Działaliśmy głównie na tych wzgórzach. Jest tam dolina o nazwie An Lao, między wzniesieniami, z których wypływa rzeka. Usunęliśmy z doliny całą ludność i przenieśliśmy do strategicznych wiosek, żeby nie mogła wspierać miejscowego Wietkongu żywnością ani siłą roboczą. Dolina An Lao stała się strefą wolnego ostrzału; wszystko, co się tam poruszało, było zabijane, włącznie ze zwierzętami domowymi, które zostały, i dzikimi też. Nawet polować na ptaki chodziliśmy z automatycznymi browningami. Spaliliśmy wszystkie budynki, ścięliśmy wszystkie drzewa owocowe,

zalaliśmy ropą poletka ryżowe i zrównaliśmy z ziemią las tak zwanymi rzymskimi pługami. Potem rzuciliśmy tekturowe beczki wypełnione kryształkami wydzielającymi szkodliwy duszący gaz. Przemianowaliśmy dolinę z An Lao na Dolinę Śmierci. - Zamilkłem na chwilę. - Ciekawe, czy ktoś tam teraz mieszka.

Susan milczała.

Przyspieszyłem do sta kilometrów na godzinę.

Autostrada numer jeden skręcała znowu w stronę morza; pokazały się plaże z białym piaskiem, a po lewej stronie wzniesienia z takiego samego piasku, pokryte niskimi zaroślami.

- Właśnie tutaj spędziłem gwiazdkę w sześćdziesiątym siódmym roku - powiedziałem do Susan. - Było czterdziestoosmiodzinne zawieszenie broni. Dostaliśmy masę paczek świątecznych od Czerwonego Krzyża, od prywatnych organizacji i osób. Wtedy, przed Tet, ludzie jeszcze popierali wojsko, jeśli nie samą wojnę.

Pamiętałem, że w Boże Narodzenie panował wyjątkowy upał; na białych wydmach rosły niskie krzaki, ale nie było żadnych dających cień drzew. Kolację świąteczną przywieźli nam śmigłowcami; siedzieliśmy na piachu, jedząc indyka z przyprawami, oganiając się od much i zasłaniając jedzenie przed piaskiem. Chłopak z Brooklynu, imieniem Savino, zobaczył w piasku długą bambusową tyczkę i postanowił zawiesić na niej gumowe poncho, żeby osłonić się przed słońcem. Sięgnął po tyczkę i w tej samej chwili ktoś krzyknął, żeby tego nie robił. On jednak ją pociągnął; była przywiązana do dużego ładunku wybuchowego. Wrócił na Brooklyn w czarnym

worku. wszędzie, nawet w menażkach i kubkach. Wesołych Świąt. Kilku innych chłopaków odniosło rany, połowa plutonu ogłuchła, a kawałki Savina były

- Facet z mojego plutonu zginął od miny w święta Bożego Narodzenia - powiedziałem.

- Twój przyjaciel?

- Nie... Za krótko tu był. - Potem dodałem: - To była jakby strata czasu... zaprzyjaźnić się z nowymi. Oni nie mieli wysokiego wskaźnika przeżywalności i często ginęli przez nich ci, którzy byli akurat w pobliżu. Jeśli żyli jeszcze po miesiącu, wtedy można było podać im rękę.

Zostawiliśmy za sobą okolicę moich dawnych działań wojennych; przestałem rozpoznawać teren.

Pan Cam wyglądał tak, jakby było mu niewygodnie z rękami związanymi z tyłu. Susan to zauważyła.

- Powinniśmy go rozwiązać?

- Nie.

- Nie ucieknie, jeśli będziemy jechać tak szybko.

- Nie.

Susan zapaliła w końcu papierosa. Ja sam nabrałem ochoty, żeby zapalić, pewnie dlatego, że myślami byłem ciągle pod Bong Son, gdzie w czasie wojny paliłem paczkę dziennie.

- Jak długo tam byłeś? - spytała Susan.

- Tylko dwa miesiące. Listopad i grudzień. Potem przerwali nas do prowincji Quang Tri w samą porę na ofensywę Tet. Ale dość o tym. Posłuchajmy, co ma do powiedzenia pan Cam. Spytaj go, czy pamięta wojnę.

Susan zapytała, lecz pan Cam raczej nie miał ochoty odpowiedzieć. W końcu jednak przemówił.

- Miał trzynaście lat, kiedy skończyła się wojna - przetłumaczyła Susan. - Mieszkał w wiosce na zachód od Nha Trang, i pamięta, jak weszli tam komuniści. Mówi, że przez wioskę przeszły tysiące południowowietnamskich żołnierzy wycofujących się z gór, więc wszyscy wiedzieli, że wojna się kończy. Wielu ludzi uciekło do Nha Trang, ale on został w wiosce z matką i dwiema siostrami.

- I co się stało?

Susan trochę go naciskała i Wietnamczyk odpowiedział cicho.

- Mówi, że wszyscy bardzo się bali - tłumaczyła - lecz wojska północnowietnamskie, kiedy weszły, zachowywały się dobrze. We wsi zostały tylko kobiety i dzieci, żołnierze nie nękali kobiet. Znaleźli jednak młodego oficera, który miał amputowaną nogę, i zabrali go. Później przyjechali oficerowie polityczni i wszystkich wypytywali. Odszukali dwóch dygnitarzy rządowych, przebranych za wieśniaków, i też ich zabrali. Ale w wiosce nikogo nie rozstrzelano.

Skinąłem głową.

- A jego ojciec? Bracia?

Susan przetłumaczyła pytanie, a potem odpowiedź.

- Jego ojciec zginął w bitwie wiele lat wcześniej. Starszy brat służył w górach w armii

Wietnamu Południowego, lecz nie wrócił. Mówi, że matka wciąż czeka na jego powrót.

Spojrzałem na pana Cama i zobaczyłem, że jest poruszony. Susan też wydawała się wstrząśnięta. Wspomnienia tamtych czasów zaczynały wypełniać mi głowę. Kiedy zaczynasz podróż taką jak ta, spodziewaj się najgorszego, wtedy się nie zawiedziesz.

Czarna autostrada prowadziła nas poprzez noc i czas.

Rozdział 23

Byliśmy jakieś trzysta kilometrów od Nha Trang, a dochodziła dziesiąta wieczór. Zwolniłem, żeby oszczędzać paliwo, a poza tym i tak nigdzie nam się szczególnie nie spieszyło. Zerknąłem na wskaźnik; igła stała w pobliżu jednej czwartej skali.

- Jak daleko do Da Nang? - spytałem Susan. Już wcześniej to sprawdziła, więc odparła:

- Około stu pięćdziesięciu kilometrów. Jak z paliwem?

- Przejechaliśmy jakieś trzysta kilometrów i zużyliśmy trzy czwarte baku, więc możemy przejechać jeszcze dwieście.

- Nie, Paul. Jeszcze sto.

- Widzisz? Nie dojedziemy. Liczmy po mojemu.

- Bądź poważny.

- Dobra. Spaliliśmy masę paliwa, uciekając przed glinami. Może dojedziemy do Da Nang na tych dziesięciu dodatkowych litrach. A może zobaczymy gdzieś po drodze całodobową stację.

- Przez trzysta kilometrów minęliśmy tylko cztery stacje. Wszystkie zamknięte.

- Nie przejeżdżamy przez Quang Ngai?

- Przejeżdżamy. To przy autostradzie numer jeden. Stolica prowincji. Jakieś siedemdziesiąt pięć kilometrów stąd.

- Weź mój przewodnik i zobacz, czy piszą tam coś o stacjach benzynowych.

Susan otworzyła książeczkę.

- Jest tutaj mały plan miasta... hotel, pagoda, kościół, poczta, lokal o nazwie Restauracja Ryżowa Numer Trzydzieści Cztery, dworzec autobusowy...

- Te samochody jeżdżą na ryżu.

- Mam nadzieję. Na planie nie widać stacji benzynowej. Ale w mieście tej wielkości musi ich być parę. Może któraś jest otwarta. Jeśli nie, po Quang Ngai, a przed Da Nang, jest jeszcze jedna miejscowość, do której może zdołamy dojechać. Nazywa się Hoi An; to stary chiński port morski. Bardzo ładne, turystyczne miasteczko. Jest mnóstwo kwater, więc może stacja benzynowa będzie otwarta do późna. Może uda nam się dojechać tak daleko. Między Hoi An i Da Nang nic nie ma.

- W porządku. Zobaczymy, jak pójdzie.

Pan Cam skapował, że rozmawiamy o paliwie, i coś powiedział do Susan.

- Pan Cam, który jest teraz naszym przyjacielem, mówi, że czasem można kupić paliwo od prywatnych sprzedawców. Podobno handlują w budkach przy drodze. Mamy się rozglądać za pomalowanym znakiem z napisem *et-xang*, który oznacza benzynę.

- Są otwarte przez całą noc?

- Coś w tym rodzaju. Idziesz do domu koło znaku i sprzedają ci paliwo. Robiłam to, kiedy jeździłam na moim motocyklu. Zwykle sprzedają benzynę w butelkach i jest droga.

- Ile butelek coli nam potrzeba, żeby napełnić bak?

- Nie mam kalkulatora. Szukaj znaku z napisem *et-xang*.

- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego pan Cam nie spełni swojego obywatelskiego obowiązku i nie pójdzie na policję. Udawaj, że od twojej odpowiedzi zależy życie pana Cama.

Susan milczała przez jakiś czas.

dostanie z powrotem swój samochód, jakieś sto dolców dla siebie, dwieście dla pana Thuca, - Nawet nie umiałabym przetłumaczyć pojęcia obowiązek obywatelski - odparła. - Jeśli no i kilkaset na naprawienie szkód, nie pójdzie na policję. Kiedy w Sajgonie zdarzy się wypadek, przyjazd policji to ostatnia rzecz, której się pragnie.

- Dobrze. Sprawa zamknięta.

Pan Cam chciał papierosa, nawet na niego zasłużył. Susan mu zapaliła i trzymała przy ustach, a on się zaciągał.

Dotarliśmy do miejscowości o nazwie Sa Huynh, malowniczej wioski na wybrzeżu, otoczonej słonymi mokradłami. Zanim jednak zdążyłeś powiedzieć „o rany, ale dziwy”, znów byliśmy na pustkowiu.

Jechaliśmy dalej; autostrada skręcała teraz w głąb lądu i prowadziła przez tereny o licznych małych wioskach i poletkach ryżowych.

Zerknąłem na wskaźnik paliwa i zobaczyłem, że strzałka pokazuje mniej niż ćwierć baku. Droga była płaska; utrzymywałem prędkość osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, więc wykombinowałem, że uda mi się wycisnąć dość paliwa, żeby dojechać do Quang Ngai. Jeśli nie, mieliśmy jeszcze dwadzieścia litrów w kanistrach.

Nie widziałem ani jednego znaku wskazującego odległość między miastami ani drogowskazów z nazwami miast. Wszystkiego musieliśmy się domyślać z mapy. Nawierzchnia była na przemian dobra i fatalna, z przewagą fatalnej. Ten kraj miał długą drogę do przebycia, ale trzeba uczciwie przyznać, że Wietnamczycy i tak dużo osiągnęli, biorąc pod uwagę to, że mieli za sobą trzydzieści lat wojny.

- Powinniśmy się zbliżyć do Quang Ngai - oznajmiła Susan. - Miasteczko jest po tej stronie rzeki Tra Khuc, autostrada numer jeden zamienia się w jego główną ulicę. Może lepiej byłoby nie przejeżdżać przez miasto o tej porze. Nawet gdybyśmy trafili na otwartą stację benzynową, musiałbyś zamienić się miejscami z panem Camem.

- Więc co proponujesz?

- Proponuję, żebyśmy wjechali między drzewa i zaczekali do świtu. Możemy dotrzeć do Quang

Ngai rano i zatankować paliwo.

- Dobra. I tak nam się nie spieszy. Rozglądaj się za jakimś postojem.

Zwolniłem i zaczęliśmy szukać miejsca, gdzie samochód nie byłby na widoku.

Byliśmy zaledwie parę kilometrów od Quang Ngai; widziałem na horyzoncie światła. To niesamowite, że miasta tak się odróżniają od otoczenia - nie było tu podmiejskich osiedli, centrów handlowych i oczywiście stacji benzynowych. Na plus można było zaliczyć to, że od wyjazdu nie widziałem ani jednego policjanta, z wyjątkiem tych w rowie. Lecz Susan

mówiła, że po zmroku drogi patroluje wojsko, i gdyby na autostradzie znalazł się choć jeden wojskowy samochód i jeden cywilny... czyli nasz... zostalibyśmy zatrzymani bez żadnego powodu. Asem w rękawie. Rzecz jasna, był kolt .45. Tego by się nie spodziewali. Ale może dwie ofiary w ciągu jednego dnia to dość.

Quang Ngai było jakiś kilometr dalej, lecz nigdzie nie widziałem miejsca, gdzie można by zaparkować. Wszędzie tylko pola ryżowe i przysiółki; teren był otwarty, nie licząc małych kęp palm, które nie dawały żadnego schronienia.

Pośrodku jednego z poletek zauważyłem pagórek, połączony z autostradą połąną drogą czy też rowem. Wiedziałem, na co patrzę, lecz upłynęło kilka sekund, zanim to do mnie dotarło.

- To jest kurhan grobowy - powiedziałem. - Możemy zaparkować po tamtej stronie i nikt nas nie zobaczy.

Zwolniłem i wjechałem kołami na piaszczystą drogę biegnącą między zalanyymi wodą poletkami. Ni stąd, ni zowąd pan Cam zaczął wariować.

- Co mu jest?

- Mówi, że to kurhan grobowy. - Wiem, co to jest. Okopywaliśmy się w nich na noc. Miękką ziemią, wzniesienie, dobre pole ostrzału...

- Chcę wiedzieć, dlaczego jedziesz do kurhanu. Powinieneś się zatrzymać.

Stałem w połowie drogi do kopca. Pan Cam się uspokoił.

- Co on gada?

Susan powiedziała coś panu Camowi, a ten znów zaczął się ciskać.

- Wyjaśniłam mu, że spędzimy tam noc. Nie ucieszył się zbytnio.

- Daj spokój. Ci ludzie nie żyją. Powiedz mu, że okazemy im pełny szacunek. Będziemy się całą noc modlić.

- Paul, on nie spędzi nocy przy kopcu grobowym. Musiałbyś go związać. Oni są strasznie przesądni, a to, co chcesz zrobić, to obraza.

- Nie jestem przesądny ani wyczulony na różnice kulturowe.

- Paul.

- No dobra. Znajdziemy jakieś inne miejsce. - Wrzuciłem wsteczny bieg i wycofałem auto wąską piaszczystą dróżką. Wjechałem na szosę, zmieniłem biegi i ruszyliśmy dalej. Ogarnęło mnie przecucie, że nasz fart się skończy. Jak tylko zrobisz komuś uprzejmość, kończy ci się fart.

I rzeczywiście zbliżała się w naszą stronę para reflektorów; była mniej więcej kilometr od nas. Wyłączyłem światła i zwolniłem. Zbliżające się reflektory były za nisko przy ziemi jak na autobus czy ciężarówkę, więc musiało to być coś mniejszego, na przykład samochód terenowy, prawdopodobnie wojskowy patrol.

- Paul, zjedź z drogi - powiedziała Susan.

- Wiem.

Przełączyłem napęd nissana na czterokołowy i zjechałem z nasypu. Nie było rowu, bo pole ryżowe zaczynało się zaraz za nasypem. Jechałem równoległe do drogi, z prawymi kołami w błotnistej ziemi, a lewymi na zboczu nasypu. Poruszaliśmy się pod kątem czterdziestu pięciu stopni albo więcej i obawiałem się, że wóz może przekoziółkować. Tylne koła zsuwały się i zapadały w szlam. Zatrzymałem się.

Spojrzałem na drogę i zobaczyłem, że nie jesteśmy poza polem widzenia. Było jednak dość ciemno, więc pozostawała jakaś nadzieja, lecz trzeba było przygotować się na najgorsze.

- Daj mi torbę - powiedziałem do Susan.

Słyszałem już zbliżający się pojazd i widziałem smugi reflektorów.

Susan podała mi torbę; wsunąłem rękę do środka i położyłem dłoń na rękojeści kolta. Nie chciałem, żeby pan Cam zobaczył broń, bo to mogłoby go skłonić do pójścia na policję.

Wyczułem ręką magazynek. Odbezpieczyłem go.

- Magazynek załadowany do końca? - spytałem Susan.

- Tak.

- Jest nabój w komorze?

- Nie.

- Zapasowe magazynki?

- Dwa - odparła, a potem dodała: - Boję się.

Spojrzałem na pana Cama i zobaczyłem lęk w jego oczach.

Odniosłem wrażenie, że powtarza sobie w głowie historyjkę dla policji, i ucieszyłem się, że jest skrupowany.

Po kilku sekundach dostrzegłem czubek nadjeżdżającego pojazdu. To był duży, podobny do dżipa samochód z zamkniętą kabiną, pomalowany na ciemny kolor, a nie na żółto. Mówiąc

krótko, wojskowy. Zauważyłem kierowcę skupionego na kierownicy i mężczyznę na tylnym siedzeniu.

Dach ciemnoniebieskiego nissana znajdował się na wysokości nasypu drogi, noc była ciemna, a bogowie z nami. Wojskowy samochód przejechał. Czekaliśmy długo - tak mi się w każdym razie zdawało - a potem włączyłem bieg i zwolniłem sprzęgło. Prawe koła zabuksowały i wyrzuciły pióropusz błota, więc włączyłem wsteczny. Koła złapały przyczepność i nissan wjechał tyłem na nasyp.

Stałem kilka sekund na drodze, z wyłączonymi światłami, i rozglądałem się. Było tak ciemno, że

ledwie sięgałem wzrokiem dziesięć metrów od samochodu.

Ruszyłem w stronę Ouang Ngai, wciąż bez świateł. Luna nad miastem wydobywała z mroku jakieś zabudowania przy drodze, i zobaczyłem coś, co wyglądało obiecująco. Skierowałem nissana w stronę zarysowującej się sylwetki, zatrzymałem się i włączyłem reflektory.

Z prawej strony, na końcu piaszczystej drogi, stał zrujnowany budynek bez dachu. Miałem nadzieję, że nie jest to buddyjska świątynia, bo znów mielibyśmy kłopoty z panem Camem.

Pojechałem wolno dróżką prowadzącą między polami ryżowymi; po chwili zatrzymałem się przed frontem otynkowanego na biało budynku. Na wieży można było rozróżnić szczątki kościelnej dzwonnicy.

- Kościół katolicki - powiedziałem do Susan. - Mam nadzieję, że ten facet nie jest katolikiem.

Odezwała się do pana Cama, który skinął głową.

Wjechałem szeroką bramą do kościoła, potem zahamowałem i wycofałem w róg budowli, tak że nissan nie mógł być widoczny z drogi.

Reflektory oświetliły resztki świątyni i roślinność wyrastającą z pokruszonej posadzki. Zgasilem światła i silnik.

- Tutaj spędzimy noc - oznajmiłem.

- To było straszniejsze niż pościg - stwierdziła Susan.

- Ale nie straszniejsze niż ty na motorze.

Wysiedliśmy wszyscy i rozprostowaliśmy kości; pan Cam nie mógł za bardzo wyprostować rąk, więc go rozwiązałem.

Susan wyjęła z samochodu wodę i przekąski; zjedliśmy kolację, która była okropna,

- Nie mieli na tej stacji chrupków ani chipsów serowych? Co to w ogóle jest?

- Nie wiem. Jakieś cukierki. Przestań marudzić. Właściwie powinieneś odmówić modlitwę dziękczynną.

Pan Cam zjadł więcej, niż wynosiła jego działka, i sam wypił cały litr wody.

Nie miałem wyboru, musiałem go znów związać, więc skrępowiałem mu kciuki za plecami, zdjąłem sandały i wsadziłem na tylne siedzenie nissana, gdzie się położył.

Usiedliśmy z Susan po turecku w narożniku naprzeciwko samochodu. Jedyne oświetlenie dawały nam gwiazdy migające przez zrujnowany dach.

- Kiedyś musiał to być bardzo ładny kościółek - zauważyła Susan.

- Wszędzie ich było pełno w czasie wojny... zniszczonych kościołów i pagód. To były jedyne większe budynki, więc cywile i wojskowi wykorzystywali je jako kryjówki. Osłaniały przed ostrzałem z broni ręcznej, a nie z rakiet czy moździerzy.

- Trudno sobie wyobrazić, że wojna szaleje wokół dzień w dzień - powiedziała. - Cieszę się, że opowiedziałeś o tym, kiedy przejeżdżaliśmy przez Bong Son.

Nie odpowiedziałem.

Wyjęła papierosa i z dużą zręcznością zapaliła go w zwiniętej dłoni, jak stary wiarus. Pałac, osłaniała papierosa.

- Zimno mi - stwierdziła. - Mogę sobie coś pożyczyć z twojej walizki?

- Jasne. Zaraz przyniosę.

- Przynieś też mój plecak.

Wstałem i podszedłem do nissana. Podniosłem klapę, wyjąłem z walizki granatowy blezer i wziąłem plecak Susan. Zarzuciłem blezer na jej ramiona. - Dziękuję - powiedziała. - Nie zimno ci?

- Jest jakieś dwadzieścia stopni.

Susan miała w plecaku budzik podróży; nastawiła go na dwunastą w nocy.

- Będziemy go nastawiać co godzina, tak żeby nas obudził, kiedy oboje uśniemy.

- Dobra. Ja wezmę pierwszą wachtę. Zdrzemnij się trochę. Położyła się na betonowej posadzce z plecakiem zamiast poduszki.

Chwilę porozmawialiśmy, a potem zauważyłem, że zmorzył ją sen.

Wyjąłem kolta z torby, wprowadziłem nabój do komory i położyłem sobie broń na kolanach.

Budzik zadzwonił o północy, zdążyłem go jednak wyłączyć, zanim obudził Susan. Nastawiłem na pierwszą, na wypadek gdybym usnął. Co ciekawe, bez trudu powstrzymałem się przed zaśnięciem i pozwoliłem jej spać do czwartej.

Zamieniliśmy się miejscami; dałem Susan broń.

Położyłem głowę na plecaku i przypomniałem sobie, jak przez rok mój plecak służył mi za poduszkę, a pistolet maszynowy za jedyne partnera do spania.

Wszyscy szliśmy spać w ubraniach i w butach, przez całą noc zabijaliśmy komary, drżąc ze strachu przed węzami i Charliem. Byliśmy brudni i upodleni, czasem mokrzy, czasem trzęśliśmy się z zimna, czasem nam było gorąco. I ani przez chwilę nie przestawaliśmy się bać.

To nie była najgorsza noc, jaką spędziłem w Wietnamie, na pewno nie. Ale o tę nie mogłem mieć pretensji do nikogo prócz siebie.

Niebo się rozjaśniło i nadszedł fałszywy świt, charakterystyczny dla tropików; godzinę później zaczął się prawdziwy brzask i zapiał kogut. Strumień światła wpadł przez małe

łukowate okienko po prawej stronie od miejsca, gdzie kiedyś stał ołtarz. Kawałek niebieskiego witraża, wciąż tkwiący w ramie okna, rzucał promień błękitnego światła na podłogę i przeciwległą ścianę.

Usiadłem i razem z Susan obserwowaliśmy, jak budzi się dzień.

Wnętrze kościółka stało się widoczne, widziałem bielone ściany i kruszący się tynk, miejsca, gdzie trafiły pociski, i te, w których odłamki zostawiły blizny na wyblakłym fresku przedstawiającym Maryję Dziewicę.

W budynku nie pozostał ani kawałeczek drewna, nie licząc zwęglonych resztek ogniska, które ktoś kiedyś rozpałił na podłodze, tam gdzie znajdował się ołtarz.

Pola ryżowe nie przyciągają zbyt wielu ptaków, ale usłyszałem pojedynczy śpiew. Potem od strony drogi rozległ się warkot pierwszego pojazdu.

- Dzisiaj przypada Księżycowy Nowy Rok - powiedziała Susan i uścisnęła mi dłoń. -

Chyba nigdy w życiu tak się nie ucieszyłam na widok wschodu słońca.

Słyszałem jadącą szosą ciężarówkę i skuter. Zerknąłem przez otwarte drzwi i zobaczyłem zaprzęg i dwie dziewczyny na rowerach.

Pamiętam, że kiedyś pierwszymi pojazdami na drodze były czołgi, które mogły bezpiecznie wjeżdżać na miny ukryte nocą w dziurach w jezdni. Później wytaczały się na nią dżipy i ciężarówki amerykańskich i wietnamskich żołnierzy z pistoletami i karabinami maszynowymi gotowymi do strzału, w razie gdyby wpadli w zastawioną w nocy pułapkę.

Potem zjawiali się cywile - pieszo, w wozach i na rowerach, zmierzający na pola, do szkoły czy jeszcze gdzieś indziej.

Godzinę po brzasku autostrada numer jeden była otwarta, kawałek po kawałku, od delty

Mekongu aż po linię strefy zdemilitaryzowanej i życie toczyło się aż do zachodu słońca.

- Autostrada numer jeden do Hue wolna - oznajmiłem Susan.

Rozdział 24

W dziennym świetle zauważyłem, że od strony kierowcy na nissanie zostało trochę żółtego lakieru z policyjnego dżipa. Susan i ja mieliśmy szwajcarskie wojskowe scyzoryki, więc zdrapaliśmy farbę, a pan Cam, którego rozwiązałem, pomagał nam kawałkiem szkła.

Przeciąłem na pół plastikowe butelki po wodzie i zebrałem trochę szlamu z pola ryżowego, który rozsmarowaliśmy w miejscach zadrapań.

W błocie znaleźliśmy kilka pijawek. Susan wzdrygnęła się z obrzydzenia, pan Cam nie zwrócił na nie uwagi, a do mnie wróciło kilka niemiłych wspomnień. Susan spojrzała na dużą, tłustą pijawkę w szlamie.

- Czy one gryzą?

- Przyczepiają się do skóry. Mają w ślinie naturalny środek znieczulający, więc nawet nie wiesz, że zostałeś ugryziony. W ślinie jest też środek rozpuszczający krew, więc twoja krew płynie, a one ją ssą. Można taką mieć na sobie przez cały dzień i o tym nie wiedzieć, chyba że oglądasz się systematycznie. Miałem kiedyś pod pachą pijawkę, która tak napęczniała od mojej krwi, że rozgniotłem ją przypadkowo, kiedy położyłem się na boku, żeby odpocząć.

Susan zrobiła straszną minę.

Po powrocie z Wietnamu opowiedziałem pewnie więcej historii o pijawkach niż o bitwach. Niezawodnie przerażały słuchaczy, a ja nieźle się w nich wyrobiłem.

Wytarliśmy ręce w jedną z moich koszulek.

Pozwoliłem panu Camowi prowadzić; wyglądał na bardziej zadowolonego niż wtedy, gdy miał związane kciuki, ja usiadłem z przodu, a Susan z tyłu. Wyjechaliśmy z kościoła i znaleźliśmy się na

autostradzie numer jeden. Spojrzało na nas kilkoro ludzi na rowerach i skuterach, lecz wyglądaliśmy jak zachodni turyści z wietnamskim kierowcą, którzy zatrzymali się, żeby obejrzeć ruiny albo na popas.

W ciągu kilku minut znaleźliśmy się w stolicy prowincji, Quang Ngai. Uważnie obserwowałem pana Cama, a Susan prowadziła z nim rozmowę. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

- On prosi o coś do jedzenia i chce zadzwonić do rodziny - wyjaśniła Susan.

- Będzie mógł robić, co chce, kiedy wysiadziemy na lotnisku Hue-Phu Bai.

Susan przetłumaczyła moją odpowiedź. Wietnamczyk przyjął ją do wiadomości z niemym smutkiem.

Okazało się, że Quang Ngai to nie jest miasto, o którym warto pisać listy do domu. Było właściwie brzydkie, ale zauważyłem przepiękną stację benzynową.

Podjechaliśmy.

- Ty zatankuj, a ja dotrzymam towarzystwa panu Camowi - powiedziałem do Susan.

Wysiadła i zaczęła nabierać paliwa. Kilka osób kręcących się przy stacji patrzyło, jak pracuje, podczas gdy ja siedzę sobie z panem Camem na przednich siedzeniach samochodu. Pewnie wyciągnęli wniosek, że mężczyźni na Zachodzie wyszkolili swoje kobiety lepiej niż oni, Wietnamczycy. Gdyby tylko wiedzieli.

Susan zapłaciła stojącemu koło niej facetowi, który zdradzał duże zainteresowanie nami i nissanem. Nawet zwrócił jej uwagę na wgniecenie i zadrapania. Susan udała, że nie mówi po wietnamsku.

Zerknąłem na pana Cama. Jeśli zamierzał prysnąć, to właśnie teraz miał najlepszą okazję.

Facet z obsługi stacji zagadnął Cama, a ten odpowiedział; zamienili parę zdań.

Susan wsiadła.

- *Cu di* - rzuciła.

Pan Cam zapalił silnik i wrzucił bieg.

- O czym oni mówili? - spytałem Susan. - Ten facet zauważył tablice Nha Trang i spytał, czy jechaliśmy w nocy. Pan Cam odparł, że nie; wtedy tamten spytał, gdzie spędziliśmy noc, a pan Cam nie miał na to odpowiedzi. To była tylko zwykła, uprzejma rozmowa, ale nie przebiegła dla nas za dobrze.

- Tutaj nikt nie dzwoni na policję, prawda? - odparłem. Susan milczała.

Przejechaliśmy przez resztę brzydkiego miasta, a potem przez rzekę Tra Khuc mostem, który wyglądał, jakby był główną nagrodą w meczu między minerami Wietkongu i korpusem inżynieryjnym Armii Stanów Zjednoczonych. Można było odnieść wrażenie, że inżynierowie w końcu minimalnie wygrali.

Znów znaleźliśmy się na otwartym terenie; na autostradzie numer jeden tłoczyły się pojazdy motorowe, ciągnięte przez woły zaprzęgi, rowery, skutery i pojawili się piesi. Jechaliśmy nie więcej niż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę; teraz rozumiałem, dlaczego przejazd za dnia z Nha Trang do Hue mógł trwać jedenaście lub dwanaście godzin.

Zerknąłem na mapę i zobaczyłem gwiazdkę na północ od Quang Ngai; oznaczała miejsce godne uwagi. Owo miejsce, znajdujące się kilka kilometrów dalej, zostało opisane po wietnamsku i angielsku następująco: *Masakra w My Lai. 16 marca 1968 roku doszło tu do zbrodni wojennej, gdy trzy kompanie piechoty Stanów Zjednoczonych zabiły kilkuset nieuzbrojonych wieśniaków. Wzniesiono pomnik upamiętniający ofiary i przypominający o szaleństwie i tragedii wojny.* - Amen - powiedziałem do siebie. Dojechaliśmy do niewielkiej dróżki z ręcznie namalowaną strzałką i napisem po angielsku Masakra w My Lai.

Wcześniej nie widziałem żadnych znaków drogowych, więc musiałem się zastanowić, kto go postawił i dlaczego. Zastanawiałem się też, czy któryś z żyjących jeszcze trzystu amerykańskich żołnierzy, którzy tam byli, wrócił tutaj kiedyś.

Spojrzałem na krajobraz. Rozległe połacie poletek ryżowych i małe wioski przycupnięte na wyżej położonych skrawkach gruntu, ocienione palmami i otoczone kępami wysokich bambusów. Właśnie taki Wietnam zapamiętałem, choć walczyłem też na mocniej pofałdowanym terenie, z dala od obszarów nadmorskich, które bardziej mi odpowiadały.

Kiedy wojna toczyła się w dżungli lub na wyżynie, było lepiej, bo miała posmak chłopięcej przygody, rytuału ostatecznej inicjacji. Na wzgórzach i w dżungli nie zabijało się cywilów przez przypadek czy celowo, tak jak w My Lai; nie było wiosek do spalenia ani wodnych bawołów, do których można strzelać. Chłopcy wydawali się bardziej skupieni w cichym towarzystwie pierwotnej dżungli i lasów - byliśmy tylko my i oni w największej grze, jaką kiedykolwiek wymyślono czy rozegrano, grze, która toczyła się o przeżycie. Wojna była wtedy klarowna, nie było ginących kobiet i dzieci i nie było My Lai.

Wjechaliśmy do prowincji Quang Nam i zbliżaliśmy się do dawnej wielkiej amerykańskiej bazy lotniczej Chu Lai. Pamiętałem, że właśnie tutaj stacjonowali moi kumple lotnicy z Czasu Apokalipsy.

Zobaczyłem zwoje drutu kolczastego z byłej bazy, a potem opuszczone betonowe budynki. Zauważyłem kilka hangarów i kilkanaście betonowych platform dla samolotów, zbudowanych wśród białych piasków ciągnących się na wschód aż do morza. Widziałem też zarys pasa startowego, pokrytego białymi obiektami, których nie umiałem zidentyfikować.

Susan zauważyła, że przyglądam się otoczeniu.

- Farmerzy wykorzystywali stare pasy startowe do suszenia bulw manioku - wyjaśniła mi.

- Poważnie? Chcesz powiedzieć, że miliony dolarów amerykańskich podatników wydano na budowę pasów startowych, które teraz wykorzystuje się do suszenia bulw manioku?

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Na to wygląda. Miecze na lemieszce. Pasy startowe na...

- Co to w ogóle jest maniok?

- No, wiesz. Podobny do kassawy. Robi się z tego pudding tapiokowy.

bombardowanie tego pasa. - Nie cierpię tapioki. Ojciec siłą to we mnie wmuszał. Trzeba zorganizować

Roześmiała się, pan Cam też się uśmiechnął. Lubił zadowolonych pasażerów.

- Chciałbym przy tym być, jak ci naddźwiękowi kowboje z Czasu Apokalipsy dotrą do Chu Lai. Dostaną zawału.

Baza Chu Lai była duża i rozległa; mijaliśmy coraz to inny jej fragment. Zauważyłem dzieci ciągnące wózki.

- Co one robią? - spytałem Susan.

- To łowcy złomu. Kiedyś to był w Wietnamie ogromny przemysł, lecz większość tego, co można łatwo znaleźć, już znaleziono. - Po chwili dodała: - Wiele z tych rzeczy, które znajdują, wybucha im w twarz. Słyszałam, że co roku setki łowców ginęło lub zostawało okaleczonych. Teraz zbiory nie są tak obfite, ale za to bezpieczniejsze.

Obserwowałem dzieci kopiące w piasku. Trzydzieści lat po wojnie, prawie po trzydziestu latach pokoju i odbudowy, ten naród wciąż nosił blizny i niezagojone rany, które krwawiły. Może to nas z nimi łączyło.

- Kiedy pojedziesz w głąb kraju... albo jeśli pojedziesz, pamiętaj, że w ziemi ciągle jeszcze tkwi masa niewypałów - ostrzegła mnie Susan.

- Dziękuję. - Prawdę powiedziawszy, nawet w czasie wojny wszędzie leżało tyle niewybuchów, że równie łatwo było zginąć od tkwiącego w ziemi naszego pocisku jak od wietnamskiej miny.

Spojrzałem na pana Cama, który najwyraźniej nie wyspał się dobrze w nocy. Głowa zaczynała mu opadać, więc potrząsnąłem go za ramię.

- Wiesz, że dwadzieścia pięć procent wypadków samochodowych z ofiarami śmiertelnymi w Stanach Zjednoczonych powodują przemęczenia kierowcy?

- Mm?

Susan coś przetłumaczyła, ale niezupełnie to, co powiedziałem.

- On chce kawy - oznajmiła.

- Zatrzymamy się w następnym Burger Kingu.

Powiedziała coś do pana Cama, ale nie usłyszałem nazwy Burger King.

Lima brzegowa skręcała w głąb lądu; autostrada przechodziła przez kilka mostków nad rzeczkami i strumieniami płynącymi ze wzgórz do morza. To jest naprawdę piękny kraj... i teraz doceniałem to bardziej niż wtedy, gdy musiałem maszerować po nim przez siedem dni w tygodniu.

- Na tych terenach znajdowało się centrum królestwa Cham-pa - powiedziała Susan. - Widziałeś wieże Chamów, kiedy tu byłeś?

- Rzeczywiście widziałem, chociaż nie miałem pojęcia co to takiego. Wykorzystywaliśmy je jako wieże obserwacyjne lub punkty orientacyjne dla artylerii. Na wszystko patrzyłem okiem żołnierza. Cieszę się, że wróciłem. Cieszę się, że ze mną jesteś.

- To bardzo miłe, Nie zapomnij, że tak powiedziałaś.

Jechaliśmy przez jakiś czas w milczeniu; spojrzałem na mapę.

- Według mapy autostrada numer jeden przebiega daleko na zachód od Da Nang, więc nie musimy przejeżdżać przez miasto - stwierdziłem.

- Czy nie mówiłeś, że odlatywałeś z Wietnamu z Da Nang?

- Tak. Trzeciego listopada sześćdziesiątego ósmego roku. Złapałem helikopter z Quang Tri do mojej macierzystej bazy w An Khe, zabrałem walizkę, której nie widziałem od urlopu, odwaliłem papierkową robotę, spotkałem się z inspektorem w sprawie wyjazdu, pożegnałem z paroma ludźmi i zrobiłem *di di mau*. Wielki śmigłowiec Chinook zabrał mnie do Da Nang.

Gdzieś nad wzgórzami dostaliśmy się pod ostrzał. Za niespełna siedemdziesiąt dwie godziny mam wyjechać z tego kraju, a te bydlaki próbują mnie zabić w drodze do Da Nang. Ale zrobili nam tylko kilka dziur w helikopterze. Potem siedzę sobie w tymczasowych koszarach, czekając na odlot do domu następnego dnia, a to o trzeciej nad ranem Charles spuszcza na koszary parę pocisków z moździerza. - Po chwili dodałem: - On to zrobił celowo.

- Czy ktoś został ranny?

- Pocisk rąbnął w pustą mesę po sąsiedzku i kilka odłamków przeleciało przez koszary. Ja spadłem z górnego łóżka i odniosłem jeszcze jedną ranę głowy. Ale nikt nie zauważył, więc nazajutrz odleciałem do San Francisco.

- Założę się, że cieszyłeś się, lecąc do domu.

Milczałem przez chwilę.

- Tak, ale... myślałem o pozostaniu z moją kompanią... - odparłem. - Wszyscy, którzy stąd wyjeżdżali, mieli mieszane odczucia w związku z opuszczaniem kolegów... To dziwne uczucie, nie dawało mi spokoju przez parę miesięcy... To nie było pragnienie śmierci, lecz mieszanina różnych emocji, wśród których było przekonanie, że nie dopasuję się do normalnych ludzi. Trudno to wytłumaczyć, ale prawie każdy, kto był na wojnie, powie ci to

samo.

Nie odezwała się.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Przejechaliśmy przez most na rzece Cam Le.

- Spytaj pana Cama, czy nazwa rzeki pochodzi od jego nazwiska - zwróciłem się do Susan.

- W wietnamskim nie ma zbyt wielu słów, więc zobaczysz wiele powtarzających się nazw. Postaraj się w tym nie zgubić. A nazwa rzeki nie pochodzi od nazwiska pana Cama.

Pan Cam wiedział, że o nim rozmawiamy, i raz po raz oglądał się na Susan. Susan położyła dłoń na jego ramieniu i coś powiedziała. Wietnamczyk parsknął śmiechem.

Chyba wyszedł już z szoku po uprowadzeniu i związaniu, zimnej nocy, pościgu, w którym o mało nie zginął, i groźeniu śmiercią. A może uśmiechał się na myśl o napiwku. Lub zemście. Przykra prawda była taka, że gdyby nie było ze mną Susan, musiałbym zabić pana Cama, bo nie miałbym innego wyboru. Oczywiście miałbym jakiś wybór, ale właściwym byłoby zabicie kierowcy. Gdzieś w mojej głowie tkwiła jednak świadomość, że zabiłem już zbyt wielu Wietnamczyków, w tym dwóch policjantów, i na myśl o zabiciu jeszcze jednego przewracało mi się w żołądku. Ale jeśli wierzyłem, że to, co robię, jest ważne i słuszne, to tak jak w sześćdziesiątym ósmym, kiedy wierzyłem w te same brednie, zrobiłbym to, co musiałem zrobić w imię Boga, dla kraju i dla Paula Brennera.

Lotnisko Da Nang majaczyło w oddali po prawej stronie, a za lotniskiem widziałem niskie kontury dużego miasta.

Pamiętałem, że to lotnisko jest większe i lepsze niż Tan Son Nhat, bo Amerykanie zbudowali je od początku do końca. Teraz, sądząc z informacji na mapie, nazywano je lotniskiem międzynarodowym.

- Na tych pasach można by wysuszyć masę manioku - zauważyłem.
- To bardzo duże lotnisko cywilne i wojskowe. Za kilka lat będziesz stąd mógł polecieć do Stanów - odparła Susan.

- A teraz?

- Już teraz amerykańskie samoloty towarowe lądują tu od czasu do czasu.

Wiedziałem o tym. Wedle słów pana Conwaya to był plan odwrotu C. Paul Brenner w kontenerze lotniczym z etykietą banany albo coś w tym guście. Mogłoby się udać. Lub nie.

Susan wyjęła aparat i zrobiła zdjęcie lotniska w oddali.

- Pamiętka dla ciebie - oznajmiła. - Tym razem nikt nie spróbuje cię zabić... Wiesz, co chcę powiedzieć...

- Wiem.

- Przylatuję tu czasem służbowo. Mówiłeś, że nigdy nie byłeś na China Beach?

- Nie byłem.

- A na Małpiej Górze?

- Nie cierpię małp.

- Chyba nie byłeś tu zbyt długo.

- Spędziłem tutaj dokładnie siedemdziesiąt jeden godzin i dziesięć minut. I nie ruszyłem się na krok z bazy.

- Jasne. Chciałeś wracać do domu.

- Na fotelu pasażerskim, a nie w luku towarowym.

Przypomniałem sobie jeszcze jeden program telewizyjny o ostatnich dniach Wietnamu Południowego.

- Jakoś pod koniec marca siedemdziesiątego piątego roku, gdy koniec był bliski, linie lotnicze World Airways przysłały dwa boeingi siedemset dwadzieścia siedem, żeby ratować cywilnych uciekinierów w bazie Da Nang - powiedziałem. - Kiedy wylądował pierwszy samolot, tłum około tysiąca rozhisteryzowanych mężczyzn, kobiet i dzieci wdarł się na pokład. Ale południowowietnamscy wojskowi uznali, że to oni zasługują na ratunek, a nie cywile, i zaczęli strzelać do uciekinierów. Dwustu żołnierzy z pułku Czarnych Panter wyrzuciło wszystkich z samolotu i zostało na pokładzie.

- To straszne.

- Pilot drugiego samolotu wykazał przytomność umysłu i nie wylądował, ale kamery telewizyjne na jego pokładzie uchwyciły widok uciekinierów wiszących w komorach podwozia pierwszego samolotu lecącego nad Morzem Południowochińskim. Wypadali jeden po drugim.

- Mój Boże...

Spróbowałem sobie wyobrazić panikę i rozpacz w dniach poprzedzających ostateczną kapitulację. Miliony uciekinierów, jednostki lotnicze, które się rozpadały, zamiast walczyć, paraliż w Sajgonie i Waszyngtonie, hipnotyczne obrazy chaosu i upadku migające na ekranach telewizorów na całym świecie. Dla nas totalne upokorzenie, dla nich całkowita katastrofa.

Jak się okazało, źli nie byli tacy źli, a dobrzy nie byli tacy dobrzy. W końcu i tak jest to kwestia postrzegania, public relations i propagandy. Obie strony tak długo odmawiały sobie wzajem człowieczeństwa, że zapomniały, iż są Wietnamczykami i ludźmi.

- Nic o tym wszystkim nie wiedziałam - odezwała się Susan. - Nikt o tym nie mówi.

- Może to i lepiej.

Autostrada numer jeden dobiegła do skrzyżowania w kształcie litery T; spojrzałem na mapę i wskazałem w lewo. Pan Cam skręcił i pojechaliśmy dalej. Na drodze wokół Da Nang było pełno ciężarówek, samochodów i autobusów, a pan Cam co rusz bawił się w grę nerwów z nadjeżdżającymi z przeciwka samochodami.

Susan przywołała go do porządku, więc pan Cam zaczął jechać za ciężarówką, co momentalnie zepsuło mu humor. Była wigilia Tet, a on chciał być z rodziną w Nha Trang. Mało brakowało, a byłby z nią tylko duchem.

Teren zaczął się wznosić; w oddali widziałem wysokie góry, których podnóża schodziły aż do Morza Południowochińskiego. Według mapy autostrada biegła przez te właśnie góry, ale nie rozumiałem, jak to możliwe.

- Jechałaś już tą trasą? - spytałem Susan.

- Tak. Mówiłam ci, że jechałam kiedyś katownią na kółkach z Sajgonu do Hue. To był koszmar. Niewiele mniejszy od tej podróży.

- Fakt. Czy ta górská droga jest niebezpieczna?

- Zapiera dech w piersi. Przez góry wiedzie jedna przełęcz o nazwie Hai Van. Po francusku nazywa się Col des Nuages.

- Przełęcz Chmur.

- Oui - przytaknęła Susan. - Te góry oddzielały kiedyś cały Wietnam na północy od dawnego królestwa Champa, przez które właśnie przejechaliśmy. Istnieje wyraźna różnica pogody po obu stronach przełęczy, zwłaszcza teraz, zimą. - Czy w Hue pada śnieg?

- Nie - odparła Susan. - Ale po tamtej stronie przełęczy będzie o wiele chłodniej i możliwe, że będzie padał deszcz. To północna granica tropików. - Po chwili dodała: - Mam nadzieję, że zabrałeś jakieś ciepłe ubrania.

Nie zabrałem. Ale to nie była wina Karla ani nikogo innego. W styczniu i lutym sześćdziesiątego ósmego roku byłem przecież po tamtej stronie przełęczy i pamiętam deszczowe dni i zimne noce.

- A ty masz jakieś ubrania w tym bezdennym plecaku?

- Nie. Pójdę na zakupy.

- Jasne.

Pięliśmy się pod górę. Po lewej stronie mieliśmy ostrą ścianę skały, a z prawej, tuż obok kół samochodu, stok wpadający wprost do Morza Południowochińskiego.

- To niesamowity widok.

Pan Cam nie zachwycał się widokami, dzięki Bogu, i widziałem, że pobielają mu kostki dłoni.

- Każ mu się przesiąść - powiedziałem do Susan. - Ja poprowadzę.

- Nie. Na szczycie przełęczy jest policja.

Wspięliśmy się na wysokość mniej więcej pięciuset metrów, sądząc po widoku wody w dole. Góra wznosząca się po lewej stronie była co najmniej tysiąc metrów wyższa. Gdybym się tu znalazł wczoraj w ciemnościach, nie byłoby w tym nic zabawnego.

Zdawało się, że upłynęło sporo czasu, zanim dotarliśmy do Przełęczy Chmur. Teren się wyrównał i po obu stronach drogi widziałem stare betonowe bunkry i kamienne umocnienia.

Dojechaliśmy do szczytu przełęczy, gdzie znajdowało się jeszcze więcej fortyfikacji. Stał też autokar turystyczny, było parę samochodów z wietnamskimi kierowcami i zachodnimi turystami, kilkanaścioro dzieci sprzedających pamiątki, a także posterunek policji i zaparkowane przed nim dwa żółte dżipy. Pan Cam coś powiedział.

- Pyta, czy chcesz się zatrzymać i zrobić zdjęcia - przetłumaczyła Susan.

- Następnym razem.

- Każdy się tutaj zatrzymuje. Powinniśmy stanąć. Nie będziemy wyglądać podejrzanie.

- Powiedz mu, żeby się zatrzymał.

Pan Cam zjechał blisko przepaści spadającej do niewielkiego półwyspu stanowiącego koniuszek podnóża góry.

- Zrób zdjęcie i wynośmy się stąd - powiedziałem do Susan, nie spuszczać oka z policjantów kręcących się koło dziupów po przeciwnej stronie drogi. Zerkali na wszystkie samochody i turystów, wydawało się jednak, że są zbyt leniwi, żeby przejść na drugą stronę. Ale przecież nigdy nie wiadomo.

Ze dwadzieścioro dzieciaków obskoczyło nasz wóz, podtykając do okien jakieś bezużyteczne, kretyńskie souveniry.

Kilkoro z nich trzymało w dłoniach aluminiowe modele śmigłowców Huey; zdziwiłem się mocno, widząc, że zostały wiernie odtworzone prawie trzydzieści lat po wycofaniu się Amerykanów.

Jeden z chłopców walił w okno aluminiową miniaturką hueya; zauważyłem, że na boku helikoptera widnieje doskonale namalowany czarno-żółty znak Pierwszej Dywizji Kawalerii.

- Muszę to mieć - powiedziałem.

Opuściłem trochę okno i potargowałem się z chłopakiem o cenę. Obaj trzymaliśmy helikopter, aż wypuściłem z ręki dolara, jak przy handlu narkotykami.

Podniosłem szybę i powiedziałem do pana Cama:

- *Cu di.*

Wietnamczyk wrzucił bieg i przejechaliśmy na drugą stronę przełęczy.

- Podoba ci się ta zabawka? - spytała Susan. - Nie wszędzie można je zobaczyć. - Zrobiłem w powietrzu ruch, jakby śmigłowiec leciał, a potem wydałem dźwięk naśladujący wystrzeliwanie rakiet i serię z karabinu maszynowego Gathng.

Pan Cam się roześmiał, ale był to nerwowy śmiech.

- Nic ci nie jest? - spytała Susan.

- Schodzę do lądowania. - Zawisłem na chwilę w powietrzu i posadziłem śmigłowiec na desce rozdzielczej.

Pan Cam i Susan nie skomentowali. Uwielbiam odgrywać szurniętego.

Zjeżdżaliśmy teraz z Przełęczy Chmur i rzeczywiście chmury wisiały nad drogą i zerwał się wiatr, a po chwili o szyby uderzył deszcz. Pan Cam włączył reflektory i wycieraczki.

Deszcz siekł coraz mocniej, a wiatr zakołysał nissanem. Zerknąłem na pana Cama, który wyglądał na lekko zaniepokojonego. Kiedy wietnamski kierowca jest zaniepokojony, okrągłocy pasażerowie powinni trząść się ze strachu.

Ruch po obu stronach drogi był niewielki, ale wystarczający, żeby zjazd był jeszcze bardziej niebezpieczny.

Po kwadransie dotarliśmy do niższego wzniesienia, gdzie chmury się przerzedziły, a wiatr i deszcz zelżały.

- Ten wiatr wieje z północnego wschodu i nazywany jest chińskim wiatrem - wyjaśniła Susan. - My, w Massachusetts, nazywamy go północno-wschodnim wichrem. Tutaj jest zima, nie najlepsza pora na podróże krajoznawcze.

Zjechaliśmy prawie na poziom morza i po kilku minutach zobaczyłem szeroką połąć płaskiej ziemi,

rozciągającą się od morza do gór na zachodzie.

Opuściliśmy starożytne królestwo Champa i jesteśmy teraz w prowincji Hue - oznajmiła Susan. - Ludzie tutaj są nieco bardziej zamknięci w sobie, nie tak swobodni w zachowaniu jak tam, skąd przyjechaliśmy.

- Więc Przełęcz Chmur to coś w rodzaju linii Masona-Dixona - zauważyłem. - Coś w tym rodzaju.

Spojrzałem na niebo zasnuwane ciężkimi szarymi chmurami, nisko wiszącymi jak okiem sięgnąć. Krajobraz też wyglądał na szary i mokry, a roślinność sprawiała wrażenie spłowiałej i przygaszonej.

Pamiętałem ten zimowy pejzaż bardzo wyraźnie - pamiętałem nawet duszny zapach, który teraz czułem, i paleniska z węglem drzewnym w każdej chacie, dające mało ciepła ze względu na zimny, wilgotny wicher.

Byliśmy teraz na równinie; po prawej stronie ukazała się nędzna bambusowa chata, w której wejściu stał mężczyzna palący papierosa i wpatrujący się w deszcz. W ciągu krótkiej chwili, gdy go mijaliśmy, zobaczyłem jego odartą z wszelkich emocji twarz i w nagłym przeblasku pomyślałem o losie wieśniaków żyjących z uprawy ryżu - harówka od wschodu do zachodu słońca, później do domu na posiłek ugotowany nad otwartym ogniem, i do łóżka.

I jeszcze pijawki, gnijące stopy, robactwo w chatach i wszy we włosach.

A potem przychodziły wojny, jak zawsze w tym kraju, i chłopci jako pierwsi szli do poboru i jako pierwsi ginęli miliony chłopów, po raz pierwszy w życiu w porządnym ubraniu i z bronią, która kosztowała tyle, co dwuletni zarobek na polu ryżowym.

Widziałem to wszystko dawno temu, lecz dopiero teraz pojąłem. Pojąłem też, dlaczego tak wielu z nich wstępowało do Wietkongu, żywiąc nadzieję lepszego życia po zwycięstwie. Ale, jak powiedział mi mój francuski przyjaciel na lotnisku Tan Son Nhat, im bardziej coś się zmienia, tym bardziej pozostaje takie samo.

Niebo było szare, na zamarłe w bezruchu poletka ryżowe siał deszcz, wszystko wydawało się martwe i opuszczone.

Była wigilia Tet; pamiętałem ten dzień przed wielu laty, gdy siedzieliśmy skuleni w naprędcie skleconym bunkrze pod wzgórzami na zachód od Quang Tri, wyglądając na deszcz i zmoczoną deszczem roślinność. Szara wilgoć wsączała się w błotniste bunkry i nasze dusze.

Wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy, ale za parę godzin miała się zacząć bitwa, która toczyła się cały długi, krwawy miesiąc. A pod koniec tego miesiąca Hue i Quang Tri miały lec w gruzach, worki na zwłoki miały się wyczerpać szybciej niż amunicja i nic nie miało być takie samo ani tu, ani w domu.

- Do Hue jeszcze pięćdziesiąt kilometrów - oznajmiła Susan.

Pomyślałem o moich bliskich spotkaniach ze śmiercią w sześćdziesiątym ósmym roku i teraz. Ten kraj nadał barwy mojemu życiu i zmienił moje osobiste losy - nie raz i nie dwa, ale już trzy razy. Powinienem zapytać samego siebie, co mnie tutaj przyciągało z powrotem.

KSIĘGA V

Rozdział 25

Było wczesne popołudnie i deszcz przestał padać, lecz niebo pozostało szare. Widziałem mały samolot śmigłowy lądujący na lotnisku Hue-Phu Bai po prawej stronie autostrady numer jeden, też była kiedyś amerykańska baza lotnicza, chociaż nie pierwszorzędного znaczenia.

Susan powiedziała coś do pana Cama, a on wjechał w bramę lotniska gdzie usadowił się policyjny dzip. Deszcz zmył błoto odrapanej maski, więc wyobraziłem sobie kropki żółtej farby na przednim błotniku. Policjanci przyglądali się nam, kiedy przejeżdżaliśmy

Pamiętałem o radzie pana Conwaya, żeby unikać lotnisk, ale jak się okazało, musiałem przenieść gorący kartofel przez port lotniczy.

Po drodze minęliśmy kilka pamiątek po amerykańskiej armii i lotnictwie: betonowe bunkry, betonowe podesty i betonową wieżę kontrolną, którą pamiętałem.

Nie było tu dużego ruchu, więc pan Cam mógł zaparkować samochód na wolnej przestrzeni koło małego terminalu.

Wysiedliśmy z nissana, otworzyłem bagażnik i położyłem bagaże na ziemi. dobrze wyszedł na tej grze. Pan Cam stał niepewnie obok, czekając, co się dalej stanie. Nie był martwy, więc i tak

Wyjąłem portfel i odliczyłem dwieście dolarów, które wręczyłem panu Camowi.

- Dla pana Thuca - powiedziałem. Uśmiechnął się i ukłonił. Potem wskazałem na uszkodzonego nissana.

- Ile? - spytałem.

Zrozumiał i coś odpowiedział, Susan zaś przetłumaczyła, że chodzi o trzysta dolarów. Dałem mu pieniądze bez targowania się. Już nie mogłem się doczekać pisania raportu po powrocie, w którym będę musiał wytłumaczyć ten wydatek: Uszkodzenie samochodu podczas pokwitowania. ucieczki przed wozem policyjnym; zabiłem wtedy dwóch policjantów. 300 dolarów. Bez

Przyjrzałem się zadrapaniom i wskazałem panu Camowi kilka smug żółtej farby. Wykonałem ruch naśladujący wycieranie, a Wietnamczyk szybko skinął głową. Potem odliczyłem kolejną setkę i dałem panu Camowi, pokazując, że to dla niego.

Uśmiechnął się szeroko i ukłonił jeszcze niżej.

- Myślisz, że to odpowiednie wynagrodzenie za to, że o mało go nie zabiłem? - spytałem Susan.

- Pewnie. A ja ile dostanę?

- Ty zgłosiłaś się na ochotnika. On został porwany. - Sięgnąłem do samochodu, wyjąłem zabawkowy helikopter i wręczyłem panu Camowi. - To dla pana, żeby na zawsze zapamiętał pan tę podróż. - Jakby nie zapamiętał bez tego.

Susan przetłumaczyła, pan Cam ukłonił się i powiedział po angielsku:

- Dziękuję. Do widzenia. Spojrzałem na zegarek.

- Teraz lecimy do Hanoi. Kupuje pan to?

Uśmiechnął się i odrzekł:

- Hanoi.

- Właśnie. - Potem zwróciłem się do Susan. - Przypomnij mu jeszcze, że ma nie iść na policję. Położyła dłoń na ramieniu pana Cama i przemówiła do niego niskim, kojącym głosem. Kiwał głową, a ja obserwowałem jego oczy.

Susan skończyła przemowę, Wietnamczyk coś odpowiedział i ukłonili się sobie. Uścisnąłem dłoń pana Cama.

- Może pan wrócić do Nha Trang przed północą, jeśli się pan pospieszy - stwierdziłem.

Susan przetłumaczyła moje słowa. Odniosłem wrażenie, że kierowca nie zamierzał tracić połowy dnia na komendzie policji.

Wszyscy życzyliśmy sobie *Chuc Mung Nam Moi*, pan Cam wsiadł do nissana i odjechał.

- Policja czy Nha Trang? - spytałem Susan.

- Nha Trang.

Zabraliśmy bagaże i weszliśmy do terminalu obok dwóch uzbrojonych mężczyzn w mundurach. Terminal, który wyglądał na lata sześćdziesiąte, był zatłoczony, lecz nie aż tak bardzo. Tablice informacyjne pokazywały loty tylko do szóstej po południu.

- Podróże związane z Tet w zasadzie się skończyły; teraz wszyscy są już w domach - wyjaśniła Susan.

- Ja nie jestem. Ani ty. - Rozejrzałem się i dodałem: - Miałem stąd kiedyś lecieć wojskowym samolotem do An Khe. Samolot był pełny i nie mogłem wsiąść. Wystartował i zderzył się ze śmigłowcem na końcu pasa startowego. Wszyscy zginęli. Po czymś takim człowiek zaczyna się zastanawiać.

Susan nie odpowiedziała.

Przyjrzałem się otoczeniu. Umundurowani faceci chodzili parami, w takich samych mundurach jak Popychalski na lotnisku Tan Son Nhat. Na pewno jakaś straż graniczna. Dwóch zatrzymało obcokrajowca; poprosili o bilety i dokument tożsamości.

- No dobra, jesteśmy tu już dość długo - powiedziałem do Susan. - Weźmiemy osobne taksówki do hotelu Century Riverside. Ja pojadę pierwszy i się zamelduję. Ty przyjedziesz później i spróbujesz znaleźć sobie pokój. Jeśli ci się nie uda, zaczekaj w recepcji. Tam się spotkamy.

- Może lepiej w holu. Potrzebuję drinka.

- Ja też. Gdzie pistolet?

- Mam przy sobie.

- Może pójdziesz do łazienki, schowasz go do torby, a ja ją wezmę?

- A może złapiesz taksówkę?

- Susan...

- To moja broń. Jeśli mnie zatrzymają i przeszukają, powiem im, że to zapalniczka. Do zobaczenia później.

Staliśmy przez chwilę.

- Schył się trochę, kiedy będziesz przejeżdżać koło tego dżipa - przypomniałem jej.

- Wiem. Będzie dobrze.

Nie pocałowałem jej, lecz się odwróciłem i wyszedłem z terminalu. Przed budynkiem stało kilka taksówek; wsiałem do jednej, z bagażem w rękę, i powiedziałem do taksówkarza:

- Hue. Hotel Century Riverside. *Biet?*

Skiął głową i odjechaliśmy. Kiedy zbliżaliśmy się do policyjnego dżipa, schyliłem się, żeby zawiązać sznurowadło,

Do Hue było jakieś dziesięć kilometrów; po drodze przejechaliśmy przez miasteczko Pbu Bai, które pamiętałem jak przez mgłę. W oddali widziałem pagody i grobowce cesarzy rozsiane po krajobrazie z niskimi pagórkami.

Przejechaliśmy przez rzeczkę i autostrada numer jeden zamieniła się w ulicę Hung Vuong. Nie znałem Hue, ale wiedziałem coś o tym mieście, wiedziałem, że jesteśmy w Nowym Mieście na wschodnim brzegu Rzeki Perfumowej. Stare Miasto Cesarskie leżało po przeciwnej stronie. Nowe Miasto sprawiało przyjemne wrażenie i wyglądało na dobrze prosperujące - było nieduże, ale większe, niż kiedy je ostatnio widziałem z helikoptera w sześćdziesiątym ósmym roku. Wtedy stanowiło w zasadzie kupę gruzu.

W ciągu kilku minut taksówka zajechała na okrężny podjazd hotelu Century Riverside, oddalonego nieco od ulicy, położonego w ogrodzie, rzeczywiście nad rzeką, jak sugerowała nazwa. Był to dość duży, nowoczesny budynek pięciokondygnacyjny, z pięknie zaaranżowanym ogrodem, stawem i fontanną. Nad wejściem wisiał duży transparent z napisem Chuc Mung Nam Moi - Szczęśliwego Nowego Roku. Zasługiwałem na ten hotel.

Zapłaciłem taksówkarzowi; zjawił się chłopiec hotelowy, który wziął ode mnie walizkę i dał mi pokwitowanie. Zostawiłem sobie neseser.

Drzwi otworzył portier.

- Witamy w hotelu, sir.

Wszedłem do dużego, rozległego holu, urządzonego ze smakiem, w nowoczesnym stylu. W donicach na podłodze rosły drzewka *kumquat*, a wazonach stały kwitnące gałązki Tet.

Z lewej strony znajdował się długi kontuar recepcji; wybrałem najładniejszą dziewczynę i podszedłem do niej.

- Chcę się zameldować. Bond. James Bond. - Podałem voucher; recepcjonistka zerknęła na niego, a potem na mnie.

- Pan jest...?

- Brenner. Paul Brenner. Nazwisko jest na voucherze.

- Och, przepraszam... wypisaną dużymi czerwonymi literami: POSZUKIWANY ŻYWY LUB MARTWY. Stuknęła w klawiaturę i spojrzała na ekran monitora. Wyobraziłem sobie informację ZAWIADOMIĆ POLICJĘ.

Ładna dziewczyna, na której znaczku identyfikacyjnym widniało imię Dep, co oznacza ładna, uśmiechnęła się, czytając to, co było na ekranie.

- A, tak. Paul Brenner. Witamy w hotelu Century Riverside, panie Brenner.

- Dziękuję.

Miałem wrażenie, że jestem trochę nieodpowiednio ubrany; pewnie nieco cuchnąłem, powinienem się ogolić i umyć zęby, ale panna Dep zdawała się tego nie zauważać.

- Miał pan przyjemną podróż? - spytała.

- Miałem ciekawą podróż.

- Tak? Skąd pan przyjechał?

- Nha Trang.

- Ach. Jaka tam jest pogoda?

- Bardzo ładna.

- Tutaj jest bardzo pochmurno, niestety. Ale może pan lubi chłodniejszą pogodę.

- Na pewno polubię.

Załatwiła komputerowe formalności i oznajmiła:

- Mamy dla pana bardzo ładny apartament, panie Brenner. z tarasem wychodzącym na rzekę i Stare Miasto.

- Dziękuję.

- Był pan już kiedyś w Hue?

- Byłem niedaleko. Quang Tri. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku.

Podniosła głowę.

- Aha - powiedziała.

- No właśnie.

- Czy mogę zobaczyć pański paszport i wizę? - spytała.

- Może pani, ale potrzebuję ich z powrotem.

meldunkową. - Tak, oczywiście. Muszę zrobić fotokopie. Tymczasem proszę wypełnić tę kartę

Wpisywałem swoje dane, a panna Dep zrobiła odbitki mojej wizy i paszportu. Wróciła i oddała mi dokumenty, a ja dałem jej kartę.

- Zostanie pan u nas trzy doby, zgadza się? - spytała.

- Zgadza. - Czy dostanę zwrot, jeśli mnie wcześniej aresztują? - A propos, czy mają państwo jakieś wolne pokoje? - spytałem.

Pobawiła się chwilę klawiaturą.

- Kilka. W czasie świąt jest duży ruch. - Znalazła klucz i powiedziała: - Jeśli możemy panu w czymś pomóc, portier jest do pańskich usług.

- Dziękuję. Czy są dla mnie jakieś wiadomości?

- Zaraz sprawdzę.

Odwróciła się i zerknęła do przegródek. Wyjęła dużą kopertę.

- Wydaje mi się, że to jest dla pana.

Wziąłem kopertę i podpisałem odbiór.

- Pański bagaż wkrótce będzie na górze. Apartament szósty jest na piątym piętrze. Windy są tuż za panem. Miłego pobytu.

- Dziękuję. Jest pani bardzo ładna. *Chuc Mung Nam Moi*. Uśmiechnęła się i skłoniła głowę.

- Dziękuję. Szczęśliwego Nowego Roku - powiedziała. Podeszedłem do windy i nacisnąłem guzik Up. Zauważyłem, że ludzie w hotelach - w dobrych hotelach - wszyscy mówią tym samym językiem, na całym świecie. Na pewno są ćwiczeni w jakimś miejscu, takim jak Szwajcaria, żeby byli doskonali niczym androidy ze sprężynami w głowach. Potem nakręca się ich i wypuszcza w świat.

Zjawiła się winda, wjechałem na piąte piętro i znalazłem swój apartament

Miał duży pokój gościnny, równie dużą sypialnię, dużą łazienkę i - a jakże - taras z widokiem na rzekę i Stare Miasto na drugim brzegu.

Nowoczesne meble wyglądały na wygodne, ale moje standardy tak się obniżyły, że straciłem umiejętność oceny.

Była też obszerna wnęka z biurkiem. Usiadłem i otworzyłem kopertę.

Faks od Karla był zaadresowany do mnie i nie było w nim życzeń szczęśliwego Nowego Roku.

Zerknąłem na wiadomość i zauważyłem, że nie jest spreparowana w żargonie handlowym, w którym łatwiej wyrazić i zrozumieć podwójne znaczenia. Karl musiał nadać

jej formę listu od przyjaciela, bo ja nie przyjechałem do Wietnamu rzekomo w interesach; byłem powracającym weteranem, turystą, a Karl wiedział, że ten list znajdzie się w rękach policji znacznie wcześniej, niż go zobaczą. Zmienił też płeć; miał na imię Kay.

Czytałem: Drogi Paulu! Mam nadzieję, że jesteś zdrow i że wycieczka spełniła wszystkie Twoje nadzieje. Co do damy, o której rozmawialiśmy, słyszałam, że może być żoną innego Amerykanina, więc powinieneś uważać, co mówisz przez sen i uważać na zazdrosnego męża. Jako przyjaciółka radzę Ci zakończyć ten romans. Nic dobrego z niego nie wyjdzie. A teraz radośniejsza wiadomość: Twój plan zwiedzania Hue wygląda dobrze. Mam nadzieję, że świetnie się bawisz. Daj znać. Podpisano: Pozdrawiam, Kay. Pozostało mi tylko to rozszyfrować, co nie było zbyt trudne. Żona innego Amerykanina. Naturalnie, Karl chciał powiedzieć, że Susan może pracować dla innej amerykańskiej służby wywiadowczej. Ale już wcześniej to podejrzewałem. I co z tego? Nawet nie byłem pewien, dla kogo ja pracuję.

Twój plan zwiedzania Hue wygląda dobrze. Jutrzejsze spotkanie było aktualne.

Otworzyłem szufladkę i znalazłem formularz faksu. Napisałem:

Najdroższa Kay! Dotarłem do Hue i dostałem Twój faks. Jak miło z Twojej strony, że troszczysz się o moje życie uczuciowe. Ale jeśli sypiasz z wrogiem, wiesz przynajmniej, gdzie spędza noc.

Wycieczka przebiega pomyślnie, jest bardzo wzruszająca i pouczająca. Uwielbiam Wietnamczyków, a tutejszy rząd robi świetną robotę. Nie wiem, jak Ci dziękować, że podsunęłaś mi pomysł tej podróży.

Podniosłem głowę, pomyślałem przez chwilę i dopisałem: Długie cienie przeszłości rzeczywiście sięgają stąd aż do kraju, ale cienie w mojej głowie i sercu znikają więc jeśli przez pewien czas nie dostaniesz ode mnie wiadomości, wiedz, że znalazłem to, czego szukałem, i że nie mam osobistych żalów z powodu tej podróży. Ucałuj C. Podpisałem: Z pozdrowieniami, Paul.

Spojrzałem na to, co napisałem, i uznałem, że jest w sam raz dla Karla, dla pułkownika Manga, dla Cynthii, dla mnie i dla potomności.

Przypomniałem sobie moje listy z sześćdziesiątego ósmego roku; były mieszaniną nowin, żołnierskich żalów i tęsknoty do domu. Lecz jak większość walczących żołnierzy, zdających sobie sprawę, że każdy list może być ostatnim, zawsze kończyłem je w sposób, który sugerował, że jestem ze sobą w pokoju, że pogodziłem się z możliwością śmierci, nie boję się jej, ale, rzecz jasna, mam nadzieję na szczęśliwsze zakończenie służby. W podtekście kryła się zawsze myśl, że to doświadczenie daje mi coś dobrego, że dzięki memu będę po powrocie lepszym człowiekiem. Miałem nadzieję, że Bóg też czyta mój list.

Wszystko to było dość ciężkostrawne dla osiemnastolatka, ale każdy szybko dorasta, kiedy odmierza swój czas na ziemi w minutach.

Teraz, prawie trzydzieści lat później, znów tutaj byłem, moje życie znów znalazło się w niebezpieczeństwie, a mój list mówił mniej więcej to samo co wtedy: Przygotowałem się na wszystko, co może nastąpić, i tak samo powinni zrobić ci, którzy są w domu.

Zostawiłem faks Karła na biurku, bo zniszczenie go mogłoby się wydać podejrzanym ludziom, którzy już go przeczytali.

Wstałem i zaniósłem neseser do łazienki. Wyczyściłem zęby, umyłem się i uczesałem włosy.

Zadzwonił dzwonek przeszedłem do salonu i otworzyłem drzwi. Boy przyniósł moją walizkę; dałem mu dolara. Otworzyłem walizkę i wciągnąłem na siebie pognieciony niebieski blezer. Niepokoiłem się o Susan, chciałem ją jak najprędzej zobaczyć, więc nie rozpakowując się, zabrałem z biurka mój faks i zszedłem do holu.

Dałem faks recepcjoniście razem z dolarem i spytałem, czy wyśle wiadomość teraz i odda mi go.

- Przykro mi, proszę pana - odparł. - Faksy zajęte cały dzień. To potrwa jedną, dwie godziny. Wyślę pana faks i zwrócę oryginał do pokoju.

Znałem tę procedurę i wiedziałem, że nie uda mi się tutaj to, co uchodziło w Grand Hotelu w Nha Trang. Mogłem pójść na pocztę główną, lecz z tego, co wiedziałem, robili odbitkę faksu dla policji na twoich oczach. Tak czy inaczej, mój faks do Karla był czysty, a ja się spieszyłem. Zostawiłem go recepcjoniście. Potem poszedłem do kasy i zamieniłem pięćset dolarów w czekach podróźnych, za które dostałem dwa tryliony dongów, czy coś w tym rodzaju.

Rozejrzałem się po holu, żeby zobaczyć, czy jest tam Susan, ale jej nie było. Nie chciałem pytać recepcjonistę, czy się zameldowała, więc stałem i czekałem. Hol tętnił tyciem w sobotnie popołudnie, wigilię Tet. Właściwie wszyscy goście pochodzili z Zachodu, a sadzać po ubraniach, większość była Europejczykami.

Amerykanami i weteranami. Byli dość dobrze ubrani jak na Amerykanów - w długie spodnie, Zauważyłem jednak trzech facetów w średnim wieku, którzy najwyraźniej byli koszule z kołnierzykami i bluzy - i sztywnie się nosili. Jeden z nich miał brodę w stylu Hemingwaya i wyglądał znajomo, jakbym widział go w telewizji.

Potrafię odgadnąć to i owo na podstawie obserwacji - z tego w końcu żyję. Patrząc, jak stoją w holu i rozmawiają, odgadłem, że wszyscy byli oficerami, prawdopodobnie piechoty albo marines. bo nie mieli niechlujnych manier lotników i nie wyglądali na marynarzy. Mogli być weteranami - i to weteranami, którzy brali udział w walce, a nie żołnierzami jednostek odwodowych - i z pewnością powiodło im się finansowo. Zebrali się i uznali, że nadszedł czas, aby wrócić. Możliwe, że towarzyszyły im kobiety, ale teraz byli sami. Mężczyzna z brodą podjął decyzję i wszyscy skierowali się do baru. Ruszyłem za nimi.

W holu nie było baru, więc usiadłem przy stoliku naprzeciwko drzwi. Powinienem być właśnie na komendzie policji imigracyjnej, lecz uznałem, że gliny mogą poczekać. A niech się pieprzą.

Zjawiała się kelnerka i zamówiłem piwo San Miguel. a potem jeszcze jedno.

- Osoba do pana dołączyć? - spytała kelnerka.

- Tak.

Położyła dwie serwetki i dwie miseczki orzeszków.

Zerknąłem na zegarek, a potem na drzwi. Susan nie należała do kobiet, o które trzeba się martwić, gdy mają wykonać tak proste zadanie jak przejazd taksówką z lotniska. Za to pistolet rozjuszył mnie nie na żarty. Wystarczyła przypadkowa kontrola na lotnisku, drobna stłuczka samochodowa czy rutynowe zatrzymanie przez policję i doszłoby do strzelaniny lub aresztowania za poważne przestępstwo. Mimo że wykonuję taką pracę, jaką wykonuję, nie przepadam za broń; zrozumiałem już jednak, dlaczego tak wielu Amerykanów z takim entuzjazmem odnosi się do prawa do noszenia broni.

To kazało mi się zastanowić, co się stało z milionami M-16, które daliśmy armii Wietnamu Południowego. Od kiedy tu byłem, nie widziałem ani jednego amerykańskiego M-16 u żołnierza czy policjanta; wszyscy mieli rosyjskie kałasznikowy, które pokochali w czasie wojny.

Może, pomyślałem, na jakiejś grzędce warzywnej leżą owinięte w folię miliony M-16, ukryte przez południowowietnamskich żołnierzy. Ale prawdopodobnie nie. To był kraj nieuzbrojonych cywilów i uzbrojonych żołnierzy i gliniarzy. Klęska była całkowita, a szanse na to, że wybuchnie powstanie, żadne. Przypominałem sobie zdjęcia w Muzeum Amerykańskich Zbrodni Wojennych, pokazujące masowe egzekucje wojujących z władzą plemion i żołnierzy byłego Wietnamu Południowego. Ci w Hanoi nie żartowali.

Gdzie jest Susan?

Kelnerka przyniosła piwa i postawiła je na stoliku z dwiema szklankami. Podpisałem świstek i dałem jej dolara.

Wypiłem trochę piwa i zjadłem trochę orzeszków, gapiąc się aa drzwi i zerkając na zegarek

Słyszałem trzech facetów przy pobliskim stoliku; słuchałem ich, żeby nie martwić się o Susan.

Chwytałem tylko strzępy rozmowy, lecz usłyszałem parę wojskowych zwrotów i akronimów, więc

się nie pomyliłem. Jeden powiedział coś o „ulotnieniu się”, co oznacza ewakuację rannych helikopterem, a drugi użył słowa „nadlatujące”, co odnosiło się do nieprzyjacielskich rakiet, pocisków artyleryjskich lub moździerzowych. Trzeci dodał coś o „ostrym ściskaniu w tyle”, co znaczyło, że wszystkim zaciskały się zwieracze ze strachu. Parsknęli śmiechem.

Z pewnością weterani pola bitwy. Zerknąłem na nich; starzy weterani, tacy sami jak ja, dobrze się bawili. Wrócili, żeby kopnąć bestię prosto w jaja.

Ciekawe, czy czuli się tu tak samo dziwnie i nie na miejscu, jak ja czułem się na dachu Reksa; podobnie zaczynałem się czuć tutaj, w miłym barze koktajlowym luksusowego hotelu zbudowanego na brzegu Rzeki Perfumowej, gdzie kiedyś okopali się marines i prowadzili wymianę ognia z nieprzyjacielem, który trzymał sąsiedni brzeg. Myślę, że gadaniem i

głędzeniem zagłusza się odgłos karabinów maszynowych i rakiet. Ale jeśli siedzi się cicho, tak jak ja w tej chwili, wciąż słyszy się odległy grzmot rozplywający się w czasie.

Susan powinna już tu być, musiałem zapytać o nią recepcjonistę. Wstałem i ruszyłem w stronę drzwi.

Właśnie do nich dochodziłem, kiedy wyrosła nagle, jakby spod ziemi, tak że prawie na nią wpadłem.

- Gdzie ty, do cholery, byłaś? - spytałem na powitanie.

- Mnie też miło cię widzieć.

- Martwiłem się o ciebie.

- Przepraszam. Musiałam się odświeżyć.

Miała na sobie jedną z jedwabnych bluzek, które kupiła w Nha Trang, czarne spodnie i sandały. Wykąpała się i nałożyła makijaż.

- Ja tu pędzę, żeby się z tobą spotkać, a ty pluskasz się spokojnie w bąbelkach.

- Mogę ci postawić drinka?

Odwróciłem się, podszedłem do stolika, usiadłem i wypilem piwo.

Susan usiadła naprzeciwko.

- Czy to moje piwo?

- To chyba oczywiste.

Nalała sobie piwa, wzięła kilka orzeszków i rzuciła jednym we mnie. Trafiła mnie w czoło.

Wyprostowała się na krześle, pociągnęła łyk piwa i zapaliła papierosa.

Nic nie mówiła... i nie powie, dopóki się nie uspokoję. Znam kobiety.

- Mogłem wziąć masaż, gdybym wiedział, że chcesz się rozkoszować wolnym czasem - powiedziałem.

Rzuciła we mnie następnym orzeszkiem.

- Mieliśmy się spotkać tutaj, od razu... mniejsza z tym. Gdzie trefny towar?

- Zabezpieczony.

- Gdzie zabezpieczony?

- Pod moim łóżkiem.

- Oszalałaś?

- Nie. I nie jestem też głupia. Wysłałam do ogrodu i zakopałam go w foliowej torebce.

Uspokoilem się i spytałem sarkastycznie:

- Pamiętasz, gdzie zakopałaś?

- Pomarańczowe rajskie ptaki. Zakopałam go, wachając kwiaty.

- W porządku. I nikt cię nie widział?

- Mam nadzieję.

- Wytarłaś odciski palców?

- Tylko moje. Twoje zostawiłam.

Zamówiłem następne piwo. Widziałem, że trzech Amerykanie zerkają na Susan - właściwie gapili się na nią pożądliwie, wymieniając uwagi. Mężczyźni to świnię.

- Jakież wiadomości? - spytała.

- Tak. Od K. Chce, żebym cię zostawił.

- Żadnej. Temat zamknięty. Dostałaś jakąś wiadomość? - Czy to robi teraz jakąkolwiek różnicę?

- Nikt nie wie, w jakim hotelu jestem.

- Założę się, że szybko to wykombinują.

Uśmiechnęła się.

- Hm...? A propos, wiedziałaś, że to jest rok wołu?

- Myślałem, że to rok Sójek z Toronto.

- Mówię o roku astrologicznym. Przestań się ze mnie nabijać.

- Przepraszam. Rok wołu.

- Właśnie. Uważa się, że to będzie rok dobrej fortuny.

- Co to znaczy?

- Szczęśliwy. Sprzyjający. - Dla wszystkich?

- Nie wiem. Przepraszam, że o tym wspomniałam Aleś ty upierdliwy. Nadąsała się, co dało mi chwilę na zastanowienie się. Żona innego Amerykanina. Karl współpracował w tej sprawie z FBI, więc musiał mieć na myśli, że Susan jest w CIA albo wywiadzie Departamentu Stanu. Ludzie z SDI mdleli na widok pistoletu, więc w grę wchodziła CIA. Rzecz jasna, mógł być jeszcze jeden gracz w tej grze, na przykład wywiad wojskowy. Tak czy owak, nie było to jak sypianie z wrogiem, lecz raczej z rywalem w interesach. Bo jeśli nie, to znaczy, że Karl mieszał mi w głowie... i nie byłby to pierwszy raz. Karl mógł się również mylić, i to też nie byłby pierwszy raz. Susan przerwała mi tok myślenia.

- Zarezerwowałam tu stolik na wczesną kolację. Oni podają taki ogromny posiłek z okazji Tet. Potem pospacerujemy po Starym Mieście i popatrzymy, jak świętują... będą tańce smoka, pokazy marionetek, muzyka i podobne atrakcje. A później pójdziemy do katedry na mszę o północy.

Ona musiała być z CIA - kto inny miałby tyle arogancji, żeby planować za mnie mój wieczór?

- Czy ty mnie słuchasz? - spytała Susan.

- Mhm... A może byśmy zjedli tę wczesną kolację i poszli spać...

- Paul, to jest sylwester.

- Nie. Sylwester był miesiąc temu.

- Sylwester tutaj.

- Nie wierzę w niego. Traci się albo zyskuje dzień tylko wtedy, kiedy się przekracza międzynarodową linię podziału czasu. Nie miesiąc.

- Myślę, że powinniśmy pójść do twojego pokoju. Wykąpiesz się, bo najwyraźniej tego nie zrobiłeś, potem położymy się w wygodnym łóżku, a potem ubierzesz się na kolację.

Nie miałem do tej propozycji żadnych zastrzeżeń, więc wstałem i powiedziałem:

- Dobrze. Chodźmy.

- Mogę skończyć piwo?

- Mam mini barek w pokoju. Chodźmy.

- Gorąco ci?

- Tak, chodźmy.

Susan wstała; wyszliśmy do holu, wjechaliśmy windą na piąte piętro i zaprowadziłem ją do mojego apartamentu.

- Ładnie tutaj - powiedziała. - Mnie dali mały pokoik na pierwszym piętrze, z widokiem na ulicę. - Po chwili dodała: - Numer sto sześć.

Podeszła do drzwi balkonowych i wyszła na taras. Wyszedłem za nią.

Rzekę Perfumową spinały dwa mosty łączące Stare i Nowe Miasto. Wzdłuż bliższego mostu ciągnęły się zrujnowane resztki innego mostu, który został zniszczony, prawdopodobnie w sześćdziesiątym ósmym roku.

Po drugiej stronie rzeki rozsiadło się otoczone murem centrum Hue zwane cytadelą, stolica cesarzy. Z tej wysokości ponad murami cytadeli widzieliśmy wnętrze miasta; uderzyło mnie to, że mniej więcej połowa miasta znikła - zamiast niej widać było rozległe puste przestrzenie z zarysami dawnych budynków.

- Widzisz te mury w obrębie cytadeli? - spytała Susan. - To sanktuarium cesarskie; w tych murach znajduje się Zakazane Purpurowe Miasto, gdzie wolno było wchodzić tylko cesarzowi, jego konkubinom i eunuchom.

- Więc mnie nie wolno, ale tobie tak.

- Bardzo zabawne - odparła Susan. - Większość starych budowli została zniszczona w

sześćdziesiątym ósmym roku.

łącznikiem. Miałem nadzieję, że to nie będzie kobieta. - Widzę. - Gdzieś tam, jutro w południe albo później, miałem się spotkać z moim

- Przewodnik powiedział nam, że Amerykanie przez trzydzieści dni bezlitośnie bombardowali miasto i zniszczyli większość zabytków.

Nie miałem ochoty usprawiedliwiać wykorzystania przez nas miazdzącej przewagi ognia, ale powiedziałem:

- Wietnamczycy z północy wzięli miasto zniemacka w wigilię Tet, w czasie zawieszenia broni. Trzeba było trzydziestu dni bombardowania, ostrzału i akcji naziemnych, żeby je odzyskać. To się nazywa wojna.

Susan skinęła głową.

- Ale... szkoda.

- Komuniści chodzili z listami nazwisk i adresów ludzi, których chcieli zlikwidować. Zastrzelili prawie trzy tysiące żołnierzy i cywilów, którzy figurowali na ich listach. Czy twój przewodnik o tym też powiedział?

- Nie.

Spojrzałem na północny zachód.

- Moja kompania piechoty była okopana u podnóża tych wzgórz tam, na horyzoncie. Widzieliśmy bitwę szalejącą w Quang Tri i Hue. Zeszliśmy ze wzgórz i próbowaliśmy odciąć odwrót komunistycznych oddziałów, po tym jak wypuściły z rąk Quang Tri. Później posunęliśmy się dalej na południe, w stronę Hue, i utworzyliśmy blokadę, żeby przechwytywać niedobitki, zanim znikną na wzgórzach.

Susan spojrzała na północną i zachodnią stronę.

- Więc tam właśnie byłeś?

- Tak.

- A bitwa toczyła się tu, w mieście?

- Tak. Po tej stronie rzeki, gdzie teraz jesteśmy, okopali się marines i kontrolowali ten brzeg i Nowe Miasto. - Po chwili dodałem: - Quang Tri leży jakieś sześćdziesiąt kilometrów dokładnie na północ, przy autostradzie numer jeden, którą można stąd zobaczyć.

- Powinieneś pojechać do Quang Tri.

- Myślę, że pojadę. Dotarłem tak daleko.

- Chciałabym z tobą pojechać, jeśli odpowiada ci moje towarzystwo.

Skinąłem głową.

- Odcinek trasy od Hue do Quang Tri był przez francuskich żołnierzy nazywany Ulicą Bez Radości. Ta nazwa się przyjęła i tak właśnie nazywaliśmy tę trasę, chociaż niektórzy chłopcy nazywali ją Aleją Zasadzek albo Diabelski Szlak Numer Jeden.

- Gdzie jest dolina A Shau? - spytała Susan. Wskazałem na zachód.

- Dokładnie za tym pasmem górskim, może siedemdziesiąt kilometrów stąd, blisko granicy z Laosem. To bardzo odosobnione miejsce, raczej zamknięty kanion niż dolina, otoczone górami i spowite chmurami przez większą część roku. Możliwe, że trudno będzie się tam dostać.

- Jestem zwarta i gotowa do akcji.

Spojrzałem na nią.

- A czy ty choć raz taka nie byłaś?

- Byłam nudna i rozpieszczona. Wpadałam w histerię, kiedy pokojówka się guzdrała.

Popatrzyłem ostami raz na miasto Hue, odwróciłem się i zszedłem z tarasu. Udałem się do łazienki, ogoliłem się i wykapałem. Kochaliśmy się z Susan w wygodnym łóżku, a potem usnęliśmy.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-ePub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Obudziliśmy się o szóstej, ubraliśmy i zeszli do hotelowej jadalni, gdzie podawano sylwestrową kolację w stylu wolny bufet

Wydawało się, że wszystkie stoliki są zajęte. Usiedliśmy przy małym stoliku dla dwóch osób przy nadrzecznym ogrodzie, skąd, jak powiedziała Susan, nie było daleko do miejsca, gdzie zakopała pistolet.

Wszyscy goście byli Europejczykami lub Amerykanami; zauważyłem trzech facetów, których widziałem wcześniej. Siedzieli przy stoliku z grupą kobiet - sądząc po zachowaniu i gestykulacji, nie były ich żonami ani dziewczynami. Mężczyźni uprawiali swoją grę, a kobiety były albo oczarowane, albo udawały.

Zespół grał muzykę kameralną i jadalnia zamieniła się w morze uśmiechniętych twarzy i błyszczącego kryształu, urozmaicone postaciami uwijających się kelnerów. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku nie pomyślałbym, że to jest możliwe.

Jeden z bufetowych stolików ugiął się od wietnamskich potraw z napisami w kilku językach, tak aby każdy mógł większość pominąć. Na innych stolikach znalazły się potrawy niby-wietnamskie, chińskie i zachodnie. Opychaliśmy się z Susan jak prosiaki, używając pałeczek, noży, widelców i palców.

Wyszliśmy z hotelu o dziewiątej i przeszliśmy na drugi brzeg Rzeki Perfumowej po moście Trang Tien.

Noc była chłodna, a niebo się przetało. Księżyc wyglądał teraz jak cienki plasterek, który miał niebawem zniknąć, gwiazdy zaś błyszczały jasno. Tysiące ludzi spacerowało po ocienionym drzewami nabrzeżu, między rzeką i wysokimi murami cytadeli. Miasto udekorowane było czerwonymi flagami, a lampy i chińskie latarnie podkreślały kontury budynków.

Największy ruch skupiał się wokół historycznej baszty flagowej naprzeciwko głównej bramy. Siedziały tu lub spacerowały całe rodziny, pozdrawiając się i życząc sobie nawzajem szczęśliwego Nowego Roku.

- Prywatnym osobom nie wolno puszczać fajerwerków - wyjaśniła Susan - ale miasto wystrzeli pewnie parę rac, tak jak w Sajgonie. Kiedy przyjechałam do Sajgonu trzy lata temu, fajerwerki były jeszcze legalne i w wigilię Tet miasto huczało jak w czasie wojny.

- Znam ten odgłos.

Naprzeciwko baszty flagowej masywna brama cytadeli była otwarta, a za nią zaczynał się ozdobny most prowadzący do pałacu cesarskiego. Pałac był wielki, zbudowany z kamienia i czerwonego lakierowanego drewna, i miał tradycyjny dach z dachówek. Był cały oświetlony reflektorami i udekorowany na święta. Zastanawiałem się, jak ta budowla uniknęła bombardowania.

- Ludzie i organizacje z całego świata przekazywali datki na odbudowę pałacu w oryginalnym stylu - odezwała się Susan.

- Dobrze. Wejźmy do środka. Ja też dorzucę piątaka.

- W nocy nie można wejść. Widzisz tych żołnierzy? Zawracają ludzi. Musi się tam odbywać jakaś ceremonia rządowa lub coś w tym rodzaju.

- Dam im dziesiątaka.

- Zapomnij. I tak masz dość kłopotów.

- *Moi?*

Kontynuowaliśmy więc przechadzkę wzdłuż nabrzeża, a potem weszliśmy przez niniejszą bramę do miasta.

Wszędzie było mnóstwo ludzi; widzieliśmy taniec smoka i kilka głupawych spektakli lalkowych w zaimprovizowanych teatrach. Zespoły grały tradycyjną muzykę na instrumentach strunowych, bardzo jękliwą i drażniącą.

Większość kawiarni i restauracji była zamknięta, lecz trafiliśmy na należącą do pary katolików kafejkę, która była otwarta i gotowa na przyjęcie buddyjskich gości.

W kafejce roiło się od Wietnamczyków i cudzoziemców z Zachodu, ale znaleźliśmy stolik i zamówiliśmy kawę.

- Ładnie tutaj - powiedziałem. - Cieszę się, że tu jestem.

- Ja też.

- Opuściłaś prywatkę u Vincenta w Sajgonie.

- Nie ma ani jednego miejsca na świecie, w którym chciałabym być, zamiast siedzieć tutaj z tobą.

- Naprawdę tak myślisz?

Wbiła we mnie wzrok. Jej oczy mówiły: „Jestem na ciebie zła. Nie powinieneś był zadawać tego pytania”. Znam to spojrzenie.

- Ja czuję to samo - powiedziałem.

Skończyliśmy kawę. Nie było taksówek ani riksz, więc przeszliśmy na drugą stronę

Rzeki Perfumowej mostem Phu Xuan do Nowego Miasta, gdzie, jak oznajmiła Susan, znajdowała się katedra.

Z mostu widziałem duży kompleks sportowy wzdłuż brzegu rzeki, z kortami tenisowymi, basenem i boiskami.

- To Cercie Sportif - wyjaśniła Susan. - Stary francuski klub sportowy. Jest taki w

Sajgonie i w wielu innych większych miastach. Kiedyś był tylko dla białych. Teraz głównie dla członków partii.

- Komuchy pogrywają w tenisa?

- Nie wiem. Chyba tak. Czemu nie?

- Próbuję sobie wyobrazić pułkownika Manga w białej koszulce i szortach.

Roześmiała się.

- Kiedy nikt nie patrzy, świny chodzą na tylnych nogach - powiedziała.

- Też o tym słyszałem.

Byliśmy na środku mostu, gdy na niebie rozblęły pomarańczowe światła, a potem nastąpiła seria eksplozji; wzdrygnąłem się, dotarło jednak do mnie, że to fajerwerki. Serce skakało mi jak oszalałe;

wziąłem głęboki oddech.

Susan spojrzała na mnie.

Poczułem się trochę głupio.

- Zdawało mi się, że to Charles wrócił - wyjaśniłem.

- Właśnie dlatego wspomniałam wcześniej o fajerwerkach - powiedziała Susan.

Kiedy zeszliśmy z mostu, ruszyłem na drugą stronę ulicy, lecz Susan mnie powstrzymała.

- Widzisz tę budkę na rogu? To policyjny punkt kontrolny. Unikaj go. Oni czasem naprzykrzają się obcokrajowcom, o czym się przekonałam, będąc tutaj.

- Policja nie naprzykrzała mi się od czwartku wieczór. Czuję się zaniedbywany.

Chodźmy się z nimi pokłócić.

- Proszę cię.

Minęliśmy policyjną budkę i przeszliśmy przez ulicę pośrodku przecznicy.

- Może darujemy sobie mszę - zaproponowałem.

- Powinieneś paść na kolana i podziękować Bogu, że jesteś tu w jednym kawałku - odparła Susan.

- Słusznie. Tak właśnie zrobię.

- Przy okazji pomódl się za szczęśliwy powrót do domu.

Do katedry był spory kawałek; ulica zaczynała pustoszeć.

- Wszyscy są już w domach i jedzą tradycyjny posiłek - wyjaśniła Susan.

- Dlaczego buddyści nie chodzą do pagód na mszę o północy?

- Nie sędzę, żeby to się nazywało mszą. Oni się modlą, kiedy mają na to ochotę.

Dotarliśmy do katedry Notre Danie mniej więcej kwadrans przed północą; ludzie ciągle przybywali, głównie pieszo. Większość stanowili Wietnamczycy, lecz była też grupa okrągłookich. gotyckimi i wietnamskimi elementami. Uznałem, że jeśli istniały jakieś stare kościoły, zostały Katedra była imponująca, ale nie stara. W gruncie rzeczy był dość nowoczesna, z zniszczone.

Weszliśmy do środka i znaleźliśmy miejsca w ławce przy końcu nawy.

- Jeśli to buddyjskie święto, to dlaczego odbywa się katolicka msza? - spytałem Susan.

- Nie wiem. Ty jesteś katolikiem. Wyślij e-mail do papieża.

Zaczęła się msza, cała po wietnamsku, łącznie z hymnami. To było zabawne - miało się wrażenie, że ją dubbingowano. Opuściłem komunię, tak samo jak w Notre Dame w Sajgonie, ale większość zgromadzonych, łącznie z Susan, podeszła do ołtarza. Nie było znaku pokoju, tak jak w katolickich kościołach w Stanach, i to chyba dobrze, bo tutaj wierni pewnie by się sobie kłaniali, zamiast podawać rękę, i wszyscy stukaliby się głowami.

Zauważyłem, że mieszkańcy Hue są lepiej ubrani niż Wietnamczycy na południe od przełęczy Hai Van; przypuszczalnie miało to związek z chłodniejszą pogodą i może z oglądą tego miasta.

Moja przygoda ze zbliżeniem kultur dobiegła końca; wyszliśmy razem ze wszystkimi na otwarty

plac przed katedrą.

Ludzie stali i rozmawiali; Susan wdała się w pogawędkę z wietnamską rodziną - nie pytajcie, jak to się stało. Byli pod wielkim wrażeniem jej płynnej znajomości wietnamskiego i ograniczonej francuskiego, którym też się posługiwali.

Krótko mówiąc, wyszło na to, że udaliśmy się na kolację z rodziną Phamów. Kiedy tak szliśmy do domu z całym klanem, spytałem Susan:

- Nie powiedziałaś im, że mam zły charakter?
- Na szczęście nie pytali ani o ciebie, ani o mnie.

Po drodze Susan urządziła mi skrócony kurs wietnamskich manier przy stole.

- Nie zostawiaj pałeczek sterczących w misce ryżu - pouczała mnie. - To znak śmierci, tak jak laseczki kadzidełek na cmentarzach i przed rodzinnymi ołtarzami. Potrawy podawane są na tackach. Musisz spróbować wszystkiego, co ci podadzą. Jeśli opróżnisz kieliszek wina lub piwa, automatycznie go napełniają. Zostaw pół kieliszka, jeśli nie chcesz pić więcej.

- To tak jak w południowym Bostonie.

- Słuchaj mnie. Wietnamczycy nie bekają tak jak Chińczycy, żeby pokazać, że smakował im posiłek. Uważają to za niegrzeczne, tak samo jak my.

- Ja nie uważam bekania za niegrzeczne. Ale nie należałem do Junior League.

Susan westchnęła zdesperowana.

- No dobrze, kiedy się już najesz, trzeba wsadzić sobie pałeczki do nosa.

- Jesteś tego pewna?

- Zaufaj mi.

Rodzina Phamów mieszkała w ładnym, prywatnym domu, niezbyt daleko od katedry; najwyraźniej mieli trochę dongów.

Wciąż wychodził mi uszami ryż z posiłku w hotelu, lecz to nie była wymówka, żeby nie jeść.

Zostałem wciśnięty przy długim stole między stuletnią babcią i jakieś smarkate dziecko. Jednak naprzeciwko mnie siedziała urocza *co-dep*, która mówiła trochę po angielsku, ale nie dość, żebym mógł jej pokazać, jaki jestem czarujący. Mogła do kogoś należeć, lecz bez przerwy się uśmiechała i chichotała, podając mi tace.

Każdy znał dziesięć słów po angielsku, a że nie były to te same słowa, więc rozmowa się toczyła. Poza tym większość z nich znała trochę francuski, a mój mocno ograniczony francuski jako tako mi się przypominał. Wietnamskie zwroty, które dobrze znałem, nie były -

jak już wspominałem - odpowiednie na rodzinną kolację. Zastanawiałem się jednak, czy nie poprosić mojej *co-dep* o pokazanie dowodu tożsamości.

Susan siedziała przy drugim końcu stołu i dobrze się bawiła.

handlowe tego kraju to katastrofa. Wietnamczycy robili przyjemne wrażenie w rodzinnym otoczeniu, lecz życie publiczne i

Mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni, siedzący obok Susan, powiedział przyzwyczajenie po angielsku:

- Panie Paul, panna Susan mówi mi, że pan tu być w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku.

- Quang Tri.

- Tak? Pan walczyć z komunistami.

- Po to tutaj byłem.

- Pan zabijać?

- Mm... Raczej tak.

- Dobrze. - Wstał i powiedział coś do zgromadzonych, wznosił w moją stronę kieliszek i rzekł po angielsku: - Zdrowie tego dzielnego żołnierza, który zabijać... - Zapytał o coś Susan; a potem dokończył: - ...zabijać antychrystów.

Wszyscy wzniesli toast; poczułem, że muszę wstać. Miałem jednoznaczne wrażenie, że jest to antykomunistyczne przyjęcie, i nie zdziwiłbym się wcale, gdyby drzwi się nagle otworzyły, stanęła w nich banda drabów z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i wszystkich aresztowała. Karl nie byłby zachwycony, że tu jestem. Podniosłem kieliszek i powiedziałem:

- Na cześć dzielnych katolików z Wietnamu. Dobry czerwony to martwy czerwony.

Gospodarz stracił na chwilę rezon, ale Susan przetłumaczyła i wszyscy zaczęli bić brawo.

Spojrzałem na Susan i zobaczyłem, że przewraca oczami. Usiadłem i czekałem, kiedy ktoś kopniakiem otworzy drzwi.

Około drugiej w nocy zacząłem się zastanawiać, czy nie wsadzić sobie pałeczek do nosa, ale wyszliśmy o trzeciej; ulice opustoszały. Byłem też ciut znieczulony.

- Czy to nie było ciekawe doświadczenie? - spytała Susan.

- Świetnie się z tobą bawię.- Było - beknąłem.

Beknąłem jeszcze raz.

- To dobrze.

- To byli tacy mili ludzie.

- Prawda. Trochę krwiożerczy, ale mili.

- Pan Uyen, ten, który siedział koło mnie i wznosił toast na twoją cześć, powiedział mi, że wiele osób z jego rodziny zostało zamordowanych przez komunistów w sześćdziesiątym ósmym roku. To dlatego z taką nienawiścią odnoszą się do reżimu.

- Wszyscy tutaj mają w sobie mnóstwo stłumionej złości i nienawiści w wyniku tego, co się stało. Pułkownik Mang, pan Uyen, wszyscy. Z rozkoszą skoczyliby sobie znów do gardeł.

Susan nie skomentowała tego.

- Tak czy siak, Phamowie powinni uważać. Z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego nie ma żartów.

- Jestem pewna, że są ostrożni.

- Nawet nas nie znali.

- Jesteśmy Amerykanami i katolikami. Jedno z nas jest katolikiem.

- Racja. - To ciekawe, że Wietnamczycy zakładają, iż wszyscy Amerykanie to antykomuniści. Pewnie nie poznali żadnego profesora uniwersytetu z Ivy League. - Myślę, że

nikt nas nie śledził w drodze z katedry i że teraz też nikt za nami nie idzie. Ale nie zrobiłaś rodzinie Phamów przysługi, wprasząc się na kolację.

I vice versa, oni też są pewnie na paru listach osób obserwowanych, więc sobie też nie zrobiliśmy przysługi, idąc tam. Susan milczała przez chwilę. - Słusznie - odparła. - Ale myślę, że dzisiaj w nocy nawet policjanci świętują.

- Mam nadzieję.

Szliśmy cichymi ulicami.

- Miałam wrażenie, że przypadło ci do gustu towarzystwo tej młodej damy, która siedziała naprzeciwko.

- Jakiej młodej damy?

- Tej, z którą rozmawiałeś cały wieczór.

- A, tej. Ona jest zakonnica.

- Nie sędzę.

- Susan, jestem zmęczony, boli mnie głowa, zgubiliśmy się.

- Nie zgubiliśmy się. Hotel jest tam.

Szliśmy dalej, skręciliśmy za rogiem i rzeczywiście zobaczyliśmy hotel. Nagle Susan stanęła.

- Paul.

- Co?

- Czy nie miałaś się dzisiaj zgłosić na policji imigracyjnej?

- Dzisiaj byłem zajęty. Zrobię to jutro. - Ruszyliśmy dalej.

- Powinieneś był tam pójść dzisiaj. Wiedzą, że tu jesteś, bo z hotelu zawiadomili ich, że się zameldowałeś.

- A więc wiedzą, że tu jestem. Pieprzyć ich. - A potem dodałem: - Pułkownik Mang trzyma mnie na długiej smyczy. Chce się dowiedzieć, co knuję.

- Skąd wiesz?

- Wiem.

- Więc co zrobisz jutro, kiedy będziesz musiał pójść na schadzki? Jeśli cię śledzą?

- Zawsze planuje się schadzki tak, jakby się było śledzonym. Właśnie dlatego nazywa się

je potajemnymi. Muszę cię proste, żebyś jutro trzymała się z dala od cytadeli.

- Dobrze...

- Chyba że jesteś moją łączniczką.

- To byłoby ciekawe.

Dotarliśmy do hotelu.

- Okrążmy go, pokażesz mi, gdzie to zakopałaś,

- Jutro.

- Teraz.

- Dobrze...

Weszliśmy na ścieżkę do ogrodu na tyłach hotelu. Teren obniżał się w stronę rzeki; tarasowy ogród był oświetlony małymi lampami ustawionymi bezpośrednio na ziemi, bez słupków.

Szliśmy ścieżką ku rzece. Susan skinęła głową w prawo.

- Widzisz je? Pomarańczowe rajskie ptaki.

- Czy to ten kwiat, który zjada muchy?

- Nie, Paul. Widzisz je, czy nie?

- Widzę. To gdzieś tam?

- Tak. Stopa w prawo od środkowej lampy. Ziemia jest bardzo miękka. Można wykopać ręką.

- Dobra. Zabiorę go, zanim wyjedziemy.

- Ja go zabiorę.

Nie odpowiedziałem. Staliśmy w ogrodzie i patrzyliśmy na rzekę. O tej godzinie byliśmy tam sami. Po chwili skierowaliśmy się do frontowych drzwi hotelu.

W holu sprawdziliśmy, czy są wiadomości. Były dwie dla mnie; pokwitowałem odbiór. się na fotel. Wjechaliśmy windą na piąte piętro i poszliśmy do mojego apartamentu, gdzie osunąłem

- Boże, starzeję się.

- Jesteś w świetnej formie. Otwórz koperty.

Otworzyłem najpierw małą i przeczytałem na głos; „Wy się zgłosić na policję imigracyjną jutro rano”.

- Smycz nie jest aż taka długa - zauważyła Susan.

- Dość długa. Gdyby byli naprawdę wkurzeni, już by tu siedzieli.

- Jest wigilia Nowego Roku. Jaka jest druga wiadomość?

Otworzyłem dużą kopertę i wyjąłem faks. Był od Karla. Przeczytałem po cichu: Drogi Paulu.

Może moja ostatnia wiadomość nie była dość jasna. Naprawdę powinieneś skończyć ten romans. Powiedz mi, że to zrobiłeś, proszę. Podpisano: Całuję, Kay.

Najprzyjemniejsze w tym, że się nie jest w armii, wydaje się to, że nie musisz wykonywać bezpośredniego rozkazu kogoś, kto w niej jest.

Zauważyłem postscriptum. Karl napisał: C. śle pozdrowienia. Zobaczy się z Tobą w Honolulu.

Kari mógł mi wstawiać kit, żeby utrzymać mnie w szeregu. W każdym razie sytuacja z Susan mocno się skomplikowała i nie wiedziałem, co czuję w kontekście spotkania się z Cynthią w Honolulu.

Susan popatrzyła na mnie.

- Od kogo ta wiadomość? - spytała.

- Kay.

- Tak. - Wszystko dobrze?

- Ale ty nie wyglądasz dobrze. Mogę zobaczyć faks?

- Nie.

Wydawała się dotknięta, urażona i wściekła. Wstałem, ruszyłem w stronę tarasu, a potem się odwróciłem i podałem jej kartkę.

- Panna Kay - powiedziałem. - Ten sam facet.

Susan wzięła faks, przeczytała go i oddała mi.

- Myślę, że będę dzisiaj spać u siebie - powiedziała, podnosząc się z fotela.

- Chyba powinnaś.

Ja wyszedłem na taras i spojrzałem na miasto na drugim brzegu rzeki. Świąteczne światła Odwróciła się, podeszła do drzwi, otworzyła je bez wahania i wyszła. wciąż się paliły, w większości czerwone, jak należy oczekiwać w czerwonym kraju.

Pomyślałem o rodzinie Phamów. Nad tym krajem wisiała szara chmura, utworzona z dymu i ognia wojny, chmura, z której padał deszcz nienawiści, żalu i nieufności.

Jakby tego było mało, ta chmura - albo, jak mawiał Karl, cień - wciąż jeszcze kładł się na moim kraju.

Doprawdy, Wietnam to była najgorsza rzecz, jaka przytrafiła się Ameryce w tym stuleciu. I prawdopodobnie vice versa.

Zadzwoił telefon; podszedłem i odebrałem.

- Halo.

- Chciałam tylko życzyć ci powodzenia jutro.

- Dziękuję.

- Gdyby coś się stało i zostalibyśmy rozdzieleni...

- Susan, telefony nie są bezpieczne. Wiem, co chcesz powiedzieć, właśnie miałem do ciebie zadzwonić.

- Chcesz, żebym przyszła do twojego pokoju?
- Nie. Oboje jesteśmy zmęczeni i będziemy się kłócić.
- W porządku. Gdzie i kiedy się jutro spotkamy?
- O szóstej tutaj, w holu. Postawię ci drinka. - Dobrze... A jeśli będziesz się spóźniał?
- Skontaktuj się z Kay. Masz numer?
- Pamiętam go.
- Podaj jej wszystkie szczegóły i stój przy faksie albo spróbuj go wysłać z poczty głównej.
- Wiem.
- Wiem, że wiesz. Jesteś profesjonalistką.
- Paul...?
- Tak?
- Nie powinnam była się złościć na to postscriptum. Przepraszam.
- Zapomnij o tym.
- Jest tylko to, co jest. Tu i teraz. Powiedziałam to i naprawdę tak myślę. Nie skomentowałem tego.
- To był przyjemny dzień - zakończyłem rozmowę. - Szczęśliwego Nowego Roku.
- Dla mnie też był przyjemny. Nawzajem. Odłożyliśmy słuchawki.

A więc mam kłopot z kobietą we wrogim kraju na drugiej półkuli, ktoś próbuje mnie aresztować lub zabić, jest czwarta rano, muszę iść rano na policję, a potem na potencjalnie niebezpieczne spotkanie w południe. Lecz mimo to, nie wiedzieć czemu, żadna z tych rzeczy mnie nie martwiła. Szczerze powiedziawszy, przeprawa na autostradzie numer jeden, łącznie z zabiciem dwóch policjantów, reminiscencje z przeszłości i cała reszta... nic nie budziło mojego niepokoju. Wiedziałem, czym jest to uczucie, rozpoznałem je: tryb przetrwania. Życie przestało być skomplikowane. Wszystko sprowadzało się do powrotu do domu.

Rozdział 26

To nie był najgorszy noworoczny kac w moim życiu, ale być może nigdy jeszcze nie zbudziłem się tak wcześnie, żeby go w pełni docenić.

Wziąłem prysznic i odstrzeliłem się na spotkanie w granatowy blezer, białą zapinaną koszulę, spodnie khaki, mokasyny i skarpetki. Wyjąłem z minibarku sok pomarańczowy i połknąłem dwie aspiryny razem z tabletką przeciw malarii. Dobrze, że w Waszyngtonie nie dali mi na drogę pigułki z trucizną, bo czułem się wystarczająco parszywie, żeby ją połknąć.

Zszedłem na dół, ale nie zjadłem śniadania; pieszo pokonałem kilka przecznic do ulicy Ben Nghe, gdzie mieściła się komenda policji imigracyjnej.

Był chłodny, wilgotny poranek, chmury wisiały wysoko, a ulice były opustoszałe i zasłane śmieciem po wczorajszej nocy.

Pomyślałem, że może powinienem zadzwonić do Susan, ale czasem dobrze się na trochę rozdzielić. Z Cynthią częściej byliśmy rozdzieleni niż razem i było świetnie. No, może nie świetnie, ale całkiem znośnie.

Dotarłem do siedziby policji, budynku z wielkiej płyty, i wszedłem do środka. W małym holu siedział za biurkiem facet w mundurze. - Czego chcecie? - spytał po angielsku. Nie odpowiedziałem, żeby nie skołować idioty. Podałem mu kopię notki pułkownika Manga, którą przeczytał. Wstał i zniknął w korytarzu. Zjawił się po minucie.

- Pokój - powiedział, podnosząc przy tym dwa palce. Odwzajemniłem znak pokoju i wszedłem do sali numer dwa, małego pomieszczenia, którego drzwi były otwarte. Za

biurkiem siedział umundurowany mężczyzna mniej więcej w moim wieku, wyglądający na bardziej skacowanego niż ja.

Nie zaprosił mnie, żebym usiadł, tylko przez dłuższą chwilę mi się przyglądał. Zaistniało między nami coś nieprzyjemnego. Na biurku leżała jego broń, chicom kaliber dziewięć milimetrów, i kabura. W Ameryce to się nie zdarza, by na posterunku policji znaleźć się tak blisko broni. Tutaj policjanci byli niechlujni i arogancy. To mnie obrażało; wkurzyło mnie też to, że muszę stać. Gliniarz spojrział na notkę, którą trzymał w ręku.

- Kiedy wy przyjechać Hue? - spytał. Miałem dość tych bzdetów, więc odparłem:

- W hotelu Century Riverside powiedzieli wam, kiedy przyjechałem. I wiecie, że spędzę tam trzy doby. Jeszcze jakieś pytania?

Policjantowi nie spodobała się moja odpowiedź i jej ton. Prawie zaczął krzyczeć i jego głos stał się piskliwy.

- Dlaczego wy się nie zgłosić wczoraj?

- Bo mi się nie chciało.

To też nie przypadło mu do gustu. On pracuje w Nowy Rok, demony wina ryżowego hulają mu w głowie, a tu jakiś okrągłooki próbuje się stawiać.

Wlepialiśmy w siebie gały i, jak powiedziałem, unosiło się między nami coś nieprzyjemnego. Nie była to tylko irytacja wywołana obustronnym kacem.

- Wy tu żołnierz? - spytał gliniarz.

- Zgadza się. A wy?

- Ja też.

Dalej gapiliśmy się na siebie; zauważyłem poszarpaną bliznę biegnącą zygzakiem od połowy ucha z boku szyi i znikającą pod otwartym kołnierzykiem. Połowa jego zębów była albo wybita, albo połamana, a reszta brązowa.

- Kiedy wy tutaj? - spytał.

- Byłem tu w sześćdziesiątym ósmym roku w Pierwszej Dywizji Kawalerii, brałem udział w walkach w Bong Son, An Khe, Quang Tri, Khe Sanh, dolinie A Shau i w całej prowincji Quang Tri. Walczyłem z armią Wietnamu Północnego i Wietkongiem, wy zabiliście wielu moich kolegów, a my zabiliśmy wielu waszych, Zabiliśmy razem zbyt wielu cywilów, między innymi trzy tysiące

mężczyzn i kobiet, których wymordowaliście tu, w Hue. Jeszcze jakieś pytania? - Wstał i wlepił we mnie wzrok; dostrzegłem wściekłość w jego oczach wcześniej, niż wykrzywiła mu się twarz, Zanim zdążył coś wykrztusić, powiedziałem: - Jeszcze jakieś pytania? Bo jeśli nie, to wychodzę.

- Wy zostać! - wrzasnął na całe gardło. - Wy tu zostać!

Przyciągnąłem sobie krzesło, skrzyżowałem nogi i spojrzałem na zegarek.

Wyglądał na zbitego z pantałyku, ale potem dotarło do niego, że powinien usiąść, i tak zrobił.

Odchrząknął i przysunął sobie kartkę papieru. Pstryknął długopisem, prawie się opanował i spytał:

- Jak wy przyjechać do Hue?

- Autobus.

Zapisał to.

- Kiedy wy wyjechać z Nha Trang?

- W piątek po południu.

- Dojechać do Hue która godzina?

Zgadując, odpowiedziałem:

- Dziesiąta lub jedenasta wieczorem w piątek.

- Gdzie wy spędzić piątek noc?

- Minimotel.

- Jak się nazywać minimotel?

- Nie wiem.

- Czemu nie wiedzieć?

związek erotyczny, ale w domu nie korzystaj z tej wymówki. Kiedy musisz wytłumaczyć się policji z luk czasowych, zawsze podawaj jako przyczynę

- Poznałem panią w autobusie. Ona mnie zabrać do mini-hotelu. *Biet?*

Gliniarz zastanowił się nad tym i powtórzył pytanie:

- Jak się nazywać minimotel?

- Gospoda Pod Waleniem. Minimotel Ciupci-Dupci. Skąd mam wiedzieć, jak się nazywał?

Policjant patrzył na mnie długo.

- Gdzie wyjechać z Hue?

- Nie wiem.

- Jak wyjechać?

- Nie wiem.

Stuknął palcami w biurko koło kabury.

- Paszport i wiza.

Rzuciłem na biurko fotokopie.

Potrząsnął głową.

- Potrzebować paszport i wiza.

- W hotelu.

- Wy przynieść.

- Nie.

Oczy policjanta się zwęziły.

- Wy przynieść!

- Idź do diabła. - Wstałem i wyszedłem na korytarz. Wybiegł za mną i złapał mnie za ramię. Odepchnąłem jego rękę i staliśmy tak naprzeciwko siebie w korytku.

Patrzyliśmy sobie w oczy i myślę, że obaj widzieliśmy to samo: bezdenną otchłań czystej nienawiści.

Byłem tak blisko tylko z trzema nieprzyjacielskimi żołnierzami i u dwóch z nich widziałem i czułem strach. W oczach trzeciego jednak zobaczyłem to spojrzenie, w którym nie było bojowego zacięcia, lecz czysta nienawiść wyryta w każdym atomie jego istoty, zzerająca mu serce i duszę.

Przez sekundę, która ciągnęła się jak wieczność, ponownie byłem w dolinie A Shau, tamten mężczyzna patrzył mi znów w oczy, a ja patrzyłem w jego oczy, i obaj pałaliśmy chęcią zabicia drugiego.

Wróciłem do chwili obecnej i spróbowałem odzyskać poczucie rzeczywistości, ale naprawdę chciałem zabić tego człowieka gołymi rękoma, rozwalić jego twarz na miazgę, wyrwać mu ręce ze stawów, zmiażdżyć jego jądra, zgnieść tchawicę i patrzeć, jak się dusi.

On czuł to wszystko, oczywiście, i sam też snuł mordercze fantazje, w których ważną rolę odgrywał pewnie zębaty nóż.

To jednak nie było pole bitwy, obaj mieliśmy inne rozkazy i niechętnie wróciliśmy z najciemniejszych zakątków naszych serc.

Czułem się wyczerpany, jak gdybym naprawdę walczył, i policjant wyglądał podobnie.

Prawie jednocześnie obaj skinęliśmy głową na znak porozumienia, odwróciliśmy się i poszli każdy w swoją stronę.

Na ulicy stanąłem i wziąłem głęboki oddech. Starąłem się oczyścić głowę ze złych myśli, ale coś prawie nieodparcie pchało mnie, żeby wbiec tam z powrotem i zrobić z tego sukinsyna krwawą papkę. Niemal czułem, jak jego ciało pęka pod moimi kostkami.

Stawiałem jedną nogę za drugą, aż znalazłem się spory kawałek od komendy policji.

Szedłem dłuższą chwilę bez celu, starając się spalić adrenalinę. Złapałem się na tym, że kopię puste butelki i uderzam pięścią w słupki znaków drogowych. To nie było dobre, lecz nieuniknione... i może w gruncie rzeczy dobre. Niestety, nie miało w sobie nic z katharsis - wprost przeciwnie.

Idąc, ocierałem dłońmi pot z czoła. Przestałem panować nad emocjami, myślałem. Przestałem panować nad nimi i nawet nie zauważyłem wcześniej, co się kroi.

Było już około dziewiątej, w Nowym Mieście zaczynał się ruch. Szedłem w stronę Rzeki Perfumowej ulicą Hung Vuong, która zaprowadziła mnie do mostu Trang Tien. Na rzece koło mostu była pływająca restauracja, którą zauważyłem wczoraj w nocy. Przy kawiarnianych stolikach na pokładzie siedziało parę osób, więc wszedłem po trapie do lokalu; przywitał mnie młody człowiek który wyglądał, jakby nie zdążył położyć się spać.

Zaprowadził mnie do stolika pod gołym niebem; zamówiłem kawę z podwójnym koniakiem, co mu się spodobało, a mnie jeszcze bardziej.

Pokład był udekorowany; walały się po nim papierowe kotyliony, butelki od szampana, a nawet damski pantofel. Widać nie wszyscy siedzieli o północy wokół rodzinnego stołu albo przed domowym ołtarzem.

Zjawiała się kawa z koniakiem; wlałem sobie połowę do gardła. W moim żołądku buzowały: żółć i kwas, ogień i siarka, a teraz do tej wybuchowej mieszanki doszły jeszcze kawa i koniak.

Siedziałem na łagodnie kołyszącym się pokładzie wodnej restauracji i przez spowitą we mgle rzekę patrzyłem na szare, zadumane mury cytadeli.

Naprawdę nie chciałem się zagłębiać w to, co się stało na komendzie policji - wiedziałem, co się stało i dlaczego, wiedziałem też, że może stać się znowu w każdym miejscu i czasie.

Wypiłem kawę z koniakiem i zamówiłem drugą. Młody człowiek postawił butelkę na stole, rozpoznając, zdaje się, faceta, który potrzebuje paru drinków.

Po drugiej kawie z koniakiem poczułem się nieco lepiej i przypomniałem sobie o zadaniu. Mój problem polegał w tej chwili na strąśnięciu ewentualnego ogona i spotkaniu się z kimś po drugiej stronie rzeki w południe, o drugiej albo o czwartej. A gdyby żadna z tych schadzek nie doszła do skutku, miałem czekać na wiadomość w hotelu i być przygotowanym na natychmiastowy wyjazd po otrzymaniu sygnału.

Jeśli jednak uda mi się spotkać z łącznikiem, dowiem się, dokąd mam pojechać.

Każdy facet czy kobieta wykonujący niebezpieczną misję pragnie w sekrecie, żeby wszystko rozeszło się po kościach. W głębi trzewi chcesz wiedzieć, że wyruszysz, ale nie będziesz rozczarowany, kiedy usłyszysz: „Misja odwołana”.

Poznałem to uczucie, kiedy ruszyliśmy ze wzgórz na Quang Tri z rozkazem odbicia miasta komunistom. Zanim dotarliśmy na miejsce, Wietnamczycy z południa odwalili brudną robotę i wszyscy czuliśmy cichą ulgę, ale na zewnątrz wyrażaliśmy ogromne rozczarowanie, że nie było nam dane wziąć udziału w akcji. Nikt łącznie z nami, nie wierzył w ani jedno słowo z tych gadek. Ale na tym właśnie polega pozowanie na macho.

Potem, pod koniec marca, ziściło się nasze pragnienie wzięcia udziału w akcji. Powiedziano nam, że jedziemy do Khe Sann, żeby stanąć naprzeciwko dwudziestu tysięcy dobrze uzbrojonych i okopanych żołnierzy Wietnamskiej Armii Ludowej, którzy otaczali marines w bazie Khe Sanh od stycznia. To nie jest wiadomość, która może rozjaśnić dzień.

Chyba nigdy nie zapomnę widoku i odgłosu setek helikopterów zabierających na pokłady tysiące piechurów i spadających z powietrza na wzgórza wokół Khe Sanh. Jeśli był kiedyś na tej ziemi apokaliptyczny widok, poza wybuchem bomby atomowej, to stanowił go właśnie ten desant: myśliwce bombardujące zrzucające setki tysięcznych bomb, od których trzęsły się niebo i

ziemia, myśliwce spuszczone kanistry z napalmem, płonąca ziemia, rzeki, strumienie i jeziora, cafe lasy w płomieniach, ogromne pola wysokiej trawy i bambusów, a

przez cały czas śmigłowce wystrzelują w to piekło rakiety i pluja ogniem z karabinów maszynowych, pociski artyleryjskie padają jak deszcz, silne ładunki wybuchowe i płonący biały fosfor zamieniają ciemną ziemię w setki małych wulkanów. Niebo czarne od dymu, ziemia czerwona od ognia, a cienka warstwa pomiędzy nimi to strefa śmierci, drgająca od czerwonych i zielonych pocisków smugowych, gorących, ostrych odłamków i schodzących gwałtownie w dół helikopterów. Czas apokalipsy.

Pamiętam, jak nasz śmigłowiec dotknął na chwilę ziemi, by zaraz się wzbić; stałem na płozie gotowy do skoku, a facet stojący obok przytknął mi wargi do ucha i spytał, przekrzykując zgiełk: „Hej, Brenner, myślisz, że to sygnał do ataku?”.

Roześmialiśmy się, jakby na potwierdzenie tego o czym my i wszyscy inni myśleliśmy przed rozpoczęciem akcji; w tamtej chwili poczuliśmy więź z każdym żołnierzem z przeszłości który czekał na sygnał rogu, surm bojowych, gwizdków, czerwoną racę czy cokolwiek innego, co oznaczało: Naprzód.

Naprzód. Nie jesteś już człowiekiem, nie masz matki, żony, nikogo na kim ci zależy... oprócz tego, który stoi obok ciebie. Naprzód. To jest ta chwila, której bałeś się, od kiedy sięgasz pamięcią, to jest ten lęk, który przychodzi do ciebie w nocy, zanim uśniesz i koszmar, który budzi cię ze snu. To jest to - tutaj, teraz, naprawdę. Naprzód. Stań z nimi oko w oko.

Stałem z czoła lepki pot i wysuszyłem dłonie o spodnie.

A potem była dolina A Shau.

Kiedy myślisz, że zanurkowałeś w najgłębszą otchłań strachu, kiedy dotarłeś do miejsca na końcu tunelu, gdzie nie może już być ciaśniej ani ciemniej, miejsca, gdzie nie ma już przestrzeni dla leku, w ostatnim załomie lochu, gdzie śmiejesz się ze śmierci, odkrywasz tajemną kryjówkę z największą trwogą ze wszystkich... wewnątrz tego zakamarka jesteś sam.

Wstałem, zostawiłem na stoliku pięć dolarów i przeszedłem po moście do cytadeli.

Rozdział 27

Następne kilka godzin spędziłem na zwiedzaniu z przewodnikiem w rękę, robiąc zdjęcia, jeżdżąc rikszami i taksówkami, zawracając i ogólnie starając się uprzykrzyć życie temu, kto próbował mnie śledzić.

Wokół turystycznych atrakcji nie zebrało się wielu ludzi, ze względu na wczorajsze świętowanie do późna w nocy, i miałem przeczucie, że mój łącznik poczeka do drugiej, gdy tłum trochę zgęstnieje.

Prawie wszyscy wędrujący po mieście byli biali, więc nie wyróżniałem się jak długa słomka w wiązce krótkich. Zauważyłem, że gros cierpiących na syndrom następnego poranka poruszało się w zorganizowanych grupach, lecz widziałem też parę wietnamskich rodzin, które wybrały się na przechadzkę. Mury cytadeli miały ponad dwa kilometry z każdej strony, a ja trzymałem się wewnątrz nich, razem z większością zwiedzających.

O jedenastej trzydzięci wyszedłem przez bramę z otoczonego murem miasta i znalazłem się nad

rzeką. Ruszyłem na południe wzdłuż nabrzeża, gdzie spacerowało sporo ludzi i jeździły całe stada rikszy, które podążały za mną, gdziekolwiek skierowałem kroki; rikszarze krzyczeli: „Halo! Riksza? Halo! Riksza?”.

Rikszarze, podobnie jak w Sajgonie i Nha Trang, wyglądali na niedobitki pokonanej armii. Zwycięzcy przypominali policjanta na komendzie policji imigracyjnej. To była jedna z tych wojen, w których przegrani sprawiali wrażenie nieco lepiej przystosowanych od zwycięzców. W tym kraju nadzieję widziałem tylko w oczach dzieci, ale nie zawsze i nie u wszystkich.

Szedłem dalej wzdłuż rzeki i dotarłem do głównej bramy naprzeciwko baszty flagowej, obok której przechodziliśmy wczoraj z Susan. Bramy były dzisiaj otwarte dla zwiedzających;

wkroczyłem ponownie do obwarowanego miasta i wszedłem na ozdobny most, na którym tabuny turystów pstrykały zdjęcia. Byłem teraz w Cesarskiej Dzielnicy, niegdyś zastrzeżonej wyłącznie dla cesarza i jego dworu. Pałac cesarski był otwarty, więc postanowiłem wejść do ogromnej, ciemnej budowli. Przedśionek pałacu był cały w czerwonym i czarnym lakierowanym drewnie, roilo się tu od pozłacanych smoków i zielonych demonów ze szklanymi oczami - słowem od wszystkiego, co nie pomaga na kaca.

Wyszedłem z pałacu tylnym wyjściem i znalazłem się dokładnie na wprost Pałacu Mandarynów, oznaczonego w moim przewodniku numerem 32.

Ta bogato zdobiona budowla, według informacji w przewodniku, została również zrekonstruowana po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku i miała staro-nowy wygląd, jak pawilon w Disneylandzie. Pstryknąłem zdjęcie.

Była jedenasta czterdzieści pięć, a ja nie miałem pojęcia, gdzie dokładnie mam się spotkać z moim człowiekiem. Pałac Mandarynów był wielki i, tak jak wszystkie budowle, miał wnętrze i otoczenie, ale pan Conway nie podał szczegółów, choć zdrowy rozsądek podpowiadał spotkanie gdzieś pod dachem, w razie gdyby padał deszcz. Akurat nie padało.

Obszedłem pałac dookoła i byłem już pewien, że nie jestem śledzony ani obserwowany. Wbrew temu, co pokazują na filmach, jest prawie niemożliwe chodzić za kimś przez trzy godziny, chyba że na bieżniku w sali gimnastycznej, gdzie łatwo dostrzec śledzącego.

Gdybym teraz zauważył kogoś, kto mnie śledzi, mógłbym przypuszczać, że to może być mój łącznik; to też musiałem brać pod uwagę.

Niebezpieczeństwo, o czym wiedziałem, nie polegało na tym, że ja mogę być śledzony; lepiej umiem się pozbyć ogona niż mężczyzna, którego każe śledzić zazdrosna żona.

Prawdziwe niebezpieczeństwo polegało na tym, że mój kontakt mógł być znany Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego, sekcji A, B, C, D lub E. To prawie zawsze miejscowy amator, wynajęty przez jakiegoś półgłówka z Waszyngtonu, zjawiający się na spotkaniu z piętnastoma gliniarzami na tyłku, wyposażonymi w kamery wideo.

materiałów, na przykład pudła dokumentów z adnotacją „Ścisłe tajne”. Dzięki Bogu ten człowiek nie musiał mi przekazywać żadnych obciążających

Nikt do mnie nie podchodził, ale miałem jeszcze kwadrans, więc przekroczyłem kolejną bramę, tym razem prowadzącą do Zakazanego Purpurowego Miasta, które było najgłębszym sanktuarium wewnątrz sanktuarium Cesarskiej Dzielnicy. Cesarze cenili sobie prywatność i, jak powiedziała

Susan, wyłącznie cesarz, jego konkubiny i eunuchy mieli wstęp do Purpurowego Miasta. Innymi słowy, cały ten kompleks był zarezerwowany dla cesarskich jaj. Przydałoby mi się takie miejsce. Ściśle rzecz biorąc, w Zakazanym Purpurowym Mieście niewiele zostało - żadnych cesarzy, eunuchów i, niestety, żadnych konkubin - jedynie rozległe puste przestrzenie i niskie fundamenty, na których stały kiedyś budowle. Jedynym nienaruszonym obiektem była odbudowana Biblioteka Królewska, w moim przewodniku pod numerem 23, wybrana na miejsce mojej drugiej randki, gdyby pierwsza nie wypaliła.

W Purpurowym Mieście było trochę cudzoziemców z Zachodu; usłyszałem parę w średnim wieku, rozmawiającą po angielsku z amerykańskim akcentem. Ona mówiła, jakie to straszne, że amerykańskie wojska zbombardowały te skarby architektury, zamieniając je w gruzy. On przytaknął i dodał: „Siejemy śmierć i zniszczenie, gdziekolwiek nas zaniesie”.

Chyba nie miał na myśli siebie i swojej żony, bo oni siali tylko głupotę, gdziekolwiek ich zanosło. Zaproponowałem, że zrobię im wspólne zdjęcie na tle trawy i gruzu. Ucieszyli się i dali mi swój kretyńsko skomplikowany aparat, który miał więcej pokręteł, niż jest przystanków w waszyngtońskim metrze.

Ustawiając ogniskową, powiedziałem:

- Czy wiedzą państwo, że komuniści zaatakowali to przepiękne miasto w czasie zawieszenia broni w Tet, w najświętszą noc buddyjskiego roku? Proszę o uśmiech. A czy

wiedzą państwo, że oddziały komunistycznych politruków wymordowały ponad trzy tysiące obywateli Hue, mężczyzn i kobiet, rozstrzeliwując ich, rozwalając im głowy pałkami albo żywcem zakopując? Proszę o uśmiech.

dwa; na drugim utrwałem faceta zmierzającego w moją stronę z ręką wyciągniętą po aparat. Z jakiegoś powodu się nie uśmiechali, ale zapamiętają to zdjęcie. Pstryknąłem jeszcze

Zabrał go bez słowa podziękowania i oboje odeszli; ich ignorancja była teraz mniejsza niż minutę temu, lecz najwyraźniej ta nowa informacja nie przypadła im do gustu. No cóż, wszak podróże mają kształcić; mnie nauczyły niemało.

Wyszedłem z Purpurowego Miasta, wróciłem do Pałacu Mandarynów i pokręciłem się trochę w środku. Budowla była duża i nie miałem pojęcia, jak mój łącznik tu mnie wypatrzy. Jeśli obaj mamy ogony, może one pomogą nam się rozpoznać, spotkać, zrobić zdjęcia i trochę zamieszania.

Żarty żartami, ale zaczynałem się martwić. Wiedziałem, że jestem sam, lecz nie miałem ani odrobiny pewności, że tamten też będzie sam.

O dwunastej dwadzieścia wciąż się kręciłem po pałacu i udzielał mi się nastrój adekwatny do widoku ziejących ogniem smoków.

Wyszedłem na zewnątrz. Słońce przezierало przez drobne szczeliny w pokrywie chmur i było trochę cieplej.

Okrążyłem Pałac Mandarynów, ale nikt nie zdradzał ochoty, żeby się ze mną zapoznać.

Schadzka nie doszła do skutku. Miałem około półtorej godziny do następnej, więc mogłem ten czas wykorzystać na zbadanie sobie stanu mojej głowy.

Wyszedłem z warownego miasta na nabrzeże rzeki, gdzie wcześniej zauważyłem kilka barów.

Kupiłem litr wody, loda i kulkę ryżową zawiniętą w liście bananowca.

Usiadłem na ławce obok pary młodych Wietnamczyków i gapiłem się na Rzekę Perfumową, zajadając loda plastikową łyżeczką i popijając letnią wodę z plastikowej butelki.

Skończyłem loda i wgrzyłem się w lepką ryżową kulkę. Było naprawdę podle. James Bond nigdy nie siedział na ławeczce w parku, mając kaca, sącząc z butelki ciepłą wodę i jedząc palcami klejącą się ryżową kulkę.

Rzeka Perfumowa płynęła wartko z powodu zimowych deszczów; nieco dalej widziałem trzy kamienne pylony w miejscu, gdzie stary most spinał kiedyś rzekę. Wiele lat temu rozmawiałem z jednym z marines, który był tutaj w czasie bitwy; powiedział, że można było przejść na drugą stronę po trupach spływających z prądem. Przesadzał, rzecz jasna, jak to marines, lecz wszystkie wojenne opowieści mają w sobie ziarno prawdy, zanim rozrosną się

w gigantyczną lipę. Nigdy nie słyszałem wojennej historii, która skurczyła się od powtarzania.

Dwie laski w różowych *ao dais* spacerowały wzdłuż rzeki, a ich długie, proste włosy z przedziałkiem pośrodku przypomniały mi o Susan. Wstałem, zawołałem na nie i wskazałem aparat.

Zatrzymały się, zachichotały i ustawiły się do zdjęcia. Pstryknąłem i powiedziałem: *Chuc Mung Nam Moi*.

Odpowiedziały i poszły dalej, ciągle chichocząc i zerkając przez ramię.

Trochę podniosło mnie to na duchu.

Myślę, że większość ludzi prowadzi normalne życie, którego ja nigdy nie poznałem. Na całym świecie mogło być w tej chwili co najwyżej kilka dziesiątków mężczyzn i kobiet robiących to, co ja. Większość potajemnych randek miała charakter erotyczny; w tym momencie odbywały się ich miliony i podobnie będzie jutro i pojutrze. Kilkoro z tych kochanków skończy jako nieboszczyki, ale większość skończy w ramionach drugiego.

Paul Brenner zaś albo skończy w areszcie, albo pozna informację, z powodu której

można zostać aresztowanym, albo zostanie zabity - jeśli jednak ziści się najlepszy scenariusz, dostanie parę dolarów dodatku do emerytury, a pani jego snów wróci do Stanów.

W Waszyngtonie wydawało się, że to dobry pomysł - no, może nie dobry, ale taki, który doprowadzi do czegoś dobrego. I doprowadził.

Gapiłem się na rzekę i na Nowe Miasto po drugiej stronie. Obok mnie przeszło tysiąc osób, a ja patrzyłem. Fakt, że pierwsza schadzka nie doszła do skutku, był czymś w rodzaju odroczenia wyroku; miałem wiele uzasadnionych powodów, żeby zrezygnować z misji, a pułkownik Mang nie był ostatnim z nich. Pora wracać do hotelu i pryskać z tego kraju. Siedziałem.

O pierwszej trzydzieści wstałem, wszedłem z powrotem do cytadeli i Cesarskiej Dzielnicy, a potem przez kolejną bramę w murze do Zakazanego Purpurowego Miasta. Nagle przyszło mi na myśl, że symbolika tej nazwy nie uszła uwagi skłonnych do dramatyzmu kretynów w Waszyngtonie, i już wiedziałem, że właśnie tutaj spotkam się z moim łącznikiem - a być może także z przeznaczeniem.

Rozdział 28

Wszedłem do otoczonego murem Zakazanego Purpurowego Miasta i przez ogródki warzywne i kwiatowe ruszyłem w stronę Biblioteki Królewskiej, która, jak wcześniej zauważyłem, była jedyną ocalałą budowlą wewnątrz murów.

Wokół budynku stało paru turystów, lecz większość zwiedzających kręciła się po ogrodzie.

Jakieś dwadzieścia metrów od biblioteki przykucnięty Wietnamczyk oglądał uważnie kwiaty. Wyprostował się i stanął przede mną na ścieżce.

- Przepraszam pana - zagadnął mnie prawie nieskazitelnym angielskim. - Czy potrzebuje pan przewodnika? - Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał: - Jestem wykładowcą na Uniwersytecie Hue i mogę panu pokazać najważniejsze obiekty Starego Miasta. Jestem bardzo dobrym przewodnikiem.

Stojący przede mną mężczyzna miał około trzydziestu pięciu lat, był ubrany w zwykłe czarne spodnie, białą koszulę i sandały. Nosił tani plastikowy zegarek, jak wszyscy tutaj, a jego twarz nie zwracała uwagi. Mógłbym go minąć dwadzieścia razy i nie zauważyć w tłumie,

- Ile to będzie kosztowało? - spytałem

- Ile pan zechce zapłacić - odpowiedział zgodnie z instrukcją. Milczałem.

- Widzę, że ma pan przewodnik - rzekł. - Mogę na niego zerknąć?

Podąłem mu przewodnik, a Wietnamczyk go otworzył.

- Tak, jest pan dokładnie tutaj, w obrębie Zakazanego Purpurowego Miasto. Widzi pan?

- Wiem, gdzie jestem - odparłem, nie patrząc na plan.

- Dobrze. To doskonałe miejsce na rozpoczęcie wycieczki. Nazywam się Truong Qui Anh. Proszę do mnie mówić pan Anh. A jak ja mam się zwracać do pana?

- Wystarczy Paul.

- Panie Paul. My, Wietnamczycy, mamy obsesję na punkcie form grzecznościowych. - Przykucnął znowu i powiedział; - Proszę spojrzeć na tę mimozę. Widzi pan, kiedy dotykam liści, one zwijają się, bo są wrażliwe na dotyk.

Trafiłem na gadatliwego gościa, taki już mój fart. Pan Anh drażnił mimozę, a ja rozejrzałem się, czy ktoś patrzy.

Pan Anh się wyprostował i przerzucił parę kartek w przewodniku.

- Czy chciałby pan zobaczyć coś konkretnego?

- Nie.

- Wobec tego ja wybiorę kilka miejsc. Interesują pana cesarze? Francuski okres kolonialny? Może ostatnia wojna. Był pan tutaj żołnierzem?

- Byłem.

- Ach tak. Więc może zaciekawi pana bitwa o Hue.

Już zaczynałem myśleć, że ten facet naprawdę jest przewodnikiem; wtedy on,

spoglądając w mój przewodnik, spytał: - Panie Paul, jest pan pewien, że nikt pana nie śledził, kiedy pan tu szedł?

- Jestem pewien. A pan, panie Anh?

- Jestem pewien, że jestem sam.

- Dlaczego nie przyszedł pan na pierwsze spotkanie?

- Dla bezpieczeństwa - odparł. Nie zachwyciło mnie to.

- Myślał pan, że jest obserwowany? - spytałem. Zawahał się.

- Nie... Szczerze powiedziawszy, straciłem zimną krew.

Skinałem głowę.

- Odzyskał już ją pan?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Tak. - Po chwili dodał: - Jestem tu.

Nie zamierzałem mu mówić, że mało brakowało, a ja nie stawiłbym się na drugą randkę.

- Naprawdę jest pan wykładowcą uniwersyteckim?

- Tak. Okłamałbym pana, gdybym powiedział, że władze nie zwróciły na mnie uwagi. Jestem *Viet-Kieu*. Wie pan, co to znaczy?

- Wiem.

- Dobrze. Ale poza tym władze nie mają powodów, żeby mnie inwigilować.

- Nigdy wcześniej nie robił pan czegoś takiego?

- No cóż, raz, mniej więcej rok temu. Lubię pomagać, kiedy mogę. Wróciłem cztery lata temu i od czasu do czasu jestem proszony o drobną przysługę. Przespacerujmy się. - Ruszyliśmy ścieżką. Pan Anh mówił dalej: - Komuniści przypisują sobie zasługę za

odbudowę tego miejsca, lecz prawda jest taka, że pozwolili, żeby cały kompleks cesarski zamienił się z ruin w gruzy, bo kojarzył się z cesarzami. Komuniści są podejrzliwi wobec historii i wszystkiego, co było przed nimi. Ale zachodnie organizacje naciskały o odrestaurowanie niektórych budowli zniszczonych podczas wojny. Zachód wykłada pieniądze, oczywiście, a komuniści zbierają żniwo z turystyki.

Byliśmy teraz w zewnętrznym sanktuarium, koło Pałacu Cesarskiego; pan Anh prowadził mnie do ogrodu kwiatowego założonego w ruinach fundamentów jakiejś budowli.

- Mój ojciec był żołnierzem armii Wietnamu Południowego - ciągnął pan Anh. - Miał stopień kapitana. Został zabity właśnie tu, gdzie jest ten ogród i gdzie stał kiedyś budynek cesarski. Znalaziono go po bitwie wśród gruzów razem z piętnastoma innymi oficerami i mężczyznami, wszyscy mieli ręce związane z tyłu i dziury od pocisków w głowach. Wszystkich zabili komuniści.

Domyśliłem się, że pan Anh przedstawia swoje antykomunistyczne referencje, ale ta historia mogła być od początku do końca zmyślona. Jaką mogłem mieć pewność?

- Byłem bardzo młody, kiedy zginął, ale go pamiętam - kontynuował. - Stacjonował tutaj, w domu,

w którym mieszka moja rodzina. Byliśmy tam tego wieczoru, w święto Tet tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, po drugiej stronie rzeki, w Nowym Mieście, gdy nagle ojciec podskoczył w fotelu i krzyknął: „Strzelają z karabinów!”. Matka się roześmiała i powiedziała: „Drogi mężu, to fajerwerki”.

Obserwowałem pana Anha, który patrzył nieruchomo na ogród i przywoływał wspomnienia.

- Ojciec złapał karabin i skoczył w stronę drzwi, wciąż mając na nogach sandały. Jego buty stały w kącie. Krzyczał na nas, żebyśmy zeszli do bunkra w ogrodzie. Wszyscy bardzo się baliśmy, bo słyszeliśmy już krzyki na ulicy. Fajerwerki zamieniły się w wystrzały. - Pan Anh milczał przez chwilę, patrząc na ziemię pod nogami, i wyglądał jak mały chłopiec

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

spoglądający na swoje buty i usiłujący coś wydobyć z pamięci. - Ojciec zawahał się przy drzwiach, potem wrócił, żeby uściskać moją matkę i swoją, a potem pięcioro dzieci, moich braci i siostry. Wszyscy płakaliśmy, on zaś wypchnął nas tylnymi drzwiami do ogrodu, gdzie był wykopany schron. - Pan Anh zerwał kwiatek, skręcił go w palcach i rzucił na klomb. - Siedzieliśmy w ogrodzie z dwiema innymi rodzinami przez tydzień, aż przyszli amerykańscy marines. Kiedy wróciliśmy do domu, zobaczyliśmy, że zabrano całe jedzenie przygotowane na Tet, a my byliśmy bardzo głodni. Zobaczyliśmy też, że strzaskano frontowe drzwi i wyniesiono wiele rzeczy, ale dom ocalał. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, czy ojca wzięto do niewoli w domu, czy w drodze do oddziału. Atak był kompletnym zaskoczeniem i komuniści zajęli miasto, zanim padł pierwszy strzał. Ojciec wolałby zginąć razem ze swoimi żołnierzami; z początku myśleliśmy, że tak się stało. Ale potem, w marcu, gdy mieszkańcy miasta i żołnierze usuwali gruzy, znajdowali rozłożone ciała ofiar wielu masakr. Mój ojciec nosił blaszany znaczek identyfikacyjny, który zrobili dla niego Amerykanie, i właśnie dzięki niemu został zidentyfikowany dokładnie tutaj, gdzie stał kiedyś budynek. Komuniści musieli ich wszystkich zastrzelić w środku. Cieszę się, że nosił ten znaczek, bo mogliśmy pochować ciało. Większość rodzin nie mogła.

Pan Anh stał tam jeszcze przez chwilę, a potem odszedł. Ruszyłem za nim.

Opuściliśmy mury cytadeli i poszliśmy wzdłuż nabrzeża rzeki.

- Więc był pan tu żołnierzem? - spytał pan Anh.

- Pierwsza Dywizja Kawalerii, sześćdziesiąty ósmy rok, głównie w Quang Tri.

- To zna pan te tereny?

- Pamiętam to i owo.

- Jakie ma pan wrażenia? Z Wietnamu.

- Jest spokojnie.

- To kraj, w którym złamano w ludziach ducha.

- Kto to zrobił?

- Reżim.

- Czemu pan wrócił?

- To mój kraj - odparł pan Anh, a potem spytał: - Gdyby Ameryka była dyktaturą, mieszkałby pan tam?

Ciekawe pytanie.

- Gdyby amerykańska dyktatura była równie ślamazarna jak tutejsza, być może.

Pan Anh się roześmiał.

- Może wydają się panu ślamazarni, ale zrobili rzetelną robotę, krusząc wszelką opozycję wobec reżimu.

- Pana nie dostali. Ani wielu innych ludzi, których poznałem, a którzy wydają się nienawidzić reżimu.

- Może powinienem był powiedzieć zorganizowaną opozycję - odparł pan Anh i dodał: - Nie

zdobyli wielu serc i umysłów.

Przeszliśmy przez most Phu Xuan; pan Anh nalegał, żebym dał mu aparat, a on zrobi mi zdjęcie z rzeką w tle, a potem z przeciwnej strony, na tle murów cytadeli. Nie wyglądał na szczególnie zdenerwowanego tym spotkaniem, za które mógł zostać rozstrzelany, ale od czasu do czasu widziałem w jego oczach trochę niepokoju.

- Podejrzewam, że gdyby mieli nas aresztować - powiedziałem, gdy pstrykał zdjęcia - poczekaliby, żeby zobaczyć, czy się z kimś spotkamy.

Oddał mi aparat, mówiąc:

- Tak, poczekaliby.

- Boi się pan teraz?

- Jestem poza granicą strachu. - Po chwili dodał: - Wie pan, że my, Wietnamczycy, jesteśmy nieprzeniknieni.

Szliśmy dalej wzdłuż rzeki. Wszystko, czego chciałem od pana Anna, to prawdziwa nazwa wioski, do której miałem dotrzeć, jakieś wskazówki i to, co ewentualnie kazano mu przekazać. Ale jemu się nie spieszyło; może to był dobry pomysł, żebyśmy wyglądali jak turysta i przewodnik. - Chodziłem na Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley - poinformował mnie.

- Myślałem, że chciał pan uciec przed komunistami.

Zachichotał cicho.

- Mieszkałem głównie w północnej Kalifornii, ale przez rok podróżowałem po całej Ameryce. To niezwykły kraj.

- Skąd pan wziął pieniądze? - spytałem.

- Od waszego rządu.

- To miło z ich strony. A teraz spłaca pan dług.

Pan Anh milczał przez chwilę, a potem odparł:

- Wasz rząd ma program... jak by to powiedzieć... aktywnego oddziaływania, pomocy dla wietnamskich uciekinierów, którzy, tak jak ja, zobowiązują się wrócić do Wietnamu na okres co najmniej pięciu lat.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- I nie usłyszy pan. Ale są nas tysiące, tysiące tych, którzy wrócili, *Viet-Kieus*, sympatyzujących bardziej z Waszyngtonem niż z Hanoi.

- Rozumiem. I co macie robić? Wszczęć rewolucję?

- Mam nadzieję, że nie. - Roześmiał się i ciągnął: - Mamy być tutaj i w subtelny sposób oddziaływać na sposób myślenia ludzi, a nawet rządu, jeśli to możliwe. - Po chwili dodał: - Większość *Viet-Kieus* to przedsiębiorcy, niektórzy, tak jak ja, są nauczycielami akademickimi, kilku wstąpiło do służby cywilnej, policji i armii. Żaden z nas z osobna nie ma żadnej władzy, ale w sumie jest nas dość, żeby rząd w Hanoi zawahał się, zanim zrobi krok wstecz, w stronę socjalizmu i izolacji. Prywatna przedsiębiorczość, handel i turystyka mają tu zostać na dobre. Rozumie pan?

- Chyba tak. Zaszczepia pan wywrotowe myśli w głowach swoich studentów?

- Z pewnością nie w klasie. Ale wiedzą, gdzie przyjść, jeśli chcą usłyszeć prawdę. Czy wie pan, że mówienie o tym, że komuniści zgładzili trzy tysiące obywateli tego miasta, jest zakazane? Wszyscy wiedzą, wszyscy stracili kogoś z rodziny, ale nie ma o tym ani jednej wzmianki w podręcznikach.

- Panie Anh, w amerykańskich podręcznikach historii też rzadko pojawiają się informacje o masakrze w Hue... może dzięki temu poczuje się pan lepiej. Jeśli ktoś chce poczytać o masakrach, musi pojechać do My Lai.

- Tak, wiem.

Byliśmy przy najdalszym załomie muru; na nabrzeżu rzeki znajdował się ogromny rynek do którego prowadził mnie pan Anh. Znalazł mały bar ze stolikami i krzesłami blisko rzeki.

- Mogę kupić panu coś do jedzenia? - spytał.

- Wystarczy cola.

Podszedł do budki.

Usiadłem i rozejrzałem się. W tym kraju trudno było powiedzieć, czy się widzi tych samych ludzi dwa czy trzy razy, zwłaszcza mężczyzn, którzy, jak jeden mąż, upodobali sobie czarne spodnie i sandały noszone ze skarpetkami. Niektóre koszule różniły się od innych, lecz w większości były białe. Wszyscy mieli włosy tego samego koloru i tak samo uczesane, a na twarzach mężczyzn, nie licząc bardzo starych, nie było żadnych bród i wąsów; nikt też nie nosił czapek. Kilku miało na sobie lekkie kurtki, ale wszystkie były jasnobrązowe i w tym samym stylu. Zauważyłem, że niektórzy Wietnamczycy noszą okulary do czytania, ale prawie nikt nie nosił szkieł pozwalających dobrze widzieć na dużą odległość, choć wszyscy kierowcy powinni się nad tym zastanowić.

Tłum Wietnamczyków wyglądał jak jednolite morze, tutaj, w Hue, jeszcze bardziej niż w Sajgonie czy Nha Trang.

Pan Anh usiadł i podał mi puszkę coli. Trzymał w dłoniach miseczkę gorącej herbaty i papierową torebkę orzeszków w łuskach, których zginiatanie zdawało się sprawiać mu przyjemność.

Wreszcie przeszedł do rzeczy.

- Pragnie pan odwiedzić pewną wioskę, zgadza się?

Skinąłem głową.

Podsunał mi garść niełuskanych orzeszków.

- Wioska leży daleko na północy. Wietnam Północny - oznajmił.

Pech. Miałem nadzieję, że wieś jest w byłym Wietnamie Południowym, gdzieś w pobliżu, ale Tran Van Vinh był północnowietnamskim żołnierzem, więc na co właściwie liczyłem?

Pan Anh udawał, że przegląda mój przewodnik.

- To jest mała wioska - ciągnął - i nie ma jej na większości map. Przeprowadziłem jednak dokładne, choć dyskretne rozpoznanie i jestem przekonany, że właśnie tego miejsca pan szuka.

- A jeśli nie?

Przeżuł kilka orzeszków.

- Kontaktowałem się z pewną osobą w Ameryce, wykorzystując faks. Wasi analitycy są zgodni, że znaleziona przeze mnie wioska jest tą, której pan szuka. - Potem dodał: - Jestem w dziewięćdziesięciu procentach pewien, że właśnie o to miejsce panu chodzi.

- Jak dla naszego rządu, w sam raz.

Uśmiechnął się.

- Bardzo niewielu cudzoziemców udaje się w tamtą okolicę, więc będzie pan musiał mieć powód do wyjazdu.

- Muszę podać jakiś powód?

- Szczęśliwym trafem w pobliżu tej wioski jest miejsce, które przyciąga niektórych turystów - odparł pan Anh. - Nazywa się Dien Bien Phu. Słyszał pan o nim?

- Ostatnia bitwa francuskiej wojny o Indochiny.

- Tak. Wojskowi wszystkich narodowości jeżdżą tam, żeby obejrzeć to historyczne pole bitwy. Powinien się pan tam udać. Kiedy zobaczy pan muzeum i zrobi kilka zdjęć, proszę spytać kogoś z miejscowych, gdzie jest wioska, której pan szuka. Leży mniej niż trzydzieści kilometrów na północ od Dien Bien Phu. Ale niech pan uważa, prosząc o informacje. Tam, na północy, ludzie wszystko zgłaszają władzom. - Pociągnął łyk herbaty i mówił dalej; - Byłem w Dien Bien Phu, więc mogę panu powiedzieć, że jest tam wielu rdzennych mieszkańców gór, którzy zbierają się na rynku, żeby sprzedawać turystom swoje wyroby. Są to w większości członkowie plemion H'mong i Tai. Pamiętaj pan zapewne, że górale są mało lojalni wobec wietnamskiego rządu. - Po chwili dodał: - Nie są wrogo nastawieni do komunistów, tylko do Wietnamczyków. Zatem powinien pan prosić o informacje górala, a nie rodowitego Wietnamczyka. Może uda się panu znaleźć paru górali mówiących trochę po angielsku, większość jednak zna francuski... ze względu na turystów, którzy są przeważnie Francuzami. Mówi pan po francusku?

- *Un peu.*

- *Bon.* Powinien pan podawać się za Francuza. - Zastanowił się. - Myślę, że tym ludziom można zaufać.

- Proszę powiedzieć, dlaczego powinienem zaufać panu.

- To wymagałoby trochę czasu - odparł pan Anh - a i tak nic, co mógłbym powiedzieć, nie przekonałoby pana. Wydaje mi się, panie Brenner, że nie ma pan wyboru.

- Skąd pan zna moje nazwisko?

- Podano mi je na wypadek, gdybym potrzebował się z panem skontaktować w hotelu.

- W takiej sytuacji, w jakiej jesteśmy, to bardzo nietypowe, żeby znał pan moje nazwisko - powiedziałem. - Nie chcę mówić jak rasista, ale nie jest pan rodowitym Amerykaninem i nie kwalifikuje się pan jako osoba, która powinna znać moje nazwisko i cel podróży. Patrzył na mnie długo, a potem uśmiechnął się i odparł: - Wciąż mam krewnych w moim nowym kraju. Pański rząd mi ufa, ale dla pewności zorganizował mi rodzinne spotkanie w Los Angeles. Mam wyjechać do Stanów tego samego dnia, w którym pan opuści Hue. Jeśli nie zjawię się w Los Angeles, będą zakładać, że zdradziłem ich i pana.

- Dla mnie to trochę za późno, panie Anh.

- Nie zamierzam pana zdradzać, panie Brenner. Doprawdy, życzę panu powodzenia w tej podróży, bo jeśli się panu coś stanie, nie wyjdzie to na dobre ani mnie, ani mojej rodzinie w Los Angeles.

- Rozumiem. Cóż, my nie rozstrzeliwujemy ludzi.

- Mam inne informacje.

Nie skomentowałem tego. Z podtekstu wynikało, że stawka w tej grze jest bardzo wysoka, a pan Anh albo jest lojalny wobec Wujka Sama, albo trzęsie się ze strachu o swoją rodzinę, albo jedno i drugie. W Waszyngtonie nie żartowali.

- No dobrze. Przepraszam, jeśli pana uraziłem.

- Ależ skąd. To było uzasadnione i konieczne pytanie. Stawką jest pańskie życie.

- Dziękuję.

- Dla pana nie ma znaczenia, czy jestem lojalny, czy działam pod naciskiem. Jestem po pańskiej stronie. - Świetnie.

Pan Anh milczał przez chwilę, żując orzeszki.

- Jakakolwiek jest pańska misja, panie Brenner, zakładam, że jest dla pana dość ważna, aby ryzykować dla niej życie. Jeśli nie, powinien pan wsiąść do następnego samolotu do Hanoi albo Sajgonu i wynosić się stąd. To może być przyjemny kraj dla przeciętnego zachodniego turysty, ale jeśli jest się czymś więcej aniżeli turystą, władze mogą tego nie wybaczyć. - Przerwał na moment. - Poproszono mnie o pomoc, a ja się zgodziłem, narażając się na niebezpieczeństwo. Nie wiem, o co w tym chodzi, lecz jestem jednym z tych Wietnamczyków, którzy wciąż ufają Amerykanom.

- A ja nie.

Obaj się uśmiechnęliśmy.

- Dobra, jeśli jest pan tym, za kogo się pan podaje, dziękuję - powiedziałem. - Jeśli nie, to pewnie spotkamy się na moim procesie.

- Miałby pan szczęście, gdyby do niego doszło. Powiem panu coś, o czym może pan nie wiedzieć... rząd w Hanoi ma obsesję na punkcie FULRO. Słyszał pan o tej grupie... *Front Unitie de Lutte des Races Opprimees*... Zjednoczony Front Walki Ras Uciśnionych?

Znów przypomniały mi się zdjęcia, które widziałem w Muzeum Amerykańskich Zbrodni Wojennych w Sajgonie.

- Tak - odparłem. - Słyszałem o FULRO.

Pan Anh miał dla mnie więcej dobrych wiadomości.

- Będzie pan przejeżdżał przez terytorium FULRO. Rząd w Hanoi bezlitośnie ściga tych partyzantów i bezwzględnie traktuje Amerykanów, którzy nawiązali z nimi kontakt. Jeśli taka jest pańska misja i złapią pana, może pan się spodziewać tortur, a potem rozstrzelania. Wiem to na pewno.

Cóż, nie na tym polegała moja misja, lecz przyszło mi do głowy, że miałbym trudności z wyjaśnieniem tego, gdyby mnie aresztowano. Zawsze zakładałem, że najgorsze, co może mi się zdarzyć w razie wpadki, to kilka tygodni lub miesięcy aresztu czy jakichś nieprzyjemności, po

których nastąpi dyplomatyczne rozwiązanie problemu i wydalenie mnie

do Stanów. Ale jeśli włączyć do równania FULRO, mógłbym skończyć jako ostatni Amerykanin zaginiony w akcji w Wietnamie. Pan Anh okazał się niewyczerpaną kopalnią ciekawych faktów.

wyruszyli w najbardziej odległe regiony kraju, żeby wspomóc FULRO... o większości z nich - Było ich wielu: agenci CIA, służb specjalnych i amerykańscy wolni strzelcy, którzy zaginął wszelki śluch.

- Dzięki za pokrzepienie.

Pan Anh spojrział na mnie.

- To nieszczęśliwy kraj, którego historia sprawiała, że brat zwracał się przeciwko bratu, ojciec przeciwko synowi. Tu, na południu, nigdy nie wiadomo, komu zaufać. Ale kiedy pojedzie się na północ, jest znacznie łatwiej... nie wolno ufać nikomu.

- Z wyjątkiem górali.

Pan Anh nie odpowiedział. Sącząc swoją herbatę, spytał:

- Czy ta podróż obudziła w panu wspomnienia?

- Oczywiście.

- W tym kraju większość wojennego pokolenia nie żyje lub uciekła. A ci, którzy pamiętają, nie mówią o tych czasach. Władza świętuje każde zwycięstwo... wszystkie porażki zamienia w zwycięstwa. Jeśli komuniści przez trzydzieści lat odnosili same triumfy, dlaczego tak długo trwało, zanim wygrali wojnę?

Zabrzmiało to jak pytanie retoryczne, lecz odpowiedź była prosta: „To zwycięzcy piszą historię”.

- Musiałem pojechać do Ameryki, żeby poznać historię mojego kraju - ciągnął pan Anh.

- Jeśli się słucha Hanoi dość długo, człowiek zaczyna wątpić we własną pamięć i zdrowy rozum.

- W Waszyngtonie jest tak samo, panie Anh.

- Ale to tylko żart. Tutaj to nie jest żart

- Ile lat ma pan tu jeszcze pozostać?

- Rok.

- A potem?

- Nie wiem. Może zostanę... sytuacja zmienia się na lepsze...

- Moja amerykańska przyjaciółka mieszka tu od trzech lat i odnosi wrażenie, że nie może wyjechać.

- Każdy ma swoje powody, żeby zostać bądź wyjechać. To ciekawy kraj, panie Brenner, pod wieloma względami dynamiczny, wychodzący z długiego koszmaru, pełen przemian społecznych i ekonomicznych. Dla wielu ludzi, zwłaszcza Amerykanów, to przejściowe stadium jest ekscytujące i daje wiele możliwości. Pewien mieszkający tu Amerykanin powiedział mi kiedyś, że Wietnam jest jak Dzikie Zachód, kraina, gdzie zostawia się swoją przeszłość za sobą i gdzie wszystko uchodzi, bo

każdy zabiega o własną fortunę.

- Niech Bóg ma Wietnam w opiece.

Pan Anh uśmiechnął się.

- Można umrzeć z nudów w Japonii, Singapurze czy Korei. Tutaj nikomu to nie grozi.

- Nie ulega wątpliwości. - Dokończyłem colę i spojrzałem na zegarek.

Pan Anh to zauważył i powiedział:

- Nazwa wioski, której pan szuka, nie brzmi Tam Ki, lecz Ban Hin w prowincji Lai Chau. - Przeliterował nazwę i dodał: - To trudna podróż. Jedyne połączenie lotnicze to dwa loty tygodniowo z Hanoi, a zgodnie z tym, co mi powiedziano, nie jedzie pan przez Hanoi. Tak czy inaczej, miejsca są zarezerwowane na kilka tygodni wcześniej. Więc musi pan podróżować łądem. Niestety autobus nie kursuje stąd, lecz z Hanoi. Drogi, zwłaszcza teraz, podczas deszczów, są zdradliwe, poza tym wie pan już, że nie wolno panu samemu wynająć samochodu. Musi pan wynająć samochód z kierowcą.

- Może lepiej zostanę w domu.

- To pańska decyzja. Ale gdybym to ja miał jechać, wynająłbym wóz terenowy z napędem na cztery koła i dobrego kierowcę. Odległość z Hue do Dien Bien Phu wynosi od dziewięciuset do tysiąca kilometrów, w zależności od trasy. - Pomyślał chwilę. - Na szczęście, pierwsze pięćset kilometrów to jazda autostradą numer jeden do Hanoi. W którymś punkcie na południe od Hanoi musi pan wybrać trasę, którą dotrze pan do drogi numer sześć, a ta z kolei doprowadzi pana przez góry, w kierunku północno-zachodnim, do Dien Bien Phu. - Znalazł w przewodniku mapę północnego Wietnamu i pokazał mi ją. - Widzi pan Dien Bien Phu?

Spojrzałem na mapę i odszukałem miasto położone głęboko w północno-zachodniej części kraju, blisko Laosu. Widziałem też drogę numer sześć, wychodzącą z Hanoi i wijącą się przez góry do Dien Bien Phu.

- Jak wygląda droga numer sześć? - spytałem.

- Nie najlepiej w tej porze roku, a właściwie w żadnej, jeśli o to chodzi. Trasy prowadzące do drogi numer sześć są jeszcze gorsze.

- Gorsze niż w New Jersey?

Pan Anh uśmiechnął się.

- Zobacz pan na mapie - ciągnął - jeszcze przed Hanoi, dwie lub trzy trasy prowadzące od autostrady numer jeden do drogi numer sześć. Musi pan wybrać jedną, w zależności od warunków pogodowych, stanu drogi i być może innych czynników, które tylko pan może wziąć pod uwagę, gdy przyjdzie czas, żeby zjechał pan z autostrady. - Pan Anh spojrzał na mnie.

- Rozumiem. Jak mam wyjaśnić mojemu kierowcy, że nie chcę jechać przez Hanoi, żeby dotrzeć do drogi numer sześć, a potem do Dien Bien Phu?

- Niech mu pan powie, że uwielbia pan jeździć zdradliwymi górskimi drogami w czasie deszczu.

To nie było zabawne.

- Jeśli dopisze panu szczęście, będzie pan w Dien Bien Phu w ciągu dwóch dni - dodał pan Anh.

Zastanowiłem się nad tym. Nie mogłem zrozumieć, co myśleli ci durnie w Waszyngtonie.

- Czy da się wynająć awionetkę z Hue-Phu Bai?

- Nie w tym kraju, parne Brenner. Prywatne loty są surowo zabronione.

- To jak Francuzi dotarli do Dien Bien Phu?

Pan Anh znów się uśmiechnął.

- Wyskoczyli na spadochronach - odparł. - Jest alternatywna trasa. Może pan polecieć stąd do Wientianu, stolicy Laosu, a potem do Luang Prabang w Laosie. Będzie pan wówczas tylko sto pięćdziesiąt kilometrów od Dien Bien Phu. Ale najpierw będzie panu potrzebna wiza do Laosu, a potem musiałby pan przekraczać lądową granicę z Wietnamem, a to mogłoby być trudne.

- Dzięki za lekcję geografii, panie profesorze. Jestem pewien, że mogę się dostać do Dien Bien Phu, zanim skończy mi się wiza.

- Niech pan wynajmie doświadczonego prywatnego kierowcę z dobrym samochodem terenowym - powtórzył swoją wcześniejszą radę. - Wówczas dotrze pan na miejsce. - Po chwili dodał: - Proszę nie korzystać z Vidotouru.

- Wiem o tym.

Pan Anh pogrzebał palcami w stosie łupin po orzeszkach ziemnych i oznajmił:

- Kazano mi przekazać panu instrukcje.

Milczałem.

- Jeśli pan znajdzie człowieka, którego pan szuka, ma pan mu zaproponować wykupienie wszystkich pamiątek wojennych, Jeśli ten człowiek nie żyje, ma pan udokumentować jego śmierć i zaproponować odkupienie jego pamiątek od rodziny. Jeśli żyje, ma go pan

pomocą zdjęć. Władze pańskiego kraju będą mogły skontaktować się później z tym sfotografować i oznaczyć jego miejsce zamieszkania na mapach i udokumentować to za człowiekiem w sobie wiadomym celu.

Nie skomentowałem tego.

Miałem wrażenie, że pan Anh czuje się z jakiegoś powodu niezręcznie. Unikając mojego spojrzenia, rzekł:

- Albo może pan sam zakończyć sprawę, oszczędzając w ten sposób kłopotów związanych z następną wizytą u tego człowieka.

- Czy mógłby pan to powtórzyć? - poprosiłem. Pan Anh powtórzył.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem, co to znaczy. A pan?

- Nie, panie Brenner. Oni powiedzieli, że pan zrozumie.

- Tak powiedzieli? A gdybym zrozumiał źle i pomyślał, że mam go zabić, a im chodziłoby o coś innego?

Pan Anh nie odpowiedział wprost.

- Po długiej i zacieklej wojnie jest wiele rachunków krzywd do wyrównania.

Nie wydawało mi się, żeby to miało cokolwiek wspólnego ze starymi rachunkami czy zapłatą za coś, co zdarzyło się w cichociemnym świecie szpiegów, tajnym programie zabójstw pod kryptonimem Phoenix czy czymś podobnym. Tran Van Vinh był prostym żołnierzem, który zobaczył coś, czego nie powinien był zobaczyć. Lecz pan Anh zakładał, że miało to coś wspólnego z brudną, pokątną wojną, i było to logiczne założenie - albo tak mu powiedziano.

- W każdym razie - stwierdził pan Anh - pańska misja dobiegnie wtedy końca. Potem ma się pan udać prosto do następnego wyznaczonego celu, z przedmiotami, które pan zdobył. Przekazałem wszystko dosłownie, nic więcej nie wiem. - Nie odpowiedziałem. - Ma pan tutaj spędzić dzisiejszą i jutrzejszą noc, jak pan wie - ciągnął pan Anh - a potem ruszyć w dalszą drogę do Dien Bien Phu i wspomnianej wioski. Jeśli zajdzie jakaś zmiana w planach, jeśli dostanę kolejne informacje dla pana, mam się z panem skontaktować w hotelu. Dysponuję odpowiednimi środkami, żeby bezpiecznie poinformować kogoś w Sajgonie, że spotkanie doszło do skutku, a pan ma teraz okazję, żeby powiedzieć mi to, co mam przekazać dalej.

- Proszę im powiedzieć, że rozumiem moją misję i mój obowiązek i że sprawiedliwości stanie się zadość. - Świetnie. Mam odejść, czy chce pan odejść pierwszy?

- Ja pójdę pierwszy. - Wziąłem kilka orzeszków i włożyłem do kieszeni. - Zostawiam panu ten przewodnik. Proszę go dostarczyć do mojego hotelu rankiem tego dnia, w którym mam wyruszyć do Dien Bien Phu, a pan ma odlecieć do Los Angeles. W ten sposób będę wiedział, że pana nie aresztowano i że moja misja nie została zdemaskowana. Jeśli nie dostarczy pan przewodnika, rezerwuję sobie prawo opuszczenia kraju. Może pan to przekazać.

- Rozumiem - odparł Wietnamczyk.

Wstałem, wyjąłem z kieszeni dziesięć dolarów i położyłem na stoliku.

- Dziękuję za interesującą wycieczkę.

Pan Anh wstał i podaliśmy sobie dłonie.

- Bezpiecznej podróży, sir - rzekł. - I szczęśliwego Nowego Roku.

- Wzajemnie.

Przeszedłem przez rynek i znalazłem się na brzegu rzeki, a stamtąd ruszyłem w stronę mostu do Nowego Miasta.

Nie minęła jeszcze czwarta po południu pierwszego dnia Nowego Roku, roku wołu. Mógł to również być ostatni dzień roku osła, czyli mnie. Co ja robię, że pakuję się w takie rzeczy? Jak na faceta, który lubi panować nad sytuacją, za często wpadam w różne szamba: sprawy zabójstw, które przekreślają drogę do kariery, niebezpieczne misje we wrogich krajach i pokrecone romanse.

Wszedłem na pas dla pieszych na moście Trang Tien i stanąłem w połowie drogi. Rozłupałem parę orzeszków i wrzuciłem łupiny do rzeki. Włożyłem orzeszki do ust i rozgryzłem.

Niebo ukryło się za warstwą chmur; spadło kilka kropel deszczu. Powietrze było wilgotne i chłodne, a Rzeka Perfumowa płynęła rączo w stronę morza.

Cóż, nie rozumiałem źle pana Conwaya na lotnisku Dullesa ani pana Anha w Hue. Ci z Waszyngtonu chcieli widzieć Trana Van Vinha martwego, ucieszyliby się, gdybym go zabił. Nawet się nie pofatygowali, żeby podać mi jakiś powód poza względami bezpieczeństwa narodowego, co

mogło oznaczać cokolwiek... i zwykle tyle właśnie znaczyło.

Ci geniusze nie powiedzieli mi wcześniej, dlaczego mam rąbnąć faceta, bo gdyby już nie żył, miałbym informację, która nie jest mi potrzebna.

Lecz z jakiejś przyczyny uważali, że jeśli spotkam pana Trana Van Vinha - albo kiedy już go spotkam - poznam ten powód i będę wiedział, co mam zrobić.

Cokolwiek ten biedny drań zobaczył w ruinach Quang Tri w święta Tet tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, miało to doń wrócić rykoszetem i go zabić. A to wcale nie było w porządku, jeśli ten człowiek rzeczywiście przeżył wojnę i się zestarzał... a właściwie dożył mojego wieku, czyli nie był stary a jedynie dojrzały.

Próbowałem zebrać wszystkie swoje niebagatelne zdolności dedukcyjne, żeby rozwiązać tę zagadkę. Czulem, że jestem blisko czegoś, to coś jednak wciąż mi umykało.

Jedno natomiast mogłem łatwo wydedukować. Jeśli to co zobaczył pan Vinh, miało doprowadzić do jego śmierci, a on mi o tym powie, to i mnie mógł spotkać ten sam los.

Rozdział 29

Siedziałem w barze koktajlowym hotelu Century Riverside, popijając szkocką z wodą sodową, a facet przy pianinie grał Strangers in the Night.

Było dziesięć po szóstej. Lokal zapełnił się rozgadanyimi cudzoziemcami; między stolikami uwijały się w krótkich spódniczkach ładne kelnerki, które ciągle myliły zamówienia.

Zacząłem się zastanawiać, czy Susan znów się wkurzyła i zamierza mnie wystawić. Kobiety nie zwracają uwagi na to, co się dzieje wokół, kiedy są wściekłe na faceta. Robiły mi sceny w sowieckiej Moskwie, Berlinie Wschodnim i innych miejscach, gdzie zwracanie na siebie uwagi nie jest dobrym pomysłem, i nie obchodziły ich ani okoliczności, ani sytuacja; są wkurzone i już.

Druga możliwość była taka, że Susan została wezwana na przesłuchanie. Po porannej scenie w komendzie policji nie zdziwiłbym się, gdyby postanowili ją wykorzystać, żeby dać mi się we znaki. Mimo naszych uników wiedzieli, że jesteśmy razem.

Większy niepokój budził we mnie kolt i możliwość, że ktoś mógł zobaczyć, jak Susan go zakopuje. Ale gdyby nawet policja została zaalarmowana, nie wykonałaby ruchu, zanim ktoś się zjawi, żeby go odkopać. Właśnie dlatego zamierzałem go tam zostawić.

Zamówiłem drugą whisky. Trzech znanych mi już z widzenia weteranów siedziało kilka stolików dalej; znaleźli sobie towarzystwo trzech dwudziestokilkuletnich kobiet, dość młodych, żeby mogły być ich córkami. Ci faceci może byli kiedyś oficerami, ale teraz na pewno nie byli dżentelmenami, lecz świntuchami. Kobiety wyglądały i zachowywały się jak

Amerykanki, ale trudno było coś na ich temat powiedzieć poza tym, że są turystkami i że lubią facetów w średnim wieku, z grubą forszą.

Tak czy owak, było wpół do siódmej. Zaczynałem się trochę niepokoić. Właśnie dlatego Nie dość, że muszę uważać na własny tyłek, to jeszcze mam się martwić o cywila. lepiej jest podróżować samemu, zwłaszcza w czasie misji, która może się stać ryzykowna.

A może Susan nie jest cywilem. Przypomniałem sobie pana Anha, który, podobnie jak Susan,

wyświadczał przysługę Wujowi Samowi. To miasto stawało się Berlinem Wschodnim postzimnowojennego świata, z mnóstwem podejrzanych ludzi, którzy zawierają jakieś tajemnicze układy i oddają przysługi, chodząc z szeroko otwartymi oczami i uszami. CIA musi czuć nowy przyływ animuszu, mając miejsce, gdzie znów może mieszać w szambie.

Amerykanie, którzy naturalnie nie lubią przegrywać, odebrali dobrą powojenną lekcję od Niemców i Japończyków: jeśli przegrywasz wojnę, wykup kraj zwycięzcy.

Susan stanęła w drzwiach i rozejrzała się. Zauważyła mnie gdy wstałem, i uśmiechnęła się. Zawsze można rozpoznać, czy ktoś naprawdę cieszy się na twój widok, ze sposobu, w jaki się uśmiecha, wyłowiwszy cię wzrokiem z tłumu.

Podeszła do stolika. Była ubrana w czarne dzinsy, których wcześniej nie widziałem, i biały sweter z trójkątnym wycięciem pod szyją - widziałem go również po raz pierwszy.

Uścisnęła mnie mocno i pocałowała.

- Wiedziałam, że wróciłeś bezpiecznie, bo sprawdziłam w recepcji - powiedziała.

- Zdrow i cały.

Usiadła, a ja zająłem miejsce naprzeciwko.

- Więc jak poszło? - spytała, prawie podekscytowana. - Byłeś na spotkaniu?

- Poszło świetnie. Co dzisiaj robiłaś?

- Byłam na zakupach i trochę zwiedzałam. Z kim się spotkałeś?

- Z białą kobietą imieniem Głębokie Gardło.

- Przestań, Paul. To takie ekscytujące. Czy to był mężczyzna? Amerykanin? Wietnamczyk?

- Facet. I tylko tyle ci powiem.

- Wiesz już, gdzie masz dalej wyruszyć?

Miałem wrażenie, że to, co mówię, do niej nie dociera.

- Tak, i to jest koniec rozmowy na ten temat.

- Daleko stąd?

- Czego się napijesz?

- San Miguel.

Zawołałem kelnerkę i zamówiłem piwo San Miguel.

- Gdzie się spotkałeś z tym facetem? - zapytała Susan. - Gdzie jest numer trzydzieści dwa? Założę się, że to jakieś oznaczenie na mapie w przewodniku.

- Dobrze spałaś?

- Spałam jak dziecko do południa. Byłeś na komendzie policji imigracyjnej?

- Tak.

- Dobrze poszło?

- Tak - odpadem i dodałem: - Właściwie zamieniliśmy parę słów.

- To dobrze. Kiedy jesteś dla nich miły, myślą, że coś kombinujesz. A kiedy pyskujesz, uważają, że jesteś czysty.

- Wiem o tym. Sam byłem gliną.

- Trzymałam się z dala od cytadeli, tak jak prosiłeś, i teraz musisz mi powiedzieć, gdzie się spotkałeś z tym facetem.

- W cytadeli, oczywiście.

- Myślisz, że byłeś śledzony?

- Nie byłem. Czy on był, nie wiem. Dzisiaj kupiłaś te ciuchy?

- Tak. Podobają ci się?

- Bardzo ładne.

- Dziękuję.

Kelnerka przyniosła piwo; Susan nalała sobie do szklanki i stuknęliśmy się. - Przepraszam za wczorajszą wieczór - powiedziała. - Nie potrzeba ci dodatkowych kłopotów.

- W porządku. Ja zrobiłem ci to samo w związku z Billem.

- Tak. Pozbyłam się go.

Nie skomentowałem.

babki. Świntuchy. Spojrzałem na weteranów i zauważyłem, że patrzą na Susan, mimo że już mają trzy

- Na co patrzysz?

- Na trzech Amerykanów, o tam. Z armii albo piechoty morskiej. Widziałem ich tu wczoraj na kolacji. Gapią się na ciebie.

- Są mili.

- To świntuchy.

- Te kobiety chyba dobrze się bawią.

- Też świntuchy..

- Wydaje mi się, że jesteś zazdrosny.

- Nie, nie jestem. Ale ty jesteś najpiękniejszą kobietą na sali,

- Jesteś taki kochany. - Zmieniła temat i spytała: - Wiesz, jak się dostać do tego miejsca, gdzie masz pojechać?

- Myślę, że tak.

W barze było dość hałaśliwie, więc nikt nie mógł nas słyszeć, a pianista grał *Once Upon a Time*, Pewnego razu, Tony'ego Bennetta. Uznałem, że czas dojść do sedna pewnych spraw, które mogły mieć wpływ na moje zdrowie.

- Chcę ci zadać parę pytań - powiedziałem. - Spójrz mi prosto w oczy.

Susan odstawiła szklankę i wyprostowała się. Popatrzyła na mnie.

- Dla kogo pracujesz?

- Dla Amerykańsko-Azjatyckiej Spółki Inwestycyjnej, Czasem oddaję przysługi amerykańskiemu konsulatu w Sajgonie i ambasadzie w Hanoi.

- Czy oddałaś kiedyś przysługę rezydentowi CIA w Sajgonie albo w Hanoi?

- W Sajgonie. Raz.

- To znaczy teraz?

- Tak.

- Płacą ci?

- Zwracają koszty.

- Przeszłaś oficjalne szkolenie?

- Tak. Miesiąc w Langley.

To tłumaczyło pobyt Susan w Waszyngtonie.

- Czy Amerykańsko-Azjatycka Spółka Inwestycyjna to zakamufLOWANA placówka CIA?

- Nie. To prawdziwa spółka inwestycyjna, ale ze specjalnie przeszkolonym personelem.

- Czy ktoś jeszcze z firmy oddaje przysługi służbom specjalnym?

- Nie mogę na to odpowiedzieć,

- Jakie dostałaś instrukcje dotyczące mnie?

- Spotkać się i powitać,

- Nie kazali ci wyciągać ode mnie informacji?

- Po co? Powiesz mi, dlaczego tu jesteś?

- Nie. Polecili ci ze mną jeździć?

- Nie. To był mój pomysł.

- A w tej chwili, Susan, jesteś w pracy czy prywatnie ?

- Prywatnie.

- Wierzę we wszystko, co mówisz. Rozumiesz? Jeśli coś mówisz, to jest to prawda. - To jest prawda.

- Kochasz mnie?

- Przecież wiesz, że tak. - Uśmiechnęła się po raz pierwszy i dodała: - Udałam jeden orgazm.

Powstrzymałem się od uśmiechu i spytałem:

- Czy wiesz coś o moim zadaniu, coś, czego ja nie wiem?

Milczała.

- Odpowiedz.

- Nie mogę. Nie chcę cię okłamywać, więc nie mogę nic powiedzieć.

- Spróbujmy jeszcze raz. Co w ogóle wiesz o moim zadaniu?

Łyknęła piwa, odchrząknęła i oświadczyła:

- Nie wiem, jaki jest cel twojej misji, ale myślę, że CIA wie. Lecz nie kwapili się, żeby mi powiedzieć. Myślę, że każdy ma po kawałku układanki, nie mówi jednak, co wie.

To prawdopodobnie była prawda. Ciekawe, czy sam Karl ma pełen obraz.

- Spotkać się i powitać to chyba nie wszystko - zauważyłem.

- Oczywiście, chodziło o coś więcej. Poproszono mnie, żebym zrobiła ci wykład na temat kraju, ale żeby nie wyglądało to jak odprawa. Miałam ci pomóc się zaaklimatyzować i przygotować cię do podróży. - Po chwili dodała: - Ale tego sam się domyśliłeś.

- No dobrze, czy oprócz rezydenta CIA w Sajgonie rozmawiałas z kimś z amerykańskiej ambasady w Hanoi?

- Tak. Z amerykańskim attache wojskowym pułkownikiem Markiem Goodmanem. Przyleciał do Sajgonu, żeby ze mną porozmawiać.

- O czym?

- Chciał się upewnić, czy mam to, czego trzeba.

- Do czego?

- Do... zdobycia twojego zaufania.

- To dość niejasne.

- Stawiasz mnie w trudnej sytuacji.

- To moje życie wisi na włosku, droga pani. Słucham.

- Nie kazano mi z tobą jechać. Ale miałam ci zaproponować spotkanie tu, w Hue, albo wytłumaczyć ci, że jadę tu służbowo lub coś w tym rodzaju. Potem miałam powiedzieć, że spotkam się z tobą jeszcze raz w Hanoi.

- A gdybyś mi się nie spodobała?

- Większości mężczyzn się podobam.

- Żeby zobaczyć, czy mogę ci jakoś pomóc, czy jesteś zdrowy, jakie jest twoje - Nie wątpię. Po co miałaś się ze mną spotkać w Hue?

nastawienie, czy masz problemy z policją, jak przebiegła schadzka i tak dalej. Przecież sam wiesz.

- No dobra. Czy ten attache wojskowy, pułkownik Goodman, i facet z CIA rozmawiali ze sobą w Sajgonie?

- Tak. Ale beze mnie.

- Rozumiesz, że attache wojskowy to w rzeczywistości oficer wywiadu wojskowego?

Susan skinęła głową.

- Kim jest rezydent CIA w Sajgonie?

- Nie mogę powiedzieć.

Wyglądało na to, że wszyscy są wtajemniczeni oprócz mnie. Przedstawiciel wywiadu wojskowego i CIA rozmawiali ze sobą o sprawie prowadzonej przez CID i FBI, o której nie mieli prawa wiedzieć, ale najwyraźniej wiedzieli. Jaki był związek? Doprawdy, im dłużej myślałem o panu Conwayu, tym mniej kojarzył mi się z FBI, a bardziej z armią; chcieli zrobić wrażenie, że FBI się włączyło, bo chodzi o śledztwo w sprawie zabójstwa, a nie o problem międzynarodowy. Nie tylko pułkownik Mang podawał się za kogoś, kim w rzeczywistości nie był - to samo zrobił Conway. I Susan. W tej chwili nie zdziwiłbym się zbytnio, gdybym odkrył, że pracuję dla pułkownika Manga.

- Paul?

- Co?

- Gniewasz się na mnie?

- Jeszcze nie. Więc kiedy motywowali cię do tego, byś użyła swych wdzięków do zdobycia mojego zaufania, na co się powołali?

- Bezpieczeństwo narodowe. Obowiązek patriotyczny. I tym podobne rzeczy.

- Co jeszcze?

- Kochasz mnie wciąż?

- Bardziej niż kiedykolwiek. Co jeszcze?

- Mówiłam ci już kilka razy. Chodzi o rodzące się więzi między Ameryką i Wietnamem. Biznes. Ropa. Handel. Tania siła robocza. Nie chcą, żeby ktoś to popsuł, ja też nie chcę.

- Kto chce to popsuć?

- Też ci mówiłam. Beton w Hanoi.. i może w Waszyngtonie

- I powiedzieli ci, że moja misja może pomóc lub zaszkodzić tej sprawie?

- Dali do zrozumienia, że może pomóc.

- Pewnie tak, bo inaczej zepchnęłabyś mnie z dachu Reksa.

- Nie wygłupiaj się. Kazali mi pomagać.

- Gdybym ci powiedział, co tutaj robię, myślisz, że mój kawałeczek układanki pasowałby do twojego?

- Nie wiem.

- Chcesz się nimi wymienić? Ty pierwsza.

- Nie potrzebuję wiedzieć, czemu tu jesteś, i nie chcę.

- Albo już wiesz.

- Nie wiem. Jesteś na mnie wściekły?

- Jeszcze nie.

- Wciąż mnie kochasz?

- Bardziej niż kiedykolwiek.

- To dobrze. Mogę zapalić?

- Pewnie. Odpalaj.

Wyjęła z torebki paczkę i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się długo i wypuściła dym, a potem wyprostowała się na krześle i założyła nogę na nogę.

- To ma związek z zatoką Cam Ranh - oznajmiła.

- Okej.

- Zbudowaliśmy tę bazę i chcemy ją odzyskać.

- Wiem o tym.

- Filipińczycy nas wykopali, a Japończycy przymierzają się do ograniczenia naszej obecności. Termin rosyjskiej dzierżawy zatoki Cam Ranh upływa za kilka lat, a Rosjanie płacą według stawki ustalonej w siedemdziesiątym piątym roku w nowych rublach, które są prawie bezwartościowe. Hanoi chce się ich pozbyć.

- Prawdziwe pieniądze mówią po angielsku.

- Właśnie. W grę wchodzi miliardy zielonych dolarów dla Hanoi za długoterminową dzierżawę.

- Słucham dalej.

- Wietnamczycy nienawidzą Chińczyków i boją się ich. Zawsze tak było. Amerykanie boją się Chińczyków. Waszyngton zakłada w planach strategicznych, że za dwadzieścia lat będziemy prowadzić wojnę z komunistycznymi Chinami. W tym regionie brakuje nam baz wojskowych. Poza tym w tutejszych wodach przybrzeżnych jest dużo ropy.

- Więc nie chodzi o ryż, gumę ani orzeszki ziemne?

- Nie. Chodzi o ropę i bazy wojskowe.

- Rozumiem. Mów dalej.

- Pentagon i pewni ludzie w Waszyngtonie bardzo się tym podniecają. Obecna administracja nie podziela ich entuzjazmu. Nie chce drażnić Chińczyków, którzy wściekliby się, gdybyśmy założyli bazę wojskową w zatoce Cam Ranh.

Skinąłem głową. Miałem teraz kawałek układanki, ale niepasujący do mojego kawałka. To znaczy, musiał pasować, lecz między nimi był jeszcze jeden.

- Hanoi chętnie przepisze nam Cam Ranh - ciągnęła Susan - mimo twardego oporu starych czerwonych, którzy wciąż nas nienawidzą. Ale to obecny amerykański rząd nie ma odwagi o to zawalczyć, mimo że prawie wszyscy w Pentagonie i w wywiadzie mówią:

zróbcie to. W razie przyszłej wojny to kluczowa sprawa. To będzie dobre i dla nas, i dla Wietnamczyków.

Nie odpowiedziałem, ale w głowie mi się zakręciło na myśl o tym, że amerykańscy żołnierze, marynarze i lotnicy znów mogą być na wietnamskiej ziemi.

Susan napiła się piwa i zapaliła drugiego papierosa.

- Zaskoczyłeś mnie, pytając kapitana Vu o amerykańskie okręty wojenne - powiedziała.

- To nie jest wyższa matematyka, ale abecadło geopolityki. Mówili o tym w wiadomościach.

- Nie bądź taki skromny, Paul.

- Dobra. Niech zgadnę, skąd to wszystko wiesz. Jesteś szefową tutejszej placówki CIA.

Uśmiechnęła się.

- Nie. Jestem tylko zepsutą smarkulą z dobrego domu, z dyplomem MBA, szukającą przygody na obczyźnie. - Zgasiała papierosa w popielniczce i nie patrząc na mnie, oznajmiła: - Szefem CIA w Sajgonie jest Bill Stanley. Nie mów nikomu, że ci to powiedziałam.

Spojrzałem jej w oczy,

- Czy w Bank of America o tym wiedzą? - spytałem.

- On nie pracuje w Bank of America. Przyleciałeś do Sajgonu w weekend, więc nie mogłeś się rozejrzeć, ale zabrałam cię do mojego biura.

- Tak. Czy ty i Bill jesteście... związani?

- To akurat jest prawda, A właściwie była.

- Dobrze się bawisz?

- Nie, jeśli jesteś na mnie zły.

- Ja? Dlaczego miałbym być na ciebie zły?

- Przecież wiesz. Bo okłamałam cię w kilku sprawach.

- Serio? Teraz też kłamiesz?

- Powiedziałam ci wszystko, co wiem. Wyleją mnie.

- Miałabyś szczęście. Powiedz mi, dlaczego tu jestem.

- Naprawdę nie wiem.

- A Bill wie?

- Musi coś wiedzieć.

- Ale nie podzielił się z tobą swoją wiedzą?

- Nie.

- Po co miałaś się ze mną spotkać w Hanoi?

- Nie jestem pewna. Powiedzieli, że możesz potrzebować rozmowy w Hanoi z kimś, komu możesz zaufać. Nie z pracownikiem ambasady. Mówili, że jeśli wrócisz z misji, możesz być... wstrząśnięty tym, co odkryłeś. - Po chwili dodała: - Ja mam przekazać ambasadzie wiadomości o stanie twojego umysłu, o tym, co myślisz. - I przyjęłaś to tak po prostu?

- Rozumiem, że im mniej wiem, tym lepiej.

- Skąd wzięłaś broń?

- Z sejfów w firmie. To też prawda.

- Zdajesz sobie sprawę, że mniej więcej połowa z tego, co mi powiedziałaś przez ten tydzień, to kłamstwa, półkłamstwa i zwykły kit?

Skinęła głową.

- A więc? Czemu miałbym ci teraz wierzyć w cokolwiek?

- Nie będę cię więcej okłamywać.

- To mnie nie obchodzi.

- Nie mów tak. Wykonywałam swoją pracę. Potem się zakochałam. To się zdarza.

- Czyżby?

- Nie mnie. Innym ludziom. Naprawdę nienawidziłam się za to, że nie jestem z tobą szczerą. Ale myślałam, że i tak się domyślisz. Jesteś bardzo bystry.

- Nie próbuj mnie rozmiękczać.

- Jesteś na mnie wściekły.

- Zgadłaś.

- Kochasz mnie jeszcze?

- Nie.

- Paul? Spójrz na mnie.

Spojrzałam.

Uśmiechnęła się do mnie smutno.

- Wiesz, to nie będzie w porządku, jeśli bogowie w Waszyngtonie wejdą między nas. Jeśli się rozdzielimy, oboje zamienimy się w kamień.

Miała rację co do Waszyngtonu, i chyba można powiedzieć, że oboje byliśmy manipulowani i okłamywani.

- Oczywiście, że cię kocham.

Uśmiechnęła się.

- Który orgazm udałoś? - spytałem. Uśmiechnęła się szerzej.

- Ty mi powiedz. - I dodała: - Już więcej tego nie zrobię.

Siedzieliśmy tak, zamówiliśmy jeszcze jedną kolejkę i każde uciekło we własne myśli, starając się to wszystko rozwikłać.

- Dostałeś dzisiaj jakieś wiadomości? - spytała wreszcie Susan.

- Nie.

- Dlaczego chcą, żebyś mnie zostawił?

- Nie wiem. A ty wiesz?

- Pewnie dlatego, że nie podoba im się to, co między nami się stało. Naprawdę nie chcą, żebyśmy połączyli to, co wiemy. - Potem dodała: - Mam dla nich pracować, ale już mi nie ufają. Ty też nie.

Zostawiłem ostatnie stwierdzenie bez komentarza.

- Wydaje mi się, że na płaszczyźnie osobistej twój drogi Bill naciskał Waszyngton, żeby oni nacisnęli mnie, żebym cię zostawił.

- Nie wątpię. On jest na ciebie naprawdę wściekły. - Roześmiała się.

- Powinien mi podziękować, że pozbawiłem go bólu głowy.

- To nie było miłe.

Nie skomentowałem tego, tylko spytałem:

- A ty dostałaś wiadomość?

- Tak. Wiedzą, że tu jestem, naturalnie. Dostałam wiadomość od Billa z rozkazem powrotu do Sajgonu. W żargonie handlowym. Napisał, że mnie wyrzucą dyscyplinarnie, jeśli nie stawię się w poniedziałek w pracy. Na lotnisku Hue-Phu Bai czeka na mnie bilet. - Powinnaś jechać i wszystko wyprostować.

- Powinnam, ale nie pojedę. Chcę jechać z tobą do Quang Tri. - Świetnie. Załatwiłem samochód terenowy z kierowcą na ósmą rano. Zawiezie nas do doliny A Shau, do Khe Sanh i Quang Tri. Poprosiłem o pana Cama.

- Pan Cam siedzi teraz w domu z rodziną przed ołtarzem, prosząc bogów, żeby wymazali nas z jego pamięci - roześmiała się.

- Mam nadzieję.

- Paul?

- Tak?

- Czy mogę ci coś poradzić?

- Za darmo?

- Tak. I z głębi serca. Nie jedź tam, gdzie cię wysyłają. Wróc ze mną do Sajgonu.

- Dlaczego?

- To niebezpieczne. Wiesz o tym. Nie powinnam ci tego mówić. To moja osobista rada.

Skinałem głową.

- Dziękuję. Lecz jak ci pewnie powiedzieli, jestem odporny na dobre rady.

- Tego nie wiedziałam. Ale wiem, że uważasz tę misję za próbę swojej odwagi. Być może masz jeszcze inne osobiste powody, żeby jechać dalej. Nie chodzi o obowiązek, honor i ojczyznę, jeśli w ogóle kiedykolwiek chodziło. Mnie już dowiodłeś odwagi; napiszę wyczerpujący raport o tym, co się stało na autostradzie numer jeden i o wszystkim innym. Musisz zrezygnować. Jutro pojedziemy do Quang Tri, doliny A Shau i Khe Sanh i dasz sobie spokój. Potem wrócimy razem do Sajgonu, dostaniemy od wszystkich opieczętowane listy, a później... polecisz do domu.

- A ty?

Wzruszyła ramionami.

Pomyślałem przez sekundę o tej kuszącej ofercie.

- Kończę robotę. Nie ma o czym mówić - odparłem.

- Mogę z tobą jechać?

Spojrzałem na nią.

- Jeśli myślisz, że na autostradzie numer jeden było źle, to zobaczysz, co będzie teraz.

- Nie dbam o to, naprawdę. Mam nadzieję, że wiesz już, że umiem sobie radzić. - Milczałem. - Twoje szanse powodzenia wzrosną o jakieś pięćset procent, jeśli z tobą będę - poinformowała mnie.

- Ale czy w ten sposób podwoję moje zarobki?

- Pewnie tak. Paul, to, że mnie zabierzesz, nie ma złych stron.

- To ma być żart, prawda? Posłuchaj, doceniam to, że jesteś gotowa ryzykować więzienie, a może nawet życie, żeby ze mną być, ale...

- Nie chcę się martwić o ciebie przez cały następny tydzień. Chcę być z tobą.

- Susan... może to zabrzmieć jak męski szowinizm, ale są chwile, kiedy mężczyzna...

- Daruj sobie te pierdoły.

- Dobrze. Więc może inaczej. Ciągle myślę o zdjęciach w twoim biurze, czasem widzę cię jako małą córeczkę państwa Weberów, widzę resztę twojej rodziny w Massachusetts... i choć nie znam tych ludzi, nigdy nie mógłbym spojrzeć w oczy ani im, ani sobie, gdyby coś ci się przeze mnie stało.

- To bardzo ładne. Świadczy o wrażliwości. Ale przecież wiesz, że gdyby coś się stało w drodze do Hanoi, prawdopodobnie stałoby się nam obojgu. Mielibyśmy sąsiednie cele,

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

sąsiednie łóżka w szpitalu albo trumny w samolocie. Nie będziesz się musiał z niczego tłumaczyć moim rodzicom ani nikomu.

Spojrzałem na zegarek.

- Jestem głodny. - Nie zjesz kolacji, dopóki się nie zgodzisz.

Wstałem.

- Chodźmy.

Susan też wstała.

- Dobrze, możesz zjeść kolację. Wiedziałam, że powinnam była cię poprosić w łóżku. Tam moge od ciebie dostać wszystko.

- Pewnie tak.

Wyszliśmy na zewnątrz. Padało, więc pojechaliśmy taksówką na drugą stronę rzeki... do cytadeli, gdzie Susan zarezerwowała miejsca na kolację.

Restauracja nazywała się Huong Sen i była szesnastokątnym pawilonem stojącym na palach pośrodku sadzawki z lotosami.

Usiedliśmy przy stoliku obok balustrady i zamówiliśmy drinki; patrzyliśmy, jak krople deszczu padają na wodę, i słuchaliśmy rechotania żab. To był bardzo ładny lokal, z ciekawym klimatem, oświetlony kolorowymi latarniami i świecami na stolikach. Krótka mówiąc, było romantycznie. Żadne z nas nie wspomniało słowem o sprawach służbowych ani o tym, o czym mówiliśmy w barze.

Zjedliśmy kolację i rozmawialiśmy o domu, przyjaciółach i rodzime, ale nie o nas ani o naszych planach na przyszłość.

Wydawało mi się, że w barze użyłem słowa na „K”; próbowałem sobie przypomnieć, co powiedziałem. Może nawet go nie użyłem, lecz pamiętam, że odpowiedziałem twierdząco na zadane pytanie.

Susan patrzyła na deszcz padający na taflę wody, a ja patrzyłem na jej profil.

Powinienem być na nią niewiarygodnie wściekły, lecz nie byłem. Nie powinienem już uwierzyć w ani jedno jej słowo, ale wierzyłem. Fizycznie była nieskazitelna, a na poziomie intelektualnym okazała się godnym przeciwnikiem. Gdybym miał ją scharakteryzować w raporcie, napisałbym, że jest odważna, inteligentna, zaradna, zdecydowana i lojalna. Była to podzielona lojalność, ale jednak lojalność.

Czy ją kochałem?

Myślę, że tak. Lecz to, co się tutaj stało, nigdzie indziej mogłoby się nie zdarzyć. Może nie dałoby się przenieść w inne miejsce. No i była jeszcze Cynthia.

Susan odwróciła się i zobaczyła, że na nią patrzę. Uśmiechnęła się.

- O czym myślisz?

- O tobie.

- A ja o tobie. Próbuję wymyślić szczęśliwe zakończenie.

Nie odpowiedziałem.

- Potrafisz wymyślić szczęśliwe zakończenie?

- Wspólnie nad tym popracujemy.

Spojrzelismy na siebie i chyba obojgu nam przyszła do głowy ta sama myśl: szanse na szczęśliwe zakończenie są niewielkie.

Rozdział 30

Następnego ranka, w poniedziałek, czekaliśmy z Susan w hotelowym holu na samochód i kierowcę. Oboje mieliśmy na sobie dzinsy, koszule z długimi rękawami i buty turystyczne. Hol roił się od gości czekających na autokary, samochody i przewodników. Zrozumiałem, że Hue jest mekką turystów, celem wycieczek między Sajgonem i Hanoi, a także, jak się okazało, dobrym miejscem na moją tajną randkę.

- Jak się dostaniesz tam, dokąd jutro chcesz jechać? - spytała Susan.

- Jeszcze nie wiem. Później o tym porozmawiamy.

- Czy to znaczy, że chciałbyś, żebym ci pomogła?

- Może.

- Poradzę ci coś już teraz. Nie wynajmuj samochodu w Vidotour. Równie dobrze mógłbyś zabrać ze sobą pułkownika Manga.

- Dziękuję. Już się domyśliłem.

Wyszliśmy przed hotel; był kolejny szary pochmurny dzień, chłodny i wilgotny, choć bez deszczu.

- Naprawdę mnie wczoraj zmęczyłeś - powiedziała Susan.

- Byłem strasznie napalony.

- Nie o tym mówię. W barze.

- Ach. To ci się od dawna należało, moja droga.

Na okrężny podjazd hotelu zajechał gazik RAV 4 bez dachu. Zatrzymał się. Kierowca wysiadł i zagadnął portiera, który wskazał na nas.

Mężczyzna podszedł, a Susan odezwała się do niego po wietnamsku. Dogadywali się przez minutę, pewnie w kwestii ceny, bo Susan właśnie o tym najbardziej lubi rozmawiać z Wietnamczykami.

Miał około czterdziestki, a ja wpadłem w nawyk określania wieku Wietnamczyków... w odniesieniu do wojny. Ten facet mógł mieć pod koniec wojny jakieś piętnaście lat... być może nosił karabin, a może był w lokalnych siłach obronnych Wietnamu Południowego, składających się przeważnie z dzieciaków i starszych mężczyzn, albo w Wietkongu, w którego szeregach też było mnóstwo chłopców i dziewcząt.

Susan przedstawiła mi kierowcy, który nazywał się Loc. Nie sprawiał wrażenia sympatycznego i nie wyciągnął do mnie ręki. Większość Wietnamczyków, jak zauważyłem, była w kontaktach z cudzoziemcami albo bardzo cwana, albo bardzo grzeczna. Cudzoziemcy to szmal, poza tym jednak przeciętny Nguyen jest grzeczny, dopóki się go nie wkurzy. Pan Loc nie wyglądał na wynajętego

kierowcę ani nie zachowywał się jak kierowca; pan Loc przypominał mi facetów o ściągniętych twarzach, facetów, których widziałem w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego w Sajgonie. Jako oficer śledczy, prowadzący sprawy kryminalne, odgrywam wiele ról i jestem w tym dobry, i dlatego uważam, że pan Loc nie wszedł zbyt dobrze w rolę kierowcy, podobnie jak pułkownik Mang niezbyt dobrze udawał policjanta imigracyjnego.

- Pan Loc chce wiedzieć, dokąd jedziemy, żeby mógł zadzwonić do swojej firmy - wyjaśniła Susan.

- A Shau, Khe Sanh, Quang Tri - zwróciłem się wprost do niego.

Nawet nie potwierdził, że przyjął to do wiadomości. Wszedł do hotelu.

- Zamówiłem samochód, korzystając z hotelowej obsługi, która, jak wiesz, jest zobowiązana korzystać z usług Vidotouru - powiedziałem do Susan. - Poproś tego kłowna o wizytówkę.

Skinęła głową. Kiedy pan Loc wrócił, poprosiła o wizytówkę. Kierowca potrząsnął głową i coś odrzekł.

- Mówi, że zapomniał wziąć. Wietnamczycy, którzy mają wizytówki, są z nich bardzo dumni; prędzej zapomną wziąć papierosy niż wizytówki.

- Dobrze, więc jesteśmy pod obserwacją. Spytaj go, czy ma mapę.

Otworzyłem ją i rozpostarłem na masce. Pan Loc stał obok, a ja zwróciłem się do Susan: Po zadanym pytaniu kierowca bez słowa wziął mapę z przedniego fotela i podał mi.

- Tu jest dolina A Shau, dokładnie na zachód od Hue. Droga kończy się pośrodku doliny w miejscu zwanym A Luoi, koło granicy z Laosem, gdzie pod koniec kwietnia sześćdziesiątego ósmego roku przerzucili mnie śmigłowcem. Z A Luoi prowadzi ta przerywana linia, która może być do sforsowania, ale może też nie być. To była część Szlaku Ho Szi Mina. Spytaj pana Loca, czy możemy nią dotrzeć do Khe Sanh.

Susan zapytała, choć kierowca prawdopodobnie rozumiał, co mówię. Coś odpowiedział, a Susan przetłumaczyła:

- Pan Loc mówi, że droga jest w większości gruntowa, ale jeśli nie pada, możemy dojechać do Khe Sanh.

- Dobrze. Spytaj go, czy możemy wszyscy mówić po angielsku i przestać się wygłupiać.

- Myślę, że odpowiedź brzmi nie.

- Okej. Po A Shau pojedziemy jakieś siedemdziesiąt kilometrów na północ do Khe Sanh, gdzie też przeprowadzaliśmy desant z helikoptera wczesną wiosną sześćdziesiątego ósmego. Potem ruszymy na wschód, z powrotem w stronę wybrzeża autostradą numer dziewięć wzdłuż granicy strefy zdemilitaryzowanej i dotrzemy do miasta Quang Tri, gdzie mieściła się moja baza i gdzie stacjonowałem przez większość ofensywy Tet w styczniu i lutym sześćdziesiątego ósmego roku. Podróżujemy więc wstecz w czasie w odwrotnym porządku chronologicznym. - Po chwili dodałem: - Zrobimy to w tej kolejności, bo nie chcę być w dolinie A Shau, kiedy się ściemni. - Susan skinęła głową. - To jest w sumie około dwustu kilometrów, a potem pojedziemy jakieś osiemdziesiąt kilometrów na południe i znajdziemy się z powrotem w Hue. - Złożyłem mapę i rzuciłem na przedni fotel.

Susan zapaliła papierosa, spojrzała na mnie i spytała:

- Myślałeś kiedyś, że wrócisz tutaj w taki sposób?

Odsunąłem się od samochodu i pana Loca i zastanowiłem się.

- Z początku nie - odparłem. - Kiedy stąd ostatnim razem wyjeżdżałem w siedemdziesiątym drugim, wciąż jeszcze trwała wojna. Potem przez dziesięć lat komuniści trzymali ten kraj twardą ręką, a Amerykanie nie byli szczególnie mile widziani... Ale pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy sytuacja zaczęła się trochę rozluźniać i kiedy się trochę zestarzałem, zacząłem myśleć o powrocie. Weterani zaczęli tu przyjeżdżać i prawie żaden z tych, których znałem, nie żałował tej wycieczki.

- No i jesteś tutaj.

- Taak. Ale to nie był mój pomysł.

- Tak samo jak za pierwszym i drugim razem.

- Do drugiej tury zgłosiłem się właściwie na ochotnika - odparłem.

- Dlaczego?

- Z różnych powodów... To było dobre posunięcie z perspektywy kariery... byłem już wtedy policjantem wojskowym, a nie piechociarzem. Poza tym w domu robiło się trochę burzliwie, a żona napisała do Pentagonu list na moim papierze, że chcę wracać do Wietnamu.

Susan parsknęła śmiechem.

- To idiotyczne. - Spojrzała na mnie i dodała: - Więc w zasadzie wyjechałeś do Wietnamu, żeby uciec od małżeństwa.

- Właśnie. Wybrałem tchórzowskie rozwiązanie. - Pomyślałem przez chwilę i dodałem: - No i miałem brata, Benny'ego, który... Oni prowadzili taką niepisaną politykę, że tylko jeden mężczyzna z rodziny może być w strefie działań wojennych... Benny był podatny na różne wypadki, więc kupiłem mu trochę czasu. Na szczęście amerykański udział w wojnie skończył

się, zanim Benny dostał rozkaz wyjazdu. Trafił do Niemiec. Nie lubię opowiadać tej historii, bo wychodzę w niej na szlachetniejszego, niż jestem.

Susan położyła rękę na moim ramieniu.

- To było bardzo odważne i szlachetne. Zignorowałem jej słowa.

- Ten mały drań zasypywał mnie potem swoimi zdjęciami w barach z jakąś Fraulein na kolanach. Moja mama, która o niczym nie ma pojęcia, powtarzała wszystkim, że posłali Benny'ego do Niemiec, bo przez rok uczył się niemieckiego w liceum. A Paul uczył się francuskiego, więc wysłali go do Wietnamu, gdzie podobno mówi się po francusku. Ona myślała, że Wietnam leży pod Paryżem.

Susan się roześmiała.

- Gotowa do drogi?

- Tak.

Zgasiła papierosa i usiedliśmy na tylnych siedzeniach.

- Twoi rodzice żyją? - spytała Susan.

- Tak.

- Chciałabym ich poznać.

- Podam ci ich adres.

- A Benny?

- Wciąż żyje i czaruje. Mam też drugiego brata, Daveya, który wciąż mieszka w południowym Bostonie.

- Chciałabym poznać ich wszystkich.

Spróbowałem sobie wyobrazić Weberów z Lenox przy kuflach piwa z Brennerami z południowego Bostonu... nie wypadło to przekonująco.

Pan Loc usiadł za kierownicą i ruszyliśmy.

Jechaliśmy ocienioną drzewami drogą obok kilku hoteli i restauracji, Cercie Sportif oraz Muzeum Ho Szi Mina i po kilku minutach znaleźliśmy się za rogatkami niewielkiego miasta wśród falujących wzgórz; kierowaliśmy się na południe.

Dostrzegalem rozrzucone tu i ówdzie grobowce cesarzy i mury w parkach z ogromnymi drzewami. Susan zrobiła zdjęcie z jadącego samochodu.

Większość turystów, jak podejrzewałem, wyjeżdżała z miasta, żeby zobaczyć grobowce i pagody, ale ja wybierałem się gdzie indziej.

- Nie musiałaś ze mną jechać - powiedziałem do Susan. - Są lepsze rzeczy do oglądania niż pola bitwy.

Wzięła mnie za rękę i odparła:

- Widziałam większość atrakcji, kiedy tu ostatnio byłam. Tym razem chciałam zobaczyć to, co ty widziałeś.

Nie byłem pewien, czy ja sam chcę zobaczyć to, co widziałem.

Droga prowadziła dalej na południe przez nekropolię, a potem skręciła na zachód. Ze względu na trwający tydzień świąt Tet na drodze nie było zbyt tłoczno. W wioskach widziałem bawiące się dzieci i całe rodziny siedzące przy posiłku pod drzewami.

Wziąłem mapę z przedniego fotela i spojrzałem na nią. Była to w zasadzie mapa drogowa, i to niezbyt dobra. Mapy, których kiedyś używałem, były dokładnymi mapami wojskowymi, częściowo skopiowanymi z francuskich. Były foliowane, żeby mogły wytrzymać w tym klimacie; ołówkami kopiowymi zaznaczaliśmy na nich amerykańskie bazy ogniowe, lotniska, obozy i inne instalacje. Wywiad wojskowy ciągle aktualizował nasze informacje o dyslokacji oddziałów Wietkongu i armii Wietnamu Północnego, a my odnotowywaliśmy je na mapach. Nie wiem, skąd oni brali te informacje, ale do większości potyczek dochodziło w miejscach, gdzie nieprzyjaciela rzekomo nie było.

Podniosłem głowę i zobaczyłem, że zbliżamy się do Rzeki Perfumowej. Według mapy nie było mostu - i nie było go faktycznie, gdybym przypadkiem liczył na miłą niespodziankę

Pan Loc wjechał na prom, który mógł pomieścić dwa pojazdy.

Byliśmy jedynym oczekującym samochodem i przewoźnik coś do nas powiedział. - Możemy zapłacić za dwa pojazdy albo możemy tu spędzić cały dzień - przetłumaczyła Susan. - Dwa dolce.

Dałem mężczyźnie dwa dolary i wysiedliśmy z gazika. Stanęliśmy na pokładzie, a prom sunął w poprzek Rzeki Perfumowej. Susan pstryknęła zdjęcie.

- Spytaj pana Loca, czy możesz go sfotografować - powiedziałem.

Zapytała, a kierowca potrząsnął głową i odpowiedział coś ostrym tonem.

- Nie chce, żeby go fotografowano - wyjaśniła. Spojrzałem na drugi brzeg.

- Korpus inżynieryjny armii łączył brzegi rzek mostami pontonowymi. Ale Chuck nie lubił widoku stojących mostów, więc załadowywał bambusową tratwę środkami wybuchowymi i czekał na przejazd konwoju. Wtedy podpływał, starając się wyglądać jak Tom Sawyer czy Huckleberry Finn, w ostatniej chwili nastawiał zapalnik, opuszczał okręt i odpływał pod wodą, oddychając przez trzcinę. Przeważnie zauważaliśmy, co się kroi, i rozwalaliśmy Chucka w wodzie razem z tratwą, zanim dopłynął do mostu. - Susan milczała. - Właśnie dlatego lubiliśmy służbę na moście - ciągnąłem. - To była jedna z ciekawszych gier, które uprawialiśmy. - Spojrzałem na Susan, która przetwarzała te informacje w głowie. - Cóż, chyba trzeba było tam być.

- Paul, teraz, kiedy dorosteś i dojrzałeś, kiedy możesz spojrzeć na wszystko z dystansu, czy uważasz to za... wykraczające poza granice normalnych zachowań? - spytała.

- Wtedy wydawało się normalne. To znaczy, wszystko, co robiliśmy, mówiliśmy i myśleliśmy, było adekwatne do sytuacji. Każdy inny rodzaj zachowań, który ty nazwałabyś normalnym, byłby wówczas uznany za anormalny. Ekscytowanie się siedzeniem przez cały dzień na moście, oczekiwanie na okazję, żeby rozwalić Charliego w wodzie... zamiast patrolować przez cały dzień w dżungli... wydaje mi się całkiem normalne. Nie zgadzasz się?

- Tak, chyba rozumiem.

- To dobrze. - Po chwili przyznałem jednak: - To rzeczywiście wydaje się trochę dziwne, jak teraz o tym pomyślę.

Dopłynęliśmy do brzegu i wsiedliśmy do samochodu. Pan Loc zjechał z promu na drogę i ruszyliśmy na zachód, w stronę wzgórz i gór majaczących w oddali.

Jechaliśmy najwyżej pięćdziesiątką, więc podróż do doliny A Shau zabrałaby nam ponad godzinę, jeśli droga miała pozostać równie dobra.

Krajobraz był pagórkowaty, lecz Wietnamczycy zdołali poszerzyć obszar uprawy ryżu za pomocą rowów i pomp wodnych. Okolica wyglądała na zamożniejszą i gęściej zaludnioną niż wtedy, gdy tu byłem.

Dotarliśmy do miasteczka o nazwie Binh Bien, które było ostatnią miejscowością przy tej drodze. Za nim zaczynały się tereny, które nazywaliśmy Terytorium Indiańskim.

Droga zaczęła się podnosić i niebawem byliśmy na wzgórzach pokrytych niskimi zaroślami i czerwonym łupkiem.

- Co noc musieliśmy się okopywać, więc znajdowaliśmy pagórek taki jak tamten, z najbardziej stromymi zboczami, dającymi najlepsze pole ostrzału - powiedziałem do Susan. - To jest

przeważnie łupek i wygrzebanie za pomocą małych narzędzi choćby wąskiej jamy do spania, która miała być też stanowiskiem ogniowym w razie nocnego ataku, trwało godzinami. Jama wyglądała jak płytki grób, którym się czasem stawała. Rozmieszczaliśmy wokół obozowiska kierunkowe miny odłamkowe i race. Miny były połączone drutem z przyciskowym generatorem, który wytwarzał dość prądu, żeby wzbudzić detonator. Mina wyrzucała setki kulek łożyskowych, niczym z gigantycznej wiatrówki, i każdy w promieniu

trzydziestu metrów na zewnątrz zostawał ścięty. To była bardzo skuteczna broń defensywna... gdyby nie te miny i race, większość z nas nie spałaby przez cały rok, który tu spędzaliśmy.

Susan skinęła głową.

stronach; roślinność stała się gęściejsza. Wzdłuż szosy płynął górski potok; domyślałem się, Droga zaczynała się więc przez bardzo wąską przełęcz ze stromymi zboczami po obu

że w czasie monsunu wylewał, czyniąc ją nieprzejezdną.

- To jedyna trasa do doliny z Wietnamu - wyjaśniłem - ale Amerykanie nigdy nie wjeżdżali lądem, bo ta przełęcz to gotowa zasadzka. Przylatywaliśmy śmigłowcami, a wszystko, czego potrzebowaliśmy, też było w ten sposób przywożone.

Asfalt prawie całkiem zniknął; wjeżdżaliśmy coraz wyżej, po zboczach przesuwaly się chmury, nad ziemią unosiła się mgła i robiło się chłodno. Pan Loc nie był złym kierowcą i nie szalał. Przez jakieś dwadzieścia kilometrów nie widzieliśmy żadnego pojazdu ani żadnej żywej duszy.

- Nigdy nie byłem tak daleko w głębi Wietnamu - powiedziała Susan. - Trochę tutaj straszno.

- To jest jak inny kraj. Całkowicie różny od nadmorskich równin. Jest tutaj mnóstwo Montagnardów.

- Kto to taki?

- Górskie plemiona. Jest ich dużo i noszą różne nazwy, ale zbiorczo nazywa się je z francuska Montagnardami.

- Ach. Teraz nazywamy ich mniejszościami etnicznymi albo autochtonami. To poprawne politycznie.

- Tak. To są Montagnardzi, czyli po prostu ludzie gór. W każdym razie lubili Amerykanów i nienawidzili rodowitych Wietnamczyków, z północy i z południa. Uzbroiliśmy ich po zęby, lecz sztuka polegała na tym, żeby zabijali tylko północno wietnamskich żołnierzy i partyzantów Wietkongu, a nie naszych sojuszników z armii Wietnamu Południowego. Ich motto brzmiało zdaje się: „Dobry Wietnamczyk to martwy Wietnamczyk”. - Po chwili spytałem: - Słyszałaś kiedyś o FULRO?

Pan Loc się odwrócił i spojrzeliśmy sobie w oczy. Teraz ten baran doniesie po powrocie, że przyjechałem tutaj, aby poprowadzić powstanie Montagnardów.

- Widziałam zdjęcia w muzeum wojennym... - odparła Susan.

- Właśnie. Ja też.

Susan pomyślała przez chwilę.

- Przez te wszystkie lata, kiedy tu jestem, nigdy nie widziałam górala,

- Nawet w Q-Barze?

Zignorowała to.

- Czy oni są... no wiesz... przyjaźnie nastawieni?

- Kiedyś tacy byli. Są całkiem fajni, jeśli się nie jest Wietnamczykiem. Może powinnaś się inaczej uczesać.

Podniosłem głowę i zobaczyłem pana Loca gapiącego się na nas w lusterku. Najwyraźniej rozumiał, co mówimy, i nie spodobała mu się rozmowa o FULRO i nienawiści Montagnardów do Wietnamczyków.

Wspięliśmy się na najwyższy punkt drogi i zaczęliśmy zjeżdżać w dół. Przełęcz była bardzo wąska i kręta, i częściowo spowita mgłą, więc nie mogliśmy widzieć doliny A Shau niżej przed nami.

- Spójrz. - Susan wskazała grań, na której stał na palach długi, pokryty strzechą budynek z okrągłaków. - Czy to dom górali?

- Na to wygląda.

Gdy podjechaliśmy na jakieś sto metrów, na krawędzi wzgórza nad nami ukazało się trzech mężczyzn z bardzo długimi włosami, w ubraniach przypominających kolorowe pledy.

Dwóch trzymało kałasznikowy, a trzeci amerykański M-16. Serce mi trochę przyspieszyło, panu Locowi chyba też, bo nacisnął hamulce.

Wlepił wzrok w trzech uzbrojonych facetów stojących niecałe pięćdziesiąt metrów od nas i powiedział coś do Susan.

- Pan Loc mówi, że ci ludzie są z plemienia Ba Co albo Ba Hy - przetłumaczyła. - Nie wolno im nosić broni, ale oni używają karabinów do polowania; władze nie bardzo mogą cokolwiek z tym zrobić.

To była dobra wiadomość. Podobała mi się myśl, że istnieją tutaj uzbrojeni cywile, nad którymi władza nie ma kontroli. Miałem tylko nadzieję, że pamiętają o swojej sympatii do Amerykanów.

Trzej górale spoglądali na nas z góry, lecz się nie ruszali. Postanowiłem dać im do zrozumienia, że tylko kierowca jest Wietnamczykiem. Podniosłem się i zawołałem:

- Halo! Wróciłem!

Spojrzeli po sobie, a potem na mnie.

- Jestem z Waszyngtonu i przyjechałem wam pomóc! - krzyknąłem.

- Chcesz, żeby nas zastrzelili? - spytała Susan.

- Oni nas kochają.

Trzej górale zamachali karabinami.

- W porządku, mówią, że możemy jechać - powiedziałem do pana Loca po angielsku, siadając. - Ruszajmy.

Wydawało się, że zrozumiał. Wrzucił bieg. Zjeżdżaliśmy dalej przełęczą w dół do doliny.

- To było niewiarygodne - powiedziała Susan. - A niech to, powinnam była zrobić zdjęcie.

- Jeśli ich sfotografujesz, utną ci głowę i spróbują ją wepchnąć do aparatu.

- Kretyn.

- Powiem ci, co robili z żołnierzami Wietnamu Północnego i partyzantami Wietkongu... obdzierali ich żywcem ze skóry, a potem ćwiartowali nożami i rzucali kawałki mięsa psom. żeby więzień patrzył, jak psy zjadają go po kawałeczku. Za każdym razem, gdy złapali wroga, psy szalały z radości. Większość wolała się zabić, niż wpaść w ręce Montagnardów.

- Mój Boże...

- Nigdy tego nie widziałem... ale widziałem raz ślady takiej zabawy... Dzięki temu chyba czuliśmy się lepiej, że nam aż tak nie odbiło.

Susan milczała.

Pan Loc odwrócił się i popatrzył na mnie. To nie było przyjemne spojrzenie.

- Jedź pan - rzuciłem.

Przełęcz zrobiła się szersza i nie tak stroma. Mgła się podniosła i widzieliśmy dolinę A Shau, usianą plamami mgły, które wyglądały stąd jak śnieg.

Popatrzyłem na dolinę, która wydała mi się bardzo znajoma. Nie dość, że nigdy nie myślałem, że jeszcze kiedyś zobaczę to miejsce, to kiedy tu byłem, myślałem, że jest to ostatnie miejsce, jakie widzę na ziemi.

- Pamiętasz tę dolinę? - spytała Susan, obserwując mnie. Skinąłem głową.

- Przyleciałeś helikopterem. I co potem?

Milczałem przez chwilę.

- Przylecieliśmy z bazy Evans, wysuniętej placówki Pierwszej Dywizji Kawalerii. Ogromna eskadra śmigłowców przewożących piechotę przygotowaną do natarcia. To było dwudziestego piątego kwietnia, akurat zrobiła się ładna pogoda. Nadlecieliśmy z północnego wschodu, znad tych wzgórz, przez które właśnie przejechaliśmy. Na północnym krańcu doliny jest miejsce zwane A Luoi, które było kiedyś wietnamską wioską, lecz gdy przylecieliśmy, nie było już po niej śladu. Tam właśnie kończy się ta droga. Niegdyś w A

Luoi znajdował się posterunek francuskiej Legii Cudzoziemskiej, zdobyty przez komunistów z Viet Minhu w latach pięćdziesiątych. Komuniści zapanowali nad doliną, którą nazywano sztyłem wymierzonym w serce Hue. Więc na początku lat sześćdziesiątych oddział sił specjalnych założył tu bazę, w A Luoi, w samym środku Terytorium Indiańskiego. Odbudowali francuski pas startowy i przeprowadzili pobór wśród Montagnardów, którzy mieli walczyć z Wietkongiem i Wietnamczykami z północy.

Byliśmy teraz prawie na dnie doliny i widziałem płynącą tam niewielką rzeczkę.

- Dolina rozszerza się zaraz dalej, w Laosie, za tymi górami, i biegnie przez nią odgałęzienie Szlaku Ho Szi Mina - ciągnąłem. - Pewnego dnia w sześćdziesiątym szóstym roku nieprzyjaciel zgromadził siły w Laosie, tysiące ludzi, najechał obóz amerykańskich sił specjalnych i komuniści znów zdobyli dolinę.

Wjeżdżaliśmy teraz na płaskie dno i pan Loc trochę przyspieszył.

- Po rozbiciu obozu sił specjalnych i ucieczce resztki górali, którzy przeżyli, cała dolina i otaczające ją wzgórza stały się strefą wolnego ostrzału i miejscem zrzutów dla lotnictwa. Jeśli musieli zrezygnować z precyzyjnego bombardowania z powodu złej pogody, zrzucali bomby na dolinę. Kiedy się tu znalazłem, ziemia wyglądała jak szwajcarski ser. Te kratery, wielkie jak domy, stały się punktami ogniowymi dla nich i dla nas; walczyliśmy o każdy krater, jeden po drugim... w dolinie, na wzgórzach i w dżungli. - Spojrzałem na południowy zachód. - Gdzieś tam koło granicy Laosu, jest Wzgórze Hamburgerowe, na którym w maju sześćdziesiątego dziewiątego roku armia straciła dwustu zabitych i kilkuset rannych, próbując odbić to nikomu niepotrzebne wzniesienie. Cała ta cholerna dolina na długie lata przesiąkła krwią... teraz też wygląda ponuro i złowieszczo... Ale widzę, że Wietnamczycy i Montagnardzi wrócili... i ja wróciłem.

Susan milczała przez chwilę,

- Rozumiem, dlaczego nie chciałeś te wracać - powiedziała.

- Taak... lecz to lepsze, niż przeżywać wszystko wciąż od nowa w snach... tak jak ten facet w tunelach Cu Chi., Wracasz, spoglądasz diabłu prosto w oczy i widzisz, że nie jest taki jak wtedy. Potem nowe wspomnienia zastępują stare... tak to wygląda w teorii. Ale tymczasem... to miejsce działa mi na nerwy.

- Chcesz stąd odjechać?

- Nie,

Droga prowadziła do zmartwychwstałej wioski A Luoi, którą widziałem w oddali. Rosnące tu kiedyś: trawa, bambusy i zarośla zostały wycięte, a w ich miejsce powstały poletka warzywne.

- Jest kwiecień tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, amerykańska armia chce odbić dolinę - zacząłem. - Przeprowadzamy więc desant powietrzny, siedzę w huey'u z sześcioma innymi piechociarzami, tak jak ja nie za bardzo uszczęśliwionymi rozwojem wypadków, gdy nagle wokół śmigłowca zaczynają pękać pociski przeciwlotnicze. Nigdy wcześniej nie ostrzeliwano nas z artylerii przeciwlotniczej; wielkie czarne wybuchy w powietrzu, jak w czasie drugiej wojny światowej, wypełniają niebo, a ogromne szrapnele świszczą ze wszystkich stron Śmigłowiec przed nami dostał w rotor ogonowy i cały zawirował, rozsypując piechurów, a potem runął w dół jak kamień i eksplodował na ziemi. Potem dostaje drugi helikopter i nasz pilot pikuje ostro, prawie pionowo, uciekając przed ostrzałem. Widzę teraz już dwa śmigłowce, które spadły, każdy z siedmioma piechurami i czterema członkami załogi na pokładzie, więc jest dwudziestu dwóch zabitych, i to zanim zdążyliśmy przyziemić. W czasie pierwszego desantu straciliśmy jeszcze dziesięć śmigłowców. Tymczasem ściągamy na siebie ogień z karabinów maszynowych ze wszystkich wzgórz wokół doliny, pocisk przelatuje przez owiewkę z pleksiglasu, ale nic nam nie jest; pilot schodzi trzy metry nad ziemię, my wyskakujemy, a on zwiewa, jakby go gonili wszyscy diabli.

- Boże drogi. Przecież wy...

- Robiliśmy w portki ze strachu. Jesteśmy na ziemi; to się nazywa strefa niebezpiecznego lądowania, co oznacza, że do nas walą. Bandyci siedzą na wzgórzach ze wszystkich stron i strzelają do nas raketami, z moździerzy i karabinów maszynowych. Zrzucamy z helikopterów tysiące ludzi w tę strefę śmierci i zaczynamy wiązać ogniem nieprzyjaciela na wzgórzach. Tymczasem lotnictwo spuszcza na wzgórza napalm i wiązki bomb, śmigłowce Cobra strzelają

rakietami i walą z gatlingów, starając się przydusić ogień wroga. To była kompletna rozpiarducha, coś jak lądowanie w Normandii, tyle że z powietrza, a nie z morza. Pod koniec dnia kontrolowaliśmy sytuację, zabezpieczyliśmy pas startowy w A Luoi i ruszyliśmy wachlarzem na wzgórze, szukając Chucka. - Spojrzałem w lusterku na pana Loca i powiedziałem: - Tego dnia przetrzepaliśmy portki Armii Wyzwoleńczej, panie Loc.

Nie odpowiedział.

- Paul, przestań.

- Pieprzyć go. Jego mamuśka była komunistką.

- Paul.

Opanowałem się trochę i zobaczyłem, że wjeżdżamy do A Luoi, błotnistej wioski z drewnianymi zabudowaniami. Stał tu kiedyś murowany budynek z flagą, najpewniej rządowy. Jedynymi pojazdami, które widziałem, były skutery, rolnicza ciężarówka i dwa żółte policyjne dzipy. W górze biegły druty, więc była tu elektryczność, co należało uznać za postęp w stosunku do tego, co zapamiętałem z mojego ostatniego pobytu w tej okolicy.

Pan Loc zatrzymał się na wiejskim placu. Nie było parkometrów.

Susan i ja wysiedliśmy; rozejrzałem się, żeby się zorientować w terenie. Wzgórze się nie zmieniły, ale dno doliny - tak.

- Więc to jest ta dziura, o którą przez trzy tygodnie toczyliśmy krwawą bitwę. - Potem zwróciłem się po angielsku do pana Loca: - Idziemy na spacer. Możesz donieść szefom. - Skinąłem kciukiem na budynek administracyjny.

Przeszliśmy z Susan niewielki plac i ruszyliśmy wąską ścieżką kończącą się na polu na zachód od wioski. Przez pola na farmie biegł stary pas startowy z karbowanych płyt stalowych, zarośnięty teraz chwastami, lecz wciąż nadający się do użycia.

- To jest pas startowy - wyjaśniłem Susan - a przy północnym krańcu były ruiny bazy sił specjalnych, które Pierwsza Dywizja Kawalerii wykorzystywała po wylądowaniu jako punkt dowodzenia. Inżynierowie rozmieścili wokół pasa startowego umocnienia z worków piasku, a po dwóch dniach cały pas był otoczony zasiekami z drutu kolczastego i minami kierunkowymi. Moja kompania spędziła trzy dni na wzgórzach, spychając bandytów w głąb, dalej od pasa. Potem zluźniono nas na dwa dni, w czasie których obsadzaliśmy bunkry. Mój był tam, u stóp wzgórza. - Zerknąłem w stronę wzgórz, które wznosiły się jakieś pięćset metrów dalej. - Siedzimy sobie któregoś dnia w sześciu i rżniemy w pokera, a tu Charlie zaczyna z tamtych dalszych wzgórz miotać pociskami z moździerza. I słuchaj teraz, bo to jest kompletny obłęd: ledwie podnieśliśmy głowy, bo jesteśmy już profesjonalistami i wiemy, że Chuck próbuje trafić w bunkry dowództwa, składy amunicji albo pas. Gramy więc dalej. I wtedy... to było zabawne... jakiś komunistyczny sukinsyn na wzgórzach, pewnie obserwator z lornetką, kierujący ogniem z moździerzy, zauważył nas i się wkurzył, że nie zwracamy uwagi na jego ostrzał. Uznał to za obrażę i zaczyna kierować ogień na nasz nędzny, mały bunkier. Pociski zbliżają się do nas, a my zauważamy to dopiero, kiedy kamienie i piach zaczynają nam się sypać na głowy. Siedzę z trzema asami, w puli leży jakieś trzydzieści dolców, a tu każdy rzuca karty, łapie szmal w garść, zeskakuje z dachu bunkra i daje nura do środka.

Wskoczyłem dokładnie w chwili, gdy pocisk z moździerza eksplodował tuż obok i zatrzęsł bunkrem. Trzymam karty i pokazuję tym idiotom moje trzy asy, bunkier zaczyna się rozlatywać, a

my się kłócimy, czy wygrałem, czy rozdanie powinno zostać unieważnione. Rzeliśmy z tego potem przez trzy tygodnie.

- Chyba trzeba było tam być - stwierdziła Susan.

- Ja byłem. Ruszyłem ścieżką między dwoma uprawnymi poletkami, a Susan poszła za mną. Ścieżka kończyła się linią drzew; przeszliśmy przez nie i znaleźliśmy się nad rzeczką. Był to płytki, kamienisty potok; pamiętam, że przekraczaliśmy go nieco wyżej, po kamiennym brodzie. Podszedłem do brzegu i stanąłem na płaskim kamieniu. Susan stanęła koło mnie.

- Któregoś dnia przekroczyliśmy tę rzeczkę, tam, trochę wyżej. Było nas ze stu w kompanii, która miała kiedyś stu sześćdziesięciu chłopów. Straciliśmy wielu ludzi w styczniu i lutym w czasie ofensywy Tet, a potem na początku kwietnia pod Khe Sann. Jest mniej więcej trzydziesty kwietnia, już straciliśmy paru chłopaków tu, w A Shau, i maszyna potrzebuje nowego mięsa, ale posiłki nie nadchodzą, a do tego zaczyna nam brakować racji żywnościowych i oczyszczonej wody... - Spojrzałem na wodę i mówiłem dalej: - To czysty górski potok, więc zaryzykowaliśmy i napełniliśmy manierki tutaj i napiliśmy się prosto z rzeki.

Szedłem wzdłuż skalistego brzegu, aż dotarłem do naturalnego brodu, który pamiętałem; Susan szła za mną. Weszliśmy do rzeczki, stając na pierwszym kamieniu. Woda podchodziła nam do kostek i była tak samo zimna jak wtedy. Przekroczyliśmy potok i wdrapaliśmy się na drugi brzeg.

- Przeszliśmy więc tutaj i co widzimy? Chyba z dziesięciu żołnierzy wroga leży na brzegu, niektórzy do połowy w wodzie. Ciało zielone i spuchnięte, rozkładały się w rzece, szczeka jednego z nich wisiała na kawałku mięsa i opierała się na ramieniu trupa, ze wszystkimi zębami... To było dziwne. Wszyscy opróżnili manierki. Jeden chłopak zwymiotował. - Przyklęknąłem, nabrałem trochę wody i popatrzyłem na nią, ale się nie napiłem.

Susan milczała.

Wstałem i odwróciłem się. Widziałem, gdzie zaczyna się szlak prowadzący przez gęstą roślinność. Wspiąłem się na brzeg.

- Paul, to jest takie miejsce, gdzie wciąż mogą być miny - powiedziała Susan.

- Nie sądzę. To jest pewnie często używany bród, a szlak też jest dobrze wydeptany. Ale zachowamy ostrożność. - Wkroczyłem na ścieżkę, a Susan za mną. - Później sprawdzimy, czy nie przyssały się nam do nóg pijawki. - Nie odezwała się. - Więc idziemy tą ścieżką i widzimy, że coś się porusza w zaroślach. To nie był Chuck, lecz jelen. Jestem blisko czołowego plutonu... jak kretyni staramy się wszyscy walić do tego jelenia. Chybiamy i zaczynamy go gonić między drzewami, a reszta plutonu rusza za nami biegiem, żeby dotrzymać nam kroku. - Droga prowadziła coraz wyżej w gęsty las i do wzgórz. - Dowódca kompanii kapitan Ross został nad rzeką z dwoma innymi plutonami. Myślałem, że pozostajemy w kontakcie, ale dowódca mojego plutonu wysłał mu przez radio wiadomość, że gonimy jelenia. Dostaliśmy za to opierdół od kapitana, który prowadził właśnie resztę kompanii nam na odsiecz. - Roześmiałem się. - Totalny obłąd.

Szliśmy dalej wznoszącym się coraz bardziej szlakiem. Wilgotny las był tu bardzo gęsty i ciągle mi się zdawało, że czuję, jak pijawki spadają mi na szyję.

- Dokąd idziemy? - zapytała Susan.

- Tam jest coś, co chcę zobaczyć. Nie mogę uwierzyć, że odnalazłem to miejsce.

Minęliśmy kilka lejów po bombach, które teraz zarosły drzewami i krzakami, lecz wtedy była w nich tylko świeża ziemia.

Wreszcie dotarliśmy do przesieki, którą pamiętałem i która wciąż była usiana lejami. Za polaną piętrzyła się ściana dżungli, a jakieś sto metrów za nią wyrastał szereg stromych wzgórz. To było to miejsce. Ruszyłem w stronę drzew. - Ścigamy tego jelenia chyba we dwudziestu i prujemy do niego z pistoletów, a on wbiega między te drzewa, wśród których była przecinka, a którą my wzięliśmy za

przedłużenie drogi, Biegniemy więc i nagle wypadamy na otwarty teren, ale to nie jest naturalna polana, bo widzimy pełno pni ściętych drzew... dociera do nas, że to obóz nieprzyjaciela, ukryty w dżungli, zasłonięty od góry przez potrójny baldachim roślinności, która utworzyła coś w rodzaju kopuły, tak że lotnicy nie mogli niczego zobaczyć. Promienie słońca wdzierają się na te akry wolnej przestrzeni, a wszystko razem jest kompletnie surrealistyczne. Szałasy, ciężarówki, hamaki, kuchnie polowe, szpital polowy, uszkodzony czołg i mnóstwo broni przeciwlotniczej... wszystko to stoi tam sobie, jakby nigdy nic.

Próbowałem znaleźć prześwit, lecz nie mogłem.

- To tutaj - powiedziałem do Susan. Przedarłem się przez gęste zarośla i zaplątałem w pnącza, które przeciąłem szwajcarskim wojskowym scyzorykiem.

- Paul, to nie jest uczęszczana ścieżka. Zabijesz się.

- Wracaj.

- Nie, ty wracaj. Dość tego.

- Zostań tutaj, a ja cię zawołam.

Przedzierałem się dalej przez te zarośla, wiedząc, że teren może być usiany bombami lotniczymi, które miały zwyczaj wybuchać przy potrąceniu. Ale chciałem zobaczyć ten stary obóz.

Wreszcie chaszczę się przerzedziły i stanąłem na skraju czegoś, co było niegdyś ogromną bazą wroga pod potrójnym baldachimem zieleni. Było tu tak mało słońca, że roślinność nie była tak bardzo gęsta, ani wysoka i mogłem sięgnąć wzrokiem aż do wzgórz wyrastających z dżungli jakieś sto metrów dalej. Susan podeszła do mnie z tyłu i spytała:

- To jest to?

- Tak. To była baza północnowietnamskich żołnierzy. Spójrz tam. Widzisz te bambusowe chaty? Wszędzie tu było pełno szalaszów, amunicji, ciężarówek, broni...

W szedłem dalej w głąb starej bazy i spojrzałem w górę na zielony dach.

- Oni nawet umieścili tam wysoko siatki maskujące. Bardzo zmyślni goście.

Susan nie odpowiedziała.

- Wpadamy więc tutaj we dwudziestu, szarżując za jeleniem, i nagle stajemy jak wryci. A najśmieszniejsze było to, że goniliśmy obiad, Wietnamczycy jednak musieli pomyśleć, że atakujemy ich setkami ludzi, bo wszyscy zrobili *di di mau*. I zniknęli. Ktoś zauważył, że z paleniska unosi się dym. - Zrobiłem jeszcze kilka kroków i powiedziałem: - Posuwamy się teraz bardzo ostrożnie, drzewo po drzewie, pień po pniu. Zarobiliśmy masę punktów, znajdując ten obóz, i dowódca

mojego plutonu, porucznik Merrit, melduje dowódcy kompanii dobrą nowinę, tym razem nie wspominając o jeleniu. Ale, jak się okazało, Charlie nie całkiem zwiął, tylko ukrył się w pobliżu bazy, przeważnie na tych stromych wzgórzach, o tam. My też nie jesteśmy w ciemę bici, więc przypadamy do ziemi za drzewami i pniami i nie wchodzimy dalej, tylko przeprowadzamy rozpoznanie ogniem, które w zasadzie sprowadza się do tego, że walisz, gdzie popadnie, żeby sprawdzić, czy skądś odezwą się strzały. I rzeczywiście, jednemu z bandytów puszczają nerwy i zaczyna strzelać, zanim cały pluton znalazł się w strefie śmierci. Nagle zaczyna się prawdziwa bitwa, strzelamy z granatników i walimy z

rakiet do beczek z paliwem, które wybuchają, wybuchają też amunicja. Reszta kompanii jest tuż za nami.

Wszedłem dalej na teren tego przerośniętego obozu i rozejrzałem się. Nie ulegało wątpliwości, że poławiacze złomu już tu buszowali, bo nie było widać ani kawałeczka stali czy żelaza - żadnych pękniętych beczek na paliwo, wraków ciężarówek ani nawet odłamka bomby na ziemi.

Susan stanęła za mną z tyłu i szeroko otwartymi oczami przyglądała się rozległej polanie pod zieloną kopułą dżungli.

- To nie do wiary... Takie miejsca muszą być w całym Wietnamie.

- Są. Oni potrafili ukryć pół miliona mężczyzn i kobiet w obozach w dżungli, takich jak ten, w tunelach Cu Chi i innych, w wioskach wzdłuż wybrzeża, w bagnach delty Mekongu.., Wychodzili walczyć, kiedy i gdzie chcieli, według swoich reguł... ale wtedy złapaliśmy ich w pułapkę w tej dolinie; musieli stanąć do walki na naszych warunkach... - Ruszyłem dalej w głąb tego opuszczonego, budzącego niepokojące wspomnienia obozowiska. - Niestety okazało się, że wpadliśmy na znacznie większe siły niż nasze, więc przerwaliśmy ostrzał i wynieśliśmy się stąd w cholerę. Posuwaliśmy się w stronę rzeki, lecz oni próbowali nas okrążyć i odciąć, więc musieliśmy się przebijać. Wezwaliśmy helikoptery i artylerię i tylko to ocaliło nas tego dnia przed otoczeniem i unicestwieniem. To był prawdziwy kanał, ale jeszcze gorsze miało nadejść. Dowódca naszego batalionu, podpułkownik, został ranny w czasie desantu, a jego zastępca, major, bardzo chciał zostać podpułkownikiem, więc przez dwa dni wysyłał nas do kontrataku ze wsparciem artylerii i śmigłowców. Lecz tamci wciąż górowali nad nami liczebnie i straciliśmy jedną trzecią ludzi, zabitych lub rannych, ale odbiliśmy obóz... lub tak nam się wydawało. Nagle słyszymy jakiś dziwny odgłos. Z dżungli wyjeżdżają dwa czołgi, i to nie nasze, bo nie mieliśmy czołgów w dolinie. Żaden z nas nie zetknął się dotąd z czołgiem wroga, więc zamarliśmy. Czołgi miały na wieżyczkach podwójne, pięćdziesięciosiedmiomilimetrowe działka szybkostrzelne i zaczynają z nich walić. Jeden chłopak dostaje pociskiem prosto w pierś i rozpada się na kawałki. Dwóch trafiają odłamki, wszyscy się kryją albo uciekają, ale nie da się prześcignąć czołgu. Wtedy jeden z naszych wyjmuje broń przeciwczołgową M siedemdziesiąt dwa... taką niedużą, którą się nosi w kartonowej tubie... wstaje, ustawia spokojnie celownik, nie przejmując się czołgami, które ciągle się zbliżają, i wypala. Pocisk trafia w wieżyczkę prowadzącego czołgu i strzelec zostaje wymieciony. Drugi z naszych też strzela z M siedemdziesiąt dwa i rozważa gąsienicę

drugiego czołgu. Czołgiści wyskakują i zaczynają uciekać, ale ich ścinamy. Zniszczyliśmy dwa czołgi wroga, kapitan melduje o tym do dowództwa batalionu i jesteśmy bohaterami. I co, dostajemy zmianę i wracamy do A Luoi? Nie, nowy dowódca batalionu chce dbać o reputację czy coś takiego i każe nam iść naprzód. Nie na to liczyliśmy, ale facet jest uparty, mówi nam przez

radio, że z raportów wywiadu wynika, że dalej na wzgórzach mogą być amerykańscy więźniowie przetrzymywani w bambusowych klatkach. Podkręca nas, motywuje, no i ruszamy. - Zbliżyłem się do miejsca, gdzie, jak mi się zdawało, rozwaliliśmy czołgi, a Susan podeszła za mną. - Wspięliśmy się na to strome wzgórze i ścigaliśmy niedobitki wroga, rozglądając się za klatkami. - Wzięłem oddech. - Do szóstego dnia zaliczyliśmy jeszcze kilkanaście potyczek z wycofującymi się Wietnamczykami. Nawet znaleźliśmy kilka bambusowych klatek, ale pustych. Byliśmy już wtedy kompletnie wyczerpani. To jest najgorszy rodzaj zmęczenia walką, kiedy nie możesz w nocy spać, nie możesz jeść, musisz sobie przypominać, że masz się napić wody. Prawie ze sobą nie rozmawiamy, bo nie ma nic do powiedzenia. Codziennie nowi ludzie zostają ranni albo

zabici, grupa topnieje, aż plutony i drużyny przestają istnieć i jesteśmy tylko watahą uzbrojonych facetów bez prawdziwego dowództwa czy struktury dowodzenia... Wszyscy oficerowie są zabici lub ranni... z wyjątkiem dowódcy kompanii kapitana Rossa, dwudziestopięciolatek, który jest teraz seniorem kompanii; wszyscy sierżanci są ranni albo zabici, sanitariusze też ranni, tak samo jak łącznościowcy i obsługa karabinów maszynowych, więc próbujemy sobie przypomnieć, czego się nauczyliśmy na podstawowym szkoleniu o radiu, karabinach maszynowych M sześćdziesiąt i pierwszej pomocy, i idziemy dalej...

Popatrzyłem na odległe wzgórze.

- Paul, możemy już wracać - powiedziała cicho Susan.

- Taak... Powinniśmy byli poprosić o złuzowanie lub uzupełnienia, i może dowódca kompanii prosił, chociaż nie pamiętam... Ale ta przeciągająca się bitwa zaczęła żyć własnym życiem i myślę, że chodziło o to, żeby zabić jak najwięcej tych, którzy zabili i zranili tak wielu naszych... To było jak wyścig do mety i choć byliśmy wycieńczeni i przerażeni,

chcieliśmy tylko zabić jeszcze więcej wrogów. Stało się z nami coś bardzo dziwnego. - Przystanąłem. - Trwało to siedem dni, a siódmego dnia nikt by już nie odgadł, że jesteśmy miłymi amerykańskimi chłopcami z przyjemnego, czystego kraju. Dosłownie mieliśmy krew na rękach i siedmiodniowy zarost na twarzach, podarte mora, podkrążone, nabiegłe krwią oczy i brud na ciałach; nie myśleliśmy o goleniu się i prysznicu, jedzeniu czy bandażach... myśleliśmy o tym, żeby zabić jeszcze jednego drania. - Po chwili dodałem: - To było coś strasznego.

Staliśmy w milczeniu; wreszcie Susan powiedziała:

- Nie rozumiem tego do końca, ale moje serce chce zrozumieć ciebie i twoich kolegów... Cieszę się, że udało ci się o tym powiedzieć. Rozumiem, dlaczego nigdy tego nikomu nie opowiadałeś.

Spojrzałem na nią.

- Opowiedziałem tę historię parę razy. To nie jest ta, której nigdy nie opowiadałem. - Wszedłem pięćdziesiąt metrów w głąb obozu; Susan podążała za mną. - Zagłębiliśmy się w te wzgórza; siódmego dnia patrolowaliśmy grzbiet, szukając następnego kontaktu ogniowego. Dowódca kompanii rozmieścił posterunki na flankach... po dwóch ludzi w wąwozach po obu stronach grzbietu. Byłem w jednym z nich. Ja i jeszcze jeden chłopak zeszliliśmy do wąwozu i szliśmy równoległe do kompanii, którą widzieliśmy na grzbiecie wzgórza nad nami. Ale potem wąwóz się pogłębił, grzbiet skręcił, partner był daleko przede mną i straciłem kontakt wzrokowy z nim i resztą oddziału. Idę więc sam, co nie jest dobre, i próbuję dogonić tego, który jest przede mną, ale jak się później okazało, on wdrapał się z powrotem na grzbiet, żeby dołączyć do kompanii. - Zszedłem do

stóp wzgórza, gdzie stało jeszcze parę chat, zawalonych i zarośniętych pnączami. Spojrzałem na stok. - To było tam, po drugiej stronie... Szedłem sam i uznałem, że pora wdrapać się z powrotem na grzbiet wzgórza i znaleźć resztę. Właśnie miałem to zrobić, gdy kątem oka spostrzegłem jakiś ruch: po drugiej stronie wąwozu, nie

dalej jak dwadzieścia metrów ode mnie, stał północnowietnamski żołnierz z kałasznikowem; patrzył na mnie. - Wzięłem głęboki oddech. - Więc... wlepiamy w siebie gały, tamten jest w panterce, ale pierś ma odsłoniętą, a na niej widać zakrwawione bandaże. Mój karabin nie jest gotowy do strzału, jego też. I wszystko sprowadza się teraz do tego, kto pierwszy strzeli, lecz, szczerze mówiąc, zdrętwiałem ze strachu i on chyba też. Wtem widzę, że... gość rzuca broń na ziemię, a ja zaczynam znów oddychać. Poddaje się, myślę. Ale nie. Rusza w moją stronę, a ja podnoszę karabin i wrzeszczę: *Dung lai!* Stój! Zatrzymaj się! On jednak idzie w moją stronę, więc krzyczę znowu: *Dung lai!* Wówczas on wyciąga zza paska długą maczetę. Coś mówi, ale nie mogę się połapać, co, do cholery, próbuje mi powiedzieć. Miałem już tego dość i byłem gotów go rozwalić, I wtedy widzę, że wskazuje na saperkę do kopania okopów, wiszącą przy moim pasku, i nagle uświadamiam sobie, że on chce się bić wręcz. - Poczułem zimny pot na twarzy, wsłuchałem się w śpiew ptaków i szum owadów w koronach drzew... i znów byłem w wąwozie, - Chce się bić wręcz - mówię do Susan albo raczej do siebie samego - i wyrzuca z siebie jakieś słowa. Nic nie rozumiałem, ale dokładnie wiedziałem, co mówi: „No, pokaż, jaki jesteś odważny bez waszej artylerii, helikopterów i myśliwców”, I jeszcze: „Jesteś zasranym tchórzem. No, pokaż, czy naprawdę masz jaja, ty przekarmiona, wychuchana, pieprzona amerykańska świni! Właśnie to mówił. Podchodzi coraz bliżej, jest już nie dalej jak ze trzy metry ode mnie; patrzę mu w oczy... nigdy wcześniej ani nigdy później nie zobaczyłem takiej nienawiści. Facetowi kompletnie odbiło, został ranny, może jest jedynym, który przeżył z jednostki... Kiwa na mnie ręką, żebym podszedł, wiesz, jak przy pojedynku na szkolnym boisku. No, chodź, śmieciu. Zobaczymy, czy masz jaja. Ty uderz pierwszy... I wtedy... Nie mam pojęcia dlaczego, ale... rzucam karabin, on zatrzymuje się i uśmiecha. Wskazuje jeszcze raz na saperkę, a ja kiwam głową.

Zamilkłem i stanąłem na kamieniu u stóp wzgórza. Wzięłem parę oddechów i otarłem twarz.

- Mów dalej, Paul.

Potrząsnąłem głową.

- Więc komu bardziej odwaliło, mnie czy jemu? Sięgam za siebie, odczepiam saperkę, ustawiam ostrze pod kątem prostym i przymocowuję. Zdejmuję hełm i rzucam na ziemię. Tamten już się nie uśmiecha, jego twarz jest napięta i skupiona. Patrzy mi prosto w oczy i chce, żebym ja też patrzył na niego, ale ja jestem z południowego Bostonu i wiem, że nie wolno spuszczać oka z broni przeciwnika. Okrążamy się, podchodzimy... żaden z nas nie mówi ani słowa. Macha maczetą, tnie powietrze przed moją twarzą, ale nie cofam się, bo nie jest dość blisko... Maczeta jest dłuższa od mojej łopatki, z tym będzie problem, jeśli się

zbliży. Więc krążymy wokół siebie, krążymy, aż wreszcie on atakuje i próbuje ciąć mnie pod kątem w szyję.

Zamilkłem i przypomniałem sobie, co było potem. Dziwne... mimo że rzadko odtwarzałem to wydarzenie w pamięci ze szczegółami, wróciło teraz do mnie.

- Odskakuję, on chybia, a potem uderza znów, mierząc czubkiem maczety w moje

gardło. Robię unik w bok, potykam się i upadam. Tamten rzuca się na mnie błyskawicznie i próbuje ciąć maczetą moje nogi, ale ja szarpie nimi gwałtownie i ostrze tnie ziemię. Zrywam się, on znów próbuje mnie trafić w gardło, ja zaś zbijam cios łopatką, a potem od dołu trafiam go w szczękę. Saperka, którą regularnie ostrzyłem, odcina mu kawałek szczęki; wielki strzęp krwawego mięsa zwisa mu z twarzy; jest chwilowo oszołomiony, a mnie tylko tego trzeba. Robię zamach jak pałkarz w baseballu i ostrze prawie odcina mu przedramię, maczeta

wypada z jego dłoni.

Przyszło mi do głowy, że w tej chwili powinienem skończyć, ale mówię dalej;

- Więc tamten stoi i gra jest skończona. Mam więźnia, jeśli chcę, lub mogę go puścić. Albo... mogę go zabić łopatką... Gapi się na mnie, z jego szczęki zwisa kawał czerwonego ciała, a z przedramienia leje się krew... i co robię? Rzucam łopatkę na ziemię i sięgam po nóż. W jego oczach po raz pierwszy widzę strach i potem zerka na maczetę i rzuca się po nią. Kopię go w głowę, ale on dalej czołga się do maczety. Zachodzę go od tyłu, łapię lewą ręką za włosy, podnoszę i odciągam głowę. A następnie podrzynam mu gardło nożem. Jeszcze czuję, jak ostrze przechodzi przez chrząstkę w jego gardle, i słyszę świst powietrza w przeciętej tchawicy.. Przeciąłem też tętnicę i krew tryska mi na rękę... Puszczam go, ale on w dalszym ciągu trzyma się na nogach, odwraca się do mnie i stajemy twarzą w twarz; krew wali mu z gardła i widzę, jak życie gaśnie w jego oczach, lecz nie przestaje na mnie patrzeć, więc wlepiamy w siebie wzrok, aż wreszcie uginają się pod nim nogi i pada twarzą w przód.

- Unikam wzroku Susan i ciągnę: - Wytarłem krew z noża w jego spodnie, przyczepiłem saperkę do paska, schowałem nóż, zabrałem hełm i karabin i chcę ruszać dalej. Podnoszę wzrok i widzę dwóch chłopaków z mojej kompanii, którzy przyszli, żeby mnie odszukać, i zobaczyli część zajścia. Jeden z nich wziął mi z ręki karabin, wystrzelił trzy razy w powietrze na sygnał i powiedział: „Brenner, karabin jest sprawny”. Popatrzyli na mnie... Wszystkim nam zdążyło już do tej pory odbić, ale... to było coś więcej i oni o tym wiedzieli. - Pomyślałem przez chwilę, starając się przypomnieć sobie, co działo się później. - Drugi chłopak podniósł kałasznikowa i mówi: „Ten bandyta ma połowę magazynka”. Patrzy na mnie i dodaje: „Jak to się, kurwa, stało, że biłeś się z nim wręcz?” Nie odpowiedziałem. „Brenner, my mamy rozwalać tych skurwieli, a nie pojedynkować się z nimi na noże”. Obaj parsknęli śmiechem. Potem jeden podnosi maczetę i wkłada mi ją do ręki. „Weź jego głowę, bo nikt w to nie uwierzy”, stwierdza. Więc... odcinam trupowi głowę... a ten drugi zakłada bagnet na mój karabin, bierze głowę, zatykają na bagnet i podaje mi karabin... - Zerknałem na Susan. - Ruszamy zatem, żeby dołączyć do oddziału, ja z tą głową na bagnecie. Zbliżamy się do pozycji kompanii, ktoś krzyczy: „Nie strzelać, Brenner prowadzi więźnia...”, i wszyscy wybuchają śmiechem... Każdy chce wiedzieć, co się stało... jeden z chłopaków ścina bambus i wciska głowę na tyczkę... Rozmawiam z kapitanem razem z tymi dwoma, którzy mnie

znaleźli... I czuję się trochę tak, jakby to wszystko działo się obok mnie... Patrzę na głowę zatknietą na bambusowej tyczce... - Wziąłem głęboki oddech. - Jeszcze tego samego wieczoru siedziałem w śmigłowcu lecącym do bazy... razem z tą głową... Oficer kadrowy kompanii wręczył mi przepustkę na trzy dni urlopu w Nha Trang. - Ponownie spojrzałem na Susan. - Właśnie tak zasłużyłem na trzydniowy urlop rekreacyjno-regeneracyjny w Nha Trang.

Rozdział 31

Zeszliśmy w milczeniu nad brzeg rzeki i tam sprawdziliśmy, czy nie mamy pijawek. Susan była czysta, ale ja miałem na plecach pijawkę lądową, która zaczynała pęcznieć od krwi.

- Zapal sobie - powiedziałem.

Zapaliła papierosa. Podpowiedziałem, żeby podgrzała tylną część pijawki, nie przypalając ani jej, ani mnie. Susan zbliżyła papierosa do pijawki, która natychmiast się skurczyła. Zdjęła ją z moich pleców i odrzuciła ze wstrętem.

- Krwawisz - zauważyła.

Położyła chusteczkę na miejscu ukąszenia i poczekała, aż przylgnie. Włożyliśmy ubrania i usiedliśmy na kamieniu nad brzegiem rzeki.

- Daj się sztachnąć - odezwałem się.

Susan podała mi papierosa; zaciągnąłem się głęboko, zakaszlałem i oddałem go jej.

- To nie jest dla ciebie zdrowe - stwierdziłem.

- A kto powiedział, że jest?

Siedzieliśmy w milczeniu i słuchaliśmy szmeru płynącej wody.

Susan skończyła palić.

- Jak się czujesz? - spytała.

- W porządku. - Pomyślałem przez chwilę. - Ci, którzy tu byli, mogą opowiedzieć gorsze historie... i ja widziałem gorsze rzeczy... Ale jest coś niesamowitego w walce wręcz. Wciąż czuję, zapach tego faceta i widzę jego twarz, czuję jego włosy w mojej dłoni i nóż wrzynający się w gardło...

- Przestań już.

- Cóż... Potem żałowałem, że go zabiłem. Powinien żyć. Wiesz, jak pokonany wojownik, który okazał męstwo.

- Myślisz, że on puściłby cię żywego?

- Nie, ale nie powinienem był zabierać jego głowy. Wystarczyłoby ucho albo palec.

Susan zapaliła drugiego papierosa.

- Nie to cię naprawdę dręczy - stwierdziła. Popatrzyłem jej w oczy.

Siedzieliśmy tam, obserwując rzekę.

- Przestraszyłem sam siebie - odezwałem się w końcu. Skinęła głową.

- Skąd się biorą takie zachowania...?

Rzuciła papierosa do rzeki.

- Z miejsca, do którego nigdy nie będziesz musiał wracać.

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie czułem się z tym dobrze... Podjąłem wyzwanie i zabiłem go. - Susan milczała. - Ale, podobnie jak wiele innych traumatycznych zdarzeń, szybko zakopałem ten incydent w pamięci i pierwszego dnia w Nha Trang był ostatnią rzeczą, o której myślałem. Tylko

od czasu do czasu, ni stąd, ni zowąd, przychodził mi na myśl.

Susan skinęła głową i zapaliła następnego papierosa.

- Potem, po powrocie do domu, zacząłem o tym myśleć częściej... Dlaczego to zrobiłem? Nikt mnie nie podpuszczał, oprócz niego, i nie było żadnego racjonalnego powodu, dla

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

którego miałbym rzucić karabin i starać się go zabić saperką, podczas gdy on próbował mnie pociąć maczetą. Co się, do cholery, działo w mojej głowie?

- Paul, czasem lepiej jest dać spokój tym sprawom.

walce z jakiejś przyczyny zapominali o strachu, widziałem najbardziej nieludzkie i brutalne - Chyba tak... Widziałem przecież wojenną psychozę i widziałem chłopaków, którzy w zachowania, jakie można sobie wyobrazić... i to u normalnych facetów. Widziałem czaszki na biurkach oficerów i sierżantów, wykorzystywane jako przyciski do papieru lub świeczniki, widziałem amerykańskich żołnierzy z naszyjnikami zrobionymi z zębów, zasuszonych uszu bądź kości palców... nie potrafię ci opowiedzieć, jakie okropieństwa z obu stron widywałem każdego dnia... Zastanawiasz się, kim jesteś, skoro prawie nie zwracasz na to uwagi, a jeszcze bardziej, kiedy sam zaczynasz brać w tym udział. To było jak kult śmierci... a ty chcesz należeć do swoich...

Susan wpatrywała się w płynącą wodę; dym unosił się z jej papierosa.

- Większość przybywała na wojnę jako normalni ludzie; byli zaszokowani i czuli odrazę, widząc postępowanie tych, którzy przebywali tu dłużej. A potem po paru tygodniach szok mijał, a po paru miesiącach wielu z nich przyłączało się do klubu szaleńców. I myślę, że większość z nich wracała potem do domu i znów była normalna, choć nie wszyscy. Ale nigdy nie widziałem kogoś, komu odbiło, a potem wrócił do normalności, będąc wciąż tutaj. Było coraz gorzej, bo w tym otoczeniu ludzie tracili wszelkie... poczucie człowieczeństwa. Delikatnie to ujmując, można by powiedzieć, że tracili wrażliwość. W istocie było to straszniejsze i bardziej odrażające. Facet, który rano odciął ucho zabitemu żołnierzowi Wietkongu, po południu żartował z dziećmiakami w wiosce i staruszkami, rozdając cukierki. Oni nie byli źli czy chorzy psychicznie; byliśmy normalni i właśnie te diabelnie mnie przerażało.

Zauważyłem, że zmieniłem osobę z „oni” na „my”... na tym to właśnie polegało - „oni” zamieniało się w „my”, a „my” stawało się „ja”. Do diabła z ojcem Bennettem, do diabła z kościołem Świętej Brygidy, do diabła z Peggy Walsh, do diabła z aktem skruchy, do diabła z konfesjonałem i wszystkim, czego nauczyłem się w szkole i w domu. Tak po prostu. Wystarczyły jakieś trzy miesiące. Wystarczyłoby mniej, ale listopad i grudzień w Bong Son były dość spokojne. Po Tet, Khe Sanh i A Shau zabiłbym własnego brata, gdyby nosił niewłaściwy mundur; wielu Wietnamczyków tak właśnie robiło.

Susan wciąż wpatrywała się w rzekę, siedząc nieruchomo, jak gdyby nie chciała wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, kiedy mam przy sobie zaostrzoną saperkę.

Wziąłem głęboki oddech.

- Nie chcę udawać, że byłem pomocnikiem kapelana. Gdzie tam. Wszyscy poszaleliśmy, lecz zdawało się nam, że to jest tymczasowe i warunkowe. A jeśli nam się poszczęści, pewnego dnia wrócimy do domu. Niestety zabierasz to ze sobą do domu, bo to cię zmieniło na zawsze, bo wkroczyłeś w ciemny zakątek swojej duszy, zakątek, o którego istnieniu większość ludzi wie, lecz do którego nigdy nie zajrzeli, a ty byłeś tam długo i wcale nie wydał ci się taki straszny i nie czujesz ani grama wyrzutów sumienia, i samo to staje się źródłem lęku... Żyjesz dalej w Stanach, mieszasz się z tłumem innych ludzi, śmiejesz się i żartujesz, ale nosisz to w sobie... Ten sekret, o którym nie wie twoja mama, a którego twoja dziewczyna nie umie odgadnąć, tylko nieraz widzi, że coś jest nie tak... A czasem wpadasz na jednego ze swoich, jednego z tych, którzy tam byli, przerzucacie się

durnymi historyjkami o upijaniu się, pieprzeniu, desantach pod ostrzałem i tępych oficerach, którzy nie znali się na mapie, o tym jak cię ogłuszyło, o tym, że biedny Billy czy Bob dostał i gryzie trawę, ale nigdy nie wspominasz o wieśniakach, których rozwaliłeś przypadkowo albo nieprzypadkowo, o tym, ile uszu i głów zebrałeś, albo o tym, jak poderżnąłeś komuś gardło nożem...

- Powiedziałaś, że wszyscy ulegliście psychozie - odezwała się Susan. - Czy był ktoś taki, kto... no wiesz...?

Zastanowiłem się chwilę.

- Chciałbym móc powiedzieć, że byli wśród nas tacy, którzy... do pewnego stopnia zachowali moralność czy człowieczeństwo. Ale naprawdę nie pamiętam... może ktoś był. W jednostce bojowej dokonuje się automatyczna selekcja... wiesz, ci, którzy sobie nie radzą, albo nigdy nie trafiają na pole bitwy, albo są odsyłani. Pamiętam takich, którzy pękali bardzo szybko i przenoszono ich na tyły, gdzie wykonywali jakieś prace pomocnicze, i był to rodzaj hańby, lecz pozbywaliśmy się ich.. Tak, byli wśród nas tacy, którzy trzymali się swoich przekonań religijnych czy moralnych, ale myślę, że na wojnie, tak jak w życiu, dobrzy umierają młodo... To najlepsza odpowiedź, jakiej mogę ci udzielić.

Susan skinęła głową.

Spojrzałem na rzeczulkę, którą przekroczyłem wiele lat temu z ludźmi z mojego plemienia w pogoni za jeleniem, który poprowadził nas przez ciemną dżunglę w ciemny zakamarek, gdzie nigdy wcześniej nie byliśmy.

Przeszliśmy z powrotem przez strumień i ruszyliśmy do A Luoi prostą ścieżką między poletkami, nad którymi unosiła się przygruntowa mgła.

- Czuję, że wszystko, co powiem, będzie banalne, protekcyjne albo przesadnie kliwne - odezwała się Susan. - Ale ujmę to tak: wszystko, co się tu stało tobie i innym, to historia... w obu znaczeniach tego słowa. Była wojna, ty wzięłaś w niej udział, skończyła się.

- Wiem. Wierzę, że tak jest.

- Ja nie zmieniłam swoich uczuć wobec ciebie, jeśli nie jesteś tego pewien.

Nie odpowiedziałem, lecz pomyślałem: „Teraz tak mówisz. Zastanów się”.

Susan wzięła mnie za rękę i uścisnęła.

- A ja jakby nigdy nie jem sobie kolację z nieznajomym na dachu hotelu Rex i czepiam się go, że nie chce rozmawiać o wojnie. Czy mogę cię za to przeprosić?

- Nie trzeba. Ta podróż dobrze mi zrobiła, a gdyby cię tu nie było, może nie byłbym tak szczery ze sobą, jak jestem z tobą,

- Doceniam to.

Zmieniając temat, powiedziałem:

- Gdzieś w tej dolinie, w maju sześćdziesiątego ósmego roku, północnowietnamski żołnierz nazwiskiem Tran Quan Lee poległ w bitwie. Przy jego zwłokach znaleziono list od brata, Trana Van Vinha, również żołnierza armii Wietnamu Północnego.

Przerwałem, czekając na odpowiedź Susan.

- Ty znalazłeś te zwłoki i list? - spytała wreszcie,

- Nie. Ktoś inny.

- A widziałeś ten list?

- Tak, mniej więcej tydzień temu. Wiesz coś o nim?

Spojrzała na mnie.

- Paul, nie jestem pewna, do czego zmierzasz.

Stanąłem; Susan też się zatrzymała. Popatrzyłem na nią.

- Susan, czy wiesz coś o tym liście?

Potrząsnęła głową, pomyślała przez chwilę.

- To ma coś wspólnego z powodem, dla którego tu jesteś.

- Zgadza się.

- Chcesz powiedzieć, że... ktoś znalazł ten list przy ciele nieprzyjacielskiego żołnierza... Kto to był?

- Amerykański żołnierz z Pierwszej Dywizji Kawalerii.

- Znałeś go?

- Nie. To była duża dywizja. Dwadzieścia tysięcy ludzi. Facet, który znalazł ten list, trzymał go jako pamiątkę wojenną; niedawno list został przetłumaczony, a jego treść to powód, dla którego tu przyleciałem.

Susan przetrawiła tę wiadomość; spojrzałem na nią. Znałem jut tę kobietę i domyślałem się, że coś wie i stara się dopasować to, co wie, do tego, co powiedziałem.

- Więc co oni ci właściwie powiedzieli? - spytałem. Spojrzała na mnie.

- Tylko tyle, że pojawiła się nowa informacja i że masz kogoś znaleźć i przesłuchać. - Ja ci to powiedziałem.

- Wiem. I to jest wszystko, co powiedziano mi w Sajgonie. Czy ten list jest tą nową informacją?

- Tak.

- Co zawiera?

- Co zawiera, to jedno, a co znaczy, to drugie. Właśnie dlatego muszę znaleźć autora listu.

Skinęła głową.

Szliśmy dalej w stronę wioski A Luoi, która znajdowała się jakieś sto metrów dalej na płaskim terenie. Nie miało znaczenia, gdzie i jak zginął Tran Quan Lee, ale ciekawe byłoby wiedzieć. Gdybym miał przed wyjazdem czas, w Waszyngtonie odnalazłbym Victora Orta i zadał mu parę pytań, a może wymienił się wspomnieniami z A Shau.

Byłem pewien, że Victor Ort zrobił dla siebie fotokopię listu albo zachował oryginał, a Amerykański Związek Weteranów Wojny Wietnamskiej wysłał kopię. W każdym razie Victor Ort miał oryginalny tekst. Mógłbym go dać do przetłumaczenia, zamiast polegać na zmienionym

przekładzie, który widziałem. Ale pewnie Karl wysłał kogoś do domu Orta i zdobył list. Z czego należało wnosić, że Karl nie zamierzał mi pozwolić na przeprowadzenie standardowego śledztwa w tej sprawie; zadbał o to, żebym wyjechał do Sajgonu, prawie nic nie wiedząc, w weekend, a tam czekała już na mnie Susan Weber, która miała mnie zamotać i dopilnować, żebym wszedł do pociągu do Nha Trang.

Nie rozumiałem też, jak list ma się do tego, co Susan powiedziała o bazie w zatoce Cam Ranh, jeśli rzeczywiście te dwie sprawy miały ze sobą coś wspólnego. To mogła być dalsza część motania.

- Masz kopię tego listu? - spytała Susan.

- Chyba prysnąłaś z kilku lekcji w Langley.

- Nie bądź sarkastyczny. Nie jestem wyszkolonym oficerem wywiadu.

- Więc czego cię tam uczyli?

- Jak być pomocną. Zakładam, że twój łącznik w Hue powiedział ci, jak znaleźć tego... jak on się nazywa?

- Tran Van Vinh. Tak, powiedział. Czy to nazwisko coś ci mówi?

- Nie. A powinno?

- Chyba nie. - Ale przyszło mi na myśl, że Tran Van Vinh mógł zostać wysokim urzędnikiem rządu w Hanoi i wierny przekład listu mógłby być wykorzystany do skłonienia go szantażem do współpracy z Amerykanami, na przykład w sprawie przyznania nam bazy Cam Ranh.

Pan Vinh mógł nawet mieszkać w Hanoi, a przebywać w Ban Hin tylko w czasie świąt Tet, co wydawało się logiczne. Ale skoro zamierzali go szantażować, czemu chcieli jego śmierci? Możliwe też, że ci w Waszyngtonie nie chcieli go zabić, lecz wcisnęli mi kolejny kit, żebym nie mógł się połapać, o co chodzi. Jeśli jednak tak było, dlaczego pan Anh przekazał mi w Hue wiadomość, która, o ile wiem, była ostatnią instrukcją z Waszyngtonu? Niesłuchanie trudno jest rozwiązać sprawę, gdy wszystkie dowody są na papierze albo przekazywane ustnie - zwłaszcza gdy te na piśmie są lipne, a wszystko, co ci powiedziano, jest bujną.

Prawda kryła się w wiosce Ban Hin - znanej wcześniej jako Tam Ki - i w osobie Trana Van Vinha, prostego wieśniaka i byłego żołnierza, który nie musiał być ani jednym, ani

drugim. Właściwie mógł od dawna nie żyć albo właśnie miał zostać nieboszczykiem, albo miał dostać łapówkę, albo miał stać się ofiarą szantażu.

Wojna, jak już wspominałem, ma w sobie surową prostotę i uczciwość, tak jak walka z przeciwnikiem za pomocą noża i zaostrej saperki. Wywiad to z natury rzeczy partia pokera, rozgrywana przez szulerów znaczonymi kartami i fałszywymi pieniędzmi.

- Przykro mi, że nie potrafię ci pomóc w sprawie listu - powiedziała Susan. - Ale mogę ci pomóc znaleźć człowieka, który go napisał, a jeśli nie mówi po angielsku, dokładnie przetłumaczyć to, co on będzie mówił do ciebie, a ty do niego. - Po chwili dodała. - Mam wprawę w zdobywaniu zaufania Wietnamczyków.

- Nie mówiąc o napalonych Amerykanach.

- To łatwe - odparła. - Możesz mi ufać lub nie. Nie znajdziesz nikogo lepszego do pomocy.

Nie odpowiedziałem.

Dotarliśmy do obrzeży A Luoi, gdzie jakaś staruszka rzucała ryż stadku kurczaków w bambusowej zagrodzie za domem. Zwróciła na nas wzrok, zaskoczona; nasze spojrzenia się spotkały... i oboje wiedzieliśmy, dlaczego tu jestem. Dolina z pewnością nie była atrakcją dla przeciętnego turysty.

Przeszliśmy między skupiskiem chat i znaleźliśmy się z powrotem na placu. Gazik stał tam, gdzie go zostawiliśmy, a pan Loc siedział pod słomianym daszkiem w czymś, co wyglądało jak prymitywna kafejka czy bar pełen tubylców. Siedział sam, coś pił i palił papierosa. Wietnamczycy, jak zauważyłem, raczej nigdy nie siedzą sami i zazwyczaj nawiązują z kimś rozmowę. Ale pan Loc wysyłał złe wibracje, które klienci baru rozpoznali i trzymali się od niego z dala.

- Chcesz coś zjeść albo czegoś się napić? - spytała Susan.

- Nie. Wynośmy się stąd.

Podeszła do pana Loca i coś powiedziała, a potem wróciła do mnie.

- Będzie gotów za kilka minut.

- Kto płaci za tę wycieczkę... ja czy on?

- Myślę, że on cię nie lubi.

- To cholerny gliniarz. Wyczuwam ich na milę.

- Więc może on myśli to samo o tobie - zauważyła Susan, a potem spytała: - Zrobić ci tutaj zdjęcie?

- Nie.

- Nigdy więcej tu nie wrócisz.

- Taką mam nadzieję.

- Masz zdjęcia z poprzedniego pobytu w tej dolinie?

- Nigdy nawet nie wyjąłem aparatu z plecaka - odparłem. - Nie sądzę, żeby ktoś tu robił zdjęcia, a jeśli tak, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że wywołał je ktoś z krewnych po tym, jak przysłano do domu rzeczy zmarłego.

Susan nie ciągnęła tematu.

Pan Loc skończył pić to, co pił, i podszedł do samochodu. Wziąłem mapę z fotela i rozłożyłem.

- Ta wykropkowana linia do Khe Sanh ma coś wspólnego ze Szlakiem Ho Szi Mina, prawda? - spytałem Susan.

Spojrzała na mapę i przeczytała:

- *He Tkong Duong Mon Ho Chi Minh*. To znaczy coś w rodzaju sieć szlaków albo część sieci szlaków Ho Szi Mina.

- Zgadza się. Właściwie to nie był jeden szlak, tylko cała sieć szlaków w dżungli, płytkich strumieni, podwodnych mostków, dróg przez bagna, zrobionych z kłód i czego tam jeszcze. Większość, jak widzisz, przebiega przez Laos i Kambodżę, których nasze działania

miały nie obejmować. Ta trasa do Khe Sanh zahacza o granicę Laosu. Mam nadzieję, że ten pajac nie zabłądzi, bo wylądujemy w Laosie bez wizy.

Pan Loc stał niedaleko; skinąłem na niego ręką. Podszedł powoli i stanął za blisko. Miałem ochotę powalić go na ziemię, związać mu kciuki i samemu poprowadzić. Ale to mogłoby spowodować pewne problemy. Wskazałem na mapę i powiedziałem:

- Szlak Ho Szi Mina. *Biet?* Khe Sanh.

Skinął głową i usiadł za kierownicą. Wsiedliśmy z Susan z tyłu i samochód ruszył.

W dolinie było sporo wąskich wiejskich drózek, którymi jechaliśmy, i w pewnym momencie ruszyliśmy na północ gruntowym traktem biegnącym przez wzgórza. Drzewa rosły też przy drodze i gałęzie odcinały dopływ światła słonecznego. To naprawdę był Szlak Ho Szi Mina.

Teren stawał się coraz bardziej pofałdowany i górzysty; co jakiś czas wjeżdżaliśmy na kawałek drogi pokryty spróchniałymi kłodami drzew - nazywaliśmy takie drogi drewnianymi. W oddali widać było malownicze wodospady i bystrzyny, a drogę przecinały płytkie potoki.

Podskakiwaliśmy, a Susan robiła zdjęcia. Panu Locowi chyba sprawiało przyjemność przejeżdżanie przez błoto z jak największą prędkością, żeby pryskało, ile wlezie; kilka razy zostaliśmy ochlapani. Widziałem w lusterku, jak pan Loc się uśmiecha.

Robiliśmy nie więcej niż trzydzieści kilometrów na godzinę, gazikiem zaś paskudnie podrzucało. Od czasu do czasu droga okrążała niewielkie sadzawki, które w istocie były monstrualnymi lejami po tysiącfuntowych bombach zrzucanych z B-52 z wysokości dziesięciu kilometrów.

- Wydaliśmy fortunę, burząc te gruntowe trakty - powiedziałem do Susan, wskazując krater. - Możliwe, że zabiliśmy na tych szlakach od pięćdziesięciu do stu tysięcy północnowietnamskich żołnierzy, mężczyzn i kobiet. Ale oni dalej przychodzili, zasypując dziury lub zmieniając od czasu do czasu trasę, jak armia mrówek, którą próbujesz zdeptać, zanim dotrze do twojego domu. - Po chwili dodałem: - Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie ujrzałem rosyjskich czołgów w ich bazie. Te tanki, zbudowane gdzieś pod Moskwą, znalazły się jakoś w Wietnamie Północnym, przejechały tysiące kilometrów po takich drogach jak ta, pod ciągłym ostrzałem, wioząc swoje paliwo i części zamienne, i pewnego dnia jeden z nich dociera jakaś do bram pałacu prezydenckiego w Sajgonie. Muszę oddać tym draniom sprawiedliwość. Nigdy nie zrozumieli, że walimy w nich jak w bęben i że nie mają szans na zwycięstwo. - Klepnąłem pana Loca w ramię i oznajmiłem: - Jesteście konusy, ale twardziele. W następnej wojnie, z Chińczykami, chcę was mieć po naszej stronie.

Nasze spojrzenia spotkały się w lusterku i mógłbym przysiąc, że pan Loc skinął głową.

Dżungla się przerzedziła i zobaczyliśmy rozsiane wśród drzew i na wzgórzach długie chaty na palach; unoszący się z nich dym z palenisk rozpląwał się w mglistym powietrzu.

- To jest prześliczne - powiedziała Susan. - Takie pierwotnie czyste. Możemy się zatrzymać i porozmawiać z góralami?

- Oni nie lubią niezapowiedzianych wizyt.

- Zmyślasz to?

- Nie. Trzeba najpierw zadzwonić. Przyjmują gości tylko od szesnastej do osiemnastej.

- Zmyślasz.

- To ty zmyślasz.

- Nie zmyślam. Zatrzymajmy się.

- Później. Wokół Khe Sanh jest mnóstwo górali.

- Jesteś pewien?

- Spytaj Jamesa Bonga. Uśmiechnęła się.

- Tak go nazywasz?

- Aha. Tajny agent James Bong. Spytaj go.

Spytała, kierowca odpowiedział, a Susan przetłumaczyła:

- Mówi, że wokół Khe Sanh mieszkają górale z plemienia Bru. - Potem dodała: - Zapytał, czego chcemy od Moi. Moi znaczy dzikusy.

- Po pierwsze, to nie jego interes, a po drugie, nie lubimy pogardliwych epitetów na określenie narodowości... oprócz żółtków, zezowatych czy łebków. - Paul, to okropne.

- Wiem. Przechodzę regresję. Przepraszam. Powiedz mu, żeby się walił.

Pan Loc chyba to zrozumiał.

- Gdybyśmy chcieli nawiązać kontakt ze zbuntowanymi góralami, to czy zgodzilibyśmy się, żeby nas woził tajny policjant? - spytałem Susan i pana Loca.

Nikt nie odpowiedział.

Susan pstryknęła jeszcze kilka zdjęć i pogawędziła z panem Lokiem. Po chwili powiedziała:

- Pan Loc mówi, że w Wietnamie jest około ośmiu milionów górali i ponad pięćdziesiąt odrębnych plemion mówiących różnymi językami i dialektami. Twierdzi, że władza stara się zapewnić tym ludziom edukację i nauczyć ich uprawy ziemi, ale oni opierają się cywilizacji,

- Może opierają się władzy.

- Może powinno się ich zostawić w spokoju - stwierdziła Susan.

- Słusznie. Wiesz, polubiłem Montagnardów, których poznałem, i cieszę się, że wciąż noszą broń. Fantazuję sobie, że mógłbym tu wrócić tak jak pułkownik Gordon, Marlon Brando, czyli pan Kurtz, i do nich przystąpić. Zrobiłbym z tych ośmiu milionów ludzi armię jak wszyscy diabli i wzięlibyśmy te góry w posiadanie. Przez cały dzień byśmy polowali, a nocą odprawiali dziwne i straszne obrzędy wokół ognisk, w których płonęłyby pale z zatkniętymi głowami naszych wrogów. Może organizowałbym wycieczki dla Amerykanów. Świat Montagnardów Paula Brennera. Dziesięć dolców za zwiedzanie w dzień, pięćdziesiąt za noc. Widziałem kiedyś, jak Montagnardzi obdarli żywcem byka ze skóry, a potem podcięli

mu gardło i pili jego krew. To byłby gwóźdź wieczornego programu. Co ty na to?

Susan nie odpowiedziała.

Jechaliśmy w milczeniu przez spowite mgłą góry, pod niebem bez słońca; powietrze było ciężkie od zapachu dymu, a wilgotny chłód sączył się w moje kości i serce. Nienawidziłem tego miejsca.

Susan powiedziała coś do pana Loca i zatrzymaliśmy się.

- Co się dzieje? - spytałem.

- Jest tu szlak, który prowadzi w górę tego stoku. Można nim dojść do chat górali - odparła Susan, wyjmując aparat i wysiadając z gazika. - Chcę zobaczyć wioskę Montagnardów.

Ruszyła po stromym szlaku odchodzącym od drogi.

- Zaraz wracamy, Charlie - rzuciłem do pana Loca, - Nie uciekaj.

Wysiadłem i poszedłem za Susan.

Jakieś dwieście metrów dalej teren się wyrównał i ukazała się rozległa polana, na której stało sześć długich chat na palach.

Było tam kilkanaście kobiet i dwa razy tyle dzieci; wszyscy krzatali się wokół swoich codziennych zajęć, które polegały głównie, jak się zdaje, na przygotowywaniu posiłków. Teren wyglądał bardzo czysto i nic nie rosło, z wyjątkiem niskiej trawy, na której pasły się małe kozy i dwa uwiązane koniki górskie.

Kobiety były ubrane w długie, granatowe, haftowane sukienki zebrane w talii szarfami.

Psy zaczęły szczekać, jak tylko nas wyczuły, lecz Montagnardzi nie przerywali swoich zajęć i ledwie na nas zerkali, choć kilkoro dzieci przerwało swoje zajęcia.

Psy skoczyły w naszą stronę, ale były małe, tak jak wszystkie psy w Wietnamie; pamiętam, że nie były szczególnie agresywne. Mimo to żałowałem, że nie mam przy sobie jakichś psich przysmaków.

- Nie ugryzą - powiedziałem do Susan.

- Sławne ostatnie słowa przed śmiercią.

- Nie pochylaj się, żeby je pogłaskać... nikt ich nie głaszcze, mogłyby pomyśleć, że chcesz je zjeść na lunch. Susan zamachała do górali i zagadnęła ich po wietnamsku.

- To plemię Tribingo. Oni są kanibalami - oznajmiłem. Niski krępy staruszek, który siedział na schodach chaty, wstał i ruszył w naszą stronę. Miał na sobie wyszywaną koszulę z długimi rękawami, czarne spodnie i skórzane sandały.

Rozejrzałem się, lecz nie zauważyłem poza nim żadnego mężczyzny, ani młodego, ani w średnim wieku. Wszyscy polowali albo może suszyli obcięte głowy w wędzarni.

Starzec podszedł do nas i Susan coś do niego powiedziała; usłyszałem słowo My i oboje się uklonili.

Susan przedstawiła mnie góralowi, którego imię zabrzmiało jak John; uścisnęliśmy sobie dłonie. Podeszły wiek faceta wskazywał, że mógł walczyć w partyzantce. Patrzył teraz na mnie, jakby spodziewał się ode mnie nowych rozkazów.

Susan rozmawiała z góralem, który najwyraźniej był starszym wioski - nazywaliśmy ich honcho, mimo że to japońskie słowo - i zauważyłem, że mają pewne trudności z porozumieniem się po wietnamsku.

John spojrzał na mnie.

- Ty żołnierz? Walczyć tutaj? - spytał niespodziewanie.

- A Shau - odparłem.

- Aha. - Skinął ręką, żebyśmy poszli za nim.

- Wydaje mi się, że zjedzą nas na lunch - powiedziałem do Susan.

- Paul, przestań błaznować. To jest niesamowite.

Starzec poinformował nas, że on i jego ziomkowie należą do plemienia Taoi - które, miałem nadzieję, nie składa ofiar z ludzi - i oprowadził nas po wiosce bez nazwy; Susan powiedziała, że nazywa się Miejsce Klanu *dai-uy* Johna albo wodza Johna. *Dai-uy* oznacza też kapitana, ale on nie miał na imię John, choć brzmiało to podobnie. Nie podejrzewałem, że znajdę tę wioskę w Atlasie świata Hammonda, zwłaszcza jeśli zmienia nazwy przy okazji każdej zmiany wodza. Przypomniało mi to o wiosce Tam Ki, znanej również jako Ban Hin.

Susan zapytała, czy może fotografować wszystkich i wszystko, i dostała pozwolenie. Psy szły za nami wszędzie, gdzie się ruszyliśmy.

John wskazywał nam to, co uważał za godne naszego zainteresowania, i rzeczywiście dla jednego z nas było interesujące.

Przedstawił nas wszystkim, nawet dzieciom, a Susan podtrzymywała rozmowę, jednocześnie tłumacząc.

- On chce wiedzieć, czy zjemy coś z nim i jego ludźmi.

- Następnym razem. Musimy jechać dalej.

- Jestem głodna.

- Przejdzie ci, jak zobaczysz, co jest w jadłospisie. Poza tym ich posiłki ciągną się bez końca. Musieli się nauczyć od Francuzów jedzenia obiadów z czterech dań. Powiedz mu, że musimy gdzieś jechać.

- Jesteśmy, cholera wie gdzie.

Spojrzałem na starego i stuknąłem palcem w zegarek; chyba zrozumiał gest.

- Khe Sanh - powiedziałem.

- Aha. - Skinął głową.

Skończyliśmy obchód wioski; zauważyłem, że dzieci nie wlokły się za nami, zebrząc o pieniądze czy cukierki, tak jak dzieciaki w Sajgonie. Tylko psy deptały nam po piętach.

Starzec zaprowadził nas do drewnianych schodów, gdzie go pierwszy raz zobaczyliśmy, i zaprosił do środka. Na wszystkich stopniach stały skórzane sandały i buty domowej roboty; Susan i ja zdjęliśmy buty, John też. nauczyć trzymać swoje psy za drzwiami, tak jak prymitywni Montagnardzi. Weszliśmy po schodach, ale psy już się tutaj nie wdrapały. Amerykanie powinni się

Znaleźliśmy się w drewnianym budynku długości mniej więcej piętnastu i szerokości sześciu metrów. Podłoga z drewnianych desek wyglądała na ręcznie wyszorowaną i leżały na niej rozrzucone kolorowe dywaniki. Słupy z pni drzew, stojące pośrodku, podtrzymywały dwuspadowy dach.

Małe okna pokryte cienkim materiałem wpuszczały trochę dziennego światła, podobnie jak drzwi z

obu końców domu. Wisiało też kilka zapalonych oliwnych lamp; widać nie było tu elektryczności. Na środku izby stał duży gliniany piec, lecz nie było komina; dym unosił się pod dach i wypełniał wnętrze domu, odstraszać komary w nocy. Oprócz nas w pomieszczeniu nie było nikogo; hamaki leżały zwinięte przy ścianach. Naliczyłem ich około dwudziestu i spróbowałem sobie wyobrazić dwadzieścia osób obu płci, w różnym wieku, śpiących razem w tej izbie pełnej dymu. Nic dziwnego, że Montagnardów było mniej niż Wietnamczyków.

- Zdarza ci się to robić w hamaku? - spytałem Susan.

- Czy możemy porozmawiać bardziej kulturalnie?

John zaprowadził nas do swojego miejsca. Był honcho, więc było dość duże; stały tam bambusowe kufry i skrzynki. Na ścianie wisiały maczety i noże, obok szarf i pasów skóry.

Pośrodku stał duży kwadratowy stół, którego blat, pełen porcelany i garnków, znajdował się mniej więcej trzydzieści centymetrów nad podłogą.

Na swój dziwaczny sposób ta wspólnota była ideałem komunizmu, a mimo to Montagnardzi nienawidzili rygorystycznej władzy komunistów; byli wolni duchem i niezależni. Poza tym nie lubili Wietnamczyków.

John usiadł po turecku koło dużego drewnianego kufra; Susan poszła w jego ślady, ja też. To łatwiejsze niż kucanie na wietnamską modłę.

Gospodarz otworzył kufer, wyciągnął zielony beret i podał mi. Wziąłem go do ręki i spojrzałem. W środku była metka amerykańskiego producenta. John powiedział coś do Susan.

- Mówi, że dostał to w podarunku od swojego amerykańskiego *dai-uy* w czasie wojny - przetłumaczyła.

Skinąłem głową.

Wyjął drugi zielony beret i znów coś powiedział.

- To dostał trzy lata temu od innego Amerykanina, byłego żołnierza, który tu przyjechał - wyjaśniła Susan.

- Ja nie mam dla niego żadnego beretu - odparłem.

- Daj mu zegarek.

- Daj mu swój. Co to ma, do cholery, wspólnego z zegarkiem?

John pokazał nam kilka innych skarbów ze swego kufra: amerykański pas wojskowy, plastikową manierkę, kompas, nóż i parę ładownic z amunicją. Przypomniało mi to o moim kufrze w piwnicy, podobnym do miliona kufrów w całej Ameryce, pełnych drobiazgow z żołnierskiego życia.

Potem John wyjął ze skrzyni małe niebieskie pudełko, w którym rozpoznałem etui na wojskowe odznaczenia, podobne do szkatułki z klejnotami, i otworzył je z wielką atencją. Na satynie leżał okrągły brązowy medal z czerwono-białą wstążką. Na medalu znajdowała się podobizna orła siedzącego na księżdzie i szabli. Orła otaczały trzy słowa: „Sprawność, Wierność, Honor”.

Rozpoznałem medal za wzorową służbę. Pamiętam, że faceci ze służb specjalnych kupowali je w magazynach wojskowych i rozdawali oddziałom Montagnardów za męstwo,

choć medal nie miał nic wspólnego z męstwem. Montagnardzi jednak tego nie wiedzieli, a armia

nie miała nic przeciwko temu, żeby agenci służb specjalnych wręczali te nic nieznaczące ordery montagnardzkim bojownikom.

pokazałem Susan. Wzięłem odznaczenie do ręki, jakby to był Order Kongresu, spojrzałem na niego i

- John dostał ten medal za męstwo wykraczające poza ramy żołnierskiego obowiązku.

Susan skinęła głową i powiedziała coś do Johna tonem pełnym szacunku.

John uśmiechnął się, wziął ode mnie pudełko, zamknął i schował z powrotem do wielkiego kufra.

Przypomniałem sobie o moim wietnamskim Krzyżu Męstwa, wręczonym mi przez wietnamskiego pułkownika, który ucałował mnie w obydwie policzki; nie byłem pewien, czy dostałem go za czysty mundur, czy coś w tym guście.

Na koniec John wyjął ze skrzyni długi przedmiot owinięty w ceratę. Wiedziałem, co to jest, zanim zdążył odpakować; *dai-uy* John wciąż jeszcze trzymał M-16. Plastikowa kolba i uchwyt lśniły od oliwy, a odlane z aluminium części i niebieskawa lufa błyszczały, jakby właśnie przeszły inspekcję.

Wyciągnął w moją stronę broń obiema rękami, jak gdyby to była świętość, i spojrzeliśmy sobie w oczy. Położyłem ręce na karabinie i przez chwilę obaj trzymaliśmy go w dłoniach. Uśmiech znikł z twarzy Johna i pojawił się na niej wyraz powagi; myślę, że moja twarz wyglądała podobnie. Obaj skinęliśmy głową na wspomnienie minionych spraw: wojny, poległych towarzyszy i porażki.

John bez słowa zawinął bron w ceratę i odłożył do kufra, a potem zamknął go i wstał.

Susan i ja zrobiliśmy to samo i wyszliśmy z domu. Był widno, choć niebo zasnuwały chmury.

John poprowadził nas z powrotem do ścieżki a my machaliśmy wszystkim, których mijaliśmy. Gdy stanęliśmy przy ścieżce, powiedział coś do Susan.

- John życzy nam bezpiecznej podróży i wita cię z powrotem w krainie wzgórz - wyjaśniła mi.

- Powiedz Johnowi, że jestem mu wdzięczny za pokazanie medalu i przedstawienie mnie swoim ludziom - odparłem. Nie wiedziałem, czy Montagnardzi obchodzą Tet, więc dodałem: - Życzę plemieniu Taoi powodzenia, dobrego polowania i szczęścia.

Susan przetłumaczyła, John się uśmiechnął i coś odpowiedział. Susan odwróciła się do mnie.

- Chcę wiedzieć, kiedy wrócą amerykańscy żołnierze.

- A jeśli nigdy? Czy to nie za wcześnie? Powiedz mu, że Amerykanie wrócą w pokoju, nie będzie więcej wojny.

Odniosłem wrażenie, że wódz jest trochę rozczarowany, słuchając Susan. Miał nadzieję, że znów będzie mógł kosić Wietnamczyków, ale musi z tym poczekać trochę dłużej.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem szwajcarski scyzoryk. Dałem go Johnowi, który się uśmiechnął. Wyglądało na to, że rozpoznaje nóż - zaczął nawet otwierać ostrza i inne gadzety.

- To jest śrubokręt Phillipsa, John - powiedziałem. - W razie gdybyś napotkał w wiosce jakieś śruby. A to dziwo to korkociąg do twojego Chateau Lafite Rothschild, ale jeśli wolisz, możesz go wkręcić w łeb komunistycznego komisarza.

Susan przewróciła oczami, a ja pokazałem Johnowi wszystkie inne pożyteczne funkcje scyzoryka.

John zdjął z szyi granatową szarfę i nałożył ją Susan. Wymienili parę słów i pożegnaliśmy się.

Ruszyliśmy ścieżką w dół.

- To było niezwykle... - powiedziała Susan. - I wzruszające. On wciąż jeszcze... traktuje Amerykanów jak idoli.

- Francuzów też lubili, co w obu wypadkach świadczy o nieumiejętności trzeźwej oceny ludzi - odparłem. - Oni po prostu nie cierpią Wietnamczyków, i to z wzajemnością.

- Rozumiem - powiedziała Susan. Pomyślała przez chwilę i dodała: - Nie mogę uwierzyć, że mieszkam tu od trzech lat i nic o tym wszystkim nie wiedziałam. - Nie piszą o tych sprawach w „Wall Street Journal” ani w „Economic Times”.

- Faktycznie nie piszą. Cieszysz się, że się zatrzymaliśmy?

- Ty się zatrzymałaś. Ja poszedłem za tobą, żebyś czasami nie skończyła na rożnie. - Dotarliśmy do końca ścieżki. - Założę się, że pan Loc wisi głową w dół na drzewie, z podciętym gardłem, a psy chłopcą jego krew - powiedziałem.

- Paul, to niesmaczne.

- Przepraszam. Chciałem prowadzić samochód.

Znaleźliśmy gazik i pana Loca, który był zdrow i cały, choć wyglądał na ciut roztrzęsionego. Wsiedliśmy.

- *Cu di* - zwróciłem się do pana Loca.

- Przypomina ci się wietnamski? - spytała Susan.

- Taak. To straszne. - Większość znanych mi wietnamskich słów dotyczyła spraw łóżkowych, ale pamiętałem też parę potocznych wyrażen. - Susan, co oznacza „Śmierć komuchom”. *Sat Cong* - powiedziałem do

Panu Locowi nie przypadło to do gustu; zerknął na mnie w lusterku.

- Patrz na drogę - rzuciłem.

A droga prowadziła dalej na północ i dojechaliśmy nią do niewielkiej miejscowości, która według mapy nazywała się Ta Ay; było to skupisko prymitywnych bambusowych chat na płaskiej górskiej łące. Ich mieszkańcy wyglądali na Wietnamczyków. Wietnamczycy mieszkali w wioskach i uprawiali ziemię - górale mieszkali na wyżynach i w górach i trzymali się z dala od roli. To rzeczywiście było fascynujące, jak powiedziała Susan - w innych okolicznościach, nie mając za sobą osobistych przeżyć na tych wzgórzach, byłbym w lepszym nastroju.

Przejechaliśmy przez kolejną wioskę, na mapie zaznaczoną jako Thon Ke; droga skręcała na zachód w stronę granicy Laosu i opadała w wąską dolinę, potem znów skręcała na północ i biegła wijącą się doliną, aż wreszcie, godzinę później, dojechaliśmy do nisko położonej okolicy z poletkami ryżowymi i wioską Li Ton. Droga prowadziła tu w zasadzie po nasypie wzdłuż rowów nawadniających pola. Szlak Ho Szi Mina. Coś niesamowitego, jeśli się nad tym zastanowić, a jeszcze bardziej niesamowity wydawał się teraz, kiedy zobaczyłem jego fragment.

Nieco ponad dwie godziny po wyjeździe z A Luoi przejechaliśmy przez nowy betonowy most w miejscowości o nazwie Dakrong, a kilka kilometrów dalej Szlak Ho Szi Mina przecinał autostradę

numer dziewięć, która składała się z dwóch pasów na wpeł pokrytych asfaltem, w dużej mierze za sprawą korpusu inżynieryjnego Armii Stanów Zjednoczonych. Pan Loc skręcił w lewo na autostradę i pojechaliśmy na zachód, w stronę Khe Sanh.

- Armia Wietnamu Północnego blokowała tę drogę podczas oblężenia Khe Sanh, od początku stycznia do kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku - powiedziałem do Susan. - Nawet pancerny konwój nie mógł się przebić. Ale na początku kwietnia zrobiliśmy desant na te wzgórza wokół oblężonej bazy i mniej więcej tydzień później pancerna kolumna, wspierana przez kilka pułków marines i oddziały południowowietnamskiej armii, przebiła się przez pierścień i położyła kres oblężeniu.

- Byłeś tam?

- Mhm. Pierwsza Dywizja Kawalerii dużo się przemieszczała. To przyjemne mieć setki helikopterów, które wszędzie cię mogą przewieźć, ale zwykle nie masz ochoty znaleźć się tam, dokąd cię zabierają.

Jechaliśmy przez jakiś czas autostradą numer dziewięć. Ruch był umiarkowany, widać było głównie skutery, rowery i ciężarówki.

Z prawej strony rozciągał się płaskowyż, na którym była kiedyś baza wojskowa Khe

Sanh, a dalej wznosiły się lesiste wzgórza, spowite mgłą. Z topograficznego punktu widzenia krajobraz przypominał dolinę A Shau, choć ten teren nie był tak oddalony od ludzkich siedzib i tak ciasno otoczony wzgórzami.

Z perspektywy historycznej Khe Sanh to miejsce, gdzie, tak jak w A Shau i Dien Bien

Phu, wielka zachodnia armia zgromadziła się w zapadłej, zapomnianej przez Boga dolinie,

żeby stoczyć bitwę z Wietnamczykami. Pod Dien Bien Phu doszło do decydującej klęski wojskowej, podczas gdy bitwy o Khe Sanh i A Shau w najlepszym razie zakończyły się militarnym patem, a w ostatecznym rozrachunku - psychologiczną porażką Amerykanów, którzy uważali, że remis nie może być substytutem zwycięstwa.

Przejechaliśmy przez płaskowyż, teren dawnej bazy, i dotarliśmy do miasta Khe Sanh, które, podobnie jak A Luoi, zniknęło w czasie wojny, lecz pojawiło się znów wiele lat później, niczym wańka-wstańka.

Niebo było wciąż ponure i zaciągnięte; takim je zapamiętałem w kwietniu sześćdziesiątego ósmego roku - niebo szare i ciężkie jak mój nastrój w miejscu, w którym fetor tysięcy zwłok nieuchronnie kojarzył się z aluzją do twojego własnego losu.

Rozdział 32

Wjechaliśmy do miasta Khe Sanh, gdzie okazałe murowane budynki z czerwonymi dachówkami wyrastały gęsto na dobrze rozplanowanych ulicach.

Znaleźliśmy się na dużym placu, na którym trwała właśnie budowa sporego marketu. Najwyraźniej władze postanowiły uczynić z tego miasta o znanej nazwie atrakcyjną wizytówkę dla turystów i dziennikarzy. I rzeczywiście stało tam zaparkowanych pięć turystycznych autokarów; kilkadziesiątu zachodnich turystów kręciło się między straganami, pewnie zachodząc w głowę, co ich w ogóle przyniosło do tego zapadłego zakątka kraju.

Pan Loc wjechał na stację benzynową; Susan i ja wysiedliśmy z samochodu, żeby się wyprostować.

- Napiłbym się zimnego piwa - powiedziałem.

Susan rzuciła parę słów panu Locowi, który pompował paliwo, i skierowaliśmy się do kafejki z ogródkiem po drugiej stronie placu.

- To nie była baza, prawda? - spytała Susan.

- Nie. Baza bojowa Khe Sanh znajdowała się na tym płaskowyżu, który minęliśmy po drodze. Wzięła nazwę od miasta, które już wówczas nie istniało. Później tam pojedziemy.

Idąc na piwo, musieliśmy przejść koło szeregu straganów, a Susan nie byłaby sobą, gdyby się przy nich nie zatrzymała. Na większości straganów sprzedawano dwukilogramowe torby kawy, pewnie miejscowej, a na niektórych ananasy i warzywa. Na kilku handlowano wojennymi pamiątkami; przeważnie był to szmelc, na przykład błyskotki z mosiężnych łusek pocisków. Zauważyłem łuski od stu pięćdziesięciomilimetrówek z rosnącymi w środku kwiatami, coś w rodzaju kombinacji metafor, jeśli można tak to nazwać. Były też wazoniki z łusek pocisków do karabinów maszynowych kaliber .50 i krótkie, pękate gilzy od granatników, które sprzedawano jako kubki z przylutowanymi rączkami.

- Skąd się to wszystko wzięło? - spytała Susan.

- Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki - odparłem.

- Boże, ależ tego masa.

- Oblężenie trwało sto dni. To, co tu jest, to pewnie pociski wystrzeliwane w ciągu minuty.

Susan podeszła do straganu z fragmentami uzbrojenia - były tam plastikowe uchwyty do karabinów M-16, dźwignie i zawlecзки granatów, kartonowe tuby na lekkie przeciwczołgowe M-72 i tym podobne rzeczy. Były też plastikowe manierki, uprząże, ładownice, pochwy na bagnety, sprzączki od pasów i całe mnóstwo innych drobiazgów - archeologiczne pozostałości walczącej tu niegdyś armii, teraz na sprzedaż dla tych, którzy przeżyli, i tych, którzy chcieli zabrać do domu kawałek piekła.

Susan pytała mnie o różne przedmioty, czym są i do czego były używane. Wszystko jej wyjaśniłem.

- Zimne piwo - powiedziałem na koniec.

- Chwileczkę. Co to takiego?

Spojrzałem na to, co trzyma w dłoni.

- To akurat jest parciany woreczek na saperkę. Przyczepiasz to do paska, a ostrze łopatki wchodzi do środka.

Susan odłożyła przedmiot i podeszła do następnego straganu, gdzie rodzina Montagnardów sprzedawała wyroby rzemieślnicze.

- Paul, wiesz, co to za plemię? - spytała.

Mieli na sobie jasnoniebiesko-czerwone ubrania z wymyślnymi haftami, a kobiety nosiły włosy upięte w ogromne, wysokie koki ściągnięte kolorowymi chustkami. W uszach miały olbrzymie okrągłe kolczyki i paliły długie fajki. Wszyscy - mężczyźni, kobiety i dzieci - nosili druciane

naszyjniki i mosiężne bransolety.

- Myślę, że oni są z Kalifornii - odparłem.

- Mądrała. Z jakiego są plemienia?

- A niby skąd ja mam to wiedzieć? Oni wszyscy są Montagnardami. Zapytaj ich.

Susan zagadnęła po wietnamsku starszą kobietę i obie się zdziwiły, że mówią tym językiem. Porozmawiała z nią trochę, a potem powiedziała do mnie:

- Trudno zrozumieć jej wietnamski.

- Tak samo jak twój.

Zignorowała mnie i wróciła do staruszki. Cała rodzina skupiła się teraz wokół nich i zaczęli rozprawiać; panie pykały z fajek, mężczyźni palili papierosy. Rozmawiali o szarfie, którą Susan dostała od wodza plemienia Taoi, i pokazali jej swoje szarfy w jaskrawszych kolorach. W pewnej chwili spojrzeli na mnie; widać Susan uświadomiła ich, że już tu kiedyś byłem

Podszedł do mnie bardzo niski staruszek z pałkowatymi nogami, ubrany w rodzaj pomarańczowej tuniki z żółtą szarfą w pasie. Złapał mnie za rękę, spojrział mi w oczy i tak patrzyliśmy na siebie. Jego dłonie były niczym pomarszczony pergamin, podobnie jak twarz. Coś powiedział.

- Mówi, że był amerykańskim żołnierzem - przetłumaczyła Susan.

- Naprawdę? Wydaje mi się, że komisja by go nie zakwalifikowała z powodu wzrostu.

Mężczyzna mówił dalej.

- Twierdzi, że walczył razem z amerykańskimi... zielonymi beretami... przez siedem lat... dobrze mu płacili... dali mu wspaniałe karabin i nóż... zabił wielu, wielu... *beaucoup, beaucoup...* słyszysz? - tłumaczyła Susan.

- *Beaucoup, beaucoup, vee-cee...* - powiedział staruszek, wykonując dłonią gest podrzynania gardła, który bez trudu odczytałem, bo sam kiedyś coś takiego zrobiłem.

- Spytaj go, czy wciąż ma swój karabin.

Susan zapytała, mężczyzna spojrział na mnie i prawie niedostrzegalnie skinął głową.

Stoję więc na placu w mieście Khe Sanh, patrzę na tę niewiarygodnie pomarszczoną twarz mężczyzny z wąskimi jak szparki oczami i ściskam jego dłoń; nie łączy nas nic prócz wojennej więzi, której nigdy nie da się zerwać.

- Chce wiedzieć, czy znasz kapitana Boba, jego dowódcę - poinformowała mnie Susan.

- Powiedz mu, że spotkałem kiedyś kapitana Boba w Ameryce; ma się dobrze i często opowiada o męstwie swoich montagnardzkich żołnierzy.

Susan przetłumaczyła, a starzec kupił to od początku do końca, Ucisnął mi obie ręce, a potem wszedł do swojego straganu i wrócił z brązową bransoletą, której Montagnardzi nie sprzedają, ale dadzą ci za darmo, jeśli cię lubią lub jeśli jesteś odważny. Otworzył ją, nałożył na mój lewy nadgarstek i mocno zacisnął. Cofnął się o krok i zasalutował. Ja też mu zasalutowałem.

Wokół zebrało się już kilkoro Amerykanów oraz Wietnamczyków, którzy nie patrzyli na nas ze szczególną sympatią.

- Podziękuj mu i powiedz, że wrócimy z kapitanem Bobem, żeby zorganizować drugą montagnardzką armię.

Susan powiedziała coś do starca, który uśmiechnął się i uściśnął mi dłoń.

Postanowiła, że koniecznie musi mieć sześć kolorowych chust i szarf i po raz pierwszy, od kiedy mieszkała w Wietnamie, nie targowała się o cenę, tylko dała starszej kobiecie dziesiątaka.

Naturalnie chciała zrobić zdjęcia, więc spytała Montagnardów, czy się zgadzają, a oni powiedzieli, że tak.

- Obetną ci głowę - rzuciłem.

Mimo to pstryknęła, a oni nie ucięli jej głowy. Wszyscy pozwaliśmy do zdjęć z chustami na szyjach, a potem pożegnaliśmy się; ruszyłem prosto w stronę kafejki.

- Oni są z plemienia Bru - oznajmiła. - Pokaż tę bransoletę.

Wyciągnąłem rękę w jej stronę jak lunatyk.

Susan obejrzała bransoletę.

- Czy ona coś znaczy?

- To znak przyjaźni - odparłem. - Nawet mam taką jedną w domu. Teraz mam już dwie.

- Naprawdę? Kto ci dał pierwszą?

- Pewien Montagnard, oczywiście.

- Dlaczego ci ją dał? A może to była ona?

- On. Lepiej było nie przystawiać się do ich kobiet, bo kończyło się z fiutem na patyku.

- To dobrze. Więc dlaczego dali ci tę bransoletę?

- Na znak przyjaźni. Rozdawali je dość łatwo, jeśli kogoś lubili. Niestety, trzeba było z nimi zjeść posiłek, a jedli rzeczy o wiele gorsze niż nasze racje żywnościowe.

- Na przykład?

- Nie tak okropne jak Wietnamczycy. Są mięsożerni... jedzą jelenie, dziki, ptaki, łasice i inną straszną dziczyznę. Palą mięso na popiół. Ale najgorszy do przełknięcia był kubek ciepłej krwi, chociaż pasował do czerwonego mięsa.

- Piłeś krew?

- Czemu nie? Krew jednoczy wspólnotę i ma znaczenie mistyczne. Prawda? Jak komunია święta. Ja wolę piwo.

Dotarliśmy do kafejki. Dochodziła pierwsza po południu i lokal był pełen Europejczyków i Amerykanów, a także młodych obywateli z plecakami. Paru starszych facetów mogło być weteranami, lecz większość stanowiły siedzące razem grupy turystów, którzy, na moje oko, nie mieli żadnego związku z tym miastem; najwyraźniej Khe Sanh

leżało na trasie ich wycieczek, i przypuszczam, że większość z tych ludzi zapisała się na nie

w hotelach w Hue. W broszurce napisano pewnie coś takiego: Khe Sanh! Zobacz na własne oczy

miasto, gdzie doszło do trzymiesięcznego oblężenia bazy wojskowej US marines. Nie

30 tysięcy Żołnierzy uwikłanych w walkę na śmierć i życie. Dodatkowo wycieczka do wioski wysiadając z komfortowego, klimatyzowanego autokaru, przeżyj horror, jaki stał się udziałem Montagnardów, połączona z lunchem.

W każdym razie stoliki były wypełnione, ale zauważyłem jeden czteroosobowy, przy którym siedział tylko Amerykanin z Wietnamczykiem; pili piwo. Podeszedłem i spytałem:

- Możemy się przy siąść?

- Siadajcie - odparł Amerykanin, wysoki facet w moim wieku. Usiedliśmy. - Nazywam się Ted Buckley - przedstawił się mężczyzna, wyciągając dłoń.

- Paul Brenner - odpowiedziałem, podając mu rękę. - A to Susan Weber.

- Miło mi. A to jest pan... jak pan się nazywa?

Wietnamczyk, który wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat, powiedział:

- Tram. Miło mi państwa poznać.

- Pan Tram był oficerem armii Wietnamu Północnego, w stopniu kapitana... nie pomyliłem się? Walczył tutaj. Dalibyście wiarę?

Pan Tram jakby uśmiechnął się z lekka i skłonił głowę.

- A ja byłem tutaj w Dwudziestym Szóstym Pułku Marines, od stycznia do czerwca sześćdziesiątego ósmego roku - dodał Ted z uśmiechem. - Więc pan Tram i ja byliśmy tu w tym samym czasie, ale po przeciwnych stronach.

Zerknąłem na pana Trama i nasze spojrzenia się spotkały. Próbował wykombinować, czy ja też byłem tutaj, i czy czuję do niego uraz, czy - tak jak Ted Backley - uważam to za niesamowity zbieg okoliczności.

- Pan Tram powiedział, że będzie moim przewodnikiem po bazie - ciągnął Ted. - Wybieracie się do bazy, czy już tam byliście?

- Jesteśmy w drodze - odparłem.

Zjawiła się kelnerka i zamówiliśmy z Susan obojętnie jakie zimne piwo.

Ted spojrzał na mnie.

- Marines? - spytał. Odpowiedziałem standardowo:

- Czy wyglądam na idiotę?

Roześmiał się.

- Armia?

- Pierwsza Kawaleryjska.

- Nie chrzanisz? - Spojrzał na Susan. - Przepraszam. - Potem zwrócił się do mnie: - Byłeś tutaj?

- Byłem. - W duchu zdrowej życzliwości między rodzajami wojsk dodałem: - Nie pamiętasz, że kawaleria przyleciała i uratowała wam tyłki?

- Gówno prawda. Mieliśmy Charliego na widelcu.

- Trzymał was w oblężeniu przez trzy miesiące.

- I właśnie dzięki temu mieliśmy go na widelcu.

Roześmieliśmy się. Było zabawnie. Tak mi się zdaje.

Pan Tram i Susan palili papierosy, siedząc w milczeniu i słuchając.

- Ten kolega też tu był - powiedział Ted do pana Trama. - Pierwsza Dywizja Kawalerii. Rozumie pan?

Pan Tram skinął głową.

- Przybyliście pierwszego dnia kwietnia - odezwał się do mnie.

- Zgadza się.

- Świetnie. Ja też. - Dobrze to pamiętam - oznajmił.

Podano piwa i wszyscy unieśliśmy butelki.

- Za pokój - rzucił Ted. Stuknęliśmy się butelkami i wypiliśmy.

Spojrzałem na Teda Buckleya; jak już powiedziałem, był roslym facetem, a od czasu chudych miesięcy podczas oblężenia Khe Sanh przybyło mu parę kilogramów. Miał smagłą twarz i szorstkie dłonie, więc pracował fizycznie na powietrzu.

- Jesteś tu sam? - spytała Susan.

- Żona jest ze mną. Została w Hue. Powiedziała, że będzie lepiej dla mnie, jeśli na tę wycieczkę wybiorę się sam. - Po chwili wyjaśnił: - Jesteśmy z grupą wycieczkową. Przyjechaliśmy z Sajgonu minibusem. Pana Trama poznałem przed chwilą. Powiedział, że będzie moim prywatnym przewodnikiem. Hej, wy też możecie się przyłączyć. - Dzięki. Chętnie skorzystamy - odparłem.

Ted spojrzał na Susan.

- A ty jak się dałaś tu przywlec?

- Zgłosiłam się na ochotnika - odparła.

- Nigdy nie zgłaszaj się na ochotnika... do niczego. Dobrze mówię, Paul? - zwrócił się do mnie Ted, a potem spytał: - Zatrzymaliście się w Hue?

- Tak - odparła Susan.

- Wczoraj widzieliśmy cytadelę - ciągnął Ted. - Chryste, większa jej część wciąż jest zrównana z ziemią. Biłeś się tam?

- Nie. Przeważnie siedzieliśmy pod Quang Tri.

- Taak. Baza Sharon. Pamiętam. Co robiłeś w swojej dywizji?

- Zwykły zapieprz.

- Ja też. Sześć miesięcy służby spędziłem w tym szajsie tutaj. - Popatrzył na Susan: - Przepraszam. Nie przychodzi mi do głowy lepsze słowo.

- Już się przyzwyczaiłam - powiedziała. - Jak długo pan tu był? - zapytała pana Trama.

- Cztery miesiące. Przyjechałem w grudniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego, a wyjechałem w kwietniu. - Spojrzał na mnie i dodał: - Kiedy pan Paul przyjechał, ja wyjechałem. - Uznał, że to zabawne, i jakby zachichotał.

Ted popatrzył chwilę na pana Trama.

- Jak było po tamtej stronie drutu? - zapytał go.

Pan Tram zrozumiał pytanie, zastanowił się chwilę i odparł:

- Bardzo źle. Amerykańskie bombowce szły dzień i noc, działa strzelały dzień i noc... dla nas bardzo źle... dla was też, ja jestem pewien... ale bombowce były bardzo niedobre.

- No, cóż, kolego, ja przez trzy pieprzone miesiące byłem pod lufami waszych dział - odpowiedział Ted.

- Tak, wojna była straszna dla wszystkich.

- Uwierzyłbyś w to? Że znów tu jesteś? Przez chwilę zrobiło się cicho, a potem Ted powiedział do mnie:

- Ciągle to rozgryzam.

- Ty wyglądasz zbyt młodo, żeby coś z tego pamiętać - zwrócił się do Susan.

- Prawda, ale Paul był tak miły, że podzielił się z mną wspomnieniami.

Ted najwyraźniej miał ochotę spytać, co nas łączy, więc zanim zaczęło go to zbytnio dręczyć, wyjaśniłem:

- Poznaliśmy się z Susan w Hue i zaprosiłem ją, żeby tu ze mną przyjechała.

- Aha. Więc dopiero się poznaliście. - Spojrzał na Susan. - Skąd jesteś?

- Lenox, Massachusetts.

- Taak? Ja jestem z Chatham w Nowym Jorku, zaraz za granicą stanu. Mam małą firmę budowlaną. - Uśmiechnął się. - Wykopałem tu tyle okopów i zbudowałem tyle bunkrów, że kiedy wróciłem do domu, chciałem go okopać i otoczyć workami z piaskiem. Ale mój stary załatwił mi robotę u murarza.

Susan się uśmiechnęła.

- A ty skąd jesteś, Paul? - spytał Ted.

- Pochodzę z Bostonu. Teraz mieszkam w Wirginii.

- A pan skąd pochodzi? - zwróciła się Susan do pana Trama.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Z małego miasteczka na wybrzeżu o nazwie Dong Hoi - odpowiedział z uśmiechem, a potem dodał: - Leży w dawnym Wietnamie Północnym, ale po zjednoczeniu nie ma granicy, więc sześć lat temu przeprowadziłem się z rodziną tu, do Khe Sanh.

- Czemu? - zainteresował się Ted.

- To strefa rozwoju ekonomicznego - odparł pan Tram.

- Taak? Dlaczego tutaj?

Pan Tram pomyślał przez chwilę.

- Ja zapamiętałem piękne zielone wzgórza i doliny, kiedy tu przyjechałem, przed bitwą... dużo Wietnamczyków wyprowadziło się z wybrzeża, gdzie było wiele ludzi. To jest, jak wy mówicie, nowa rubież.

- Tak, to rubież - powiedział Ted. - I są nawet Indianie.

- Jest pan tutaj przewodnikiem? - spytała Susan.

- Uczę angielskiego w liceum - odparł pan Tram. - Teraz jest święto Tet, więc ja tu przyjechałem zobaczyć, czy mogę się przydać turystom. - Po chwili dodał: - Tylko dla weteranów.

Spojrzałem na pana Trama. Wyglądał na miłego faceta, a jeśli pracował w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, to tylko na pół etatu. Tak czy siak, to ja go znalazłem, a nie on mnie, więc nie miał nic wspólnego ze mną. Może znali się z panem Lokiem.

- Mogę zapytać o pański zawód? - zwrócił się do mnie pan Tram.

- Jestem na emeryturze - odparłem.

- Ach tak. W Ameryce wcześniej odchodzicie na emeryturę.

- Jest starszy, niż wygląda - wtrąciła się Susan.

Pan Tram i Ted zachichotali; Ted zerknął na nas i uznał, że ze sobą śpimy.

Pogawędziliśmy chwilę, wypiliśmy jeszcze po jednym piwie, a potem wszyscy po kolei odwiedzili toaletę.

Pan Tram nie był pierwszym północnowietnamskim żołnierzem, którego tu poznałem, ale pierwszym, z którym wypłem piwo i który wzbudził moją ciekawość.

- Co pan sądzi o tych wszystkich Amerykanach, którzy tu wracają? - spytałem.

- Sądzę, że to dobrze - odparł bez wahania.

- Myśli pan, że to, o co walczyliście, było warte tylu śmiertelnych ofiar i cierpienia?

- Walczyłem o ponowne zjednoczenie kraju - odpowiedział znów bez wahania.

- No dobra. Kraj jest zjednoczony. Dlaczego Hanoi tak źle traktuje południe? Zwłaszcza weteranów armii Wietnamu Południowego.

Ktoś kopnął mnie pod stołem... i nie był to pan Tram ani Ted. Pan Tram pomyślał przez chwilę.

- Po zwycięstwie popełniono wiele błędów. Władze przyznały się do tego. Teraz pora myśleć o przyszłości,

- Ma pan przyjaciół, którzy walczyli po stronie Wietnamu Południowego? - spytałem.

- Nie, nie mam. Mojemu pokoleniu trudno zapomnieć. - Potem dodał: - Kiedy widzimy się na ulicy, w autobusie czy kawiarni, przypominają nam się cierpienia i śmierć, które sobie wzajem zadawaliśmy. Spoglądamy na siebie z nienawiścią i odwracamy głowę. To straszne, ale ja myślę, że następne pokolenie będzie już lepsze.

Wszyscy zajęliśmy się piwem. Dziwne: były kapitan Tram pije piwo z dwoma Amerykanami, którzy niedaleko stąd usiłowali go zabić, lecz nie powie nawet dzień dobry byłemu południowowietnamskiemu żołnierzowi. Ta wrogość między Wietnamczykami, między zwycięzcami i pokonanymi, trwała dalej, i było to bardzo skomplikowane zjawisko, mające, jak mi się zdaje, mniej wspólnego z wojną niż z tym, co nastąpiło potem. Wojna jest prostu, pokój jest skomplikowany.

- Autobus odjeżdża za dziesięć minut - powiedział Ted do mnie i do Susan. - Myślę, że nie mieliby nic przeciwko temu, żebyście pojechali z nami.

- Mamy samochód i kierowcę - odparłem, - Możesz z nami jechać.

- Tak? Dobra. - Spojrzał na przewodnika. - Okej?

- Oczywiście.

Ted nalegał, że zapłaci za piwa; wyszliśmy z zatłoczonej kafejki. Znaleźliśmy pana Loca tam, gdzie go zostawiliśmy; powiedział coś do Susan po wietnamsku, a ona odpowiedziała w tym samym języku.

To zważyło Teda z nóg.

- Mówisz po ichniemu? To znaczy po wietnamsku?

- Trochę - odparła Susan.

- Jezu, kto gada po wietnamsku?

Susan, ja i pan Tram wcisnęliśmy się z tyłu, wielki Ted usiadł z przodu i pojechaliśmy.

Ruszyliśmy autostradą numer dziewięć na wschód; pan Tram, który chciał od razu zacząć zarabiać na swoje wynagrodzenie, wyjaśnił:

- Jeśli spojrzycie w prawo, zobaczycie ruiny starego fortu francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

Spojrzeliliśmy; Susan zrobiła zdjęcie, Ted również.

- Armia Ludowa zajmowała fort - ciągnął pan Tram - aż do... - Spojrzał na mnie i lekko się uśmiechnął. - Aż do chwili, gdy pan Paul przyleciał z setkami helikopterów.

To było naprawdę trochę dziwne. No bo tak: siedzę tu sobie tyłek w tyłek z facetem, którego w mgnieniu oka rozsmarowałbym na czerwono, gdybym go wtedy zobaczył. Albo on zabiłby mnie. A teraz jest moim przewodnikiem i opowiada mi o naszym desancie.

- Droga z prawej strony, która przecina autostradę, była częścią Szlaku Ho Szi Mina i prowadzi na południe do A Luoi w dolinie A Shau, która stała się sceną wielu strasznych bitew. Na tym szlaku, kilometr na południe, znajduje się most Dakrong, dar dla narodu wietnamskiego od naszych socjalistycznych braci z Kuby. Możemy go później odwiedzić, jeśli zechcecie.

Susan powiedziała coś do pana Trama po wietnamsku, a ten skinął głową. Ted usłyszał to i odwrócił się.

- Co się dzieje?

- Właśnie wróciliśmy z doliny A Shau - wyjaśniła Susan. - Paul tam kiedyś był.

- A, tak - potwierdził Ted. - Wyruszyliście stąd do A Shau. Jak tam było?

- Paskudnie - odparłem.

- Nie mogło być gorzej niż tutaj, stary.

Piekiło ma wiele opadających kręgów, nawet na wojnie; każdy żołnierz jest przekonany, że trafił do najgorszego, i nie ma sensu go przekonywać, że jest inaczej. Twoje piekiło jest twoim piekiłem, a jego piekiło jest jego piekiłem.

- Miałem brata, który był w dolinie A Shau - oznajmił pan Tram.

Nikt nie zapytał o zdrowie jego brata. Pan Tram wrócił do roli przewodnika.

- Jak widzicie, na polach po obu stronach są uprawy. Główne produkty to kawa, warzywa i ananasy. W czasie wojny dolina była niezamieszкана, nie licząc górskich plemion, które sprzymierzyły się z Amerykanami. Wróciło bardzo niewielu pierwotnych mieszkańców, większość to nowi osadnicy z wybrzeża. Nazywają wioski tak samo, jak nazywały się ich dawne wsie, więc kiedy rodzina lub znajomi z wybrzeża przyjeżdżają ich odwiedzić, wystarczy, że spytają, a miejscowi kierują ich do wioski, która nazywa się tak samo jak ta, z której przybyli osadnicy.

- W Stanach jest tak samo - poinformował Ted pana Trama. - Nowy Jork, Nowe Jersey, Nowy Londyn. Tak samo.

- Tak? Bardzo ciekawe - odparł pan Tram, który jeszcze nie dostał zapłaty. - Widzą państwo te stawy tam? To nie są stawy, tylko leje po bombach. Było ich kiedyś tysiące, ale

zasypano je ziemią. W tych, które zostały, hoduje się kaczki albo wykorzystuje do pojenia zwierząt.

Zapamiętałem ten krajobraz, kiedy lecieliśmy: z powietrza widać było tylko zwiędłe brązowe liście po użyciu defoliantów, szary popiół, kilometry wietnamskich okopów i krater obok krateru, jak na powierzchni Księżyca.

Wyobraziłem sobie pana Trama siedzącego z towarzyszami w bunkrze lub wąskim okopie, palących papierosy i rozmawiających, z nadzieją na spokojny wieczór. Tymczasem dziesięć kilometrów nad ich głowami, za wysoko, żeby je zobaczyć lub usłyszeć, eskadra ośmiosilnikowych B-52 wypuszcza jednocześnie cały ładunek pięćsetfuntowych bomb. Bomby nie gwizdały ani nie krzyczały, lecąc w dół - krzyczeli ludzie na ziemi, gdy setki bomb spadały nagle, bez ostrzeżenia.

Uderzenia z powietrza, jak je nazywano, momentalnie zamieniały ziemię w żywe piekiło, jak gdyby piekiło wychynęło z otchłani, żeby pochłonać świat. I nie było bunkra ani tunelu dość głębokiego; żeby wytrzymał eksplozję bomby z opóźnionym zapłonem, która wbijała się głęboko w ziemię i dopiero wtedy wybuchała. A jeśli bomba nie rozerwała cię na strzępy ani nie wyparowałaś, wstrząs zamieniał ci mózg w galaretę, uszkadzał wewnętrzne organy, rozsadzał bębniaki i wyrzucał w powietrze jak garść ziemi. A czasem grzebał żywcem, gdy tunel, bunkier lub okopy się zawały.

Znaleźliśmy tutaj setki Wietnamczyków, leżących, gapiących się bezmyślnie w niebo lub błakających się niczym zombie; z ich uszu, nosów i ust ciekła krew. Nie opłacało się ich brać do niewoli, na pomoc medyczną było dla nich za późno, więc nie wiedzieliśmy, czy ich rozstrzeliwać, czy nie warto tracić na to czasu.

Zerknąłem na pana Trama i zrozumiałem, że on też to widział, ze swojej perspektywy; zastanowiłem się nad tym, czy często wraca do tego myślami... a może to wspomnienie nigdy go nie opuszcza.

Przejechaliśmy jakieś dwa kilometry autostradą numer dziewięć; pan Loc skręcił w lewo przy znaku z angielskim napisem *Baza bojowa Khe Sanh*.

Ruszyliśmy gruntową drogą wspinającą się na płaskowyż. Autokar zjeżdżał na dół, a turyści z plecakami wchodzili na górę. W ciągu kilku minut znaleźliśmy się na parkingu, gdzie stało chyba ze sześć autokarów, kilka prywatnych samochodów i skuterów. Pan Loc zatrzymał gazik i wysiedliśmy.

Płaskowyż, na którym znajdowała się kiedyś baza, nie był niczym innym jak smaganym wiatrem, porośniętym trawą ugorem. Górowały nad nim zamglone wzgórza, i łatwo mogłem sobie na nich wyobrazić północnowietnamską artylerię, wyrzutnie rakiet i moździerze ostrzeliwujące otwartą przestrzeń w dole. Co za geniusz strategii wybrał to miejsce na bazę? Pewnie ten sam, który założył bazę w A Luoi, a ponieważ oba miejsca były kiedyś francuskimi placówkami, przyszło mi na myśl Dien Bien Phu, które było podobnie usytuowane.

- Uczyli nas, żeby zająć wysoko położony teren i bronić go - powiedziałem do Teda. - Chyba sami zapomnieli lekcję numer jeden.

Ted zgodził się ze mną.

- Jezu, siedzieliśmy tu wystawieni na strzały jak kaczki. - Rozejrzał się po wzgórzach. - Cholerne żółtki strzelały, a potem szybko chowały artylerię do jaskiń. My odpowiadaliśmy ogniem artyleryjskim stąd, a samoloty zrzucały na wzgórza bomby i napalm. Ta zabawa wracałeś z odstrzelonym futerem. Żyliśmy w okopach i bunkrach jak jakieś bydło, a pieprzone trwała przez sto zasranych dni i obóz zamienił się w piekło, stary. Wychodziłeś się odlać, a szczury były wszędzie; przysięgam na Boga, że padało dzień w dzień, a ta cholerna czerwona glina była tak gruba, że wsysała ci buty. Jeden chłopak zapadł się w błoto po kolana i musieliśmy go wyciągać dżipem, który zakopał się aż po szyby, potem próbowaliśmy wyciągać faceta i dżipa ciężarówką i zapadła się aż po dach, przyjechały dwa buldożery i oba

utknęły; w końcu sprowadziliśmy ciężki śmigłowiec z linami, wciągnęło go i zniknął. Wiesz, jak wszystkich wyciągnęliśmy?

- Nie. No jak? - odparłem z uśmiechem

- Kucharz zawołał: „Pies na gorąco!”. Parsknęliśmy śmiechem. Ci marines opowiadają straszne bzdety.

Pan Tram i Susan uśmiechnęli się grzecznie. Pan Loc, który ostentacyjnie nie mówił po angielsku, a i tak nie miał poczucia humoru, stał z kamienną twarzą.

- Jesteśmy w bazie wojskowej - oznajmił pan Tram. - Jak państwo widzą, nic tutaj nie ma, z wyjątkiem zarysu pasa startowego, gdzie nic nie rośnie.

Wszyscy spojrzeliśmy na odległy pas startowy. Susan i Ted pstryknęli parę zdjęć, uwieczniając ugor i nas.

- Byłem tu w czerwcu, kiedy buldożery zakopały całą tę cholerną bazę - powiedział Ted. - Nie zostawiliśmy Charliemu ani gówna.

Pan Tram, który kiedyś był Charliem, zgodził się i rzekł:

- Kiedy Amerykanie opuścili w czerwcu bazę, nie chcieli zostawić niczego, co mogłoby zostać wykorzystane w filmie propagandowym, więc teraz nic tutaj nie widzimy. Ale widzą państwo dziury w ziemi, z których poławiacze złomu wygrzebali wszystko, co było zakopane. Znaleźli nawet ciężarówkę zniszczoną przez artylerię. - Potem dodał: - Mówi się o rekonstrukcji części bazy, bo turyści, którzy tu przyjeżdżają, niczego nie mogą zobaczyć.

- Hej, mam dla ciebie robotę - powiedziałem do Teda.

Roześmiał się.

- Taak. Pieprzę to. Nie ma mowy, żebym postawił na tym cholernym wzgórzu choćby jeden worek z piaskiem.

Pan Tram się uśmiechnął.

- Wielu amerykańskich marines okazało pomoc władzom, podając informacje o bazie, i teraz mamy mapy i rysunki pokazujące, jak mogła wyglądać.

- Wyglądała jak wielkie szambo - oświadczył Ted. - Czerwona glina i worki z piaskiem. Nie było tu wtedy nawet trawy.

Pan Tram opowiadał jeszcze trochę o rekonstrukcji piekła dla turystów. Rozejrzałem się i zobaczyłem mniej więcej pięćdziesiąt osób kręcących się po terenie i łamiących sobie głowę, o co tyle szumu. Trzeba tu było być.

Pospacerowaliśmy trochę, a pan Loc został przy samochodzie. Pan Tram wskazał na wschód.

- Tam widzą państwo wzgórze Laosu, dwadzieścia pięć kilometrów. Blisko granicy jest obóz amerykańskich sił specjalnych Lang Vei, który mój pułk opanował na początku oblężenia. - Zrobił pauzę i dodał: - To byli bardzo dzielni żołnierze, ale było ich za mało.

- Ich montagnardzcy bojownicy też byli bardzo dzielni - zauważyłem.

Pan Tram nie skomentował.

Spacerowaliśmy dalej po płaskowyżu; zauważyłem dwóch Amerykanów w średnim wieku, bardzo rozemocjonowanych; ich żony stały nieopodal i spoglądały w drugą stronę.

Ted też ich zobaczył, popatrzył przez chwilę i podszedł do nich. Wielki Ted nie wyglądał na gościa skorego do rzucania się komuś w objęcia, ale po niespełna minucie cała trójka padła sobie w ramiona.

Kiedy wrócił do nas, odchrząknął i oznajmił:

- Byli tutaj w artylerii. Obaj zostali ranni, kiedy w styczniu wybuchł skład amunicji, i ewakuowano ich. - Po chwili dodał: - Stracili najlepszą zabawę.

Nikt tego nie skomentował, choć pan Tram musiał pamiętać moment, gdy główny skład amunicji

został trafiony pociskiem wietnamskiej artylerii. Moi znajomi, którzy patrolowali wzgórze koło Quang Tri, opowiadali, że słyszeli eksplozję z odległości trzydziestu

kilometrów. To wydarzenie musiało bardzo podbudować morale Wietnamczyków i stanowiło zły omen dla oblężonych marines.

Szliśmy dalej.

Ted zatrzymał się na skraju płaskowyżu. - Pamiętam, że mój bunkier stał po tej, południowej stronie bazy, mniej więcej pośrodku, i widzieliśmy w dole autostradę numer dziewięć - powiedział.

- Tak? - odezwał się pan Tram. - Mój pułk też stał od południa, po drugiej stronie autostrady, więc może wymieniliśmy parę pocisków.

- Jestem tego pewien, kolego - odrzekł Ted. - A ty gdzie byłeś, Paul?

Spojrzałem na odległe wzgórze po drugiej stronie doliny.

- Też po południowej stronie. Wylądowaliśmy na tamtych wzniesieniach, niedaleko drogi z A Shau. Powiedzieli nam, że zachodzimy nieprzyjaciela... pana Trama... od tyłu, ale tam, gdzie wylądowaliśmy, była akurat masa północnowietnamskich żołnierzy.

Pan Tram skinął w zamyśleniu głową.

- Tak, pamiętam wyraźnie to popołudnie, kiedy przyleciała kawaleria powietrzna. Bombardowali nas całe dni przed rozpoczęciem desantu i zrzucali dużo napalmu; kiedy nadleciały śmigłowce z żołnierzami, byliśmy bardzo przerażeni.

- Wy byliście przerażeni? - zdziwiłem się. - Ja robiłem w portki ze strachu. *Biet?*

Pan Tram kiwał głową raz po raz... widziałem, że jest daleko, myśląc o dniu, w którym przyleciały helikoptery.

- Pamiętam, jak nadleciała kawaleria, mówiliśmy: „O w mordę, teraz przepędzą Charliego w cholerę i będzie po zabawie”.

Odniosłem wrażenie, że istnieją dwie różne wersje bitwy: Pierwsza Dywizja Kawalerii myślała, że ratuje oblężonych marines. a marines uważali, że kawaleria psuje im zabawę.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zostać wtedy w domu - powiedziałem do Teda.

Roześmiał się.

Pan Tram, który zniknął na chwilę nie wiadomo gdzie, wrócił i spytał Teda:

- Były u was szczury?

- Czy były u nas szczury? Chryste, były tak wielkie, że braliśmy je za jelenie. A jakie głodne bestie. Trzeba było spać w butach, bo odgryzłyby ci palec. Bez kitu. Wredne, bezczelne sukinsyny. Mieliśmy specjalne ładunki śrutowe do naszych czterdziestekpiątek i raz dziennie urządzaliśmy polowanie na szczury. Kiedyś dwa szczury złapały rację żywnościową i zaniósły do dziury, a potem jeden wraca i chce zamienić paczkę papierosów na otwieracz do konserw. - Roześmiał się. - To się nazywa bezczelność.

Susan wyglądała na umiarkowanie rozbawioną. Pan Tram wciąż myślał o szczurach.

- Nasze okopy były pełne szczurów - powiedział. - One jadły... - Spojrzał na Susan i nie dokończył zdania, ale wiedziałem, że ich szczury nie żywiły się racjami żywnościowymi. - Te szczury przenosiły choroby - ciągnął pan Tram. Rozumieją państwo... po francusku to się nazywa les puces.

- Pchły - przetłumaczyła Susan.

- Tak, a pchły przenosiły zarazę... ciemną zarazę, kiedy skóra czernieje... dżumę... wielu ludzi zmarło w ten sposób.

Staliśmy pod szarym, ponurym niebem, na wietrze dmuchającym bez przerwy ze wzgórz, i trzech z nas pograżyło się w swoich myślach. Mogliśmy tam stać przez tydzień, bawiąc się w grę „Kto kogo przeliczytuje”, ale po co?

Wreszcie Ted się odezwał:

- Taak, pamiętam, jak któregoś dnia przyleciał samolot z ładunkiem... gamma czegoś tam.

- Gamma-globuliny - odpowiedziałem.

- Taak. Też to pamiętasz? Wbijali ci w tyłek końską igłę i wstrzykiwali ten szajs. Przysięgam, że to było gęste jak ciasto. Przez tydzień miałem guz na dupie; pytaliśmy sanitariuszy, na co to, a oni mówili, że na odrę. Ale później się dowiedzieliśmy, że to z powodu epidemii. Jezu Chryste, jak gdyby świszczące kulki nie wystarczały. - Czy ktoś zachorował? - spytała Susan.

- Myślisz, że nam by powiedzieli? - odpowiedział pytaniem Ted. - Szło się do szpitala polowego z gorączką i czasami wracało na posterunek po zastrzyku z penicyliny, a czasem cię zabierali i w try miga odlatywałeś do domu. Nikt nie użył słowa zaraza.

Skinąłem głową, przypominając sobie strach przed epidemią dżumy, której objawy widzieliśmy u poległych i rannych Wietnamczyków. Dostaliśmy gamma-globulinę przed desantem, ale nasi sanitariusze przeważnie mówili nam wprost, o co chodzi, i przestrzegali przed ukąszeniami pcheł przenoszonych przez szczury i samych szczurów, rzecz jasna. A skoro już o tym mowa, to mamy rzucić palenie i starać się nie dostać kulka w łeb. Dzięki, panie doktorze.

W Pierwszej Dywizji Kawalerii nazywaliśmy tę operację Pegaz, od mitologicznego skrzydłatego konia, ale bardziej stosowny byłby kryptonim Czterej Jeźdźcy Apokalipsy: Wojna, Głód, Zaraza i Śmierć.

- Więc to straszne oblężenie trwało przez cały styczeń - ciągnął pan Tram - luty i marzec, aż do kwietnia. Mieliśmy może dwadzieścia, dwadzieścia pięć tysięcy ludzi wokół bazy, a amerykańskich marines było... ilu, panie Ted?

- Jakies pięć czy sześć tysięcy.

- Tak. A kiedy odchodziliśmy, powiedzieli nam, że zostawiliśmy dziesięć tysięcy naszych towarzyszy, chorych, rannych i zabitych... I było z nami jeszcze wiele tysięcy chorych i rannych... I wielu z nich potem zmarło. Straciłem tu wielu przyjaciół, paru kuzynów i wujka, który był pułkownikiem. I wiem, że zginęło też wielu Amerykanów, więc kiedy odchodziłem, pomyślałem sobie: „Po co to wszystko?”.

- Za cholere nie wiem - rzucił Ted.

Pan Tram szedł chwilę w milczeniu, a potem zatrzymał się i coś pokazał.

- Widzą państwo ten rów? To jeden z wykopanych przez nas rowów, które przetrwały. Zaczęliśmy robić podkopy w stronę bazy... tak jak mój ojciec i wujkowie robili pod Dien Bien Phu. Kopaliśmy co noc... rowy podchodziły coraz bliżej waszych zasieków. A gdy były już blisko, wychodziliśmy z nich w nocy w miejscu, gdzie obrona była słaba, naszym zdaniem, i gdzie można było się przedostać do waszych pozycji... ale nie mogliśmy... Wielu ludzi padło tam, gdzie kiedyś były zasieki.

Ted podjął wątek.

- Kiedy nam się zdawało, że widzimy ruch albo gdy spadła raca, nasze moździerze wystrzeliwały nad to miejsce raca na spadochronach; robiło się jasno jak w dzień... - Spojrzał w dół, gdzie kiedyś były zasieki. - Widzieliśmy, jak na nas idą, setki, naprawdę cicho, sza, nie strzelając, po prostu szli na zasieki i nawet się nie kryli, lecz biegli prosto na nas, a my rozpoczynaliśmy ogień i padaliśmy jak kostki domina. Jezu, któreś nocy jeden z nich zatrąbił sygnałówką i wszyscy zaczęli biec z krzykiem, aż mnie w tyłku ścisnęło; trzęsę się tak, że nie mogę utrzymać nieruchomo karabinu, a oni rzucają ładunki na pierwsze zasieki, drut pęka, robi się wyrwa i podchodzą do drugiej linii zasieków; koło mojego bunkra spadają pociski z moździerza, latają odłamki, przez szczelinę w bunkrze wpadają pociski smugowe, więc kucam i podnoszę do szczeliny M1 6, gównem widzę, ale wywalam jeden magazynek za drugim... I nagle dostaję odłamkiem w rękę, upuszczam karabin i widzę, że jest uszkodzony, nie wiem, co mi strzela do łba, lecz wybiegam z bunkra i rzucam granatami w zasieki. Pięć odłamkowych i dwa fosforowe, wszystko się pali, ludzie też, a te... te karły wciąż idą, zrobiły wyrwę w drugiej linii zasieków i między mmi a mną nic już nie ma oprócz ostatniej linii drutów, bo zużyliśmy wszystkie miny kierunkowe, a ten z karabinem maszynowym dostał,

rozglądam się za jakąś bronią... i wtedy nagle odzywa się sygnałówka i tamci znikają. - Ted popatrzył w dół zbocza i dodał ledwie słyszalnym głosem: - Znikają... oprócz kilkunastu zaplątanych w druty i tych, którzy jęczą zwinięci na ziemi. Więc podchodzimy i... - Spojrzał na pana Trama, a ten odwrócił głowę. Obeszliśmy wielką bazę wokół; nie zostało nic poza zarysem pasa startowego, gdzie, jak powiedział pan Tram, nic nie chciało rosnąć.

- Czy zechce mi pan opowiedzieć o swoich doświadczeniach? - spytał pan Tram.

Pomyślałem przez chwilę:

- Po desancie nawiązaliśmy kontakt z wrogiem... z północno-wietnamską armią, ale było jasne, że wycofują się do Laosu. Utrzymywaliśmy lekki kontakt przez mniej więcej tydzień. Naprawdę nie pamiętam, jak długo zostaliśmy. Widzieliśmy setki zabitych żołnierzy, wielu rannych, dużo grobów... i szczury... Wszędzie był ten okropny odór śmierci i zniszczona sensie to było gorsze niż sama bitwa. Powtarzałem sobie: „Idę Doliną Śmierci, a Bóg ziemia... Nigdy nie widziałem czegoś takiego... Krajobraz po wielkiej rzezi, i w pewnym zapomniał o tym miejscu”.

Wróciliśmy na główny plac Khe Sanh i pożegnaliśmy się z Tedem i panem Tramem.

Wręczyłem Wietnamczykowi dziesiątaka.

- Dziękuję - powiedziałem. - Jestem pewien, że trudno panu przeżywać to wszystko od nowa.

Uklonił się.

- Mogę to tylko robić z Amerykanami, którzy tutaj byli - odparł. - Dla innych to nic nie znaczy.

- Ja tu nie byłam - odezwała się Susan - ale dzięki waszej trójce poczułam się tak, jakbym była.

- Susan, myślisz, że moja żona powinna była przyjechać? - spytał Ted.

- Tak. Wróc z nią jutro.

Ted zagryzł wargę i skinął głową.

- Chciała przyjechać... To ja się nie zgodziłem.

- Rozumiem - odparła Susan.

Powiedziała coś po wietnamsku do pana Trama. Skłonił się i odpowiedział; wszyscy podaliśmy sobie ręce, Ted odszedł do mmibusa, a pan Tram w swoją stronę.

Wsiedliśmy do gazika.

- Quang Tri - poinformowałem pana Loca.

Wyjechał na autostradę numer dziewięć i ruszyliśmy na wschód, w stronę wybrzeża, do miejsca, gdzie spędziłem większość mojej służby, kiedy nie zrzucali mnie w sam środek kolejnego koszmaru.

- To było niewiarygodne - powiedziała Susan. - Co za doświadczenie.

Milczałem.

- Jak się trzymasz? - spytała.

- Dobrze.

- Paul... Jak myślisz, dlaczego przeżyłeś?

- Nie mam pojęcia.

- Połowa ludzi, którzy byli z panem Tramem, zginęła, a on przeżył. Ted Buckley przeżył, ty przeżyłeś. Myślisz, że to przeznaczenie? Czy umiejętności? Albo szczęście? No, powiedz?

- Naprawdę nie wiem. Polegli, gdyby mogli mówić, powiedzieliby ci, dlaczego zginęli, ale żywi nie znają odpowiedzi.

Potrząsnęła mnie za rękę, a potem jechaliśmy w milczeniu autostradą numer dziewięć przez spokojną dolinę Khe Sanh, której nazwa oznacza Zieloną Dolinę i która musiała brzmieć jak okrutny żart dla dwudziestu tysięcy Wietnamczyków - tych, którzy przyszli tu i

widzieli, jak dolina czerwieni się od ich krwi, zbombardowana ziemia szarzeje od popiołu i czernieje od rozkładających się zwłok.

A Wietnamczycy z południa, którzy walczyli o swoją ziemię, musieli się zastanawiać, czy wezwanie Amerykanów na pomoc było błogosławieństwem, czy przekleństwem bo nikt nie potrafi tak obrócić ziemi w perzynę jak Amerykanie, a zniszczenia musiały przekroczyć ich wszelkie wyobrażenia.

Sześć tysięcy amerykańskich marines, otoczonych i oblężonych w bazie Khe Sanh, tak

daleko od domu, musiało zachodzić w głowę, jak to się stało, że trafili w sam środek piekła na ziemi.

Khe Sanh, Zielona Dolina, przeszła do legendy marines, tak jak pałace Montezumy, wybrzeże Trypolis, Okinawa i Iwo-jima, i wszystkie inne przesiąknięte krwią pola bitew na całym świecie przeszły do legendy innych armii.

Pierwsza Dywizja Kawalerii Powietrznej na szczęście poniosła niewielkie straty w ludziach, miała na koncie zwycięstwo i ozdobiła jeszcze jedną wstążką bitewną pułkowy sztandar, otrzymała pochwałę od prezydenta i poleciała do doliny A Shau, gdzie przeznaczenie czekało w kolejnym ciemnym i mglistym miejscu.

Rozejrzałem się po dolinie i zobaczyłem, że znów jest zielona; życie wróciło, na ziemi pełnej kości rosły warzywa i kawa - rasa ludzka maszerowała dalej z nadzieją na lepszą przyszłość.

Lecz stojąc tam, na płaskowyżu, wiedziałem, że ja, Ted i pan Tram słyszymy szepty duchów na wietrze i odległy dźwięk sygnalówki, dźwięk, który przeciął cichą noc i obudził bestię w sercu każdego człowieka.

Rozdział 33

Jechaliśmy dalej na wschód autostradą numer dziewięć. Na wzgórzach widziałem rozległe połacie terenu, zasnuwane dymem, jak gdyby wróciła wojna, lecz przypomniałem sobie, że niektórzy Montagnardzi praktykowali uprawę roli metodą ognia i maczety.

Ujście do doliny rozszerzało się i wzgórza po obu stronach się rozchodziły. Im dalej posuwaliśmy się na wschód, tym mniej było zieleni.

Wokół nas rozciągał się obszar niskich zarośli i wykarczowanych pól. Pamiętam, że widziałem to, gdy armada śmigłowców w równych formacjach wiozła nas do strefy lądowania na szczytach wzgórz pod Khe Sanh.

- Strefa zdemilitaryzowana zaczyna się jakieś pięć kilometrów stąd - powiedziałem do Susan. - Cały ten pas lądu na południe od linii demarkacyjnej, od wybrzeża do granicy Laosu, był terenem działań marines. Założyli szereg baz ogniowych od Cua Viet na wybrzeżu do

Khe Sanh na wschodzie. Walki o ten pas ziemi trwały ponad dziesięć lat, a marines mówili, że nie ma strefy zdemilitaryzowanej, tylko strefa poległych marines.

- Czy ten krajobraz zawsze wyglądał tak ponuro? - spytała Susan.

- Nie wiem. Może to skutek użycia defoliantów, napalnu i bomb - odparłem, a potem dodałem: - Motto specjalistów od defoliacji brzmiało: „Tylko my możemy powstrzymać las”. - Kiedyś uważałem to za zabawne, ale teraz już mnie nie bawiło.

Dojechaliśmy do byłej bazy piechoty morskiej o nazwie Rockpile, wysokiej na dwieście czterdzieści metrów formacji skalnej, którą widzieliśmy z lewej strony w miejscu, gdzie droga ponownie skręcała na wschód.

Nieco dalej zobaczyłem przy gruntowej drodze znak z napisem Camp Carroll. Jechał nią w stronę

autostrady minibus, na którego boku widniał napis Wycieczki do Strefy Zdemilitaryzowanej.

„Świat strefy zdemilitaryzowanej”, pomyślałem.

- Kiedy przyjechałem tu po raz drugi w siedemdziesiątym drugim roku - powiedziałem do Susan - baza Camp Carroll została przekazana południowowietnamskiej armii, bo wtedy próbowaliśmy przekazać w ich ręce całą wojnę. W czasie ofensywy wielkanocnej w siedemdziesiątym drugim południowowietnamski dowódca Camp Carroll oddał bazę północnowietnamskim żołnierzom bez jednego strzału. Dowiedzieliśmy się o tym w Sajgonie i z początku nie mogliśmy uwierzyć. Cały garnizon po prostu złożył broń.

Pamiętam, że właśnie wtedy zrozumiałem, że jak tylko opuści Wietnam ostatni amerykański żołnierz, armia Wietnamu Południowego przegra wojnę i będzie to znaczyć, że amerykańska krew została tutaj przelana na próżno.

Minęliśmy miasteczko Cam Lo, które nie ma szans na to, żeby kiedykolwiek trafić na pocztówkę. Na ulicy koło kafejki stało zaparkowanych kilka autokarów z napisem Wycieczki do Strefy Zdemilitaryzowanej.

- Niedaleko stąd na północ jest baza ogniowa Con Thien, co, jak pewnie wiesz, oznacza Wzgórze Aniołów; tam zginął mój kumpel ze szkoły.

Zostawiliśmy za sobą Cam Lo, minęliśmy skrzyżowanie z drogą do Con Thien i jechaliśmy dalej na wschód.

Krajobraz niewiele się poprawił, a niebo było jeszcze bardziej szare, w miarę jak posuwaliśmy się ku wybrzeżu.

Po obu stronach szosy stało parę budynków, był nawet przyzwoicie wyglądający, murowany czterokondygnacyjny hotel z wielkim transparentem z napisem *Serdecznie Witamy Turystów Odwiedzających Strefę Zdemilitaryzowaną - Z Restauracji na Dachy Widać SZ.*

- *Dung lai* - powiedziałem do pana Loca.

Kierowca zerknął na mnie w lusterku i zatrzymał samochód.

Wysiedliśmy z Susan i poszliśmy do hotelu, którego nazwa brzmiała Dong Truong Son. Hol był mały, lecz nowy; jedyną windą wjechaliśmy do restauracji na dachu budynku.

Pora lunchu dawno minęła, a pora koktajlu jeszcze się nie zaczęła, więc nikogo nie było, z wyjątkiem młodego mężczyzny, który na pewno był kelnerem, bo spał na krzeselku.

Usiedliśmy przy stoliku koło niskiego murku zadaszonej restauracji, skąd rozciągał się panoramiczny widok na północ.

Znałem ten teren; widziałem go z ziemi i z powietrza, widziałem go na mapach... i wciąż zaprzętał moją głowę.

- To jest rzeka Cua Viet, która płynie do Morza Południowochińskiego, o tam - objaśniłem Susan.

- Na wschodzie, nad rzeką Cam Lo leży Con Thien; wzdłuż Cam Lo znajdował się szereg pomniejszych baz ogniowych: najdalej na wschód była Alfa Jeden, potem Alfa Dwa, Trzy i Cztery.

- Wskazałem ręką kierunek i dodałem: - Tam, za rzeką Cam Lo, widać rzekę Ben Hai, płynącą przez środek strefy zdemilitaryzowanej wzdłuż siedemnastego równoleżnika, który stanowił granicę oddzielającą Wietnam Północny od Wietnamu Południowego. Jutro będę tamtędy jechał.

Susan nie odpowiedziała.

Wyjrzelśmy na zdewastowany krajobraz; z restauracji widać było znane nam już dobrze stawy, z których część biegła w linii prostej, w równych odstępach, więc nie ulegało wątpliwości, że ten wzór utworzyły zrzucone z samolotów bomby.

- Strasznie tu ponuro - orzekła Susan. - Wokół Sajgonu i Nha Trang jest całkiem inaczej.

- Odniosłem to samo wrażenie, kiedy przyleciałem w styczniu sześćdziesiątego ósmego roku z Bong Son. Akurat wiał zimowy monsun, potem była ofensywa Tet, Khe Sanh i A Shau. Deszcz, mgła, błoto, szare niebo, spalona ziemia i za dużo trupów. Pamiętam, jak pomyślałem, że ojcu było łatwiej walczyć z Niemcami we Francji latem czterdziestego czwartego roku, ale nigdy mu tego nie powiedziałem.

- Twój ojciec brał udział w drugiej wojnie światowej?

- Był w piechocie, tak jak ja. Brennerowie szczycą się, że w rodzinie nigdy nie było oficera ani nikogo, kto wykonywał w wojsku bezpieczną cywilną robotę. Byliśmy mięsem armatnim z południowego Bostonu. Straciłem wujka w Korei.

powiedziała w Sajgonie, myślę, że byście się polubili. - Mój ojciec był oficerem lotnictwa w Korei, latającym chirurgiem. Tak jak ci

- Ojcom trudno jest lubić facetów, którzy utrzymują stosunki seksualne z ich córkami.

- Nigdy nie miałam stosunku. Wciąż jestem dziewicą. Spytaj mojego taty.

Uśmiechnąłem się.

- W takim razie pozostaje różnica wieku.

- Paul, jestem już po trzydziestce... moim rodzicom nie przeszkadzałoby, gdybyś był weteranem wojny secesyjnej. Są zdesperowani. - Zaraz potem dodała: - Ja też, bo inaczej nie zawracałabym sobie głowy twoją osobą.

Kelner obudził się, zobaczył nas i pokołował w naszą stronę. Zamówiliśmy dwie kawy,

- Jak to jest, siedzieć w restauracji na dachu i patrzeć na strefę zdemilitaryzowaną? - spytała Susan.

- Sam do końca nie wiem. Czuję się jakby... nieobecny, jakbym wiedział, że tu jestem, ale trudno mi myśleć o strefie zdemilitaryzowanej jak o atrakcji turystycznej. - Zrobiłem pauzę. - Cieszę się, że nią jest. Nie powinno się tego wszystkiego trywializować, ale może to nieuniknione. Patrząc na sprawę pozytywnie, może turyści się czegoś nauczą, może weterani pogodzą się z wieloma rzeczami, a Wietnamczycy poznają wielu Amerykanów i przy okazji zarobią parę dolców. Susan skinęła głową.

- Cieszę się, że przyjechałam.

Przyszedł kelner z kawą, Susan zapaliła papierosa; patrzyliśmy na ciche pola bitwy w oddali.

- Co byś powiedziała o takiej informacji w broszurce turystycznej: Wycieczki do strefy zdemilitaryzowanej. Uroczy poranek na polu minowym, gdzie można zbierać odłamki i wziąć udział w konkursie układania worków z piaskiem, następnie piknik w ruinach bazy ogniowej Con Thien, po którym uczestnicy będą mogli poszukać bezimiennych grobów wzdłuż autostrady numer

jeden. Dzień kończymy na stadionie piłkarskim Dong Ha, gdzie zobaczymy rekonstrukcję sceny kapitulacji obozu Camp Carroll w oryginalnej obsadzie. Piknik wliczony w cenę wycieczki.

Susan popatrzyła na mnie dłuższą chwilę i postanowiła nie komentować.

Mniej więcej przy drugiej kawie i trzecim papierosie powiedziała:

- To wszystko i tak jest dla ciebie dość stresujące... powrót na stare pola bitwy... a ty pewnie oprócz tego martwisz się podróżą w głąb kraju i swoim zadaniem, ci z Waszyngtonu uprzykrzają ci życie, no i wisi nad tobą cień pułkownika Manga...

- Nie zapominaj o sobie.

- Właśnie do tego zmierzam. Na domiar złego zjawia się jeszcze jakaś nachalna suka...

- Niby kto taki?

- Bezczelna, natarczywa dziwka, która ci się narzuca...

- Uwodzi mnie.

- Nieważne. A ty masz sto spraw na głowie, twoje serce jest w Stanach, a dusza brata się z poległymi.

Milczałem.

- Mimo to uważam, że nam się udało. Mówię o tym, co jest między nami.

Skinąłem głową.

- Lecz myślę, że może jednak nie powinnam jechać z tobą w głąb kraju.

- Nigdy cię o to nie prosiłem.

- Może byłabym raczej ciężarem niż pomocą.

- Myślę, że powinnaś jechać do Hanoi, tam się spotkamy.

- Nie, myślę, że powinnam wrócić do Sajgonu.

To mnie trochę zaskoczyło.

- Czemu?

Honolulu... Zobaczysz, co z tego wyjdzie... a potem do mnie zadzwonisz, - Wydaje mi się, że powinieneś skończyć tutaj swoją robotę, a potem jechać do

- Z Honolulu?

- Nie. Z Wirginii.

- Dobra. I co wtedy?

- Wtedy oboje będziemy wiedzieli, co czujemy.

- Chcesz powiedzieć, że musimy być na różnych półkulach, żeby wiedzieć, co czujemy?

Susan z jakiegoś powodu wydawała się zniecierpliwiona.

- Daję ci wyjście z sytuacji. Nie bądź tępy.

- Aha. Gdzie to wyjście? Bo chyba nie zauważyłem napisu.

- Kompletny idiota z ciebie. Staram się wczuć w twoje położenie i jestem gotowa zrezygnować z mężczyzny, którego kocham...

- Już to zrobiłaś. Wysłałaś mu faks.

Wstała.

- Chodźmy.

Dałem kelnerowi parę dolarów i zjechaliśmy windą na dół,

- Przepraszam. To był stresujący dzień. Wyglupiam się, kiedy jestem zdenerwowany i kiedy wyczuwam zagrożenie... stary żołnierski nawyk z pola bitwy. Gównu mnie to obchodzi... tak mówiliśmy o sprawach, które bardzo nas obchodziły. *Xin loi*. Przepraszam. - I tak dalej.

Zanim znaleźliśmy się w holu, Susan trzymała mnie za rękę i mówiła, że rozumie, czego ja nie mogłem o sobie powiedzieć. Czasem wciskam komuś kit łopatom, lecz scena Susan z poświęceniem się dla mnie była beczką kitu. Zauważam wyjścia z sytuacji, kiedy takowe się pojawiają, ale to nie było wyjście. Na dobre lub złe, mieliśmy dokończyć tę misję razem.

Rozdział 34

Dojechaliśmy do miasteczka Dong Ha, które wyglądało jak przystanek dla ciężarówek w New Jersey. Była tam stacja kolejowa, autobusowa i benzynowa, i parę prywatnych kwater noclegowych. Dotarliśmy do skrzyżowania z autostradą numer jeden i skręciliśmy na południe. Po drugiej stronie dwupasmowej szosy zauważyłem budynek ze znakiem, na którym widniał napis w języku angielskim: Biuro turystyczne Quang Tri; stało tam kilka autokarów.

- Znasz to miasteczko? - spytała Susan.

- Nigdy w nim nie byłem, ale wiem, że mieściła się tutaj baza logistyczna piechoty morskiej i armii.

Susan zwróciła się do pana Loca, który coś odpowiedział.

- Dong Ha to stolica prowincji Quang Tri - przetłumaczyła.

- Stolicą prowincji jest Quang Tri. Powinien wrócić do szkoły.

Susan znowu pogadała z kierowcą, a potem powiedziała do mmc:

- Miasto Quang Tri zostało kompletnie zniszczone przez amerykańskie bombowce w kwietniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku i nigdy go nie odbudowano. To jest teraz stolica prowincji.

- Cóż, zdarza się.

Jechaliśmy na południe prawie pustą autostradą numer jeden.

- Stąd aż do Hue nazywaliśmy tę drogę Ulicą Bez Radości - powiedziałem do Susan. Spojrzała na skąpą roślinność, sklecone z desek chałupy, rozsiane z rzadka poletka ryżowe.

- Walczyliście po to, żeby utrzymać to pustkowie, czy po to żeby wcisnąć je wrogowi?

Roześmiałem się.

- Muszę przypomnieć sobie tę kwestię podczas spotkania z kimś, kto tu był. Gdzieś tutaj jest miejsce, na którym kończył się teren operacyjny marines, a zaczynał teren operacyjny armii.

Dojechaliśmy do nowo zbudowanego mostu nad odnogą rzeki Cua Viet.

- Stop - rzuciłem do pana Loca.

Zatrzymał się na moście; wysiadłem, a Susan za mną. Spojrzałem w dół rzeki i zobaczyłem słupy starego mostu.

- Mój pluton parę razy strzegł tego mostu - powiedziałem. - Nie tego, tylko tego, który stał tam. - Dostrzegłem pozostałości francuskiego stanowiska ogniowego w miejscu, gdzie stary most przecinał rzekę. - Spałem tam kilka razy. Wydrapałem na ścianie swoje nazwisko obok kilkuset innych, wśród nich kolesiów o imionach Jacques i Pierre.

Susan potrząsnęła mnie za rękę.

- Chodźmy zobaczyć.

- Spytaj Jamesa Bonga, czy ma latarkę.

Susan zrobiła to i kierowca wyciągnął latarkę ze schowka. Przeszliśmy jakieś dziesięć metrów wzdłuż brzegu do miejsca, gdzie stał kiedyś most. Francuski bunkier o średnicy mniej więcej dziesięciu metrów był okrągły, zbudowany z żelazobetonu; strop w kształcie kopuły miał odbijać rakietę i pociski z moździerzy. Kształt bunkra kojarzył mi się z igloo. U podstawy bunkra w ziemi tkwiły strzepy zielonego plastiku, strzepy, które były resztkami amerykańskich worków z piaskiem.

- Okładaliśmy stare francuskie fortyfikacje workami z piachem, bo nowe rodzaje amunicji wbijały się na jakieś dwadzieścia centymetrów w głąb żelazobetonu, a worki łagodziły uderzenie. Mimo to, kiedy było się w takim bunkrze, który został bezpośrednio trafiony, na parę minut wszystko przewracało się w głowie. Nazywaliśmy to „wstępowaniem do marines”. Stary żart. - Wziąłem od Susan latarkę i oświetliłem wewnątrz bunkra. - Strasznie to wygląda - powiedziałem. - Nawet nie widzę betonowej podłogi, tylko błoto.

- Pijawki? - spytała.

- Nie tutaj. Wejść pierwszy i wyproszę węże. - Wsunąłem się do środka przez wąską szczelinę stanowiącą wejście.

Kopuła miała pośrodku około czterech metrów wysokości, dzięki czemu można było stanąć prosto przy którymś z licznych otworów strzelniczych i pozostawało jeszcze sporo miejsca nad głową.

Przesunąłem snop światła po betonowych ścianach i podłodze; wszędzie było pełno wijących się stworzeń, takich jak krocionogi, i mnóstwo pajęczyn z pajakami wielkości włoskich orzechów; roilo się też od ślimaków, lecz nie było węży. Ściany pokrywała pleśń, ale widać było nazwiska wykrobane w betonie.

- Wyrzuć jakiegoś węża - zawołała Susan.

- Nie ma tu żadnych. Uważaj jednak i nie dotykaj ścian.

Wcisnęła się do bunkra i stanęła koło mnie.

- Uff. Ależ cuchnie.

- My utrzymywaliśmy bunkry w czystości, lecz nie było tu nikogo od siedemdziesiątego piątego

roku.

Przez otwory strzelnicze wpadało szarawe światło; poruszałem latarką, żeby wydobyć z ciemności wszystko, z czym nie chciałem się zetknąć.

- Gdzie jest twoje nazwisko? - spytała Susan.

Przesunąłem powoli snop światła po okrągłej ścianie i zatrzymałem na grupie nazwisk. Podeszedłem bliżej, omijając pajęczyny, i skierowałem latarkę na nazwiska wydrapane w betonie. Były to francuskie nazwiska, była też data Avril 1954. Chyba pamiętałem nazwiska i datę, która była tylko czternaście lat wcześniejsza od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, lecz mnie, wówczas osiemnastoletniemu dzieciakowi, który miał cztery lata, kiedy skończyła się francuska wojna o Indochiny, wydawało się, że te napisy zostawiła jakaś starożytna armia. Teraz uświadomiłem sobie bliskość tych dwóch wojen i długi czas, który upłynął od tamtych dni.

- Ktoś wydrapał coś pod tymi czterema nazwiskami - zauważyła Susan. - Widzisz to?

Skierowałem światło na francuskie słowa.

- Tu jest napis: „Niech szlag trafi ten bunkier”.

- Nieprawda. - Susan zbliżyła się i przeczytała po francusku: - *Les quatre amis, les ames perdues* - czterej przyjaciele, stracone dusze.

Przesunąłem snop światła i zatrzymałem go na nazwisku Sal Longo.

- Ten chłopak był w moim plutonie - powiedziałem - Zginął w dolinie A Shau... nie do wiary...

Znalazłem swoje nazwisko, wyłobione w betonie czubkiem otwieracza do piwa. Litery były ledwie czytelne, pokryte czarną pleśnią. Patrzyłem na nazwisko Paul Brenner, po którym następowała data: 11 stycznia 68.

Susan spoglądała w miejsce, na którym spoczęło światło latarki.

- To niesamowite.

- Lepiej tutaj niż na Murze w Waszyngtonie.

Popatrzyłem jeszcze przez chwilę, a potem przesunąłem światło i zobaczyłem kilka innych nazwisk, które znałem, i kilka, których nie znałem. Ktoś wydrapał na ścianie serce i strzałę i podpisał Andy i Barbara, na zawsze. Jeśli to był Andy Hall, to na zawsze przyszło w maju sześćdziesiątego ósmego roku, też w dolinie A Shau. W zasadzie kompania Delta, moja kompania, przestała istnieć jako efektywna jednostka bojowa po trzech tygodniach, a ci, którzy przeżyli, dostali następny pasek na ramię; armia nazywała to szybkim awansem bojowym, a my - krwawymi paskami.

Wziąłem Susan za rękę i poprowadziłem do wyjścia. Stanęliśmy przed bunkrem pod zaciągniętym chmurami niebem.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Susan. - Tam było twoje nazwisko, napisane prawie trzydzieści lat temu... i nazwiska tych francuskich żołnierzy... To jest... takie smutne... Prawie ciarki przechodzą po plecach... Jeśli się wie, że niektórzy z tych ludzi nie wrócili.

Skinąłem głową.

Wróciliśmy do gazika i ruszyliśmy na południe Ulicą Bez Radości.

Minęliśmy pas startowy po lewej stronie, stanowiący, jak pamiętałem, część lotniska Quang Tri, na którym armia trzymała małe samoloty obserwacyjne i zwiadowcze. Pas startowy był teraz porzucony, przez beton przebijała się trawa. Wieża kontrolna zniknęła, podobnie jak ogromna francuska wieża strażnicza, która stała tuż koło pasa. Pamiętam, że krajobraz był kiedyś usiany betonowymi wieżami, lecz jak dotąd nie zauważyłem ani jednej. Właściwie wszystkie znaczniejsze punkty orientacyjne, które pamiętałem - szkoły, kościoły, pagody, francuskie i amerykańskie fortyfikacje - zniknęły.

- Większość zabudowań na tym terenie uległa zniszczeniu w czasie ofensywy Tet - powiedziałem do Susan - ale kiedy wyjeżdżałem, trwała odbudowa. Wygląda na to, że nic nie przetrwało ofensywy wielkanocnej w siedemdziesiątym drugim albo ostatecznej ofensywy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku.

- Ten bunkier przetrwał - odparła.

- Powinienem był tam przesiedzieć całą tę zasraną wojnę.

Z przodu, po lewej stronie drogi, widziałem ruiny dużego betonowego budynku, który nie mógł zostać trafiony bombami ani pociskami artyleryjskimi, bo większość dachu była nietknięta. Zniszczenia musiały być spowodowane zacieklą wymianą ognia. Grube ściany były upstrzone dziurami od pocisków i było w nich widać charakterystyczne, niewielkie okrągłe dziury w miejscach, gdzie rakiety penetrujące beton wdarły się do środka i wybuchły, zostawiając czarne ślady na wewnętrznych ścianach. Po minucie rozpoznałem buddyjskie liceum, miejsce, w którym Tran Van Vinh napisał list do brata.

- O mój Boże - zawołała Susan. - Spójrz na ten budynek

- Buddyjskie liceum.

Susan wydawała się zafascynowana wojennymi ruinami; zrobiła zdjęcie i powiedziała:

- Koło Sajgonu nie zobaczysz takich ruin... patrz, czołg.

Za szkołą, na skraju drogi stał ogromny czołg Patton M-48; szarooliwkowa farba wciąż wyglądała dobrze po trzydziestu latach. Powinienem zabrać trochę tej farby do odnowienia zewnętrznych ścian mojego domu.

Susan kazała panu Locowi zatrzymać się; stanęliśmy.

- Podejdz do tego czołgu i usiądź na nim - zwróciła się do mnie.

- Ty usiądź. Ja dość nasiedziałem się na czołgach. - Wziąłem od niej aparat.

Wyskoczyła z samochodu i wdrapała się na spadzisty tył czołgu. Zauważyłem, że jest sprawna i wygimnastykowana i wspina się jak chłopak.

Weszła na wieżyczkę i usiadła po turecku. Pstryknąłem zdjęcie.

- Szkoda, że załogi wszystkich czołgów nie wyglądają tak jak ty - stwierdziłem.

Susan zaczęła pozować, siedząc, leżąc i stojąc; zrobiłem jej jeszcze kilka zdjęć na wraku czołgu. Zeskoczyła i wróciła do gazika.

Wskazałem na wschód, gdzie z równiny wyrastała ściana niewysokich wzgórz, jakieś pięć kilometrów dalej.

- Byłem na tych wzgórzach tej nocy pod koniec stycznia, kiedy zaczęła się ofensywa Tet. Budowaliśmy kolejną bazę ogniową i około dziesiątej wieczorem zobaczyliśmy fajerwerki, ale zaraz się zorientowaliśmy, że to coś innego. Odezwało się radio i usłyszeliśmy o ataku na Quang Tri. Ogłoszono alarm, później zaś, w nocy, dowiedzieliśmy się, że miasta Quang Tri i Hue zostały wydarte oddziałom południowowietnamskim i że baza naszej brygady, nazywana Strefą Lądowania Betty, na skraju Quang Tri, znalazła się w oblężeniu. - Rozejrzałem się. - Nasza główna baza nazywała się Strefą Lądowania Sharon i była gdzieś tu w pobliżu, ale nie widzę żadnych jej śladów. - Spojrzałem w stronę wzgórz. - Właśnie tutaj obchodziłem Tet w sześćdziesiątym ósmym roku, roku małpy... Nie dla wszystkich był to szczęśliwy rok.

- Ten będzie o wiele lepszy - orzekła Susan.

- Wigilia Tet w tym roku była o wiele lepsza niż tamta.

Susan uśmiechnęła się i wskoczyła do samochodu. Ruszyliśmy. Sto metrów dalej, w miejscu, gdzie była kiedyś stacja kolejowa, pan Loc skręcił z autostrady numer jeden w lewo w dwupasmową szosę, która, jak pamiętałem, prowadziła do miasta Quang Tri, leżącego jakieś półtora kilometra od autostrady. Wzdłuż drogi rósł niski las i stały kryte strzechą chaty otoczone ogródkami warzywnymi. Rosły tu drzewa, ale pewnie żadnego z nich nie było tu przed bitwą w siedemdziesiątym drugim roku.

- Wzdłuż tej drogi stało mnóstwo handlarzy sprzedających różne rzeczy żołnierzom - powiedziałem.

- Jakie na przykład?

- Przeważnie to, co nam wcześniej ukradli. Tutaj można było to wszystko odkupić.

Pan Loc zatrzymał samochód i rozejrzał się. Powiedział coś do Susan, która przetłumaczyła:

- To jest Quang Tri, a cytadela była gdzieś po lewej stronie.

Spojrzałem w lewo, lecz nie było tam nic prócz małych chat, bambusowych płotów, ogródków i kur. Susan zamieniła parę zdań z panem Lokiem.

- Mówi, że fosa cytadeli chyba wciąż istnieje i któryś z wieśniaków może nam wskazać drogę. - Dobra. Zostaniemy tam z godzinę.

Wyjęła z torby aparat, powiedziała coś do pana Loca i wyskoczyła z samochodu. Pan

Loc sięgnął do tyłu, podał jej torbę i coś odpowiedział.

Ruszyliśmy piaszczystą ścieżką między ogródkami warzywnymi i niewielkimi domkami zbudowanymi z tego, co pozostało z miasta, które znikło, i fortyfikacji, które tu kiedyś stały. Widziałem duże kawały betonu i podziurawione kulami drewniane deski, falistą blachę, której Amerykanie używali do krycia dachów koszar, zielone foliowe worki z rozwalonych bunkrów i ścieżki ogrodowe ułożone z czerwonych dachówek. Wieśniacy wykorzystali na nowo ruiny miasta i fortyfikacji.

- Kiedyś tu było małe miasto, teraz jest duża wioska. Dzięki bombardowaniom lotniczym wszystko wróciło do pierwotnego stanu.

- Niewiarygodne - zdziwiła się Susan.

- Co on ci powiedział? - spytałem.

- O czym? Ach, chce zaparkować samochód i odejść, więc prosił, żebym zabrała swoje rzeczy.

Skinąłem głową.

Zauważyło nas kilkoro dzieci i po chwili ciągnęła za nami cała chmara. Niektórzy dorośli obserwowali nas ciekawie z ogródków. Szliśmy wiejskimi ścieżkami; Susan się rozglądała.

- Właściwie nigdy nie byłam w prawdziwej wiosce - powiedziała.

- Ja widziałem ich setki. Wszystkie wyglądają tak samo. Tyle że w niektórych ukrywali się żołnierze Wietkongu, a w innych nie. - Rozejrzałem się. - Widzisz ten stóg siana? Znaleźliśmy kiedyś cały pokój ukryty w takim dużym stogu. Chuck zniknął, ale zostawił trochę sprzętu. Więc rozwaliliśmy stóg, a potem nas trochę poniosło i podpaliliśmy kilka pobliskich szop... tak nazywaliśmy chłopskie chaty. - Wszystko mi się przypomniało, więc mówiłem dalej: - Były też nieduże dziury w ogródkach, wystarczająco szerokie, żeby mógł w nich stanąć mały żółtek... nazywaliśmy je pajęczymi dziurami... i trudno je było wykryć, chyba że Chuck wyskakiwał i zaczynał pruć do nas z kałasznikowa. Oprócz tego każda szopa miała w ogródku ziemny bunkier, do którego rodzina wchodziła, kiedy robiła się rozpierducha. Ale poza tym w każdym bunkrze mógł się kryć Wiet i wołałeś tam nie wchodzić, żeby to sprawdzić, bo nigdy już byś nie wyszedł, więc krzycałeś, żeby wszyscy wyszli z rękami w górze, i zwykle wychodziło parę lasek z babcią, która chciała je ukryć przed żołnierzami, na wypadek gdyby chodziło nam po głowach coś innego niż znalezienie Charlesa. Więc kiedy już wszyscy wyszli, spuszczałeś do środka granat łzawiący i czasem pan Charles wyskakiwał, rąbiąc z kałasznikowa; wtedy go rozwalasz i szedłeś dalej. - Aż się zdziwiłem, że wszystko przypominało mi się z taką łatwością. - W strzechach znajdowało się ukryte karabiny, amunicję, wybuchowy plastik i różne inne dobre rzeczy; wtedy aresztowało się rodzinę, oddawało ją policji narodowej i paliło dom, chociaż na dziewięć przypadków z dziesięciu ci biedni dranie ukrywający Wietów czy broń robili to pod przymusem. Jednego razu... to było zabawne... pociągnęliśmy za linę w studni i rzeczywiście to, co na niej wisiało, było za ciężkie na wiadro; trzech chłopaków wyciąga Charlesa, w czarnej piżamie ociekającej wodą, ze stopami w drewnianym wiaderku; facet wyrzucił kałasznikowa, zanim znalazł się na wysokości gruntu, żebyśmy go nie rozwalili. Wychodzi z zawstydzoną miną... no dobra, znaleźliście mnie... a my zrywamy boki ze śmiechu, ktoś rąbnął go w pysk i tamten wpadł do studni; pozwoliliśmy mu pluskać się w wodzie przez kwadrans, a potem spuściliśmy wiadro i wyłowiliśmy go. Ten sam facet, który go uderzył, dał mu papierosa i ogień i podпалиł dom, do którego należała studnia; związaliśmy Chucka i wsadziliśmy do śmigłowca odlatującego do

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-ePub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

obozu jenieckiego i dalej patrolujemy. Dzień po dniu, wioska po wiosce, aż zanudziło nas na śmierć przeszukiwanie tych nędznych wsi i ludzi, przetrząsanie ich szafasów w poszukiwaniu broni, zastanawianie się, kiedy Charlie wyskoczy znikąd i odstrzeli ci łeb. A czasem znów pomagaliśmy przy narodzinach dziecka, odwoziliśmy jakiegoś chorego dzieciaka do szpitala polowego, smarowaliśmy maścią rany jakiemuś staruszkowi i rozdawaliśmy cukierki. Akty dobroci na przemian z aktami skrajnego okrucieństwa, zwykle tego samego dnia i często w tej samej wiosce. Nigdy nie było wiadomo, jak w danej chwili zachowa się setka uzbrojonych chłopaków. Chyba zależało to też od tego, ile ofiar mieliśmy poprzedniego dnia, czy znaleźliśmy coś w wiosce, a może od tego, czy było nam gorąco i czy chciało nam się pić

albo czy oficerowie i sierżanci pilnowali dobrze chłopaków, czy gównem ich to obchodziło, bo dostali w liście złe wiadomości z domu, dostali przez radio opierdol od dowódcy albo sami zaczęli świrować. Wojna się przedłużała, młodzi porucznicy byli coraz młodszy, a sierżanci jeszcze miesiąc wcześniej byli szeregowcami... normalne wewnętrzne bariery doroślejszych ludzi... wiesz, tak jak we Władcy much... dzieciakom odbija... i jeśli ginie ktoś z bandy, chcą krwi... i w ten sposób przeszukiwanie wioski wymyka się spod kontroli i to już nie jest wojna, tylko banda węszących dzieciaków z nerwami napiętymi do granic; oni mogą cisnąć do rodzinnego bunkra równie dobrze granat łzawiący jak odłamkowy, dać dziadziusiowi paczkę herbatników, a potem zgasić mu papierosa na twarzy, jeśli znaleźli w jego ogrodzie pajęczą dziurę.

Susan szła obok mnie w milczeniu. Zastanawiałem się, czy powinienem jej o tym wszystkim opowiadać. Nie wiedziałem też, czy powinienem to opowiadać sobie. Tam, w Stanach, można o wszystkim zapomnieć albo schować głowę w piasek, zrzucić wszystko na karb zawodnej pamięci lub oglądania zbyt wielu filmów o Wietnamie. Ale tutaj... tutaj

właśnie się to stało i nie było sposobu, żeby coś przekreślić.

Szliśmy dalej przez wioskę, dzieciaki za nami, ale nie żebrały ani nie narzucały się nachalnie jak te w Sajgonie. To były wiejskie dzieci, które nie widziały zbyt wielu *Lien Xo*, więc może dlatego zachowywały się nieśmiało; a może odziedziczyły wspomnienia rosnących Amerykanów, którzy szli przez wioski ojców i dziadków, i dlatego trzymały się na dystans.

- Wyobraź sobie, że jesteś wieśniaczką - powiedziałem do Susan. - Nie śpisz w nocy, a w dzień się nie uśmiechasz. Ty i wszyscy wokół są na granicy obłędu i rozpacz i jesteś całkowicie na łasce dwóch uzbrojonych, wrogich armii, które głoszą, że chcą zjednać sobie twoje serce i umysł, a które pewnego dnia mogą cię zgwałcić i poderznąć gardło. Takie właśnie było życie w wioskach tego udręczonego kraju. Kiedy to się kończyło, wieśniakom było już obojętne, kto wygrał. Gdyby wygrał sam szatan ze swoimi piekielnymi legionami,

też byłoby wspaniale, bo wojna się skończyła.

Susan milczała przez chwilę.

- Poszłabym do partyzantów w górach, żeby walczyć. Wolałabym umrzeć z bronią w ręku - odparła.

Zmusiłem się do uśmiechu.

- Jesteś wojowniczką. Większość młodych mężczyzn i kobiet wybierała którąś ze stron i walczyła. Ale inni zostawali w wioskach, żeby siać i zbierać, opiekować się starymi

rodzicami czy młodszym rodzeństwem i liczyć na to, że jakoś to będzie. W każdym razie kiedy znajdziesz się w jakiejś wiosce i zobaczysz ludzi, którzy żyli w tamtych latach, to będziesz wiedziała, co przeszli.

Susan skinęła głową.

Jakby na zawołanie na ścieżce stanął starszy mężczyzna i uklonił się nam. Susan odezwała się do niego, a on się uśmiechnął, słysząc jej wietnamski. Rozmawiali przez parę minut, a potem Susan powiedziała do mnie:

- Cytadela jest trochę dalej przy tej ścieżce. Mówi, że mieszkał kiedyś w Quang Tri, a jeśli jesteś byłym żołnierzem, na pewno będziesz zdziwiony.

- I jestem zdziwiony. Powiedz mu, że byłem w Pierwszej Dywizji Kawalerii, a sztab mojej brygady mieścił się w starym francuskim forcie.

Susan przetłumaczyła moje słowa, a starzec długo coś jej mówił.

wyjaśniła mi Susan - na zmianę zdobywali miasto, które wiele razy przechodziło z rąk do rąk - W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku komuniści i armia republiki -

i zostały z niego ruiny. Potem armia republiki wycofała się do Hue, przyleciały amerykańskie bombowce, zniszczyły wszystko, co zostało z miasta, i zabiły wielu komunistycznych żołnierzy, którzy byli w cytadeli, francuskim forcie i amerykańskiej bazie pod miastem. Nie zostało nic.

Skinąłem głową.

Mężczyzna powiedział coś jeszcze.

- Mówi, że wracało już wielu Amerykanów z kawalerii. Zawsze są smutni i zdziwieni, że nic tu nie zostało po ich obecności. Spotkał też kiedyś Francuza, który przyjechał, żeby zobaczyć fort, gdzie stacjonował. Francuz był przekonany, że trafił w niewłaściwe miejsce, więc przez cały dzień szukał swojego fortu i... wież strażniczych, chyba to ma na myśli ten facet.

Starzec pomyślał o czymś, roześmiał się i coś dodał.

- Ten Francuz spodziewał się znaleźć kafejkę, w której kiedyś pił, i może swoje dawne... panie - powiedziała Susan.

- Hej, ja też po to przyjechałem. Powiedz mu.

Susan przetłumaczyła i staruszek zaśmiał się głośniej. Co go w tym rozbawiło, nie wiem, ale może wypłakał już wszystkie łzy, które w sobie miał, i nie pozostało mu nic innego, jak tylko śmiać się ze śmierci i zniszczenia.

Podziękowaliśmy mu i poszliśmy dalej.

Na końcu ścieżki znajdowała się otwarta przestrzeń o bokach mniej więcej półkilometrowych, otoczona chatami wieśniaków i leżącymi w pewnym oddaleniu ogródkami. Ugór porośnięty był wysoką trawą i drzewkami i na pierwszy rzut oka wyglądał jak centralny plac wiejski. Ale wokół biegła zarośnięta chwastami fosa, otaczająca niegdyś mury cytadeli. Tu i ówdzie widziałem kawałki muru, nie wyższe niż metr, a w miejscu, gdzie kiedyś nad fosą przebiegał most, stał trafiony bombą kamienny łuk.

- To była cytadela, podobna do tej w Hue, lecz, jak widać, jest w znacznie gorszym stanie -

powiedziałem. - Tu znajdowało się centrum miasta, z budynkami administracyjnymi, szpitalem, bankiem, paroma kawiarniami, koszarami i sztabem południowo-wietnamskiej armii, a także ośrodkiem amerykańskiego korpusu doradztwa wojskowego w Wietnamie Południowym. Większość doradców zginęła, kiedy komuniści zajęli miasto w czasie ofensywy Tet. Podobnie w Hue. To ryzykowna praca, kiedy twoje bezpieczeństwo jest w rękach kiepskich sojuszników.

Susan spojrzała na otwartą przestrzeń pośrodku rozległej wioski.

- To wygląda jak park czy boisko sportowe, ale nic tu nie ma.

- Myślę, że zostawili to miejsce jako pomnik zniszczonego miasta i ludzi, którzy w nim zginęli, ale nie widzę nawet obelisku.

- Ja też nie... Patrz, tam jest most nad fosą.

Spojrzałem w miejsce, które wskazywała, i zobaczyłem nienaruszony, choć upstrzony śladami pocisków, betonowy most, który kiedyś prowadził do bramy w nieistniejących już murach.

Po moście nad suchą fosą weszliśmy na teren cytadeli. Dzieci, które za nami szły, zatrzymały się i jedno z nich coś krzyknęło.

- Mówi, że to własność państwowa i nie wolno nam wchodzić - przetłumaczyła Susan. - Powiedział też *Thanh Than*. Duchy.

- Mówią tak dzieciom, żeby trzymać je z dala od niewypałów - odparłem.

- Pewnie masz rację. Nie wejdź czasem na jakiś niewypał, bo oboje będziemy duchami.

- Trzymaj się ścieżek.

- Tu nie ma ścieżek, Paul.

- Więc stąpaj lekko. Weszliśmy na środek trawiastego placu, na którym kiedyś stało miasto.

- Gdzieś tutaj był plac defilad, a wojskowa część cytadeli znajdowała się po drugiej stronie, tam... Tak mi się wydaje.

- Pamiętasz to?

- Mniej więcej. Byłem tu kiedyś, bo musiałem wziąć udział w kretyńskiej ceremonii wręczenia orderów, które armia Wietnamu Południowego lubiła organizować i robiła to zbyt często.

- Chcesz powiedzieć, że odbierałeś tu order?

- Taak. I nie był to medal za dobrą służbę.

- A co?

- Nazywał się Krzyż Walecznych, od francuskiego odznaczenia o tej samej nazwie. To był chyba odpowiednik naszej Brązowej Gwiazdy, tak mi się wydaje.

- Za co dostałeś ten krzyż?

- Nie jestem pewien. Cała ceremonia odbywała się po wietnamsku.

- Daj spokój, Paul. Wiesz, dlaczego dali ci medal.

- Taak. Dla celów propagandowych. Sfilmowali wszystko, a potem wyświetlali przed głównym filmem we wszystkich sześciu kinach, które pewnie istniały w kraju. Nasi dzielni amerykańscy

sojusznicy i tak dalej. Po prostu brali listę żołnierzy, którzy dostali jakikolwiek amerykański medal, i dawali swój odpowiednik. Dostałem Brązową Gwiazdę za dolinę A Shau bez żadnej ceremonii, a Wietnamczycy dali mi tutaj Krzyż Walecznych, z wielką pompą.

- Dali ci kopię taśmy? - spytała Susan.

- To był film - odparłem z uśmiechem. - Nie sądzę, żeby mieli wtedy taśmy wideo, ale gdyby mieli, sprzedaliby mi kopię, a nie zrobili tego.

- Może udałoby się znaleźć oryginał taśmy w archiwach w Sajgonie.

- Mam nadzieję, że szlag ją trafił.

- Jesteś taki sentymentalny.

- Właśnie. W każdym razie stałem tutaj razem z mniej więcej setką innych Amerykanów z Pierwszej Dywizji Kawalerii i dostałem od jakiegoś pułkownika całusa w oba policzki... to było już w czerwcu czy lipcu, temperatura na placu dochodziła do trzydziestu stopni, ale moja odnowiona kompania, pełna czereśni... to znaczy nowych chłopaków prosto ze Stanów... wyszła na jakiś patrol, więc nie było tak źle. Myślałem, że uda mi się zaliczyć parę barów w mieście po tym pokazie psów, ale Armia Stanów Zjednoczonych była tak miła, że załadowała nas wszystkich na ciężarówkę i odwiozła z powrotem do Strefy Lądowania Sharon, która, zdaje się, już nie istnieje. - Spojrzałem na Susan i spytałem: - Dobry ze mnie facet na randkę?

Z uśmiechem wzięła mnie pod rękę.

- To jest dla mnie naprawdę niesamowite doświadczenie.

- Cóż... to jest dla ciebie ostatnia wachta. Przeprowadziłem cię przez całą moją pierwszą turę... Bong Son w listopadzie i grudniu sześćdziesiątego siódmego roku, Quang Tri w czasie ofensywy Tet w styczniu i lutym, potem Khe Sanh w kwietniu i A Shau w maju, a później znów prowincja Quang Tri, z której odleciałem w listopadzie do bazy An Khe, spakowałem swoje manatki, stamtąd do Da Nang i dalej do San Francisco.

- To musiał być niesamowity weekend w San Francisco.

- Przygotowywałem się na ostrą balangę z paroma innymi chłopakami, z którymi odchodziłem... ale San Francisco nie przyjęło nas zbyt życzliwie...

Susan milczała.

- Prawdę mówiąc, właściwie nie byłem w nastroju na balangę; zostałem parę dni w hotelu, doprowadzając swoją głowę do porządku... Kąpałem się co pół godziny i spuszczałem wodę w klozecie. - Uśmiechnąłem się. - Spałem w miękkim łóżku, oglądałem telewizję, obaliłem dwie butelki dżinu i ciągle się szczypałem, czy nie śnię... a potem poleciałem do Bostonu. Ale nie do końca mi przeszło.

- Nie mieliście psychologa?

O mało nie parsknąłem śmiechem.

- Mówimy o roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym, szczycie zimnej wojny. Widziało się psychiatrę przed poborem... oni zawsze mówili, że jesteś dość zdrowy psychicznie, żeby iść i zabijać ludzi, ale nigdy nie badali ci głowy po powrocie. I wiesz co, wcale nie mam im tego za złe.

- Kontakt z psychologiem mógł wam pomóc.

- Zygmunt Freud do spółki z Jezusem Chrystusem też by nie pomogli. Większość z nas sama znajdowała drogę powrotną.

Przeszliśmy przez trawiasty plac, który kiedyś był miastem Quang Tri; zatrzymałem się i podniosłem kawałek odłamka o poszarpanych krawędziach, którego nie zauważyli łowcy złomu, i przyjrzałem mu się.

- To może być kawałek bomby, rakiety, pocisku artyleryjskiego albo moździerzowego, albo granatu, naszego lub ich. I jest to bez znaczenia, kiedy coś takiego cię trafia. - Podałem odłamek Susan. - Pamiątka z zaginionego miasta Quang Tri.

Schowwała do kieszeni.

Szliśmy dalej pod szarym niebem; zauważyłem paru Wietnamczyków po drugiej stronie fosy, przyglądających się nam i zastanawiających, czy jesteśmy wysłannikami jakiegoś biura turystycznego organizującego wycieczki do strefy zdemilitaryzowanej. Dwa dolce za przejście po moście nad fosą i spacer po cytadeli. Operatorzy wycieczek rozrzucaliby każdego ranka przed przyjazdem autokarów kawałki metalu, żeby każdy mógł sobie coś zabrać do domu.

- Oto następny fragment układanki - powiedziałem do Susan. - List do Trana Quan Lee, znaleziony przy jego zwłokach w dolinie A Shau, został napisany przez jego brata, Trana Van Vinha, który został ranny tutaj w czasie bitwy o miasto Quang Tri podczas ofensywy Tet w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku. Vinh leżał ranny w jednym z tutejszych budynków i zobaczył wydarzenie, w którym uczestniczyli dwaj Amerykanie. Wiesz o tym?

- Nie.

- Okej. Dzień później pisze list w piwnicy buddyjskiego liceum, które widzieliśmy po drodze, i list dociera do jego brata w dolinie A Shau.

- Co zobaczył?

- To, co zobaczył, stanowi powód, dla którego tu jestem. Pytanie brzmi: Czy Tran Van Vinh przeżył tę bitwę oraz bitwy stoczone w czasie następnych siedmiu lat, a jeśli tak, to czy wciąż żyje i czy mogę go znaleźć, a jeśli go znajdę, co może mi powiedzieć? - Pominąłem sugestię, że być może mam zabić Trana Van Vinha, i ewentualność, że sam mogę zostać później zlikwidowany.

Szliśmy dłuższą chwilę w milczeniu. Wreszcie Susan spytała:

- I to wszystko?

- To wszystko.

- Czy to, co zobaczył, jest ważne?

- Najwidoczniej tak, bo inaczej nie byłoby mnie tutaj i nie wydawałbym państwowych pieniędzy.

- Co napisał w tym liście?

- Że widział, jak kapitan amerykańskiej armii morduje z zimną krwią amerykańskiego porucznika, tu, w zniszczonym budynku cytadeli, w którym on, Tran Van Vinh, leżał ranny na piętrze.

- Więc to jest śledztwo w sprawie morderstwa - zauważyła po chwili Susan. - Na to wygląda.

Milczała przez chwilę.

- Ale...

- No właśnie, ale.

Zatrzymała się i rozejrzała po pustym polu.

- Dokładnie w tym miejscu?

- Gdzieś niedaleko. Nie umiem ci powiedzieć, gdzie stały budynki, lecz zawsze dobrze jest wrócić na miejsce zbrodni, jeśli nawet upłynęło prawie trzydzieści lat i to miejsce zostało obrócone w perzynę przez bomby i artylerię. Gliny są tak samo przesądne jak żołnierze na polu bitwy, wierzą, że zmarły... jego duch... przemówi do ciebie albo przynajmniej zainspiruje do znalezienia mordercy. Ja w to nie wierzę, ale i nie odrzucam. - Uśmiechnąłem się. - Może powinniśmy urządzić seans?

Susan też się uśmiechnęła.

- Rozumiem, że wizyta w miejscu morderstwa może rozbudzić inspirację. - Spojrzała na mnie. - Lecz ty uważasz, że chodzi o coś więcej niż morderstwo?

- A jak ty myślisz?

- Nie mam pojęcia.

- Czemu ci powiedzieli, że to ma coś wspólnego z bazą w zatoce Cam Ranh?

- Nie wiem.

- Co to może mieć wspólnego z morderstwem popełnionym w czasie wojny?

- Nie wiem.

- Dlaczego ludzie z wywiadu zajmują się sprawą morderstwa prowadzoną przez Wydział Dochodzeń Kryminalnych?

- Nie mam pomysłu. A ty?

- Mam ich za dużo. Niektóre pasują do pewnych faktów, ale żaden do wszystkich. Potrzeba mi więcej faktów. Znasz jakieś?

- Nie, ale... sądząc z tego, że Bill i pułkownik Goodman tak bardzo się podniecali, w tej sprawie rzeczywiście może chodzić o coś więcej niż morderstwo.

Skinałem głową.

- Jesteś bardzo bystra. Więc zgaduj.

Zastanowiła się chwilę.

- Morderca, ten kapitan, lub świadek, Tran Van Vinh, był wtedy albo jest teraz bardzo ważną osobistością.

- Bardzo przenikliwa odpowiedź.

Susan zmusiła się do uśmiechu.

- Dostaję sygnały z zaświatów - odparła.

Postaliśmy chwilę w miejscu, które było świadkiem co najmniej dwóch wielkich bitew, a w

którym teraz panowała grobowa cisza. Pod powierzchnią ziemi spoczywały w spokoju kości i być może bomby, które, miałem nadzieję, nie czekały na mój powrót i nadal będą spoczywać w spokoju.

- Myślisz, że ten Tran Van Vinh żyje? - spytała Susan.

- Oto kolejny przykład ironii losu lub zbieg okoliczności - odparłem. - Dostaliśmy rozkaz, żeby zejść ze wzgórz dwa dni po tym, jak Wietnamczycy z północy wzięli Quan Tri, i ustawić blokadę odcinającą drogę północnowietnamskim żołnierzom uciekającym z miasta...

I rzeczywiście sporo ich zabiliśmy... więc wychodzi na to, że ja albo ktoś z mojej kompanii mógł zabić mojego głównego świadka.

- To naprawdę byłaby ironia losu, i to dziwaczna...

Skinąłem głową.

- Ale czuję, że Tran Van Vtnh żyje.

- I mieszka w wiosce Tam Ki?

- Nie, nie tam. Ta nazwa to rodzaj kryptonimu. Facet, z którym spotkałem się w Hue, podał mi prawdziwą nazwę wioski.

- Jak ona się nazywa?

- Nie mogę ci teraz powiedzieć. Może później.

- Gdzie leży?

- Daleko na północy. - Potem dodałem: - Koło Dien Bien Phu. Wiesz, gdzie to jest?

- Mniej więcej. Spory kawałek drogi stąd. I tam właśnie jutro wyruszasz?

- Taki jest plan.

- Dobrze, Dien Bien Phu figuruje na mojej liście miejsc do odwiedzenia.

- Jak się tam dostaniemy?

- Nie wiem, jak ja się tam dostanę. Pomyślałam, że pojedę pociągiem wzdłuż wybrzeża jak najdalej na północ, a resztę drogi pokonam samochodem terenowym.

- Dobry pomysł. Pociągi zaczynają znów kursować od piątku. Czy to będzie problem?

- Raczej tak. A ty jak byś pojechał?

- Powiem ci jeśli postawisz mi dzisiaj kolację. - Spojrzałem na nią i spytałem: - Naprawdę masz jakiś pomysł?

- Nie spędziłam całego dnia na zakupach.

- Mów.

- Nie - odparta. - Na razie nie musisz wiedzieć.

Wzięła mnie pod rękę i ruszyliśmy w stronę mostu. Przede wszystkim spostrzegłem, że dzieci po drugiej stronie fosy zniknęły.

Następnie zauważyłem sylwetkę kogoś, kto stał pośrodku dawnej cytadeli i nas obserwował. Był to pułkownik Mang.

Rozdział 35

Pułkownik Mang i ja gapiliśmy się na siebie poprzez stumetrowe otwarte pole.

- Kto to jest? - spytała Susan.

- Zgadnij.

- Ach... Co on tu robi?

- Po pierwsze, chce żebym do niego podszedł, a ja nie zamierzam tego zrobić.

- Paul, ja znam tych ludzi - powiedziała Susan. - Jeśli przez ciebie straci twarz, wścieknie się.

- Wiesz, mam to gdzieś. Zachód już się kiedyś przejmował tym, że jacyś Azjaci z Dalekiego Wschodu tracą twarz. Pieprzyć go.

- Ja pójdę z nim porozmawiać,

- Nigdzie nie pójdziesz.

Nie odpowiedziała i nie ruszyła się.

Zauważyłem dwóch innych mężczyzn za pułkownikiem Mangiem, stojących na moście nad fosą. Byli w mundurach i mieli karabiny. Nawet z tej odległości rozpoznałem mojego starego kumpla Popychalskiego.

Pułkownik Mang, jak zauważyłem, był ubrany w ciemnozieloną marynarkę, koszulę i krawat, które były znacznie odpowiedniejsze w chłodnym klimacie. Miał też czapkę z daszkiem i pistolet w kaburze przy pasie.

Wiatr przybrał na sile, słońce chowało się za linię drzew. Na teren dawnej cytadeli kładły się długie cienie i wkrótce miało się ściemnić. Byłem gotów stać tam do świtu.

- Paul, przejdźmy jedną trzecią odległości - powiedziała Susan. - On robi to samo.

- Pieprzyć go. Ja go tu nie zapraszałem. - On nie potrzebuje zaproszenia. Wierz mi. Chodźmy. - Zrobiła krok.

Zawahałem się, a potem zacząłem iść. Susan szła obok. Po trzydziestu krokach zatrzymałem się.

Pułkownik Mang zrozumiał i zrobił dokładnie trzydzieści kroków w naszą stronę. To wszystko było bardzo głupie, rzecz jasna, lecz mężczyźni zawsze będą się zachowywać jak chłopcy, jeśli chodzi o pokazanie, kto ma twardsze jaja.

Zrobiłem próbny krok w stronę pułkownika Manga, on zrobił to samo, i zaczęliśmy iść naprzeciw siebie. Zbliżyliśmy się na jakieś dziesięć metrów i ten mały gnojek stanął. Ja też stanąłem.

Spojrzeliliśmy na siebie. Nie wyglądał na zadowolonego, więc było nas co najmniej dwóch niezadowolonych.

- Daj spokój, Paul - ostrzegła mnie Susan. - Postawiłeś na swoim. Chodźmy się dowiedzieć, czego on chce.

- Pieprzyć go.

Pułkownik Mang musiał mnie źle zrozumieć, bo powiedział:

- Dobry wieczór, panie Brenner.

Nie odpowiedziałem.

Susan miała dość tego konkursu szczania na odległość, więc podeszła do pułkownika Manga. Rozmawiała z nim przez minutę, ja jej jednak nie słyszałem i nie wiedziałem, jakiego języka używa. Odwróciła się.

- Paul, może się do nas przyłączysz? - Skinęła na mnie ręką.

Cóż, to był morderczy dzień - A Shau, Khe Sanh, strefa zdemilitaryzowana, a teraz Quang Tri. W moim mózgu kłębiły się wspomnienia, a ciało było napompowane wrednymi męskimi hormonami. Czuję się jak piechur po bitwie... i nie byłem już turystą wysłuchującym pieprzenia pułkownika Manga; nie trzeba było wiele, żeby mój zapalnik spłonął. Gdybym miał M-16, zdjąłbym tych dwóch kłownów, zanim Mang zdążyłby sięgnąć po pistolet przy pasie.

- Paul, podejdź do nas. Proszę.

Wziąłem głęboki oddech i zrobiłem dziesięć kroków do miejsca, gdzie stali Susan i pułkownik Mang. Nie wymieniliśmy powitań, ale odezwałem się pierwszy.

- Co pan tu robi?

Patrzył na mnie długo, a potem odparł:

- To ja chcę zadać panu to pytanie.

- Powiedziałem panu, że chcę przyjechać do Quang Tri, gdzie stacjonowałem. Więc proszę mnie nie pytać, co tu robię.

Patrzył na mnie przez chwilę i widziałem, że zrozumiał, że nie będę z nim już rozmawiał tak jak przedtem, grzecznie, lecz stanowczo.

- No i co pan zobaczył? Powiedziałem panu, że nic tutaj nie ma. Wasze bomby zamieniły całą prowincję w ruinę. To chciał pan zobaczyć? - Wskazał gestem pustą przestrzeń. - Podoba się panu?

Wziąłem głęboki oddech.

- Pułkowniku, wie pan bardzo dobrze, dlaczego bombowce zrujnowały tę prowincję. Dlaczego nie spróbuje pan spojrzeć w oczy rzeczywistości, tak jak ja po powrocie?

- Rzeczywistość jest tym, czym chcemy, żeby była.

- Nie, rzeczywistością jest to, co się stało. Zdarzyła się masakra w Hue i masakra w Quang Tri w sześćdziesiątym ósmym roku. Widziałem to na własne oczy. Tak, masakra w

My Lai też się zdarzyła. Wszyscy mamy krew na rękach. Niech pan to przyjmie do wiadomości i przestanie wciskać mi tę wojnę. Nie ja ją zacząłem, i nie pan. Niech się pan z tym pogodzi.

Nie spodobał mu się ton pouczenia w moim głosie, ale zachował spokój. - Nie było masakry w Hue ani w Quang Tri. Była likwidacja wrogów ludu. Była masakra w My Lai - oświadczył.

- Czego pan chce?

- Może mi pan powiedzieć, dlaczego pan i pańska towarzyszka próbujecie nawiązać kontakt z góralami?

- Ma pan na myśli *Moi*? Dzikusów?

- Górskie plemiona, panie Brenner. Jaki ma pan do nich interes?

- Nie mam do nich żadnego interesu.

- Pan Loc mówi coś innego.

- Pan Loc to idiota.

- Pułkowniku, turyści z całego świata przyjeżdżają, żeby zobaczyć rdzenną ludność Wietnamu. My zrobiliśmy to samo - wtrąciła się Susan.

Pułkownik Mang przyglądał się jej przez chwilę, bez wątpienia zastanawiając się, dlaczego kobieta mówi za mężczyzną. Odezwał się do mnie, nie do niej.

- Zniknęliście z oczu panu Locowi kilka razy. Weszliście na wzgórze koła doliny A Shau. Zatrzymaliście się w osadzie plemiennej. Rozmawialiście z góralami na placu w Khe Sanh.

- I co z tego? - spytałem. - Jestem turystą.

- Tak? Czy górale dają wszystkim turystom bransolety, takie jaką ma pan na rękę? Albo chusty *taoi* którą nosi panna Weber? Czy turyści salutują byłym amerykańskim najemnikom wojennym? Zastanowiłem się i musiałem przyznać, że miał trochę racji.

- Pułkowniku, myślę, że jest pan przesadnie podejrzliwy i przewrażliwiony na punkcie Montagnardów.

- Tak pan myśli? Pan tu nie mieszka, panie Brenner, Czy może pan wytłumaczyć swoje postępowanie?

Prawdę mówiąc, nie.

- Gdzie jeit pan Loc? - spytałem. - Proszę go tu sprowadzić, to przedyskutujemy te kwestie. - Po czym dodałem, toby po prawić trochę klimat: - Mam konstytucyjne prawo spotkać się twarzą w twarz z moim oskarżycielem.

- Pan Loc musiał niestety na jakiś czas się oddalić - odparł z uśmiechem pułkownik Mang. - Dlaczego pojechał pan do doliny A Shau i Khe Sanh?

Milczałem.

- Pan Loc mówi, że opowiedział pan wiele wojennych historii - panie Brenner, i z żadnej z nich nie wynikało, że pełnił pan obowiązki kucharza.

- Pan Loc nie mówi po angielsku, pułkowniku - odparłem.

- Ależ mówi. I pan o tym wie, Robił mu pan na ten temat uwagi wiele razy.

- Zgadza się. Więc czemu miałbym w jego obecności robić coś, co rzucałoby na mnie podejrzenie, jeśli wiedziałem, że rozumie po angielsku?

- Bo nie wiedział pan, że jest agentem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego,

- Oczywiście, że wiedziałem, Powiedziałem mu, że wiem.

- Nie wspomniał mi o tym,

- Wobec tego nic powiedział panu prawdy - wtrąciła się Susan. - Od pierwszej chwili

wiedzieliśmy, że jest policjantem, Jestem w tym kraju od trzech lat, pułkowniku, i umiem rozpoznać tajniaka.

Pułkownik Mang wbił w nią wzrok,

- Rozmawiam z panem Brennerem. -Zwrócił się do mnie. - Nie wierzę, że pan wiedział...

- A ja mówię do pana, pułkowniku - przerwała mu Susan, - I pan mi odpowie.

Pułkownik Mang odwrócił się do niej,

- Słucham? Nie mogę uwierzyć, że dobrze usłyszałem.

- Nie? Więc to pan zrozumie. - Przeszła na wietnamski i ostro nawrzucała pułkownikowi Mangowi, który, byłem tego pewien, miał ochotę ja spoliczkować. Wtedy musiałbym go powalić na ziemię, goryle z karabinami rzuciliby się biegiem przez pole, a ja w mgnieniu oka przystawiłbym pistolet pułkownika do jego głowy i powstałaby sytuacja patowa, która ciągnęłaby się przez całą noc i skończyła strzelaniną albo jeszcze czymś innym. Ale pozwoliłem jej sobie ulżyć,

Zanim Susan skończyła wrzeszczeć na pułkownika Manga, on zaczął wrzeszczeć na nią i naprawdę sobie nie żalowali. Ciekawe, co się stało z jej troską o to, żeby pułkownik nie stracił twarzy. Uwielbiam, kiedy orędownicy pokoju rozpętuje trzecią wojnę światową. Zauważyłem też, że goryle z karabinami stoją w pogotowiu. Z tej odległości nie mogli wiele słyszeć, ale wiedzą, jak wygląda wkurzona babka, zwłaszcza, jeśli są żonaci. Dobrą stroną tej sytuacji było to, że Susan i pułkownik Mang przynajmniej rozmawiali, albo raczej się wydzielali, Gdyby Mang zamilkł, wtedy mielibyśmy kłopot,

Musiałem zaprowadzić spokój, więc powiedziałem do Susan:

- No dobra. *Im lang. Fermez la bouche.* Zamknij się. Dość tego.

Zamknęła się.

Pułkownik Mang naprawdę kipiał; jeśli nawet nie przyjechał nas aresztować, to teraz się nad tym zastanawiał, zwłaszcza że dwóch goryli patrzyło, jak dostaje opieprz od jakiejś suki. Uspokoił się i odwrócił do mnie,

- Nic wierzę, że wiedział pan, że pan Loc jest agentem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego - powiedział, jakby nic się nie stało,

- Czy wyglądom na kretyna?

Pułkownik Mang oparł się chęci powiedzenia; „Tak, wyglądasz na kretyna. Bo jeśli nie, to po co tu jesteś?”.

- Jeśli jest pan taki mądry, to dlaczego opowiadał pan otwarcie o swoich bitwach w obecności pana Loca, skoro powiedział mi pan, że był kucharzem?

- Oczywiście, że nie byłem kucharzem - odparłem. - Byłem w piechocie,

- Czemu mnie pan okłamał?

Bo tak mi kazały półgłówki z Waszyngtonu.

- Nie chciałem pana denerwować, pułkowniku - odparłem uprzejmie - wspominając o fakcie, że walczyłem tutaj z pańskimi rodakami.

- Tak? Ale pan kłamał.

Gliny uwielbiają przyłapywać na kłamstwie.

- Skłamałem. Zabijałem północnowietnamskich żołnierzy i bojowników Wietkongu tutaj, w Quang Tri, i w okolicach, w Khe Sanh, w dolinie A Shau i w Bong Son. I co z tego? Pan

też walczył i zabijał moich rodaków. To była wojna. Za to nam płacili. Sprawa zamknięta. Nie przyjechał pan tu, żeby mi powiedzieć, że odkrył moją żołnierską przeszłość. Czego pan chce?

- Powiedziałem panu - odparł. - Chcę wiedzieć, jakie ma pan interesy do górali. - Żadnych.

- Więc dlaczego poszedł pan na wzgórze?

Ten facet albo był tępym, albo miał paranoję. Pewnie jedno i drugie.

- Pojechałem do doliny A Shau i do Khe Sanh, żeby zobaczyć miejsca, gdzie walczyłem. Myślałem, że się co do tego rozumiemy.

Zastanowił się nad tym.

- Może kłamstwo polega na tym, że nigdy pan tam nie był, a teraz pojechał pan, żeby nawiązać kontakt z góralami w imieniu swojego rządu, a odwiedzanie pól bitew to jedynie pretekst, bo naprawdę nie są to pola pańskich bitew. Interesują pana górale.

wcześniej wbił sobie do głowy, że coś knuję, więc musiał tak kombinować, żeby to, co potrzebowałem paru sekund, żeby pojąć tę logikę. Najwyraźniej pułkownik Mang już wiedział, pasowało do tego, co podejrzewał. W rzeczy samej coś knułem, lecz pułkownik nawet nie otarł się o prawdę. Ale przecież nie musiał - w jego kraju wystarczał każdy kryminalny zarzut.

Postanowiłem zastosować własną logikę.

- Gdybym potrzebował pretekstu, żeby pojechać na wzgórze, dlaczego nie powiedziałem panu na lotnisku, że interesuję się na przykład drzewami i przyrodą? Rozumie pan?

Rozważył sensowność mojej odpowiedzi.

- W gruncie rzeczy, powiedział mi pan, że nawet nie jest pewien, czy pojedzie do swojego obozu w An Khe, który znajduje się na wyżynie, gdzie mieszka wielu górali. Czemu pan to ukrywał?

- Co ukrywałem? Nie byłem w An Khe.

- Ale był pan w innych miejscach na wyżynie.

Ten facet przyprawiał mnie o ból głowy; widziałem, że jego paranoja na punkcie górali zaczyna też niecierpliwieć Susan.

- Słyszał pan oczywiście o FULRO? - spytał. Wiedziałem, że to pytanie musi paść.

- Dowiedziałem się o FULRO w Muzeum Amerykańskich Zbrodni Wojennych - odparłem. - Widziałem zdjęcia z masowych egzekucji górali. One poruszają turystów, tak a propos.

- Tak? To ma być nauczka.

- Czemu nie wsadziliście po prostu górali do obozów reedukacyjnych i nie nauczyliście ich, jak być szczęśliwymi obywatelami tego kraju? Dlaczego musieliście ich rozstrzeliwać?

Spojrzał na mnie.

- Wrogowie, którzy składają broń, dostają możliwość nawrócenia się w specjalnych szkołach. Wrogowie schwytani z bronią są rozstrzelani. - Potem dodał jeszcze: - Każdy, kto nawiązuje kontakt z uzbrojonymi buntownikami, też jest rozstrzelany. - Spojrzał na mnie, potem na Susan i spytał: - Zrozumiano?

Oczywiście, że zrozumiano. My robiliśmy to samo w sześćdziesiątym ósmym roku, więc nie mogłem dać pułkownikowi wykładu na temat procesu sądowego, udowadniania winy czy prawa do noszenia broni. Najwyższa pora, żeby mu to wbić do łba. Spojrzałem Mangowi prosto w oczy.

- Pułkowniku, czy oskarża mnie pan o to, że jestem szpiegiem?

Wlepił we mnie wzrok i starannie dobierając słowa, odparł:

- Próbuję odkryć prawdziwy cel pańskiej wizyty w moim kraju.

Cóż, ja też próbowałem go odkryć. Ale pułkownik Mang nie mógł mi w tym pomóc.

- Na pewno ma pan ciekawsze zajęcia w święto Tet. Może pańska rodzina chciałaby pana zobaczyć.

Nie spodobała mu się ta uwaga.

- To nie pańska sprawa, panie Brenner, co robię. Lecz, do pańskiej informacji, byłem w domu, a teraz przyjechałem, żeby z panem porozmawiać.

- Przykro mi, że przyjechał pan tak daleko na próżno, pułkowniku.

- Nie przyjeżdżałbym na próżno, panie Brenner,

To zabrzmiało jak zapowiedź dalszych nieprzyjemności.

- Pułkowniku, nie reaguję dobrze na subtelne groźby. Może pan to uzna za niewiarygodne, ale w moim kraju, jak już panu powiedziałem, obywatel może odmówić odpowiedzi na pytania policjanta i ma prawo zachować milczenie. Policjant ma wtedy wybór,

czy aresztować podejrzanego, czy go uwolnić. Więc jeśli przyjechał pan, żeby mnie aresztować, proszę to teraz zrobić. Bo w przeciwnym razie odchodzę.

Pułkownik Mang pewnie pierwszy raz usłyszał o ograniczeniach władzy policyjnej, więc wybrał własną, trzecią opcję. - Jeśli odpowie pan na moje pytania zgodnie z prawdą, pan i pańska towarzyszka będziecie mogli ruszyć w dalszą drogę.

Spojrzałem na Susan, która skinęła głową. Jej obecność, jak powiedziałem, miała swoje plusy i minusy i w tej chwili akurat była minusem. Gdybym wylądował w celi przesłuchań, poradziłbym sobie. Ale gdyby pułkownikowi Mangowi przyszło do głowy wrzucić też do celi Susan, miałbym problem. Nie chciałem znaleźć się w jednej sali przesłuchań, podczas gdy ona byłaby w drugiej, bo bez względu na to, jaki jesteś twardy i wyszkolony, oni zawsze wykorzystają jedną osobę, żeby dobrać się do drugiej. A jeśli te dwie osoby są różnej płci i zależy im na sobie, staje się to psychicznie bardzo trudne. Poza tym jeśli tych dwoje pozostanie na wolności, już nigdy nie będą na siebie patrzyć tak samo.

- Panie Brenner? - powiedział pułkownik Mang. - Mam do pana jeszcze kilka pytań. Mogę?

Skinąłem głową. Uśmiechnął się i rzekł:

- Proszę mi opisać charakter swojego związku z tą panią.

Tego też się spodziewałem.

Poznaliśmy się w Sajgonie... Hosziminie... i teraz razem podróżujemy.

- Tak? Dokąd?

- Do Hanoi.

- Ach tak. Do Hanoi, a gdzie pojedziecie między Hue i Hanoi?

- Myślę, że już to panu mówiłem, pułkowniku. Wzdłuż wybrzeża.

- A, tak. Chciał pan zobaczyć, jak żyje i mieszka ludność byłego Wietnamu Północnego, tak pan to określił,

- Tak właśnie powiedziałem.

- Jak pan zamierza dotrzeć do Hanoi?

- Nie wiem. Ma pan jakieś propozycje?

Uśmiechnął się.

- Możecie jechać ze mną. Mam samochód i kierowcę.

- To bardzo miłe z pańskiej strony, ale nie chcemy przeszkadzać panu w podróży,

- Właśnie tam jadę. Mój dom rodzinny jest koło Hanoi.

- Rozumiem. Więc przypuszczam, że spotkamy się znów w Hanoi.

- Może pan być tego pewien, panie Brenner.

- Nie będę się mógł doczekać. Możemy się spotkać w ambasadzie.

- Raczej nie. - Wyjął papierosa i zapalił. Susan wyciągnęła swoją paczkę papierosów.

- Może się pan poczęstuje? - powiedziała z sarkazmem. Zignorował ją, co było znacznym postępem w stosunku do pojedynku na wrzaski. Szybko się uczy. Zaciągnął się.

- Więc podróżujecie wzdłuż wybrzeża do Hanoi?

- Jak inaczej można dojechać do Hanoi?

- Można wybrać dłuższą trasę przez wyżynę, w stronę Laosu, a potem wrócić do Hanoi Rzeką Czerwoną. To bardzo malownicza podróż.

- Czy są tam jacyś górale?

Uśmiechnął się i nie odpowiedział.

Miałem już dość zabawy jak na jeden dzień. Było zimno i prawie ciemno, a ja bawię się w kotka i myszkę z wrednym, dalekowschodnim bliźniakiem Sherlocka Holmesa, stojąc w miejscu, gdzie popełniono morderstwo, a nieopodal ginęli tysiącami żołnierze i cywile. Po to właśnie tu przyjechałem, a ten facet próbuje mi przypiąć zbrodnię główną. Marzyłem o tym, żeby spotkać się z Karlem i razem pośmiać się z tego wszystkiego.

Pułkownik Mang postanowił wrócić do wątku mojego życia uczuciowego.

- Więc pan i panna Weber podróżujecie jako przyjaciele. Zgadza się?

- Jak pan już wie, śpimy w tym samym łóżku - odparłem. Udał kpiące zdziwienie. Przydałby się temu facetowi nauczyciel aktorstwa. - Ale w Nha Trang i Hue mieliście osobne łóżka. A śpicie w tym samym. Co za ekstrawagancja.

- Amerykanie są ekstrawagancy w kwestiach przyzwoitości i dobrego smaku.

- Tak naprawdę robicie to, na co wam przyjdzie ochota, a potem udajecie, że jesteście prostymi, cnotliwymi ludźmi. Wydaje mi się, że angielskie słowo na określenie tego to hipokryzja. Zgadza się?

- Bardzo słuszna uwaga, pułkowniku. Czy teraz mogę panu coś powiedzieć o Wietnamczykach? To jedyny naród, jaki znam, który czci amerykańskiego dolara bardziej niż Amerykanie.

- Obraża pan mnie i mój kraj, panie Brenner.

- Pan obraził mnie i mój kraj, pułkowniku Mang.

Zaciągnął się papierosem.

- Może powinniśmy wrócić do naszych wspólnych spraw. - Spojrzał na Susan i powiedział coś do niej po wietnamsku. Nie była zachwycona pytaniem i odpowiedziała krótko.

- Ta rozmowa będzie prowadzona po angielsku - powiedziałem.

- Spytał mnie, czy Amerykanki mają zwyczaj sypiania z mężczyznami, których dopiero poznały. Powiedziałam mu, że to obraźliwe pytanie.

- Czy wietnamscy oficerowie mają zwyczaj obrażania kobiet? - rzuciłem.

- Próbuję ustalić prawdziwy charakter waszego związku - odpowiedział mi, ignorując Susan.

- Czemu? To nie pańska sprawa.

- Myślę, że moja. Jest pan świadom, naturalnie, że pańska przyjaciółka sypiała z szefem placówki CIA w Hosziminie.

Wziąłem głęboki oddech.

- Jestem świadom, że kogoś miała.

- Tak? I zna pan tego człowieka. Sam pan mi to powiedział. Pan Bill Stanley. Szef CIA na cały południowy Wietnam.

Odpowiadając Mangowi na pytanie, kto zrobił mi rezerwację na pociąg do Nha Trang, musiałem wybrać akurat jakiegoś typa z CIA. Ale tak się właśnie dzieje, kiedy bonzowie w Waszyngtonie uznają, że nie ma potrzeby, abyś wiedział coś, co powinieneś wiedzieć.

- Panie Brenner? Dlaczego pan sypia z narzeczoną przyjaciela?

- Znam Billa Stanleya tylko jako pracownika Bank of America - odparłem.

- Tak? Więc nie wiedział pan, że pański przyjaciel jest szefem placówki CIA?

- Pan twierdzi, że nim jest, a on nie jest moim przyjacielem.

- A powiedział pan, że chodziliście razem na uniwersytet. Princeton.

Zerknąłem na Susan, która wyglądała na zdezorientowaną. Pewnego dnia moje błazeństwa wpędzą

mnie w tarapaty... w rzeczy samej, ten dzień właśnie nadszedł.

- Jak mogliśmy chodzić do tej samej klasy, jeśli on jest co najmniej dziesięć lat ode mnie młodszy?

- Właśnie to mnie zdziwiło, panie Brenner.

- Cóż, żartowałem.

- Na czym polega ten żart?

- Trudno to wyjaśnić. Pułkowniku, nie znam Billa Stanleya i nie jest on moim przyjacielem.

- Ale jest agentem CIA. Wszystko w jak najlepszym porządku. CIA wie, kto jest naszym agentem w ambasadzie w Waszyngtonie. Nie da się ukryć tych rzeczy. Prawdę mówiąc, pan Stanley nie ma nic wspólnego z Bank of America i jest urzędnikiem konsularnym w sekcji rozwoju gospodarczego. To nie jest jego prawdziwe zajęcie, naturalnie, lecz zapewnia mu immunitet dyplomatyczny, którego potrzebuje, żeby wykonywać swoje drugie zajęcie. A mimo to pan, panie Brenner, tego nie wiedział, choć jest pan jego przyjacielem. Zdumiewające.

Naprawdę zdumiewające. A pułkownik Mang był ciut bystrzejszy i potrafił być nieco bardziej ironiczny i sarkastyczny, niż myślałem.

- W co mam wierzyć, panie Brenner?

Zerknąłem ponownie na Susan, która teraz wyglądała na nieco zaniepokojoną. Mogła być na mnie wściekła za to, że posłużyłem się nazwiskiem Billa Stanleya, ale pewnie była bardziej wkurzona na sposób poprowadzenia całej sprawy.

- Panie Brenner? W co mam wierzyć?

- Nie znam Billa Stanleya - odparłem.

- Ale powiedział mi pan, że go zna.

- Skłamałem.

- Dlaczego?

- Powiem panu dlaczego. To panna Weber załatwiła mi bilety na pociąg do Nha Trang, a ja nie chciałem wymieniać jej nazwiska, więc użyłem nazwiska jej chłopaka. *Biet?*

- Nie, nie rozumiem. Czemu miałby pan to robić?

- Pułkowniku, gdybym wiedział, że Bill Stanley jest agentem CIA, czemu miałbym używać jego nazwiska w rozmowie z panem?

- Właśnie to próbuję ustalić, panie Brenner.

- Dobrze. Więc odpowiedź brzmi: nie znam Billa Stanleya, nie wiem, dla kogo pracuje, nie znam nikogo w Sajgonie, ale zapamiętałem jego nazwisko i miejsce pracy z rozmowy z panną Weber, więc podałem je zamiast jej nazwiska.

- Ale dlaczego? - powtórzył. - Nie odpowiedział pan na to pytanie.

- Niech pan sam na nie odpowie.

- Jak mam za pana odpowiedzieć. Pan powinien to zrobić.

- Dobrze... Nie chciałem wymieniać nazwiska panny Weber na policji, bez względu na to, w jak

niewinnym kontekście by padło. Ona tu mieszka i nie chciałem jej w żaden sposób kompromitować. Pan to rozumie.

- Być może. Ale nie rozumiem pańskiego związku z panem Stanleyem.

- Nie ma żadnego związku. - Dupek.

- Ależ jest. Sypia pan z jego przyjaciółką. - Uśmiechnął się.

Trudno było mi to przyznać, lecz ten facet był w swojej robocie prawie tak dobry i sarkastyczny jak ja.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Gdybym wiedział, że Bill Stanley jest agentem CIA lub w to wierzył, po co miałbym wymieniać jego nazwisko? Odpowiem za pana, pułkownika. Nie wiedziałem i w dalszym nie wiem. Czemu miałbym panu uwierzyć, że jest agentem CIA?

Skinął głową.

- Tak, czemu? - Spojrzał na Susan. - Wie pani, że mężczyzna, z którym pani sypiała, jest agentem CIA? - spytał.

- Czemu miałyby mi to mówić? - odpowiedziała.

- To bardzo irytujący amerykański zwyczaj, odpowiadać pytaniem na pytanie.

- Dlaczego jest taki irytujący? - odparowała Susan. Pułkownik Mang tracił cierpliwość do Susan, która naprawdę potrafiła działać na nerwy. Postąpił krok ku niej, a ja zrobiłem krok

w jego stronę. Nagle wszyscy troje przestaliśmy stawiać kroki i staliśmy nieruchomo, ale w gotowości.

Wreszcie pułkownik Mang odwrócił się z powrotem do mnie i zapalił papierosa, nie częstując damy. - Więc nie zna pan pana Stanleya.

- Nie znam.

- Ale rozmawiał pan z nim przed katolicką katedrą w Hosziminie.

- To był Bill Stanley?

- Wie pan, że to był on. Proszę ze mną nie igrać.

- Przedstawiono nas sobie pierwszy raz przed katedrą, rozmawialiśmy przez jakieś trzy minuty, jak pan wie, i od tej pory się nie widzieliśmy.

- To pan tak mówi. Czemu miałbym panu wierzyć? Okłamał mnie pan na temat swoich obowiązków w czasie wojny, drugiego dnia w Hosziminie spotkał się pan z agentem CIA, okazuje pan dużo zainteresowania góralom, niejasno opowiada pan o planie swojej podróży, wreszcie powiedział mi pan, że jedzie do Nha Trang, a wcale pan tam nie jechał. Pojechał pan z narzeczoną agenta CIA. Ile razy jeszcze mnie pan okłamał?

- Dwa lub trzy.

- Tak? Co to były za kłamstwa?

- Chyba powiedziałem panu, że Wietnam wygląda jak dobrze rządzony i dostatni kraj. W istocie nie jest ani dostatni, ani dobrze rządzony. Ludzie są zabiedzeni, a wszyscy, których poznałem na

południu, nienawidzą Hanoi. W Sajgonie jest więcej alfonsów i prostytutek, niż wtedy, kiedy tu byłem; potraktowaliście byłych żołnierzy Republiki Wietnamskiej bardzo źle, wiem, że zbezczesziliście ich groby, a z tych, którzy przeżyli, zrobiliście prawie niewolników, ja zaś, jako były żołnierz, uważam to za haniebną i podłą i pan powinien myśleć tak samo. Rząd w Hanoi nie jest prawomocny i nie ma poparcia z woli narodu. I to jest prawda, pułkowniku, a nie to, co pan mówi albo uważa za prawdę.

Pułkownik Mang nie patrzył na mnie. Spoglądał w dal i szybko oddychał. Miał naprawdę dziwny wyraz twarzy, a jego ramiona się unosiły. Nie wiedziałem, czy zemdleje, rozplacze się, wyciągnie pistolet, poprosi o posłanie mnie do wariatkowa w Ameryce, czy jeszcze coś innego. Chciałem mu podpowiedzieć pozycję lotosu, ale wydawało się, że i bez tego odzyskuje panowanie nad sobą.

Wziął głęboki oddech i wyszedł z transu czy czegoś tam. Odchrząknął i mówił dalej, jak gdyby przed chwilą nie znalazł się na progu wybuchu nerwowego.

- Panie Brenner, policja imigracyjna w Hue poinformowała mnie, że z Nha Trang do Hue przyjechał pan autobusem - powiedział rzeczowo. - Czy to prawda?

Kolejne pytanie, którego nie chciałem usłyszeć.

- Zgadza się - odparłem. Trawił to przez chwilę.

- Wyjechał pan z Nha Trang wczesnym popołudniem i dotarł do Hue wieczorem, przed północą. Tak?

- Mniej więcej.

- Rozumiem. - Pułkownik Mang udał, że rozważa te informacje; na jego obliczu pojawił się wyraz niepewności, prawie z troskania, jak gdyby go coś dręczyło. Znam ten wyraz twarzy, bo większość śledczych się nim posługuje. - Oficer z komendy policji imigracyjnej w Hue mówił, że powiedział mu pan, że podróżował sam. Czy to prawda?

Uświadomiłem sobie, że gdyby te pytania zadano Susan i mnie osobno, moglibyśmy udzielić różnych odpowiedzi.

- Wcale nie powiedziałem, że podróżowałem sam. On mnie o to nie zapytał. Ale pan to zrobił, a on, tak jak podwładni wszędzie na świecie, sfabrykował odpowiedź.

Pułkownik znowu pomyślał chwilę, zanim rzekł:

- Wobec tego chyba będę musiał go spytać jeszcze raz. Więc pan i panna Weber podróżowaliście razem.

- Zgadza się.

- Autobusem.

- Tak.

- I gdzie się zatrzymaliście po przybyciu do Hue?

- W minimotelu.

- A, tak. Tak mi właśnie powiedziano. - Pułkownik uśmiechnął się. - Oficer miał wrażenie, że spędził pan noc z prostytutką. - Spojrzał na Susan, a potem znów na mnie. - Ale na pewno źle

zrozumiał pański opis swojej towarzyszki podróży.

- Ten policjant w Hue, podobnie jak pan Loc, musi nauczyć się lepiej angielskiego, jeśli chce przesłuchiwać lub podsłuchiwać osoby mówiące po angielsku. Nie sądzi pan?

Pewnie się z tym zgadzał, ale odparł:

- Mam nadzieję, że mój angielski pana satysfakcjonuje. Rozumiem po angielsku dość dobrze, ale pańskich odpowiedzi nie rozumiem.

- A ja tak.

Pułkownik Mang znów się uśmiechnął.

- Chcę panu zadać proste pytanie: Jak się nazywa ten minimotel, w którym pan i panna Weber spędziliście noc?

- Nie wiem. Czy one mają nazwy?

- Ich nazwy pochodzą zwykle od adresów. Czy to panu pomaga?

- Nie.

Spojrzał na Susan.

- Przypomina pani sobie nazwę motelu?

- Nie.

- Jestem raczej zdziwiony, panno Weber - oznajmił, nie odrywając od niej wzroku - że pani, mieszkająca od trzech lat w Wietnamie, poszła do takiego miejsca.

- Kiedy się jest zmęczonym, pułkowniku, śpi się obojętnie gdzie - odparła Susan.

- Doprawdy? - Przeniósł wzrok na mnie. - Czy po przyjeździe do Hue poszedł pan do hotelu Century Riverside, żeby sprawdzić, czy jest dla pana jakiś wolny pokój?

- Nie.

- A czemu nie? Dowiedziałby się pan, podobnie jak ja, że były wolne pokoje.

- Mam wyznaczony budżet - odparłem. - Minimotel był bardzo tani.

Nie kupił tego, i wcale mu się nie dziwię.

- Panie Brenner, mówi pan, że przyjechał do Hue w piątek wieczorem, i nawet nie pofatygował się, żeby sprawdzić, czy w pańskim albo w jakimkolwiek innym zachodnim hotelu albo nawet na prywatnej kwaterze jest wolny pokój dla pana i pańskiej towarzyszki. Powiada pan, że z dworca autobusowego w Hue poszedł prosto do minimotelu, uczęszczanego prawie wyłącznie przez prostytutki i ich klientów, i wynajął tam pokój, ale nie pamięta pan tego motelu. Nazajutrz o godzinie dwunastej trzydzieści pięć melduje się pan w hotelu Century Riverside, sam, a potem, po jakichś dwudziestu minutach, zjawia się panna Weber i prosi o pokój. Później spotykacie się w holu, a następnie odchodzicie do swoich pokoi... albo do pokoju pana Brennera. Czy dobrze to rozumiem?

- Jak najbardziej - potwierdziłem.

- A jednak to wszystko nie ma dla mnie najmniejszego sensu. Może potrafi pan wytłumaczyć swoje

postępowanie.

Ta rozmowa nie przebiegała dobrze i nic nie wróżyło, że zacznie przebiegać lepiej.

- Pułkownik - powiedziałem. - Ja i panna Weber mamy romans, ale potajemny. Rozumie pan?

Pułkownik Mang gapił się na mnie bez słowa.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Staramy się uniknąć jakiegokolwiek konfrontacji z panem Stanleyem, to wyjaśnia całe nasze postępowanie.

Pułkownik Mang uważał inaczej.

kontynuował. - Spojrzał znów na Susan, a potem na mnie. - Przystojna z was para - rzekł. - - W dalszym ciągu jestem zdezorientowany, panie Brenner i pozwoli pan, że będę

Takich ludzi łatwo się nie zapomina. Dlatego kazałem policji w Nha Trang przesłuchać kierowców, którzy prowadzili autobusy o dwunastej i trzynastej. Żaden z nich nie pamięta ani jednej pary cudzoziemców w średnim wieku. W istocie, nie licząc paru cudzoziemców z plecakami, w obu autobusach jechali wyłącznie Wietnamczycy. - Zawiesił głos. - Wydało mi się dziwne, że podróżowaliście autobusem.

- Nie było żadnego innego środka lokomocji, dobrze pan o tym wie - odparłem. - Wsiadłem do autobusu odchodzącego o pierwszej z Nha Trang do Hue, pułkownik. Znów ktoś panu podał nieścisłą informację.

- Tak? Tyle nieścisłych informacji. Od różnych ludzi. - Spojrzał na Susan. - Pani też była w tym autobusie?

- Zgadza się.

Pułkownik się zamyślił - albo udał, że się zamyśla.

- Niestety - rzekł - uwierzyłem w te nieścisłe informacje od kierowców i dowiadywałem się dalej. Zapytałem Vidotour, czy któreś z was wynajęło samochód z kierowcą... powiedzieli mi, że me. Oni prowadzą bardzo dokładny rejestr, więc ta informacja jest oczywiście ścisła. Potem zacząłem się dowiadywać w prywatnych biurach podróży. - Spojrzał na mnie i powiedział: - I wie pan, co odkryłem?

Nie odpowiedziałem na to retoryczne pytanie. W gruncie rzeczy wątpiłem, czy Mang zdołał się skontaktować z którymś z agentów w okresie świątecznym.

Pułkownik Mang przyglądał mi się, lecz żaden z nas nie odsłonił kart. Wreszcie powiedział:

- Nic. Ale wciąż się dowiadujemy w Nha Trang.

Milczałem.

- Myślę, panie Brenner - ciągnął pułkownik - że przyjechaliście z panną Weber do Hue prywatnym minibusem albo, co bardziej prawdopodobne, prywatnym samochodem. Wydaje mi się, panie Brenner, że moje instrukcje dla pana były jasne. Miał pan nie korzystać z prywatnego transportu.

Musiałem na to odpowiedzieć.

- Pułkowniku, myślę, że mam dość pańskich pytań, podejrzeń i sarkastycznych uwag. Nie wiem, jaki jest cel tego wszystkiego, ale jadę z Hue prosto do Hanoi, gdzie złożę oficjalną skargę w mojej ambasadzie, a potem opuszczę ten kraj. A kiedy wrócę do Waszyngtonu,

złożę skargę bezpośrednio w Departamencie Stanu. Pańskie postępowanie jest nie do przyjęcia i nic go nie usprawiedliwia.

Pułkownik nie wydawał się przejęty; teraz był już pewien, że coś na mnie ma, i to dodawało mu pewności siebie.

- Najprawdopodobniej dowiem się, że wynajął pan samochód z kierowcą, który zawiózł pana do Hue, zatrzymał się pan gdzieś na noc i być może zboczył z trasy. A kiedy znajdę tego kierowcę, przesłucham go i dowiem się, co pan robił, kogo widział i z kim się spotkał w czasie podróży. Chyba że sam mi pan to powie.

Wolałem mu nie mówić, że zabiłem po drodze dwóch policjantów.

- Nie mam panu nic więcej do powiedzenia.

- A ja mam panu jeszcze wiele do powiedzenia - oznajmił pułkownik Mang, zapalając kolejnego papierosa. - Policjant, z którym rozmawiał pan w Hue, poinformował mnie, że bardzo niechętnie pan z nim współpracował.

Milczałem.

- Stwierdził, że próbował pan wyjść z jego biura bez pozwolenia.

Musiałem mu to powiedzieć.

- Nie tylko próbowałem, ale wyszedłem, a on mnie nie zatrzymał.

szefowi to, co chcieli mu powiedzieć. Co najdziwniejsze, chyba uwierzył mnie, a nie im; ale Pułkownik Mang wyglądał na nieco zaskoczonego. Najwyraźniej jego podwładni mówili może nie jest to aż tak dziwne: w państwie policyjnym wszyscy boją się prawdy jak ognia.

- Myślę, że gdyby postawił się pan w mojej sytuacji, zobaczyłby pan, że moje pytania i podejrzenia naprawdę są usprawiedliwione - powiedział. - Jest wiele poszlak, jak wy to nazywacie, wskazujących, że nie przyjechał pan do mojego kraju w celach turystycznych. Poza tym są pańskie kłamstwa, które teraz próbuje pan sprostować.

- Wydaje mi się, pułkowniku, że to inni ludzie pana okłamali, wprowadzili pana w błąd lub przyjęli fałszywe założenia - odparłem. - Gdybym to ja był policjantem, wróciłbym i przesłuchał wszystkich jeszcze raz, żeby sprawdzić, czy aby nie obszczekuję niewłaściwego drzewa. *Biet?*

Odwrócił się do Susan, która powiedziała coś po wietnamsku. Skinął głową i spojrzał na mnie,

- Ciekawe wyrażenie. Ale ja nie jestem psem.

Z trudnością powstrzymałem się, żeby tego nie skomentować.

- Wnosząc z faksów pana Stanleya do panny Weber w Grand Hotelu, wasz romans nie jest aż tak potajemny - zauważył.

- I właśnie dlatego staramy się unikać pana Stanleya.

- Tak? Myśli pan, że szef placówki CIA jest tak głupi, że możecie go uniknąć, spędzając jedną noc w minimotelu, a potem meldując się w hotelu, w którym mieszkają prawie wszyscy obcokrajowcy? - zdziwił się Mang, a potem dodał: - Może uwierzyłbym, że próbowaliście unikać pana Stanleya, gdybyście przez cały czas mieszkali w Hue w minimotelu, gdzie nie pytają o paszport i wizę.

- Racja. Powinniśmy byli tak zrobić. Coś jeszcze?

- Tak. Skąd pańska przyjaciółka Kay wie o pańskim związku z panną Weber? I dlaczego przestrzega pana przed tym związkiem?

- Może przestałby pan czytać moją korespondencję?

- To moja praca, panie Brenner. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Było to łatwe, więc chociaż złościło mnie jego wścibstwo, odparłem:

- Wysłałem jej faks z Nha Trang o moim nowym romansie i myślę, że jest zazdrosna. Zakładam, że wie pan coś o kobietach, pułkowniku, więc pan zrozumie. Pańskie pytanie to kolejny przykład obszczekiwania niewłaściwego drzewa.

- Czyżby? Zapytam więc pana o odpowiedź na faks Kay. Napisał pan: „Jeśli sypiasz z wrogiem, wiesz, gdzie jest w nocy”. - Spojrzał na Susan, a potem na mnie i zapytał: - Więc ta pani jest tym wrogiem, o którym pan wspominał?

Zerknąłem na Susan, a potem na Manga.

- To takie wyrażenie. Nie powinien pan brać dosłownie wszystkiego, co pan czyta.

- Tak? Dziękuję panu za lekcję, panie Brenner.

- Bardzo proszę. I proszę przestać czytać moją pocztę.

- Uważam, że jest ciekawa. Napisał pan też w tym faksie... niech sobie przypomnę... - Wyrecytował ostatni akapit słowo w słowo: „Długie cienie przeszłości rzeczywiście sięgają stąd aż do kraju, ale cienie w mojej głowie i sercu znikają, więc jeśli przez dłuższy czas nie dostaniesz ode mnie wiadomości, wiedz, że znalazłem to, czego szukałem, i że nie mam osobistych żalów z powodu tej podróży. Ucałuj C”.

Nie patrzyłem na Susan, tylko na pułkownika Manga. Nie przeszkadzało mi aż tak bardzo, że próbuje mnie wrobić w zbrodnię, ale przez niego moje życie uczuciowe stawało się jeszcze trudniejsze niż dotąd.

- Dlaczego Kay miałyby długo nie dostawać od pana wiadomości? I czego pan tutaj szukał i znalazł?

Wziąłem głęboki oddech.

- Znalazłem wewnętrzny spokój i szczęście. - Tak? W Khe Sanh? W dolinie A Shau? W Hue? Gdzie?

- Zakłóca pan moją karmę, pułkowniku. Zmieńmy temat

- Nie spodobał się panu ani jeden temat, który poruszyłem.

- Proszę próbować dalej.

- Może powinienem spróbować w komendzie głównej policji w Hanoi. - Świetnie. Jedźmy.

Pułkownik Mang nie znał się zbyt dobrze na blefowaniu i wyglądał na zdziwionego. Odchrząknął.

- W swoim czasie, panie Brenner - powiedział. Spojrzałem na zegarek.

- Jest pan umówiony na spotkanie? - spytał Mang.

- Jestem umówiony na kolację.

Zignorował to i zwrócił się do Susan:

- Jest pani żoną innego Amerykanina?

- Może sprawdzi pan w moim kwestionariuszu wizowym? - odparła.

- Sprawdziłem. Podała pani, że nie jest mężatką.

- Więc ma pan odpowiedź.

- W pani mieszkaniu nie było śladów męża - dodał Mang.

Susan wlepiła w niego wzrok. Ta dama doznała lekkiego ataku szału, gdy zauważyła, że ktoś był w jej pokoju hotelowym w Nha Trang. A teraz dowiaduje się, że pułkownik Mang przetrząsnął jej mieszkanie. Wciągnęła głęboko powietrze i powiedziała coś do niego po pułkownika Manga ściągnęła się, jakby mu ktoś wciskał coś do tyłka. Żądałem, aby rozmowa wietnamsku. To było krótkie zdanie, wypowiedziane cichym głosem, ale sprawiło, że twarz odbywała się po angielsku, lecz czasem trzeba użyć rodzimego języka, żeby powiedzieć:

„Wal się, palancie”.

Spojrzałem na pułkownika Manga, który bez wątpienia marzył o tym, aby porozmawiać z każdym z nas z osobna, z użyciem elektrod podłączonych do genitaliów i piersi.

Czekałem, kiedy zapyta o wigilię Nowego Roku u państwa Pham albo noworoczną niedzielę z panem Anhem, lecz nie spytał, co martwiło mnie jeszcze bardziej. Przyszło mi do głowy, że gdyby pułkownik Mang był naprawdę cwany, celowo naprowadziłby mnie na myśl, że obszczekuje niewłaściwe drzewo w związku z FULRO. W gruncie rzeczy mógł coś wiedzieć o prawdziwym celu mojego przyjazdu, choć raczej nie było takiej możliwości - chyba że aresztował pana Anha.

Naprawdę chciałem, żeby spytał o sobotę lub niedzielę, lecz on poruszył znacznie gorszy temat. Spojrzał na mnie i wyciągnął swojego asa atutowego.

- W końcu się dowiemy, jak pan przyjechał z Nha Trang do Hue. Dowiemy się też, czy wie pan coś o wypadku samochodowym na autostradzie numer jeden pod Nha Trang, w którym dwóch policjantów poniosło śmierć.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

- Pułkowniku, nie wiem, o czym pan opowiada. Ale oskarżył mnie pan o wszystko, od naruszenia harmonogramu podróży do nadużyć seksualnych, szpiegostwa i kontaktów z FULRO, a teraz o jakiś wypadek samochodowy. To niebывałe. Nie będę tego słuchał ani sekundy dłużej.

Wziąłem Susan pod rękę i ruszyłem.

- Stać! - krzyknął pułkownik Mang. - Ani kroku dalej.

Puściłem rękę Susan i podszedłem do pułkownika Manga, bardzo blisko podszedłem.

Popatrzyliśmy sobie w oczy.

- Mógłbym was oboje zastrzelić i wrzucić ciała do fosy, żeby zżarły je psy - powiedział.

- Mógłby pan spróbować. Ale musiałby pan szybko wyciągnąć pistolet, jeśli będziemy stali tak blisko siebie.

wtedy Susan krzyknęła: „Nie!”. Wrzasnęła coś po wietnamsku, skoczyła do mnie i złapała za Pułkownik Mang cofnął się o krok, a ja zrobiłem krok do przodu. Sięgnął po pistolet, a rękę, próbując mnie odciągnąć od Manga.

Spojrzałem nad jego ramieniem i zobaczyłem dwóch goryli pędzących po polu.

Pułkownik Mang cofnął się jeszcze o krok, usłyszał tupanie za sobą i dał ręką znać, żeby tamci się zatrzymali, co też natychmiast uczynili.

Zrobił kolejny krok do tyłu.

- Groził pan oficerowi Republiki Socjalistycznej, a za to mógłbym pana aresztować i wsadzić do więzienia na dziesięć lat. - Spojrzał na Susan: - Zgadza się?

- Nie potrzebuje pan pretekstu ani oskarżenia, i dobrze pan o tym wie - odparła.

- Jest pani w tym kraju za długo, panno Weber - oznajmił. - Może nadszedł czas, żeby pani wyjechała.

Jakby mi to z ust wyjął.

- Wyjadę, kiedy będę gotowa.

- Wyjedzie pani, kiedy każę panią wyrzucić.

- Proszę spróbować.

Wbił w nią wzrok.

- Może już czas, żeby cała pani firma się stąd wyniosła.

- Moja firma, pułkowniku, ma większe wpływy w Hanoi niż pan - odrzekła Susan z uśmiechem.

Pułkownikowi Mangowi nie przypadła do gustu ta odpowiedź. Niemal czułem, jak całym swoim ciałem tęskni do dni, kiedy strzał z pistolem w głowę rozwiązywał takie denerwujące problemy. Ale teraz nastąpiła tu inna rzeczywistość i ani pułkownik Mang, ani ja nie do końca ją rozumieliśmy.

Zaczerpnął oddechu.

- Z Hanoi do Hosziminu długa droga - oświadczył. - Jeśli pani zostanie, pani przyjemne życie w drogim mieszkaniu ze służbą, z nielegalnym motorem i wieczorami w Q-Barze nie będzie już tak miłe i spokojne. - Uśmiechnął się i dodał: - Właściwie powinna pani zostać w Wietnamie.

- To właśnie zamierzam zrobić.

Naprawdę wkurzyliśmy tego faceta. Wiedziałem, że usłyszę coś od niego na odchodne. Miałem nadzieję, że powie: „Panie Brenner, pańska wiza jest unieważniona. Jedź pan do domu”. Okej.

Odwrócił się do mnie i uśmiechnął złośliwie.

- Przyjemnej i bezpiecznej podróży do Hanoi. Może się tam zobaczymy. A może nie - rzekł.

- Zaplanowałem, że tam będę.

Spojrzał na Susan.

- Proszę wyjąć film z aparatu i oddać mi.

- Nie.

Skinął ręką na swoich ludzi z tyłu, a ci podeszli. Spojrzałem Popychalskiemu w oczy; uśmiechnął się.

- Oddaj mu film - powiedziałem do Susan.

Zawahala się, wyjęła z torby aparat, ale zamiast oddać kliszę, pstryknęła zdjęcie pułkownikowi Mangowi. To nie była odpowiednia chwila na robienie fotek, taka jak w reklamie Kodaka.

- Film! - wrzasnął Mang. - Już!

Susan otworzyła aparat, wyrwała częściowo naświetloną kliszę i rzuciła na ziemię.

Popychalski schylił się po nią i spojrzał na Susan z wyrazem zaskoczenia graniczącym z podziwem, jakby chciał powiedzieć. „Nie pogrywa się z pułkownikiem, paniusiu. Odbiło ci?”.

Pułkownik Mang postanowił zakończyć konfrontację, póki prowadził na punkty.

- Pan i ja, panie Brenner - zaczął, patrzac na mnie - przeżyliśmy tu niejedną brutalną bitwę. To byłaby ironia losu, gdyby nie przeżył pan wakacji.

Mógłbym się pod tym podpisać obiema rękami.

Odwrócił się i ruszył przed siebie pustym polem ze swoimi dwoma giermkami

Popychalski obejrzał się i zrobił gest podrzynania gardła.

Rozdział 36

Niebo było już ciemne, a my staliśmy na zimnym wietrze.

- Cała się trzęsę - powiedziała wreszcie Susan .

- Ochłodziło się.

- Trzęsę się ze strachu, Paul.

Wiedziałem, co ma na myśli

- Dobrze się spisałaś. Nawet świetnie.

Zapaliła papierosa drżącą ręką, która nie drżała w obecności pułkownika Manga,

- W drogę - rzuciłem.

Ruszyliśmy w stronę mostu.

- Czy w Sajgonie lepiej się między wami układało?

- Trochę, ale niewiele.

Susan zastanowiła się chwila,

- To dziwne, lecz myślę, że, on czuje do ciebie coś pozytywnego. Nie śmiej się.

- Kot też czuje coś pozytywnego na widok myszy. Obiad.

- Nie, to coś więcej. Między wami coś jest... jakby gra, wyzwanie, szacunek...

- Powstaje między nami więź. Ale wiesz co, gdybym ja miał saperkę, a on maczetę, czyjaś głowa zawisłaby na palu,

Susan milczała; szliśmy przez rozległe ciemne pole, na którym kiedyś stała cytadela.

- Straciliśmy te wszystkie fajne zdjęcia z wioski wodza Johna, z Khe Sanh... wszystko - denerwowała się. To mnie naprawdę wkurza.

- Powinnaś poprosić o pokwitowanie konfiskaty własności.

- A teraz musimy wrócić i zrobić więcej zdjęć.

- Nie w tym życiu, najdroższa.

- Kiedyś tu wrócimy.

Milczałem,

- On sięgał po broń, Paul

- Nie należy wkurzać facetów z pistoletami,

- To ty go wkurzyłeś - przypomniała mi.

- Próbowałem zadzierzgnąć więzy. Tylko mi nie wyszło.

Susan zignorowała tę odpowiedź.

- Dalsza część podróży będzie przez to trudniejsza - stwierdziła.

- Będzie większym wyzwaniem.

Przeszliśmy most nad fosą i wiejskimi ścieżkami skierowaliśmy się do drogi.

W mijanych domach paliło się światło elektryczne, a w chłodnym, wilgotnym powietrzu wyczuwałem specyficzną woń, Ten zapach zapamiętałem najlepiej z zimowych zmierzchów w roku sześćdziesiątym ósmym.

Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej o Billu - rzekła Susan.

- To nie ty miałaś mi powiedzieć - odparłem z uśmiechem. - Potrzebuję jakiegoś nazwiska, więc wymieniam szefa placówki CIA, Pięknie, Brenner, pięknie. trzymając papierosa między dwoma palcami, na modłę wietnamską. Tak? A panna Weber - Więc nawiązał pan kontakt z góralami - powiedziała z wietnamskim akcentem, mówi mi, że chce pan ich zorganizować w armię. Tak? I będzie pan miał wzgórze na własność. Tak?

- To nie jest zabawne, Hej, myślisz, że pan Loc na nas czeka?

- Bardzo w to wątpię.

Szliśmy przez ciemną wioskę; wieczorem trudno było znaleźć odchodzącą od drogi główną ścieżkę, gdzie zostawił nas pan Loc. Czulem w wilgotnym powietrzu gotowaną rybę i ryż.

Dotarliśmy do drogi,

- Pan Loc na nas nie poczekał - stwierdziłem. - Niedobrze. Chciałem mu skrócić kark, Jak wrócimy do Hue?

- Nie wiem. Chcesz zostać w mieście Quang Tri?

- Nie ma miasta Quang Tri

- Może są jakieś prywatne kwatery. Założę się, że za parę dolarów możemy przenocować w którymś z tych domów.

- Musieliby mi dopłacić. Chodźmy na szosę.

Od autostrady numer jeden dzielił nas ponad kilometr.

- Ten drań zostawił nas na tym zadupiu.

Doszlismy do autostrady, ale nie było widać żadnego pojazdu, a ponieważ od dwóch dni był nów, panowała kompletna ciemność.

Susan rozejrzała się,

- Autobusy jeżdżą autostradą numer jeden aż do północy czy jakoś tak. Pójdę zapytać kogoś z miejscowych. Ty zostań i łap autobus, jeśli się jakiś pojawi. One się zatrzymują na machanie.

Weszła do najbliższej szopy, jakieś trzydzieści metrów dalej, a ja czekałem.

Pomyślałem o minionym dniu i uświadomiłem sobie, że w jedne popołudnie zaliczyłem pół roku służby wojskowej. Może chciałbym zostać trochę dłużej w A Shau czy Khe Sanh, ale co za dużo, to niezdrowo, Wiedziałem, że nigdy tu nie wrócę.

Uprzytomniłem też sobie, ile nakładłem Susan do głowy, i uznałem, że to leż aż nadto.

Susan wróciła,

- Jesteśmy zaproszeni na kolację i noc - oznajmiła. - Spóźniliśmy się na koktajl.

- Co jest na kolację?

- Ryż.

- Długozarnisty czy lepki?

- Lepki, W ciągu godziny przyjedzie autobus. Miejscowy.

- Kiedy dojeżdża do Hue?

- Wtedy kiedy dojeżdża.

- Dobrze się dzisiaj bawiłaś?

- Świetnie. Gdy nie będę się czuł świetnie, powiem ci o tym. - Paul, to był niesamowity dzień, naprawdę ci dziękuję. Pytanie brzmi, jak ty się czujesz?

- Myślę, że nie znasz siebie, kiedy świetnie się czujesz.

- Czuję się... jako tako - odparłem, a potem dodałem: Powiedziałem ci, że to wredny kraj.

Susan zapaliła papierosa.

- Ta wojna... tamta wojna... przechodzi wyobrażenie. Nawet nie potrafię zrozumieć, jak ty i inni żyliście w ten sposób przez cały rok.

Nie wszyscy przeżyli cały rok, ale nie powiedziałem tego. Staliśmy w milczeniu na asfalcie autostrady numer jeden i czekaliśmy na reflektory zmierzające na południe.

- A jeśli nadjedzie patrol wojskowy? - spytała Susan. Schowamy się, czy będziemy stać dalej. - To zależy od mojego nastroju.

- Cóż, czekamy, żeby zatrzymać autobus do Hue. Mandat dziesięć dolarów.

- To wredny kraj.

- Ludzie są przeważnie mili - odparła Susan. - Rodzina, z którą rozmawiałam, prawie mnie

blażała, żebyśmy zostali na kolacji.

- Wieśniacy są mili. Gliny, politycy i żołnierze są wredni.
- Ty jesteś gliną i żołnierzem, a jesteś w porządku.
- Czasami. Pułkownik Mang chce cię wykopać z Wietnamu. Może wyjedziesz?
- Dokąd mam pojechać?
- Lenox, Massachusetts.
- Czemu?
- Czemu nie?
- A czemu ty nie wrócisz do Bostonu, zamiast mieszkać w Wirginii?
- W Bostonie nic dla mnie nie ma.
- A w Wirgmii?
- Też nic.

Susan zapatrzyła się w ogienek papierosa.

- A może razem gdzieś pojedziemy?
- Musiałabyś rzucić palenie.
- A czy mogłabym zapalić jednego po stosunku?
- To i tak wychodziłoby pół paczki dziennie.

Roześmiała się.

- Umowa stoi.

Od północy pojawiły się reflektory dużego pojazdu; rozpoznałem oświetlone szyby autobusu. Stałem na pustej drodze i zamachałem.

Autobus zatrzymał się, drzwi się otworzyły i wsiedliśmy.

- Hue - powiedziałem do kierowcy. Spojrzał na nas z zaciekawieniem.
- Jeden dolar.

To był najlepszy interes w mieście, dlatego dałem mu dwa Uśmiechnął się.

Autobus był w połowie pusty, więc znaleźliśmy dwa miejsca obok siebie. Siedzenia były drewniane, a pojazd stary, pewnie francuski. Pasażerowie przyglądali się nam. Pewnie nie wyglądaliśmy na jednych z nich.

Autobus jechał ciemną autostradą na południe i zatrzymywał się w najmniejszej wiosce, za każdym razem gdy ktoś zamachał ręką. Ludzie wsiadali i wysiadali. Susan odpowiadało, że jedzie autobusem dla palących - stanowiły sto procent taboru. Wzięła mnie za rękę i spojrzała przez okno na czarne pustkowie.

Nie było ani jednego większego ośrodka między martwym miastem Quang Tri i zmartwychwstałym Hue. Ale w pewnej chwili krajobraz się poprawił - pojawiły się domy, światła, pola ryżowe; doszedłem do wniosku, że wyjechaliśmy z prowincji Quang Tri i wjechaliśmy do prowincji Hue.

Pomyślałem o Quang Tri. Nie miałem ochoty odwiedzać mojej starej bazy. Strefy Lądowania Sharon, czy starego francuskiego fortu nazwanego Strefą Lądowania Berty. Ale te miejsca, w których spędziłem większą część roku, istniały teraz tylko w mojej pamięci i na kilku wyblakłych zdjęciach. To dziwne, czuć nostalgię do strefy działań wojennych, lecz owe miejsca - bazy, miasto Quang Tri, stragany, burdele i salony masażu, szpitale, którym dawaliśmy w darze żywność i lekarstwa, buddyjskie i katolickie szkoły, którym

przekazywaliśmy papier i długopisy z miesięcznego przydziału, kościół, w którym zaprzyjaźniliśmy się ze starym wietnamskim księdzem i zakonnica - wszystko to znikło, zmiecione z powierzchni ziemi i pamięci wszystkich, z wyjątkiem najstarszych z nas.

tak wiele ran, tych widocznych i tych w głowie, zagoiło się, zanim większość wojennego Może za długo zwlekałem z powrotem. Może powinienem był przyjechać tutaj, zanim pokolenia wymarła lub się zestarzała. Dziesięć czy piętnaście lat temu mógłbym zobaczyć tu co innego: więcej gruzów, więcej osób z amputowanymi nogami i na pewno więcej biedy.

Ale też więcej starego Wietnamu, przed nastaniem wycieczek do strefy zdemilitaryzowanej i Kong Świata, przed plecakowymi wędrowcami, przed japońskimi i amerykańskimi biznesmenami.

Lecz życie toczy się dalej, sytuacja się poprawia - wszędzie oprócz prowincji Quang Tri - jedno pokolenie przemija, drugie przychodzi na świat.

- Myślisz o dobrych rzeczach czy o złych? - spytała Susan.

- Wydaje mi się, że rozprawiłem się z jednymi i drugimi. Jestem przygotowany na przyszłość.

- Ja też.

- Przykro mi, jeśli zmąciłem twoje przyjemne życie tutaj.

- Nie było aż takie przyjemne. Szukałam odrobiny dreszczyku i znalazłam go. Pytałam o wojnę i opowiedziałeś mi.

- Z nią też się rozprawiłem.

Autobus jechał, a my przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Potem spytałem:

- Jak pojedziemy jutro w głąb kraju?

- Na słoniu.

- Na jednym?

- Na trzech. Jeden dla ciebie, jeden dla mnie i jeden na moje ubrania.

Uśmiechnąłem się.

- Myślisz, że pułkownik Mang będzie nas śledził? - spytała.

- Postaram się, żeby nas nie śledził - odparłem. - Zostawisz pistolet.

Nie odpowiedziała.

Zamknęliśmy się w swoich myślach, a autobus telepał się po wyboistej szosie.

- Nie zdenerwowałam się tym faksem - rzekła wreszcie Susan.

- To dobrze. Którym faksem?

- Tym, w którym napisałeś: „Sypiając z wrogiem..” i „Pozdrowienia dla C”.

Milczałem.

Susan zmieniła temat.

- Kiedy pułkownik Mang wspomniał o wypadku samochodu policyjnego, serce mi stanęło.

Znów nie skomentowałem.

- A jeśli znajdzie pana Cama albo pana Thuca?

- Wtedy będziemy mieli problem - przyznałem bez ogródek.

- Paul, boję się.

Milczałem.

- Może powinniśmy się wynieść z kraju, zanim nas oskarżą o morderstwo.

- To dobry pomysł. Powinnaś jutro polecieć do Sajgonu i wyjechać.

- A ty?

- Ja muszę to ciągnąć. Jutro wyruszę w głąb kraju i przestanę być dostępny dla pułkownika Manga.

Potem, kiedy dotrę do Hanoi, zadzwonię do faceta w ambasadzie i powiem, żeby mnie wpuścili.

Później Waszyngton i Hanoi będą musiały dobić targu, żebym mógł wrócić do domu. - Po chwili

dodałem: - Mam nadzieję, że będzie to kosztować Waszyngton co najmniej miliard dolarów na pomoc zagraniczną.

- To nie jest śmieszne.

- Susan, jedź do domu. Leć do Sajgonu i wsiądź do pierwszego odlatującego samolotu.

- Jeśli pojedziesz ze mną.

- Nie mogę. - Twój fart w Wietnamie się wyczerpał, Paul.

Nie skomentowałem tego.

Pomyślałem o naszym spotkaniu z pułkownikiem Mangiem w opuszczonych ruinach cytadeli Quang

Tri i przypomniałem sobie południowowietnamskiego pułkownika, który przypiął mi medal, już

pewnie nieżyjącego lub po obozie reedukacyjnym. Dwa jakże różne wydarzenia... w tym samym

miejscu. Choć właściwie miejsce nie było to samo - czas i wojna zmieniły je z pola chwały w

jałową ziemię tak pełną duchów, że mogłbym przysiąc, że czułem na twarzy ich zimne oddechy.

Susan wyrwała się z zadumy.

- Poza tym on mnie obrażał. Praktycznie oskarżył mnie, że jestem dziwką.

- Powinnaś była go spoliczkować. Hej, co ty mu właściwie powiedziałaś, kiedy pochwalił się, że zrobił ci rewizję w mieszkaniu?

Susan zawahała się.

- Spytałam, czy się onanizował, przeszukując szufladę z moją bielizną.

- Oszalałaś?

- Poczułam się zgwałcona. Gniew mnie roznosił.

- Gniew, panno Weber, to luksus, na który nie może sobie pani tutaj pozwolić.

- Może nie powinnam była tego mówić. Zwróć jednak uwagę, że nie zaprzeczył.

Roześmiałem się. Ale to nie było śmieszne. Pułkownik Mang też tak uważał. Pewnie siedział teraz na policji w Hue i sprawdzał elektrody.

Godzinę po wyjeździe z Quang Tri autobus dotarł do północnych przedmieść Hue i zatrzymał się na dworcu autobusowym An Hoa, tuż za murami cytadeli. Wyglądało to na krańcówkę, więc wysiedliśmy. Taksówka zabrała nas do hotelu Century Riverside,

W recepcji nie było żadnych wiadomości ani faksów, co kazało przypuszczać, że wszyscy w Sajgonie i Waszyngtonie wierzą niezachwianie w moją zdolność do przeprowadzenia tej misji; a może po prostu znudzili się Susan i mną. Tak czy owak, brak wiadomości to dobra wiadomość.

Nie poszliśmy od razu pod prysznic, tylko do baru, co mówiło wiele o naszych priorytetach.

Od śniadania nic nie jedliśmy, ale, co dziwne, nie miałem apetytu na nic prócz whisky. Susan też wypła kolację.

Mniej więcej o dziesiątej poszliśmy do mojego pokoju, usiedliśmy na tarasie z piwami z minibarku i patrzyliśmy na zamgloną rzekę.

- Miałem osiemnaście lat - powiedziałem.

Susan milczała przez chwilę, uśmiechnęła się i rzekła:

- Wyrosłeś na miłego młodzieńca.

- Dziękuję.

- Powiedziałaś mi w Sajgonie, że dla ludzi z mojego pokolenia Wietnam to kraj, a nie wojna. Pamiętasz?

- Pamiętam. Wkurzyło mnie to.

- Teraz wiem dlaczego. Mam nadzieję, że pokazałam ci kraj, tak jak ty pokazałeś mi wojnę.

- Tak, pokazałaś. Dowiedziałem się tego i owego.

- Ja też. A udało ci się przerobić w głowie to i owo?

- Może. Będę to mógł ocenić dopiero po jakimś czasie w domu.

Z północy napłynęły ciemne burzowe chmury i zaczęło padać. Błyskawica oświetliła miasto i rzekę, piorun trzasnął w ziemię, a potem przetoczył się odległy grzmot, niczym odgłos artyleryjskiego ostrzału, przemoczeni i zziębnięci. Wiatr uderzył w taras, lecz my dalej siedzieliśmy z piwem; po kilku minutach byliśmy

Łatwo było sobie wyobrazić, że znów jest zima sześćdziesiątego ósmego roku, szaleje ofensywa Tet, a na północ stąd, wśród poletek ryżowych płonie miasto Quang Tri; my siedzieliśmy okopani w błocie i czekaliśmy na wycofujące się oddziały wroga, który próbował przedrzeć się do wzgórz za nami, ścigany przez amerykańskie i południowowietnamskie jednostki. Nazywało się to młot i kowadło. My byliśmy kowadłem, a oddziały pościgowe - młotem; biedni dranie w środku byli mięsem na hamburgery.

Tej nocy mogłem zobaczyć Trana Van Vinha, może nawet wystrzeliłem do niego parę naboju. Gdybym go zobaczył teraz, spytałbym, jak wyrwał się wtedy z kotła, w który zamieniło się miasto.

- Dostyc już zmokłeś? - spytała Susan.

- Jeszcze nie.

- Gdzie teraz jesteś?

- W lisiej norze pod Quang Tri. Pada deszcz, artyleria strzela.

- Jak długo musisz tam zostać?

- Dopóki nie dostanę rozkazu odejścia.

Wstała.

- Gdy odechce ci się wojny, a zachce miłości, będę czekała. - Zmierziła mi włosy i weszła do środka. Posiedziałem na deszczu jeszcze parę minut, skończyłem pokutę i wszedłem do pokoju. Susan była pod prysznicem; rozebrałem się i dołączyłem do niej.

Kochaliśmy się, a potem poszliśmy do łóżka. Za oknem szalała burza; uderzył piorun, błyskawica rozświetliła ciemny pokój.

Spałem niespokojnie, błyskawice i grzmoty zapewniły tło dla moich złych snów o bitwie; czułem zimny pot na twarzy i trząsałem się. Sięgałem po karabin, ale nie mogłem go znaleźć. Wiedziałem, że to jest nierealne, lecz moje ciało zachowywało się tak, jakby wszystko działo się naprawdę; śniło mi się, że ogłuszyła mnie eksplozja, a gdy się ocknąłem, wieźli mnie wyjątkowo cichym śmigłowcem na okręt-szpital USS Sanctuary. Otworzyłem oczy.

Usiadłem na łóżku, z uczuciem, że coś czarnego i ciężkiego zostało zdjęte z mojego serca.

Rozdział 37

Spojrzałem na cyfrowy zegar na szafce. Pokazywał czwartą trzydzieści dwie albo, jak mówimy w armii, pół-do-ciemno. Odwróciłem się do Susan, lecz nie było jej w łóżku.

Wstałem i sprawdziłem w łazience, ale tam też jej nie było. Moje rzucanie się na łóżku mogło ją zbudzić, więc wszedłem do pokoju stołowego i spojrzałem na kanapę, tam jednak również jej nie było.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do jej pokoju. Wyjrzałem z aparatem na taras, lecz i tam nie widziałem Susan; telefonu też nie odbierała.

Wszedłem do sypialni i ubrałem się, żeby pójść do jej pokoju albo do ogrodu na tyłach hotelu.

W tej samej chwili usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi w dużym pokoju. Wszedłem, kiedy zapalała lampę. Miała na sobie dżinsy, czarny sweter i pikowany żakiet, którego wcześniej

nie widziałem. W rękach trzymała plecak i parę innych rzeczy zapakowanych w dużą foliową torbę, którą rzuciła na tapczan.

- Wybierasz się gdzieś? - spytałem.

- W głąb kraju. - Słonie nakarmione i napojone?

- Wszystkie.

- Zostawiłaś pistolet w ogrodzie?

- Tak.

- Słowo?

- Słowo. Musimy się wymeldować przed piątą trzydzieści i z kimś spotkać.

- Z kim i gdzie?

- Wziąłeś prysznic?

- Nie - ziewnąłem. - Czemu miałbym brać prysznic?

- Więc zrób to. Patrz, w niedzielę, kiedy poszłam na zakupy, kupiłam ci plecak, tę skórzaną kurtkę, dwie gumowe peleryny przeciwdeszczowe i parę innych rzeczy na drogę. Musisz to spakować i pozbyć się walizki i ubrań.

Podszedłem do tapczanu.

- Jak ludzie się domyślą, że jestem Amerykaninem, jeśli będę bez granatowego blezera?

- No właśnie. Spójrz. - Zapięła żakiet, nałożyła kolarskie okulary, zawiązała na szyi i wokół twarzy montagnardzką chustę i włożyła na głowę wykończoną futerkiem czarną czapkę uszanke. - *Voilà.*

- Niby kim jesteś?

- Montagnardką.

- Z jakiego plemienia?

- Widziałam je na zdjęciach w gazetach i w telewizji. Tak się właśnie ubierają na wyżynach i w górach, kiedy jeżdżą zimą na motocyklach.

- To sprawdzony fakt?

- Tak. I jak wiesz, są nieco ciężsi i bardziej krępi od Wietnamczyków, więc z pewnej odległości możemy uchodzić za Montagnardów.

- Z jakiej odległości? Z dziesięciu kilometrów?

- Poza tym - ciągnęła Susan - po twoich wizytach w tym kraju zostało trochę Azjatoamerykanów, wielu z nich mieszka w górach... Są jakby banitami.

- Po drugiej stronie strefy zdemilitaryzowanej nie będzie żadnych Azjatoamerykanów. Tak daleko nigdy się nie zapuszczałem.

- Więc tam będziemy Montagnardami. Chodzi o to, żeby się nie wyróżniać. Na odległość.

Nie skomentowałem tego.

Wyjęła z torby ciemnobrązową kurtkę i podała mi.

- Kupiłam ci największą, jaka była. Przymierz.

Jakoś się zmieściłem; kurtka była ciasna i ledwie sięgała mi do pasa.

- Wyglądasz seksownie w skórze - stwierdziła Susan.

- Dziękuję. Zakładam, że pojedziemy na motorze.

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy - odparła, spoglądając na ranie. - A tobie?

- Tak. Samochód terenowy z kierowcą. Zamierzam dzisiaj sprawdzić prywatne biura podróży... szpanerskie biuro podróży, filia w Hue. Mam parę dni na dotarcie tam, gdzie jadę, więc nie muszę się spieszyć.

Susan potrząsnęła głową.

- Nie chciałbyś, żeby brał w tym udział ktoś trzeci. Pułkownik Mang będzie o nas wypytywał w prywatnych biurach w całym mieście, jeśli dotąd tego nie zrobił.

- Cóż... Pojedźmy do innego miasta wynajmując samochód z kierowcą. Albo spytamy obojętnie kogo, kto ma terenowy samochód. Każdy Nguyen podrzuci nas do Dien Bien Phu za trzysta dolców.

osoby trzeciej i daje nam całkowitą kontrolę nad planem działania. - Może i tak - powiedziała Susan - ale mój pomysł jest lepszy, bo nie wymaga udziału

Miała rację, do pewnego stopnia. Transport i komunikacja w tym kraju to kwestia wyboru tego, z czym wiąże się mniej zła.

- Skąd wzięłaś motocykl? - spytałem.

- Idź pod prysznic. Ja zacznę cię pakować.

Odwrociłem się, wszedłem do sypialni, ściągnąłem ubranie i wszedłem do łazienki. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy przekazałem Susan dowodzenie moją misją. Przez drzwi łazienki słyszałem, jak krząta się po sypialni.

- Czy mogę sobie zostawić jeden blezer do Hanoi? - zawołałem.

- To mały plecak.

Ogoliłem się, wziąłem prysznic i połknąłem tabletki przeciwko malarii.

Wyszedłem z łazienki w ręczniku na biodrach; na łóżku, koło mojej walizki i neseseru, leżał ciemnozielony plecak, a obok moje ubrania.

- Ja to zrobię - powiedziałem.

Przez dziesięć minut pakowałem do plecaka najpotrzebniejsze rzeczy; to, co miałem zamiar wyrzucić, włożyłem do walizki i neseseru.

Susan zauważyła, że pakuję mokasyny i hosziminki.

- Włóż na nogi tenisówki, to wszystko. Masz za dużo par bielizny. Dlaczego mężczyźni nie piorą bielizny w podróży?

Już sobie przypominałem dlaczego nie jestem żonaty.

- Łatwiej jest je wyrzucać. No i jak?

Zrolowała pelerynę, wepchnęła do plecaka i zapięła paskiem.

- Dobrze. To wszystko. Chcesz się ubrać?

Zdjąłem rękawiczki i położyłem na przygotowanych wcześniej rzeczach - były tam sportowe skarpety, slipy, dzinsy, koszulka polo i czarne tenisówki. Wsadziłem paszport i wizę do portfela i włożyłem do wodoodpornej saszetki, którą kupiła Susan.

- Gdzie ty chodzisz po takie rzeczy? - spytałem. - Do sklepu L.L. Bean?

- Poszłam na główny rynek. Oni mają tam wszystko.

Włożyliśmy do foliowej torby jej pikowany żakiet i moją kurtkę, dwie czapki, dwie pary skórzanych rękawic i parę montagnardzkich chust, tak żeby nikt na dole nie widział tych rzeczy i ich nie zapamiętał. Aparat fotograficzny, naświetlone i nienaświetlone filmy wsadziłem do foliowej torebki i wcisnąłem do wewnętrznej kieszeni plecaka. To za bardzo przypominało mi rok sześćdziesiąty ósmy.

- Mam aparat, więc jeden możemy wyrzucić, żeby zaoszczędzić miejsca.

Wiedziałem, że będę musiał sfotografować pamiątki Trana Van Vinha, jeśli nie zechce mi ich sprzedać, i z całą pewnością jego samego albo jego grób. Musiałem też zrobić zdjęcia domu i miejscowości, tak aby - jeśli żyje - ktoś mógł tam później przyjechać, znaleźć go i zabić.

- Potrzebuję aparatu do mojej misji, więc zabierzemy dwa na wszelki wypadek - stwierdziłem.

- Dobrze.

- Czy wiesz dokładnie, ile masz naświetlonych rolek filmu uwzględniając tę, którą skonfiskował pułkownik Mang?

Skinęła głową.

- Nie spuszczałam z nich oka.

- To dobrze. Masz tę szklaną kulę?

Susan milczała przez chwilę, a potem odparła:

- Nie. Znow się ulotniła.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

Metropole w Hanoi. - A co to za różnica? - Zmusiła się do uśmiechu i dodała: - Mogę ją odebrać w hotelu

- Możesz być pewna, że nie pojedziemy do tego hotelu.

- W Hanoi nie da się znaleźć miejsca, gdzie można spędzić noc i nikt nie będzie zadawał pytań - poinformowała mnie. - O każdym gościu meldują policji. To nie jest Wietnam Południowy.

- Pomyślimy o tym na miejscu. Gotowa?

- Gotowa.

Znieśliśmy wszystko na dół do holu i podeszliśmy do recepcji. Wymeldowaliśmy się; na rachunku zauważyłem opłatę dla Vidotouru w wysokości stu dolarów za kierowcę i samochód, co nie byłoby wygórowaną sumą, gdyby nie to, że szofer okazał się tajniakiem, który zostawił nas na łodzi w sąsiedniej prowincji. Ale nie chciałem się o to targować z recepcjonistą.

- Może pan sprawdzić, czy są dla nas jakieś wiadomości? - poprosiła Susan recepcjonistę,

młodego mężczyznę imieniem Tin.

- Spodziewam się też małej paczki z książką, którą ktoś miał wczoraj dostarczyć - dodałem.

- Już sprawdzam. - Zajrzał do kantorka z kluczami i wziął kilka notatek, a potem wszedł na zaplecze.

- Co to za książka? - spytała Susan.

- Mój przewodnik *Samotna planeta*. - Wyjaśniłem jej sprawę; Susan nie skomentowała.

Pan Tin wrócił z faksem i szarą kopertą, która była za cienka, aby mogła w sobie kryć książkę.

- Oto faks do pana, panie Brenner, a tu jest koperta dla pani.

- Nie ma książki? - spytałem.

- Przykro mi, proszę pana.

Odszedłem od kontuaru i spojrzałem na zegarek. Była dopiero piąta trzydzieści pięć i na dworze wciąż panowała ciemność.

- O której najpóźniej możemy wyjechać? - spytałem Susan.

- Teraz.

Pomyślałem przez chwilę. Nie miałem sposobu sprawdzić, czy policja zgarnęła pana Anna po naszej schadzce. Nie mogłem zatem wiedzieć, czy pułkownik Mang podłączył już pana Anna do elektrod i dowiedział się o celu mej podróży.

- Przykro mi, że tak wcześnie wyjeżdżamy, ale nie miałam wyjścia. Bądźmy optymistami i wiermy, że książka dotrze tutaj za parę godzin.

- Taak... No dobrze. Spróbujemy tu później zadzwonić.

Otworzyłem kopertę i przeczytałem krótką wiadomość: Drogi Paul, chcę ci tylko życzyć szczęśliwej podróży do Hanoi. Od znajomych w Sajgonie dowiedziałam się, że w Hue wszystko poszło dobrze. C. czeka na spotkania z tobą w Honolulu. Szczęść Boże. Pozdrawiam, Kay. PS Proszę o odpowiedź.

Podaliśmy faks Susan, która przeczytała go i oddała bez słowa

- Wygląda na to, że mój łącznik w Hue skontaktował się z Sajgonem i powiedział, że spotkanie poszło dobrze. Ale wciąż nie wiem, czy nie zwinęli później tego człowieka.

Podszedłem do kontuaru i napisałem: Kari, w odpowiedzi na twój faks informuję, że randka w Hue zakończyła się pomyślnie, jak wiesz. W poniedziałek pojechałem do A Shau, Khe Sanh i Quang Tri. Bardzo wzruszające. Musisz wrócić, pułkowniku. Wyjeżdżam teraz prywatnym środkiem transportu, żeby znaleźć T.V.V. W. jedzie ze mną. Okazała się nieocenioną pomocą, tłumaczką, przewodniczką i towarzyszką. Pamiętaj o tym, cokolwiek się stanie. W Quang Tri wpadłem na pułkownika M. On zdaje się podejrzewa, że przyjechałem tutaj, żeby wszcząć powstanie

Montagnardów. Sprawdź hasło FULRO, je śli nie wiesz, co to takiego. Mang ma się ze mną spotkać w Hanoi albo wcześniej, więc Metropole odpada. Po przyjeździe spróbuję się skontaktować z panem E. w ambasadzie. Wciąż staram się wizualizować sobie sukces. Pozdrowienia dla C. Zawahałem się, a potem dopisałem: Z różnych względów, między innymi

przedłużenia się mojego pobytu tutaj, nie wysyłaj C. na Hawaje. Zobaczę się z nią w Stanach. Do zobaczenia gdziekolwiek i kiedykolwiek. Na koniec dodałem jeszcze: Dałem z siebie wszystko, Kari, ale czuję się trochę wykorzystany. Biet? Podpisałem: Paul Brenner, emerytowany chorąży.

Dałem panu Tinowi dwa dolary.

- Wyślijmy to teraz - powiedziałem.

- Przykro mi, proszę pana, ale faks...

- Jest szósta rano, kolego. Faks nie jest zajęty. - Obszedłem kontuar i poprowadziłem pana Tina do pomieszczenia na zapleczu, gdzie stał faks. Pomogłem mu też wybrać numer i po kilku sekundach faks był wysłany. Pożyczyłem od pana Tina zapałki, opróżniłem kosz na śmieci, wysypując jego zawartość na podłogę, i spaliłem w nim wiadomość. Spojrzałem na pana Tina, który nie wyglądał na uradowanego, że jestem w jego służbowym pokoju. - Panie Tin, zadzwonię do pana później. Chcę wiedzieć, czy książka dotarła *Biet*?

Skinął głową.

Klepnąłem go mocno w plecy, aż się zachwiał,

- Niech pan nie znika.

Opuściłem pomieszczenie, okrążyłem kontuar i podszedłem do kanapy, na której siedziała Susan. Otworzyła swoją kopertę; na stoliku i jej kolanach leżały zdjęcia.

Usiadłem koło mej.

- Dobra, wysłałem faks i powiedziałem panu Tinowi, że zadzwonię później... - Spojrzałem na zdjęcia leżące na stoliku. Podniosłem jedno. Było to kolorowe zdjęcie plaży, zrobione z wysokiego wzniesienia. Wystarczyła mi sekunda, żeby rozpoznać plażę na wyspie Pyramide; zdjęcie pstryknięto ze skał, na które wspinali się zbieracze ptasich gniazd.

Wziąłem fotografię, która najpierw rzuciła mi się w oczy, i zobaczyłem, że jest to ziarnisty wizerunek Susan wychodzącej z wody; najwyraźniej zostało zrobione za pomocą teleobiektywu. Susan była całkiem naga, a ja stałem w tle, jeszcze w wodzie.

Spojrzałem na kilka innych fotek: Susan i ja, spleceni w uścisku w wodzie; Susan rozmawia z parą Szwedów; ja leżę na brzuchu na piasku, a Susan siedzi na moich poślaskach. Odłożyłem zdjęcie i spojrzałem na nią. Miała nieobecny wzrok, patrzyła gdzieś w przestrzeń.

- Zabiję tego sukinsyna - oznajmiłem. Nie odpowiedziała i nie poruszyła się.

- Susan, spójrz na mnie.

Wzięła głęboki oddech, a potem drugi.

- Już dobrze. Nic mi nie jest.

- W porządku... - Zebrałem zdjęcia i schowałem do koperty. Wstałem. - Gotowa do drogi?

Skinęła głową, lecz nie wstała.

- A to bydlę - powiedziała cicho.

- Palant - dodałem. - Podstępny, zboczony, sadystyczny gnój.

Susan milczała.

- Pokonamy go - powiedziałem. - Zgoda?

Skinęła głową.

- No dobrze, chodźmy już. - Ująłem ją za rękę i podniosłem. Stała przez chwilę nieruchomo, a potem powiedziała: - To bydlak... Dlaczego on to zrobił?

- To bez znaczenia.

Spojrzała na mnie.

- Mógłby wysłać te zdjęcia Billowi.

Zdjęcia z pewnością były już w drodze, i to nie tylko do Billa.

- Do mojego biura... do Jacka... Ala... do wszystkich...

- Chodźmy. - Wziąłem ją pod ramię, lecz Susan się nie ruszyła.

- Do moich przyjaciół tutaj... do rodziny... policja zna adres moich rodziców w Lenox... i biura w Nowym Jorku...

- Później się tym zajmiemy. Spojrzała na mnie.

- Mają tylko twój adres domowy... a na mnie policja ma całą teczkę... Adres każdego listu, który wysyłam, jest notowany, zanim pójdzie dalej...

- Ale swoje listy wysyłałaś razem z firmową pocztą do Nowego Jorku, prawda?

- Wysyłałam kartki świąteczne z poczty głównej... - Spróbowała się uśmiechnąć. - Chciałam, żeby miały wietnamski znaczek... Wiedziałam, że nie powinnam tego robić... - Spojrzała na mnie. - Myślisz, że on wysłałby te zdjęcia do Stanów?

- Susan, nie próbuję tego bagatelizować, lecz byłaś na plaży nudystów. To nic wielkiego. Okej? Nie sfotografowali cię podczas aktu seksualnego.

Posłała mi surowe spojrzenie.

- Paul, ja nie chcę, żeby rodzina, przyjaciele i współpracownicy oglądali mnie nagą na zdjęciach. - Później się tym zajmiemy. Musimy się stąd wydostać. Z Wietnamu. Żywi. Potem będziesz się mogła martwić zdjęciami.

Skinęła głową.

- Dobrze, chodźmy.

Zebraliśmy bagaże i ruszyliśmy do drzwi.

- Potrzebujemy taksówkę na lotnisko Hue-Phu Bai - powiedziałem do portiera.

Wskazał ciemność za drzwiami i odparł z uśmiechem:

- Samoloty nie latać. Nie być światła Hue-Phu Bai. Słońce. Samoloty latać. Wy zjeść śniadanie.

- Nie chcę śniadania, mądralo. Chcę taksówkę. *Bay gio*. Już.

Susan powiedziała coś do niego; uśmiechnął się i wyszedł.

- Wytłumaczyłam mu, że jesteś zatwardziałym smutasem - zwróciła się do mnie z uśmiechem.

Uśmiechnąłem się. Już wyglądała lepiej.

- Jak się mówi zatwardziały?

- Tak samo jak dupek.

Portier wrócił i pomógł nam przenieść bagaże. Taksówka wjechała na półokrągły podjazd, wsiedliśmy i odjechaliśmy.

Deszcz zmienił się w mżawkę, droga świeciła się. Taksówkarz ruszył w stronę ulicy Hung Vuong, do autostrady numer jeden i lotniska. Susan wyrzała przez szybę.

- Nikogo za nami nic widzę.

- To dobrze. Dokąd jedziemy?

- Nic wiem. Myślałam, że ty wiesz.

Otoczyłem ją ramieniem i pocałowałem w policzek.

- Kocham cię.

- Za parę dni będzie mnie kochać setka facetów - powiedziała z uśmiechem.

- Poczta jest tu bardzo powolna.

Wzięła mnie za rękę.

- Nie czujesz się zgwałcony?

- O to właśnie chodzi Mangowi, żebyśmy się tak czuli. Nie bawię się w to.

- Ale ty jesteś mężczyzną. To nie to samo.

Nie chciałem wracać do tego tematu, więc powtórzyłem pytanie;

- Dokąd jedziemy?

- Blisko.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Wciąż jechaliśmy na południe ulicą Hung Vuong, przez Nowe Miasto, ku autostradzie. Susan powiedziała coś do kierowcy, który zwolnił i zawrócił na prawie pustej ulicy. Pojechaliśmy z powrotem i nie zauważyłem innych pojazdów wykonujących podobny

manewr.

Zmierzaliśmy teraz na północ; mostem Trang Tien, w pobliżu restauracji na wodzie, przejechaliśmy na drugi brzeg Rzeki Perfumowej. Po drugiej stronie widziałem rynek Dong Ba, gdzie siedzieliśmy z panem Anhem, rozmawiając i gryząc orzeszki ziemne.

Taksówkarz stanął przed terminalem autobusowym, który też się nazywał Dong Ba; wysiedliśmy i zabraliśmy bagaże, a ja zapłaciłem.

- Jedziemy autobusem? - spytałem.

- Nie. Ale terminal jest już otwarty i taksówkarz właśnie to zapamięta. Będziemy musieli przejść pieszo do rynku Dong Ba, który również jest czynny o tej godzinie.

Założyliśmy plecaki, a ja potoczyłem walizkę; Susan niosła mój neseser.

- Zgadzasz się na to, bo przeszłaś szkolenie w Langley i znasz kraj. Więc oczywiście wiesz, co robisz.

- Wiem, co robię.

Po pięciu minutach znaleźliśmy się na rynku Dong Ba, który był czynny, choć do świtu zostało jeszcze trochę czasu; jacyś faceci, pewnie restauratorzy, targowali się o cenę dziwnie wyglądających ryb i płatów mięsa.

Mężczyzna stojący pod nagą żarówką wiszącą na drucie zagadnął nas po angielsku.

- Chodźcie zobaczyć owoce numer jeden.

Nie zwróciłem na niego uwagi, ale Susan skręciła za nim na tyły dużej budki. Poszedłem za nimi;

Mężczyzna otworzył rozchwierutane drzwi i stanął obok; Susan weszła do środka.

- Chodź. Prędko.

Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Staliśmy w długim, wąskim pomieszczeniu oświetlonym kilkoma żarówkami. Pachniało owocami i wilgotną ziemią.

Susan zamieniła z mężczyzną kilka zdań po wietnamsku.

- Paul, pamiętasz pana Uyena z kolacji w domu państwa Phamów? - spytała.

Rzeczywiście pamiętałem.

- Sat Kong - powiedziałem, aby mu pokazać, że pamiętam. Uśmiechnął się i skinął z entuzjazmem głową.

- Tak. Sat Kong. Sat Kong.

- Kiwi wyglądają świetnie - zwróciłem się do Susan.

- Pan Uyen zaproponował nam swoją pomoc - odparła.

Spojrzałem na pana Uyena.

- Pan rozumie, że jesteśmy pod obserwacją Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i że oni mogli nas widzieć rozmawiających po mszy i być może śledzili nas wtedy aż do domu? Zdaje pan sobie z tego wszystkiego sprawę?

Jego angielski nie był zbyt dobry, lecz pan Uyen zrozumiał każde słowo. Skinął głową i odparł:

- Mnie nie obchodzić, czy zginę.

- Ale mnie obchodzi, czy zginę, panie Uyen.

- Mnie nie obchodzić.

Chyba nie zrozumiał, że powiedziałem, że mnie obchodzi, czy zginę. Tak czy owak, wyjaśniłem:

- Jeśli policja aresztuje mnie z motorem, znajdą pana. Tablice rejestracyjne. *Biet?*

Odpowiedział coś Susan, która przetłumaczyła:

- Tablica została zdjęta z motocykla, który uległ zniszczeniu w wypadku.

- Dobrze. Powiedz mu, że jeśli policja się dowie, że motocykl jest jego, powiemy, że go ukradliśmy. I powiedz, że kiedy nie będzie nam już potrzebny, wrzucimy go do jeziora lub czegoś takiego.

Susan przetłumaczyła to, a pan Uyen odpowiedział coś po wietnamsku. - Mówi, że nienawidzi komunistów, jest gotów za to cierpieć... zostać męczennikiem... za swoją wiarę.

Spojrzałem na niego.

- A pańska rodzina?

- Wszyscy tak samo - odparł.

Cieężko jest spierać się z ludźmi, którzy pragną męczeństwa, ale przynajmniej się starałem.

Przyszło mi też do głowy, że motywacją pana Uyena jest nie tylko jego wiara, lecz również to, co stało się w roku sześćdziesiątym ósmym i później. Pana Anha też nie popychały do działania ideały, takie jak wolność i demokracja; kierowała nim ta sama nienawiść, co panem Uyenem - każdemu z nich komuniści zamordowali kogoś z rodziny. Można przebaczyć śmierć na polu bitwy, ale nie morderstwo popełnione z zimną krwią.

- W porządku, chcę tylko, żeby wszyscy zdawali sobie sprawę z konsekwencji.

W mdłym świetle widziałem jakiś duży kształt okryty płachtą; to musiał być motocykl.

Pan Uyen zauważył, że patrzę, podszedł i ściągnął plandekę.

Na posadzce stał ogromny czarny motocykl, którego marki nie mogłem rozpoznać.

Podszedłem i położyłem dłoń na dużym skórzanym siedzeniu. Na owiewce z pleksi widniał napis BMW, a niżej - Paris-Dakar. Nie jechałem ani do Dakaru, ani do Paryża, chociaż to drugie brzmiało kusząco.

- Nigdy nie widziałem tego modelu - powiedziałem do pana Uyena.

- Dobry motor - odparł. - Jedzie na górę... na dużą drogę... - Spojrzał na Susan i dokończył po wietnamsku.

- To BMW, model Paris-Dakar, prawdopodobnie nazwany tak od wyścigu o tej nazwie...

- Dakar leży w północnej Afryce - zauważyłem. - Czy ta maszyna lata?

- Nie wiem, Paul. Słuchaj, ten motocykl ma silnik o pojemności dziewięćset osiemdziesięciu centymetrów, bak na czterdzieści pięć litrów paliwa, dwa litry rezerwy, a jego zasięg wynosi od pięćset do pięćset pięćdziesięciu kilometrów. Pan Uyen mówi że jest świetny na błoto, jazdę terenową i otwartą drogę. Do tego został stworzony.

- Pewnie tak, skoro można nim przejechać z Paryża do Dakaru - odparłem. Spojrzałem na wielki bak, wysoko osadzony na ramie, tak żeby nie mógł się przedziurawić od uderzenia o podłoże. Z takim zasięgiem musielibyśmy tylko raz wziąć paliwo podczas dziewięćsetkilometrowej jazdy do Dien Bien Phu. Przyklęknąłem i obejrzałem opony, duże, mniej więcej osiemnastocalowe, z dobrym bieżnikiem.

Susan rozmawiała z panem Uyenem.

- Mówi, że jest bardzo szybki i... chyba chodzi mu o to, że zwrotny. Moje słownictwo w zakresie motocykli jest dość mizerne.

Odwróciłem się do pana Uyena.

- Ile?

Potrząsnął głową.

- Darmo.

Nie usłyszałem tego słowa w żadnym kontekście, od chwili gdy wysiadłem z samolotu na Tan Son Nhat; prawie zemdlałem.

- Nie będziemy mogli oddać panu tej maszyny. To jazda w jedną stronę. Pa, pa. *Di di*.

Kiwał głową, ale nie byłem pewien, czy jasno się wyraziłem.

- Już mu mówiłam - powiedziała Susan. - On to rozumie.

- Naprawdę? Gdzie i kiedy z nim rozmawiałaś?

- Przy kolacji wspomniałam, że mam pewien kłopot, i zaprosili mnie na niedzielne śniadanie. Ciebie też, ale miałaś schadzkę.

Chyba wspominała wtedy, że spała do południa.

- Więc interes jest już ubity? - Tylko jeśli zechcesz.

Zastanowiłem się i odpowiedziałem po angielsku w sposób niezrozumiały dla pana Uyena.

- Poza tym, że ktoś może nam deptać po piętach, a im też może się zwalić na łeb, to tysiąc kilosów do celu, wiesz gdzie. Czyli czeka nas masa odparzeń od siodełka i dużo błota.

Dasz radę?

Susan powiedziała coś do pana Uyena, który parsknął głośnym śmiechem.

- Co w tym zabawnego?

- Powiedziałałam panu Uyenowi, że pytasz, czy nie ma przypadkiem słonia zamiast tego motoru.

Pan Uyen klepał ręką w siodełko motocykla.

- Dobry motor. Kupić od Francuza. On... - Znów dokończył po wietnamsku.

- W zeszłym roku był tu wyścig terenowy - przetłumaczyła Susan. - Z Hanoi do Hue.

- Czy ten Francuz wygrał?

Susan uśmiechnęła się i zadała to pytanie panu Uyenowi.

- Zajął drugie miejsce - powiedziała do mnie.

- Znajdźmy motor, który przyjechał pierwszy.

Susan zaczynała się niecierpliwić.

- Paul, tak czy nie?

Cena była przystępna, więc wskoczyłem na siedzenie.

- Niech mi pan o nim opowie.

Pan Uyen dał nam krótką i zawiłą lekcję jazdy motocyklem BMW Paris-Dakar. Miałem wrażenie, że pan Uyen sam nie wie, jak jeździć tą maszyną albo że jeździ tak jak wszyscy Wietnamczycy: metodą prób i błędów, nie zdejmując kciuka z klaksonu.

Zsiadłem z motoru.

- Pełny bak? - spytałem, klepiąc dłonią w zbiornik. Pan Uyen skinął głową.

- Dobra... - Spojrzałem na Susan. - Dobra? Skinęła, że tak.

Otworzyliśmy foliową torbę i wyjęliśmy nasze montagnardzkie stroje motocyklowe: skórzaną kurtkę dla mnie, pikowaną dla Susan, skórzane uszanki i montagnardzkie chusty. Pan Uyen przyglądał się nam z rozbawieniem.

Zawartość plecaków umieściliśmy w pojemnych sakwach przy siodełku, a puste plecaki położyliśmy na wierzchu.

- Proszę zatrzymać walizkę i neseser - powiedziałem do pana Uyena. - Niech pan dobrze dba o blezery.

Skinął głową, a potem wyjął mapę z zapinanego na ekspres skózanego pojemnika, przymocowanego do owiewki, i podał mi.

- Wietnam - powiedział.

- A ma pan mapę Paryża?

- Gdzie wyjechać?

- Zabić komuchów.

- Dobrze. Gdzie jechać?

- Dalat.

- Okej. Dobrze. Dojechać bezpiecznie.

- Dziękuję.

Wyjąłem z portfela ostatnie dwieście dolarów, które mi zostały.

Nie najgorsza cena za drogą beemkę. Potrząsnął głową.

- On naprawdę chce nam dać ten motor - wtrąciła się Susan.

- Dobra - powiedziałem do pana Uyena. - Dziękuję. Ukłonił się, spojrzał na stos owoców, wybrał kiść bananów i wcisnął je do sakw beemki; potem dołożył jeszcze dwa litry wody. Dał ręką znak, żebym podprowadził maszynę do drzwi. Podszedł, uchylił je lekko, wyjrzał ostrożnie, spojrzał na nas i skinął głową.

Zapiąłem kurtkę, zawiązałem chustę na szyi, nałożyłem przyciemniane okulary i wsunąłem na ręce obcisłe, skórzane rękawice.

Susan zrobiła to samo; popatrzyliśmy na siebie. Było śmiesznie, ale nie wesoło.

- Tym się jedzie czy frunie? - spytała.

- To nie był mój pomysł.

Susan wymieniła z panem Uyenem życzenia noworoczne i ukłony. Uścisnąłem mu dłoń.

- Jeszcze raz dziękuję. Jest pan zacnym człowiekiem - powiedziałem.

Spojrzał na mnie i rzekł bezbłędnie po angielsku:

- Niech Bóg ma pana i pannę Susan w opiece i niech czuwa nad waszą podróżą.

- A pan niech na siebie uważa - odparłem. Skinął głową i otworzył drzwi.

Wytoczyłem ciężki motor na ciemny rynek; Susan szła tuż za mną. Zerknąłem na pana Uyena, lecz drzwi były już zamknięte.

- Podprowadź go do drogi - powiedziała.

Pchałem motor przez słabo oświetlony plac. Mżawka ustała, zamiast niej w powietrzu wisiała zimna mgła od rzeki. Zerknęło na nas parę osób, ale nawet matka by mnie nie rozpoznała, więc nie miało to znaczenia.

- No dobrze, myślę, że najłatwiej będzie stąd wyjechać wzdłuż rzeki w lewo - orzekła Susan. - Gotów?

Wskoczyłem na motocykl i zapaliłem. Silnik wydał fantastyczny pomruk; czułem moc pulsującą pod siodełkiem. Zwiększyłem obroty i spojrzałem na wskaźniki; wszystkie działały. Włączyłem światła, a Susan usiadła za mną. Wrzuciłem jedynkę i ruszyliśmy po trawiastym stoku w stronę drogi przy rzece.

Jechałem po nabrzeżu, po lewej stronie mając Rzekę Perfumową a po prawej wysokie mury cytadeli. Silnik miał niesamowitą moc, nawet z dwiema osobami na siedzeniu. To może być niezła zabawa! Ale niekoniecznie.

Ruch był mały, więc mogłem się pouczyć jeździć tą wielką maszyną, nie zabijając nas ani nikogo innego.

Przejechaliśmy obok dwóch mostów, a potem koło baszty flagowej; kilka minut później dotarliśmy do południowego krańca muru cytadeli.

- Skręć w prawo - zawołała Susan.

Skręciłem w drogę biegnącą na północ, równoległe do zachodniego muru cytadeli i torów kolejowych. Dwukilometrowy mur skończył się i przejechaliśmy nad szeroką fosą. Droga stała się szersza i uprzytomniłem sobie, że to autostrada numer jeden.

Susan poklepała mnie po ramieniu; odwróciłem głowę, żeby na nią zerknąć. Wyciągnęła rękę i coś wskazywała; spojrzałem w tamtą stronę. W oddali zniknęła cytadela, w której murach leżało Hue, cesarska stolica, kwiat wietnamskich miast, umarły w sześćdziesiątym ósmym roku i odrodzony na kościach poległych ludzi.

Pomyślałem o panu Anhu, jego ojcu, kapitanie, panu Uyenie i rodzinie Phamów, o szesnastobocznej restauracji, gdzie jedliśmy z Susan kolację w deszczu, święcie Tet i Rzece Perfumowej, katedrze, świątecznych światłach i fajerwerkach. Rok wołu.

Susan objęła mnie ramionami i przystawiła wargi do mojego ucha.

- Zawsze mi smutno, gdy opuszczam miejsce, w którym doznałam czegoś dobrego.

Skinąłem głową.

Niebo rozjaśniało się na wschodzie; autostrada numer jeden, Ulica Bez Radości, którą jechaliśmy do Quang Tri i z powrotem, tam i z powrotem do piekła, zarośla się od pojazdów.

Popatrzyłem na wzgórza w oddali, na które padały pierwsze promienie słońca wschodzącego nad Morzem Południowochińskim. Pamiętam te wzgórza i zimny deszcz w lutym sześćdziesiątego ósmego roku. Pamiętałem też mężczyzn, którzy w gruncie rzeczy byli chłopcami i którzy zestarzelili się za bardzo jeszcze jako chłopcy i zginęli za młodo, zanim spełniło się choćby jedno z ich marzeń.

Zawsze czułem, że po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku żyłem w podarowanym czasie i że każdy dzień jest dniem, którego inni nie dostali. Dlatego ilekroć o tym pomyślałem, starałem się doceniać te darowane dni i przeżywać je najlepiej, jak umiałem.

Sięgnąłem za siebie ręką i ścisnąłem Susan za udo.

Objęła mnie mocniej i położyła mi głowę na ramieniu.

To była długa i dziwna podróż z Bostonu w stanie Massachusetts, podróż, której cel pozostawał nieznanym, lecz ona sama była darem od Boga.

KSIĘGA VI

Interior

Rozdział 38

Jechaliśmy wciąż na północ, a ruch gęstniał, w miarę jak niebo się rozjaśniało. Od czasu do czasu przyspieszałem do stu kilometrów na godzinę; nabrałem wprawy w lawirowaniu i trąbieniu klaksonem na wietnamską modłę.

- Kiedy ostatnio jeździłeś motocyklem, nie licząc Cu Chi? - spytała Susan, przyciskając usta do

mojego ucha.

- Jakieś dwadzieścia lat temu - odparłem. - Tego nigdy się nie zapomina. Czemu pytasz? - dodałem po chwili.

- Tak z ciekawości.

Minęliśmy zjazd do Quang Tri, zobaczyliśmy opuszczony czołg i ruiny buddyjskiej szkoły, gdzie to wszystko się zaczęło. Zaraz potem przejechaliśmy koło bunkra z moim nazwiskiem wrytym w środku.

Kwadrans później zwoleliśmy przed skrzyżowaniem z drogą prowadzącą do Dong Ha i przejechałem powoli przez brzydkie miasto, które było przystankiem dla ciężarówek. Dojeżdżając do skrzyżowania z autostradą numer dziewięć, zobaczyliśmy dwóch policjantów w żółtym dziupie zaparkowanym po przeciwnej stronie drogi. Ledwie rzucili na nas okiem. - Ci gliniarze wzięli nas za Montagnardów - powiedziała Susan.

- Nie wiem, za kogo nas wzięli, ale ten oryginalny motor rzuca się w oczy.

- Tylko tobie. W tym kraju jest tyle nowych towarów z importu, że Wietnamczycy już ich nie zauważają.

Nie do końca to kupowałem. Coś innego przyszło mi do głowy.

- Nie widzę żadnych Montagnardów na motocyklach.

- Ja widziałam dwóch - odparła Susan.

- Następnym razem mi ich pokaż. numer dziewięć, w dawnej strefie operacji piechoty morskiej; przejechałem wcześniej tą. Jechaliśmy w stronę strefy zdemilitaryzowanej. Byliśmy teraz na północ od autostrady trasą tylko raz, kiedy złapałem okazję w konwoju, żeby zobaczyć się ze starym kumpem z Bostonu, który stacjonował w Con Thien. Wyszedł akurat na akcję, więc zostawiłem mu kartkę na pryczy. Nigdy jej nie przeczytał.

Na północ od Dong Ha wzdłuż autostrady ciągnął się rząd straganów; minąwszy je, przyspieszyłem do stu kilometrów na godzinę. Wiedziałem teraz, że nie jest to aż tak niebezpieczne jak w wykonaniu Susan na drodze do Cu Chi.

W ciągu kwadransa krajobraz zmienił się z ponurego w martwy.

- Zdaje się, że właśnie wjechaliśmy do strefy zdemilitaryzowanej - powiedziałem.

- Boże... ale to wszystko zniszczone.

Patrzyłem na tę ziemię niczyją, wciąż niezamieszkaną, pociętą kraterami po bombach i pociskach; białą glebę pokrywała krzaczasta, karłowata roślinność. Gdyby na Księżycu spadało parę centymetrów deszczu, pewnie tak właśnie by wyglądał. Zauważyłem w oddali drut kolczasty i rdzewiejący wrak dżipa, stojący na oznaczonym polu minowym, gdzie nawet łowcy złomu by się nie zapuścili.

Daleko we mgle dostrzegłem niewyraźne kontury mostu; wiedziałem, że most musi spinać brzegi rzeki Ben Hai. Zwoleliśmy.

- Kiedy tu byłem, ten most nie istniał - wyjaśniłem Susan. Wjechałem na środek mostu i zatrzymałem się. Spojrzałem na rzekę, która przez dwadzieścia lat dzieliła Wietnam na Północny i

Południowy.

- No i jestem w Wietnamie Północnym.

- A ja wciąż w Południowym - odparła. - Podjedź trochę dalej.

- Przejdź się.

Zsiadła z motocykla, otworzyła sakwę przy siodełku i wyjęła szarą kopertę ze zdjęciami z wyspy Pyramide. Zbliżyła zapalniczkę do rogu koperty, która zapaliła się w jej ręce. Susan trzymała ją aż do ostatniej chwili, a potem wrzuciła zdjęcia z mostu do rzeki.

Wsiedliśmy z powrotem i przejechaliśmy po moście.

Po tamtej stronie stał pomnik północnowietnamskiego żołnierza w hełmie i z kałasznikowem. Miał takie same pozbawione życia oczy jak Amerykanie przy Murze.

Wjeżdżaliśmy coraz głębiej w terytorium dawnego wroga. Im bardziej oddalaliśmy się od linii demarkacyjnej, tym lepiej wyglądał teren, choć liczne leje po bombach i zniszczone budynki wciąż znaczyły krajobraz.

Droga nie była tu lepsza, a mgła i mżawka uczyniły ją śliską. Raz po raz ocierałem gogle i twarz montagnardzką chustą, a moja skórzana kurtka błyszczała od wilgoci.

Minęliśmy się z motorem jadącym na południe; motocykliści byli ubrani tak samo jak my. Machnęli sam ręką, a my odwzajemniliśmy gest.

- Widzisz? - powiedziała Susan. - Nawet Montagnardzi biorą nas za swoich.

W ciągu godziny dojechaliśmy do sporego miasteczka. Na tablicy informacyjnej przeczytaliśmy jego nazwę: Dong Hoi.

Zwolniłem, wjeżdżając, i rozejrzałem się. Uderzyło mnie, że miasto wyglądało bardziej ponuro i wydawało się bardziej zniszczone niż jakiekolwiek miasto, które widziałem w Wietnamie Południowym. Samochody i ciężarówki były starsze i nie było tylu skuterów i riks. Prawie wszyscy jeździli na rowerach lub chodzili pieszo, a ich ubrania wyglądały na brudne i znoszone. Nie było też widać oznak działalności handlowej, rzucającej się w oczy na południe od linii demarkacyjnej; ani barów, ani sklepów, tylko parę kafejek. Przypomniało mi się, jak pierwszy raz przekroczyłem granicę między Niemcami Zachodnimi i Wschodnimi.

- To rodzinne miasto pana Trama, naszego przewodnika po Khe Sanh - stwierdziła Susan.

- Rozumiem, czemu się wyprowadził.

Znów minęliśmy zaparkowanego żółtego policyjnego dżipa i znów gliniarz za kółkiem ledwie oderwał wzrok od papierosa. Może to naprawdę działa.

Nieco dalej zauważyłem konwój pojazdów wojskowych: otwarte ciężarówki i dżipy pełne żołnierzy oraz kilka samochodów personelu pomocniczego. Przyspieszyłem i zacząłem ich wyprzedzać.

Zerknąłem w prawo i zobaczyłem, że wszyscy kierowcy i pasażerowie patrzą na nas - a właściwie na Susan. Jej twarz była dokładnie owiązana chustą, zakryta skórzaną czapką i goglami, tak że Susan mogła wyglądać jak ich babcie, lecz ci goście nie dali się nabrać, widząc ładny tyłek; machali rękami i wołali coś do niej. Susan odwróciła skromnie głowę, tak jak uczyniłaby Montagnardka.

Spojrzałem na kierowcę otwartego dżipa, którego mijałem; popatrzyliśmy sobie w oczy. Wiedziałem, że próbuje odgadnąć, z jakiego jestem plemienia. Pomyślałem, że mimo wszystko nie wyglądam na Montagnarda. Przyspieszyłem i po chwili czołowy pojazd konwoju został w tyle.

Autostrada numer jeden była płaska i na tym odcinku biegła wzdłuż wybrzeża; jechaliśmy w dobrym tempie, lecz drogą poruszało się tyle pojazdów przeróżnych rozmiarów

i przeróżnej mocy silnika, a także rowerów, zaprzęgów i pieszych, że nie było mowy o swobodnej i szybkiej jeździe; to był tor przeszkód i bez przerwy trzeba było się mieć na baczności.

przejechaliśmy tę odległość w ciągu dwóch i pół godziny. A przecież autostrada numer jeden Hue zostało jakieś dwieście kilometrów za nami, a dochodziła dziewiąta rano, więc

to była najłatwiejsza część trasy.

W oddali na zachodzie wznosił się łańcuch górski biegnący w stronę Morza Południowochińskiego, jak bodaj wszystkie łańcuchy górskie w tym kraju. Tworzył wysoką przełęcz tuż nad brzegiem morza. Droga się wznosiła; rowerzyści prowadzili rowery, a furmanki z wołami poruszały się wolniej. Zjechałem na lewy pas i przyspieszyłem. W ciągu dwudziestu minut dotarliśmy do grzbietu krętej górskiej przełęczy. Było tu zimno i wietrznie i miałem trudności z panowaniem nad motorem.

Zanim wjechaliśmy na szczyt, dostrzegłem na drodze jakichś ludzi. Byli opatuleni warstwami brudnych łachmanów, ich twarze były ledwie widoczne; wychodzili z załomów formacji skalnych, z wyciągniętymi rękami. - Żebracy - zawołała mi do ucha Susan.

Żebracy? Ci ludzie wyglądali jak statyści z filmu Zemsta mumii.

Susan krzyczała na nich, lecz kilku zdołało nas dotknąć, gdy przejeżdżaliśmy; przyspieszyłem i z trudem ominąłem grupkę na środku szosy.

Dotarliśmy do najwyższego punktu przełęczy i zaczęliśmy zjeżdżać na nadbrzeżną równinę. Motor pośliznął się parę razy na wilgotnej nawierzchni; musiałem zredukować bieg.

W dole widziałem płaskie poletka ryżowe, zalane wodą aż po groble, i skupiska chłopskich chat na małych wysepkach suchego gruntu. Było tu więcej sosen niż palm i więcej kurhanów grobowych niż na południu. Przypomniałem sobie, że Wietnam Północny stracił w wojnie około dwóch milionów ludzi, prawie dziesięć procent populacji, i stąd te niezliczone groby. Wojna jest paskudna.

Półtorej godziny później zbliżyliśmy się do większej miejscowości. Skręciłem w gruntową drogę i jechałem, aż straciliśmy z oczu autostradę.

Zsiedliśmy i rozprostowaliśmy kości. Skorzystaliśmy też z urządzeń sanitarnych w postaci krzaków.

Wyjąłem ze skórzanego pojemnika mapę.

- Przed nami miasto Vinh - powiedziałem.

- To turystyczne miasteczko - poinformowała mnie Susan. - Możemy się tam zatrzymać, jeśli chcesz zadzwonić do hotelu.

- Czemu to jest turystyczne miasto?

- W pobliżu jest miejsce narodzin Ho Szi Mina.

- I są tam cudzoziemcy?

- Oprócz eks-hipisów niewielu cudzoziemców interesuje się miejscem urodzenia Ho Szi Mina, ale Vidotour jak najbardziej, więc to jest żelazny punkt programu. Poza tym miasto leży w połowie drogi między Hue i Hanoi, więc na noc zatrzymują się tutaj autokary wycieczkowe.

- Dobra. Staniemy tam i kupimy sobie koszulki Wujaszka Ho.

Susan rozpięła torbę i wyjęła dwa banany.

- Chcesz banana czy banana?

Zjedliśmy banany na stojąco i wypiliśmy trochę wody z butelki; popatrzyłem na mapę.

- Jakies dwieście kilometrów stąd leży miasto Thanh Hoa. Kiedy tam dojedziemy, będziemy musieli się rozejrzeć za drogą prowadzącą na zachód. Spójrz. Musimy dotrzeć do autostrady numer sześć, która zaprowadzi nas do... powinna nas zaprowadzić do Dien Bien Phu, ale widzę, że kończy się wcześniej... Do Dien Bien Phu biegnie mniejsza droga.

Susan zerknęła na mapę.

- Nie sądzę, żeby ten ostatni kawałek można było uznać za drogę.

- Dobrze, zdejmijmy teraz te montagnardzkie kostiumy i spróbujmy wyglądać jak *Lien Xo* na pielgrzymce do miejsca narodzin Wujaszka Ho.

Zdjęliśmy chusty i uszanki i schowaliśmy je do torby. Po chwili jechaliśmy z powrotem do autostrady numer jeden.

W ciągu kilku minut byliśmy na peryferiach miasta Vinh. Po prawej stronie stała duża, pomalowana tablica; zwoleń, żeby Susan mogła przeczytać.

- Miasto Vinh zostało kompletnie zniszczone przez amerykańskie bombowce i artylerię okrętową... w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym i siedemdziesiątym drugim... i odbudowane przez jego mieszkańców... z pomocą naszych socjalistycznych braci z Niemieckiej Republiki Demokratycznej - przetłumaczyła Susan.

- To prawdziwy magnes dla turystów.

Wjechaliśmy do miasta, które rzeczywiście wyglądało jak Berlin Wschodni w ponury dzień: jeden szary blok koło drugiego, a obok inne betonowe budynki nieokreślonego przeznaczenia.

Kilkoro ludzi na ulicy zerknęło na nas i zacząłem wątpić, czy to dobry pomysł, żeby się tu zatrzymać.

- Jesteś pewna, że w tym mieście są jacyś cudzoziemcy?

- Może jest po sezonie?

Dojechaliśmy do rozwidlenia drogi przed parkiem.

- Jedź w lewo - powiedziała Susan.

Wjechałem w lewe odgałęzienie ulicy i dojechaliśmy do centrum miasta, kolejnej ulicy Le Loi, z której skręciliśmy w prawo. Ciekawe, skąd Susan to wiedziała.

Po lewej stronie stało parę hoteli, lecz żadnego z nich nie dało się pomylić z Reksem. Muszę powiedzieć, że nigdzie nie widziałem tak ponuro wyglądających budynków, nawet w Niemczech Wschodnich; czyżby enerdowncy zakpili sobie z Wietnamczyków? Tak czy inaczej, na ulicy zauważyłem autobusy i cudzoziemców, co poprawiło mi samopoczucie.

- Może spróbujesz zadzwonić z któregoś z tych hoteli? - spytałem.

- Na poczcie będę miała większe szanse - odparła Susan. - Poza tym jeśli nie uda mi się dopchać do telefonu, na poczcie będą mieli faks i teleks. - Po chwili dodała: - Tutaj nie można sobie wybrać długodystansowej firmy kurierskiej.

Pojeździliśmy chwilę i znaleźliśmy pocztę. Susan zsiadła z motoru i ruszyła prosto do budynku.

Kilkoro przechodniów rzuciło na mnie okiem, lecz dzięki Wujaszкови Ho nie zwracałem na siebie zbyt wiele uwagi. Jakies dziesięć minut później stanął obok mnie żółty džip z dwoma gliniarzami. Ten na fotelu pasażera zaczął się na mnie gapić.

Zignorowałem go, ale coś wrzeszczał i nie miałem wyboru, musiałem na niego spojrzeć.

Coś mówił, zdawało mi się, że daje ręką znak, żebym zsiadł, ale po chwili uświadomiłem sobie, że pyta o motocykl. Przypomniałem sobie, że cudzoziemcom nie wolno jeździć takimi dużymi pojazdami i że bmw ma rejestrację Hue.

- *Le tour de Hanoi a Hue* - powiedziałem po francusku. - Policjant chyba nie zrozumiał,

a szczerze powiedziawszy, ja też rozumiem mniej więcej połowę z tego, co mówię po francusku. - *Le tour de Hanoi a Hue* - powtórzyłem, co nie do końca wyjaśniało, dlaczego siedzę na motorze przed pocztą główną, lecz policjant rozmawiał z kolegą za kierownicą, który coś zrozumiał, jak mi się zdawało.

Gliniarz-pasażer rzucił mi surowe policyjne spojrzenie, powiedział coś po wietnamsku i džip odjechał.

Wziąłem głęboki oddech i po raz pierwszy w życiu podziękowałem Bogu, że ktoś mnie wziął za Francuza.

Chciałem zsiąść i znaleźć Susan, ale zobaczyłem, że akurat wychodzi z budynku poczty. Wskoczyła na siodelko, a ja wyjechałem na ulicę Le Loi, która, jak się domyśliłem, była częścią autostrady numer jeden; po piętnastu minutach zostawiliśmy za sobą Vinh. Znak przy drodze informował chyba w kilkunastu językach: Miejsce narodzin Ho Szi Mina, piętnaście kilometrów.

- Chcesz zobaczyć drewnianą chałupę, w której przyszedł na świat Wujaszek Ho?

- Jedź.

Pojechaliśmy na północ.

- Nie mogłam się dostać do telefonu, więc wysłałam faks i teleks. Musiałam poczekać na odpowiedź - wyjaśniła Susan.

- Konkluzja.

- Książka nie dotarła, tak w każdym razie napisał w teleksie pan Tin.

Nie skomentowałem tego.

- Ale ten przewodnik jest tutaj wart piętnaście dolarów dla turysty, który czegoś takiego nie ma... Nie ma nas tam, więc możliwe, że pan Tin dostał przewodnik i wystawił go na sprzedaż. Piętnaście dolarów to tutaj masa pieniędzy.

Milczałem.

- Była natomiast wiadomość od pułkownika Manga. Dla mnie.

Nie spytałem o treść.

- Pułkownik życzy mi bezpiecznej podróży i ma nadzieję, że zdjęcia mi się spodobały - poinformowała mnie.

Znów nie skomentowałem.

- Napisał też, że zauważył w moim mieszkaniu kostiumy kąpielowe i że przykro mu, że zapomniałam zabrać je ze sobą.

Dojechaliśmy do drogi prowadzącej do miejsca urodzenia Ho Szi Mina, w którą skręcały dwa minibusy z zachodnimi turystami. Zatrzymałem się, wyjąłem z torby aparat Susan i sfotografowałem znak, na wypadek gdyby film miał wpaść w ręce miejscowej policji.

- Zatrzymali się koło mnie dwaj policjanci w dżipie i coś mówili - powiedziałem. - Przekonałem ich, że jestem Francuzem biorącym udział w wyścigu motocyklowym. Mój paryski akcent zrobił na nich wrażenie.

- Wietnamczycy z północy mają pozytywny stosunek do Francuzów.

- Dlaczego?

- Nie jestem pewna. Ale w Hanoi można zobaczyć mężczyzn w średnim wieku w beretach na głowie, a mówienie chociaż trochę po francusku wciąż jeszcze uchodzi za szczyt mody wśród tej grupy wiekowej, podobnie jak naśladowanie francuskich manier i czytanie francuskiej literatury. W Hanoi uważają Francuzów za kulturalnych, Amerykanów zaś za nieokrzesanych, materialistycznie nastawionych, szerzących wojnę kapitalistów.

- To jeszcze nie świadczy, że jesteśmy złymi ludźmi.

Susan próbowała się uśmiechnąć, a potem się zadumała.

- Niepokoję się z powodu tych zdjęć.

- Ja niepokoję się z powodu przewodnika, który nie dotarł do adresata - odparłem.

Spojrzała na mnie i skinęła głową.

- Przepraszam - powiedziała. - Co z tym zrobimy?

Zastanowiłem się. Pułkownik Mang mógł kazać przywiązać pana Anha do krzesła, podłączyć mu elektrody do jąder i przekręcić gałkę potencjometru, a wówczas pan Anh powiedziałby: „Dien Bien Phu! Ban Hin!” tudzież wszystko, co pułkownik Mang chciałby usłyszeć.

- Co chcesz zrobić? - spytała ponownie Susan.

- Cóż... Możemy pojechać do Hanoi i spróbować wydostać się stamtąd pierwszym samolotem odlatującym dokądkolwiek. Albo możemy pojechać do Dien Bien Phu. Na pewno nie możemy tu siedzieć przez cały dzień.

Pomyślała chwilę. - Dien Bien Phu.

- Mówiłaś, że mój fart w Wietnamie się wyczerpał - przypomniałem jej.

- Tak, wzięto cię za Francuza. Mój wciąż działa, nie wspominając o rozkładówce dla „Playboya”.

W drogę.

Wrzuciłem bieg i wjechałem na autostradę. Susan spojrzała na wskaźnik paliwa.

- Potrzebujemy paliwa. Właśnie minęliśmy stację benzynową. Zawracaj.

- Przed nami powinna być następna. Na niektórych dają miskę ryżu, kiedy bierzesz paliwo.

- Paul, zawracaj.

Zrobiłem ostry zwrot i podjechałem do ręcznej pompy na stacji. Zgasilem silnik i zsiadliśmy.

Sprzedawca siedział w małej, otwartej budce z betonu i obserwował nas, ale się nie ruszył. Najwyraźniej była to państwowa stacja, niepodobna do żadnej z tych, które widziałem na południe od strefy zdemilitaryzowanej. Tu wciąż panował socjalizm, a dobra nowina o kapitalistycznej pazerności i przyciąganiu klienta nie dotarła jeszcze na terytorium Wujaszka Ho.

Zakręciłem korbą, a Susan przystawiła końcówkę do wlotu zbiornika.

- Kręć szybciej - rzuciła.

- Kręć tak szybko jak europejski socjalista.

- Pamiętaj, że jesteśmy Francuzami, kiedy pójdziemy płacić.

- Bon.

Wpompowałem do wielkiego baku trzydzieści pięć litrów i spojrzałem na sumę do zapłacenia.

- Dwadzieścia jeden tysięcy dongów. Nieźle. Jakies dwa dolce.

- To cena w setkach, Paul - sprostowała Susan. - Dwieście dziesięć tysięcy dongów. I tak tanio.

- Świetnie. Ty płacisz.

Sprzedawca podszedł do nas leniwie.

- *Bonjour, monsieur* - odezwała się Susan.

- *Comment ca va?* - dodałem.

Mężczyzna nie odpowiedział w żadnym języku, ale spojrzał na motocykl; Susan odliczyła dwieście dziesięć tysięcy dongów z wizerunkiem Wujaszka Ho. Wskazałem podobiznę Ho Szi Mina i powiedziałem:

- *Numero uno hombre.* - Może trochę pomyliły mi się języki. Susan kopnęła mnie w kostkę.

Sprzedawca spojrział na nas, a potem znów na motocykl. Wsiadliśmy.

- *Le tour de Hue-Hanoi* - wyjaśniła Susan.

Ruszyłem ostro, zanim facet przypomniał sobie o języku w gębie. Jakiś czas jechaliśmy dalej na północ autostradą numer jeden a potem zatrzymaliśmy się na poboczu, żeby nałożyć montagnardzkie chusty i skórzane uszanki na futerku.

- Co ci strzeliło do łba, żeby powiedzieć *numero uno hombre*? - zapytała Susan.

- No, wiesz... Wujaszek Ho jest numer jeden.

- To po hiszpańsku.

- A co to za różnica? Ty jesteś Francuzką, a ja Hiszpanem.

- Czasami twoje żarty są nieadekwatne do sytuacji.

- To stary nawyk - odparłem. - Piechociarze tak się zachowują, kiedy atmosfera się zagęszcza. Gliniarze też. Może faceci już tak mają.

- Czasem pogarszasz sprawę takimi błyskotliwymi uwagami - powiedziała Susan. - Jak wtedy gdy powiedziałeś pułkownikowi Mangowi, że chodziłeś razem z Billem do Princeton. Susan była w podłym nastroju; miałem nadzieję, że to syndrom napięcia przedmiesiączkowego, a nie poranne mdłości ciężowe.

Autostrada numer jeden była jedyną dużą arterią łączącą północ z południem tego przeludnionego kraju, i choć ruch powinien być mały ze względu na święta, wydawało się, że połowa ludności korzysta właśnie z tych dwóch żałosnych pasemek asfaltu. Nie przekraczaliśmy sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a każdy centymetr drogi stanowił wyzwanie.

Prawie dwie godziny trwała jazda do następnego większego miasta Thanh Hoa. Dochodziła trzecia po południu i robiło się zimno. Na niebie wisiały ciężkie, szare chmury i od czasu do czasu wpadaliśmy w lekki deszcz lub mżawkę. Burczało mi w brzuchu.

- To powinno być Thanh Hoa - zawołałem do Susan. - Pierwsze miasto, z którego możemy ruszyć na zachód albo północ w stronę drogi numer sześć.

- Ty decyduj.

Spojrzałem na licznik. Ujechaliśmy prawie pięćset sześćdziesiąt kilometrów od Hue... zabrało nam to ponad osiem godzin. Była trzecia szesnaście po południu i zostało mniej niż cztery godziny dnia.

Mając do wyboru kilka opcji, uznałem, że skoro nie pada, powinienem już teraz wjechać na wiejską drogę i dotrzeć jak najbliżej do drogi numer sześć przed zachodem słońca; jutro mogło zacząć padać i drugorzędna droga dojazdowa do drogi numer sześć może się stać nieprzejezdna, co próbował mi powiedzieć pan Anh w czasie naszej krótkiej rozmowy.

- Wyjedziemy na jakąś drogę z Thanh Hoa - powiedziałem. - Jeśli nam się nie spodoba, możemy wrócić i poszukać innej.

Wjechaliśmy do Thanh Hoa ubrani w montagnardzkie chusty i skórzane czapki. Najwyraźniej miasteczko nie zostało w czasie wojny zmiecione z powierzchni ziemi i zachowało nieco uroku. Zauważyłem nawet starszego gościa w berecie oraz parę hoteli i kafejek, których nie zbudowali energowcy.

Zerknęło na nas parę osób, a kilku gliniarzy przed posterunkiem zmierzyło nas spojrzeniami.

- Na wybrzeżu nie widuje się wielu Montagnardów, więc ludzie są ciekawi, lecz nie podejrzliwi - powiedziała Susan. - To tak, jakby Indianie przyjechali do miasta.

- Zmyślasz to?

- Tak.

Przejechaliśmy przez miasteczko; zauważyłem niewielką asfaltową drogę prowadzącą w lewo. Na znaku był napis Dong Son i coś jeszcze po wietnamsku. Zwolniłem i wskazałem go Susan.

- To stanowisko archeologiczne... - wyjaśniła. - Kultura Dong Son, cokolwiek to znaczy... Tysiąc lat przed naszą erą. Może droga powstała później.

Skrzyłem w wąską uliczkę i przejechałem jakieś sto metrów, a potem zatrzymałem motocykl. Wyciągnąłem mapę z sakwy.

- To jest droga. Pojedziemy nią jakieś pięćdziesiąt kilosów do wioski o nazwie Bai-coś- tam, a potem odbijemy na północ drogą numer piętnaście do drogi numer sześć.

- Pokaż.

Podąłem Susan mapę; przyjrzała się jej w milczeniu i schowała do kurtki.

- Dobra. Jedźmy - rzuciła krótko.

Zapaliłem bmw i ruszyliśmy. Trasa prowadziła koło wykopalisk archeologicznych, a potem asfalt się skończył. Nawierzchnia była zryta przez furmanki i inne pojazdy, więc jechałem między koleinami, co było nieco lepsze.

Robiliśmy zaledwie czterdzieści kilometrów na godzinę, czasem mniej. Teren był wciąż płaski, ale się wznosił. Pojawiało się kilka poletek ryżowych, zniknęły jednak szybko, ustępując miejsca, ogródkom warzywnym.

Bmw Paris-Dakar rzeczywiście okazał się dobrym motocyklem do jazdy terenowej, lecz teren był kiepski. Z trudem utrzymywałem kierownicę, a mój tyłek częściej wisiał w powietrzu, niż spoczywał na siedzeniu. Susan trzymała się mnie mocno.

- Poczujemy to rano - powiedziałem.

- Ja już czuję.

Dotarcie do końca drogi zabrało nam prawie dwie godziny. Wjechaliśmy do niewielkiej wioski o nazwie Bai-coś-tam; droga skończyła się skrzyżowaniem w kształcie litery T.

Skrzyłem w prawo, w drogę numer piętnaście, i okazało się, że nawierzchnia jest trochę lepsza. Były nawet rowy melioracyjne po obu stronach traktu.

Według mapy do drogi numer sześć było ponad sto kilometrów, a przy tej prędkości dotarcie tam musiało nam zabrać co najmniej cztery godziny. Była piąta czterdzieści po południu, słońce kryło się już za górami po lewej stronie.

Droga wspięła się na wzgórza, za którymi widziałem jeszcze wyższe wzniesienia i góry.

Nie rozmawialiśmy za wiele, bo trudno było wydobyć z siebie słowa, podskakując na siodełku.

Zrobiło się prawie ciemno i rozglądałem się za miejscem, gdzie moglibyśmy spędzić noc. Byliśmy teraz na wyżynie, a Wietnamczycy rzadko mieszkali z dala od miast, wsi i terenów rolniczych. Sosny podchodziły do krawędzi drogi i robiło się trochę straszno.

Zatrzymałem motocykl, żeby odpocząć.

- Może tam wyżej jest jakieś schronisko narciarskie - powiedziałem do Susan.

Wyjęła mapę spod kurtki i spojrzała na nią.

- Jakies dwadzieścia kilometrów stąd jest wioska Lang Chanh.

Zastanowiłem się chwilę.

- Wolalbym raczej nie wchodzić do północnowietnamskiej wioski po zmroku.

- Ani ja.

- Cóż... To by chyba było na tyle. - Rozejrzałem się. - Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie można się schować.

- Paul, tą drogą nic się teraz nie porusza. Mógłbyś się przespać nawet na środku.

- Słusznie. - Podprowadziłem motor parę metrów i oparłem o pień sosny.

Susan otworzyła sakwę przy siodełku i wyjęła ostatnie dwa banany, ostatnią butelkę wody i peleryny przeciwdeszczowe.

Usiedliśmy niedaleko motoru, opierając się o pnie dwóch sosen; zdjąłem skórkę z banana.

- Dobra wiadomość - powiedziałem. - W lasach sosnowych nie ma pijawek lądowych.

- Tylko kleszcze i pchły tropikalne.

Zjedliśmy banany, wypiliśmy wodę i patrzyliśmy na blednące światło. Gruba pokrywa chmur zasłaniała niebo i było ciemno jak w beczce smoły. Z lasu dochodziły odgłosy, jakby biegały po nim jakieś małe zwierzęta.

Susan zapaliła papierosa i spojrzała na mapę przy świetle zapalniczki.

- Do Dien Bien Phu zostało czterysta kilometrów.

Siedzieliśmy w milczeniu i słuchaliśmy odgłosów nocy.

- Jeździłaś w dzieciństwie na biwaki?

- Tylko kiedy musiałam. A ty?

- Nie wtedy, gdy mieszkałem w Bostonie. Ale w wojsku biwakowałem notorycznie. Kiedyś zrobiłem rachunek i wyszło mi, że spędziłem pod gwiazdami ponad sześćset nocy... rok w Wietnamie i szkolenie wojskowe. No i jeszcze noc na autostradzie numer jeden, i teraz przetoczył się grzmot i zerwał się wiatr. Albo tu było zimno, albo spędziłem za dużo czasu w ta. To prawie dwa lata. - Po chwili dodałem: - Czasem bywa przyjemnie. - Po wzgórzach Wietnamie. - A czasem nie tak bardzo.

Susan zapaliła drugiego papierosa.

- Chcesz zapalić? - spytała. - To stępie apetyt.

- Właśnie zjadłem banana.

Zaczęło siąpić, więc narzuciliśmy peleryny na głowy. Przysunęliśmy się bliżej, żeby oszczędzać ciepło naszych ciał i owinęliśmy się dokładniej pelerynami.

- Mżawka - powiedziałem.

- Nie, to prawdziwy, cholerny deszcz.

Zaczął mocniej padać, wiatr przybrał na sile.

- Ile ci za to płacą? - spytała Susan.

- Tylko zwracają wydatki.

Roześmiała się.

Oboje byliśmy przemoczeni i zaczęliśmy się trząść. Pamiętam te zimne, mokre wieczory zimą sześćdziesiątego ósmego roku, gdy siedzieliśmy okopani w błocie, a do okrycia mieliśmy tylko gumowe peleryny; na niebie trwał niekończący się spektakl pirotechniczny, który w czarnym deszczu olśniewał groźnym pięknem. Susan musiała myśleć o tym samym, bo spytała:

- Czy wtedy było podobnie?

- Mniej więcej... Właściwie gorzej, bo się wiedziało, że będzie tak, dopóki zimowe deszcze nie skończą się w marcu... I był dodatkowy kłopot z masą ludzi, którzy uganiaли się, żeby cię zabić. - Zrobiłem pauzę i dodałem: - Dość już o wojnie, Susan. Skończyła się. Naprawdę.

- Dobrze. Dość o wojnie. Wojna się skończyła.

Owinęliśmy się pelerynami i położyliśmy razem w deszczu, pod sosnami.

Padało przez całą noc, a my trzęśliśmy się w gumowych pelerynach, przyciśnięci do siebie najbliżej jak tylko można.

Jutro czekało nas Dien Bien Phu, jeśli tam dotrzemy, a potem wioska Ban Hin i Tran Van Vinh. Albo jego grób.

Rozdział 39

Przez korony sosen przedzierało się szare światło poranka. Odwinęliśmy się z mokrych peleryn, ziewnęliśmy i przeciągnęliśmy się. Oboje byliśmy przemoczeni i zmarznięci; zimno wsączyło mi się aż do kości. Susan nie wyglądała dobrze.

Otrzepliśmy peleryny z wody i zrolowaliśmy je. Z sakwy wyjęliśmy suche skarpety, bieliznę i ubrania, przebraliśmy się i wyrzuciliśmy mokre dżinsy i koszule między drzewa; nie potrzebowaliśmy ubrań na zmianę na wiele dni. Może na mniej niż nam się zdawało.

Susan miała w torbie więcej montagnardzkich chust; jedną wytarliśmy motor, a resztę nałożyliśmy na siebie, zmieniając jednocześnie przynależność plemienną.

Zerknęliśmy na mapę i wsiedliśmy na bmw. Silnik zapalił od razu i drogą numer piętnaście ruszyliśmy na północ do drogi numer sześć.

Nawierzchnia składała się przeważnie z czerwonej gliny i warstewki łupków, które zapewniały przyczepność, jeśli za szybko nie dodawałem gazu.

Kilometr dalej zauważyłem niewielki wodospad - formację skalną, z której woda spadała kaskadami do strumienia obok drogi.

Stałem i oboje umyliśmy się kawałkiem pomarańczowego mydła, które Susan zabrała ze sobą; przy okazji napiliśmy się, mając nadzieję, że woda jest czysta. Wsiedliśmy na motor i ruszyliśmy w drogę. Oprócz nas drogą nikt nie jechał, lecz nie mogłem przekroczyć sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, żeby nie stracić panowania nad kierownicą.

Bolała mnie każda kość i każdy mięsień, a ostatnim posiłkiem z prawdziwego zdarzenia była kolacja w szesnastobocznym pawilonie-restauracji, w noworoczną niedzielę. Teraz była środa.

Dotarliśmy do małej wioski Lang Chanh; za nią zaczynały się wysokie wzgórza, a dalej góry, których wierzchołków nie mogłem zobaczyć z powodu niskich chmur i górskiej mgły.

Zwolniłem, wjeżdżając do brudnej wsi z bambusowymi chatami i byle jak skleconymi budynkami z sosnowych pni. Przed paroma minutami minęła siódma, czułem zapach gotowanego ryżu i ryb.

W wiosce było kilkoro ludzi i mnóstwo kur.

- Muszę zdobyć coś do jedzenia - powiedziała Susan.

- Zdawało mi się, że wczoraj zjadłaś banana.

Położyła mi dłonie na gardle i żartobliwie ścisnęła. Potem objęła mnie rękoma i oparła głowę na moim ramieniu. Zauważyłem, że jej ręce na mojej klatce nie zacisnęły się mocno; wiedziałem, że potrzebujemy posiłku.

Minęliśmy Lang Chanh i jechaliśmy dalej. Droga wznosiła się tu bardziej stromo, lecz niesamowite bmw wprost pożerało błotnistą ziemię, wspinając się na wysokie wzgórza.

- To jest całkiem przyjemne. Niezła zabawa. Podoba mi się - powiedziała Susan.

Rzeczywiście przednia zabawa - byliśmy na jednym zadupiu i jechaliśmy do drugiego zadupia.

Trudno było ocenić, jak wysoko jesteśmy, lecz mapa pokazywała wzniesienia od tysiąca pięciuset do dwóch tysięcy metrów; taka była wysokość szczytów, więc byliśmy mniej więcej w połowie tej wysokości. Było zimno, lecz wiatr i mżawka ustały, chociaż w pokrywie chmur nie było ani szczeliny.

Co jakiś czas widziałem duże zagajniki górskiego bambusu, otoczone wyższymi sosnami, i przypominałem sobie pola kukurydzy w Wirginii między wysokimi lasami białych sosen. Z ostatniego pobytu tutaj zapamiętałem, że jeśli coś, co w niczym nie przypomina domu, zaczyna ci go przypominać, to czas wracać.

Zerknąłem na licznik i zobaczyłem, że przejechaliśmy czterdzieści kilometrów od Lang Chanh, więc tuż przed nami powinna być wioska Thuoc. Ostatnie czterdzieści kilometrów drogą numer piętnaście przejechaliśmy w godzinę, ale byłem przekonany, że trochę nadrobię, kiedy dojedziemy do drogi numer sześć, zaznaczonej na mapie jako ulepszona trasa, choć jest to pojęcie względne.

Droga skręcała ostro w lewo, a po kilku minutach musiałem zwolnić przed wioską Thuoc, która wyglądała jak Lang Chanh, z tą różnicą, że było tu mniej kur.

Gdy przejeżdżaliśmy, kilkoro ludzi odprowadziło nas wzrokiem. Byłem raczej pewny, że od czasu do czasu widują motocykle terenowe i że nie mają pojęcia, kim jesteśmy. Ja jednak wiedziałem, że są rdzennymi Wietnamczykami, więc nie byliśmy jeszcze na terenach górali. I rzeczywiście nie zauważyłem dotąd długich chat.

Przejechaliśmy jeszcze jakieś dwadzieścia czy trzydzieści kilometrów i wzgórza stały się wyższe. Droga wiodła wzdłuż strumienia, widziałem strzelające wysoko w niebo górskie szczyty. Mam dobrą orientację w terenie i, choć słońca nie było widać, wydawało mi się, że jedziemy w złym kierunku.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Zjechałem na pobocze, zatrzymałem motor i spojrzałem na mapę. Przyjrzałem się jej, a potem rozejrzałem się, próbując wydedukować, w którą stronę jadę. Niezłe czytam mapy, lecz ta nie była zbyt dobra, a przy drodze nie pojawił się ani jeden drogowskaz.

- Po której stronie drzew rośnie mech? - Zgubiliśmy się?

- Nie, ale chwilowo straciliśmy orientację, jak mawiają w armii.

- Zgubiliśmy się.

- Coś w tym rodzaju.

Zsiedliśmy oboje z motoru i pochyliśmy głowy nad mapą.

- Wydaje mi się, że gdzieś koło Thuoc powinniśmy skręcić, żeby zostać na drodze numer piętnaście, ale nie widziałem żadnego znaku ani drogi.

Susan położyła palec na mapie.

- Kiedy piętnastka odbijała na zachód na tym zakręcie przed Thuoc, trasa prowadziła dalej jako droga numer dwieście czternaście... na niej właśnie jesteśmy. Powinniśmy skręcić ostro w prawo, żeby jechać dalej na północ piętnastką.

- Jesteśmy tuż przed granicą z Laosem.

- A to oznacza pograniczników i żołnierzy.

- Właśnie. Wyośmy się stąd.

Zakręcając, spostrzegłem grzbiet wzgórza i sylwetki długich domów, nad którymi na tle szarego nieba unosił się dym.

- Jesteśmy na terytorium Montagnardów.

Susan rozejrzała się po wzgórzach.

- Czy tutaj jest FULRO?

- Nie wiem. Jestem nowicjuszem, jeśli chodzi FULRO, wbrew temu, co sądzi Mang. - Usłyszałem coś i spojrzałem na drogę w stronę, z której przyjechaliśmy. W naszym kierunku jechał zielony wojskowy džip z dwoma mężczyznami. - Wskakuj.

Wsiedliśmy oboje; motocykl stał wciąż w poprzek drogi. Musiałem się zdecydować, czy pojechać naprzeciwko dzipa i minąć się z nim, czy jechać na zachód w stronę granicy Laosu, dokąd zmierzali tamci. Żadna z tych opcji nie była zbyt atrakcyjna.

Od dzipa dzieliło nas już mniej niż sto metrów; kierowca zauważył motocykl i celowo zjechał na środek drogi, tak żeby nie mógł się przecisnąć obok. W ten sposób zredukował mi liczbę opcji.

Zwróciłem przednie koło w prawo, wrzuciłem bieg i ruszyłem ostro w stronę granicy z Laosem.

- Paul, możemy się zatrzymać i spróbować z nimi pogadać - zawołała Susan. - Nie zrobiliśmy nic złego.

- Mamy na sobie montagnardzkie ubrania, a nie jesteśmy Montagnardami. Jesteśmy Amerykanami, o czym świadczą nasze paszporty, a ja nie chcę wyjaśniać, co tutaj robimy.

Spojrzałem w lusterko wsteczne i zobaczyłem, że džip utrzymuje się za mną. Jechałem

siedemdziesiąt na godzinę i dobrze mi się prowadziło, lecz miałem problemy z utrzymaniem się na siodełku, a Susan trzymała się kurczowo, jakby walczyła o swoje cenne życie.

Co gorsza, zmierzaliśmy do posterunku granicznego, gdzie nas zatrzymają, lecz przez który mógłbym przemknąć na maksymalnej prędkości, uchylając się przed seriami z kałasznikowów w rękach Wietnamczyków i zapewne Laotańczyków po drugiej stronie, bo też są komuchami i czasem działają ręka w rękę z Wietnamczykami. Sytuacja przypominała więc młot i kowadło: żołnierze w dziapie byli młotem, posterunek na granicy - kowadłem, a my byliśmy mięsem na hamburgeru.

Zerknąłem w lusterko i zobaczyłem, że dziap został trochę w tyle; chciał dojechać za mną do granicy, która musiała być już bardzo blisko, licząc, że tam utniemy sobie pogawędkę.

Rozglądałem się za miejscem, w którym mógłbym skręcić w prawo albo w lewo, lecz wydawało się to niemożliwe; żołnierze w dziapie o tym wiedzieli.

- Paul, jeśli się nie zatrzymasz ani nie zwolnisz, oni uznają, że przed nimi uciekamy - ostrzegła mnie Susan. - Zatrzymaj się, proszę. Zaraz spadnę. Zwolnij i zjedź na bok, może nas ominą. Paul, ja zaraz spadnę. Proszę cię.

Zwolniłem i zjechałem na prawą stronę; dziap zaczął się zbliżać. - Dobra... Zachowujemy się spokojnie i zobaczymy, czego chcą. - Ściągnęliśmy chusty i skórzane czapki.

Miałem silne przeczucie, że to jest koniec drogi.

Dziap był tuż-tuż; żołnierz jadący obok kierowcy stał z kałasznikowem w dłoniach. Samochód zrównał się z nami; żołnierz z karabinem spojrzał na nas i krzyknął: *Dung lai! Dung lai!*; to była moja kwestia w sześćdziesiątym ósmym. Dał lufą znak, że mam zjechać na bok i się zatrzymać.

Nagle wyraz jego twarzy dziwnie się zmienił, a potem usłyszałem tuż za mną głośny huk i żołnierz padł jak ścięty na tylne siedzenia; karabin wyleciał mu z rąk. Drugi wystrzał i eksplodowała głowa kierowcy. Dziap zwolnił i stanął, a potem stoczył się powoli, aż jego tylne koła utknęły w rowie.

Zatrzymałem motocykl.

Siedziałem, patrząc prosto przed siebie. Czuję zapach prochu. Nie odwracając się, powiedziałem:

- Przysięgałaś, że broń została w Hue.

Susan nie odpowiedziała, tylko zsiadła z motoru i podeszła do dziapa z dymiącym koltem czterdziestkapiątką.

Nawet nie spojrzała na kierowcę, który nie miał połowy czaszki, ale z dużą wprawą obejrzała drugiego żołnierza, leżącego połową ciała na tylnym siedzeniu dziapa.

- Obaj nie żyją - oznajmiła, chowając kolta pod pikowaną kurtkę. - Dzięki, że zwolniłeś.

Nie odpowiedziałem.

Patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund. Wreszcie Susan się odezwała:

- Nie mogłam pozwolić, żeby nas zatrzymali.

Milczałem.

Wyjęła papierosa i zapaliła. Ręka nawet jej nie drgnęła. Wiedziałem, że jestem w towarzystwie

kogoś, komu broń nie jest obca.

Zaciągnęła się parę razy, a potem wrzuciła papierosa do wody i popatrzyła, czy spływa z nią.

- Jak myślisz, co powinniśmy zrobić z tym bałaganem?

- Zostawić - odparłem. - Pomyślą, że to FULRO. Ale musimy zabrać karabiny, żeby wyglądało na robotę partyzantów.

Susan podeszła do dzipa i wzięła dwa kałasznikowy oraz pistolet Chicom z kabury przy pasie kierowcy.

Ja zabrałem dodatkowe magazynki i wyrzuciłem do lasu, a potem wyjąłem z kieszeni zabitych portfele, papierosy i zapalki, które wepchnąłem do swoich kieszeni.

Patrzyłem na dwóch martwych żołnierzy z ziejącymi, krwawymi ranami, ale nie miałem żadnych skojarzeń z przeszłością; tamto było wtedy, a to tu i teraz, i jedno nie miało nic wspólnego z drugim. No, może trochę.

Susan rozejrzała się po wnętrzu dzipa i znalazła celofanową torebkę suszonych owoców. Otworzyła ją i wyciągnęła w moją stronę.

Potrząsałem głową.

Wzięła garść, włożyła do ust, przeżuła i przełknęła; potem jeszcze jedną, a torebkę schowała do kieszeni.

Podeszliśmy do motocykla z kałasznikowami przewieszonymi przez ramię.

Zawróciłem BMW, wsiedliśmy i ruszyłem w dół po błotnistej drodze w stronę Thuoc, gdzie przeoczyłem skręt.

Zanim tam dojechaliśmy, zatrzymaliśmy się i wrzuciliśmy karabiny, pistolet i osobiste rzeczy zabitych do bambusowego zagajnika. Dotarliśmy do Thuoc; tym razem zauważyłem rozwidlenie traktu i wróciliśmy na drogę numer piętnaście.

W milczeniu przejechaliśmy przez most nad górskim strumieniem i przez wioskę Quan Hoa. Po kolejnych dwudziestu kilometrach dotarliśmy do skrzyżowania z drogą numer sześć. Skręciłem w lewo, na zachód, w stronę Dien Bien Phu.

To była przyzwoita droga, z dwoma wąskimi pasmami, wystarczającymi, żeby przecisnęły się obok siebie dwie ciężarówki, pod warunkiem że każda zjedzie mocno na swoją prawą stronę. Nawierzchnia zrobiona była z czarnego żwiru, który od czasu do czasu zamieniał się w cienki asfalt. Przyspieszyłem do osiemdziesiątki.

Większość rzadkiego ruchu stanowiły ciężarówki przewożące drewno, lecz pojawiały się samochody terenowe i od czasu do czasu jakiś motocykl. Nie widziałem skuterów, zaprzęgów, rowerów ani pieszych; to rzeczywiście była droga znikąd donikąd.

Po lewej stronie, wzdłuż granicy laotańskiej ciągnął się pas wzgórz i gór, po prawej stronie także były wzgórza, a za nimi rysowały się wysokie szczyty Alp Tonkińskich.

W sumie była to malownicza trasa, choć od czasu do czasu powierzchnia niespodziewanie się psuła i musiałem zwalniać.

Droga biegła ogólnie na północny zachód i pod górę. W miarę jak posuwaliśmy się coraz dalej na

zachód, nieliczne ślady zamieszkania znikwały, z wyjątkiem osiedli góralskich, o istnieniu których świadczył dym unoszący się nad lasem w mgliste powietrze; czasem trudno go było odróżnić od górskiej mgły.

Jechaliśmy przez dwie godziny i ani Susan, ani ja nie powiedzieliśmy słowa.

- Odezdziesz się do mnie? - spytała wreszcie. Milczałem.

- Musimy zjechać w bok.

Nieco wyżej widziałem przy drodze płaski teren ze ściętymi drzewami. Był też mały mostek nad strumieniem z okrągłym drenem; przejechałem po nim i zatrzymałem się między pniami ściętych sosen. Zgasilem silnik.

Siedziałem przez minutę, a potem zsiadłem. Susan też zsiadła, ale nie skorzystała z toalety. Przeciągnęła się, zapaliła papierosa i postawiła nogę na pieńku.

- Powiedz coś, Paul.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Powiedz, że dobrze się spisałam.

- Dobrze się spisałaś.

- Dziękuję. Nie mogłam pozwolić, żeby nas zatrzymali.

- Już to mówiłaś.

- Gdybyś się nie pomylił, nie doszłoby do tego.

- Wybacz. Przypadki chodzą po ludziach.

Patrzyła na dym unoszący się z papierosa.

- To, że kocham cię do szaleństwa, jest prawdą.

- To dobra wiadomość, czy zła?

Zignorowała pytanie.

- I właśnie to im się nie podoba... Jeśli w to wierzą.

- Mnie też by się to nie podobało, gdybym wierzył.

- Nie mów tak.

- Potrzebujesz iść za krzaczek?

- Nie. Musimy porozmawiać.

- Nie musimy.

- Musimy. - Spojrzała na mnie. - Tak, pracuję dla CIA, ale jestem też cywilną pracowniczką American-Asian, więc żadne z nas nie jest bezpośrednio zaangażowane w

pracę dla rządu i mogliby się od nas odczepić, gdyby chcieli. Nie chcieli, żebyś mnie rzucił, chcieli, żebyś mi ufał, dlatego kazali ci mnie rzucić. Tak, mam cię trzymać na oku... - Uśmiechnęła się. - Jestem twoim aniołem stróżem. Byłam związana z Billem, który rzeczywiście jest szefem rezydentury CIA; wściekną się, gdy się dowiedzą, że ci o nim powiedziałam. Nie kazali mi z tobą

sypiać... to był mój pomysł. Ułatwiało to pracę, ale naprawdę się w tobie zakochałam... Teraz wiedzą albo podejrzewają, że jesteśmy seksualnie i uczuciowo związani, ale mnie to nic a nic nie obchodzi. - Przerwała na chwilę. - Nie mam pojęcia, co wie ani co widział Tran Van Vinh, ale wiem wszystko o tej misji, z wyjątkiem nazwy wioski, bo nie chcieli, żebym chodziła z tą wiedzą w głowie. O czwartej po południu w niedzielę, po twojej randce z panem Anhem, spotkałam się z nim i powiedział mi wszystko, czego nie wiedziałam, oprócz nazwy wioski, którą mógł podać tylko tobie. - Potem dodała jeszcze: - Mówi, że cię polubił i ufa, że wykonasz tę robotę. - Popatrzyła na mnie. -

Opuściłam coś?

- Rodzinę Phamów.

Skinęła głową.

- Słusznie. To spotkanie przed katedrą zostało zaaranżowane. Motocykl był już kupiony, a egzamin z jazdy zdałeś na drodze do Cu Chi. Poznałam Phama Quan Uyena, kiedy byłam ostatnio w Hue. Można mu ufać.

- Czego nie da się powiedzieć o tobie.

Susan wyglądała na poruszoną.

- Dobrze... nie ufaj mi. Spytaj mnie, o co chcesz. Przysięgam, że powiem ci prawdę.

- Przysięgałaś, że powiesz mi całą prawdę w Sajgonie, Nha Trang i Hue. Przysięgałaś też, że nie masz brom.

- Potrzebowałam jej. Oboje potrzebowaliśmy na wypadek, gdyby zdarzyło się coś takiego, co się właśnie zdarzyło.

- Broń przyda się jeszcze do tego, żeby rąbnąć Trana Van Vinha. Mam rację? - Nie odpowiedziała. - Czemu trzeba go zabić?

- Przysięgam, że nie wiem. Ale dowiemy się - odparła, a potem dodała: - Wierzę, że on żyje.

- Więc zgodziłaś się zabić człowieka, nie wiedząc dlaczego.

- Ty zabijałeś ludzi, nie wiedząc dlaczego.

- Oni próbowali zabić mnie.

Spojrzała na mnie.

- Ilu z nich naprawdę chciało cię zabić?

- Wszyscy. Nie próbuj odwracać kota ogonem. Byłem żołnierzem i brałem udział w wojnie, ale nigdy nie byłem zabójcą.

- Nigdy?

Chciałem ją posłać do diabła, lecz wtedy przypomniałaby mi o A Shau i wszystkim, co w swej głupocie jej powiedziałem. A ja naprawdę nie chciałem do tego wszystkiego wracać.

- Paul... Wiem, że jesteś zły, i masz rację. Ale nie zrobiłam tego z zimną krwią i wyrachowaniem, choć tak się może wydawać...

- Zwodziłaś mnie.

- Daj mi skończyć. Powiedzieli mi, że cię wybrali, bo jesteś dobry, ale też dlatego, że twój szef bardzo cię ceni osobiście. Chciał, żeby twoja kariera się odrodziła albo przynajmniej dobrze zakończyła...

- Na przykład moją śmiercią? To dobre zakończenie?

- Pomyślał też, że jeśli tu wrócisz, będzie to dobre dla ciebie... i związku z twoją dziewczyną. Więc nie bądź cyniczny. Ludziom na tobie zależy.

- Przestań, proszę cię. Gdybym zjadł lunch, tobym go wyrzygał.

Podeszła bliżej.

- Chciałabym wierzyć, że jest ludzki element w tym, co robimy... My, to znaczy

je z nadzieją, że wyjdzie z tego coś dobrego. W innym kraju wysłano by po prostu dwóch Amerykanie. Nie jesteśmy złymi ludźmi, choć czasem robimy złe rzeczy. I myślę, że robimy płatnych morderców, żeby zabili tego faceta, i to byłby koniec pieśni. My tak nie postępujemy. Chcemy mieć pewność, że coś trzeba zrobić z tym człowiekiem, że on jest tym, którego naprawdę szukamy, i jeśli coś wie, to nie można załatwić tej sprawy w żaden inny sposób. - Spojrzała na mnie. - Nie podejść do faceta nazwiskiem Tran Van Vinh i nie odstrzelę mu głowy. - Potem dodała: - Być może zabierzemy go ze sobą do Hanoi.

- Skończyłaś?

- Tak.

- Możemy jechać?

- Nie, dopóki mi nie powiesz, że wierzysz, że cię naprawdę kocham. Nic innego mnie nie obchodzi. Jeśli chcesz, możemy tutaj zawrócić i pojechać prosto do Hanoi. Powiedz mi, co chcesz zrobić albo co ja mam zrobić.

Zastanowiłem się.

- Tak naprawdę chcę to doprowadzić do końca, znaleźć tego faceta i dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi, do jasnej cholery. - Spojrzałem na Susan. - I chcę, żebyś wróciła do Sajgonu, Hanoi, Waszyngtonu albo jeszcze gdzie indziej, skąd cię diabli przynieśli.

Patrzyła na mnie długo, a potem sięgnęła pod kurtkę i wyciągnęła kolta.

Spojrzałem na broń - nigdy nie wolno spuszczać oka z broni - która wyglądała w jej małej ręce, jakby była większego kalibru niż czterdziestkapiątka

Odwróciła kolta rękojeścią w moją stronę i podała mi. Wziąłem. Susan wyjęła z kieszeni dwa dodatkowe magazynki i włożyła mi do drugiej dłoni. Wyciągnęła z sakwy przy siodełku plecak i założyła.

Spojrzałem na nią i zobaczyłem łzy płynące po jej policzkach. Nic nie powiedziała, tylko ujęła moją głowę w dłonie, pocałowała mnie mocno w usta, odwróciła się i przeszła szybko na drugą stronę drogi.

Stała tam, nie patrząc na mnie, tylko na szosę. Nadszedł samochód terenowy, prowadzony przez

Wietnamczyka, z dwoma pasażerami, mężczyznami; Susan podniosła rękę. Wóz zwolnił i zjechał na pobocze.

Cóż... Mogłem pozwolić jej odjechać, lecz później bym tego pożałował, zawrócił i gonił ich pół drogi do Hanoi. Albo mogłem krzyknąć i powiedzieć, że zmieniłem zdanie. Ale mogłem też zostawić ją naprawdę.

Susan pochyliła się i rozmawiała z Wietnamczykami na przednich fotelach. Tylne drzwi się otwały i wsiadła, nie spoglądając na mnie. Kierowca wjechał z powrotem na drogę.

Przeszedłem na drugą stronę i stanąłem przed samochodem. Kierowca odwrócił się do Susan i zatrzymał wóz. Podeszedłem do tylnych drzwi. - Chodźmy - powiedziałem do Susan. Odezwała się do trzech Wietnamczyków, którzy zareagowali uśmiechem.

Wysiadła i zatrzasnęła drzwi. Samochód odjechał. Podeszliśmy do motocykla; Susan schowała plecak do sakwy. Wsiadliśmy. Odwróciłem się i spojrzałem jej w oczy. Znowu płakała, ale po cichu, więc mi to zbyt nie przeszkadzało.

- Jeśli skłamałaś, że mnie kochasz, przysięgam na Boga, że rozwalę ci łeb. Jasne?

Skinęła głową.

Zapaliłem motor, wrzuciłem bieg i ruszyliśmy.

Jechaliśmy dalej w góry w stronę Dien Bien Phu, gdzie pewna armia spotkała się ze swoim przeznaczeniem i gdzie moje przeznaczenie czekało na mnie cierpliwie.

Rozdział 40

Droga numer sześć prowadziła na północny zachód. Było tuż przed południem, a wskaźnik paliwa pokazywał mniej niż pół baku. Nie dojechalibyśmy do Dien Bien Phu bez tankowania. Gdyby na motocyklu nie siedziała ze mną Susan, może udałoby mi się dojechać tam na jednym baku paliwa. Ale gdyby za mną nie siedziała, mógłbym skończyć w wojskowym więzieniu, odpowiadając na trudne pytania.

Idąc jednak dalej tym tropem, pomyślałem, że w restauracji hotelu Rex, między drugim piwem i deserem, moje życie wzięło zły obrót, podobnie jak moja misja. Przemknęła mi przez głowę oczywista myśl, że wszyscy zaangażowani w tę misję wiedzieli o wiele więcej ode mnie... i o wiele wcześniej.

Osuwiska błotne, wywołane przez nadmierne wycinanie drzew, pokrywały znaczne odcinki i tak złej nawierzchni drogi, lecz miały tę zaletę, że wypełniały dziury. Jechałem średnio mniej więcej sześćdziesiątką, czyli szybciej niż większość samochodów terenowych z napędem na cztery koła. Zauważyłem nawet dwa wozy terenowe na dnach jarów.

A wracając do panny Weber, która już mnie nie obejmowała, tylko trzymała się uchwytu, łzy były prawdziwe, tak samo jak te w Czasie Apokalipsy. Tą kobietą, podobnie jak mną, targały konflikty w związku z życiem, Wietnamem i nami. Ale co z tego? Nie lubię być manipulowany ani okłamywany bardziej niż inni, a jeśli stawką jest moje życie, lubię to jeszcze mniej. Przy takim aniele stróżu jak Susan Weber nie musiałem się martwić spotkaniem z aniołem śmierci, co nasunęło mi myśli, że jeśli Susan dostała polecenie, żeby zająć się Tranem Van Vinhem, to kazano jej też zająć się Paulem Brennerem, jeśli zajdzie potrzeba. Nie mogłem się jednak pogodzić z tą myślą, więc ją odsunąłem.

Lecz nie całkiem.

Droga zeszła na płaską wyżynę, na wzgórzach w oddali widziałem długie chaty Montagnardów. Północno-wschodni wiatr omiatał równinę, więc musiałem równoważyć jego siłę, przechylając się nieco w tamtą stronę. Do tego zaczynało padać, więc zwolniłem, żeby lepiej widzieć drogę.

Inna myśl, nasuwająca się w związku z tą bardzo dziwną misją, miała postać pytania: Dlaczego ja? W CID z pewnością było sporo facetów, którzy aż się rwali, żeby zaryzykować życie i pojechać do Wietnamu, i wiedzieli, jak wykonywać rozkazy.

Lecz może Karl słusznie wykalkulował, że Paul Brenner jest tym facetem, którego mu potrzeba. Moją najbardziej oczywistą zaletą było to, że nie jestem pracownikiem żadnej instytucji rządowej, co dawało wszystkim możliwość wiarygodnego wyparcia się związku ze mną, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Byłem pewien, że Susan też nie figuruje na żadnej rządowej liście płac i ma wszystkie wietnamskie atrybuty potrzebne w tej misji: znajomość kraju, języka i kultury - znajomość Wietnamu, którą amerykański wywiad zdążył stracić przez te ćwierć wieku. Poza tym była kobietą, czyli budziła mniej podejrzeń Wietnamczyków, którzy mają niskie mniemanie o kobietach.

Na papierze wszystko wyglądało świetnie, ale zawsze istnieje możliwość, że agenci przeciwnych płci poczną do siebie miętać. Właśnie to zdarzyło mi się z Cynthią. Karl jednak przekonał kolegów, że Paul Brenner jest zakochany w Cynthii Sunhill i że jest monogamistą, który wykazał się w toku służby dobrą, choć nie nieskazitelną, umiejętnością trzymania fiuta w rozporoku. Poza tym Susan była mocno zaangażowana w związek z Billem Stanleyem, szefem rezydentury CIA w Sajgonie.

Ostatnia myśl była taka, że Karl naprawdę się o mnie troszczył i chciał przysłużyć się mojej karierze i mnie osobiście, dlatego uznał, że misja może pomóc mojemu napiętemu związkowi z Cynthią. Jeśli zaś idzie o Cynthię, to nie miałem pojęcia, co wiedziała i co jej powiedziano, ale postawiłbym połowę mojej emerytury, że nikt jej nie wspomniał o pannie Weber.

Przejechaliśmy przez niewielkie rolnicze miasteczko, przed którym stał nawet znak z nazwą Yen Chau. Po obu stronach drogi znajdował się duży rynek; większość handlujących stanowili Montagnardzi w tradycyjnych strojach. Pod dachami straganów parkowało dużo pojazdów, których kierowcy rozmawiali i obserwowali deszcz, kurząc papierosy. Przy drodze, przodem do nas, stał zielony wojskowy dżip, lecz miał podniesiony brezentowy dach, a dwaj mężczyźni w środku palili papierosy i nie patrzyli na nikogo. Pojechałem dalej.

Musiałem wziąć kilka zakrętów i wiraży, co wymagało ograniczenia prędkości, żeby nas nie wyrzuciło na pobocze. Wąwozy były tak głębokie, że spadałbym jeszcze po wygaśnięciu mojej wizy.

Przejechaliśmy przez małą montagnardzką wioskę po zbudowanym z drewna i stali moście nad parowem, na którego dnie płynął wezbrany strumień deszczówki.

Mniej więcej godzinę później deszcz zelżał i zobaczyłem oznaki cywilizacji.

- Son La. Stolica prowincji - oznajmiła Susan.

Wjechaliśmy do miejscowości, która wyglądała jak miasteczko na Dzikim Zachodzie, zbudowane wzdłuż głównej ulicy. Po obu stronach drogi numer sześć, bardzo tutaj wąskiej, stało parę domów z kwaterami do wynajęcia i było kilka kafejek. Wyblakły drewniany znak z francuskim napisem *Penitencjaire* wskazywał boczną uliczkę. Francuzi wiedzą, jak wybrać miejsce na więzienie. Przy tym miasteczku Diabelska Wyspa wyglądałaby jak Tahiti.

Znaczna część mieszkańców Son La wyglądała na Montagnardów w nowoczesnych ubraniach; wielu nosiło berety. Przy ulicy stał stary francuski słup kilometrowy z betonu z napisem *Dien Bien Phu, 150 km*. Spojrzałem na wskaźnik i oceniłem, że zostało mi paliwa na jakieś sto kilometrów, może mniej.

- Chcesz się zatrzymać przy stacji? - spytała Susan.

- Nie.

Minęliśmy przedmieścia Son La. W Wydziale Prac Publicznych zabrakło widać dongów i droga zamieniła się w ciekłą warstewkę błota i asfaltu. Często wpadałem w poślizg, a szosa stała się wznosiła.

Wjeżdżaliśmy znowu w wysokie wzgórza, droga zrobiła się bardziej stroma i wąska. Zanurzyłem się w ścianę mgły. Jazda przez górską mgłę miała surrealistyczny posmak... puszczając wodze fantazji, można było sobie pomyśleć, że jedziemy motocyklem we wzburzonym powietrzu.

- To jest przełęcz Pha Din - powiedziała Susan. - Muszę zsiąść.

Zatrzymałem się. Podprowadziłem motor do brzegu wąskiego potoku i postawiłem go na stopce.

Skorzystalismy z toalety. Oboje byliśmy spryskani błotem, więc umyliśmy się w lodowatej wodzie spływającej po skałach, a potem się napiliśmy.

Susan częstowała mnie suszonymi owocami z torebki, ale potrząsnąłem głową. Zjadła trochę, a potem zapaliła papierosa.

- Jeśli nie chcesz się do mnie odzywać albo jeśli mnie nienawidzisz, powinieneś być pozwolić mi odejść - stwierdziła.

To była prawda, ale milczałem.

- Dałam ci broń - ciągnęła. - Co jeszcze mogę zrobić, żebyś mi ufał?

- Masz przy sobie inną broń?

- Nie.

Chciałem spytać, czy miała mnie zlikwidować, gdybym stał się niewygodny, ale nie mogłem się do tego zmusić; poza tym na pewno nie usłyszałbym jasnej odpowiedzi.

- Chcesz porozmawiać? - spytała.

- Już rozmawialiśmy.

- Dobrze. - Wrzuciła papierosa do strumienia, a potem wyciągnęła w moją stronę torebkę z owocami. - Nie jadę dalej, jeśli czegoś nie zjesz.

Nie lubię owoców, nawet suszonych, lecz zaczynało mi się kręcić w głowie, może z powodu wysokości. Wziąłem torebkę i trochę zjadłem.

- Daj mi mapę.

Susan podała mi ją. - A jak z paliwem? - spytała.

- Stąd będzie przeważnie z górki - odparłem. Stała koło mnie i spojrzała na mapę.

- W Tuan Giao powinna być stacja benzynowa. Droga numer sześć skręca tam na północ, a ta druga

odbija na południe do Dien Bien Phu.

- Domyśliłem się. Gotowa?

- Muszę jeszcze zapalić - odrzekła, wyjmując papierosa. Czekałem.

- Jeśli mnie nie kochasz albo mi nie ufasz, skoczę z tego urwiska - powiedziała.

- Tu nie ma urwiska, a ja nie jestem w nastroju, żeby ulegać twoim zniewalającym czarom.

- Nienawidzisz mnie?

- Nie, ale mam cię dość.

- Przejdzie ci kiedyś?

- Ruszajmy - powiedziałem, wsiadając na motor.

- Kochasz mnie?

- Prawdopodobnie.

- Ufasz mi?

- Wcale.

Rzuciła papierosa.

- Dobrze. Jedźmy - stwierdziła.

Wsiadła, zepchnąłem motocykl ze stopki i zapaliłem silnik. Jechaliśmy dalej przełęczą, a widoczność we mgle nie przekraczała trzech metrów. W pewnym momencie znaleźliśmy się na prostym zjeździe, więc zmieniłem bieg na luz, żeby oszczędzać paliwo. Nawet wtedy jechaliśmy za szybko i musiałem naciskać hamulec.

Zobaczyłem parę świateł i po kilku sekundach z mgły wynurzył się wojskowy dżip. Na naszych twarzach widać było tylko okrągłe oczy, a i one były zakryte goglami. A jednak kierowca przyglądał się nam... odniosłem wrażenie, że w służbach rozeszła się już wieść o ataku FULRO na dżipa koło laotańskiej granicy. Takie rzeczy nie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz podejrzewałem, że zdarzały się częściej, niż Wietnamczycy się przyznawali, dlatego żołnierze mieli się na baczności.

Dżip zwolnił, a żołnierz na fotelu pasażera trzymał kałasznikowa w pogotowiu. Myślałem, że zablokuje drogę, więc trzymałem jedną rękę na hamulcu, a drugą w każdej chwili mogłem sięgnąć po kolta za pasem.

Dżip prawie się zatrzymał; żołnierze obserwowali, jak przejeżdżamy. Policzyłem do pięciu, a potem wrzuciłem bieg i przyspieszyłem. Zgasiałem też reflektor, dzięki czemu lepiej widziałem we mgle. Jechałem osiemdziesiątką, czyli za szybko jak na tę drogę i słabą widoczność. Gnałem na ślepo, licząc na swój nieistniejący fart i wyczucie biegu drogi. Musiałem oddać Susan sprawiedliwość, że nic nie mówi, co świadczyło o tym, jak dalece mi ufa, albo o tym, że zamknęła oczy.

Zerkałem w lusterko, ale nie widziałem za nami żadnych żółtych świateł przeciwmgłowych.

W ciągu godziny wyjechaliśmy z mgły i zobaczyłem odcinek krętej drogi wijącej się przez lesiste

wzgórza.

Nigdy nie byłem na takim zapomnianym przez Boga pustkowiu, nawet w czasie wojny, i wiedziałem, że nie ma tu miejsca na błąd - jeden fałszywy ruch oznaczał dla nas koniec podróży.

Wrzuciłem trójkę i jechaliśmy dalej przez las. Spojrzałem na wskaźnik; bak był prawie pusty. Miałem nadzieję, że uda mi się kupić za paskarską cenę trochę paliwa od przejeżdżającego samochodu czy ciężarówki, jeśli mi go zabraknie; wiedziałem, że wszystkie pojazdy wożą ze sobą kanistry i prawdopodobnie gumowe rurki. Ale wyglądało na to, że jestem jedynym idiotą na tej drodze, nie licząc wojskowego dzipa, i nie spodziewałem się, żeby żołnierze sprzedali mi paliwo.

Usłyszałem, że silnik kaszle; przełączyłem na rezerwowy zbiornik.

Susan też usłyszała.

- Jedziesz na rezerwie? - spytała.

Skinąłem głową.

Nie udzieliła mi żadnej rady ani nie skrytykowała za błąd w ocenie ilości paliwa.

Mniej więcej w chwili, gdy paliwo w rezerwowym baku powinno się wyczerpać, ujrzałem przed nami trochę wolnej przestrzeni i kilka chat.

W ciągu paru minut znaleźliśmy się w miasteczku Tuan Giao, leżącym przy skrzyżowaniu drogi numer sześć, prowadzącej na północ w stronę Chin, z inną, która wiodła na południe do Dien Bien Phu.

Zobaczyłem znak z napisem *Et-xang*.

- Jesteśmy Francuzami - powiedziałem do Susan. Zdjęliśmy montagnardzkie chusty i skórzane czapki i schowaliśmy je pod kurtki; ruszyłem w stronę znaku.

Skończyło nam się paliwo, zanim dojechaliśmy do tak zwanej stacji obsługi, i ostatnie sto metrów musieliśmy pchać motor.

Et-xang, czyli stacja obsługi, składała się z błotnistego podwórka i walącego się budynku, w którego wnętrzu znajdowały się butelki i bańki z benzyną najrozmaitszych rozmiarów, kształtów i pojemności.

Właścicielem był stary Wietnamczyk, opatulony jakby padał śnieg; uśmiechnął się na widok dwojga cudzoziemców pchających przez błądźko bmw. To mógłby być tata Szpanera.

- *Bonjour, monsieur* - przywitała go Susan.

- *Bonjour, mademoiselle* - odparł, wykazując dużą delikatność w ocenie jej wieku.

Nie było dużo więcej do powiedzenia; facet bez pudła domyślił się, że zabrakło nam paliwa, i zaczął wlewać do baku beemki benzynę z rozmaitych pojemników. Podnosił przy tym palec lub dwa palce, lub trzy i mówił po francusku: *Litres*. Przerwałem mu, kiedy doszedł w tych rachunkach do czterdziestu, chociaż tyle nie mieściło się w baku.

Policzył sobie półtora dolca za litr, czyli drogo jak na Wietnam, ale ja i tak nie byłem pewien, gdzie nas diabli zanieśli, więc zapłaciłem mu w dolarach.

Była szóstka piętnaście po południu, słońce zaczynało się kryć za górami na zachodzie. Odległości

w tej części świata nie są duże, lecz czas podróży bywa mylący. Przejechaliśmy prawie tysiąc kilometrów, co na prawdziwej drodze powinno nam zająć może osiem godzin, tutaj natomiast straciliśmy na to dwa dni, jadąc dwanaście godzin dziennie, a przecież jeszcze nie dojechaliśmy.

Następny dzień, czwartek, był oficjalnie ostatnim dniem świąt Tet, choć w rzeczywistości trwały one do końca weekendu. Nie dawała mi spokoju myśl, że znajdziemy wioskę Ban Hin i dom Trana Van Vinha tylko po to, by usłyszeć: „O, jak nam przykro, spóźnili się państwo. On właśnie wraca do Sajgonu, gdzie teraz mieszka. Jest dyrektorem hotelu Rex”, albo coś podobnego.

- Miło widzieć, że znów się uśmiechasz - powiedziała Susan. - O czym myślisz?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Jeśli coś cię rozwesela, to ja też się cieszę.

- Gdybym miał coś w żołądku, puściłbym pawia.

- Nie bądź złośliwy.

- Wsiadaj.

Ruszyliśmy na południe. Zobaczyłem słupek kilometrowy z napisem *Dien Bien Phu, 81 km*.

Byliśmy teraz zachodnimi turystami w drodze do francuskiego odpowiednika Khe Sanh i doliny A Shau, i wietnamskiego odpowiednika Yorktown, Termopil, Armagedonu i tuzina innych miejsc Ostatnich i Ostatecznych Bitew, które w rzeczywistości były tylko preludiami kolejnych wojen.

A jeśli chodzi o siedzącą za moimi plecami wielbicielek koltów i papierosów, to musiałem wykombinować, czy wiozę ze sobą anioła stróża, czy kogoś bardziej niebezpiecznego. A może z ufnością należało przyjąć, że ostatnia runda wyznań panny Weber zawierała prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

Droga była zła, więc Susan objęła mnie ramionami. Wciąż byłem mocno nabuzowany, lecz nic tak jak głód i zmęczenie me wyciąga z człowieka jadu i żółci. Ta dama umiała jeździć motorem, strzelać i mówić, a ja miałem w tych stronach zbyt wielu wrogów, którymi należało się martwić, więc poklepałem ją po ręce.

Przesunęła dłonią po moim brzuchu.

- Jesteśmy przyjaciółmi? - spytała.

- Nie, ale kocham cię - odparłem.

Pocałowała mnie w szyję. Nasunęło mi to skojarzenie z wielkim kotem z długimi kłami, który liże upolowaną antylopę, zanim przegryzie jej kark.

Rozdział 41

Jakieś czterdzieści kilometrów przed Dien Bien Phu droga zamiast się poprawić w pobliżu miasta, okazała się gorsza niż dotąd. Czy tutaj wszystko musi być na opak? Nie było ani jednej odbłaskowej strzałki ani żadnego innego odbłaskowego znaku, mgła nad ziemią zgęstniała, rozpraszając światło reflektora; zaczynałem tracić orientację.

- Paul, zatrzymajmy się i śpijmy tutaj - zaproponowała Susan.

- Gdzie?

- Tutaj. Na poboczu.

- Nie widzę żadnego pobocza.

Jechaliśmy dalej, jakieś piętnaście kilometrów na godzinę, i motocykl kołysał się na boki przy małej prędkości. Ze dwie godziny później, przed dziesiątą, nagle po obu stronach drogi ukazała się dolina. Teren zaczął się obniżać i po kwadransie wjechaliśmy w szeroką, otwartą kotlinę. Nie widziałem jej za dobrze, lecz ją wyczuwałem i dostrzegałem rozrzucone światła.

Nikły poblask księżyca i gwiazdy odbijały się w jeziorze, jak mi się zdawało, ale potem zauważyłem, że to szereg poletek ryżowych. W sześćdziesiątym ósmym roku wiele dolin w

Wietnamie dostało przydomek Szczęśliwa Dolina, co znaczyło tylko tyle, że amerykańscy żołnierze podczas patrolu ucieszyli się na jej widok. To była Szczęśliwa Dolina.

Droga skręciła ostro w lewo i po obu stronach ukazały się chaty. Dopiero po chwili zorientowałem się, że jestem w mieście Dien Bien Phu. Po lewej stronie widziałem oświetlony znak z napisem *Restauracja Nga Luan*, a po prawej lokal o nazwie *Motel Dien*

Bien Phu. Wszystko to wyglądało jak przywidzenie; zdawało mi się, że spadłem z urwiska i jestem teraz w wietnamskim niebie.

- Zwycięzcą ogłaszam motel Dien Bien Phu - oznajmiłem. Podjechaliśmy do recepcji motelu w środkowej części długiego murowanego budynku i zsiadliśmy. Przeciągnąłem się i odkryłem, że moje mięśnie nie łączą się ze sobą i nie pracują. Z trudnością wlokłem się do recepcji, myślałem, że padnę na twarz. Nawet nie mogłem ściągnąć rękawic.

- Będą chcieli nasze paszporty i wizy - powiedziała Susan, zanim weszliśmy. - Tu, na północy, nie tolerują odmownych odpowiedzi ani nie można im w zamian dać dziesięciu dolarów.

- Więc jesteśmy Amerykanami. To nie znaczy, że jesteśmy źli. - W końcu nasze nazwiska trafią do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Hanoi i ktoś odnotuje, że tu byliśmy.

- Rozumiem. Ale myślę, że dojedziemy do Hanoi, zanim dotrą tam nasze nazwiska. To ostatni etap podróży, lecz jeśli chcesz, możemy spać pod gwiazdami.

Susan zastanowiła się przez moment; widziałem profesjonalistkę, która rozważała ryzyko.

- Weźmy pokój - zdecydowała.

- Na cztery doby, żeby pomyśleli, że spędzimy tu kilka dni.

- Zabiorą nam paszporty do czasu wymeldowania się, więc jutro będą wiedzieli, że nas nie ma. To państwo policyjne.

- Racja. Jeśli jednak zarezerwujemy na cztery doby, taka informacja znajdzie się w raporcie wysyłanym Hanoi. Wchodź. Mnie nie muszą widzieć.

- Muszą. Czy wspominałam już, że to państwo policyjne?

Weszliśmy do małej recepcji. Za kontuarem siedziała kobieta w średnim wieku i czytała gazetę.

Susan zapytała po francusku o pokój i kobieta wyglądała na zaskoczoną, że tak późno się

meldujemy. Rozmawiały złym francuskim, wplatając angielskie i wietnamskie słowa. Musieliśmy wyjąć paszporty i wizy; recepcjonistka stwierdziła stanowczo, że musi je zatrzymać.

Za dziesięć dolarów amerykańskich dostaliśmy klucz do segmentu numer siedem. Moja szczęśliwa liczba.

Wyszliśmy z recepcji, a ja doprowadziłem motocykl do przydzielonego nam segmentu na końcu lewego skrzydła motelu.

- Ta pani powiedziała, żeby wstawić motocykl do środka, bo nigdy więcej go nie zobaczymy - oznajmiła Susan.

Wepchnąłem beemkę do malutkiego pokoju i postawiłem tuż za podwójnym łóżkiem.

Była tam mała łazienka, jeden nocny stolik, jedna lampa i wieszak na ubrania, zwisający z sufitu na łańcuchach, które wyglądały jak uchwyt dla par lubiących śmiałe eksperymenty erotyczne.

Wyjęliśmy plecaki z sakw i położyliśmy na łóżku. Susan weszła do łazienki, włączyła elektryczny bojler i umyła ręce i twarz w zimnej wodzie. Potem podeszła do drzwi i oświadczyła:

- Ta pani powiedziała, że przyniesie nam coś do jedzenia. Zaraz wracam.

Wyszła.

Usiadłem na łóżku, zdjąłem tenisówki, a potem mokre skarpetki. Później ściągnąłem z siebie skórzaną kurtkę i rękawice, a kołta schowałem pod poduszkę. Rozejrzałem się. Coś mi podpowiadało, że to miejsce jest okropne, lecz w tej chwili wyglądało w moich oczach jak hotel Ritz-Carlton w Waszyngtonie.

Susan wróciła z bambusową tacą, na której stały bambusowe naczynia; kiedy je odkryła, ukazały się kawałki rozgotowanego mięsa, a także miseczki z zimnym ryżem, pałeczki i butelka wody. Postawiła tacę na łóżku.

Uklękliśmy przy nim i zjedliśmy mięso i ryż palcami. Połknięcie wszystkiego zabrało nam jakieś pół minuty, a wodę wykończyliśmy jeszcze szybciej.

- Chyba byłeś głodniejszy, niż myślałeś - zauważyła Susan. a potem dodała: - To było mięso jeżozwierza. Nie żartuję.

- Nie zrobiłoby mi różnicy, gdyby nawet był to pies.

Uśmiechnęła się, postawiła tacę na podłodze, a potem wstała i zdjęła mokre, ubłocone ubrania.

- Recepcjonistka była zaskoczona, że przejechaliśmy przez góry nocą na motocyklu - powiedziała, rozbierając się.

- Ja też.

- Oświadczyła, że jeszcze nigdy nie meldowała nikogo tak późno... właśnie miała gasić światła i wychodzić. Być może wzbudziliśmy trochę podejrzeń.

- Wszędzie budzimy podejrzania, gdziekolwiek się znajdziemy.

- Myślę, że już jest w porządku. Kobieta mówiła, że w mieście jest trochę cudzoziemców, choć większość przyjeżdża później, w sezonie.

- Tutaj jest jakiś sezon?

Susan położyła dłonie na zapince stanika, a potem spojrzała na mnie, jakby chciała spytać: „Czy nie będzie ci przeszkadzać, jeśli stanę przed tobą nago? A może nie jesteśmy już kochankami?”.

Wstałem i rozpiąłem koszulę. Susan rozpięła stanik i rzuciła na motocykl, a potem zsunęła figi.

Ja byłem wściekły, ale Dickie Johnson bynajmniej. Był nawet zadowolony i zanosilo się między nami na sprzeczkę. Lecz mój wielki mózg prawie padał z wyczerpania, a mały Dickie drzemał sobie spokojnie przez całą drogę, więc nie byłem dla niego żadnym przeciwnikiem. Ściągnąłem koszulę, szorty i slipy, a Dickie zaczął się naprężać.

Staliśmy tak z Susan w świetle lampy; nasze twarze były całe brudne, z wyjątkiem miejsc zakrytych przez gogle i chusty, a nasze ciała pokrywał wilgotny pot i Bóg jeden raczy wiedzieć co jeszcze, po dwóch dniach bez prysznic.

- Chcesz zabić jakoś czas, póki się woda nie nagrzeje? - spytała Susan.

Skinąłem głową.

Odsunęła kołdrę, która miała czerwony odcień od wody z dużą zawartością tlenu żelaza.

Położyła się, przetoczyła na plecy i skinęła na mnie. Podeszedłem do łóżka, a Dickie wskazywał mi drogę.

Wsunąłem się na Susan i od razu wszedłem. Nie mogłem chodzić ani nawet kontrolować ruchów kończyn, mój kręgosłup zachowywał się tak, jakbym skoczył ze spadochronem z czterdziestoma kilogramami sprzętu i wylądował na betonie, a mimo to chciałem seksu. Niesamowite.

Dickie był w domu, tam gdzie chciał być, ale ja nie mogłem się ruszać jak należy. Susan to wyczuła i zaczęła pracować biodrami w górę i w dół.

Chyba doznaliśmy orgazmu jednocześnie albo może spazmu mięśni, po którym nastąpił krótki stan nieprzytomności. Ocknąłem się, leżąc wciąż na Susan. Wstałem z łóżka i obudziłem ją, potrząsając za ramię.

Praktycznie zaniósłem ją do łazienki i puściłem wodę. W umywalce leżał ułamek mydła; razem weszliśmy do kabiny z przezroczystego tworzywa. Postaliśmy trochę pod strumieniem letniej wody, a potem wytarliśmy się małymi ręcznikami. Dowlekliśmy się do łóżka i padliśmy obok siebie.

- Czy odbyliśmy stosunek? - spytała Susan.

- Tak mi się wydaje.

- To dobrze. - Ziewnęła i spytała: - Jesteśmy przyjaciółmi?

- Oczywiście.

Przez chwilę nic nie mówiła i myślałem, że usnęła. Zgasilem lampę.

- Gdzie kolt? - spytała w ciemności.

- Pod poduszką. Niech tam zostanie.

- Wszystko, co ci mówiłam o moim życiu osobistym, jest prawdą.

- Dobranoc.

- A co do reszty... Cóż, jaki miałam wybór?

- Nie wiem. Słodkich snów.

Cisza.

- Mam ze sobą zestaw zdjęć - oznajmiła po pewnym czasie. To mnie obudziło.

- Zdjęć ofiary?

- Tak. I domniemanego mordercy.

Usiadłem i zapaliłem światło.

- Mów dalej.

- To wszystko. Obaj są młodzi, w mundurach, a zdjęcia nie mają podpisów.

- Gdzie one są?

- W moim plecaku.

Wstałem i otworzyłem plecak. Wyrzuciłem jego zawartość na łóżko; nie było tam drugiego pistoletu, co poprawiło mi samopoczucie.

Znalazłem album z tworzywa i folii, z jednym zdjęciem na każdej stronie. Podniosłem go do światła. Zacząłem przerzucać stronicę; pierwsze dziesięć czarno-białych fotografii przedstawiało tego samego mężczyznę w różnych mundurach: khaki, polowym moro, zielonym mundurze wyjściowym, a nawet w galowym, granatowym. Na niektórych zdjęciach był z gołą głową, a na innych w hełmie bądź odpowiednim do munduru nakryciu głowy. Po insygniach widziałem, że był porucznikiem; miał też odznakę piechoty w postaci skrzyżowanych karabinów. Na jednym zdjęciu miał na sobie moro, a na jego ramieniu rozpoznałem naszywki Pierwszej Dywizji Kawalerii i Komendy Korpusu Doradców Wojskowych w Wietnamie. Miał jakieś dwadzieścia pięć lat, może trochę mniej. Jasne jak piasek włosy, krótko obcięte, duże niewinne oczy i miły uśmiech.

Nawet nie znając stopnia, wiedziałbym, że ten facet nie jest mordercą, lecz ofiarą. Wyglądał jak wielu chłopaków w Wietnamie, chłopaków, których znałem, a którzy mieli w uśmiechu i oczach coś, co mówiło, że długo nie wytrzymają. Doprawdy, dobrzy ginęli młodo, a pozostali mieli szansę fifty-fifty. Zgadywałem, że te zdjęcia pochodzą z rodzinnego albumu.

Druga seria mniej więcej dziesięciu zdjęć przedstawiała mężczyznę z belkami kapitana. On też nosił odznakę piechoty, a na kilku fotografiach miał na sobie moro z tymi samymi naszywkami co porucznik.

Przyjrzałem się twarzy mężczyzny, ale wzrok mi się rozmywał a umysł prawie usypiał. Mimo to spostrzegłem w niej coś znajomego, choć nie mogłem jej umieścić we właściwym kontekście - wiedziałem tylko, że ją znam.

Na jednym ze zdjęć kapitan był ubrany w zielony mundur wyjściowy; twarz wydała mi się jeszcze bardziej znajoma. Facet miał chropawą urodę, ciemne, po wojskowemu krótko obcięte włosy, ciemne, przenikliwe oczy i okazjonalny uśmiech, który mógł uchodzić za szczerzy.

Na jego zielonym mundurze dostrzegłem dwa rzędy baretek z których większość rozpoznałem; był tam wietnamski Krzyż Walecznych, taki jak mój, ale także Srebrna Gwiazda, którą przyznawano za męstwo wykraczające poza ramy obowiązku i tak dalej. Medal za Służbę w Wietnamie, co - podobnie jak odznaczenia za męstwo - świadczyło, że zdjęcie zostało zrobione po Wietnamie. Kapitan miał też Purpurowe Serce, ale ponieważ był w mundurze - po zakończeniu służby w

Wietnamie - nie dostał go za obrażenia powodujące trwałe kalectwo. Kimkolwiek był ten człowiek, wrócił do domu w chwale i z honorem i być może w dalszym ciągu żył, jeśli nie wrócił do Wietnamu i nie skończył mu się fart. Oczywiście, że żył; właśnie dlatego tu byłem.

Spojrzałem w oczy kapitana w zielonym mundurze, nieobecne jakby jego myśli wędrowały gdzieś bardzo daleko. Kimkolwiek był ten mężczyzna, ktoś z CID - a być może także FBI - uważał go za mordercę.

- Rozpoznajesz któregoś z nich? - zapytała Susan.

Spojrzałem na nią.

- Nie. A powinienem?

sławny. - Cóż. Przecież rozmawialiśmy i doszliśmy do wniosku, że jeden z nich może być teraz

Nie skomentowałem jej słów.

- Może nasz świadek zidentyfikuje jednego z nich, lub obu, choć to mało prawdopodobne

- powiedziałem.

Odłożyłem album na stolik. Musiałem się z nim przespać i liczyć na to, że może mi się coś skojarzy. Miałem przecucie, że Susan mogłaby podpisać zdjęcia nazwiskami obu mężczyzn.

Susan coś mówiła; usłyszałem zdanie zaczynające się od „Jutro” i kończące słowem „wniośki”. Bardzo odpowiedni moment, żeby usnąć

Rozdział 42

Śnił mi się mój dom w Wirginii; za oknem padał lekki śnieg. Zbudziłem się o świcie w innej rzeczywistości. Susan już nie spała.

- Gdybyśmy wrócili razem do Stanów, myślę, że moglibyśmy to wszystko zostawić za sobą - powiedziała.

- Wracajmy razem do Stanów - odparłem.

Ujęła mnie za rękę.

- A kiedy ludzie spytają nas, jak się poznaliśmy, powiemy, że na wakacjach w Wietnamie.

- Mam nadzieję, że nie tak wyobrażasz sobie wakacje.

- Albo powiemy, że byliśmy agentami wykonującymi tajną misję i nie wolno nam o tym mówić.

Usiadłem.

- Musimy ruszać.

Susan ścisnęła moją dłoń.

- Jeśli coś mi się stanie, a tobie uda się stąd wydostać, pojedziesz do mojej rodziny i opowiesz wszystko? O tych ostatnich kilku tygodniach...?

Nie odpowiedziałem. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku złożyłem taką obietnicę

trzem chłopakom z okolic Bostonu. Jeden z nich nie wrócił, więc kiedy znalazłem się w domu, dotrzymałem słowa i odwiedziłem jego rodziców w Roxbury; to były dwie najdłuższe godziny w moim życiu. Naprawdę wolałbym wrócić do Wietnamu i walczyć. Mama, tata, dwóch młodszych braci i siostrzyczka, mniej więcej czteroletnia, która wciąż pytała, gdzie jest jej brat.

- Paul?

- Obiecuję - odparłem. - Zrób to samo dla mnie.

Usiadła i pocałowała mnie, a potem wstała z łóżka i poszła do łazienki.

Ubrałem się, uporządkowałem wszystkie nasze rzeczy i wsunąłem kolta z tyłu za pasek. Susan wyszła z łazienki i zaczęła się ubierać.

- Jaki jest plan? - spytała.

- Będziemy kanadyjskimi turystami i trochę się rozejrzemy.

Zostawiliśmy motocykl w pokoju i wyszliśmy z motelu na ulicę, czyli tę samą drogę, którą przyjechaliśmy.

Było chłodno, niebo częściowo zasnuwały chmury; zauważyłem że większość zabudowań stanowią domy z francuskiej epoki kolonialnej, stojące wśród bujnej roślinności.

Po gruntowej drodze chodziło i jeździło na rowerach sporo ludzi. Większość mężczyzn nosiła hełmy z włókien palmowych, tak jak północnowietnamscy żołnierze w sześćdziesiątym ósmym roku, i na ich widok wciąż przechodziły mi ciarki po plecach. Wietnamki miały na głowach stożkowe kapelusze ze słomy, a Montagnardzi, którzy na oko stanowili większość tutejszej populacji, nosili tradycyjne stroje co najmniej dwóch różnych plemion.

Sądząc po odległości od otaczających gór, ta dolina była większa niż Khe Sanh czy A Shau.

Idąc drogą, minęliśmy niewielkie wzgórze, na którego szczycie stał stary francuski czołg. Trochę dalej przeszliśmy obok muzeum wojskowego i dużego cmentarza, też wojskowego, a potem skręciliśmy w prawo przy znaku z dwoma skrzyżowanymi mieczami, międzynarodowym symbolu pola bitwy.

Zauważyłem bunkier z drewnianym znakiem i napisem po francusku, wietnamsku i angielsku, poprawnie sformułowanym. *Oto bunkier pułkownika Charlesa Pirutha, dowódcy francuskiej artylerii. Drugiego dnia bitwy pułkownik Piruth, świadom, że jest otoczony przez przytłaczające siły artyleryjskie Viet Minhu, osobiście przeprosił wszystkich swoich artylerzystów, a potem wszedł do bunkra i zabił się granatem ręcznym.*

Popatrzyłem na otwarty bunkier i uznałem, że pewnie zdążyli posprzątać w środku.

- Chyba nie rozumiem - powiedziała Susan.

- Myślę, że trzeba było tam być - odparłem.

Rozejrzałem się po wzgórzach i doszedłem do wniosku, że rozumiem. Francuzi dążyli do regularnej bitwy, tak jak Amerykanie pod Khe Sanh, i przyszli tu, na to pustkowie, żeby zwabić komunistów do walki. Dostali więcej, niż się spodziewali. Zdarza się.

Susan zrobiła zdjęcie i poszliśmy dalej. Przekroczyliśmy mostek nad rzeczką płynącą przez dolinę. Po drugiej stronie mostka stał pomnik poległych żołnierzy Viet Minhu, wzniesiony na terenie

francuskiego fortu o nazwie Elaine.

Po terenie spacerowały niewielkie grupki zachodnich turystów, wszystkie z przewodnikami.

Ruszyliśmy za jedną z nich, która skręciła w lewo w wiejską drogę. W ogródkach warzywnych widać było kilka rdzewiejących czołgów i dział, a między nimi stały znaki z francuskimi i wietnamskimi napisami.

Znaleźliśmy się koło wielkiego bunkra, wokół którego przystanęła jakaś grupa. Stojący obok znak informował: *To jest bunkier generała Christiana de Castriesa, dowódcy sił francuskich, i miejsce kapitulacji Francuzów.*

Wietnamski przewodnik wygłaszał pogadankę po francusku dla grupy dziesięciu mężczyzn w średnim wieku i paru kobiet. Ciekawe, czy któryś z nich walczył w tej bitwie. Jeden ze starszych miał łzy w oczach, co chyba rozwiewało moje wątpliwości.

Podszedł do nas młody Wietnamczyk i powiedział coś po francusku.

- *Je ne parle pas francais* - odparłem. Mężczyzna spojrzał na nas z zaskoczeniem.

- Amerykanie?

- Kanadyjczycy - odpowiedziałem. Nauczono mnie, że to dobry kamuflaż dla Amerykanów w pewnych częściach świata, gdzie nie w pełni się nas docenia. Bogu dzięki za Kanadę.

- Wy przyjechać zobaczyć pole bitwy? - spytał Wietnamczyk po angielsku.

Przypomniałem sobie swoje liczne przykrywki.

- Tak. Jestem historykiem wojskowości, botanikiem i przyrodnikiem. Kolekcjonuję motyle - odpowiedziałem.

Susan nawet nieprzewróciła oczami, tylko się uśmiechnęła. Chyba stęskniła się za dawnym Paulem Brennerem i ucieszyła się, że wrócił.

- Wy mi dać, proszę, jeden dolar, opowiem wam o bitwie.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Susan dała mu dolca i było to jak wrzucenie monety do szafy grającej. Facet zaczął trajkotać prawie niezrozumiale, a kiedy potknął się na angielskim słówku, używał francuskiego, jeśli zaś francuski nie pomagał, ratował się wietnamskim. roku dziesięć tysięcy francuskich żołnierzy wraz z Legią Cudzoziemską, prawie trzy tysiące. W dużym skrócie było to tak: Na początku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego Montagnardów i wietnamskich oddziałów kolonialnych utworzyło w dolinie linię umocnień, nazwanych od imion kochanek generała de Castriesa. Punktów było siedem, co usłyszawszy, od razu poczułem szacunek dla francuskiego generała.

Wietnamski przewodnik powtórzył standardowy żart:

- Może on mieć więcej kochanek, ale nie mieć dosyć żołnierzy.

- Trafne spostrzeżenie.

Z opowieści przewodnika wyłaniał się epizod przypominający Khe Sanh, z tą różnicą, że Francuzi nie mieli odpowiedniego lotnictwa, żeby zneutralizować przeważające siły pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy Viet Minhu pod dowództwem generała Vo Nguyen Giapa, tego samego, który zaplanował oblężenie Khe Sanh i ofensywę Tet w sześćdziesiątym ósmym roku i którego chyba nie lubiłem.. albo zaczynałem podziwiać. - Żołnierze generała Giapa przenieść wiele setek dział przez wzgórza i otoczyć Dien Bien Phu. Wystrzelić wiele tysięcy pocisków na Francuzów. Francuski pułkownik zabić się, kiedy spaść tysiące pocisków. On bardzo zaskoczony.

Spojrzałem na wzgórza, przez które przejechałem w nocy. Ja też byłbym zaskoczony. Ledwie przedostałem się tutaj na motocyklu; setki dział stanowiłyby prawdziwe wyzwanie.

Było coś w Wietnamczykach, co czyniło ich niewiarygodnie cierpliwymi, wytrwałymi i nieustępliwymi. Pomyślałem o Szlaku Ho Szi Mina, tunelach Cu Chi, wleczeniu setek ciężkich dział w terenie, który ledwie można przejść pieszo.

- Czy kopali tutaj tunele i okopy? - spytałem.

- Tak, tak, wiele kilometr... *les tranches*. Widzicie tam? *Les tranches*. Żołnierze Viet Minh kopać blisko, zaatakować Elaine, Ann-Marie, Francoise, Dominique, Gabrielle, Beatrice, Ckudine.

- Twoim imieniem nazwałbym fortecę - powiedziałem do Susan. - Forteca Susan.

Przewodnik zrozumiał i uśmiechnął się uprzejmie.

- Tak? Wy nazwać fort tak jak pani?

Susan przewróciła oczami i nic nie powiedziała.

Wietnamczyk poinformował nas, że Francuzi zrzucili w Dien Bien Phu trzy tysiące spadochroniarzy, próbując ratować oblężoną armię. W końcu jednak, po dwóch miesiącach, trzysta tysięcy francuskich i kolonialnych żołnierzy zostało zabitych, rannych lub wziętych do niewoli, a Viet Minh, według przewodnika, stracił połowę z pięćdziesięciu tysięcy ludzi, lecz wygrał wojnę.

- Francuzi mieć dosyć wojny. Ich żołnierze wrócić do domu. W tej historii dostrzegałem coś znajomego, jakby informowała o roku sześćdziesiątym ósmym, a nie pięćdziesiątym czwartym; ponieważ jednak nikt w Waszyngtonie nie wyciągnął wniosków z lekcji pod Dien Bien Phu, można by powiedzieć, że amerykańska wojna w Wietnamie rozpoczęła się właśnie tutaj. Tak mi się w każdym razie zdaje.

- Tu leżeć dwa tysiące francuski żołnierz... - oznajmił przewodnik, robiąc kolisty ruch ręką, obejmujący ogródki warzywne, gdzie spacerowały wodne bawoły, a kobiety pracowały motykami. - Francuzi zrobić tu pomnik. Wy widzieć? Wielu Francuzów tu przyjeżdżać. Trochę Amerykanie też. Ja nigdy nie spotkać Kanadyjczyk. Podoba się?

Pomyślałem, że przez ostatnie dwa tygodnie zobaczyłem tyle pól bitewnych, że wystarczy mi do końca życia. Mimo to odczuwałem więź z żołnierzami, którzy tu walczyli i polegli.

- Bardzo ciekawe - powiedziałem.

Był czwartek, a w niedzielę powinienem być w Bangkoku. Czułem się jak ci, którym zostało jeszcze cztery dni do końca służby, to znaczy paranoicznie. Pamiętam, że mój sierżant był tak miły, że powiedział do mnie na kilka dni przed moim odlotem do domu: „Nie przesadzaj z nadziejami, Brenner. Charliemu zostały jeszcze siedemdziesiąt dwie godziny, żeby cię rozwalić”.

Susan dała aparat przewodnikowi, który pstryknął nam zdjęcie przed bunkrem generała de Castriesa. Ten album fotograficzny powinien być nosić tytuł „Moje najgorsze zimowe wakacje w życiu”.

- Wy chcecie zobaczyć całe pole bitwy? - spytał przewodnik. - Ja was zabrać. Jeden dolar.

- Może jutro - odparłem. - Co się w tym mieście robi dla rozrywki?

- Dla rozrywki? Co to znaczy rozrywki?

Łamałem sobie głowę, jak zawieźć Trana Van Vinha do Hanoi na motocyklu przeznaczonym dla dwóch osób - zakładając, że żyje i ma pozostać przy życiu - i że rzeczywiście będę go musiał tam zabrać, czego nie wiedziałem, choć Susan wiedziała. Przyszło mi na myśl, że może Susan będzie jechać sama i nie jest to moje zmartwienie. Mimo to spytałem:

- Jak się najlepiej dostać do Hanoi?

- Hanoi? Wy chcecie do Hanoi?

- Aha. Jest pociąg? Autobus? Samolot?

- Samolot. Ale bardzo niebezpiecznie. Pociągu nie. Francuzi jeździć samolot. Samolot jutro nie iść, iść *samedi*. Ale może nie być miejsce dla was. *Biet?*

- Nie. Teraz Tet. Żaden kierowca do Hanoi. - A samochód z kierowcą? *Lundi* kierowca jechać Hanoi. Wy chcecie kierowca?

- Być może. Dobra, dzięki za lekcję historii. Wietnamczycy bardzo dzielni.

Prawie się uśmiechnął, a potem wskazał na siebie.

- Ong zginać tutaj. Wy rozumieć? *Grand-pere* - powiedział.

- Rozumiem.

Zostawiliśmy przewodnika i ruszyliśmy gruntową drogą z powrotem w stronę miasta. Minęliśmy rozbity czołg i kilka francuskich bunkrów zarośniętych zielskiem. - Tu jest jakoś spokojniej i godniej niż w Kong Świecie i Świecie Strefy Zdemilitaryzowanej - zauważyłem. obcują z Francuzami, którzy mają więcej godności i powagi niż nasi rodacy w Kong Świecie - Północ jest surowsza i mniej skomercjalizowana - odparła Susan. - Poza tym ci ludzie czy Czasie Apokalipsy.

- Ja jestem Kanadyjczykiem.

- Ledwie rozumiałam jego wietnamski - poinformowała mnie Susani - Oni tu mówią innym dialektem.

Nabrałem podejrzeń, że panna Weber przygotowuje mnie na jakąś niespodziankę przy ewentualnej rozmowie z moim głównym świadkiem.

- Ale język pisany jest taki sam. Zgadza się?

- Przeważnie - odpowiedziała po chwili wahania.

- To dobrze. Zabierz ze sobą długopis.

Uszliśmy kawałek drogi.

- Jaki jest teraz plan? - spytała Susan.

- Nasz wspólny znajomy z Hue, pan Anh, zasugerował, żebym poszedł na rynek i porozmawiał z kilkoma Montagnardami. Nie wspomniał ci o tym?

- Wspomniał.

- I taki jest plan.

- Niepokoisz się o pana Anna?

- Tak.

- Myślisz, że pękłby podczas przesłuchania?

- Każdy pęka.

Nie odpowiedziała.

Skęciliśmy w uliczkę na skraju miasta. Wokół było dość dużo cudzoziemców, tak że zbytnio się nie wyróżnialiśmy, i byli to przeważnie ludzie w średnim wieku lub starsi; żadnych młodych turystów z plecakami, więc świetnie się składało. Po lewej stronie zauważyłem dworzec autobusowy: stary murowany budynek i stojące przed nim dwa niewiarygodnie zdezelowane autobusy.

Susan zmieniła temat.

- Powinieneś mi teraz podać nazwę wioski, której szukamy.

Jeśli wierzyć w to, co mi powiedziała, była to jedyna informacja, której nie znała, a jeśli jej powiem, to nie będzie mnie więcej potrzebować. Ale nadszedł czas, więc odpowiedziałem:

- Wioska nazywa się Ban Hin. Leży jakieś trzydzieści kilometrów stąd na północ. - Potem dodałem: - Jeśli coś mi się stanie, jedź dalej.

Milczała.

Doszliśmy do rynku, który był częściowo wybrukowanym placem z długimi rzędami daszków.

Idąc między budkami, zwróciłem uwagę, że nikt nas nie nagabuje, żebyśmy coś kupili. Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Susan.

- Kupcy na północy nie są tak agresywni i natarczywi. Jako biznesmenka uważam, że

Wietnamczycy z północy są beznadziejni.

- Nie musi pani dłużej używać tej przykrywki, panno Weber.

- Muszę ćwiczyć, żeby nie wyjść z wprawy przed następną misją.

Rozejrzałem się po rynku i zauważyłem mnóstwo wiszących jeżozwierzy, a także łasic, rudych wiewiórek i innej smakowitej dziczyzny.

- Więc co wymyślimy? - spytałem. - Mamy krewnych w Ban Hin? Korespondencyjnych znajomych? Szukamy miejsca, w którym chcemy zamieszkać na starość?

- Zostaw to mnie - oświadczyła.

Szliśmy przez część rynku zajęłą przez Montagnardów i ich towary.

- Spotkamy się w ósmym rzędzie, przed wyrobami papierniczymi i żarówkami - powiedziała Susan.

Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy rzędy są rzeczywiście ponumerowane; Susan się roześmiała.

- Poszukaj miejsca na targowisku, gdzie sprzedają herbatę. Tam cię znajdę.

Ruszyłem dalej; po chwili odwróciłem się i zobaczyłem Susan siedzącą po turecku na kocu i rozmawiającą z Montagnardkami. Oglądała jakąś damską odzież i paliła papierosa, a góralki paliły fajki, nie wiadomo czym nabite. Może kupcy nie są tu tak natarczywi, bo chodzą wiecznie naćpani.

Znalazłem zadaszony stragan, gdzie w wiklinowych koszykach leżały liście herbaty. Sprzedawcami byli w większości Montagnardzi z jednego plemienia; parzyli herbatę, więc poprosiłem o miseczkę naparu za dwieście dongów, czyli jakieś dwa centy i napiłem się. Herbata była okropna, ale gorąca, a ja zmarzłem. To było dziwne miejsce, miałem pewność, że prawie wszyscy cudzoziemcy przychodzą tu w zorganizowanych grupach. Tylko idiota przyszedłby sam.

Podeszło czterech żołnierzy z kałasznikowami; zmierzili mnie twardym spojrzeniem, a potem zamówili herbatę.

Stali nie dalej jak trzy metry ode mnie, popijając herbatę, paląc i cicho rozmawiając. Jeden z nich wciąż na mnie zerkał. Po kiego diabła tu przyjeżdżałem?

Gdyby nie kolt wetknięty za pasek, nie przejmowałbym się zbytnio. Lecz kiedy nosisz broń, której nie masz prawa nosić, cholerny gnat rośnie ci pod ubraniem, tak że w twojej wyobraźni osiąga rozmiary haubicy. Żołnierze skończyli pić herbatę wcześniej ode mnie i odeszli.

A ja stałem, słuchając, jak bije mi serce. Zjawiała się Susan i postawiła dużą foliową torbę wypełnioną kolorowymi ciuchami. Zamówiła herbatę i napiła się.

- Przyjemne uczucie - powiedziała.

- Jak ci poszło?

- Nieźle. Ban Hin jest jakieś trzydzieści kilometrów stąd na północ.

- Tyle i ja wiem. Jak się tam dostaniemy?

- Ci Montagnardzi pochodzą z plemion Tai i H'mong i mieszkają na wzgórzach na północ stąd. Przychodzą do Dien Bien Phu pieszo ze swoimi towarami, czasem biorą kuca albo jadą autobusem, który kursuje raz dziennie, a bogatsi mają skutery lub motocykle.

- Doprawdy? Jak się dostaniemy do Ban Hin?

- Właśnie do tego zmierzam. Znalazłam kobietę, która mieszka koło Ban Hin.

- Dobrze. Narysowała ci mapę?

- Nie. Ale dostałam wskazówki. Sęk w tym, że ona i ludzie z jej plemienia chodzą leśnymi duktami i skrótami, więc nie wyrażała się zbyt jasno o drodze. Poza tym nie rozumiałam połowy z tego, co mówiła po wietnamsku. Montagnardzi mają gorszy akcent niż tutejsi Wietnamczycy.

- Wróć i każ sobie zapisać te wskazówki.

- Oni są analfabetami, Paul.

- Więc każ jej narysować mapę.

- Oni nie rozumieją pojęcia mapa. Mapy to abstrakcja.

- Może dla ciebie i dla niej. Nie dla mnie.

- Wyluzuj się. Myślę, że trafię według jej wskazówek.

Zastanowiłem się. Pan Ann powiedział bardzo jasno, żebym nie pytał o nic Wietnamczyków, bo zaraz polecą na policję, jeśli zaczną podejrzewać, że coś kombinuję. Montagnardzi są w porządku, bo trzymają się z osobna. Ale pan Ann zapomniał nadmienić,

że inaczej mówią, chodzą duktami, a nie drogami, są niepiśmienni i nigdy w życiu nie widzieli mapy. Wszystko to błahostki, lecz Susan uważała, że znajdzie drogę do Ban Hin.

- Jak jej wytłumaczyłaś, że chcemy się dostać do Ban Hin? - spytałem.

- Powiedziała, że ponoć robią tam piękną biżuterię - odparła Susan. - To dziewczynskie sprawy.

Przewróciłem oczami, ale nie jestem w tym dobry, więc Susan nawet nie zauważyła.

- Ta kobieta wyjaśniła, że Ban Hin jest wietnamską wioską, a nie montagnardzką, o czym pewnie wiem, i że Wietnamczycy robią kiepską biżuterię; poza tym nigdy nie słyszała, żeby w Ban Hin ktoś wytwarzał biżuterię.

Skończyła herbatę, a potem podeszła do innych straganów i kupiła trochę wody w butelkach, ciastek ryżowych i bananów. Ja rozglądałem się za stoiskiem z taco.

Wyszliśmy z targowiska obładowani foliowymi torbami i ruszyliśmy w stronę hotelu, który znajdował się sto metrów dalej przy gruntowej drodze. W segmencie numer siedem spakowaliśmy wszystkie rzeczy do sakw przy siodełku bmw, a ja wyprowadziłem motocykl z pokoju i podszedłem do recepcji.

Wymeldowaliśmy się przed czasem i dostaliśmy z powrotem nasze paszporty i wizy. Miałem nadzieję, że nie wysłali jeszcze faksem kopii dokumentów, ale nie zamierzałem o to pytać.

Za kontuarem tym razem stał facet.

- Gdzie wy teraz jechać? - zainteresował się.

- Paryż - odparłem.

- Jedziemy do Hanoi - sprostowała Susan.

- Ach. Duża woda, droga numer sześć. Wyjechać tylko Son La. Wyczekać Son La. Dwa dni, trzy dni.

następnym sezonie. - Dzięki za wskazówki i prognozę pogody, mądralo - powiedziałem. - Do zobaczenia w

Wyszliśmy z recepcji.

- Czy mam rozumieć, że droga numer sześć jest zablokowana z powodu powodzi i osuwisk błotnych?

- Na to wygląda. Pan Ann mówił, że to się często zdarza, ale zwykle posyłają buldożery i mniej więcej w ciągu jednego dnia otwierają drogę.

- Czemu wszystko tutaj jest postawione na głowie?

- Nie przejmuj się tym aż tak bardzo.

- Dobrze, więc jak się dostaniemy do Hanoi, jeśli droga numer sześć jest zamknięta?

- Jest inna trasa wzdłuż Rzeki Czerwonej. Prowadzi prosto do Hanoi.

- A jeśli będzie nas troje?

- W miejscowości Lao Cai na chińskiej granicy, jakieś dwieście kilometrów na północ stąd, jest pociąg - odparła Susan.

- Dobrze, lecz jak dojedziemy do Lao Cai z Tranem Van Vinhem?

- Może autobusem. Będziemy się tym martwić po tym, jak dotrzemy do Ban Hin i zobaczymy, ile osób musimy zawieźć do Lao Cai. Poza tym jutro rano zaczynają kursować pociągi. Z Lao Cai do Hanoi jest około czterystu pięćdziesięciu kilometrów, więc powinniśmy dojechać w dziesięć do dwunastu godzin. - Spojrzała na mnie. - Gdyby mnie z tobą nie było, znasz drogę.

Skinąłem głową.

- Jeśli wszystko inne zawiedzie, złap ciężarówkę z drewnem jadącą do Hanoi. Kierowcy pytają tylko, czy masz dziesięć dolarów i czy chcesz kupić opium.

- Pan Anh ci to wszystko powiedział?

- Tak, ale mogliśmy to przeczytać w przewodniku, gdybyś go nie oddał panu Anhowi. Kiedy dajesz komuś przedmiot, który ma posłużyć jako znak, daj coś, czego nie potrzebujesz. Paczkę orzeszków czy coś w tym rodzaju. Spałeś na lekcjach?

- Jestem na emeryturze - odparłem, a potem spytałem: - Dlaczego nie odebrałaś przewodnika, kiedy spotkałaś się z panem Anhem?

- Nie wiedziałam, że go ma. Spotkało się dwóch amatorów.

- A ty?

- Specjalistka od inwestycji bankowych.

- Racja.

Wsiadliśmy na motocykl i wyjechałem na drogę. Ruszyłem na północ, na wypadek gdyby ktoś nas obserwował, i po kilku minutach zostawiliśmy za sobą Dien Bien Phu. Zatrzymałem się koło

wzgórza, na którym stał czołg. Ze znaku wynikało, że posterunek nazywa się Dominique. Ciekawe, co się stało z damami serca generała, i czy któraś z nich przyjechała kiedyś zobaczyć swoją imienniczkę.

Susan zsiadła i otworzyła torbę. Włożyliśmy skórzane czapki i gogle, a Susan wyjęła dwie ciemnoniebieskie chusty, które kupiła na rynku.

- Plemię H'mong - oznajmiła.

- Wiem.

Roześmiała się.

- Ależ ty jesteś bystry.

Owinęliśmy chustami szyje i brody.

- Niestety górale nie umieją odmierzyć ilości barwnika, dlatego będziesz miał niebieską twarz - ostrzegła Susan. Pokazała mi dłonie upačkane niebieską farbą. W Waszyngtonie nikt mi w to nie uwierzy.

Przez kilka minut patrzyłem na mapę. - Gdzie jest Ban Hin? - spytałem. Susan wskazała miejsce na mapie.

- Gdzieś tutaj w dolinie rzeki Na. Nie jest zaznaczona, ale znajdę ją.

Spojrzeliliśmy na siebie.

- Będzie dobrze - powiedziałem.

Wsiadła na motocykl, dodałem gazu i ruszyliśmy.

Znalazłem gruntową drogę prowadzącą przez pola i w ciągu kilku minut byliśmy na drodze biegnącej koło bunkra generała Castriesa. Ciekawe, co się stało z nim, czy kiedykolwiek zobaczył jeszcze swoje siedem kochanek. Gdybym ja miał siedem kochanek, może wołałbym zostać w obozie jenieckim.

Jechaliśmy między ogródkami warzywnymi obok rdzewiejących czołgów i armat, na północ, w stronę wzgórz i gór, które pokonaliśmy wczoraj w nocy, chociaż inną drogą, na zachód od tej, którą przyjechaliśmy do Dien Bien Phu.

Spojrzałem na zegarek; nie minęło jeszcze południe. To była jednopasmowa gruntowa droga, lecz sucha i twarda, gładka między koleinami, więc bez problemu jechałem trzydziestką. Mniej więcej za godzinę, jeśli się nie zgubimy, będę pytał kogoś w Ban Hin, czy zna niejakiego Trana Van Vinha. Trudno było nawet zgadywać, czym skończy się ten dzień.

Droga, oznaczona na mapie liczbą dwanaście, biegła przez dolinę Na, której szerokość rzadko przekraczała pięćset metrów. Rzeczka była mała, lecz wartka, a droga była w zasadzie groblą prowadzącą wzdłuż niej.

Wzgórza stawały się coraz wyższe i górowały nad doliną, która miejscami wyglądała jak wąwóz. Ilekroć się rozszerzała, po obu stronach drogi ukazywały się zalane poletka ryżowe i chaty. Widzieliśmy niewielu ludzi, rdzennych Wietnamczyków w tradycyjnych piżamach z czarnego jedwabiu i stożkowych słomianych kapeluszach; pracowali na polach ryżowych tak samo jak mieszkańcy równin, lecz całkiem inaczej niż ich przodkowie.

Góry wznosiły się teraz na wysokość ponad dwóch tysięcy metrów, a z północy przez przypominającą tunel dolinę bez przerwy dał wiatr, więc Susan i ja musieliśmy się pochylić na motorze, żeby nas nie zdmuchnęło.

Na polach nikt nie pracował, a jednopasmowa droga nic nie jechało. Przypomniałem sobie, że to ostatni dzień Tet i ludzie zostali w domach; miałem nadzieję, że tak samo postąpił Tran Van Vinh. Wietnamczycy, którzy wyjechali w rodzinne strony, mieli się pojawić na drogach dopiero jutro lub pojutrze. Przyszło mi do głowy, naturalnie, że wioska przodków Trana Van Vinha może leżeć na wybrzeżu i że mógł tam wyjechać na Tet. Ale jeśli tak było, złapię go w drodze powrotnej do Ban Hin, choć to naraziłoby mnie na przekroczenie ograniczeń czasowych misji. Naprawdę chciałem być w niedzielę w Bangkoku lub gdziekolwiek indziej, byle poza Wietnamem. Lecz wiedziałem, że zostanę tutaj dopóty, dopóki nie porozmawiam z panem Vinhem.

Na wzgórzach widziałem długie domy Montagnardów, przyklejone niezręcznie do grzbietów; uderzyło mnie, że na tym samym obszarze istniały dwie cywilizacje, jakby w dwóch różnych planach, pozbawionych punktów stykowych.

Mniej więcej godzinę po wyjeździe z miasta zobaczyłem, że licznik pokazuje trzydzieści kilometrów.

- Jak brzmiały twoje wskazówki?

- Ban Hin jest po prawej stronie drogi.

- Tak? A z twojej relacji wynikało, że to takie skomplikowane.

- Czasem nachodzi cię chęć, żeby mnie zostawić, więc muszę pilnować, żeby być niezbędną.

Nie skomentowałem tej ciekawej konstatacji.

- Widzisz tę chatę tam? Idź i zapytaj o Ban Hin.

- Rozmawiamy tylko z Montagnardami. Nie przyjechaliśmy tak daleko, żeby spartaczyć wszystko w ostatniej chwili. - Masz rację.

Jechaliśmy powoli na północ drogą numer dwanaście. Jakies dziesięć minut później ukazało się trzech młodych mężczyzn, Montagnardów, nadjeżdżających z przeciwka na kucach.

Zatrzymałem maszynę i zgasilem silnik.

Gdy się nieco zbliżyli, zauważyłem, że kuce nie noszą siodła, co było tutaj regułą, i mają przywiązane do zadów worki lub coś podobnego.

Zdjęliśmy chusty, czapki i gogle; Susan zsiadła z motoru i ruszyła w stronę jeźdźców. Machnęła ręką na powitanie; mężczyźni wstrzymali kuce i spojrzeli na nią.

Mówiła coś do nich, a oni kiwali głowami. Popatrzyli na mnie, jeszcze minutę temu Montagnarda, a potem znów na Susan. Niemal jednocześnie wszyscy trzej wskazali za siebie. Jak dotąd szło nieźle.

Susan chyba podziękowała i już miała odejść, gdy jeden z mężczyzn sięgnął do worka, coś wyjął i podał jej. Zamachała ręką i ruszyła z powrotem.

Jeźdźcy wyprzedzili ją i znów zaczęli coś mówić. Najwyraźniej spodobało im się to, co widzieli. Dojechawszy do mnie, jakby zaszalutowali i pojechali dalej na południe.

Susan podeszła.

- Byli mili - powiedziała. - Dali mi tę skórę. - Podniosła półmetrową zwierzęcą skórę z czarnym futerkiem. - To chyba rosomak. Niestety nie jest wyprawiona i cuchnie.

- Liczą się dobre chęci - stwierdziłem. - Pozbądź się tego.

- Zatrzymam ją na razie.

- Gdzie jest Ban Hin?

- Trochę dalej przy drodze.

- Jak daleko?

- Hm... Oni najwyraźniej nie mierzą czasu ani odległości. Podróżują według znaków orientacyjnych; to ma być duża wioska po dwóch mniejszych.

- Dobrze. Wskakuj. Masz niebieski barwnik na twarzy.

Susan wsiadła, a ja zapaliłem silnik i wrzuciłem bieg. Jechaliśmy dalej, już bez naszych montagnardzkich rekwizytów.

Po pięciu minutach minęliśmy niewielką grupę chat. Wioska numer jeden.

Pięć minut później przejechaliśmy przez małą wioskę numer dwa.

Po następnych pięciu czy sześciu minutach dotarliśmy do większej wioski, która rozciągała się wzdłuż prawej strony drogi. Przed samą wioską stały cztery murowane budynki, nieco oddalone od drogi; dostrzegłem, że jeden to skromna pagoda, drugi szpital, a trzeci szkoła. Nad czwartym budynkiem powiewała czerwona flaga z żółtą gwiazdą, a przed nim stad: zaparkowany ciemnozielony wojskowy dżip. Wiedziałem, że jak dotąd szło nam zbyt gładko. Zatrzymałem się.

- To jest Ban Hin - powiedziała Susan.

- A to jest wojskowy dżip - odparłem.

- Wiem. Co chcesz zrobić?

- Nie pchałem się tak daleko, żeby teraz zawracać.

- Ani ja.

Przejechałem szybko obok posterunku wojskowego, a potem przez ozdobny dziedziniec przed pagodą wjechałem na tyły budowli, z dala od drogi i posterunku wojskowego, poza zasięg wzroku tych, którzy byli w środku. Taką w każdym razie miałem nadzieję.

Zgasiłem silnik i zsiadliśmy.

- Dobra, jak chcesz się dowiedzieć, czy Tran Van Vinh żyje i czy jest w domu? - spytała Susan.

- Jesteśmy kanadyjskimi historykami wojskowości, którzy mówią trochę po francusku - odparłem.

- Popytamy o weteranów ofensywy Tet, a potem przejdziemy do bitwy o Quang Tri. Improvizuj. Wcisnąć kytu idzie ci śpiewająco.

Wyciągnęliśmy z toreb plecaki i aparaty; Susan obeszła pagodę i stanęła przed jej frontem.

Wszedłem za nią przez otwarte drzwi; w środku nikogo nie było. W glinianych urnach stały

wetknięte kwitnące gałązki; na samym końcu małej, pozbawionej okien budowli stała niewielka kapliczka z ołtarzem, na którym żarzyły się kadzidelka.

Susan podeszła do ołtarza, wzięła laseczkę, podpaliła, a potem wrzuciła do miseczki kilka dongów. Cóż, żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie.

Odwróciła się i podeszła do drzwi, gdzie stałem. - Dziś ostatni dzień świąt Tet, czwarty dzień roku wołu. Dotarliśmy do Ban Hin. Znajdźmy Trana Van Vinha, a potem wracajmy do domu. Wyszliśmy z pagody i ruszyliśmy w głąb wioski Ban Hin.

Rozdział 43

Wioska nie przypominała tropikalnych i subtropikalnych wsi na terenach nadmorskich; przede wszystkim nie było palm, tylko mnóstwo sosen i ogromnych drzew liściastych, a także gęste kępy dzikich rododendronów, które zaczynały wypuszczać kwiaty w to chłodne lutowe popołudnie.

Wieś leżała między wznoszącą się stromo górą od wschodu, poletkami ryżowymi od północy i południa, i jednopasmowa drogą, którą przyjechaliśmy.

Chaty były w większości zbudowane z grubo ciosanych pni sosen i kryte strzechami z liści bambusu. Każdy dom otaczał ogród warzywny, a w niektórych widziałem wejścia do ziemnych schronów przeciwbombowych, pozostałość po amerykańskich bombardowaniach.

Nie spodziewałbym się, że tak zapadła wieś była bombardowana, ale przypomniałem sobie list Trana Van Vinha do jego brata Lee, w którym wspominał o liście ich kuzyna, Liema, który pisał o ciężarówkach pełnych rannych żołnierzy i kolumnach świeżych oddziałów idących na południe. Wyobrażałem to sobie teraz - tę wąską drogę w dolinie, zaczynającą się przy chińskiej granicy, skąd nadchodziła znaczna część ich wojennego sprzętu, a potem wijącą się aż do granicy laotańskiej, gdzie zaczynał się Szlak Ho Szi Mina. Miałem przeczucie, że każdy w tej wiosce, kto ma ponad trzydzieści lat, pamięta US Air Force.

Wioska była pełna dzieciaków i dorosłych w różnym wieku; wydawało się, że większość mieszkańców Ban Hin spędzała ostatni dzień Tet w domu.

Wszyscy się na nas gapili, tak jak ludzie w małym amerykańskim miasteczku gapiliby się na dwoje Azjatów przechadzających się w czarnych jedwabnych piżamach i stożkowych słomianych kapeluszach.

Doszliśmy do centrum wioski, które stanowił plac czerwonej ziemi, nie większy niż kort tenisowy, otoczony domami i otwartym pawilonem, w którym mieściło się niewielkie targowisko. Widziałem ludzi, którzy siedzieli przy małych stolikach przypominających piknikowe, rozmawiali, pili i jedli. Przerywali te czynności, żeby na nas popatrzeć.

Od początku wiedziałem, że jeśli dotrzemy tak daleko, największy problem czeka nas w tej wiosce. Posterunek wojskowy przy drodze jeszcze utrudniał sprawę.

Na środku placu, na leżącej betonowej płycie stała druga prosta płyta długości mniej więcej trzech metrów i szerokości nieprzekraczającej dwóch metrów. Na pionowej,

pomalowanej na biało płycie widać było czerwone napisy. Leżały przed nią kwitnące gałązki Tet, a w miseczkach paliły się laseczki kadzidła. Podeszliśmy do obelisku i stanęliśmy.

Czerwone napisy okazały się nazwiskami pokrywającymi płytę od góry do dołu. Nad nimi

widniały większe litery, tworzące napis, który Susan przetłumaczyła. - „Na cześć mężczyzn i kobiet walczących o zjednoczenie Ojczyzny w wojnie amerykańskiej w latach 1954 - 1975”. To są nazwiska zaginionych, jest ich mnóstwo, między innymi Tran Quan Lee - powiedziała, wskazując.

Ja też widziałem nazwisko Tran Quan Lee oraz wiele innych nazwisk z rodziny Tranów.

Przeczytaliśmy je oboje, lecz nie znaleźliśmy Trana Van Vinha. Jak dotąd nieźle.

- Nazwiska poległych muszą być po drugiej stronie - zauważyłem.

Obeszliśmy pomnik, którego cała powierzchnia pokryta była czerwonymi nazwiskami, wyglądającymi na świeżo odnowione.

Zebrała się grupa mniej więcej stu osób, zbliżających się do nas powoli. Zauważyłem, że część mężczyzn i kobiet w średnim wieku nie ma rąk lub nóg.

Spojrzałem na nazwiska poległych, ułożone chronologicznie, tak jak nazwiska na Murze w Waszyngtonie. Jeśli Tran Van Vinh zginął, nie mogliśmy wiedzieć, kiedy to się stało, ale na pewno nie przed lutym sześćdziesiątego ósmego roku, więc zacząłem od tego miejsca, a Susan czytała od końca, czyli od kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku. Wstrzymałem oddech.

- Na razie go nie widzę - powiedziała Susan.

- Ani ja. - Nie chciałem zobaczyć tu jego nazwiska, więc mogłem je podświadomie przeoczyć, choć za każdym razem, gdy widziałem „Tran”, serce uderzało mi szybciej.

Tłum był już bardzo blisko. Czuję się trochę dziwnie, patrząc na pomnik poległych i zaginionych z tej wioski, którzy zginęli z ręki moich rodaków, a niektórzy może nawet z mojej. Ale z drugiej strony, ja też miałem swój mur. Poza tym byłem Kanadyjczykiem.

- Wiele ofiar to kobiety i dzieci - powiedziała cicho Susan. - Tu napisano, że zginęły na froncie domowym, co chyba znaczy, że od bomb.

Nie skomentowałem tego.

Spotkaliśmy się na środku listy i przeczytaliśmy ostatnie nazwiska.

- Nie ma go tutaj - powiedziałem.

- Ani tutaj. Ale czy wciąż żyje?

- Założę się, że każdy z tych ludzi za nami może odpowiedzieć na to pytanie.

Patrząc na tę prostą betonową płytę z ręcznie namalowanymi nazwiskami, nie mogłem powstrzymać skojarzeń z wypolerowaną granitową ścianą w Waszyngtonie. W końcu między tymi dwoma pomnikami nie było żadnej różnicy.

- Kanadyjczycy - powiedziałem do Susan. - Gotowa?

- *Oui*.

Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na tłum. Na wiejskich terenach południowego Wietnamu budziliśmy przelotne zainteresowanie; tutaj wywoływaliśmy głęboką ciekawość, a gdyby ci ludzie się dowiedzieli, że jesteśmy Amerykanami, mogliby poczuć do nas wrogość. Nie potrafiłem czytać w ich twarzach, lecz zebrani nie wyglądali na komitet powitalny.

- *Bonjour* - odezwałem się.

Rozległ się szmer, ale nie było uśmiechów. Przyszło mi na myśl, że tak blisko Dien Bien Phu mogło pozostać nieco wrogości do Francuzów. „Ong tutaj zginął... *grand-pere*”.

- *Nous sommes Canadienes* - dodałem.

Zdawało mi się, że atmosfera troszkę się rozluźniła, a może tylko chciałem to zobaczyć.

Susan też powiedziała: *Bonjour*, a potem wyjaśniła, że przyjechaliśmy z Dien Bien Phu, i spytała, czy możemy zrobić *une photographie Le Monument*.

Nikt nie zaprotestował, więc Susan cofnęła się i sfotografowała listę nazwisk poległych.

W końcu z grupy wystąpił mężczyzna w średnim wieku w czarnych wełnianych spodniach i pomarańczowym swetrze. Powiedział coś do mnie po francusku, ale nic nie rozumiałem; wątpię, by pytał, czy pióro mojej cioci leży na biurku wuja.

Susan powiedziała coś kulawym francuskim i mężczyzna odpowiedział. Mówił po francusku lepiej od Susan, więc zaczęła wplatać łamane wietnamskie słówka, co sprawiło, że tłum się przybliżył.

Lada chwila zjawi się jakiś żołnierz, zażąda naszych paszportów i okaże się, że nie jesteśmy Kanadyjczykami.

Coraz mniej czułem się Jamesem Bondem, a bardziej Indianą Jonesem w filmie zatytułowanym *Wioska przeznaczenia*.

Susan wciskała facetowi *l'histoire de la guerre americain*, co trochę kupował, a trochę nie.

Wreszcie powiedziała coś płynniej po wietnamsku i usłyszałem nazwisko Tran Van Vinh.

Spytać o kogoś po nazwisku w małej wiosce w Wietnamie, Kansas czy gdziekolwiek to tak, jakby spuścić kurtynę na koniec przedstawienia.

Zapadła długa cisza, mężczyzna spojrział na nas oboje; wstrzymałem oddech. Wreszcie oznajmił: - *Oui. Il survivre.*

Wiedziałem, że nie przyjechałem tak daleko, żeby zobaczyć grób, i oto byłem w wiosce Ban Hin, a odpowiedź na pytanie, czy Tran Van Vinh żyje, brzmiała: „Tak, żyje”.

Susan zerknęła na mnie, skinęła głową i uśmiechnęła się. Odwróciła się z powrotem do rozmówcy i coś klarowała łamanym wietnamskim, dorzucając francuskie określenia, a mężczyzna odpowiadał wolno po wietnamsku, wplatając dużo francuskiego. Naprawdę mogło nam się udać. Wreszcie wypowiedział magiczne słowo: *Allons*. Ruszyliśmy więc za nim między zgromadzonymi ludźmi, którzy się przed nami rozstąpili.

Minęliśmy rynek z wiatami i mężczyzna zatrzymał się przed wioskową tablicą pokrytą przezroczystą folią. Wskazał dwa wyblakłe czarno-białe zdjęcia Amerykanów w kombinezonach lotniczych, z rękami w górze, otoczonych przez wieśniaków w piżamach ze staroświeckimi strzelbami. Zostało trochę miejsca na fotografię zrobioną mnie i Susan w podobnej pozie.

- *Les pilotes Americains* - powiedział nasz przewodnik Zerknąłem na Susan.

Szliśmy dalej wąską ścieżką pod drzewami, między niewielkimi chatami, w stronę pagórków u podnóża góry, w których rozpoznałem kurhany grobowe. Za nimi stały kolejne domy.

Kręta ścieżka prowadziła do chaty zbudowanej z ręcznie ciosanych pni sosen i pokrytej bambusowymi liśćmi.

Stanęliśmy przed wejściem; mężczyzna skinął ręką, żebyśmy poczekali, a sam wszedł przez otwarte drzwi.

Po kilku sekundach wyszedł i dał ręką znać, że możemy wejść. Gdy wchodziliśmy, rzucił coś do nas po francusku o *chez Tran*.

Znaleźliśmy się w jednoizbowym domu z podłogą z ubitej czerwonej gliny. Szklane okna wpuszczały trochę szarego światła; w wilgotnym powietrzu wyczułem woń płonącego węgla drzewnego.

Gdy moje oczy przywykły do mdłego światła, zauważyłem hamaki z kocami, zwinięte przy ścianach, a na podłodze plecione z bambusu koszyki i skrzynie. Na środku izby, na czarnym dywaniku stał niski stół bez krzeseł.

W przeciwnym rogu znajdował się gliniany piec, w którego palenisku czerwieniły się kawałki węgla drzewnego. Przy ścianie na prawo od pieca znajdował się prosty ołtarzyk z żarzącymi się kadzidelkami i zdjęciami w ramkach. Z prawej strony ołtarzyka wisiał duży plakat z Ho Szi Minem, a obok wietnamska flaga i jakieś oprawione certyfikaty czy dyplomy.

Rozejrzałem się i nabrałem pewności, że w domu nikogo nie ma.

Staliśmy tam przez moment.

- On powiedział, że to jest dom Trana Van Vinha i że mamy poczekać - oznajmiła Susan. martwić. Tak czy owak, dotarliśmy do celu podróży. Nie lubię być zamknięty w czterech ścianach, lecz teraz było za późno, żeby się tym

- A powiedział, gdzie jest barek z napitkami? - spytałem.

- Nie. Ale pozwolił mi zapalić. - Podeszła do glinianego pieca, zdjęła plecak, usiadła na dywaniku i zapaliła papierosa.

Zsunąłem z siebie plecak i położyłem kolo plecaka Susan. Zauważyłem, że dach przy przeciwnej ścianie jest mniej więcej na wysokości stu osiemdziesięciu centymetrów, więc podszedłem i wyciągnąłem zza pasa kolta. Wsunąłem broń między dwie warstwy strzechy, tak jak robili Wiecei; ja też nauczyłem się od nich tego i owego.

- Dobry pomysł - zauważyła Susan. - Gdyby przyszli żołnierze, moglibyśmy się wyłgać ze wszystkiego oprócz tej broni.

Nie skomentowałem tego nazbyt optymistycznego stwierdzenia.

- Co mu powiedziałaś? - spytałem.

- Nazywa się Khiem i jest wiejskim nauczycielem. Tak jak zaproponowałeś, wyjaśniłam, że jesteśmy kanadyjskimi historykami wojskowości, którzy odwiedzili Dien Bien Phu, i że zajmujemy się też wojną amerykańską. Dodałam, że w Dien Bien Phu powiedziano nam, żebyśmy zobaczyli pomnik ofiar wojny na placu w Ban Hin. Zmyśliłam to.

- Jesteś w tym dobra.

- Powiedziałam, że słyszeliśmy, iż wielu weteranów wojny amerykańskiej mieszka w dolinie Na, i

dodałam, że szczególnie interesują nas weterani ofensywy Tet w sześćdziesiątym ósmym roku, a dokładniej bitwy o miasto Quang Tri. - Zaciągnęła się i mówiła dalej: - Ale pan Khiem nie podawał żadnych nazwisk, tylko swoje. Brał udział w bitwie o Hue. Wreszcie zdesperowana powiedziałam, że ktoś w Dien Bien Phu wymienił nazwisko Tran Van Vinh. Usłyszeliśmy, że był dzielnym żołnierzem i że został ranny w Quang Tri. - Spojrzała na mnie. - Nie chciałam stać dłużej na tym placu, więc poszłam na całość.

- Pan Khiem to kupił?

- Może. Trochę niedowierzał, a trochę był dumny, że w Dien Bien Phu dobrze mówią o Ban Hin. - Po chwili dodała: - Pan Khiem też należy do klanu Tranów i jest w jakiś sposób spokrewniony z Vinhem.

- Na tym pomniku było wiele nazwisk zaginionych i zabitych. Cieszę się, że jesteśmy Kanadyjczykami.

Susan spróbowała się uśmiechnąć.

- Mam nadzieję, że w to uwierzył.

- Nie zachowywał się wrogo, więc chyba tak. W następnej misji w Wietnamie będziemy Szwajcarami.

Susan zapaliła drugiego papierosa.

- Przyślij mi pocztówkę. - Świetnie się spisałaś. Jestem z ciebie naprawdę dumny, a jeśli pan Khiem poszedł po żołnierzy, to nie będzie twoja wina.

- Dziękuję.

- Tran Van Vinh mieszka tutaj, czy przyjechał na święta? - spytałem.

- Pan Khiem powiedział, że Tran Van Vinh mieszka w Ban Hin i mieszkał tu przez całe życie.

- Gdzie teraz jest?

- Pan Khiem wspomniał coś, że poszedł odwiedzić krewnych.

- To powinno sprawić, że będzie w dobrym humorze. Kiedy możemy się go spodziewać?

- Jak tylko przyjedzie autobus z Dien Bien Phu. Spojrzałem na zdjęcie Wujaszka Ho.

- Myślisz, że to pułapka?

- A ty?

- Myślę, że wy, Kanadyjczycy, macie denerwujący zwyczaj odpowiadania pytaniem na pytanie. Susan zmusiła się do uśmiechu i zaciągnęła się papierosem.

Podszedłem do rodzinnego ołtarzyka i w bladym świetle popatrzyłem na oprawione zdjęcia. Zauważyłem, że wszyscy mężczyźni i kobiety są młodzi, mniej więcej w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat.

- Nikt się tutaj nie starzeje - powiedziałem do Susan. Zerknęła na fotografie.

- Oni stawiają na ołtarzykach zdjęcia zmarłych zrobione w najlepszym wieku, bez względu na to, ile mieli lat, kiedy odeszli.

- Naprawdę? Więc gdybym dzisiaj zmarł i gdybym był buddystą, mogliby użyć jednego z tych, które właśnie zrobiłaś.

Susan uśmiechnęła się.

- Myślę, że zadzwoniliby do twojej mamy po troszkę starsze zdjęcie - odparła Susan. - Ołtarz rodzinny to bardziej świadectwo czci dla przodków niż świadectwo buddyzmu. To trochę mylące. Wietnamczycy, którzy nie są katolikami, nazywają się buddystami, ale praktykują też prymitywny kult przodków. A do tego konfucjanizm i taoizm. Nazywają to

tam giao... potrójna religia.

- Ja naliczyłem cztery.

- Powiedziałaś ci, to jest mylące. Ty jesteś katolikiem. Nie łam sobie głowy.

Spojrzałem ponownie na zdjęcia i zauważyłem, że wielu z tych młodych ludzi jest w mundurach. Jednym z nich był na pewno Tran Quan Lee, który - choć nieuznany oficjalnie za zmarłego - najprawdopodobniej nie żył, skoro przez trzydzieści lat nie pokazywał się w domu na święta.

Wciąż jeszcze mieliśmy szansę pójścia za głosem zdrowego rozsądku.

- Jeśli się pospieszymy, w ciągu pięciu minut możemy siedzieć na motorze - oświadczyłem.

Susan nawet się nie zawahała.

- Nie mam pojęcia, kto wejdzie tymi drzwiami, ale oboje wiemy, że nie wyjdziemy stąd, dopóki ktoś w nich nie stanie.

Skinąłem głową.

- Jak chcesz poprowadzić naszą rozmowę z Tranem Van Vinhem? - spytała.

- Po pierwsze, to jest moja rozmowa, nie nasza, i nie chcę żadnego kręcenia. Tak bym postąpił ze świadkiem w Stanach. Podejrzany wciska się kit, ale ze świadkami nie gra się w ciuciubabkę.

- Nie chcesz ukryć faktu, że przysłały nas władze?

- Aż tak uczciwy nie będę. Jesteśmy Amerykanami, ale zostaliśmy przysłani przez rodzinę zamordowanego mężczyzny, rodzinę, która upomniała się o sprawiedliwość.

- Nie znamy nazwiska ofiary.

- Tran Van Vinh je zna. Wziął portfel tego człowieka. Pozwól, że ja będę mówił i myślał. Ty zajmij się tłumaczeniem. *Biet?*

Spojrzeliliśmy sobie w oczy, Susan skinęła głową. Czekaliśmy.

Popatrzyłem na nią. Pokonaliśmy długą drogę, a ta chwila prawdy, która do tej pory wydawała się abstrakcją, nagle stała się realna i bliska. Tran Van Vinh żył, a to, co nam powie - jeśli coś powie - postawi nas w obliczu zupełnie nowych problemów.

Susan wstała i objęła mnie.

- Zwodziłam cię i być może będę musiała zrobić rzeczy, które ci się nie spodobają, ale bez względu na to, co się stanie, kocham cię.

Nim zdążyłem zareagować, usłyszałem za sobą jakiś odgłos i oboje odwróciliśmy się do drzwi. Ukazał się w nich zarys sylwetki mężczyzny, którym - taką miałem nadzieję - był Tran Van Vinh.

Rozdział 44

Susan podeszła do niego, ukloniła się i powiedziała coś po wietnamsku.

Mężczyzna odwzajemnił ukłon, odpowiedział na powitanie i spojrzał na mnie. Popatrzyliśmy sobie w oczy i nie miałem wątpliwości, że to jest Tran Van Vinh.

Wyglądał na sześćdziesiąt lat, ale pewnie tyle nie miał. Był szczupły i wyższy od przeciętnego Wietnamczyka, z gęstą czupryną krótko obciętych włosów, wciąż atramentowoczarnych. Nosił szerokie luźne spodnie i czarną pikowaną marynarkę, a na nogach skarpety i sandały.

- Paul, to jest pan Vinh - oznajmiła Susan. Podeszedłem do niego i wyciągnąłem rękę. Zawahał się chwilę, a potem podał mi dłoń.

- Jestem Paul Brenner, Amerykanin, i przyjechałem z daleka, żeby się z panem zobaczyć.

Susan tłumaczyła, a Vinh mi się przyglądał.

- Powiedzieliśmy pańskim rodakom, że jesteśmy Kanadyjczykami, bo wydawało się nam, że mieszkańcy wioski mogą być źle nastawieni do Amerykanów.

Pan Vinh nie odrywał ode mnie wzroku.

Nasze spojrzenia znów się spotkały. Ostatni Amerykanin, którego widział, pewnie chciał go zabić, i vice versa, lecz nie dostrzegłem w jego twarzy wrogości; właściwie nic w niej nie dostrzegłem.

Wyjąłem z kieszeni paszport i podałem mu otwarty na pierwszej stronie.

Wziął go do ręki, spojrzał, a potem zamknął i oddał mi. Powiedział coś, co Susan przetłumaczyła.

- Czego pan chce?

- Najpierw muszę spełnić nieprzyjemny obowiązek i poinformować pana, że pański brat Lee zginął w czasie akcji w dolinie A Shau w maju tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Ciało zostało znalezione przez amerykańskiego żołnierza, który zabrał jego rzeczy osobiste i zidentyfikował go jako Trana Quan Lee.

Pan Vinh rozumiał nazwę doliny i skojarzył z nazwiskiem brata; na pewno wiedział, że to nie będzie dobra wiadomość.

Słuchał bez emocji tego, co przetłumaczyła Susan, patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a potem podeszedł do rodzinnego ołtarza, podniósł zdjęcie i długo mu się przyglądał. Odłożył fotografię, odwrócił się i coś powiedział.

Susan odpowiedziała mu i zwróciła się do mnie.

- Chce wiedzieć, czy zabiłeś jego brata. Powiedziałam mu, że nie.

- Poinformuj go, że byłem żołnierzem Pierwszej Dywizji Kawalerii, że walczyłem w dolinie A Shau w maju sześćdziesiątego ósmego roku i że mogłem zabić jego brata, ale to nie ja znalazłem ciało.

Zawahała się.

- Jesteś pewien, że...

- Powiedz mu to.

Powtórzyła mu moje słowa. Vinh spojrział na mnie i skinął głową,

- Powiedz mu też, że byłem pod Quang Tri w czasie, gdy leżałem ranny w buddyjskiej szkole, i miałem rozkaz zabijać północ-nowietnamskich żołnierzy próbujących uciekać z miasta.

Susan przetłumaczyła i pan Vinh zdziwił się, że wiem coś o jego wojennych doświadczeniach. Znow popatrzyliśmy sobie w oczy i znow nie dostrzegłem w nich wrogości; wiedziałem, że jej tam nie znajduję. Nie miałem wątpliwości, że mówi do siebie w myślach: „Ten biedny drań też tam był”.

- Cieszę się, że pana nie zabiłem i że pan nie zabił mnie - powiedziałem.

Zobaczyłem nieznaczny uśmiech na wargach pana Vinha, kiedy Susan przetłumaczyła moje słowa, nic jednak nie odpowiedział.

Zaczynałem do czegoś dochodzić, choć nie wiedziałem do czego.

- Szczerze powiedziawszy, panie Vinh, jestem bardzo zaskoczony, że przeżył pan dalsze siedem lat wojny.

Gdy Susan powtórzyła mu to, pan Vinh zapatrzył się w dal, kiwając głową, jakby też się temu dziwił. Zdawało mi się, że widzę, jak jego górna warga drży lekko, ale może tylko sobie to wyobraziłem. Ten człowiek zachowywał stoicki spokój, co było pewnie wojennym nawykiem, a przy okazji nam sprzyjało.

- Jak ci idzie z tłumaczeniem? - spytałem Susan.

- On w czasie wojny spędził dużo czasu na południu i ma świadomość mojego południowego akcentu - odparła. - Łapię większość z tego, co mówi.

- To dobrze. Lubimy dokładne i wierne tłumaczenia.

Susan milczała.

Nie powiedziałem nic więcej do pana Vinha, dałem mu czas, by mógł się zastanowić, czy chce rozmawiać ze mną. Wreszcie się odezwał; Susan wysłuchiwała go, a potem przetłumaczyła:

- Pan Vinh mówi, że był w Trzysty Czwartej Dywizji Piechoty Wietnamskiej Armii Ludowej. Został wysłany na południe w sierpniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku i walczył w prowincji Quang Tri. Twierdzi, że powinienś wiedzieć, gdzie była jego dywizja w czasie ofensywy Tet zimą sześćdziesiątego ósmego roku.

Istotnie, wiedziałem. Trzysta Czwarta Dywizja była naszym głównym przeciwnikiem, kiedy znalazłem się pod Quang Tri w styczniu sześćdziesiątego ósmego roku. Ten facet był tam już dwa i pół roku, nie widział końca tej wojny i nie miał w perspektywie żadnego urlopu wypoczynkowo-rekreacyjnego.

- W czerwcu sześćdziesiątego ósmego roku dywizja wróciła na północ... zostało z niej niewielu ludzi... po uzupełnieniu składu wróciła do Quang Tri w marcu siedemdziesiątego pierwszego roku, a potem uczestniczyła w wiosennej ofensywie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim... ofensywie wielkanocnej... jego dywizja zdobyła prowincję i miasto Quang Tri... poniosła ciężkie straty w czasie amerykańskich bombardowań i znow wycofała się na północ, żeby wzmocnić swe

szeregi. Chce wiedzieć - powiedziała na koniec Susan - czy byłeś tam w czasie wiosennej ofensywy.

- Ja też wróciłem do domu w sześćdziesiątym ósmym roku, w listopadzie, a potem znów znalazłem się w Wietnamie w styczniu siedemdziesiątego drugiego roku. W czasie wiosennej ofensywy stacjonowałem w Bien Hoa.

Pan Vinh, wysłuchawszy słów Susan, skinął głową i spojrzał na mnie. Wątpiłem, czy kiedykolwiek rozmawiał z amerykańskim weteranem, więc z pewnością był ciekawy, ale ponieważ zjawiłem się znikąd, próbował zebrać myśli; nie przygotowywał się do tego spotkania przez dwa tygodnie, tak jak ja. Porzedział coś do Susan.

- Mówi, że wrócił na front w siedemdziesiątym trzecim, potem wziął udział w końcowej ofensywie wiosennej w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku; Trzysta Czwarta Dywizja zdobyła Hue, a potem przejechała wzdłuż wybrzeża na zdobycznych czołgach. Wkroczył do Sajgonu dwudziestego dziewiątego kwietnia i nazajutrz był obecny przy kapitulacji pałacu prezydenckiego.

A mnie się zdawało, że miałem dużo do powiedzenia o wojnie. Ten gość widział wszystko, od A do Z, dziesięć lat zabijania. Jeśli mój rok ciągnął się jak dziesięć lat, to jego dziesięć lat ciągnęło się jak sto. A teraz siedzi w rodzinnej wiosce i żyje sobie dalej, chociaż odebrano mu dziesięć lat młodości.

- Musiał pan dostać wiele odznaczeń i medali - powiedziałem.

Pan Vinh po wysłuchaniu Susan bez wahania podszedł do wiklinowego kufra i otworzył go; na to właśnie liczyłem. Musiałem doprowadzić do tego, żeby otwieranie skrzyń z wojennymi pamiątkami weszło mu w nawyk.

Wyjął kawałek czarnego jedwabiu i rozwinął na stole. Uklęknął i rozłożył dwanaście medali różnych kształtów i rozmiarów, pomalowanych emalią w rozmaitych kolorach, z różnobarwnymi wstążkami; oto leżał przede mną wspaniały plon dziesięciu lat spędzonych w piekle.

Pan Vinh wymieniał nazwy wszystkich medali. Nie chciałem być protekcyjny wobec pana Vinha i mówić, że jestem pod wrażeniem; wydawało mi się, że jest w stanie wychwycić, kiedy wstawia mu się kit, więc tylko skinąłem głową - Dziękuję, że pan mi je pokazał.

Spojrzelismy sobie z Susan w oczy, gdy powtórzyła mu to. Skinęła głową, jak gdyby chciała powiedzieć: „Nieźle sobie radzisz jak na gruboskórnego kretyna”.

Pan Vinh odłożył medale na miejsce, zamknął kufer i wstał.

Staliśmy wszyscy przez kilka sekund i jestem pewien, że Vinh wiedział, iż nie przebyłem kilkunastu tysięcy kilometrów po to, by obejrzyć jego medale.

To była odpowiednia chwila.

- Jestem tutaj, żeby porozmawiać z panem o tym, co pan widział, leżąc ranny w cytadeli w mieście Quang Tri - oznajmiłem.

Pan Vinh rozpoznał nazwę Quang Tri, a może nawet zrozumiał słowo „cytadela”; przeniósł wzrok na Susan, która powiedziała mu, o co chodzi.

Spojrzał znów na mnie, ale się nie odezwał.

- Amerykański żołnierz, który znalazł ciało pańskiego brata w dolinie A Shau, wziął między innymi list napisany przez pana, gdy leżał pan ranny w buddyjskiej szkole. Pamięta pan ten list?

Jak tylko Susan przetłumaczyła, pan Vinh skinął głową, rozumiejąc już, skąd wiem to, co wiem. Po raz pierwszy w tej rozmowie skłamałem, mówiąc:

- Przybyłem tutaj w imieniu rodziny porucznika zabitego przez kapitana. - Choć nie było to może do końca kłamstwo. - Poproszono mnie, żebym zbadał tę sprawę i pomógł rodzinie zrozumieć i upomnieć się o sprawiedliwość. - Spojrzałem na Susan, jakbym chciał powiedzieć: „Nie pomył się”.

Zerknęła na mnie i przekazała mi tę informację. Pan Vinh milczał.

Spróbowałem postawić się na jego miejscu. Na oczach tego człowieka uległo zagładzie całe pokolenie, więc nie wzruszało go ani nie robiło na nim wrażenia, że jakaś amerykańska rodzina próbuje odnaleźć sprawiedliwość pośród masowego ludobójstwa czy też zamknąć sprawę śmierci jednego żołnierza. Rząd w Hanoi nigdy do końca nie uwierzył, że amerykańskie władze wydają miliony dolarów po to, aby odnaleźć szczątki garstki żołnierzy zaginionych w akcji. Nie wiem, czy to różnica kulturowa, czy kwestia praktyczna; Wietnam nigdy nie miał czasu i pieniędzy, żeby szukać jednej trzeciej miliona swoich zaginionych żołnierzy. Nas z kolei opętała obsesja poszukiwania dwóch tysięcy zaginionych.

Pan Vinh milczał, ja również. Tych ludzi się nie popędza, a oni nie denerwują się dłuższymi chwilami ciszy, w przeciwieństwie do Amerykanów.

Wreszcie się odezwał.

- Mówi, że nie chce uczestniczyć w żadnym śledztwie, jeśli nie polecą mu tego władze - przetłumaczyła Susan.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Wzięłem głęboki oddech. Nie chciałem obrażać tego starego wiarusa, proponując pieniądze, ale przypomniałem mu:

- Ta rodzina dowiedziała się o losie pańskiego brata Lee, a ja przekazałem panu tę wiedzę za darmo. Czy byłby pan tak uprzejmy i zechciał mi opowiedzieć o losie ich syna, tak abym mógł im wszystko przekazać? - Zrobiłem pauzę, a potem dodałem: - To sprawa rodzinna, władze nie biorą w niej żadnego udziału.

Gdy Susan wyjaśniła, o co mi chodzi, w izbie zaległa cisza, którą zakłócał tylko syk palącego się węgla drzewnego i śpiew ptaka za oknem.

Pan Vinh odwrócił się i podszedł do drzwi.

Susan i ja spojrzeliśmy na siebie.

Pan Vinh wyszedł i usłyszałem, że rozmawia z kimś na zewnątrz; po chwili wrócił i powiedział coś do Susan.

Ukloniła się, a ja pomyślałem, że zostaliśmy poproszeni o wyjście albo poczekanie na przybycie żołnierzy, lecz Susan powiedziała:

- Pan Vinh poprosił wnuczka, żeby któraś z krewnych zaparzyła herbatę. Czemu ja w siebie wątpię? Przecież jestem w tym dobry. Świadkowie mnie uwielbiają. Podejrzani drżą przede mną. A do tego mam fart.

Pan Vinh skinął ręką, żebyśmy podeszli do niskiego stołu. Usiadł po turecku, plecami do ciepłego pieca; wskazał Susan miejsce po swojej lewej stronie, a mnie naprzeciwko siebie.

Susan wyjęła paczkę i poczęstowała pana Vinha, który wziął papierosa. Wyciągnęła rękę z papierosami w moją stronę, kiwając głową, więc nie miałem wyjścia. Podała nam ogień i położyła plastikową zapalniczkę na stole. Za popielniczkę służył nam kawałek wygiętej stali, wyglądający jak fragment bomby.

Pociągnąłem lekko, wypuściłem dym i odłożyłem papierosa do popielniczki. Wydawało się, że marlboro light smakują panu Vinhowi.

- Czy mogę panu opowiedzieć, jak to się stało, że przeczytałem pański list do brata? - spytałem. Pan Vinh skinął głową.

Zrelacjonowałem historię Victora Orta i Amerykańskiego Związku Weteranów Wojny Wietnamskiej, kładąc nacisk na humanitarny program pomocy AZWWW dla rządu w Hanoi przy odkrywaniu prawdy o losie zaginionych żołnierzy. Historia ta uległa jednak pewnej modyfikacji, bo pan Ort i ja zostaliśmy członkami organizacji, a ja przypadkowo znałem rodzinę, której syn, porucznik Pierwszej Dywizji Kawalerii, zginął w mieście Quang Tri. Uznałem, że dobrze to brzmi.

Wyjaśniłem, że rodzina nabrała przekonania, iż porucznik wspomniany w liście pana Vinha mógł być ich synem. Trochę ściemniłem, a ponieważ jestem Irlandczykiem z Bostonu, idzie mi to jak z płatka. Nie wspomniałem o CID ani nie wymieniłem nazwiska zabitego porucznika, bo go nie znałem. Za to pan Vinh je znał.

Słuchał, a Susan tłumaczyła.

Do izby weszła kobieta w średnim wieku i bez słowa podeszła do paleniska, gdzie nad palącym się węglem drzewnym wisiał czajnik. Postawiła na dywaniku trzy miseczki, wzięła szczyptę liści

herbaty z glinianego naczynia i wrzuciła do każdej miseczki. Następnie wazową łyżką nalała wrzątku do wszystkich misek postawiła je na wiklinowej tacy, przysunęła się na kolanach do stolika i ukloniła się.

Naprawdę podoba mi się w tym kraju. Zerknąłem na Susan i puściłem oczko. Pokazała mi język.

Ceremonia dobiegła końca i pani od herbaty znikła.

Skosztowaliśmy naparu.

- Co za paskudztwo - zauważyłem z uśmiechem.

Susan powiedziała coś do pana Vinha, który też się uśmiechnął. Palili papierosy, popijali herbatę i gawędzili.

- Pan Vinh spytał, czy jesteśmy kochankami. Powiedziałam, że byliśmy przyjaciółmi, kiedy w Sajgonie wynajęłaś mnie jako tłumaczkę, a potem zostaliśmy kochankami.

Spojrzałem na pana Vinha, na którego wargach błąkał się leciutki uśmiech. Pewnie myślał sobie: „Ciężka sprawa, stary”. - Pan Vinh dziwi się, że tak wielu amerykańskich weteranów odwiedza południe - powiedziała Susan. - Czyta o tym w gazetach i ogląda w telewizorze w szkole.

Skinąłem głową i pomyślałem, że wioska Ban Hin nie jest jednak kompletnie odcięta od świata, co może mieć znaczenie, jeśli moje podejrzenia co do mordercy okażą się słuszne.

Susan i pan Vinh kontynuowali pogawędkę przy herbacie i znów zapalili. Wiedziałem,

że to konieczne przed przejściem do sedna sprawy, ale zaczynałem się trochę niecierpliwie, nie mówiąc o tym, że nękały mnie wątpliwości, kto jeszcze może nas odwiedzić.

- Mogę zapytać, czy ta kobieta była pańską żoną? - zwróciłem się bezpośrednio do pana Vinha.

Susan przetłumaczyła, gospodarz zaś skinął głową.

- Czy to była Mai, o której pisał pan w liście?

Susan zawahała się, ale zadała mu to pytanie.

Pan Vinh odstawił miseczkę i spojrzał przed siebie. Powiedział coś, nie mówiąc do nikogo w szczególności.

- Mai zginęła podczas bombardowania Hanoi w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku - powiedziała Susan. - Pobrali się, kiedy wrócił z frontu w siedemdziesiątym pierwszym, i nie mieli dzieci.

- Przykro mi.

Zrozumiał i znów skinął głową. Zamienili z Susan jeszcze kilka słów.

- Ożenił się ponownie - wyjaśniła mi - ma siedmioro dzieci i wiele wnuków. Chce wiedzieć, czy ty masz dzieci.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Susan odpowiedziała jednym słowem, którym pewnie było „nie”. Wymiana uprzejmości się skończyła; pan Vinh o coś zapytał.

- Chce wiedzieć, czy masz ten list, który napisał do brata - wyjaśniła Suszan.

- Miałem fotokopię, ale zgubiłem gdzieś w podróży. Przyślę mu oryginał, jeśli powie, jak to zrobić.

- Ma kuzyna w Dien Bien Phu i tam możesz wysłać list - przetłumaczyła Susan jego odpowiedź.

Chciałbym mieć jego list, rzecz jasna, żeby sprawdzić, czy to, co przeczytałem, było tym, co napisał. Miejmy nadzieję, że wkrótce się dowiem.

Bogu dzięki, nie było dolewki herbaty; pan Vinh i Susan odpędzali komary dymem z papierosów.

- Czy odniesione w czasie wojny rany dokuczają panu? - spytałem.

- Czasami - brzmiała odpowiedź. - Odniosłem więcej ran po Quang Tri, ale nie tak ciężkich, żeby nie pozwoliły mi spełniać swoich obowiązków dłużej niż przez miesiąc.

Wskazał na mnie.

- Nie odniosłem żadnych ran - odparłem.

Susan przetłumaczyła, a pan Vinh kolejny raz skinął głową.

- Jak pan się wydostał z Quang Tri? - spytałem.

- Mogłem chodzić, a wszystkim rannym, którzy byli w stanie chodzić, kazano próbować ucieczki nocą. Wyszedłem wczesnym rankiem, sam; noc była bezksiężycowa, lał deszcz. Przeszedłem dziesięć metrów od amerykańskich pozycji i uciekłem na wzgórze na zachodzie.

Miałem nadzieję, że zabrał ze sobą rzeczy zabitego porucznika. Powiedział coś jeszcze.

- Pan Vinh mówi, że być może stało się to tuż pod twoim nosem - przetłumaczyła Susan.

- Właśnie tak było.

Wszyscy się uśmiechnęli, ale nikt nie wybuchnął głośnym śmiechem. A więc do dzieła.

- Mogę pokazać panu kilka zdjęć, żebyśmy ustalili, czy porucznik, którego rodzina mnie tu przysłała, jest tym samym, którego pan widział w zbombardowanym budynku w Quang Tri? - spytałem. Susan przetłumaczyła mu moje pytanie, a pan Vinh ruchem głowy wyraził zgodę.

Wstała, podesta do plecaka i wróciła ze zdjęciami. Położyła niewielki album na stole i otworzyła go.

Pan Vinh popatrzył na zdjęcie, a potem wstał i podszedł do wiklinowego kuferka. Wrócił z owiniętym w szmatkę płóciennym portfelem. Otworzył go i wyjął foliową okładkę na zdjęcia, którą położył koło fotografii na stole.

Susan spojrzała na zdjęcia, wyciągnęła jedno z albumu i podała mi oba.

Przyjrzałem się fotografii z albumu, przedstawiającej dwoje młodych ludzi. Kobieta była ładna, mężczyzna zaś okazał się tą samą osobą, której zdjęcie przechowywał pan Vinh.

Mieliśmy więc ofiarę, a teraz potrzebowaliśmy jej nazwiska; w CID znali je, oczywiście, ale ja go nie znałem.

- Mogę obejrzeć portfel? - spytałem.

Susan przetłumaczyła pytanie; pan Vinh pchnął portfel po stole.

Otworzyłem go i przejrzałem. Było tam trochę talonów wojskowych - których używaliśmy zamiast

pieniędzy - kilka zdjęć rodzinnych - mama i tata, dwie nastoletnie dziewczynki, wyglądające na siostry, i niemowlę, które mogło być dzieckiem zmarłego.

W portfelu było też parę innych drobiazgów w foliowych oprawkach: Karta Konwencji Genewskiej, karta z listą zasad wojny lądowej i jeszcze jedna, z regulaminem służby. Wojna niesie z sobą od cholery zasad. Większość z nich gówno znaczyła, z wyjątkiem zasady numer jeden, która brzmi: Zabij go, zanim on cię zabije.

Ten młody oficer miał przy sobie wymagane dokumenty i odniosłem wrażenie, że starał się postępować słusznie. Wrażenie to wzmocnił jeszcze rzut oka na kartkę przydziałów alkoholu, którą mieli wyłącznie oficerowie. Były w niej tylko dwie dziurki, co oznaczało, że dwa razy kupował alkohol. Gdybym ja miał taką kartkę w Wietnamie, wyglądałaby jak szwajcarski ser po trafieniu szrapnelem.

Ostatnim dokumentem był wojskowy dowód identyfikacyjny. Nazwisko zmarłego brzmiało William Hines; był młodszym oficerem piechoty, porucznikiem.

Spojrzałem na pana Vinha.

- Czy mogę zwrócić ten portfel rodzinie porucznika Hinesa?

Pan Vinh zrozumiał bez tłumaczenia i bez wahania skinął głową. Odłożyłem portfel.

Jeśli nic więcej z tego nie wyjdzie, rodzina Hinesów otrzyma ten portfel po prawie trzydziestu latach - zakładając, że Paul Brenner wróci z Wietnamu.

- W pańskim liście do brata napisał pan, że tego człowieka zabił amerykański kapitan - powiedziałem.

Pan Vinh przytaknął.

- Mamy zdjęcia człowieka, którego uważamy za tego kapitana - ciągnąłem. - Może go pan rozpozna.

Susan otworzyła album na ostatnich dziesięciu fotografiach i pokazywała panu Vinhowi jedną po drugiej. Obserwowałem jego twarz, gdy wpatrywał się intensywnie w zdjęcia

Kiedy doszła do ostatniego, pan Vinh skupił na nim wzrok i coś powiedział. Potem przejrzał zdjęcia jeszcze raz i znów się odezwał. Zdawało mi się, że nie jest pewien albo nie chce zdecydowanie stwierdzić, że rozpoznaje tego człowieka; nie mogłem go za to winić.

- Mówi, że światło nie było dobre - wyjaśniła Susan. - Twarz kapitana była ubrudzona i miał na głowie hełm; z miejsca na drugim piętrze, gdzie leżał pan Vinh, nie mógł widzieć jej wyraźnie, a poza tym nie pamiętałby jej po tylu latach.

Skinąłem głową. Byłem blisko, ale trafiłem w ślepią uliczkę.

- Może mi pan powiedzieć, co pan widział tego dnia? - spytałem.

Susan powtórzyła pytanie, a pan Vinh odpowiedział:

- W liście było to, co widziałem.

list napisany przez niego. Więc, wkładając kapelusz detektywa, oświadczyłem: Nie chciałem mu mówić, że list, który znalazł się u mnie, być może nie jest taki sam, jak

- W liście do brata napisał pan, że nie potrafi nadać żadnego znaczenia zabójstwu porucznika przez kapitana. Ale napisał pan, że się spierali. Czy to możliwe, żeby porucznik groził kapitanowi? Albo żeby porucznik wykazywał niesubordynację lub tchórzostwo? Rzadko się zdarza, żeby oficer wyciągnął pistolet i zastrzelił innego oficera z powodu kłótni. Jeśli zastanowi się pan nad tym, co widział, może przyjdzie panu do głowy jakaś inna myśl.

Pan Vinh wbił we mnie wzrok, kiedy się dowiedział, o co mi chodzi, choć nie wiedziałem dlaczego. Wreszcie coś odpowiedział. - Mówi, że w dalszym ciągu nie potrafi nadać temu znaczenia.

Nie zamierzałem poddać się tak łatwo, zwłaszcza że ryzykowaliśmy życie, żeby tutaj dotrzeć, i po drodze zabiliśmy czterech ludzi, - Może nie pamiętam dobrze treści listu, a może tłumaczenie nie było wierne. Czy mógłby pan opowiedzieć jeszcze raz o tym zajścia?

Pan Vinh wziął głęboki oddech, lecz milczał. - Panie Vinh, nikt nie lubi wracać do tamtych czasów, ale od kiedy tu przyjechałem, odwiedziłem pola moich dawnych bitew, łącznie z Quang Tri, a także dolinę A Shau. Przeżyłem te wydarzenia w myślach jeszcze raz i opowiedziałem o nich tej pani i jestem przekonany, że wyszło mi to na dobre. Proszę pana teraz, żeby zgodził się przeżyć jeszcze raz tamto zdarzenie, może wyjdzie z tego coś dobrego.

- Nie chce o tym rozmawiać - stwierdziła Susan. Coś tu nie grało.

- Dokładnie tłumaczysz? - spytałem. Nie odpowiedziała.

- Susan, co tu się, kurwa, dzieje?

Spojrzała na mnie.

- Naprawdę wolałbyś nie wiedzieć, Paul.

Poczułem dreszcz na plecach.

- A właśnie że chcę wiedzieć, do kurwy nędzy.

- Paul, przebyliśmy długą drogę i znaleźliśmy pana Vinha żywego. Teraz musimy sprawdzić, czy ma więcej pamiętek, a potem wrócić do Hanoi i napisać raport.

Zerknąłem na pana Vinha; rozumiał, że jego goście się kłócą.

Wziąłem portfel i uniosłem go.

- *Souvenir?* - Większość Wietnamczyków znała to słowo. - *Sowenir de guerre? Dai-uy sowenir? Souvenir kapitana? Trung-uy sowenir? Souvenir porucznika?* - Wskazałem wiklinowy kufer. - *Beaucoup sowenir? Biet?*

Pan Vinh skinął głową, wstał i podszedł do kuferka. Spojrzałem na Susan.

- Ty wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

- Wiem.

- Widziałaś wierne tłumaczenie listu?

- Widziałam.

- Jesteś zakłamaną suką.

- Jestem.

Pan Vinh wrócił z kilkoma przedmiotami w dłoniach; położył je na stole.

Był tam amerykański zegarek wojskowy, którego wskazówki zatrzymały się dawno temu, plastikowa żołnierska manierka, której pan Vinh wciąż by używał, gdyby nie została podziurawiona odłamkami w jakiejś dawnej bitwie, złota obrączka, kolekcja blaszanych identyfikatorów, noszonych na szyi, i trochę papierów w płóciennym woreczku.

Podniosłem identyfikator; było na nim nazwisko Hines, William H., numer identyfikacyjny, grupa krwi i wyznanie; był metodystą.

Spojrzałem na obrączkę, która na wewnętrznej stronie miała wygrawerowany napis: Bill & Fran, 15. 1. 67; mniej więcej rok przed jego śmiercią.

Otworzyłem płócienny woreczek i znalazłem garść listów od Fran, mamy, taty i innych osób. Odłożyłem je na bok i wziąłem w rękę inny, niedokończony list porucznika, oznaczony datą: 3 lutego 1968.

Droga Fran!

Nie wiem, kiedy będę mógł skończyć ten list i czy w ogóle go dokończę. Jak już wiesz, Wietkong i północnowietnamska armia zaatakowały w całym kraju i nawet przyspuściły szturm na tutejszą cytadelę w mieście

Quang Tri . Kwatera Główna Komendy Korpusu Doradców Wojskowych w Wietnamie została trafiona pociskami moździerzowymi, mamy mnóstwo rannych, którym, jak na razie, nie zdołano udzielić pomocy medycznej. Wietnamczycy uderzyli i zniknęli, a żołnierze z doradztwa wojskowego walczą o życie. To miała być łatwa robota. Wiem, że ten list brzmi pesymistycznie, nie mam nawet pojęcia, czy go otrzymasz, ale może jednak się uda, więc chcę, żebyś wiedziała

Tu list się urywał. Odłożyłem go.

W woreczku był też mały notes, typowy oficerski notatnik z częstotliwościami radiowymi i sygnałami wywołań, kodami, nazwiskami łączników w armii Wietnamu Południowego i tak dalej. Porucznik Hines używał go też jako pamiętnika; przeczytałem zapisy z kilku dni. Większość dotyczyła pogody, zebrań personelu, refleksji o wojnie; były również inne przypadkowe zapiski

Notatka z 15 stycznia przyciągnęła jednak mój wzrok. „Kapitan B., uwielbiany przez starszych sierżantów, ale nie przeze mnie i innych oficerów. Za dużo machluje na czarnym rynku, a każdą noc spędza w burdelu”.

Zamknąłem pamiętnik. Można było podejrzewać, że kapitanowi B. wojna się spodobała, aż do czasu ofensywy Tet.

Spojrzałem na pana Vinha, wskazałem na rzeczy na stole, a potem na siebie.

Skinął głową.

Zwróciłem się do Susan.

- Rodzinie Hinesów będzie zależało na tych rzeczach. Będą też chcieli wiedzieć, jak zginął porucznik.

- Wiesz, jak zginął, W bitwie.

- Przykro mi. Został zamordowany.

- Nie muszą tego wiedzieć.

żebym się dowiedział, kto zabił porucznika Hinesa. - Cóż, nie mogę się wypowiadać w imieniu rodziny Hinesów, ale przysłano mnie tutaj, tego morderstwa. Żyje. Ma pamiątki? Ma. Możemy je odzyskać? Odzyskaliśmy. Ludzie w - Nie, nie po to cię tu przysłano. Przysłano cię, żebyś sprawdził, czy żyje jeszcze świadek Waszyngtonie już znają nazwisko mordercy - jest nim oczywiście mężczyzna pokazany na zdjęciach - i ani ty, ani ja nie musimy go znać. Nie chciałbyś go znać.

- Mylisz się; - Spojrzałem na złożony arkusz żółtego papieru na stole, ostatnią pamiątkę z kufra pana Vinha. Rozpoznałem spis personelu jednostki i sięgnąłem po niego. Został wydrukowany na starej kalce i nazwiska były niewyraźne, lecz czytelne. Nagłówek brzmiał: *Armia Stanów Zjednoczonych, Komenda Korpusu Doradztwa Wojskowego, miasto Quang*

Tri, Republika Wietnamska. Data: 3 stycznia 1968.

Przebiegłem wzrokiem po nazwiskach i zobaczyłem, że w grupie doradców jest szesnastu Amerykanów, oficerów i starszych sierżantów. To nie była szczególnie niebezpieczna robota, chyba że zdarzyło się coś nieprzewidzianego, tak jak podczas ofensywy Tet.

Dowódcą grupy był podpułkownik Walter Jenkins, a jego pierwszym oficerem major

Stuart Billings. Trzecim w kolejności oficerem był kapitan, jedyny kapitan wymieniony nad

szeregiem poruczników, wśród których figurowało nazwisko Williama H. Hinesa. Nazywał się Edward F. Blake.

Popatrzyłem chwilę na nazwisko, a potem sięgnąłem po jedno ze zdjęć, to, na którym kapitan był w krawacie. - Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Edward Blake - powiedziałem, spoglądając na Susan.

W milczeniu zapaliła papierosa.

Zaczerpnąłem powietrza. Gdybym miał pod ręką szkocką z wodą sodową, wychyliłbym ją jednym haustem. Edward F. Blake.

Kapitan B.

Wiceprezydent Edward Blake, o krok od prezydentury Stanów Zjednoczonych po następnych wyborach. Ale miał pewien problem: zamordował człowieka.

Zerknąłem na pana Vinha, który siedział cierpliwie, choć pewnie w tej chwili wyczuwał niedobre wibracje.

- Jakie są szanse na to, że nasz gospodarz rozpozna wiceprezydenta Edwarda Blake'a? - spytałem Susan normalnym głosem.

- Oto jest pytanie, prawda? - odparła, zaciągając się papierosem.

- Odbiór telewizji nie jest tutaj zbyt dobry - zauważyłem.

- Dyskutowaliśmy o tym w Waszyngtonie. Pytali mnie o zdanie.

- Jakie jest twoje zdanie?

- Moim zdaniem prawie każdy Wietnamczyk może rozpoznać prezydenta, a nawet wiceprezydenta

Stanów Zjednoczonych, ze zdjęć w gazetach. Gazety w tym kraju, tak jak we wszystkich niemal krajach bloku komunistycznego, są tanie i powszechnie dostępne i prawie wszyscy obywatele umieją czytać. To powiedziałam w Waszyngtonie. Poza tym wiadomości są silnie upolitycznione i koncentrują się na Waszyngtonie. Wietnamczycy nie są źle poinformowani, nawet w Ban Hin. Ponadto w szkole jest telewizor. A jak pewnie wiesz,

do spraw Poszukiwania Żołnierzy Zaginionych w Akcji i odbył wiele podróży do Wietnamu. wiceprezydent Blake, będąc senatorem, zasiadał w Komisji Spraw Zagranicznych i Komisji. Może sobie przypominasz, że jest bliskim przyjacielem naszego ambasadora w Hanoi Patricka Quinna. - Susan zerknęła na pana Vinha i dodała: - To mógłby być potencjalny problem, zwłaszcza gdyby Edward Blake został prezydentem. - Spojrzała na mnie. - A co ty myślisz?

Wyobraziłem sobie Trana Van Vinha siedzącego z papierosem na rynku i czytającego tutejszą „Prawdę”. Nagle widzi zdjęcie Edwarda Blake’a i w jego głowie odzywa się dzwonek. Pan Vinh myśli sobie: „Nie... to niemożliwe. A może. Słuchaj, Nguyen, ten facet, o którym ci opowiadałem, jest prezydentem impertalistycznych Stanów Ameryki... ten, który rąbnął porucznika w Quang Tri”.

I co wtedy? Czy doniósłby o tym ciekawym zbiegu okoliczności miejscowym władzom? A gdyby to zrobił, co by z tego wynikło? To było pytanie.

- Co myślisz, Paul? - powtórzyła Susan. Spojrzałem na nią.

- Rozumiem już, dlaczego tak wielu ludzi w Waszyngtonie może mieć zszarpane nerwy i dlaczego Edward Blake nie może spać - zakładając, że wie o tym wszystkim, między innymi o misji Paula Brennera w Wietnamie. W każdym razie szansa na to, że nasz gospodarz zidentyfikuje Blake’a i zawiadomi kogoś o tym, jest bardzo znikoma.

- Trzeba dmuchać na zimne - odparła Susan i dodała: - Czuję się trochę lepiej, bo udało nam się zdobyć te pamiątki wojenne.

- A poczujesz się jeszcze lepiej, jeśli zabijesz tego człowieka.

Nie odniosła się do tego.

- Można powiedzieć, że rozpoznał zdjęcie - stwierdziła. - To znaczy, nie skojarzy z nim od razu nazwiska, ale pewnego dnia może skojarzyć. Na przykład, czytając w jednej z

ogólnokrajowych gazet o wizycie Edwarda Blake’a. A wiceprezydent Blake właśnie składa oficjalną wizytę w Hanoi.

- Cóż za zbieg okoliczności - zauważyłem. - Czy Blake wie, że ma problem? Czy po to tu przyjechał? - Naprawdę nie wiem... Myślę, że jeśli jeszcze nie wie, to dowie się od swoich doradców, kiedy dotrzemy do Hanoi... albo jeśli dotrzemy. Tak podejrzewam.

- Słowem, nie wiemy, czy ci, którzy wysłali nas na tę misję; próbują kryć Blake’a, czy go szantażować?

Susan nie odpowiedziała na moje pytanie.

- Prowincjonalne gazety - oświadczyła - są tygodnikami, więc w następnej będzie coś o wizycie Blake’a i będą zdjęcia. Wietnamczycy często zamieszczają obok siebie zdjęcia aktualne i z czasów wojny i zawsze wspominają o służbie wojskowej, więc w artykule znajdzie się wzmianka, że Blake walczył w bitwie o Quang Tri w sześćdziesiątym ósmym roku, ale od tego czasu stał się

przyjacielem Wietnamu. Oni to uwielbiają. - Spojrzała na

mnie. - Jak myślisz? Czy nasz obecny tu przyjaciel ułożyłby w całość wszystkie szczegóły, gdyby ujrzał zdjęcie kapitana Blake'a i zdjęcie wiceprezydenta Blake'a, zestawione razem?

- Czy walczę o życie tego człowieka?

Susan nie odpowiedziała.

- Ten facet nie przeżył dziesięciu lat w piekle po to, żeby go rozwalić we własnym domu tylko dlatego, że pewnego dnia może sobie coś przypomnieć.

Pan Vinh palił papierosa, a jego goście rozmawiali po angielsku. Pewnie myślał, że jesteśmy bardzo niegrzeczni, lecz sam miał tyle taktu, że nie zwracał nam uwagi. Zastanawiałem się też, czy rozpoznaje nazwisko Edwarda Blake'a, kiedy je wymieniamy.

- Czy on wyodrębnia nazwisko?

- Nie. Po wietnamsku byłoby inaczej zapisane i wymawiane - odparła Susan. - Nie brzmiałoby tak anglosasko. A bez znaków akcentowych zupełnie inaczej wygląda. Ale musimy zabrać listę personelu, żeby nie mógł skojarzyć nazwiska, jeśli zobaczy je w

gazecie... Poza tym będzie pamiętał o naszej wizycie i o albumie.

Popatrzyłem na Susan i zacząłem wszystko rozważać. Czas zastanowić się nad Susan: Czy wciąż ją kocham? Tak, ale mi przejdzie. Czy jej ufam? Nigdy jej nie ufałem. Czy jestem wściekły? Tak, ale i pod wrażeniem. Jest bardzo dobra. I wreszcie, czy zamierza zrobić coś pochopnego i gwałtownego? Właśnie nad tym dumiała.

Susan paliła w zamyśleniu papierosa.

- Naprawdę wolałabym, żebyś nie był taki wścibski - powiedziała.

- Hej, za to mi płacą. Dlatego nazywają mnie detektywem.

Uśmiechnęła się. Przypomniawszy sobie, że ignorujemy gospodarza, porozmawiała z nim przez chwilę, Bóg jeden wie, o czym. Może pytała, gdzie kupił klepisko na podłogę. Poczęstowała go papierosem, a potem wydobyła z kieszeni rachunek z motelu Dien Bien Phu

i coś na nim napisała, cały czas rozmawiając z panem Vinhem. Może wymieniali się przepisami na *pho*.

- Zapisuję adres kuzyna pana Vinha w Dien Bien Phu, żebyśmy mogli mu wysłać list pana Vinha - oznajmiła.

- Po co? Przecież ty albo ktoś inny go zabije.

Nie odpowiedziała.

Pan Vinh uśmiechnął się do mnie.

- Wyośmy się stąd, zanim zjawi się policja - powiedziałem.

komitetu partii. - Skinęła głową w stronę plakatu Wujaszka Ho na ścianie. - Żołnierze nie - Nic nam nie grozi - odparła. - Nie uwierzysz, ale pan Vinh jest szefem okręgowego przyjdą, jeśli pan Vinh ich nie wezwie.

Spojrzałem na pana Vinha. Mój fart. Siedzę w chacie pierwszego komucha w powiecie.

Mniejsza z tym; współpracował chętnie, a gdyby Susan wiernie przetłumaczyła moje pytania o szczegóły wydarzeń w dniu, w którym kapitan Blake zastrzelił porucznika Hinesa, pan Vinh odpowiedziałby mi.

- *Parlez vous francais?* - spytałem. Potrząsnął głową.

- Ani trochę? *Un peu?*

Wietnamczyk milczał.

- Dobra, Paul, może powinniśmy wyjść, zanim pan Vinh wyczuje pismo nosem.

- Ja jeszcze nie skończyłem.

- Daj temu spokój.

- Powiedz mi, dlaczego to takie ważne, żeby kryć Edwarda Blake'a.

- Powinieneś częściej czytać gazety. Mówiłam ci, że Edward Blake ma tutaj szerokie powiązania. Zawarł wiele przyjaźni w rządzie w Hanoi... z nowymi ludźmi, którzy chcą być naszymi przyjaciółmi. Edward Blake jest bliski zawarcia porozumienia dotyczącego zatoki

Cam Ranh, a także umowy o handlu i ropie naftowej. Poza tym postawi się Chińczykom.

- Kogo to obchodzi? Zdaje mi się, że popełnił morderstwo.

- A kogo to obchodzi? On zostanie następnym prezydentem. Ludzie go lubią, lubią go wojskowi, wywiad i biznesmeni. Założę się, że nawet ty go lubiłeś jeszcze dziesięć minut temu.

W rzeczy samej. Bohater wojenny i w ogóle. Nawet moja mama go lubi. Jest przystojny.

- Dobrze, założmy, że wątpliwości przemawiają na korzyść Edwarda Blake'a, że zabił porucznika Hinesa z uzasadnionych powodów - powiedziałem. - A teraz bez żadnych kręactw zapytaj pana Vinha, co widział tego dnia. Już.

- Nigdy nie poznamy powodu, który i tak nie ma znaczenia, a poza tym pan Vinh nie wie. - Wstała. - Chodźmy.

- Ty wiesz. Powiedz mi.

Podeszła do tylnej ściany i była znacznie bliżej broni niż ja.

- Nie chcę, żebyś wiedział - odparła. - Już wiesz za dużo.

Pan Vinh próbował zrozumieć, co się dzieje, i spoglądał to na mnie, to na Susan. Wstałem i popatrzyłem na nią. Wiedziała, że wiem, do czego zmierza.

- Paul... Kocham cię. Naprawdę. Właśnie dlatego nie chcę, żebyś wiedział więcej, niż już wiesz. Nawet nie wspomnę, że poznałeś nazwisko Edwarda Blake'a.

- Ale ja wspomnę. Teraz zapytaj go o to, co chcę wiedzieć, albo sama mi powiedz.

- Nie zrobię ani jednego, ani drugiego. - Zawahała się. - Daj mi kluczyki.

Wyjąłem z kieszeni kluczyki i rzuciłem jej.

Susan złapała je, spojrzała na mnie i powiedziała coś do pana Vinha. Nie wiem, co to było, ale pan

Vinh przeniósł na mnie wzrok i zaczął coś mówić.

Widziałem, że Susan sięga pod strzechę i wyjmuje kolta. Trzymała go za plecami. Zastanawiałem się, czy strzał będzie słyszalny w wiosce. Albo dwa strzały.

- Zabijałem ludzi dla ojczyzny i robiłem dla ojczyzny wiele innych podłych rzeczy - powiedziałem.
- Słyszałaś kiedyś powiedzenie: „Prędzej zdradziłbym ojczyznę niż przyjaciela?”. Był czas, kiedy w to nie wierzyłem. A teraz nie jestem pewien. Kiedy dożyjesz mojego wieku, Susan, i spojrzysz na to wszystko wstecz, może zrozumiesz.

Popatrzyłem jej w oczy i zobaczyłem, że jest bliska łez, co nie wróżyło dobrze mojemu zdrowiu ani zdrowiu pana Vinha.

Pan Vinh wstał i spoglądał to na Susan, to na mnie.

Susan powiedziała coś do niego; zaczął zbierać rzeczy ze stołu.

Chciałem mu powiedzieć, żeby przestał, lecz nie był to dobry pomysł z kilku powodów, spośród których kolt nie był najmniej ważnym.

Pan Vinh podał Susan album ze zdjęciami, a potem płócienny woreczek z listami i listą personelu, znaczki identyfikacyjne, portfel, obrączkę i zegarek; Susan schowała wszystko do kieszeni kurtki. ponieważ był taktownym facetem, nie chciał się wtrącać w sprzeczkę dwojga cudzoziemców Pan Vinh wykombinował już, że istnieje między nami spór w jakiejś kwestii, ale odmiennych płci.

Panna Weber rozważała tymczasem swój następny ruch, którym mogło być albo czyste wyjście z domu, albo brudne. Musiałaby stłumić odgłos wystrzału i być może nad tym się właśnie zastanawiała. Z trudem wyobrażałem sobie Susan Weber zabijającą pana Vinha lub swojego nowego kochanka, lecz potem przypomniałem sobie, jak bez zmrżenia oka rąbnęła dwóch żołnierzy. Podeszła do plecaka i wyjęła skórę, którą podarowali jej Montagnardzi. Gdybym to ja miał stłumić huk wystrzału, właśnie tego bym użył. Patrzyłem na nią, ale unikała kontaktu wzrokowego a» mną, co nie było dobrym znakiem.

Długo się wahała, wreszcie podjęła decyzję i wsunęła kolta z tyłu w spodnie. Pan Vinh nawet nie zauważył, co się dzieje.

Z ukłonem podała panu Vinhowi skórę, a on odwzajemnił ukłon. Spojrzała na mnie.

- Jedziesz ze mną?

- Jeśli z tobą pojedę, zabiorę broń i dowody. Wiesz o tym.

Wzięła głęboki oddech.

- Przykro mi - powiedziała i wyszła.

Sytuacja wyglądała mniej więcej tak: tkwię na jakimś wygwizdowie w domu miejscowego komucha numer jeden, który nie zna nawet francuskiego, nie mówiąc o angielskim, a moja nowa dziewczyna ulotniła się właśnie z moimi kluczami od motocykla i z bronią. Cóż, mogło być gorzej.

Przystawiłem palec do skroni i powiedziałem do pana Vinha:

- *Co-dep dien cai dau*. Postrzelona.

Uśmiechnął się i skinął głową.

- Będą dzisiaj jeszcze jakieś autobusy?

- E?

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia po południu, a do Dien Bien Phu było trzydzieści kilometrów. Forsownym marszem mogłem zrobić po płaskim terenie sześć czy siedem kilometrów w ciągu godziny. W ten sposób powinienem dotrzeć do miasta około ósmej; a może udałoby się złapać okazję.

- *Cam un...* jakkolwiek było - powiedziałem do pana Vinha. - Dzięki. *Merci beaucoup*. Świetna herbata. - Uścisnęliśmy sobie dłonie. Spojrzałem mu w oczy. Ten stary wiarus przeżył piekło do potęgi, a teraz właściwie był znów ubogim wieśniakiem, agrarnym komunistą ze starej szkoły, totalnie nieskorumpowanym i totalnie nieważnym. Jeśli Waszyngton go nie wykończy, może zrobią to nowi ludzie w Hanoi. Pan Vinh i ja mieliśmy to i owo wspólnego.

Zdjąłem swój ładny szwajcarski zegarek i dałem mu. Przyjął go z pewnym oporem i ukłonił się.

Podniosłem plecak i opuściłem dom rodziny Tranów. Przeszedłem między pagórkami i kurhanami grobowymi i znalazłem się znów w wiosce Ban Hin.

Nie zwróciłem na siebie aż tyle uwagi, co poprzednim razem, albo tego nie zauważyłem.

W podtekście: Mimo mojej brawury i sarkazmu, wciąż kochałem pannę Sukę. Szczerze powiedziawszy, przewracało mi się w żołądku i bolało mnie serce. Myślałem o restauracji w Reksie, pociągu do NhaTrang, Grand Hotelu, wyspie Pyramide, autostradzie numer jeden, wigilii Tet, A Shau, Khe Sanh i Quang Tri - gdybym miał to wszystko zrobić od nowa, zrobiłbym to z nią.

Sprawa Edwarda Blake'a. W dalszym ciągu nie mogłem sobie tego poukładać i nie byłem jeszcze gotów, żeby wszystko przeanalizować. Wiedziałem na pewno, że w jakimś kręgu władzy zwężono list i dokonano ingerencji, a może było odwrotnie - list najpierw zwrócił uwagę CIA lub FBI, a CID, agenda wojskowa, posłużyła tylko za przykrywkę. Paul Brenner zaś był Don Kichotem uganiającym się po kraju z rycerskimi posyłkami w towarzystwie Sancho Pansy, który miał prawdziwą władzę i mózg. Oczywiście, że część z tego już wcześniej wykombinowałem, ale nic nie zrobiłem.

Tak czy siak, pewni ludzie w Waszyngtonie sami wpędzili się swoim gadaniem w głęboką paranoję; są w tym bardzo dobrzy. A Edward Blake był zwycięzcą, co wynikało niezbitie z sondaży: przystojny bohater wojenny, piękna żona i dzieci, pieniądze, wysoko postawieni przyjaciele - więc wszystko, co mogło stanąć na przeszkodzie jego przyszłej prezydenturze, było martwe jak mięso u rzeźnika.

Ogólnie rzecz biorąc, facet nie musiał się obawiać kłopotów, zwłaszcza jeśli ktoś sprzątnąłby pana Vinha i mnie. Susan, jak się okazało, nie zdołała pociągnąć za spust, więc może powinienem jej wysłać kartkę z podziękowaniami.

Przechodząc przez główny plac wioski, spojrzałem na pomnik poległych. Ta wojna, wojna wietnamska czy amerykańska, wciąż zbierała żniwo.

Dotarłem do drogi numer dwanaście i rozejrzałem się za okazją, lecz był to ostatni dzień świąt; przypuszczalnie wszyscy przedłużali je sobie o weekend, dlatego przez pewien czas nie należało się spodziewać nikogo na drodze.

Ruszyłem na południe w kierunku Dien Bien Phu; mijając posterunek wojskowy, zauważyłem, że

nie ma przed nim dziapa.

Po przejściu mniej więcej kilometra usłyszałem za sobą pomruk dużego motocykla, ale szedłem dalej.

Zrównała się ze mną i popatrzyliśmy na siebie.

- Czemu idziesz do Dien Bien Phu? - spytała. - Powiedziałam ci, jak się dostać do Hanoi. Nie słuchasz mnie. Powinieneś iść do Lao Cai. Jadę w tamtą stronę. Wskakuj.

- Dzięki, ale wolałbym się czołgać i raczej pójdę tam, gdzie chcę. - Nie zatrzymałem się.

- Nie będę za tobą jechać - zawołała. - I nie będę cię prosić. To koniec. Jedź ze mną albo nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Przerabialiśmy to już na autostradzie numer sześć, ale tym razem trzymałem się twardo. Machnięciem ręki dałem znak, że słyszę, i szedłem dalej.

Motor zaryczał na wyższych obrotach, a potem ucichł w oddali.

Jakieś dziesięć minut później znów usłyszałem go za sobą

- Ostatnia szansa, Paul.

- Słowo?

- Bałam się, że złapiesz okazję i cię zgubię.

Szedłem dalej, a Susan jechała obok, to dodając, to ujmując gazu.

- Możesz prowadzić - powiedziała. Nie zareagowałem.

- Musisz dostać się do Hanoi, a potem wylecieć samolotem w niedzielę. Ja muszę dostarczyć cię do Hanoi... albo będę miała kłopoty.

- Myślałem, że masz mnie zabić.

- To śmieszne. No, chodź. Czas wracać do domu.

- Znajdę drogę do domu, dzięki. Zrobiłem to już dwa razy.

- Proszę.

- Susan, idź do diabła.

- Nie mów tak. Jedź ze mną, proszę cię.

Staliśmy na gruntowej drodze i patrzyliśmy sobie w oczy.

- Naprawdę nie chcę cię mieć przy sobie.

- Chcesz.

- To jest skończone.

- To ma być podziękowanie za to, że nie zabiłam ciebie i pana Vinha?

- Masz wielkie serce.

- Mogę zapalić? - Możesz się nawet spalić.

Zapaliła.

- A więc słuchaj. Tran Van Vinh napisał w liście, że był w budynku skarbcza w cytadeli Quang Tri, ranny; leżał na drugim piętrze i patrzył w dół. Widział wchodzących dwóch mężczyzn i kobietę, którzy otworzyli sejf w ścianie i zaczęli wyjmować worki. Byli cywilami, a pan Vinh, wówczas sierżant Vinh, spekulował, że albo plądrują skarbiec, albo przyszli oficjalnie i zabierają forszę w bezpieczne miejsce. Pan Vinh napisał w liście, że ci ludzie otworzyli niektóre worki i zobaczył złote monety, amerykańską walutę i jakieś klejnoty. - Zaciągnęła się. - Widzisz, do czego to zmierza. Chcesz tam iść?

- Po to tu jestem. Nie słuchasz mnie.

Uśmiechnęła się.

- Ta relacja jest zbieżna z faktem, że skarbiec w Quang Tri został splądrowany w czasie bitwy. To jest w podręcznikach historii. Sprawdziłam.

- Dokończ.

- Sierżant Vinh napisał także, że amunicja skończyła mu się kilka godzin wcześniej, więc tylko się przyglądał. Po paru minutach do budynku wchodzi porucznik... Hines... i rozmawia

z trzema cywilami, jak gdyby wykonywał razem z nimi misję zabezpieczenia zawartości

sejfu. Nagle porucznik Hines podnosi broń i zabija dwóch mężczyzn. Kobieta błaga o życie, ale on strzela jej w głowę. Wchodzi kapitan Blake, widzi, co zaszło, i zaczyna się kłócić z porucznikiem Hinesem. Porucznik Hines podnosi karabin, ale kapitan Blake strzela z pistoletu i zabija porucznika. Potem kapitan Blake zabezpiecza gotówkę i złoto, chowając wszystko z powrotem do sejfu i zamykając go, a następnie wychodzi. - Po chwili dodała: - Łup zniknął dopiero później. - Wyrzuciła papierosa i powiedziała: - Tak było, właśnie to zobaczył Tran Van Vinh i opisał w liście do brata.

Popatrzyłem przez chwilę na Susan.

- Mam wrażenie, że odwróciłaś role dwóch Amerykanów.

Uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Może masz rację. Ale tak brzmi lepiej.

- A więc Edward Blake zabił z zimną krwią czworo ludzi, do tego jest złodziejem. I ty chcesz, żeby ten człowiek został prezydentem?

- Wszyscy popełniamy błędy, Paul. Zwłaszcza na wojnie. Sama nie głosowałabym na Edwarda Blake'a, ale byłby dobry dla kraju.

- Nie dla mojego kraju. Do widzenia. - Odwróciłem się i poszedłem.

Susan znowu się ze mną zrównała.

- Lubię mężczyzn, którzy walczą o to, co jest słuszne.

Milczałem.

- Więc teraz znasz tajemnicę - powiedziała. - Potrafisz jej dochować?

- Nie.

- Nie możesz niczego udowodnić.

- Spróbuję.

- To nie jest dobry pomysł.

Stałem i rozejrzałem się. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

- Hej, to jest świetne miejsce, żeby mnie zabić.

- Tak. - Wyciągnęła zza paska czterdziestkępiątkę, wprawnie obróciła ją, trzymając za osłonę spustu, i podała mi rękojeścią do przodu. - Albo ty możesz się pozbyć mnie.

Wziąłem od niej broń i cisnąłem ją na zalane wodą pole ryżowe, najdalej jak się dało.

- Mam jeszcze jeden - oznajmiła. - A nawet dwa.

- Tobie chyba odbiło.

- Powiedziałam ci, że moja rodzina jest szurnięta.

- Ty jesteś szurnięta. - I co z tego? To czyni mnie interesującą. Myślisz, że ty jesteś całkiem zdrowy?

- Słuchaj, nie chcę się tutaj z tobą kłócić...

- Kochasz mnie?

- Oczywiście.

- Chcesz, żebym ci pomogła zdmuchnąć Edwarda Blake'a z urzędu?

- On jest dobry dla kraju - przypomniałem jej.

- Nie dla mojego kraju. No, wsiadaj. Kończy mi się paliwo, a ty jesteś za stary, żeby iść pieszo.

- Byłem piechociarzem.

- W której wojnie? Secesyjnej czy hiszpańsko-amerykańskiej? Wsiadaj. Możesz się ze mną rozprawić w Hanoi. Trzeba mi dać klapsa.

Uśmiechnąłem się.

Zawróciła i sięgnęła do mojej ręki. Podałem jej dłoń, a Susan mnie pociągnęła. Wsiadłem.

Jechaliśmy na północ przez Ban Hin, w stronę Lao Cai i dalej do Hanoi.

To byłaby przyjemna podróż, gdybym uwierzył chociaż w połowę tego, co mi powiedziała.

Rozdział 45

Jechaliśmy drogą numer dwanaście; przypominała jednopasmowy gruntowy trakt prowadzący wzdłuż rzeki Na, która płynęła po naszej lewej stronie.

Niebo było ciężkie od niskich, ciemnych chmur, które wyglądały, jakby miały się utrzymać do wiosny. Nie widziałem pogodnego dnia, od kiedy przekroczyliśmy przełęcz Hai Van w drodze do Hue.

Jeśli przyjąć, że pogoda wywiera wpływ na kulturę, to rzeczywiście istnieją dwa różne Wietnamy, słoneczny, hałaśliwy i pełen uśmiechu na południu oraz szary, spokojny i surowy tu, na północy. Zgadnijcie, kto wygrał wojnę?

Prawie nie zamieniliśmy z Susan słowa, co mi pasowało. Nienawidzę kłótni między kochankami, kiedy jedno chce zabić drugie, a to drugie nie.

Próbowałem rozwikłać w głowie tę sprawę i chyba zrozumiałem większą część, a przynajmniej tę, która dotyczyła polityki, ekonomii i globalnej strategii. I jak zwykle okazało się, że jest w tym tyle samo sensu, ile w decyzji o naszym zaangażowaniu tutaj na początku konfliktu. W ostatecznym rozrachunku wystarczyło, że ma to sens tylko dla tych gości w Waszyngtonie, którzy myślą inaczej niż zwykli ludzie.

Jeśli idzie o motywację decydentów w Waszyngtonie, to składało się na nią uzasadnione zaniepokojenie kwestią Chin, niezdrowa obsesja na punkcie Wietnamu i głęboko skrywane przeświadczenie, że mocarstwowa potęga jest jak wielki kutas, który Bóg ci dał, żebyś go używał i dobrze się bawił.

Oprócz tych głębokich przemyśleń nurtowały mnie też względy ludzkie. Po pierwsze, Edward Blake winien pójść do więzienia za morderstwo. Ktoś inny może być prezydentem.

I był jeszcze Karl. Pułkownik Hellmann potrzebował generalskiej gwiazdki, bo w innym razie zostałby zmuszony do odejścia na emeryturę, a pułkownik zabiegający o gwiazdkę jest jak dziewczyna z gimnazjum, próbująca załatwić sobie chłopaka w wieczór przed

otrzymaniem promocji do następnej klasy; zrobienie komuś loda nie było wykluczone. Nie miałem do niego pretensji, naprawdę, ale nie musiał mnie w to wciągać.

Byli też gracze drugoplanowi, tacy jak Bill Stanley, Doug Conway i diabli wiedzą kto jeszcze, którzy czytali scenariusz zatytułowany „Boże, błogosław Amerykę”, a który producenci i reżyserzy zamierzali wypuścić pod tytułem „Pan Blake podbija Waszyngton”, z prezydentem Blakiem w roli głównej, wykopującym Ruskich z Cam Ranh i zamieniającym Wietnam w amerykańską kompanię naftową, co równa się odkupieniu przeszłości; w ostatnim akcie Siódma Flota wypływa z Cam Ranh w stronę czerwonych Chin i wszyscy robią w portki ze strachu.

Może ci ludzie powinni się zająć tenisem.

Była jeszcze Cynthia, którą Karl Hellmann manipulował, by zasugerowała Paulowi Brennerowi, że musi koniecznie przyjąć misję, bo to jest najlepsza droga do ocalenia ich związku. Motywy Cynthii mogły być zupełnie czyste, lecz gdyby naprawdę mnie rozumiała, byłaby ze mną absolutnie szczerą, a nie udawała, że nie jest w zмовie z Karlem. Niech Bóg mnie chroni przed kobietami, którym leży na sercu moje dobro.

I była Susan, moja mała puszysta kotka z wielkimi kłami. Najbardziej przerażające jest to, że ona naprawdę mnie kochała. Ja chyba przyciągam inteligentne babki z problemami psychicznymi. Albo, patrząc na zagadnienie z drugiej strony, to ja stanowię problem. Zwykle mogę zrzucić winę na Dickie Johnsona za moje kłopoty z kobietami, ale myślę, że tym razem winne było moje serce.

Z mapy wynikało, że zbliżamy się do dużego miasta, Lai Chau, które niestety nie było miastem Lao Cai, nawet nie leżało w pobliżu tego drugiego.

Opatuliliśmy się montagnardzkimi ciuchami, tak żeby wojsko nie rozpoznało w nas na drodze cudzoziemców i nie zatrzymało ot tak, dla rozrywki. Zbliżając się do Lai Chau, zdjęliśmy chusty, czapki i gogle i zajechaliśmy na stację benzynową w środku miasta, które wyglądało jak uboższa wersja Dien Bien Phu.

Susan skorzystała z toalety, a ja tymczasem pompowałem ręczną pompką paliwo. Jeśli pompujesz litry zamiast galonów, to idzie wolniej, czy szybciej?

Susan wróciła z niebieskim barwnikiem na twarzy i rękach.

- Będę pompować. Ty idź skorzystać z wiadra.

- Lubię pompować.

Uśmiechnęła się.

- Mogę ci potrzymać czubek?

Totalnie szurnięta. Ale fantastyczna w łóżku.

- Jesteś na mnie zły?

- Ależ skąd.

- Ufasz mi?

- Chyba już to przerabialiśmy. - Dobrze, wierzysz, że jestem po twojej stronie? Że myślę tak jak ty, że Edward Blake musi zdać publicznie rachunek z tego, jak zginął William Hines?

- Absolutnie. - Skończyłem pompować i spytałem; - Masz jakieś dongi?

Zapłaciła sprzedawcy, który stał koło nas i przyglądał się bmw. Czemu ci goście nie pompują benzyny? Wiele się tutaj zmieni, kiedy wszystkie stacje benzynowe będą amerykańskie. To nauczy tych drani, kto naprawdę wygrał wojnę.

Chciałem prowadzić, więc wsiadłem pierwszy. Susan stanęła obok mnie.

- Spójrz na mnie, Paul.

Spojrzałem.

- Nie mogłabym zabić tego człowieka - oznajmiła. - Musisz mi uwierzyć.

- Naprawdę w to wierzę - odparłem, patrząc jej w oczy.

- Ale za to ty mnie wkurzasz - powiedziała z uśmiechem.

- To nie zabrzmiało jak żart - stwierdziłem, uśmiechając się.

- Wiem. Przepraszam. Głupio żartuję, kiedy jestem spięta.

- Wskakuj. Usiadła z tyłu i objęła mnie ramionami. Zapaliłem motor i ruszyliśmy drogą numer dwanaście, biegnącą przeważnie pod górę, tak jak dolina rzeki Na.

Susan była jak zwykle głodna, więc zatrzymaliśmy się i zjedliśmy lunch a la piknik przy cuchnącym polu ryżowym. Banany i ciastka ryżowe oraz litr wody. Ostatnie porządne białko to był wczorajszy jeżozwierz.

Susan zapaliła na deser papierosa.

- Jeśli się zastanawiasz - powiedziała - dlaczego cię wybrali, to między innymi dlatego, że potrzebowali weterana wojennego. Między starymi żołnierzami jest jakaś więź, jeśli nawet walczyli po przeciwnych stronach; zauważyłam to od razu między tobą i panem Vinhem.

- Między mną i pułkownikiem Mangiem nie ma żadnej więzi - odparłem po chwili namysłu.

- Właśnie że jest.

Zignorowałem to.

- Więc zostałem wybrany przez komputer? Przystojny, biegle władający francuskim i wietnamskim, z dogłębną znajomością kraju, kocha miejscową kuchnię, ma prawo jazdy na motocykl i doskonałe umiejętności interpersonalne.

- I jest dobry w łóżku. Nie zapominaj o tym - dodała z uśmiechem Susan.

- Fakt. Ale wiesz co, przeliczyli się.

- Może. A może nie.

Puściłem to mimo uszu; wsiedliśmy.

Jakieś sześćdziesiąt kilometrów za Lai Chau, po dwóch godzinach jazdy, droga rozwidlała się i nawet był drogowskaz: w lewo do laotańskiej granicy, dziesięć kilometrów, a w prawo do Lao Cai, sześćdziesiąt siedem kilometrów. Skręciłem w prawo, nie chcąc w tej podróży zahaczać o Laos i zdecydowanie nie mając ochoty na spotkanie kolejnych żołnierzy czy pograniczników.

We wstecznym lusterku zauważyłem jednak wojskowego dżipa, spod którego kół unosił się kurz. - Żołnierze - powiedziałem do Susan.

Nie odwróciła się, tylko przechyliła i spojrzała na dżipa w lusterku.

- Możesz ich łatwo zostawić na gruntowej drodze z koleinami.

Miała na myśli to, że koleiny były wyboiste, a pas drogi między nimi równiejszy. Otworzyłem przepustnicę i przyspieszyłem do sześćdziesięciu na godzinę; chmura kurzu zaczęła zostawać w tyle.

Utrzymywaliśmy tę prędkość przez pół godziny i obliczyłem, że jeśli dżip jedzie z prędkością o połowę mniejszą, to jest piętnaście kilometrów za nami.

- Mówiłam ci, że motocyklem będzie lepiej - odezwała się Susan.

Wiele elementów tej podróży zostało obmyślonych z góry, a to, co wydawało mi się przypadkiem czy sprzyjającą okolicznością, też było zaplanowane. Popełniłem błąd, nie doceniając moich przyjaciół w Waszyngtonie, którzy - o czym dobrze wiedziałem - nie mogli być tak głupi, jak się zdawało.

To był kompletnie opustoszały odcinek drogi oznaczonej na mapie symbolem 4D. Robiło się ciemno i zimno. Wziąłem rękę Susan i spojrzałem na zegarek. Było koło siódmej wieczorem. Na tej szerokości geograficznej słońce zachodzi szybciej, o czym się przekonałem w sześćdziesiątym ósmym roku, i czasem zmierzch może zaskoczyć.

Droga 4D zaczynała się wspinać w wysokie góry, widziałem przed nami strzelające w niebo szczyty. Co gorsza, pojawiła się przygruntowa mgła. Wiedziałem, że nie dojedziemy do

Lao Cai. Znów zacząłem się rozglądać za miejscem, gdzie moglibyśmy się zatrzymać i spędzić noc. Widziałem swój oddech, zdaje się, że temperatura spadła prawie do zera. Właśnie miałem zjechać na skrawek terenu koło górskiego strumienia, gdy zobaczyłem znak z napisem Sa Pa; niżej była informacja po angielsku: Malowniczy krajobraz. Dobre hotele. Zatrzymałem się i popatrzyłem na znak. Może to był żart jakiegoś sztubaka z plecakiem.

- To prawda? - spytałem.

- Jest tutaj górskie miasteczko Sa Pa - oznajmiła Susan. - Stary francuski letni kurort. Ktoś z mojego biura w Hanoi tu był. Spójrzmy na mapę.

Wyjąłem mapę i popatrzyliśmy na nią w gasnącym świetle. I rzeczywiście, była kropka z podpisem Sa Pa, lecz nic nie wskazywało, że jest to coś więcej niż jeszcze jedna miejscowość ze stadkiem kur. Z mapy wynikało, że znajdujemy się na wysokości tysiąca ośmiuset metrów, co wyjaśniało, dlaczego widzę swój oddech, a nie czuję nosa.

- Z Sa Pa do Lao Cai jest trzydzieści kilometrów. Zatrzymamy się w Sa Pa.

Przyspieszyłem po wznoszącym się ostro stoku. Mgła była teraz gęsta, ale zgasiłem reflektor i trzymałem się środka drogi.

Po kwadransie zobaczyliśmy łunę świateł; w ciągu kilku minut znaleźliśmy się w Sa Pa.

Było to przyjemne małe miasteczko i w mroku mogłem sobie wyobrazić, że jestem we francuskiej wiosce alpejskiej.

Pojeździliśmy trochę i okazało się, że zimą miasteczko jest martwe. Było tam mnóstwo małych hotelików i domów wczasowych, w których na pewno zgłoszono by naszą obecność policji imigracyjnej.

Na ulicach widziałem niewielu ludzi i większość z nich była Montagnardami. Zauważyłem Wietnamczyka na skuterze.

- Spytaj go, jaki jest najlepszy hotel w mieście - powiedziałem do Susan. Przyspieszyłem i zrównałem się z nim.

Susan otrzymała jakieś wskazówki.

- Zawracaj - rzuciła.

Wykonałem zwrot na cichej uliczce i Susan skierowała mnie do drogi wspinającej się w górę poza miastem.

Na samym jej końcu niczym miraż wznosił się ogromny, nowoczesny hotel o nazwie Victoria Sa Pa.

Przekazaliśmy motocykl portierowi, wzięliśmy plecaki i weszliśmy do dużego, luksusowego holu.

- Tylko to, co najlepsze dla mojego bohatera - oświadczyła Susan. - Zapłać kartą American Express. Zdaje mi się, że nie zwracają mi już kosztów.

- Najpierw się napijmy.

W bocznej części holu znajdował się bar; wziąłem Susan pod rękę i poprowadziłem do nowocześnie urządzonego lokalu z panoramicznym widokiem na ginące we mgle góry. Postawiliśmy plecaki i usiedliśmy przy stoliku. Zamówiliśmy u kelnerki dwa piwa. Rozejrzałem się i zobaczyłem kilkunastu cudzoziemców, więc się nie wyróżnialiśmy; właśnie dlatego szukałem najlepszego hotelu w mieście.

- Mam przecucie, że się tu nie zameldujemy - powiedziała Susan.

- Nie. Pułkownik Mang może już wiedzieć, że mieszkaliśmy w motelu Dien Bien Phu, więc wie też,

że jesteśmy w północno-zachodnim Wietnamie. Chciałby wiedzieć, gdzie dokładnie, ale nie jestem pewien, co by zrobił z tą informacją. W każdym razie nie chcę, żeby on albo miejscowe zbiry dotrzymywali nam towarzystwa przy koktajlu. Więc pojedziemy dalej.

- Zgadzam się, że nie powinniśmy się meldować w hotelu ani w domu wczasowym, ale może powinniśmy zatrzymać się na nocleg w mieście, na przykład w kościele albo parku, który widzieliśmy. Od Lao Cai dzielą nas jeszcze dwie godziny niebezpiecznej jazdy przez

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

górką mgłę. Gdyby zbliżył się do nas od tyłu wojskowy dżip, nie usłyszeliśmy go poprzez warkot motoru i być może nie udałooby się go zgubić. Gdyby podjechał z przodu na wąskiej górskiej drodze, musielibyśmy zawrócić i też nie wiadomo, czy zdołalibyśmy go zostawić w tyle. - Spojrzała na mnie i dodała: - A ty wyrzuciłeś mojego kolta. - Myślałem, że masz jeszcze dwa.

Uśmiechnęła się.

- Cóż, wiem, co robi w takich sytuacjach piechota. Pójdziemy pieszo.

Susan nie odpowiedziała.

Podano piwa; Susan podniosła szklanę w moją stronę.

- Za trzy najgorsze dni, jakie spędziłam w Wietnamie z najlepszym mężczyzną, jakiego spotkałam.

Stuknęliśmy się szklankami.

- Chciałaś trochę dreszczyku - powiedziałem.

- Chciałam też gorącego prysznicu i miękkiego łóżka dziś w nocy. Nie wspominając o gorącej kolacji.

- Nie miałabyś żadnej z tych rzeczy w więzieniu - odparłem i dodałem, patrząc jej w oczy. - Dotarliśmy za daleko, żeby teraz popełnić błąd.

- Zgadza się. Ty wiesz najlepiej, jak się stąd wydostawać, kiedy do odlotu pozostają godziny.

- Zrobiłem to już dwa razy.

Susan zawołała kelnerkę i po francusku wytłumaczyła jej, że chcemy coś do jedzenia. Potem uśmiechnęła się i powiedziała do mnie:

- Może wrócimy tu latem.

- Przyślij mi pocztówkę.

Piła piwo, zastanawiając się.

- Będą tu mieli faks. - Popatrzyła na gości zgromadzonych w barze. - Możemy poprosić kogoś z cudzoziemców, żeby wysłał za nas wiadomość. W ten sposób mamy chociaż znać, że dotarliśmy aż tutaj.

- Jeśli nie dojedziemy do Hanoi z raportem z misji, nikogo nie będzie obchodzić, jak daleko dotarliśmy.

- Hm... Powinniśmy im chociaż powiedzieć, że spotkaliśmy T.V.V. i że dostaliśmy od niego pamiątki.

- Susan, im mniej wiedz w Sajgonie, Waszyngtonie i amerykańskiej ambasadzie w Hanoi, tym lepiej. Nic nie jestem im winien po tym, jak przez dwa tygodnie oni i ty wciskaliście mi kit.

Kelnerka przyniosła półmisek satay z rusztu z sosem z masła orzechowego i dwa talerze.

- Co to za mięso? - spytałem.

- Nie wybrzydź. Czeka cię długi marsz. - Wstała. - Widziałam jakieś broszurki turystyczne w holu. Zaraz wrócę.

Zostałem z piwem i tajemniczym mięsiwem na półmisku. Zazdrośni faceci nie lubią, kiedy ich kobiety znikają im z oczu. Nie jestem zazdrosny, ale nauczyłem się, że nie wolno spuszczać Susan z oka.

Wróciła po kilku minutach z paroma broszurkami w dłoni, usiadła i zaczęła jedną oglądać.

- Tutaj jest plan Sa Pa, widzę drogę do Lao Cai. Chcesz posłuchać o tej drodze?

- Pewnie.

Tonkińskimi... Żyje tu mnóstwo dzikiej zwierzyny, między innymi kozice i małpy... - Dobrze... Otaczają nas góry Hoang Lien, zwane przez Francuzów Alpami

- Nie cierpię małp.

- Zimą jest bardzo zimno. Jeśli zamierzamy iść pieszo, na co się zapowiada, nie ma tam górskich schronisk ani szałasów, więc będą nam potrzebne ubrania przeciwdeszczowe i palnik...

przechodzić przez jakieś wioski? - Susan, to tylko trzydzieści kilometrów. Mogę to zrobić w bieliźnie. Czy musimy

- Nie sądzę... nic o tym nie piszą... Ale w górach mieszkają górale z plemienia Red Zao, którzy są ponoć bardzo ostrożni i nie lubią gości.

- To dobrze.

- Okej... Dwanaście kilometrów od Sa Pa jest przełęcz Dinh Deo, najwyższa w Wietnamie, na wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów. Po tej stronie przełęcz jest zimno, mokro i mgliście, po drugiej zaś często bywa słonecznie.

- Nawet w nocy?

- Zamknij się, Paul. Mm... Na przełęcz wieją silne wiatry, ale zaledwie kilkaset metrów niżej zaczyna się ocieplać. Sa Pa jest najchłodniejszym miastem w Wietnamie, a Lao Cai najcieplejszym. To dobrze... Przełęcz Dinh Deo stanowi linię podziału między dwoma rozległymi układami pogodowymi.

- Mogę coś powiedzieć?

- Nie. Jakies dziesięć kilometrów od Sa Pa jest Srebrny Wodospad, gdzie możemy się pozbyć motoru.

- Tak napisali w broszurce?

Susan podniosła głowę.

- W Sajgonie ostrzegali mnie, że ten Paul Brenner ma opinię mądrali, z którym ciężko się pracuje. Nie wiedzieli nawet połowy.

- W Waszyngtonie mówili, że jesteś biznesmenką oddającą przysługę Wujowi. Nie powiedzieli mi nawet jednej setnej.

- Miałeś szczęście.

- Wynośmy się stąd, zanim ktoś się do nas przyłączy.

Zapłaciliśmy rachunek, wyszliśmy, daliśmy napiwek portierowi i wzięliśmy motocykl.

- Zimno tutaj - zauważyła Susan.

- Po tamtej stronie przełęczy będzie słonecznie. Nałożyliśmy rękawice, skórzane czapki i montagnardzkie chusty, wsiedliśmy i pojechaliliśmy. W mieście Susan wskazała mi drogę wiodącą na północ do Lao Cai.

Ciemny, zamglony trakt wspinał się w góry. Miał twardą nawierzchnię, lecz widoczność była tak zła, że musiałem zwolnić do piętnastu, a miejscami do dziesięciu kilometrów na godzinę.

Jakieś czterdzieści pięć minut drogi od Sa Pa usłyszałem łoskot wodospadu przed nami i po minucie zobaczyliśmy wodę spadającą kaskadami z wysokiej góry po lewej stronie. Tuż przy drodze było urwisko; zsiadłem. Nie widziałem, jakie jest głębokie, więc podniosłem duży kamień i wrzuciłem. Po kilku sekundach usłyszałem, że uderza o skałę, a potem o następną; wreszcie echo zamarło.

- Tu pozbędziemy się motocykla, zgodnie z instrukcją w broszurce - powiedziałem.

Zostawiłem pracujący silnik i razem zepchnęliśmy BMW Paris-Dakar w przepaść. Jakieś dwie sekundy później usłyszeliśmy, że trzaska o skałę, potem jeszcze raz i jeszcze raz, a potem nic już nie było słychać.

- Dobry motor - stwierdziłem. - Chyba sobie taki kupię.

Ruszyliśmy dalej pieszo stromo wznoszącą się drogą. Było przenikliwie zimno, a północny wiatr dmuchał nam prosto w twarz.

Prawie godzinę zabrało nam dojście do przełęczy Dinh Deo. Gdy zbliżaliśmy się do szczytu, wiatr przybrał na sile i zaczął wyć; pochyliliśmy się i maszerowaliśmy mozolnie, w milczeniu.

Na szczycie przełęczy wichura był tak silna, że musieliśmy stanąć i odpocząć, kryjąc się za głazem. Przycupnęliśmy tam, łapiąc oddech.

Susan przez kilka minut męczyła się z zapaleniem papierosa.

- Muszę rzucić palenie. Brakuje mi tchu. - Z górki powinno być lepiej. Wszystko w porządku?

- Taak... Muszę tylko trochę odsapnąć.

- Chcesz moją kurtkę?

- Nie. To tropikalny kraj.

Popatrzyłem na nią w słabym świetle; nasze spojrzenia się spotkały.

- Lubię cię - powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

- Ja też cię lubię. Moglibyśmy przeżyć razem diabelnie ciekawe życie.

- Moglibyśmy.

Zgasiła papierosa; zaczęliśmy się podnosić, gdy nagle Susan znieruchomiała.

- Padnij! - rzuciła cicho.

Oboje przypadliśmy płasko do ziemi.

Usłyszałem przez szum wiatru warkot silnika i zobaczyłem żółte światła rozproszone we mgle. Leżeliśmy, a reflektory stawały się coraz jaśniejsze, w miarę jak pojazd zbliżał się od strony, z której przyszliśmy. Zauważyłem kształt dużej wojskowej ciężarówki.

Leżeliśmy przez całą minutę.

- Myślisz, że nas szukają? - spytała Susan.

- Nie mam pojęcia, ale jeśli tak, to szukają dwojga ludzi na motorze.

Poczekaliśmy jeszcze minutę. Potem wstaliśmy i wyszliśmy zza głazu na dmuchający wiatr. Zsunąłem chustę na szyję i podniosłem nauszniaki, żeby lepiej słyszeć. Co jakiś czas oglądałem się, sprawdzając, czy nie widać za nami świateł. Szansa na to, że ktoś jadący samochodem zauważy nas, zanim go usłyszymy, była niewielka. Ale trzeba było zachować czujność.

Przeszliśmy szczyt przełęczy i wiatr przybrał na sile, teraz jednak było z górki, więc szliśmy w dobrym tempie.

Jakieś pięćset metrów poniżej przełęczy wiatr zamienił się w bryzę i poczułem, że powietrze się ociepla.

Pięć minut później zobaczyłem zbliżające się żółte światła przeciwmgłowe i usłyszałem niesiony wiatrem warkot silnika.

Z lewej strony mieliśmy urwisko, a z prawej wąski potok płynący między drogą a zboczem góry. Pół sekundy wahania i wskoczyliśmy w lodowatą wodę.

Pojazd zbliżał się powoli; warkot silnika narastał, żółte światła były coraz wyraźniejsze.

Leżeliśmy bez ruchu.

Wreszcie samochód przejechał, ale nie udało mi się go zobaczyć.

Odczekałem pół minuty, a potem podniosłem się na kolana i spojrzałem na południe. Widziałem światła wspinające się ku przełęczy. Wstałem.

- Dobra, ruszajmy.

Susan podniosła się, weszliśmy z powrotem na drogę i maszerowaliśmy dalej. Byliśmy przemoczeni i zziębnięci, ale póki się poruszaliśmy, nie musieliśmy się bać zamarznięcia na śmierć.

Wzdłuż trasy nie było ani jednego śladu świadczącego, że żyją tu ludzie, nawet chaty Montagnardów. Jeśli Wietnamczycy i górale uważali, że w Dien Bien Phu jest zimno, to na pewno nie mieszkali tutaj.

Dwie godziny po tym, jak pokonaliśmy przełęcz, mgła się rozproszyła i powietrze stało się cieplejsze. Prawie wyschliśmy; ściągnąłem rękawiczki, chustę i skórzaną czapkę i schowałem do plecaka. Susan niczego nie zdjęła.

Pół godziny później zobaczyliśmy światła miasta w głębokiej kotlinie; odgadłem, że jest to dolina Rzeki Czerwonej, choć nie widziałem samej rzeki.

Zatrzymaliśmy się i usiedliśmy na kamieniu. Susan wyjęła broszurkę turystyczną, która nasiąkła wodą, i przejrzała ją przy płomieniu zapalniczki. - To musi być Lao Cai, po północno-zachodniej stronie rzeki leżą Chiny - powiedziała. - Tutaj piszą, że Lao Cai zostało zniszczone w czasie

chińskiej inwazji na Wietnam w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, ale granica jest znów otwarta, jeśli chcemy odwiedzić Chińską Republikę Ludową

- Następnym razem. Co piszą o połączeniach z Hanoi?

Susan zapaliła znów zapalniczkę.

- Dziennie jeżdżą dwa pociągi. Pierwszy odchodzi o siódmej czterdzieści rano i dojeżdża do Hanoi o szóstej trzydzieści po południu.

Zerknąłem na zegarek, ale go nie było.

- Która godzina? - spytałem.

- Prawie pierwsza w nocy. Gdzie twój zegarek?

- Dałem panu Vinhowi.

- To ładnie z twojej strony.

- Za rok wyślę mu nową baterię.

- Co chcesz robić przez następne sześć godzin? - spytała.

- Zbadać sobie głowę.

- Mogę się tym zająć. Chcesz usłyszeć diagnozę?

- Nie. Zejdźmy na mniejszą wysokość, bliżej Lao Cai, a potem znajdziemy miejsce, gdzie będziemy się mogli ukryć do świtu. - Wstałem. - Gotowa?

Susan podniosła się i ruszyliśmy drogą w dół. Góry zamieniły się we wzgórza; Widzieliśmy chaty i niewielkie wioski, lecz światła się nie paliły - Droga opadała ostro w dolinę, rozróżniałem już kontury Rzeki Czerwonej i rozrzucone światła dwóch miast po obu jej stronach; po naszej stronie leżało Lao Cai, a miasto na tamtym brzegu, mniej więcej kilometr w górę rzeki, musiało być już w Chinach.

Wojnę graniczną w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku między czerwonymi Chinami i Wietnamem pamiętałem dosyć mgliście, ale wyraźnie przypominałem sobie, że Wietnamczycy dali co nieco Chińczykom w tyłek. Te konusy były twardzielami i, tak jak powiedziałem panu Locowi w drodze do A Shau, w następnej wojnie chciałbym ich mieć po naszej stronie. Wydaje mi się, że w pewnym sensie o to właśnie chodziło w mojej misji.

Nie, nie chciałem być posądzony o zakłócenie globalnej równowagi sił; wojskowi i polityczni geniusze w Waszyngtonie ciężko pracowali, żeby ukuć nowy wietnamsko-amerykański sojusz przeciwko czerwonym Chinom. Wiceprezydent Blake miał widać jakieś znaczenie dla tego sojuszu, dlatego właśnie powinien zostać prezydentem. Wystarczyło tylko, żebym zapomniał, co zobaczyłem i usłyszałem w Ban Hin, i przy odrobinie szczęścia mogliśmy odzyskać zatokę Cam Ranh, a chłopcy z Siódmej Roty mogliby sobie używać do woli w tutejszych burdelach; poza tym uzyskalibyśmy dostęp do nowych źródeł bogactw naturalnych, mocna wietnamska armia stanęłaby na granicy, którą właśnie widziałem, i moglibyśmy skopać Chińczykom dupę - albo przynajmniej ich postraszyć, jeśli nie przestaną się zachowywać jak krety. Brzmiało to świetnie.

Albo jeszcze lepiej: mógłbym zaszantażować prezydenta Blake'a, żeby mianował mnie sekretarzem sił zbrojnych, a ja mógłbym wtedy wykopać pułkownika Karla Hellmanna z armii albo zdegradować

go do stopnia szeregowca i wyznaczyć na stałe do czyszczenia latryn.

Było jasne, że wiele dobrych rzeczy mogłoby się stać, gdybym tylko zamknął buzię - a może ktoś mi ją zamknie.

Nie wiedziałem i już nigdy się nie dowiem, czy Susan Weber miała zakończyć moją karierę i sprawić, by moja emerytura zamieniła się w pośmiertne odszkodowanie dla mamy i taty. Stawka była wystarczająco wysoka, żeby zachęcić Susan do zrobienia czegoś takiego - jeśli ludzie w Waszyngtonie byli gotowi wykończyć całą rodzinę pana Anha, gdyby ten okazał się szcurem, to była też dość wysoka, żeby dopisać chorążego Paula Brennera do listy osób do odstrzału.

W czasie wojny Program Phoenix doprowadził do śmierci ponad dwudziestu pięciu tysięcy Wietnamczyków podejrzewanych o kolaborację z Wietkongiem. Do tego trzeba dodać paru Amerykanów w Wietnamie, sympatyzujących z Wietkongiem, grupę miejscowych Francuzów, którzy otwarcie kolaborowali z czerwonymi, tudzież innych mieszkających tutaj Europejczyków, którzy za bardzo przechyliли się na lewo. Za tą zatrważającą liczbą - dwadzieścia pięć tysięcy mężczyzn i kobiet - krył się największy program likwidacji metodą skrytobójstw, przeprowadzony przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. I mogłem założyć, że niektórzy z tych Amerykanów, moich rówieśników, niegdyś zaangażowanych w realizację owego programu, byli gotowi i chętni sprzątnąć paru malkontentów i wichrzycieli, wystarczyło jedynie skinąć kapeluszem.

A jeśli chodzi o szczęśliwsze zdarzenia, to znalazłem dziewczynę moich snów. Tu, w Wietnamie. Facet nie powinien mieć aż tyle szczęścia. Szliśmy drogą do Lao Cai.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że zamierzam roztrąbić prawdę o Edwardzie Blake'u.

Susan odpowiedziała po chwili namysłu.

- Przemyśl to... Czasem prawda i sprawiedliwość nie jest tym, czego wszyscy chcą i potrzebują.

- Jeśli taki dzień nadejdzie... jeżeli jeszcze nie nadszedł... to wtedy przeprowadzę się do Sajgonu lub Hanoi, gdzie przynajmniej nikt nie udaje, że prawda i sprawiedliwość są ważne.

Zapaliła papierosa.

- Głęboko w środku jesteś harcerzykiem - stwierdziła. Pozostawiłem to bez komentarza. - Jestem z tobą, cokolwiek postanowisz - oznajmiła.

Milczałem.

Znaleźliśmy bambusowy zagajnik, zagłębiliśmy się w mm, rozwinęliśmy peleryny i położyliśmy się. Nie jestem fanem żmij bambusowych i miałem nadzieję, że jest jeszcze tak zimno, że drzemią i czekają na więcej słońca. Tak napisano w podręczniku postępowania w terenie podczas ucieczki przed wrogiem.

Susan zasnęła, ale ja nie mogłem. Niebo się przecierało i widziałem gwiazdy w prześwitach między chmurami. Parę godzin później niebo pojaśniało; usłyszałem odgłosy ptaków, przypominające dźwięki wydawane przez papugi. Słyszałem też w oddali idiotyczne gaworzenie małp.

Musieliśmy się ruszyć, zanim zrobią to żmije bambusowe; potrząśnięciem obudziłem Susan. Usiadła, ziewnęła i wstała. Poszliśmy dalej drogą.

Po prawej stronie mieliśmy szeroki strumień, spływający wartko z gór do Rzeki Czerwonej. Przy

drodze stały skupiska chat, ale było za wcześnie, żeby ktoś wychodził z domu czy jechał samochodem.

Droga biegła teraz po płaskim dnie doliny. W ciągu pół godziny doszliśmy do niewiarygodnie brzydkiego miasta Lao Cai.

Widziałem, że wszystkie budynki są stosunkowo nowe i że całe miasto musiało zostać zniszczone w wojnie w siedemdziesiątym dziewiątym roku. Przynajmniej istniało jedno zrównane z ziemią wietnamskie miasto, o którego zagładę nikt nie mógł winić armii, piechoty morskiej, floty czy lotnictwa Stanów Zjednoczonych.

Na ulicach było trochę ludzi, lecz nikt nie zwracał na nas uwagi. Zauważyłem grupę mniej więcej piętnastu młodych wędrowców z plecakami, siedzących i leżących na placu targowym; wyglądali tak, jakby tu spędzili noc.

- Mamy plecaki, też moglibyśmy udawać młodziaków z college'u - powiedziałem.

- Może ja.

Susan zatrzymała przechodzącą Wietnamkę.

- *Ga xe lua?*

Kobieta wskazała coś ręką, pogestykulowała, a potem znów coś powiedziała. Susan udała, że nie rozumie. Podziękowała jej po francusku, a ja po hiszpańsku, i odeszliśmy.

- Musimy przejść na drugą stronę rzeki - wyjaśniła mi Susan. Przeszliśmy nowym mostem przez Rzekę Czerwoną; nieco dalej w górę rzeki dostrzegłem filary dwóch zniszczonych mostów. W miejscu, gdzie rzeka rozdzielała się na dwa koryta, zobaczyłem budynki z namalowanymi charakterystycznymi chińskimi literami. Susan też je zauważyła.

- Chiny - oznajmiła.

Rozejrzałem się, gdy schodziliśmy z mostu, i spostrzegłem po wietnamskiej stronie kilka zrujnowanych budynków, które nie zostały odbudowane. To była dziwna wojna, nawet nie pamiętałem, co sprawiło, że Chińczycy i Wietnamczycy skoczyli sobie do gardeł tak szybko po tym, jak Chiny udzielały wsparcia Wietnamczykom w wojnie amerykańskiej. W zasadzie te dwa narody się nie lubiły, i to od mniej więcej tysiąca lat. Pewnie nie trzeba było wiele, żeby znów się na siebie rzuciły.

Szliśmy drogą biegnącą równolegle do torów kolejowych o wąskim rozstawie szyn. Widziałem dworzec wzniesiony z betonowych płyt, też nowy; stary pewnie stał się pierwszą ofiarą tej wojny.

Weszliśmy do budynku stacji; ujrzeliśmy setki ludzi przed dwoma okienkami i dalsze setki koczujące na peronie, z którego odchodziły pociągi do Hue. Na peronie dla pociągów jadących na zachód w stronę Chin, które zaczynały się nie więcej niż tysiąc pięćset metrów stąd, stało tylko parę osób.

Zegar dworcowy wskazywał szóstą czterdzieści. Wyglądało na to, że będziemy czekać w kolejce przez godzinę i możemy nie dostać miejsca. Następny pociąg odchodził według rozkładu o szóstej trzydzieści po południu i przyjeżdżał do Hanoi w sobotę o piątej

trzydzieści rano. Nie musiałem być w Hanoi przed sobotą, ale nie chciałem się objąć po Lao Cai przez dwanaście godzin. Poza tym dobrze jest czasem zjawić się wcześniej i zrobić wrażenie na

ludziach.

- Może byś użyła swojego wdzięku i amerykańskich dolców i wepchnęła się do ogonka? - zaproponowałem.

- Właśnie miałam to zrobić. - Podeszła do czoła jednej z kolejek i zagadnęła młodego mężczyznę. Susan już dawno wykombinowała, kto najchętniej będzie dla niej skakał przez płonące obręcze. Pieniądze przeszły z rąk do rąk i po niespełna dziesięciu minutach wróciła z dwoma biletami do Hanoi. - Załatwiłam nam miękkie siedzenia za dziesięć dolarów, kupiłam temu chłopakowi miejsce w sypialnym za siedemnaście dolarów i dałam mu jeszcze pięć - powiedziała. - Orientujesz się w naszych wydatkach?

- Doliczę to do żołdu wojennego. A odkąd ty ze mną jesteś, mógłbym się jeszcze ubiegać o dodatek za służbę w wyjątkowo niebezpiecznych warunkach.

- Zabawny jesteś. Wcale nie żartowałem.

Wyszliśmy na peron, gdzie ludzie stali, siedzieli i polegiwali na zimnym betonie. Wąskotorowy pociąg stał na boczniczy; wyglądał jak ciuchcia turystyczna w miasteczku Toonerville.

Niebo było jasne, lecz zaciągnięte chmurami, a temperatura wynosiła jakieś trzynaście stopni. Na peronie znajdowało się trochę młodych wędrowców i zachodnich turystów w średnim wieku; wielu z nich miało na sobie ubrania świeżo nabyte od Montagnardów; pewnie pomieszali rzeczy pochodzące od różnych plemion, a także męskie i damskie. Prawdziwi Montagnardzi stojący na peronie uważali to za śmieszne, wskazywali sobie cudzoziemców palcami i rechotali.

- Ile wynosił żołd? - spytała Susan, zapalając papierosa. - Pięćdziesiąt pięć dolców na miesiąc. Sześćset sześćdziesiąt dolarów na rok. Średni interes. Tymczasem faceci tacy jak Edward Blake, którzy nie włączyli się po dżungli i nie plądrowali, co podeszło. Niektórzy dorobili się tu na wojnie, ale większość zginęła, wróciła narażali na odstrzelenie tyłka, kombinowali na czarnym rynku, handlowali walutą i

do domu z ranami albo ze świrem, no i oczywiście z pięćdziesięcioma pięcioma dolcami na miesiąc za swoje trudy.

Pomyślała przez chwilę.

- Rozumiem, dlaczego możesz traktować tę sprawę osobiście.

Milczałem.

- Ciekawe, czy Blake dowiózł ten łup do domu - powiedziała.

- Pewnie nigdy się tego nie dowiemy, ale nie było to aż takie trudne. Przed wyjazdem stąd sprawdzali, czy nie zabiera się do domu narkotyków lub broni z fasunku. Poza tym nikogo nie obchodziło, co jest w worku. Po tamtej stronie, w Stanach, celnicy machali tylko ręką, bo wiedzieli, że nikt nie wyjechał stąd z narkotykami czy bronią. A wobec oficerów, takich jak kapitan Blake, stosowano specjalne honorowe zasady.

Susan skinęła głową.

- Za każdą wielką fortuną kryje się zbrodnia.

Było to przygraniczne miasteczko, więc kręciło się po nim mnóstwo umundurowanych typów,

przeważnie z patroli granicznych, lecz było też dużo uzbrojonych żołnierzy, jakby spodziewano się, że lada chwila wybuchnie tu wojna. Generalnie rzecz biorąc, można się było poczuć nieswojo, ale dzięki obecności sporej liczby poszukiwaczy przygód z Europy, Australii i Ameryki nie rzucaliśmy się zbyt w oczy.

Pogranicznicy zaczęli patrolować peron, prosząc podróżnych o dowody tożsamości tudzież datki na fundusz pomocy dla wdów i sierot. Zauważyłem, że szczególnie ostro czepiają się Chińczyków, a także cudzoziemców z Zachodu, którzy są sami lub w małych grupach bez przewodnika.

Susan też to spostrzegła.

- Widzisz tę grupę? - spytała. - Wydaje mi się, że to Amerykanie. Wmieszajmy się między nich.

Wiedziałem, że to Amerykanie, bo dwóch facetów było w szortach mimo temperatury rzędu kilkunastu stopni, a kobiety obwiesiły się taką ilością biżuterii od Montagnardów, że wyglądały jak anteny radarowe.

Podeszliśmy do mniej więcej dwudziestoosobowej grupy Amerykanów z wietnamskim przewodnikiem.

Susan, która jest bardziej towarzyska ode mnie, zaczęła rozmowę z kilkoma paniami. Konwersowały o biżuterii i tekstyliach.

Gliniarze trzymali się od nas z dala.

Około siódmej ciuchcia do Toonerville wjechała na główny i jedyny tor i zatrzymała się na peronie. Susan pożegnała się z nowymi koleżankami i wsiedliśmy do wagonu numer dwa, w krótkim, ośmiowagonowym składzie; znaleźliśmy swoje miejsca

Wagon był wąski, z dwoma miejscami siedzącymi i przejściem biegnącym przy oknach z prawej strony.

Położyliśmy plecaki na półkach nad głową

- Siądź przy przejściu, będziesz się mógł trochę wyprostować - powiedziała Susan. - Tu jest naprawdę ciasno. - Usiedliśmy.

Chyba oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że mieliśmy więcej szczęścia, niż nam się należało, i nie powinniśmy tego komentować. Rzecz jasna, umiejętności, głowa na karku i doświadczenie też miały w tym swój udział. Susan Weber okazała się dobrą towarzyszką

podróży. Zastanawiałem się, czy sam dałbym sobie radę. i wiedziałem, że ta wątpliwość nie da mi spokoju do końca życia.

O siódmej czterdzieści pociąg ruszył; byliśmy w drodze do Hanoi.

górowały Alpy Tonkińskie. Wystarczyła odrobina fantazji, żeby wyobrazić sobie, że jestem w Tory biegną wzdłuż północnego brzegu Rzeki Czerwonej, a po obu stronach nad doliną Europie i jadę w jakieś ładne miejsce.

Pociąg był pełen Wietnamczyków i obcokrajowców; ludzie stali między przedziałami, ale nikt nie przycupnął w wąskim przejściu koło nas.

Jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, obserwując krajobraz, który był naprawdę malowniczy. Pociąg toczył się z łoskotem po torze i zauważyłem, że wagon nie jest ogrzewany. Zakładałem też,

te w składzie nie ma wagonu restauracyjnego.

Susan odwróciła się od okna i spojrzała na mnie.

- Na razie idzie nam jak po maśle.

- Na razie.

- Byłam dobrym kumplem? - spytała.

- Czy wróciłem już do domu w jednym kawałku?

Zapaliła papierosa i przez kilka minut wyglądała przez okno.

- Jakie otrzymałeś instrukcje dotyczące Hanoi?

- A ty?

Odpowiedziała po chwili namysłu.

- Mam się zgłosić do ambasady na rozmowę.

- Czy wokół ambasady stoją wietnamscy strażnicy?

- Hm, byłam tam tylko raz... Ale tak, jest wietnamski posterunek policyjny. Mówiono mi też, że ambasadę obserwują tajniacy, którzy sprawdzają każdego, kto wchodzi i wychodzi, robią zdjęcia, a czasami zatrzymują.

- Co robiłaś w ambasadzie?

- Byłam tam po prostu.

- No tak.

- Więc jakie dostałeś instrukcje? - powtórzyła pytanie.

- Kazano mi iść do hotelu Metropole i czekać na dalsze instrukcje. Ktoś ma się ze mną skontaktować albo nie. Mogą mnie wezwać do ambasady lub nie. Jutro mam wyjechać do innego miasta...

- Do Bangkoku. Widziałam bilety, podobnie jak pułkownik Mang.

- Tak. Metropole odpada, lotnisko w Hanoi odpada, a ambasada jest pod obserwacją.

- Więc co zrobimy?

- Czy Hilton w Hanoi jest wciąż otwarty?

- Żartuję, kiedy jestem spięty. Wspominałem ci o tym? Czy dobrze cię zrozumiałem, - To nie są żarty.

kiedy mówiłaś, że wiceprezydent Blake gości z wizytą w Hanoi?

- Przyjechał odwiedzić starego przyjaciela, ambasadora Patricka Quinna, i wziąć udział w konferencji poświęconej poszukiwaniu żołnierzy zaginionych w akcjach, a także... jestem tego pewna... w kilku mniej nagłośnionych spotkaniach z członkami wietnamskiego rządu.

Skinąłem głową.

- Powinien też odbyć jedno niezaplanowane spotkanie. Z nami.

Susan przez chwilę milczała.

- To może być zarówno dobry pomysł, jak i zły.

- Jeśli wie o swoim problemie, możliwe, że chce być w Hanoi, gdzie może sam czuwać nad rozwojem sytuacji w chwili zakończenia naszej misji. Możemy mu w tym pomóc.

- Naprawdę nie mam pojęcia, czy wie o swoim problemie - powiedziała Susan. - Ale inni ludzie wiedzą... i myślę, że pan Blake się dowie, będąc w Hanoi. Zła wiadomość, panie

wiceprezydencie: Wiemy, że zamordował pan w Wietnamie troje Wietnamczyków i amerykańskiego oficera. Dobra wiadomość jest taka, że opanowaliśmy sytuację.

- Nie opanowaliśmy sytuacji - zauważyłem.

- Lecz tak miało być. Pociąg jechał na wschód w stronę Hanoi. Przedyskutowaliśmy z Susan kilka pomysłów i wariantów, próbując opracować jakiś plan gry. Udawałem, że wierzę jej całkowicie. Ona też udawała.

Dręczyło mnie przypuszczenie, że w zamyśle tych, którzy planowali akcję, nie powinienem dotrzeć tak daleko, i że Susan na bieżąco dostosowuje plan do mojej obecności. Ale ten mój domysł mógł być urojeniem. Może miałem dojechać aż do Bangkoku, gdzie ktoś miał ocenić, ile się dowiedziałem, i - jak ujął to pan Conway - podjąć decyzję, co ze mną zrobić. Może Susan miała być świadkiem przemawiającym na moją korzyść lub przeciwko mnie. A może mój przyjaciel Karl, który tak się o mnie troszczy, miał być teraz moim sędzią.

- Masz jechać do Bangkoku? - spytałem Susan. Nie odpowiedziała.

- Halo, Susan?

- Tak.

- To dobrze. Jeśli dojdzie do tego, że będę potrzebował, jak by to powiedzieć... przedwczesnego żołnierskiego pochówku, czy przyszło ci na myśl, że ciebie może spotkać to samo?

- Przyszło mi na myśl.

- To dobrze. - Nie rozwijałem wątku.

Zmierzaliśmy w stronę Hanoi, ku wschodzącemu słońcu, na spotkanie końca misji i bez wątpienia ostatniej tury mojej służby w Wietnamie.

Pociąg z Lao Cai sunął powoli przez północne przedmieścia Hanoi; o godzinie szóstej trzydzieści cztery wjechaliśmy na stację Long Bien.

Długa podróż, która zaczęła się w dusznym i grzesznym Sajgonie, zawiodła mnie na pola bitwy Wietnamu Południowego, do mojego jądra ciemności, do interioru, na spotkanie z samym sobą.

Wreszcie pogodziłem się z Wietnamem, tak jak wielu żołnierzy, którzy tu byli, i tak jak wielu ludzi z mojego pokolenia, mężczyzn i kobiet, którzy nie byli w Wietnamie, lecz go doświadczyli przed wielu laty.

A mimo to, w najbardziej nieoczekiwanych chwilach wojna w dalszym ciągu pokazuje swą moc nawiedzania naszych snów i ingerowania w nasze życie na jawie. Dla Edwarda

Blake'a właśnie taka chwila nadchodziła.

KSIĘGA VII

Hanoi

Rozdział 46

Hanoi. Nazwa budząca moc skojarzeń u ludzi z mojego pokolenia, tak jak Berlin i Tokio u pokolenia mojego ojca. Rzadko który tydzień wojny mijał bez doniesień o bombardowaniu Hanoi. *Amerykańskie bombowce zrzuciły dzisiaj bomby trzy kilometry od centrum Hanoi. Celem ataku był most kolejowy na Rzece Czerwonej, elektrownie oraz miejsca, gdzie przypuszczalnie znajdowały się stanowiska wrogiej artylerii przeciwlotniczej.* Po pięciu czy sześciu razach ta wiadomość przestała być nowością; no, może tylko dla pilotów i tych, którzy byli na ziemi.

Pasażerowie zabierali bagaże i wysiadali z pociągu. Susan i ja siedzieliśmy i obserwowaliśmy peron. Kręciło się tam mnóstwo umundurowanych pograniczników, przyglądających się wysiadającym pasażerom, i tajniaków, których łatwo było wyłuskać.

- Niektórzy trzymają chyba w dłoniach zdjęcia - powiedziałem do Susan.

- To nic szczególnego na dworcu - odparła, wyglądając przez okno. - Nie powinniśmy automatycznie zakładać, że nas poszukują... Ale rzeczywiście szukają cudzoziemców. - Słusznie. - Podejrzywałem, że mają nasze zdjęcia z wyspy Pyramide, więc może nie rozpoznają nas w ubraniach. Rzeczywiście, niektórzy gliniarze byli bardziej zaabsorbowani zdjęciami niż lustrowaniem pasażerów. - Podłączmy się do tych Amerykanów, z którymi rozmawiałaś - zaproponowałem. Wstaliśmy, wzięliśmy plecaki i ruszyliśmy do wagonu numer sześć, z którego wysiadali Amerykanie z wietnamskim przewodnikiem.

Susan zagadnęła Wietnamkę, która przed nią stała. Dowiedziała się, że dworzec Long Bien znajduje się w odległej od śródmieścia dzielnicy na wschodnim brzegu Rzeki Czerwonej i że pasażerowie muszą się przesiąść do pociągu o normalnym rozstawie kół, jeśli chcą się dostać do centrum Hanoi. Były też autobusy i taksówki. Oraz samochody policyjne. Jedną z rzucających się w oczy cech w wyglądzie Susan są jej proste włosy do ramion; poprosiła mnie, żebym je schował pod kołnierz jej kurtki.

Ja mam wiele rzucających się w oczy cech, ale nie mogłem ich wszystkich ukryć, bo zwróciłbym na siebie uwagę albo zabrakłoby mi chust. Zawiązałem więc sobie tylko montagnardzką chustę na szyi, tak że zasłaniała mi brodę. Susan zrobiła to samo.

- Rozłączmy się przy wysiadaniu.

Zeszliśmy na peron, rozdzieliliśmy się i wśliznęli w środek dwudziestoosobowej grupy Amerykanów z przewodnikiem.

Susan zaczęła z kimś rozmawiać, a ja zagadnąłem dwóch facetów, ani na chwilę nie spuszczać z oka gliniarzy. Kilku spoglądało na naszą grupę, lecz nic nie wskazywało, żeby kogoś rozpoznali.

Grupa zebrała się i zaczęliśmy schodzić z peronu. Może nam się udało, ale i tak wstrzymałem oddech.

Dworzec był połączeniem starego z nowym; widziałem miejsca, w których zniszczenia od bomb przykryto nowym betonem. Kraj dotknięty wojną już nigdy nie będzie wyglądał tak samo, w każdym

razie nie w oczach tych, którzy pamiętają, jak wyglądał przedtem. dnia. Ja potrzebowałem słonecznego dnia. Było pochmurno i o wiele ciemniej niż w górach. Ten kraj potrzebował słonecznego

Z lewej strony zauważyłem postój taksówek, przy którym stało dwóch policjantów ze służby granicznej i jeden tajniak; przyglądali się cudzoziemcom wsiadającym do samochodów.

Amerykańska grupa kierowała się do czekającego autokaru z napisem Love Planet

Tours. Moje uczucia były w tej chwili jak najdalsze od miłości, ale zbiegom nie przystoi kręcić nosem.

Zaczęliśmy wsiadać. Susan była przede mną; zamieniła parę zdań z wietnamskim przewodnikiem, dała mu trochę pieniędzy, co wywołało uśmiech na jego twarzy, i wsiadła. Zbliżyłem się do przewodnika i wsunąłem mu w dłoń pięć dolców. Uśmiechnął się i skinął głową.

Wsiadłem do autokaru. Kierowca, który nigdy nie widział tej grupy, nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, ale gdyby to zrobił, też by dostał parę dolarów.

W autokarze mieściło się około czterdziestu osób i było dużo wolnych miejsc, lecz Susan usadowiła się na siedzeniu od strony przejścia, obok kobiety w średnim wieku, z okazałymi kolczykami kupionymi od Montagnardów. Usiadłem po drugiej stronie przejścia i rzuciłem plecak na puste siedzenie koło okna. Słyszałem, jak ktoś pakuje walizki do pustego luku bagażowego pod moimi stopami.

Opieszali Amerykanie ładowali się do autokaru bez końca, a ja obserwowałem pograniczników, którzy chodzili to i tam, wciąż zerkając na zdjęcia i kogoś szukając.

Autokar był wreszcie załadowany, wietnamski przewodnik mógł wsiąść.

- Okej, każda osoba jest? - spytał.

- Tak - odpowiedziała unisono grupa.

Nie cierpię zorganizowanych wycieczek, lecz w tym wypadku alternatywą była policyjna suka - gorszą, choć niewiele.

Policjant ze służby granicznej podszedł do autokaru i wsiadł.

Musiałem akurat zawiązać sznurowadła, Susan też. Kobieta siedząca obok niej nie przestawała tymczasem nawijać, więc policjant musiał odnieść wrażenie, że Amerykanka gada sama do siebie.

Słyszałem, że przewodnik rozmawia z gliniarzem... zdawało mi się, że lada chwila policjant podejdzie i poklepie mnie po ramieniu. Zerknąłem na Susan, a ona na mnie. Trwaliśmy tak przez chwilę.

Minęła wieczność i jeszcze trochę, zanim do moich uszu dotarł odgłos hydraulicznie zamykanych drzwi. W następnej sekundzie kierowca wrzucił bieg i autokar ruszył. Mimo to Susan i ja nie przestaliśmy zawiązywać sznurowadeł, dopóki wóz nie znalazł się na drodze.

Wyprostowałem się, Susan też.

- Cześć, jestem Paul. To pani pierwszy raz w Wiemamie?

Zamknęła oczy, oparła głowę na zagłówku i wzięła długi, głęboki oddech. Paniusia siedząca obok niej nic nie załapała i trajkotała dalej jak najęta.

Autokar kierował się na południe i przez okna po prawej stronie zaglądało zachodzące słońce. Oboje zdjęliśmy montagnardzkie chusty i schowaliśmy do plecaków.

- Skąd pani przyjechała? - spytałem Susan.

- Zamknij się, proszę cię - odparła.

Jej sąsiadka uznała to za obrazę, zamknęła się i odwróciła do okna.

- Przepraszam, mówiłam do tego trutnia - wyjaśniła Susan, Kobieta odwróciła się do mnie i zgromiła mnie wzrokiem. Zerknąłem na przewodnika, który stał obok kierowcy,

twarzą do pasażerów. Widziałem, że na mnie patrzy; nasze spojrzenia spotkały się na chwilę, a potem Wietnamczyk odwrócił głowę.

Nie miałem pojęcia, co go skłoniło, żeby trzymać język za zębami, ale pewnie miał w tym duży udział strach; nie przede mną czy Susan, lecz przed gliniarzem. Przyjęcie paru dolców od nieuprawnionego pasażera to drobne przewinienie; wpuszczenie do autokaru zbiegów, nawet nieświadome, mogło się dla niego skończyć grzywną, wyrzuceniem z pracy,

a nawet aresztowaniem. Ten kraj stał strachem; bywałem w takich krajach, czasem działało to na korzyść władz, a czasem przeciwko nim. Teraz zadziało przeciwko. Następnym razem możemy mieć mniej szczęścia.

Autokar jechał szeroką ulicą.

- Dojeżdżamy do mostu Chuong Duong na Song Hong... Rzece Czerwonej. Piękna rzeka. Wy robić zdjęcie.

Wszyscy posłusznie pstryknęli zdjęcie mostu i Rzeki Czerwonej.

- My teraz jechać w Hanoi - oznajmił przewodnik. - Dzielnica Hoan Kiem... Stare Miasto. Bardzo piękna. Wy robić zdjęcie.

Przejechaliśmy przez most i znaleźliśmy się na Starym Mieście w Hanoi; ulice i chodniki były zatłoczone, lecz nie tak jak w Sajgonie. Nie było tu gorączkowej krzątaniny pieszych i samobójczej jazdy na motorach i skuterach, z nieustannym trąbieniem klaksonów - tutaj z twarzy przechodniów wyzierała cicha determinacja, a ruch ludzi i pojazdów był wolniejszy, jakby nabrzmiały celowością. Przypominało mi to armię mrówek w terrarium.

Budynki były przeważnie francuskie, kolonialne, bardzo staroświeckie, bardzo zaniedbane, ale wciąż pełne uroku. Na ulicach rosło dużo drzew liściastych, i gdyby nie wietnamskie napisy, wyobraziłbym sobie, że jestem w prowincjonalnym francuskim miasteczku, gdzie zresztą wolałbym być.

Na horyzoncie zauważyłem strzelające w niebo nowe drapacze chmur.

- Nie jest tu aż tak ponuro, jak sobie wyobrażałem.

Susan przerwała jednostronną konwersację z sąsiadką.

- Pozory bywają mylące - odrzekła,

- Staraj się myśleć pozytywnie. Najważniejsze to wizualizacja sukcesu.

Nie była w odpowiednim humorze na rozmowę ze mną, więc odwróciła się do pani Katarynki.

Wyrząłem przez okno. Przypomniałem sobie, że nigdy nie bombardowaliśmy śródmieścia Hanoi, tylko cele wojskowe na peryferiach, dzięki czemu miasto zachowało francuski charakter i nie zmieniło go na enerdowski. Nie przypominam sobie wszakże, żeby Stany Zjednoczone zyskały pochlebne opinie w prasie za oszczędzenie centrum miasta. Trudno jest przedstawić w dobrym świetle bombardowanie z powietrza, nawet humanitarnie zaplanowane.

Autokar sunął wąskimi, krętymi uliczkami. Przewodnik komentował na bieżąco, ale on też nie pogratulował Amerykanom, że zostawili Stare Miasto nietknięte. Czemu nikt nas nie docenia?

- Jutro my oglądać grób Ho Szi Mina - mówił przewodnik - dom Ho Szi Mina, pomnik Lenina, Muzeum Wojskowe, Muzeum Obrony Przeciwlotniczej i jezioro w mieście, gdzie się roztrzaskać amerykański bombowiec B-52 i ciągle być w jeziorze.

- A nas to wszystko ominie - powiedziałem do Susan. Nie zareagowała.

Zerknąłem przez okno.

- Wiesz, gdzie jesteśmy?

- Mniej więcej - odparła Susan. - A ty wiesz mniej więcej, dokąd jedziemy?

Właściwie nie wybiegałem myślą poza bieżące problemy, które się wyłaniały. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie myślałem, że dotrzemy aż tutaj, lecz dotarliśmy, więc teraz musiałem wykombinować, gdzie spędzimy noc.

- Nie możemy iść do ambasady ani do Metropole, jeśli nas poszukują. A twoje biuro w Hanoi?

- Moje biuro jest zamknięte, nie mam klucza, poza tym może być pod obserwacją.

- Możesz zadzwonić do domu któregoś z pracowników? - spytałem. - Nie chcę nikogo w to wplątywać.

- Chcesz powiedzieć, że żaden z nich nie pracuje dla CIA?

Susan milczała.

- Cóż, ja mam kontakt w ambasadzie. Nazywa się John Eagan, jest agentem FBI wykonującym tutaj jakieś zlecenie. Zadzwonię do niego jutro z automatu i umówię się na randkę.

- Wiesz, że telefony ambasady są na podsłuchu - powiedziała Susan. - Nie miałeś wyznaczonego spotkania?

- Nie. Ale coś wymyślę. Wiesz, co to jest wielki brzydki skurwiel?

- Właśnie z nim rozmawiam.

Uśmiechnąłem się.

- To bombowiec B-52. Wojskowy żargon. Ktoś w ambasadzie powinien zrozumieć. Attache wojskowy pułkownik Marc Goodman będzie wiedział.

Sąsiadka Susan podsłuchiwała tak, że aż wielkie kolczyki stanęły jej na sztorc.

- Wiesz, gdzie jest to jezioro z wielkim brzydkim skurwielem? - spytałem Susan.

Oczy paniusi się rozszerzyły. Susan uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Dobrze. Tam będzie nasza schadzka. Eagan, pamiętaj. Na wypadek gdybyśmy musieli się

rozdzielić. Okej?

Susan skinęła głową.

- A kto jest twoim łącznikiem w ambasadzie?

- Też Eagan - odparła po chwili.

Nie ciągnąłem tematu.

- Dzisiaj musimy poszukać jakiegoś Amerykanina, który pozwoli nam przenocować w swoim pokoju hotelowym. Ale nie z tej grupy.

- Ja nie będę miała z tym problemu - odrzekła. - A ty gdzie śpisz?

- W burdelu.

- Nie w tym mieście.

Susan o czymś intensywnie myślała.

- Właściwie, jest takie miejsce, gdzie moglibyśmy dzisiaj pójść...

Sądząc z wyrazu jej twarzy, miała na myśli dawnego kochanka; jak na mój gust, nie byłoby to najlepsze miejsce na nocleg.

- Mam zaproszenie na bankiet dzisiaj wieczorem... w rezydencji amerykańskiego ambasadora.

- Naprawdę? Ja też jestem zaproszony?

- To było warunkowe zaproszenie.

- Od czego zależało?

- Czy dotrzemy dziś wieczorem do Hanoi.

Podejrzywałem, że najbardziej zależało od tego, czy jestem wśród żywych, czy nie.

- Zdawało mi się, że wszystko mi powiedziałaś.

Susan unikała mojego wzroku.

- Moja obecność na tym przyjęciu była warunkowa i nieistotna.

- Rozumiem. Niech zgadnę, kto przyjdzie na imprezę. Cóż, skoro w mieście przebywa wiceprezydent, ośmielę się przypuszczać, że Edward Blake jest honorowym gościem. - Spojrzałem na Susan. Skinęła głową.

- A ty miałaś mu przedstawić pewną sprawę, która mogłaby liczyć na jego zainteresowanie.

- Nie jemu bezpośrednio.

Damulka siedząca obok Susan przechyliła się w lewo tak bardzo, że autokar lada chwila mógł się przewrócić.

- Czy jestem ubrany odpowiednio na przyjęcie dyplomatyczne? - spytałem. - Paul, jesteś tak seksowny, że mógłbyś zjawić się w brudnych dzinsach, tenisówkach i ubłoconej skórzanej kurtce - odparła z uśmiechem. - Świetnie. O której początek soiree?

- Punkt ósma.

Spojrzałem na mój zegarek, który od pewnego czasu tkwił na ręku pana Vinha.

- Która godzina?

- Siódma piętnaście.

- Można kupić w tym mieście zegarek?

- Ja ci kupię.

Autokar wjechał w wąską uliczkę i stanął.

- Tutaj nasz hotel. Dobry hotel - zakomunikował przewodnik.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem stary otynkowany budynek, który autorzy *Przewodnika Michelina* mieli prawo pominąć.

- My się meldować w hotel - ciągnął przewodnik - potem spotkać w hol i iść do włoska restauracja na dobra kolacja.

Te słowa wywołały aplauz grupy, która pewnie przez cały tydzień delektowała się ryżem i mięsem łąsac gdzieś w interiorze. Ja też przyłączyłem się do ogólnego entuzjazmu.

Wszyscy zaczęli wysiadać; znalazłem się za rozmowną przyjaciółką Susan. Dama odwróciła się i obdarzyła mnie spojrzeniem, jakim się patrzy na nieogolonego, zabłoconego i cuchnącego wykolejeńca.

- Pan jest w naszej grupie? - spytała.

- Nie, pszepani. Jestem Kanadyjczykiem.

Wysiedliśmy i znaleźliśmy się tuż obok przewodnika. Odwrócił od nas głowę, ale ja wyjąłem dwudziestaka i, przechodząc, wcisnąłem mu do ręki.

Tak oto znaleźliśmy się w Hanoi, na wąskiej uliczce pełnej pieszych i riks, lecz z niewieloma pojazdami silnikowymi. Było ciemno i paliły się uliczne światła, ale drzewa pochłaniały ich blask, więc na ulicy panował mrok.

Odeszliśmy od hotelu.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - spytałem Susan.

- Niedaleko rezydencji ambasadora - odparła. - Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie można się czegoś napić, skorzystać z toalety i umyć. Chcę też zadzwonić do dyżurnego pracownika ambasady

- Dobry pomysł.

Spojrzałem na drugą stronę ulicy w poszukiwaniu baru czy kawiarni i nagle coś zwróciło moją uwagę koło hotelu, jakieś pięćdziesiąt metrów od nas. Stał tam zaparkowany szarooliwkowy wóz typu sedan, jakich nie widuje się wiele w tym kraju. Odniosłem wrażenie, że to jakiś urzędowy samochód. Na chodniku tyłem do nas stał mężczyzna w mundurze; w świetle padającym spod hotelowej markizy dostrzegłem, że rozmawia z przewodnikiem i kierowcą. Nie podobało mi się to; spodobało mi się jeszcze mniej, kiedy kierowca wskazał nas ręką. Mężczyzna w mundurze odwrócił się. Był to nie kto inny tylko pułkownik Mang.

Pułkownik Mang podszedł bliżej.

- Panie Brenner! Panno Weber! - zawołał.

- Czy on coś mówi? - zapytałem.

- O cholera... Paul, czy powinniśmy wiać?

Zanim zdążyłem podjąć jakąś decyzję, szarooliwkowy wóz podjechał do nas. Zatrzymał się. Umundurowany typ na fotelu pasażera wyciągnął pistolet i wymierzył we mnie.

Pułkownik Mang ruszył pieszo chodnikiem; był w zielonym mundurze, lecz bez broni przy pasie. Dał swojemu gorylowi znak ręką, żeby schował pistolet. Stał kilka metrów od nas i powiedział:

- Już się bałem, że przeoczyłem państwa na dworcu Long Bien.

- I przeoczył pan - odparłem.

- Tak. Ale teraz znalazłem. Czy mogę zaproponować przejażdżkę?

Pewnie głupio mu było, że nas zostawił samych na odludziu w Quang Tri i teraz chciał to naprawić.

- Dziękuję, spacer dobrze mi robi - powiedziałem.

- Dokąd się pan wybiera?

- Do hotelu Metropole.

- Tak? Do hotelu Metropole trzeba iść w drugą stronę. Czemu przyjechali państwo tym autokarem turystycznym?

- Zdawało mi się, że to miejski autobus.

- Wie pan, że to nie jest miejski autobus. Właściwie zachowujecie się tak, jakbyście przed czymś uciekali.

- Nie, szliśmy do hotelu Metropole. Tędy, tak?

Spojrzał na Susan.

- Dostała pani wiadomość w hotelu Century? - spytał.

Susan milczała.

- Pan Tin powiedział mi, że dostarczył ją pani via teleks na poczcie w Vinh - powiedział pułkownik Mang. - Co robiliście w Vinh?

- Pojechaliśmy zobaczyć miejsce narodzin Ho Szi Mina - odparła Susan.

- A, tak. Jesteście państwo kanadyjskimi historykami, jak się ostatnio dowiedziałem. Żadne z nas nie odpowiedziało. I żadne nie przyjęło tego stwierdzenia z radością.

Pułkownik Mang zapalił papierosa. Może zwali go z nóg atak serca.

Zauważyłem ponad ramieniem Manga, że kilkoro Amerykanów z autokaru wycieczkowego patrzy na nas, a dwóch umundurowanych mężczyzn kieruje ich do hotelu ruchami rąk. Zauważyłem też, że kierowca i przewodnik zniknęli; pewnie byli już w drodze tam, gdzie i my się wybieraliśmy - i nie był to bynajmniej hotel Metropole.

Spostrzegłem również, że piesi przechodzą na drugą stronę ulicy, żeby być jak najdalej od tego, co się tutaj działo.

- Wyjechaliście bardzo wcześnie z hotelu Century w Hue - powiedział do mnie pułkownik Mang.

- I co z tego?

Zignorował moją arogancką odpowiedź, ale musiał wyrównać rachunki, więc zwrócił się do Susan.

- Niestety nad Rzeką Czerwoną nie ma żadnych plaż dla nagich.

- Idź pan do diabła - warknęła Susan.

Uśmiechnął się niespodziewanie.

- Stała się pani bardzo popularna wśród ludzi z mojego wydziału, którzy bardzo dokładnie studiowali pani zdjęcia z wyspy Pyramide.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Idź pan do diabła.

Pułkownik Mang zachował spokój; pomyślałem, że woli nie zaczynać pojedynku na wrzaski w obecności swoich podwładnych, którzy pewnie nie zrozumieli, że Susan posyła go do diabła.

Zlustrował nas.

- Wydaje mi się, że spędzili państwo trochę czasu w terenie.

Milczeliśmy.

- Gdzie państwa bagaże? - spytał.

- Skradzione.

- Tak? A gdzie zdobyli państwo te kurtki, których nie było w waszych bagażach?

- Kupiliśmy.

- Czemu?

- A czemu nie?

- I widzę, że macie niebieską farbę na twarzach i rękach od montagnardzkich chust. Wydaje mi się, że oboje próbujecie się pod kogoś podszywać.

- Pod kogo?

- Nie podobają mi się pańskie odpowiedzi, panie Brenner.

- Nie podobają mi się pańskie pytania.

- Nigdy się panu nie podobały. - Zmienił temat. - Pańska rezerwacja w hotelu Metropole, panie Brenner, jest na jutro. Dlaczego przyjechał pan wcześniej?

- Pułkowniku, mamy zaproszenie... - zaczęła Susan.

- Później - przerwałem jej. Bankiet w ambasadzie był asem, którym można zagrać tylko raz. A to chyba nie był odpowiedni moment.

Susan zrozumiała.

- Jutro wcześniej rano mam spotkanie w ambasadzie - oznajmiła.

- Z kim?

- Mam rozmawiać z attache handlowym.

- O czym?

- O handlu, rzecz jasna.

Wbił w nią ciężkie spojrzenie.

- Przeprowadziłem śledztwo i odkryłem, że pani też ma rezerwację w hotelu Metropole, ale na dzisiaj.

Pułkownik Mang miał dokładniejsze informacje o harmonogramie podróży panny Weber niż ja. Ale żeby oddać Susan sprawiedliwość, wspomniała w Nha Trang, że ma jakąś sprawę w Hanoi; choć podejrzewam, że nie chodziło o spotkanie z attache handlowym.

Pułkownik Mang, który lubił się rozkoszować swoim sarkazmem, zwrócił się znów do Susan:

- Ponieważ pan Brenner nie ma pokoju na noc, proponuję, żeby przemocował w pani pokoju, chociaż to mogłoby się wydać niewłaściwe.

- Idź pan do diabła - powtórzyła swoją propozycję Susan. Nadeszła pora, by sprawdzić, czy facet zarzuca wędkę, poluje czy zastawia sidła.

- Pułkowniku, doceniam to, że pofatygował się pan, żeby nas przywitać w Hanoi, ale jeśli nie ma pan dalszych pytań, pójdziemy w swoją drogę - powiedziałem.

Mang milczał.

- Straszy pan turystów - dodałem.

- Tak? Ale pana chyba nie przestraszyłem.

- Daleko do tego.

- Noc jeszcze wczesna. Był pan kiedyś w Hanoi, panie Brenner?

- Nie, ale moi koledzy latali trochę nad Hanoi w czasie wojny. Nie zatrzymywali się. - Dobre.

Pułkownik uśmiechnął się i odparł:

- Niektórzy się zatrzymali i utknęli w hotelu Hanoi Hilton. Niezłe. Lubię pojedynki na słowa. Moja kolej. czego oglądać. - Chciałem zobaczyć Muzeum Obrony Przeciwlotniczej, ale powiedziano mi, że nie ma

- A chciałby pan zobaczyć od środka Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego? - spytał pułkownik Mang.

- Dziękuję, ale widziałem już jedno w Sajgonie.

- W Hosziminie.

- Jak zwał, tak zwał. - Nie wyglądało na to, żeby zamierzał spełnić swoją groźbę, a może dobrze się bawił, stojąc z nami na ulicy. - Zadzwoniliśmy do dyżurnego ambasady i zgłosiliśmy swój przyjazd do Hanoi. Może będziemy mogli porozmawiać z panem jutro. Umówmy się na koktajl w barze w Metropole, dajmy na to o szóstej. Ja stawiam. Zgoda?

Popatrzył na mnie w bladym świetle.

- Nie dzwoniliście do ambasady - odparł. - Panu się wydaje, że biorę pod uwagę względy dyplomatyczne. Ale powiem panu tak, panie Brenner. Jeśli spędzę z panem i panną Weber piętnaście minut, udowodnię, że oboje jesteście w tym kraju z polecenia swojego rządu i działacie na szkodę mojego kraju.

- Czy może pan wyrażać się jaśniej?

- Będę się wyrażał jaśniej, kiedy usiądziecie w sali przesłuchań.

Odniosłem wrażenie, że nastąpił impas. Ja chciałem się udać do pięciogwiazdkowego hotelu, a pułkownik Mang chciał mnie widzieć w więzieniu. Lecz nie chciał wykonać ruchu, który źle zrobiłby jego karierze, więc gawędziliśmy na ulicy; czekał, żeby któreś z nas powiedziało coś, co usprawiedliwi aresztowanie. Znałem ten dylemat, lecz nie mogłem mu w tej chwili współczuć. Pułkownik Mang znalazł rozwiązanie.

- Chciałbym, żeby państwo dobrowolnie udali się ze mną na rozmowę do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Wypowiedziałem te słowa do podejrzanych tysiące razy; większość z nich nie wracała tego dnia do domu.

- To żart. Prawda?

- Nie. To nie jest żart.

- A tak właśnie zabrzmiało.

Wyglądał na zmieszanego lub urażonego, że odrzuciłem jego zaproszenie.

- Jeśli pojedziecie ze mną dobrowolnie, przyrzekam, że będziecie wolni w ciągu godziny.

- Powiedział pan, że wystarczy panu kwadrans - przypomniała Susan.

Umiałem już czytać w myślach pułkownika Manga i widziałem, że jest naprawdę wkurzony. Zauważyłem też, że Susan wkurza go bardziej niż ja. Nie sądzę, żeby między nami powstała jakaś więź, ale byłem pewien, że nienawidzi Susan. Choćby z tego powodu nie chciałem, by wpadła w jego łapy.

- Pułkowniku, mam propozycję. Proszę nas zawieźć do ambasady i pozwolić panie Weber wejść do środka. Potem pojedę z panem dobrowolnie do ministerstwa.

Mang nie zastanawiał się długo.

- Nie.

- Nie - powtórzyła Susan. - Jeśli gdzieś pojedziemy, to razem.

Nikt nie wykazywał chęci do współpracy ze mną.

- Wobec tego zadzwońmy do dyżurnego lub dyżurnej ambasady i poinformujmy, że przyjechaliśmy do Hanoi, że pułkownik Nguyen Qui Mang chce nam zadać kilka pytań i w związku z tym jedziemy z nim do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Dobrowolnie, rzecz jasna. Może pan słuchać rozmowy.

Potrząsnął głową.

Pułkownik Mang nie umiał zawierać kompromisów. Albo uważał, że nie musi ich zawierać.

- No cóż, pułkowniku, nie mam więcej pomysłów - oznajmiłem. Wziąłem Susan pod rękę i powiedziałem: - Dobrej nocy. Mang stracił zimną krew.

- *Dung lai!* - wrzasnął, zapominając o angielskim.

Spojrzałem na niego.

Oddychał nienaturalnie szybko; teraz, skoro wywołaliśmy go do odpowiedzi, musiał coś zrobić. Powiedział coś do faceta na fotelu pasażera, który wysiadł i otworzył tylne drzwi. Miałem nadzieję, że pułkownik Mang odjeżdża, ale nic z tego. Spojrzał przez ramię, by się upewnić, że amerykańscy turyści zniknęli.

- Wsiadać do samochodu - rzucił.

Żadne z nas się nie ruszyło. Uśmiechnął się.

- Boi się pan?

- Nie. A pan?

- Czemu miałbym się bać?

Wsiadajcie.

- Ktoś będzie musiał wyciągnąć pistolet, żebyśmy wsiedli do tego samochodu - stwierdziłem.

Zrozumiał i skinął głową, jakby doceniając te słowa. Powiedział coś do podwładnego, który chętnie służył szefowi pomocą i skierował na nas broń.

Wziąłem Susan pod rękę i wsiedliśmy do sedana. Mang zajął miejsce po stronie pasażera, a facet z pistoletem został.

Jechaliśmy w milczeniu ulicami Starego Miasta; po kilku minutach zwolniliśmy przed hotelem Metropole - ogromnym, dostojnym gmachem, który wyglądał jak przeniesiony z Paryża. Pomyślałem, że pułkownik Mang zmienił zdanie.

- Dzięki za podwiezienie.

- Chciałem, żebyście zobaczyli, gdzie nie spędzicie nocy - powiedział, odwracając się.

Palant.

Jechaliśmy przez Stare Miasto na zachód. Nacisnąłem klamkę, ot tak, żeby dla własnej satysfakcji upewnić się, że nie mam do czynienia z kompletnymi idiotami.

Sytuacja zmieniała się na gorsze i nic nie wskazywało, żeby miała się poprawić. Rozważyłem opcje, ale nie było żadnych rozwiązań oprócz siłowych, na które zresztą byłem przygotowany. Nie widziałem u Manga broni, lecz kierowca ją miał, więc jego musiałbym zdjąć jako pierwszego. Zerknąłem w tył i zobaczyłem samochód ubezpieczający. Musiałem ocenić, tak jak uczono mnie na wojskowym kursie, czy fizyczny opór jest możliwy, a jeśli tak, jakie będą konsekwencje w razie niepowodzenia. Czasem, mając do czynienia z małym lub średnim problemem, można go powiększyć, skręcając komuś kark, a czasem można go w ten sposób rozwiązać. Zależało to chyba od tego, co było na drugim końcu drogi.

Rozwazałem to w myślach, biorąc pod uwagę wóz z tyłu oraz fakt, że nie ćwiczyliśmy z Susan scenariusza wspólnej ucieczki. Samochód skręcił; nachyliłem się do Susan.

- Pistolet? - szepnąłem.

- To był żart - odparła Susan.

- Bez gadania - warknął Mang.

Wjechaliśmy w wąską, źle oświetloną uliczkę z tablicą Yet Kieu i zatrzymaliśmy się przed dużym czteropiętrowym budynkiem z epoki kolonialnej. Samochód ubezpieczający stanął za nami.

Pułkownik Mang wziął z siedzenia aktówkę i wysiadł bez słowa

Susan szturchnęła mnie lekko.

- Przyjęcie u ambasadora, Paul.

- To dzisiaj?

- Paul.

- Zagrywaj asem dopiero wtedy, kiedy go potrzebujesz.

Spojrzała na mnie. - Myślę, że właśnie go potrzebujemy.

Dwóch ludzi z wozu ubezpieczającego podeszło do sedana i otworzyło tylne drzwi. Wysiedliśmy i zostaliśmy doprowadzeni, niezbyt delikatnie, do drzwi Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie stał pułkownik Mang.

Strażnik otworzył drzwi, pułkownik wszedł, a za nim Susan i ja; z tyłu szło dwóch uzbrojonych goryli.

Duży hol, bardzo zniszczony, przypominał mi analogiczny budynek w Sajgonie. Było tam paru mężczyzn w mundurach i cywilnych ubraniach, którzy spojrzeli na nas, jak gdyby nie widywali tu zbyt wielu cudzoziemców, a chętnie widzieliby ich więcej.

Pułkownik Mang prowadził nas do windy starego typu, przypominającej klatkę; powiedział coś do windziarza i wsiedliśmy.

Jechaliśmy w milczeniu i wysiedliśmy na czwartym piętrze, słabo oświetlonym i zaniedbanym. Po jednej stronie korytarza znajdował się szereg gęsto rozmieszczonych drzwi; spoza jednych z nich dobiegł okrzyk bólu, po którym nastąpił odgłos uderzenia, a potem drugi krzyk. Któreś drzwi były uchylone i usłyszałem kobiecy szloch.

Pułkownik Mang zdawał się tego wszystkiego nie zauważać, podobnie jak jego dwaj goryle. Pewnie na czwartym piętrze zdążyli już przywyknąć do takich odgłosów jak do naturalnego szumu tła.

Otworzył przede mną drzwi; już miałem wejść, gdy zauważyłem leżącego nago na podłodze mężczyznę, który był cały zakrwawiony i cicho jęczał. Za biurkiem siedział facet w mundurze, palił papierosa i czytał gazetę.

Pułkownik Mang zamienił kilka słów z tym, który siedział przy biurku, i zamknął drzwi.

- Ta sala jest zajęta.

Wymieniłem spojrzenia z Susan i wiedziałem, że zobaczyła to, co ja. Większość ludzi nie ma psychicznych punktów odniesienia dla takich scen; przypomniałem sobie moje pierwsze doświadczenie bitewne, widok trupów i umierających ze wszystkich stron; można sobie z czymś takim poradzić tylko w ten sposób, że nie rejestruje się tego jako rzeczywistość.

Pułkownik Mang znalazł pustą salę i weszliśmy.

W pozbawionym okien pomieszczeniu było ciepło, z sufitu zwisała na przewodzie żarówka. Na środku stało biurko i dwa drewniane taborety.

Mang położył aktówkę na biurku i zapalił papierosa. Wskazał nam taborety.

- Siadać - rzucił. Staliśmy.

Na pokrytej starym parkietem podłodze widać było brunatno-czerwone plamy. Zza ściany dobiegły jakieś krzyki, a potem rozległ się głuchy łoskot, jakby w nią coś uderzyło.

Pułkownik Mang wyglądał na znudzonego, jak gdyby bicie na komendzie policji nie zasługiwało na większą uwagę niż pobieranie odcisków palców i rutynowe fotografowanie twarzy.

- Ludzie, którzy nie chcą współpracować w sali przesłuchań, są zabierani do piwnicy, a tam wszystkich nakłaniamy do współpracy i nie zapraszamy do siedzenia. - Wskazał gestem taborety. - Siadać.

Goryle z tyłu pchnęli stołki na nasze nogi i nacisnęli ramiona. Pułkownik Mang patrzył na nas dłuższą chwilę.

- Sprawiliście mi dużo kłopotu - oznajmił, a potem dodał: - Zepsuliście mi święta.

- Pan też nie uprzyjemnił mi wakacji - odparłem.

- Milczeć.

Susan bez słowa wyjęła papierosa i zapaliła. Mang nie zauważył albo nie miał nic przeciwko temu, jak gdyby palenie było jedynym niezbywalnym prawem więźnia w wietnamskim areszcie.

Susan i ja znaleźliśmy się w kłopotliwym położeniu. Naszym największym problemem, rzecz Siedzieliśmy; dwie osoby paliły, a goryle z tyłu sapali ciężko. Instykt mówił mi, że jasna, było dwóch martwych gliniarzy na autostradzie numer jeden i dwóch zabitych

żołnierzy na drodze dwieście czternaście. To, że Susan i ja byliśmy w obu tych miejscach w czasie, gdy ludzie ci ponieśli śmierć, mogło być czystym zbiegiem okoliczności, ale nie sądziłem, żeby Mang to kupił. Pozostawał jeszcze pan Cam, nasz kierowca, którego powinienem był zabić. Prawda wyglądała tak, że Susan i ja mogliśmy stanąć przed plutonem egzekucyjnym i rząd Stanów Zjednoczonych nie mógł nam w niczym pomóc. Mang popatrzył na nas w mdłym świetle, a my na niego.

- Zaczniemy od samego początku - powiedział, zaciągając się papierosem. - Wreszcie się dowiedziałem, jak podróżowaliście z Nha Trang do Hue. Pan Thuc okazał się bardzo chętny do współpracy, kiedy złożyłem mu wizytę w jego biurze turystycznym. - Po raz pierwszy usłyszałem, że w mojej głowie odzywa się dzwonek strachu. - A więc, panie Brenner, wynajął pan prywatny samochód, a powiedziano panu, że nie ma pan prawa tego robić.,.

- Panna Weber miała prawo podróżować tak, jak chciała - przerwałem mu. - Ja byłem pasażerem.

- Milczeć, Samochód był prowadzony przez Duong Xuan Cuma, który opowiedział mi o waszej podróży ze szczegółami - ciągnął pułkownik Mang, spoglądając na mnie. - Więc może zechcecie mi o tym opowiedzieć własnymi słowami, żeby nie było nieporozumień.

Wysnułem z tego wniosek, że pan Cam albo umarł w czasie przesłuchania, zanim zdążył się przyznać do współudziału w morderstwie, albo się ukrywał bądź uciekał, ratując życie.

- Jestem pewien, że nie mogę panu powiedzieć więcej niż kierowca - odparłem. - Panna Weber i ja przespaliśmy całą drogę.

- Nie to powiedział mi kierowca.

- A co powiedział?

- Jeśli zada mi pan jeszcze jedno pytanie, panie Brenner, albo pani, panno Weber, to nasze posiedzenie zostanie natychmiast przeniesione do podziemi. Czy wyrażam się jasno?

- Pułkowniku - odparłem - muszę panu przypomnieć, że ani ja, ani panna Weber nie jesteśmy więźniami wojennymi w hotelu Hanoi Hilton, gdzie pańscy rodacy torturowali w czasie wojny setki Amerykanów. Wojna się skończyła, pułkowniku, i poniesie pan odpowiedzialność za swoje czyny.

Mang długo mi się przyglądał, a potem rzekł:

- Jeśli choć w niewielki sposób mogę się przyczynić do tego, żeby pański kraj znów stał się wrogiem mojego kraju, to sobie i innym sprawię wielką radość. - Uśmiechnął się nieprzyjemnie i dodał: - Myślę, że wiem już, jak to zrobić. Mówię oczywiście o procesie tak zwanego amerykańskiego turysty i tak zwanej amerykańskiej biznesmenki o zabójstwo albo działania antypaństwowe, albo jedno i drugie, i o egzekucji.

Chyba miał na myśli nas.

- Zostanie pan pociągnięty do odpowiedzialności nie tylko przez mój rząd, ale i przez pański - powiedziałem.

- To nie pański problem, panie Brenner. Pan ma inne. - Siedział przez chwilę, zastanawiając się nad moimi i... taką miałem nadzieję... swoimi potencjalnymi problemami. - Podczas naszego ostatniego spotkania w Quang Tri rozmawialiśmy o waszej wizycie w Hue, przerwie podczas podróży z Nha Trang do Hue, pańskim bezczelnym zachowaniu wobec oficera w Hue i innych sprawach dotyczących dobierania sobie przez pannę Weber męskiego towarzystwa. Mówiliśmy też o waszej wizycie w dolinie A Shau, Khe Sanh i kontaktach z

góorskimi plemionami. Wydaje mi się, że mam dość dowodów, żeby zatrzymać państwa w areszcie.

- Myślę, że nęka pan amerykańskiego weterana wojennego i wybitną przedstawicielkę świata biznesu dla własnych celów politycznych i osobistych - odparłem. - Tak? Wobec tego musimy kontynuować rozmowę, aż pan i ja zmienimy zdanie. Jak wyjechaliście z Hue?

- Wyjechaliśmy z Hue na motocyklu, jak pan wie, i dojechaliśmy do Dien Bien Phu w ten sam sposób,

- Tak, a po drodze zamieniliście się w Kanadyjczyków.

Nie odpowiedziałem.

- Skąd wzięliście motocykl?

- Kupiłem.

- Od kogo?

- Od jakiegoś człowieka na ulicy.

- Jak się nazywał?

- Nguyen.

- Moja cierpliwość dla pana się wyczerpuje.

- Nie może się wyczerpać coś, co nie istnieje.

Musiało mu to przypaść do gustu, bo się uśmiechnął

- Myślę, że wiem, gdzie nabyliście ten motocykl

- Więc nie musi mnie pan pytać.

Popatrzył na mmc.

- Właściwie nie jestem pewien. Ale wiem jedno: zanim pan i panna Weber stąd wyjdziecie, sami mi to z chęcią powiecie.

Na razie wynikało z tego, że pan Uyen jest bezpieczny, pazerność Szpanera wpędziła go w tarapaty, a pan Cam albo nie żył, albo zaginął. Pozostawał pan Anh, który - miałem taką nadzieję - cieszył się z ponownego spotkania z rodziną w Los Angeles.

- Gdzie się zatrzymywaliście w czasie dwudniowej podróży motocyklem do Dien Bien Phu? - spytał Mang.

- Spaliśmy w lesie.

- Czy to możliwe, że spaliście w wiosce Montagnardów?

Znów ci Montagnardzi.

- Myślę, że to bym zapamiętał.

Mang popatrzył na mnie uważnie.

- Na drodze dwieście czternaście blisko laotańskiej granicy zamordowano dwóch żołnierzy. Jeden z nich miał w piersi pocisk, czterdziestkępiątkę, wystrzelony z kolta używanego w Armii Stanów Zjednoczonych. - Gapił się na mnie, jakby uważał, że mogę coś

o tym wiedzieć. - Mniej więcej w tym samym czasie byliście w pobliżu.

Patrząc mu w oczy, odparłem:

- Nie wiem, gdzie jest droga dwieście czternaście, ale dojechałem autostradą numer jeden do drogi numer sześć i dalej do Dien Bien Phu. A pan mi mówi, że jechałem drogą dwieście czternaście i oskarża o zamordowanie dwóch żołnierzy. Nawet nie umiem odpowiedzieć na tak absurdalne zarzuty.

Mang nie spuszczał ze mnie wzroku.

Musiałem mu przypomnieć, jak wygląda sytuacja.

- Zgodziliśmy się dobrowolnie z panem pojechać, żeby odpowiedzieć na pańskie pytania. Jeszcze trochę i dojdziemy do wniosku, że zostaliśmy uwięzieni wbrew swojej woli, a pan, pułkowniku, będzie musiał zdać sprawę z naszej nieobecności w amerykańskiej ambasadzie, której pańskie nazwisko jest znane. - Pomyślałem, że dobrze to zabrzmiało. Pułkownik Mang chyba nie podzielał mojego zdania.

Uśmiechnął się.

- Nie słucha mnie pan, panie Brenner. Nie obchodzi mnie wasza ambasada ani wasz rząd. W gruncie rzeczy konfrontacja jest mi na rękę.

- Więc będzie ją pan miał, pułkowniku. - Marnujecie mój czas. - Spojrzał na Susan. - Mam świadomość, że panią ignorowałem.

- Nie, to ja pana ignorowałam.

Mang się roześmiał.

- Myślę, że pani mnie nie lubi.

- Nie lubię.

- Czemu? Z powodu tych zdjęć? A może dlatego, że pogardza pani Wietnamczykami, tak jak wielu pani rodaków?

- Chwileczkę - wtrąciłem się. - Ta linia przesłuchania...

- Nie mówię do pana, panie Brenner. Ale gdybym mówił, spytałbym, ile razy użył pan rasistowskich określeń takich jak żółtek, łepek, zezol, skośnooki, bandyta? Ile razy?

- Pewnie za wiele. Ale nie w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu lat. Proszę zmienić temat.

- Ten temat mnie interesuje. - Spojrzał na Susan. - Czemu pani jest w moim kraju?

- Podoba mi się tu.

- Nie wierzę w to.

- Nie obchodzi mnie, czy pan w to wierzy, czy nie - odparła Susan - ale kocham ludzi, kulturę i tradycje tego kraju.

- Zapomniała pani wspomnieć o pieniądzach - powiedział Mang.

- Nie lubię jednak waszego rządu i nie jest prawdą, że władza i naród to jedno - ciągnęła Susan. Potem dodała: - Nawet gdyby był pan Amerykaninem, uważałabym pana za odrażającego i godnego pogardy.

Już myślałem, że za jakieś trzy sekundy będę jechał windą do podziemi, lecz pułkownik Mang tylko popatrzył w przestrzeń.

- Problemem są wciąż cudzoziemcy. Za dużo tu jest turystów i biznesmenów. Wkrótce będzie ich o dwoje mniej.

Znów odniosłem wrażenie, że ma na myśli nas.

- Niech pan zacznie szukać źródła problemów bliżej domu - poradziła Susan. - Najlepiej zacząć od tego budynku.

- Nie potrzebujemy, żeby pani ani inni cudzoziemcy mówili nam, jak rządzić naszym krajem - odparł pułkownik Mang. - Te czasy się skończyły, panno Weber. Moje pokolenie i pokolenie mojego ojca zapłaciło krwią, żeby uwolnić ten kraj od Zachodu. A jeśli trzeba następnej wojny, żeby się pozbyć kapitalistów i cudzoziemców, jesteśmy gotowi uczynić to poświęcenie.

- Wie pan, że to nieprawda - odparła Susan. - Te czasy też się skończyły.

Pułkownik Mang zmienił temat, podejmując wątek, w którym czuł się pewniej, a którym było postawienie nas przed plutonem egzekucyjnym. Skierował uwagę na mnie.

- Wyjechaliście z Hue na motocyklu we wtorek wczesnym rankiem i późnym wieczorem w środę dotarliście do Dien Bien Phu, gdzie zameldowaliście się w motelu Dien Bien Phu.

- Zgadza się.

- A w czwartek rano odwiedziliście pola bitwy i powiedzieliście przewodnikowi, że jesteście

kanadyjskimi historykami i chyba botanikami.

- Powiedziałem: historykami z Connecticut.

- Co to takiego?

- Connecticut. Część Stanów Zjednoczonych. - Wyglądał na zdezorientowanego, więc dodałem: - Muszkatołowy stan.

Mang nie rozwijał tego tematu.

- Później tego samego dnia oboje pojechaliście do wioski Ban Hin, znów udając... historyków.

Nie odpowiedziałem.

wioskowym, że jesteście Kanadyjczykami. Czemu podawaliście się za Kanadyjczyków? - Panna Weber bardzo wyraźnie powiedziała pewnemu mężczyźnie na placu

- Niektórzy nie lubią Amerykanów. A Kanadyjczyków wszyscy lubią.

- Ja nie lubię Kanadyjczyków.

- Ilu Kanadyjczyków pan zna?

Mang wiedział, że odbiegam od tematu i że gram na czas. Prawda była taka, że jeśli mieliśmy jakąś szansę wydostania się stąd, to wiązała się ona z tym, czy zatrzyma nas tak długo, że ktoś zauważy naszą nieobecność. Ale nie byłem pewien, czy kogokolwiek w Waszyngtonie, w Sajgonie czy w ambasadzie naprawdę to w tej chwili obchodzi. Jutro, tak, ale dzisiaj - niekoniecznie. Nasza obecność na przyjęciu w ambasadzie była tylko potencjalnie możliwa i raczej nikt nie zwróci uwagi, że nas nie ma. A na pewno nikt nie zwróci uwagi na moją nieobecność, skoro miałem teraz płynąć z nurtem rzeki Na obok pana Vinha. Zastanawiałem się, czy rzucić na stół mojego małego asa, lecz instynkt podpowiadał mi, że pułkownik Mang nie jest jeszcze na to gotów.

- Dlaczego pojechaliście do Ban Hin? - spytał.

- Wie pan dlaczego.

- Wiem. Ale szczerze mówiąc, nie widzę sensu waszej wizyty u Trana Van Vinha. Więc możecie mi to wyjaśnić.

Było pięć nazwisk, których nie chciałem tego wieczoru usłyszeć od pułkownika Manga: pan Thuc, pan Cam, pan Anh, pan Uyen i Tran Van Vinh. Trzy z nich już wymienił. Jeśli idzie o Trana Van Vinha, to lojalny towarzysz, jakim był Vinh, udzielił zapewne pułkownikowi wszelkiej pomocy, ale niewiele mógł wyjaśnić. Bardziej się niepokoiłem o panów Anha i Uyena, którzy popełnili błąd, nadstawiając głowy za Amerykanów, tak jak dwadzieścia milionów obywateli Wietnamu Południowego w czasie wojny. A można by pomyśleć, że ci ludzie się czegoś nauczyli. W każdym razie te dwa nazwiska jeszcze nie padły, lecz znałem już trochę technikę przesłuchań pułkownika Manga i wiedziałem, że to, co najlepsze, zostawia sobie na koniec. Moje milczenie zaczynało go niecierpliwieć. Powtórzył:

- Może mi pan wyjaśni cel swojej wizyty u pana Vinha.

- Jestem pewien, że pan Vinh opowiedział panu o celu mojej wizyty - odparłem.

- Mówił mi o pańskiej wizycie przez telefon, ale nie miałem okazji spotkać się z nim osobiście. - Pułkownik Mang spojrział na zegarek. - Wkrótce przyleci samolotem i wtedy porozmawiam z nim

dłużej. Tymczasem pan powinien mi powiedzieć, dlaczego złożył mu pan wizytę.

- A więc dobrze.

Trzymając się możliwie jak najbliżej prawdy, powtórzyłem Mangowi tę samą historię z listem, którą przedstawiłem Vinhowi - z Amerykańskim Związkiem Weteranów Wojny Wietnamskiej, rodziną porucznika Williama Hinesa, domniemanym zamordowaniem porucznika przez nieznanego kapitana; nie widziałem potrzeby wspominać o wiceprezydencie Stanów Zjednoczonych. Na koniec dodałem, że wyruszając w nostalgiczną podróż do Wietnamu, zgodziłem się zająć sprawą na prośbę rodziny Hinesów.

Skończyłem wywód i zauważyłem, że pułkownik Mang pogрузił się głęboko w zadumie. Usłyszał już od Trana Van Vinha tę historię, która niczym podkrecona piłka w baseballu w żaden sposób nie pasowała mu do tego, co wiedział lub co podejrzewał. Naturalnie taki obrót sprawy budził u pułkownika więcej wątpliwości, niż dawał odpowiedzi, i widziałem, że Mang jest w kropce. Zaraz będzie chciał zobaczyć pamiątki w plecaku Susan. Miałem przeczucie,

że zabawimy tu dłużej. Może na zawsze.

Pułkownik Mang spojrzał na Susan.

- Czy zgadza się pani z tą historią?

- Ja jestem tylko dziwką na drogę - odparła Susan.

- Co to jest dziwka? - spytał Mang.

nas wiadomość, w którą uwierzył. Odpowiedziała po wietnamsku i Mang skinął głową, jakby to była pierwsza usłyszana od

- Ale pani związek z panem Stanleyem budzi moje podejrzenia.

- Spałam z połową cudzoziemców w Sajgonie, pułkowniku - powiedziała Susan. - Nie powinien pan przywiązywać wagi do mojego związku z Billem Stanleyem.

Czasem, jak mawiają ludzie mojej profesji, nagość jest najlepszym przebraniem. Pułkownik Mang sprawiał wrażenie zadowolonego, że jego opinia zyskała potwierdzenie samej dziwki, mimo że związek z Billem Stanleyem stawał się przez to mniej obciążający.

Mang zastanawiał się także nad moim związkiem z Susan Weber i kombinował, czy może dobrać się do mnie za jej pośrednictwem. Ja zaś, prawdę powiedziawszy, byłem dotąd bardzo lojalny wobec dziwek, lecz Mang o tym nie wiedział, więc posłałem Susan gniewne spojrzenie i odwróciłem się nieco od niej.

Pułkownik chyba to zauważył, bo powiedział do Susan:

- Nie jest pani lepsza od prostytutek na ulicach Sajgonu.

- Nie biorę pieniędzy - odparła.

- Byłoby uczciwiej, gdyby pani brała.

Znalazłszy dla Susan odpowiednie miejsce, skierował swą uwagę na mnie.

- Tran Van Vinh opisuje kłótnię między panem i panną Weber. Powiedział, że wyszła z jego domu bez pana, a pan wyszedł kilka minut później. To prawda?

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie zgadzaliśmy się w wielu sprawach w czasie podróży i nie było między nami jednomyślności co do tego, jak najlepiej dojechać do Hanoi.

Zastanowił się nad tym.

- I oboje postanowiliście pojechać pociągiem z Lao Cai

- Chyba tak, skoro razem przyjechaliśmy na dworzec Long Bien.

- Wiedziałem, gdzie jesteście, i wiedziałem, że jedziecie do Hanoi. Nie było was na liście pasażerów samolotów, więc kazałem obserwować dworzec Long Bien, dworzec autobusowy i oczywiście hotel Metropole i amerykańską ambasadę, w razie gdybyście przyjechali do Hanoi samochodem lub motocyklem.

- Skąd pan wiedział, że jesteśmy w autokarze turystycznym?

- Ach. Policjant, który wszedł do środka, zauważył nerwowość przewodnika, ale nie chciał wywoływać problemu w obecności waszych rodaków, więc poczekaliśmy. Spotkacie się później z tym przewodnikiem w innej części tego budynku - poinformował nas z uśmiechem, po czym dodał: - Powiedziałem wam, że zobaczymy się w Hanoi,

- A gdybyśmy pojechali do Hoziminiu, a nie do Hanoi?

Odpowiedzi, którymi mógł się wykazać, jak dobry jest w swojej robocie, sprawiały Mangowi widoczną przyjemność.

- Gdybyśmy nie siedzieli tutaj, byłibyśmy w tym samym ministerstwie w Hoziminiu. Bardzo mało uchodzi naszej uwagi, panie Brenner.

Nie powinienem był tego komentować, ale powiedziałem:

- Nie ma pan pojęcia, co uchodzi pańskiej uwagi.

Znow się uśmiechnął.

- Pan i panna Weber nie uszliście mojej uwagi. I dlatego tu jesteście.

- Słusznie - przyznałem. - Policja imigracyjna w tym kraju jest bardzo uparta, pułkowniku. Przydałaby się nam taka w Ameryce.

Uśmiechnął się.

- Naruszenie harmonogramu podróży, nielegalne środki przemieszczania się i złamanie przepisów wizowych to poważne sprawy, panie Brenner.

- Z pewnością, skoro usprawiedliwiają wszczęcie ogólnokrajowego polowania na mnie i pannę Weber.

- Skończyliśmy już uprawiać gierki?

- Mam nadzieję. Jest pan z sekcji A czy B?

- Sekcja A - odparł. - Odpowiednik waszej CIA.

- Kiedy następnym razem będę się wybierał do Wietnamu, wcześniej zacznę się starać o wizę.

Uśmiechnął się znów,

- Nie będzie następnego razu - oznajmił.

- Skończyliśmy?

- Nie. I niech pan więcej nie pyta.

Spojrzałbym na zegarek, ale przypomniałem sobie, gdzie jest.

Siedzieliśmy więc dalej; Susan, Mang oraz dwaj goryle palili papierosy, ja zaś wdychałem mimo woli dym, bo nie było tam nawet otwartego okna. To miejsce i bez tego było dość niezdrowe; podłogę znaczyły stare plamy od krwi, a przesłuchujący w sali obok z upodobaniem tłukł swoim gościem o ścianę, wprawiając żarówkę w kołysanie.

Pułkownik Mang pozwolił nam posłuchać wietnamskiego *squasha* za ścianą, a potem zwrócił się do Susan.

- Dlaczego wysłała pani teleks do pana Tina w hotelu Century w Hue?

- Pan Brenner pożyczył swój przewodnik turystyczny pewnemu człowiekowi, który oprowadza wycieczki, i poprosił o zwrot we wtorek rano. Ponieważ nie zwrócono książki w ustalonym czasie, wysłałam faks z pytaniem, czy już jest. Jestem pewna, że czytał pan teleks.

Mang nie potwierdził, lecz spytał:

- I co by pani zrobiła, gdyby okazało się, że przewodnik został zwrócony? Pojechałaby pani z powrotem do Hue?

- Oczywiście, że nie. Poprosiłabym pana Tina, żeby przysłał go nam do Metropole.

Mang spojrzał na mnie,

- Kim był dla pana przewodnik, któremu dał pan książkę?

Chyba zabrakło mi Nguyenów, więc odparłem:

- Wydaje mi się, że był to pan Han. Student.

- Czemu miałby pan pożyczać mu książkę?

- Poprosił mnie o to. Czy znów złamałem jakieś prawo?

Nawet pułkownik Mang dostrzegł w tym humor i uśmiechnął się. Zwykle jednak jego uśmiechy nie wróżyły nic dobrego.

- Muszę coś wyznać - oznajmił, zwracając się do mnie.

- To dobrze, bo ja nie.

- Kazałem pana śledzić w Hue.

Nie odpowiedziałem i siedzieliśmy tak, słuchając, jak wloką kogoś po korytarzu. To mógł być mój przewodnik. Wreszcie pułkownik Mang się odezwał:

- Moi koledzy stracili pana z oczu, ale zameldowali, że zachowywał się pan jak człowiek, który myśli, że jest śledzony.

- A czego się pan od nich spodziewał? Mieli powiedzieć, że siedziałem na ławce w parku i stracili mnie z oczu?

Nie spodobało mu się to; zwrócił się do Susan.

- Tak samo było z panią, panno Weber. Poruszała się pani w podejrzany sposób.

- Robiłam zakupy.

- A, tak. Kupowała pani przebrania.

- Kupowałam odpowiednią odzież na podróż do Dien Bien Phu - odparła Susan i dodała: - Mogę panu opowiedzieć o moich zakupach z najdrobniejszymi szczegółami, jeśli pan chce posłuchać.

przyjść do głowy, że obszczekuje zbyt wiele drzew naraz. W gruncie rzeczy tak nie było, lecz Ani pułkownik, ani ja nie wykazaliśmy zainteresowania tematem. Mangowi mogło też prawie miałem pewność, że pan Ann jest bezpieczny. Ale nigdy nie było wiadomo, jakie niespodzianki trzyma w zanadrzu Mang.

- Gdzie jest ten motocykl, który pan kupił w Hue? - spytał mnie.

- Sprzedałem go w Lao Cai pewnej osobie z Australii.

- Jak on się nazywał?

- Nazywała. To była kobieta. Blondynka, niebieskie oczy, ładny uśmiech.

Pułkownik Mang podejrzewał, że puszczam go w maliny, ale ciągnął grę.

- Ile pan za niego zapłacił w Hue i za ile sprzedał?

- Zapłaciłem trzy tysiące dolarów amerykańskich, ale od Australijki w Lao Cai dostałem tylko pięćset. - Po chwili dodałem: - Wiedziała, że musimy złapać pociąg, więc twardo się targowała.

- Rozumiem. A czy podpisał pan jakieś papiery z tą panią albo z osobą w Hue?

- Pułkowniku, od kiedy jestem w tym kraju, nie widziałem ani jednego paragonu przy sprzedaży.

Mang nie skomentował tego i spojrzał na Susan.

- Znalazłem w pani mieszkaniu kluczyki do motocykla, ale nie możemy znaleźć pojazdu. Może nam pani pomóc?

- Skradziono go.

- Myślę, że jest ukryty.

- Czy sekcja A nie ma nic lepszego do roboty i zajmuje się szukaniem motocykli?

- Mamy coś lepszego do roboty, panno Weber, dlatego tu pani jest.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem.

- A ja tak.

- Nie sądzę, żeby pan to wiedział, pułkowniku - powiedziała Susan.

- Tego, czego nie wiem, zawsze dowiaduję się od podejrzanego - poinformował ją i przypomniał nam obojgu: - To jest tylko wstępne śledztwo. Następne będzie wyglądało i przebiegało tak, jak te w sąsiednich salach. Ostatnie jest w podziemiu. Wtedy wrócimy do tematu dwóch policjantów,

którzy zostali zabici, żołnierzy i innych spraw, takich jak motocykle, wymagających dalszego wyjaśnienia.

- Tortury to ostatnia deska ratunku głupiego i leniwego śledczego - stwierdziłem. - A zeznania są bezwartościowe.

Spojrzał na mnie, jak gdyby nigdy wcześniej czegoś podobnego nie słyszał, co było bardzo prawdopodobne.

- Co pan wie o śledztwach?

- Oglądam dużo seriali policyjnych.

- Przyznaję, że próbowałem się o panu dowiedzieć więcej przez naszą ambasadę w Waszyngtonie.

- Nie mam tam znajomych.

- Nie podoba mi się pański sarkazm.

- Nikomu się nie podoba.

Wrócił do tematu mojej przeszłości.

- Dowiedzieliśmy się, że odszedł pan z amerykańskiej armii we wrześniu ubiegłego roku i że miał pan stopień chorążego.

- Powiedziałem to panu na Tan Son Nhat.

- Ale nie wyrażał się pan jasno o swojej pracy.

- Nikt, kto jest w wojsku, nie wyraża się jasno o swojej pracy.

- Na to wygląda, jeśli wziąć pod uwagę pańskie dawne dokonania tutaj.

- Poszło nam dobrze, pułkowniku, i pan o tym wie. Niech pan spyta kogoś ze swoich kolegów z klasy. Pułkownik Mang całkowicie stracił zimną krew i zaczął coś wykrzykiwać po wietnamsku, uderzył w stół i wstał. Zobaczyłem ślinę w kącikach jego warg. Przyszło mi na myśl, że niepotrzebnie wspomniałem o wojnie.

Obiegł biurko i doskoczył do mnie. Wstałem, ale zanim zdążyłem zareagować, obaj goryle złapali mnie z tyłu za ręce. Pułkownik Mang spoliczkował mnie, a ja wyrwałem się z uchwytu strażników, którzy nie byli zbyt silni; jeden się przewrócił. Drugi skoczył w moją stronę, ale Susan wstała i kopnęła mu pod nogi taboret. Rozciągnął się jak długi, a ja stanąłem naprzeciwko Manga.

Zanim zdążyłem go rozerwać na strzępy, goryle pozbierali się, stanęli przy ścianie i wyciągnęli pistolety, wykrzykując po wietnamsku.

Pułkownik Mang coś do nich powiedział, a potem niespodziewanie wyszedł z sali. Może musiał się odlać czy coś.

- Paul, przyjęcie, do ciężkiej cholery - przypomniała Susan. Jeden z goryli odezwał się ostro po wietnamsku do Susan.

- Mówi, że mamy się zamknąć i siedzieć. Jeśli się ruszymy albo zaczniemy rozmawiać, zastrzeli nas.

Siedzieliśmy więc, a dwaj goryle stali z tyłu, mierząc do nas z pistoletów. Gdyby byli bliżej,

miałbym ich pistolety w ciągu pięciu sekund, ale zachowywali odległość.

Zamieszanie w sali nie zwróciło nikomu uwagi z powodu hałasów w sąsiednich pomieszczeniach. Pułkownik Mang, wychodząc, nie zamknął drzwi; usłyszałem odgłosy policzkowania kogoś na korytarzu.

Wrócił po jakichś pięciu minutach, prowadząc jeszcze dwóch goryli, którzy również stanęli za nami. Gdy przechodzi obok, poczułem alkohol.

Usiadł za biurkiem i zapalił. Starał się wyglądać tak, jakby nic się nie stało.

- Wróćmy do tematu zabójstw dwóch policjantów i dwóch żołnierzy. Czy się do nich przyznacie, czy nie, są świadkami tych morderstw, którzy zidentyfikują was jako morderców. Więc powinniście uwalniać się za oskarżonych o morderstwo.

Zastanawiałem się, czy mogę zagrać asem, lecz mój as powoli zaczynał wyjadać jak dwójka trefl.

Pułkownik Mang poczekał, aż przyjmie oskarżenie do wiadomości.

- Zgodzę się oddać te zarzuty w zamian za wasze pisemne przyznanie się do tego, że oboje jesteście agentami amerykańskiego rządu, i szczegółowe waszej misji w tym kraju.

- A potem wszyscy pójdziemy na drinka do Metropole?

- Nie. Zostaniecie w więzieniu aż do wydalenia.

- A mój rząd przeprosi i wystawi czek.

- Mam nadzieję, że nie przeprosi. I możecie sobie zatrzymać swoje pieniądze,

- Do czego mielibyśmy się przyznać?

- Nawiązanie kontaktu ze zbrojną partyzantką, wspomaganie FULRO, szpiegostwo i kontakt z wrogami państwa.

- Jestem tu dopiero od dwóch tygodni.

Mang nic zawsze łapał mój sarkazm, więc tylko skinął głową, Spojrzał na mnie jakby trzeźwiej.

- Na pewno widzi pan korzyści z przyznania się do przestępstw politycznych w celu uniknięcia oskarżeń o pospolite morderstwo. Przestępstwa polityczne mogą być negocjowane między rządami. Morderstwo to morderstwo - oznajmił, po czym przypomniał: Mam

świadków czterech morderstw. Mam też świadków przestępstw politycznych. Wybór należy do was.

Wymiar sprawiedliwości działał tu nieco inaczej niż u nas. Chyba wspominałem o tym Karłowi.

- Potrzebuję pańskiej decyzji, panie Brenner - powiedział pułkownik Mang.

- Znów mnie pan ignoruje - odezwała się Susan.

- Od pani niczego nie potrzebuję, żądam tylko, żeby się pani zamknęła.

Zanim Susan zdążyła go znów posłać do diabła, powiedziałem:

- Pozwolę, żeby to pan podjęli decyzję, pułkowniku. Moja dobrowolna współpraca się skończyła, jak mógł pan zauważyć.

Pułkownik Mang powiedział coś do goryli i już myślałem, że czeka nas wycieczka do innej części budynku, lecz jeden ze strażników podniósł nasze plecaki i postawił na biurku.

Drugim gestem nakazał zdjąć kurtki. Zdjęliśmy, a on rzucił je na biurko.

Pułkownik Mang opróżnił mój plecak, wysypując jego zawartość na blat. Nie wspomniał o braku bielizny na zmianę, lecz spytał:

- Gdzie pańskie ubrania?

- W skradzionym bagażu, naturalnie.

Zignorował to, spojrzął na aparat, film, montagnardzką bransoletę i moją ostatnią czystą koszulę. Rozłożył mój zestaw toaletowy, wycisnął pastę z tubki i krem do golenia na blat biurka. Bawiąc się moimi przedmiotami osobistymi, zadał mi pytanie:

- Więc jaka była pańska specjalność w wojsku?

- Mówiłem panu.

- Powiedział mi pan, że był kucharzem. Potem przyznał się pan, że walczył.

- Walczyłem, Potem zostałem kucharzem,

- A ja myślę, że jest pan oficerem wywiadu wojskowego.

Blisko, ale nie dostanie w nagrodę cygara.

Znudził się moimi nielicznymi skarbami i opróżnił plecak Susan. Wbrew swoim upodobaniom zignorował jej staniki oraz figi i zaczął oglądać inne rzeczy, między innymi montagnardzką chustę od wodza Johna, biżuterię i inne drobiazgi,

Postawił jej aparat obok mejego i naszych naświetlonych filmów.

Wreszcie skupił się na przedmiotach podarowanych nam przez pana Trana Van Vinha. Obejrzał zegarek, identyfikatory, obrączkę, notes, portfel z zawartością i wreszcie płócienny worek z listami i spisem personelu korpusu doradców. Skupił na nim uwagę tylko przez dwie sekundy, a potem przejrzał pobieżnie listy. W końcu spojrzął na Susan i spytał:

- To są wszystkie przedmioty od pana Vinha?

Susan skinęła głową.

- Dlaczego pani je ma, a nie pan Brenner?

- Co to za różnica?

- Co pani ma przy sobie?

- Nic.

- Zaraz się przekonamy.

- Jeśli mnie pan dotknie, zabiję pana - powiedziała. - Jeśli nie dzisiaj, to pewnego dnia.

- Czemu dziewczka miałaby się przejąć tym, że dotknął jej mężczyzna?

- Pierdol się.

- Spokojnie - powiedziałem do Susan. Potem zwróciłem się do Manga. - Jeśli jej pan dotknie,

pułkownika, a ona pana nie zabije, ja to zrobię. Jeśli nie dzisiaj, to pewnego dnia. Wie pan, że mogę to zrobić - dodałem.

Podniósł głowę znad biurka.

- A więc lubi pan tę panią. I mógłby pan dla niej zabić.

- Zabiłbym pana choćby dla zabawy.

- Ja też zabiłbym pana dla zabawy. Właściwie nie macie już wyboru w sprawie przyznania się do przestępstw politycznych. Z pewnością nie mogę wypuścić na wolność kogoś tak niebezpiecznego jak pan czy panna Weber. Pewnego dnia moglibyście mnie zabić.

- Jeśli nie ja, to ktoś inny - powiedziałem. Zerknął na mnie i widziałem, że zrozumiał: właśnie mu wyjawiałem, że nie jestem sam. To właśnie podejrzewał i cieszył się, że jego podejrzania zyskały potwierdzenie, ale nie uradowało go zbytnio, że znalazł się na liście ludzi do odstrzału.

Postanowił zignorować moją wypowiedź i skierował uwagę na kurtki, w których nie było nic, co mogłoby go zainteresować.

- Gdzie są zdjęcia, które pani wysłałem?

Susan rzuciła po wietnamsku coś, co nie przypadło mu do gustu. Odpowiedział ostro, też po wietnamsku, a ja przypominałem wszystkim:

- Proszę mówić po angielsku.

- Zamknąć, kurwa, mordę - nakazał mi pułkownik Mang dobrym potocznym angielskim.

Sytuacja wymagała dyplomatycznych rozwiązań, więc powiedziałem po francusku, czyli w międzynarodowym języku dyplomacji;

- *Mangez merde.*

Dopiero po sekundzie się zorientował, że kazałem mu nazreć się gówna.

- Niech się pan bawi, póki może, panie Brenner, i popisuje odwagą przed swoją panią. Później żadne z was nie będzie odważne.

Milczałem.

Otworzył aktówkę i wyjął plik zdjęć. Obejrzał kilka z nich, a potem rzucił chyba z sześć w naszą stronę; wylądowały na podłodze. Były to zdjęcia z wyspy Pyramide, rzecz jasna. Pułkownik Mang zwrócił się do Susan.

- Może jestem zdezorientowany w kwestii zachodniej skromności. Stawia mnie pani w trudnym położeniu, jeśli chodzi o rewizję.

- Nie waż się mnie tknąć - warknęła Susan. Mang spojrzał na mnie.

- Panie Brenner? Może mi pan pomóc?

- Powinien pan sprowadzić jakąś kobietę i przeprowadzić rewizję w osobnym pomieszczeniu - odparłem.

- Czemu nie możemy wszyscy udawać, że jesteśmy na plaży?

- Czemu nie przestanie się pan zachowywać jak palant? - Podniosłem się i poczułem coś na szyi.

- Siadać - powiedział pułkownik Mang.

Pistolet, który czułem na karku, byłby mój, ale nie byłem pewien, czy pozostali goryle trzymali w rękach broń i mierzyli do mnie. Usiadłem.

Nadszedł czas, żeby zagrać asem.

- Pułkowniku - zacząłem. - Amerykański ambasador Patrick Quinn zaprosił mnie i pannę Weber na przyjęcie w swojej rezydencji dzisiaj o dwudziestej. Jest to bankiet na cześć wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Edwarda Blake'a, który, jak pan wie, przebywa obecnie w Hanoi. Mamy być na tym przyjęciu, które właśnie się zaczęło.

Pułkownik Mang spojrzał na mnie, a potem na Susan.

- A w czym wystąpię na bankiecie u ambasadora? - spytał. - Nie widzę na was ani w tych torbach odpowiednich strojów.

- Pani Quinn ma dla mnie odpowiedni strój - odparła Susan. - Nie powinien się pan tym martwić.

Pułkownik Mang przeniósł wzrok na mnie.

- A pan, panie Brenner?

- Ja mam tylko grać na gitarze. I jestem spóźniony.

Zignorował to.

- Czemu któreś z was miałyby być zaproszone na taką imprezę?

- Jestem przyjaciółką pani Quinn - odparła Susan.

- A pan, panie Brenner?

- Chodziłem razem z Patem Quinnem do szkoły. - Aha. Tylu sławnych ludzi z jednej klasy. Więc uniemożliwiam państwu pójście na kolację z rodakami.

- Będzie tam też pański minister spraw zagranicznych, pan Thuang, i minister spraw wewnętrznych, pan Huong, który jest pańskim przełożonym, jeśli się dobrze orientuję. Mogę wspomnieć im o tej sprawie lub nie.

Zwykle rzucanie nazwiskami nie robi na mnie wrażenia, ale w tym wypadku musiałem zrobić wyjątek. Naturalnie pułkownik Mang miał teraz dobry powód, żeby nie wypuszczać nas stąd żywych. Spojrzałem na niego, ale pozostawał nieprzenikniony i nie można było zgadnąć, które rozwiązanie wybierze.

- Wysłałem z Lao Cai teleks do ambasady z informacją, że przyjedziemy pociągiem, zameldujemy się w Metropole i o ósmej będziemy na bankiecie.

- O tej porze, kiedy odchodzi pociąg z Lao Cai do Hanoi, poczta jest zamknięta.

Ale obsuwa.

- Przekazałem wiadomość pewnej Australijce, która obiecała ją wysłać. Tej samej, która kupiła ode mnie motocykl. - Jak to dobrze, że urodziłem się Irlandczykiem.

Pułkownik Mang zapalił następnego papierosa i zamyślił się.

- Czy ten Blake będzie waszym następnym prezydentem?

- Prawdopodobnie - odparłem. - U nas są wybory.

Myślał przez chwilę, a potem oznajmił:

- On mi się nie podoba. Wreszcie mieliśmy coś wspólnego.

- On był tutaj jako żołnierz w czasie wojny.

- Tak, wiem.

- Za często tu przyjeżdża.

- Jest przyjacielem Wietnamu - zauważyłem,

- Tak mówi - odparł pułkownik Mang, po czym dodał: - Słyszałem pogłoski, że chce znów sprowadzić amerykańskie wojsko na wietnamską ziemię.

Susan i ja milczeliśmy. Pułkownik Mang miał wiele do przemyślenia a ja nie chciałem zakłócać jego rozważań groźbami czy obietnicami, że rzucę o nim dobre słówko na bankiecie. Spojrzał na nas.

- Wciąż nie jestem usatysfakcjonowany żadną z waszych odpowiedzi. Jest moim obowiązkiem chronić mój kraj.

Nie zabrzmiało to przekonująco, wiedział o tym. Zerknął na zegarek, co było dobrym znakiem. A jednak nie mógł się zdecydować.

- Zadam panu kilka pytań, panie Brenner, i jeśli odpowie mi pan szczerze, mogę się zastanowić, czy wypuścić pana i pannę Weber.

Milczałem.

- Czy przyjechał pan tutaj, żeby zbadać sprawę zamordowania tego porucznika Hinesa przez amerykańskiego kapitana w Quang Tri w lutym tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku?

- Powiedziałem panu, że tak.

- Ale powiedział pan, że prowadzi pan to śledztwo w imieniu rodziny.

- Zgadza się.

- Czy prowadzi je pan również w imieniu swojego rządu?

- Tak.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Zdziwił się, słysząc prawdziwą odpowiedź. Ja zresztą też, podobnie jak Susan.

Widziałem sposób wydostania się z tego budynku, miał on związek z Edwardem Blakiem, przez którego się tutaj znalazłem.

- A panna Weber jest pańską koleżanką po fachu? - spytał Mang. Tego nie byłem pewien.

- Zgłosiła się na ochotnika, żeby pomóc mi w podróży i być moim tłumaczem.

Spojrzał na Susan.

- Co panią łączy z waszym rządem?

- Spałam z Billem Stanleyem.

- I co jeszcze?

- Jestem obywatelką i płacę podatki.

Pułkownik nie odczuwał żadnej więzi z Susan, więc skierował swą uwagę na mnie.

- A jaki jest pański związek z rządem?

Spałem kiedyś z agentką FBI prowadząc z nią wspólnie śledztwo, ale nie wydaje mi się, żeby go to interesowało.

- Jestem emerytowanym detektywem śledczym Armii Stanów Zjednoczonych. - Wolno mi też było podać mu mój numer służbowy, ale nie zawsze go pamiętałem.

Myślał przez chwilę, pewnie zachodząc w głowę, czym się zajmuje oficer CID.

- Jakie są obecnie pańskie powiązania z rządem?

- Jestem cywilnym pracownikiem.

- Czy pracuje pan dla Centralnej Agencji Wywiadowczej?

Prawdopodobnie tak, ale nie musiałem mu tego mówić.

- Nie, nie pracuję dla CIA. To śledztwo kryminalne. Próbuję rozwiązać sprawę morderstwa, a nie je popełnić.

Pułkownik nie załapał środowiskowego humoru.

- Czy podczas rozmowy z panem Vinhem ustalił pan tożsamość mordercy?

- Być może.

- Czemu to takie ważne po tylu latach?

- Sprawiedliwość jest ważna.

- Dla kogo? Dla rodziny? Dla władz?

- Dla wszystkich.

Z namysłem zaciągnął się papierosem. Ten facet nie był głupi, a ja też nie jestem głupi, więc milczałem. Musiał do tego dojść bez niczyjej pomocy.

- Zatem wrócił pan do Wietnamu po prawie trzydziestu latach, żeby odkryć prawdę o tym

morderstwie - powiedział.

- Otóż to.

- W imię sprawiedliwości.

- W imię sprawiedliwości.

- Ten porucznik Hines musiał pochodzić z bogatej i wpływowej rodziny, skoro pański rząd zadał sobie tyle trudu.

- Nie ma znaczenia, czy był bogaty, czy biedny. Morderstwo to morderstwo.

Sprawiedliwość jest sprawiedliwością.

Spojrzał na Susan.

- Gdzie są te zdjęcia, które pokazywała pani panu Vinhowi?

- Pozbyłam się ich.

- Czemu?

- Już ich nie potrzebowałam.

- Pan Vinh powiedział, że miała pani dwa zestawy zdjęć - ciągnął pułkownik. - Na jednym był porucznik Hines, a na drugim kapitan, którego podejrzewacie o morderstwo.

Susan potwierdziła skinieniem głowy.

- Pan Vinh przekazał wam zdjęcie porucznika Hinesa z jego portfela i te przedmioty potwierdziły, że to on padł ofiarą morderstwa.

- Rzeczywiście.

Zgadza się? - Ale pan Vinh nie zdołał rozpoznać na zdjęciach kapitana, którego widział w Quang Tri.

- Tak.

- Jak się nazywa ten kapitan? - spytał, zwracając się do Susan.

- Nie wiem.

- Jak to możliwe? Miała pani jego zdjęcia.

- To były moje zdjęcia, pułkowniku - wtrąciłem. - Panna Weber tylko tłumaczyła.

- A, tak. Więc pana pytam, jak brzmi nazwisko tego kapitana?

- Nie mam pojęcia.

- Nie powiedziano panu, kogo pan szuka?

- Nie. Jakie to ma dla pana znaczenie? Sądzi pan, że zna tego człowieka?

Spojrzał na mnie.

- Pan Vinh myślał o waszej wizycie, kiedy wyszliście... Widziałem, jak spalają się neurony w mózgu pułkownika Manga; tak jak ja przed paroma dniami, miał coś w zasięgu ręki, ale ciągle mu się wymykało.

- Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, pułkownik - przypomniałem mu. - Teraz zna pan cel mojej podróży. Nie złamaliśmy żadnego prawa. Musimy iść.

Mang myślał intensywnie i czuł, że na coś wpadł.

- Jeśli prowadzi pan dochodzenie w sprawie zamordowania jednego Amerykanina przez innego, to dlaczego pański rząd nie zwrócił się do mojego o pomoc? - spytał. - Płacie miliony dolarów za informacje o waszych zaginionych żołnierzach - przypomniał.

To było naprawdę dobre pytanie i pamiętam, że sam zadałem je Karlowi, choć odpowiedź kryła się właśnie w pytaniu. Wystarczyły mi dwie minuty pod Murem, żebym ją odgadł. Pułkownik Mang potrzebował więcej czasu, więc powtórzył pytanie jakby do siebie.

- Jak już pan wie od pana Vinha, ten kapitan zamordował również trzech wietnamskich cywilów i ukradł cenną zawartość skarbca w Quang Tri. Mój rząd uznał, że lepiej będzie uniknąć sytuacji, w której wasze władze zażądają postawienia tego kapitana przed sądem.

Pułkownik nie powiedział: „Gówno prawda”, lecz posłał mi spojrzenie, które to właśnie znaczyło.

- Ta odpowiedź mnie nie satysfakcjonuje.

- Więc niech pan sobie sam odpowie.

Skinął głową i podjął wyzwanie. Zapalił papierosa; zdawało mi się, że słyszę tykający zegar szachowy.

Wreszcie zaczął oglądać osobiste rzeczy porucznika Williama Hinesa. Podniósł wykaz personelu jednostki i spojrzał na niego.

- Pan Vinh zauważył, że dokument z amerykańskimi nazwiskami wywołał u was emocje. - Przeczytał spis, spojrzał na mnie, a potem na Susan. Powiedział coś do niej po wietnamsku i zdawało mi się, że słyszę słowo *dai-uy*, kapitan, i na pewno usłyszałem po wietnamsku akcentowane nazwisko Blake.

Susan skinęła głową.

Pułkownik Mang wyglądał jak człowiek, który odkrył wreszcie prawdę. Był z siebie zadowolony, ale też trochę podekscytowany i może nieco przestraszony. Podobnie jak Karl, być może widział już oczami wyobraźni generalską gwiazdkę, ale jeśli użyje swej wiedzy źle i podzieli się nią z niewłaściwymi ludźmi w rządzie, skończy na granicy laotańskiej, do końca życia stemplując wizy. Albo jeszcze gorzej.

Spojrzał na mnie i zadał przenikliwe pytanie.

- Zamierza pan osłaniać tego człowieka czy go zdemaskować?

- Przysłano mnie tutaj, żebym odkrył prawdę i ją ujawnił - odparłem. - Nie mam żadnego wpływu na to, co się stanie z tym człowiekiem.

- Powinien pan być powiedzieć, że wysłano pana, żeby go zdemaskować - stwierdził pułkownik Mang. - Mówiłem panu, że on mi się nie podoba. - Wiem, co powinienem być powiedzieć. Chciał pan prawdy, więc powiedziałem prawdę. Chce pan, żebym znów zaczął kłamać?

Zignorował to.

- Dajcie mi swoje wizy - rozkazał.

To była najlepsza wiadomość, jaką usłyszałem od dłuższego czasu; podałem mu wizę, Susan też. Nie interesowały go nasze paszporty, bo wiedział, że w ambasadzie mogą nam wydać nowe w dziesięć minut, ale bez wietnamskich wiz nie mogliśmy wyjechać z kraju. Lecz wyjdziemy z tego budynku.

Pułkownik Mang powiedział coś do dwóch goryli, którzy wyszli z sali.

- Pozwolę panu i pannie Weber pójść na ten bankiet - oznajmił.

Chciałem mu pogratulować mądrej decyzji, ale zamiast tego spytałem:

- Kiedy mogę się spodziewać odzyskania wizy?

- Nie potrzebuje pan wizy, żeby zostać ponownie aresztowany, panie Brenner.

- Raczej nie.

Drzwi się otwały i stanął w nich goryl w towarzystwie kobiety w mundurze. Powiedziała coś do Susan, która pozwoliła się oklepać od góry do dołu, co zdawało się spełniać wymogi rewizji, nie dając jednocześnie Susan tematu do rozmowy na bankiecie u ambasadora.

Jeden z goryli oklepał mnie.

Właściwie nie mieliśmy przy sobie nic prócz portfeli; Mang obejrzał zawartość obu i rzucił je na biurko.

- Weźcie swoje portfele i idźcie.

Podnieśliśmy portfele i zaczęliśmy pakować plecaki.

- Wiecie, że nie wolno wam zabrać żadnej z tych rzeczy - powiedział Mang.

- Potrzebne są nam osobiste rzeczy porucznika Hinesa - odparłem.

- Mnie też. Proszę wyjść.

- Chcę wziąć mój bilet na samolot.

- Nie będzie panu potrzebny.

- Nasze kurtki.

- Proszę wyjść. Już.

- Chcę mój film i aparat - odezwała się Susan. Pułkownik Mang spojrział na nią.

- Wasza arogancja jest zdumiewająca. Darowuję wam życie, a wy kłóćcie się ze mną o to, co wzięłem w zamian.

Było w tym trochę racji, więc ująłem Susan pod ramię.

- Zaczekajcie - powiedział. - Jest coś, co możecie zabrać ze sobą na bankiet. Zdjęcia z podłogi.

Prawie słyszałem, jak Susan każe mu się walić.

- Panna Weber już wysłała zestaw attache handlowemu. Dziękujemy - odparłem szybko.

Mang się uśmiechnął.

- A ja wyślę drugi ambasadorowi i pani Quinn. Niech wiedzą, że goszczą w swoim domu dziwkę.

Susan uśmiechnęła się słodko.

- Przekáže pańskie pozdrowienia ministrowi spraw wewnętrznych.

- Dziękuję. Przy okazji proszę wspomnieć, że jego przyjaciel Edward Blake jest mordercą i złodziejem.

Powinienem milczeć, ale nie zrobiłem tego.

- Sam powinien pan mu to powiedzieć, pułkownik. Ma pan dowody i ma pan Trana Van Vinha. Ale niech pan uważa. Trzyma pan tygrysa za ogon.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy i w tej krótkiej chwili chyba obaj zobaczyliśmy w naszych twarzach to samo; my, czyli on i ja, Wietnam i Ameryka, wpadaliśmy na siebie raz po raz w niewłaściwych momentach, w niewłaściwych miejscach i z niewłaściwych powodów.

Rozdział 48

Goryle odprowadzili nas korytarzem do drzwi wyjściowych. Susan powiedziała coś, co im się nie spodobało, i pożegnali nas pchnięciem w plecy.

Staliśmy przez chwilę na ciemnej ulicy, a potem Susan wzięła mnie za rękę i poprowadziła w stronę światła kilka przecznic dalej.

- Czemu nie powiedziałaś mu wcześniej o bankiecie? - spytała,

- Ciągle zapomniałem. Ścisnęła mocno moje palce, aż zabolalo.

- To wcale nie było zabawne.

- To nie dzięki bankietowi u ambasadora stąd wyszliśmy - powiedziałem. - To zasługa Edwarda Blake'a.

Susan milczała.

Zostawiliśmy za sobą Ministerstwo Strachu i doszliśmy do szerokiej alei o nazwie Pho Tran Hung Pao, nazwie, która powinna być zmieniona.

Susan zorientowała się w terenie i skręcaliśmy w prawo. Przeszliśmy koło dużego, nowoczesnego i brzydkiego gmachu; powiedziała, że to Pałac Kultury. Parkowało tam dużo taksówek i rikszy.

- Powinniśmy wziąć taksówkę - zaproponowałem.

- Potrzebuję spaceru. To niedaleko.

Szliśmy dalej ruchliwą aleją. Susan wyjęła z kieszeni dzinsów papierosy i zapaliła.

- Przynajmniej nie zabrał mi fajek - powiedziała.

- Nie jest aż takim sadystą.

Było chłodno, więc wielu mężczyzn miało na sobie swetry i grube sportowe marynarki; większość nosiła berety albo hełmy z włókien palmowych. Nikt nie miał na ustach uśmiechu, ja też nie. To miasto sprawiało, że uśmiech zniknął ci z twarzy, zwłaszcza jeśli przed chwilą wróciłeś z ulicy Yet

Kieu.

- On ma wszystkie dowody - powiedziała Susan. - Jak myślisz, co z nimi zrobi?

- Oto jest pytanie.

- Przechodzimy przez piekło, żeby zdobyć te rzeczy, a teraz on je sobie zatrzymał i wszystkiego się domyślił... W Waszyngtonie dostaną szalu. - Nie odpowiedziałem. - Więc jaki mamy plan? - spytała.

- Potrzebuję drinka.

- Załatwię ci drinka na bankiecie.

- Naprawdę znasz żonę ambasadora?

- Tak. Spotkałam się z nią dwa razy w Hanoi, byliśmy na zakupach w Sajgonie z nią i jej przyjaciółkami, a potem na kolacji. Grasz na gitarze?

- Łgałem. Znasz ambasadora?

- Spotkałam go raz w ambasadzie w Hanoi i raz w jego rezydencji.

- Pamięta cię?

- Prawdopodobnie. Próbował mnie podrywać.

- Jak mu poszło?

- Szło mu nieźle, dopóki Bill się nie zjawił. - Roześmiała się i wzięła mnie pod rękę. - Nieźle ze mnie ziółko, co? Ale ty wiesz, jak sobie ze mną poradzić.

Dotarliśmy do następnej szerokiej alei, którą Susan rozpoznała, skręciliśmy w lewo i poszliśmy dalej. Znaleźliśmy się koło sporego jeziora otoczonego parkiem; było tam wielu handlarzy i mężczyzn grających w szachy. Po oświetlonym jeziorze pływała armada małych łódek; widziałem też wyspę, na której stała pagoda z czerwoną gwiazdą na szczycie.

- Czy to jest jezioro, gdzie leży B pięćdziesiąt dwa?

- Nie. W Hanoi jest mnóstwo jezior. To nosi nazwę Jeziora Zwróconego Miecza.

- Czy jest Jezioro Zwróconych Dowodów?

- Nie sądzę.

Szliśmy wzdłuż brzegu.

- Paul, jaki jest plan?

- Jakikolwiek by był, jest to mój plan.

Milczała przez chwilę.

- Wciąż mi nie ufasz. - Nie odpowiedziałem. - Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy...

- O to właśnie chodzi.

Zatrzymała się; ja też stanąłem i spojrzałem na nią. Popatrzyliśmy na siebie i widziałem, że jest poruszona.

- Ryzykowałam dla ciebie życie i zrobiłabym to jeszcze raz, gdyby było trzeba - powiedziała.

- Tak, ryzykowałam życie.

Nie pociągnęła wątku.

- Naprawdę mnie kochasz? - spytała.

- Tak, ale nie muszę ci ufać.

- Nie ma miłości bez zaufania.

- To babskie wymysły. Oczywiście, że jest. Chodźmy. - Wzięłam ją pod rękę i poszliśmy dalej.

Uwolniła ramię.

- Idę do hotelu - oznajmiła. - Sam idź na bankiet.

To przypominało moje ostatnie trzy czy cztery związki. Pewnie już coś takiego w sobie mam.

- Jesteś mi tam potrzebna - odparłam.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Masz zaproszenie i znasz drogę. Znasz gospodarza i gospodynię.

- Próbuj dalej.

- Chcę, żebyś tam była.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Ale ty wiesz. Powiedz mi, co się miało stać dziś wieczorem.

Susan milczała przez chwilę.

- Gdybym dotarła aż tutaj, miałam pójść na bankiet i powiedzieć komuś, czy mi się udało, i przekazać to, co mam.

- A czy ja miałem dotrzeć aż tutaj?

Odpowiedziała po namyśle.

- Opcja A, nie znaleźliśmy Trana Van Vinha albo nie zdobyliśmy żadnych dowodów. Ty lecisz do Bangkoku, ja wracam do Sajgonu. Opcja B, znaleźliśmy to, czego szukaliśmy, ale ty nie wiesz, co to znaczy. Lecisz do Bangkoku, ja do Sajgonu. Opcja C, orientujesz się, co odkryliśmy, i nie widzisz problemu. Stawiasz się na odprawę w Bangkoku, ja lecę do Sajgonu. Opcja D, chcesz być bohaterem i harcerzykiem, razem lecimy do Bangkoku. Właśnie taka jest teraz sytuacja.

Obserwowałem łódki, które ścigały się albo odgrywały bitwy morskie; w wypadku Wietnamczyków trudno zgadnąć.

- Paul?

Spojrzałem na nią. - Oczywiście sprawa się skomplikowała, bo zakochałam się w tobie.

- Wszystkim się to zdarza. To jest opcja E.

- No dobrze. Opcja E.

- Wróćmy do opcji D - powiedziałem. - Co masz zrobić, kiedy ci powiem, że o wszystkim, czego

się dowiedziałem, chcę opowiedzieć mojemu szefowi, potem FBI, Departamentowi Sprawiedliwości i prasie, jeśli zajdzie potrzeba?

Susan milczała.

- Doprowadzi to do oficjalnego dochodzenia i prawdopodobnie postawienia zarzutów Edwardowi Blake'owi, a następnie do procesu o morderstwo, co mogłoby nieco zaszkodzić jego planom w kwestii prezydentury. Więc gdybym ci o tym powiedział, co już zrobiłem, to jak miałaś postąpić?

- Próbować przemówić ci do rozumu argumentami.

- Jestem głuchy na argumenty. Co wtedy?

- Stawiasz mnie w trudnej sytuacji.

- A więc witaj w trudnej sytuacji. Mów. - Co chcesz, żebym powiedziała? Że miałam cię zabić? Mówiłam ci, że miałam cię pilnować, dopóki nie znajdziesz się w Bangkoku. - Zawiesiła głos. - Nie mam pojęcia, co zamierzali z tobą zrobić później.

- To trochę zimne i wyrachowane.

- Wiem. Ale na odprawie zabrzmiało przekonująco. Nie brałaś nigdy udziału w odprawie, na której omawia się trudne decyzje w sposób logiczny i rzeczowy i brzmią przekonująco, a potem zaczynasz działać i widzisz ludzi, wobec których masz być twardy. - Spojrzała na mnie.

W istocie całe moje życie zawodowe, od odpraw przed bitwą do spotkań JAG, takie właśnie było.

- Rozumiem, ale to, o czym mówisz, jest niezgodne z prawem, pomijając fakt, że niemoralne i nieuczciwe.

- Wiem.

- Jaka była twoja motywacja?

Wzruszyła ramionami.

- Różne takie głupstwa. Dreszcz emocji, przygoda, poczucie, że ufają mi i polegają na mnie ważni ludzie. - Spojrzała na mnie. - Widzę, że tego nie kupujesz.

- Nie kupuję.

- To dobrze. Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz.

- Mam nadzieję. Gdzie się nauczyłaś posługiwać bronią?

- W wielu miejscach.

- Dla kogo pracujesz?

- Naprawdę nie mogę ci powiedzieć i nie ma to żadnego znaczenia - odparła i dodała: - Nie pytaj więcej.

Milczałem.

- Paul, kazano ci okłamywać mnie od pierwszego dnia, a ja dostałam rozkaz, żeby okłamywać ciebie. Nie masz prawa pieklić się na mnie i jednocześnie uważać, że twoje kłamstwa były usprawiedliwione.

Skinąłem głową.

- W porządku. Ale właśnie dlatego wycofałem się z tej gry.

- Powinieneś to jeszcze przemyśleć. Zrobiłeś świetną robotę z Tranem Van Vinhem i z pułkownikiem Mangiem i bezbłędnie dodałeś dwa do dwóch.

- Dobrze jest odejść, póki wygrywasz i żyjesz.

Susan spojrzała na mnie. - Kiedy staliśmy w dolinie Na i podawałam ci broń, powiedziałam, że pomogę ci zdemaskować Edwarda Blake'a, choć nie to miałam zrobić. Naprawdę tak myślałam i tak zrobię, bo to jest słuszne, a także dlatego, że... Zrobię wszystko, o co poprosisz. Nawet gdybyśmy mieli się nigdy więcej nie zobaczyć, chcę, żebyś dobrze o mnie myślał...

Otarła dłońmi łzy, które spływały jej po policzkach.

- Chodźmy - powiedziałem.

Szliśmy wzdłuż brzegu jeziora; Susan знаła drogę. Skręciliśmy w ulicę Pho Ngo Quyen i znaleźliśmy się przed hotelem Metropole, który stał na rogu.

- Możemy się zameldować i wziąć prysznic, a potem pójść do łóżka, jeśli chcesz.

- Po co psuć taki piękny dzień?

- Jesteś okrutny czy żartujesz? - Żartuję. Chodźmy do rezydencji ambasadora i załatwmy tę sprawę.

- Jesteśmy brudni i cuchniemy.

- Tak jak ta robota. Daleko to?

- Jedną przecznicę stąd.

Minęliśmy Metropole, zawróciliśmy i poszliśmy dalej małą uliczką ocienioną drzewami. W pewnej odległości zobaczyłem jasno oświetlony kawałek ulicy i pomyślałem, że tam musi być rezydencja ambasadora.

Susan zatrzymała się i spojrzała na mnie.

- Jestem smutna, a nie mogę tam wejść ze smutkiem na twarzy - powiedziała.

- Wyglądasz świetnie.

- Nie mam makijażu i płakałam. Nie jestem ubrana, a ty mnie pogneźbiasz.

- Pożyczysz sobie szminkę.

- Spójrz na mnie.

- Nie.

- Paul, spójrz na mnie.

Spojrzałem.

- Trzy rzeczy; jestem po twojej stronie, możesz mi ufać i Kocham cię.

- W porządku.

- Pocałuj mnie.

Pocałowałem ją, potem się objęliśmy i przedłużyliśmy pocałunek. Daleko jeszcze do

tego hotelu? Wypuściliśmy się z objęć; Susan popatrzyła mi w oczy.

- I jeszcze trzy rzeczy: nie mamy dowodów, Tran Van Vinh jest pod kontrolą pułkownika Manga, a kiedy polecisz do Bangkoku, będziesz musiał uważać tak samo jak tutaj.

- I właśnie dlatego chcę, żebyś siedziała cicho i się nie wychylała. Nie musisz mi pomagać w zdobywaniu nowej sprawności harcerskiej.

Milczała.

Idąc wzdłuż wysokiego otynkowanego parkanu, pokonaliśmy krótką odległość do kutej żelaznej bramy, za którą zaczynał się podjazd.

Przy ogrodzeniu stała budka wietnamskiej policji; podszedł do nas gliniarz w cywilu.

- Paszporty - powiedział po angielsku.

Daliśmy mu paszporty, które obejrzał przy świetle latarki. Popatrzył na nas, jakby wiedział, kim jesteśmy, jakby pułkownik Mang uprzedził go telefonicznie, że tutaj będziemy.

Gdyby Mang zmienił zdanie, czekałaby nas droga powrotna do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Widziałem bramę rezydencji ambasadora nie dalej jak piętnaście metrów od nas, i stojących tam dwóch amerykańskich marines.

Gliniarz nic nie mówił, a ja zastanawiałem się, czy dać mu kopa w jaja i rzucić się do bramy. Przed budką stało dwóch policjantów w mundurach i obaj na nas patrzyli.

- Dokąd idziecie? - spytał tajniak.

- Na przyjęcie u ambasadora. Spojrzał na nasze ubrania, lecz nic nie powiedział. Wyciągnąłem rękę.

- Paszporty.

Klepnął mi paszportami w rękę, odwrócił się i odszedł. Ruszyliśmy w stronę bramy.

- Wyjście może być trudniejsze - powiedziałem.

- Też o tym pomyślałam.

Brama była otwarta, dwóch strażników-marines stanowiło przyjemny widok, chociaż za nic nie powiedziałbym tego żadnemu żołnierzowi piechoty morskiej.

Stali w defiladowej pozycji spoczynnej, z rękoma splecionymi za plecami, i patrzyli na nas. Nie stanęli na baczność i nie zaszalowali, lecz nasze okrągłe oczy okazały się wystarczającą przepustką.

Kilka metrów dalej po prawej stronie znajdowała się strażnica, gdzie stał jeszcze jeden żołnierz z marines w szarooliwkowym mundurze z karabinem M-16. Sierżant marines podszedł do nas.

- Przykro mi, moi drodzy, ale to jest teren prywatny - odezwał się.

- Przyszliśmy na bankiet - oznajmiła Susan.

- Aha... - Popatrzył na nas. - Hmm...

- Nazywam się Weber. Susan Weber. A to mój gość, Paul Brenner. - I dodała: - Chorąży Paul Brenner.

- W porządku... - Latarką-paluszkiem oświetlił tabliczkę, którą trzymał w dłoni.- Tak, jest pani tutaj. - Spojrzał na Susan, a potem na mnie i spytał: - Czy mogę zobaczyć jakiś dokument tożsamości?

Podąłem mu paszport, który obejrzał przy świetle latarki.

- Dziękuję panu.

Susan dała sierżantowi swój paszport, a on obejrzał go i zwrócił.

- Mmm... Na dzisiejszym przyjęciu obowiązują stroje oficjalne.

- Właśnie wracamy z interioru, ubrania czekają na nas w środku. Dziękuję, sierżancie - powiedziała Susan.

- Tak, proszę pani. - Spojrzał na mnie. - Czy był pan tu jut kiedyś?

- Tu akurat nie.

Wskazał dom.

- Proszę iść tym półkolistym podjazdem do drzwi frontowych. Przyjęcie odbywa się w ogrodzie. Miłego wieczoru.

Buckleya w Khe Sanh. Świat przebył długą drogę od zimy w tysiąc dziewięćset Spojrzałem na młodego żołnierza piechoty morskiej i przypomniałem sobie Teda sześćdziesiątym ósmym roku, ale jeśli się nigdy tu nie było, nie mogło się tego wiedzieć.

Właśnie miałem się odwrócić i odejść, kiedy żołnierz spytał:

- Służył pan tutaj?

- Tak. Dawno temu.

Stał na baczność i zasalutował byłemu szeregowemu Brennerowi.

Wziąłem Susan pod rękę i poszliśmy wybrukowanym podjazdem.

Dom był trzykondygnacyjną francuską willą z pokrytym dachówkami mansardowym dachem. Kremowy tynk był uformowany tak, że przypominał kamienne bloki; fasadę zdobiły francuskie detale architektoniczne, między innymi balkony z kutego żelaza i wnekowe okiennice. Na maszcie przed frontowym wejściem powiewała oświetlona amerykańska flaga. Łopotała na lekkim wietrze i poczułem dreszcz na plecach.

Przy drzwiach stał Wietnamczyk w ciemnym garniturze.

- Dobry wieczór - przywitał nas z uśmiechem.

- Dobry wieczór - odpowiedziała po angielsku Susan. Lubię ludzi, którzy nie popisują się znajomością obcego języka przy każdej okazji. Mimo to rzuciłem: *Bon soir*, żeby mógł opowiedzieć znajomym o Francuzie, który przyszedł na bankiet u amerykańskiego ambasadora ubrany jak łachudra.

- *Bon soir*, monsieur - odparł Wietnamczyk, otwierając drzwi; weszliśmy.

Na szczycie niskich schodów stała Wietnamka w niebieskiej jedwabnej *ao dai*. Przywitała nas po angielsku i ukloniła się.

- Proszę za mną - powiedziała. - Przyjęcie jest w ogrodzie.

- Chciałabym skorzystać z łazienki - oznajmiła Susan. Wietnamka uznała to pewnie za dobry pomysł.

Ukloniła się i wskazała nam drogę do salonu po prawej stronie, obok którego znajdowały się schody prowadzące na piętro. Susan skierowała się do schodów.

Gdy mijaliśmy ładnie urządzony salon, Susan skinęła w stronę zamkniętych dwuskrzydłowych drzwi po lewej stronie.

- Gabinet ambasadora - powiedziała. Otworzyła następne drzwi, za którymi mieściła się duża łazienka. - Wchodź. Nie jestem wstydliva.

Weszliśmy oboje do środka i zamknęliśmy drzwi. Susan ruszyła prosto do toalety.

Przy ścianie były dwie marmurowe umywalki z mydłem i ręcznikami; zmyłem z twarzy i rąk brud, a także niebieski barwnik. Z lustra patrzył na mnie bardzo zmęczony, nieogolony mężczyzna. To nie były najgorsze dwa tygodnie w moim życiu - dolina A Shau wciąż dzierżyła palmę pierwszeństwa - ale być może były najbardziej wyczerpujące emocjonalnie. A jeszcze się nie skończyły. I nigdy się nie skończą.

Susan stanęła koło mnie przy umywalce i oglądała się w lustrze.

- Dobrze wyglądam bez makijażu... prawda?

- Zobaczymy, czy ambasador znów będzie cię podrywał. Nie widziałem nigdzie pasty do zębów, więc jako porządny wojak ugryzłem kawałek mydła, nabrałem ręką trochę ciepłej wody do ust i zagulgotałem. Mydło spieniło mi się wokół warg. Susan parsknęła śmiechem.

- Co ty robisz?

Wyplułem pianę do umywalki.

- Gulgoczę.

Susan umyła się i spróbowała wziąć mydło do ust.

- Fúj.

Podszedłem do okna wychodzącego na frontowy dziedziniec, przez który weszliśmy. Widziałem dwóch marines przy wejściu, dwóch w budce i amerykańską flagę łopoczącą na maszcie. Za murem rozpościerało się Hanoi, terytorium Manga.

- Musimy tu zostać na noc - powiedziałem do Susan. - Albo w ambasadzie.

Susan podeszła do mnie od tyłu, z ręcznikiem nasączonym gorącą wodą; położyła go na mojej szyi.

- Jak ci teraz?

- Cudownie.

Wyjrzała przez okno.

- Paul, nie musisz doprowadzać do konfrontacji tutaj. Po co robić z siebie persona non grata w ambasadzie?

- Czemu nie? Jestem persona non grata na całym obszarze tego kraju. A w tej łazience?

Uśmiechnęła się.

- Twoja strefa bezpieczeństwa zdecydowanie się kurczy. Wiesz, pułkownik Mang mógłby odwalić za ciebie tę robotę.

- Potrzebuję drinka.

Wyszliśmy z łazienki i wróciliśmy do Wietnamki, która poprowadziła nas na dół obok obszernego pokoju stołowego czy też salonu, za którym widziałem jeszcze większą jadalnię. Wszystkie meble były tu najwyższej klasy, częściowo francuskie, częściowo wschodnioazjatyckie, lecz na ścianach wisało dużo beznadziejnych, nowoczesnych obrazów. Doszliśmy do długiej werandy na tyłach domu; wietnamska dama wskazała nam gestem drzwi balkonowe. Słyszałem muzykę i rozmowy dobiegające z ogrodu.

- Bill ma tutaj być - oznajmiła Susan, kiedy zbliżyliśmy się do drzwi.

- Chyba się domyśliłem.

- Zaprzęta cię to?

- Nie. Chodziliśmy razem do Princeton.

Wyszliśmy prosto na marmurowe schody z balustradą z różowego granitu.

- Ten dom kosztuje tyle, co bombowiec B pięćdziesiąt dwa.

Susan wzięła mnie za rękę, co było bardzo miłym gestem, i zesliśmy do połowy schodów. Na dziedzińcu, otoczonym podświetlonymi ogrodami i murem, ustawiono duży pawilon rozjaśniony chińskimi latarniami. Z lewej strony dostrzegłem spory, oświetlony basen. Gdybym odpowiednio rozegrał moje karty, mógłbym zostać następnym ambasadorem w Wietnamie.

Susan spojrzała na tłum około dwustu osób, z których żadna nie była ubrana w dzinsy i koszulkę polo.

- Tam jest ambasador... - powiedziała. - A tam Anne Quinn... Nie widzę wiceprezydenta... ale jeśli zobaczysz tłok i usłyszysz cmokanie w tyłek, on powinien być w środku.

- Chyba go widzę.

- Przyszliśmy trochę za późno, żeby liczyć na oficjalną prezentację, więc powinniśmy najpierw pójść i oznajmić swoją obecność pani Quinn - stwierdziła Susan.

- Tak uczą w Junior League? Nie możemy wpierw uderzyć do baru?

- Nie. Najpierw protokół, później wodopój.

Zesliśmy z ostatnich stopni; zauważyło nas parę osób, a potem jeszcze kilka innych. Poziom gwaru jakby się obniżył.

Susan podeszła prosto do ambasadorowej, która właśnie rozmawiała z grupą mężczyzn i kobiet pod pawilonem. Wyciągnęła rękę, mówiąc:

- Anne, jak się masz? Wyglądasz olśniewająco.

Anne Quinn była przystojną damą koło pięćdziesiątki, z wyrazistą twarzą. W istocie jej oblicze wyrażało w tej chwili szok, lecz pani ambasadorowa ładnie się znalazła,

- Susan! Jak miło cię widzieć! - odparła.

Zaraz się porzygam.

Pocałowały się w powietrzu i nosek pani Quinn zmarszczył się, jakby pierwszy raz w życiu powąchała Wietnam. Reszta gromadki trochę się odsunęła.

- Nigdy byś nie zgadła, jaki spędziłam tydzień - powiedziała Susan.

Na pewno nie.

- Och, Anne, pozwól, że ci przedstawię mojego przyjaciela Paula Brennera. Paul, Anne Quinn.

Starąłem się stanąć od zawietrznej, podając damie rękę.

- Bardzo mi miło panią poznać. *Chuc Mung Nam Moi*. Uśmiechnęła się blado i odwzajemniła życzenia.

Miałem jeszcze w ustach smak mydła i próbowałem puścić bańkę, ale się nie udało.

- Wybacz nam spóźnienie - ciągnęła Susan. - Paul i ja przez cały tydzień podróżowaliśmy po interiorze, pociąg z Lao Cai się spóźnił, a do tego ukradli nam bagaże.

- Och, to straszne.

To chyba tłumaczyło nasze stroje, mimo że Susan nie wspomniała o nich wprost ani słowem. Zauważyłem, że Susan świetnie tutaj pasuje i nawet jej głos zmienił się z seksownego w szczebiotliwy. Poczułem, że muszę się napić.

Pani Quinn zerknęła na mnie i zaczęła coś przetwarzać w głowie. - Więc... dokąd podróżowaliście? - zwróciła się do Susan.

- Do Dien Bien Phu i Sa Pa. Koniecznie musisz tam pojechać.

- Taak...

- Spędziliśmy z Paulem trzy cudowne dni w Nha Trang. Byłaś tam kiedyś?

- Nie...

- Musisz pojechać. I nie zapomnij o wyspie Pyramide. Potem pojechaliśmy do Hue i mieszkaliśmy w hotelu Century. Tam gdzie ty w zeszłym roku.

- A, tak... - Zerknęła znów na mnie, a potem na Susan. - Bill Stanley tu jest...

Ta dama nie dokończyła jeszcze ani jednego zdania. Myśli też pewnie nigdy nie kończyła. Susan rozejrzała się bez przekonania.

- Tak? Muszę się z nim przywitać.

- Tak... On nawet pytał...

- Paul służył w Wietnamie w czasie wojny - zakomunikowała Susan, zwracając się do ambasadorowej i pozostałych obecnych, którzy nie przestawali się z wolna odsuwać. - Odwiedziliśmy niektóre z jego dawnych pól bitewnych.

Pani Quinn spojrzała na mnie.

- Jakie to ciekawe... Czy... było panu trudno,..?

- Nie tym razem.

- Paul marzył o drinku od samego Lao Cai - powiedziała Susan. - Ja też bym się napiła. Straszna była ta jazda pociągiem. Proszę nam wybaczyć.

- Oczywiście.

Wzięła mnie pod rękę i ruszyliśmy w stronę baru.

- Uroczą kobietą - orzekła Susan.

- Nie spodziewaj się następnego zaproszenia.

Przesuwaliśmy się przez tłum i wszyscy na nas zerkali. Piękna kobieta ma to do siebie, że nawet gdy jest nieodpowiednio ubrana, wciąż pozostaje piękna.

Dotarliśmy do baru pod gołym niebem, gdzie stało dwóch uśmiechniętych Wietnamczyków w białych garniturach. Susan zamówiła dzin z tonikiem, a ja podwójną szkocką z kamykami; zrozumieli.

Rozejrzałem się. Dwuosobowy tłum gości składał się głównie z okrągłookich, ale było też sporo Wietnamczyków, między innymi kilku w wojskowych mundurach; ich widok przypomni mi o pułkowniku Mangu. Może powinienem był go tu zaprosić. Zabawiłby się. Przy okazji mógłbym go zawlec w krzaki i stłuc na kwaśne jabłko.

Większość cudzoziemców, nawet Azjatów, wyglądała na ludzi biznesu, ale widziałem też osoby, które mogły być z innych ambasad, wschodnich i zachodnich.

Podtekst: wiceprezydent Blake przyciąga ludzi jak magnes.

Zanotowałem sobie w myślach, żeby odszukać mojego łącznika z FBI, Johna Eagana, choć byłem pewien, że on pierwszy mnie znajdzie.

Czteruosobowy wietnamski zespół grał na trawniku *Moonlight in Vermont*, Księżyc w Vermontie; zauważyłem paru facetów ze słuchawkami w uszach i wybrzuszeniami pod marynarką, z pewnością agentów tajnej służby, oddelegowanych do ochrony wiceprezydenta. Jakiś bystrooki dryblas już pewnie nadawał do mikrofonu pod kołnierzykiem komunikat w rodzaju: „Dwoje włóczęgów przy południowym barze. Mieć ich na oku”.

Nasze drinki mieszały się właśnie, a ja odwróciłem się i wpadłem na jednego z tajnych agentów, który wyjął słuchawkę z ucha, żeby ze mną porozmawiać. Wyglądał na piętnaście lat i uśmiechał się. Wyciągnął do mnie dłoń.

- Cześć, jestem Scott Romney.

- A ja jestem amerykańskim obywatelem - odparłem, ignorując jego piątkę.

Z uśmiechem przyklejonym do twarzy spytał:

- Czy moglibyśmy zamienić parę słów w środku? - Nie sędzę, synu.

Susan przerwała mi zabawę.

- Proszę iść porozmawiać z panią Quinn - powiedziała. - Ona zna nas osobiście.

Spojrzał na Susan i wciąż się uśmiechając, odparł:

- Tak, proszę pani. Tak właśnie zrobię. - Poszedł. Pociągnąłem łyk szkockiej, zagulgotałem i połknąłem. Susan podała mi swoją szklankę, a sama zapaliła papierosa.

- Prawie skończyły mi się fajki - powiedziała, odbierając ode mnie drinka. - Mówiłam ci, że wyglądasz podejrzanie. Jeszcze nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło.

Uśmiechnąłem się. Wypuściła dym.

- Chcesz poznać ambasadora?

- Chcę dokończyć drinka.

- Właśnie idzie w tę stronę.

Spojrzałem w prawo w stronę basenu i zobaczyłem mężczyznę, który musiał być Patrickiem Quinnem. Szedł sam, lecz w pewnej odległości podążało za nim kilku facetów. Był mniej więcej w moim wieku i mojego wzrostu, dobrze zbudowany, dość przystojny. Miał na sobie granatowy garnitur, tak jak niemal wszyscy obecni mężczyźni, i z daleka uśmiechał się promiennie do Susan. Podeszedł do niej. - Susan! - Uściskał ją i obcałował. - Ślicznie wyglądasz! Jak się masz?

Kończył krótkie zdania, podnosząc głos. - Świetnie - odparła Susan. - Jesteś w dobrej formie i wspaniale opalony, jak na tę porę roku.

Zaraz rzygnę.

- Mój sekret to lampa do opalania i nowa sala gimnastyczna w piwnicy - oznajmił. - Ty też jesteś opalona. Gdzie byłaś?

- W Nha Trang. Z tym dżentelmenem. Panie ambasadorze, pozwoli pan, że przedstawię mojego przyjaciela Paula Brennera.

Nawet nie zmrużył oka, odwracając się do mnie i wyciągając dłoń.

- Paul! Miło mi cię poznać. - Miał porządny uścisk i lubił potrząsać, więc moja szkocka tryskała na wszystkie strony. - Witamy na naszym kameralnym spotkaniu. Cieszę się, że

udało ci się przyjść, Paul.

- Dziękuję, panie ambasadorze.

- Mów mi Pat. Więc byliście z Susan w Nha Trang?

- Parę dni.

- Muszę się tam wybrać. Boże, chciałbym podróżować więcej po tym kraju.

- To prawdziwa przygoda - powiedziałem.

- Nie wątpię. Nie wątpię.

Możesz to powtórzyć jeszcze raz. „Nie wątpię”. Nie miałem pojęcia, czy wie, kim jestem i po co przybyłem do Wietnamu i czy moja obecność na bankiecie jest zaskoczeniem, szokiem, czy też nie ma żadnego znaczenia. Ambasadorowi prawie nigdy się nie ma mówić, co kombinują szpiony, tak żeby później mógł wszystkiemu przekonująco zaprzeczać. Ale zdziwiło mnie, że choć było tam dwieście osób, pognał przez trawnik prosto do Susan. Rzecz jasna, prawdopodobnie chciał ją przelecieć, co też mogło tłumaczyć jego entuzjazm.

Susan opowiadała ambasadorowi o pociągu z Lao Cai i bagażu, a on chłonał każde słowo i ze

współczuciem kiwał głową. Zdecydowanie chciał ją przelecieć, ale to był najmniejszy z moich problemów, a właściwie wcale nie mój.

- Jestem pewien, że Anne ma dla ciebie coś do ubrania - powiedział do Susan.

- Lubię moje stare dzinsy - odparła.

Roześmiał się. Ha ha. Odwrócił się do mnie.

- Paul, mogę ci dać sportową marynarkę?

- Nie, jeśli dama jest w dzinsach. Nie mam aż tyle odwagi. Ha ha. - Paul służył w Wietnamie - powiedziała Susan. - Odwiedziliśmy jego dawne pola bitwy.

- Ach. Pierwszy raz wróciłeś?

- Tak.

- Ja byłem w marynarce. Niedaleko wybrzeża. Nigdy nie widziałem prawdziwej walki.

- Niewiele straciłeś.

Roześmiał się i klepnął mnie po ramieniu.

- Wiceprezydent Blake też tu walczył, jak pewnie wiesz. Przypomnij mi później, żebym cię przedstawił. No cóż, cieszę się, że przyszlście mimo tych wszystkich przygód. Zjedzcie coś. Potrawy serwuje hotel Metropole. - Odwrócił się do Susan i powiedział nieco ciszej: - Bill Stanley o ciebie pytał. Powinnaś z nim porozmawiać.

- Porozmawiam.

Patrick Quinn wrócił do swojego towarzystwa na trawniku. Dokończyłem szkocką.

- Ten facet nie jest przypadkiem podróbką?

- Jest bardzo czarujący.

- Twój gust mnie niepokoi... jeśli chodzi o mężczyzn.

Uśmiechnęła się.

- Tam jest bufet. Chcesz coś do jedzenia?

- Nie. Głupieję, jak zjem. - Podałem pustą szklankę barmanowi, który zaraz ją napełnił.

- Masz coś przeciwko temu, że znajdę Billa? - spytała Susan.

- Bill sam cię znajdzie, kochanie.

- Jestem aresztowana?

- Nie, ale czuję się o wiele bezpieczniej, kiedy jesteś przy mnie.

Wzruszyła ramionami.

Przespacerowaliśmy się; Susan знаła parę osób, przeważnie amerykańskich biznesmenów z Hanoi. Był też facet z jej biura w Hanoi i zaczęli rozmawiać.

Ja tymczasem obserwowałem, jak różni ludzie włączają w tyłek Blake'owi.

Władza.

Edward Blake miał wkrótce zostać najpotężniejszym człowiekiem w najpotężniejszym kraju, jaki znał świat. A ja trzymałem go za jaja. Jeśli jednak zamierzasz ścisnąć za jaja króla, bądź gotów na spotkanie z jego ludźmi.

Zerknąłem na Susan pogrążoną w rozmowie z kolegą. Ona trzymała dziką kartę w tej rozgrywce.

Jakiś mężczyzna podszedł do mnie z wyciągniętą dłonią.

- Cześć, jestem John Eagan. Ty musisz być Paul Brenner.

Podąłem mu rękę.

- A ilu facetów tutaj jest ubranych tak jak ja?

Uśmiechnął się i zerknął na Susan.

- Możemy zamienić parę słów?

Susan go zauważyła.

- Zaraz wracam - powiedziałem.

Odeszliśmy z Eaganem na skraj trawnika i znaleźliśmy się za zespołem, który właśnie grał *Carry Me Back to Old Virginia*, Zabierz mnie z powrotem do mojej Wirginii.

Zaczynałem tęsknić za domem. Eagan dotknął szklanką mojej szklanki.

- Witamy w Hanoi.

- Założę się, że nie myślałeś, że to dzisiaj powiesz - odparłem.

Nie skomentował tego; staliśmy w milczeniu.

Miał jakieś czterdzieści lat, był za młody na wojnę, ale mógł być w wojsku, zanim przeszedł do FBI. Przyszło mi do głowy coś jeszcze: jeśli Susan mówiła prawdę, że Eagan jest jej łącznikiem w ambasadzie, to mógł być w CIA. Zrozumiałem już, żeby nie wierzyć w nic, co mi powiedziano o tej misji. - To wredny kraj - powiedział a propos niczego.

- Kiedy doszedłeś do tego wniosku?

Uśmiechnął się.

- W czasie kursu dla wietnamskich gliniarzy antynarkotykowych. Wszyscy biorą i hodują opium w ogródkach.

- Dobra, przedstawiłeś swoje referencje agenta FBI szkolącego wietnamskich policjantów. Wierzę w każde słowo. Co mogę dla ciebie zrobić?

Eagan chyba nie docenił mojego cynizmu; jego zachowanie się zmieniło.

- Jak to się stało, że tu dzisiaj wylądowałeś? - spytał.

- A gdzie miałem wylądować?

- W Metropole, jutro.

- Co to za różnica?

- Pewnie żadna. Więc jak poszło? - spytał.

- Co miało pójść?

- Twoja wycieczka. - Świetnie.

- Możesz podać jakieś szczegóły?

- Słuchaj, nie wiem, co wiesz, co masz prawo wiedzieć ani nawet kim, u diabła, jesteś.

Mam się z tobą skontaktować tylko wtedy, kiedy będę siedział po uszy w szambie. I siedzę.

Policja trzyma moją wizę, a ja chcę stąd jutro spieprzać. Muszę złożyć komuś raport poza granicami tego kraju, potrzebuję wizy albo paszportu dyplomatycznego, biletu na samolot i eskorty z ambasady na lotnisko. Jasne?

Eagan się zastanowił.

- W jaki sposób policja dostała twoją wizę?

- Nie pomagasz mi tymi pytaniami, John.

- No dobra... Więc słuchaj. Złożysz raport dziś wieczorem. Tutaj.

- To jest śledztwo prowadzone przez CID. Będę rozmawiał tylko z moim szefem. Takie były ostatnie instrukcje.

- Twój szef i Doug Conway powiedzieli ci, że to śledztwo prowadzicie wspólnie z FBI.

Możesz ze mną rozmawiać. Chcemy się z tobą spotkać dzisiaj w gabinecie ambasadora o północy.

- Nie słuchasz mnie, John.

- Po prostu tam bądź, dobra? Wtedy zajmiemy się twoim wyjazdem.

- Kto chce się ze mną spotkać?

- Choćby ja. Poza tym pułkownik Goodman, attache wojskowy, pewien dżentelmen z Sajgonu, którego spotkałeś przelotnie w katedrze, i może jeszcze jedna lub dwie osoby.

Chcemy tylko, żebyś poświęcił nam trochę czasu, zanim wyślemy cię w drogę.

- Zakładam, że wiceprezydent zostaje tu dzisiaj na noc - powiedziałem.

- Nie mogę potwierdzić ze względu na bezpieczeństwo, ale to poprawne założenie.

Czemu pytasz?

- Chciałem się z nim spotkać.

- Spróbuję to zorganizować.

- Potrzebuję też pokoju, żeby się przespać tutaj.

- Dlaczego?

- Bo jeśli wyjdę za tę bramę, mogą mnie aresztować.

- Dlaczego?

- Lubię jajecznicę na śniadanie.

Spojrzał na mnie.

- Mamy problem, Paul?

samej sytuacji jak ja. - Tak. Moja towarzyszka podróży, Susan Weber, też potrzebuje pokoju. Jest w takiej

- To powinna być ciekawa historia.

- Po prostu mnie stąd wywieźcie - powiedziałem. - Ryby i goście zaczynają cuchnąć po trzech dniach. - Odwróciłem się i ruszyłem z powrotem do pawilonu.

Naprawdę nie wiedziałem, kim jest John Eagan, ale Bill Stanley pracował w Bank of America, Susan Weber w Amerykańsko-Azjatyckiej Spółce Inwestycyjnej, Marc Goodman, attache wojskowy, był tak naprawdę w wywiadzie wojskowym, pułkownik Mang był policjantem imigracyjnym, a Paul Brenner turystą. Powinienem to wszystko napisać. W każdym razie powiedziałem, co trzeba, a o północy miałem się dowiedzieć, na czym polega ich problem.

Wziąłem następnego drinka i rozejrzałem się za moją dziewczyną. Podeszła do mnie wysoka, szczupła, ładna kobieta w wieczorowej sukni.

- Szuka pan kogoś?

- Szukałem pani przez całe życie - odparłem. Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

- Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem Jane Blake.

Nagle rozpoznałem twarz i odchrząknąłem.

- Och, paru wybaczy...

Znów się uśmiechnęła.

- Nie szkodzi. Wszyscy mnie ignorują, kiedy Ed jest na sali. Albo na dziedzińcu. Albo gdziekolwiek.

- Nie mogę zrozumieć dlaczego.

- Będę wobec pana bardzo bezczelna - powiedziała z uśmiechem. - Wszyscy chcą się dowiedzieć, kim pan jest.

Wreszcie nadszedł ten bondowski moment.

- To znaczy, dlaczego jestem w brudnych dżinsach i od dawna nieogolony?

Roześmiała się.

- Otóż to.

- No cóż, pani Blake, mógłbym być hrabią Monte Christo powracającym z więzienia.

Nazywam się Paul Brenner i wracam właśnie z zapadłej wiochy o nazwie Ban Hin, gdzie musiałem znaleźć człowieka nazwiskiem Tran Van Vinh. - Spojrzałem na nią, ale nie

zauważyłem najmniejszego sygnału, że cokolwiek to dla niej znaczy.

- Czemu musiał pan znaleźć tego człowieka? - spytała.

- To wojenna historia i obawiam się, że nie wolno mi o mej rozmawiać.

- Och, to brzmi intrygująco.

- I takie właśnie było.

- A kim jest ta kobieta, pańska towarzyszka?

- Susan Weber. Moja przewodniczka i tłumaczka. Mówi płynnie po wietnamsku.

Mieszka w Sajgonie.

- Jakie to tajemnicze. - Uśmiechnęła się. - I romantyczne.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Zdaje mi się, że szuka pan swojej przyjaciółki. Jest tam, koło basenu. - Spojrzała na

mnie i powiedziała: - Nikt nie mógł odgadnąć, kim pan jest. Ed wziął pana za sławnego

aktora. Oni tak okropnie się ubierają. Większość uważała, że przegrał pan zakład albo założył

się pan z kimś, że przyjdzie tak ubrany. - Rzeczywiście jestem tu, bo podjąłem coś w rodzaju

wyzwania. Życzę pani mężowi

powodzenia w walce o nominację.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Kolejny raz się uśmiechnęła, skinęła głową i poszła podzielić się wiadomością. Mam nadzieję, że nie zaczęła jeszcze planować, jak urządzi Biały Dom.

Podszedłem do basenu i zobaczyłem kobietę, której naprawdę szukałem przez całe życie. Rozmawiała właśnie ze swoim byłym kochankiem Billem Stanleyem, który być może był na mnie wściekły, że ukradłem mu dziewczynę, choć myślę, że powinien mi podziękować.

Oboje mnie zobaczyli; przerwali rozmowę i stali, trzymając w dłoniach drinki i czekając, aż podejść. Uwielbiam takie gówniane sytuacje.

Zbliżyłem się, ale nie za bardzo.

- Przeszkadzam?

- Nie, Paul - odparła Susan. - Pamiętasz Billa Stanleya.

Wyciągnąłem rękę i Bill ją uścisnął.

- Jak tam sprawy w banku?

Nie odpowiedział i nie uśmiechał się.

Bill, Francja-elegancja, miał na sobie granatowy tropikalny garnitur z wełny, bez wątplenia uszyty na miarę w Sajgonie, ze spodniami dobrze dopasowanymi do jego ciut niewymiarowych genitaliów.

- Właśnie opowiadałam Billowi o naszych spotkaniach z pułkownikiem Mangiem - powiedziała Susan.

Bill odezwał się pierwszy raz.

- Sprawdziłem tego człowieka. Macie szczęście, że żyjecie.

- Gdybyś sprawdził mnie, wiedziałbyś, że to pułkownik Mang ma szczęście, że żyje - odparłem.

Moja buńczuczna deklaracja nie zrobiła na Billu wrażenia.

- Mang też uważa, że cię zna - poinformowałem go. - Powiedział mi, że jesteś szefem placówki CIA w Sajgonie, Wyobrażasz sobie?

Bill znów nie skomentował, lecz Susan przynajmniej nie musiała się tłumaczyć, skąd wiem, że Bill jest w CIA.

Staliśmy więc, a chwila niezręcznego milczenia przeciągała się. Ciekawe, czy Susan czuła się nieswojo, stojąc między dwoma mężczyznami, z którymi ostatnio sypiała. Wyglądała na opanowaną, więc może takie sytuacje też omawiano na spotkaniach Junior League.

- Bill mówi, że jesteś zaproszony na spotkanie tutaj dziś wieczorem. Poprosił mnie, żebym ci towarzyszyła. Myślę, że to dobry pomysł.

- Właśnie powiedziałem Johnowi Eaganowi, i on też ci to powie, że nie mam wolnej ręki, żeby rozmawiać o czymkolwiek z tobą CIA, wywiadem wojskowym, FBI ani z nikim wśród tu obecnych. To wciąż jest dochodzenie CUD, więc nie możesz zmienić reguł ani graczy.

- Może będziesz rozmawiał, jeśli dostaniesz rozkaz od swojego szefa lub odpowiedniej wyższej instancji - odparł Bill.

Nie podobał mi się ton jego głosu, ale żeby być miłym, odparłem:

- Kiedy moje rozkazy się zmieniają... jeśli się zmieniają... to się im podporządkuję. Ale jestem cywilem i rezerwuję sobie prawo wyboru czasu i miejsca odprawy. I na pewno nie będzie to tutaj.

Bill Stanley spojrzał na mnie.

- Byłoby z twojej strony wyrazem rozsądku, gdybyś przyszedł na to spotkanie, bo będziemy omawiać kwestię twojego wyjazdu z kraju. Nie musisz mówić więcej, niż chcesz powiedzieć.

- To się rozumie samo przez się. - Byłem na przyjęciu dyplomatycznym i próbowałem się zachować jak dyplomata, lecz nie jest to mój mocny punkt. - Co ty sobie myślałeś? - spytałem Billa.

- Słucham?

- Co myślałeś, wysyłając ze mną swoją dziewczynę w niebezpieczną misję?

Chyba pomyślał o tym, co wtedy myślał. Odchrząknął i rzekł:

- Czasem, panie Brenner, kwestie bezpieczeństwa narodowego trzeba postawić przed względami osobistymi. - Jeśli to jest taki właśnie czas, to nie powinieneś mieć pretensji z powodu tego, co się stało.

Nie spodobała mu się moja odpowiedź.

- Szczerze powiedziawszy, to nie był mój pomysł - oświadczył.

Nie chciałem pytać, czyj to był pomysł.

- Mogłeś odmówić - stwierdziłem. Zagotowałem się w środku, ale milczał. - Choć nie byłoby to rozsądne posunięcie z uwagi na karierę - ciągnąłem.

Bill mógł pomyśleć, że sugeruję, iż jest ambitnym pracownikiem firmy, który zgodził się kupczyć dla kariery swoją dziewczyną. Milczał jednak taktownie w sposób, w jaki się milczy, rozmawiając z osobą w stanie przedagonalnym. Susan uznała, że pora zmienić temat.

- Powiedziałaś Billowi, że ustaliliśmy tożsamość zamordowanego porucznika, ale nie mogliśmy ustalić tożsamości mordercy.

- I Bill uwierzył?

- Nie, Bill nie uwierzył - odparł Bill.

- Bill nie wierzy - powiedziałem do Susan.

- Cóż, taka jest prawda - stwierdziła. - Powiedziałaś Billowi, że znaleźliśmy Trana Van Vinha, ale nie chcieliśmy wozić ze sobą tych wszystkich przedmiotów, więc je ukryliśmy.

Popatrzyłem na Billa i nasze spojrzenia spotkały się na pół sekundy. Chciałem wy badać jego reakcję, lecz był równie nieprzenikniony jak pułkownik Mang.

Naprawdę nie wiedziałem, czy Susan rzeczywiście tak powiedziała, bo Susan mówi różne rzeczy. Znała tożsamość mordercy od samego początku, podobnie jak Bill, więc próbowała mnie chronić, co było miłe, ale nie miało szans powodzenia.

- Byłoby dobrze, gdyby wiceprezydent przyszedł na to spotkanie o północy - powiedziałem.

Bill patrzył na mnie długo.

- Wiceprezydent nie interesuje się tego rodzaju śledztwami.

- Tym może się zainteresować. Powiedz jego współpracownikom, że obecność wiceprezydenta leży w jego własnym interesie..

- Podpisałeś różne oświadczenia dotyczące bezpieczeństwa narodowego i tajemnicy służbowej - przypomniał mi Bill. - One wciąż obowiązują, bez względu na twój obecny status.

- Przysięgałem też chronić konstytucję.

Zmierzył mnie długim, twardym spojrzeniem.

- Jestem pewien, że w Waszyngtonie powiedziano ci, że jeśli przyjmiesz to zlecenie, twoje życie może się znaleźć w niebezpieczeństwie.

Tego rodzaju stwierdzenia padają zwykle przed misją a nie po, więc w tym kontekście mogła to być groźba.

- Czy mogę porozmawiać z tobą na osobności? - spytałem Billa.

- Nie - odparła Susan, zanim Bill zdążył otworzyć usta.

- O sprawach osobistych, nie zawodowych - dodałem.

- Nie będziecie o mnie rozmawiać w ten sposób - poinformowała mnie.

Bill podjął wątek.

- Jesteśmy wszyscy dość dojrzały, żeby rozmawiać o tym razem.

- Ja nie jestem aż tak dojrzały - odrzekłem. Odsunąłem się i skinąłem na Billa. Męska rozmowa.

Susan wyglądała na wpienioną, ale została i zapaliła papierosa.

Odeszliśmy z Billem tak, że nie mogła nas słyszeć.

- Musimy pogadać o Susan i... jeszcze o czymś. Jeśli się dowiem albo nawet zacznę podejrzewać, a tak właśnie jest, że miałem być elementem do zużycia w tej operacji, a ty o tym wiedziałaś, zaaprobowałaś to albo zaplanowałaś, zabiję cię. A teraz porozmawiajmy o Susan.

Bill stał i patrzył na mnie w milczeniu.

Mogę odgrywać mydlaną operę przez jakieś pięć minut, a potem znów staję się sobą. Czulem, że właśnie to muszę zrobić w tej chwili.

- Jeśli chodzi o sprawy osobiste, jest mi naprawdę przykro, że tak się stało. Przyznaję się, że wiedziałem o twoim związku z Susan, a nie mam zwyczaju uganiać się za żonami czy dziewczynami innych facetów, - Na ogół. - Jestem pewien, że powiedziano ci, że też jestem z kimś na poważnie związany w kraju. Więc nie mam żadnych wymówek i powinieneś wiedzieć, że Susan przyjmowała moje względy z oporem. Misja się skończyła, wracam do domu. Jeszcze raz przepraszam, że między was wszedłem, i mam nadzieję, że oboje będziecie mogli zostawić to za sobą.

Obserwowałem twarz Billa, który przetwarzał w głowie ten dżentelmeński kit. Nawet sam częściowo w niego wierzyłem i przeżywałem konflikt w związku z Susan. Byłem jednak prawie

pewien, że Susan nie interesuje się już Billem, a Bill też raczej się już nią nie interesuje. Musiałem jednak, jak to mówią, oczyścić atmosferę i dać Billowi szansę wypowiedzenia swojej kwestii.

Lecz Bill nie miał nic do powiedzenia, więc biczowałem się dalej za niesprecyzowane winy, do których się przyznawałem.

- W istocie Susan starała się, żeby nasze kontakty pozostały platoniczne i czysto zawodowe, dopóki okoliczności nie zmusiły nas, żebyśmy zamieszkali w jednym pokoju w Dien Bien Phu. - Bill chciałby w to wierzyć i czułem, że spełniłem swój rycerski obowiązek wobec damy. Teraz byłem gotów wrócić do tematu zabicia go przeze mnie i vice versa.

- Mieszkam w Metropole - oznajmił Bill.

- Dobry wybór.

- Kiedy się wczoraj zameldowałem, czekała na mnie zaklejona koperta, nadawca nieznany.

- Naprawdę? Nie powinieneś otwierać przesyłek bez zwrotnego adresu.

- Tak, wiem o tym. Ale otworzyłem. W środku było dwadzieścia zdjęć z tobą i Susan na plaży, podpisanych Nha Trang, wyspa Pyramide. - Po chwili dodał: - Nie mieliście na sobie nic prócz uśmiechów.

Obsuwa.

- Pamiętam, że byliśmy na plaży i mieliśmy na sobie kostiumy. Te zdjęcia musiały zostać cyfrowo spreparowane.

- Nie sądzę. Co was opętało, żeby paradować publicznie nago, skoro wiedzieliście, że was śledzą? Czy niczego cię nie nauczyli w szkole, do której chodziłeś, mniejsza o to jakiej?

Facet miał trochę racji.

- Przyznaję się do błędu.

- A ty mi mówisz, że jeszcze kilka dni wcześniej wasz związek był platoniczny.

- Po prostu poszliśmy się kąpać na golasa. To był mój pomysł.

- Nie wątpię. Nigdy nie słyszałeś o teleobiektywach?

- Nie chcę słuchać od ciebie wykładu.

- Te zdjęcia mogły zostać wykorzystane do szantażu.

- Myślę, że policja wysłała je wszystkim, między innymi tobie, żeby zawstydzić Susan. To wyklucza szantaż.

- Mój Boże... Widziałeś te fotki?

- Tak, widziałem. Pułkownik Mang był tak miły, że urządził nam pokaz przedpremierowy.

Bill Stanley potrząsnął głową i jakby pograżył się w zadumie.

społecznym... - Może cię to nie obchodzi, ale Susan pochodzi z dobrej rodziny, o określonym statusie

- Bill, skończ z pieprzeniem o Ivy League i Junior League, zanim stracę nerwy. Obu nam zależy na Susan. Koniec dyskusji.

- Dobrze... - Spojrzał na mnie. - Susan powiedziała mi, że cię kocha. Tobie też to na pewno mówiła.

- Tak, ale to była taka sztuczna sytuacja. Powinna to przemyśleć.

- A ty co do niej czujesz?

- Jestem rozdarty.

- To znaczy?

- To znaczy, że ciągle odkrywam nowe płaszczyzny jej osobowości. - To się chyba nazywa zaburzeniem dwubiegunowym, ale Bill pewnie o tym wiedział. Szczerze mówiąc, ja pociągała. Żeby okazać wobec niej lojalność, dodałem: - Ale to niezwykła kobieta i mógłbym też nie zawsze jestem zrównoważony psychicznie i może właśnie dlatego Susan mnie

się w niej łatwo zakochać.

Przeżuł to w myślach. Moje pięć minut dobiegało końca.

- Myślę, że decyzja będzie należeć do Susan, nie do nas - oznajmiłem.

Bill naprawdę mnie nie znał i pewnie wszystko, co mówię, brał na serio, mimo że przeczytał moje dossier.

- Rozmawiając z Susan, odniosłem wrażenie, że... czujesz do niej to samo, co ona do ciebie.

Susan podeszła do nas, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

- Chyba już wystarczy. Czas na przerwę reklamową.

- Domagam się, żeby nie rozmawiano więcej o tej misji bez mojego udziału - powiedziałem.

- To absurdalne i nie do przyjęcia - odparł Bill.

- Mimo to nalegam.

- Do twojej informacji... nie masz żadnego wpływu na to, kto z kim rozmawia - warknął Bill. - Susan dla ciebie nie pracuje, ja również nie.

- Dla kogo pracuje Susan? - spytałem.

- Nie dla ciebie.

- Proszę was... - zaczęła Susan.

- Bill, czas, żebyś zrewidował swój pogląd na rzeczywistość - przerwałem jej. - Los, łut szczęścia i ciężka praca sprawiły, że trzymam Edwarda Blake'a za jaja. Nie prosiłem o to i nie chciałem tego. Ale tak się stało. - Wyciągnąłem dłoń i zacisnąłem palce. - Mam pełną świadomość, że to niebezpieczna informacja, więc muszę uważać, kto, jak, kiedy i gdzie ją rozpowszechni. Wszyscy będą mi później dziękować za moją skrupulatność i dalekowzroczność. Łącznie z tobą, Bill. Więc mamy taki wybór: albo trzymamy się wszędzie razem do północy, co niezbyt mi odpowiada, albo każde chodzi osobno i nie oszukuje, albo ja dotrzymuję towarzystwa Susan. Niech ktoś podejmie decyzję.

- Idziemy z Paulem na drinka - zakomunikowała Billowi Susan. - Później się zobaczymy.

Zostawiliśmy Billa Stanleya kopnącego. A nawet nie miał papierosa.

- Więc kto mnie wygrał? - spytała Susan po drodze do baru.

- Później rzucimy monetę - odparłem. - A co do spotkania, to nie chcę, żebyś mnie popierała. Zachowaj neutralność lub udawaj, że w wyborach będziesz głosować na Edwarda Blake'a.

- Jeśli tego właśnie chcesz.

Wzięliśmy drinki.

- Myślę, że moje dni jako pracownika kontraktowego skończyły się - oznajmiła Susan. Pomyślała chwilę i dodała: - Poza tym wyrzucą mnie z dziennej pracy.

- Więc jesteś pracownikiem kontraktowym? - Powiedziałam ci, jestem cywilem. Żadnego bezpośredniego związku z rządem. -

- Kochanie, jest może dziesięć osób na świecie, które wiedzą, o co w tym chodzi, a my jesteśmy jednymi z nich - stwierdziłem. - Pozostałe osiem osób myśli, że mamy dowody, których oni chcą. Gdybyśmy je mieli, moglibyśmy dobić targu. A gdybyśmy im powiedzieli, że żadnych dowodów nie ma, uwierzyliby nam. Ale ty powiedziałeś Billowi, że znaleźliśmy dowody i ukryliśmy je. Teraz jesteśmy w najgorszej możliwej sytuacji, jeśli chodzi o nasze zdrowie. Innymi słowy, mamy za dużo wiedzy i żadnej karty przetargowej.

- Można na to spojrzeć w inny sposób.

- Powiedz w jaki, żebyś wiedział, czy jest sens płacić dalej ubezpieczenie na samochód.

- Powiedzieć im prawdę... Pułkownik Mang ma dowody i świadka i już dodał dwa do dwóch. Oni dostaną kota, ale w ten sposób uwolnimy się od nacisku. Będą musieli układać się z Mangiem. Najlepszy scenariusz byłby taki: Mang uderza w dzwon, Blake jest skończony, CIA wykańcza Manga, a my żyjemy długo i szczęśliwie.

- W życiu nie ma tak dobrze. Były dwa powody, dla których postanowili wysłać do akcji cywilów: po pierwsze, łatwo można się wszystkiego wyprzeć, gdyby coś poszło źle, a po drugie, oni rzadko wykańczają swoich. Ale gdyby uznali, że muszą, sprzątnęliby nas w mgnieniu oka.

- Nie są aż tak pozbawieni skrupułów.

- W czasie wojny CIA i wywiad wojskowy zamordowały tu ponad dwadzieścia pięć tysięcy ludzi.

- Nieprawda.

- Chcesz zatańczyć?

- Pewnie.

Odstawiliśmy drinki i wyszliśmy na niewielki parkiet przed zespołem, który grał właśnie kolejną amerykańską pieśń z nazwą w tytule, *Georgia on My Mind*, Georgia w mej pamięci, Raya Charlesa; wyobraziłem sobie Edwarda Blake'a podliczającego w myślach głosy elektorskie.

Goście patrzyli, jak tańczymy, a fotograf dokumentujący publiczne wydarzenia zrobił nam zdjęcie; już je widziałem w „Washington Post” z podpisem: *Paul Brenner i Susan Weber na kilka godzin przed zaginięciem.*

Zauważyłem, że Edward Blake też się nam przypatruje, lecz nie wyglądał na szczególnie zaniepokojonego. Nabierałem coraz większego przekonania, że nic nie wie o swoim problemie.

Zespół zaczął grać *Moon Over Miami*, Księżyc nad Miami, a w tym stanie jest mnóstwo głosów. Widziałem, że Bill rozmawia z Johnem Eaganem; zerkali na nas, jakby próbowali oszacować rozmiary trumien lotniczych, które będą potrzebne.

- Szkoda, że nie możemy znów tańczyć na dachu Reksa w Sajgonie i że nie powiedziałam ci wtedy wszystkiego, co wiem.

- To musiałby być długi taniec.

- Wiesz, co mam na myśli.

Milczałem.

- Powiedziałaś Billowi, że mnie kochasz?

- Nie opowiadam o swoich uczuciach innym facetom.

- Więc opowiedz mnie.

Nie wiedzieć czemu, przypomniało mi się stare wojskowe porzekadło: Atak wroga, który ignorujesz jako pozorny, jest głównym atakiem.

Lecz to znów był przyływ cynizmu i paranoi.

- Oczywiście, że cię kocham - powiedziałem. - I wiesz co? Kocham cię, jeśli nawet wciąż mnie zwodzisz i jeśli nawet mnie zdradzasz.

łzy szczęścia, a nie przedwczesnych wyrzutów sumienia. Susan objęła mnie mocniej i poczułem, że płacze. Mogłem tylko mieć nadzieję, że są to

Rozdział 49

Mniej więcej dziesięć minut przed północą ostatni goście wychodzili, muzycy składali sprzęt, a barmani zatykali korkami butelki chardonnay.

Susan i ja weszliśmy razem do rezydencji ambasadora i cichym korytarzem skierowaliśmy się do salonu.

W różnych miejscach pomieszczenia stało kilku ludzi z tajnej służby. Przy schodach zobaczyłem mojego młodego kolegę Scotta Romneya, który znieruchomiał na mój widok.

- W kuchni jest mleko i ciasteczka - rzuciłem do mego. Weszliśmy do pokoju, w którym byli już Bill Stanley i John Eagan. Siedział tam również mężczyzna w zielonym mundurze w stopniu pułkownika, na którego znaczku identyfikacyjnym widniało nazwisko Goodman. Marc Goodman był oficerem wywiadu wojskowego i w normalnych okolicznościach nie interesowałby się śledztwem w sprawie morderstwa. Pewnie to zatoka Cam Ranh wzbudziła jego zainteresowanie.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną, parę lat starszym ode mnie. Przypomniałem sobie, że widziałem go na przyjęciu. Rozpoznał Susan, bo poznali się w Sajgonie; podał jej rękę, a ona mnie przedstawiła.

Drzwi do gabinetu ambasadora były zamknięte.

- Ambasador z kimś rozmawia - wyjaśnił Eagan. - Niebawem skończy.

- Rozumiem, że pan i panna Weber mieliście jakieś problemy - powiedział Goodman.

- Jakoś sobie poradziłem, sir - odparłem po wojskowemu.

Goodman nosił naszywki oficera piechoty i miał tyle baretek, że wystarczyłoby na kołdrę. Zauważyłem też Medal Bojowy Piechoty, który również miałem, a także Srebrną i Brązową Gwiazdę oraz dwa Purpurowe Serca. Instynkt podpowiadał mi, że gość jest w porządku, lecz to samo mówił mi o Edwardzie Blake'u.

Ani Bill, ani Eagan nie palili się do rozmowy, za to Goodman mnie zagadnął.

- Więc był pan tutaj z Pierwszą Dywizją Piechoty w sześćdziesiątym ósmym roku?

- Tak, sir. - Zwracałem się do niego sir, bo kiedyś byłem w wojsku i wykonywałem właśnie zadanie zlecone przez armię, a on był wyższy stopniem. Gdybyśmy się spotkali za dwa dni, mówiłbym mu po imieniu.

- Gdzie pan walczył? - zainteresował się. Odpowiedziałem, a on skinął głową. Zamieniliśmy parę zdań o naszych karierach wojskowych, a potem Goodman spytał:

- Tęskni pan za CID?

- Ostatnio nie.

- Będzie pan kontynuował karierę w cywilnym wymiarze sprawiedliwości?

- Zastanawiałem się nad tym.

- Jestem pewien, że po zakończeniu tej misji nie będzie pan miał problemu ze znalezieniem pracy w sądownictwie federalnym.

Zabrzmiało to jak żart, ale Goodman się nie uśmiechał. Więc może to miała być zachęta do współpracy. Nie odpowiedziałem.

- Czy podziękowano pani odpowiednio za zgłoszenie się na ochotnika do roli tłumaczki i przewodniczki? - zwrócił się do Susan.

- Zrobiłam to z przyjemnością - odparła.

- Jestem pewien, że nie było pani łatwo zostawić swoją pracę.

Ta konwersacja miała surrealistyczny posmak, tak jak wszystkie spotkania służb federalnych, zwłaszcza dotyczące poufnych spraw; królowały: sztuka aluzji, insynuacji, nadawania słowom podwójnych znaczeń, formułowania oględnych fraz i używania wyszukanych określeń, zrozumiałych tylko dla wtajemniczonych. Mogło się zdawać, że zapraszają cię na kawę, a oni zlecali ci zamordowanie prezydenta Kolumbii. Trzeba było naprawdę uważać.

Bill sprawiał wrażenie spokojnego, chyba tylko to mi się w nim podobało. A jednak uznał, że trzeba się odezwać.

- Wspomniałem pułkownikowi Goodmanowi i ambasadorowi, że być może będziesz musiała wyjechać z kraju wbrew swej woli.

- Chciałabym zostać - odparła Susan, zwracając się do wszystkich. - Ale, jak panowie wiedzą, policja zabrała moją wizę pracowniczą i mój status tutaj jest niepewny.

- Aresztowano nas i możemy być aresztowani ponownie - dodałem gwoli wyjaśnienia.

- Rozmawiałem z ambasadorem w sprawie spędzenia przez państwa dzisiejszej nocy tutaj -

oznajmił John Eagan.

- To dobrze. Albo tutaj, albo przy ulicy Yet Kieu. Wszyscy znali ten adres i nie wymagało to uściślenia.

- Gdzie twój szef? - spytałem Billa, mając na myśli szefa rezydentury CIA w Hanoi, głównego szpiona w Wietnamie.

- Wyjechał z miasta.

Dlaczego był poza miastem w kulminacyjnym punkcie niezwykle ważnej misji, pozostawało tajemnicą. Mogło to oznaczać, że nie jest w drużynie Blake'a, że jest przesadnie uczciwy i że nie można mu ufać. Ale przyszła mi też do głowy inna myśl.

- Od jak dawna jesteś w FBI? - spytałem Eagana.

- Od niedawna.

- Od dwóch tygodni?

Nie odpowiedział wprost.

- Paul, wiem, że miałeś już do czynienia ze światem wywiadu, i jako policjant możesz uważać, że to jest jakaś śmieszna przebieranka w stylu płaszczka i szpady. Ale istnieje wiele ważnych powodów, dla których nic nie może być tym, na co wygląda. To jest dobre dla wszystkich, dla ciebie również.

- Nie dla mnie, John.

- Wierz mi.

W salonie był barek kawowy; nalałem sobie filiżankę. Susan poszła do łazienki zapalić papierosa.

Bill skorzystał z okazji i skinął na mnie, żebyśmy wyszli do holu.

- Możemy cię stąd wydostać w ciągu jednego lub dwóch dni - powiedział. - Susan zostanie parę dni dłużej.

- Kto tak mówi?

- Ona będzie potrzebowała kilku dni, żeby pozłatwić swoje sprawy osobiste i służbowe w Sajgonie. Stąd, rzecz jasna. Potem załatwimy jej bezpieczny wyjazd z kraju.

- Innymi słowy, jest zakładniczką.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Wyjedziemy razem.

- Niemożliwe.

- Postaraj się, żeby było możliwe.

Wyjawiał mi coś, o czym już wiedziałem.

- Stoisz na cienkim lodzie. Nie tup za mocno.

- Jak bardzo jesteś zaniepokojony? - spytałem.

Odwrócił się i wrócił do salonu.

Skończyłem kawę w korytarzu i wszedłem do środka, kiedy Susan wyszła z łazienki. Znalazła gdzieś szminkę i umalowała się. stanął w nich Patrick Quinn bez typowego dla siebie uśmiechu. Rozejrzał się, przypomniał Jedne z dwojga dwuskrzydłowych drzwi prywatnego gabinetu ambasadora otworzyły się i sobie o nim i rzekł:

- Bili, Marc, John, Paul, Susan! - Lubował się w używaniu imion, jakby skończył z wyróżnieniem kurs Dale Carnegie. - Wiem, że macie jakąś sprawę do załatwienia, więc rozgoście się w moim gabinecie - powiedział.

Wszyscy wymamrotali podziękowania.

- Miałem przypomnieć, żebyś mnie przedstawił swojemu przyjacielowi, wiceprezydentowi - powiedziałem.

Ambasador zerknął na zegarek.

- Zobaczę, czy jest osiągalny. - Potem zwrócił się do pułkownika Goodmana: - Marc, jeśli będziecie czegoś potrzebować, dzwoni do strażników albo do kuchni. - Dziękuję, że zechcieliście wziąć udział w dzisiejszym przyjęciu - powiedział do wszystkich i wyszedł.

Osoba, z którą siedział w swoim prywatnym gabinecie, wciąż tam była lub wyszła oknem.

Wszyscy ruszyliśmy w stronę otwartych drzwi; Susan na przedzie, za nią Bill, Marc i John.

Wszedłem do słabo oświetlonego gabinetu jako ostatni i od razu zobaczyłem mężczyznę siedzącego w skórzanym fotelu. Był uderzająco podobny do Karla Hellmanna. Wstał i podszedł do mnie z uśmiechem. Wyciągnął rękę.

- Cześć, Paul - przywitał mnie.

Nawet mówił jak Karl, z tym samym akcentem. Podałem mu dłoń.

- Cześć, Karl. - Tak się uradowaliśmy na swój widok, że nie mogliśmy wydusić słowa. Wreszcie odzyskałem głos. - Jesteś zakłamanym, podstępny i fałszywym draniem - powiedziałem cicho.

- Cieszę się, że widzę cię w zdrowiu - odparł. - Martwiłem się o ciebie. Przedstaw mnie panie Weber.

- Sam się przedstaw.

Odwrócił się do Susan.

- Jestem K. Karl Hellmann. Komunikowaliśmy się za pomocą faksu i e-mailu.

- Miło mi pana poznać - powiedziała Susan. - Paul wyrażał się o panu w samych superlatywach.

- Obaj wzajemnie bardzo wysoko się cenimy - odparł Karl i rozejrzał się po obecnych. - Dziękuję, że mnie zaprosiliście. - Podał rękę Billowi, Marcowi i Johnowi; ze strzępów zdań wywnioskowałem, że się nie znają albo udawali, że nigdy się nie spotkali i nie komunikowali ze sobą i że cieszą się z tego spotkania. - Przyleciałem samolotem dopiero przed godziną i jeszcze nie zameldowałem się w hotelu - oznajmił Karl. - Więc wybaczcie mi, jeśli będę nieco roztargniony.

Wszyscy zrozumieli, że ktoś im wciska kit.

- Mogę zamienić z tobą słowo? - powiedziałem do Karla.

- Oczywiście.

Weszliśmy do salonu, zamykając za sobą drzwi.

- Przez ciebie o mało mnie nie zabili - zacząłem.

- Jak to możliwe? Byłem w Falls Church. Wyglądasz na zmęczonego.

- Spędziłem w tym piekielnym grajdole dwa zaszranie tygodnie, a przez ostatnie parę dni spieprzałem przed glinami na motorze.

- Jak było w Nha Trang, a propos? Opowiadałem ci, że byłem tam na trzydniowym urlopie rekreacyjno-regeneracyjnym?

- Po co tu przyjechałeś?

- Zaprosili mnie.

- Żebyś mógł złożyć pełny raport tutaj, a nie w Bangkoku. - Dlaczego?

- Dlaczego?

- Bardzo się tym wszystkim zaniepokoiли.

- Mogliby przesłuchać tutaj Susan - zauważyłem. - Ona prawdopodobnie pracuje dla CLA.

- Cóż... wygląda na to, że nawiązaliście przyjaźń, i pewni ludzie uznali, że trzeba to zrobić tu i teraz.

- Chcesz powiedzieć, że chcę mieć pewność, po czyjej jestem stronie.

- Powiedzmy.

- Czy mogę zakładać, że wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

Karl zauważył barek i nalał sobie filiżankę.

- Myślisz, że mogę tutaj zapalić? - Zapalił, nie czekając na moją odpowiedź.

- Karl, czy wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

Wypuścił chmurę dymu.

- Byłem tym, który dowiedział się pierwszy. Kiedy list Trana Van Vinha wylądował na moim biurku, zacząłem się zastanawiać, komu przydzielić to zadanie. Ale im bardziej zagłębiałem się w ten list, tym bardziej byłem zaintrygowany. Więc przydzieliłem zadanie sobie. Zdołałem ustalić tożsamość mordercy na podstawie archiwów wojskowych, raportów wojennych i oficjalnych kronik jednostek. Jak zasugerowałeś w Waszyngtonie, była to dość prosta kwestia stopniowego zawężania listy żołnierzy służących w Quang Tri w lutym sześćdziesiątego ósmego roku. Porucznik Hines, doradca wojskowy z korpusu w Wietnamie, zginął w czasie akcji w cytadeli siódmego lutego tegoż roku albo w dniu zbliżonym do tej daty. Jego nazwisko jest na Murze. Wtedy natrafiłem na nazwisko kapitana Edwarda Blake'a i uświadomiłem sobie, naturalnie, że być może dotarłem do informacji niezwyklej wagi. Kapitan Blake był dowódcą Williama Hinesa i najprawdopodobniej jedynym kapitanem z Pierwszej Dywizji Kawalerii, z którym Hines miał bezpośredni kontakt. Oczywiście nie mogłem być tego pewny, w gruncie rzeczy w dalszym ciągu nie mamy co do tego pewności.

- Ja mam.

- Nie bądź taki pewny. Nie stawia się człowiekowi zarzutów na podstawie słabych poszlak.

- Nie. Szantażuje się go i pozwala zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Karl rozejrzał się za popielniczką.

- Ona jest naprawdę piękna - rzekł, zmieniając temat.

- Nie widziałeś jej o siódmej rano z kacem.

- I tak byłaby piękna. Czy pan Stanley wciąż ma do ciebie pretensje?

- Możliwe, że czuje ulgę.

- Aha. - Karl uśmiechnął się nieznacznie i strącił popiół do doniczki z rośliną. - Robi wrażenie kobiety, z którą każdy mężczyzna może mieć kłopoty. Nawet ty.

- Czy to jest komplement?

- Miał być. Przyleciałem przed godziną i prawie nic nie wiem poza tym, co powiedział mi ambasador.

- Co ci powiedział?

- Tylko to, co sam wie i co powiedział mu Bill Stanley, czyli że badałeś sprawę morderstwa popełnionego w czasie wojny i że twoje śledztwo okazało się owocne. Prawda to?

- Zależy, co rozumiesz przez owocne.

- Znalazłeś Trana Van Vinha?

- Znalazłem. W Ban Hin.

- Miał wojenne pamiątki? - Miał.

- Masz je?

- Jak się miewa Cynthia?

Zmiana tematu nie zbiła Karla z tropu.

- Ma się dobrze i pozdrawia cię - odparł. - Była rozczarowana, że zmieniłeś plany dotyczące Hawajów. Ale rozumiem teraz twoje motywy.

- Nie wyciągaj wniosków na podstawie słabych poszlak.

- Nigdy tego nie robię. - Wypił kawę i strząsnął popiół do filizanki. - Pan Stanley powiedział ambasadorowi, że złamałeś jakieś przepisy dotyczące sposobów podróżowania i policja cię przesłuchiwała.

- Zgadza się.

- To było poważne przewinienie?

- Zabiłem dwóch policjantów i dwóch żołnierzy.

Karl nie wyglądał na zaszokowanego czy poruszonego.

- Zakładam, że policja nie jest co do tego pewna.

- To naprawdę nie ma tutaj znaczenia.

- Faktycznie. Ambasador sprawia wrażenie zaniepokojonego perspektywą goszczenia cię w swoim domu, ale zdaje się, że towarzystwo panny Weber mu nie przeszkadza.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Musimy cię wywieźć z kraju, zanim władze dowiedzą się, że tu przebywasz, i poproszą o wydanie cię policji.

- Które władze?

- Te w Hanoi, oczywiście. Cierpisz na iluzje paranoidalne?

- Nie, jestem prawie pewien, że są w Waszyngtonie ludzie, którzy chcą mnie zabić.

- Jeśli ktokolwiek chciał twojej śmierci, to prawdopodobnie jest tutaj. Poczynając od pana Stanleya, choć z innych powodów, niż przypuszczasz.

- Karl, twoje wypaczone poczucie humoru nie jest w tej chwili doceniane. Poza tym jestem na ciebie wściekły.

- Pewnego dnia mi podziękujesz. Widzę, że straciłeś trochę na wadze. Nie jadałeś dobrze?

- Słuchaj, pułkowniku, chcę się stąd wynieść najpóźniej do jutra wieczór. Na parę godzin przed wyjazdem dostaję trzęsawki. *Biet?*

- O, pamiętam dobrze to uczucie. Myślisz, że powinienem pojechać do Cu Chi i Xuan Loc?

- Czemu nie? Jesteś tutaj. A wracając do tematu, chcę także, żeby Susan wyjechała ze mną.

- To nie mój problem.

- Teraz już tak.

- Zobaczą, co się da zrobić - odparł Karl i spytał: - Czy to pułkownik Mang jest przyczyną twoich problemów?

- Jest wiele przyczyn, ale on jest najbardziej oczywistą i szczerze o tym mówi.

Karl zignorował aluzję.

- Gdzie on teraz jest?

- Jakies dziesięć minut jazdy stąd. Susan i ja spędziliśmy z nim nieprzyjemną godzinę w kwaterze gestapo dzisiaj przed wieczorem.

- Ale skoro cię wypuścił, to nie powinieneś się zbytnio martwić.

- To długa historia, a my nie powinniśmy tych ludzi w gabinecie zostawiać zbyt długo samych.

- Czemu nie?

- Karl, spójrz na mnie. Przyjrzyj mi się. Czy wyglądam na kretyna? Karl podjął zabawę i przyjrzał mi się.

- Wyglądasz na dość inteligentnego. Może zbyt inteligentnego.

- Dlaczego zleciłeś mi tę misję?

- Bo jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego mam.

- To prawda. Ale nie najlepszym do tej roboty.

- Pewnie nie. Lecz chcieli mi zabrać tę sprawę, więc musiałem im zaimponować moim najlepszym agentem.

- Kim są oni?

- To nie ma znaczenia.

- Co z tego będziesz miał?

Karl spodziewał się tego pytania.

- Tylko satysfakcję z pomyślnego wykonania trudnej roboty.

- Czy jestem zaproszony na przyjęcie z okazji twojego awansu?

- Oczywiście.

Popatrzyłem na niego przez dłuższą chwilę.

- Pułkowniku, czy rozumiesz, że następny prezydent Stanów Zjednoczonych może być złodziejem i mordercą?

- Domniemanym złodziejem i mordercą.

- Kiedy tobie i mnie odstrzelili tyłki, ten facet siedział sobie w swoim biurze w kwaterze Komendy Korpusu Doradców w cytadeli w Quang Tri, kombinował i handlował na czarnym rynku, tudzież ćpał, ile wlezie. Potem robi się bajzel, amerykańscy żołnierze i marines padają wokół mego jak muchy, on znajduje czas, żeby popełnić morderstwo i rabunek. Czytałeś oryginał listu. Nie zaprzęta cię to?

Karl zamyślił się na chwilę.

- Zakładam, że panna Weber przetłumaczyła ci relację usłyszaną od Trana Van Vinha.

- Odpowiedz mi na pytanie.

- Przeszłość to przeszłość. Nie możemy zmienić tego, co tu przeszliśmy... my spełniliśmy swój obowiązek, a mektórzy nie. Nie powinniśmy pałać gniewem, co ty, zdaje się, robisz...

- Masz rację, jestem rozgniewany. - Przypomniałem sobie, że poradziłem pułkownikowi Mangowi, żeby powściągnął gniew; ale ja często nie słucham własnych rad. - Spytałeś mnie przy Murze, czy ponosi mnie gniew na tych, którzy nie służyli, i powiedziałem ci, że nie. Powiedziałem ci, że jestem zły na tych, którzy służyli i splamili swój honor. Pamiętasz?

- Pamiętam. To była dla mnie pierwsza wskazówka, że popełniam błąd, powierzając ci tę misję.

- Powinieneś być wiedzieć dziesięć lat wcześniej.

Skinął głową.

- Może wiedziałem. Ja sam mam ambiwalentne odczucia w związku z tym.

- Nie powinieneś mieć ambiwalentnych odczuć.

Karl nie skomentował tego.

- Gniew nie powinien mieć wpływu na twój osąd. Nie wiemy i nigdy nie dowiedziemy, czy Edward Blake ponosi jakąkolwiek winę, czy też nie.

- O tym zadecyduje ława przysięgłych.

- Nie. Spójrz na tę sprawę jak na okazję, która się nadarza. Okazję dla mnie i dla ciebie, żeby z opóźnieniem skorzystać na wojnie.

- Nie mogę uwierzyć, że słyszę to od ciebie. Pułkownik Karl Prawo-i-Porządek Hellmann. Postawiłbyś w stan oskarżenia własną matkę, gdybyś ją przyłapał na drobnej kradzieży w sklepie oficerskim.

jej wpływowi i bezwzględni ludzie. - Wbiłem w mego wzrok. - Nie można osądzać ludzkiego - Moja matka nie będzie następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych i nie otaczają życia na podstawie jednej chwili - ciągnął Karl. - Gdyby ktoś osądził w taki sposób ciebie i mnie, musielibyśmy za niejedno odpowiedzieć. Jest faktem, Paul, że Edward Blake prowadził po wojnie życie wzorowego obywatela... zdaje się, że właśnie on jest tym człowiekiem, którego kraj akurat teraz potrzebuje. Jaką różnicę by ci to sprawiło, gdyby został następnym prezydentem?

Odwrociłem się do drzwi, lecz Karl złapał mnie za rękę.

- Nie utrudniaj życia mnie i sobie, bo twoje jest już dość trudne. Obaj uniknęliśmy wielu kul i możemy wreszcie zarobić na zasłużone awanse i ładne renty. Nasze wojskowe pogrzeby z pełnymi honorami i tak nadejdą szybko. Nie ma powodu przyspieszać tej daty.

Uwolniłem rękę i wszedłem do gabinetu.

Susan siedziała w klubowym fotelu, John Eagan i Bill na skórzanej kanapie, a Marc Goodman przysunął krzesło tak, żeby być bliżej pozostałych osób. Stałem, opierając się tyłkiem o biurko ambasadora. Karl wszedł i usiadł w dużym skórzanym fotelu, który wcześniej sobie zajął.

Pokój był na wpół oświetlony dwiema lampami z zielonymi abażurami; zza okna dobiegały odgłosy składania krzeseł na trawniku.

- Zdecydowano, że ja poprowadzę dyskusję - oznajmił mi pułkownik Goodman. Nie odezwałem się. - Kiedy pana nie było, Susan opowiedziała o waszej podróży z Sajgonu do Nha Trang, do Hue i do Dien Bien Phu, o pańskich problemach z policją i żołnierzami oraz utarczkach z pułkownikiem Mangiem. Doszliśmy do Ban Hin. - Spojrzał na mnie i na Susan.

- Udzielam wam pochwały za świetną pracę. - Milczałem. - Jeśli pułkownik Hellmann nie ma nic przeciwko temu, Paul, może nam pan opowie, co się stało w Ban Hin.

- Paul ma wolną rękę - oznajmił pułkownik Hellmann. - Ale powinienem państwa w tej chwili uprzedzić, że pan Brenner ma kilka poważnych wątpliwości w związku z celem misji i tego spotkania.

Wszyscy na mnie popatrzyli, a ja przelotnie spojrzałem w oczy Susan. O takich chwilach mówi się przełomowe. Moje życie osobiste zawsze było w rozsypce, a moje życie zawodowe znaczyły błyskotliwe triumfy, które zawsze udawało mi się później zaciemnić głupim uporem lub stawianiem się przełożonym. Nie rozumiałem, dlaczego ta sprawa ma się różnić od innych.

- Jak Bill zapewne państwu powiedział, stoję na cienkim lodzie, a jedyne, czego mogę się złapać,

to klejnoty wiceprezydenta - oznajmiłem.

W gabinecie dało się słyszeć odchrząkiwanie i wiercenie się na krzesłach i fotelach. Susan zakryła twarz ręką, więc nie widziałem, czy płacze, czy się uśmiecha.

- Chcę jasno powiedzieć, że Susan Weber wykonała swoje zadanie związane z misją, Tranem Van Vinhem i mną - ciągnąłem. - Nie wiedziałem absolutnie nic o przedmiocie mojego śledztwa aż do samego końca, gdy wśród pamiętek pana Vinha natrafiłem na listę personelu Komendy Korpusu Doradztwa Wojskowego w Wietnamie z nazwiskami porucznika Williama Hinesa i kapitana Edwarda Blake'a. Wówczas dałem Susan wyraźnie do zrozumienia, że wiem, o co chodzi, i że rozumiem konieczność utrzymania tej informacji w tajemnicy i ograniczenia jej dostępności. Na podstawie tego, co powiedziałem, Susan oceniła, że zgodzę się być graczem zespołowym, chociaż...

- Paul, pamięć ci nie służy - przerwała mi Susan. - Kompletnie ci odbiło, kiedy odkryłeś, że Edward Blake jest podejrzany o morderstwo. Chciałeś uderzyć w dzwon, a ja ci

powiedziałam, że to byłoby szaleństwo. Spieraliśmy się i wygrałeś. Zgadzam się z tobą. Musimy przestrzegać prawa. To jest bardzo proste.

W gabinecie zapadła długa cisza... widziałem, że nikt nie jest uszczęśliwiony, a najmniej Bill, który bez wątpienia ręczył za Susan. Karla też trapiły niespokojne myśli na temat swojego najlepszego agenta; obaj z pułkownikiem Goodmanem żegnali się właśnie z generalską gwiazdką. Tylko John Eagan wydawał się zachowywać zimną krew i teraz już miałem pewność, że nie jest agentem FBI, przysłanym, żeby szkolić wietnamskich policjantów z brygady antynarkotykowej.

Spojrzałem na Susan, która właśnie postawiła się w bardzo złej sytuacji. Puściła do mnie oczko.

- Jestem gliniarzem, więc zamierzam udawać, że to jest odprawa CID, i będę udawał, że wszyscy państwo chcą, abym przedstawił dowody w sprawie morderstwa. Nie ma żadnych względów politycznych czy osobistych, ani żadnego pieprzenia o bezpieczeństwie narodowym czy czymś takim... chodzi wyłącznie o prawo.

- Możesz przedstawiać swoje dowody, jeśli chcesz, Paul - powiedział John Eagan. - To nie zmienia rzeczywistości.

- Właśnie że zmienia twoją rzeczywistość. I ty będziesz sobie z nią radził. To nie moja sprawa. - Nikt więcej nie wspomniał o innej rzeczywistości, więc mówiłem dalej: - Dwa tygodnie temu skontaktował się ze mną pułkownik Hellmann i poprosił o zbadanie sprawy domniemanego morderstwa popełnionego w czasie wojny. Podczas tej rozmowy wyciągnąłem wniosek, że chodzi o coś więcej niż morderstwo sprzed trzydziestu lat. Mimo to podjąłem się zadania, co być może było moim pierwszym błędem.

Ciągnąłem swoją opowieść językiem śledczego kryminalnego. Pomiąłem drogę z Sajgonu w głąb kraju, lecz wspominałem o Mangu, incydentach na autostradzie numer jeden i drodze dwieście czternaście. Pomiąłem też seks, bo jestem dżentelmenem, bo nie miał związku ze sprawą, a w gabinecie był Bill. A jednak Marc Goodman i John Eagan pewnie zdążyli wykombinować, że Susan i ja byliśmy więcej niż partnerami, i brali to pod uwagę.

Przeskoczyłem trochę do przodu i dość ogólnikowo opisałem nasze ostatnie przesłuchanie u pułkownika Manga; delikatnie zasugerowałem, iż Mang podejrzewał, że moja misja ma coś wspólnego z FULRO.

Wróciłem do opisu Dien Bien Phu, Ban Hin i domu Trana. Podałem dość szczegółów, żeby zrozumieli, że gdybym stanął przed komisją Kongresu czy ludźmi z Departamentu Sprawiedliwości, moja relacja zabrzmiałaby wiarygodnie.

- Tran Van Vinh jest moim zdaniem rzetelnym i wiarygodnym, świadkiem - ciągnąłem. - Tłumaczenie listu przedstawione mi przez pułkownika Hellmanna, choć zredagowane dla mego dobra, a nie oryginalne, jest istotnym dokumentem. Tak ważnym, że z lotniska Dullesa wysłałem faksem jego kopię do przyjaciela, z prośbą, aby ją dla mnie przechował.

Ten kit sprawił, że parę głów popatrzyło na siebie.

- Jeśli idzie o materialne dowody, składały się one z osobistych przedmiotów porucznika Williama Hinesa. Był tam portfel, obrączka ślubna, płócienny woreczek z listami, których nie przeczytałem ani ja, ani Susan, oraz notatnik, w którym porucznik Hines opisuje kapitana Blake'a w sposób bardzo niepocholebny... jako handlarza na czarnym rynku i stałego klienta miejscowych prostytutek. - John i Bill trochę się zżymali; pułkownik Goodman też chyba poczuł się nieswojo. - Nie próbuję tu nikogo osądzać, choć porucznik Hines się przed tym nie cofał. Przyznaję, że i ja nie stroniłem od dziwek, kiedy tu byłem, i popalałem trawkę, żeby zrzucić z siebie trochę napięcia. Ale o czarnym rynku nie było nawet mowy.

- To nieistotne - rzucił John.

- W sprawie morderstwa prawie wszystko jest istotne, jeśli chcesz się dowiedzieć, dlaczego jeden człowiek zabił drugiego - poinformowałem go.

Karl, mój najlepszy kumpel, przyszedł mi w sukurs.

- Prawie wszystko ma znaczenie i nawet najmniejsze drobiazgi, połączone w całość, dają obraz motywów i osobowości zarówno ofiary, jak i podejrzanego.

- Bardzo słusznie, Karl - powiedziałem. - Na podstawie przedmiotów osobistych zmarłego wysnułem wniosek, że William Hines był porządnym harcerzem, Edward Blake zaś łobuzem. Nie, to nie czyni go mordercą. Lecz mamy kilka faktów, które wskazują, że jest podejrzany. Mamy spis personelu jednostki, z którego wynika, że obaj mężczyźni byli w tej samej kompanii doradców w tym samym okresie i że był w niej tylko jeden kapitan. Kroniki wojskowe to potwierdzają... jeśli nie uległy zniszczeniu w tym słynnym i jakże wygodnym pożarze archiwum. Mamy zeznanie świadka. On widział i zidentyfikował kapitana amerykańskiej armii, który strzałem z pistoletu zabił porucznika... wiemy już, że porucznikiem był William Hines, którego osobiste rzeczy ów świadek zabrał.

Wyciskałem z tych dowodów wszystko, co się dało, lecz gdyby ta grupa była ławą przysięgłych, miałbym powody do zmartwień. A jeśli przegrywasz sprawę, musisz dorzucić to i owo z głowy.

- Susan Weber może już panom powiedziała, że Tran Van Vinh zidentyfikował na zdjęciach Edwarda Blake'a jako mordercę.

Zerknąłem na Susan.

- Identyfikacja nie budziła wątpliwości - oświadczyła. Bill, John i Marc wyglądali na zaniepokojonych; Karl pozostał sceptyczny, i słusznie. Zakończyłem swój wywód, mówiąc:

- No i jest jeszcze zrabowany łup ze skarbcza. Ktoś będzie musiał zbadać przeszłość finansową

Edwarda Blake'a, zwłaszcza po jego powrocie z Wietnamu. W skarbcu była biżuteria, której losy można prześledzić, a która może być ciągle w posiadaniu pana Blake'a, jego byłych przyjaciółek lub obecnej żony.

W gabinecie zapanowała cisza, którą przerwał Bill.

- Wydaje mi się, że dowody są nie tylko poszlakowe, lecz również słabe i niepewne, nie wspominając o tym, że dotyczą wydarzeń sprzed trzydziestu lat. Na pewno nie oparłbym oskarżenia na tym, co usłyszałem.

John Eagan zawtórował koledze.

- Tak poważne oskarżenie przeciw Edwardowi Blake'owi nie utrzymałoby się w sądzie, ale zapewniłoby bogate żniwo jego politycznym wrogom i mediom.

Marc Goodman sprawiał wrażenie pogrążonego w niewesołej zadumie.

- A pana zdaniem ten świadek jest wiarygodny?

- Myślę, że tak. Lecz rozumiem, że amerykańska ława przysięgłych może to ocenić inaczej.

- Gdzie jest ten świadek? - spytał mimochodem John.

- Pewnie śpi - odparłem. - On jest zwykłym rolnikiem.

Bill, który już wcześniej zauważył moje błyskotliwe poczucie humoru, spytał z irytacją:

- Gdzie śpi? W swojej wiosce?

- Chyba tak. Nie było pożyteczne przywozić go tutaj. - Spojrzałem na Billa i Johna i dodałem: - A odstrzelenie mu głowy nie było wygodne dla Susan.

Nikt, nawet Karl, nie udał, że jest zaszokowany czy zaskoczony, co odnotowałem z satysfakcją. Ale też nikt nie skomentował tego. Pułkownik Goodman spojrzał na Susan.

- Ukryliście te dowody rzeczowe?

- Tak.

- Gdzie?

- Gdybym panu powiedziała, nie byłyby już ukryte - odparła.

Pułkownik Goodman uśmiechnął się dobrodusznie i rzekł:

- Nie muszą być dłużej ukrywane.

Susan milczała.

- Są gdzieś w pobliżu? - spytał Goodman.

- Nie - odparła Susan. - Spodziewaliśmy się kłopotów z policją na dworcu po przyjeździe z Lao Cai.

- Więc ukryliście te przedmioty w Lao Cai lub koło Ban Hin?

- Mniej więcej. Bill zdradzał zakłopotanie niechęcią swej byłej dziewczyny do współpracy, a jeśli Eagan był jego szefem, a prawdopodobnie nim był, to następnym zadaniem Billa będzie pewnie obserwacja rosyjskich okrętów u wybrzeży Islandii.

- Susan, powiedz nam, gdzie są dowody - nakazał ostro.

Zmroziła go spojrzeniem, które Bill już pewnie wcześniej widział.

- Nie podoba mi się twój ton.

Bill zmienił ton.

- Susan, czy możesz nam opisać miejsce ukrycia osobistych przedmiotów porucznika Hinesa?

- Później.

- Susan...

John Eagan przerwał tę wymianę zdań.

- Zatajasz dowody w sprawie morderstwa? - zwrócił się do mnie.

- Nie. Ja je tylko ukryłem.

- Dlaczego?

- Jesteśmy we wrogim kraju, John. Ukryłem dowody w bezpiecznym miejscu.

- I ujawnisz nam teraz to miejsce.

- Czemu? Nie bierzecie ich poważnie. Nie ma się czym martwić.

Eagan zignorował to.

- Powiesz nam teraz, gdzie je schowałeś.

- Dlaczego? Kim ty jesteś?

Eagan spojrzał na Karla.

- Wydaję ci bezpośredni rozkaz, Paul - oświadczył Karl,

- Dobrze. Później ci powiem. W cztery oczy.

Karlowi było na rękę, że jest jedynym, który może mnie kontrolować, a jeszcze bardziej to, że tylko on usłyszy ważną informację. - Świetnie. Porozmawiamy później.

Wszyscy musieli się tym zadowolić.

- Pan, pułkowniku, jest doświadczonym zawodowym śledczym - zwrócił się Goodman do Karla. - Jaka jest pańska opinia o tych dowodach? Czy zaleciłby pan kontynuowanie śledztwa? Wysunięcie oskarżeń? Czy oddalenie sprawy?

Karl wydał dolną wargę i po chwili odpowiedział:

- Trzeba wziąć pod uwagę upływ czasu i charakter świadka, który może się wydawać wiarygodny, ale nie polegałbym na nim, gdybym nie miał innych dowodów na poparcie jego zeznań... Jeden opisany tutaj dowód rzeczowy, wojskowy wykaz personelu, nie wystarczy. Gdyby to miała być moja sprawa, na tym etapie bym ją odrzucił.

- To nieprawda, Karl, i dobrze o tym wiesz - odezwał się, - Na tym etapie robisz jedyną rzecz, którą możesz zrobić. Przesłuchujesz podejrzanego.

John Eagan zareagował błyskawicznie.

- To się nie stanie ani tutaj, ani nigdzie. - Popatrzył na wszystkich i przypomniał: - Tracimy z pola widzenia najważniejszą kwestię. Ta... sprawa może zrujnować życie i karierę polityczną oddanego służbie publicznej człowieka honoru, męża, ojca i wielokrotnie odznaczonego weterana. Amerykanie nie potrzebują dalszych skandali i polowań na czarownice. Są też względy międzynarodowe. Uważam, że cała rzecz jest niewarta dalszej dyskusji.

Pułkownik Goodman pomyślał przez chwilę.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Chciałbym wiedzieć, jak każdy z nas będzie dalej postępował... w związku z otrzymaną informacją. John?

- Zakończyć sprawę, a to spotkanie nigdy się nie odbyło.

- Bill.

- Skończyć. I zapomnieć.

- Pułkownik Hellmann? To sprawa dla pana, prawda?

- Nigdy nie była oficjalna i nigdy nie będzie. Uważajcie akta za zniszczone.

Zdawało mi się, że słyszę westchnienie ulgi.

Pułkownik Goodman spojrzał na mnie.

- Paul?

- Chcę porozmawiać z podejrzanym.

Goodman miał zamiar coś powiedzieć, ale rozmyślił się.

- Panno Weber?

- Nie mam absolutnie żadnego doświadczenia w dziedzinie prawa czy spraw kryminalnych. Nie wiem, co stanowi dobry dowód, a co poszlakę, jakie są cechy wiarygodnego, a jakie niewiarygodnego świadka. Ale wiem, że pewien kapitan popełnił cztery morderstwa i dopuścił się rabunku, a jedyny znany nam kapitan, który mógł to zrobić, jest w pokoju gościnnym na górze. Zdrowy rozsądek nakazuje z nim porozmawiać. Może powie wam, gdzie był tego dnia. Może był na urlopie albo w szpitalu, albo w towarzystwie dziesięciu innych żołnierzy. Trzeba kopać głębiej, może zadowolili was to, co znajdziecie, a może się okaże, że trzeba kopać jeszcze głębiej.

Znów zapadła długa cisza, którą przerwałem, mówiąc:

- Słuchajcie, ja sam nie jestem przekonany, czy Edward Blake jest mordercą. Może nawet chciałbym się przekonać, że nim nie jest. Susan ma rację. Nic nie stracimy, rozmawiając z tym człowiekiem.

- Więc mam iść na górę i zerwać z łóżka wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, żeby odpowiedział na pytania dotyczące jego domniemanego zamieszania w morderstwo? - spytał Eagan.

- Dlaczego nie?

- Dlatego że gdybym był nim, posłałbym kogoś takiego do diabła.

- Słyszałem to wiele razy, John. Wtedy wysyłam oficjalny nakaz sądowy.

- Oszalałeś?

- Karl może ci odpowiedzieć.

Eagan nie zapytał.

- Jeśli chcesz postępować zgodnie z prawem, nie masz żadnej władzy ani uprawnień, żeby kogokolwiek tutaj przesłuchiwać, a z pewnością nie wiceprezydenta.

- Dobrowolne zeznania to nic nadzwyczajnego, John. Najpierw pytasz tę osobę, czy zechce dobrowolnie odpowiedzieć na twoje pytania. Jeśli nie chce, to nabierasz podejrzeń i sięgasz po nakaz.

- Pieprzysz jak potłuczony.

Oficerowie armii rzadko przeklinają.

- Proszę się nie wyrażać - zwrócił uwagę Goodman.

- Jezu Chryste... Nie mogę w to uwierzyć - zachnął się Eagan. John Eagan wyglądał na tego, który najchętniej sięgnąłby po topór i który prawdopodobnie miał najwięcej do stracenia, oczywiście poza Edwardem Blakiem. Eagan, jeśli był szefem placówki CIA, zaplanował większą część tej misji razem z Billem, a gdyby poszła po ich myśli, John i Bill byłiby na balu inauguracyjnym Edwarda Blake'a i prywatnie mówiliby mu po imieniu. W Waszyngtonie mają inny system karania i nagradzania, system, który wygląda następująco: Jeśli wiem, że coś przeskrobałeś i nie karzę cię za to, to spodziewam się nagrody. Ale prawo tak nie działa... i ja też nie.

- Karl, ty i ja jesteśmy zaprzysiężonymi funkcjonariuszami wymiaru sprawiedliwości - powiedziałem. - Znajdujemy się na terenie należącym do Stanów Zjednoczonych. Domniemane przestępstwo zostało popełnione, kiedy podejrzany był w wojsku. Czy mamy prawo poprosić Edwarda Blake'a, żeby dobrowolnie odpowiedział na kilka pytań? Karl chciał potrząsnąć głową, lecz to, czego go nauczono, kazało mu nią skinąć. W sumie wyglądało to tak, jakby dostał spazmów szyi.

- Pozostaje kwestia jurysdykcji - powiedział w końcu.

- Jesteś z FBI? - spytałem Eagana.

- Nie.

- Kto w ambasadzie jest agentem FBI?

- Kogo to, kurwa, obchodzi? - odparł Eagan. - Działasz mi na nerwy, Paul.

- Popisujesz się przed Susan? - spytał Bill.

Zanim zdążyłem powiedzieć „wal się”, wtrąciła się Susan.

- Nie, od chwili kiedy poznał prawdę, zachowuje się tak, jakby go coś w tyłek ugryzło. On rzeczywiście chce to zrobić.

Zsunąłem się z biurka.

- Idę na górę po Edwarda Blake'a.

- Jeszcze jeden krok w stronę tych schodów i przejdziesz do historii, koleś - powiedział Eagan, wstając.

- John, nie zmuszaj mnie, żebym ci zrobił krzywdę.

Wszyscy się podnieśli; pułkownik Goodman, prowadzący nasze obrady, powiedział:

- Dostyc tego, przestańcie obaj. - Spojrzał na mnie. - Paul, jeśli uda mi się doprowadzić do tego, że wiceprezydent spotka się z nami, da mi pan słowo, że uzna to dochodzenie za zakończone?

Teraz już wiem, dlaczego wywiad wojskowy nie cieszy się dobrą opinią. Ale ja nie jestem głupi.

- Oczywiście - odparłem.

- I daje pan słowo, że wszystko, co zostało dzisiaj powiedziane, jest po wsze czasy objęte tajemnicą?

- Jak najbardziej.

- I przyjechał pan tu na dwa tygodnie jedynie jako turysta.

- Zgadza się. - Zauważyłem, że Bill i John wymieniają spojrzenia. Nie protestowali, co oznaczało, że wygrałem. A tak naprawdę znaczyło, że już nie żyję.

Pułkownik Goodman podeszedł do drzwi.

- Poproszę kogoś z tajnej służby, żeby skontaktował się z wiceprezydentem - powiedział, po czym wyszedł.

- Paul, może się jeszcze zastanowisz - powiedział Karl.

- Chcę się zobaczyć z wiceprezydentem - odparłem. - I wziąć autograf dla bratanka.

Susan wstała i podeszła do mnie.

- Gdyby został ci w Wietnamie jeden dzień przed powrotem do domu, zgłosiłbyś się na ochotnika do niebezpiecznej misji? - spytała cicho.

- Nie. Ale wypełniłbym rozkazy. Moim ostatnim rozkazem było znaleźć mordercę.

- Myślę, że Karl chciałby, abyś przestał szukać.

- Do diabła z Karlem. A ty?

- Jestem po twojej stronie. Zrób to, co musisz zrobić.

Wrócił Goodman.

- Wiceprezydent dołączy do nas niebawem - oznajmił i zwrócił się do mnie: - Ma pan dziesięć minut. Będzie się pan zachowywał taktownie i z szacunkiem.

- Tak jest, sir.

- Nie będzie pan formułował żadnych zarzutów. Przedstawi pan fakty, a jeśli wiceprezydent zechce coś powiedzieć, zrobi to. Jeśli nie, ma pełne prawo zachować milczenie.

- Tak jest, sir. Nigdy nie postępuję inaczej. - To dobrze.

Drzwi się otwały i wszyscy wstali, ale to był tylko mój drobny koleżka Scott Romney. Rozejrzał się, posłał mi ostre spojrzenie - w każdym razie o to mu chodziło - i wyszedł.

Kilka sekund później do gabinetu ambasadora wszedł wiceprezydent Edward Blake. Był mojego wzrostu, miał podobną do mnie sylwetkę, ale nie był tak przystojny. Miał na sobie spodnie od garnituru, białą koszulę bez krawata i kretańskie jedwabne kimono.

Nie wyglądał na zirytowanego, zniecierpliwionego czy zdziwionego, a tym bardziej na osobiście zaniepokojonego. Na twarzy Edwarda Blake'a malował się wyraz oficjalnego z troskaniem, jakby zapowiadał się jakiś kryzys.

- Dobry wieczór - powiedział. - Jakiś problem?

Pułkownik Goodman odchrząknął.

- Nie, *sir*... nic podobnego. Czy mogę przedstawić obecnych? - Goodman najwyraźniej przemyślał, co powie; najpierw przedstawił Susan Weber jako mieszkankę Sajgonu i przyjaciółkę Quinnów, a potem Billa Stanleya i Karla Hellmanna. - Bill przybył z Sajgonu, jest przyjacielem Susan i kolegą Johna, którego pan zna. Pułkownik Hellmann jest w armii, właśnie przyleciał z Waszyngtonu. - To, co najlepsze, zostawił na deser. - A to Paul Brenner, również przyjaciel panny Weber, współpracownik pułkownika Hellmanna.

Uścisnąłem dłoń przyszłego prezydenta, który powiedział:

- Wiem, kim pan jest. Moja żona z panem rozmawiała.

- Tak, *sir*.

- Przez pana przegrałem dziesięć dolarów.

O wiele więcej, Ed.

- Tak, *sir*. Wspomniała mi o tym.

Wiceprezydent wyjaśnił żartobliwie sprawę i wszyscy grzecznie się roześmieli. Edward Blake zwrócił się do Susan.

- Pani towarzyszyła Paulowi w podróży?

- Tak, *sir*.

- Każdy przyjaciel Pata i Anne jest moim przyjacielem.

Facet miał ogładę i charyzmę - ideał męskości, spełnienie marzeń kobiet, ale być może koszmar dla narodu. Edward Blake rozejrzał się.

- Cóż, miło mi było państwa poznać.

Nie tak prędko, Ed.

- *Sir*, to nie jest czysto towarzyskie spotkanie... - zaczął Goodman. - Czy moglibyśmy prosić, żeby poświęcił nam pan parę minut? Wypłynęła pewna poważna sprawa, o której powinien pan wiedzieć.

Przyjrzałem się twarzy Edwarda Blake'a. Już od Waszyngtonu dręczyło mnie pytanie, czy on wie. W gruncie rzeczy miało to znaczenie tylko o tyle, że mogło się wiązać z ewentualną próbą zatuszowania zbrodni. Przeczucie mówiło mi, że nikt go jeszcze nie poinformował o tym, że

przeszłość wróciła. Najpierw przeprowadzasz śledztwo, a potem komunikujesz szefowi, że masz dobrą i złą wiadomość. Zła jest taka, że wiemy, co zrobiłeś, a dobra, że możemy ci pomóc.

Goodman wskazał wiceprezydentowi wolny fotel, ten, który wcześniej zajmował Karl; Blake usiadł, skrzyżował nogi i dał ręką znak, żebyśmy spoczęli. Wszyscy usiedli, tylko ja oparłem tyłek na kancie biurka. Pułkownik Goodman zwrócił się do Edwarda Blake'a.

- *Sir*, ta sprawa ma związek z obecnym pobytem pana Brennera w Wietnamie i z przylotem pułkownika Hellmanna...

Blake popatrzył na nas, ale nic nie powiedział.

- Mogę pana zapewnić, że wszystko, co było omawiane w tym gabinecie i co jeszcze będzie dyskutowane, nie wyjdzie poza garstkę osób, z których większość tu jest... I że wszystko, o czym teraz mówimy, będzie uważane za poufne... - Dobrze, zapewnił mnie pan i wzbudził moją ciekawość - wpadł mu w słowo Blake. - Możemy przejść do rzeczy?

- Tak, *sir*, Może pan Brenner chce coś powiedzieć. To był jego pomysł, żeby pana zaprosić.

- Do dzieła, Paul.

- Tak, *sir*. Jest moim obowiązkiem poinformować pana, że pułkownik Hellmann i ja jesteśmy związani z wojskowym Wydziałem Dochodzeń Kryminalnych.

Nie wywołało to u wiceprezydenta żadnej reakcji; może do niego nie dotarło.

Są dwa pytania, które zawsze się zadaje w śledztwach w sprawie morderstwa. Zadałem pierwsze z nich:

- Czy zna pan człowieka nazwiskiem William Hines?

To kompletnie zaskoczyło Blake'a, którego twarz przeszła niesamowitą metamorfozę i, przysięgam, że odpłynęła z niej cała krew. Wszyscy to widzieli i wszyscy musieli wyciągnąć ten sam wniosek.

- *Sir?*

- Mm... nie... Mógłby pan powtórzyć nazwisko?

- William Hines. Porucznik William Hines.

- A, tak... Służyłem z nim. W Wietnamie.

- Tak, *sir*. A kiedy ostatnio widział go pan żywego? - zadałem drugie pytanie. - Żywego?... No... tak, on zginął w akcji.

Zgadza się.

- Kiedy ostatnio widział go pan żywego, *sir*.

- Mm... niech pomyślę... Ofensywa Tet zaczęła się pod koniec stycznia... Chyba widziałem go parę dni później... On zaginął... nasza kwatera została zaatakowana, więc... Nie jestem całkiem pewien, ale około czwartego lub piątego lutego... w sześćdziesiątym ósmym roku. - Zadał to samo pytanie, co wszyscy: - Czemu pan pyta?

Zwykle odpowiadam: „To ja pytam, a pan odpowiada”. Ale nawet ja nie jestem tak bezczelny.

- *Sir*, Wydział Dochodzeń Kryminalnych otrzymał wiadomość, że porucznik William Hines został

zamordowany w budynku skarbcza w cytadeli miasta Quang Tri siódmego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku albo blisko tej daty. Mamy poważne podstawy sądzić, że jego zabójcą był kapitan Armii Stanów Zjednoczonych. Mamy pewne dowody oraz naoczego świadka, a teraz próbujemy ustalić tożsamość zabójcy.

Blake trochę się pozbierał; wyglądał na zszokowanego.

- Mój Boże... Jesteście pewni?

- Tak, *sir*. Jesteśmy pewni, że został zamordowany przez kapitana amerykańskiej armii.

- Boże drogi... - Wiceprezydent nie patrzył na nikogo w gabinecie, na mnie też. - To był straszny okres... Byłem wtedy w grupie doradców wojskowych, zostaliśmy otoczeni w cytadeli i walczyliśmy o życie. Wydaje mi się, że było me więcej niż dwudziestu amerykańskich oficerów i podoficerów...

- Ośmiu oficerów i dziewięciu podoficerów, tak wynika z wykazu personelu.

- Doprawdy? - spytał, spoglądając na mnie. - W każdym razie wydaje mi się, że tylko siedmiu z nas przeżyło...- Uznał, że dobrze będzie zmienić temat. - Pat Quinn mówił, że walczył pan w Wietnamie.

- Tak, *sir*. Pierwsza Dywizja Kawalerii w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, tak samo jak pan. Byłem żołnierzem piechoty w Kompanii Delta Pierwszego Batalionu Ósmego Pułku Pierwszej Dywizji. Byliśmy wtedy poza Quang Tri.

was w mieście. - Naprawdę? - Zmusił się do uśmiechu. - Co robiliście poza miastem? Potrzebowaliśmy

Uśmiechnąłem się.

- Uznaliśmy, że w mieście jest zbyt niebezpiecznie.

Roześmiał się.

- Jeśli przypomnę sobie coś, co mogłoby panom pomóc w tej sprawie... mam na myśli Paula i Karla... skontaktuję się z panami. - Wstał; wszyscy obecni zrobili to samo.

- *Sir*, czy zechciałby pan porozmawiać ze mną w cztery oczy?

- O czym? j

- O tym incydencie, o którym przed chwilą rozmawialiśmy.

- Nic o tym nie wiem. Ale pomyślę. - Ruszył w stronę drzwi.

W takiej chwili czasem informuję świadka, że jest podejrzanym, ale potem muszę mu odczytać jego prawa i zwykle nie mogę znaleźć w portfelu tej karteczki.

- Tak jak mówiłem, ktoś był świadkiem tego morderstwa, a ja tego człowieka przesłuchałem. - Nie wspominałem, że świadkiem był żołnierz wroga, pozwoliłem więc Blake'owi myśleć, że chodziło o amerykańskiego żołnierza. - Leżał ranny na drugim piętrze budynku skarbcza i przez dziurę w posadzce widział, jak ten kapitan morduje nie tylko porucznika Hinesa, ale także trzech Wietnamczyków. Później morderca obrabował skarbiec.

Krew po raz drugi odpłynęła z twarzy Blake'a. Przez te wszystkie lata nawet nie pomyślał, że

kiedykolwiek usłyszysz relację naoczego świadka tego wydarzenia; był pewien, że wszystkich zabił. Widziałem, jak drżą mu kolana; położył dłoń na klamce, która zadrżała tak, że wszyscy to usłyszeli.

- Często się zdarza, że świadkowie ujawniają się wiele lat po fakcie, zazwyczaj cierpią na takie czy inne zaburzenia psychiczne lub są zwykłymi kłamcami - odparł. - Jestem pewien, że pan o tym wie.

- Tak, sir. Właśnie dlatego potrzebujemy pańskiej pomocy.

- Przykro mi, lecz nie mogę panu pomóc. Ale życzę powodzenia w śledztwie. - Już miał wychodzić, przypomniał sobie jednak o manierach i powiedział: - Panno Weber, było mi miło. Dobranoc, panowie. - Zaczął wychodzić i nagle zrobił coś dziwnego: podszedł do mnie i podał mi rękę. Potem odwrócił się i wyszedł.

Karl i Susan w tej samej chwili wyciągnęli papierosy i zapalił.

Ja podszedłem do barku i nalałem sobie szkockiej z lodem.

W pokoju panowała kłopotliwa cisza. Popatrzyłem na twarze wszystkich obecnych i było jasne, że uwierzyli, iż Edward Blake zamordował trzech mężczyzn i kobietę podczas rabunku, a jeden z tych mężczyzn był jego towarzyszem broni, co nie wyglądało dobrze w oczach pułkowników Goodmana i Hellmanna ani w moich.

Lecz wszyscy wiedzieliśmy o tym od samego początku, nikt nie był zszokowany. Martwili się - martwili się o swoje kariery, swoje życie, a może nawet o swój kraj. A na pewno martwili się o mnie. W rzeczy samej, ja też się o siebie martwiłem. Pierwszy odezwał się pułkownik Goodman.

- Czy mógłby pan w głębi serca uznać, że kapitan Blake przeszedł przez tę próbę? - spytał. Nie odpowiedziałem. - W czasie wojny byłem młodym porucznikiem piechoty... -

ja i pułkownik Hellmann rozumiemy. Żaden z nas nie chciałby zostać wezwany do wzięcia ciężarów - Nie spodziewam się, że ktokolwiek zrozumie ten czas i okoliczności, Paul, ale pan, odpowiedział ności za tamten obłąd.

Wciąż milczałem.

- Paul, tu nie chodzi o winę czy niewinność ani nawet o sprawiedliwość czy moralność - zaczął Karl. - Chodzi o przeszłość. Powiedziałem ci, cienie sięgają stąd aż do kraju. Nas żołnierzy zbiorowo wtedy opluwano, brzydzono się nami, ale nie jesteśmy zobowiązani do tłumaczenia się z naszych postępów ani nie potrzebujemy nowych rewelacji na temat wojny. Jeśli mamy poczucie winy, to jest ono wspólne, a jeśli mamy jakąś zasługę, dzielimy ją tylko z innymi spośród nas. Po wszystkie czasy wiąże nas przelana krew i wspólne koszmary. Powiadam ci więc przyjacielu, to nie ma nic, albo bardzo mało, wspólnego z Edwardem Blakiem; w mniejszym lub większym stopniu wszyscy jesteśmy Edwardami Blake'ami.

Wziąłem głęboki oddech, ale się nie odezwałem.

- Paul, Edward Blake będzie pierwszym weteranem z Wietnamu, który zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych - rzekł Stanley.

- Bill, zamknij się, do jasnej cholery.

W gabinecie zrobiło się jeszcze ciszej.

- Nawet gdybym to kupił... powiedzmy, że kupuję... to drugą stroną medalu są wasze ambicje, wasze łgarstwa i mydlenie oczu. Edward Blake miał zły moment w życiu, wy macie za sobą złe kariery. - Odstawiłem drinka i ruszyłem w stronę drzwi - Mówiłem ci, żebyś znalazł kogoś innego - rzuciłem do Karla a potem zwróciłem się do Susan. - Chodź ze mną.

Rozdział 50

Nazajutrz w południe samochodem personelu ambasady zawieziono mnie i Susan na lotnisko Noi Bai, na północ od Hanoi. Nie mówiliśmy dużo w czasie dwudziestominutowej jazdy.

Dwóch ludzi z ochrony ambasady odprowadziło nas do terminalu; omijając stanowiska ochrony lotniska i rejestracji, poszliśmy prosto do hali dla dyplomatów.

Pan Uyen i pułkownik Mang zajęli się moimi bagażami, więc podróżowałem z niewielkim obciążeniem: ubranie miałem na sobie i pozostał mi tylko portfel, paszport, bilet lotniczy i przepustka dyplomatyczna.

Susan była ubrana w ładną sukienkę w szmaragdowym kolorze, pożyczoną od Anne Quinn, a ja w moje brudne dżinsy, lecz pod nimi miałem czyste spodnie i okropną różową koszulkę z golfem, także od pani Quinn, która zaznaczyła, że nie ma nic przeciwko temu, żeby nigdy więcej nie zobaczyć koszulki ani mnie. Jeszcze jedna pamiątka z Wietnamu,

Hala dyplomatyczna była trochę brudna, wbrew swej szumnej nazwie, lecz w sobotę nie było zbyt wielu podróżujących dyplomatów czy ich rodzin, więc w zasadzie mieliśmy ją dla siebie. Dwóch ochroniarzy z ambasady zostało z nami, i nie był to zły pomysł.

Noc spędziliśmy z Susan na rozkładanej kanapie w salonie. Pokoje gościnne na piętrze były zajęte przez Blake'ów i ludzi z tajnej służby, którzy z jakiegoś powodu nie chcieli nas na górze. Mimo że byliśmy zmęczeni i bez sił, kochaliśmy się, wiedząc, że to może być ostatni

raz.

Zjadłem moją ulubioną jajecznicę w jadalni, razem z Susan. Była tam tylko Anne Quinn, która wyjaśniła, że Blake'owie i ambasador wyjechali wcześniej do ambasady, a ona zaraz ma do nich dołączyć. Oboje wyraziliśmy żal, że się z nimi rozminęliśmy, a Anne obiecała przekazać nasze pozdrowienia. Podziękowaliśmy za gościnność i wspaniałą bankiet, a pani ambasadorowa wyszła, zapraszając nas na następny bankiet. Chyba czuła, że coś wisi w powietrzu.

Staliśmy z Susan w hali dyplomatycznej, spoglądając przez duże okna na pasy startowe i ciężkie, szare niebo. Wyglądało na to, że więcej samolotów startuje, niż ląduje, jak w kurorcie pod koniec sezonu, choć w tym wypadku wydawało się raczej, że to wietnamska diaspora, która przybyła do kraju na Tet, wraca do krajów swojego wygnania,

Miałem bilet na samolot linii Air France do Paryża, gdzie ktoś powinien na mnie czekać i przekazać bilet na połączenie z lotniskiem Dullesa. Nie była to najkrótsza droga do domu, lecz pierwszy samolot z Hanoi odlatywał właśnie do Paryża, a ja nie byłem tu dłużej mile widziany. Z lotniska Dullesa, gdzie rozpocząłem tę podróż, do mojego domu w Falls Church mogłem szybko dojechać taksówką albo - co bardziej prawdopodobne - będą tam na mnie czekać ludzie, którzy chcą się mną zająć. Tak czy inaczej, zaczął się powrót do domu i, tak samo jak za pierwszym i drugim razem, nie wiedziałem, co w tej chwili czuję.

Nalegałem, żeby Susan leciała ze mną, lecz ona chciała zostać w Hanoi; mieszkała w

Wietnamie od dawna i miała za dużo niedokończonych spraw związanych z życiem, pracą i przypuszczalnie z tą misją. Jeśli chodzi o mnie, to, podobnie jak przy poprzednich ewakuacjach z Wietnamu, nie potrzebowałem szczególnej zachęty, żeby się stąd wynosić.

W hali dyplomatycznej były białe drzwi prowadzące, jak twierdziła Susan, prosto na asfalt, gdzie czekał wózek, który miał mnie zawieźć bezpośrednio do samolotu. Do odlotu zostało dwadzieścia minut

Nie usiedliśmy i nie wypiliśmy drinka ani kawy; staliśmy tam, obok białych drzwi prowadzących do Falls Church w Wirginii.

- Mamy jeszcze z dziesięć minut - powiedziała Susan. - Ktoś da ci znać.

Skinąłem głową.

- Nie będę płakać - oznajmiła.

Znów skinąłem.

Popatrzyliśmy na siebie i żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć; czasu było niewiele.

Wreszcie Susan się uśmiechnęła.

- No cóż, spędziliśmy niesamowite dwa tygodnie, prawda?

Uśmiechnąłem się również.

- Powinniśmy to kiedyś powtórzyć - zasugerowała.

- Za drugim razem nigdy nie jest tak fajnie jak za pierwszym.

- Może i nie. Ale nie mamy ani jednego zdjęcia. - Ponownie się uśmiechnęła, - Nawet z wyspy Pyramide.

Milczałem.

Do hali wsączała się elektroniczna muzyka. Staliśmy w milczeniu, słuchając *Let It Be*.

- Dziękuję za niedzielę w Sajgonie - powiedziałem.

- Hej, jesteś mi winien wycieczkę po Waszyngtonie.

- Kiedy tylko zechcesz.

Skinęła głową i spojrzała na mnie.

- Mniej więcej za tydzień powinnam stąd wyjechać...

- Dokąd pojedziesz?

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie do Lenox, Potem do Nowego Jorku zobaczyć, czy wciąż mam pracę w AAIC.

A potem... Chyba chciałabym następną pracę za granicą. Wydaje mi się, że jestem wygnańcem z urodzenia...

- Tym razem wybierz jakieś przyjemne miejsce.

- Wciąż mam przewodnik po najgorszych miejscach na ziemi.

Uśmiechnąłem się.

- Będziesz tęsknić za Wietnamem?

- Strasznie. Ale pora iść dalej.

- Tak.

Skinęła głową.

- Wiesz, Paul... W Czasie Apokalipsy, kiedy zaczęłam się mazać... pamiętasz?

- Pamiętam.

- Czułam się strasznie... z różnych powodów... Nagle naszła mnie okropna tęsknota za domem i myślę, że to ty ją w jakiś sposób wywołałeś... Myślałam też o tym, co mnie czeka... co miałam zrobić... Trudno mi cię było okłamywać od pierwszej chwili, kiedy cię poznałam...

- Wiem. Widziałem.

- Naprawdę? To dobrze.

- Zapomnijmy o tym aspekcie podróży. Choć był tak zajmujący.

Roześmiała się, a potem trochę posmutniała.

- Nie będę płakać - powtórzyła. - Ty tego nie lubisz.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc zmieniłem temat.

- Może twoi znajomi w Langley mogą wykorzystać tam twoją znajomość wietnamskiego. - To niedaleko od Falls Church.

Potrząsnęła głową.

- Myślę, że tę pracę też straciłam.

- Dobrze się spisałaś. Masz wrodzony talent.

Zignorowała to i spytała:

- A ty? Co ty będziesz robił?

- Cóż... Tak jak mówiłem... muszę rozwiązać pewne sprawy osobiste... Rozważyć pewne rzeczy.

- Tak, powinieneś to zrobić.

Nie skomentowałem tego.

- A potem?

- Myślę, że to zależy od oceny mojej misji.

- I co z tym zrobisz?

- Nie jestem pewien. Może nic nie będę musiał robić. Może nie będę mógł.

- Uważaj na siebie, Paul. Naprawdę.

- Wiem.

- Tak mówisz, a z tego, co widziałam, wynika, że pan Brenner ma więcej jaj niż rozumu.

Uśmiechnąłem się.

- Czasem to wystarcza.

- Tutaj, ale nie w Waszyngtonie. - Spojrzała na mnie. - Wciąż jestem po twojej stronie. I zawsze możesz się ze mną skontaktować.

- Dam ci znać.

- Zamierzam porozmawiać z Karlem - poinformowała mnie. - Musi być po właściwej stronie.

- Karl mnie rozczarował. Wydaje mi się, że kiedy marzenia życia są w zasięgu ręki, człowiek jest gotów zrobić prawie wszystko.

Spojrzała mi w oczy.

- Ale później musisz być w stanie jakoś ze sobą żyć. Czasem trzeba po prostu czekać i liczyć na to, że marzenia i nadzieje się spełnią... Jak ta wróżka z góry Nui Co Tien.

- To nie skończyło się zbyt dobrze.

- Właśnie że tak. Czekala na ukochanego, a on wrócił, jak tylko mógł... A teraz są ze sobą na zawsze.

- Taak... Susan, posłuchaj...

W białych drzwiach stanął młody Wietnamczyk z kawałkiem tektury, na którym napisano Paul Brenner.

- No cóż, panie Paul, wzywają pana.

- Taak... - Spróbowałem się uśmiechnąć. - A więc, panno Susan...

- Nie będę płakać - powtórzyła, biorąc głęboki oddech. - Uważaj na siebie. Szczęśliwej podróży i... - W jej oczach zalśniły łzy.

Otoczyłem ją ramieniem, pocałowaliśmy się.

- Susan, muszę to sobie uporządkować...

- Wiem. To było zbyt intensywne. Potrzebujemy kilku miesięcy i wtedy zobaczymy...

Chłopak podniósł tekturę i przyglądał mi się nagle. Jeden z ochroniarzy ambasady dawał mi sygnały, że bym już kończył. Susan powiedziała coś do Wietnamczyka, a potem zwróciła się do mnie.

- Nie spóźnij się na samolot do wolności, żołnierzu.

Uścisnęliśmy się jeszcze raz i pocałowaliśmy.

- Zadzwoń do mnie... Kiedykolwiek - powiedziała Susan.

- Zadzwonię. Może za kilka tygodni.

- Kiedy zechcesz. Będę czekała na telefon.

- Czekaj na pukanie do drzwi.

Uśmiechnęła się.

Odwróciłem się i wyszedłem za młodym mężczyzną. Zeszliśmy po schodach, wsiedliśmy do elektrycznego wózka i odjechaliśmy w stronę bramki i samolotu.

Stał tam zaparkowany żółty policyjny dzip; kiedy się zbliżyliśmy, wysiadł z niego mężczyzna w mundurze. Niestety był to pułkownik Mang.

Podniósł rękę i kierowca się zatrzymał. Nie wysiadłem; siedziałem i czekałem na Nguyena Qui Manga, pułkownika z sekcji A Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Miał broń przy boku, co wcale mi nie przeszkadzało; broń byłaby moja, gdybym chciał. Ale niósł też aktówkę, a one zawsze niepokoją mnie bardziej niż broń.

Za zbliżającym się pułkownikiem Mangiem stał boeing 747 należący do linii Air France; widziałem, że ostatni pasażerowie wsiadają na pokład. Facet z obsługi lotniska kręcił się w pobliżu, spoglądając na zegarek.

Pułkownik Mang stanął przy wózku i spytał:

- Dokąd się pan wybiera, panie Brenner?

- Do domu, pułkowniku. Pan powinien zrobić to samo.

- Tak? Jak minęło przyjęcie dyplomatyczne? Spotkał się pan ze swoim wiceprezydentem?

- Tak.

- Ucieszył się, że pana poznał?

- O, tak. Podzieliliśmy się wojennymi wspomnieniami.

Widziałem, że załoga przygotowuje się do odsunięcia schodów.

- Chętnie bym pogawędził, ale spóźnię się na samolot - powiedziałem. - Więc jeśli pan wybaczy...

- Wydałem im instrukcje, żeby na pana poczekali.

- Nie wygląda na to.

- Gdzie panna Weber?

- Zostanie jeszcze trochę. Podoba jej się tutaj.

- Tak? A panu się podoba?

- Mam mieszane odczucia.

- Ach. Rozstanie z panną Weber było smutne?

- Nasze na pewno będzie radośniejsze. A propos, panna Weber chciałaby odzyskać swój film.

- Być może. Najpierw chcę obejrzeć zdjęcia, które zrobiliście.

- Skoro już o tym mowa, jeśli wyśle pan zdjęcia z wyspy Pyramide choćby jeszcze jednej osobie, pożałuje pan tego.

- Grozi mi pan?

- Mówię panu.

- Zdjęcia nie spodobały się panu Stanleyowi?

Nie zamierzałem sprawiać mu przyjemności odpowiedzią.

- No dobrze, dzięki za odprowadzenie. Czas na mnie.

- Chwileczkę. Myśli pan, że ten Blake będzie waszym nowym prezydentem?

Odpowiedziałem pytaniem:

- A jak pan sądzi? - Wczoraj wieczorem odbyłem ciekawą rozmowę z Tranem Van Vinhem. Muszę ją przemyśleć.

- Niech pan to zrobi. - Widziałem, że obsługa naziemna patrzy w moją stronę.

- Ma pan przepustkę dyplomatyczną i nawet pan o tym nie wspomniał - zauważył Mang.

- Nie potrzebuję nic oprócz biletu, żeby wsiąść do samolotu.

- Może lubi pan moje towarzystwo.

- Nie lubię. Ale uważam, że jest pan ciekawym typem.

Spojrzelśmy na siebie i po raz pierwszy od chwili, gdy się poznaliśmy, nie dostrzegłem w jego oczach złości

- Mam coś dla pana. - Sięgnął do aktówki i wyjął szklaną kulę. Wziąłem ją do ręki i popatrzyłem na płatki śniegu spadające na Mur.

- Reszta pańskich rzeczy osobistych zostanie zwrócona przez ambasadę - oznajmił Mang. - Nie biorę tego, co do mnie nie należy.

Milczałem.

- Pan i ja, panie Brenner, nigdy nie będziemy przyjaciółmi, ale powiem panu, że szanuję pańską odwagę. I tylko z tego powodu życzę panu bezpiecznej podróży do domu.

Oddałem mu kulę.

- Dzięki temu nie zapomni pan o mnie,

- To bardzo refleksyjny prezent. Zobaczę pana jeszcze?

- Powinien pan mieć nadzieję, że nie.

- Pan też.

- Niech pan traktuje ten kraj łagodnie, pułkowniku. Ci ludzie dość się już nacierpieli.

Nie odpowiedział mi, ale zwrócił się do kierowcy wózka, który ruszył ostro w stronę samolotu.

Gdy dojechaliśmy do schodów, zerknąłem przez ramię, lecz pułkownika Manga już nie było.

Spojrzałem na białe drzwi w hali dyplomatycznej i zobaczyłem Susan w szmaragdowej sukni. Zamachała do mnie ręką, a ja odpowiedziałem gestem na gest.

Tak kończyła się trzecia część mojego serialu pod tytułem Wietnam, a ja znów wracałem na siedząco.

Na szczycie schodów czekał na mnie steward, który wziął mój bilet, spojrzał i powiedział z przyjemnym francuskim akcentem:

- A, pan Brenner, czekaliśmy na pana.

- Już jestem. - Obejrzałem się i tak jak przed laty objąłem wzrokiem rozległą połąć ryżowych pól i wiosek i tak samo jak wtedy widziałem je jak przez mgłę.

Spojrzałem na białe drzwi, gdzie jeszcze przed chwilą widział,

Susan; ciągle tam stała.

Zamachaliśmy sobie raz jeszcze. Popatrzyłem na nią po raz ostatni i wsiałem do samolotu.

Droga do domu nigdy nie jest prosta - w istocie jest zawsze okrężna, a gdzieś w jej

trakcie odkrywamy, że podróż jest ważniejsza niż sam cel, a ludzie, których spotkaliśmy, na zawsze pozostają towarzyszami podróży naszych wspomnień.

Podziękowania i inne sprawy

Wróciłem do Wietnamu w styczniu 1997 roku z dwoma dobrymi przyjaciółmi: jednym był Dan Barbiero, przyjaciel z dzieciństwa i były porucznik Trzeciej Dywizji Marines. Dan służył w Wietnamie prawie w tym samym miejscu i czasie co ja: w prowincji Quang Tri od listopada 1967 do grudnia 1968 roku. Próbowaliśmy się spotkać, lecz wojna wyznaczała nam coraz to nowe, czasochłonne obowiązki.

Drugim przyjacielem, który mi towarzyszył w 1997 roku, był Cal Kleinman. Cal służył jako sanitariusz w Jedenastej Dywizji Kawalerii Pancerniej, również w pamiętnym 1968 roku. Cal to mój ziomek z Long Island, wychowaliśmy się w sąsiednich miastach i graliśmy w rywalizujących drużynach piłkarskich, ale teraz obaj jesteśmy w tej samej drużynie.

Cal i Dan wiedzieli, że przymierzam się do napisania powieści osadzonej we współczesnym Wietnamie; dzięki ich oczom i uszom wzbogaciła się moja wiedza o Wietnamie; zrobili też dużo dobrych notatek i ciekawych zdjęć. Co ważniejsze, każdego wieczoru przy paru drinkach mogliśmy omówić i przetrwać wszystko, co widzieliśmy w miejscach, których nie spodziewaliśmy się nigdy więcej ujrzeć. Czasem były to emocjonalnie wyczerpujące dni. Dzięki, chłopaki, i witajcie w domu.

Szczególne podziękowania należą się innemu ziomkowi z Long Island, Alowi

DeMatteisowi, dyrektorowi operacyjnemu DeMatteis Vietnam i prezesowi DeMatteis

International Group. Al przez wiele lat mieszkał i pracował w Wietnamie i był tak miły, że zechciał mi pokazać prawdziwe Hanoi, za co czuję się jego dłużnikiem. Jest świetnym gospodarzem i wspomniałem, nieoficjalnym ambasadorem dobrej woli w Wietnamie. To właśnie Amerykanie i Amerykanki, ludzie tacy jak Al DeMatteis, mieszkający i pracujący w

Wietnamie, pozwolą naprawdę zbliżyć się tym dwóm krajom. Politycy mogą tylko zapoczątkować ten proces.

Dan, Cal i ja mieliśmy szczęście poznać mieszkającą w Hanoi Amerykankę, Mattie

Genovese, której pragnę podziękować za spostrzeżenia na temat życia amerykańskiej biznesmenki w Wietnamie, Stworzenie mojej fikcyjnej bohaterki Susan Weber nie byłoby możliwe bez rzeczywistej Mattie Genovese.

Chciałbym podziękować porucznikowi Johnowi Kennedy'emu, zastępcy komisarza policji w hrabstwie Nassau, za dokładne przeczytanie materiału i uwagi, zwłaszcza dotyczące wojskowego Wydziału Dochodzeń Kryminalnych. John pracował z agentami i agentkami CID i podzielił się ze mną wnikliwymi spostrzeżeniami i znajomością faktów. John bardzo mi pomógł przy pisaniu powieści Plum Island i Gra Lwa. Jego wiedza o kryminalistyce jest zdumiewająca.

To odpowiedni czas i miejsce, aby podziękować starej przyjaciółce Patricii Burke, która wykonuje jedyną w swoim rodzaju pracę. Patricia jest wiceprezesem do spraw literackich wytwórni filmowej Paramount Pictures i to właśnie ona zwróciła uwagę Paramountu na moją powieść Córka generała, co doprowadziło do nakręcenia filmu pod tym samym tytułem. Patricia należy do najbardziej czytanych ludzi na świecie, więc zastanawiając się nad niniejszą kontynuacją Córki generała, zrobiłem coś, czego się zwykle nie robi, i nakłoniłem ją do udziału w pracy redakcyjnej. Nigdy się nie dowiedziałem, czy odebrała mój krok jako komplement, czy ją to rozgniewało, lecz napisała spójną i wnikliwą notatkę, która posłużyła

mi jako zbiór wytycznych przy pisaniu tej powieści. Patricia poleciła też powieść list z Wietnamu Paramountowi - adaptacja filmowa jest obecnie w fazie opracowywania.

redaktorów. Dziękuję więc mojemu redaktorowi i wydawcy Jamiemu Raabowi z Warner Autor

Books, i drugiemu redaktorowi i przyjacielowi, prezesowi Time Warner Trade Publishing, Larry'emu Kirshbaumowi, i oczywiście mojej długoletniej redaktorce i żonie, Ginny DeMille, która wciąż próbuje mnie nauczyć części mowy. Ostatnie podziękowania, lecz nie najmniej ważne, chcę skierować do moich asystentek Dianne Francis i Patricii Chichester, które jako pierwsze czytają, przepisują, poprawiają i komentują rękopis. Te dwie panie są moimi redaktorkami na pierwszej linii frontu i jeśli jest prawdą, że żaden dżentelmen nie jest bohaterem dla swego lokaja, to z pewnością żaden pisarz nie jest geniuszem dla swoich maszynistek.

Zamiast dziękować ponownie mojemu agentowi Nickowi Ellisonowi, podziękuję jego znakomitym pracownikom. Przede wszystkim asystentce Megan Rickman, kalifornijskiej dziewczynie z nowojorskim podejściem, a także Alicie Pistek, dyrektorce odpowiedzialnej za kontakty z zagranicą, utalentowanej damie i poliglotce, która wykonała wspaniałą pracę, wprowadzając moje książki w świat.

Pragnę jeszcze raz podziękować Martinowi Bowe i Laurze Flanagan z Garden City Public Library oraz Danowi Starerowi z Research for Writers, New York City. Zbieranie danych staje się rzeczywistością, wokół której zbudowana jest wszelka dobra literatura fabularna.

Na koniec, a tak naprawdę nade wszystko, chcę podziękować pierwszym czytelnikom moich rękopisów. Ktoś kiedyś powiedział, że pisarz przedstawiający pierwotną wersję rękopisu jest jak człowiek rozsiewający wydzielinę z gardła. Prawda to, lecz ktoś musi spojrzeć na te pierwsze krople flegmy. Początkowe wersje rękopisów pokazałem żonie i

moim dwóm asystentkom, a także Tomowi Blockowi, przyjacielowi z dzieciństwa, powieściopisarzowi, emerytowanemu pilotowi US Airways, współautorowi mojej książki Mayday, i jego żonie Sharon Block, emerytowanej stewardesie tych samych linii i wspaniałej czytelniczce.

Ostatecznie przekazałem maszynopis Rolfowi Zetterstenowi, wiceprezesowi Warner Books, cieszącemu się reputacją człowieka bezwzględnego i rzetelnego - marzenie lub koszmar twórców. Dziękuję Rolfowi za jego wnikliwość i świetne sugestie.

Zarodek pomysłu tej powieści wziął się z moich kontaktów z organizacją Vietnam Veterans of America. VVA prowadzi program o nazwie Veterans Initiative, który ma na celu pomóc wietnamskiemu rządowi w odszukaniu zaginionych wietnamskich żołnierzy. VVA zwróciło moją uwagę na ten program, a specjalne podziękowania chciałbym złożyć Marcowi Leepsonowi, redaktorowi artystycznemu i felietoniście „The VVA Veteran” za zapoznanie mnie ze szczegółami programu.

W związku z programem Veterans Initiative, jeśli ktoś z Czytelników ma jakieś informacje dotyczące losu żołnierzy byłego nieprzyjaciela w Wietnamie - listy, karty identyfikacyjne, mapy lub podobne dokumenty z nazwiskiem - niech prześle je pod adresem Vietnam Veterans of America, Inc., Suite 400, 8605 Cameron Street, Silver Spring, MD 20910. Proszę załączyć krótką notkę opisującą kiedy, gdzie i jak przedmiot został znaleziony, a także informację, do jakiej kategorii należy żołnierz: czy był jeńcem wojennym, zaginął w akcji czy poległ. VVA przekaze te informacje do Hanoi, aby pomóc tamtejszym władzom w

ustaleniu losu 300 000 zaginionych mężczyzn i kobiet, to zaś z kolei zachęci Wietnam do udzielania nam dalszej pomocy w zlokalizowaniu szczątków naszych 2000 zaginionych.

Autor niniejszej powieści w maju 1968 roku rzeczywiście znalazł list przy zwłokach północnowietnamskiego żołnierza, zabitego w dolinie A Shau, i kilka lat temu przekazał go VVA. Stamtąd list został wysłany do Wietnamu. Miejmy nadzieję, że dzięki niemu jakaś rodzina w Wietnamie poznała los zaginionego syna, męża czy brata.

Kilkanaście osób przekazało hojne datki organizacjom dobroczynnym w zamian za nadanie ich nazwisk bohaterom niniejszej powieści. Są to: Rita Chang (wplaciła pieniądze na rzecz Boys and Girls Club of East Norwich-Oyster Bay), John Eagan Jr (Great South Bay YMCA), Earl E. Ellis (Tilles Center for the Performing Arts), Marc Goodman (Diabetes Research Institute Foundation), Lisa Klose (C. W. Post/Long Island University), Victor Ort (Boys and Girls Club of East Norwich--Oyster Bay) i Janice Stanton (Muscular Dystrophy Association). Mam nadzieję, że wszystkim tym Paniom i Panom spodobało się ich fikcyjne alter ego i że będą kontynuować pracę na rzecz organizacji zasługujących na wsparcie.

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>